

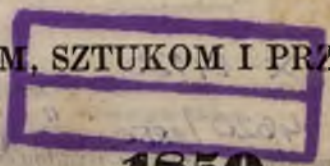
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

4767/37

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.



1850.

Tom pierwszy.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXXVII.



WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1850.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

4620 . 1850 . 1

II

X-14135
4620/1850 II

26. Og. 37.

1.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



30.000,-

WARSZAWA

KLECHDY POLSKIE I OBROBIENIE ICH.

PRZEZ

W. A. Maciejowskiego.

Tło klechdy i zapatrywanie się na nią z historycznego stanowiska.

Szczebiocze dziecię, skoro z niemowlęstwa wyszedłszy, nauczy się mówić; opowiada po swojemu o czem dowiedziało się lub słyszało, i aż do wieku męzkiego klekta o tém, co niegdyś mocno wyobraźnią zajmowało jego. Ale w następstwie czasu coraz poważniej, coraz głębiej rzecz pojmując, nowo ją sobie wykształca w umyśle, aż wreszcie przyjdzie do tego przekonania, że gdy bawiąca go, gdy serce i umysł zajmująca mu gadka, jest prózną uludą, więc dla rozrywki lepiej się ludzi gienialnemi poetów tworam, niż wykształcać i upiększać powiastki, dziecinnym przystojne umysłom. Wtedy porzuca klechdy i w poezyi rozrywki szuka, podobając sobie w wyobraźni wieszczą wymarzonych rzeczywistościach, przenosząc nad opowieści ludu sztukmistrzów opowiadania. Tak więc zaczyna się rozrywać czytaniem romansów, (które im więcej naród jaki ma rozwiniętą cywilizacją, tém doskonalsze posiada, bo tém więcej sztuczniejszych a prawdopodobniejszych tego rodzaju pism w swojej literaturze liczy), aż zestarawszy się, i we własnym zgnuśniewszy piśmiennictwie, wraca się znowu do bajek, klekąc dziwolągi o świecie, i miłosne tworząc powiastki; przez co właśnie znać daje, iż zdziecinniał, gdy się takowemi lubi zajmować bajdami.

Tę kolej przebiegła literatura grecka, która się klechdami rozpoczyna i kończy (1), a które coraz piękniejsze, coraz wykształceńsze pokazując

(1) *Groddeck: Initia historiae Graecor: litterar.* wydanie drugie w Wilnie w dwóch tomach. Porównaj II, 93 nstpn.; 165 nstpn.

się, wpadają znowu po upływie kilkunastu wieków w dzieciństwo, a nawet w niedorzeczność (2). Podobnego rodzaju pismami rozpoczynają się i pierwotne polskie druki (3), lecz i one z czasem coraz poważniej, coraz mężniej, dzieciństwo porzucając. Od klechd też, częścią rodzinnych, częścią wspólnych im z takowemiż sąsiednich ludów, rozpoczynają się opowiadania wszystkich Słowian. Najstarsze posiadają Serbowie, gdyż klechdy ich w pieśniach narodowych napomykane (nikt dotąd ludu nie zapytał o nie, i nie spisał ich), mają podobieństwo do greckich (4). W pierwotnej prostocie tkwią one dotąd, nie postąpiwszy nawet o tyle, co litewskie, o różnych ludów narodowość ocierające się, klechdy. Bo w sobie samym zamknąwszy swoją narodowość Serb, nie dał jej wyprysnąć z rodzimiej skorupy, by tak nie skątała się, potraciwszy o sąsiednich a obcej wiary będących ludów opowiadania. Przeciwnie Litwa czyniła: ta albowiem chętnie przyswajała sobie sąsiednich ludów powiastki. Otoczona Skandynawczykami (których do snu i do czuwania zaprawiała klechda, którzy się guślarzami i czarownikami otaczali wiecznie) (5), tak dalece marzeniami ich przesiąkła, że nawet mistrzów swych przesłała w tworzeniu nowych i coraz nowszych klechd; przez co takiej dostała sławy, że jedna litewska kraina (Kuronia), uchodziła za siedlisko wróżbitów, guślarzy, czarowników, i na jednej z nimi szali kładzionych lekarzy. Pełną była dziwów ta kraina, jako też okalające ją ziemie. Tu albowiem stała świątynia, w której smoki częś odbierały boską (6). Wokoło Kuronii leżące wyspy i lądy, zamieszkiwały rycerskie Amazonki, ludkowie mali (którzy, Bóg wie z kąd przybywszy, nawiedzali co rok sąsiednie okolice, a złupiwszy je, uciekali niewiadomo dokąd), kobiety brodate, Sylwany, czarnoksiężnicy słowami potęgi wszystkiego dokazujący, wszystko co się na świecie działo wiedzący (7). Bajdy te za wątek do opowiadania wzięwszy Litwini, potworzyli z nich dziwno klechdy, mające w sobie coś uroczego, coś nadzwyczajnego, nadprzyrodzonego; jednem słowem, coś fantastycznego. To właśnie charakter ich stanowiąc (obszernie o tém powie się przy rozbiorze literatury litewskiej), stawia je w środku między skan-

(2) *A. L. Grimm: Märchen der Griechen und Römer*; wyszły bez oznaczenia roku w Grimma.

(3) Rozmowy Salomona z Marcholtem.

(4) Syn, który pojął za żonę własną matkę i znalazł w rozplatanej rybie klucze rzucone w morze. *Srpsk. piesm.* II, 73, 74. Podobnie bajali Grecy o Edypie i Gigesie.

(5) Rozważ, co o Duńczykach i Norwegczykach opowiada Adam Bremeński u Pertza IX. 320, 326, 350.

(6) Kraj Kuronów u Adama Bremeńskiego; tamże 340, 374.

(7) Adam Bremeński, tamże 375, 379, 382.

dynawskimi, a następnie na ruskość je i polskość nagina, wprowadzając przez to litewskie powiastki na ocean słowiańskiej klechdowości.

Gdy nie jest naszym zamiarem puszczać się tu na obszerne badań pole, przeto rozpatrzmy się po niém ogólnie tylko, zastanawiając się nad klechdami, o ile wyrozumienie polskich i litewskich, wymaga bliższego się z klechdziarstwem reszty Słowiańszczyzny zapoznania. Powiem więc tylko, iż wszystkich słowiańskich ludów klechdy mają coś powszechnego a własnego i obcego, tudzież posiadają coś wyłącznego a miejscowego i swojskiego; że ponieważ wielki ten ogrom powieściarstwa wpływał na siebie wzajemnie, i w jednej jakoby osnowie się płacząc, jedną niby stanowił całość; i gdy znowu całości ogromnej całości tej odstając od siebie, odrębne tworzyły massy: przeto niepodobną byłoby rzeczą znaleźć się w tym zamęcie, gdybyśmy choć w kilku słowach nie opisali granicy, oddzielającej klechdy jednego ludu, od takowychże ludu drugiego. Wątek ich powszechny a własny stanowią przeobrażenia, i udatni głuptasowie, o których wymarzone koncepta skupiono w Sowizrzale, rozstrzelone tak wielkiego słońca promienie, w jedném przez to jakoby zebrawszy ognisku. Takowegoż rodzaju klechdy (obcość za podstawę mające) uosobistniono w bohaterach, junakach, rycerzach, złych duchach, potworach, nadawszy tym istotom częścią niemiecki (skandynawski mianowicie), częścią swojski charakter. Głównie rossyjskie i serbskie, i w środku stojące między niemi polskie, odznaczają się w tej mierze klechdy; z tą atoli różnicą, że gdy w pierwszych osoby owe zupełnie po obcemu, przeciwnie w drugich po narodowemu działają. Nigdzie bowiem taka, jak u Serbów zażyłość bohaterów z bóstwem, nigdzie tak blizki, jak tu, nie zachodził między ludźmi a duchami stosunek. Coby wyłącznego a miejscowego i swojskiego posiadały polskie klechdy, wykazaliśmy wyżej, uwagę zwróciwszy na to, że obywatelskość głównym jest ich charakterem, i że się najdobitniej w klechdzie o Twardowskim (szczegółowo rozwiniemy ją niżej), przebija. Rossyjskich klechd tłem jest przemysł, wydatny w kupieckim rozumie handlarzy ruskich (8). Napróżno starałem się coś podobnego odkryć w klechdach Rusinów; nie znalazłem w nich nic wydatnego, cohy je od takowychże, własnością panujących niegdyś nad nimi Litwinów i Polaków będącą, odróżniało wielce: wyjąwszy może to, że religijność, główna cecha czeskich klechd, góruje następnie w klechdach ruskiego osobliwie ludu. Wiém o tém dobrze i wyznawam, że wszyscy w ogóle Słowianie, a nie sami Czesi i Rusini, od-

(8) *Źródło i treść ruskich Skazek*, w Athen. r. 1843. I. 189 r. 1845. V. 118 i nstpn.

znaczeni się religijnością; ale wiem i to, że głównie w klechdach tych ludów żywość religijny przeważa (9), że o czym w klechdach Słowian innych czarci lub zwierzęta rozprawiają zwykle, o tém w czeskich czynią pogadanki pustelnicy, księży, czarownice i t. p. (10), z religijną zabobonnością czeskiego i ruskiego ludu ściśle powiązane istoty. Wszakże tło klechd słowiańsko-narodowych tak dalece jest na przedstawiającym go obrazie zagwazdane, że prawie niepodobna rozeznąć go, i swojskość na niem od obczyzny odróżnić. Co poszło ztąd, iż skoro tylko został raz pierwotny pomysł klechdy obcemi dodatkami zagmatwany, te, coraz więcej napływając na niego, zatarty jęj wizerunek do niepoznania. Chcąc dojść pierwiastku, chwycono się dziś analizy, i za pomocą jęj zdejmując z klechdy jedną powłokę po drugiej, usiłowano tak wynaleźć samo jęj ądro. Oprócz mnie, wystąpił na tém polu ksiądz Jan Wagilewicz, który wykazał, jak w postaci czartha oblokłszy lud ruski tatarskiego hana, utworzył ztąd klechdę o dziwnym potworze, ruską niegdys trapiącym ziemię (11). Nie dziwujmy się temu, że nikt więcej nie próbuje swych sił w badaniu tego rodzaju. Jakże bowiem rzecz roztrząsać, gdy jęj dotąd nie zebrano w jedną całość? gdy dotąd nie mamy razem zgromadzonych klechd, i właśnie przez to, nie mogąc się przypatrzeć zblizka ich całości, wątku ich nie dochodzimy?

Zbiory podań i klechd polskich, ich znaczenie, podział i obrobienie.

Pismo, które tygodniowo wychodzi od lat czternastu w Lesznie, zaczęło pierwsze drukiem ogłaszać u nas podania ludu i klechdy. W trzy lata później pokazały się klechdy, czyli, jak je wydawca nazwał, starożytne podania i powieści ludu polskiego i Rusi, które zebrał i spisał p. Kazim. Wład. Wojcicki. Odtąd w małych przerwach czasu, wychodzić zaczęły i ciągle wychodzą takoweż zbiory, w krajach niegdys słowiańskich, a dziś całkiem lub w części zniemczonych, jakoto: w Prusiech (królewskimi niegdys i ksiąęciami, a dziś wschodniemi i zachodniemi zwanych), na Pomorzu, w Saksonii, na Szlązku, w Łużycach, w państwach austriackich (w Czechach, Arcyksięztwie, Korutanach, słowackiej ziemi), w Me-

(9) Porównaj najpiękniejszą według mego widzenia czeską klechdę, pod napisem: *Szwanda dudak*, Malcho bachorky. I. 63 nstpn.

(10) U Malcho, III. 14. IV. 38 nstpn.

(11) *Szeledywy Bunjak Berda w Kryczu*, Biblioteka naukowego zakładu imienia Ossolińskich XI. 181 nstpn. VII. 151 nstpn.

klenburgii, w Zgorzelicach czyli w starój i nowój Marchii, Westfalii (12). Odtąd téż, t. j. od ukazania się pracy p. Wojcickiego, wychodzą zbiory polskich podań i klechd, i znajdują się w *Wspomnieniach wielkopolskich*, przez Ed. hr. Raczyńskiego, w dwóch tomach, (są tu li tylko podania); w *Powieściach ludu spisanych z podań przez Karola Balińskiego* (13); w dziełku niemieckim jedno-tomikowém, z trzech poszytów składającym się, które pod napisem: *Gross-Polens Nationalsagen, Märchen und Legenden und Lokalsagen des Grossherzogthums Posen*, podał w Bydgoszczy 1842 do druku p. Neumann, (zmyślone nazwisko *San-Marte* przybrawszy); w zbiorze pieśni łużyckich pp. Haupta i Smolerja (14); w piśmie cztero-tomikowém, w *Petersburgu* 1844 i nstpn. wydaném, pod tytułem: *Szlachcie Zawalnia, czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach*, przez Jana Barszczewskiego; w *Podaniach i Legendach polskich, ruskich, litewskich*, które zebrał *Lucyan Siemiński*, w *Poznaniu*, 1845. Rozważmy co się ważnego w tych znajduje zbiorach.

Aczkolwiek większa część tych pisarzy, którzy podania i klechdy ziemczonych Słowian zbierali, li tylko w księgarskim widoku pracowała, godząc w to, by zbieraniną swą utudzić publiczność i grosz za kupno książki zyskać od niej; wszelako u każdego z nich natrafisz na ten lub ów szczegół ważny dla wyjaśnienia literatury ludu o Wifach, których pro-

(12) Porównaj: *Die Volkssagen Ostpreussens, Lithauens und Westpreussen von Tetau und Temme. Berlin 1837. Pommersche Sagen v. E. Hellm. Freyberg, Pasewalk 1838—Die Volkssagen von Pommern und Rügen, von Temme. Berlin 1840—Sagen, Legenden, Märchen und Erzählungen aus der Geschichte des sächsischen Volkes v. Adolf Segnitz. Meissen 1839, tom I, z sześciu poszytów złożony. Slesischen Sagen, Historien und Legenden-Schatz herausgegeben v. Hermann Goedsche. Meissen 1839, jeden tomik w trzech poszytach — Volkssagen und Volksthüntliche Denkmale der Lausitz v. H. G. Gräve. Bautzen 1839—Die Volkssagen der kaiserstaates Oesterreich v. Ludw. Bechstein. Leipzig 1840, jeden tomik w trzech poszytach—Meklenburgische Volksmärchen, Sympathien und andere Thorheiten, von Mussäus; Meklenburgische Volkssagen und Volksaberglaube, von Günther; Aberglauben in Meklenburg, von Beyer; rozprawki te znajdują się w tomie piątym, ósmym i dziewiątym, pisma zbiorowego, które pod tytułem: *Jahrbücher des Vereins für Meklenburgische Geschichte und Alterthumskunde* (herausgegeben von Lisch) w Szwerynie od r. 1836 wychodzi. *Märkische Sagen und Märchen*, które wydał Kuhn, wyżój przywiódłem. *Die Volkssagen der Altmark, Tangermünde 1844*, w dwóch tomikach:—*Westfälische Volkssagen und Erzählungen v. I. Krüger. Siegen und Wiesbaden 1845*, jeden tomik.*

(13) Wyszły według wyboru i wydania K. Wład. Wojcickiego, w Warszawie, 1842.

(14) Przy drugim tomie są tak zwane *baśniczki* i *bamziczki*, czyli klechdy i legendy.

wadzenie się rozpustą cechuje Bachstein; o wyroku, który według Krügera, wydał w Westfalii djabeł, chcąc przez to poprawić wyrok sądowy, podobnie jak to on u nas uczynił, sprostowawszy wyrok trybunału lubelskiego. Żaden stoli ze zbieraczy nie uczynił by najmniejszej wzmianki o tém, że klechdy i podania, które przywiódł, są powszechnie między Słowianami znane (15). Jeżeli zaś, jak gdyby od niechcienia, powiedział, że mniemanie to lub owo (o liczbie siedmiu) jest słowiańskie, lub na niemieckiej dziś, a niegdyś słowiańskiej powstało ziemi (16), ostrzegł cię natychmiast, żebyś na tém nic nie budował; lub mylném rzeczy pojęciem wprowadził cię w błąd.

Nie dziwnego, że dawniej, kiedy jeszcze między Słowianami a Niemcami trwała nienawiść narodowa, że dawniej, mówię, wszystkiém, co złe i szpetne było wzajemnie się darząc, co najlepszego zachowywano wyłącznie dla siebie; lecz dziwno, że i dziś trwa ten obyczaj, czego jawny dowód p. Kuhn. Nie przecząc on temu, że nad Łabą, między ziemczonym ludem, istnieją dotąd dawne podania słowiańskie, utrzymuje wszakże, że tylko obrzydłe, lub w wyobraźni przesadzone postacie, są pochodzenia słowiańskiego (17). I nie dziwnego, gdy ani języka nie znał ludu, o którego klechdach wyrokować nie wahał się (18); ani miał by najmniejsze narodowości słowiańskiej pojęcie. Toż samo i o reszcie zbieraczy klechd powiedzieć należy; i ci bowiem nic zgoła dla wyrozumienia literatury ludu nie uczynili. Na usprawiedliwienie zaś swoje to tylko zapisał jeden i drugi zbieracz, że dosyć uczynił, gdy podanie i klechdę opowiedział; że napisał co mógł, nie będąc w stanie wywiedzieć się o wszystkiém, gdyż lud słowiański ukrywa się z swoją literaturą (19); że nie troszczył się o wybadanie pierwiastku i narodowości podań, gdy wiadomo, że słowiańskie nad Łabą i w Prusiech zachodnich (Pomorze gdańskie) mieszkające ludy, wynarodowiły się do tego stopnia, iż nawet o podaniach swych zapomniawszy, niemieckie powtarzają tylko (20). Zeznania to są

(15) W zbiorze Segnica podrzucone dziecko przez czarta, *der Wechselbalg*, wypędzanie śmierci i t. p.

(16) *Das Wendenthor*, w: *Volkssagen der Altmark*.

(17) *Wesz, rak, zmora, olbrzym, pałac jutrzemki*; porównaj wstęp do jego dzieła.

(18) *Gaza*, bóstwo gospodarcze, dotąd u karpackich górali *gazda* gospodarz; *Mallineken*, malinki, maliny; *Zamkał*, zamek, starost. wyraz (porównaj Miklosicza *mk, promknąti*); *Lach* od lacha, zamiast od *ljecha*; (porównaj Adelunga i Miklosicza p. w. *Lache, ljecha*). Kuhn 24, 36, 41, 184.

(19) O Kaszubach powiedział to p. Temme, we wstępie do pomorskich klechd.

(20) To braci Grimmów zdanie powtórzył Tettau i Temme, w przemowie X, XI., do podań pruskich.

ważne: wyraźnie albowiem głoszą, że (pracę p. Kuhn wyjąwszy) wszyscy zbieracze ograniczyli się na spisaniu tego, o czém się dorywczo dowiedzieli; że ludu nie wybadywali, i pochodzenia podań nie śledzili. Nam przeto należy zastanawiać się nad tém, nad czém się zbieracze owi nie zastanawiali; do nas należy podań i klechd nadłabańskich, pomorskich, pruskich, pierwiastek słowiańsko-polski wykazać (udowodniwszy to podobieństwem do naszych); a należy tém więcej, gdy cała zasługa zbieraczy owych polega tylko na stylu, który u niektórych jest prawdziwie ludowy, bo prosty i niewinny (21); tudzież na wstępach, a zresztą żadnych nie ma zalet. We wstępach mianowicie obszernie się nad tém, co właściwie podanie, a co klechda znaczy rozwiódłszy zbieracze, usprawiedliwić się usiłowali z uczynionego sobie zarzutu, że spisy swe porobionemi z kronik wyciągami pozapychali, nie przedstawivszy rzeczy tak, jak ją lud opowiada; że podania i klechdy pomieszali razem, a biorąc jedne za drugie, nie pokazali nam właściwego ich oblicza. Gdy zarzut ten zarówno na niemieckich jak i na polskich klechd zbieraczach ciąży, bliżej przeto zastanowić się nad nim należy.

Przez podanie rozumiemy to opowiadanie, które na kronikach lub wieści polegając, przekazuje bądź rzeczywiste nago i bez żadnych ozdób poetycznych, bądź téż przydatkami upstrzone i poezyi szatą przyodziane dzieje, które uwieczniały się pismem lub słowami z ust do ust przechodzącemi, dla nauki i zabawy czytających je i powtarzających. Dwoiste to opowiadanie w tym się ma do dziejów stosunku, co historia i romans historyczny. Przeciwnie klechda zawiera opowiadanie takie, które na wyobraźni polegając ludu, uprawdopodobnia zdarzenie, przyczepiono do czynu lub osoby wymarzonej w wyobraźni ludu, a przedstawiające ten czyn tak, iż czytelnik lub słuchacz za prawdziwe je mając wierzy w to, że istotnie miało ono lub mogło mieć miejsce. Klechda przeto romansem jest obyczajowym, uczuciowym, fantastycznym i t. p.; powstaje z wyobraźni ludu, zamieszkuje między ludem, i jest najdobitniejszym uczuć jego wyrazem; gdy przeciwnie podanie, poza wyobraźnią ludu biorąc swój początek, i w szrankach się dziejów albo miejscowych opowiadań trzymając, jest wyrazem ducha narodowych wspomnień, jest tłem historyi, nieraz nadpsutém lub skalaném, które naprawić lub oczyścić historyka jest rzeczą, a które nie lada kto dziejopisarza uczczony mianem, sprostuje; gdyż właśnie sprostowanie ich do najtrudniejszych odgadnień należy. Pracowaliśmy na tém polu, sprobawwszy w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy wykazać prawdę, w podaniu o najdawniejszych dziejach polskiego

(21) Kuhn, Temme, Tettau, Siemieński.

i litewskiego narodu zewnętrznych i wewnętrznych w kronikach zawartém; i usiłowawszy nadto wydobyć owę prawdę z rozlicznych a społecznych i wiary godnych źródeł. Tak wykazawszy już, jaki pożytek ciągnie z podań historya narodu, wykażmy teraz, jaki z nich ma historya literatury, a mianowicie: czy, i o ile opowiadanie jakie, w zakres działania lub klechdy wchodząc, maluje umysłowość narodu, jest jego usposobienia moralnego wyrazem dobitnym, i bądź własnej wyobraźni ludu jest płodem, bądź rośliną z obcej na ojczyzną przesadzoną ziemią.

Podanie, bądź rzeczywiste, bądź przydatkami upstrzone, styka się blisko z klechdą, wsiąka ją w siebie, lub w nią przeobodzi. Boć tém samém, że podanie, zanim go dziejopis do godności historyi wyniesie, za urojenie poczytywane bywa; bo tém samém, że przydatkami upstrzone będąc, w krainie marzeń choć częściowo przebywa; bo tém samém, że dopóki przez krytykę (niby duch pokutujący przez ogień czyscowy) nie przejdzie, i nie wykaże, iż się na historycznym wspiera wątku, jest wszelkie podanie klechdą, polega na mniemaniu ludu i żyje doczesném lub wieczném życiem; gdyż jak w niego uwierzono, tak téż wiara ta ustać może, skoro się obali lub krytyka piórem, lub powątpiewaniem (w miarę postępu ludu w oświacie), lub skoro pójdzie w zapomnienie; zwłaszcza, jeżeli się ku nowszym podaniom lub klechdom zwrócą umysły, i o dawnych zapomną. Tylko głęboko dla swój dziejowości lub szczytności w umysł nietylko ludu, lecz całego narodu wkorzenione podania lub klechdy trwają wiecznie, istniejąc i wtenczas, gdy się o ich przekonano ułudzie. Tak podanie o Lechu, tak klechda o Twardowskim, nigdy nie zaginie, aczkolwiek dziś w bytność Lechów a nie Lecha wierzymy, aczkolwiek weale inne mamy o czarcie i czarach wyobrażenie. Ważność albowiem i piękność tych bajd, zaginać im nie da nigdy.

Z innój atoli podanie uważając strony, znajdziem je wielce od klechdy różném. Gdy albowiem o tamtém, że coś prawdy w sobie mieści, domniemywamy się zawsze; w téj przeciwnie nie przypuszczamy nic prawdziwego, nic zgoła aż do imienia. A jak podanie, im więcej przydatkami jest upstrzone, tém bardziej się do klechdy nachyla; tak znowu klechda im więcej się od miejscowości oddala, tém dalej w krainę wyobraźni zachodzi, i nakoniec w marzeniach poety ginie. Pożytek atoli ze wszystkich, lubo nierówny, ciągnie historya. Wszystkie albowiem malują nam usposobienie umysłowe ludu, wszystkie są wyrazem moralnego jego uczucia; lecz największą korzyść odnosi historya literatury z miejscowych, lub z obcych a do miejscowości zastosowanych podań i klechd; gdyż takowe za utwór lub wyrób ludu wyobraźni uważając ona, słusznie według nich mierzy poetyczne, stopniowo rozwijające się ludu usposo-

bienie; resztę zaś do rzędu tego nienależących tworów ma za wskazówkę, jak i co sądzić mamy o stanie umysłowości tych ludzi, którzy sobie w takowych podobają marzeniach. Zgoła literatura ludu zostaje w ścisłym stosunku do literatury narodu; według bowiem tworów, które przedstawia, sądzi się jój dobroć, wnioskuje o usposobieniu umysłowém ludu; podobnie jak z dzieł, które narodowa literatura daje, o pisarzach się i czytającój publiczności dziś sądzi.

W objaśnieniu literatury ludu nader mało postąpiono dotąd. We wstępach do zbiorów powiedzieli nieco wszyscy pisarze (22), przypisami ten i ów szczegół objaśnili, ale bezskutecznie. Nie o to bowiem w tego rodzaju badaniach chodzi, ażeby szczegóły podania lub klechdy objaśnić; lecz raczej o to, ażeby wykazać ducha, który je ożywia. P. Barszczewski obrał sobie nową drogę. Wystawił on, jak w domu szlachcica Zawalni, lubiącego podaniowe i klechdowe pogadanki, zbierała się ciekawa tego rodzaju opowiadań hoża drużyna, i nawzajem udzielała sobie, co kto wiedział. Cała zaleta pisma polega na tém, że drużyna owa opowiada wiernie, gdyż co mówi, zgadza się z rzeczywistością (23): wszakże nie chodzi o to, co było (aż nadto bowiem wiele o tém wiemy), lecz czemu tak było, i co znaczyło. Ja przeto obióram k'temu inną drogę. Mimo puszczając rozbiór podań (gdź wyjaśnienie ich nie do historyi literatury, lecz do dziejów narodu należy), zwrócę uwagę na to, jak się treść ich mieszała z klechdami; następnie zaś na same tylko bacząc klechdy, powiem, co się o najszczytniejszój z nich (klechda o Twardowskim) nowo wysledzić dało. Poczém wykazawszy po szczególe, jak z téj nowe powstawały klechdy, opowiem o przesadzonych z obcój na ojczystą ziemię, tudzież o tych, które giną w marzeniu, lub są wybujałój umysłowości ludu płodem, a zakończę rzecz udowodnieniem tego, że podania i klechdy są istotnie dobitnym wyrazem moralnego usposobienia polskiego ludu.

● podaniach i legendach, które w klechdy przeszły.

Mało zna lud podań rzeczywistych, czyli z kronikami zupełnie zgodnych; ale takich posiada wiele, których tło nadpsute lub skalane zostało długością czasu, powtarzaniem wiekowém, przechodzeniem z ust do ust;

(22) Siemieńskiego zdanie, niżej pod liczbą szóstą tego oddziału szczegółowo rozbierzemy.

(23) Uderzyła mnie powieść o Twardowskim i jego towarzyszu, III. 11 nastpn. Według Bogumitów, czarci mieli istotnie ożywiać martwe ciała, ukrywając ducha swojego w trupie.

których osnowa, z miejsca swojego ruszoną zostawszy, dała wątek opowiadaniu, na inném miejscu niby wydarzonemu, i t. p. Lud albowiem pełen będąc wyobraźni, przekształca, upiększa lub wykoślawia o czém się dowiedział z dziejów, wysnuwając ztąd czego w nich nie było i nie ma, usuwając zaś, co się im na nic nie przydało i przydać nie może: przyczém poddaje historyi swoje rozumowanie, i tak powoduje dziejów czynny, nie będąc w stanie wyobrazić sobie, że się niejedna na świecie dzieje niesprawiedliwość, i robią krzywdy, bez żadnej przyczyny. Takich, według wieści posłyszanych podań, a mających naruszoną prawdę, pełne są wyżej od nas wyliczone zbiory, które jednak są nie mniej ważne od zapisanych w księdze dziejów, a ważne przez to, iż właśnie swém przeistoczeniem, lepiej niż rzeczywiste podania, przedstawiają sposób myślenia ludu. Przywiodeę na to przykłady.

Podanie o Bolesławie Łysym księciu lignickim, który około r. 1278, skazał człowieka na śmierć, a który mimo to zgładzony ze świata nie został, przeistoczył lud szlązki, twierdząc, że i owszem został on zgładzonym (bo jakże nie, kiedy kazał książę?), i że po śmierci chodził po świecie w postaci ducha (24). Co znowu przeistoczywszy lud polski i opowiedziawszy, iż tylko obraz, a nie samego człowieka zgładzono, zastosował to opowiadanie, do Władysława Łokietka (25). Napad Tatarów na Szlązk, skutkiem czego zaszła krwawa a nieszczęśliwa dla Szlązaków - bitwa pod Lignicą r. 1240, wyrozumował lud tak, iż napad ten miał być następstwem zemsty hana, gdyż w mieście Srodzie nocujące w przejeździe tatarskie księżniczki, mieli pomordować Szlązacy (26). Przygody Walgirza i Heligundy, według zachodnich i słowiańskich opowieści opisane od Boguchwały (27), nie przeszły do ludu polskiego w tój, jak ją kronikarz przedstawił postaci, lecz raczej według śpiewu serbskiego (28), lub innój opowieści jakowój, którą nasz lud po swojemu przerobił. Śpiewają dotąd Czarnogórcy o rycerzu i olbrzymie, którzy wzajemnie, pod wpływem takichże przygód co Walgirz a Wisław, i z takimże skutkiem, walczyli z sobą. Matka rycerza owego zakochała się w olbrzymie; lecz ten poślubić jój nie chciał, obawiając się jój syna, dzielnego wojownika.

(24) Polska, I. 82. Goedsche 179.

(25) U Siemieńskiego pod liczbą 42.

(26) Goedsche 203. Toż samo powtarzano w Morawii z przyczyny bitwy Morawian i Czechów r. 1241, z Tatarami pod Otomuńcem zaszłej. Porównaj przypisy do rękop. królowońskiego, wydanego w Pradze 1829, stronnica 218.

(27) Pamiętniki II. 77. Grimm und Schmalder Lateinische Gedichte des zehnten und eilften Jahrhunderts. Göttingen, 1838.

(28) Srpsk. pjesme II. 26.

Ta przeto, chcąc się przypodobać kochankowi, narażała młodziana na różne, podobne jak Heligunda Walgirza, przygody. Zwycięzko wyszedł rycerz z walki, i matkę zdrajczynią żywcem spalił. Podobnież zdarzenie opowiada lud polski, w klechdy oblokłszy go szatę; w której tyleż, co w podaniu owém, i tyleż, co w owój pieśni występuje osób, lecz osoby te inaczej w klechdzie polskiego działają ludu, lubo z tym samym, co i tam skutkiem. Bo nie żona, nie matka, lecz siostra zdrajczynią tu jest, która brata na różne przygody naraża, byle się przez to przypodobać olbrzymowi swemu kochankowi. Z czém pomieszał lud podania wzięte z pogaństwa, czarnoksiężstwa, bajecznych dziejów greckich, rzymskich, niemieckich, a nawet i z pisma ś. starego zakonu dosłyszane przez siebie. Wszystko razem pomieszawszy, bajął: o cudownej studni w borze, o czarnoksiężkiej aptece w zamkowej wieży pod kopułą, i zaczarowanej maści, którą zlepione członki zrastały w jedno ciało; o zaczarowanym ogrodzie, w którym złote jabłka rosły pilnowane od jędzy; o królownie przykutój do żelaznej kuli łańcuchami, o wilczycy karmiącej w jamie, o czarodziej-skiej sile tkwiącej we włosach olbrzymiej brody (które w siedmioro splecione, nie mogły być rozerwane żadną mocą), o cudowném źródle uzdra-wiającém ślepotę i t. p. Wiemy, że istniały u Słowian cudowne studnie w borze, lub na polu pod drzewami (29). Poczawszy od owój Medei, umiały czarownice przysposabiać cudowne maście, i niemi ożywiały popłatanę w kawałki ludzkie ciała (30). Sławno były u starożytnych ogrody z jabłkami złotemi, pilnowane od smoków: sławną jest Andromeda przykuta do skały, którą uratował mężny Perseusz i pojął za żonę; sławną wilczyca, karmicielka Romula i Rema. A kiedy słowiańskie czarownice (podług późniejszych wyobrażeń), umiały ze dzwona i z powroza (31), a nawet z księżycą (jak w zabytkach pogaństwa tamże powiedziałem), mléko doić: czemużby go nie umiał był (mniemał lud), wysączyć rycerz z pełnych wymion wilczycy? Owe jabłka zerwane, ta nacerpana woda, to udojone mléko, miały za cel podnieść krasę lica: o czém prawiąc klechda, mówiła zgodnie z prawdą, gdyż po wszystkie wieki ubiegały się za pięknoscią niewiasty (32). We włosach tkwiła siła hebrajskiego Samsona i niemieckich olbrzymów: zrobiony z nich splot w siedmioro (święta u Słowian liczba, jak w zabytkach pogaństwa powiedziałem tamże), nie dał się zerwać ludzką mocą. Łagodnego charak-

(29) Pierwotne dzieje 456. Kuhn 248.

(30) Ovidii Metamorph. VII. 176 nstpn.

(31) Polska, IV, 156.

(32) Polska, IV, 23, 24.

teru lud polski nie mógł przypuścić tego, ażoby się olbrzym srożej od panów mógł obejść z jeńcem swoim, którzy (Mazepa jest tego przykładem najnowszym), winowajców puszczała na zgubę, do grzbietu dzikiego konia przywiązawszy ich. W rybim płynie obmywszy mu oczy, przywrócił młody Tobiasz wzrok ojcu staremu. Czemużby (myślał nasz lud), nie miał tegoż dostąpić każdy, ktoby w świętym źródle, (a wiele takich było i jest u nas), obmył ślepotą zarażone oczy? Rycerz miecza zwycięzkiego, łącznie z łagodnością polskiego charakteru, ukarał zdrajczynią siostrę; bo pogardził nią, nie chciał nawet spojrzeć na wyrodną. Ale kiedy się przekonął, że niczem od knowania zdrady odwiedzoną być nie może, wtedy na drobne, wraz z olbrzymem jój kochankiem, porąbał ją sztuki.

Inne podania opowiada lud goło, czyli nie miesza ich z klechdami (33); trudno atoli wysledzić, czy one są miejscowości utworem, lub czy są wymysłem nowszym, w duchu pojęć ludu, lecz nie przez lud opowiadany (34). Podanie o Bolesławie Śmiałym, które niżej przywiodę, dostało się z Czech do górali tatrańskich, a stało się narodowem, tak przez treść swoją, jako też i przez pokładaną w niem żywą wiarę ludu. Zresztą może być w zbiorach pp. Wójcickiego, Balińskiego i innych niejedno podanie; lecz czy oprócz obrobionej o miejscowości zmianki, jest w nich coś historycznego, czy mają tło dziejowe chociażby i nadpsute? wysledzić tego żadną miarą nie mogłem.

Podania religijne, które legendami (35) nazywać zwykliśmy, nie tak treścią, jako raczej istotowością występujących tu osób, odznaczają się. Działają w nich bowiem bądź święci, bądź błogosławieni mężowie, duchy wszelkiego rodzaju, czarodzieje wreszcie; a działają zupełnie lub w części religijnie, tak, iż cokolwiek przedsięwiorą, cechę na sobie religijności lub przesądu (występowanie czarodziejów) nosi. Wyobrażenia z takowemi wiążące się podaniami, panowały u Słowian już za pogańskich czasów; lecz za chrześcijaństwa poszły w ohydę, a świecki przybrawszy charakter, stały się rzeczywiście klechdowemi hieroglifami, zniżone będąc do wątku bajek, jakiemi piastunki bawiły i dotąd bawią pielęgnowane przez siebie dziatki. Potrączę o nie, zanim przejdę do właściwych legend.

Gminne u Słowian panowały rządy, aż wreszcie monarchie lub rzeczypospolite od monarchij zawisłe, ustaliły się u nich. Powolnym szło to krokiem, gdyż niechętnie poddawał się lud władzy jednego. Kiedy przemogło zdanie za królewskimi oświadczone rządami,

(33) U Siemieńskiego pod liczb. 45, 47.

(34) U Siemieńsk. pod liczbą 4, której lud, w ten jak je tu przedstawiano sposób, opowiadać nie może.

(35) Du-Cange, p. w. *legenda*,

przybrano wieść opowiadaną o tém w postać gadki, czyli alegoryi, wyprowadzając na scenę ubóstwiane snadź niegdyś istoty. Prawiono więc: jak niegdyś ptacy wybierali sobie króla, i jakie dla tego *za i przeciw* odzywały się głosy. Opowiadano, jak toż samo pod takiemiż okolicznościami, uczyniły ryby. Jak ptacy odtąd, niby pasterze trzody (gromad ludu), pasali takowe po bujnych trawach i jałowych rolach, a gdy paść nie umieli, przeto trzoda słuchać ich nie chciała. Gadki te sami tylko nadlabańscy Słowianie (36) opowiadali; oni bowiem, z przyczyny niezgody na zasadę nowo tworzących się monarchij, padli pierwsi ofiarą zmienionych o rządzie wyobrażeń. Opowiadania te przeistoczono następnie na bajki o zwierzętach, zwracając głównie myśl na wilka (przyczém się bez uderzających częstokroć dziwaetw (37) nie obeszło), i nie-raz biorąc za tło opowiadania Ezopa bajki, wcześniej u wszystkich Słowian, Moskwę wyjąwszy, upowszechnione. Z bajkami, bowiem Ezopa, dopiero na początku XVII wieku Polacy obznajmili Rossyan (38).

Ważne są legendy i w nie bogate jest ludowe powieściarstwo, aczkolwiek największa część takowych z podaniami pomieszaną być się ukazuje: bądź, że legend właściwych mało ma lud polski (czemu wierzyć trudno), bądź, co pewniejsza, że jeszcze nie zostały odszukane takowe. Podanie o dwóch przychodniach cudotwornych, którzy w domu Piasta i Rzepichy jadło i napitek rozmnożyli, przeistoczywszy w legendę (39), opowiadano o dziadku (miał nim być ś. Piotr apostoł), za którego łaską biedna wdowa miała pomnożony półsetek płótna. Chcąc zanieść do żyda kilka złąd łokci, by za to kupić chleba i soli, zaczęła go mierzyć; i mierzyła aż do zachodu słońca (40).

Legend pomieszanych z klechdami jest bardzo wiele. Występują naprzód takie, do utworzenia których dostarczyły wątku, zabytki pogaństwa i chrześcijańskie wyobrażenia, wyprowadziwszy na scenę Bogarodzicę, Chrystusa, świętych Pańskich (41), w miejsce aniołów czyli dobrych duchów, tudzież czarta czyli złego ducha. Tego rodzaju baśnie zrobiły na gminie tém większe wrażenie, że zdawały zgadzać się z podaniami znanemi już w czasach pogańskich. Bo przypominam, że bę-

(36) Jahrbücher (Meklenburg). N. 74. Kuhn, 293 i nstpn. Smoljer.

(37) Porównaj klechdę o *żelaznym wilku*, wierszem przez p. Czajkowskiego w Bibl. Warsz. z miesiąca stycznia 1845 r., pięknie oddaną.

(38) Jakiś Goźwiński urzędnik przy poselstwie polskiem przełożył je. Porównaj Podberesk. w Athen. I. 189 nstpn.

(39) Jest w zbiorze p. Balińskiego pod napisem: *Jalmuzna*.

(40) Toż samo pomorska legenda u Temme, 166 nstpn.

(41) Łużyckie legendy są w téj mierze nader ważne.

dać poganinem wierzył w to Słowianin, iż pokutująca po śmierci dusza tuła się po ziemi, bądź przedzierzgnięta w różne postacie, bądź za pomocą czarodziejstwa przybierając na siebie kształty różne, i znowu wracając do pierwotnej istoty swój. Dziwy te, z zupełną w nie wiarą, w IX jeszcze wieku powtarzano za Karpatami, i wskazywano ludzi, którzy sztukę przedzierzgnięcia się w zwierzęta posiadać mieli (42). Z tego źródła wypłynęło mniemanie o wilkołakach, nad którym rozwiodłem się wyżej. Gdy w to wierzył lud, że złożeni po śmierci do grobu ludzie nie zostają tamże wiecznie uwięzieni, lecz że ich dusze bująją niekiedy po ziemi; nic więc dziwnego, że przywiązywał wiarę do wypadku, który za chrześcijańskich czasów zająć miał u Bretonów w VII po Chrystusie wieku. Zdarzenie to, upowszechnione w Niemczech przez Saksonów, doszło i do nas. Z początku samopas snadź powtarzana ta baśń będąc, została w XIII wieku do podań o czarcie zastosowana: następnie przyczepiona do powiastki w przestworze średnich wieków o łozu Amadejowem opowiadanej; u Polaków zaś, z powodu jakowegoś rozbójnika (którego snadź od owego Amadeja nazwały adejem nasze klechdy), pomieszana będąc z miejscowymi opowiadaniem, dała powód do różnych gadanin. W r. 671 opowiadano o niejakimś człowieku w Brytanii, który zamartwychwstawszy, udzielił ludziom wiadomości o miejscach kary w przyszłym życiu i ogniach czyscowych (43). W r. też 1090 pewny książę saski, zostając w zachwyceniu, był do piekieł porwany. Powróciwszy opowiadał o katuszach zgotowanych tamże dla bezbożnych (44). Powiastki te zastosowane do czarta, mieszkającego (podług mniemań w XIII wieku upowszechnionych), zwykle wespół ze swą matką lub babką (45), zrodziły owę klechdę o rozbójniku Madeju.

(42) Luidprand u Pertza Y. 309, mówi o bulgarskim królu Symeonie w IX wieku panującym: „qui duos filios habuit, unum nomine Bajanum, alterum qui nunc usque superest, potenterque Bulgæris principatur, nomine Petrum. Bajanum autem adeo foere (fere) magicam dedicisse, ut ex homine subito fieri lupum quamvecunq; cerneres feram”.

(43) Ann. Xantens. u Pertza II, 220.

(44) Ann. Augustani u Pertza V, 133.

(45) Grimm: Deutsche Mytholog. Wyd. I. 565. Jak zły duch bijął, a nawet zabijał swą babkę, opowiada Kuhn 249.

WIADOMOŚĆ O ŻYCIU I PRACACH NAUKOWYCH

KSIEDZA STANISŁAWA JUNDZIŁŁA.

PRZEZ

Jana Jundziłła.

(Z wizerunkiem).

Naturae vero rerum vis atque maiestas in omnibus momentis fide caret, si quis modo partes ejus ac non totam complectatur animo.

Plin. II. N. lib. 7 c. 1.

W połowie miesiąca kwietnia roku zaprzeszłego, jak już o tém doniosły pisma krajowe, dokonał dni swoich w Wilnie, znany zaszczytnie nestor naszych naturalistów, ś. p. ksiądz Stanisław Bonifacy Jundziłł, wysłużony zwyczajny professor historyi naturalnej w b. cesarskim wileńskim uniwersytecie, ś. teologii i filozofii doktor, członek towarzystw: b. kr. warszawskiego przyjaciół nauk, badaczów natury w Moskwie, botanicznego w Gorenkach, b. rolniczo-gospodarczego w Warszawie, i farmaceutycznego w Petersburgu.

Zywot tak znakomitego w świecie uczonym i zasłużonego krajowej oświacie męża, ponieważ nie mógł być dostatecznie przedstawionym w ciasnych ramach zwyczajnego nekrologu, bo wszystkie szczegóły naukowego jego zawodu, powiązane są z ważnemi w kraju dla instrukcyi publicznej wypadkami, a w ogólności z całym bytem i dolą uniwersytetu wileńskiego, którego, od wznowienia aż do zamknięcia najpracowitszym był członkiem; nim więc przyjdzie kiedy do ogłoszenia auto-biografii tego znakomitego męża, w której ten ciekawy obraz z właściwą sobie przedstawia dokładnością, godzi się tymczasem choć krótką jej treść podać do publi-

cznój wiadomości, dla pokazania w skupionym widoku ważniejszych zasług zmarłego i odświeżenia w ziomkach wdzięcznej pamięci na mnogie prace i ofiary, jakie za życia, dla postępu swój nauki i publicznej w kraju oświaty, podejmował.

Ksiądz Stanisław Jundziłł, syn Benedykta i Róży z Dowgiątków, urodził się w b. województwie wileńskim, powiecie lidzkim, w szczupłym ojcowskim majątku Jasięcach r. 1761 d. 6 maja n. s. Początkowo nauki aż do lat czternastu, pobięrał po większej części w domu rodzicielskim od prywatnych nauczycieli, którym był winien gruntowne zasady języka łacińskiego. Z postęmem czasu, ojciec począł go wprawiać do różnych czynności prawnych; wszakże nie tamując dalszych widoków syna, oddał go późnziej do szkół publicznych ks. Pijarów w Lidzie, gdzie odbywszy korzystnie trzy piérwsze klasy, młodzian zaledwo 16-letni, powziął stanowczy zamiar poświęcić się stanowi duchownemu w tém zgromadzeniu, w którém, mając otwartą drogę do wyższej oświaty, spodziewał się przepędzić życie na pożytecznej posłudze spółziomków.

Roku więc 1777 w miesiącu lipcu przeniósł się do Lubieszowa, dla odbycia zakonnego nowicyatu, a w téj nowój szkole, trafił szczęśliwie na mistrzów odpowiednich żarliwój swojój do nauk ochocie, jakimi byli: ks. Stefan Borzdyński łaciny, wymowy i poezyi, tudzież ks. Stanisław Buczkiewicz języka francuzkiego, historyi i geografii professorowie, pod których przewodnictwem oddając się przez dwa lata usilnój pracy naukowej, tyle postąpił, iż ważniejsze dzieła w pomienionych językach, sam już z wielkim pożytkiem mógł czytywać. Ale ustawiczne w tak młodym wieku nad księgami ślęczenie, które raptownie zbogcało jego umysł, przyplacił pod koniec swego nowicyatu ciężką nerwową gorączką, a co gorsza, utratą wzroku prawego oka, które jasna ślepotą (*amaurosis*) na zawsze zastoniła. Jedno więc oko lewe, a i to (jak powiada) jeszcze w małości znaczniej od ospy osłabione, do dalszych mu prac naukowych pozostało.

Zgromadzenie ówczesne Pijarów litowskich w którém rozpoczynał swój zawód naukowy, aczkolwiek wiernie powołaniu nauczycielskiemu, chlubnie się odznaczało między innemi ucząciami w kraju naszym zakonami; po stracie jednak w owój epoce najświatlejszych swoich luminarów, jakoto: Dogiela, Syrucia, Siemaszki, i t. p. zdawało się nieco upadać na duchu i nie dorównywać świetnój w Koronie przewadze nieśmiertelnój pamięci Konarskiego. Szczęśliwém atoli przeznaczeniem, mając wówczas na czele swojém znakomitego z cnót i nauki prowincyala, ks. Tadeusza Langa, w jego gorliwości i w kształcącej się pod rządem tego męża młodzi zakonnój, miało rękojmię świetniejszój swojój przyszłości,

którą niebawnie młody nasz nowicyusz począł na sobie z chlubą zgromadzenia uiszcząć.

Jakoż r. 1779 po uczynionój professyi zakonnój, wszedł w obowiązki nauczycielskie w szkołach pijarskich, ucząc przez pierwsze dwa lata, naprzód w Rosieniach początkową, a potem w konwikcie wileńskim pierwszą klasę. Przeznaczony następnie do słuchania w Wilnie dwuletniego kursu nauk filozoficznych, w nowo-darowanym od rzeczypospolitój domu pojezuickim na Śnipiszkach, gdy r. 1781 nastąpiło uroczyste przez kommissyą edukacyjną odnowienie akademii wileńskiej, w której, sławni naówczas professorowie: Gilibert historją naturalną, a potem Sartoris chemią, piérwsi u nas systematycznie, lecz w języku łacińskim wykładali; nie przestając zatém na dawanych w swoim zgromadzeniu przedmiotach fizyczno-matematycznych, uczęszczał pilnie wraz z innymi kolegami (mimo oporu niektórych członków starszyny pijarskiej), na publiczne lekcyje w akademii, do czego wkrótce tém większą miał zręczność, gdy w roku następnym, staraniem zacnego prowincyała Langa, cała młodzież pijarska zwróconą została do domu w mieście położonego, a opatrzonego we wszelkie pomoce naukowe, i osobnych do fizyki i matematyki nauczycieli.

W roku 1783 po ukończeniu kursów filozoficznych, został na miejscu w Wilnie dla słuchania teologicznych, i w drugim roku ich biegu, t. j. 1784 r. na końcu grudnia, nie mając jeszcze spełna lat prawem kościelnym oznaczonych, przyjął za dyspensą dyecezalnego biskupa kapłańskie święcenie. Pełnił też razem wówczas obowiązki dozorey konwiktu, od których zbywający czas, poświęcał na słuchanie w akademii lekcyi chemii, ćwiczenie się w językach, i czytanie dzieł rozmaitych. W tych też wolnych od zatrudnień chwilach, zrobił piérwszą dla literatury naszej przysługę, przez wytłumaczenie z włoskiego na polski język dzieła sławnego fizyka Jana Beccaria: *O elektryczności*, oraz listów tegoż autora o elektryczności sztucznej i naturalnej (1). Dogadzając zaś prośbie ówczesnego w Wilnie chirurga i profesora Regnier'a, jako inniej biegłego w języku polskim, trudnił się dla niego tłumaczeniem z danych sobie dzieł francuzkich, różnych wyjątków w przedmiotach lekarskich, przez co się wprawiał w gruntowną pomienionego języka znajomość i gładkie na ojczysty język przekładanie.

(1) Przekład tego dzieła ogłoszony drukiem, wyszedł pod tytułem: *O elektryczności sztucznej i naturalnej*, ks. Jana Beccaria, księgi dwie, z włoskiego na polski język przez ks. B. S. Jundziłła przetozone. W Wilnie, w drukarni Ks. Pijarów, 1786 (w 8ce, str. 509).

Ze wszystkich atoli prac naukowych jakimi dotąd był zajęty, czując w sobie szczególny pochop do nauk przyrodzonych, do nich się téż najwięcej przykładał; a chcąc gruntownego poznania różnych królestw przyrodzenia porządnie nabywać, pierwsze swe usiłowania skierował do botaniki, nauki dotąd w szkołach naszych zaniedbanéj, i którój katedra nawet w akademii wileńskiej, po oddaleniu się Giliberta, wakowała. Poprzednie jednak z tym naturalistą stosunki, i dzieło jego: *Flora lithuanica inchoata*, wielce sobie ważąc, powziął ztąd podniecie, do pierwiastkowej swojej w botanice pracy.

Z taką dążnością dostawszy się r. 1785 do Szczuczyna, gdzie zwierchny dozór szkoły tamecznej, i uczenie klasy trzeciej miał sobie powierzone, ważną téj szkole domierzył przysługę, nietylko przez urządzenie jój, podług nowych ustaw kommissyi edukacyjnej, których duchem był przejęty; ale oraz przez zaprowadzenie tamże upodobanéj sobie, a przepisanej temiz ustawami lekeyi botaniki, i założenie stosownego, do miejscowej uczniów potrzeby, botanicznego ogródka. Czyn ten, był pierwszym jego, jakkolwiek słabym jeszcze w botanice krokiem. Szkoła zaś szczuczynska po szczęśliwój ks. Jundziłta reformie, w którój mieli udział i dwaj młodsi jego koledzy, księża Izydor Sieklucki, i Julian Maliszewski, zyskiwała odtąd najehlubniejsze światłych wizytatorów świadectwa, i długo w Litwie za najcelniejszą, między pijarskimi była uważaną.

R. 1786 wezwany do Wilna, dla wykładania logiki i metafizyki młodzi pijarskiej w klasztorze śnipiskim, zaledwie rozpoczął te lekeye, gdy od prowincyała Langa, skutkiem usilnych starań Scypionów, podstolstwa litewskich, dziedziców Szczuczyna, obowiązany został do zajęcia się edukacją ich synów, i w tym celu przeniósł się do ich mieszkania w murach akademickich. Pełniąc ten prywatny obowiązek przy dobrych ze wszech miar uczniach, tém więcéj miał razem czasu do pracowania nad samym sobą. Jakoż czytał niezmiernie wiele, a z publicznych kursów słuchał w tym roku powtórnie chemii, i pierwszy raz zoologii, którą professor Jerzy Forster wykładał. Lecz że kurs zoologii miał trwać do końca szkolnego roku, a botanika w następującym dopiero rozpocząć się miała; zyskawszy przyjaźń profesora Forstera, uprosił go współ z Janem Czeplińskim i Szymonem Malewskim (znanymi potem z chlubnych zasług w krajowej oświacie), iż im wiosną 1787 r. prywatny kurs téj nauki wyłożył, i zbierane w okolicach Wilna rośliny, praktycznie determinował. Forster wszakże tegoż roku, zwabiony innymi widokami, Wilno opuścił, lecz nie przerwał, podobnie jak i Gilibert, przyjaznych i naukowych z ks. Jundziłtem stosunków, których tkliwa pamięć w listach tych mężów, z zagranicy do niego pisywanych, dotychczas istnieje.

Odtąd już stanowczo, i że tak powiem namiętnie oddając się naukom przyrodzonym, czas na nie poświęcony, rozdzielał na właściwe w każdej porze roku zatrudnienia. Wysłuchawszy prywatnie całkowitego prawie kursu anatomii, od nieodżałowanego doktora medycyny Jana Czenpińskiego, który wówczas był korrepetytorem przy profesorze Janie Andrzeju Lobenwejnje, począł przy pomocy wyuczonego swoim staraniem wypychacza, zgromadzać zbiór ptaków krajowych. Latem zbierał owady, z gąsienie wychowywał motyle, herboryzował około Wilna, mianowicie w kwiecistych zaroślach Rybiszek, w czasie zaś szkolnych wakacyj około Lidy lub Szczuczyna, i takie były jego przez cztery lata, póki przy Scypionach zostawał, zatrudnienia. Zbiory te dość liczne owadów i ptactwa, w czasie rewolucyi pod niebytność ks. Jundzilla w kraju, zaginęły.

Przez takie prace postąpiwszy znakomicie w naukach przyrodzonych, r. 1790 wezwany został od swojej zwierzchności, do wykładania po raz pierwszy dla młodzi pijarskiej historii naturalnej, a mianowicie zoologii i botaniki. Kurs ten rozpoczął uroczystie w obec licznych świadków przemową łacińską, wystawiając w niej gruntownie przedmiot, ważność i cel swojej nauki; a że katedra jej wakowała naówczas w akademii, miał więc i z niej wielu uczniów, stale kursu jego słuchających.

Historya naturalna, a w szczególności botanika, lubo oddawna miały u nas swoich zwolenników, czego dowodem są dawne herbarze czyli zielniki Falimierza, Marcina z Urzędowa i Syreniusza, dziś liczone do najrzadszych osobliwości bibliograficznych; atoli dzieła te, jakkolwiek dla nas szacowne pod względem wewnętrznej ich wartości, szczególniej zaś pod względem polskiej nomenklatury roślin, nie mogą się jednak uważać jak tylko za szczeble do prawdziwej botaniki; gdyż nieoparte na żadnym naukowym układzie, a nawet dziwaczne w swojej teoryi, i tylko ze stanowiska lekarskiego traktując o botanice, jako o nauce podrzędnej; tém samém nie zdołały podnieść jej do właściwego znaczenia i oswobodzić z więzów krępujących jej postęp. Ale byłato kolej powszechna, której wszystkie części historii naturalnej ulegały nietylko u nas, lecz i w innych krajach Europy, dopóki ten nieprzebrany skarb wiadomości, siłą i pracą późniejszych gieniuszów, a osobliwie Linneusza, nie został gruntowniej zbadany, pojęty, a oparty na właściwym systemacie, w program instrukcyi publicznej wprowadzony. Za panowania Stanisława Augusta, kommissya edukacyjna podnosząc ogólną w kraju oświatę, zwróciła szczególny wzgląd na nauki przyrodzone; i gorliwości tej magistratury winniśmy ich stanowcze i we właściwym stopniu, tak po szkołach głównych, jako i wydziałowych, zaprowadzenie. Co do botaniki, już od roku

1785 z polecenia téjże kommissyi była książka elementarna, pod tytułem: *Botanika dla szkół narodowych*, przez zacnego ks. Krzysztofa Kluka; ale ta prócz suchego wykładu terminologii roślinnej, nie więćej w sobie nie zawierała, i do praktycznego poznania roślin była niedostateczną. Taki stan rzeczy pobudką był dla ks. Jundziłła, do wypracowania dzieła ułatwiającego bliższe i systematyczne poznanie wszystkich roślin krajowych; do czego się sposobiał przez ciągle wartowanie dzieł botanicznych tak dawnych krajowych, jako i nowszych zagranicznych; przez pracowite herboryzacye i naukowy układ zielników: dokonał nareszcie chlubnie swego zamiaru, i w r. 1791 wydał po raz pierwszy szacowne po dziś dzień dzieło, pod tytułem: *Opisanie roślin litewskich, podług układu Linneusza* (2). Nieśluszną byłoby rzeczą przymierzać to dzieło do dzisiejszego wzrostu nauki i upatrywać w niem uchybień lub niedostatków, kiedy sam czas, a w nim nowe odkrycia i doświadczenia, naprowadzając naturalistów na coraz nowsze o rzeczach pojęcia, zbogaciły niezmiernie masę wiadomości wszystkich nauk przyrodzonych, i wspanialszą im dziś nadały postać. Sam téż szanowny autor, nie miał o téj pierwiastkowej pracy swojej przesadzonego wyobrażenia. Ale to nie przeszkadza ocenić nam ją według rzetelnój wartości. Pomnieć bowiem należy, że dzieło to w swoim czasie pod względem układu, języka naukowego, a nawet dokładności, było jedyne w naszej literaturze; że wyłącznie poświęcone Florze krajowój, dało ziomkom poznać po raz pierwszy w naukowym systemacie bogactwo roślinne ziemi naszej, rozciągnęło użyteczność swoją do wielu innych nauk, związek z botaniką mających, i tém samém wywarło stanowczy wpływ na dalszy postęp téj umiejętności w kraju naszym. Jakoż publiczność ówczesna, przyjęła to dzieło z prawdziwém zadowoleniem, które podzielając król Stanisław August, obdarzył autora przy uprzejmym liście, złotym medalem *merentibus*. Zaszczytu tego z Pijarów litewskich pierwszy ks. Jundziłł dostąpił, którym i powtórnie od tegoż panującego został udarowany, gdy w roku następnym z doświadczeń swoich, odbytych na miejscu, ogłosił drukiem rozprawę: *O źródłach słonych i soli w Stokliszkach* (3), którą,

(2) Taki jest tytuł dzieła tego w powtórném r. 1811 wydaniu, w Wilnie u Józ. Zawadzkiego (w 8cc, str. 333). Pierwsze zaś wydanie wyszło pod tyt.: *Opisanie roślin w prowincyi W. ks. l. naturalnie rosnących i t. d.* w Wilnie, w drukarni ks. Pijarów, r. 1791 (w 8cc, str. 570), do którego dołączona jest we wstępie uczona autora o botanice rozprawa, z historyczną wiadomością, o dawniejszym jej stanie w kraju naszym, i biografia głównego historyi naturalnej reformatora Linneusza. Rozbiór tego dzieła przez nieznanego w Królewcu pisarza, i pochwała jego, w różnych potem niemieckich dziennikach powtarzane były. Patrz: *Usteri, Annalen der Botanik, viertes Stück. 1793, p. 183.*

(3) W Wilnie r. 1792 u XX. Pijarów (str. *nieliczb.* 20).

wraz z próbkami soli przez zamrażanie wody wydobytemi, przesłał był królowi do Warszawy.

Kommissya edukacyjna widząc w tych pracach młodego krajowego naturalisty, większe jeszcze na przyszłość nadzieje, i idąc w pomoc życzeniu i staraniom samegoż ks. Jundzilla; zamierzyła sposobić go na profesora historii naturalnej w szkole głównej litewskiej, gdzie jej katedrę długo po Forsterze wakującą, zajął w tym roku sprowadzony z Wiednia Ferdynand Spitznagel, późniejszy w uniwersytecie medycyny professor. A chociaż zamiarowi temu stawili różne przeszkody niektórzy profesorowie akademii, ks. Jundzill atoli, obecny wówczas w Warszawie, rezolucją kommissyi z dnia 16 maja 1792 r., mianowany został vice-profesorem historii naturalnej, i otrzymał koszt żądany na wyjazd za granicę dla dalszego doskonalenia się w naukach przyrodzonych. Wyjazd ten, nastąpił tém rychlej, że już burza polityczna, która zwykle niweczy plany naukowe, poczęła zagrażać krajowi. Zwiedziwszy więc naprzód po drodze Kraków i okolice Karpat, d. 10 następnego miesiąca czerwca stanął w Wiedniu, jako w głównym punkcie dalszych swoich naukowych wycieczek. Zaznajomiwszy się tam ze sławnym botaniki profes. Jaquin'em, (ojcem), piérwszo prace poświęcił tej nauce, zwiedzając naprzód, podług rady jego, bogaty ogród botaniczny w Schönbrunn, a potem w samym Wiedniu nietylko akademicki, ale i inne odznaczające się osobliwością gatunków i porządkiem. Tyle zaś z tych botanicznych zatrudnień odniósł nowych korzyści, że mógł o nich jeszcze przed jesienią przestać akademii wileńskiej obszerny raport. W jesieni, za rozpoczęciem się kursów akademickich w Wiedniu, zajął się z całą pilnością słuchaniem publicznych lekcyj mineralogii, której dotąd słabe miał tylko początki, i chemii, wykładanej podług nowego układu Lavoisier'a. A że z publicznego kursu mineralogii profesora Jordana, nie spodziewał się odnieść pożądaných korzyści; nagradzał to sobie kursem prywatnym, mając staraniem zacnego ziomka p. Józefa Wodzickiego, bawiącego wówczas na naukach w Wiedniu, otwarty wstęp do szacownego zbioru minerałów ks. Arnolda, gdzie codziennie prawie uczęszczając przez ciąg zimy 1793 r., obeznał się dostatecznie z układem mineralogicznym Borna. Następna wiosna zwróciła go znowu do botaniki, którą praktykując w znakomitszych ogrodach Wiednia, tudzież w jego okolicach: Baden, Brül, Mödling, i t. d., oswajał się coraz bardziej z florą austryacką. Chcąc zaś w nauce mineralogii obszerniejszych nabyć wiadomości, na początku jesieni tegoż roku wybrał się był umyślnie do Saxonii, w nadziei słuchania tej nauki we Freibergu pod sławnym Wernerem, i poznania tamecznych górniczo-metalurgicznych zakładów. Jadąc na Pragę czeską, zwiedził pilnie to wszystko,

cokolwiek ta stolica pod względem nauk przyrodzonych miała osobliwszego. Podobnie postąpił i w Dreźnie, gdzie uzyskawszy elektorskie pozwolenie, udał się do Freiberga; a lubo tu pozbawiony był możności słuchania prywatnych kursów samego Wernera, wszakże główne zasady i cały układ jego nauki, powziął łatwo od wielu bawiących tam jej zwolenników, między którymi zastawszy i młodego ziomka Józefa Domejkę, kosztem kanclerza Chreptowicza dla téjże nauki wysłanego: wspólnie z nim, jako obeznanym dobrze z miejscowością, obejrzał i zbadał dostatecznie wszelkie roboty górnicze i metalurgiczne we Freibergu, Olberнау i Müchbergu, i oglądał tamże z niemalym pożytkiem różne ważniejsze zbiory tworów przyrodzonych. Tym sposobem dopiąwszy głównego celu swojej wycieczki, wyruszył znowu do Dreżna, gdzie gościnnie zatrzymany od bawiącego tam wówczas ks. Hugona Kollataja podkancl. koron., zwiedził jeszcze sławny ogród elektorski w Pilnitz i hr. Lobkowitz, oraz gabinet morszczyzn uczonego Gershejma, i dnia 3 stycznia 1794 r. wrócił do Wiednia. Gdy zaś w roku przeszłym utworzona przez konfederacyą targowicką oddzielna dla Litwy kommissya edukacyjna, dla upadłych w kraju banków nie mogła ks. Jundziłłowi należnego na dalszy pobyt za granicą przesłać zasiłku; upatrzył sposobność w miesiącu marcu udać się z Wiednia do Warszawy, gdzie zastawszy kommissyą znowu do dawnój przywróconą powagi, to jest zarówno litewskimi jak i koronnemi zawiadującą interesami, otrzymał od niej łatwo potrzebny koszt na zwiedzenie jeszcze kopalni i zakładów górniczych w Węgrzech, a przytém nowe polecenie poznania jak można najdokładniej i opisanie istniejącej w Wiedniu szkoły bydłeco-lekarskiej, na wzór której podobnaż miała być założoną w Wilnie. Poleceniu temu uczynił zadość, przesyłając kommissyi za swoim do Wiednia powrotem, dokładny raport o wszystkich szczegółach tyczących się téj szkoły. Wybrał się potem niezwłocznie do Węgier, i stanąwszy w Schemnitz czyli Szczawnicy, jako w środkowym punkcie kopalni węgierskich, zastał tu także przydatnego sobie rodaka niejakiego Klemensiewicza, rodem z Bochni, ucznia górnictwa na funduszu cesarskim, z którym ułożywszy plan każdego-dziennych zatrudnień, opatrzone paszportami *kamery* górniczej wiedeńskiej, zwiedzał łatwo wszelkie roboty górnicze nadziemne i podziemne, zbadał cały proces metalurgiczny w Kremnitz, Neusohl, Tajowa, Herrengrund i Glas-Hüte; a wszędzie po drodze zbierając do nauk przyrodzonych potrzebne wiadomości, z obfitym ich plonem miał już wracać do ojczyzny, gdy odgłos coraz groźniejszych nad nią gromów politycznych, zmusił go znowu wrócić do Wiednia. Przybywszy do téj stolicy w fatalną epokę upadku narodu, a z powodu rozprzężenia się władz rządowych nie mając już żadnych z kraju zasiłków,

byłby niezawodnie narażony na smutne skutki niedostatku, gdyby temu nie zapobiegła uprzejma pomoc przychylnych mu ziomków, którzy się wówczas gromadnie do Wiednia zjechali: wielu też z nich biorąc od ks. Jundziłła prywatne lekye botaniki i mineralogii, podawali mu tém samym przywoity do utrzymania się sposób. W takim składzie okoliczności, mieszkając jeszcze cztery lata w Wiedniu, nigdy się nie rozmyślał z głównym swoim celem coraz gruntowniejszego historyi naturalnej zgłębiania, już przez praktyczne różnych jój przedmiotów i zakładów badanie, już przez czytanie dzieł ku temu celowi służących. Nadto, chcąc poznać nową, lecz z historyą przyrodzenia w blizkim związku będącą naukę weterynaryi, słuchał porządnie przez dwa lata rozmaitych jój teorycznych i praktycznych kursów. A że szkoła ta, jakkolwiek wzorowie urządzona, nie miała jeszcze wyłącznego ku potrzebie swojej lekarsko-botanicznego ogrodu; niedostatkowi temu chcąc zapobiedz główny jój rządca professor Knobloch, prosił ks. Jundziłła, znanego sobie z biegłości w botanice, aby w miejscu na to przeznaczoném, żądany ogród założył. Nie odmówił mu téj przysługi; i przy pomocy kilku dodanych sobie z pomienionej szkoły uczniów, zebrał znaczną ilość potrzebniejszych gatunków, a przeniósłszy je na plac między murami szkoły, założył porządny botaniczno-lekarski dla téjże szkoły ogród. Pamiętkę tego dzieła, równie jak i postępu naszego naturalisty w sztuce bydłeco-lekarskiej, przechowało po dziś dzień urzędowe świadectwo profesora Knobloch, które się tu dosłownie przytacza (4).

Zjednawszy sobie nauką i talentami wziętość u cudzoziemców, nie dziwnego, że od wielu znakomitych ziomków wówczas w Wiedniu goszczących, odbierał nieustanne dowody uprzejmości i szacunku, oraz przełożenia jedne od drugich korzystniejsze, do zajęcia w ich patronatach odpowiedniej swemu powołaniu i talentom duchownej posady. Wszakże te wszystkie widoki jakkolwiek powabne, ustąpić musiały ważniejszym względom. Skoro bowiem r. 1797 otrzymał od ks. Poczobuta, rektora akademii wileńskiej listowną wiadomość, iż przy utwierdzeniu przez Cesarza *Pawła* téjże akademii ze wszystkimi jój przywilejami, plac vice-

(4) *Dass der Herr Stanislaus Jundzill, ein Pohle meine Vorlesungen über die gewöhnlichsten Krankheiten und Seuchen des Hornviehs, der Schafe und Schweine durch ein ganzes Jahr nicht nur sehr fleissig besucht und sich mit sehr gutem Erfolg auf die Thierarznei Kunst verlegt, sondern auch durch seine ausgezeichneten botanischen Kenntnisse dem botanischen Garten in K. K. Thier-Spital wichtige Dienste geleistet habe, bezeuge hiemit. Wien, d. 12 April, 1797.*

Johann Knobloch
Med. Doct. und Professor.

(Pisane na ówczesnym stęplowym arkuszu, i opatrzone pieczęcią tegoż profesora)

professora historii naturalnej zachowanym dlań został; przekładając publiczną w kraju służbę nad wszelkie prywatnego dobra widoki, opuścił Wiedeń, i tegoż roku d. 3 paździer. wrócił do Wilna, gdzie Opatrzność chciała, aby do ostatka dni swoich pracował w ciężkim zawodzie naukowym, dla dobra krajowej oświaty i osobistej sławy.

Wszakże za powrotem z za granicy, zastawszy w Wilnie zmienioną całą prawie postać rzeczy naukowych, tak w zgromadzeniu pijarskim, jak i akademickim, nie mógł zrazu obiecywać sobie znakomitego w nich udziału. Bolała go srodze strata najlepszych ze swego zgromadzenia przyjaciół, a mianowicie, pełnego cnót i zasług męża ks. Langa prowincyała, i dwóch młodych wielkiej zdolności Pijarów: ks. Juliana Maliszewskiego i Józefa Parfimowicza, którzy zawczesnym dla nauk zgonem, unieśli z sobą do grobu najpiękniejsze nadzieje. Inni zacni tegoż zgromadzenia członkowie, wśród klęsk krajowych rozproszyli się byli po różnych stronach. Kommissya litewska edukacyjna z nowych zupełnie złożona członków, i oddana pod zwierzchność cywilnego wileńskiego gubernatora, nie mogła natychmiast zająć się promocją ks. Jundziłła; tém bardziej, że w samej akademii, zapelnionej po większej części cudzoziemcami i oddawna niechętnymi Pijarom ex-jezuitami, nie mógł znaleźć prawdziwych przyjaciół. W takim więc składzie okoliczności, przestając na skromnym tytule i pensyi vice-professora historii naturalnej, podzielał publiczne swoje obowiązki z professorem Spitznaglem, wolne od nich chwile poświęcając na dawanie życzącym tego osobom prywatnych lekcyj. Atoli niedługo trwał taki stan rzeczy; wkrótce bowiem gruntowna nauka i talenta, z którymi się dał poznać przed sądem publiczności, a których zaćmić żadna zawiść nie była w stanie, wywiodły go na obszerne pole rozlicznych prac i zasług w tym zakładzie naukowym, którego potem stał się głównym zaszczytem i ozdobą.

R. 1798 osiągnąwszy w akademii wileńskiej stopień doktora filozofii, czytał przy otwarciu kursu nauk d. 27 sierpnia rozprawę do powszechnego pojęcia zastosowaną: *O główniejszych w świecie kopalniach i o ilości kruszców z nich się wydobywających*, która łącznie z prospektem lekcyj akademickich, na rok tenże wydrukowaną została (5). Następnie przyszło mu zająć się dwiema ważnemi dla postępu swój nauki pomocami, które przy tylu innych w dalszym ciągu jego zawodu dokonanych dziełach i pracach naukowych, były nieustannóm aż do końca służby jego publicznej zatrudnieniem.

(5) Obacz: *Index lectionum in alma academia vilnensi. Anno 1798* (in folio), za którym umieszczona jest pomieniona rozprawa.

Chociaż bowiem katedra historyi naturalnej, od nastania jój w Wilnie, przez trzeciego już profesora była zajmowaną; atoli pomimo właściwej każdemu z nich gorliwości, zapomaganej ofiarami szczodrych dla dobra ogólnego obywateli, nauka ta, nie miała dotąd nieodbitcie potrzebnych dla pożytku uczniów zakładów, tojest: odpowiedniego istotnej potrzeby botanicznego ogrodu, i porządnie ułożonego gabinetu tworów przyrodzonych, któreto oba zarówno ważne i zaszczyt akademii przynoszące zakłady, stały się wyłącznie dziełem ks. Jundziłła.

Zbiór gabinetu naturalnego, składał się wtedy: po 1^{sze}, z zostawionych przez Giliberta konch i mineralów; 2^{re}, z nabytych od Jana Jerzego Adama Forstera konch, ryb i owadów oceanu Południowego; 3^{oie}, z mineralów darowanych przez ks. Jana Wicherta kanon. inflantc.; i 4^{te}, z mineralów podobnie darowanych przez Michała Ogińskiego hetm. W. lit., co wszystko w kollegium ś.-jańskim, w refektarzu niegdyś jezuickim, późniejszej auli, leżało na obszernych rusztowaniach bez należytego porządku, a co gorsza, wystawione na wielorakie uszkodzenia. Zbiór więc takowy, aby miał właściwe sobie znaczenie, i odpowiadał godnie swemu przeznaczeniu, potrzebował koniecznie przyzwoitszego pomieszczenia, układu naukowego i inwentarza.

Podobnie należało utworzyć ogród botaniczny; bo oprócz szczupłego zakładu, zrobionego jeszcze przez Giliberta na dziedzińcu kollegium medycznego, z małą bardzo oranżeryą, nie więcej nie było. A lubo na żądanie Forstera, który znał dobrze niedostateczność tego zakładu, kommissya edukacyjna nabyła w piękném położeniu plac na Sorokiszkach z domem murowanym; wszakże do powrotu z za granicy ks. Jundziłła, nie było tam jeszcze żadnej stanowczej plantacyi, bo plan przez profesora Spitznagla na to podany, za niedogodny uznany został. W takim stanie rzeczy, kommissya r. 1799 za zniesieniem się z cywilnym wileńskim gubernatorem Frieselem, wydała rezolucyą, mocą której założenie ogrodu botanicznego i bezpośredni rząd nad nim ks. Jundziłłowi poruczyła, zalecając z 600 rub. sr. na ogród i gabinet wówczas przeznaczonych, użyć 400 na sam ogród. Posłuszny tak zaszczytnemu wezwaniu, niezwłocznie zajął się naprzód zrównaniem nieforemnej powierzchni pomienionego placu, i przygotowaniem go do tak różnorodnej plantacyi, a z kolei przystąpił do założenia podług swego planu, botanicznego ogrodu. Praca, jaką w szczególności temu zakładowi swemu poświęcił, zwyciężając przez lat 27 rozmaite trudności, i pomnażając ciągle zasoby ogrodowe, liczy się bez wątpienia do najcelniejszych ks. Jundziłła zasług, którą ci chyba najlepiej ocenićby mogli, którzy się jój kiedy w podobny sposób poświę-

cali. Rozległość tego zakładu, powiększona w r. 1801 szczodrym dla akademii darem przyległego placu, i domku panów Wawrzeckich, a w r. 1808 nabyciem placu od M. Berenta, dała sposobność rozprzestrzeniać i pomnażać coraz bardziej plantacye botaniczne, do czego z drugiej strony posługiwały mu, troskliwie zawiązywano i utrzymywane stosunki, z najpiérwszemi zakładami botanicznemi, w kraju i za granicą. Tą troskliwością ciągle powodowany, pozakładał do hodowania delikatniejszych roślin nieodbitie potrzebne cieplarnie i inne budowle, opasał tenże ogród ze strony mniej bezpiecznej murem i sztachetami; a z jaką gorliwością to ulubione rąk swoich dzieło pielęgnował i rozkrzewiał, czyli jaki był stopniowy wzrost bogactw ogrodowych, najlepiej to wykazują, co drugi rok prawie drukowane katalogi, z których wyciąg jest następujący:

R. 1799 przy objęciu ogrodu od profesora Spitznagla, zastał podług autentycznego inwentarza, oranżeryjnych i gruntowych gatunków 492. W r. 1802 piérwszy raz drukowany katalog z nazwiskami polskimi obok układowych, zawierał 1072 gatunków; w r. 1804—1526; w 1807—1958; w 1808—2000; w 1809—2400; w 1810—2872; w 1811—3410; w 1814—3861; w 1815—4366; w 1817—4635; w 1819—4951; w 1821—5570; w 1824—6565. Przy niezliczonych trudach w zebraniu i pielęgnowaniu takiej ilości rozmaitych roślin, samo téż wydawanie układowych katalogów, nie było zaiste owocem mechanicznej tylko pracy!

Założenie ogrodu botanicznego, przypadło właśnie na sam koniec 20-letniego w akademii rektorstwa ks. Poczobuta, po którym urząd ten objął ks. Strojnowski ex-pijar, mąż niemniej o dobro nauk gorliwy. Tegoż roku, pomimo tak mozolnych około ogrodu zatrudnień, ks. Jundziłł wydał zebrane jeszcze w Wiedniu z różnych wypisów wiadomości o ważniejszych używalnych roślinach, pod tytułem: *Botanika stosowana* (6). Dzieło to, w rzetelném świetle podając ciekawe i użyteczne wiadomości o rozmaitych roślinach, będących przedmiotem handlu, przemysłu i gospodarstwa, nietylko dla zwolenników botaniki, lecz i do ekonomiki powszechniej stało się wielce przydatném; a dla rzadkości dziś swojej, zastąpiłoby na przedruk. Wśród tych zatrudnień, odbył jeszcze jesienią na rozkaz rządu, wraz z ks. Mickiewiczem b. professorem fizyki, podróż w okolice Nieświeża, Mira i Lachowicz, dla zbadania tam pokładów torfu, o których w przesadzony sposób doniósł był doktor O'Connor do Pe-

(6) *Botanika stosowana*, czyli wiadomość o własnościach i użyciu roślin w handlu, ekonomice, rękodzielactwach, o ich ojczyźnie, mnożeniu, utrzymywaniu; według układu Linneusza. Przez ks. B. S. Jundziłła, historyi naturalnej wice-professora. W Wilnie, w drukarni dycieczalnej, r. 1799 (w 8ce str. 496, prócz spisu roślin na końcu dzieła).

tersburga; z wyprawy więc téj nie ważnego odkryć się nie mogło. W r. 1800 po otrzymaniu w akademii wileń. stopnia doktora teologii, d. 19 lutego mianowany został duchownym ksiąg cenzorem, któryto urząd dość naówczas kłopotliwy, przez dwa lata sprawował.

Oprócz założenia ogrodu botanicznego, kommissya edukacyjna polecila jednocześnie ks. Jundziłłowi, ułożenie gabinetu historyi naturalnej i zrobienie planu szaf dogodnych na jego pomieszczenie: a chociaż niektórzy członkowie akademii różnili się w zdaniu z ks. Jundziłłem, ówczesny jednak wojenny gubernator wileński Kutuzow, i cywilny Friesel, oraz prezes kommissyi biskup Jan Kossakowski, zwiedzając r. 1800, w miesiącu lipcu, ogród botaniczny i przy nim sale na gabinet przeznaczone, rys szaf ks. Jundziłła utwierdzili i koszt na nie przeznaczony, jemuż znowu powierzyli. Na mocy czego jął się również gorliwie i do tego dzieła, tak, że w roku następnym (1801) gabinet historyi naturalnej z murów pojezuickich do nowych sal przy ogrodzie botanicznym, zupełnie został przeniesionym, i uszykowanym w naukowym porządku, według którego sporządził systematyczny całego zbioru inwentarz. Odtąd więc nastala szczęśliwsza i dla tego zakładu epoka, czego dowodem dalszy jego wzrost i porządek. I tak: w roku 1805 gabinet zbożacony został przeważnie darem kosztownych konch i minerałów, przez Michała Walickiego podstolego koron., któryto dar później jeszcze pomnożony hojnością tegoż obywatela, zaszczycony został przez Cesarza Alexandra wyłącznym tytułem: *zbioru Walickiego*, a uszykowanie jego i spisanie podług naukowego porządku, było dziełem ks. Jundziłła. Podobneż zatrudnienie spotkało go i w r. 1813, gdy nabyty za radą jego, przez uniwersytet po zmarłym adjunkcie Symonowiczu, kosztowny zbiór minerałów, do 16,000 sztuk wynoszący, wcielony został do publicznego gabinetu. Pomniejszo też dary i nabytki, jakie różnemi czasy i od różnych osób wpłynęły do tegoż gabinetu, pomnożając materyalną i naukową jego wartość, nie saméj tylko szczodroblewości darodawców, lecz i starań ks. Jundziłła były skutkiem. Z tych ostatnim, a nader rzadkim nabytkiem, były dwie ogromne, do 200 funtów, bryły żelaza meteorycznego, spadłe na Wołyniu, w dobrach hr. Rokickiego.

Lecz żeby czytelnikom dokładniejszy dać obraz początku i wzrostu, tak ogrodu botanicznego, jak i gabinetu tworów przyrodzonych, póki te pod zarządem ks. Jundziłła zostawały; umieszczamy zaraz za nekrologiem, własny jego obu tych zakładów opis.

Wracając do chronologicznego porządku namienić wypada, że roku 1801 jedynie z własnej gorliwości wykladał prywatny kurs mineralogii dla wielu studentów akademickich, między którymi liczyli się znakomici

później profesorowie medycyny uniwersytetu wileńskiego: Mikołaj Mianowski, Jan Wolfgang i znany filantrop doktor Jakób Szymkiewicz. Dostał też wówczas dwóch naukowych zaszczytów, to jest, dla różnicy od nowych adjunktów, jako dawniejszy vice-professor, otrzymał prawo noszenia togi professorskiej, a Towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie członkiem go swoim jednomyślnie mianowało.

Gdy na początku tego lata szarąca się w południowych prowincjach szarańcza i północnym zagrażać poczęła; gubernator Friesel wezwał ks. Jundzillę do podania środków ku zapobieżeniu tej klęsce. Podał więc sposoby niszczenia tego owadu, które w drukowanym okólniku rozesłano po wszystkich powiatach; a pismo to pomnożone obszerniejszemi uwagami, stało się osnową rozprawy, którą czytał na publicznem posiedzeniu d. 29 września i tegoż roku na jaw ogłosił (7).

Roku 1802 z powszechnym młodzieży akademickiej i publiczności krajowej zadowoleniem, dostał należnego nauce i talentom swoim zaszczytu, przez otrzymanie posady profesora zwyczajnego historii naturalnej w akademii wileńskiej; bo gdy po śmierci O'Connora professor Spitznagel przeniesiony został na katedrę terapii i kliniki, ks. Jundzillę jako dawny vice-professor, na mocy statutu akademickiego, katedrę jego bez trudności osiągnął. Stanąwszy na tym świączniku nauk przyrodzonych w szkole głównej litewskiej, mając niespracowaną gorliwość znalazł się tém samym w zupełnej możności rozkrzewiania swojej nauki z coraz większym dla ziomeków pożytkiem. W miesiącu maju tegoż roku, dla sprawdzenia pogłoski o soli w Birzjach znajdować się mającej, z polecenia wojennego gubernatora wileńskiego Beningsena, zwiedzał tameczne okolice, ale pożądanego tam jej bytu w pokładach ziemnych, żadnych śladów nie odkrył.

Na początku 1803 r. odbył znowu urzędową podróż do Wiszniewa, dóbr Adama hr. Chreptowicza, dla obejrzenia i opisania tamecznych fabryk żelaza, które w jasnym i obszernym raporcie rządowi przedstawił. Rok ten, był początkiem ważnych dla ogólnej oświaty krajowej dobrodziejstw, przez uposażenie wspaniałomyślnością nieśmiertelnej pamięci Cesarza Alexandra uniwersytetu wileńskiego, podwyższenie pensyi profesorom czynnym i zapewnienie jej wysłużonym. Byłato ze wszechmiar nowa epoka oświecenia narodowego, która zagrzewając nowym

(7) DySSERTACYA o szarańczy i sposobach jej wygubienia, czytana na publicznym posiedzeniu akademii wileńskiej w dzień obchodu koronaryi N. Imperatora Alexandra I. przez ks. B. S. Jundzillę, duchownego ksiąg cenzora, historii naturalnej w uniwersytecie wileńskim vice-professora. Roku 1801 (w 8-cc, stronnic nieliczb. 44).

niejako duchem gorliwość mężów w niem pracujących, pobudziła i ks. Jundziłła do owych prac i zatrudnień. Między innemi, ważniejszém wówczas było jego zajęciem, napisanie uwag nad dwiema książkami elementarnemi dawniej kommissyi edukacyjnej (botaniką i zoologią), których niedostateczność przedstawił na radzie uniwersytetu d. 15 października. A że niedosyć zganić dawne elementarne dzieła, ale na ich miejsce utworzyć lepsze; prospekt więc do tego, czytał na następnym posiedzeniu d. 22 tegoż miesiąca, który książkę kurator niezwłocznie potwierdził i samegoż ks. Jundziłła do napisania takowych dzieł, pochlebną swą rezolucją wezwał. Skutkiem tego, było naprzód napisanie fizjologii roślin i nauki wyrazów czyli terminologii botanicznej, które w następnym roku pod tytułem: *Początki botaniki* wytłoczono w Warszawie (8). Za napisanie dzieła tego, znanego powszechnie ze swój klassycznosci, najlaskawiej od Cesarza Alexandra brylantowym pierścieniem udarowany został.

Lecz właśnie kiedy uniwersytet wileński w epoce swego odrodzenia, zakwitał szczególnie gorliwością pracujących w nim rodaków; z drugiej strony napływ jakkolwiek uczonych i potrzebnych na wakujące katedry cudzoziemców, zwiększając naturalnie ich liczbę i przewagę w uniwersytecie, ośmielał ich razem do lekceważenia zasłużonych krajowców: ztąd nic dziwnego, że i w tém naukowym zgromadzeniu, zawiązały się były dwa przeciwne sobie stronnictwa, dla pogodzenia których i przytłumienia szkodliwych naukom nasion niezgody, przybył do Wilna roku 1805 znany powszechnie z gorliwości swojej o dobro nauk ś. p. Tadeusz Czacki. Jakoż mąż ten, rzadkim a właściwym sobie darem pojednawczym ukoił i przytłumił na czas te zatargi, a przynajmniej rektora Strojnowskiego ze wszystkimi członkami uniwersytetu pogodził. Jego też staraniem zawiązała się była wówczas spółka literacka do pisania *Dziennika wileńskiego*, który przez dwa lata pod główną redakcją ks. Jundziłła i Jędrzeja Śniadeckiego zostając, ich też pracą i artykułami najwięcej z bogacany, liczy bez wątpienia najchlubniejszy istnienia swego okres (9)

(8) *Początki botaniki* p. ks. S. Jundziłła; w Warszawie, w drukarni ks. Pijarów. 1804, w 8-ce. Część pierwsza: Fizjologia roślin, str. 113. Część druga: Nauka wyrazów, str. 112, prócz tablic rytowanych. Tegoż dzieła wydanie drugie 1818 i trzecie 1829 r. w Wilnie u Józ. Zawadzkiego w 8-ce, str. 153.

(9) Pisma ks. Jundziłła w *Dzienniku wileńskim* ogłoszone, są następujące:

1. Uwagi nad pytaniem: czyli jaskółki zimę w wodzie przepędzają? *Dzien. wil.* 1805. Nr. 1, str. 54.
2. Rozbiór dzieła pod tytułem: Nowy dykcyonarz historyi naturalnej; w Paryżu, 1804. Nr. 1, str. 77.

Nie obeszło się wszakże bez pewnych i między uczonymi krajowcami nieporozumień. W r. 1806, gdy adjunkt Symonowicz (protégowany szczególnie przez ks. Strojnowskiego, dobijał się w uniwersytecie o katedrę mineralogii przez rozprawę swoją o stanie ówczesnym tej nauki, ks. Jundziłł powodowany sumiennym przekonaniem, uwagi swoje o ważniejszych w niej uchybieniach naprędce skrócił, radzie uniwersytetu przedstawił; które potem, gdy wybór Symonowicza skutku nie wzięt, przez niechęć jego i gorszące nadużycie, wydrukowane zostały, łącznie ze wspomnianą rozprawą i odpowiedzią na rzeczony uwagi (10). Wszakże polemika ta, niewłaściwie odkryta przed publicznością, nie przyniosła dla obrażonego Symonowicza żadnego tryumfu.

3. Kamienie meteoryczne. Nr. II, str. 23.
4. — — — wypis drugi. Nr. III, str. 1.
5. Nowe postrzeżenia względem wosku. Nr. III, str. 27.
6. Ośpica owiec. Nr. IV, str. 10.
7. Krótka wiadomość o jedwabnikach bengalskich Tusseh i Aryndy. Nr. IV, str. 17.
8. O jajach ptastwa domowego. Nr. V, str. 32.
9. O potrzebie układowej nomenklatury w przedmiotach historii naturalnej. Nr. VI, str. 163.
10. O piórach ptasich w handlowym i technicznym względzie. Nr. VII, str. 247.
11. O włośniku (robaku). Nr. VIII, str. 400.
12. Ośmioletnia podróż generała Saryczewa do północno-wschodniej Syberyi, na morze Lodowate, tudzież na północno-wschodnią część oceanu Spokojnego. Nr. IX, str. 448.
13. O dawnych i nowych sposobach oszczędzania kawy. Nr. IX, str. 513.
14. Ośmioletnia podróż generała Saryczewa: wypis drugi. *Dzien. wil.* r. 1806. Nr. X, str. 62.
15. O zabezpieczeniu drzew od mrozów przez konduktory mrozowe. Nr. X.
16. Ułamki nauki bydłogeo-łekarskiej. Nr. XI, str. 131.
17. Nowe postrzeżenia względem ryb elektrycznych. Nr. XII, str. 250.
18. O niektórych pokoleniach owiec azyatyckich. Nr. XII, str. 273.
19. O znakomych roślinach ogrodu botanicznego. *Dz. wil.* r. 1815, t. I, str. 273
20. O przymiotach potrzebnych w sztuce ogrodniczej. *Dzien. wil.* r. 1815, t. I, str. 460.
21. Wzrost ogrodu botanicznego cesarskiego uniwersytetu wileńskiego. *Dzien. wil.* r. 1818 t. I, str. 310.
22. O żelazie meteorycznym spadłym w dobrach hr. Rokickiego; doniesienie radzie cesarskiego wileńskiego uniwersytetu. *Dz. wil.* t. 1821 t. III, str. 486.

(10) *Odpowiedź Romana Symonowicza, na pismo pod tyt.: Uwagi nad pismem p. Symonowicza o dzisiejszym stanie mineralogii, przez ks. B. S. Jundziłła, w wileńs. uniwer. prof. botaniki. W Wilnie, nakładem i drukiem J. Zawadzkiego, w 8ce, str. 155.*

R. 1807, w którym Jan Śniadecki mąż znanych zasług w świecie uczonym, sprawować zaczął z prawdziwem dobrem krajowej oświaty urząd rektora uniwersytetu, i pożądaną między wszystkimi wprowadzał jedność; ks. Jundziłł dnia 29 czerw, wybranym został na prefekta kandydatów stanu nauczycielskiego, któryto urząd przez lat trzynaście i miesiące cztery (t. j. do d. 31 grud. 1821 r.) gorliwie sprawując, układ nauk dla kandydatów pewną i porządną zaprowadził, i karność w tym zakładzie nieodbicie potrzebną, obostrzył, a skutek okazał ważność i użyteczność tych odmian. W miesiącu wrześniu otrzymał nowy zaszczyt literacki, t. j. dyplom na członka towarzystwa badaczy natury w Moskwie.

Przed końcem tegoż (1807) roku, przysłużył się ks. Jundziłł znakomicie krajowej oświacie i literaturze, wydaniem zoologii swojej krótko zebraną w trzech tomach (11). Dzieło to, wierne panującemu wówczas układowi Linneusza, w jasnej i zwięzłej treści obejmuje cały kurs zoologii, a mianowicie: o zwierzętach ssących, ptakach, rybach, płazach, owadach i robactwie, i z tego powodu dzieli się na sześć odrębnych części, z których każda najistotniejsze o swym przedmiocie zawiera wiadomości. Jakoż, w skróconym rysie tak obszernej nauki, jaśniej i gruntowniej niepodobna jej wyłożyć. Nie naszą jest rzeczą, wchodzić w szczegółowy dzieła tego rozbiór; zaszczyt zaś, jakiego dostąpiło w instrukcyi publicznej, jest dostateczną jego pochwałą. Nietylko bowiem jako elementarne zaleconem zostało po wszystkich szkołach podwładnych uniwersytetów; wileńskiemu, ale za podobnoż i od izby edukacyjnej księstwa warszawskiego uznanem zostało, która właśnie w roku następnym, uprzejmą swoją odezwą wezwawszy ks. Jundziłła do układu podobnych dzieł i dla szkół swoich, otrzymała od niego w ofierze pomienione w przedmiocie botaniki i zoologii elementarne dzieła. Stały się więc one dla wszystkich szkół polskich ważnym upominkiem, a w prelekcjach uniwersyteckich służyły autorowi za text do rozwoju obszernej swojej w tych przedmiotach erudycyi, z której każdy uczeń, jako z pełnego i czystego źródła, mógł czerpać zawsze najpożyteczniejsze wiadomości. Szło za tém niezbędnie, iż ktokolwiek słuchał korzystnie obszernego wykładu tak uczonogo profesora, nie mógł się obejść bez obfitych notat, zwiększających masę wiadomości, zawartych w drukowanym jego dziele. Żyjący zaś je-

(11) Zoologia krótko zebrana. *Część pierwsza*: zwierzęta ssące (stronnie w 8ce 277). *Część druga*: płaszwo (str. 288). *Część trzecia*: płazy i ryby, oraz *czwarta*: owady i robactwo, (str. 432, prócz rejestrów materyi przy każdym tomie); w Wilnie, drukiem Józ. Zawadzkiego, r. 1807. Powtórne wydanie r. 1823 u tegoż.

szcze w nieskąpój liczbie uczniowie niegdyś ks. Jundziłła, pomną zapewne jaki urok i mocne zajęcie wzbudzało w nich opowiadanie jego pełne jasności, nauki i toku męzkiego, któremito przymiotami, i pisma wszystkie jego szczególnie się odznaczają. Tym też sposobem podnosząc nie-skończenie wartość swojej nauki, tém miłszą i korzystniejszą robił ją dla swych uczniów.

Wśród takich prac nauczycielskich i innych publicznych obowiązków, troskliwy ciągle o wzrost ogrodu botanicznego i gabinetu historii naturalnej, wciąż się niemi najstaranniej zajmował. Po wzniesieniu w ogrodzie botanicznym ważnych i nieodbitie potrzebnych budowli dla należytego pielęgnowania czulszych roślin, gdy ich liczba coraz bardziej wzrastać poczynąła, a summa 900 rub. sr. etatem na utrzymanie ogrodu rocznie przeznaczona, niedostateczną się okazała; wyjechał staraniem swoim r. 1808, iż fundusz ten w dwójnasób został powiększony. Taż troskliwość o ogród, nakazywała jego założycielowi starać się o jak najlepszych ogrodników, w wyszukaniu których nieskończone miał trudności, póki nareszcie sam ich swoją pracą i staraniem nie ukształcił. Jak wielką do tego przywiązywał wagę, przekonać się można z rozprawy, którą czytał r. 1809 d. 30 czer. na publiczném posiedzeniu: *O przymiotach potrzebnych w sztuce ogrodniczej*. Niemaló też zniósł utrapień, ochraniając w różnych czasach swój zakład botaniczny, już od pożog wojennych, już od szkodliwego natręctwa próżniaczój zgrai, która do tego zakładu, nauce jedynie poświęconego, chciała w każdój chwili i w taki sposób otwarty mieć wstęp, jak do każdego miejsca przechadzki.

R. 1809 uczczony został dyplomatem towarzystwa botanicznego w Gorenkach pod Moskwą, którego założycielem był hr. Razumowski minister oświecenia, a z którego to zakładu ogród uniwersytecki niemaló się zapomógł. R. zaś 1811, otrzymał dyplom na członka towarzystwa rolniczo-gospodarczego w Warszawie.

Ogród botaniczny wileński, tyle się już odznaczał zamożnością i porządkiem, iż w roku następnym 1812, przed samém wybuchnięciem wojny, t. j. d. 19 kwiet. zaszczycony został odwiedzeniem bawiącego wówczas w Wilnie nieczrówanego dobroczyńcy uniwersytetu, niewygasłej pamięci Cesarza Alexandra, który o różnych szczegółach zwiedzanego przez się zakładu dobrotliwie z założycielem rozmawiać, i zadowolenie mu swoje osobiście wynurzyć raczył. Z licznego zaś naówczas i świetnego orszaku tego monarchy, kanclerz państwa hr. Rumiańców, dostojny opiekun nauk i uczonych, powziąwszy szczególny dla ks. Jundziłła szacunek, bywał niemal codziennym gościem w ogrodzie botanicznym, i ku jego ozdobie, bronzowe popiersie Linneusza, później z Petersburga nadesłał.

Gdy wśród klęsk wojennych tegoż roku, zatamowany handel wewnętrzny spowodował nadwyzczajną w Litwie drogosc soli, tak, że garniec po ośm złp. w Wilnie płacić musiano; rozeszła się była znowu pogłoska, jakoby w powiecie wilkomirskim w starostwie kupiskim, sól oddawna znajdować się miała. Z polecenia więc kommissyi rządowej w miesiącu październiku jeździł ks. Jundziłł do Kupiszek, dla sprawdzenia téj wieści; lecz ze ścisłych na miejscu prób i badań, przekonał się, że była zupełnie bezzasadną.

W chwalebnych dla zakładów i nauki widokach, chcąc, aby te kiedyś przekazane były godnemu po nim następcy, którego własnem staraniem pragnął ukształcić i przelać zawczasu w niego ducha swojej gorliwości; skoro r. 1813 lut. 1, Makary Bogatko dotychczasowy pomocnik ogrodu botanicznego uwolnił się od tego obowiązku, professor Jundziłł upatrując ze szczególnem zadowoleniem prawdziwą ochotę i zdolność do historii naturalnej w imienniku swoim Józefie Jundzille, przybrał go sobie za pomocnika, i wyjednał potwierdzenie go w tym obowiązku przez uniwersytet na dniu 1 marca, roku następnego. Temuż w r. 1817 przeznaczył z własnego funduszu potrzebny koszt na trzyletnią podróż za granicą, z której gdy wrócił szczęśliwie, r. 1821 wyrobił mu urzędowe polecenie do zwiedzenia pod względem botanicznym północno-zachodnich Litwy powiatów, a ile z tych starań, kosztu i nauki swego opiekuna umiał korzystać młody ten naturalista, udowodnił to najlepiej późniejszą swoją w uniwersytecie pracą, i wydaniem własnego o florze krajowej dzieła.

W r. 1815 na początku marca, zaszła niepomysłna dla uniwersytetu wileńskiego i jego okręgu zmiana. Mąż wielkich zasług i talentów, Jan Śniadecki złożył urząd rektora; tymczasowym jego zastępcą mianowanym został Jan Andrzej Lobenwein. Przyjaźń ugruntowana na wzajemnym szacunku, łącząca oddawna ks. Jundzillą ze Śniadeckim, dała mu do tkliwie uczuć tę zmianę. W tym też czasie zagrożony był słabością oczu, której lubo zaradzili naprędce koledzy z oddziału lekarskiego, w roku jednak następnym, ta niemoc przybrawszy niebezpieczniejszy obrót, nie dozwoliła mu przyjąć przewodnictwa w komitecie naukowym, do czynienia postrzeżeń historyczno-statystycznych, do którego był urzędownie powoływany. Wszakże r. 1817 za rektorstwa Szymona Malewskiego, doświadczywszy ulgi w cierpieniu, nie mógł odmówić osobistej prośbie kuratora, co do przyjęcia udziału w nowo-utworzonym przezeń komitecie szkolnym, mającym na celu ulepszenie wszystkich szczegółów, instrukcyi publicznej; w tym komitecie, aż do skończenia akademickiego swego zawodu, nie przestał być gorliwie czynnym.

Roku 1819 d. 5 maja udarowany został dyplomatem na członka honorowego towarzystwa farmaceutycznego w Petersburgu, chociaż zaszczytu tego przy tylu pracach i obowiązkach naukowych, nie zdało mu się przyjmować. Jakkolwiek zaś, przy osłabionym wzroku, więcej go już utrudzała każda praca piśmienna; jednakże na prośbę ucznia, a później następcy swego Fortunata Jurewicza, chętnie się podjął dopomagać mu w przedsięwziętém tłumaczeniu, *Opisów różnych przedmiotów historyi naturalnej*, które w roku 1820, poczęły zeszytami wychodzić w Wilnie (12). A że text dzieła tego, przeznaczonego dla młodzieży, prawie całkowitem jest tłumaczeniem samegoż ks. Jundziłła (jak to i sam wyznaje), śmiało więc do pism jego może być zaliczonym.

W dalszym ciągu prac swoich, odznaczających się nieprzerwaną gorliwością, r. 1821 d. 15 listopada, czytał na posiedzeniu rady uniwersytetu, doniesienie o żelazie meteoryczném, przysłaném za jego staraniem do gabinetu, przez hr. Ludwika Rokickiego. W roku zaś następnym 1822, domierzywszy lat dwadzieścia pięć publicznego w uniwersytecie nauczycielstwa, któremu nie mogąc dla starganych sił dłużej podoływać, czytał na posiedzeniu rady d. 1 października, prośbę swoją, w której krótko i skromnie, lecz w rzetelném świetle przedstawiwszy szereg prac dokonanych w zawodzie naukowym, upraszał o uwolnienie siebie od obowiązków dotychczas w uniwersytecie sprawowanych, i przyznanie mu na mocy ustaw wysłużonej pensyi i tytułu.

Roku 1823 w oczekiwaniu na skutek téj prośby, czując się coraz bardziej na zdrowiu i wzroku osłabionym, przesłał rektorowi ówczesnemu Józefowi Twardowskiemu, urzędowe zawiadomienie, iż lekcyj w następnym roku dawać nie może; skutkiem czego wyznaczony został do wykładania botaniki, adjunkt uniwersytetu Józef Jundziłł, zoologii Fortunat Jurewicz, obaj z cenniejszych ks. Jundziłła uczniów. Ogród botaniczny zdany r. 1824 rzeczonemu następcy, liczył roślin przeszło 6,500 gatunków. Gabinet zaś historyi naturalnej, składający się z wymienionych kosztownych zbiorów, przeniesiony został do sal anatomii porównawczej, pod zawiadywanie uczonego profesora Boianusa. W tym téż roku w miesiącu listopadzie, otrzymał ks. Jundziłł urzędowe uwolnienie od wszelkich w uniwersytecie obowiązków, z pensją zupełną i tytułem wysłużonego profesora.

W taki sposób, zakończył znakomity swój zawód służby publicznej w uniwersytecie. Zawód ten, był nietylko najpiękniejszym wzorem

(12) Opisy przedmiotów historyi naturalnej, z rycinami kolorowanymi. Wilno, 1820, nakładem Fr. Moritza, w typografii Ks. Misyonarzy, w 4cc.

pracy i poświęcenia się dla dobra nauk i uczącej się młodzieży, ale oraz osobliwszego talentu rozwijania z wielkim uczniów pożytkiem nauki, która pod piórem i wykładem jego przybrałszy nową i właściwą sobie postać, stanowi u nas epokę systematycznego w języku polskim wszystkich części historii naturalnej wykładu, utworzenia naukowego w niej języka, i przyswojenia literaturze naszej skarbu, najcenniejszych pojęć i wiadomości w tych tak ważnych przedmiotach.

Lecz nie na tém jeszcze koniec czynów i zasług tego znakomitego męża! Wierny zawsze celom uczonego powołania, któremu przez całe życie holdował, i wyrzekłszy się dla niego, nietylko wielu godziwych uciech życia towarzyskiego, lecz i dostojństw duchownych, które go spotykały (13); nie mógł i po zstąpieniu swoim z tak pracowitej w uniwersytecie katedry, zostać obojętnym dla dobra nauk i krajowej oświaty: jakoż dowiódł tego nietylko dalszemi uczonej pracami, ale oraz wspaniałym czynem swojej szczodroty. Chociaż bowiem już dawniej i w różnych czasach nietylko bliższych krewnych swoich, lecz i dalszych powinowatych niematemni wspierał darami; chcąc nadto trwałe dla nich lepszego wychowania i wyższego oświecenia zapewnić środki, uczynił wieczysty fundusz w klasztorze ks. Pijarów wileńskich na edukacją dwóch krewnych imienników swoich, a w niedostatku ich, dalszych powinowatych, lub obcych nawet ubogich szlachetnych młodzieńców, i na fundusz ten wyliczył tymże ks. Pijarom 15,000 rubli srebrnych, pod temi warunkami: iżby przyjęci młodzieńcy przez lat sześć, przy skromnych wygodach życia, korzystali ze wszelkich naukowych pomocy, a po upływie tego czasu, po 300 rubli srebr. uposażenia na raz jeden dostawali; oddzielny zaś ich dozorca, jeden ze zgromadzenia pijarskiego, za swe trudy po 50 rubli srebr. corocznie pobierał. Fundusz takowy dnia 28 lipca 1824 r. przez darodawcę podpisany, a przez zwierzchność ks. Pijarów, tojest ks. Macieja Kupscia prowincyała i ks. Alexandra Głogowskiego rektora wileńskiego przyjęty, przedstawiony został za pośrednictwem kommissyi sądowej edukacyjnej,

(13) W r. 1810 w miesiącu grudniu był wybrany i potwierdzony kanonikiem katedralnym wileńskim, ale godności téj, jako niedogodnej dla obowiązków jego naukowych, zrzekł się dobrowolnie. Niektóre tylko probostwa w kollacyi uniwersytetu będące, bardziej dla celów dobroczynnych i dla ogrodu botanicznego przydatnych, niż dla własnych korzyści, miał kolejno pod swoim zarządem, jakoto:

1. Probostwo bystrzyckie od r. 1802 do 1812.
2. — niemeczyńskie od r. 1807 do 1808 kwiet. 11.
3. — mereckie od 1813 do 1824 stycz. 24.
4. — kościoła ś. Jana w Wilnie od 1817 do 1820 lip. 17.
5. — kaplicy ś. Kazimierza przy katedrze, od r. 1824 aż do zgonu.

ministrowi narodowego oświecenia, ku najwyższemu potwierdzeniu, które nastąpiło na początku 1826 r. Gdy zaś po zgaszeniu uniwersytetu, otworzony został r. 1834 przy gimnazyum wileńskim instytut szlachecki w murach klasztoru niegdyś pijarskiego; ks. Jundziłł czyniąc zadość propozycji uczynionej sobie od ministra narodowego oświecenia, i upatrując w tém dla wychowawców swych niemałe na przyszłość korzyści, zgodził się na przeniesienie swego funduszu do pomienionego zakładu, z dodaniem warunku: iżby póki zgromadzenie pijarskie w kraju istnieć będzie, przewyżkę od utrzymania dziś dwóch uczniów w ilości 275 rub. sr. pozostawiając, temuż zgromadzeniu corocznie wypłacano. Po inogacém zaś nastąpić zniesieniu pijarskiego zgromadzenia, taż przewyżka na utrzymanie w tymże instytucie i uposażenie trzeciego ucznia użytą była.

Lubo już do zarządu ogrodu botanicznego bynajmniej nie należał, jednak w roku 1825 d. 6 czerwca miał zaszczyt w nim witać dostojnego gościa, księcia Oranii, następcę tronu niderlandzkiego, a szwagra Najjaśniejszego Cesarza; i dopóki jako emeryt uniwersytetu oraz proboszcz kaplicy ś. Kazimierza, zajmował toż samo co i piérwój mieszkanie przy ogrodzie botanicznym (t. j. aż do r. 1832), nie przestawał z rodzicielską, że tak powiem troskliwością, zajmować się losem tego swojego zakładu, i zmian, jakim tenże aż do r. 1838 ulegał, dokładny zostawił nam opis (14). Obok tego, powodując się dobrymi chęciami dla następcy swego na katedrę zoologii, podjął się pisania z nim zoologii elementarnój dla szkół powiatowych, i dwie piérwsze części, t. j. o zwierzętach ssących i ptastwie, wypracował; któryto rękopis między papierami zmarłego 1827 r. Fortunata Jurewicza, zaginał.

Coraz jednak słabsze siły fizyczne, wskazując niezbędną potrzebę spokojności i użycia środków lekarskich, skłoniły go naprzód r. 1825 udać się wśród lata do wód siarczanych w Widzach; które, gdy nie zdziałały pożądanego skutku, w r. następnym 1826 czując w sobie dotkliwie symptomata zamulania wątroby, za radą znakomitszych lekarzy wileńskich udał się do Karlsbadu, gdzie z lepszym skutkiem siedm tygodni przebawiwszy, miał nadto przyjemność zwiedzać po drodze w znakomitszych miastach, jakoto: Warszawie, Dreźnie, Pradze i Wrocławiu sławniejsze zakłady botaniczne. Roku 1827 dla ponowienia przeszłorocznej kuracji, znajdował się cały miesiąc w Warszawie u wód sztucznych; a i w téj na-

(14) Ostateczna zmiana, jakiej uległ ogród botaniczny wileński, przerobiony teraz na publiczny fojal, opisana jest szczegółowie w fejetonie gazety Ruski: Inwalid, z r. 1847 paźd. 1. N. 217, gdzie téż chlubnie są spomniane zastugi ks. Jundziłła.

wet podróży zajmowały go różne zjawiska przyrodzenia. Doznawszy jednak największej ulgi w cierpieniach swoich z użycia naturalnych wód karlsbadzkich, gdy w następnych latach cierpienia te poczęły przybierać groźniejszy charakter, zwiedzał jeszcze po raz drugi i trzeci, to jest w latach 1833 i 1835 uzdrawiające źródła Karlsbadu, w towarzystwie wychowawca i lektora swego p. Adama Wolańskiego, wszędzie z uprzedzającą uprzejmością witany; i na ostatniej do tego przybytku higieny podróży, z której wracał na Berlin, zakończył pamiętnik życia swojego. Jakkolwiek zaś za powrotem do Wilna, czuł na zdrowiu znaczne polepszenie; biedził się jednak coraz bardziej ze wzrokiem, i już częściej niż przedtém w pracach i zabawach literackich wyręczać się musiał pomocą lektora, którego następnie miał w osobie drugiego Józefa Jundziłła, doktora medycyny, synowca swego. To ciągłe nawyknięcie do pracy, sprawiło, że i ostatka lat swoich nie spożył w bezczynności. Przy osłabionych bowiem siłach fizycznych, zachowując całą, rzec można, potęgę umysłu, obdarzonego dziwną pamięcią i przytomnością, a osobliwszém losu zrządzeniem sam jeden przeżywszy od początku aż do końca całe istnienie uniwersytetu wileńskiego, którego los zawsze go żywo zajmował; zostawił porządnie ułożone z dawniejszych i późniejszych wspomnień swoich różne różne o tym naukowym zakładzie wiadomości, które służyc mogą za szacowny materiał dla późniejszego da Bóg historyografa, a tymczasem w różnych także, wyjątkach, mogą być publiczności w piśmiech peryodycznych udzielane. Szacowną téż po nim puścizną są rozbiory krytyczne niektórych dzieł nowszych, a mianowicie Pedagogiki B. T. pod względem nauk ścisłych i dziejów krajowych, oraz pismo humorystyczne *Bibliophobia* czyli księgo-wstręt zwane, snad twór swobodniejszej dla umysłu chwili, w którym pod imieniem Wawrzyńca Kostrzyki opowiadając dzieje niby dawniej rzeczypospolitej *Babińskiej*, odkrywa nieznacznie wady i śmieszności dzisiejszych naszych pół-mędrków. Przy schyłku nawet dni swoich, bo w r. 1846, pomimo zupełnej niemal utraty wzroku, jeszcze dał publiczny dowód głębokiego swego o nadzwyczajnych zjawiskach przyrodzenia sądu, ogłaszając przez organ redakcyi Kurjera Wileńskiego zdanie swoje o tak zwanych *jętkach* i *mannie*, spadającej z powietrza (15). Lecz to już był ostatni głos nauki uczonego męża! W roku bowiem następnym 1847 dożywszy lat 86, po kilku-dniowej słabości z przypadkowego we własnóm mieszkaniu upadnięcia, dnia

(15) Kurjer Wileński z r. 1846 d. 13 sierpn. Nr. 62 zawiera w swoim fejetonie to zdanie ks. Jundziłła, pod tyt.: „O owadach spadłych w Wilnie na zielonym moście, tudzież słowo o mannie.”

27 kwietnia (n. s.) zakończył religijnie i z powszechnym żalem chwalebny swój żywot (16).

Niepodobna wątpić, aby który z uczonych naszych naturalistów, z względu na ważność zasług, nie podjął się ze stanowiska czysto naukowego, ocenić godnie i bezstronnie wszystkich jego prac i pism, o których tu tylko pobieżnie się wspomniało. Byłby to najwłaściwszy hołd jego pamięci, a razem korzystna dla historyi nauk przyrodzonych w kraju naszym przysługa. Ulotne bowiem tu i ówdzie pochwały, jakkolwiek sprawiedliwe, nie dają przecież zupełnego jeszcze o samych dziełach wyobrażenia i sądu. Po wierném więc ich wyliczeniu, nie wkraczając w ten obcy dla mnie przedmiot, przestaje, stosownie do założenia mojego, na tym rysie biograficznym, który pamięci zacnego imiennika poświęcam.

Pisałem w Iwacewiczach, d. 20 stycz. 1849 r.

(16) Nie będzie może zbytęcną rzeczą przytoczyć tu z listu p. Józefa Jundziłła dokt. med., synowca nieboszczyka (pisanego do mnie z Wilna d. 3 maja 1847 r.) dostówną wiadomość, którą, jako nieodstępny świadek, udzielił mi o ostatnich jego chwilach:

„Przepędziwszy w dobrym stanie zdrowia zimę, która zawsze dla niego była trudną do przebycia, za nastaniem pięknych tegorocznych dni wiosny, mając wkrótce rozpocząć ulubioną sobie przechadzkę do b. botanicznego ogrodu, a czując się jeszcze na siłach, dnia 7 kwietnia udał się pieszo do kościoła ś. Jana i wielkocną odbył spowiedź; za powrotem z którego rzewnie się rozczulił, czując się mocno sfatygowanym, a potem nieco uspokojony, powtórzył znajomy wiersz: WIOSNA MOJA I LATO, JAK PTAK OKNEM ULECIAŁY! i t. d. Nazajutrz, t. j. 8 kwietnia po zwykłym ranném czytaniu, jakby przeczuwając blizki swój zgon, usnął mi dawał informacyę, tyjącą się familijnych interesów, i słowny, iż tak rzekę, uczynił do testamentu codicil. W nocy zaś z 8 na 9 kwiet. o godzinie drugiej po północy wstając z łóżka, utracił, jak sam powiadał, równowagę, i całym ciężarem osłabionego już wiekiem ciała upadł na podłogę, przez co dostał silnego wstrząśnienia mózgu (commotio cerebri), tak, iż niektóre słowa z trudnością wymawiał. Wezwani trzej lekarze, jego uczniowie: Woelk, Adamowicz i Czarnocki, wszelkich dokładali starań, iżby dni tak drogie dla nich ukochanego swego profesora, jakkolwiek przedłużyć. Prózne starania! Siły fizyczne coraz wątlały i chyliły się do upadku; rzecz tylko dziwna, przytomność umysłu prawie taż sama, aż do śmierci pozostała. Dnia 14 kwiet. wezwany kapłan dał ostatnie pomazanie; było to o godzinie ósmej wieczornej, a następnęj nocy, t. j. 15 kwiet. (v. s.) w pół do czwartęj po północy, spokojnie oddał ducha Bogu”.

„Dnia 18 kwiet. czcigodne jego śmiertelne zwłoki przeprowadzone zostały z kościoła XX. Franciszkanów do kościoła OO. Bernardynów, gdzie nazajutrz odbyło się żalobne nabożeństwo, a znany katedralny kaznodzieja ks. Krasiański, piękną pogrzebową mową uczcił pamiętkę zmarłego. Całe też miasto cześć mu należną oddało. Nakoniec stosownie do ostatecznej swojej woli, na mogiłach XX. Bernardynów w katakumbie, umyślnie na ten cel w ziemi wymurowanej, złożonym został”.

„Molliter decumbant ossa illius”.

Tenże p. Józef Jundziłł przyozdobił i uczcił wkrótce grób stryja i dobroczyńcy swego pięknym ze szlifowanego granitu pomnikiem, na stronie głównej z napisem następnym: HISTORIA NATURALNEJ W KRAJU ROZKRZEWICIEL, OGRÓD BOTANICZNEGO W WILNIE TWÓRCA. Na odwrotnęj: CONCRESCAT UT PLUVIA DOCTRINA SUA. FLUAT UT ROS ELOQUIUM NEUM.

GABINET HISTORJI NATURALNÉJ

I

OGRÓD BOTANICZNY

WILEŃSKIEGO UNIWERSYTETU.

PRZEZ

Hes. Stanisława Fundzilla.

Gabinet Historji naturalnej.

Epoka odnowienia akademii wileńskiej r. 1781, jest oraz epoką wprowadzenia do kraju nieznanéj dotąd u nas historji naturalnej nauki, i pierwszego zarodu pomocniczych ku rozkrzewieniu jéj zbiorów. Jan Emmanuel Gilibert, Francuz, naprzód staraniem Antoniego Tyzenhauza, nadwornego podskarbiego litewskiego, z Lyonie do Grodna sprowadzony, a w pomienionym roku przez kommissyą edukacyjną do Wilna, na profesora przyrodzonych nauk przeniesiony, znaczną ilość konch i mineralów z sobą przywiózł; niemało zaś skamieniałości, zwierząt, ptaków, ryb i owadów krajowych, z okolic już Grodna, już Wilna, zgromadził, i bibliotekę nieodbitcie potrzebnemi dziełami opatrzył.

Następca jego Jerzy Forster, r. 1784 na katedrę historji naturalnej wezwany, zbiór ten rzadszemi mórz australnych konchami i kilkudziesiąt gatunkami amerykańskich motylów pomnożył; systematyczny zaś zbiór saskich mineralów, w drobnych wprawdzie sztukach, publicznej wystawie poświęcony, z Drezna sprowadził. Na kupno tych mineralów, książkę Michał Poniatowski, prymas królestwa, 200 czerwonych złotych,

z prywatnej swój szkatuły ofiarował. Tenże professor bibliotekę gabine-
tową, rzadkimi, wybournemi i kosztownemi dziełami wzbogacił.

Po oddaleniu się Forstera r. 1787, katedra historii naturalnej w aka-
demii aż do r. 1792, to jest do przyjazdu professora Spitznagla z Wiednia,
wakowała. W tym przeciągu pozostałe po Gilibercie zbiory zwierząt,
ptaków, ryb i owadów, zupełnie niszczały. Lecz w miarę krzewienia się
przyrodzonej nauki we wszystkich Europy krajach, znaleźli się i u nas
światli i gorliwi mężowie, którzy dla zaszczerpienia jój w ojczyźnie naszej,
prywatne swe zbiory ku publicznej instrukcyi poświęcać poczęli. Dwóch
takowych obywateli, prawdziwemi fundatorami gabinetu historii natural-
nej nazwać można.

Roku 1791 Michał Ogiński hetman Wielki litewski, zbiór swój w ka-
mieniu, kruszce, konchy, korale i inne morszczyzny bogaty, bez żadnych
warunków, akademii darował. Tegoż roku ks. Jan Wichert, kanonik in-
flantski, podobnyż zbiór ze szlifowanych po większej części agatów, ja-
pispów, chalcedonów, labradorów, kryształów górnych i t. d. złożony, te-
stamentem akademii zapisał, wkładając obowiązek utrzymywania i edu-
kowania wiecznemi czasy, publicznym kosztem dwóch imienników jego.
Oba te zbiory w roku następującym 1792, z Warszawy do Wilna spro-
wadzone zostały. Ku wygodnemu tych darów pomieszczeniu, nie miała
długo akademii żadnej wygodnej i odpowiedniej budowy. Pierwiastko-
we Giliberta i Forstera zbiory, wraz z biblioteką, były wprawdzie
w dwóch ciasnych i mało oświeconych izbach kollegium medycznego roz-
łożone; lecz Ogińskiego i Wicherta, dla niedostatku miejsca i wynikłych
w tym czasie wojennych zaburzeń, w pakach zamknięte leżały. Dopiero
r. 1795 przed przejazdem ś. p. króla Stanisława Augusta, miejsce na roz-
łożenie ich w domu świętojańskim, w refektarzu niegdyś jezuickim spie-
sznie przygotowano, i wszystkie te zbiory, wraz z kosztownemi dziełami
i rycinami, na pulpitach i stołach wystawiono.

W tém to miejscu i w takim rozłożeniu zastałem gabinet historii
naturalnej, gdy w jesieni r. 1797 z naukowej podróży do Wilna powróci-
łem. Nieład i rażące nieochędństwo stawiły w smutnym widoku ten sza-
cowny nauk przybytek. Morszczyzny, korale, konchy, kruszce i kamienie
zawały obszerne, nieforemnie sklecone i niczém nieochronione ryszto-
wania; kurz z ceglanej posadzki powstający grubo je pokrywał, i wszyst-
kie charakterystyczne zacierał cechy. W rozkładzie nie było żadnego
metodycznego porządku; współrodzajowe nawet gatunki, nie były do sie-
bie zbliżone. Wstęp wolny każdego tygodnia, nietylko dla studentów,
lecz i dla całej niesforniej publiczności, narażał na niechybną kradzież
i wszelkiego rodzaju uszkodzenia; tém łatwiej, iż najkosztowniejsze na-

wet twory żadném zamknięciem obwarowane nie były. Zgorszony tém bezprzykładném drogich tych zbiorów zaniedbaniem, począłem natychmiast przekładać już rektorowi Poczobutowi, już ówczesnej kommissy, niezwłoczną potrzebę wygodniejszego i bezpieczniejszego ich pomieszczenia. Zbieg jednak przeciwnych okoliczności, nie dozwolił rychłego spełnienia gorliwych życzeń moich.

Dom przy ogrodzie botanicznym przez polską jeszcze kommissyą kupiony, na skład gabinetu historyi naturalnej oddawna był przeznaczonym. Spitznagel, wkrótce po swém przybyciu, dał wprawdzie rys zamczystych szaf na rozłożenie tych zbiorów; te już wygotowane, lecz za dług prywatny stolarza u obywatela Andrzejewskiego zatrzymane, w rok dopiero usilném staraniem mojem, przy pomocy rządu pozyskałem. Ale sprowadziwszy je do sali, do której właśnie zrobione były, uznałem zupełną ich ku objęciu tak licznych przedmiotów niezdatność; uznał to komitet do obejrzenia ich przeznaczony; uznał nakoniec sam rektor Poczobut, a zbiory na dawném miejscu i w dawnym nieładzie do dalszego czasu pozostały.

Przed końcem roku 1799, kommissya, chcąc zapobiedz temu nieporządkowi i ochronić gabinet od całkowitego zniszczenia, staranie o zbudowanie dogodniejszych szaf, oraz przeniesienie i uszykowanie zbiorów mnie samemu, niezależnie od Spitznagla poruciła, a wojenny gubernator Kutuzow, na ten koniec 1450 rub. sr. ze skarbu, za kwitem moim, wyliczyć kazał. Rys takowych szaf miał być na posiedzeniu oddziału fizycznego uprzednio roztrząsnionym i potwierdzonym. W tym celu, złożone było nadzwyczajne posiedzenie; że jednak rektor Strojnowski wyniesieniu gabinetu z domu świętojańskiego, do ogrodu botanicznego był przeciwnym, inni, że byli gniewni, iż to bez naczelnego wpływu Spitznagla uskutecznić się miało; rys mój za niedogodny uznany i uchylony został. Zrażony tym stronnicy oporem, nie podjąłem się powtórnej, a dla tychże przyczyn pewnie nieużytecznej pracy; i wzięte z izby skarbowej pieniądze, do kassy uniwersytetu odesłałem.

W miesiącu lipcu roku 1800, gubernatorowie: wojenny Kutuzow i cywilny Friesell, oraz biskup wileński Kossakowski prezes ówczesny kommissy, sałe w domu akademickim przy ogrodzie botanicznym oddawna na pomieszczenie gabinetu przeznaczone, obejrżeli, rys szaf przemnie wygotowany potwierdzili, budową ich zając się i gabinet przenieść rozkazali. Zagrzany szczerą zachowania od zguby kosztownych, mianowicie kopalnych ciał, gorliwością, zawarłem niezwłocznie ze stolarzem Lortzem stosowny w téj mierze kontrakt; a w roku następującym,

dzieło to zupełnie dokonane było. Dnia więc 1 lipca począłem prznosić zbiory do nowego pomieszczenia; i mimo trudy i mozolne wszystkich, mianowicie drobno krystalizowanych sztuk czyszczenie i mycie, w ciągu jednego miesiąca przeniosłem, i w wygodnych, okazałe zbudowanych szafach, rozłożyłem (1).

Przeniesienie to było epoką nowąj świetności gabinetu naszego, początkiem rzadkich bogactw, któremi uniwersytet dziś tak chlubnie szczycić się może. Światlejsi obywatele, ujęci nieznanym dotąd symetrycznym co do widoku, i metodycznym co do nauki rozkładem, wspierając gorliwość krajowego naturalisty, ubiegali się zasilać, wedle możliwości, ten początkowy nauk przyrodzonych zakład. Następująco zapisy niech służą ku wdzięcznej pamięci dla tych mężów, którzy darząc gabinet bądź pojedynczemi, bądź liczniejszymi rozmaitych istot ofiarami, do wzrostu nauk i narodowej oświaty hojnie się przykładali.

Na początku r. 1802 Joachim Littawor Chreptowicz, kanclerz litewski, mąż w dziele narodowego oświecenia niespracowanie gorliwy, przysłał do gabinetu naszego zbiór wulkanicznych Wezuwiusza produktów, pod okiem sławnego Anglika Hamiltona w Neapolu zrobiony, z przeszło 600 sztuk złożony. Metodyczne ich opisanie, we włoskim języku drukowanym inwentarzu, jest zawarte. Tegoż roku generał kawaleryi baron Beningsen, wojenny litewski gubernator, ofiarował piękny stolik z różnofarbnych szlifowanych sybirskich kamieni ułożony.

Roku 1803 Alexander Chodkiewicz przysłał kopalny zęb trzonowy mamuta, w dobrach jego na Wołyniu znalezionej. Generał Kochowski ofiarował nieoprawną tabakierę z sybirskiego awanturynu, *ortec* zwanego. Później nieco, tenże generał obdarzył gabinet rękawicą z amiantu podobnie sybirskiego zrobioną.

Roku 1804 Józef Doboszyński, pisarz magistratu wileńskiego, ofiarował piękny kubek ze słonincu czyli *spekszteinu* chińskiego wyrobiony. Karol Wagner, właściciel apteki w Wilnie, darował dziób młodej ryby *Squalus Pristis L.* i dwie ususzone jaszczurki, *Lacerta Stincus L.* Major Buchowiecki złożył piękny i dobrze zachowany exemplarz ptaka *Tan-*

(1) Opóźnienie budowy szaf ochraniających i przedłużenie rzeczzonego nieporządku, wielkie pierwiastkowym tym zbiorom zadało klęskę; zbiór mianowicie Ogińskiego znaczne w różnych swych częściach poniósł straty. Delikatne krystalizacye kruszców i kamieni, od kurzu i nieumiejętnego w czasie częstych odwiedzin ujmowania, prawie całkiem pokruszone i zatarte zostały; droższe szlifowane kamienie, radsze gatunki konch i wiele sztuk rodzimego srebra i złota, zupełnie znikły; czerwonego kruszcuz srebra ślad prawie nie pozostał; kosztowniejsze w bibliotece dzieła, stracily najrzadszych zwierząt, ptaków, ryb i owadów ry-ciny, i t. d.

talus ruber L. Adam Chreptowicz przysłał ząb trzonowy mamuta, w majątku jego Szczorsach w powiecie nowogrodzkiem znaleziony.

Roku 1805 Michał Walicki, podstoli koronny, ryczałtowym darem kosztownego zbioru swojego, gabinet nasz zamożnie wzbogacił. Zbiór ten z kilku tysięcy rzadkich kamieni, kruszców, konch i różnych morszczyzn złożony, na początku lutego z Warszawy do Wilna przeniesionym został. W zbiorze tym z tak licznych i różnorodnych tworów żaden gatunek nie był układowie oznaczony, i brakło zupełnie szczegółowego ich inwentarza. Życzeniem zaś było tak samego darodawcy, jak uniwersytetu i kuratora, aby te dwie tak niezbędne potrzeby, najrychlej ułatwione były. Zająłem się niezwłocznie tą mozolną pracą, i w przeciągu siedmiu miesięcy, przy nieustannych około uprawy ogrodu zatrudnienich, wszystko tak kopalne, jak zwierzęce twory najskrupulatniej, pierwsze według układu Wernera, drugie według Linneusza, oznaczyłem, w porządnym w łacińskim języku inwentarzu opisałem, i dnia 1 września dwa egzemplarze rzeczonoego inwentarza, przy stosownym raporcie radzie przedstawiłem. Cesarz Alexander I, za uczynioném sobie o tak znakomitym darze doniesieniem, zbiór ten dla wiecznej pamięci i zaszczytu darodawcy, zbiorem Walickiego nazawsze mianować kazał. Tenże obywatel nie ograniczył hojności swojej tym tak ze wszech miar szacownym darem; owszem w ciągu nieprzerwanój swój ze mną korespondencyi, obowiązał się dobrowolnie dopełniać go, wedle możności, później nabyć się mającemi, mianowicie świeższych wynalazków minerałami, i innemi nowością i rzadkością odznaczonemi tworami. Jakoż w miesiącu października tegoż roku, przysłał z Petersburga ogromną rzadkiej piękności sztukę kruszczu ołowiu ozerwonego z kopalni berezowskich, podobną sztukę z jednej strony oszlifowaną malachitu z kopalni ekateryuburskich, i dwa wielkie ułamki skamieniałości *Cornu Ammonis* z Syberyi.

Zbiór ten jakożkolwiek kosztowny i liczny, roku następującego 1806, nowym darem znakomicie pomnożył. Oprócz bowiem kilkudziesiąt rzadkich nowoodkrytych norweskich minerałów, mianowicie zeolitów, przysłał nadto z Petersburga przeszło dwa tysiące konch, oraz mnóstwo zoofitów i litofitów, kilkadziesiąt gatunków z rodzajów *Echinus* i *Asterias*, pięć dziobów rybich, *Squalus Pristis* L. i jedną całkowitą sztukę téjże ryby wypchaną i t. d. Ponieważ w tym zbiorze, równie jak w pierwszym, żaden gatunek konch i innych morszczyzn nie był oznaczony; oznaczenie to nowój kilkumiesięcznej kosztowało mię pracy, a szczegółowy inwentarz wskazuje liczbę, rzadkość i wybór zawartych w nim istot. Rodzaje konch, mianowicie *Voluta*, *Turbo*, *Conus* *Haliotis*, *Ostrea* i t. d., bogate są w najrzadsze i najwyżej u naturalistów cenione gatunki.

Roku 1810 liczne te i kosztowne dary pomnożył jeszcze nową następujących minerałów ofiarą: 1) sztukę platyny bitéj, ważącą funtów 3, łutów 29; 2) chryzoprazu z Kosemitz w Szlązku, sztuk 3; 3) litomargi chryzoprazowego koloru, ztądże, sztukę 1; 4) asbestu drzewiastego sztuk 2; oraz rogowcu, chalcedonów, jaspisów, opalów i kruszcu kobaltowego, *Speiskobalt*, sztuk kilkadziesiąt. Nadto r. 1812 przysłał podobnie z Petersburga, okazałą sztukę siarki krystalizowanej na marglu stwardniałym z Potozi; która, wedle prywatnych wiadomości, ze zbioru królów hiszpańskich w Madrycie, uwiezioną być miała. Roku 1817 przysłał z Warszawy bryłę chryzoprazu z Kosemitz w Szlązku, kilkadziesiąt funtów ważącą, i podobnejże wielkości sztukę agatu wstęgowatego, *Band-Achat*, z Rochlitz w Saxonii. Nakoniec roku 1819 nowym darem czterech sztuk złota z Peru, trzema ułomkami szlachetnego opalu z Czerwienicy w Węgrzech, i dziewięcią sztukami fajansu, znanego pod nazwiskiem *Majolica di urbino*, gabinet uniwersytetu wzbogacił.

Współczesne lub późniejsze innych darodawców ofiary, są jeszcze następujące. Roku 1810 generał-major Jerzy Morawski darował gabinetowi wypchanego krokodyła, przeszło trzyłokciowej wielkości. Tegoż roku Tomasz Wawrzecki, prezes kommissyi sądowej edukacyjnej, ofiarował piękną, około dwóch funtów ważącą sztukę bursztynu, w Szyrwintach, w powiecie wileńskim, dawniej nieco znalezioną. Roku 1811 Ignacy Onacewicz, student uniwersytetu, darował grzbietową tarczę żółwia morskiego, *Testudo Mydas L.* Roku 1814 doktor medycyny Niechwiałowicz przysłał kość goleniową mamuta z rzeki Uy, w gubernii tobolskiej wydobytą, oraz parę rękawic z amiantu sybirskiego wyrobionych. Roku 1816 Ignacy Byczkowski, starosta jankuński, ofiarował dobrze zachowany skorupiak gwiazdy morskiej, *Asterias rubens L.* Roku 1819, Michał Poliński, professor algebry w uniwersytecie, złożył w darze rzadki i w zupełnej całości zachowany gatunek płazu *Proteus anguinus Lar.* z podziemnych wód w Karnioli.

Te są cenniejsze, już cząstkowe, już ryczałtowe ziomek naszych na zakład i wzbogacenie nieodbicie potrzebnych ku rozkrzewieniu przyrodzonych nauk dary. Roku 1813 nadarzyła się zręczna sposobność świetnego wzbogacenia gabinetu naszego, za pomierną z funduszu naukowego opłatę. W tym roku d. 29 stycznia, zszedł z tego świata Roman Symonowicz adjunkt uniwersytetu, zostawiając po sobie kosztowny zbiór minerałów, który przy hojnym wsparciu tegoż uniwersytetu, był zgromadził. Lubo w opłakany ówczesnym stanie, to jest wkrótce po wrzawie wojennej i ustępie wojsk francuzkich z kraju, wszelkie względy kazały oszczędzać ile możności kasę zgromadzenia; drogi ten jednak i ważny

dla nauk zabytek, za radą i staraniem mojem, a dzielnóm przyłożeniem się rektora Śniadeckiego, za 12,000 rub. sr. od sukcessorów zmarłego kupionym został. Że zaś zbiór ten, z szesnastu prawie tysięcy rzadkich i wyborowych sztuk złożony, żadnego nie miał inwentarza, a minerały po większej części w pakach zawarte lub na kupy zwałone leżały; rektor do porządnego ich ułożenia, a co najbardziej, ścisłego i metodycznego oznaczenia gatunków i spisania w inwentarz, Makarego Bogatkę, Felixa Drzewińskiego i Józefa Jundziłta, wyznaczył; mnie zaś do przewodniczenia w téj pracy zobowiązał. Dzieło to, po usunięciu się Bogatki, w miesiącu kwietniu rozpoczęte, przed końcem sierpnia całkowicie ukończonem zostało; tak, iż dnia 14 września, na nadzwyczajném rady posiedzeniu, raport o całej czynności i wygotowany inwentarz uniwersytetowi złożyłem.

Ostatnia do gabinetu, w czasie mojego zawiadywania tym zakładem zdobycz, jest następująca. Roku 1820 powziąłem wiadomość o nadzwyczajnej rudzie żelaznej w powiecie rzeczyckim, w Brahinii, majątku Ludwika Rokickiego, znalezionej, której dla wielkiego z klepalnóm żelazem podobieństwa, na wyrabianie różnych narzędzi, bez zwyczajnego uprzedniego topienia, doświadczać miano. Oglądając ułomek téj rudy adjunktowi Horedeckiemu przysłany, uznałem go prawdziwém meteorycznóm żelazem, i niezwłocznie rozpocząłem korespondencyą z rzeczonym obywatelom, w celu uzyskania największej ile być może z téj mniemanéj rudy ilości, i powzięcia wiadomości o wszystkich tak ważnego zjawiska tyjących się okolicznościach. Jakoż w połowie października roku 1821, otrzymałem w części skutek starania mojego. Rokicki przysłał sztukę rzeczonego żelaza, około 40 funtów wążącą, z doniesieniem, iż r. 1809 lub 1810, dwie prawie równe bryły w Brahinii, w miejscu Kucówka zwaném, na piaszczystych między błotami pagórkach, znalezione zostały. Przysłana bryła, doświadczana przez kowalów miejscowych na wyrobek używalnego żelaza, była widocznie w wadze swéj i objętości uszczuploną, a w powierzchownych cechach znacznie uszkodzoną; bok mianowicie jeden w ogniu mocno nadpalony i zżużony. Przedstawiłem ją radzie na naukowém d. 15 listopada posiedzeniu; a w ciągu nieprzerwanéj z Rokickim korespondencyi, o przysłanie drugiejj, wedle doniesienia nierównie większej, a co najbardziej, kowalskimi doświadczeniami niezepsutejj, upraszałem.

Nakoniec d. 25 marca 1822 r., po dwuletniej prawie korespondencyi, odebrałem drugą tę długo oczekiwaną i w niczém nieuszkodzoną, przeszło 200 funtów wążącą bryłę, i tę naprzód d. 6 kwietnia obecnemu tu wtedy kuratorowi przy zwiedzeniu gabinetu, a d. 15 tegoż miesiąca, radzie przedstawiłem. Nadzwyczajny ten ze wszech miar przy-

rodzenia utwor, którego początek i tworzenie się niezbadaną dotąd w fizyce jest tajemnicą; okazały wielkością, a w kraju naszym pierwszy raz postrzeżony i przezemnie oznaczony: był największą z pomiędzy pojedynczych, przezemnie uczynionych dla gabinetu zdobyczą, będzie na zawsze główną i szacowną zbiorów naszych ozdobą, trwałą i pochlebiam sobie, należyciej u potomności cenioną gorliwości mojej pamiątką (1).

Gdy przed kilku laty professor weterynaryi i zootonii Bojanus, prócz zbioru swego zootomicznego, zbiór oraz zoologiczny w salach świeżo ze spaskiej cerkwi przerobionych zgromadzać począł, i gdy ja w roku 1823 dla słabości wzroku od dawania kursów zoologii i botaniki uwolniony zostałem; rada uniwersytetu, już dla wygodniejszego rozłożenia, już dla połączenia wszystkich królestwa zwierzęcego istot, konchy i inno zwierzęce twory, staraniem mojem zdobyte, do rzeczonych zootomicznych sal przenieść postanowiła. W skutek takowego postanowienia, rzeczzone zbiory w połowie miesiąca października tegoż roku z domu botanicznego, wraz z porządnym, dawniej przezemnie spisany inwentarzem, przeniesione i pod dozór profesora Bojanusa oddane zostały.

Co do zbioru mineralogicznego: gdy ogromnego po zmarłym adjunkcie Symonowiczu nabytego zbioru, w przepelnionych już przy ogrodzie botanicznym salach pomieścić niepodobna było; uniwersytet obrat dwie wielkie w domu świętojańskim sale, w których niegdyś biblioteka się znajdowała, i w nich stosowne szafy zbudować kazał; a przeniesienie i połączenie wszystkich minerałów, nadzwyczajnemu mineralogii profesorowi Ignacemu Horodeckiemu, poruczył. Ten, gdy w marcu 1824 r., nie rozpoczynając tego dzieła życia dokonał; uniwersytet przeniesienie to, oraz wygotowanie ogólnego inwentarza, profesorowi fizyki Felixowi Drzewińskiemu i pomocnikowi mojemu Józefowi Jundziłłowi, pod przewodnictwem mojem polecił. Na początku więc sierpnia tegoż roku 1824, wszystkie minerały, tak te, które dotąd w domu botanicznym, jak w da-

(1) Bryła ta meteorycznego żelaza jest największa ze wszystkich znanych mi w różnych Europy krajach, postrzeżonych w tym rodzaju utworów. Bryła bowiem blisko Agram w Kroacji odkryta, w zbiorach wiedeńskich chowana i dotąd za największą poczytana, 100 funtów wagi nie przechodzi. Pallas odkryciem tego żelaza w Syberyi, które długo u mineralogów za rodzime poczytanem było, imię swe unieśmiertelnił. Moje postrzeżenie i zdobycie do zbiorów uniwersytetu, z oziębłą w tém zgromadzeniu przyjęte było obojętnością; a dwuletnich starań i usilnych zabiegów, ton tylko ślad w protokule pozostał, iż obie rzeczone bryły przezemnie radzie przedstawione były. Rozbiór chemiczny przez profesora Śniadeckiego zrobiony, na posiedzeniu naukowem czytany i w Dzienniku Wileńskim 1822 r. jest drukowany.

wnem mieszkaniu Symonowicza złożone były, do rzeczonych sal w domu śgo Jana, przeniesione zostały.

Historyczną tę wiadomość o początku, wzroście i rozmaitych pomieszczeniach przyrodzonych uniwersytetu zbiorów, które przez dwadzieścia siedm lat w bezpośredniem mojem zostawały pielęgnowaniu, a do których nabycia, dozoru, chronienia, spisania i uszykowania zwierzchnie i naczelnie przez tak długi czas należałem, własnoręcznie podpisuję.

Początek i wzrost ogrodu botanicznego.

Jan Emanuel Gilibert pierwszym był w Litwie botaniki nauczycielem i pierwszym botanicznego ogrodu w Wilnie założycielem. Professor ten, jak się rzekło, staraniem Antoniego Tyzenhauza, nadwornego podskarbiego litewskiego, z Lyonu do Grodna dla założenia szkoły chirurgii i sztuki położniczej sprowadzony, zasady układowej botaniki uczniom swym tłumaczyć począł, i znaczną liczbę roślin, do ogrodu na Horodnicy, zgromadził. Roku 1781 przeniesiony do Wilna na katedrę botaniki i historyi naturalnej, większą część roślin z sobą przewiózł: gruntowe w szczupłym ogródku na dziedzińcu domu *Collegium medicum* zwanego, zasadził, delikatniejsze zaś w ciasnym, naprędce zbudowanym trejhbauziku, pomieścił. Zbiór ten później przystanemi od Pallasa sybirskimi ziołami i krzewami do 2,000 gatunków pomnożył. Szczątki tego ogrodu widzicie się do dziś dnia dają na lewym i prawym boku tegoż dziedzińca, na upiększenie mieszkań professorskich zostawione.

Po oddaleniu się Giliberta w r. 1783, Jerzy Forster, na katedrę jego r. 1784 następcą, zbiór ten pierwiastkowy w całości wprowadzić utrzymywał, lecz dla szczupłości miejsca, i w oczekiwaniu od władz edukacyjnych obszerniejszego i dogodniejszego na ten zakład placu, żadnych prawie nowych gatunków nie wprowadził.

Gdy w r. 1787 Forster akademią opuścił, a katedra botaniki aż do przybycia Ferdynanda Spitznagla, tojest do początku roku 1792 wakowała; zbiór Giliberta, czulego dozorczy pozbawiony, do połowy prawie gatunków zubożonym został. Stary po Gilibercie pozostały ogrodnik, same tylko ozdobniejsze rośliny i krzewy, oraz jarzyny kuchenne na korzyść swą utrzymywał, a mieszkający w *Collegium* professorowie, większą część szczupłej zakładniną przestrzeni ogrodowej, na stajnie, wozownie i ekonomiczne składy obrócili. Był już wprowadzić przez kommissyą edukacyjną na zakład ogrodu botanicznego plac na przedmieściu Sorokiszki zwanem kupiony, lecz dla zaszłych w tymże roku i potem długo

trwających rewolucyjnych i wojennych wypadków, Spitznagel nie był w stanie rozpocząć tego dzieła, którego przedsięwzięcie, rozwinięcie i dokonanie, mnie niejako przeznaczenie zostawiło. W wykonaniu czego jakich doznałem trudów i przeciwności, i z jakim wytrwaniem je pokonywać musiałem, następująca okaże wiadomość:

Plac na Sorokiskach, pod górami: zamkową, krzyżową i bekieszową położony, niegdyś do familii Alexandrowiczów należący, jeszcze za rządów polskich, jak się rzekło, od późniejszych właścicieli, Regnier i d'Aubry, za sumę 40,000 złotych polskich nabyty, leżał przez wiele lat odłogiem bez żadnej uprawy; a nie mając żadnego ogrodzenia, służył za powszechny wywóz śmieci i gnojów z całego miasta. Stérczące na nim drewnianych budowli zwaliska, były przytułkiem kilku nędznych wyrobników; kupy gnojów, zwykłym dla sąsiedzkich świń barłogiem; porastające zielska, paszą dla błakających się krów żydowskich; trzy głębokie kałuże, sadzawkami zwane, mieszkaniem żab i robactwa: a brzegi o Wilenkę oparte, gęstym i wysokim chwastem porośłe, kryjówką psot i rozpusty zbierającej się tam dla kąpieli wszelkiej miejskiej gawiedzi. Naczelny dom murywany, na składy wojenne i kwatery rzemieślników wojskowych oddawna zajęty, drzwi, okien, pieców, podłóg pozbawiony, gruzami i śmieciem zawalony, wewnątrz i zewnątrz obnierzłą wystawiał pustynią. W tymto domu nieco oczyszczonym, i w kilku dolnych izbach naprędce zreperowanych, d. 30 lipca r. 1798, wskazane sobie zająłem mieszkanie, i niezwłocznie jako vice-professor historyi naturalnej, przygotowaniem rzeczowego placu na zakład ogrodu botanicznego, trudnić się począłem.

Pierwszém staraniem mojem było zrównać i uforemnić powierzchnią, górami gnojów i gruzów nastroszoną, i zasypać cuchnące sadzawki i głębokie rowy od nich do Wilenki wykopane; znieść stare i napół rozwalone budowle, wydobyć fundamenta, bruki, sklepy, które na tym gęsto niegdyś zamieszkanym placu, w wielu miejscach się okazały. Roboty te, już dla swój trudności, już dla szczupłości funduszu, trwały prawie przez rok cały; tak, iż ledwo w jesieni r. 1799, na zrównanej i oczyszczonej przestrzeni, podłużne i poprzeczne ulice, oraz główniejsze kwatery i całą przyszlą postać ogrodu, oznaczyć mogłem.

W tych pierwiastkowych trudach, zaraz na wstępie silne i zrażające napotkałem przeszkody. Będąc vice-professorem Spitznagla, winienem był stosować się do urządzeń jego, a nawet i pieniądze na wydatki z rąk jego odbierać musiałem. Spitznagel, praktyce lekarskiej zupełnie oddany, rad był wprawdzie, iż go w tej pracy wyręczałem; lecz bojąc się o powagę swoją i prerogatywy naczelnika, wymagał koniecznie, aby wszystkie działania moje, piętnem zwierzchnictwa jego oznaczone były, w czem od

rektora Poczobuta i wszystkich prawie członków, silnie był popieranym. Podał on był dawniej nieco rys założyć się mającego ogrodu, w którym rozkład kwater, sadzawek i miejsce na budowę trejbhauzowe oznaczył; takowy rys rektor Poczobut podpisem swym utwierdził. Ja znajdując go z wielu względów niedogodnym, inny z méj strony, i wedle moich myśli, nakreśliłem. Rektor, dla porównania i pogodzenia tych planów, wyznaczył komitet z professorów: Langmajera, Smuglewicza i Jędrzeja Śniadeckiego złożony. Dnia 17 października 1799 r., dwaj ostatni profesorowie, przybywszy na miejsce, obejrzawszy place, wystuchawszy moich uwag i porównawszy złożone przed sobą rysy, plan mój jednomyślnie przyjęli. Langmajer zaś przewidując dobrze wypadek téj narady, długo oczekiwany nie przyszedł.

Poczobut zdanie to komitetu poczytał za wyraźne Spitznagla pokrzywdzenie; a przypisując je mojemu wpływowi, oskarżył mię przed cywilnym gubernatorem Bułhakowem, który wtedy zwierzchnie uniwersytetem zarządzał, o uchybienie należnej naczelnikowi uległości. Bułhakow przy zdarzonej okoliczności, wymówić mi tego nie omieszkał; wszakże co było moją pociochą, obstając więcéj za powagą niż za zdatnością i talentami Spitznagla, podanemu przemnie planowi pierwszeństwo przyznawał.

Niezgięty temi przeciwnościami, na początku wiosny r. 1800 opasawszy acz nikczemnym, ze starych materyałów płotem plac ogrodowy, przeniosłem nań wszystkie gruntowe, po Gilibercie pozostałe gatunki, i te już na kwaterach, już na rabatach rozsadzilem. Liczba ich 200 nie przechodziła; ale ciągłym przenoszeniem z łąk i lasów krajowych roślin, pomnażać starałem się. W następującym 1801 r. otrzymałem znaczny zbiór nasion z Krakowa od profesora Szejta i z Daugieliszek od młodych kanclerzyców Platerów; między piérwszymi wiele było rocznych gatunków, między drugimi znaczna ilość sybirskich krzewów znajdowała się. Posiane, wszystkie prawie szczęśliwie weszły, i pierwiastkowy zbiór mój zasiliły. Tegoż roku 1801, obywatele Wawrzeccy: Benedykt starosta brasławski, Józef generał wojsk polskich i Tomasz chorąży litewski, bracia rodzeni, dworek swój dziedziczny, z placem ogrodowym stykający się, akademii darowali; przez co szczipła ogrodowa przestrzeń znacznie się rozszerzyła, i wszelkie z tak blizkiego sąsiedztwa wyniknąć mogące niedogodności, na zawsze uprzątńnione zostały.

Roku 1802, miesiąca marca 27 d., po przeniesieniu profesora Spitznagla na katedrę terapii szczególnéj, na katedrę profesora botaniki i historii naturalnéj, jako dotychczasowy tych nauk vice-professor, postąpi-

łem. Zdarzenie to w tém istotnie korzystném było dla ogrodu, iż uwolniony od przykrój temu zwierzchnikowi uległości, swobodnie już wszystkie plany moje wykonywać i całą prawie summę 900 rs. na uprawę samego ogrodu obracać mogłem.

W r. 1803, Cesarz Alexander I wickuiście pamiętnym aktem potwierdzenia, dawną akademią wileńską tytułem cesarskiego uniwersytetu zaszczycił, i wielu nowemi ważnemi dla nauk i kraju ustawami obdarzył. Ustawy te, przy najhojniejszém wszelkich naukowych zakładów uposażeniu, podniosły botanikę do osobnej i oddzielnej od historii naturalnej katedry. W nowym etacie summa na utrzymanie ogrodu i opłatę ogrodnika 900 rubli, prawie jak dawniej wyznaczoną została; o dyrektorze zaś ogrodu, i szczególném jego za nadzwyczajne prace wynagrodzeniu, żadnej wzmianki nie uczyniono.

Mając już, jak się rzekło, i przestrzeń ogrodu znacznie rozszerzoną, i ziemię do uprawy roślin należycie przygotowaną; otrzymawszy za pośrednictwem przyjaciół i gorliwych nauki miłośników, znakomite z Wiednia, Paryża, Hali, Montpellier i t. d. nasion posyłki, gdy z nich jednak same tylko roczne i gruntowe pielęgnować mogłem gatunki: pragnąłem usilnie wznieść i wystawić oranżeryą i trejblauzy, w którychby delikatniejsze i cieplejszych klimatów rośliny, utrzymywać się mogły. Tę potrzebę, gdy kilkakrotnie a zawsze bezskutecznie rektorowi Strojnowskiemu przekładałem, d. 9 maja r. 1804 wniosłem do rady uniwersytetu na piśmie w tej mierze przełożenie. Rektor, zajęty innemi widokami i oszczędzając wyraźnie dany sobie 45.000 rub. sr. kapitał, na kupno domów, najęcie mieszkań i nadzwyczajne pensye dla przybywających z zagranicy profesorów; podpozorem, jakoby dawniej nabyte, a przezemnie rozszerzone i przygotowane place nie były dość dogodne do założenia ogrodu botanicznego, d. 11 tegoż miesiąca wyznaczył komitet do roztrząśnienia: czyliby nie było lepiej ogród i budowlę jego w Małym Zakrecie założyć? i do składu tego komitetu kilkunastu członków mianował. Komitet ten, już dla wielkiej liczby wyznaczonych osób, już dlatego, iż nikt nie czuł się być przyzwoitym w tej mierze sędzią, nigdy na obrady się nie zebrał; więc wzniesienie projektowanych budowli w niezamierzoną poszło zwłokę.

Prawda jest, iż place na ogród botaniczny oddawna przeznaczone, nie zawierają w sobie wszystkich dogodności i warunków, jakich tego gatunku ogród potrzebuje. 1^{od}, przestrzeń w ogólności, niedość jest obszerna; 2^{re}, położenie niskie i wilgotne; 3^{cie}, ziemia z rozkładu gnojów zbyt tłusta i próchnowata. Co do przestrzeni: ta zaiste jest mała; dwa albowiem rzeczzone place z sobą połączone, morgów tylko 3 i pretów 26,80 w sobie zawierają. Z tej ilości potraciwszy na podłużne i poprzeczne uli-

ce, sadzawki, miejsca pod trejbhauzy, inspekta, szopy składowe i t. d., ledwo trzy części na kwatery roślinne pozostaną. Lecz z drugiej strony, w klimacie naszym, niewielka liczba roślin da się utrzymać pod otwartym niebem; a główne roślinne bogactwa, w budowlach utrzymywać musimy. Oprócz tego oglądać się należało na szczupłość etatowego funduszu, przy którym utrzymanie obszerniejszego ogrodu w należyтым porządku i ochędóztwie, i pomnażanie bogactw jego, niepodobnymby było. Co do położenia: to w ogólności jest niskie, lecz trzy są tylko kwatery nieco wilgotne, a te na rośliny łąkowe wielce są przydatne; inne wszystkie, tak są suche, iż na nich wszelkie gatunki wygodnie się utrzymują. Co do natury ziemi: ta zapewne z rozkładu gnojów jest utworzona, lecz im dłużej się uprawia, tém coraz się doskonali, a nowego nawozu przez długi czas potrzebować nie będzie. Ale gdzież i komu znany jest botaniczny ogród, w którymby położenie i natura ziemi, zawierały w sobie wszystkie najdogodniejsze przymioty do pielęgnowania rozlicznych roślin gatunków? W którymto można utrzymywać łatwo i pomyslnie rośliny wodne, błotne, torfowe, piaskowe, skalne, alpińskie? Wszystkie podobne zakłady mają w tój mierze względne swe przywary i przymioty, a w tém przyrodzenie dla nas nie zrobiło wyjątku.

Nakoniec po długich namysłach, d. 28 stycznia 1806 r. rektor Strojnowski, zebrał pod własną prezydencją komitet z kilku członków złożony; na którym podany przezennnie, a przez Michała Cado wiceprofessora architektury narysowany plan budowli trejbhauzowych jednomyślnie przyjęto, i 8,000 r. s. na dokonanie wyznaczono. Zająłem się więc niezwłocznie zgromadzeniem potrzebnych materyałów, a d. 17 kwietnia tegoż roku, na fundamenta oranżeryi i dwóch wysokich trejbhauzów, węgielny kamień położyłem. Rozpoczęta robota szła tak spieszenie, iż przed końcem jesieni cały gmach, wraz z mieszkaniem ogrodnika i czeladzi ogrodnówój, z murów wyprowadzonym i pokrytym został. Następującego zaś lata 1807, sufity, piece, podłogi, oraz wszelkie stolarskie i szklarskie roboty, podobnie przed jesienią ukończone były; i delikatniejsze rośliny, dotąd w ciasnej Gilibertowskiój oranżeryjce utrzymywane, wygodniejsze znalazły pomieszczenie.

Gdy rozpoczęte budowle tak szczęśliwie się dokonywały, wielka zachodziła trudność wynalezienia zdatnego do pielęgnowania coraz liczniejszych gatunków ogrodnika. Był wprawdzie w tym obowiązku od Giliberta jeszcze w Grodnie za ucznia przyjęty, Antoni Kiersnowski; lecz ten z praktyką wyższego ogrodnictwa zupełnie nieobeznany, a dla wieku i nałógów do doskonalenia się niesposobny, nie mógł w tych ważnych pracach użytecznym być mi pomocnikiem. W miesiącu więc października 1806

r., wyrobiwszy mu w uniwersytecie przyzwoite za długą służbę wynagrodzenie, od obowiązków uwolniłem. Na miejsce jego w tymże czasie, przyjąłem zaleconego z Mińska, Józefa Brzuszkiewicza; ten gdy wkrótce nierównie większym od pierwszego okazał się nieukiem, zaraz na początku wiosny 1807 r. oddalonym został. Po oddaleniu Brzuszkiewicza, wezwałem z powiatu nowogródzkiego Jana Leraka, który oddawna w wielu znakomitych domach służył, i miał sławę nie tylko dobrego ogrodnika, ale nawet i architekta ogrodowego. Przybył on d. 15 lipca tegoż roku, i w pierwszych zaraz początkach, tak w mnożeniu i pielęgnowaniu roślin, jak w dokonaniu trejbhauzów, należytej wprawy i gorliwości okazał dowody. Lecz w zimie następującej, porobiwszy sobie w mieście liczne związki i znajomości, tak się tym zabawom towarzyskim oddał, iż zaniechawszy zupełnie pielęgnowania roślin, próżnym i niepożytecznym dla kassy ogrodowej stał się ciężarem.

Zawiedziony tym sposobem w oczekiwaniu mojem, napisałem list do księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, z prośbą, o przystanie mi, jeśli być może, ze sławnego puławskiego ogrodu obeznanego jakiego z początkami ogrodnictwa młodzieńca. Księżę ten oddawna wielce mi przychylny, znajdował się podówczas w Wiedniu; tam mając sobie od naczelnego rządcy cesarskiego w Schönbrunie ogrodu Boos, zaleconego młodego czeladnika Jana Pipera, kontrakt z nim niezwłocznie zawarł, i kosztem własnym do Wilna przysłał.

Przyjazd tego ogrodnika d. 15 czerwca 1808 r. tém bardziej był pożądany, iż właśnie w tym czasie zdarzyła się szczęśliwa zręczność nabywania licznych i w rzadkie gatunki bogatego roślin zbioru. Generał Beningsen, będąc przed niejakim czasem w Elblągu, kupił za 1000 duk. znakomity zbiór roślin trejbhauzowych, i te do Zakretu sprowadził. Zbioru tego połowę odstąpił hrabinęj z Potockich Choiselowej; że zaś trejbhauzy jęj w Pawłowie nie były jeszcze ukończone, łatwo otrzymałem, iż prezimowanie tych roślin w nowo zbudowanych trejbhauzach naszych, staraniu mojemu poruczyła, z tym korzystnym warunkiem, iż wszystkie gotowe i zrobić się mające duplikaty, własnością botanicznego ogrodu pozostać miały. Tym sposobem zdobyłem ryczałtem i w jednym dniu kilkaset kapskich, nowoholandskich, amerykańskich, po większej części rzadkich, dorosłych i okazałych gatunków, a zbiór ten był pierwszą zasadą bogactw, które ogród nasz dziś zdoła i na przyszłość zdołać będą.

W tymże roku 1808 uniwersytet na przedstawienie moje, nabył od żyda Markusa Berenta, za rub. sr. 2100 plac niegdyś pojezuicki, na prawym brzegu Wilenki pod górami krzyżową i bekieszową położony: przez co ogród zyskał w przestrzeni dwa morgi i prętów 98,22' ziemi do

uprawy roślin zdatnej, i dom browarny murowany, który na wygodne mieszkanie łatwo zamienionym być może (1).

Tak więc w jednym prawie roku, wzniosłem pierwsze do pomieszczenia gorącej i umiarkowanej strefy roślin nieodbitie potrzebne budowle; zdobyłem bez żadnego kosztu okazały zbiór rzadkich gatunków; podwoilem zbyt ograniczoną pierwiastkową przestrzeń przeznaczoną pod ogród ziemi, i sprowadziłem zdatniejszego do kształcenia tego zakładu i pielęgnowania przyszłych bogactw ogrodnika. Lecz te same tak pomyślnie wypadki, dawały czuć dotkliwie niedostateczność rocznego etalem przeznaczonego na ogród funduszu. Summa bowiem 900 rubli, ledwo wystarczająca na utrzymanie obecnego rzeczy stanu, o dalszych, również nieodbitie potrzebnych budowlach i o stopniowanym wzroście bogactw, iżby te z czasem innym podobnym wyrównywały zakładom, myśleć prawie nie dozwalała. Wielkiem to było dla ogrodu szczęściem, iż wtedy właśnie Jan Śniadecki urząd rektora w uniwersytecie sprawował. Szanowny ten miłośnik nauk i znawca, przychylając się do żądania mojego, najprzód radzie d. 1 grudnia tegoż roku nieodbitą potrzebę podwojenia rzeczonych ilości z przychodów beneficyalnych, potem ministrowi Razumowskiemu przedstawił. Na co gdy minister chętnie zezwolił, zaraz od początku r. 1809 po 1800 rub. sr. na potrzeby ogrodu pobierać począłem.

Pierwiastkowym opasaniem ogrodu były, jak się rzekło, z chrustu uplecione płoty i nizkie ze starych po większej części materiałów parkany, które zbiorów roślinnych od napaści bydła i ludzi nie ubezpieczały, a bezustannie rozkradane, ciągłego i kosztownego potrzebowały odnawiania. Dopiero w r. 1810 poczęto stawiać murowany parkan, i ten ze strony ulicy od końca domu mieszkalnego, aż do upustu przeciągniono. W r. 1811 podobnyż parkan od upustu w dół Wilenki na 310 łokci przedłużono; całkowite zaś opasanie murem, dopiero w r. 1815 dokonaniem zostało.

Roku 1810, gdy liczba roślin trejbhauzowych znacznie się pomnożyła, a wysokość pierwszego gorącego trejbhauzu do pielęgnowania młodszych zwrotnikowych gatunków, niedogodną się okazała: z oszczędzonej od summy ogrodowej pozostałości, nowy, nizki, naprzeciw wysokiego gorący trejbhauz wystawiłem. W roku następującym 1811, z podobnegoż

(1) Wymieniona tu przestrzeń nabytego od Berenta placu, o samą tylko kwaterową płaszczyznę i pochyłość podgórze, rowem opasanej, ma się rozumieć; ogółem zaś obręb jego w granicach swych jest nierównie obszerniejszy, z czasem należycie uprawiony i obwarowany, tak ku ozdobie całego ogrodu, jak ku zasadzeniu wielu drzew i krzewów, mianowicie ponad brzegiem Wilenki, przydatnym będzie,

oszczędzenia, drugi nizki, téjże obszerności, na gatunki kapskie i oranżeryjne zbudowałem.

Rok 1812 wojennemi klęskami pamiętny, tę tylko w gospodarstwie ogrodowém uczynił przeszkodę, iż gdy wszystka czeladź częścią do wojska się udała, częścią do domów się rozeszła; pozostawszy sam jeden z ogrodnikiem, więcej niż przez siedm miesięcy z niewprawnymi i codziennie prawie odmieniającymi się wyrobnikami, wszystkie około gruntowych i trejbhauzowych roślin prace ułatwiać musiałem. Chlubném zaś to było dla mnie i na zawsze pamiętnóm zdarzeniem, iż Cesarz Alexander I, założywszy swą główną kwaterę w Wilnie, ogród botaniczny w towarzystwie generała Ożarowskiego zwiedzić i o stanie tego zakładu uprzejmie ze mną rozmawiać raczył.

Roku 1816 hrabia Mikołaj Rumiańcow kanclerz państwa, darował uniwersytetowi i przysłał z Petersburga brązowe popiersie Linneusza, do postawienia w ogrodzie botanicznym. Postawienie to, dla niedostatku wtedy dogodnego miejsca, do dalszego czasu odłożyłem.

Roku 1817, most drewniany na Wilence dla przechodu z lewej strony na prawą, gdzie świeżo kwatery urządzone i roślinami zasadzone były, zbudowany został. Około tegoż czasu, stary od Berenta wraz z placem nabyty browar, na wygodne mieszkanie był przerobiony.

W połowie r. 1818, ogrodnik Piper, upatrzyszwy dogodniejszą sobie służbę w cesarskim białostockim ogrodzie, niespodziewanie i bez poprzedniego wypowiedzenia, zażądał niezwłocznego od obowiązków uwolnienia. Mogłem wprawdzie, mocą kontraktowych warunków, oprzeć się temu niewczesnemu żądaniu; lecz przewidując więcej szkody, niż korzyści z minowolnego i przymusowego dłuższego jego pobytu, zgodziłem się na takowe uwolnienie; tém chętniej, iż dla zwyczajnej narodu swego i wychowania szorstkości, coraz przykrzejszym i nieznośniejszym się stawał....

Przysłany z Rygi tymczasowy zastępca jego, Jan Heller, zaraz na wstępie zupełnie niezdatnym się okazał. Nieuk w ogrodnictwie, nałogowy pijak, pośmiewisko uczniów ogrodowych; gdy w zbliżonej jesieni zbiór nasion rozpoczął, zniósł wszystkie gatunki, i porządną ich dotąd nomenklaturę tak zatart, iż długiego potóm czasu i mozolnej pracy potrzeba było, nim należyty w téj mierze porządek na nowo przywrócić mogłem.

Po oddaleniu Hellera d. 31 grudnia, zostałem znowu bez ogrodnika, a cały ciężar pielęgnowania zamożnego już w rzadkie i kosztowne gatunki zbioru na mnie samym się oparł, bez nadziei prawie rychłego temu nie-

dostatkowi zaradzenia. W tém przykrém położeniu, w podwojonej gorliwości mojej i między własnymi uczniami, musiałem szukać pomocy.

W liczbie uczniów ogrodowych, najdawniejszym wtedy był Kazimierz Korcuć, słabego wprawdzie objęcia, lecz zarozumiałością nie zarazony, młody, trzeźwy, stateczny. Ten pracując pod bezpośrednim kierunkiem moim przez rok cały, i postrzegając wstręt mój do zagranicznych wędrowników, a ztąd tuszając sobie niemylnie prawie osiągnięcie korzystnej w ogrodzie służby, tyle się do różnych manipulacyj przyłożył, iż i innie do końca zawodu mojego dogodnym był pomocnikiem, i dla następcy mego, jeżeli niezupełnie biegłym, przynajmniej dość wprawnym i z miejscowością obeznanym będzie ogrodnikiem.

Roku 1821 założyłem trzeci nizki trejbhauz, do pielęgnowania szczególniejsz kapskich i nowo-holandzkich gatunków przeznaczony, i ten z oszczędzonej ogrodowej summy, przed jesienią tegoż roku zupełnie dokończyłem.

Każdy nowy zakład, a mianowicie naukowy, bardzo powoli wzrasta, doskonali się i wzbogaca. Wzrost téż ogrodu mojego tém był powolniejszy, im liczniejsze na wstępie i w całym dwudziesto-siedmio letnim przeciągu trzeba było pokonywać trudności. Niezbędne w samych początkach ze Spitznaglem niesnaski, jezuicka ku mnie Porzobuta niechęć, opór Strojnowskiego, i długo zwlekane zbudowanie trejbhauzów; szczupłość pierwiastkowego, i niedostateczność etatowego funduszu, brak dobrego ogrodnika, odległość od botanicznych ogrodów, drogosc opłat pocztowych w posyłkach i korespondencyi zagranicznej: tego były jawne i każdemu wiadome przeszkody, dla których ogród nasz, mimo całej usilności mojej, nie mógł rychlej powstać, i w bogactwach swoich wyrównać innym podobnym zakładom. Pochlebiam jednak sobie, iż żaden prawdziwy znawca, widząc i zewnętrzną postać, jaką miejscowe położenie nadać mu pozwoliło, i stan zbioru, do jakiego go doprowadziłem; nie odmówi mi téj sprawiedliwości, iż gorliwie i z należytą rzeczą znajomością, w powołaniu mojem pracowałem.

Stopniowany wzrost bogactw ogrodowych, okazują co drugi rok prawie drukowane katalogi w następującym chronologicznym porządku. W roku 1802 było już 1,072 gatunków; w r. 1804—1526; w r. 1807—1958; w r. 1808—2,000; w r. 1809—2,400; w r. 1810—2,872; w r. 1811—3,410; w r. 1814—3,861; w r. 1815—4,366; w r. 1817—4,635; w r. 1819—4,951; w r. 1821—5,570; w r. 1824—6,565.

Winienem tu wymienić z należytą wdzięcznością imiona tych szanownych krajowych i zagranicznych mężów, którzy już z prywatnych swych zbiorów, już z publicznych, któremi zarządzali, ogrodów, nasionami i ży-

wemi roślinami hojnie mię wspierali. Zpomędzy ziemków naszych szczególną w tej mierze szczodrotą odznaczali się: pp. Platerowie z Daugieliszek, Adam Chreptowicz ze Szczors, Xawery Niesiołowski z Woronczy, Eustachy Karp' z Johaniszkiel, Mikołaj Rumiańcow z Petersburga i Homla. Z publicznych krajowych ogrodów, professorowie: German, Ledebour i ogrodnik Wejnman z Dorpatu, tenże później z Pawłowska; pr. Hoffman z Moskwy, Dr. Fischer z Gorynek, Szejt z Krakowa, tenże później; Besser z Krzemieńca, Esterejcher z Krakowa, Szubert z Warszawy, ogrodnik Bartels z Charkowa. Z ogrodów zagranicznych: rządca królewskiego ogrodu Otto z Berlina, prof. Sprengel z Hali, Schrader z Göttyngi, Thouin z Paryża, Broussonet z Montpellier i t. d. Kupiłem zaś za pieniądze znaczną ilość rzadszych nasion u dr. Hauneman w Londynie, a rozmaite w różnych czasach żywych roślin gatunki, u ogrodników: Zigra i Wagner w Rydze, Cels i Noisette w Paryżu, Brejter w Lipsku, Sejdel w Dreznie, Senff w Królewcu i Buck w Petersburgu.

Takito był początek, taki wzrost tego pierwszego w kraju naszym botanicznego zakładu, i taki stan jego w końcu roku 1824, gdy skołatany wiekiem i kłopotliwą a nieprzerwaną przez dwadzieścia siedm lat pracą, za uprzednią prośbą od professorskich obowiązków uwolniony zostałem. Następcy moi, mając staraniem i zabiegami mojemu przetrzeń jego należyte rozszerzoną, budowlę] trejbhauzowe ukończone, a co najbardziej, fundusz na utrzymanie podwojony: mogą go, wedle swój myśli i upodobania, zdobić i piększyć. Lecz niech pomną, że w oczach prawdziwych znawców sama tylko liczba, wybór i rzadkość gatunków, oraz doskonałe ich pielęgnowanie są rzetelną zaletą botanicznego ogrodu; że nauka i oświata młodzi są jedynym tego zakładu celem, a ubieganie się z jakiegokolwiek względu, za zmiennemi i niestatecznemi gustu fantazyami, jest próżném czasu i funduszu marnowaniem, jest zgubném tego celu uchycieniem.

Dodatek.

Zaraz na wstępie, gdy ogród botaniczny zakładać się począł, okazała się we wszystkich klassach publiczności silna i powszechna dążność podbicia go, iż tak rzekę sobie, i zamienienia w miejsce otwartej, rozrywkom poświęconej przechadzki (1). W roku 1799, biskup wileński Jan Nepo-

(1) Nie było wtedy jeszcze w blizkości miasta żadnego wygodnego do publicznych przechadzek miejsca; a bulwary dzisiejsze, dopiero później przez wojennego gubernatora Korsakowa, utworzone zostały.

mucen Kossakowski, powziął myśl założenia publicznego dla przechadzki ogrodu pod górą zamkową, na placach zniesionego niedawno szpitala rochitańskiego. Ogród ten, jednym mostem z botanicznym, a ztąd drugim z bernardyńskim miał być połączony; tak, iż trzy te różnej natury i różnego przeznaczenia place, wzdłuż zakrętów Wileńki, od kościoła katedralnego aż na przedmieście Zarzeczne, nieprzerwaną stanowić miały przechadzkę. Mimo najgruntowniejsze z méj strony przedstawiania o niedogodności i nieprzyzwoitości tego bezprzykładnego wcielenia naukowego zakładu w ogród rozrywkowy (1); cywilny wileński gubernator Friesell, w połowie tegoż roku wyznaczył szczególny komitet, który ułożeniem planu i kierowaniem robót miał się zatrudniać. Jerzy Wielborski marszałek dworu, Józef Kossakowski brat biskupa, profesor Regnier wraz ze mną do składu tego komitetu wezwani byli. Fundusz zaś na rozpoczęcie i dokonanie tak rozległego i kosztownego dzieła, złożyć miała publiczność, do której hojności i gorliwości, biskup czułą i wymowną napisał odezwę. Lecz gdy publiczność ku czynieniu podobnych ofiar żadnej

(1) Niektórzy przesądem i namiętnością powodowani, twierdzili i twierdzą, iż botaniczne za granicą ogrody, służą wszędzie za otwarte dla publiczności przechadzki. Co jak jest mylném, kilka następujących okaże przykładów. Ogród botaniczny instytutu francuzkiego w Paryżu, *l'Ecole de Botanique*, kratą żelazną od publicznej przechadzki jest oddzielony, i nikt doń bez pozwolenia na piśmie od administracyi, wchodzić nie może; straż wojskowa przy bramie postawiona, ściśle tego przestrzega. W Wiedniu wszystkie kwatery ogrodu uniwersyteckiego, gestami morwowemi szpalerkami są opasane, a wejścia do nich zamknięte; tak, iż bez wiedzy profesora lub naczelnego ogrodnika, nikt do nich nie ma wstępu. We Wrocławiu ogród uniwersytetu podobnież ściśle jest zamknięty, i prócz dni piątkowych latem, nikt tam nie uczęszcza, a wszedzszy dla ciekawości, do późnego wieczora przechadzki nie przedłuża. W Berlinie, lubo królewsko-unwersytecki ogród samém swém od miasta oddaleniem bezpiecznym jest od częstych i tłumnych odwiedzin publiczności; wszelako prócz dwóch dni w tygodniu, i to za wyraźném rządcy pozwoleniem i z przydanym od niego przewodnikiem, nikt tam nie wchodzi. Dowodem tego jest następująca w gazecie berlińskiej 1814 r., 4 maja ogłoszona ustawa: *Häufige Besuche zu ungelegener Zeit machen die wiederholte Bekanntmachung nöthig, dass der königl. botanische Garten, nur Freitags Nachmittags, und Sonntags Morgens den Besuchen des Publicum offen stehet; sonst aber jedem, den nicht Berufungsgeschäfte hinführen, verschlossen ist. Wer die Anstalt in den genannten Tagen in Augenschein nehmen will, hat sich dem königlichen Garten-Inspector, Herrn Otto zu melden, und durch eine von diesen dazu beauftragte Person umherführen zu lassen. II. Lichtenstein Dr. interimistischer Director des königl. bot. Gartens.*

Podobnemi ustawami i we wszystkich innych krajach, należne naukowym zakładom poszanowanie i całość zbiorów jest zabezpieczona.

nie okazała skłonności; komitet na pierwszym posiedzeniu d. 2 września skończył swe obrady, a projekt w zupełne poszedł zapomnienie.

Wkrótce jednak, gdy opuszczone dawniej i mało komu znane soro-kiskie pustynie przyjemniejszą i foremną wzięły postać; gdy kwatery roślinami, a rabaty kwiecistemi okryły się krzewami; gdy wzniosł się okazały gmach pierwszej oranżeryi i trejshauzów: publiczność nie znając i nie umiając cenić istotnego w tym zakładzie celu, wszystko to dla swojej tylko wygody utworzonem być mniemała, a na hasło skarbowego ogrodu, rzuciła się tłumem na tę niby umyślnie dla siebie przygotowaną i wystawioną zdobycz.

Kto przed dwudziestu kilku laty był świadkiem niskiego jeszcze w prowincjach naszych cywilizacyi stopnia; kto widział, jak ziomkowie nasi mało wtedy cenili i poważali nauki, uczonych i naukowe zakłady: ten tylko sobie wyobrazić może, na jakie ztąd nadużycia ogród nasz w pierwiastkach swych był wystawiony. Twórca nowego tego i dotąd w kraju nieznanego przybytku Flory, sam jeden opiekun i obrońca całości coraz wzrastającego roślin zbioru, nie mogłem być obojętnym na to, co albo we względzie obyczajów świętość tego miejsca kaziło, albo w pielęgnowaniu z wielkim kosztem sprowadzonych ziół i krzewów, nieuchronną czyniło przeszkodę, albo w całości ich częstokroć nienagrodzony zadawało uszczerbek (1). Zacząłem więc utrudniać i ile możności ograniczać to tłumne i bezwarunkowe, od poranka do późnej nocy trwające, nieprzyjaznych gości odwiedziny; zacząłem dla natrętnie wciskających się umyślnie nawet w przechadzkach zrządać niedogodności. W tej gorliwości o dobro, przystojność i bezpieczeństwo naukowego zakładu, mało wspierany od uniwersytetu (2), głośno i powszechnie na mnie ściga-

(1) Pierwsze egzemplarze rzadszych wtedy gatunków: *Cactus mamillaris*, *Gloxinia speciosa*, *Lilium superbum*, *Tulipa suaveolens*, i t. d. przez nieprawych i nieobyczajnych amatorów wykradzione zostały.

(2) Roku 1804, miesiąca kwietnia 27 dnia, rząd uniwersytetu, chcąc powściągnąć natrętność wdzierającej się do nowo założonego ogrodu publiczności, postanowił, i u wrót ogrodowych zawiesić kazał, następujące urządzenie:

„Imperatorski uniwersytet uważając istotną potrzebę porządku, względem wpuszczania różnych osób do ogrodu botanicznego, który, będąc przeznaczony do nauki, nie może służyć do przechadzki ani publicznej, ani prywatnej czyjékolwiek; postanawia następujące przepisy”:

1) „Ogród botaniczny ma być zawsze zamknięty; bez wiedzy i wyraźnego pozwolenia rektora uniwersytetu, lub profesora botaniki, nikt nie ma być wpuszczanym.”

2) „Professor botaniki będzie dozwalał wejścia do ogrodu botanicznego, osobom dobrze wychowanym, i w przyzwoity sposób wstępu tego życzącym, nie dla przechadzki, lecz dla obejrzenia roślinnego zbioru; w zaufaniu, iż wchodzący i całość tego zbioru, i samo miejsce nauce poświęcone, należycie szanować zechcą. Professor za każdą razą wyznaczy kogo do oprowadzenia, i ukazania tak całego zakładu, jak znakomitszych roślin gatunków; oraz wskaże godzinę, ku takowemu

gnąłem okrzyki. Nie dbałem wprawdzie o płóche młodzików i brukobojów przekąsy; lecz otwarte i dotkliwe grubijaństwa poważniejszych na pozór osób, owszem przesadzone do rządowych władz skargi i doniesienia, wiele gorzkich i dotkliwych zrządziły przykrości.

Niezrażony jednak temi przeciwnościami, i przekonany, że ogród botaniczny, bez uchybienia istotnego swojego celu, w publiczną i każdemu otwartą przechadzkę zamieniony być nie może; że młodzież wśród tych reductowych tłumów, zamiast nauki i oświecenia, znajdować będzie zepsucie i zgorzenie; że czeladź ogrodowa w pracach swych niechybnie będzie mieć roztargnienie: nieugięty miotanemi potwarzami, bronilem go z taką wytrwałością, iż nakoniec osłabiwszy nieco tą długą walką zbyteczną publiczności natrętność, spokojniejsze następcom moim zostawiłem władanie.

Falszem jest jednak, co niektórzy, w ostatnich mianowicie czasach głosili, iż ogród botaniczny ze wszech stron ściśle zamknięty, oczom ludzkim był nieprzystępny. *Naprzód*: studenci wszyscy kursu botaniki słuchający, mogli każdego dnia latem od godziny piątej do ósmej rano, swobodnie doń wchodzić i wszelkie rośliny pod otwartym niebem na kwaterach rosnące, przeglądać; a nadto: po każdej lekcji, po kilkunastu z kolei sam do trejbhauzów wprowadzałem, i tam rzadsze gatunki z obszernym wykładem przyrodzenia, ojczyzny, przymiotów ich i użycia, ukazywałem. Demonstracje takowe, zawsze do trzech godzin lekcye moje przedłużały. *Powtórę*: znakomitę urodzeniem lub wyższemi urzędami zaszczyconym, zagranicznym i krajowym gościom, oraz znawcom i miłośnikom roślinnej nauki, sam w każdej porze roku towarzyszyłem. *Potrzebie*: ktokolwiek zaś z miasta lub z prowincyi życzył sobie oglądać roślinne zbiory, i o to w przyzwoity sposób prosił, byli zawsze na pogotowiu urzędowi lub prywatni pomocnicy moi, którzy wyręczając mię, tym ciekawym przewodniczyli. Warunkowe to więc zamknięcie ogrodu, tak potrzebne do jego całości, bezpieczeństwa i przystojności, nie było nigdy przeszkodą tym, którzy w nim albo nauki, albo pożytecznej zabawy szukali.

obejrzeniu dogodną. Po siódmej godzinie wieczornej, oglądanie takowego, miejsca mieć nie będzie.“

3) „Gdy za wiedzą profesora będzie komu otworzony ogród botaniczny, libera nie ma wchodzić; a stróż ma szczególniej pilnować, aby psy na moment do ogrodu wpuszczane nie były.“

4) „Stróża powinnością będzie każdego czasu najpilniej postrzegać, aby rośliny i kwiaty przez nikogo nie były zrywane lub psute.“

Urządzenie to na mało wtedy cywilizowanej publiczności, żadnego prawie nie sprawiło skutku; owszem, kopie jego częstokroć zdzierane, i od grubijańskiej zgrai obelżywie deptane były, a przemocą wylamywane szlachety, utrudnione do ogrodu otwierały wejście.

FRYDERYK SZOPEN.

FANTAZJA

Włodzimierza Polskiego.

„A kiedy się rozśmieję, to jak za pokutę,

A kiedy będę śpiewał, to na smutną nutę.“

Malczewski.

I.

Czy słyszycie spod dłoni kobiety namiętnój,
Pieśni jego rozkoszne i dziwne uroki?
Czy widzicie w jej oczach ten ogień głęboki,
Jakby obłęd palący, a jak wióra smętny?

Czujecie, jak w tój nagłój i mistrzowskiej nucie,
Nietylko tonów przemoc duszę jej podbiła,
Lecz inne, nowe jakieś powstaje uczucie,
Jak krzywda bolejąca, głuche jak mogiła?

II.

A tony się płaczą; jak siecią pajęczą
Dokoła nas wiążą wrażenia nitkami:
I śmieją się, płaczą, i tęsknią, i dzwiczą,
Drżą w uchu, lśnią w oczach, i nikną nad nami.

Lecz w sercu zostają. Uśmiechem prorocтва
Daleką gdzieś palnę wskazują w pustyni;
A potem, jak w oczach namiętnój mistrzyni,
Drżą żalem tęsknoty, wrą bólem sieroctwa.

III.

Ból! sieroctwo!—To nie krzyki,
To wnikliwszej dźwięki mowy!
Tak jak oddźwięk tój muzyki,
Cichy, rzewny, pogrobowy.

Bó! sieroctwo!—To nie krzyki,
To jest prawdy dźwięk niemylny!
Tak jak oddźwięk tój muzyki,
Dziwny, smutny—ale silny.

IV.

Lecz cóż śpiewać wyrazami,
Gdy muzyka na pamięci,
Tak wonnemi myśl wieńcami
Opasuje—i tak smęci!....

Od mazurków wieńca zacznę,
Co to wrzkomo bałamutne,
Świetne, lekkie i dziwaczne,
A tak smutne, a tak smutne.....

„Jak to dziewczę, co to brata
Wciąż z wojenki się spodziewa,
I ze łzami warkocz splata,
I ze łzami piosnki śpiewa.

W taniec proszą rówiennice.
Choć do tańca jest ochota,
Dziwczę smutno skłania lice,
Bo gdzież tańczyć ma sierota?

Na bułanym wtém ktoś jedzie....
Dziwczę biegnie, klaszcze w ręce,
Obcy człowiek konia wiedzie,
A brat zginął na wojence” (1).

Smutne, smutne to mazurki!
Jak ta matka, co dla córki,
Na wesele przystrajała
Białą suknię.—Lecz martwica
Wnet poczuła—i zatrula
Tchem śmiertelnym córki lica.

Matka białą suknię szyła,
To też w białą przystroiła
Córki zwłoki—pochowała:
Śpij, śpij cicho—lilio biały!

V.

Teraz brzmi ów tańca dźwięk,
Co i w czapkach go tańczono;
Co na zwrocie w szablę szcęk,
Pas podjęto, was kręcono!

„Już się snują pary tłumne,
Wygolone głowy dumne.
Was sumiasty, lub ze szwedzka,
Ale mina tak szlachecka,

(1) Z pieśni gminnej.

Że kto nawet i z kielicha
 Jój nie pozna—to zjé licha!
 A tu przy nich tanecznicze,
 Tuk urodne,
 Tak rzewnością tchnące lice,
 Choć w robronach, tak swobodne!"

Polonezów jednak tony,
 Czasem tworzy dziwaczniejsze;
 Mazur smutny, rozżalony,
 Te bolesne, posępniejsze.
 Jakby dworek modrzewiowy,
 Nizki, stary, pochyłony;
 A na ganku od ogrodu,
 Siedzi starzec pogarbiony,
 Z szramą podłuż łysiej głowy,
 Patrzy w krwawy blask zachodu.

A tam—tam, ku zachodowi,
 Wiejski kościół, słomą kryty,
 Dalej cmentarz, i krzyż wbity
 Tu i owdzie. A starcowi
 Czoło marszczy się powoli,
 Gdy zachodu barwy chyże,
 Zrumieniły czarne krzyże:
 Jakby mówił: „Jam sierota!
 Krzywda losu czleka boli.
 W te-m cmentarza—proste wrota,
 Zawiół syna mego zwłoki.
 Drugi gdzieś tam w świat szeroki
 Pierzeł, i zniknął; zginął trzeci.
 Starzec! krzywdę mam bez dzieci.”

Jeszcze jakby z ust sędziwych,
 Wyszło kilka skarg za żywych,
 Ale w niebo spojrział stary
 I zapłakał—pełen wiary.

Wtém chłopczyna z jasnym włosem,
 I z oczyma niebieskimi—
 Wbiegł, i zaczął srebrnym głosem
 Nucić piosnkę.—Starzec z ziemi
 Znowu podniósł wzrok ku niebu;
 I tak słuchał piosnki wnuka,
 Jak rozrywki to się szuka,
 Kiedy wróci się z pogrzebu.

VI.

Teraz taniec ten niemiecki,
 Niby wesół—a tak inglisty,
 Tak powolny—a ognisty,
 Tak przelotny, i zdradziecki.

W jakież barwy kształtne, świetne,
Nowe, rzadkie i szlachetno,
Dziwne pieśni te ustroił!

Jakby dumał, jakby roił,
O mazurkach, krakowiakach,
Kołomyjkach, kujawiakach,
Śród Webera tęsknych czarów.
Jakby dumkę ktoś zanucił,
Śród Czarneho Lasu jarów,
A niedawno Dniopr porzucił.

VII.

A słyszycie marsz żałobny? —
Dzwony dźwięczą śpiew przedgrobny,
I karawan zwolna sunie,
Ten, co go to dają biędzie.

Na nim trumna, a na trumnie
Pałasz z czapką w krzyż złożone,
A za trumną nikt nie idzie.
Niebo szare, zachmurzone.

Ani trąba nie uderza
Wojennego marszu dźwięki,
Ani matki, braci jęki,
Nie zatęsknią na mogile
Sieroty — żołnierza.

Przecie nagle — ktoś na chwilę,
Wyjrzał z okien pałacowych:
Jakaś twarz kobiety blada,
Oczu szarych, włosów płowych,
I łza po łzie jój opada.

Czy sieroctwa współcierpienie?
Znała-ż tego, co chowają?
Dawnych marzeń, łez wspomnienie? —
Dość, że płacze... Dzwony grają.

VIII.

Lecz ziemi już dosyć!
Teraz trzeba lot wznosić!
I na Tatrów trza szczytach
Słuchać dźwięków potoku,
Gdy po siwych granitach,
Pędzi fale — o mroku.

Trzeba słuchać jak w borze,
Jodły szepeczą tak zcicha;
Trzeba słuchać, jak morze
Rozburzone oddycha.

Harmoniã letniej nocy,
Melodyã dziwnã mroku,
Tęsknã groźbã północy,
I poza-świat uroku.

Trzeba słuchem muzyka,
Pojąć, ująć, i stworzyć;
Trzeba drzwi te otworzyć,
Które gieniusz odnyka.

Tęczowych marzeń trzeba,
Odblaski pojąć lśniące,
Kiedy płynã do nieba,
Fantazyami tęskniące.

Albo dusza, gdy chmurna,
Pół boleje, pół śpiewa,
I w ustępy nokturna,
Żalów boleść wylewa.

Trzeba pojąć śpiewaka,
Gdy dla siebie śpiewa,
I lotem króla-ptaka,
Nad te góry i drzewa,
Nad ludzi, skrzydła wzbił.
A świat pierzcha daleko,
Jak mgła ranna nad rzekã,
Jak pył!

I czasem się zatrzyma,
Gdzieś nad wioskã płonąçã.—
Dym kłębam i się wzdyma.
Matki z twarzą cierpiącą
Do piersi tulã dzieci.
Płomień bucha czerwony,
On w niebieskie swe strony
Leci.

Trzeba wpoić się w żale,
W młodej duszy rozczary;
I zrozumieć, że w chwale
Najpiękniejsza korona
Ta, co łzami zroszona
Ofiary.

IX.

Bo nie wszystkim jest dane,
Umieć siebie wynucić,
I marzenia rozwiane,
Wstęgã chwały obrzucić.
I nie wszystkim też dane,
Pojąć chwały tój blaski,

I najdroższe klejnoty,
Z tej kosztownej przepaski,
Spoić w jeden strój złoty.

X.

Bo gieniusz choć z wszystkimi,
Sam przez życie przechodzi;
Tylu wiedzie na ziemi,
Ale sam schodzi.

Sam tylko jeden wśród ludzi wielu,
Których tak różna robota,
Łączy ją, wznosi do swego celu—
Sam tylko jeden—sierota.

XI.

Ból, sieroctwo, i wiary promieniące koło,
Przędę pieśni, w żałobnych kwiatów wieniec...
Tworząc postać z tych pieśni, ubrałbym jój czoło
W gwiazdy wiary, a w oczy wlałbym smutku zdroje.

Jednakże, by w nich świecił ten blask przenikliwy,
Ta moc cierpień, uniesień, co uświęca wzrok;
Usta ubrałbym w uśmiech tęskny i cierpliwy,
Dniem za nią, przed nią świecił—a wkłóło niój mrok.

XII.

Bo to mroku był śpiewak, tak cichy i łzawy,
Jak od listka akacyi drżący cień na ścianie;
A czasem tak posępny—lecz mało—jaskrawy,
Jak zachodu nad rzeką powolne konanie.

On swemi marzeniami, on swemi pieśniami,
Wszak o szarej godzinie najmiliej nas pieści;
On tęsknoty dźwiękami, i tęsknoty łzami,
Wyśpiewał chwilę żalu, siły, i boleści.

Ol to mroku był śpiewak! Dzień za nim daleki,
Przypominał mu słońca swojego odbłyски;
I ludził go, i nęcił, że świtania blizki,
Lecz mrok wieszczą swojego, omroczył na wieki.

XIII.

I losy skrzywdziły słowiańską ziemię,
Że smutku śpiewaka tak nagle zabrały;
I dzieciom jój licznym, zszepiło się lice,
Że o jednego, znów osierociały!

Ale ty błady, uroczy cieniu!
Już wynucieś, co nucić miałeś;
Ty na melodyi srebrnym promieniu
Leć, leć w te strony, którym śpiewałeś.

Pieśni twych tęskne, świetne przędziwo,
 Już się wieczystym snuć będzie ciągiem.
 Ty w sercach naszych, co biją żywo,
 Choć bez posągu—będziesz posągiem.

Leć, leć śpiewaku! To dzień twój świta!
 Leć bracie do braci swojej!
 Tam stary Bojan ciebie powita
 I gęśl rodziną nastroi.

Wzleć, wzleć wysoko znad ziemi szlaku,
 Tam Mozart ujrzyć cię żąda,
 Tam Weber tęskni, tam cię, śpiewaku!
 Wielki Beethoven wygląda.

Leć, leć śpiewaku! To dzień twój świta!

Leć bracie do braci swojej!

Tam cię z nich każdy pieśnią powita,
 I czoło blaskiem ustroi.

XIV.

Był ongi zwyczaj, że gdy chowali
 Zasłużonego rycerza w boju:
 Pili na stypie—pieśni śpiewali,
 By wędrowała dusza w spokoju.

Ty, śpiewak, w obcym usnąłeś kraju,

Obcy ci piasek w oczy się sypie;

Ja, według przodków naszych zwyczaju,
 Choć pieśń żałoby nucę na stypie.

PIENIĄDZE I KLEJNOT SZLACHECKI.

POWIEŚĆ.

Część pierwsza.

I.

Nierozsądek i śmieszności ludzkie, są nieuleczone: Moliere nikogo nie poprawił. P. Levrault zubożałszy się sprzedaż sukna przy ulicy Niewińskich, zamknął swój handel; ale raz z interesów wycofawszy kapitały, gorączka dumy i ambicyi, nierozsądnymi marzeniami głowę mu zawróciła. Trzeba by wierzyć, że złoto upaja podobnie jak wino. Skoro się ujrzał posiadaczem trzech milionów, ucziwie i pracowicie nabytych w sklepie swoich ojców, dzielny ten człowiek upojony majątkiem, odkrył, że bogactwo, które dotąd uważał za cel swego dążenia, było dopiero punktem rozpoczęcia nowego życia: uczuł potrzebę zupełnego przeobrażenia się, wydzwignienia z zaciemnionego stanowiska w którym dotąd przebywał, niejako wyklucia się jak motyl ze swój pupki, i wzniesienia do świetnej sfery, do jakiej czuł, że jest urodzony.

Z początku niepewne, trwożliwe myśli krążyły po głowie p. Levrault, i zwolna, nieznacznie ogarniały umysł; lecz później, przybrały olbrzymie rozmiary. Dalecy wówczas byliśmy od demokratycznych wyobrażeń, wyrodzonych z lipcowej rewolucyi; i pomimo tego, że arystokracja pieniężna w ogóle poglądała z niejaką pogardą na swą starszą siostrę, znalazła się przecież niemala liczba dorobkowiczów, którzy potajemnie wdychali do herbów i tytułu szlachty. P. Levrault wdychał prócz tego do przystrojenia swój figury w tożę magistracką; udział w zarządzie kraju wabił go do siebie. Wyzywające widma wszędzie, a nawet w czasie snu go ściagały.

Byłito ministrowie, parowie Francyi, szlachta, których znał niedawno; widział jednych w swoim kantorze, gdzie mu przynosili wexle do eskonty, drugich, kiedy im sprzedawał kazimierek z sławnych rękodziel-

ni w Elbeuf albo w Louviers. Używając nieustannie zwykłych wyrażen: „My wielcy rękodzielnicy, fabrykanci; my wielcy przemysłowcy“, skończyło się na tém, że zwolna zapominał, iż zebrał majątek ciulając grosz do grosza w szczegółowym handlu.

Lubił on przebiegać w myśli wszystkie artykuły, ukute dla stworzenia parów, i mówił sobie, że po skrupulatném obliczeniu, jeżeli zechce, może płacić 3,000 fr. bezpośredniego podatku. Pewnej nawet nocy miał sen, że jego odźwierny wręczył mu wielki zwit papierów, z nadpisem: „*do p. barona de Levrault*“. Drżącą ręką rozpieczętował pakiet, i znalazł w kopercio..... nominacyą na para Francyi!..... Nazajutrz jeszcze pod wpływem doznanego wzruszenia, dał 5 fr. odźwiernemu, który gubił się w domysłach, z kąd się wzięła ta hojność jego pana. W czasach, kiedy pieniądze mogły zdziałać cuda, podobny sen milionera, mógł się urze czywistnieć na jawie, gdyż nie cechował się niepodobieństwem.

Ztémwszystkiem nie ma wątpliwości, że żona zbogaconego handlarza, byłaby go porządnie wylażała za podobne marzenia, nie szczędząc śmiałych zastosowań, prostodusznych wyrażen; naprzykład:

„Levrault, jesteś głupcem; zrób mi tę przyjemność i usatkuj się. Nie mamy nic wspólnego z zaszczytami i tytułami; bogactwo samo z siebie jest pięknym darem, umiejmy go tylko skromnie używać; pieniądze niewszystko mogą, i niech co chcą mówią, zebrałiśmy trzy miliony, które nic a nie nie dodały do naszej osobistej wartości.“

„Idźmy ubitym już gościńcem, nie zapierajmy się przeszłości. Żyjmy nadal między ludźmi, którzy nas szacują. Im więcej się tobie przypatruję, tém większą mam pewność, że nikogo nie zdołasz omamić. Co do mnie, im mocniej się nad sobą zastanawiam, tém mniej znajduję w sobie zdolności do przedzierzgnięcia się w wielką damę. Nawzajem, jako znakomici kupcy, z bogaceni w handlu, któregośmy, zaprzestali, posiadamy i właściwą postawę, i to wszystko, z czém się w naszym obrębie, bez ubliżenia sobie i drugim pokazać możemy.“

„Porzuć te głupie myśli: nabądź jaki nieruchomy a korzystny majątek, którego wartość będziesz umiał powiększyć. Ponieważ masz ambycyą, więc zostań merem w twój dzielnicy, kuratorem w twój parafii. Zajmuj się połowem ryb na wędkę: byłato niegdyś twoja namiętna zabawka. Uprawiaj georginie, które lubisz, staraj się o przyjaciół, wspieraj biednych.“

„Na koniec zaślub twą córkę z młodzieńcem, któryby nie wstydził się jej rodziny, i nie lękał się kiedyś wspominać swoim dzieciom: „Wasz dziadek był godnym człowiekiem, handlarzem sukna przy ulicy Bourdonnais; jeżeli macie chleb powszedni, a nawet coś więcej, to go po największej części jemu jesteście winni.“

Oto są zdania, które pani Levrault nie omieszkałaby wynurzyć mężowi, i bez wątpienia udałoby się téj poczciwój kobiécie zwrócić go na drogę właściwą. Niestety! już od lat dziesiątka nie żyła, uniosłszy do grobu zdrowy rozsądek z swego domu.

Pan Levrault pojmował, że zaszczyty i godności, których tyle pragnął, nie zapukają same do jego mieszkania w antresolach przy ulicy Bourdonnais. Już zrobił rozbrat z przyjaciółmi, jednakże nie piérwój chciał rozpocząć nową epokę swego żywota, dopóki córka nie ukończy wychowania. Nie ułożywszy sobie jeszcze planu z którój strony ma przypuścić atak do podwoi wielkiego świata, przedmiotu tyle przez siebie pożądanego, rachował na natchnienia panny Laury Levrault, która odpowiadała godnie oczekiwaniom swego ojca.

P. Laura Levrault, była wychowywaną na pensyi, jednéj z najwięcej arystokratycznych w Paryżu. Możeby jój nie odmówiono przydomku pięknej, gdyby ją kształcono stosownie do swojego skromnego stanu. Przeniesiona w towarzystwo córek hrabiów i margrabiów, wczéśnie wdzięk naturalny straciła; a jak ów wolny wróbel zamknięty w jednéj klatce z kolibrami, w poranku życia czuła poniżenie, nauczyła się cierpieć z powodu swego urodzenia. Żarty i uszczypliwe docinki, których jój towarzyszki nie szczędziły, powiększały cierpienia Laury. Dziewczęta bywają nielitościwe między sobą: sato już kobięty. Zamiast swawolnicom, które sobie z jój upokorzenia zabawkę robiły, odpłacać własną ich monetą; przeciwnie Laura, odżywiła w głébi duszy niechęć do sklepu, gdzie się urodziła, obrzydzała sobie całą ulicę Bourdonnais, a nawet swoje nazwisko, które ją do rozpacy przywodziło. Kiedy to szkaradne nazwisko Levrault, prawie zawsze z przesadą wymawiane, zabrzmiało w szkolnej sali, lub na przechadzce: wówczas drżała z boleści i czuła śmiertelne męki ze wstydu. Pewnego dnia wdziała strój sukieny; mała B... rzekła do niéj:—,Patrz, masz ubiór, za który tylko od roboty zapłaciłaś.“ I wszystkie towarzyszki na ten przycinek parsknęły śmiechem, prócz Laury lzy swoje tłumiącój. Innym razem zrobiono zapytanie: czy który z jój przodków nie jeździł po złote runo? Wkrótce panny R... i C.... obznajmione już z heraldyką, zajęły się utworzeniem dla Laury tarczy herbowej; było to zbyt mówiące godło. W polu zieloném leżał złoty łokieć, podtrzymywany przez dwóch srebrnych zajęcy, jakby do biegu za workiem piéniędzy. Laura przypłaciła to chorobą.

Temi sposobami w każdém zdarzeniu, zatrutowano i odnawiano jój rany. Zostawiam wreszcie domysłowi, jaką sympatyą, i tajemne porozumienie, takie wychowanie musiało sprowadzić między panem Levrault,

a jego córką; obie te próżności spotkawszy się na jednej drodze, musiały się zrozumieć i wspierać wzajemnie.

W osmnastym roku życia Laury, zgodzono się na nazwanie jęj piękną: biała, rumiana, miała śliczne włosy ciemne, oczy w ładnej oprawie, czoło gładkie, kibić wysmukłą, a w całej postaci przebijało się coś niepospolitego. Jęj pochodzenie nie zdradzała owa cecha, którą się w sklepie nabyma, a którą jeszcze umiała bez wysilenia pokryć.

Uważając Laurę ze strony moralnej, jęj charakter nosił piętno rzeczywistości: wyobraźnia czerstwa, serce pewne siebie, które się nigdy nie zabląkało w krainy marzeń i utopii. Próżność lodowatęm technieniem ścieła w nięj wszelki kwiat, tak pięknie rozwijający się i zdobiący poranek życia dziewczycy. Gdyby matka Laury żyła jeszcze, byłaby bez wątpienia umiała wypielegnować piękne zarody, które duma zabiła. Zawczasie oddana sama sobie, zaniedbała Laura, jako nieużyteczne chwasty, wszelkie dobre przymioty, a hodowała im przeciwnę. Popęlnilibyśmy niesprawiedliwość, gdybyśmy chcieli odmówić jęj talentów, zwykłe wiek młodych dziewczycy zdobiących. Ciągłe poniżana przez swe towarzyski, nie zaniedbała niczego, częmbym się nad nie wznieść mogła. Posiadała niezłe muzykę, i malowała widoki z tą zręcznością, jakięj tylko można wymagać od tego, co pięknej natury nigdy nie widział. Uczyla się grać od Fryderyka Chopin, a malować od Pawła Huet, zawsze przez próżność. Po ukończeniu pensyi zaszczytnie, poznawszy bogactwa ojca, łakomy wzrok utopiła w świetną przyszłość, jaka się przed nią jawiła. Nie zbywało jęj na przenikliwości w zrozumieniu swego położenia: że z milionem posagu a dwoma spodziewanemi, nie może żądać, ażeby ją kto zaślubił z miłości. Miłość ją bynajmniej nie zajmowała. Co do małżeństwa, utworzyła sobie Laura pojęcia bardzo jasne i stanowcze. Wiedząc, że człowiek żądający jęj ręki, będzie w tym związku upatrywał prosty interes; chciała sama zająć się wyborem męża, zgodnie i odpowiednio jęj ambicyi. Oświadczyła tęż bez ogródki i stanowczo ojcu, że nie zaślubi innego, tylko szlachcica. Pan Levrault przycisnął do piersi swą córkę, własną krew w nięj poznając. Zresztą, byłto jedyny i najprędszy sposób wciśnienia się w towarzystwo, do którego pałał żądzą należeć. Nie tał on przed sobą, jaka przepaść rozdziela go od zamiaru; ale przepaść tę spodziewał się przebyć szczęśliwie na barkach swojego zięcia.

Szło tylko o to, aby go wynaleźć: bo tęż bez wątpienia nie znajdował się przy placu Niewiniątek. Pan Levrault wmówił w siebie, że ze wszystkich departamentów Francyi, stara Bretania była najobszarsza w starożytnę szlacheckie rodziny, że tam zamki były tak liczno, jak chatki. Stanowczo wierzył, iż wieżycę wyrastały tam jak grzyby. A więc trzeba się

usadowić w Bretanii; tam trzeba rozwinąć blask bogactwa, i zastawić złote sidła, w które miał się uwikłać ów fenix zięciów. Taki plan ułożywszy, p. Levrault napisał do notaryusza w Nantes, którego znał jako dependenta w Paryżu:

Mój kochany panie Jolibois!

„Nareszcie nadszedł czas spoczynku w świecie, którego ton i zwyczaje z moim smakiem się zgadzają. Wśród zatrudnień przemysłowych, często marzyłem o schronieniu na starość, uświęconém przez wielkie imiona w naszej historii. Bretania zawsze mnie wabiła swemi bohaterскими wspomnieniami.“

„Laura, której dałem jak powinienem najświetniejsze wychowanie, godne jej stopnia, nieraz opowiadała mi o téj ojczyźnie rycerzów. Nie zadziwi cię przeto doniesienie, że mam zamiar kupić w Bretanii jaką bogatą posiadłość. Pragnę tylko, mówiąc językiem pospolitym, nie kupować kota w worku.“

„Nim się na to zdecyduję, uważam piérwój za konieczność przejrzenia tego kraju, poznania miejscowości, zbadania zwyczajów. A więc kochany panie Jolibois z całą ufnością udaję się do ciebie. Najmij dla mnie na cały rok jaki zamek w okolicy Nantes, którego położenie, dałoby mi sposobność zawiązania stosunków towarzyskich z sąsiednią szlachtą. W ciągu roku będę mógł zbadać całą prowincyą, a tym sposobem łatwo zrobić wybór. Uważam za zbytęcną wzmiankę, iż pragnę żyć wspaniale, i prowadzić dom na stopę magnata, bo tego zapewne się domyślasz. Rachuję nawet na pana, że zajmiesz się urządzeniem wszystkiego, zacząwszy od przedpokoju, aż do psiarni; od piwnicy do stajen, od podwórza aż do salonu. Wyjąwszy garderobianęj mojej córki, całą służbę spodziewam się zastać na miejscu. Byłoby mi przyjemnie, nie ukrywam tego, gdybym mógł znaleźć koło siebie kilku sług starych, ówych typów poświęcenia i wierności, dla których zamek pana, jost kolebką i miejscem śmierci;] staraj się zwerbować czterech lub pięciu takich zuchów. Niechaj wszystko będzie gotowe na nasze przyjęcie; nie oszczędzaj niczego, mam trzy miliony. Życie, które zamierzam prowadzić, będzie ciągiem uroczystości i gościnności książęcój. Niech wiedzą w całej okolicy, kto jestem. Uprzedź sąsiadów o moich pracach, zamożności; jedném słowem, żebym był upragnionym, oczekiwanym.“

„Jakkolwiek nie będę żył tylko z najwyższą arystokracją tameczną, jednakże dla ciebie kochany panie Jolibois, będą zawsze otwarte drzwi mojego gabinetu, i kiedy niekiedy przybędziesz, upolować ze mną jelenia. Już naprzód raduję się samą myślą, że zakończę dni w ojczyźnie Clissońów i Du Guesclinów. Laura często mi wspominała o tych panach, i o ich

dzielnosci oręza: jakże będę szczęśliwy poznać godnych następców, ugościć ich przy mym stole. Nie przepomnij tylko, żebym miał pod ręką sam kwiat arystokracji, i oglądał z moich okien z jaki tuzin zamków starodawnych, z wieżycami, fosami i mostami zwodzonymi.“

Bądź zdrów mój kochany panie Jolibois. Liczę na twoją akuratność jak ty możesz rachować na moję przychylność.

„Levrault“.

Szczególnym trafem, notaryusz byłto człowiek dowcipny i przebiegły. Co do mnie, znałem takich dwóch lub trzech, którzy się znajdowali w podobnym zdarzeniu. Pomocnik notaryusza w Paryżu, w trakcie kupienia posady na prowincyi, nadskakiwał milionom pana Levrault, a nawet pewnego dnia ośmielił się odezwać o rękę panny Laury. Mówił on sobie, że jeżeli książę de Lauzun myślał o zaślubieniu wnuczki Henryka IV, Stefan Jolibois może sięgnąć po rękę córki p. Levrault. Ale p. Levrault z pyszną pogardą przekonał go, że się grubo mylił. Stefan Jolibois cichaczem się wycofał, bez nadziei odśluzenia kiedyś dumnemu ojeu Laury. P. Jolibois mimo całej urzędowej powagi, zacierał ręce z radości, czytając list niedoszłego teścia, który mu pożądaną sposobność odwetu nastęczał. Głupstwo i prostactwo wiejące z tego pisma, wyzwalyby do szyderstwa umysł najmniej obraźliwy. Młody, wesoly, lisowaty, p. Jolibois uchwycił skwapliwie sposobność zemszczenia się za odkosz, która mu za jednym zamachem nastęczała wyborny interes do zrobienia. W ośm dni potóm tak odpisał panu Levrault:

„Pośpieszam donieść ci panie, że nająłem pałac odpowiedni, ile sobie pochlebiam, wszelkim wymaganiom pańskiego stopnia, i jego delikatnemu smakowi. Jestto piękny zamek tegoczesnego stylu, nad brzegami rzeki Sèvres położony, wpośród Tifauge i Clisson, o ośm mil od Nantes. Nie waham się powiedzieć, iż dumny jestem z tego, a razem uszczęśliwiony, iż mogłem tak spiesznie usprawiedliwić położone we mnie zaufanie. Bez straty czasu, zająłem się urządzeniem domu na stopę, odpowiednią stanowisku, jakie pan w świecie zajmujesz. Niczego nie zaniedbałem, i cieszę się myślą, że będziesz pan zadowolony. Za piętnaście dni wszystko będzie gotowém na pańskie przyjęcie. Bez wysilenia pojąłem całą wzniosłość myśli jego: chcesz żyć z równemi sobie. Z tym taktem i pewnością, które z pana zrobiły orła przemysłowców, zwróciłeś uwagę na jedyny zakątek ziemi, godny, ażeby cię posiadał. Wybór towarzystwa o jakim marzyłeś, znajdziesz na twoich progach. Zamki w Tifauge, Mortagne i Clisson, wyciągają do pana ręce. Według pańskiego życzenia, mówiłem o nim. Okoliczna szlachta wie teraz kim jesteś, i pośpieszy na wyjści, ażeby cię przyjęc i ugościć zaszczytnie. Wić ona, że obecnie prze-

myśl dierży berto świata, i czuje dla pana poważanie z sympatyą. Nie myśl jednakże, aby kolosalny majątek miał jakikolwiek udział w tój serdeczności; owszem, osobista pana zasługa jest źródłem niecierpliwości, z jaką go oczekują. Od chwili zapowiedzianego przybycia pana, każdy mówi o nim; nie mogę zrobić kroku, abym nie był obarczony zapytaniami. Otaczają mnie, badają, aby się dowiedzieć, w którym dniu i godzinie pan przyjedziesz. Piękność jego córki budzi miłe wspomnienia z dawnych rycerskich wieków. Brakuje mi czasu do wyliczenia zaraz wszystkich znakomitych rodzin, napelniających zamki z pańskim sąsiadującą. Najmniej starożytne sięgają drugiey krucyaty. Panna Laura, której pamięć tak pięknie jest zbogacona, nie spotka bez wzruszenia o kilka kroków od pańskiego parku potomka Godefroi de Bouillon, szlachetnego starca, z którym rozmowa odłoni skarb pamiętek. Trochę dalej znajdzie ostatni odzimek rodziny, będącej przez parentele w koligacyi z Baudouenami, i Lusignan: jestto wice-hrabia Gaspar de Montflanquin. Młody, piękny, rycerski, zbyt może bezinteresowny, któryby nie potrzebował jak tylko zapragnąć bogactw, wyciągnąć po nie rękę: nowy dwór, dumny że go zdołał przyciągnąć do siebie, zrobi wszystko dla niego. Nosi on za herb lwa czarnego z ogonem widlastym na grzbiet obróconym; koroną, paszczą i pazurami czerwonymi, w polu srebrnym. W nadglówku na tle błękitnym 3 złote pieniążki."

„Wice-hrabia de Montflanquin będzie wam towarzyszył w wycieczkach, stanie się przewodnikiem w wyborze towarzystw i przyjaciół. Przybawajcie więc, spieszcie się. Przyjeżdżaj pan pod cienie Trelade (jestto nazwisko jego zamku) zapomnieć szlachetnych trudów, jakie zapełniały pański zawód. Bądź pan pewny, że nie nadużyję pozwolenia odwiedzania czasami jego gabinetu, któreś mi tak szlachetnie ofiarował; wiem jak wielki przedział nas rozłącza, jednak nie wyrzekam się przyjemności polowania z nim na jelenia. W przeciągu roku, jeżeli pan namyślisz się osiedlić w naszej Bretanii, mam nadzieję, iż liczyć go będę między swoich klientów; imię pana stanie się zaszczytem mojego urzędu.

Racz przyjąć WW. Pan zapewnienie mojego najwyższego poważania, z którym pozostaje sługa

„Jolibois”.

Tegoż samego dnia notaryusz Jolibois napisał drugi list następującej treści:

„Interes, jaki pan br. dla siebie umiałeś wzbudzić, skłonił mnie do uczynienia doń kroku w przedsięwzięciu bardzo delikatnym; spodziewam się, a nawet jestem pewny, że go stosownie ocenisz. Nigdy bez smutnego uczucia nie mogłem poglądać na porysowane mury pańskiego zamczy-

ska. Nieraz przypomniałeś mi sir Rawenswooda. Zawsze spotykałem p. hrabiego zamysłonego; nieraz przy pożegnaniu marzyłem o sposobach podźwignienia upadających murów jego domu. Nakoniec dzięki Bogu, nastęrcza się sposobność; do pana hr. należy jój nie opuszczać, od niego samego zależy odnowienie tarczy herbowej, odkupienie i zjednoczenie rozproszonych części dziedzictwa wice-hrabiów de Montflanquin”.

„Pewien mieszczanin-szlachcic, p. Levrault, który w handlu sukmem zyskał trzy miliony, zamierza kupić dobra w Bretanii. Nim się namyśli spełnić kupno, pragnie piérwój poznać kraj, i w tym téż celu najął mieszkanie na rok w zamku Trelade. W piętnastu dniach najpóźniej tu przybędzie. Znam go oddawna, patrzyłem jak dumniał; teraz chce się uszlachcić, a razem znaleźć zięcia, któryby mu udzielił paszport do krainy zaszczytów, i służył za szczebel do szczęścia, jak on je pojmuje. Z drugiej strony, panna Levrault radaby jak najprędzej zamienić swoje pospolite nazwisko na takie, któreby jój otwarło podwoje salonów i u dworu. Nie potrzebujesz pan jak tylko się przedstawić, a w trzy miesiące otrzymasz plac boju. Pojmuję, że to cokolwiek będzie pana hr. kosztować, aby się zmusić do takiego zjednoczenia; lecz chociaż mieszcanka, panna Laura jest piękną. W zamian za świeżą twarzyczkę, przebaczysz jój niskie urodzenie—a przytém, trzy miliony panie wice-hrabiol... Prawda, że cię pieniądze nie obchodzą: znana mi jest piękna dusza pana. Potomek starożytnój rodziny, z odwagą straty majątkowe znosisz: bo twe wielkomysłne serce, otoczyło się nieprzebitą tarczą na pociski losu. Nie idzie tu więc o pana, ale o utrzymanie świetności imienia swoich przodków. Trzy miliony, panie wice-hrabiol... Kości Montflanquinów wzruszą się, aby cię błogosławić. Nie trać czasu, a skutek niezawodny, bylebyś umiał trzymać w szachu rodzinę Rochelandierów; oni tylko są niebezpieczni, oni mogą walczyć z panem o wydarcie zdobyczy, jaką samo niebo ci zsyła. Staraj się pan hr. uprzędzić ich, i nie dozwoł, aby ci smaczny kąsek z przed ust sprzątnęli. Niech pan Levrault i jego córka nie zbliżą się do ich siedliska, niechaj im nawet przez myśl nie przejdzie, że istnieją jacy Rochelandierowie na świecie. Rachuję na pański dowcip, na ten miły rozsądek, którego wdzięku nikt nademnie lepiej ocenić nie zdoła.“

„Wspomnij pan hr. na ten piękny dzień, w którym z rąk teścia dostaniesz posag książęcy, jaki da swojej córce. Co za tryumf dla pana! jaka radość dla jego przyjaciół!—a uroczystość dla mnie spisującego waszą intercyzę!... Nie myśl pan hr. o nagrodzie dla mnie—o podziękowaniu; znasz moje uczucia dla pana, nie możesz przeto wątpić o rozkoszy jakiejś doświadczeni, niosąc mu tę małą przysługę. Być użytecznym dla

ludzi których kocham i poważam, służyć im bezinteresownie — jestto moja najmilszą zasadą”.

„Jeżeli interes przyjdzie do skutku, nie wymagam innéj nagrody za informacją, jak tylko zwrotu 80,000 fr., które pan hr. winien mojemu ojcu, a od których z dziesiątek lat przepomniałeś zapłacić mi prowizyi”.

„Racz pan hr. przyjęc zapewnienie uczuć poważania; ale powtarzam—strzeż się Rochelandierów.”—„Jolibois”.

I ten sam kuryer powiódł obie depesze.

W piętnaści dni potém, pocztowa kareta, do którój cztery konie były zaprzężone, stała przy ulicy Bourdonnais przed bramą domu p. Levrault. Ubożsi plebejusze byliby udali się drogą żelazną aż do Tours; pan Levrault chciał z całym blaskiem rozpocząć życie wielkiego pana, a zarazem zemścić się na wszystkich fiakrach, jacy go co niedziela przez 20 lat wytrzęśli naokoło Paryża. Konie parskały; pocztylion czekał na siodle. Sąsiedzi w oknach, z niejaką zazdrością śledzili ten wyjazd. W chwili opuszczenia na zawsze skromnego mieszkania, gdzie obok swéj żony, tyle lat spędził śród miłych zatrudnień, Levrault uczuł się wzruszonym. A Laura?... Laura z tryumfem radosnym toczyła wzrok po swoim pokoju; dla murów, które jéj przypominały niskie urodzenie, nie uczuwała żalu. Skoro się pojawili na progu domu, głowy ciekawych wychyliły się ze wszystkich okien, ciche chichotanie słychać było ze wszystkich pięt; żadna dłoń nie uścisnęła ich rąk na znak pożegnania.

Wsiedli odważnie do powozu, pocztylion trzasnął z bicia, i konie wnet ich uniosły z przed oczów ciekawych. P. Levrault uprzedził notaryusza Jolibois, o dniu i godzinie swojego przybycia do Trelade.

Nazajutrz po ich wyjeździe, pewien podróżny w ubiorze strzeleckim, wskoczył lekko na wiérzch dylizansu, udającego się z Paryża do Nantes: było wice-hrabia Kasper de Montflanquin.

II.

Domyślcie się, że podróż p. Levrault i jego córki, odbyła się śród rozkosznych marzeń. List p. Jolibois podrażnił jeszcze chętkę byłego kupca sukna. Wydatniejsze ustępy tego pisma, wyglądające jak bławatki wpośród zboża na polu, nie uszły téż uwagi panny Laury; tylko zamaskowanych drwin nie przeniknęła. Dlaczegożby miała niedowierzać p. Jolibois, nie wiedząc o tém, że śmiał prosić o jéj rękę? W wygórowanych pochwałach, nie upatrywała, tylko cześć przynależną bogactwom. Laura niczego więcéj nie pragnęła. Nawiasowo powiedzmy prawdę, że

panna Levrault, nie wszystkie pretensye ojca brała za dobrą monetę. Pochlebiała im dla swoich widoków; była jego współnicą, ale nie uczestniczką głupstwa. To téż, jak donosił Stefan Jolibois wice-hrabiemu Montflanquin, jedyném jój życzeniem, była zmiana nazwiska rzemieślniczego swój rodziny na takie, któreby jój otworzyło salony arystokracji i dworu. Przynęła ona sobie, że skoro już dopnie zamierzonego celu, wtedy dawca dni zajmie drugie miejsce w jój przoznaczeniu.

Co do p. Levrault, ten dumniejszy ze swoich talarów niż Montmorency z przodków, znajdował to rzeczą bardzo naturalną, iż szlachta bretańska z takim upragnieniem oczekiwała na jego przybycie i ugoszczenie. Spodziewał się traktować ją jak władza władzę, przy zdarzonej sposobności upokorzyć, a nawet górę nad tymi pankami pozyskać. Pan de Turcaret był dla niego tak dobrym, jak i pan Jourdain. Nietylko nie przypuszczał, aby komu przyszło do głowy żartować z człowieka posiadającego trzy miliony, ale i w piśmie p. Jolibois nie dostrzegał cienia, coby jego skromność mogło obrazić. List notaryusza umiał na pamięć, i w czasie kiedy konie galopowały wzdłuż brzegów Loary, on sobie go w myśli powtarzał.

Wiosna z całym przepychem się rozpoczynała. Od Blois aż do Saumur, droga jest czarująca. Cały zatopiony w sobie p. Levrault nie widział, i zaledwie kiedyniekiedy słówko przemówił. Jego ambicya, co to dawniej musiała się kryć w cieniach nocy, albo osłaniać senną marą, teraz niczém nieskrępowana, wśród jasnego dnia błyszczała na czole zbogaconego handlarza. Wspierając się na zięciu, wspaniałym krokiem wstępował po schodach pałacu luxemburskiego. Przez poświęcenie, usilność, ciche ale wierne głosowanie, zasłużył sobie na wdzięczność gabinetu, jakikolwiek on był; jego dobra w Bretanii podniesione zostały do godności baronostwa.— Żył w ścisłej zażyłości z hrabiami i książętami.— Król, skoro go choć zdaleka ujrzał, spieszył ku niemu, wołając: oto i nasz baron Levrault.— Tak słodkie marzenia nie pozostało jak tylko urzeczywistnić...

Ze swojej strony Laura, także nie zważała na piękności okolicy, którą przebywali.— Czują się ona szybko unoszoną do upragnionych brzegów.— Już wtenczas w jój wyobraźni, snuła się niewyraźna postać wice-hrabięgo Montflanquin. Laura nie troszczyła się bynajmniej, czy dobrze będąc wyglądać tarcza herbowa, przy kolorze jój karety. Ten lew w srebrońm polu, z widlastym ogonem, na tylnych łapach wspięty, zawrócił głowę dziewicy.

Jakiżto odwet za przycinki heraldyczne panien de R.... i de C....!— Młoda, piękna, w zachwycającym stroju, Laura pieściła się zazdrością,

jaką jej pojawienie na wielkim świecie obudzi.— Tam spotkała dawne swe towarzyski, współuczennice, które ją wzgardą upokarzały; ona je nawzajem pognębi blaskiem przepychu, świetnością swego nazwiska.— Rozkosze zemsty, krasły dla niej tryumf próżności.

Kiedy p. Levrault i jego córka tak sobie marzyli, wiosenny powiew roztaczał po drodze miłą woń rozkwitających pączków. Wszystko się odradzało, ogrody ustroiły się kwiatami, ptaszki z całych sił śpiewały, Loara toczyła nurty srebrne po zielonych błoniach Turenii i Anjou. P. Levrault z córką pierwszy raz znajdowali się w obliczu pięknej natury, pierwszy raz oddalili się o sześć mil od Paryża.

P. Levrault dowiedział się w Nantes, że jeszcze wczoraj Jolibois pojechał do Trelade. Nazajutrz w południe opuścił za nim Nantes, aby na oznaczoną godzinę przybył do swego zamku. Rachował, że mu Jolibois zgotuje jaką niespodziankę, a on, jak dobry władca, chętnie ją przyjmie.

Powóz szybko się toczył po bruku przedmieść w kierunku do Clisson. Z utkwionym wzrokiem w drzwiczki pojazdu, Levrault chętnie przypatrywał się okolicy i wszędzie szukał zamków. Wszakże się spodziewał, że począwszy od Nantes, podróżować będzie wśród lasu wieżyc, baszt i okopów. Zaledwie Laura mogła go przekonać, iż nawet w Bretanii, zamki nie są tak liczne, jak oberże stojące na drogach.

Z zachodem słońca, pocztylion opuścił główny gościniec, i udał się boczną drogą, prowadzącą przez pola. Po upływie godziny zatrąbił przed zamkiem, a na ten odgłos odpowiedziały mu wszystkie psy, i echa sąsiednie. Jakby dotknięta czarodziejską różeczką rozwarła się wchodowa brama, cały dziedziniec zajaśniał kolorowemi lampami, konie okryte pianą, zatrzymały się przed tarasem pałacowym w Trelade. Jolibois w paradnym ubiorze, stąpił poważnie ze wschodów, między dwoma rzędami lokajów trzymających zapalone pochodnie, dla przyjęcia nowego kasztelana. Sam otworzył drzwiczki karety i spuścił stopnie, pomagając wysiąść z powozu p. Levrault i jego córce.

— Dobrze Jolibois, wybornie — rzekł niedbale pan Levrault, ostąpiły na tę ceremonię, ale usiłując nadać sobie poważną minę wielkiego pana, który przywykł do podobnych uroczystości, do podobnego przyjęcia.

I wspierając się na ramieniu swjej córki wstąpił lekko na wschody tarasu.

— Jak się macie moje dzieci, jak się macie? — odezwał się do służby tonem protektorskim, która z pochylonemi głowami, prawie do ziemi, wołała. „Niech żyje pan Levrault”.

Poprzedzany przez p. Jolibois, którego zimna krew ani na chwilę nie opuściła, a więc i nie zdradziła, przeszedł do jadalnej sali bogato ozdo-

bionej, gdzie czekała nań wspaniała wieczerza. Stół obciążały kryształy, jarzące światło i kwiaty. Usiadłszy między notaryuszem i córką, Levrault za ledwie mógł ukryć wzruszenie; mimowolnie też chwalił przystrojenie sali, układ całej uroczystości przyjęcia. Najwyszukańsze potrawy, najwyborniejsze wina, szybko się zmieniały. Trzech lokai w białych rękawiczkach, w niebieskiej libery bogato galonowanej, usługując biesiadnikom w milczeniu, snuło się jak cienie. Nawet Laura była zmieszana. Co do p. Jolibois, ten sobie pił i zajadał jak ów, co się i za dziesiątek lat podobnej stypy nie spodziewa. Po skończonej wieczerzy, poszli do lasu, gdzie Jolibois nową niespodziankę im przygotował. Przechadzając się po świeżej murawie, nagle ich uwaga została na sklepienie niebios zwrócona, po którym przebiegła świetna rakieta: p. Levrault i Laura na kilkanaście kroków przed sobą, ujrzeli mur płomienisty. Tuzin słońc kręciło się, wyrzucając miryady iskier. Wszystkie ścieżki oświecone były bengalskim ogniem. Świece rzymskie wymykały się z klombów liści, i spadały niby deszcz gwiazdzisty. Dotychczas p. Levrault jak mógł zachowywał poważną minę, ale świetny fajerwerk pokonał go nareszcie. Uchwyciwszy rękę notaryusza, głosem drżącym od wzruszenia, którego już utaić nie zdołał, rzekł do niego:

— Jestem zadowolony; ten dzień będzie najpiękniejszy w moim życiu. A jednakże—zmieniając nagle swój głos ciągnął dalej—te rakiety, te słońca, budzą w mej duszy okropne wspomnienie. Mój syn! moje biedne dziecię, mój drogi Timoleon...

I pan Levrault poniósł chustkę do oczów.

— Wielki Boże! — zawołał Jolibois uderzywszy się w czoło—zapomniałem o tém strasznym nieszczęściu.

— Niestety! od owego smutnego wieczoru, nie mogłem patrzeć na rzymskie świece, bez doznania w sercu bolesnego wrażenia.

— Naturalnie—dodał Jolibois.

— Tak pięknie dziecię—mówił Levrault przytłumionym głosem;—tak białe, blondynek, rumiany, w którym się tak wcześniej umysł rozwinął.

— Ah panie! cóż uczyniłem! — zawołał Jolibois ściskając sobie głowę obiema rękoma na znak zmartwienia.—Przebac nieuwadze, pochodzącej ze zbytnej gorliwości. Każę natychmiast, aby zaprzestano puszczania ognistych wieńców.

— Bynajmniej, bynajmniej, Jolibois—rzekł Lavrault, chowając chustkę do kieszeni;—chcę widzieć owe wieńce.

— Ależ panie, byłoby to powiększać mój błąd, przedłużać twoje cierpienie!

— Chcę koniecznie ujrzyć ogniste wianki—powtórzył p. Levrault z przyciskiem.— Mówię ci, jestem zadowolony, i mimo przykrego wspomnienia, będzie to najpiękniejszy dzień w mojem życiu. Zobaczmy wieńce, Jolibois...

Na dany znak przez notaryusza, wieńce zajaśniały; a p. Levrault mógł mniemać przez kilka chwil, że wszystkie gwiazdy spadły do jego parku. Twarz długa byłego handlarza, promieniejąca radością, zdawała się być częstką sztucznych ogni. Laura, której takie festyny w głębi serca po- chlebiały, nie mogła wstrzymać się od uśmiechu, pomyśliwszy, że to jój ojciec płacił za proch, i że w gruncie rzeczy, p. Jolibois urządził fetę dla siebie. Wieczór był piękny. Kiedy wracano do zamku, ujrzeli przy dogorywającym blasku bengalskiego ognia, grooma niewiele wyższego od kirasyerskiego buta, naprzeciw nich postępującego.

— Coto jest? czego chcą odemnie?—zapytał p. Levrault z miną ministra zatrudnionego, który nie ma chwili do stracenia.

— Jestto Galaor — odrzekł notaryusz — poznaję go.

— Galaor!—zawołał Levrault, robiąc wielkie oczy.

— Pan Levrault?—zapytał się groom, przystąpiwszy śmiało do towarzystwa z parku wracającego.

— Co chcesz od niego mój przyjacielu? ja nim jestem.—Wtedy Galaor wyjął z kieszeni list, i wręczył go w milczeniu panu Levrault, który zadumał nad pieczęcią herbową. Była to pierwsza, jaką widział w swoim ręku. Przypatrzywszy się tarczy herbowej, jakby ją chciał rozpoznać, złamał nareszcie pieczęć, i czytał na głos co następuje; a tymczasem młody niewolnik zapłonionej z radości Laurze, przedstawił bukiet uwity z prześlicznych róż i jaśminu.

„Wice-hrabia Kasper de Montflanquin z niecierpliwością dowiaduje się, czy pan Levrault i jego córka szczęśliwie podróż odbyli. Uprasza ich także, aby mógł pozyskać zaszczyt przedstawienia się im nazajutrz o godzinie drugiej w pałacu Trelade; nareszcie poważa się złożyć u stóp panny Levrault, kilka róż ze swojego ogrodu.

— Patrz panie Levrault—odezwał się notaryusz — zaledwie przybyłeś, a już najświetniejsze imiona tutejszej okolicy, cisną się koło ciebie.

— Jestem bardzo zobowiązany. Galaor, podziękuj wice-hrabiemu Kasprowi de Montflanquin, a twojemu panu, za jego uprzejmość. Powiedz mu, iż przybyliśmy karetą we cztery konie pocztowe zaprzężoną, i że jutro o którejkolwiek godzinie spodoba się przybyć do nas panu wice-hrabiemu, będziemy szczęśliwi przyjąć go u siebie.

Galaor skłonił się z uszanowaniem; i wkrótce jego sukienne kamazsze, galonowany kapelus, metalowe guziki z cyframi i koronami wice-hrabiowskiemi, zniknęły w zakręcie alei.

— A więc, drogi Jolibois, zdaje się, jakbym był oczekiwany? — rzekł pan Levrault, biorąc się pod rękę z notaryuszem, z rozkoszną poufałością.

— Nim upłynie ośm dni panie, całą arystokracją téj okolicy ujrzysz cisnącą się do twoich salonów, snującą się po twoim parku. Usłyszysz wkoło siebie wymawiane wielkie imiona, imiona sławne; ale wiédz o tém, panie Levrault, że na dziesięć mil kwadratowych nie spotkasz znakomitszego, sławniejszego, nad to, jakie nosi wice-hrabia Kasper de Montflanquin.

— Wierzę ci. Wszakżeś mi donosił, że jest spokrewniony z domami Baudouin'ów i Lusignanów? Tym sposobem będzie on trochę w kolicy z starcem, którego imię tak pięknie brzmi w tragedyi „Zaira”.

— Niewątpliwie panie.

— Dumnym będę z tego, gdy mu dłoń uścisknę.

— Dodaj pan, że jeśli jest ostatnim potomkiem w swój rodzinie, to rzeczywiście godzien być pierwszym. Nigdy wspaniałomyślniejsze serce nie biło w piersiach szlachcica; powiem w kilku wyrazach, jestto staroświecki charakter. Przed kilku laty, przyłączył się do linii Orleanów; powody, które go do tego kroku skłoniły, nie są jeszcze świadome. Czy to stracił wszelką nadzieję powrotu legitymicznego księcia, czyli został zachwianym przez nalegania dostojnych osób, bądźto nareszcie, chcąc zamknąć przepaść niezgód domowych; dosyć, że wice-hrabia de Montflanquin nie sądził, aby dłużej odmawiać wsparcia czerwcowemu tronowi. Niektórzy mu przyganiiali, inni pochwalili jego postąpienie.

— Dobrze zrobił — rzekł żywo p. Levrault; — na jego miejscu inaczej-bym nie postąpił.

— Czy wiész pan, co zaszło między królem i wice-hrabią, kiedy ten pierwszy raz przedstawił się na dworze? — Pan Levrault nadstawił uszy; Laura naprzód idąca, zbliżyła się do notaryusza. Pewny swoich słuchaczy, tak dalej mówił p. Jolibois:

— Jestto scena, należąca do historii. Wice-hrabia de Montflanquin, którego się względami szanuję, opowiedział mi ją kilka razy. Przedstawienie się dostojnych osób miało miejsce w sali tronowej, w obec królowej, książąt, księżniczek, i wszystkich dygnitarzy kraju.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł wice-hrabia bez dumy, ale i bez unieźnienia — przyłączam się szczerze do twojej dynastyi. Pozwoli tylko Wasza Królewska Mość, iż położę jeden warunek. — Na te ostatnie wyrazy, król zmarszczył czoło, a wszystkie oblicza w jednéj chwili z zadziwienia, przeszły w osłupienie.

— Wice-hrabio—odezwał się król nawzajem—nie przyjmujemy warunków, ale je wkładamy. Jednakże mów; dla uszczknienia jednego więcej kwiatka do naszej korony, nie będzie nic takiego, czegośmy nie zrobili.

— Najjaśniejszy Panie—odrzekł wice-hrabia—przyłączam się do twój dynastyi pod warunkiem, abyś Wasza Królewska Mość nie nie zdziałał dla mnie, i pozwolił mi nadal pozostać tak ubogim, jak dotąd.

— To szczytnie—rzekła Laura.

— To bardzo pięknie—dodał p. Levrault.—I cóż mu król odpowiedział?

— Monarcha podał rękę wice-hrabiemu de Montflanquin, i długo długo przytulał go do piersi. Nie potrzebuję dodawać, iż oczy jego były łzami zroszone. Nareszcie rzekł król z dobrocią:

— Nie nie uczynię dla ciebie, ponieważ tego wymagasz wice-hrabio. Nie będziesz niczém, nawet parem Francyi. Lecz cokolwiekbyś zażądał, bądźto dla samych krewnych, bądź dla przyjaciół, wszystko otrzymasz szlachetny młodzieńcze, co tylko może zdziałać nasza łaska królewska.

— Doprawdy? tak król powiedział?—zawołał pan Levrault.

— Nie byłyto słowa na wiatr rzucone—odparł Jolibois głos wznośząc.—Zniszczony przez rewolucyę, zamknąwszy się w zamku swoich naddziadów, opuszcza go tylko czasami, dla przepędzenia kilku tygodni w Tuilerie, albo polowania z książętami w Chantilly. Żyjąc oszczędnie, prawie bez ojcowizny, wice-hrabia de Montflanquin jest przecieź pierwszym mężem Francyi, osobą najpotężniejszy wpływ na dworze wywierającą. Wiem nie o jednym dygnitarzu, który mu winien swoją karierę. Kilkakrotnie ofiarował mi prefekturę, gdyż powiadam wam, on pragnie mojego szczęścia. Częstość powtarza mi: „Jolibois, nie jesteś na swoim miejscu”. Ciągłe odmawiałem; moje opinie polityczne nie pozwalają mi przyjmowania udziału w rządzie.

— W rzeczy samej, zawsze cię posądzałem o dążności republikańskie. Ale nie powiedziałaś nam, czy wice-hrabia ożeniony?

— Wice-hrabia de Montflanquin nie ma żony—odrzekł Jolibois.

I po chwili milczenia, w którym można było widzieć twarz p. Levrault zaczerwienioną jak piwonია, Jolibois mówił dalej:

— Wice-hrabia nigdy się nie ożeni.

— Czy być może?—zawołał p. Levrault.

— Dlaczegoż to?—zapytała Laura z uśmiechem.—Czy wice-hrabia został maltańskim kawalerem?

— Panno Lauro—odrzekł pan Stefan—jestto prosta, ale tkliwa historia, która powinna być opowiedzianą przez poetyczniejsze usta, niż

biédnego notaryusza z prowincyi. Wice-hrabia Kasper de Montflanquin zaledwie miał lat dwadzieścia dwa, kiedy pokochał młodą i szlachetną dziewczę, piękną jak pani: Ferdynandę Amedee de Chanteplure. Wszyscy którzy ją widzieli, musieli przyznać, że nigdy godniejsza kochania istota nie dotykała ziemi. A więc Kasper uwielbiał Fernandę, i zyskał wzajemność: Fernanda uwielbiała Kaspra. W przeddzień w którym się mieli połączyć, dwoje tych pięknych dzieci przechadzało się nad brzegiem rzeki Sevres z margrabią i margrabiną de Chanteplure. Fernanda zawisła na ramieniu matki jak kwiatek lili; Kasper i margrabia postępowali za nimi. Margrabia cierpiał na pedogrę, szedł więc powoli i z trudnością, a Kasper wspierał jego kroki z synowską troskliwością. Wtém usłyszano krzyk przenikliwy. Kasper spieszy, i cóż ujrzał? margrabinę nad brzegiem rzeki załamującą ręce, a Fernandę nurzającą się w falach.

Chcąc uszczknąć lilią wodną, pośliznęła się jój noga, a pęd wody uniósł ją pod koła młyńskie. Cóż robi Kasper?... rzuca się w nurty, szybciej od biegu wody chwytą żelazną prawicą Fernandę, walczy z falami rzeki, wyrывa zpod zębów kół, które miały zgruchotać nadobne ciało dziewczycy, i po nadludzkich wysileniach, wynosi Fernandę omdłą nad brzeg rzeki. Ale niestety! już nie obudziła się więcej. Sino znaki śmierci na ustach, nie dawały żadnej nadziei. Możecie sobie wyobrazić boleść margrabstwa, ale nikt nie pojmie rozpaczy Kaspra. Klęczący przy swój narzeczonój, połączył się z nią sercem na wieki, a biorąc niebo na świadka, poprzysiągł pozostać jój wiernym. Dotąd dochował święcie przysięgi.

— W istocie tkliwa historia—powiedziała Laura. A więc wice-hrabia jest bohaterem romansu?

— Powiedziałem pani, że to jest starożytny charakter: jego wyrażenia, nie znajdując się tylko w Plutarchu.

— Ba! ba! — zawołał Levrault, wice-hrabia skończy na tém, że się ożeni.

— Nie znasz go panie—odparł Jolibois dobitnie.—Najbogatsze, najświetniejsze związki były mu proponowane, gdyż jak wiadomo wice hrabia ma rozległe stosunki; ale tym wszystkim żądaniom nielitościwie odmówił.

— To istotne głupstwo, Jolibois. I ja także widziałem dziewczę, umierającą dla mnie z miłości; wszakże wypadek ten nie zniechęcił mnie do ożenienia się z panią Levrault, która mi przyniosła sto tysięcy talarów w posagu. Wice-hrabia zupełnie się w tym względzie myli.

— Ależ panie, podzielał wasze zdanie. Jako człowiek, uwielbiam Kaspra; jako notaryusz, ganię. O ile mogę nakłaniam moich klientów do małżeństwa; muszę przecież zapłacić za mój urząd.—Panie wice-hrabio

trzeba się nareszcie ożenić—rzekłem mu jednego razu.—Jolibois—odpart z wyrazem na twarzy, który nigdy nie zapomnę—można zerwać z żyjącymi, ale nigdy, nigdy z umarłymi.

— Ba!—powtórzył p. Levrault—zaręczam, że się ożeni. Ileż ma lat wice-hrabia?

— Najwięcej dwadzieścia ośm; lecz szlachetne trudy, przedwcześnie zmarszczyły jego czoło.

— Powiedz mi panie Jolibois, jak wygląda ten model pośmiertnej miłości?—zapytała Laura, skubiąc z roztargnieniem listki róży, która się w jej ręku znalazła.

— Pani, wice-hrabia jest pięknym, smutny i szlachetny. Jestem jednym z tych, co go uważają brzydkim; ale też należę do okolicy, w której nie mają wyobrażenia o prawdziwej piękności. Niepodobna nie dostrzedz smętnego blasku w jego spojrzeniu, szlachetności w rysach twarzy, wdzięku w obejściu. Co do mnie, żartuję sobie z czystości krwi przodków; nie przypuszczam, aby istniała inna arystokracja, prócz rozumu. Jednakże skoro ujrzę wice-hrabiego de Montflanquin, muszę przyznać, że owa czysta krew pokolenia, nie jest czezym wyrazem.

Tak rozmawiając wrócili do salonu. Laura rzuciwszy jeszcze raz wzrokiem na nowe mieszkanie, udała się do swego pokoju. P. Jolibois chciał równo ze świtem odjechać; pilne interesa wzywały go do obowiązków. Resztę wieczoru poświęcono oglądaniu przy świetle pochodni wszystkich części zamku Trelade. Wszelkie zlecenia p. Levrault skrupulatnie były dopełnione: jego dom w świetny sposób został urządzony. Dziesiątek koni rżało w stajni; powóz, karetą, bryczki spacerowe zapętniały wozownie, a sfory gończych i ogarów psiarnie. W przedpokojach snuli się lokaje, w kuchniach kucharze z czeredą kuchcików. Kilkakrotnie p. Levrault musiał objawić swe zadowolenie notaryuszowi, idącemu obok niego z kapeluszem w rękę, w postawie skromnej, oraz pełnej uszanowania.— To dobrze, Jolibois, bardzo dobrze—powtarzał kiedyniekiedy, uderzając go przyjacielsko po ramieniu. Uważał p. Levrault potrzebę niektórych zmian w zamku, ponieważ jego architektura nie miała zupełnej postaci obronnego grodu: ani wieżyc, ani baszt, ani tóż wiezień. Mieszkanie w Trelade zdawało się cokolwiek tchnąć mieszczaństwem; lecz w ogóle nie mógł narzekać na brak gorliwości swojego intendenta.

Nazajutrz, ze wschodem słońca, kmostr Jolibois sam sobie osiodłał konia, i opuścił Trelade zacierając z radości ręce; wesoły jak ów lis, który wymknąwszy się z kurnika, z rozkoszą pysk sobie oblizuje.

III.

Słońce już dawno zeszło na widokrag, kiedy się pan Levrault przebudził. Zeskoczywszy z łóżka, otworzył okno, i zagłębiając wzrok w okolicę, napróżno szukał dwunastu zamków, które według życzenia, objawionego p. Jolibois, miały się tam koniecznie znajdować. Nie odkrył on nic więcej, prócz kilku rękodzielni płótna w Chollet, biejących wśród maju liści. Dolina była ciasna; nie mógł też p. Levrault wymagać, aby się w niej wszystkie okoliczne zamki zgromadziły na schadzkę, dla życzenia mu szczęśliwego przybycia.— Obraziłoby to ograniczony umysł, że się znajduje w sąsiedztwie rękodzielni wypełniających brzegi rzeki Sevres; ale p. Levrault, który tu przybywszy chciał być uważanym za księcia przemysłowców, nie rumienił się początku swoich bogactw, i nie obawiał, iżby mu to kiedy przypomniano.

Widok, jaki się przedstawił jego oczom, rozweselił myśli. Naokoło zamku wszystko oddychało wspaniałością pańskiego życia. Służący p. Levrault wychodzili i przychodzili, krzyżując się w rozmaite strony. Tam przez łowczych prowadzone psy na sinyczy, szczekaniem wypełniały powietrze miłego i świeżego poranka. Tu konie pokryte dekami, powracały od wody. Ogrodnicy gracowali allee parku, skrapiali murawy darniny. Wolno chodzące pawie, ciągnęły swoje wspaniałe ogony po wschodach tarasu; a łabędzie kąpały się w niewielkim stawie, otoczonym wierzbami i topolami. Na ten widok oznaczający wszędzie dostatek, bogactwo, uśmiechnął się pan Levrault, i uczuł, jak mu serce z dumy i radości mocniej bije. Zdawało się, że cały ten hałas, ta wrzawa, cała harmonia doliny, śpiew ptasząt, pomruk wiatru, łoskot śluz, krzyk pawiów, gruchotanie gołębi na dachu gołębnika, kwokanie kur, aż do rżenia koni i szczekania psów, zmieszały się, zlały w jeden potężny głos, jak huk oceanu; a głos ten powtarzał nieustannie: pan Levrault ma trzy miliony. Do téj wielkiej całości, brakowało, tylko zakończenia ze znanéj bajki.

Ostoniony kaszmirowym szlafrokiem w świetne paliny, pan Levrault poszedł do parku, gdzie Laura przechadzała się blisko od godziny.

Panna Levrault będąc już naturalizowaną w téj atmosferze zbytku i elegancyi, poruszała się też w niej i oddychała, jak w powietrzu sobie właściwóm. Nie dostawało jéj więcéj, jak tylko pozbyć się swego zniemawidzonego nazwiska Levrault, które dla niej było straszniejsze, niż dla księżniczki w bajce Peraulta, owa osła skóra, służąca jéj za całe odzienie.

Gadatliwość p. Jolibois zaczęła już wydawać owoce, których się chytry kmostr bez wątpienia spodziewał. Jeżeli opowiadanie o przedstawieniu się wice-hrabiego królowi, obudziło nadzieje panny Levrault: to historia

Fernandy i Kaspra skutecznie działała na wyobraźnię jego córki. Nie dlatego, ażeby jej umysł zdolniejszym był do wzniosłych uczuć; gdyż od dawna próżność je zabiła, ale właśnie przez tę próżność skutek osiągniętym został.

Czysta miłość dwojga dzieci, tak gwałtownie przez śmierć zerwana, tragiczny koniec panny Chanteplure, ginącej w falach jak młoda Tarentynka, słabo dotknęły serce Laury; lecz uporna wierność wice-hrabiego de Montflanquin, ubodła ją do żywego. Uczynić Kaspra niewiernym, krzywoprzysięcą, zdawało się dla niej być dziełem godnem jej ambicyi.

Otóż tak była utworowana droga dla wice-hrabiego; nie potrzebował on jak tylko się pokazać panu Levrault, aby wzięwszy za godło wyrazy Cezara, zobaczyć i zwyciężyć.

Cały czas po obiedzie przeszedł w oczekiwaniu. Godziny ubiegały, wice-hrabia nie przybywał. Laura zmieniła trzy razy swój ubiór. Pan Levrault w stroju wiejskiego szlachcica, chodził od ganku do kratowanej bramy, od bramy do ganku; ale nikogo nie ujrzał. Od czasu do czasu zamknięty w swoim pokoju, przeglądając się w lustrze, znajdował że ma szlachetną postać. Mówiąc do służących, przybierał ton i postawę nakazującą. Jednakże słońce zbliżało się ku zachodowi, a wice-hrabia nie przybywał. Pan Levrault znajdując takie postąpienie wice-hrabiego zbyt lekkim, po obiedzie wynurzył się o nim z całą swobodą. Bo też trzeba wiedzieć, że pan Levrault w ostatnich latach restauracyi, był jednym z najwydatniejszych demokratów w całym cyrkule Saint-Denis. Dziesięć lat życia sklepowego, przepędził on na szermierstwie językowym przeciw wszystkim znakomitym imionom całej Francyi. Zebrawszy majątek, opinia jego jakoś mimowiedzy, ale się znacznie zmieniła; pozostała przecież w głębi serca reszta stariej nienawiści przeciw dawniej szlachcie. Poszukując ją, chcąc się do niej zbliżyć przez próżność i rachubę, sekretnie, a razem z przyzwyczajenia ją nienawidził, i nie szacował tylko szlachtę, której tytuły nie przechodziły 1830 roku.

W jego oczach, godność, szczęście i sława Francyi, rozpoczynała się dopiero w epoce, w której zrobił majątek. Rozdrażniony całodziennym próżnym oczekiwaniem, zdecydowany nie dozwolić sobie deptać po piętach, utrzymać górą i silnie sztandar nowej arystokracji; jako jeden z jej walnych reprezentantów, pan Levrault oddał się z całą swobodą żywemu nieukontentowaniu: nie potrzebując oczekiwać, jednakże oczekiwał. Stosował się on do owych wieśniaków bez szeląga, umierających z głodu w zniszczonych zamkach; a jednakże lekceważących sobie znakomitych koryfeuszów przemysłu.—Jeżeli ci pankowie zubożeli, ale nadęci tytułami: „mają narzucać nam prawa, o! to hardzo się mylą!—mówił Levrault

chodząc wielkimi krokami po pokoju, kiedy Laura usiadłszy do fortepianu, niedbale wygrywała śpiewki Schuberta. — Ich panowanie już minęło; — ciągnął dalej Levrault; — powinni się uważać za szczęśliwych, jeżeli ich chcemy użyć za poduózki do naszego wyniesienia, zakupić ich imię, aby przedłużyć nasze.

— Lecz mój ojciec — rzekła Laura nie odrywając ręki od fortepianu — dopiero jest po południu. Wice-hrabia może jest zatrudniony, i bez wątpienia przybędzie.

— Nie mam znakomitych naddziadów — odpowiedział pan Levrault — ale za to trzy miliony. Za tę cenę, mogę nabyć tyle, ile zechcę Baudouinów i Lusignanów. Wice-hrabia nie powinien zapominać, że *my* znakomici przemysłowcy, nie lubimy oczekiwać. Nie przez to, ażebym nie wierzył, lub nie dbał o jego pochodzenie, o jego lwa z widlastym ogonem na tarczy herbowej. A co się dotyczy jego złotego medalionu, wołałbym, aby go raczej miał w kieszeni niż w herbie. Janie! — zawołał na lokaja przebiegającego przez dziedziniec — kaź zaprządz, pojedziemy.

— Który z powozów? — zapytał Jan.

— Odkryty pojazd, zaprzężony w cztery konie. Ciekawy jestem, gdzie mieszka wice-hrabia? — dodał pan Levrault, obracając się do córki. — Zrobię sobie przyjemność, przejeżdżając koło jego siedziby; chcę pokazać temu szlachcicowi, z jakiej materji jesteśmy ulopieni, *my* znakomici przemysłowcy.

— Mój ojciec, wice-hrabia ma prawo przybyć, kiedy się mu podoba — odparła Laura nieporuszona — gdyż sam oświadczyłeś, że o każdej godzinie z przyjemnością będziem go widzieć u siebie.

— Wice-hrabia powinien być punktualniejszy; przecież wiesz, z kim ma do czynienia.

Kiedy pan Levrault kończył te wyrazy, otwały się drzwi sali, i lokaj wymienił nazwisko wice-hrabiego Kaspra de Montflanquin.

Laura powstała, pan Levrault przybrał postawę pełną godności.

Wice-hrabia spadł jak piorun. Cokolwiek powiedział o nim Jolibois, a mógłby mnie poczciwy notaryusz do gminu policzyć, wice-hrabia nie był pięknym, a nawet ośmielał się twierdzić, że był bardzo brzydki, i to w całym znaczeniu brzydki. Rozpatrując się w nim pilnie, można jeszcze było odkryć, że cecha jego pochodzenia, na ruinach młodości stała się niewyraźną, jak napis na szyldzie w dwóch trzecich częściach zarty. Być może, iż nie miał jak lat dwadzieścia ośm; przecież bez obrażenia prawdy można mu było śmiało policzyć trzydzieści pięć, dzięki jego szlachetnym trudom, z powodu których czoło jego pobladło. Przedstawił się wyszukanie ubranym. Wstążeczka cudzoziemskiego orderu, bły-

skąta przy guziku. Krótko przypięty do kamizelki bukiet z brylantów, spadał mu na piersi.— Nizki, lecz zgrabny, a w ruchach nie zbywało mu na manierze arystokratycznej, ale podejrzanej; lekki, natarczywy, chępliwy i absolutnie o wszystkiém rozprawiający; trzeba się było zadziwić, widząc go mieszkańcem Bretanii. Właściwsze dla niego miejsce można by naznaczyć w Paryżu, między towarzystwem zbankrutowanej szlachty, która w téj epoce wykonywała to prawidło: „Szlachectwo obowiązuje, i zyskuje swój znak rycerstwa na polu bitwy, przy grze rulety lub djabełka.”

Wice-hrabia wszedłszy, trzy razy się nachylił nakształt ukłonu, a potem zwracając się kolejno to do pana Levrault, to do jego córki, rzekł:

— Przepraszam pana po tysiąc razy. Przebacz mi pani. Państwo oczekiwaliście mnie: uchybiłem mojemu obowiązкови. Jestem zniestawiony, i może już nigdy tego nie wynagrodzę. Jednakże zareczam szlacheckiem słowem, inaczej uczynić nie mogłem. Wyjechałem z Montflanquin w południe; spieszę, a wtóm na zakręcie drogi spotykam się z hrabią Kerlandec. Czy wiész, rzekł zaczepiwszy mnie z uradowaną miną; pan Levrault już przybył.

— Panie wice-hrabio—powiedział p. Levrault—zechciéj usiąść.

— Ztamtąd o pięćset kroków, — ciągnął dalej wice-hrabia, rzucając się w fotel. — zastąpił mi drogę stary kawaler de Barbanpré, jeden z potomków Godfryda de Bouillon po kądzieli. — I cóż zawołał z zapalem, pan Levrault już przybył!—Wiém o tém, jadę doń z odwiedzinami. Chciałem się wymknąć, ani sposób; stary kawaler trzymał mnie za guzik od sukni; zapomniałem się, rozmawiając o panu.

— Panie wice-hrabio — rzekł p. Levrault — może życzysz się czém ochłodzić?

— Trzysta kroków dalej, znalazłem się oko w oko z margrabią Francastel, który mi powiedział: — Czy wiész? o niczém nie mówią w całej okolicy, tylko o tém, że wczoraj wieczór przybył pan Levrault do Trelade, w pocztowej karecie we cztery konie zaprzężonej.... Racz mu to powieźć, iż byłbym szczęśliwy, gdybym mógł urządzić dlań i dla jego córki bal w moim zamku; ale niestety! muszę jutro wyjechać do Paryża.

— Panie wice-hrabio—przerwał Levrault—może przyjmiesz kieliszek wina cypryjskiego, lub alicantu?

— Nie, rzeczywiście. Byłem zmuszony zatrzymać się blisko godzinę, aby rozmawiać o tobie z margrabią, który następnie zabrał mnie na obiad do swojego zamku, gdzie znalazłem hrabiego Kerlandec i kawalera Barbanpré. O niczém tam nie mówiono, tylko o twoim, panie, przyjeździe. Zaledwie się obiad ukończył, zaraz wymknąłem się z zamku pozostawia-

jąc w nim tylu zazdrosnych, ilu gości. Nakoniec panie, widzisz mnie zawstydzonego, zmieszanego, lecz szczęśliwego, że cię mogę oglądać, i może zbyt śmiałego, że się poważam rachować na twoje przebaczenie.

— Panie wice-hrabio, nie potrzebujesz przebaczenia—rzekł pan Levrault, którego gniew łagodniał i nikał, jak niknie śnieg przed wiosennym słońcem.—Raczej muszę ci podziękować za pośpiech w przybyciu do mnie.

— Panie—rzekła Laura—pozwól z kolei podziękować sobie za piękne kwiaty, przysłane przez grooma. Przyjęłam je jako zakład uprzejmości, którą spodziewamy się znaleźć w tym pięknym kraju.

Na pierwszy dźwięk głosu Laury, wice-hrabia zdrzął, jakby w pierś jego uderzyła iskra elektryczna. Nagle zwrócił się do młodej dziewczycy, na którą zaledwie spojrział dotychczas; wsparł się na krzesło, i utkwił w nią wzrok z zadumaniem, jak pielgrzym przy stopach Madony. Laura zmieszała się i spuściła oczy; pan Levrault nie wiedział, co o tém sądzić.

— Rzecz dziwna—odezwał się naraz wice-hrabia, przeciągając ręką po czole, jak człowiek budzący się z lunatyzmu. Potem zbierając zmysły i wróciwszy do przytomności, uchwycił wątek rozmowy, jakby nie dostrzegł pomieszaną Laurę, zadziwienia jej ojca, a to z taką łatwością, jak gdyby nic nie zaszło.

— Jestem dumny z tego, pan! żem był tyle szczęśliwy pierwszy spośród Bretańczyków, oddać ci cześć, jaką każdy winien piękności. Spiesząc naprzeciw was panie, nie uczyniłem nic więcej nad powinność, a nigdy ta nie była przyjemniejsza, łatwiejsza do spełnienia. Mój notaryusz nieraz opowiadał mi o waszych pracach, bogactwach, które miałyby małą wartość w moich oczach, gdyby nie były owocem waszej zdolności, nagrodą waszego rozumu. Uczyniwszy wybór ze mnie do robienia wam honorów w tój okolicy, Jolibois nabył prawa do méj wdzięczności.

— Także i do mojej—powiedział p. Levrault. Chociaż my wielcy przemysłowcy, wszędzie jesteśmy przyzwyczajeni do dobrego przyjęcia; muszę jednak przyznać, panie wice-hrabio, iż nie spodziewałem się tak uprzedzającej grzeczności, jaką tu znajduję.

— Jakto panie?... Jeżeli jeszcze tu i owdzie można napotkać margrabiego dziwaka, zasklepionego w swoje tytuły, który wzbrania się uporczywie postępować z duchem czasu, i który zagrzebał się żywcem w niepowrotną przeszłość: jesteśmy pierwsi, którzy żartujem sobie z jego dziwactw, z jego uprzedzeń. Szlachta przestała być ową niezdobytą fortecą, przeciw której wzniosła się zacięta, a często sprawiedliwa niechęć; słusznym skargom trudno zaprzeczyć! Obecnie wyższa szlachta chętnie

przyjmuje między swe szeregi wszelką chwałę, otwiera podwoje dla wszystkich i talentów znakomitych zdolności. Chcę być szczerym, panie, i wyznam otwarcie, że jest gotowa przyjąć cię wpośród siebie.

— A więc panie wice-hrabio, zechć się udzielić mi listę zamków, które powinniśmy odwiedzić.

A Laura dodała: — Bądź przewodnikiem w naszych wycieczkach po kraju, o którym mówią, że jest prześlizny.

Usłyszawszy głos panny Levrault, zadrżał wice-hrabia, i znowu ręką zastonił czoło.

— Jestem zawsze gotów na usługi państwa — odrzekł tłumiąc swe wzruszenie. — W istocie ten kraj jest bardzo piękny; razem go zwiedzimy. Jeżeli pozwolicie, będę miał zaszczyt przedstawić państwo w sąsiednich zamkach. Ale to tylko mnie zasmuca, że za trzy tygodnie muszę pojechać do Paryża, a zatem was opuścić.

— Byłoby to prawdą! — zawołał Levrault przerażony.

— Cóż pan chcesz? świat mało ma dla mnie powabu; skromny majątek, jaki ocaliłem po rewolucjach, nie dozwala mi utrzymania w należytych blasku mojego imienia. Straszny cios uderzył we mnie, zniszczył wiosenny kwiat mego życia. Równie przez skromność, jak i przez zaniłowanie, żyję w odosobnieniu. Miłuję spokój niw, i samotność lasu. Jednakże są wynagania, którym nikt nie jest w możności odmówić. Odebrałem dzisiaj poranku zaproszenie od jednego z książąt, w którym naznacza mi schadzki w Chantilly. Proszę pana, w moim miejscu co byś uczynił?

— Pojechałbym natychmiast — odpowiedział p. Levrault bez wahania.

— Dodaj pan jeszcze, że król i królowa żalili się już na moją długą nieobecność. Prawie od dwóch lat moja noga nie postąpiła w Tuileriach. Cała rodzina królewska jest tak uprzedzająca dla mnie, tak miła, że nie chciałbym zasłużyć sobie od niej na wymówki.

— Masz zupełną rację, mości wice-hrabio; kiedy się ma dobre znajomości, nie trzeba ich zaniedbywać.

Rozmowy raz w tym przedmiocie zaczęły, niełatwo chciał poprzestać p. Levrault. Udało się mu utrzymać ją bez wysilenia. Wice-hrabia opowiedział mu ową sławną prezentacją przed królem, potwierdził wszystko, co kmotr Jolibois wczoraj mówił, i nie zmęczył się odpowiedziami, jak pan Levrault nie utrudził zapytaniem. Na człowieka, którego kwiat życia uderzył cios w samą wiosnę, miał język bardzo giętki, niezmordowany.

Stanowczo przekonał, że rozrządza faworami dworu. Niczego nie żądał, ale mógł wyjednać wszystko. Pan Levrault słuchał wice-hrabiego jak wyroczni, i w duszy rachował sobie wszystkie korzyści, jakie może osiągnąć z takiego zięcia. Widział już w nim ów most, po którym miał przebyć przepaść, dzielącą go od zaszczytów; drabinę, po której miał wznieść się do godności i władzy; nareszcie klucz, służący do otwarcia podwoi w pałacu luxemburskim. Od czasu do czasu Laura wsunęła parę słówek do rozmowy. Ale jak tylko otworzyła usta, wice-hrabiego natychmiast napadała dręczka; obracał on się do niej, i zaczynał dumać. Laura nie gniewała się bynajmniej o skutek, jaki jój głos sprawiał na nerwach ostatniego potomka Montflanquinów. Nawet p. Levrault był tém zaintrygowany, ale ani jedna, ani drugi nie śmieli żądać objaśnienia tój osobliwości.

Na prośby Kaspra, młoda dziewczyna usiadła do fortepianu. Słuchając jój, wice-hrabia szalał z uwielbienia, potężne syptał oklaski, jak gdyby się znajdował na balkonie w teatrze włoskiej opery.

Bez zaprzeczenia Laura miała piękny talent, i grała na fortepianie dosyć znośnie. Wykonawszy kilka świetnych fantazyj, zaśpiewała jedną z rozkosznych melodyj Webera. Głos jój był miły, który udało się zbytkiem zarozumiałości zepsuć. Po ukończeniu spiewki, Laura ujrzała wice-hrabiego napół drzemiącego w fotelu, nieruchomego, z oczyma wzniesionemi do sufitu, prawie znaku życia nie dającego.

— Panie wice-hrabio—odezwał się nareszcie p. Levrault, coraz więcej zadziwiony; — zdaje się, że ta śpiewka zrobiła na panu niemiłe wrażenie.

— Przebacz, ach przebacz!—zawołał Kasper, zrywając się z krzesła. — Pani! twój głos zachwyca, ale zarazem obudza niepojęte uniesienie. — Mamże wyznać? kiedy śpiewasz, to nie pani głos słyszę, lecz uwielbionej istoty, która tylko przemknęła się między żyjącemi na ziemi, i w mém sercu na wieki spoczęła. Ona nietylko miała głos pani, ale także i jój rysy; tylko ją słyszę, skoro pani przemówisz; widzę ją również, kiedy na panią patrzę.

— Jakto panie wice-hrabio?—zawołał p. Levrault z zadowoleniem pychy, której nie myślał pokryć—moja córka byłaby podobna do panny Chanteplure?

— Spostrzegam, — odparł wice-hrabia, — że Jolibois odkrył wam tajemnicę mojej boleści. Nie chciałem tego. Ale tak panie, panna Chanteplure zupełnie była podobna do pańskiej córki. Ten sam dźwięk głosu, też same nakłonienia, skład twarzy, toż samo spojrzenie i kolor włosów. Jednak uważam, że Fernanda nie miała tak regularnych rysów, mianowi-

cie nosa, który był mniej delikatny, mniej królewski. Oprócz téj malcéj różnicy, przysięgam na słowo szlachcica, nigdy pod niebem nie istniało więcéj uderzające podobieństwo.

— Panna de Chanteplore nieszczęściem utonęła — dodał Lepyrault z miną bolejącą.

— Ach! paniel! — krzyknął Kasper z oznaką rozpaczy.

— Panie wice-hrabio — rzekła Laura, która się nie uważała za upokorzoną tém podobieństwem z córką margrabiego. — Żałuję nieskończenie, że ciągle obecność moja jest wskazaną na to, aby obudzać w panu przykre wspomnienie.

Kasper nie odrzekł, ale na pannę Levrault rzucił tak przenikające spojrzenie, tak czułe, tak miłosne, że się uczuła zwolnioną od wszelkiej niespokojności, od wszelkich wyrzutów.

Następnie rozmowa przybrała nie tak smętny charakter. Wice-hrabia miał ten wyborny przymiot, że jego żalosne wrażenia, króćej trwały od majowego śniegu. Słyszac go opowiadającego o śmierci panny Chanteplore, możnaby uwierzyć, że mu nic nie pozostaje, jak tylko odebrać sobie życie; ale w pięć minut potém, gawędził wesoło to o tém, to o owém, swobodny jak zięba, która po ulewnym deszczu suszy na słońcu swe piórka. Umysł jego był pociągającym, żywym, a w obejściu miał coś dziwnie wdzięcznego, coby nie uszło uwagi przenikliwego badacza; ale tych sprzeczułości rażących nie zdołał dostrzedz dawny mieszkaniac z ulicy Niewińiatek, przyjmując wszystko od wice-hrabiego za dobrą monetę.

Dotykał on wszystkich przedmiotów rozmowy, prześlizgując się z wielką łatwością, przyczém zapominano o jego brzydocie. Rozprawiał o szlachcie okolicznój, i uprzedził p. Levrault, iż wiele najznakomitszych rodzin było nieobecnych w swoich dobrach, lecz pozostałe potrafią uprzyjemnić pobyt wielkiego przemysłowca. Zresztą między innemi, domy pánów Kerlandec i Barbanpré, nie ustępowały żadnemu co do świetności i dawności pochodzenia.

Jednakże już było dosyć późno. Pan Levrault ofiarował się odprowadzić wice-hrabiego w odkrytym powozie, zaprzężonym w cztery konie, aż do bramy jego mieszkania. Kasper odpowiedział, iż pójdzie piechotą, tak, jak przyszedł; i dodał utkwivszy stódkawe spojrzenie w Laurę, że potrzebował, dla uspokojenia serca, ciszy niw drzemiących.

P. Levrault nie nalegał, ale z taktem delikatnym bogacza, który rzuca swe złoto w oczy biédnemu, wymógł od p. Montflanquin, aby nim się oddali, zrobił przeglad jego zamku, stajen, psiarni i wozowni. W tym względzie był tak akuratuym, że nie pominął żadnego pokoju, żadnego powozu, psa i konia. Kasper mówił o blasku swego imienia, o związkach

z księżętami rodziny panującej, o względach, któremi się szczylił u dworu; p. Levrault w odwecie zadzwonił mu swemi milionami. Szczęściem, ten dźwięk miłym był dla ucha wice-hrabięgo.

— Nie zapomnij pan — rzekł doń p. Levrault — że jutro obiadasz w Trelade. Nie pochodzę od Godefroy de Bouillon, ale przekonam pana, że mój stół niegorszy jest od waszych.

Kasper skłonił się przed Laurą, z wylaniem uściśnął dłoń p. Levrault, i oddalił się zapewniając, że od śmierci panny Chanteplure nie pamięta, aby nawet na królewskim dworze tak miło wieczór przepędził.

— Jakże ci się podobał? — zapytał Levrault swęj córki, skoro sami pozostali w salonie.

— Jest brzydkim — odpowiedziała Laura bez ogródki.

— A więc można się prędko przyzwyczaić do wice-hrabięgo. Na pierwszy rzut oka wypadła dlań nieprzychylny wyrok; jednakże pojmuje, że z czasem można będzie nazwać go pięknym. A przytém co za głowa!... dowcip! obejście! Trzeba wyznać, dodał utopiwszy ręce w kieszenie, to pochlebia, kiedy tacy ludzie nas odwiedzają.

IV.

Pan Levrault wkrótce przekonał się, że Bretania w rzeczywistości nie jest owym krajem, o którym marzył. Zamki rozsypujące się w gruzy, szczęty murów osłonięte bluszczem, rozpadliny zamieszkałe przez puszczyki i sępy, były liczne w okolicy Trelade; ale mieszkalne pałace z ich właścicielami rzadsze, niż sobie wyobrażał pan Levrault. Tym sposobem zamki w Clisson, Mortagne i Tifauge, które do niego miały wyciągać ramiona, mówiąc językiem pana Jolibois, oddawna stanowiły tylko szczątki ruin. P. Levrault z osłupieniem dowiedział się, że wszystkie to znakomite rodziny dawno wymarły, i że musi wyrzec się tój pociechy, aby ich potomków kiedyś u siebie przyjmował. Od dwóch miesięcy jak przybył do Bretanii; zamiast zapowiedzianego tłumu arystokracji, która miała przepęlniać jego salony, dotąd towarzystwo ograniczało się na wice-hrabię Montflanquin, hrabi Kerlandec i kawalerze Barbanpré. Co się dotyczy bulów, festynów, odwiedzin, zapowiedzianych, roztrąbionych przez Jolibois, okazało się niezbitą prawdą, że oprócz ze swęj piwnicy, wielki przemysłowiec u nikogo nie wypił ani kieliszka wina.

Hrabia Kerlandec, byłto zręczny paliwoda, który względem Kasprowca znajdował się w tém samém położeniu, co i notaryusz Jolibois. Kasper został mu dłużnym kilka tysięcy talarów, zabezpieczonych na po-

sagu żony wice-hrabiego, i na mgłach rzeki Sevres, gdyż o dobrach Montflanquinów od świętej pamięci nie było ani wzmianki; a kiedy p. Levrault mówił o gołębniku wice-hrabiego, poczciwe człeczysko nie wiedział co powiedział, i ani mu przez głowę nie przeszło, jak właściwego użył wyrażenia.

Hrabia Kerlandec nieprzyjaciel mieszczan, którym nie mógł przebaczyć wzniesienia się i bogactw; młody jeszcze umysłem, bystry, szyderca, mimo swych sześćdziesięciu lat i pedogry dokuczliwej: ów hrabia skwapliwie pochwycił sposobność odzyskania długu i za jedną drogą ubawienia się kosztem bogatego, ale głupiego mieszczucha.

Nakoniec ponieważ nie posiadał ani koni, ani powozu; bynajmniej nie gniewał się hrabia, że mógł wozic spodagrowane nogi w pojeździe p. Levrault.

Kawaler Barbanpré w rzeczy samej kazał się uważać za potomka Godefroya de Bauillon. Był to stary szlachetka, prostaczek, ubogi, pieczeńiarz, i któryby za dobry obiad oddał całe drzewo genealogiczne. P. Levrault niewiele miał trudności w przyciągnięciu go do siebie. Kawaler uczęszczał do Trelade; zauważano nareszcie w okolicy, że nigdy tam nie udawał się po obiedzie, a przed daniem na stół nie wychodził.

P. Levrault dobre znalazł przyjęcie z Laurą u tych rodzin, u których go Kasper przedstawił; lecz czyto Kasper jak doświadczony sternik, zeglował z nim do przyjaznych brzegów, gdzie nie obawiał się współzawodnictwa; bądźto, że rzeczywiście brakowało w tych stronach materiału z którego się zięciowie wyrabiają: dosyć, że ani Laura, ani jej ojciec nie znaleźli kawalera, któryby wyglądał być zdatnym na męża. Na przekorę trzem milionom, p. Levrault spostrzegł, że go wszędzie przyjmują z tą zimną grzecznością, która graniczy z lekceważeniem; bilety wizytowe, przyozdobione tarczą herbową, z której wyglądał kask lub korona, odpowiadały tylko jego wyprzedzającym i osobistym odwiedzinom. Mimo wystawnego życia i ponęt bogactw, Montflanquin, Barbanpré i Kerlandec byli jedynymi, którzy mu nadskakiwali, składali jego towarzystwo. Po dwumiesięcznym pobyciu pod niebem stariej Armoryki, nie widział owych tłumów, które miały go oblegać. Kerlandec, Barbanpré, Montflanquin zawsze jedni i ciż sami byli jego gośćmi. Z trzech owych dworaków, wice-hrabia był najgorliwszym; on starał się pocieszać pana Levrault w doznanym zawodzie.

W końcu trzeciego tygodnia, Kasper zaniechał zamiaru udania się do Chantilly. Wścigi były odłożone do jesiennej pory. Kasper nieustannie przesiadywał w zamku Trelade, przybywał z rana, a wychodził późno wieczorem. Zaledwie nie przyszło do tego, żeby tam kazał przy-

nieść swój szlafrok i pantofle. Zamek p. Levrault stał się niejako jego własnością, przedmiotem do niego należącym. On tam we wszystkiem przewodniczył; nie się bez wice-hrabiego stać nie mogło. Każdego wieczoru nim się oddalił, układał program wycieczki na dzień następny. Należał do wszystkich zabaw, do każdej przechadzki. Łatwiej byłoby ujrzyć p. Levrault bez własnego cienia, jak spotkać go bez Kaspra. Żywy, obfity w pomysły, udzielający się, zawsze w dobrym humorze, wice-hrabia posiadał przedziwną łatwość napelniania zamku Trelad zgiełkiem, nadać tam życie, wzbudzić wesolość. Uczył p. Levrault jeździć konno, opowiadał dykteryjki o królewskim dworze, pochlebiał jego głupstwom, potakiwał dziwactwom. Utresował dla Laury pięknego rumaka, wyuczył go klękać i biegać za nią jak owca.

Każdego dnia wynajdywał nową rozrywkę. Króćej mówiąc, rozpoczynawszy swój zawód od stania się użytecznym, skończył na tém, że był nieodzownym.

P. Levrault, który sądził, że znalazł fenixa, nie miał czasu zastanawiać się nad pomyłką w swoich rachubach. Bo i po cóż przybył do Bretanii? Znaleźć zięcia, któryby mu utorował drogę do szczytów, do godności, a taki właśnie się nawinął. Kasper posiadał wszystkie żądane przymioty: znakomite imię dla Laury, wielki wpływ u dworu dla pana Levrault. Był więc zięciem, o jakim oboje marzyli. Nieszczęściem, Kasper zdawał się tego nie rozumieć. Pogardzał znaczeniem, i o swojem ubóstwie mówił z rozkoszą; w jego oczach, dostatki nie miały żadnego powabu. Pomijając przytłumione westchnienia, kilka ognistych spojrzeń, które bez wątpienia wymierzone były do obrazu panny Chanteplure, nie można go posądzać o zakochanie się w Laurze. Zwykle powtarzał, że jego zawód skończony, że się już nigdy nie ożeni.

Pan Levrault zwątpił, czy Kaspra złowi kiedyś w swoje sieci: wszakże wice-hrabia był rybą, a on rybakiem. Rozmowy, które miewał Levrault w parku z hrabią Kerlandec i kawalerem Barbanpré, podniecały jeszcze jego pragnienie. Hrabia i kawaler wynosili pod niebiosa zasługi Montflanquin'a. Byłato czysta korzyść dla Kerlandec'a, a Barbanpré nie mógł okazać się niewdzięcznym dla tego, który go wprowadził do domu, gdzie dawano tak smaczne obiady.

Kiedy p. Levrault trawił się niecierpliwością, Laura czuła się coraz więcej drażnioną. Laura nie kochała wice-hrabiego; ale nie mogła znieść jego obojętności. Gdyby Montflanquin oświadczył się o jej rękę, nie mogłaby sobie powiedzieć, czy go zaślubi; ale jątrzyło ją tak często powtarzane postanowienie wice-hrabiego, że się nigdy nie ożeni. Powtarzamy, ona go nie kochała; najwięcej, kiedy się jój podobał, a przecież zazdrościła

dziewicy, którą uwielbiał, uważała się poniżoną wiernością, dochowywaną tak święcie wspomnieniom.

Nareszcie dokazała tego, że stanowisko wice-hrabiego widocznie się zmieniło. Kasper zesmutniał, stał się fantastycznym, milczącym. Kasper bywał zadumany. Mieszkał się obok Laury, i nie podpadało wątpliwości, że to nie obraz panny Chanteplure sprawił w nim ten niepokój. Nie wspominał już o Fernandzie. Ponury smutek zniszczył jego żywość i wesołość. Symptomata ważniejsze, jawniej się objawiały przy stole; pił bardzo mało, potraw zaledwie dotykał. Zmiana taka, nie uszła przenikliwej uwagi pana Levrault. Wice-hrabia jeszcze się nie oświadczył, ale jego uczucie w każdym kroku jawnie go zdradzało; najmniej przewidujący byłby się tego domyślił.

Upojony radością, pan Levrault nareszcie dosięgnął mety swoich życzeń. Żeby zaś miał rozważyć skutki nietajnej już miłości wice-hrabiego pod względem szczęścia swojej córki, o tém wybornemu ojcu ani przez myśl nie przeszło... Mniemał tylko z własną pociechą, że zięć tak silnie rozkochany, okaże się bardzo łagodnym w chwili, kiedy przyjdzie na stół kontrakt ślubny. Bezinteresowność Montflanquin'a, jego pogarda bogactw, miłość ubóstwa, zabezpieczały od wygórowanych żądań, niejako zapewniały, że te będą nazbyt skromnemi. Peten próżności, ale sknera, p. Levrault cieszył się w skrytości ducha, że znalazł szlacheца, który do tyłu przymiotów, łączył najszacowniejszy, bo bezinteresowność w targu. Co do Laury, widząc się kochaną, jęj próżność była zaspokojoną; radowała się swoim zwycięstwem, i bynajmniej nie troszczyła się o wice-hrabiego.

— Trzeba patrzeć i czekać — mówiła do swego ojca, który rozprawił o małżeństwie jęj, jakby o czynie blizkim dokonania. — Nic nie przekonywa dotąd, ażeby wice-hrabia był zdecydowanym prosić o moję rękę; gdyby zaś tak w istocie było, roztropność nakazuje nie spieszyć się, i dobrze w nim rozpatrzyć. Niepodobna, ażeby w całej Bretanii wice-hrabia był jedynym kawalerem, któryby mógł się ożenić.

— Czogoż ty jeszcze się spodziewasz? — odpowiedział Levrault, nie rozumiejąc wahania córki. — Ostatni potomek Baudouinów i Lusignan'ów!... Sądzisz, że takich jak on łatwo po drodze nabierać?... Zresztą przetrzęśliśmy wszystkie zamki w całej okolicy, i jeżeli nie masz ochoty poślubić hrabiego Kerlandec, lub kawalera Barbanpré, dalibóg nie upatruję nikogo, na któregoś z wyborem miała jeszcze oczekiwać.

— Nie nas nie nagli — odpowiedziała stanowczym tonem Laura. — Zaczekajmy. Wszakże uprzedził nas sam Kasper, że najznakomitsze ro-

dziny nie znajdują się w swoich dobrach. Być może, iż niezawsze wicehrabia stanowić będzie całe nasze towarzystwo.

— Do licha, moja droga, zbyt jesteś wymagająca. Wielkie imię, rozległe wpływy, a w dodatku jego wrząca miłość!... Miał słuszność Jolibois, ten Montflanquin nie dzisiejszej daty jest człowiekiem. Nikt go nie posądzi, że się ubiegał za naszym majątkiem. Badam, ani się tego spodziewa; przenikam co się w nim dzieje. Przysiągł pozostać wiernym tej nieszczęśliwej Ferdynandzie; walcząc z sobą, przez nią kocha cię na zabój. Czyni on sobie wyrzuty, oskarża się, szaleje; mimo tego cię kocha: uczucie to silniejsze jest nad wszystko. Otóż, pomimo milionów twojego ojca, potrafiłaś wzbudzić szlachetną miłość, i jeszcze ci mało na tém? Ożeni się z tobą przez skłonność, i to ci jeszcze nie wystarcza? Winszuję i życzę ci, abys sobie lepiiej poradziła.

W ostatnich wyrazach p. Levrault, było coś takiego, co łechtało miłość własną i próżność Laury. Nie miała ona pretensyi zostać heroiną romansu. Byłto, jak już powiedzieliśmy, umysł zimny. Córka handlarza wyobrażała sobie małżeństwo jako cel swój ambicyi, jako kwestyą czysto kupiecką. Jednakże cieszyło ją to, że potrafiła obudzić miłość bezinteresowną, być kochaną dla niej samej. Jój towarzyszki z pensyi nie opuszczały sposobności powtarzać, że może zgłosi się jaki szlachetka, co ją z miłości jój talarków zaślubi. Laura wystawiała sobie ich zakłopotanie skoro się kiedyś dowiedzą, z jak wysokiego rodu dostała małżonka, który ją jedynie z miłości zaślubił.

O uczuciach wicehrabiego i jego bezinteresowności nie można było ani na chwilę powątpiewać, i Laura miała dosyć rozsądku, aby sobie powiedzieć, że podobna sposobność nie trafia się często w życiu młodej dziewczycy, obciążonej milionem posagu. Kasper nie był pięknym, ale jego szlachectwo i herb były prześliczne. Laura nie kochała Kaspra, ale to bynajmniej ją nie obchodziło. Ani razu nie pomyślała, że przecież trzeba kochać swego męża. Co ją wszakże martwiło, to jedynie to, że Kasper był tylko wicehrabią; onaby pragnęła przynajmniej margrabiego. Ale i tytuł wicehrabiny nie był do pogardzenia, kiedy się kto nazywa prosto panną Levrault, i pamięta, że jój ojciec mierzył łokciem sukno przy ulicy Bourdonnais.

Jednego razu jadąc konno, Laura zatrzymała się przed gołębnikiem Montflanquina. Jój próżność zbyt była draśniętą, patrząc na ten zbiór starych murów, rozsypujących się w gruzy, które Kasper szumnie nazywał zamkiem swoich przodków; ale też czuła się dosyć bogatą, aby mury te podźwignąć. Nakoniec Laura musiała uznać, iż niewiele ma trudności w wyborze. Tygodnie upływały, a znakomite rodziny nie spieszyły

się z powrotem do dóbr swoich. Nadaremnie p. Levrault przejeżdżał się po drodze do Nantes w powozie przez czwórkę ciągnionym, z dwoma żokejami w pomarańczowych aksamitnych kaszkietach; napróżno jego masztalercze przeprowadzali konie, a psiarczyki psów sfory, z rozkazem opowiadania przechodzącym: oto są psy i konie pana Levrault; daremnie rozlatał blask swój fortuny po wszystkich drogach, po wszystkich zakątkach; nie nie pomogło, ów zapowiadany tłum gości był zawsze ten sam w Trelade. Nareszcie Laura musiała zgodzić się na zdanie swego ojca, i w takim położeniu rzeczy nie pozostawało, jak czekać na oświadczenie wice-hrabiego. Po ciężkich westchnieniach, mogli się spodziewać, że nie będą na nie długo oczekiwać.

A więc wszystkie nasze osoby były uszczęśliwione, i nie wiadomo w której opowieści znalazło się tyle osób szczęśliwych. Kilka dni zwłoki, a pan Levrault wstąpi na ziemię obiecaną. Laura widziała się już przedstawioną u dworu. Mości pan Kasper nie potrzebował jak tylko wyciągnąć swoje pazurki, dla zagrabienia milionka, tyle dlań potrzebnego. Kmotr Jolibois cieszył się naprzód odebraniem swoich 80,000 franków, a hrabia Kerlandec kilku tysięcy talarów. Kawaler Barbanpré zacierał ręce z radości, myśląc o rozkoszach weselnej uroczystości. Nakoniec Galaor kołysał się słodką nadzieją, że hrabia przecież zaślubiwszy córkę milionera, przypomni sobie o zapłaceniu dawno należących się zasług. Tak stały rzeczy, kiedy niespodziewany wypadek zmienił ich postać, i nadał inny kierunek.

Pewnego poranku po śniadaniu, Laura jak zwykle pojechała konno, wzięwszy tylko jednego służącego. Pierwszy to dopiero raz udała się bez większego towarzystwa, zwłaszcza ojca i Montflanquin'a, dla zwiedzenia niw, okrytych płonami rolnika. Wprawdzie Kasper ofiarował się jej towarzyszyć, ale ojciec Levrault postanowiwszy zmusić wice hrabiego do wyraźnego oświadczenia swój miłości dla Laury, zatrzymał go u siebie, który z boleścią serca przystał na to; jednakże pod warunkiem, aby Laura skierowała swą przechadzkę ku zamku Clisson, gdyż, jak utrzymywał, okolica Tifauge była niebezpieczną, mogłaby więc tam spotkać ją jaka nieprzyjemność.

Posłuszna upomnieniom wice-hrabiego, Laura naprzód trzymała się brzegów rzeki; lecz wkrótce znudzona drogą tak dobrze znajomą, rzuciła się w ostrowia poprzerzynane pagórkami, i pędząc wśród zarośli, wkrótce zniknęła w dębowym lasku. Poprzecinany wązkiemi drożynami, gubiącemi się w krzakach, lasek ten prawdziwy labirynt stanowił. Laura przebiegając go galopem, ujrzała na krawędzi, że nie pośpiesza za nią służący, który bez wątpienia zgubił jej ślad wśród nieustannych zakrętów. Szczy-

ściem, że panna Levrault nie była zbyt poetyczną; doświadczyła też więcej radości niż bojaźni, znalazłszy się sama jedna wpośród pola. Nie dbając na pogróżki wice-hrabiego, puściła cugle, i pozwoliła samopas błędzić koniowi.

Byłto jeden z tych dni posepnych, pozbawionych blasku słońca, ale nie pozbawionych pewnego wdzięku, który porze letniej nadaje smętne tło jesieni.

Odświeżona ziemia spoczywała po upale lipcowym pod sklepieniem niebios, tak przyjemnym, smugami obfoków urozmaiconym. W jakimżeto czarodziejskiem miejscu, Laura spotkała się oko w oko z piękną naturą? Jakże się to stało, że owa dziewica, która dotąd nie żyła tylko dumą i próżnością, miała objawienie choć niejasne, bogactw i wdzięków stworzenia? W tej chwili Laura zapomniała o swoich milionach, i tarczy herbowej wice-hrabiego. Widziała kłosy kołyszące się przy swoich stopach, słyszała szmer wietrzyka, oddychała balsamicznym powietrzem; jój serce stopniowo pozbywało się poziomój ambicyi, która przed chwilą je napełniała. Bo też dobra i Boska przyroda, posiada tajemniczy wpływ, nawet na zakamieniałe serca; ona przemawia do duszy tak wymownym językiem! Widok dzieł Boga więcej przekonywa o znikomości i próżności doczesnej, niż wszystkie mowy pogrzebowe Bossueta i Massillona. Nieszczęściem złe było zbyt zakorzenione w Laurze, i biędne to dziewczę, niedługo znowu musiało się ugiąć w brudne jarzmo, w którym ją wychowano, a które zniszczyło wszystkie dobre w niej skłonności.

Laura jechała tak od dwóch godzin, spuściwszy się na wolą swego rumaka, ani pomyślawszy, że w amazonce, w kastorowym kapeluszu z zieloną zasłoną, samotna i swobodna, błędząc po jarach, sto razy była piękniejsza, niż w salonach ojca. Kiedy chciała zwrócić się do Trelade, napróżno szukała drogi wśród obszarów pni po ściętych drzewach i rozrzuconych krzaków. Błąkając się tak jeszcze czas niejaki na los szczęścia, mniemała, że poznaje brzeg jednego jaru, do którego Kasper niedawno nie radził się zbliżać, powiadając, że to jest przesmyk pełen niebezpieczeństw, przecięty strumieniami i nieprzebrnionemi błotami.

Zeszłego roku, pewna pasterka odważyła się ścigać uciekającą w tę stronę krowę; zwłaszcza w przesmyku, który nazywają *Djabelską drogą*. Pasterka i bydlę przepadli na wieki. Laura osądziła, i bardzo słusznie, że podobny wypadek nigdyby się był nie przytrafił, gdyby na wstępie drogi zrobiono przekop, lub położono kloc jaki, służący za prostą zaporę. Na taki argument musiałby Kasper uwielbiać dowcip i przenikliwość panny Levrault, a razem dziwić się głupocie ludzkiej w tutejszej okolicy.

Znajdując się tuż naprzeciw drogi djabelskiej, Laura zatrzymała się, aby ją rozpoznać, i rozpoznała tóż rzeczywiście. Była to alea kręta, okolona dwoma pagórkami, zapadła i pełzająca między gęstwiną jaworów, jak wężykowaty strumyk pod zielonym dachem gałęzi.

Laura miała się już odłalić, kiedy ujrzała dziewczynkę z rozpuszczonymi włosami, bosą, wychodzącą naprzeciw niej z alei, i krówkę przed sobą poganiającą. Wyobraźnia bujniejsza upatrzyłaby w owę dziewczynicę cień pasterki, pędzącej widmo zaginionej krowy, o których żalosnym wypadku opowiadał wice-hrabia; lecz panna Lovrault nie było dziewicą, łatwo poddająca się poetycznym marzeniom.

— Malcze!—zawołała Laura na dziewczynkę—czy ta dróżyna z której wyszłaś nazywa się przesmykiem djabelskim?

— Djabelskim przesmykiem!—powtórzyła pasterka z przerażającą miną.—Moja piękna panienko, w całej okolicy nie ma drogi, któraby się tak nazywała.

Jakto?—zawołała Laura—nigdy nie słyszałaś, aby mówiono o djabelskiej drodze?

— Z przeproszeniem pięknej panienki, słyszałam o niej od księdza proboszcza, alem jej nigdy nie widziała.

— Wiiesz przynajmniej, że to przejście jest niebezpieczne, prowadzące na bagna, między które niedobrzeby było się zapuszczać? Podobno przeszłego roku pasterka taka jak ty, zginęła tam ze swoją krową.

— Mnie się zdaje, że panienka chce zadrwić ze mnie. Drożyna ta jest tak pewna, jak wielki gościniec prowadzący do Nantes; ażeby z niej wyjść żywą, nie trzeba się tam udawać umarłą.

— A więc—zapytała Laura z zadziwieniem—gdzież ta droga prowadzi?

— Do naszego folwarku, piękna panienko, i do zamku w Rochelandier.

Po tej odpowiedzi pasterka poleciała za krową, która w najlepsze pała się na polu zasianém koniczyną.

Laura jakby przykuta do miejsca, mordowała się nad znalezieniem rozwiązania powieści Kaspera, lecz nadaremnie. Musiał ten zamek Rochelandier, którego nazwisko nie pierwszy raz obito się o uszy Laury, być kupą gruzów, jak zamki Tifauge, Mortagne, i Clisson; w przeciwnym razie Kasper nie omieszkałby go zamieścić na liście, którą złożył p. Lovrault, kiedy szło o zawieranie stosunków z okoliczną szlachtą. Że ten zamek był niemieszkalnym, o tém nie powstał ani cień powątpiewania w umyśle Laury; lecz dlaczego Kasper wskazał tę drogę jako niebezpieczną? z kąd się wzięło to nazwanie drogi djabelskiej? co znaczy owa historyjka o pasterce i krowie zatraconej w błotach lub bagnach?.....

Po kilku chwilach rozwagi, Laura zacięła swego konia, i zapuściła się w ciemną drogę, prowadzącą do zamku Rochelandier.

(Dalszy ciąg nastąpi).

EKONOMIA POLITYCZNA

I

STAN JEJ W NASZYM KRAJU.

PRZEZ

Felixa Zielińskiego.

Ze wszystkich nauk, żadna u nas nie stała się tyle przedmiotem mody, żadna tylu nie zyskała zwolenników, co ekonomia polityczna. Nie mamy prawie wcale dylettantów geologów, tak pospolitych w Anglii, — miejscowość zamała ku temu nastęrcza podniety; — botanika zbyt szczerpłe liczy grono lubowników; ale po wszechnie poczytuje się za obowiązek, za kamień probierczy wyższego ukształcenia, zajmować się stosunkami ekonomicznymi, i uważać je z wyższego, naukowego stanowiska. Jaki taki dorwawszy się fortuny ojcowskiej, zapuszcza odłogiem całe pole, już i tak niezbyt uprawne, swęj wiedzy; jeden tylko jego kawalek, jakby ogródek przy domu, zostawując sobie do troskliwszego pielęgnowania. Ta ogrodowa uprawa dość dobrze wygląda, dopóki raczej dla niewinnęj rozrywki, niż dla praktycznego użytku jest prowadzona; lecz gdy ją potém zechce się przenieść na większe obszary, gdy chce się pod nią podciągnąć ogólne stosunki ekonomiczne kraju: próba zawodzi, i zamiast zdrowego plonu pracy i rozwagi, wybujają krzewią się marzenia.

Takim sposobem i takim tylko wytłumaczyć można, jak obok rozgąłężonego zamięłowania w ekonomii politycznej, najgrubsze co do stosunków miejscowych, najżywięj nas obchodzących, panują uprzedzenia; a panują tak wielowładnie, rozpostarły się tak szeroko, że aby targnąć się na nie, istotnej potrzeba odwagi. Zamieniły się one w pewniki, które każdy przyjmuje bez dalszego dowodzenia.

Na nieszczęście pewniki te, około których obraca się większa część rozumowań w przedmiotach gospodarstwa krajowego, są często wprost przeciwne zasadom ekonomii politycznej, której hold i pokłon złożyć, i szacunek swój dla niej wyznać, każdy prawie unniema być swoim obowiązkiem. Sprzeczność taka nie mogła ująć uwagi powszechnej; dostrzeżono ją, lecz wynaleziono łatwy środek na jej pominięcie. Tak zwykle się zdarza, kiedy naprzeciw zasadom staną namietności i uprzedzenia, kiedy teoria choćby najzdrowsza, stanie w sprzeczności z rutyną choćby najbłędniejszą. W nierównej tej walce, pierwsza zwykle niemal zawsze ulegnie drugiej. Czy przytóm z większą lub mniejszą, że tak rzeczem ceremonią, teoria na bok wyproszoną zostanie—w ostatecznym wypadku nie zmienia.

Anglicy utrzymują, że prawa rządząca całym światem, w jednej Irlandyi nie mają zastosowania. Coś podobnego wielu chce upatrywać w stosunkach ekonomicznych krajowych. Tak zawsze i wszędzie; zamiast przyczyny niepowodzeń na polu teoryi czy praktyki szukać w sobie samych, ludzie starają się zrzucić ją na przedmiot.

Mniemana wyjątkowość stanu ekonomicznego kraju, nie może przecież uwalniać go od działania głównych praw ekonomii politycznej. Nie zaprzeczam, że ta nauka wzięwszy swój początek i wzrost w krajach przemysłowych, nabrała właściwej barwy od stosunków, których rozważanie do wzrostu jej dopomogło: jak woda rzeki niesie z sobą ślad gruntów, które obmyła. Lecz jak woda nie zmienia swojej natury, czy ją glina pomąci, czy piasek oczyści, czy rozkruszona skała poczerwieni: tak i ekonomia polityczna, chociaż przesiąkła, że tak rzeczem, stosunkami przemysłowemi, nie traci przez to prawa do urządzenia i stanowienia o wszystkich jakiegobądź rodzaju i w jakiegobądź stronie zachodzących stosunkach ekonomicznych.

Zamierzamy stosować ekonomią polityczną do stosunków krajowych, i okazać, że one nie przedstawiają nic anormalnego, nie takiego, co by je od działania głównych praw ekonomicznych wyłączyć mogło. Jakkolwiek samo ujęcie w karby nauki faktów, których dotąd pod nią podciągnąć nie umiano, czy nie chciano; względem których zaweznać może i zaśmiało niekompetencją nauki wyrzeczono, stanowi najlepszy, bo praktyczny dowód ogólności sfery zastosowania tej nauki: to przecież ażeby zamknąć naszym przeciwnikom ostatnie wrota, ostatnią, jeśli tak rzec wolno, teoretyczną surtkę, którąby wprzód nim zadanie nasze rozwijać zaczęli, wyknąć się nam mogli; musimy jeden możliwy zarzut rozebrać i odeprzeć.

Zarzut do przewidzenia jest taki: Chcemy stosować wypadki naukowe gdzieindziej otrzymane do kraju naszego. Tymczasem najcelniejsi tój nauki mistrze, sami, zdaje się, uważali ją za niemogącą znaleźć bezpośredniego zastosowania w czystości swoich zasad. We Francyi, Rossi uznał ekonomią polityczną w tém, co ma w sobie ogólnego i niezmiennego, za naukę opartą raczej na rozumowaniu, niż na doświadczeniu; za naukę mającą za punkt wyjścia szczerpłą liczbę czynów ogólnych, i wywiedzionemi z nich wnioskami, dochodzącą do wszystkich swoich wypadków. Jedném słowem, Rossi odróżnił ekonomią polityczną racjonalną, od ekonomii politycznej stosowanej, naukę od sztuki; i uznał, że czas, miejsce i stan narodowy sprawują odmiennosc wypadków zastosowania, tak samo jak opór powietrza sprawuje, że rzeczywista linia, którą przebiega wyrzucony pocisk, odmienną jest od linii matematycznej, będącej wypadkową siły rzutu i ciężenia, którą ten pocisk przebiegłby w próżni. (1).

Rozróżnienie swoje ekonomii politycznej czystej i stosowanej, wzięt Rossa z angielskiej szkoły Ricard'a, gdzie z większą jeszcze niż on dosadnością, powiedziano: „że ekonomia polityczna jest zbudowana na przypuszczeniach, mających ścisłą analogią z temi, które pod nazwą definicyi, są podstawą innych oderwanych (abstrakcyjnych) nauk. Geometria np. ma za swoje przypuszczenie definicyą dowolnie przyjętą linii, jako mającej długość bez szerokości. Takim samym sposobem ekonomia polityczna ma za swoje przypuszczenie definicyą dowolnie przyjętą człowieka, jako istoty czyniącej niezmiennie to, przez coby mogła otrzymać największą ilość rzeczy do potrzeby, wygody i zbytku służących, za użyciem dla osiągnięcia tego celu najmniejszej potrzebnej w bieżącym stanie wiadomości ludzkich, ilości pracy i fizycznego poświęcenia. Ztąd więc wnioski wywiedzione przez ekonomią polityczną, równie jak wnioski geometryczne, są tylko oderwanym sposobem (in abstracto) prawdziwo” (2).

Z temi głosami francuzkich i angielskich pisarzy, łączy się zdanie Niemca, Fryderyka Lista; lubo ten w inny sposób do podobnego, co tamci, zmierzał celu.

Ogólność zasad, w której inni widzieli tylko powód do stawienia ekonomii politycznej w rzędzie nauk ścisłych i odróżnienia od niej ekonomii politycznej stosowanej, List uczynił przedmiotem zarzutu; traktowa-

(1) Rossi, Cours d'économie politique, année 1836 — 37, 2-de leçon. Już w Sava: Cours complet d'économie politique, znajduje się wzmianka o potrzebie rozróżnienia ekonomii politycznej, czyli, jak ją zwać radzi społecznej (sociale), od ekonomii publicznej (économie publique) czyli narodowej.

(2) Edinburgh Review, Październik, 1848. Nro 178. Recenzja dzieł Milla.

nie dotychczasowe nauki wziął za kosmopolityczne, i naprzeciw niemu chciał postawić swoją metodę, rozwijać ekonomią ze stanowiska narodowego. Według niego (1) Say, i wszyscy późniejsi, mówią tylko o interesach wszystkich narodów, całej społeczności ludzkiej; lecz nie roztrząsają pytania: jakim sposobem dany naród w obecnym położeniu świata i we właściwych swoich stosunkach, może stan swój ekonomiczny utrzymać i polepszyć?

Pomijając kwestyą osobistą zaczeptionych pisarzy, widoczną jest rzeczą, że List, jeden z elementów wytkniętych przez Ross'ego, jako mających wpływ na zmodyfikowanie wypadków ekonomii politycznej czystej, t. j. stan narodowy, wyosobnił, i usiłował dać jego teorią. Przedmiotem badań Lista było nietyle zastosowanie ekonomii politycznej do stanu narodowego pewnego kraju, np. Niemiec, ile pytanie: w jaki sposób rozdział społeczności ludzkiej na pojedyncze narody, wpływa na zmodyfikowanie zasad ekonomii? Lecz tego pytania, List stawiać nie chciał tak, jakżeśmy je wyrazili; opierając się na tém, że społeczność ludzka rzeczywiście tylko w podziale na narody istnieje, List dawnym zasadom, jako odnoszącym się do społeczności ludzkiej w ogóle, odmówił wszelkiej prawie wartości; i nie modyfikować je, lecz nowe zupełnie tworzyć postanowił. Jednym słowem, List zstąpił z ogółu nie do pojedynczości, lecz do szczegółu; z rodzaju do gatunku, nie do indywidualum, i jak widzimy, mogąc się wygodnie pomieścić w ramach nauki, wołał głosić, że mu w nich zaciasno, i że je rozbić potrzeba. Pierwiastek przecie, który List w ekonomii politycznej podniósł i rozwinął, jakkolwiek ważny, nie jest tego znaczenia, iżby mógł za podstawę do nowej zupełnie budowy całej nauki posłużyć.

Cóżkolwiekby, zawsze przyznać należy, że przeciwnicy nasi, mogą wyprowadzić przeciw nam do boju silne zastępy i argumentów pozornie za nimi mówiących, i pisarzy powszechniej wziętości używających. Niech jednak tej pomocy, którąśmy sami przeciw sobie przyzwali, zbytnie nie zawierają: bo zdarzyć się może, że w ciągu rozprawy znaczną część sił nieprzyjacielskich po naszej znajdzie się stronie.

Wyłożyliśmy przedwstępne argumenta, jakie przeciw zadaniu naszemu użyteby być mogły. Wystąpiły one u nas w więcej naukowej formie niż ta, w której zwykle słyszeć się dają; lecz wywołując je przed sąd ogólny, chcieliśmy je podnieść do tej naukowej potęgi, która jedynie jakąś wartość im nadać, i publicznego rozbioru godnemi uczynić je może. Zresztą, łatwaby było rzeczą, brzydką sójkę okazać w całej jój przyrodzonej szpetności, ogolociwszy ją z pożyczanych piórek, w których może sama siebie nie pozna.

(1) Das nationale System der politischen Oekonomie, von Dr. Friedrich List.

Gdyby nawet uznać wypadło w ekonomii politycznej cechy, mieszczące ją w rzędzie nauk ścisłych, jeszczeby z tego nie wynikło, że w rozbiórce pytań praktycznych pominać ją się godzi; że dlatego właśnie, iż zasady jej są wszędzie i zawsze prawdziwe, nigdzie stosować ich nie można. Odmienność wypadków doświadczenia, nie uchyla jeszcze zasad nauki; każdy wypadek doświadczenia, każdy czyn, winien naprzód być poddany rozbiórowi naukowemu, a dopiero nabyte na tej drodze przekonanie, że same czyste zasady nauki na wytłumaczenie go nie wystarczają, może upoważnić do dalszego dochodzenia, jakie szczególne okoliczności wpływają w danym przypadku na modyfikowanie wniosków, do których doprowadziła teoria? Lecz nie godzi się przypuszczać a priori, że doświadczenie koniecznie przyniesie wypadek od wskazanego przez teorią odmienny, a jeszcze mniej godzi się odrzucać tłumaczenie naukowe wypadku doświadczenia, zgodnego z wnioskami teorii, dlatego tylko, że jest naukowym, a zatem musi być oderwanym. Ci tylko tak czynią, którzy teorię nie znają, a nad praktyką zastanawiać się nie umieją.

Cóż mówi o tym ten sam Rossi, z którego przywiedliśmy rozróżnienie ekonomii politycznej czystej i stosowanej? Czyliż pierwszą na to tylko tak wysoko postawił, aby ją tym dalej odsunąć od zastosowania w rzeczywistości życia? Przeciw temu owszem występuje jak najmocniej. Nie można utrzymywać, powiada „że różnica narodowości sama przez się zmienia zasady nauki” (1). Przypuszczając, że okoliczności zrzadzić mogą odmiennost między wypadkami doświadczenia i wnioskami teorii, Rossi nie dozwala tej odmiennost zbyt daleko zachodzić, nie wątpi, żeby wszelkie możliwe modyfikacye, zdolne były doprowadzić do wypadków przeciwnych się kardynalnym zasadom teorii. Używając znowu porównania matematycznego; Rossi tak się wyraża (Lekeya 29): „Można przyjąć, że jeden trójkąt jest większy lub mniejszy od drugiego, nie ma w tym niepodobienstwa; lecz gdyby kto chciał nadać szerokość linii, albo długość punktowi, zatrzymalibyśmy go mówiąc: „To już nie jest geometrya”.

Tak sądzą ci nawet, którzy uważają ekonomią polityczną, za naukę oderwaną, czysto rozumową. Mniemanie to przecież wspólne p. Rossi ze szkołą Ricarda, nie jest bynajmniej powszechne i nietrudno bezzasadność jego wykazać.

Ekonomia polityczna jest nauką społeczną; przedmiot jej wchodzi w zakres stosunków i działań człowieka. Lecz gdy te działania są wy-

(1) „Evidemment on ne saurait affirmer, que le fait seul de la nationalité puisse alterer les principes de la science.“ Rossi, lekeya 33.

plywem wolnej woli, nie może w nich zachodzić podobna regularność, jaką postrzegamy w zjawiskach przyrodzenia. Dlatego ani ekonomia polityczna, ani żadna z nauk społecznych do nauk ścisłych zaliczyć się nie da. Przedmiot ekonomii politycznej nie jest czysto wysnutym z umysłu ludzkiego, jak przedmiot geometrii; nie potrzebuje ona czynić dowolnych przypuszczeń względem natury człowieka, lecz tę naturę uważa i na niej swe wnioski opiera.

Szkola Ricarda sama zaczyna te prawdy uznawać; zmierza ku ich uznaniu określenie ekonomii politycznej, dane przez p. Mill (John Stuart) jednego z najcelniejszych obecnie ekonomistów angielskich. Według jednego, fenomena tworzenia się i rozdzielania bogactw, polegają na prawach natury ludzkiej, i pod tym tylko względem uważane, stanowią przedmiot ekonomii politycznej (1).

Działania człowieka opierają się na wolnej jego woli; lecz wola nie stanowi jeszcze całej istoty jego ducha. Gdybyśmy ten jeden pierwiastek wyosobnili, w działaniu człowieka, nic więcej widzieć nie chcieli nad wolny wybór z którego nastąpiło; ścieśnilibyśmy naturę ducha, i na tym gruncie, na gruncie czystej dowolności, ani ekonomia polityczna, ani żadna nauka społeczna powstaćby nie mogła. Głębsze zastanowienie nad naturą człowieka wykrywa, że każdy wybór, który on czyni, każde przyjęte przez niego postanowienie, jest wpływem całej pełni jego istoty, całej osnowy jego ducha; a tak, gdy nie samą tylko dowolność w działaniach ludzkich widzieć należy, mogą one ulegać, jakoż podciągnięte zostały pod pewne ogólne prawa.

To przeciągnięcie kwestyj ekonomicznych na stanowisko filozoficzne, nie jest naszym widzeniem. Sprowadził je sam postęp nauki. Prace p. Queteleta znakomitego statystyka belgijskiego, wykazujące tak dziwną stateczność fenomenów społecznych, które w pojedynczości zdają się zupełnie zależnemi od woli człowieka, zatrwożyły umysły lekkliwe i wznieciły w nich obawę: co się stanie z pojęciem wolnej woli, i czy ją za złudzenie uważać nie przyjdzie, kiedy wypadki wolnych w pojedynczości działań, w masę zebrane, ulegają matematycznemu rachunkowi i doprowadzają do praw ogólnych? Akademia bruxelska wyznaczyła komitet do rozbierania pytań, nastręczonych przez tak ważne zagadnienie; ciekawego komitetu sprawozdanie, jeszcze w r. 1846 akademii złożone zostało (2).

(1) Political economy, is the science which treats of the production and distribution of wealth, as far, as they depend on the laws of human nature.

(2) Quetelet: Essais de statistique morale. Bruxelles, 1848.

Ogólność praw ekonomii politycznej polega na jedności natury ludzkiej, nie oderwanój, nie takiój, jaką sobie wymarzy teoretyk; ale takiój, jaką wykazuje doświadczenie wieków i narodów. Tój jedności przeczyć dziś już nie pora.

Niepotrzeba ekonomiście dowolnie przyjmować, że bogactwo, dostatek, polepszenie bytu, są jedynym celem żądań ludzkich; dla niego dość jest oprzeć się na tój niezaprzeczonej prawdzie, że to żądanie, w różnych czasach i narodach mniej lub więcej silne, jest przecież stałym i powszechnym. Ogólność tój prawdy nie daje jej koniecznego zastosowania do tój lub owój jednostki, tego lub owego indywiduum: bo prawda w naukach społecznych, jak to już nazwa tych nauk wypowieda, odnosi się do ogółu, nie do pojedynczości. W tём prawa, będące podstawą nauk społecznych, różnią się od praw, któremi rządzi się przyrodzenie. I nic dziwnego: społeczność składa się z jednostek obdarzonych wolną wolą; w przyrodzeniu żaden szczegół od ogólnego prawa uchylić się nie może.

Z tego stanowiska zapatrując się na ekonomią polityczną, przyznany, że oderwane traktowanie tój nauki, nie jest ani potrzebnym, ani pożądanym. Zawodzi ono nieraz badacza na bezdroża, bo gdy w ciągu oderwanego badania, zapomni o jego hipotetycznej podstawie, łatwo pomiesza świat rzeczywisty z umysłową krainą swojej teorii, i wnioskiem, które tworzy, przyzna znaczenie nienależne im w rzeczywistości,

Tak już dzisiaj w Anglii sądzą Ricarda.

„Przyjął on, (mówi Przegląd edynburski, październik 1848 r. Nr. 178, str. 302—303), że w każdym kraju znajduje się ziemia różnego gatunku, i że przychód ziemi czyli renta, jest wartością różnicy, zachodzącej pomiędzy urodzajnością najlepszego i najgorszego z gatunków ziemi, w uprawie będących. Resztę wyplodu ziemi rozdzielił między zyski i zarobki, czyli cenę najmu. Przyjął, że najem nie kosztuje mniej ani więcej nad wartość tego, co jest potrzebnym do utrzymania robotnika i jego rodziny przy zdrowiu i zdolności do pracy. Przyjął, że z postępem ludności i bogactwa, praca rolnicza staje się stosunkowo coraz mniej produkcyjną. I doszedł ztąd do następstwa: że udział w ogólnym wyplodzie ziemi, przypadający na część właściciela i robotnika, musi statecznie wzrastać, udział zaś kapitalisty, musi się zmniejszać.“

„Byłoto loicznym następstwem, i miałyby prawdę rzeczywistą, gdyby przyjęte założenia były prawdziwe. Niestety, każde z nich prawie jest mylnym. Nie jest prawdą, że dochód z ziemi powstaje skutkiem różnic w urodzajności różnej dobroci ziemi w uprawie będącej; dochód ten istniałby i wtedy, gdyby cały obszar jakiego kraju, składał

się z ziemi jednostajnej żyzności. Nie jest prawdą: że robotnik dostaje *zawsze* zapłatę, ściśle odpowiednią wysokości potrzeb życia, lub tego, co zwyczaj za takie potrzeby uważać mu każe. W krajach ucywilizowanych prawie zawsze dostaje daleko więcej; w krajach nieucywilizowanych czasem dostaje mniej. Nie jest prawdą: że z postępem ludności i bogactwa, praca rolnicza staje się coraz mniej wyplodną. Najlepsza uprawa zboża w Anglii, wymaga dzisiaj mniej pracy, niż wymagała jej najgorsza uprawa w tym kraju przed laty 300, lub niż dziś jeszcze kosztuje pracy, najgorsza uprawa w Polsce. (1). Nie jest prawdą: że udział w wyplodzie ziemi, przypadający na część kapitalisty, bywa najmniejszym w krajach najbogatszych. Przeciwnie, sąto właśnie kraje, w których ogólna wysokość tego udziału, jest największą.“

Nie znamy, nawiasein mówiąc, lepszego zbitia teoryi Ricarda nad te kilka twierdzeń bez dowodu postawionych, bo dla oczywistości swojej go nie potrzebujących.

Cóżkolwiekby, wyłączywszy ekonomią polityczną z rzędu nauk ścisłych; wykazawszy, że (z niektórymi wyjątkami) nie jest i nie była traktowaną sposobem oderwanym, a ztąd, że niema powodu oddzielenia nauki czystej od stosowanej (dlaczego] przecież zasady niemniej ogłędnie w praktyce stosować należy); wykrywszy podstawę ogólności działania praw ekonomicznych: rozwiązaliśmy, zdaje się, zadanie nasze usunięcia wszystkich (mówiąc językiem prawnym) excepcyj, które przeciw stosowaniu ekonomii politycznej do stosunków miejscowych czynioneby być mogły, i do tego stosowania wprost już przystąpić możemy.

Nie będziemy tu uciekać się do kunsztownych zasad naukowych, weźmiemy piérwszy lepszy, najpospolitszy, najwięcej znany ze wszystkich axiomatów ekonomicznych, ten, który powiada, że cena wszech rzeczy zależy od ich dostawy i pokupu. Zdaje się, że niepodobna, ażeby tak ważna i zarazem tak jasna prawda, miała być pominięta z uwagi, przy rozbiorze jednego z głównych fenomenów ekonomicznych, na który uwaga każdego myślącego człowieka zwracać się winna, przy rozbiorze stosunków najmu, czyli pracy robotnika i jego zapłaty.

Tymczasem stało się przeciwnie, jak to wykazać jest właśnie naszym zamiarem.

Zapłata robotnika ulega niewątpliwie prawu ekonomicznemu, urządzającemu ceny wszech rzeczy. Lecz człowiek nie jest martwém narzędziem.

(1) Miejsce to dla ważności jego, umieszczamy w oryginale: „The corn now raised with the greatest labour in England, is raised with less labour, than that which was raised with the least labour 300 years ago, or than that which is now raised with the least labour in Poland.“

dziem; jeśli ma pracować, musi w wynagrodzeniu za pracę znaleźć możność wyżywienia się i utrzymania; a ten wzgląd, przeważnie wpływa na ustanowienie pewnego minimum, niżej którego tylko w nadzwyczajnych wypadkach, zapłata robotnika spaść może. Wzgląd ten zmniejsza cokolwiek wahanie się cen najmu; zawsze jednak zostawia aż nadto może obszernie pole do działania ogólnego prawa cen.

Zobaczmy teraz, w jaki sposób prawo to działa w kraju tak przeważnie jak nasz rolniczym.

W kraju rolniczym, głównym przedmiotem pracy jest ziemia tego kraju i jej plony. Przy wzroście ludności, z postępem kultury, ogólna rozległość ziemi nieużytecznej coraz się zmniejsza, rozległość ziemi użytkowej, przedmiotem pracy ludzkiej będącej, coraz wzrasta. W czasach upadku, stosunek jest odwrotny. Czy przecież społeczność postępuje, czy się cofa, ruchy jej w oboim kierunku nie są zwykle raptowne; a tak od roku do roku nie wpływają na stosunki najmu w sposób znaczący.

Również powolnym jest działanie ulepszonych metod uprawy roli; ulepszenia te w ostatecznym wypadku, zmniejszają ilość potrzebnej pracy, a przeto wprowadzenie ich przeciwważy skutki zamiany nieużytków na ziemię użytkową. Wszakże i pod tym względem postęp jest w powszechności powolny, a tém samym wpływ na stosunki najmu nieznaczący.

Czy wreszcie rok jest urodzajny czy głodny, ilość ziemi użytkowej, będącej przedmiotem pracy, prawie się nie zmienia. Zmniejszenie zajdzie tylko wtedy, i to zwykle w mało znaczącym stosunku, kiedy w roku głodnym, nie wszyscy będą w stanie grunta swe obsiać.

Tak więc możemy przyjąć bez wielkiej chyby, że ziemia jako przedmiot pracy, potrzebuje od roku do roku równej prawie ilości rąk, a przeto na zmiany w stosunkach najmu, niewiele ma wpływu.

Inaczej się rzecz ma z drugim wielkim przedmiotem pracy ludzkiej w krajach rolniczych, t. j. z plonami ziemi; ulegają one nagłym i wpływ ogólny wywierającym zmianom.

Jeżeli rok jest tani, jeśli się dwa razy tyle zboża zrodziło co w roku głodnym, trzeba będzie dwa razy więcej zboża zebrać, dwa razy więcej związać w snopy, ułożyć w mendle, zwieźć do stodoły; dwa razy więcej wymłócić, wywieźć na targ, do młyna, i t. d. W latach urodzaju wreszcie, bydło lepiej wyżywione, da więcej nawozu, i więcej go też w pole wywieźć będzie potrzeba. Wszystko to zwiększy w ogromnym stosunku ogół pracy krajowej; a tak plony przez nagłe swe powiększenie lub zmniejszenie, mogą sprawić, jakoż sprawują wielkie wstrząśnienia w sto-

sunkach najmu. Postaramy się wysokość tego wstrząśnienia w cyfrach wystawić, położwszy do rachunku naprzód niektóre zasady.

Różnica w urodzajach rzadko bardzo bywa tak znaczna, aby w jednym roku dwa razy tyle zbierano, co w drugim; przytém nie każda z prac, których plony ziemi są przedmiotem, wzrasta w stosunku ściśle odpowiednim pomnożonej ilości plonu. Żniwo np. w roku obfitym, wymagać nie będzie pracy dwa razy większej niż ta, której wymagało w roku nieurodzaju.

Z drugiej strony, różnica w urodzajach nie może być przyjętą zbyt nisko, bo właśnie opuszczamy lata średnie, jako normalne co do stosunków najmu. Zbiór zboża podamy w kopach, bo choć urodzaje słony i zboża nie są ściśle sobie odpowiednie, przecież mieszcząc w rachunku cyfry pod wszelkim względem za niskie, możemy bez wielkiej myłki stosunkowość tę przyjąć. Wreszcie, rzeczą jest niewątpliwą, że znaczna część prac około plonów ziemi, wzrasta w stosunku odpowiadającym powiększonej ich ilości.

Na tych założeniach oparci, wskażemy liczebnie, lubo tylko częściowo, w jak ogromny sposób wzrasta potrzeba i użycie pracy w kraju naszym w latach urodzaju.

Przystępując do tego obliczenia, żałować nam przychodzi, że statystyka rolnicza na zbyt niskim jeszcze u nas zostaje stopniu, żeby wyrachowania na nię oparte, nawet w przybliżonym sposobie za dokładne uważać się dały. W braku przecież cyfr dokładnych, musimy przestać na tych, jakie zebrać mogliśmy, kombinując je w taki sposób, aby od rzeczywistości zbyt nie odstępowały.

Królestwo polskie ma rozległości okrągło biorąc 2,300 mil kwadratowych. Podania statystyki różnią się co do ilości włók ziemi ornęj; w przecięciu można ją przyjąć na 360,000 (1).

Gospodarstwo trzypolowe, tak znacznie jest jeszcze przemagające, że je bez wielkiej myłki wziąć można za zasadę obliczenia rodzajów uprawianego zboża; a tak przyjmiemy:

że trzecia część 360,000 włók czyli włók 120,000, przypada corocznie pod zasiów oziminy;

że tę samą ilość gruntu zajmują pola jare;

(1) Kalendarzyk polityczny na rok 1844 podaje (str. 23 części 2giej), rozległość królestwa na mil \square 2,320, czyli włók 757,893, z czego na grunta orne przypada włók 370,933; na lasy 210,379; na łąki 97,971; na wody i drogi 78,610. Cyfry urzędowe podają na rok 1843 roli ornęj włók 358,317; na rok 1846 włók 366,638 $\frac{1}{2}$. P. jeszcze ciekawą statystykę rolniczą królestwa w Korrespondencie Gazety Codziennęj na r. 1849.

ostatnia trzecia część wreszcie ugoruje.

Włoka zawiera morgów trzystoprętowych trzydzieści, lub licząc na morgi dwustoprętowe, jako powszechnie w gospodarstwie używane, morgów takich 45. Liczba zatem dwustoprętowych morgów pola, co-roczenie w kraju naszym obsianego ozimną, będzie 5,400,000.

Wziąwszy za podstawę rachunku inne elementa statystyki, ja-koto: podaną ilość wysiewów, ilość zbiorów, zboże potrzebne do wyży-wienia ludności krajowej, z dodatkiem tego, co się staje przedmiotem wywozu za granicę, do tych samych mniej więcej dojdziomy wypadków, z tą zawsze uwagą, że raczej zanizko przyjęte okażą się.

Według tych danych, trzeba będzie wielkiego nieurodzaju, że-by ilość zebranych kop oziminy, średnię więzi, wyniosła mniej niż 7,000,000. Przyjąwszy tę ostatnią cyfrę, samo wymłócenie takiej liczy-by kop, pracą ręczną, zajmie dni roboczych 14,000,000.

Ilość tę dni zajętych zmniejszyć jednak wypadnie, z uwagi na skró-cone prace, około omlotu przez zaprowadzenie młocarni.

Zwróciwszy znowu uwagę na to, że cała ludność włościan i mie-szczan, trudniących się uprawą roli, młocarni nie używa: że dotąd większa część folwarków nie jest w nie zaopatrzona: że tam nawet gdzie się znajdują, często, zwłaszcza w latach nieurodzaju tylko do wymłotu na zasięw są używane; że wreszcie i młocarnia ręki ludzkiej potrzebu-je: nie uczynimy zbyt niskiego przypuszczenia, przyjmując, że $\frac{1}{10}$ ogólnęj pracy około omlotu zboża, oszczędzoną jest przez młocarnie, w la-tach nieurodzaju, a tak liczbę dni roboczych, potrzebnych do omlotu samęj oziminy, ustanowimy na nasz kraj w roku nieurodzaju na 12,600,000.

Licząc na człowieka w przecięciu dni roboczych na rok 250, wy-padłoby, że omlot zboża ozimego, przedstawia w kraju naszym w ro-ku nieurodzaju całoroczną pracę ludzi najmniej 50,400.

Dodając połowę téj ilości na jarzynę, będzie summa ogólna ludzi młocką zajętych w roku nieurodzaju 75,600.

Porównajmy z temi wypadkami cyfry lat urodzajnych. Przyją-wszy powiększenie się zbiorów w tych latach, w kopach tylko o $\frac{2}{7}$, co nie jest wiele, gdy lat średnich nie mamy tu na względzie, będzie liczba dni potrzebnych do omlotu oziminy 18,000,000. Przypuściwszy, że po-większona czynność młocarni, oszczędzi w takim roku nie dziesiątą, lecz dziewiątą część pracy około młocki, wypadnie liczba dni omlotu 16,000,000; a tak omlot ten przedstawiać będzie całoroczną pracę lu-dzi 64,000, a z dodatkiem zboża jarego ludzi 96,000.

Przyjąwszy powiększenie się urodzaju o $\frac{3}{7}$, cyfry te dojdą 71,200 i 106,800 ludzi.

A tak wypadnie, że sama młocka w roku urodzajnym potrzebować będzie najmniej o 20,000 — 30,000, ludzi więcej, niż w roku nieurodzajnym (1).

Obliczmy teraz, ileto pracy przyczyni w roku urodzajnym sama wywózka zboża na targi. Spójrzmy na te jednokonne furki, zalegające wszystkie nasze trakty i urągające ulepszonemu stanowi komunikacji, lichym swoim czterokorcowym ładunkiem. Wciągnijmy w rachunek, ile to z powiększoną ilością zbioru i obfitszym zapasem ziarna, przybędzie zmarnowanego czasu, którego wartość włościanin utracą, czekając na zmielenie przywiezionego do młyna półkorca. Zastanówmy się, ileto zajmie czasu wywózka na pole zwiększonej, przy lepszym utrzymaniu bydła, ilości nawozu, odbyta wózkami, mieszczącymi w sobie mało co więcej, od dobrych taczek. Gdy te i tyle innych stosunków gospodarskich weźmiemy pod uwagę, przekonamy się dopiéro, o jak ogromną ilość potrzeba pracy, większą jest u nas w roku tanim, niż w roku droгим.

Lecz gdy potrzeba pracy wzrasta, wzrasta i jój żądanie czyli pokup. W stanie ludności przecież, pracą około roli i jój plonów zajętej, od roku do roku nagła nie zachodzi zmiana; a tak ogół pracy, którym rolnictwo rozrządza w roku urodzajnym, żadnego nie dozna powiększenia. Ilość pracy w targu będącej, czyli ofiarowanej za najem, zmniejszy się nawet znacznie, gdy włościanin obok powiększenia się pracy w domowym gospodarstwie, mniej znajdzie czasu do pracowania za domem. A tak, gdy pokup pracy w latach tanich jest większy, dostawa zaś mniejsza, ceny najmu idą w górę, i brak najemnika, w większych zwłaszcza gospodarstwach, czuć się daje. Przeciwnie, w latach głodnych, najem mniej jest poszukiwany, a ceny mają dążność do spadnięcia, miarkowaną cokolwiek potrzebą zapewnienia exystencji robotnika.

W latach nieurodzaju powszechna objawia się staranność prywatnych i rządu o otworzenie zarobków dla klass ręczną pracą zajętych, młocarnie ustają i wykonywają się prace niepodobne do wykonania w latach tanich.

(1) Cyfry tej, nikt nie weźmie za mało znaczną, kto zważy na stosunek ludności roboczej, oddanej ciężkim pracom, do ogółu ludności krajowej. Wszystkie fabryki w kraju zatrudniają w okrągłej cyfrze 46,000 ludzi; wszystkie rzemieślniostwa 75,000, a wiele to jeszcze wchodzi w tę cyfrę niedorostków i kobiet? Dziesięciu ludzi w naszym rachunku przedstawia 2,500 dni pracy, co niematem jest wsparciem dla obszernego nawet gospodarstwa. Ogólna oszczędność lub pomnożenie pracy przez nieurodzaj lub obfitość, daje lub odejmuje tę pomoc kilku tysiącom wiosek.

Wszystkie te atoli środki, zaledwie dostateczne są do zatrudnienia ludności roboczej: bo różnica potrzebnej ilości rąk w gospodarstwie w roku tanim i w roku droгим, tak jest wielka, że zbywającą w latach ostatnich ludnością, nie stodołę wiejską postawić, ale piramidy egipskie budować, i nie kawałek rowu dla osuszenia łąki wybić, ale takie kanały, jak Augustowski kopaćby można (1).

Zamiast tych wypadków na doświadczeniu i teorii opartych, jakież zdanie upowszechniło się u nas? Co czytamy dziś jeszcze w pismach z powszechnym prawie poklaskiem przyjętych?— Oto stosunki najmu, przez nas wykazane jako normalne, kładzione są na karb lenistwa włościan, których, gdy jeść co mają, do pracy nakłonić ma być niepodobna! O głównej zaś, stanowczej przyczynie podrożenia i braku najmu w latach tanich, trudno doczytać się i słowa.

Nie łącno uwierzy temu czytelnik, nieobeznany z przedmiotem; obwini nas może o przesadę; przytoczymy więc wyjątki dosłowne, z jednego z pism gospodarsko-ekonomicznych, znacznej wziętości używających.

Oto co w niem czytamy:

Że łatwość wyżywienia daje u nas wielką potuchę lenistwu, że przez to główną jest przyczyną braku najemnika, tego mamy najlepszy dowód w latach nieurodzaju, albo podczas tak zwanego przednowku. Wówczas liczba robotników najmu szukających, mnoży się w cudowny sposób, tak, że się dziwić wypada, z kąd się ich tyle wzięło, kiedy ich w inną porze wcale niema?"

Zdziwienie o którym tu mowa, ustałoby zapewne, gdyby zamiast puszczać refleksyą samopas po wypadkach, starano się poznać wzajemną ich zależność i związać je w jeden łańcuch rozumowania; gdyby pamiętano o tém, że stosunki ekonomiczne, są stosunkami ogólnokrajowemi, że więc nie można poglądać na nie ze stanowiska partykularnego, ze stanowiska Wólki lub Woli, lecz że je z punktu widzenia ogólnokrajowego uważać należy. Nie skarżonoby się może wówczas tyle na brak najemnika, na niedostatek ludności, lecz uznanoby ze wszystkiemi gospodarzami, którzy mieli sposobność porównać gospodarstwo krajowe i zagraniczne, uznanoby ze światłemi wydawcami Roczników Gospodarstwa Krajowego, że u nas ludności około roli pracującej nie brakuje.

(1) Około kanału Augustowskiego, budowanego głównie przez sześć lat (1825 — 30), pracowano 5—7,000 ludzi rocznie. Przyjmując średnią ilość 6,000 i rachując, że roboty trwały co rok przez siedm miesięcy, wypadnie ilość całorocznej pracy ludzi 21,000. Jestto ilość więcej, niż pokryta różnicą pracy około samych młocki w latach tanich i drogich.

że jest jój stosunkowo więcej nawet niż w Anglii, lecz że nieoszczędność, nieumiejętne użycie, jednóm słowem marnotrawstwo pracy jest głównym powodem kłopotu, w jakim się często znajduje gospodarz. W dzisiejszych stosunkach wiejskich, to właśnie jest główną wadą, że do marnotrawstwa pracy, dają pochop i zarazem bacność od niego odwracają. Nie może być dziełem jednej chwili złemu zupełnie pod tym względem zaradzić, nigdy przecież złe usunięciem nie będzie, jeżeli przyczyny jego nie wskażemy tam, gdzie się rzeczywiście znajduje.

Nie czytaliśmy równie i tych słów po części przeciwnych pierwszym, po części sprzecznych ze wszystkiém, co najświetlejsi dzisiejsi ekonomiści utrzymywali i utrzymują.

„W Anglii, we Francyi, w Niemczech” mówią nam, „mnóstwo jest ludzi nie posiadających i z głodu prawie umierających, których na zarobki wypędzać nie trzeba, bo sami ich szukają; gdyż głód miejsce włodarza najskuteczniej względem nich zastępuje (1)... ale u nas, w Polsce, nie mamy dotąd tego szczęścia posiadania milionów ludzi nie posiadających i ciągłym prawie głodem -zagrożonych”.

Do czego zmierzać może ten przesadzony obraz? — istotnie nie pojmuję i radbym w nim widział tylko igraszkę dowcipu piszącego.

Wyjawszy jedną Irlandyi, która przecież nie jest Anglią, nie wiem, gdzie są te miliony ludzi nietylko ciągłym prawie głodem zagrożonych, ale co większa, rzeczywiście już z głodu prawie umierających; wiadomo mi owszem, że ludność robotnicza wiejska lepiej bez porównania jest wyżywiona i utrzymana w krajach wymienionych, niż u nas. To tylko jest prawdą, że w krajach tych więcej niżeli nasz przemysłowych, mianowicie zaś w Anglii, w której ludność przemysłowa większą jest od ludności rolniczej, ubytek zarobków w roku nieurodzaju, nie jest stosunkowo do ogółu pracy krajowej tak znacznym, jak u nas; a gdy i plony ziemi nie stanowią stosunkowo tak znacznej, co u nas części kapitału obrotowego, którego posiadanie jest warunkiem użycia pracy, łatwiej więc niżeli u nas ten ubytek zastąpić.

Gdy tak dwa stosunki stanowiące o cenie najmu, t. j. żądanie jego i ofiarowanie, dostawa i pokup, stateczniejsze są niżli u nas; względ ekonomiczny chcący mieć, aby robotnik w wynagrodzeniu za pracę, miał zapewnioną dla siebie i swjej rodziny możność utrzymania się i wyżywienia występuje wybitniej, i nie dopuszcza zbytniego wahania się cen najmu.

(1) Według pierwszego z przywiedzionych ustępów zdawałoby się przecież, że i u nas głód czasami włodarza w szlachetnych obowiązkach wyręcza.

W takimto kraju mógł Ricardo uczynić założenie, że cena najmu z natury swój utrzymuje się w wysokości, zapewniającej robotnikowi i jego rodzinie utrzymanie się przy zdrowiu i zdolności do pracy.

Lecz nawet w Anglii założenie Ricarda nie okazało się zupełnie prawdziwem; zbijali je Ramsay, Tooke i inni. W tym kraju, zresztą, przesilenia handlowe i przemysłowe wpływają na ceny najmu silniej może, niż głód lub urodzaj.

Więcej zbliżony jest do położenia naszego stan innych krajów.

We Francji np. prawo ekonomiczne cen, stawiające je w zależności od dostawy i pokupu, odzyskuje w stosunkach najmu zupełną przewagę.

Patrzmy co mówią o tém Buret (*De la misère des classes laborieuses en Angleterre et en France*), i cytowany przez niego Droz (*Economie politique*).

„Najczęściej”, mówi Buret, (rozdział VI) „w latach nieurodzaju zniżają się ceny najmu, a nawet następuje zawieszenie pracy; która wówczas właśnie więcej bywa ofiarowaną: chyba, że spekulacya zechce korzystać z drożyzny, aby wymódził na robotnikach obniżenie najmu, przeciw któremu głód nie dozwolił im się opierać. Cena najmu, mówi Droz, nie stosuje się do cen żywności; w czasach głodu widzimy jak współubieganie nędzy, zmusza robotników do proszenia się o robotę za najlichszą zapłatę”.

Buret przesadza jak zwykle; miałko zastanawia się on nad stosunkami ekonomicznymi; i nie dlatego przywiedliśmy go tutaj, aby w nim tłumaczenia faktów ekonomicznych szukać, lecz jedynie, aby nam ogólność tych faktów zaświadczył.

Nikommu przecież za granicą nie przyszło na myśl w lenistwie i apatyi ludności roboczej szukać tłumaczenia faktów ekonomicznych, które istniałyby nawet wtenczas, gdyby w całej ludności nie było ani jednego leniwa. Wykroczone tam raczej w przeciwnym kierunku; chciano złe zwać na przemyśl, na spekulacyę, jedném słowem na klasy wyższe. Ta różnica w sposobie zapatrywania się sprawiła może, że stosunki najmu te same u nas co za granicą, za wcale odmienne uważać zaczęto.

Że ten lub ów mając kartofli i chleba podostatkiem, woli w domu zostać niż wyjść za najem; że w roku tanim mając sobie ofiarowaną zapłatę taką samą lub nawet wyższą, niż ta, której chciwie poszukiwał w czasach drożyzny, nie przestaje na niej, lecz żąda więcej: sąto fenomena z natury stosunków ekonomicznych wypływające, które zjawieć się muszą wszędzie, gdzie ceny najmu są przedmiotem wolnej ugody, lecz które do zarzutu lenistwa przeciw całej klasie ludności roboczej, nie dają jeszcze powodu. Na ogólny stan ekonomiczny, lenistwo tego lub owego mało wpływu wywiera; jeśli w latach tanich niektórzy nie chcą pracować, za to ogół ludności w tych latach lepiej wyżywiony, silniejszym jest do

pracy, i nędza mniej chorób sprowadza. Ubytek pracy, powstający z leni-
stwa części ludności, którą, jak mówi nasz autor, głód tylko albo włodarz
do pracy z domu wypędzić potrafią, znajduje w tych stosunkach dostate-
czną przeciwwagę.

Okoliczność, że w latach urodzajnych praca rolnicza niezmiernie się po-
większa, a przecież prawie zupełnie wykonana zostaje, najlepiej wykazuje
bezzasadność zbyt ogólnie uczynionego zarzutu. Gdyby przedmiot nie był
za poważny, dodalibyśmy przecież w zakończeniu, że oskarżeni mogliby
oskarżającym dać taką odpowiedź, jaką w dowcipnej komedyi Beaumar-
chais'go daje Figaro hrabi Almoviva:

„A ce compte la combien des maîtres trouveriez vous, qui fussent di-
gnes d'être valets?”

LISTY MIŁOSNE

Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA.

PRZEZ

Łaz. Dł. Wojcickiego.

Nasi powieściopisarze są w wielkim zawsze kłopotcie, gdy przyjdzie w obrazie upłynionej przeszłości przedstawić polskich kochanków. Nie mając zasobów historycznych, tworzą ideały do niczego niepodobne, postacie zupełnie nie rodowe; to naciągane kolorytem ekliwój sentymentalności niemieckiej, to czułości francuzkiej, nie mającej w sobie ani prawdy, ani rzeczywistego uczucia. Inni znowu, co niby więcej przeczują przeszłość, przedstawiają polskie dziewice tak zimne, tak bez uczucia, iż здаje się, że sąto raczej automaty, które się poruszają na głos tylko rodziców, lub na brzęk kluczy, aby miejsce szufarki w domach staropolskich zastępować.

Że jak jedni tak drudzy błędzą, pomniki dziejowe stawiają nam na to dowody.

Kiedy w XVIym wieku ogłada włoska, wraz z literaturą i sztukami pięknymi do nas zawitały; widzimy już obok całej prostoty, serenady wyprawiane dla swoich bogdanek. Pisano miłosne do nich liściki, posypywane złotym piaskiem, na które uroczę i wabne Polki umiały odpisywać, i w nich określać swoje uczucia.

Język miłości do razu się wykształcił, i w literaturze wiele cudnych pomników zostawił.

Ale nie o tak dalekiej przeszłości mamy mówić: zatrzymamy uwagę nateraz nad listami romansowemi z czasów Stanisława Augusta.

W starych papierach, do przejrzenia mi danych, w paczce oznaczonej, iż kiedyś należały do Zakrzewskiego, sławnego a zacnej pamięci prezydenta miasta Warszawy, był zwitek razem związany, w którym oprócz

innych nic nieznaczących, znalazłem 13 listów, jedną ręką pisanych. Po przeczytaniu ich pilném, okazało się, że te listy są pisane przez pannę do kochanka, i że są pisano w czasach panowania Stanisława Augusta: a co najważniejsza, że stanowią całość pewną. Imię i nazwisko tój czułej dziewczyny są niewiadome, równie jak nazwisko kochanka.

Dramacik ten miłosny odbywa się to w jakimś klasztorze (1), gdzie autorka nasza zapewne na wychowaniu była; to we wsi *Karwaczu*, gdzie ubóstwiony *Franulek* przemieszkiwał (2). Że ów *Franulek* miał znaczenie niemałe, pokazuje się, że pan łowczy *bardzo go szanował* i wysoko cenił, pani łowczyzna pisywała do niego w interesie utrzymania stosunków romansowych z naszą nieznaną bohaterką (3), pani sędzina zaś (4) ułatwiała zbliżenie się kochanków, bo zabierała pannę z klasztoru do siebie, i z nią razem do onego *Franulka* zjeżdżała na obiady.

Marychna, służąca panny, przenosiła listy, lub gdy napisać nie mogła ani słów kilka, wysyłała ją do kochanka, aby mu ustnie zlecenie lub troski swój pani opowiedziała (5).

Ale jak prawie w każdym romansie są przeszkody, i tu w tój zamiętanej miłości, główny wróg występuje. Jest nim jakiś *D!* okrutny. Przed nim zaleca kochankowi ostrożność w przysyłaniu listów, dla niego widzieć się z nim nie może.

Otoż wszystkie wiadomości, jakie zebrać mogliśmy o bohaterach całego dramatu; przystępujemy więc teraz do podania w wiernym a sumiennym odpisie listów, w których najlepiej się nam maluje nieznaną autorka.

1.

„Pomyślności więkšej nie mam nad tę, gdy mam sposobność te kilka liter wyrazić, przez które mogę się cokolwiek statecznemu sercu przypomnieć i oddać się, bez którego ja ledwo żyję... I nie wiem co dalej po-

(1) „Nie tęsknij, jutro w klasztorze będziemy się widzieli” (list 3).

(2) W królestwie polskiem jedyna jest wieś *Karwacz*, położona w dawnym województwie płockim, obwodzie i powiecie przasnyskim. Wedle *Tabelli* r. 1827 wydanej (Tom 1. str. 199), miała 32 dymy, i 222 ludności wiejskiej.

(3) „Łowczy do nóg ci upada: dziś pisał, że ma przyjechać z Warszawy, i prędko nie pojedzie w Sandomierskie” (list 3).

„Łowczyzna płacze co tęskni (po wyjeździe męża) i słaba, że na mszę nie mogła jechać. Jutro można z listem przystać, to da respons” (list 7).

(4) „Jmó Pani Sędzina przystała po mnie, która jutro będzie u ciebie. Dostało mi się tego szczęścia, mogę wyrazić, że najmilszego” (list 6).

(5) „Chociaż sama byś jutro u ciebie nie mogę, to aby Marysię posyłam, która ci wszystkie moje umartwienia opowieć, lepiej jak wyrazić w liście” (list 6).

cznę, gdyż w tak ciężkich zostaje tęsknościami i martwieniami; możesz się domyslić, jeżeli w podobnych zostajesz, ale ja daleko bardziej, bo nietylko przez oddalenie, że się widzieć z osobą nie mogę, ale i korespondować mi zabroniono do ciebie, moje serce kochane. Proszę moja panienko kochana, donieść mi o swoim zdrowiu, w jakim możesz zostawać. Na co tu mocno ubolewam, że nie mogę wiedzieć; o tamtym interesie (?) nie piszę, bo się obawiam, ale jeżeli ci się to zdaje, tak jak do ciebie w domu pisała, to tak zrobimy. Moje serce najukochańsze! miałabym ci co donieść, tylko, że listowi nie kredytuję, i sposobność mi też skrótca; tém się tylko kontentuję, że mogę ci przez tę literę zasać serdeczne uściskanie i ucałowanie po milion milionów razy. Adyje moje najukochańsze pieścizoty! mój aniołku najozdobniejszy! moja rybko najgustowniejsza! mój F (ranulku) najpiękniejszy! mój najukochańszy na świecie, i nad wszystko! Adyje, adyje, adyje! ach nieszczęśliwe adyje!”

(na boku dodano)

„Jeżeli byś do mnie pisał, to niech Marychna nauczy tego człowieka, i niech osobno ten list od ciebie odda, żeby mi go oddał; tylko żeby D! nie wiedział!”

Z tego pierwszego listu jasno widzimy, że już dawniej *gorąca* (jak nazywali starzy Polacy) miłość, zajęła serca młodych, że przeszkodami jątazona zapal powiększała, co popiera następny list.

II.

„Że twoje oświadczenia mocno mnie kontentują, wierz mi, że i ja niczego sobie nie życzę, jak cieszyć się z tobą. Ta moja największa szczęśliwość, kiedy mogę na ciebie patrzeć, i miłe twoje usteczka serdecznie ucałować: jak że nie można osobiście, to przynajmniej przez literę po milion milionów razy ściskam serdecznie miłe usteczka i oczęta, i rączki i wszystko, mój w życiu nad wszystko najukochańszy Franulku, moja najmilsza panienko, moje ukochane pieścizoty, moja pociecho, moje jedyne delicye, moja najgustowniejsza rybko! Adyje, adyje do prędkiego obaczenia, gdyż i ja mocno tęsknię bez ciebie, moje kochane serduszko!”

W trzecim liście opisując niewypowiedzianą radość, z odebranego listu od Franulka, zapewniając go o stałej swjej miłości wśród największych przeciwności: takie; w końcu dołącza wiersze:

„Uważ Boże sercem władający,
W oddaleniu afekt mój gorący;
Stateczności przyjm serca ofiary,
Niech twe będą rekompensą dary.
Ja gdy nadzieją cieszę moje troski,
Ty nie desperuj, minie wyrok Boski”.

Pan Franciszek snadź, że pocieszał kochankę w strapieniach, że bu-
dził w niej nadzieję szczęścia, że zaklinał, aby nie płakała tak często:
bo ona tak mu odpisuje:

„Proszę moje serce, niech cię nie martwią moje łzy, bo nie pocho-
dzą z tego, żebym się miała obawiać, że się odmienisz, tylko, że cię tak
dawny czas (sic) nie widziałam, i z tego mocno mi tęskno; rozumiem, że
już sto lat, kiedy cię momentu nie widzę, tak cię niowypowiedzianie ko-
cham, że radabym się zawsze cieszyć z tobą, i spodziewam się wzaje-
mności. Być wesołą nie mogę, chyba jak moje najmiłsze pieścizły obaczę
i ucieszę się z niemi. Adyje moja najukochańsza pociecho! Spodziewam
się prędko widzieć z tobą”.

Pan Franciszek widać donosił kochance o jakichś ciężkich umar-
twieniach, bo ona w następnym liście (V) dzieląc je, pociesza strapionego.

„Gdy ty zostajesz w tak ciężkiem umartwieniu, cóż rozumiesz o mnie,
gdzie ja daleko w większych zostaję tęsknościach? bo nic mi nie jest
milego bez ciebie, i nic sobie pomysłniejszego nie zakładam na świecie
jak szczególnie cieszyć się z tobą. Przynajmniej mi się tak zdaje, że nikt
lepiej nikogo nie może kochać, jak ciebie. Teraz cię serdecznie listownie
ściskam, a w niedzielę sama cię uściskam i ucałuję. Adyje, bywaj zdrów
kochanku”!

Na ten list odbiera odpis; i tak się z tego powodu wyraża:

„Dopieroćm cokolwiek ożyła, jak odebrałam ślicznej rączki charakter,
który mnie mocno ukonsolewał; a cóż dopiero, gdyby osoba! O! takby
mi się szczęśliwą w tym punkcie poczytać przyszło! Piszesz moje serce,
żebym nie tęskniła. Jak to można bez tego nie tęsknić, co jest komu
na świecie najukochańszego? Tak ja bez moich pieścizot ledwo nie umie-
ram, i te tylko mnie w mojem życiu cieszą”.

W umówioném miejscu mieli się kochankowie widzieć; ale cieszyli
się próżną nadzieją, bo wróg *D!* stanął na przeszkodzie.

„Ledwie mi (pisze) te kilka liter wyrazić przed łzami, których żadnym
sposobem uspokoić nie mogę, a to z téj przyczyny, że się zapewne miała
widzieć z tobą, widzieć moja jedyna pociecho! Teraz nie mogę się widzieć
przez *D*, bo nie odjedzie chyba we środę, a tak te dni w umartwieniu prze-
pędzę: bo gdy cię nie widzę, ledwo nie umieram, spokojnego snu nie
mam, bo zawsze o tobie myślę”.

Po tym liście nastąpiło widzenie się, a pan Franciszek chciał no-
wych zapewnień miłości od swéj kochanki. Ta mu zaraz odpisuje:

„Bądź o tém upewniony mój w życiu i nadewszystko na świecie
najukochańszy Franulku, że wszystkie moje żądze i myśli są o tém szcze-
gólnie, żebym cię pozyskała na zawsze, jak najprędzej szczęśliwe dni

i momenta z tobą przepędzać, i kochając cię tak niezmiernie i niewypowiedzianie, że życie i wszystko gotowam dla ciebie dać: i gdybym całego świata widziała piękności, żadnychbym sobie nie obrała do gustu; żeby cię między niemi nie było, tobym wszystkimi pogardziła, bo mi się na świecie nikt nie zdaje piękniejszy nad ciebie. Przylém ci milionowe zasylam uściskanie i ucałowanie, mój śliczny aniolku, moja panienko na świecie najpiękniejsza i nad wszystko najukochańsza i najgustowniejsza rybko! moje serduszko kochane, moje pieszczoty najmilsze, moja pociecho kochana! Adyje!

Z listu następnego widać, że przejęto korespondencyą panny, na co wpływał ów prześladowca *D!* Zabroniono jój nietylko widywać się z kochankiem, ale i pisywać do niego, a jak sama wyraża: „cieszenia się z literą twoją”.

W końcu wyraża:

„Bądź tego pewien, że cię tak niezmiernie kocham, że pomyśleć nie mogę, żebym cię kochać nie miała. Rozumiem, żeby mnie wszystko nieszczęścia ogarnęły, i póty nie przestanę, póki tchu stać będzie we mnie. Jeżeli nie wierzysz teraz, to potem uznasz”.

W następnym powtórzenie tych zażaleń, a snadź ten jakiś *D!* dobrze panny pilnował, bo przed nim nawet listu od kochanka przeczytać nie mogła. Znalazła jednak chwilę na danie odpisu na bilecik pana Franciszka, w którym donosząc jój o swojej chorobie, wyraził, że list jój był dla niego uzdrawiającem lekarstwem. Cieszy się z tego niewymownie biędne dziewczę, i tak kończy swój list pełna radości:

„Nic w mojem żyć u pożądańszego, miłszego, szczęśliwszego być nie sędzę, jak tego kochać, temu być wierną, i gdyby można poprzysiądz, kogo kocham i on mnie wzajemnie. O! jak częste mi nocy na bezsensnych przychodzi trawić myśleniach, jak wiele razy w mych zamysleniach przychodzisz mi na oczy! Chwytam odecknąwszy się, tylko sen, mara; przynajmniej i ta miła, gdy najukochańszego przed oczy stawia”.

Uderza teraz godzina rozwiązania naszego dramatu. Ów *D!* nienapróżno działał: postanowiono rozdzielić kochanków, przerwać między niemi wszelkie stosunki, a pannę wywieźć w dalekie strony, aby zapomniała swój miłości. Na samym odjeździe, nieszczęśliwa skrycie pisze pożegnanie.

Na tym ostatnim liście, znać wielkie wzruszenie, i rękę drżącą, i łzy rzewno. Ze kształtu liter, z bladeści i braku atramentu, widome: pośpiech nadzwyczajny, tajemnica, i wzruszenie.

Mój Boże! ileż jój serce cierpieć musiało, ile uczuwało boleści! Patrząc na ten list, cała się jój niedoła wyczytać daje.

Postuchajmy go w całości:

„Ostatnie czynię na tym moim nieszczęśliwym wyjeździe pożegnania, przy którym milionowe zasylałam uściskania i całowanie. Zważywszy wszystko, mogę się policzyć między nieszczęśliwemi! Więcej pisać nie mogę, bo się zalewam łzami, których żadnym sposobem zatrzymać nie mogę. Adyjc! bywaj zdrów i łaskaw; już cię żegnam mój najmilszy kochaneczku! Adyjc sercem ukochane pieścizoty!

„Przjdzie mi cię pożegnać napół z płaczem,
Bo się podobno nie zaraz zobaczem;
Z płaczem ci mi z płaczem pożegnać z tobą,
Wolałabym się cieszyć zawsze twą osobą.
Miłe w kupie zabawy nam obojgu były,
Teraz przykre chwile, co nas rozłączyły”.

Co się dalej stało? Czy ów zły *D!* był tylko prześladowcą dla interesu, czy się kochał w pannie i z nią się ożenił; czy bohaterka nasza z żalu umarła, lub została żoną innego, albo też wstąpiła do zakonu, w którym będąc na wychowaniu, poznała pierwsze uczucie tak mocne miłości; czy ubóstwiony przez nią Franulek przeżył smutne rozłączenie, i czuł jak *Adolf Kropińskiego* skonał z miłości: — to zostawiamy naszym powieściopisarzom do domysłu i sprawdzenia. My kończymy nasze badania, i pewni jesteśmy, że jeżeli nie wszyscy, to *Korzeniowski* i *Kraszewski* wdzięczni nam za nie będą.

POCZĄTKI FILOZOFII KRAJOWEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

A. Tyszyńskiego.

Z rokiem nowym zaczęliśmy rok środkowy naszego stulecia. Tak niedawno witaliśmy jeszcze początek tego naszego stulecia, i oto oglądamy już środek. Chyżo idzie czas naszej ziemi. Czas ten przed wiekiem niedawnym, albowiem przed kilkudziesiątkiem dopiero stuleci, dla jakichś celów zaczęty, goni do nich przez chwile, dni, wieki, a z każdym dniem, każdą chwilą, tłum tworów, tłum nowych zjawisk wyrzuca nieznanych od dni stworzenia. Czas ten i nas też ukazał, i przyniósł na nasze chwile. Dziedzice pośród stworzenia *myśli*, dziedzice *pojęć*, zamysłamy się dziś i pytamy: cóż jest ta cała przeszłość, która tak znikła? ta cała przyszłość nowa, która ma nadejść? jaki związek nasz z niemi? jak mamy przebyć te doby, na które przyszliśmy?

Sądźmy, iż nie możemy lepiej uczyć, użyć tej chwili, jak czyniąc i ponawiając przed sobą równéj treści pytania. W treści téj, tkwić właśnie musi i część odpowiedzi.

Znamy wszyscy płody myśli ludzkości od jej zrodzenia, i znamy, iż płody te lubo płody jednéj i téjże ludzkości w różnych okresach, nie są jednak jednéj i téjże cechy wewnętrznej w każdym okresie. Wiek nasz, nie jestto ów np. wiek dawny ziemi pierwotnej, gdy ludzkość jej, jakby ludzkość—dziecko, nie wiedząc jeszcze co jutro, co istnieje dzisiaj, dopytywała się tylko u matek nazwisk istnących rzeczy, pierwotnych czasów stworzenia, legend przeszłości. (*Wschód*). Nie jestto ów równie wiek młody, gdy żywość chwili kazała jej zapomnieć na przyszłość, na wszelką przeszłość, a czcić tylko, pieścić swe dzisiaj (*Rzym i Grecya*).

Doba nasza w nową moralną cechę ludzkość dziś przyodziła; po dziecinnym i młodym, ludzkość ta wstępuje już dzisiaj w okres swój męzki. Wzrost ciała i pełność myśli sąto cechy wieku męzkiego; szybkość ruchu w zmianach zewnętrznych, głębszość myśli w drodze wewnętrznej, muszą być przeto cechami tego okresu (1). Żyjemy dziś w ogóle ludzkim przez rok jak przez wieki, łączymy się z podstopcami naszymi jakby stojący obok, a w naszej moralnej stronie, w jej płodach, *rozważa* i *zamyślenie*. Ludzkość czuje, że już przeżyła lata swe młode, i że się przybliżyła do czasu swoich rozwiązań. Myśl o żywocie przyszłym, przemianach, o śmierci wieków, wstępuje dziś mimo woli we wszelki umysł tej ziemi. Wszelki twór z ducha dzisiejszego idący (*z ducha żywego*), cechę tę nosi. Przeszłość, czujemy to żywiój niż kiedy, znika nam, aby nie wrócić; obecność będzie dla nas jutro przeszłością; przyszłość tylko, i stosunek nasz do niej taki lub inny, jest jedynie rzetelnym naszym dzieciństwem. Bodźcem naszych nauk, dociekań, nie jest już dziś, jak niegdys *ciekawość* lub tylko *śród chwili popis*, ale ich *cel*. Umiejętność w drodze swęj głównej, szuka dziś pierwiastków stworzonych rzeczy, jednej ogólnej formy istnienia, *zadania* jej. Nauka w gałęzi swęj każdej, patrzy najprzód na swe *związki* z innymi, na ostateczno swe *końce*; dzieje kraju lub krajów, zajmują się wykładem ich *missyi*, prawa budową *utopii*, religie śledzeniem swych *proroctw*, a sztuka w utworach swoich odbija ten ruch i te dojścia. Nauka, która o źródle, związku i celach stworzonych rzeczy w uosobieniu względów tych mówi, która dotykając spólnego pierwiastku znanych przez ludzi rzeczy: *poznaniu*, czyni zbiór zasad poznania; nauka ta (filozofia) zawstydzila się także z innymi swoich oderwań, swęj dawnęj istoty, i w tej przemianie, w nową *rzeczywistości*, oraz *żywych stosowań* przeszła już fazę.

Mówić o tej nauce i tej jej fazie, jestto więc wchodzić w sferę pytań, o których rzekliśmy. Faza ta (jak to wnet ujrzeć mamy) w ostatnim swym kroku, właśnie na pole myśli naszej krajowęj przypadła. Mówić o filozofii krajowęj, o jej początkach: jestto więc bezpośrednio się znaleźć *śród* owęj sfery.

Początki te filozofii naszej czyliż jednak już są? a filozofia, ta własność myśli nie ludu, ale ludzkości, czyliż być może? i czyliż zwać się ją godzi krajową?

(1) Przy końcu zeszłego wieku (że się tu poprzemy na chwilę jednym przykładem), pierwsze np. zwołanie we Francyi zgromadzenia *Notablów* i pierwsze wydanie w Niemczech pisma „*Kritik der reine Vernunft*”, dwa te fakta tak brzemienne bliżką przyszłością w dwóch owych kierunkach, prawie w jednym roku przypadły.

Ludzkość byt wiedzie przez doby, a te doby, moralne jak i fizyczne, przez czynność szczególnych ludów odznacza. Wszelki lud, lubo członek jednej i téjże ludzkości, jak ma odmienny język, cechę moralną zewnętrzną; tak odmiennie ma tło czyli pole swój myśli, swą cechę moralną wewnętrzną. Pole to w danym mu czasie, już z gruntu, już z ziaren *wziętych*, plonem swym i kwiatem plonu zabłyska; lecz ziarno, które wydaje, jest martwem dla tego pola, i w roku drugim iżby w nowy urosło, na sąsiednie (jak to jest w świecie fizycznym) przejść musi. Kwiat więc myśli danego narodu, ten nowy, czasowy moment w dziejach ogólnego myślenia, nie może oznaczonym być jaśniej jak nazwiskiem tegoż narodu.

Wnet ujrzemy, przez jakieto doby i fazy odznaczała przebieg swój filozofia, jak i jakie przez upływ wieków odznaczyły je ludy szczególne; tu wzmieśmy tylko: że już pisarz ksiąg świętych zawartych w Biblii, dostrzegł był i zapisał, że mądrość przez narody przenosi się (1), że czynność ta, która już była jawną za dawniej epoki, tém jawniejszą być musi za nowiej epoki, za epoki dobitniejszego wyrobienia się krajowości, i rozwijającego się w ogóle dziejów drobiazgowiej i żywiej ich biegu; i wreszcie, iż okres ostatni który w rozwiciu się filozofii żywotność swą i odrębność, jawnie objawił, był w kraju dla nas sąsiednim, w Niemczech. Kraj Niemiec był ostatnim wśród dziejów moralnych ludzkości, który rośliną swój myśli, wyraźny w nich moment odznaczył, który ją wzniósł, rozwinął, i kwiat jej wydał; kwiat ten jednak już wydał (2), i spadkobierstwo ziarna

(1) A będąc (mądrość) jedyna, wszystko może, i w sobie trwając, wszystko odnawia, i przez narody w dusze święte się przenosi, przyjaciół Boże i proroki ustanawia. *Księgi Mądr. VII, 27.*

(2) Publikacye filozoficzne niemieckie, z ostatnich lat kilku, o ile je tu znamy, lub o nich czytamy, pomimo swą obfitość i sobie właściwą cechę, tak przebytego okresu myśli jak pracy, w gruncie jednak już nie ową żywotność kłosa do kwiatu biegącego, jak niegdyś, lecz tylko widok raczej opadających listków i pokwiatowy zamęt nam dają. Publikacye te są poświęcone wyłącznie prawie monografiom swych dawnych (od *Leibnitza* począwszy) mistrzów, sporom o ich pierwszeństwo, walczeniu, (i to najczęściej) z zasadami, ostatnio u siebie najpełniej rozwiniętego systemu (Hegla) i t. p. Kiedy przed parą laty jeden z pisarzy naszych, mówiąc o filozofii niemieckiej, filozofią tę ze stanowiska wypadków systemu Hegla potępiał; oceniacz jego, redaktor literacko-krytycznej gazety Berlińskiej, (filozoficznego postępu u siebie czujny świadek) w tych słowach między innymi odtrącał to potępienie: „Gdyby nawet, mówił, zarzuty które autor uczynił Heglowi były zasadne, zarzuty te stosować się nie mogą do filozofii niemieckiej, bo z Heglem nie umarta ta filozofia, bo nowa droga którą odtąd duch niemiecki postąpił, da nam zapewne wkrótce nowy systemat. (Wenn die Vorwürfe, die der Verfasser der Hegelschen Philosophie macht, auch alle gerecht wären, so hätte er damit noch keineswegs bewiesen, dass Hegel in Lösung einer im speciell zu-

innemu ustąpić musi.—Środki, sąsiedztwo, położenie ziemskie, wymagana nowość plemienia, to spadkobierstwo, tę kolej ku naszój zapewne przed innemi wskazują stronie;—jakoż przed czasem już nawet pewnych wyjaśnień, przed wypuszczeniem nawet tych kielek, o jakich rzecz mamy, po germańskich i po romańskich, głos powszechny pokoleniom słowiańskim dobę przyjscia na kolej tę wróżył.—Staramy się nie podzielać uprzedzeń i nie dzielimy bynajmniej téj wiary, jaką niektórzy z najbardziej nawet żywotnych pisarzy naszych (*Prelekye, Modlitwa P. i t. p.*) dziś objawiają: iż okres kwiatu myślenia ludów słowiańskich, ma być okresem osiągniętego już ostatecznie poznania prawdy i przyjscia prawdy. Wiare równą mieli właśnie filozofowie germańscy o swym okresie; wiara ta więc zamiast wzorem, byćby raczej powinna dla nas przestroga. Filozofowie niemieccy, po rozwinięciu, po przeprowadzeniu moralnego zadania swego (t. j. rozbioru *myślenia*) przez wszystkie koleje, odcienia: doszli w końcu (a dojście to było właśnie wypadkowym ziarném okresu ich), iż po dwóch różno-barwnych w dziejach ludzkości walki z prawdą okresach, naznaczonym jest dla tych dziejów trzeci:—zwycięstwa prawdy; zarazem zaś wnieśli i uwierzyli: iż zwycięstwo to ma właśnie dopełnić okres germański.—Brzmia nam jeszcze w uszach teorye, teorye ustawodawstwa, sztuki, religii, zasad myślenia, wszystkich słowem gałęzi rozwicia ludzkości tak nowo i żywo przez momenta swych dziejów przeprowadzane, a w których stan ich kwiatu, na lizyczno-moralne pole narodu Niemiec stanowczo był oznaczonym. Teorye te jednak przeszły, raj (dotąd przynajmniej) nie przyszedł, i oto świadkami jesteśmy, iż pokolenia nowe z żywymi równie, i owszem z żywotniejszymi jeszcze środki na kolej nad-

getheilten Aufgabe Philosophisches Denken nicht dennoch wesentlich gefördert, am aller wenigsten aber, dass es mit deutschen Philosophie nur überhaupt zu Ende sein; er hat Ahnung davon, dass dem deutschen Geist eben hierdurch eine neue Bahn des Wissens geöffnet sein könnte, eine Bahn, auf welcher die Verständigung zwischen Christenthum und Philosophie *vielleicht* nicht länger ein frommer Wunsch bleiben würde). Wróżba ta, krytyka co do filozofii niemieckiej czyli się spełni?—nie jest jeszcze wiadomém; sam jednak wyznał w ten sposób, iż doskonalszy i nowszy pośród téj filozofii, od Hegla system, jest dopiéro przedmiotem wroźby. System Hegla był bez zaprzeczenia, ze swój istoty i rozwinięcia, kwiatem filozofii niemieckiej; a jedna i ta sama roślina, nie wydaje po dwakroć kwiatu. Recenzent uczyniłby trafniej, gdyby w tym razie na tę raczej dostrzeżoną i zapisaną (o rozwiciach moralnych ludzkości) przez samego Hegla regułę, raczył był wspomnieć: „Dem Volke, dem solches (t. j. kwitnący) moment als natürliches Princip zukommt, ist die Vollstreckung desselben in dem Fortgange des sich entwickelnden Selbstbewusstseins des Weltgeistes übertragen. Dieses Volk ist in der Weltgeschichte, für diese Epoche, *und es kann in ihr nur einmal Epoche machen, das Herrschende*“. *Hegel's Werke VIII. 347.*

chodzą. W owém przejściu, docieczeniu okresu, zdobyte zapewne zostały i tkwiły dwie wielkie cnoty, t. j. *Nadzieja* i *Wiara*;—w tém jednak, jak we wszystkiém brak był trzeciój, która jest główną, która jest nad inne żywołą, a którą jest: *Miłość*. Teorya, która kłaść każe swe plemię za ostateczne, najwyższe, ma za grunt swój *egoizm*, nie miłość. Chcemy strzedz się, iżbyśmy nie budowali także docieczeń na równym gruncie.

Jeśli wszakże wierzymy co do nas, iż w owym okresie nowym, okresie prawdy, lud wszelki równy i równoczesny udział mieć ostatecznie musi; iż skutek ten (t. j. ów okres) nie jest tak nagle blizkim; iż owszem nietylko jeszcze niejedno plemię téj ziemi, lecz nawet niejedna część ziemi zdobywanie jego przeciągnie: nie zaprzeczamy wszakże bynajmniej (i owszem wiarę tę pierwsi nawet ile wiemy, w języku naszym objawiliśmy) (1), iż plemię przychodzące po drugiem na kolej działania, postępnie ją musi spełnić i silnieć koniec przybliżyć; iż *język*, *olbrzymiość* pierwiastków wszelkich (t. j. w *różnych* kierunkach), *czas*, *położenie* i zarazem objawiona ostatnio wyraźnie *żywość* moralno-duchowa, wskazują, iż dla owéj kolei moralnéj *czas* wreszcie Słowian już przyszedł.

Wiara, sztuka, społeczność, poznanie i t. p., każda z tych gałęzi rozwicia ludzkiego mają odznaczyć, objawić w szczegółach swoich ten okres: my mamy tu mówić tą razą o ostatniej z nich tylko; sfera jój jednak obejmuje téż lubo pośrednio i sferę poprzednich.—Kraj nasz od wieków już szczęściu i więcej, albowiem od początku prawie obudzonego u siebie myślenia, zajmował się uprawą i kształceniem zasad myślenia (filozofii); przez przeciąg tych wieków kilku, każdą zmianę sobie spółczesną tego kształcenia, w krajowych i znakomitych nawet nieraz utworach, odbijał. Wszakże w latach dopiero ostatnich kilku, drogę jedynie przerabiań i odbić porzućciwszy, a wypadkowe ziarna ostatniego okresu moralnego za ziarna źródłowe przyjąwszy, odrębniejszą téż jawnie a żywo na polu tém myślą zabłysnął. Jeśli przeto, chcąc tu dotknąć i mówić o ostatniej fazie filozofijnéj, nie o innéj, możemy mówić jak o krajowej; chcąc mówić o filozofii krajowej, nie możemy dziś jeszcze mówić jak o jój początkach.—Początki te, obfity wprawdzie jak na początki, i w różnych kierunkach roli zabłyśnięty dają nam widok; lecz mając rzec o pierwszych po większej części krokach i pracach naszych pisarzy, pisarzy przeto, których całość zadania, znaczenia, jeszcze nie jest nam znana: zajmować się tu raczej będziemy charakterystyką pism, nie pisarzy, i nazwiska ich nazwiskami tych pism, nie zaś właściwością własnych ich nazwisk, będziemy oznaczać.

(1) Bibliot. Warsz. z r. 1841, mies. wrzesień. *Rys Ośw. Słow.* w oddziale: *Wnioski ogólne*.

Pisarze, którzy w ostatnich latach, lubo nie wszyscy (jak wszędzie pisarze filozoficzni *przejścia*) językiem krajowym, w końcu jednak najobszerniej krajowym piszący; którzy w pismach swych ową odrębność, myśl żywą, pewną cech nowych łączność i stanowisko wspólne odznaczyli, a o których rzecz mamy, są:

Autor filozoficzno-matematycznych pism w języku francuzkim, oraz *Prodromu Messianizmu i Metapolityki Messianicznej*, którego od ostatniego, głównie tu należącego pisma nazywać będziemy *Autorem Metapolityki* (autor już ukończonój, jak się zdaje, missyi: *Hoene Wroński*);

Autor dzieła w języku niemieckim *Grundlage der Universellen Philosophie 2 t. i Vorstudien zur Wissenschaft der Natur*; oraz w języku krajowym, między innymi: *Pedagogiki 4 t. i Systemu krajowój Loiki 2 t.* którego tu nazywać będziemy *Autorem Loiki*;

Autor *Prolegomenów do historiozofii* w języku niemieckim i kilku pism w języku francuzkim, którego tu od ostatniego jego pisma (w języku krajowym) *Modlitwa P.*, nazywać będziemy *Autorem Modlitwy*;

Autor *Początków filozofii chrześcijańskiej*. Tomów II;

Autor *Filozofii i krytyki*;

Autor *Odpowiedzi* (zmarły już ks. *Choloniewski*) i t. p.

O pismach tych chcąc uczynić uwagi, przedstawić krytykę ich (ocenienie), powinniśmy zacząć zapewne od przytoczenia ich treści; wszakże uwagi, sąd wszelki o daném piśmie, przedmiocie, o tyle być skuteczniejszym mniemamy, o ile ten sam się jest zdolnym utworzyć w umyśle czytającego, w skutek przedstawienia przedmiotu; tę krytykę być żywotniejszą sądzimy, która się nietyle dowodząc i rozbiegając, ile raczej wskazując dopełnia: iżby przeto treść i znaczenie tych pism, o których rzecz mamy, przedstawiły się jaśniej, winniśmy wskazać najprzód czego następstwem były, to jest z jakiego mianowicie moralnego rozwicia wyszły, czém było, i jakie koleje przebywało owo rozwicie?

Potrzebę przedstawienia tej drogi tém konieczniejszą widzimy, iż przedstawienia dziejów zasad myślenia, t. j. uprawy ich (filozofii) chociażby w rysie, nie mamy jeszcze prawie w naszym języku (1).

(1) Nauka *historii filozofii* stworzoną została, i dotąd prawie wyłącznie była i jest uprawianą w Niemczech: *Brucker, Tiedeman, Tanneman, Hegel, Ritter, Ernst Rejnhold* i t. p. W języku naszym mamy skrócenie Tannemana (T. 2) przez *Rzezińskiego*. Książka ta rzetelnego szacunku pod względem przedstawienia całości i wskazówek źródeł, uważa jednak filozofią jako naukę metod poznania, metod przygodnych, i stroni od zastosowań w wykładzie, jakby od zbrodni filozoficznej.

Przed skreśleniem więc owéj treści i uwag, przedstawić tu najprzód musimy, *rys dziejów filozofii* od jéj początku.

W rysie tym nie powiemy tu może nic, co by obcém być miało znawcom tych dziejów, oraz tych głównych utworów, które wydały; ostrzedz winniśmy wszakże, iż mając *określać* naukę, ze sfery którój, jest już i samo *określenie*, za metodę w tém określaniu przyjmujemy wzgląd na ową frakcyę w nauce téj, która jest jedną z ostatnich, a którój przymiotem jest *stosowanie*.

Nasz *rys* czyli rzut oka na filozofią w rozwiciu jéj, dopełnimy tu przeto w ten sposób: iż wskazawszy na momenta jéj główne utworów które dały kierunek i stworzyły owe momenta, przytoczymy treść krótką; w treści téj wskazywać będziemy na te szczególnie rysy, które są odrębnością i właściwością utworów danych; rysy zaś te upatrywać i wybierać będziemy nie ze sfery metod i dyalektyk, ale raczej wypadków, to jest ze szczegółów *stosowane* pośród systemów punkta stanowiących.

A najprzód więc, filozofia o dziejach którój rzecz mamy, czémże jest? gdzie oraz? i w jaki sposób ukazał się jéj początek?

Filozofia (w najprostszym i najjaśniejszym znaczeniu tego wyrazu), jestto poznawanie umysłem stworzonych rzeczy, dociekanie więc ich istoty, ich prawdy; nie jestto przyjmowanie pojęciem prawd już gotowych, to jest idących z przekazu czyli tradycyi, albo z bezpośredniego natchnienia czyli objawienia i t. p., ale ich *dociekanie*.

Dociekamy *rozważę*; filozofia jest więc kształceniem i objawianiem się naszej rozważi. Rozwaga w życiu ludzkości tego zbiorowego człowieka, nie przyszła razem z nią na świat (1), jak nie przychodzi u pojedynczego człowieka; początków więc filozofii nie możemy szukać sród pierwszych czasów nastania ludzkości, a nawet sród pierwszych czasów obudzenia się wzrostu myślenia pośród ludzkości. Pierwszém źródłem poznania naszego, kiedyśmy byli dziećmi, była tylko, jak to wiemy wszyscy, nauka matki i *pamięć*; pierwszém źródłem poznania ludzkości być musiało (i było) tylko *podanie*. Okres moralny *tradycyi* w dziejach ludzkości, byłto ów wielki okres, który fizycznie rozpoczynawszy powrót rozpadłéj na jednostki ludzkości do jéj jedności, z jednostek tych poksztateł był najprzód jednostki zbiorowe (kraje), i wydał był pierwsze ustawy i pierwsze religie. Wydane przez okres ten księgi, dotąd przetrwały (jak *Wedy* i *przykazania Manu* u Indyan; *Zendawesta* u Persów; *Księga Y* i *cztery Konfucyuszowe* u Chińczyków; *Sanchoniaton* Fenicyan; *Pięć-ksiąg Mojżeszowy* i t. p. równocześnie prawie lubo w krajach niewiedzących się

(1) Przez *świat* rozumiemy tu jego bieg już zaczęty.

wzajem o sobie powstałe, wybitną a wszystkim im wspólną cechą zewnętrzną i wewnętrzną są odznaczone. Zewnętrzną ich cechą jest wykład nie dowodzący, ani dociekający, lecz wprost szereg prawd pewnych i faktów moralnych i fizycznych przedstawiający; wewnętrzną zaś cechą jest treść, której podobnej żaden następnie okres nie wydał. Treścią tą były wszędzie wzmianki o ziemi początku, opisy tworzenia się jój (genesis), sił które poprzedziły jój utwór, kosmogonie i teogonie czyli rodosłów Bogów (t. j. Boga i duchów podrzędnych), wykład stosunków człowieka do owych sił, czyli ustawy religijne, ustawy życia i t. p.

Po okresie tym, nastąpił był dla pierwotnej ludzkości wiek jój pierwszych lat młodych czyli *fantazyi*, to jest: okres bujania nad inne siły moralne, i bujania nad wszystkie późniejsze czasy, pośród życia ludzkości, *fantazyi*. Był to ów okres przemiany pierwotnych podań na *mitologie*, stworzonych nieb i podziemi, okres na ziemi *piramid* i *obelisków*, wzruszania harmonią dźwięków lasów i skał, pierwszych *poematów* hohaterskich, pierwszych *dramatów*, stworzenia *gutunków* poczui i t. p.

Po tych wiekach dopiero nastąpił był czas, pewnego już wzrostu *rozwagi* w duchu ludzkości; a fakt ten objawić się musiał nowym moralnym okresem, t. j.: okresem rozumowań i badań, czyli *dociekań*.

Te przemiany okresów i wieków, przypadły już były w czasach, kiedy, jak rzekliśmy, ludzkość z obszernej różności, poksztalciwszy się na jednostki zbiorowe (szczególne ludy), już przez łączność *danego ludu*, bieg swój odbywać miała.

Do straży i rozwijania prawd pierwotnych z okresu tradycyi, do straży ich, mimo twardość następnych wieków, wybranym był lud *Hebrajski*; wiek dziwów nieba i ziemi, *fantazyi*, uosobiły i przekazały nam głównie, ojczyzna epopei olbrzymich i massy potwornych bożyszc:— *azyjskie Indyje*; wiek *dociekań* rozpoczęła i rozwinięta była w pełni, a przed innemi,— *Grecya*.

Grecya był to lud, mówiąc faktycznie, naznaczony, wybrany do uosobienia pierwszych lat młodych ludzkości. Lud ten odbił był w części i okres *fantazyi*, czas wesołej gry wyobraźni, pierwszych szlachetnych uniesień; lud ten wszakże, biegiem już wieków, pochodzeniem plemieniem, zamieszkiwania miejscem, oddalony od pierwszych tradycyi, a z sercem czującym prawdę oraz pragnącym prawdy, poznanie jój mógł już tylko zdobyć, rozpocząć *rozważą*, t. j. przez *dociekanie*.

Rozwaga, ta jedna z sił moralnych rośliny ludzkiego życia, jest także rośliną w sobie, i w rozwiciu swém wszelkie doby każdej innej rośliny

moralnej przebywać musi. Pierwszą dobą myśli człowieka, jest, jak właśnie uważaliśmy, *pamięć*. Pierwszą dobą wzrostu rozwagi musi więc być także pamięć, a pamięć podniesiona do względu, do stopnia rozwagi, jakoby pamięć złożona—*doświadczenie*. Rozwaga pogardza dalej tém swém criterium, pierwszym, pół-obcym, gdyż wzrasta i sądzi *sama*; lecz chwila ta pierwsza jój sądu, jest dobą jeszcze sądu jakoby o pierwszej swój sile, czyli sądu pod przewagą *chwili* zostającego. Rozwaga na tym stopniu będąca to tylko ma za istotne, co widzi w chwili; to za uczucie wieczne, co czuje w chwili; temu tylko słowem wierzy, co widzi, dotyka i t. p., czyli temu, o czém jój mówią zmysły. Sąd jój rośnie, a doba jego pełności, jest też dobą pełności i kwiatu rozwagi (o ile myśli). Rozwaga w nowój tój dobie wzgardza więzami momentu, z punktu unosi się w przestrzeń, z chwili w czas, odrzuca świadectwo zmysłów, i przechodzi w kraj nadzmysłowy (umysłu), i wreszcie nad-umysłowy nawet (*idei i ducha*).

Trzy te doby, odznaczają przebieg rozwagi; trzy te doby (t. j. uosobiające je naukowe trzy systemata filozoficzne: *doświadczalny*, *zmysłowy* i *umysłowy*) odznaczać też muszą, przebieg całości nauki filozoficznej w rozwiciu ludzkim, przebieg na skalę mniejszą każdego okresu jój oddzielnego.

Filozofia wśród Grecyi, mówiąc ze stanowiska jój wypadku, kwiatu jój (Arystoteles), miała zapewne za zadanie swe główne, wyrobić i odbić pierwszą filozoficzną fazę, t. j.: *empyryzm*; lecz mówiąc ściślej, była to całkowita faza w pełni swój doby rozwita, musiała więc jako wszelka ludzka, wszystkie też myśli i zasad myśli odcienia, w całości tój odbić, wyrazić.

Wschód Grecyi, miejsce stykające się z resztą Wschodu, ludami Azji (Jonia), byłoto pierwsze miejsce ukazania się nowego kierunku z nową cechą wzrostu myślenia. Mędrcy powstali w tój stronie, zetknięci z wiekiem tradycyji, zwracali się jeszcze głównie w swój myśli do czasów pierwotnych ziemi, przyczyny ziemi bez innój jednak wiary, jak w własne zmysły lub umysł; za jedyną porękę prawdy, t. j. jój dojścia przyjmowali fakta poznane, i wsparci świadectwem cząstek, za jedyną przyczynę i źródło, a zatém i ostateczny cel rzeczy i świata, uznali tylko grę, istotę żywiołów;— za pierwiastek ten (jakoby Boga ziemi) kładąc naprzemian już *wodę*, już *ziemię*, *powietrze* i t. p. (*Szkoła jońska*; szef *Tales*).— Lud który tę naukę posłyszał, naukę nową, dał mistrzom swym w podziwieniu nazwisko *mędrców*; lecz mistrze ci, rzetelnie umysłem wyżsi, czuli i wyznali to sami, iż nie znawcami są jeszcze, lecz tylko miłośnikami prawdy, i zamiast *sophos*, przyjęli tylko nazwisko *philosophos*.

Od faktów obserwacji ogólnej, myśl grecka postąpiła była wnet dalej, do ich rozbioru; i biorąc przed sobą przedmioty w stanie ich danym, a wyróżniając je od przestrzeni i czasu, zwróciła wnet pierwszą uwagę *na chwilę i ilość*. Szkoła, która zaczęła i rozwinęła była ten rozbiór (*Italska; szef Pythagoras*) w liczbie, ilości, uznała *jestestwo żyjące*. Poznanie liczb położyła za źródło, za zasadę wszelkiego poznania. Same występki i cnoty, według niej, byłyto liczby (cnota była jednością, występki wielością). Dążenie (które było obowiązkiem każdego) do cnoty, doskonałości, byłoto dążenie z wielości do jedności i t. p. Szkoła ta dotknęła zewnętrznych granic przestrzeni i czasu, a jako poprzednia (jońska), rozpadła się była czyli rozwinęła dalej na wielkie gałęzie umiejętności, rozbiegające istotę ciał, jako: *fizykę, nauki przyrodzone i sztukę lekarską*;— tak *italska*, stała się dalej źródłem *nauk matematycznych*.

Cobykolwiek dotknęły, objęły zmysły, i jakbykolwiek pojęty zwrócone do całości natury, istotę natury: to jednak wśród tej całości pojętej przez zmysły, będzie zawsze brak tej reszty całości, która zewnątrz jest zmysłów; brak będzie np. przyczyny zmysłów, brak tego, o co wśród przestrzeni i czasu nie uderzają te zmysły i t. p. Wzgląd na to powiódł do uznawania, badania nadzmysłowej strony natury, a zwrot ten drodze dociekań w Grecyi dał *Xenofanes*, i odbiła go szkoła zwana *eleacką*, tudzież jedna z jej odnóg: *megarska*. Nauką tą, to jest główną zasadą nauki Xenofanesa (a ztąd i szkół z niego idących) było: iż gdy świadectwo, które nam dają zmysły, jest tak ułomne jak zmysły, a przeto jest ułudą, fałszem i jakby niebytem; zatem i wszystko to, co pojmujemy przez zmysły, również jest w sobie niebytem. *Ruch* np. *wzrost, koniec, początek, czas, liczba, ciała* (mówiła ta szkoła), jestto rząd ułud. Rzeczywistością wśród świata jest jedynie *tożsamość, trwanie, i wielka jedność* (Hentopan).

Rząd moralnych badaczy wśród tych dróg i kierunków zbudzonych, coraz się mnożył. Jedni z nich (jako *Leucyp*) uważając same dusze w ich oderwaniu za zbiór żyjątek, których objawem są: *ruch, ciepło, myślenie* i t. p., posuwali do ostatnich punktów i mgieł zapatrywanie się materyalne, i wydali szkołę nazwaną *atomistyczną*; inni odrywając się znowu od chwil i punktów, szukali przeciwnie przyczyn i skutków w całościach przestrzeni i czasu, i już wskazywali na byt człowieka, jako tułacza z nieba, a jakoby wygnanego czarta (Empedokles), już na ciągłą obecność *jednego ducha* szykującego (*Anaxagoras*). Największość jednak wkrótce zajmując się badaniem moralnym, już przez naśladownictwo, za cel główny nauki brać zaczęła samą naukę, zamiast dojść prawdy, popis; patrząc nie na cel dowodzenia, ale sposoby dowodzenia, zajmowała się wynajdywaniem jedynie formuł, któremiby wszystko stwier-

dzie i wszystko zaprzeczyć się dało. Filozofia w ten sposób na tej swój drodze przeszła z badania prawdy *w gmatwanie prawdy*, z pierwotnego twierdzenia i rozjaśnienia, w przeczenie bytności jakiegokolwiek prawdy. Lud uczący się spostrzegł, i wkrótce tych nowych mędrców (jak *Protagoras, sorgias* i t. p.) twórców wniosków pozornych, t. j. biorących jedynie za podstawę *formule, fałsz*, zamiast *sophos*, obelżywém nazwiskiem *sophistos*, (Sofistów) mianować zaczął.

Smutny ten dla nauki upadek, stał się też jednak zarazem źródłem jej podźwignienia. Śród świata, który ma być i istnie, istnieć też musi prawda taka lub inna. Bytność rzeczywistą jest w sobie, wątpienie więc wszelkie jest fałszem. Prawda jedną jest, i do poznania jej dojdą tylko te drogi, które są z prawdy. Tak rzekł uczeń Anaxagora, *Sokrates*, i natchnął miłością prawdy, a duch ten (miłości prawdy), nowém życiem i siłą, leżące w myśli ludzkiej pierwiastki, rozwinął. Wiek uczniów Sokratesowych i bezpośrednich następców ich, był wiekiem najświetniejszym okresu myślenia śród Grecyi. Okres ten odznaczyli zwłaszcza dwaj spadkobiercy moralni, i uprawcy (śród tego ducha nowego) dwóch owych kierunków, które odznaczyły były szkoła *italska* i *eleacka*, t. j. materialnego i idealnego—dwaj zarazem przedstawcy najwyższego wzniesienia myślenia jako myślenia, czyli dociekania starożytnego: *Plato* i *Arystoteles*.

Żaden zapewne z pisarzy greckich, pisarzy dawnych, nie był tyło w ostatnich czasach przez przekład na wszystkie mowy żyjące rozpowszechniony, tyle jużto w ogólnych, już szczególnych traktatach i dziełach badany i rozbierany, jak *Plato*; żaden jednak równej wartości i żywotności pisarz, nie był przez swych współczesnych i bliską potomność mniej uczutym i ocenionym. Najznakomitszy z uczniów Platona, *Arystoteles*, wniósł właśnie wprost przeciwny Platonowemu systemat. Żadna szkoła nie przeciągnęła śród kraju nauki Platona. Pisarze tak współcześni jak i potomni, przez wieków kilka umieli go tylko wspominać, potępiając lub sztydząc (1). Platon błysnął był jednostkową myślą śród swego

(1) Pisma greckie w ogóle mało obejmują wzmianek o Platonie, każde jednak prawie, jak powiadamy, jest na niekorzyść; tak np. *Dyonizyusz Halikarnaski* w liście do Pompejusza o *Herodocie, Tucydysesie, Platonie* i t. d. sztydzi z słów napuszonych i nadętego stylu, a razem czezości zasad Platona; o dyalogach jego głównych, jak *Parmenides, Gorgias, Hippias, Protagoras* i t. p. mówi, iż były nie z przekonania, lecz tylko przez zawisć dla tych, których imiona noszą, a którzy byli poprzednikami Platona, pisane.—*Ateneusz* w *Biesiadzie Mędrców*, (*Eruditi viri coenantes*), wspomina, iż gdy przyjaciele Sokratesowi obchodzili pamiętkę śmierci swojego mistrza, a przybyły tu *Plato* wniósł toast do *Apellohora*, dając

czasu, dla odznaczenia tylko całości w rozwitęj tarczy myślenia; lecz myśl ta w innych wiekach dopiero przyjęcie i miłość pozyskać, i skutek wyrzucić miała.

System *Platona* był wypływem systemu *Xenofonesa* co do zasady, a *Zenona* z *Elei*, twórcy niedługo przedtém *dyalektyki* czyli sposobu dowodzenia przez starcie się zdań przeciwnych, co do metody. W prawdach głównych był system ten odbiciem nauki bezpośredniego mistrza *Platona*, *Sokratesa*. *Sokrates* owszem tyle nam tylko prawie jest znany, ile dał poznać go *Platon*.

System *Xenofonesa* (z odniesieniem do prawd *Sokratesa*), był przez *Platona* rozdrobnionym, wzniesionym, sprawdzonym i do wszelkich szczegółów świata rozwiniętym, zastosowanym. *Dyalektyka*, którą czynił ten rozbiór i wykład, była przezeń za główną pomoc i środek poczytywaną. „*Dyalektyka* w dociekaniu, mówił, jest tém, czém jest bóstwo wśród świata, to jest, iż rozkłada i składa rzeczy światowe.”

Platon wykładał i rozwinął system swój w *Dyalogach*. System ten nie ma nigdzie w *Platonie* wykładu organicznego, i tylko domyślnym być może. Rysy wszakże, które w tym systemie wyraźne są, i pewny ogół, który się ująć daje, są następujące:

Świat ten, to wielka jedność (*Hentopan*). Jedność ta stoi. Świat ten, co do nas, częścią poznajemy *myślą*, częścią *zmysłami*. To co poznajemy *zmysłami*, jest przyczyną naszego omamienia raczej, aniżeli poznania. *Zmysły* nasze ograniczone są chwilą, miejscem, swoją naturą śmiertelną: to wszystko więc o czém nas uczą, musi równie być ograniczonym, ułomnym. *Przyroda* zewnętrzna rusza się, więc ukazuje się nam coraz czémś inném. To jednak, co się nam zdaje *ruchem*, *rośliną*, *zwierzęciem*, *dniem*, *rokiem*, to są tylko różne stopnie *wszecch trwania* i *wszecch jedności* w swém odniesieniu do naszych *zmysłów*. Rzeczywistością pośród natury jest *wszystko*, cząstki złudzeniem; każda rzecz jest cząstką całości, więc cząstką siebie: więc wszystko jest témże, czém cząstka (1).

zrozumieć, iż nie przez ową śmierć nie stracili; *Apolodorus* odtrącił z oburzeniem toast i rzekł: iż wolalby wziąć truciznę z rąk *Sokratesa*, jak wino z rąk *Platona*.—Inny przytacza: iż gdy *Platon* opowiadał raz sen w którym widział, iż ptak, który siedział na głowie *Sokratesowej*, przeleciał na głowę jego, ktoś z słuchających rzekł: iż byłoby oczywiście wróżbą, że miał w swych *dyalogach* tysiące głupstw głowie *Sokratesowej* przypisać.

(1) ...,ergo, „mówi np. *Plato* w głównym *dyalogu* swym o *ideach*”, si nunquam alterum in eodem est, nihil est ex iis qui sunt, in quo per aliquod tempus ipsum alterum erit. Nam si per aliquod tempus sit in aliquo, per id tempus in eodem

Kiedy spojrzymy w źródło lub inne ciało polarne, widzimy tam zwierzęta, rośliny, domy, przedmioty, barwy, a jednak to *omamienie*; kiedy zamknijemy oczy, a senna mara nas spotka, widzimy przed sobą ludzi i rozmawiamy z nimi, a jednak to *omamienie*; przedmioty i rozmowy na jawie, to tylko dłuższy i wyższy stopień omamienia.

W świecie wszakże jest, tkwi jakaś prawda; prawdę tę, jakże poznać możemy? O czém uczą nas zmysły, jest, jak już wiemy to, fałszem: prawda więc jest nie w świecie zmysłowym czyli zewnętrznym, ale w wewnętrznym. Prawdę poznać możemy więc tylko *myślą*, a nie zmysłami. To tylko, o czém nas uczy *rozum*, jest prawdą (1). Świat rzetelny jest przestrzeń, która jest jedną. Czas rzetelny jest trwanie;— prawdą więc jest: ich łączny, spólny pierwiastek, pierwotny *powód*, *idea*. Wszystkie rzeczy, zjawiska świata, sąto objawy *idei*, lub mówiąc językiem ludzkim, *cząstek* i *zrodzeń* tój idei (ideów); jednym z takich zrodzeń (ideów) jesteśmy sami (dusza człowieka).

Ta była ogólna zasada systemu Platona; przechodząc jednak w dialogach, traktatach, do szczegółów rzeczy praktycznych, musiał się stawać i w sądach więcej praktycznym. W sądach tych, musiał schodzić i mówić do uczuć codziennych i pojęć codziennych, a wykład ten czynił zawsze ze stanowiska owych ideów (idealnego). Plato wierzył w początek świata, lecz przeciw najpowszechniejszemu twierdzeniu swych poprzedników, zaprzeczał, iżby go wydały żywioły. „Twierdzić, iż przyczyną świata są elementa, mówi *Sokrates* w dialogu *Phaedon*, jestto to samo, co twierdzić, że dlatego siedzę w więzieniu, iż mam kości i nerwy; co innego jest *treść*, a co innego *przyczyna* rzeczy.” Świat stworzyła owa *idea pierwotna*, Bóstwo. Dusza ludzka, to żywa cząstka owój idei; lecz upadła, na świat wygnana, na wygnaniu połączyła się z ciałem. Dusza ludzka w swojej pierwotnej ojczyźnie, jak boża, była wszystko wiedzącą; związana światem, *przypomina* tylko swój stan poprzedni; przypomnienie to źródłem jest główném nauk i sztuk. Jeśli nas spotka forma w owym czasie nam znana, taką formę, ten przedmiot zowiemy *piękność*, i budzi w nas *miłość*. Stopień dobywania z siebie przypomnień, jest stopniem wzniesienia wiedzy, poznania naszego. Ten stopień o tyle się wznosi, o ile przemagamy moc zmysłów, które nas łudzą. Prawdziwy mędrzec niczego tyle nie życzy, jak zupełnego wyjścia zpod władzy zmysłów, t. j. tego

ipsam alterum erit... sequitur: unum ab aliis qui non unum, et quae non unum ab uno per ipsum alterum altero esse nequeat”. *De ideis, seu, de uno rerum principio*. (Przytaczamy tu przekład łaciński, jako wierny, a powszechniejszego użytku).

(1) „Śmieje się z twego *rozumu*, a wierzę tylko świadectwu *mych zmysłów*”, rzekł *Dyogenes* do Platona. „Sam więc świadczysz, że masz tylko ostatnie”, odpowiedział mu *Plato*.

co nazywamy śmiercią; wtedy bowiem wyswobodzona z więzów swych dusza, z całą pełnością i prawdą będzie znała. — Co do świata ziemskiego, ten jest zbiorem *dobra i zła*; dobre i złe tu walczą, a ta walka stanowi rozwijanie się świata. Rozwijanie się to zewnętrzne, dzieje się przez działanie wewnętrzne, przez wewnętrzne działanie cząstek świat składających, t. j. idei, czyli *dusz*; sam ten świat obracany jest przez *duszę świata*. Świat ludzki czyli społeczność ziemską składają kraje, które także są duszą odrębną, z dusz jednostkowych złożoną. Taką będzie rzeczpospolita, mówi Plato w swym traktacie o rzeczypospolitej, (który był ostatecznym wypadkiem praktycznym, i może jednym z głównych celów całej teorii Platona), jakimi jej dusze, jednostki; — bieg ziemi, jak rzeczpospolitej. — Celem starań, ustawy rzeczypospolitej, winna być głównie jej wewnętrzność, moralność, cnota (1). Fałszem celu jest staranność o sławę zewnętrzną.

(1) Środki, które w tym celu podawał Plato, stały się głośne i sławne ze swęj utopii. Lud, mówił, w rzeczypospolitej przedstawia *ządze*, wojsko kraju jego *uczucie*, rząd kraju *rozum*. Izby żądze zamienią się w cnotę, izby kierowało je do tego uczucie, winien się o to starać, za obowiązek mieć rozum. Rząd kraju (rzeczypospolitej), każdemu z członków kraju dostarczy pracę i powoła do pracy stosownej do zdolności jego; — do skarbu kraju składanym będzie produkt pracy każdego, i obracany będzie na użytek każdego; — własność nie będzie potrzebną żadnemu członkowi kraju, bo jego własnością będzie własność krajowa. Rząd czuwa, izby każdemu z członków płci męskiej kraju od lat 30 do 55, dodaną była niewiasta od lat 30 do 40, któraby była mu żoną przez te lat 10, i wydawała dzieci dla rzeczypospolitej. Dzieci te po urodzeniu będą zabierane od matek i oddawane tym, które pierwój porodziły; tak, izby wiedzieć nie mogły czyjmi są dziećmi. Ułomne usunięte zostaną z świata; innym wychowanie i wykształcenie da rzeczpospolita i usposobi je na członki dla ogołu pożyteczne. Płeć żeńska też ćwiczenia odbiera jak męzka, też dalej obowiązki pełni. Rodzina nie będzie równie znaną w rzeczypospolitej jak własność; w ten sposób zginą potrzeby zbiorów, zawiści, spory, kradzieże i wszelka zbrodnia. Każdy członek przechodząc przez stopnie ukształceń i nauk, których skutku rząd dopilnuje, wykształci w sobie w roku 50 życia myśl boską; różność jednostek zewnętrzna, zamieni się tym sposobem w równość wewnętrzną, a różność wewnętrzną, w równość zewnętrzną. Rzeczpospolita przedstawi obraz rzeczywisty jedności, — członki jej, cnoty. Będzie to w pewien sposób społeczność bogów. — *Polybiusz* znakomity historyk grecki, czyniąc w jednej z ksiąg swego opisu wojen punickich rozbiór tych kształtów rządu, jakie były mu znane, temi słowy rozbiór ten kończy. „Co się zaś tyczy rzeczypospolitej, o jakiej pisze Plato, o tej nic nie powiemy; mówimy tu bowiem tylko o tém, co jest na ziemi; zaś rzeczpospolita Platona jest tylko w piśmie Platona, a nie na ziemi”. Jeżeli rzeczpospolita Platona uważaną była tylko jako utopia za wieku dawnego, tém więcej uznawaną być musi za taką za wieku nowego. Wiek nowy ma zaręczenie w swęj wierze stopniowego wyzwalania się

Od tego systemu Platona, wprost odmienny wyłożył system *Arystoteles*, uczeń Platona. Mistrz ten, który miał zostać największym z mistrzów wśród kraju i mistrzem wieków, jakkolwiek różniący się w szczegółach, naukę swą, filozofią, równie jednak jak Plato, nie za formułę, ale za dociekanie prawdy uważał, a prawdy równie w widzialnym jak niewidzialnym świecie istnącej. „Boską i uwielbienia godną, mówił Arystoteles (w przypisaniu traktatu o *świecie* swemu królewskiemu uczniowi) zdała mi się zawsze, Alexandrze, miłośnię mądrości, a zwłaszcza ten przymiot jój, gdy się wznosząc do rozpatrywania w rzeczach stworzonych, *dochodzi istnącej w nich prawdy*. Nie dano nam wznieść się ciałem do światów, które nad sobą widzimy; lecz w duszy naszej znajduje się oko boskie, które może rzeczy boskie przeglądać”. Tęż naukę obrawszy za przedmiot, i tenże cel w tej nauce co Plato, Arystoteles odróżnił się jednak z gruntu, w uznaniu środków. Plato, uważa Arystoteles, za zasadę w swych dociekaniach położył jakąś *ideę*, a zatem *domysł*, i z niego dopiero do poznania rzeczy pewnych chciał schodzić. Metoda do dojścia prawdy właśnie wprost przeciwną być musi: nie od ogółu iść do szczegółów, nie od tego co jest niepewne do tego co pewne, ale od szczegółów, od tego co dotykalnie jest pewne, zaczynać poznanie należy. Nie z uznania *przestrzeni* i *czasu* dojdziemy do poznania *chwili* i *punktu*; lecz z rozbioru chwili i punktu pójść możemy do poznawania dalszych ich granic. Metodą do dojścia prawdy winna być nie *indukcyja* (jak u Platona), ale *dedukcyja*.

Pierwszém źródłem poznania człowieka, o niczém niewiedzącego dziecka, są zmysły; to też o czóm nas uczą zmysły, jedynie jest ściśle pe-

woli, godności, każdej z jednostek; celem rzeczypospolitej Platona było uwiązanie woli jednostek, przez to, co mienić władzą w rzeczypospolitej. Plato, który pisał dla dusz i bytu, jakie były za społeczności pogańskiej, nie przypuszczał możności bytu tego wewnętrznego serc rządcy, o którym miał rzec, którego miał dać wiek chrześcijański. Powtarzanie i ponawianie środków przez Platona podanych, wśród wieku nowego, jak jest anachroniczném, tak też musi się stawać powodem cofnień. Możliwość ukształcenia sumienia jednostek w kraju, przez władzę w kraju, było główną utudą Platona, jego utopii. Środki, któremi dzieci pozbawiał od pierwszych kroków opieki rodziców, rodziców ich dzieci, kobiety stanu matek i żon, każdego swobody mienia, swobody kroku, swobody uczuć, były wstrętem po wszystkie czasy dla czytelników utopii; ale Plato ideał swój kraju łagodził tem, iż sam podaje go za ideał, do którego zbliżyć się tylko możemy. Ostrość, niewykonalność środków, nagradza za każdym słowem duchem swojego celu; cel ten: ogół braterski, enota, niebieskość w myślach,—cel ten w końcu rozbraja czytelnika utopii, i traktat Platona o rzeczypospolitej, nie stał się jak widzimy przeszkodą, iżby mu sam wiek chrześcijański nie dodał przydomku *boski*.

wném. Żadne uczucie, wiadomość, wcale wrodzone nam nie są. Dziecko, każdego zrazu ma za ojca, za matkę. Myśl o tyle się tylko wznosi, dochodzi, rozwija, o ile obszar jęj wiadomości z bogacie są zdolne zmysły; ze zmysłu rodzi się *pamięć*, z pamięci po kilkakroć powtórzonej *doświadczenie*, to staje się dalej źródłem, podstawą całego szeregu nauk i sztuk (1).

Zmysły nasze zwrócone do świata, odróżniają w nim *rzeczy, przedmioty*, a w każdej z tych rzeczy, przedmiocie, oddzielne ich własności, warunki i t. p. Istotą każdej rzeczy jest dziesięć przymiotów, szczegółów, czyli względów, pod któremi uważaną być może. Względy te czyli własności (kategorie) są: *substancya, ilość, jakość, podobieństwo, miejsce, czas, położenie, posiadanie, czynność i bierność*. Każda rzecz odrębną jest w sobie i prawdą w sobie; rzetelną prawdą jest tylko *różność*, nie jedność. Arystoteles szydził z *jedności* Platona, *nieskończoności, przyczynowości, ideów* i t. p. Nieskończoność, mówił, nie może być żadna ani w przestrzeni, ani czasie; co bowiem jest, jest ilością, co jest ilością, być nie może nieskończonością (1). „Jeżeli, dodaje, wszystko co jest uczynione, ma, jak twierdzi Melius, przyczynę; to więc co uczynionem nie jest, nie ma żadnej przyczyny”. Zwierzę, uważa gdzieindziej, według Platona, jestto idea śmiertelna; jeżeli jest zwierzę ideą, jakoż śmiertelnem być może, albowiem jakąż śmierć mieć może idea? Arystoteles uznawał wprawdzie byt duszy: dusza jest tém dla człowieka, czém, mówił, jest wzrok dla oka; dodawał jednak, iż zdanie najroztropniejsze zdaje mu się być tych, którzy twierdzą, iż jak ciało bez duszy, tak nie może być dusza bez ciała. Arystoteles uznawał byt Boga. Nazwiska Boga używał we wszystkich prawie ogólnych twierdzeniach o świecie, w każdym traktacie, a w niektórych szczegółowie nawet to uznanie określał. „Czém, mówił, dla okrętu jest sternik, dla rzeczypospolitej prawo, tém Bóg dla świata (2). Jakkolwiek Bóg jeden jest, różnie go jednak zowią; zowią go: *Zeus*, i *Dios*, i *Chronos* (3). Bóg jest we wszystkiem i nawzajem wszystko jest w Bogu; wszystko się bowiem rusza z powodu mieszkającego w nas bóstwa (4). Arystoteles przyznawał w ten sposób Bogu rząd światem, i przyznawał też cel każdej rzeczy; uznań tych oderwanych wszakże nie stosował i nie przeprowadzał w grunt swęj nauki. Przy-

(1) Oritur ergo ex sensu memoria, tum ex memoria aliquoties repetita nascitur EXPERIENTIA... ex ipsa omnis artis ac scientiae principia proficiscuntur. Anal. Poster. II. 18.

(1) *Physicorum*. l. 2. i d (2) *De mundo*. 7. (3) *Ibid*. (4) *Ad Eudemum*. 7.

czyną rzeczy były jedynie owych 10 własności rzeczy (kategorie). Te własności działając bez związku, dają tłum zjawisk i tworzą stanowiącą się co dnia *przygodność*. To jest dziś, tak było i wczoraj, tak było odwiecznie i będzie wiecznie. „Używamy wprawdzie niekiedy (mówi) tych słów nawet w nauce: od *początku świata*; lecz jestto tylko wyrażenie naukowe”. „Bóg rządzi, lecz rządzi nie rozkazując, ale tylko widziéć się dając”. Bieg dziejów, to bieg przypadków; pomiędzy człowiekiem a Bogiem, nie może nawet być żadna miłość; miłością bowiem zowiemy tylko uczucie wzajemne, t. j., które takiem być może; nikt z nas nie może rzec, kocham wino; szalony byłby ten, któryby rzekł: kocham Jowisza” (1).

Co do postępów naszych, ich doskonałości, miara téj doskonałości jest także skutkiem ilości; równowaga passyj zowie się cnotą. Szczęście ludzi zawisło od cnoty, więc obowiązkiem jest cnota. Najlepszym środkiem utrwalenia cnoty wśród kraju, jest jedynowładztwo (monarchia): różna wszakże tyle od rządu Pizystrata w Atenach, ile od oligarchii i demokracji.

Taki był w głównych wypadkach i rysach system Arystotelesa. System ten z pewnej strony nie pomnożył zapewne wcale skarbu poznania człowieka. Wychodząc z tego uznania, iż jedyne prawdziwe świadectwo dają nam zmysły, Arystoteles w ostatecznym wypadku tego tylko jedyne nauczył i dowiódł, o czém wie każdy człowiek, który ma zmysły. Dojścia jego o owym kraju niepewnym o którym mówił, są w ogóle żadne.— Ale w rozbiorze, poznaniu tych rzeczy, téj części bytu, którą wziął za przedmiot rozbioru, Arystoteles do ostatecznych możliwych (przynajmniej za stanu sobie współczesnych nauk) krańców postąpił. Każdą rzecz, jéj własności, przymioty, tak ze sfery faktów fizycznych, jak faktów moralnych, pod codzienne pojęcie podpadających, Arystoteles pod tysiącem względów rozpatrzył, rozpoznał, porównał, ocenił i rozszykował. Całe rozrozdzenie istnących nauk i sztuk uważając za jedność, to jest uprawiane w różnych gałęziach i stopniach poznanie natury, nauki te i gałęzie zebrał, obejrzał, zbliżył, i w pewną spólną jedność napowrót połączył. *Fizyka, metafizyka, nauki przyrodzone* w ich szczegółach, *psychologia etyka, loika, analiza słów, myśli, okresów, sztuka* (retoryka i poetyka), *polityka*; traktaty o *obyczajach, zwyczajach*, i (zagubione) *dziejach* wszystkich ludów znanych, weszły w skład prac i pism Arystotelesa. Każdy traktat, wszelkie w traktatach tych kwestye, Arystoteles przeprowadzał nie tylko krytycznie, ale historyczno-krytycznie, to jest zgromadzając

(1) *Magnorum Moralium* II. 11.

i przywodząc zdania i dojścia w danym przedmiocie, równie dawnych pisarzy greckich, jak znanych mu wschodnich. Zgromadziwszy w ten sposób w jedno, te wszystkie jakby prowincye i rozrodzone moralnie kraje swego okresu, a pod jedną formę i władzę swoją ujawszy, Arystoteles odznaczył pismami swojemi czas kwiatu tego okresu. Roztrząsnawszy i rozwiniawszy docieczenia epoki swój, ogłosił jakby ogólny pokój moralny, oraz ten szczyt docieczeń, do jakich zdolny był okres. Arystoteles byłto rzecz można, w porządku moralnym. Cezar August starożytności.

Po Arystotelesie, jak po Platonie, dalsze dociekanie wśród Grecyi nie przerwało się wprawdzie, i owszem cała Grecya, wszystkie jej miasta, okryły się szkołami docieczeń; szkoły te jednak były tylko naśladowaniem, przerabianiem, drobnieniem, lub wreszcie stosowaniem do życia zasad Arystotelesowych. Ztąd z główném powodzeniem utrzymywały się szkoły, których cechą było *zwątpienie*, a to już o treści prawd wszystkich moralnych, (*cynicy* tak zwani od wyrazu *kuon* pies; mistrz pierwszy niedgdyś *Antystynes*), już o fizycznych, cielesnych (*Cerenaicy*), już wreszcie równie o jednych jak drugich (*sceptycy*, pierwszy mistrz *Pyrrhon*), i wreszcie mistrzami szkół ostatecznych i następnie przez kilka wieków, wyłącznie tak w Grecyi jak zewnątrz Grecyi przeciągających się, byli: zakładający powinność człowieka jako najszlachetniejszego ze stworzeń na szukaniu przedewszystkiém szczęścia wśród chwili, *Epikur*; i powołujący do cnoty, lecz za całe criterium uznania jej, kładący prawo: „idź za zdrowym rozsądkiem”—nauczający w Atenach w Portyku *Stoa*, *Zeno z Cypru*. Taki był przebieg i skutek docieczeń pierwszej doby rozwagi ludzkości, uosobionej i do swych kresów rozwiniętej w Grecyi, czyli myślenia człowieka (mówiąc językiem zwykłym) o samych siłach człowieka. Uznanie jednostki i chwili za nicosić najwyższą (Plato), i uznanie jednostki i chwili za prawdę najwyższą (Arystoteles). Pierwsze znikło z swym mistrzem, jakoby zakwit błędny, drugie w ostatnim wypadku przerodzone w najwyższą cześć chwili (*epikureizm*), i ostateczne zwątpienie, metodą tylko od nauki *sophistów* różne (*stoicyzm*).

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

Starożytności Warszawskie. Dzieło zbiorowo-zeszytowe, wydawane przez Alexandra Wejnerta magistra prawa i administracyi, konserwatora akt dawnych miasta Warszawy. Warszawa, w drukarni Józefa Unger. 1848. Tom I str. 383. Tom II str. 411.

Nikt nie zaprzeczy, że ogłaszanie drukiem pomników dawnych, mających służyć za źródło do następnych badań historycznych, wielką jest zasługą przed uczonym światem: bo tym sposobem wyrrywając zupełnej zagładzie i upowszechniając pojedyncze fakta nieznanne, do jednej całości sprowadzone, jesteśmy jakby powtórnymi ich twórcami; i dlatego zasługa tém jest większa, im wybór pod względem interesu lub ważności, więcej ogółu lub szczegółu dotyczy, zajmuje go, lub koniecznym się staje. Tego rodzaju pracę przedsięwziął p. A. W., a o ile dopiął swego celu w wywiązaniu się z tego zadania, bliższy rozbiór to wykaże.

Już tom pierwszy niniejszego dzieła, uczony W. A. Maciejowski w Ateneum z roku zeszłego ocenił; lecz przy całej względności dla dobrych chęci autora, aż nadto widać, że go chciał pochwalić, i istotnie pochwalił. Lekkie tylko albowiem czyni zarzuty niezgadzenia się ze zdaniem p. Wejnerta, tam właśnie, gdzie swą uczoną krytyką całą błędność jego twierdzeń zbić powinien. Zdaniem, naszym jakkolwiek należy oddać sprawiedliwość za ogłoszenie rzeczy nieznanych, to przecież nie godzi się przepuszczać mimo uchybień, przez autora wyłącznie a błędnie wyrozumowanych, żadnymi lub tylko nakręconymi dowodami popartych: bo tym sposobem utwierdza się go w mniemaniu, że utwór jego jest wyrozumowany tak gruntownie, iż następcom za podstawę do przyszłych badań i dowodzeń postużyć może. Dlatego nie bacząc na rozbiór już uskuteczniiony, pracę tę przedsięweźmiem na nowo tém ohotniój, że autor ma zamiar obdarzyć czytelników dalszym ciągiem swojego dzieła.

A najprzód zacznijmy od herbu miasta, którego początek autor, idąc za zdaniem Vossberga, upatruje w herbie książąt mazowieckich, chcąc koniecznie widzieć w pieczęci tegoż Vossberga, przedstawionej w dziele Koennego, w jednej połowie nie niewiastę, lecz męża, a w drugiej nie postać rybią, lecz skrzydlatego smoka; i ztąd wyciąga wnioski, szeroko się rozwodząc, iż przez połączenie herbu książąt mazowieckich, z połową gryfa bełzkiego, utworzył się herb dla Warszawy, pół męża z połową oskrzydłonego smoka!!! Dążąc do poznania i wyświecenia na jaw prawdy, uczyniliśmy pilne poszukiwania w celu sprawdzenia jednego i drugiego: widzieliśmy odlew z oryginału Vossberga, widzieliśmy odbicie w dziele Koennego, lecz oba nie wzbudziły w nas nawet myśli, nawet podejrzenia upatrywania tego, co p. Wejnert chce widzieć. Wszędzie wyraźne brzuch i ogon rybie, a raczej łuską okryte; a to co p. W. za skrzydła uważa, przyjąć raczej należy za skrzela lub pletwy. Całą zasadą do uważania w ten sposób herbu miasta Warszawy, jako połowę smoka czy też gryfa, są łapy; które jakimby sposobem znikły, wraz ze skrzelami na wyobrażeniach herbu późniejszych, do dziś zostało dla nas zagadką. Być może, iż wiele na to wpływało wykształcenie estetyczne rytownictwa; i zanim coś stanowczego po przeprowadzeniu wszystkich badań, powiedzieć będzie można, śmiało twierdzimy, iż początek herbu ani z mazowieckim, ani z bełzkim nie ma nic wspólnego, lecz jest samoistny, pod różnym tylko w różnych czasach przedstawiający się nam kształtem. Powiedzieć zaś, że Jarzemski w swoim opisie z nieumiejętności wziął gryfa za syrenę, będąc przyzwyczajony widzieć je często na teatrze jako muzyk królewski (zob. Tom I. str. 27), jestto wystawić się na posądzenie o taką samą nieumiejętność. Bo Jarzemski musiał mieć pewne wykształcenie, gdy się wziął do opisywania Warszawy, a czytając to w roku 1643, mógł wiedzieć i powiedzieć o syrenie, gdy w aktach dawnych miasta Warszawy w główném archiwum przechowywanych, napotykamy wyobrażenie syreny zupełnie do dzisiejszój podobnej, już w r. 1628, a zatem o lat 15 wcześniej od opisu Jarzemskiego, a 14 tylko późniejszój od załączonej przez p. Wejnerta na figurze 4tój tomu I rycinie. Różnica w tém atoli wyobrażeniu jest ta, iż postać z r. 1628 w lewo jest zwrócona, a miecz w ręku jest prosty; gdy dzisiejsza w prawo patrzy, i zamiast miecza, pałasz w ręku trzyma. Kształt herbu dawny, to jest z łapami i skrzelami albo pletwami, na podobieństwo skrzydeł, jak autor w tomie II str. 184 przedstawił, bardzo późno się utrzymywał, bo napotkaliśmy je na pieczęciach jeszcze w r. 1766 i 1768, zatem blisko dwadzieścia lat później, jak autor przyjmuje, bo na str. 25 tomu I powiada, iż kształt herbu został niezmienny aż do czasu między r. 1747—1750. Przynętem zastanowiło nas niepomatu, iż pieczęć



o której mówimy, widocznie w nowszych robioną była czasach, a w napisie *Varsaviae*, znajdujemy *W* podwójne.

Lecz dosyć o herbie; w innym czasie rzecz tę na nowo i z naszego stanowiska rozpatrzymy; tymczasem zwracamy uwagę czytelników naszych, iż herb miasta zawsze był syreną, a raczej potworem pod tém nazwiskiem i pod różną tylko przedstawiającą się postacią, a nie połączeniem połowy męża z połową gryfa. Nie symbol, jak się autor wyraża (str. 8) nieudolności, lecz prędkiej godłem splawnój i znakomitėj w Polsco rzeki, nad którą położona Warszawa, jako przystań dla statków żeglownych, jako skład produktów wywożonych w dalekie strony, bezpieczne i wygodne dla flisów dawała schronienie; bo jak wieże lub bramy, przybierały za godło obronne miasta; tak czemużby osada rybacka, jaka w początkach nad brzegami Wisły zamieszkiwała, a od której datuje się główny początek Warszawy, nie miała przyjąć za godło nimfy wodnej téj rzeki, która im obfitego dostarczała pożywienia, a na swym grzbiecie przynosiła żeglarzy, dostarczających wielu innych surowych produktów.

Opis historyczny szpitala św. Ducha i Panny Maryi, poczynający się na str. 31 tomu I, najlepiej jest z całego dzieła obrobiony; mianowicie zaś część rachunkowa, i w tém p. W. sprawiedliwość oddać należy; lecz ustęp o *jus patronatus* zupełnie tu nie w miejscu i niedostatecznie obrobiony; lepiej go więc było całkiem wypuścić. Opis ten w przerwach na str. 120, 125, 210, 350 tomu pierwszego, oraz str. 123, 248, 279 tomu drugiego, utrudniający czytanie i łatwiejsze objęcie ogółu, przeplatany jest przywilejami tém ważniejszymi, iż w łacińskiej swój treści są zamieszczone.

Rzecz o głównych podziałach miasta Warszawy, rozpoczyna autor twierdzeniem, jakoby po oswobodzeniu gmin w XIII wieku od panów lennych, powstał dopiero stan miejski (str. 65). Błędne to twierdzenie! albowiem nie wszędzie odrazu i w jednym czasie oswobodzenie takie miało miejsce, a we Włoszech i Francyi daleko wprzód się zaczęło. Zapędziwszy się w pochwały dla urzędzeń Starego Miasta, dziwi się autor ich pod owe czasy dokładności, i oświadcza, iż tam wszystkie urzędnienia swój początek wzięły; a gdzież więc wziąć mogły, gdy innych części nie było? gdy te dopiero później powstały! Z tém samém uniesieniem, Solec, lichą pod owe czasy mięscinę, z kilką zaledwie może magazynami, i to nie dla Warszawy właściwie, ale jako w miejscu na przystań dogodnym umieszczonemi, porównywa autor z Sycylią, tym spichrzem starożytnego Rzymu, (stron. 76); a ów Rzym razem ze swą Sycylią pod owe czasy, zmieszczył się w okręgu dawnego Kapitolu!!!

Opis trzech bram nowomiejskich, z dołączeniem objaśniającej ryciny, mógłby zupełnie zadowolnić czytelników, gdyby nie trywialne jakoby na żart rzucone rozumowanie autora, wypływające z niewłaściwego zastanowienia się nad planem *à vol d'oiseau* wykonanym. Autor zapewne inaczej myśli; lecz dlaczego chce w nas wmówić, że w r. 1673 nie było kominów w domach w tej stronie miasta budowanych, że dym wychodzi drzwiami i oknami, a ogniska w bramach zakładano? — tego bynajmniej pojąć nie możemy. Gdyby to napisano w powiastce o kurnych chatach włościańskich, nie mielibyśmy nic do zarzucenia; lecz napisać coś podobnego o mieście, pod owe czasy, już znakomitę bo stołeczną, w dziele, które ma być wskazówką i zasadą do badań historycznych tego miasta, jestto nie mieć litości nad przyszłym pokoleniem, które może kiedyś uwierzyć gotowe, że w końcu XVII wieku Warszawianie jeszcze wędzili się w dymie, bo autor (na str. 112) jakby na wyszydzenie swych czytelników oświadcza seryo, iż będzie mocno zadowolony, gdy trafi do przekonania czytających.

Obrobienie pojedynczych jurydyk, całą niegdyś Warszawę składających, z sumiennością dokonane, niepośledniej jest wartości; równie jak wszystko, co autor bez swoich rozumowań, ale tylko jako surowy materiał podaje. Wyrażenie położenia, rozciągłości, praw na jakich te jurydyki istniały, służy wielce do ocenienia stopniowego rozwinięcia się i wzrostu całej Warszawy. Lecz jak przy opisie szpitala św. Ducha wmieszał się ustęp o *jus patronatus*, tak tu znowu przy opisie jurydyki Żadzikowskiej, rozwodzi się autor podobnie nad znaczeniem i rozciągłością prawa *immunitas ecclesiastica*, oraz *jus asyli*, co bynajmniej do rzeczy nie należy.

Co do jurydyki Leszno, dodamy, iż ta, według przywileju potwierdzającego przez Jana Kazimierza d. 20 czerwca 1654 roku, porównaną została z drugimi małemi miasteczkami, i przy nadaniu prawa chełmińskiego, miała pozwolenie na obiór wójta i sześciu ławników, a nie czterech jak autor twierdzi (str. 185); przycém miała wyznaczone dwa osobne jarmarki, cechów jednak osobnych posiadać nie mogła (1). Inne jurydyki w krótkości opisane, polegają wiernie na znanych autorowi aktach urzędowych; przytoczenie zaś pod opisem jurydyki Alexandrya, że ta ugruntowaną była na prawie magdeburgskim, podlega wątpliwości, i jak się zdaje pochodzi z prostej omyłki, gdyż u nas *jus theutonicum, culmensense, magdeburgense*, najczęściej w jednóm i tém samym znaczeniu są brane.

(1) Akta Metr. kor.

Wiadomość historyczna o pierwszych okopach Warszawę otaczających, objaśniona ryciną, przepelniona gorzkim uniesieniem autora przeciwko rządowi Zygmunta III, w dalszym ciągu zawiera ciekawe szczegóły, dotyczące się morowego powietrza w r. 1770 grasującego, i stanowi bardzo ważny materiał dla historyka miasta.

Przypatrzmy się teraz tomowi drugiemu:

Zamieszczone w nim: opis historyczny Pragi, jej horbu i jurydyk, są równiej wartości, jak i opisy pojedynczych jurydyk Warszawę składających, bo polegają na dokumentach urzędowych. Toż samo powiedzieć można o wyrokach komisji porządkowej (*boni ordinis*). Co się zaś tyczy przywileju, przenoszącego do Warszawy rezydencją królów z Krakowa, to ten jakkolwiek ciekawy co do swój treści, nie zasługuje przecież na tak szerokie rozpisanie się autora i rozumowanie, do żadnego szczególnego niedoprowadzające wypadku; tém bardziej, gdy przywilej ten w żadne cechy autentyczne opatrzony nie jest, a przeniesienie stolicy w następstwie lat *de facto* ugruntowane, już dzisiaj nie potrzebuje dowodzenia.

Ciekawym jest artykuł o pałacu pod nr. 369 (dom obok Dobroczyńności); lecz zwracamy uwagę autora, iż napad na dwa domy Radziejowskiego przez Elżbietę Słuszczańkę żonę jego, wraz z bratem Bogusławem dokonany, nie miał bynajmniej miejsca w domu dziś nr. 410 oznaczonym (1), bo Radziejowski nigdy w tej okolicy domu nie posiadał. Radziejowski po pojednaniu się z królem i otrzymaniu przebaczenia, miał sobie zlecone poselstwo do Turcyi; a jakby przewidywał tamże bliską śmierć swoją, odstąpił całego powróconego sobie majątku, na rzecz żony i szwagra z którymi się pogodził. Tranzakcyje zaś co do domów, we Lwowie w tym celu roku 1663 sporządzone, wymieniając ubikacyą, bynajmniej na okolicę przez autora podaną nie wskazują. Jeden z tych domów w Krakowie na rynku, murowany narożny *pod Krzysztofem* zwany, odstąpił Służce (2) Zygmuntovi chorążemu lit.; drugi zaś w Warszawie na Krakowskiem-Przedmieściu naprzeciw Bernardynów reformowanych, pod wałem leżący (3), a sobie niegdyś przez żonę darowany, od-

(1) Obecnie własność generała wojsk cesarsko-rossyjskich hr. Wincentego Krasieńskiego.

(2) Sama donacya w aktach Metr. kor. ks. 203, str. 169 tak się wyraża: *curia seu lapidea in circulo fori civitatis cracoviensis acialiter sita, murata sub Christophoro appellata.*

(3) Donacya w tychże aktach str. 232, położenie tak oznacza: *fundum ac curiam in suburbio varsaviensi penes vallum antiquum ex opposito monasterii religiosorum patrum ac fratrum Bernardinorum reformatorem acialiter, penes fundos seu hortos Generosi Ducis in Ostrog et Zaslaw, ac successorum olim Reverendi domini Gniewonsz Episcopi Vladislaviesis jacentem, etc.*

stąpił na rzecz Władysława Reja z Nagłowic skarbnika nadwornego. Podobnież i wyroki w sprawie przeciwko Radziejowskiemu, opisując tumult, potwierdzają, iż scena ta miała miejsce blisko wału starego, pod bokiem prawie królewskim (1).

Omyłka którą autor popełnił, pochodzi, iż dosłownie zrozumiał wyrażenie łacińskie *sub vallo*, i przeniósł miejsce działania w okolicę, gdzie się te wały podówczas rozciągały; tymczasem *vallum antiquum*, odpowiada dzisiejszej ulicy Podwale, w tych czasach także *vallum civile* czyli miejskim nazywanęj. Świącki lepić się nad tém zastanowił, i położenie wskazuje na dom, dziś pod nazwą Rezlera znany. Zresztą Stanisław Albrzycht Radziwiłł w pamiętnikach swoich mówiąc o całym tém zdarzeniu (2), wyraża się, że podkanclerzy (Radziejowski), „nad wałem warszawskim, pałac Kazanowskiego, pierwszego męża żony swój, mocą opanował, bez wiadomości jój. Ona zmówiwszy się z bratem swoim Służką podskarbin nadwornym litewskim, niespodzianie przez sług swoich na pałac napadła, i żołnierzy męża swego ztamtąd wypędziła” i t. d.; co potwierdza, że Radziejowski nie miał własnego w Warszawie domu nad ten, który ożeniwszy się z wdową po Kazanowskim, w dzierżeniu trzymał.

Tom drugi zakończony wiadomością o zabawach i widowiskach teatralnych, wiele ciekawych i nieznanych objawia nam szczegółów; lecz i tu wcisnęła się niestosowność, bo zamieszczenie portretu Macieja Kamińskiego, pierwszego oper polskich kompozytora, z objaśnieniem starożytności warszawskich najmniejszego nie ma związku.

A teraz słów kilka o sposobie wydania tego dzieła.

Niestosowność zewnętrznej postaci tomu pierwszego, spostrzegł już sam autor i uniknął jój przy wydaniu tomu następnego; lecz nie uniknął błędów, które nadzwyczaj licznie się powciskały, a przez to użycie tego dziełka niedogodne czynią. Napotkawszy jakąwą wątpliwosć, trzeba się wprzód zapewnić, czy ona jest podług oryginału zachowaną, czy też tylko prostą druką omyłką. Równie jest niedogodnym przerywanie ciągu jednego artykułu, artykułem drugim, który znowu niedokończony, każe szukać swego dalszego ciągu po kilkunastu dopięro kartach, albo co gorzej jeszcze, w następnym tomie. Autor w przypisach nie szczędzi obietnic na przyszłość, lecz pominąwszy to wszystko, pominąwszy niekiedy błędne tłumaczenie przywilejów łacińskich, (jak np. tom 2 str. 190, gdzie autor błędnie słowo *inseri* zrozumiał i objaśnił, bo ono w łacinie dyplomatycznej nie więcej, jak tylko *wpisać* znaczyło), trzeba przyznać autorowi

(1) Akta wyroków piotr. ks. 215, str. 287. (2) Tom II, str. 456.

znakomitą zasługę w dobrych chęciach i ogłoszeniu ważnych a nieznanych dotąd szczegółów.

W końcu nie możemy także pominąć i odezwy autora do czytelników, w której dziękując pp. Tymoteuszowi Lipińskiemu (a nie Tadeuszowi, jak go autor przechrcił) i Antoniemu Muczkowskiemu, za wspieranie go i czynną pomoc w przedsięwzięciu, z drugiej znowu strony prawie ubliża pp. W. A. Maciejowskiemu i Ignacemu Zagórskiemu, wyrażeniem, iż: *ci uczeni spoczywają na laurach swych długoletnich badań*: bo uczeni ci nie spoczywają wcale, lecz coraz z dniem prawie każdym powiększając zakres swęj działalności, obdarzają nas nowemi płodami trafnych badań, połączonych z głęboką nauką i niezmierną pracą. Za obowiązek przytóm poczytujemy sobie zwrócić uwagę autora, jeżeli trwa w zamiarze dalszego wydawania swego dzieła, iżby ilo możliwości baczył więcj na własne rozumowanie, a najlepiej zupełnie go unikał, gdyż dotąd ile razy tego spróbował, najnieszczęśliwiej mu się udało. Gdyby autor wyrabiał z gruntu rys dziejów Warszawy, pozwolilibyśmy chętniej na uniesienia i zboczenia; lecz ponieważ zamierzył podać tylko materyał dla następnych badaczy, niechże go przeto tłumaczeniem i objaśnianiem po swojemu nie zaciemnia, a stokrotną w wdzięczności i uznaniu następców otrzyma nagrodę.

St. Lisowski.

Bigos Hultajski. Bzdurstwa obyczajowe przez Izasława Blepońskiego. Tom. III^{ci}. Nakładem i drukiem Teofla Glücksberga. Wilno.

Znakomite wołyńskie damy, mówi autor w przedmowie, objawiły urazę, iż w poprzednich tomach powieści jego, wyszydzone zostały w osobie pani *Wiercichiěj*. Autor uczuł swój grzech, i w nowo wydanym tomie, przedsięwziął skreślić już nie ideał śmieszności, ale ideał doskonałości.

Bohaterką tomu III *Bigosu*, jest więc stworzona przez autora postać *Helena Milska*, ideał doskonałości.

Treść powieściowa tego tomu jest nader krótka.

Alfred Milski, młody i majątny dziedzic Wołynia, lubiący trochę książki, trochę psy gończe, przepędziwszy dla poznania świata, jakiś czas za granicą,—dla wybrania towarzyszkii życia, zatrzymał się jakiś czas w Warszawie, i tu poznał Helenę, ideał dziewic. Ideał ten polubił Alfreda, Alfred Helenę, i poślubieni, przyjechali na wieś do *Gwiazdogrodu*.

Helena i Alfred, bytyto istoty stworzone oczywiście dla wzajemnego szczęścia. Alfred, który jak właśnie rzekliśmy, lubił i psy i książki, więcj jednak (ile na wsi) te piérwsze, i żył raczej w świecie realnym, nie zważał

na marzenia swój żony; wybaczał jej, iż była zbyt żywą stroniczką (jak mówił) pani *Przodalskiej* (Dudevant) i nie dbał, że ją zajmował nad innych niegdyś mistrz, a dziś jego sąsiad dzierżawca, poeta *Bardon*. Helena zaś, która kochała to wszystko, co kochał Alfred, więcej jednak książki niż psy Alfreda, patrzyła w świat idealny, i nie uważała nawet, iż Alfred za żywo i coraz żywiej zajmował się jej przyjaciółką Julią (znaną już czytelnikom z poprzednich tomów), dziś separatką, której dała przytułek w Gwiazdogrodzie.

Mieli też racją oboje. Bo chociaż Helena istotnie nad wszystko zdała się lubić rozmowy, a wśród rozmów te, w których miał udział *Bardon*; chociaż *Bardon* czuł wdzięczność, i mógł o sobie mówić jak niegdyś *Trombecki*, że jest podobnym do *Hekli*, która ma łysą głowę, a wewnątrz ogień; to jednak Helena lubiła raczej poezją, niżli poctę; Alfred zaś, który już oddany był żonie, już Julii, już innym pięknym damom, równoważył także uczucie, i według czulego wyrażenia autora, był „jak osioł, który postawiony między workami z owsem, nie wie na który worek ma piérwój się rzucić”.

Taki jest początek zarysu osób wprowadzonych do tomu III, taki też jest i koniec. *P. Blepoński* (którego tu przez oszczędzenie smaku czytelnikowi (1), nazywać tylko będziemy autorem powieści) w swój kompozycji *Bigosu*, tomem tym chciał oczywiście odznaczyć fazę jedynie *sosu*, i złożył go prawie wyłącznie z konwersacyj, dysput i rozpraw.

Przedmiotem tych dysput i rozpraw, jest to wszystko, co bywa zwykle przedmiotem wśród towarzystwa rozmów, co bywać może: kraj, język, ludzkość, prowincya, klasy społeczne, literatura piękna, owszem pleć piękna i t. p.; wszystko to po kolei, jak w panoramie, przedmiotem staje się kwestyi w powieści. W każdej z kwestyj tych autor swe stanowisko wskazuje, i ślad swój znaczy. Przytaczamy tu je pokrótce:

A Jove principium; początkiem naszym na ziemi jest niewiasta; i autor początek swych rozpraw zaczyna od niewiast. Powiedzieliśmy już, iż celem tomu nowego miała być *expiacia*, i autor ze szczególną skrupułą dopełnia jej.

Autor niewinnia się najprzód, iż do budowy obrazów swych towarzyskich, używa żywiołu miłości; dowodzi, iż żywioł ten lubo oklepany, równie jest jednak potrzebnym w powieści, jak codziennie pokarm i na-

(1) Mówimy przez oszczędzenie; istotnie bowiem nie słyszeliśmy jeszcze, iżby czyje usta wymówiły kiedy nazwisko autora i jego pisma. Autor w użyciu pseudonimu, poszedł za epidemią moralną swojej prowincyi; ale przyzna nam, że w potworzonych przez siebie nazwiskach tak siebie jak pisma, przypomina nam pewną epidemią fizyczną, której właśnie świadkami byliśmy.

pój; dowodzi dalej potrzeby hołdu dla płci pięknej, i objawiwszy zdanie: iż sfera sztuki, gwałtownych namiętności wymaga, powołuje się w tém na *naturę* i *rozum*. „Gwałtowna ku niewiastom namiętność, mówi, jest prawie warunkiem potęgi poetycznej; nawet dwa największe wieszczu u Hebrejów, Dawid i Salomon, byli razem tymi, co najwięcej kobiety miłowali”..... „Wieczna wiosna i wiecznie piękna i młoda kobieta, są jakby przedstawieniem raj u i szczęścia nieśmiertelnego: patrząc na jedną i drugą, nabywamy jakichś uczuć, przeczuć, wznesienia ducha, jakich inaczej pojąćbyśmy nawet nie mogli”. Co tylko mamy pięknego w literaturach, wszystko to prawie winni jesteśmy natchnieniem piękności za lat młodych, chociażby głos natchnięty czém inném zajmować się zdawał; a jeżeli ten głos niedołącznym jest niekiedy, jeżeli np. poezya nasza dotąd nie odworowała typu krajowej piękności „to dla tój samój przyczyny, dodaje autor, dla której nie zdolni jesteśmy wiernie odtworzyć słońca, choć tylko za pomocą jego promieni, resztę świata i oglądać i określać możemy”.

Od tego panegiryku niewiast (który, jeżeli autor nie jest odludkiem, lecz jest w pozycyi Alfreda, rzeczywiście jest hołdem dla niewiast), autor przeszedł do rozprawy o *exaltacyi*. Exaltacyi stronniceką była Helena, przeciwnikiem był Alfred. Bardon bronił Heleny, bronił tych wiar, tych nadziei, których exaltacya jest źródłem, tych następstw, które wydaje, upadków nawet, które zrządać może.

„A zatém, odpowiedział mu raz, wysłuchawszy Alfred, czyż prosty rozsądek nie radzi, unikać raczej wyskoków, które złamanie karku za sobą mogą pociągnąć? Wierz mi, że większość tak sądzi jak i ja, a tylko w zapalonych głowach wielkich młodzików, i rzadko kiedy w tak starych głowach jak twoja, marzy się coś, czego wyraźnie określić nie potraficie nigdy. Już przyznasz, że niema ludzi skłonniejszych do włóczenia się po pustkach umysłowych, jak Niemcy; jednak oni, jako ludzie porządni i systematyczni uczynili z tego stan i właściwą na to porę oznaczyli. I tak: każdy Niemiec do lat 20 ma professyą exaltowanego, entuzjasty, zapaleńca; skończył zaś je, bierze dymissyą od tego obowiązku, zostaje prawnikiem, rzeźnikiem, doktorem, cyrulikiem lub czémś podobnym, i zmienia zrojoną gałąź laurową, którą skronie swe umajał, w rzeczywistą szlafmycę, co mu istotnie głowę grzeje.

„I cóż to dowodzi?—odpowiedział Bardon—że większość Niemców do lat 20-tu jest tylko narodem żyjącym, a potem składem machin, porządnym organizmem obdarzonych. Ale powiedz mi, czémby byli Niemcy, gdyby żywot swój cały tak trawili, jak świetnie rozpoczynają jutrzenkę jego? Lat kilkanaście zaledwie w zapale i młodości z całego kresu swego żyją, a gdzież znajdziesz potężniejsze duchowe objawy, jeśli nie u nich?

Ztąd w tym jednostronnym tylko kierunku są oni wielcy, i tę wielkość swą winni temu 20-to letniemu li w całym życiu zapalowi. Lecz gdyby go przeciągnęli poza kraniec oznaczony ich ociężałą naturą; gdyby nie tak prędko przemieniali, jak mówisz, wawrzyn w szlafmycę, a potoku poczci młodocianej nie zalewali potokami gęstego piwa: to i w zawodzie czynu bylibyśmy im wszyscy poddani, i skądalibyśmy im hołdy, jak niegdyś cały świat znajomy Rzymowi. Patrz obok na Francuza, mniej skłonnego do marzeń, i rzeczywistość dotykającą jedynie pojmującego, ale który umie być młodym aż do grobowej deski, i zapalu nigdy się nie wyrzeka; a zobaczysz, iż wpływem tej żwawości, nabył on nad dalekimi nawet ludami potęgę, której się one wypierają, lecz której niezaprzeczenie są uległe, wtenczas nawet, gdy najmocniej przeciw Francuzom sarkają i poniżyć ich pragną”.—Bardon przeciągnął dalej wymowną obronę zapalu, i tak zakończył: „Goethe rzekł: iż pospolicie człowiek osiąga na starość tego, o czym za młodu pilnie myślał. Podstawmy w tej formule zbiorowego człowieka zamiast pojedynczego, przyszłość zamiast starości, i wierni w nieomylność tego zdania, dajmy bodziec duchowi naszemu”.... i t. d.

Po tej rozmowie między Bardorem a Alfredem o exaltacyi, nastąpiła wnet obszerniejsza o pismach teologiczno-filozoficznych, sądach wzajemnych, między *Bardorem* a nowoprzybyłym do Gwiazdogrodu gościem panem *Książkowiczem* i t. p. Dla okazania stanowiska autora, przestaniem tu na przytoczeniu jego opisu tej nowiej (idealnej zapewne) postaci.

Autor w rozmowie o exaltacyi, dowiódłszy potrzeby i korzyści stopniowego kształcenia i wznoszenia ducha, pragnął, jak się zdaje, wnet okazać praktycznie, jaką stratę dla piśmienności i dla każdego mającego misją reprezentanta jej, jest niewiara w ową potrzebę i ową korzyść.

„Jak gdyby dla uzupełnienia tych rozpraw, mówi, przybył także do Gwiazdogrodu z głębokiej naddnieprzańskiej Ukrainy, p. *Jan Książkowicz*, ultra-konserwator i czynny korespondent Tyg. Pet. Nowy ten spółzawodnik był człowiekiem zdolności znakomitych, nauki wielkiej, i czytania rozległego... Uczucie tych zalet i pochlebstwa obficie mu sypało, podnosząc jego zarozumiałość, zrobiły z niego człowieka dogmatycznego, i jakkolwiekby kierunek wzięły jego wyobrażenia, nie byłby zdolny jako filozof, biorąc duch swój jedynie za igielkę magnesową, w wielkie zagadnienia ludzkości i towarzystwa wnikać, ani też jako wieszczek natchniony, przekroczyć poza granicę piękności plastycznej i bytu istniejącego. Professor raczój w nim przemagał, i to professor mocno wzburzony, gdy mu jego uczniowie i słuchacze jakąś obiecywą czynić ośmielali się... Rozpoczął walkę z instynktami wieku, i mniemał to być bohater-

stwem, iż przeciw powszechności wojuje; a nie zważał na potężno sojusze, jakie mu nadały zasady, których gorliwym stronnikiem został. Jestem przekonany, iż to stało się mimo woli jego i w uniesieniu walki, że ani widoki osobiste, ani pochlebstwa, ani żadne względy nie zagnały go na drogę, w której tak bolesno go spotkać; ale zawsze dobijają się podobnej kary ci, co odtrącając potęgę zbiorowego ducha ludzkiego, ulegają duchowi pojedynczemu człowieka lub kast”.

Te zasady, potrzeby kształcenia ducha, czuwania nad tém kształceniem, skłania też dalej autor prócz do praktyki piśmiennój, i do praktyki życia towarzyskiego i przeciw niektórym pisarzom swojej prowincyi i dowodzi, iż żywotność danego towarzystwa nie od powrócenia form dawnych, ale od kształcenia pośród nich myśli z duchem nowego czasu zgodnych, rzeczywiście zawista.

„Jeżeli społeczeństwo ludzi, mówił kończąc rozwijanie tego twierdzenia generał Walnicki (wuj Heleny) w rozmowie z swą synowicą, nie ma żadnej zasady moralnej, żadnej myśli, do którejby członkowie towarzystwa choć oddzielnymi środkami dążyli: będzie ono mimo form staroświeckich, któreby mu dodano, garkuchnią i pijatyką, a niczém więcej. Lecz jeśli zaś ty droga Heleno w te formy, które łatwo ułożyć każdemu majątniejszemu człowiekowi, zdołasz siłą rozumu i wdzięków twoich wprowadzić życie podobne do tego dawnego żywota, którym stare towarzystwo jaśniało; jeśli przy stosowaniu się do potrzeb obecnych wieku, z domu twego rozsiejesz zamiłowanie nauk, sztuk pięknych i tego, co każdy człowiek prawy zawsze najszczytniejszém uważał; jeśli twym przykładem zachęcisz drugich bogaczy, by tą szlachetną postąpili drogą, oł wówczas zasługę wielką uzyskasz, i zostaniesz nie Joanną bojów, jak we Francyi, lecz Joanną społeczeństwa naszego!”

W następnych wreszcie rozdziałach, autor rozwija obszernie rozmowanie o sztuce i (książka z prowincyi autora, jakżeby mogła się obejść bez tego ostatniego szczegółu) o arystokracji rodowej. W rozprawie o istocie sztuki, autor rozjaśnia, dlaczego dzieło sztuki uważa raczej za utwór ducha, jak myśli (która według autora jest dopiero samopoznaniem ducha), a ztąd, iż sztuka za własnorodność istotną, a nie za naśladowanie stworzonej natury uważaną być musi.

Autor wskazuje, iż sztuka porywając owszem stworzone rzeczy w swą sferę, unosi je w kraj nowy pewnej równości; i temu, co tu lichy lub pyszne, przeciwne w nim nieraz miejsca naznacza.—Stańmy, czyni tu autor uwagę, przed pięknym pałacem, koło którego stoi upadająca chatka, a nikt z nas zapewne nie spojrzy nawet na chatkę; gdy spotkamy starego żebraka i tuż idącą o przyjemnych rysach dziewczynę, będziemy patrzeć

tylko na dziewczynę; gdyby zastawiono przed nami z jednej strony wspa-
niałą ucztę dzisiejszą, a z drugiej strony posiłek z owego czasu, gdy gospo-
darz sam bił woły i ze skóry je odzierał: nie wabalibyśmy się w wyborze;
przenieśmy jednak też obrazy na pejzaż, a pałac zniknie przy chatce, pan-
na przed żebrakiem, opis dzikięj ucztę Homera poetyczniejszym widzi
się dla nas, niż opis najwykwintniejszego społecznego obiadku.

Przystępując wreszcie do myśli o *arystokracji*, autor uprzedza, iż
jak z jednej strony jest przeciwnikiem jej stronników, tak z drugiej, nie
będzie powtarzał tyle już oklepanych o niej za i przeciw zdań; i to rzekł-
szy, całe następnych kart 30 (140 — 171), t. j. całą szóstą część tomu
przedmiotowi temu poświęca.

Jestto prawie jedyny oddział w rozumowaniach autora, na który nie
zgodzilibyśmy się zupełnie, i w którym autor w przeciwność swym zwy-
kłym zasadom, mimowolnie może, jak ów konserwator, o którym wspo-
mina, okazuje się także zwolennikiem kast.

W rozumowaniu tém o przedmiocie, autor podobnym jest do boha-
tera swego Alfreda, który mówi przy początku powieści do żony: „Wy-
wietrzała mi z głowy arystokracja od czasu, jak widziałem w Paryżu
adwokatów i professorów ministrami, oraz w Londynie bogactwo kup-
ców i lordów, *ale nie żyję z mojem sąsiedztwem*, gdyż jest lichy.”
Autor w rozumowaniu swoim oświadcza się przeciw arystokracji kra-
jowej, nie dlatego jednak, iż nią jest, lecz dlatego, iż nią nie jest; rozwija
pogląd dziejowy na żywioł możno-władny w Europie, z zazdrością mówi
o dawniej francuzkiej i dzisiejszej angielskiej arystokracji, i żałuje, że u nas
dawniej była tylko zawsze *de facto*, a nigdy *de jure*. Pominęlibyśmy te
zdania, ale zboczenie jedno, wnet musiało poprowadzić autora do drugich
gorszych. Obok panegiryku arystokracji, autor musiał dołączyć wnet po-
tępienie klasy, która jest możną, a nie jest arystokracją, i której z tego
względu dał nazwisko *dorobkowiczów*. Nie znamy prowincyi autora,
lecz ciekawi byliśmy istotnie poznać tę klasę, której równęj, według
autora, cała reszta rodu ludzkiego nie obejmuje. Rodziny dorobkowi-
czów, mająto być steki i arcydzieła lenistwa, próżności, głupoty, wszel-
kiej ohydy. Źródłem wzniesienia się ich, ma być jedynie oszustwo i prze-
prowadzenie na swoje mienia arystokracji. Nie znamy, powtarzamy, pro-
wincyi autora; wszakże pozwoli nam autor, że nie uwierzimy zupełnie
jego określeniom. Nie pojmujemy np., jak może klasa, która się odzna-
cza wyłącznie według autora dowcipem, oświeceniem, rozumem (ary-
stokracja), stawać się ciągle ofiarą, dawać się oszukiwać, i połowę mienia
swego oddawać klasie, której jedynie *lenistwo* i *głupstwo* ma być przy-
miotem. Już owszem w samym doborze nazwiska, do którego autor

przywiązał wyobrażenie ohydy (dorobkowicze), tkwi fałsz, który mówi przeciwko niemu. Autor chciał potępiać lenistwo, i napisał apologią lenistwa. Nie przypuszczamy, iżby w całej prowincyi autora, nie miał się znaleźć niejeden, np. lekarz, artysta, prawnik, niejeden szczęśliwy handlarz, szczęśliwy dzierżawca, prawy sługa, zyskujący obfite wynagrodzenie i t. p. któryby się w połowie, albo przy schyłku życia, nie mógł cieszyć owocem swój pracy; ci wszyscy jednak, podciągnięni są przez autora pod jeden obraz ohydy. Określeniom *autora powieści* tém mniej ufać możemy, iż nieraz nader jawnie są stronne. „Dorobkowicze, mówi np. kończąc ich opis, podobni są do wieprzów, które tylko przez swój zgon korzyść przynoszą.” Ospałość, próżnowanie, nadętość, nie pojmujemy dlaczego mają nadawać podobieństwo do wieprzów, jedynie dorobkowiczom.

Taki jest w krótkiej treści rys tomu III *Bigosu*. Część dramatyczna jego jest prawie, jak widzieliśmy, żadna. Miały go złożyć głównie ideały doskonałości, lecz ideały doskonałości w powieści, snadź są tém dla powieści, czém pokój śród dziejów, t. j. iż są dobre tylko dla siebie. Szczęśliwym w powieści jest Alfred, szczęśliwa Helena, szczęśliwe są wołyńskie damy, których jest typem; ale nieszczęśliwym zostaje czytelnik, który zapłacił za książkę, iżby widział obrazy przygód obyczajowych i nie znajduje żadnych przygód.

Ścieśnienie lub raczjć całkiem odrzucenie akeyi, pozbawiło czytelników tomu III widoku jednego z głównych przymiotów pióra autora, to jest kreślenia charakteru swych figur przez położenia. Treść tomu złożyły rozmowy, a rozmów: przedmioty oderwane, w dotykaniu i rozwijaniu których interesowanym był osobiście sam autor; zbyt jawnie więc w swe osoby się wcielał, sam się w każdjć przedstawiał, i jeżeli nie niszczył, tedy jednak niejednokrotnie niszczył ich charakterystyczne różnice. Stary generał Walnicki, mówi tu nieraz np. jak młody człowiek zapału; oryginał poeta Bardon (którego czytelnik przy końcu tomu zostawia rozciągnionego na marach, dla przekonania się, czy Helena go kocha) jak mąż nader roztropny (1) i t. p. Moglibyśmy także zarzucić, iż autor i tak zarozwlekł na powieść rozumowania, mnoży jeszcze takimi, w których nic nowego nie mówi (jak np. o mówieniu językiem krajowym), i że wreszcie w rozprawach swych granice prowincyi zdaje się

(1) Poeci miewać mogą *extrawagancye*, lecz i w samych *extrawagancyach* są poetyczni. Dziwactwo i gieniusz być mogą, i owszem zwykle są łączne; ale niepodobnym jest z siebie, iżby jednocześnie w kim istnieć mogły *rozum* i *glupstwo*. Karykatura w jakiejś ciagle autor stawia Bardona przed czytelnikiem, nie dodaje zapewne temuż zachęty do przyjmowania jego uwag.

uważać za granicę kraju, dwóch lub trzech bliżej siebie będących pisarzy, za wyraz całej literatury krajowej (1) i t. p.

Te są według nas ułomności tomu; ułomności te jednak ani znoszą, ani zacierają owych nader liczniejszych zalet pióra autora, które są już znane czytelnikom.

Autor ten jest jednym z tych naszych pisarzy, którzy w ostatnich latach literatury krajowej, pewne łączne cechy przymiotów pióra i ducha żywego nam przedstawili. Cechą zewnętrzną pióra jego są: jasność, ozdobność, siła; wewnętrzną zaś: pewna niezależność w kreśleniu rysów, stawianiu myśli, nieraz lot poetyczny, a głównie i przedewszystkiem zawsze myśli i pióru przytomny *cel*, t. j. wzgląd na ogół rozwicia, społeczność, znaczenie każdej jednostki; i odnoszenie obrazów i rozumowań do tego względu.

Na polu powieściowém, a zwłaszcza śród sfery społecznej towarzyskiej powieści, autor jest u nas jeden, który te cechy w swój gałęzi odznaczył.

Na polu rozumowania obrawszy za jego formę rozmowy, walczy jeden z pisarzami swojej prowincyi, obszerniej nawet od siebie rozwiniętemi, i walczy zwykle skutecznie.

Przy tym talencie autora, przy zasobach mniej powszedniej nauki i śladach poprzedniej pracy, przy téj większej u nas niż gdzieindziej potrzebie kształcenia czynnie literatury, byłibyśmy może więcej mu wdzięczni, gdyby nam dał kompozycyą, któraby cechę więcej ześrodkowanej pracy nosiła; któraby przedstawiała pewną jedność i całość; któraby będąc powieścią, nie zamieniała się w dyalogi i nie dawała nam figur z charakterem podwójnym; któraby w każdym razie strzegła jednej zasady, jednych założeń, wniosków i t. p. Pióro autora jednak, jak właśnie rzekliśmy, uważamy za jedno z odznaczających nowy okres w naszej literaturze, i prosimy go chociażby o dalszy *Bigos hultajski*. T.

Rocznik Literacki. Pismo zbiorowe, pod redakcyą Romualda Podbereskiego. Wilno, drukiem Józefa Zawadzkiego. 1849 r., 8-vo majori. Z portretem St. Moniuszki i winiętami Wincent. Smokowskiego, tudzież z widokiem chatki syberyjskiej i wnętrza świellicy ruskiej. Str. 208. ()*

Rok to już czwarty, jak p. R. Podbereski, zacząwszy w Petersburgu wydawać Rocznik pomieniony, przeniósł się obecnie do Wilna, i tu

(1) Np. przy kwestyi o rozprawach religijno-filozoficznych i t. p.

(*) Porównać z recenzją w Bibl. Warsz. rok 1849, m. czerwiec, str. 601.

czwarty tom pisma pod swoją redakcją ogłosił. Jeżeli o poprzednich Rocznikach niewiele możnaby dobrego powiedzieć, w których tylko wielkość formatu, piękny papier, ryciny i nuty na uwagę zasługiwały: to inaczój rzecz się ma zupełnie z Rocznikiem na rok bieżący, i dlatego obszerniejsze sprawozdanie podajemy.

Pomijając obszerną przemowę *wydawcy*, zatrzymamy uwagę nad jednym ustępem:

„Trud *wydawcy nakładcy*, zaczyna dziś przybierać wyższe znaczenie, osobliwie u nas na Litwie, w kraju, w którym, jak mawiał poczciwy O'Naciewicz, na tyle milionów ludności, *nie urodził się dotąd ani jeden mecenas nauk*. Bo proszę mi wskazać pomiędzy naszymi bogatymi ludźmi choć jednego, coby zasłużył na to nazwanie, w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu? Tu i owdzie poświęcają talenta, tu i owdzie powstają potrzeby i życzenia ogółu wydawania zbiorowych pisemek, tu i owdzie znajdują się rękopiśma bardzo warte ogłoszenia; ale gdzież jest człowiek, coby choć milionową cząstkę swoich dochodów na ich publikacją poświęcił? Na miłość boską ukażcie mi choć jednego! Hrabia Edward Raczyński był jedynym, ale i to nie u nas! U nas dają bale, dają obiady, wiwatują szampańskiem, jeżdżą w przepysznych ekwipażach, i mieszkają jeszcze w pyszniejszych salonach; ale gdzież jest choćby najmniejsza książeczka kosztem ich wydana, chociażby jój nakład nie dochodził i połowy rocznego utrzymania jednego z ich zbytowych kuchcików? Gdzież jest choć jeden zdolniejszy młodzieniec, rozpaczą i nędzą w moralnym upadku pogrążony, coby ich ręką został z niedoli podźwigniony? Każdy szamocze się o własnych siłach, i dlatego tém odkrytszą wzgardą płaci bogaczowi, przy piérwszój zręczności wzięcia się za pióro, i ta wzgarda zamienia się w prawdziwie demokratyczną nienawiść. Oto przyczyny niepojednanego rozdziału pomiędzy arystokratą szkatuły, i arystokratą myśli. Widząc obok siebie, tuż pod bokiem, zbytek rozwalający się na aksamicie w pozłocistym salonie, z wiecznym dymem w ustach; człowiek w pocie czoła, w osamotnieniu, w ubogiej izdebce pod strychem na kawał chleba pracujący, którego wszystkie dążenia ku dobru ogółu skierowane, czyż niema prawa lekceważenia sobie nadzianego złotem futerału?”

„Otóż w takim stanie rzeczy, w tym wiecznym rozbracie ubożca z bogaczem, jedynemi *mecenasami* byłiby u nas księgarze, gdyby nie wyłączny ich cel spekulacji i brak podpory w czytelnictwie, względ wyłączny na chwilowy, modny gust publiczności, nie zmuszał ich do oglądania się na swój interes, i nie odwoził od podawania ręki pomocy dzielniejszym prywatnym przedsięwzięciom. Ale czyż księgarzowi, obracają-

cemu pewny kapitał, aby wyrobić swoje procenta (co jest bardzo słuszną) wznosić dla kraju pomniki, które za ledwo kilkadziesiąt osób oceni, a nikt wyłożonego kapitału nie wróci? Czyż nie słusniejsza uczynić to temu, co bez osobistej pracy, szczęśliwy posiadacz ziemi, ślepym trafem odziedziczonej, ciągnie łatwe dochody z licznych swych włości?”

„Otóż, kiedy księgarze zaczęli otrząsać ręce, musem konieczności powinni byli pojawić się redaktorowie-wydawcy, bo przecież myśl narodu, musiała znaleźć dla siebie drogę, przywodząc w ruch czcionki; ztąd powstał *Rocznik literacki* w Petersburgu, *Lud i Czas* w Wilnie, *Gwiazda* w Kijowie, *Rubon* na Białej Rusi i t. p. Uparta obojętność księgarzy wywołała spółubieganie się prywatne, które się może zamienić w przedsiębiorstwo na większą skalę, jak już dała dowody tego spekulacyjna Warszawa w swojej Bibliotece”.

„Tak tedy pojawił się u nas wyraz *wydawca*, wcale w nowém znaczeniu, takiem, jakie wyrobił sobie ten tytuł w zachodniej Europie. Według większej części panujących u nas po miastach wyobrażeń, wydawcą nazywa się kapitalista, używający swoich pieniędzy na drukowanie cudzych utworów, nie mając zręczności albo usposobienia, puszczać się na innego rodzaju entrepryzy. Wszakże takie pojęcie, wynikłe wprawdzie z rzeczywistego stanu rzeczy, jest w gruncie jednostronném; trudno nam wyobrazić edytorstwo, jako osobną gałąź pracy; trudno przypuścić, że ono wymaga takiego zamiłowania, i takiej znajomości rzeczy, jak wszelka inna gałąź pracy, dokonywaną z samouznaniem znaczenia swój działalności. Ów poświęca się handlowi zbożem, ów lnem i pieńką, inny ciągnie korzyści z fabryk, inny browarami opaja stan wieśniaczy, i razem tuczy woły karmne na sprzedaż: dlaczegóżby wydawca dzieł użytecznych, mogących wywrzcić wpływ moralny, nie mógłby stanąć jeżeli nie wyżej, to przynajmniej na równi z temi użytecznymi dla kraju ludźmi? A nawet w pewnych okolicznościach i czasach, czyż nie jestto rodzajem służby sprawie publicznej oddanej? Tak tedy przyszedł już czas, że wyraz *wydawca*, i w wyobrażeniach naszych powinien nabyć prawa obywatelstwa”.

Nie możemy odmówić całej prawdy, jakkolwiek przykrój temu ustępowi.

W przedmowie powyższej, napotykamy list Tadeusza Łady Zabłockiego, znanego naszego poety z Kaukazu, w którym znajdujemy ciekawe szczegóły o pracach naszych braci, tam przebywających. Tę wiadomość przywiedziem tu w całości:

„Strzelnicki, poemat Rej-Bułat już skończył. Onufry Pietraszkiewicz, autor *Dwóch Olbrzymów*, w ostatniej wyprawie w góry, raniony był w brzuch kulą, która się tam została. Cierpienia konwulsyjne, jakich od

tego czasu zaczął doznawać, spowodowały go udać się do *Piatihorska* do wód mineralnych, zkąd, jeżeli wyżyje, ma udać się do kraju, bo już otrzymał uwolnienie. Leon Janiszewski, ogłosił w Warszawie Barkarolę, wyjątek z poematu, i swój przekład Cyganów Puszkina, o którym tak się chlubnie odezwał M. Grabowski w Tygodniku Petersburskim. Dwa zaś tomy poezyi, które miał drukować w Wilnie, nie wyszły z powodów od niego nie zależących. Szczególnie poemat dramatyczny *Dwa dni*, uderza oryginalnością pomysłu, i głębokością uczuć i myśli. Teraz pisze *obrazy i wrażenia* z podróży na Kaukaz, które będą wyższe od *Marlińskiego*. *Michał Andrzejkiewicz*, ciągle pracuje nad *Opisaniem Kaukazu*, pod względem historycznym, etnograficznym, statystycznym i t. d. Wyjątek z tego dzieła pełnego erudycyi niemieckiej, odesłał Kraszewskiemu do Athenaeum. Teraz pisze *Szkice Kaukazu*, w których historia, etnografia, archeologia, będą podrzędną rzeczą, i wydaje pod imieniem *Butowta*. Hugo Korsak, młody chłopak, pisze powieść z podań Gruzji, p. n. *Kikoli*. Będzie to obraz zwyczajów, obyczajów, przesądów i charakterów mieszkańców tego kraju. Wyjątki które mi czytał, odznaczają się trafnością spostrzeżeń. *Jan Wierzbicki* przegląda Kaukaz pod względem medycyny i historyi naturalnej, i rezultata swoich badań przygotowuje do druku. *Konstanty Zach*, obeznawszy się z tutejszemi językami, śledzi podań i tłumaczy gmiune piosnki Tatarów zakaukaskich i Persów. W przeszłym roku (1842), straciliśmy *Stanisława Winnickiego*. Młodzieniec ten wielkich nadziei, umarł z gorączki w fortecy *Groźnej*. Poemat jego *Artem Popowicz*, którego początek ogłoszony był w pierwszej (zda się) części *Rusałki* już był skończony, lecz przy jego śmierci nikogo z ziomków naszych nie było, i poemat ten gdzieś się zawieruszył”.

„Literatura nasza zaczyna interesować i tutejszych mieszkańców. Książę *Erystaw* przełożył na język gruzyjski *Sonety Krymskie* Mickiewicza, i improwizacyą jego zaczynającą się od słowa *Samotność*; a książkę *Tumanawi* jedną z moich poezyi, pod tytułem: *Alazańska dolina*.”

„Ale przy tém wszystkiém, pomimo najlepszych chęci i usposobień, wszystkim nam prawie brakuje, nietylko materyalnych pomocy, lecz nawet czasu i zdrowia.”

Z prozy *Rocznika Literackiego*, główną i jedyną ozdobą są *Listy o Syberyi*, pisane do rodziny przez Teresę z Wierzbickich Bułhakową. Prostota opowieści, rzewność i smutek, przeplatają te listy, pisano pięknym i czystym językiem.

O sposobie prowadzenia wojny u starożytnych Litwinów. Rozprawa ta zawiera wiele ciekawych w téj mierze szczegółów. Jestto przekład z oryginału litewskiego; autorem jój jest Jakób Łaukis. Tekst jój

nie trafnie wydawca przyozdobił drzeworytami, które znakomity nasz artysta W. Smokowski do poematu Witoloraudy przesłał. Co tam było stosowném, tu żadnego znaczenia nie ma.

Reszta prozy złożona z tłumaczeń i oryginalnych, nie warta wspomnienia; nie wyjmując fantazyi samego wydawcy, w której miał zdać sprawę o kantacie mitologicznej *Milda*, wedle poematu Witolorauda, muzyka St. Moniuszki, słowa Ed. Chłopickiego.

Autor w uniesieniu erudycyjném, wprowadzając wyraz dawny *gędba* w użycie, na poparcie trafności jego, popiera się takim wypisem z *Siennika*: „Osieć w nienawiści wszelką gędbę ma.” Całe zaś sprawozdanie zarywa na ćwiczenie szkolne, podobnie jak powieść *Januarego Filipowicza*, pod napisem: „Już go niéma.” Treścią jej jest śmierć młodzieńca; dwaj jego przyjaciele byli w okropnym smutku, bo doktor *silnej* wziętości, nie robił żadnej nadziei.

Mały wyjątek następny, da dostateczne wyobrażenie wartości tej powieści:

„Głowa moja paliła mię, i serce mię paliło, i biło się tak silnie w piersiach, że zdaje się, rozłamać ja i polecieć tam, gdzie on cierpi. Musiały także same uczucia i Edwarda dręczyć, gdyż z nagłą, przerywając dumanie, zawołał z wyrazem rozpaczny:

— Ha! nic nie pomoże, bezsilni, bezsilni jesteśmy! choćbym duszę własną z ciała wyzionął, jego nie ocalę.” I z wysilenia czuł się tak osłabionym, iż mu głowa mimowolnie na pierś spadła. Jakiś chaos, męt, pył, tysiąca różnych myśli, kręcił się wirem w mej głowie—czułem jak mię gorącość paliła” (1).

Inaczej rzecz się ma w *Roczniku Literackim* z poezją; odrzuciwszy dosyć wierszyków, które mogły spoczywać w tece spokojnie, znajdujemy wiele prawdziwém natchnieniem i uczuciem opromienionych. Stawiamy tu na czele elegią *Tęsknota*:

Czemuż siedząc wśród kwiatów pod temi drzewami,
Raz się zalewam łzami,
Drugi raz wzdycham; znowu czoło zasmucone
W różną obracam stronę?
Czyliż w tej okolicy, gdzieś rósł, gdzieś chowany,
Jakie widzę przemiany?
Taż sama wieś, ten domek co był moim światem,
Łąka barwiona kwiatem;
Tenże gaj, sady, drzewa, plenne kłosem niwy,
Gdzieś ja nieuk szczęśliwy,
Młode i niemyślane przepędzając chwile,
Złociste łowił motyle.

(1) Zwracamy uwagę, że styl zarywa na liche tłumaczenie z rosyjskiego.

Oddawna milczący ukochany nasz poeta Antoni Edward Odyńca, wystąpił w Roczniku z oryginalnemi poezjami. Cieszymy się, że idzie z czasem i postępem naprzód, i uznajemy całą prawdę wzniosłą i szlachetną, zawartą w pięknym wierszu: „*Starość ducha*.”

Pomijamy tu wiersze Odyńca pisane w albumach, i okolicznościowe; ale nie możemy ominąć pięknej i rzewnej poezyi na śmierć ks. Stanisława Parczewskiego, zmarłego w Rzymie 1830 r., przyjaciela naszego poety, i następne *Memento-Mori*:

O ludzie! ludzie! gdybyście wy czuli,
Jak wątłe życie tych, których kochacie,
Czyżbyście sami tyle chwil im truli,
Chwil, co tak mało do użycia macie?

Cóż, że dziś duma winę z siebie zwali,
Że serce, ranie podobne świerzbiąc,
W łzach lub drażnieniu, na gniew co je pali,
Kosztuje ulgi, ból tylko łechcąc?

Przyjdzie czas, przyjdzie, kiedy te powieki,
Co dziś dzień cały krzywd niewinnych płaczą;
Znużone łzami, zamkną się na wieki,
I już twój późnej skruchy nie obaczą:

Gdy te ramiona, co dziś nadaremnie
Wznoszą ku tobie uścisk pojednania,
Złożone na krzyż, ostygną wzajemnie,
Na łzy pokory i pocałowania.

Kiedy to serce, co dziś tak surowo
Krzywdzisz, jak tyran poddanego sobie,
Pewny, że łatwo przebłagasz na nowo,
Czuć już nie będzie, by przebaczyć tobie.

Gdy to oblicze, co jak zorze ranne,
Światłem pociechy na twą duszę biło,
Na wieki oczom twoim odebrane,
Grabarze ciężką narzucą mogiłą.

Pomyśl nieszczęsny! gdy wrócisz do domu,
I znajdziesz pustki okryte żałobą;
Co poczniesz wtedy, gdy nie będzie komu.
Ni cię pocieszyć, ni zapłakać z tobą?

Gdy wspomniesz miłość, coś miał, a odrzucił,
Gdy wspomniesz szczęście, coś mógł, a nie użył,
Chwile coś zatruł, dni coś może skrócić,
I cierpiąc, będziesz czuł, żeś sam zasłużył?

Próżno natenczas na kolanach skruchy.
Przyzywać będziesz kochanego ducha,
Ty, coś był w życiu na głos jego głuchy,
Śmiałżebyś mniemać, że cię on wysłucha?

I tak dzień po dniu—aż rozpaczą wściekłą
 Sam zaczniesz na się wzywać pomsty Bożej,
 Szczęśliwy jeszcze! gdy to ziemskie piekło,
 Bramę litości twój duszy otworzy!

Obok takiej poezyi, jakże smutno spotykać niemal na tychże kartach, wiersze p. Ludwika Podbereskiego, a brata wydawcy Rocznika; bo trzeba wiedzieć, że tu cała rodzina państwa Podbereskich złożyła swe płody umysłowe, tojest: p. Podbereski Romuald wydawca, Ludwik, i dwie Podbereskie: Róża i Weronika.

Owoż pan Ludwik umieścił swe wiersze pod ogólnym nadpisem *Aerolit*; co w przypisie wydawca Rocznika Literackiego tak objaśnia:

„*Aerolit* czyli kamień meteorologiczny, który siłą atrakcyi do dwóch centrów pociągany, krąży pomiędzy niebem a ziemią, to zbliżając się do słońca, to ku ziemi pomyka, nareszcie na ten lichy padół upada. Rozkład chemiczny pokazał że *aerolit* jest natury żelaznej. Oto co dało autorowi powód do upatrzania podobieństwa między swemi poezyami, a tym poetycznym fenomenem.”

Pod takim wspaniałym godłem, czytamy wiersze p. n.: *Zgaste miłości słońce, Do rozrywki, Rozumna panna, Pomyłka na Zosi*, która tak się zaczyna:

Mnie się zdało, że to Zosia,
 Lecz nie Zosia to na Bogal
 Ani Zosia, ni Antosia,
 A któż jesteś moja droga?

Ze wszystkich tych poezyj, zaprawdę najstraszniejszy jest wiersh p. n. *Noc cholery*. Miara sama, dreszczem przejmuje; posłuchajmy trzech strof początkowych:

Nocy bezsenna mów!
 Ja nie mam myśleć co!
 Uczucie zmarło me,
 Nie stało mowy już!
 (po pauzie).

Nocy bezmówna milcz!
 Gdy głosić nie chcesz nic!
 Ja dumy przeszłych lat,
 Rozsnuje w nowy dym!

O! nocy ciemna, głucha!
 Dymna, zasmucona!
 Oboje niemi, zimni,
 Zacichła nasza moc!

Spuszczamy zasłonę na resztę tego straszliwego obrazu, i już więcej przytaczać wyjątków nie mamy odwagi.

Ohok poezji Zana i Odyńca, wydatnieją poetyczne utwory *Władysława Syrokomli*, który od pierwszego zjawienia swego zapowiedział niepospolity talent, i mistrzowskie władanie językiem. Jestto znany już teraz tłumacz wyborny naszych polsko-łacińskich pisarzy, jak Klemensa Janickiego, onego chłopka, co łaską możnowładcy Kmity wspierany, umarł tak młodo, i głośną sławą znamienitego Kazimierza Sarbiewskiego. *Dyferencya*, gawęda zaściankowa p. Syrokomli, dosadnością obrazowania, schwytaną charakterystyką szlachty zagrodowej, i językiem szczero-polskim, stanowi główną ozdobę Rocznika Literackiego. Mniejszej są wartości *Sonety* tegoż autora.

Gdy w prozie, jakkolwiek się wydawca silił, humorystyki ani cienia pochwyć nie zdołał, w kilku wierszach nieznanego poety, p. n. *Wybryki dobrego humoru*, znajdujemy, ją niewątpliwie jak w tém przenicowaniu znanej pieśni z Dziadów:

Z pałaców sterczących dumnie,
Zejdź luba do mojej chatki,
Tylko zabierz swe manatki,
Bo chołotę znajdziesz u mnie.

Święte pustki wszędzie, wszędzie,
Ale nie marz nic o chlebie,
Bo kochanek wierny, ciebie
Czułosciami karmić będzie.

Zrana ci wianek uplotę,
Na obiad dam szmer strumyka,
Na wieczerzę spiew słowika,
A na noc marzenia złote.

A gdy cię dumanie czyste,
W niebieskie sfery uniesie,
Przez otwory w mojej strzesie,
Obaczysz niebo gwiazdziste!

Przy końcu, bo na okładzinach (1) Rocznika Literackiego, redaktor p. Romuald Podbereski, zapowiedział wydanie jakoby w dalszym ciągu Rocznika: *Pamiętnik naukowo-literacki, w sześciu zeszytach*, którego trzy posyty nadeszły do Warszawy. O tém piśmie nie omieszkamy zdać sprawy czytelnikom Biblioteki Warszawskiej.

Wł.

(1) Na końcu Wstępu, na karcie XXIII.

ROZMAITOŚCI.

List Ignacego Krasickiego, o trefnisiach czyli błaznach.

(Z własnoręcznych rękopismów, dotąd nieogłoszony drukiem).

List odebrany umieszczam z tém większą ochotą, ile że rzecz, lubo mniej poważna, zawiera w sobie z krytyką naukę i wdzięk powieści.

MPanie co tydzień, a radbym żeby i co dzień, ale że co dzień byłoby W Panu przykro, a jako sam powiedziałeś, iż i co tydzień rzecz godną czytania wydać ciężko, przestaję i na zdania i na nazwiska, a proszę abyś bez śmiechu raczył rzucić okiem na głęboko-płaską dySSERTACYĄ, którą przyłączam.

Pisano o głupstwie, a czemużby o błaznach pisać nie można? Ale ja o tych tylko wzmiankę czynić przedsięwziętem, coto urzędownie błaznami będąc, drwili po większój części z onych, którzy ich przechowywali. Dawne to jest rzemiosło, miało nawet bożka swego w Mithologii Momusa; tego była powinność, jak to zwyczajnie błaznów, bawić w Olympie bożki inne żartami, a czasem i gniewać, zwłaszcza gdy sobie ambrozyą podochocili.

Luboćby poniekąd godni tego cechu i ten, co się ustawicznie śmiał, i ten co płakał, i ten co siedział w beczce; przez szacunek jednak filozofii, której się tytułem zaszczycali, lepij o nich zamilczć.

Szkoda to jest wielka, iż nie było gazet u Assyryjczyków, Egipcyan i Persów, albo jeżeli były, iż do wiadomości naszej nie doszły; wielceby to wsparło historią błazeństwa; rzecz albowiem trudna do wierzenia, iżby Sardanapal, lub Kambyzes, mieli się obejść bez błaznów na dworach swoich. Dawni dziejopisowie, w tém późniejszym ustąpić miejsca powinni, iż pisali dla nauki, a nie zabawy; zład téż poszło, iż luźno wiemy o dzie-

jach państw, odmianach rządu, prawodawstwie każdego w szczególności, cnotach rządców, urzędników przymiotach, nie w zupełnej jesteśmy niewiedomości o błaznach.

W Homerze Tersytes zdaje się coś zarywać na błazna, ale nie może wniknąć w poczet urzędowych. Był widokiem i celem żartów i naigrawań tak z postaci, jako i z sposobu mówienia; ale się o to urażał, co samo znakiem było, iż nie miał prawdziwego powołania.

Rzeczypospolite (ile można wiedzieć), błaznów nie miały, a jeżeli który z obywatelów trefnisia przy sobie chował, gdy o panu takowym żadne dzieje nie czynią wzmianki, tém bardziej o słudzo godnym takiego pana. W Athenach możeby takowe nad innych wzniesienie, ściągnęłoby było ostracyzm. W prawach Likurga znajdujemy, iż kazał niekiedy umyślnie poić niewolników, ażeby się przypatrując naówczas ich głupstwu, dzieci wstręt brały od niewstrzeżliwości. Błaznowały więc poniewolnie Iloty, i wino było a nie przemysł przyczyną takowego błaznowania.

U Rzymian w czasie obrządków Saturna, było coś podobnego do błazeństwa. Pora pierwiastkowej równości, źródłem bywała wspólnych żartów; wolno było naówczas sługom przymawiać panom swoim, a uczniom mistrzowi. Ztąd ów dyalog w satyrze Horacyuszowej:

„Age libertate decembri—utere.”

Usłuchał pana swego długo mileczący Dawus, i skończyło się jak zwyczajnie między nierównymi, na kiju.

„Unde mihi lapidem unde sagittas.”

U tychże Rzymian najokazalsza i najpoważniejsza uroczystość, obok siebie miała błazeństwo; z tryumfem wjeżdżający na Kapitolium zwycięzca, miał błazna za wozem, który się z pobitych natrzasał, a często się i bijacemu dostawało; tak, jak doświadczył *Juliusz*, gdy wojsko śpiewało *przywodzimy wam Rzymianie tysego lubieżnika, mężowie chowajcie żony*.

„Calvum mæchum adducimus

Mariti servate uxores”....

W komedyach tak greckich jako i łacińskich, znajdują się umieszczone krotofilne osoby; i ztąd poszło nazwisko *Mimus*, od *Momusa*, ale ci na teatrach tylko lud zgromadzony bawili, a zatem do szczególnych nie należą. Bardziejby w téj liczbie być przystało parazytom, to jest wyjadaczom, nadskakiwaczom, pochlebcom; ale ta zgraja, którą *Terrencyusz Ardelionami* mianuje, według jego zdania, i sobie była przykra i drugim nieznośna: *sibi molesta, aliis odiosissima*; błazny zaś jeżeli uczciwych i rozsądnych nudzili, byli wdzięcznemi podobnym sobie, a zatem ogromną mieli pluralitatem.

Późniejsi Azyi monarchowie że mieli błaznów, wieść od tamtejszych współczesnych pisarzy powzięta, doszła nas o tém; a choćbyśmy jój nie mieli, domyślićby się można, iż musieli mieć tak jak i teraz jeszcze mają. Przystoi albowiem wcale braciom słońca, wujom księżycy, powinowatym planet, mieć takowych urzędników na dworze. Jeden z dawniejszych Kalif Harun-al-Raschid, który mieszkał w Bagdadzie, stolicy niezmiernych państw swoich, miał sławnego na dworze swoim błazna, który się zwał Bahalul; tego gdy się raz pytał, wiele jest błaznów w mieście? rzekł błazen: *długoby trzeba rachować; ale dla skrócenia czasu pozwól, iżbym piérwój rozumnych spisał; to nie zabawi, a z reszty poznasz wiele masz błaznów w Bagdadzie.*

We Francyi miasto jedno hrabstwa Szampanii, miało przywilej błaznów królowi dodawać, a może nie bez zazdrości poblizszych na takowe monopolium. W témże królestwie, a w mieście stołeczném księstwa Burgundy, Dijon, było bractwo błaznów pod rządem przeoryszy, którą zwano matką głupią albo głupich (la mère folle). To zgromadzenie upoważnione było przywilejem zwierzchności, miało swoje wieczyste schadzki, obrządki, prawa, i trwało przez kilka wieków.

Że Henryk IV król francuzki miał błaznów, daje się to poznać z odpowiedzi sławnego jego ministra Sullego. Ten gdy był wezwany do dworu, a postrzegł wchodząc na pokoje, iż się z niemodnej jego odzieży nasmiewano, rzekł synowi Henryka, Ludwikowi XIII: „Najjaśniejszy Paniel kiedy mnie nieśmiertelnej pamięci twój ojciec do rady wzywał, wypędzano błaznów z pokoju”.

W początkach panowania swojego miał jeszcze błazna Ludwik XIV, zwał się Angeli; a że przy ugodzie dał mu go był zbuntowany niegdys k. Kondeusz królowi, a o innych mężach zacnych co za nim byli poszli, zapomniał, rzekł z nich jeden: *Ze wszystkich nas błaznów, cośmy z nim byli, sam tylko d'Angeli wskórał.*

W Niemczech, kiedy ta moda nastąpiła, wieści niemasz; to pewna, iż się była rozkrzewiła znacznie; a że ten naród w przedsięwzięciach stateczny, trwała najdłużej, do tego stopnia była nakoniec przyszła, iż to było znakiem niejakim udzielnosci, albo przynajmniej znamienitego stanu, kto błazna nadwornego chował. Karol V cesarz, miał swojego, i tak był śmiałym, iż pana do bractwa już chciał być wpisać, wtenczas, gdy Franciszka I króla francuzkiego z niewoli puszczał; a gdy tenże potem cesarz jadąc do Flandryi na Paryż drogę obrócił, Franciszkowi w ręce się podał, a ten mu dozwolił wyjechać, i na miejscu Karola osadził Franciszka a Jest wyobrażony na blasze portret Klaussa, błazna elektora saskiego z opisem wierszami znamienitych i dzieł i odpowiedzi jego.

W Polsce dość trudno powziąć o rzeczach dawnych dostateczną wiadomość. Leszki, Mieszki i Popiele, musieli mieć błaznów, ale jak się zwali, nie o tém w Kadłubku niemasz. Następcy tych jedynowładców, jakoto: Chrobry, Krzywousty, Kazimiérz Wielki, nie zaprzatali się błazeństwami; zwłaszcza ostatni, który sprowadzając z zagranicy mistrze do szkół, głupstwu był wojnę zawypowiedział; dogadzając jednako zwyczajowi, kto wie czy nie miewali ich niekiedy. W téj liczbie ja kładę ze wszech miar znakomitego pierwszego Zygmunta, którego błazen nadworny zwał się Stańczyk. Ten, gdy król córkę swoją Izabellę wydawał do Węgier za Jana Zapolitę, niedosć gruntownie na tym tronie osiedziatego, radził, żeby jój ojciec zawczasu od przygody kamienicę w rynku krakowskim najął; i wyrzószył co zapowiedział; niewczesne małżeństwo źle poszło, i po śmierci męża musiała się do Polski wrócić. Bielski pisze, iż gdy tenże król Zygmunt w Niepołomicach przywiezionego z Litwy niedźwiedzia szczwac kazał, a Stańczyk się skrył, żartował z niego mówiąc: *iz to błazen, co się niedźwiedzia boi. Ja nie wiem kto większy, rzekł Stańczyk: czy ten, co się niedźwiedzia boi, czy ten, co go, z klatki wypuszcza.*

Za Zygmunta Augusta był Gąska; ale czy był błaznem królewskim, czy na dworze którego z panów, czyli tóż błaznował bez pana—niomasz o tém wiadomości; cóżkolwiekby wstawił go Jan Kochanowski nadgrobkim w Fraszkach:

Już nam, Gąska nieboże, nie będziesz błaznował,
Już pod Operzaszem nie będziesz harcował,
Ani głotów z rękawa sypał na chłopięta,
Kiedy ciebie więc opadną, jakoby szczenięta.
Jużes leciał za morze, Gąsko, jużes w dole,
A czarnej Persophonie spaczkujeś przy stole,
A duszyce się śmieją, że ten, co by grzeczy,
Słowa wyrzec nie umie, nowy cień człowieczy.
Więc my tóż, pamiętając na jego zabawki,
Nowej mu nie żałujmy usypać rękawki.
Nad nim miasto proporca, suknią szachowaną
Zawieśmy, i na grobie gęś twardo kowaną.
A to żeby mógł każdy, kto tędy pobieży,
Domyślić się zarazem, że tu Gąska leży.

I drugi jeszcze nagrobek Kochanowski temuż Gąsce napisał, a z niego dowiadujemy się, iż żył przeszło lat ośmdziesiąt; rzadko się to mędrcom przytrafia; błaznom raz wraz.

Przepraszam, że WPana fraszkami zatrudniam; i zostawam z szacun-kiem.

Z powodu zwyż położonej odezwy, niezawadzi się nad tém zastanowić, jakie mogły być przyczyny trzymania błaznów, a więc téj mody pra-

wie powszechniej. Epoka czasu objaśnia i uspokaja w tój mierze ciekawość naszą, gdy zważymy, iż wtenczas, kiedy kunszta i nauki najbardziej kwitnęły, rodzaju tego zabawy nie były w używaniu. Ta więc najistotniejsza przyczyna trzymania błaznów, iż kto rozumu nienawidzi, ten w głupstwie się kocha. Nie może słuchać uczonych rozmów, któryby je słysząc nie zrozumiał, dla błachego pojęcia swego; udaje się więc do rzeczy jedynie tylko krotofilnych, żeby czczym śmiechem czynił sobie rozrywkę, i krócił ile możności czas, którego użyć nie umie.

Błaznów trzymanie i te jeszcze mogło mieć przyczyny; najprzód: iżby umysł zbyt natężony, czy działaniem, czyli pismem, w tój rozrywce znalazł odpoczynek. Potrzeba wprawdzie umysłowi zbyt natężonemu odetchnienia; ale nie idzie za tём, iżby to odetchnienie, ten spoczynek, brał się z rzeczy nieludzkiej i podłej. Upodla rodzaj swój ten, który wyciąga od innych, iżby niegodną rozumnego stworzenia brali na siebie postać, łączy z dumą nieludzkość, cieszyć się z widoku, który raczej zasmucać czułego człowieka powinien.

Drugą przyczyną błaznów trzymania, kładę dumę: iżby się porównaniem cudzego głupstwa, nasz rozum lepiej wydawał. Musi naówczas nie być znamienitym, kiedy takowych sposobów do okazania wartości swojej potrzebuje.

Błaznów trzymanie dla powagi lub dla zwyczaju, usprawiedliwienia żadnego znaleźć nie może, choćby je kto z powodów jak najpozorniejszych przywodził. Zwyczaj ten plodem był dzikości i grubiej prostoty, i jeżeli się o nim uczyniła wzmianka, do tego ona jedynie tylko zmierza, iżby dać uczuć, do jakiego stopnia głupstwo przyjsć może tam, gdzie nauka umysły nie oświeca.

Przysłowia polskie używane na Litwie, a nie objęte w zbiorze przysłów

K. Wł. Wojcickiego 1830 r. wydanych (I).

I. Siedli makiem jak Petyhorcy.

Porażka tak lichego żołnierza jak Petyhorcy, musiała dać początek temu przysłowiu. „*Siąść makiem jak Petyhorcy*”, znaczy przegrać sprawę, źle sobie doradzić, zginąć bez powstania.

(1) Otrzymawszy tę ciekawą notatę od E. hr. Tyszkiewicza, jako materyał do drugiego wydania przysłów, umieszczamy ją w całości.

II. Nie wziawszy na duszu, Nie chodzić u kontuszu.

To przysłowie ludu prostego, zdaje się tłumaczyć, że sumiennie żyjąc na świecie, trudno stać się bogatym. Wziąć na duszę, znaczy uczynić krok, za który duszą odpowiedzieć w przyszłości potrzeba.

III. Pisuj na Berdyczew.

Kazać komuś pisać do siebie na Berdyczew, znaczy nie chcieć z nim w żadne wchodzić związki i korespondencje; pospolicie używa się tego przysłowia z ludźmi, o których się nie dba. *Pisuj na Berdyczew*: wyraża jeszcze, że nic z tego nie będzie, nie lękam się ciebie, nie potrafisz mię oszukać; bo starego wróbla na plewy nie złapiesz.

IV. Wart Pac pałaca, a pałac Paca.

Znakomita niegdyś rodzina Paców na Litwie, wyprowadzająca z Włoch swój początek, szczególny w budowlach i architekturze gust miała; czego dowodem są liczne gmachy i świątynie przez nich fundowane. Nikt im nie zrównał w wspaniałości i guście budowania; przysłowie więc to szlusznie im się należy: wyłącznie jednak od pałacu w *Jeznie* pod *Kownem* początek swój wyprowadza. Używa się zwykle, gdy ktoś stosownie, dostatnio i odpowiednio jedno drugiemu co uczyni. Podobną grę słów, można dotąd w Wilnie na kościele Śgo Piotra, fundacji téjże rodziny znaleźć, w napisie: „*Regina Pacis, funda nos in Pace.*” Co znaczy: *Królowo pokoju, zachowaj nas w pokoju*. Nieznający języka łacińskiego, różnie te kilka słów tłumaczą. Przed dwoma laty słyszałem dewotkę czytającą ten napis, poczem z ubolewaniem rzekła do mnie: „Mój Boże, wieleto dawniej tych Paców było”.

V. Łaska pana Szemesza, Ni pomoże, ni zamiesza.

Niedawno zmarły obywatel dawnego województwa mińskiego, Szemesz, dał początek temu przysłowiu, używanemu zwykle w gubernii mińskiej. Niejaki obywatel U.... mający chęć rymowania, zostawszy na urząd wybranym, mimo silnej ze strony Szemesza przeciw niemu forsy, publicznie w czasie sejmików rzekł głośno: że łaska pana Szemesza, ni pomoże, ni zamiesza. Przysłowie to stosuje się do ludzi, nie mających dosyć siły ani pomódz, ani zaszkodzić.

VI. Daleko, jak święty Michał od Nieświeża.

O kilka wiorst od Nieświeża, miasta książąt Radziwiłłów, jest kościół ś. Michała, gdzie 29 września liczny zbiór bywa nabożnych osób. Blizkość świątyni dała powód do powyższego przysłowia. Gdy więc ktoś

jest blisko już swych życzeń, a gra rolę zbyt od nich oddalonego, mówią zwykle, że jest tak daleko, jak święty Michał od Nieświeża.

VII. Pal z bicza, pani pisarzowa jedzie.

Początek temu przysłowiu miał dać stangret ś. p. Mirskiej pisarzowej litewskiej, pani z cnót obywatelskich, dostatków i wystawnego życia w Wilnie przed laty znanój, który w sztuce klaskania z bicza, przeszedł wszystkich swoich kolegów. Dotąd na Litwie słysząc dobrze klaskającego biczem, powtarzają zwykle: „pal z bicza, pani pisarzowa jedzie”.

**VIII. Za korola Sasa,
Było chleba i mięsa.**

**IX. Był król Sas,
Było chleba z nas,
Nastał Poniatowski,
Susim nie takoski.**

W ustach ludu przechowało się dotąd wspomnienie spokojnego i długiego panowania u nas dwóch królów z dynastyi saskiej.

**X. Przyyli Polaki,
Ni chleba, ni tobaki.**

Lud na Rusi litewskiej, tak się wyraża mówiąc o kimś, co z dostatków przyszedł do ubóstwa.

VI. Każden dudek, ma swój czubek.

Powiadają tak o młodzieży ufryzowanej, co się bardziej stara, żeby na głowie porządniej było, niż w głowie; biorąc porównanie od ptaka, pospolitego w litewskich lasach, co się dudkiem nazywa, i ozdobny czubek nosi. E. T.

Odpowiedź Drabska.

(Z dokumentu autentycznego, z zachowaniem oryginalnej pisowni) (1).

Wedlije najjasznyeyszego xyaszaczya a pana pana Sigmuntha z bożey mylosczy, krolya polskyego wyełkyego xyaszaczya Lythewskyego, Ruskich y Pruskych zyem pana y dziedzyczya & pana naszego namylosczy-

(1) Szan. korespondent, który nam ten wypis udzielił, przyrzekł w następnym dopiero zeszytcie Biblioteki dodać historyczne objaśnienie do niego, zostawjąc przez to czytelnikom przyjemność odgadywania w ciągu miesiąca. P. R.

wszego, thoby oszwyeczonemu xyszaczuyu a panu olbryhtowy margraby brandemburskyemu mystrzowy, zakonu krzyszownyeczego kthory yest wszyemy pruskyey y thwemu zakonowy thwym poddanym sthadla wszelkyego duchownego y szwyeczkyego. Ja M. trzepyewsky Rothmystrz krolya yego mylosczy drabsky srothą szwą sthowarysziny sluzebnyky a pomocnyky memy gy smemy a mogych thowaryszchow sluzebnykow gy pomocznikow pomocnyky, othpowyadam thym tho lysthom dothand do kandby król yego myloscz pan mój, namylosczywszy, sthobą walką wijodł, moya czeszcz ogradzayacz. Kczemu szwą pyeczacz przyloszyl. Dan w grudzyadzu w szobothą przed nyedzyelija kthorą szową oculi, Anno domi. Mllmo quingentesio vigesio.

Metr. Kor. Vol. 34, 287.

Wiadomości literackie zagraniczne.

Literatura angielska.

Vanity Fair. A novel without a hero. By Willam Makepeace Thackeray. London.

(*Rynek próżności; romans bez bohatera, przez Wiliama Meksisa Tekkereja*).

Celem najnowszego piśmiennictwa angielskiego jest głównie pogląd praktyczny na życie ludzkie, i wierne przenoszenie jego wypadków w ramy powieściowe. Wszystko, cokolwiek w towarzystwie zasługuje na nagane, wyszydzenie lub pochwałę; wszystko, cokolwiek zawiera ono w sobie dobrego lub złego: słowem, najmniejsze jego odcienie, znajdując najdokładniejsze odbicie we współczesnych angielskich powieściach. Jednakże nikt więcej w ostatnich czasach nie zwrócił na siebie tak powszechniej uwagi, jak Wiliam Makepeace Thackeray, autor romansów: „Papers by M. Yellowplush i Vanity Fair”.

Po utworach Karola Dickensa, a zwłaszcza po ostatniem jego dziele: „Dombi i Syn”, londyńska publiczność z najwyższem zajęciem przyjęła niedawno wydane: „Vanity Fair” i autobiografią: „Jane Eyre” (Dzenni Ejr). Twórca ostatniego dzieła nie jest nam wiadomy. Literaci angielscy domyślają się, że *Jane Eyre* napisała guwernantka pana Thackeraya, któremu w drugim wydaniu praca ta została poświęconą. Lecz są znowu tacy, którzy nie bez jawnych dowodów wątpią, aby w tém jakikolwiek udział miało pióro kobiety. Trzeba dodać, że ten romans, ze względu na jego główną myśl, zupełnie jest sprzecznym ze zna-

komitym utworem Thackeraya. W obudwóch wprawdzie romansach bohaterką jest guwernantka, osierocona dziewczica, zmuszona do utrzymania życia własnymi środkami; ale charakter dwóch kobiet nie ma nic z sobą wspólnego.

Vanity Fair, od początku aż do końca nacechowany niemiłosierną satyrą na współczesne angielskie towarzystwo, można nazwać dagerotypem zwyczajów i obyczajów mieszkańców Wielkiej Brytanii w XIXtym wieku. Wszyscy, którzy mają choć cokolwiek pojęcia o życiu wyspiarzy, podzielają to zdanie w zupełności; jedno tylko pismo „Quarterly-Review” stanowi tu wyjątek.

„Pan Thackeray, są jego słowa, doświadczonym pędzlem znawcy otwiera współczesną rzeczywistość z jej sztuczną uludą i prawdziwą nędzą. Jestto jedna z najwięcej zajmujących książek, jakie tylko mieliśmy zrecenzować w ostatnich czasach; ale musimy przyznać, że rzadko która satyra zostawia po sobie tak bolesne wrażenie, jak *Vanity Fair*. My przynajmniej nie mogliśmy żadną miarą oddalić od siebie tego przykrego wrażenia, przesładującego nas od pierwszej aż do ostatniej stronicy. Ażeby sobie ulżyć cokolwiek, chcielibyśmy przypuścić, że autor w wielu miejscach przesadza, że opisuje nieprawdopodobne sceny, które się tylko w jego własnej wyobraźni wylęły; ale na nieszczęście, mimowolnie przyznajemy, że wszystkie osoby na „Rynku próżności życia” są nasi najukochańsi przyjaciele i znajomi, których codziennie i na każdym kroku spotykamy. Przechodząc koło tych osób, nie mamy najmniejszej chęci moralizowania i czynienia im wyrzutów; lecz położywszy rękę na sercu, mimowolnie powtarzamy z westchnieniem: „Niestety! jestto mój brat!”

„Każdy aktor w licznych teatrach życiowego rynku, przedstawia pewny typ ogólny, wzięty ze zwyczajnego życia, gdzie w dziwny sposób połączono i pomieszano: dobro i zło, szczęście i nieszczęście, piękność i szpetność. Oto przed nami łagodna, kochająca kobieta, zawsze gotowa na poświęcenie się z miłości do fałszywego przedmiotu, który na najmniejszy wzgląd nie zasługuje; a tam, obok niego, znajduje się próżny, słaby człowiek, nawpół dobry i nawpół zły”.

„Ale mówiąc otwarcie i sprawiedliwie, nie możemy mieć najmniejszego współczucia do głównej bohaterki romansu. Nie, Bekki, ty nie należysz do nas; a serce nasze nie oblewa się krwią na widok twoich fantastycznych przypadków! Jesteś rozsądna, ukształcona, posiadasz wiele znakomitych talentów; i my bardzo doskonale pojmujemy, że warsztat twojego ojca był niegodziwą szkołą moralności dla młodej dziewczyny.

Od dzieciństwa bowiem rzuconą zostałaś w głęboki wir egoizmu, występ ków, samolubstwa, intryg, i fałszu; ale jeszcze raz powtarzamy, że nie należysz do nas, pani Bekki, i nie zasługujesz na nasze współczucie. Wyższe towarzystwo Londynu z jakiegokolwiek powodu, nigdy nie przy- puści do swego koła takiego prawdziwego *dziecka piekiel'*....

„Tworząc jednak swoje heroinę, autor wytrącił prawie broń z rąk naszych, nadając jej cudzoziemskie pochodzenie. Matka Rebeki jest Fran- cuzka, nie mogło bowiem być inaczej. Organizacya tego potworu, po djabelsku przejęta jest duchem francuzkim; nie widzimy w nim ani cia- ła, ani krwi brytańskiej. Takie igrzysko natury, jakim jest kobieta bez serca i bez sumienia, byłoby w Anglii nadzwyczajnym wypadkiem. Jedna tylko Francya może wydawać na świat takie syreny, z twarzą kobiety i z pazurami bajecznego smoka”. J. R. S.

Literatura czeska w roku 1849.

— *Wacław Hanka* w trzeciej edycyi wydał sławną kronikę po cze- sku *Dalemila*. Kronika ta wierszem pisana, opiewa cały okres dziejów od przyjścia Czecha, do roku 1314. Na pierwszej zaraz niemal karcie, stanowczo objaśnia, że *Lech*, byłato nazwa nie imienia, nie rodu, ale pewnego stanu.

— Szafarzyk wydał po raz trzeci „*Slovanski narodopis.*”

— W bibliotece uniwersyteckiej w Jena, odkryto *staro-czeski* rękopism z XV wieku, nadzwyczaj ważny i zajmujący, ozdobiony przepysz- nemi malowidłami, przedstawiającemi wiele ciekawych scen z wojen Hussyckich. Nieoceniony ten zabytek tak w historycznym jak archeolo- gicznym względzie, zawiera: illustrowane dzieło *Bogusława z Czechtie o Antychryście*: „*Odpornost Kristowa s Antykrystem.*” Następnie do- wcipny i ciekawy polityczny pamflet: *Odalrychu Kalenica*, o stanie Cze- chii za czasów *Podjebradzkiego*; przytém wiele listów *Jana Hussa*, pisa- nych w konstancyeńskim więzieniu; dalej: *Rozmowy ojca Hussyty z synem*, a nakoniec: „*Mały skarbiec moralny.*” Ferdynand *Mikowiec z Pragi*, wypracował obszerną rozprawę o tym rękopiśmie do czaso- pismu: *Czeskie Muzeum*, i wkrótce ma się zająć: wydaniem całego zabytku.

— W Pradze czeskiej wyszedł poszyt 5-ty dzieła: „*Archiv cesky, cili staré pisemné pamatky ceské i morawské. Dil. IV, swazek 5.*”

— Katalog Śto-Michalskiego jarmarku w Lipsku w r. 1849, obejmuje tą razą 4,192 nowych dzieł, pomiędzy któremi zawsze jeszcze polityka pierwsze miejsce zajmuje. Stare i nowe (trzech króli) prawo zasadnicze, tak jak i pruska ustawa; prawo wexlowe, wypadki w Szlezwigu, Węgrzech, w Badeńskim i t. d. dostarczyły najwięcej materyałów. I tak: zarysów do różnych nowych praw, wyszło 36; 31 dzieł różnych krajowych ustaw, i 57 broszur z uwagami nad niemi; 16 dzieł praw wexlowych, z objaśnieniami i bez objaśnień i t. d. Z całej téj literatury politycznej najważniejszém dziełem zdaje się być: „*Das deutsche Parlament*” i p. Laubego, we trzech tomach. Reszta dzieł rozpada się na różne przedmioty. Co jednak wielce zadziwia, i co może służyć za odbicie czasu obecnego, t. j., że pomiędzy powyższą ilością nowych dzieł, znajduje się wiele dzieł kucharskich, o których w ostatnich czasach nikt w Niemczech nie myślał. Miałożby to dowodzić, że Niemcy wracają już powoli do rzeczy *pożywnych* i zaczynają w nich smakować?—dodaje żartobliwie Niemiec.

— Nowe dzieło H. Gagern'a: „*Der deutsche Student in Anfang unsers Jahrzehntes. Ein romant-nationales Sittengemälde*”, znalazło wielki pokup w całych Niemczech.

— Pieśni: „*Juniusliedern*” Geibla, jednego z najpiérwszych tegoczesnych lirycznych poetów, wyszło już 4te wydanie.

— W Wiedniu wychodziły dotąd następujące gazety:

- 1) „*Wiener-Zeitung*” (z dodatkiem wieczornym) Ex. 8,000.
- 2) „*Die Presse*” (także z wieczor. dodatkiem umiarkowana). — 16,000.
- 3) „*Korrespondent*” (ministeryalna) — 3,000.
- 4) „*Ostdeutsche Post*” (opozycyjna) — 5,000.
- 5) „*Lloyd*” (konserwatystowska) — 3,000.
- 6) „*Wiener-Volkszeitung*” (ministeryalna) — 4,000.

— Dwutomowe dzieło M. A. Leymarie, p. t.: „*Histoire des paysans en France*”, przez swą dokładność w opracowaniu, zasługuje na wielką pochwałę.

— Alfons Karr zapowiedział nowe pismo: „*Fa Dièze*”.

— Dzieło Ludwika Desroches: „*Mémoires d'une fille du peuple*” z wydaniem 5, 6 i 7 tomu ukończone zostało.

— Montalemberta: „*Histoire de sainte Elisabeth de Hongrie*”, ukazało się już 5te wydanie w Paryżu.

— „*Histoire des ducs de Guise*”, przez René de Bouillés, wyszedł tom 2gi.

— Oto są znaczniejsze dramatyczne dzieła, wyszły niedawno w Paryżu: „*Les Puritains d'Ecosse*”, dramat w 5 aktach i 12 obrazach, przez Pawła

Féval; dalej komedia: „*Griselde ou la fille du peuple*”; „*La Conspiration de Mallet*”, dramat w 5 aktach, przez Bayard'a i Warnera; „*La chute de Sejan*”, tragedia p. Wikt. Séjour; „*Dion*”, tragedia w 5 aktach, p. A. Pascalis; „*La guerre des Femmes*”, dramat w 5 aktach p. A. Dumasa; i nakoniec: „*Piquillo Alliaga, ou trois chateaux en Espagne*”, dramat w 5 aktach p. Bourgeois i Massona.

— Francuzka literatura dla robotników, rozciąga się aż do dzieł, pisanych dla dzieci. Niedawno ślusarz Gillaud, wydał: „*Conteurs ouvriers*”, które przypisał dzieciom klasy pracującej. Pani Dudevant dodała swą przedmowę.

— Krótko przed śmiercią ukończonego dzieła sławnego Grandville: „*Les Etoiles*”, wyszedł w Paryżu poszyt Iszy. Całe dzieło ma się składać z 50 poszytów, i będzie w r. 1850 ukończono.

— W nadwornój drukarni w Wiedniu, zaczął wychodzić z dniem 1 września 1849 r.: „*Dziennik praw austr.*” w dziesięciu językach.

— Agricol Perdiguier, przedtém czeladnik stolarski, a teraz reprezentant narodu w Paryżu, zajmuje się pisaniem dzieła: „*Histoire démocratique des peuples anciens et modernes*”, którego już kilka tomów opuściło prasę. Całe dzieło ma się składać z 8 tomów.

— Akademia francuzka wyznaczyła nagrodę na rok 1850 za dwie następujące rozprawy: 1) Za pochwałę pani Staël, i 2) za rozwiązanie pytania: Zkąd pochodzi, że literatura historyczna Francyi, przedstawia się prawie tylko pod formą historycznych pamiętników? Na rok 1852 wyznaczyła nagrodę 5000 fr. za najlepsze tłumaczenie dzieł Pindara.

— Pod tytułem: „*Les Supercheries litteraires dévoilées*,” wychodzi w Paryżu dzieło, które wykrywa wszystkie przybrane lub ukryte nazwiska autorów francuzkich, piszących w trzech ostatnich wiekach. Wydawcą jest I. M. Querard. Dzieło to będzie się składać z 3 tomów, z których dwa już wyszły.

— Dziennik paryzki: „*L'Assemblée nationale*” zaczął drukować od początku października r. 1849 szereg zajmujących i kwiecistym stylem pisanych powieści, pod głównym tytułem: *Les Romans de la famille*, przez Pawła Féval, autora romansu: „*Les Amours d'un fou*” i innych. Szereg ten rozpoczęła powieść: „*Les belles de nuit*,” która już w Bruxelli przedrukowaną została.

— Niemordowany i jak się zdaje niewyczerpany Alex. Dumas, wytrząsł znowu z rękawa w końcu października trzy nowe romanse: *Louis Quinze*,” „*Les Mariage du père Olifus*” i „*Le maître d'armes*.” Tenże zapowiedział nowy romans: „*Mille et un Fantomes*,” a oprócz tego, romansu „*Vicomte de Bragellone*” wydał tom 1 — 14. Jeżeli w takim sto-

sunku płodności nie przestanie dalej pracować, wtedy cała sława Lopez'a de Vega, za napisanie 2000 dramatów, przepadnie.

— Pod dziwnym tytułem: „*Le diable rouge*”, ukazał się w Paryżu na r. 1850 kabalistyczny noworocznik, który zawiera w sobie tabelle działających potęg na fizyczny i moralny stan ludzi, i spis dobrych i złych duchów. Układ ma być podług Nostradamus.

— „*Journal de Francfort*”, pomimo, że jest jedyną gazetą francuską, wychodzącą w Niemczech, ma jednak tylko zwykle 1300 prenumerat.

— W r. 1836 rozpoczęło dzieło Alcya d'Orbigny: „*Voyage de l'Amérique méridionale*”, z wyjściem 90go poszytu ukończone zostało. Dzieło to składa się z 620 arkuszy tekstu, w 7 tomach, i zawiera 415 rycin i 18 kart. Kosztuje 1200 franków.

— Nowa powieść George Sand'a, pod tyt.: „*François-le-Champ*”, ma się już pod prasą znajdować. Toż samo ma być z powieścią: „*Un caprice de grande dame*”, przez Foudras'a.

— Romans Juliusza Sandeau: „*Un Héritage*”, do którego dodano powieść: „*Karl Henry*”, wyszedł w dwóch tomach.

— Zachwalony węgierski romans bar. Cötvös: *Notaryusz wiejski*, wyszedł także w tłumaczeniu angielskim.

— Pseudonym PP. jest w obecnym czasie najznakomitszym duńskim romansopisarzem. Jego dwie powieści: „*Peter Tordenskiold*”, i „*Niels Juel*” były z wielką chciwością w całej Skandynawii czytane. Od czasu Jugemanna, żaden autor nie miał tam tak wielkiego powodzenia.

— Ostatniej tragedyi Oehlenschlaegera: „*Kiartan og Gudrun*”, wyszło w ciągu roku trzy wydania. Oehlenschlaeger jest teraz tóm dla Danii, czém Szyller i Goethe dla Niemiec.

— Tłumaczem na język angielski najnowszego dzieła Alex. Humboldta: „*Ansichten der Natur*”, jest pani Sabine, ta sama, która Kosmos przetłumaczyła.

— Edwarda Bulwera Lytton, ukazał się świeżo nowy romans, pod tytułem: „*The Caxtons. A Family Picture*”, 3 vols. Ten romans drukował się od dawnych czasów bezimiennie rozdziałami w Blakwood'a Edynburskim Magazynie, i ztądto pochodzi, że nie zwrócił prawie żadnej uwagi na siebie. Teraz, gdy dzieło to już jest ukończone, i autor jest wiadomy, rzucono się ze wszech stron do czytania. Czegoto nazwisko nie może dokazać!

— John Macgregor, znany statystyk i członek parlamentu angielskiego, napisał nowe dzieło, pod tyt.: *The Austrian Empire and Hungary, including a preliminary view of the several states of Europe, in the year 1848.*

— Od czasu ukazania się Berghausa sławnego atlasu, geografia fizyczna znalazła wielu pracowników w Anglii. I tak: niedawno ukazało się nowe wydanie Somervill'a: „Physical Geography” w dwóch częściach; Johnstone, wydawca atlasu Berghausa w języku angielskim, wydał go teraz w zinniejszym wymiarze (we 24 kartach) po cenie funt. st. 2. 12 6.; dalej sławny niemiecki geograf August Petermann, tylko co ukończył fizyczny atlas w 15 kartach, kosztujący 1 gwin. Do szkolnego użycia wykończył C. Hughes mały fizyczny atlas, po cenie 1 szyl., a Gover, podobnyż za 2 szyl. 6 d.

— Sławna autorka Fryderyka Bremer, znajduje się obecnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie z wydawcą Putnam układa się o wydanie nowego romansu.

— U Putnama w New-Yorku ukaże się wkrótce 2gi tom dzieła: „Flora of North America”, wydawane przez dwóch najświetniejszych botaników Stanów Zjednoczonych: prof. John Torrey i prof. Asa Gray. Pierwszy tom, który pod względem naukowego obrobienia, może służyć za dzieło źródłowe (Standard work) amerykańskiej Flory, odznacza się oprócz tego zewnętrzną ozdobnością, tak, że pod względem druku i papięru, nie ustępuje najpiękniejszym wydaniom dzieł tego rodzaju w Europie. Szczególniej kolorowanie rycin zwraca uwagę. Cena wyszłego tomu jest 6 dolarów.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Pan Segurier po obejrzeniu różnych linii telegrafów elektrycznych w Anglii, stosownie do poleconej mu missyi, zdał następny raport, o różnych apparatach, używanych do przesyłania znaków. Anglicy przekonali się, że przed wszelkimi urządzeniami na stacyach telegrafów galwanicznych, zasługują na pierwszeństwo proste igiełki magnetyczne, poddane na działanie strumieni, krążących po drutach telegrafu, łączących dwie przyległe stacye. Najlepszy zaś stos galwaniczny, składać się winien z wielkiej liczby elementów miedzianych i amalgamowanych cynkowych, zanurzonych w kąpieli z delikatnego piasku lekko zwilgoconego, wodą zakwaszoną kwasem siarczanym. Jako środek na odosobnienie drutów, wiodących elektryczność wtedy, gdy są zanurzone w wodzie lub ziemi. używać należy gutta percha, a prostych naczyń glinianych polewanych, gdy druty są zawieszane w powietrzu wzdłuż kolei żelaznej (*L'Institut*, no. 815).

* Następne są wypadki kilku doświadczeń, wykonanych przez p. Despretz w przedmiocie działania ciał ciepłych i zimnych na igłę magnesową. Trzymając rękę w odległości kilku cali od dzwonu szklanego, pokrywającego czuły galwanometr, po kilku minutach dostrzedz można na igle zboczenie, wynoszące 5°, 10°, a nawet 20°. Zboczenie jest jeszcze większe, gdy działamy na igły magnesowe bez drutu multiplikatora. W żaden sposób nie można było wywołać zboczenia w igle magnesowej, z pewnej odległości przez kurczenie i wyprostowywanie ręki.

Śledząc przyczynę tego zjawiska, Despretz poznał, że jedyną przyczyną jego jest ciepłik promienisty ręki. Stoczek palący się, przymocowany do tafli szklanej, węgle rozżarzone, ułożone na tafelce, mocniejsze od działania ręki objawiają skutki. Tafla kwadratowa rozpalona do tego sto-

pnia, że na termomultiplikatorze okazywała zboczenie podobne do zboczenia przez rękę objawionego; będąc trzymaną w bliskości galwanometru, także same jak ręka sprawiła zboczenie w położeniu igły. Lód w temp. 0° także okazuje zmianę w położeniu igły. Umieszczając między ręką a dzwonem, pokrywającym galwanometr, dwa arkusze papieru lub taflę szklaną, działanie ręki znacznie się osłabia. Podobny skutek okazuje pokrycie arkuszem ołowiu dzwonu z téj strony, która ku ręce jest zwróconą. Z tych doświadczeń wyprowadzić można wniosek, jak starannie potrzeba unikać trzymania w pobliżu galwanometru podczas obserwacji wszelkich ciał ciepłych lub zimnych. (*L'Institut no. 817*).

* Pod dyrekcją p. Kupfer, urządzone zostało w Petersburgu centralne fizyczne obserwatoryum, które już rozpoczęło swe prace. Celem tego ważnego zakładu jest umieszczenie stosowne instrumentów, potrzebnych do doświadczeń fizycznych, wymagających i znacznych nakładów, i wielu warunków zabezpieczających dokładność mających się wykonywać obserwacji. Drugim zaś przeznaczeniem tego centralnego zakładu, ma być zaopatrywanie w aparata dokładnej budowy różnych obserwatoryj fizycznych, rozrzuconych w obrębie cesarstwa. (*L'Institut, no. 818*). S. P.

CHEMIA.

P. Chevreul czytał w Akademii umiejętności paryzkiej swoje spostrzeżenia, tyżące się działania wywieranego przez światło na farbę zwaną błękitem pruskim, w próżni. Wypadki téj pracy są takowe: że pod wpływem słońca, błękit pruski w próżni, traci swą barwę błękitną, bo pozbywa się sinnika a i kwasu sinowego wodorodnego; że odzyskuje swój błękit natychmiast, po zetknięciu z gazem kwasorodnym zupełnie suchym; że przy tém powtorném zafarbowaniu, tworzy się pewna ilość niedokwasu ostatniego żelaza, odpowiadająca ilości żelaza, które pozbyło się sinnika. Powyższy niedokwas ostatni rozpuścić można w kwasie solnym; że wytłumaczyć należy w przyszłości, dlaczego błękit pruski utwierdzony na bawełnie i jedwabiu, może być odfarbowany utracając swój sinnik lub kwas sinowy wodorodny, a napowrót zafarbowany za przystępem kwasorodu, i to aż do pięciu razy, bez widocznego uszczerbku w kolorze, i bez udzielenia wtedy widocznej ilości niedokwasu ostatniego żelaza kwasowi solnemu. (*L'Institut z 19 Septembre 1849*).

* O użyciu w połączeniu octanów zasadowych ołowiu i kwasu 2 siarkowego przy wyrabianiu i czyszczeniu cukru, przez Dra Scoffern. Dr. S. udzielił towarzystwu brytańskiemu następnych w tym przedmiocie

wiadomości. Nasamprzód zastanowił się nad przypadkami wstrzymującymi częstokroć przedsiębiorców cukrowni; zapewnia on, że ilość rzeczywista cukru czystego białego i krystalicznego, znajdującego się w soku trzciny cukrowej, wynosi 17 do 23 na sto soku; zaś w trzcinie jest 90 na sto; z téj jednak ilości soku otrzymują tylko średnio 60 na sto, a z niego zaś wydobywają jedynie trzecią część cukru surowego w nim zawartego, który wtedy jest brudny, chociaż powinien być biały i czysty. W osadach zamorskich (koloniach) używają do dziś dnia wapna przy otrzymywaniu cukru, które chociaż oddziela niektóre nieczystości, a inne rozkłada, uskutecznia to ze stratą dwóch trzecich cukru pierwiastkowego. Dla zapobieżenia temu, różnych chwytało się środków, to jest zamiast wapna, chciano zastosować wodan glinki, ale skutek nie odpowiedział oczekiwaniu. Octan zasadowy ołowiu, znany jest jako środek jeden z najdzielniejszych oczyszczających, nie mógł jednak być odpowiednio zastosowany, bo nie było dokładnego sposobu, do odłączenia w zupełności téj soli z soku. P. S. wyłącza ją kwasem 2gim siarkowym, a sposób jego został zastosowany w pewnej wielkiej rafinerii angielskiej. Korzyści zaś z niego mają być następujące:

1. Za pośrednictwem powyższego sposobu, z soku trzciny cukrowej lub innych soków naturalnych cukier w sobie zawierających, w całkowitości wszystek cukier otrzymać można, zamiast jednéj trzeciej, jak to dziś następuje. Oprócz tego, cukier będzie zupełnie biały bez użycia węgla z kości. Z powodu całkowitego wydzielenia nieczystości, sok nie pieni się przy wrzeniu. Wreszcie całe oczyszczenie odbyć można w krótszym o trzecią część czasie.

2. Spocób powyższy w rafinerii cukru, nawet do takich cukrów surowych może być zastosowany, z których już dawniej żadnego nie ciągniono użytku, bo otrzymuje się z nich przez to tak piękny cukier, jak jest najpiękniejszy rafinowany, a w krótszym przeciągu czasu. Przy tym sposobie niepotrzebna już cedzić piany, używać krwi i wapna; a zatem postępowanie mniej od dawnego rafinowania kosztuje.

Na zarzuty, że kwas 2gi siarkowy (podkwas siarkowy) przyciąga kwasoród, a przez to przechodząc w kwas 5 siarkowy (witryol) psuje cukier; oraz że podkwas siarkowy nadaje smak i zapach nieprzyjemny cukrowi; odpowiedział p. S., okazując kawalki cukru niemające wad im zarzucanych. (*Treść z L'Institut z 3 Octobre 1849*).

* Wiadomo, że Voelker znalazł fluor w popiołach rośliny *Statice armeria*, rosnącej blisko morza i jod w sobie zawierającej; później odkrył ten pierwiastek w roślinie *Cochlearia anglica*. Dzisiaj p. M. G. Wilson

donosi, że wykrył przez liczne doświadczenia ten pierwiastek w wodach morskich. Podobno także p. Pearsall okazał, że to ciało istnieje w wodach wielu źródeł i rzek. (*Tamże w treści*).

* P. Mége zawiadomił akademią umiejętności paryżką o sposobie wydobywania cukru bez utworzenia melasu. Zamiast użycia siarkanu 2go sody (*sulfate de soude*), jak to doradza Melsens, p. Mége kropi na zimno buraki całe, lub miążgę burakową pewną ilością kwasu siarkowego (witryolu) rozcieńczonego wodą, ten zaś potem zobojętnia węglanem wapna, a dopiero przystępuje do wyciskania soku i wyparowania. W czasie tej ostatniej czynności, należy nieustannie ciecz mieszać, aby przeszkodzić zetknięciu się syropu z powierzchnią metaliczną rozgrzaną, przez co tenże nie ulegnie zepsuciu. (*L'Institut z 10 Octobre 1849*).

* *Wódka z jagód jarzębinowych.* Przy otrzymywaniu kwasu jabłkowego z niedojrzałych jagód jarzębinowych, przekonano się, że sok z nich tak jak sok wyciśnięty z winogron, sam przez się w zwyczajnej temperaturze przechodzi w fermentację. Robota ta wyfermentowana, po przepędzeniu jej i stężeniu powtórnie przepędzaniem witki, wydała wyskok czysty, z trudnością od wódki pędzonej z wiśni odróżnić się dający. Zapewne jarzębina musi zawierać znaczną ilość cukru, kiedy ilość wódki (50° areometru stustopniowego mającej) wynosiła 4 na sto objętości użytego soku.

Przy końcu przepędzania powtórnego wódki, przechodziła ciecz mleczna. Po kilku dniach okazała się na niej pewna ilość błyszczących kryształków stearoptenu; z powodu jednak niewielkiej ich liczby, ściślejszych z nimi doświadczeń nie robiono.

Z wyfermentowanego soku jarzębinowego, tyle można otrzymać jabłkanu wapna, co ze świeżego; widać przeto, że kwas jabłkowy przy fermentacji wyskokowej nie ulega zmianie.

Sądzę, mówi p. J. L. (*Justus Liebig*), że dodanie soku z jagód jarzębinowych do zacieru zwyczajnego ziemniaczanego, przeszkodziłoby tworzeniu się przy zafermentowaniu olejku przypalonego ziemniaczanego, bez udzielenia wywarowi własności szkodliwych; ale jagody jarzębinowe do powyższego celu zupełnie dojrzałe brane być powinny. (*Treść z pierwsza Annalen der Chemie und pharmacie. Juli 1849*).

J. B..a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Rozpoczęła się z nocą 14 grudnia, wielka obława na szczury po wszystkich drogach podziemnych Paryża. Te podkopy ciągnące się na 150 mil (lieues) w różnych kierunkach, przez lat sześćdziesiąt kosztowały miasto Paryż przeszło pięćdziesiąt kilka milionów franków.

Tak wszechstronnie umiano się wziąć do dzieła, że łowy wszelkie oczekiwania przeszły, i więcej niż 250,000 szczurów ubito. Mówią że ta liczba dojdzie do 600,000. Zarząd miejski ma nadzieję, że cztery razy na rok wyptaszania ponawiając, uwolni Paryż od tych rabowniczych gości.

Liczne rotty kloaczników używały różnych sposobów dla dostania tych zwierząt. Nojskuteczniejszém się okazało użycie wielkich worków skórzanych, w które zakładano po funcie baraniego łoju, rzeczy nader ponętnéj dla szczurów. Dowcipny mechanizm tych worków pozwalał wejścia do nich, a tamował wyjście. Te nowego rodzaju zasadzki pomieszczano w rogach ulic, i umiejętném kołataniem, wpędzano szczury do worka.

Najwięcej ich wyptoszono na placach i ulicach przyległych Sekwanie. Rynki, pobrzeża małej rzeczki Bièvre, ulica Paskala, przedmieście Saint-Marceau niezmierne plony łowcom przyniosły.

W tej liczbie 250,000 ubitych szczurów, okazało się tylko około 600 czarnych, zwanych *angielskiemi*. Kloacznicy wybrali z nich dwie sztuki, które mają oddać do Ogrodu roślin, jako przedmiot ciekawości.

Od wierzchołka ogona do końca mordki, dwa te szczury angielskie, mają 51 centymetrów długości. Oczy ich są czerwone jak u białych myszy; sierść tak czarna i lśniąca, jak barwa na kapeluszu jedwabnym, a tak wielka żarłoczność, że dwa w przeciągu dziesięciu minut ze szczętem porzariły pięknego szarego szczura Norweskiego.

Na wysepce pustoszycieli (île des Ravageurs), która jest na Sekwanie, wszystkie te szczury poduszono i poodzierano. Czynność ta nie odbyła się bez niebezpieczeństwa.

Mówią, że dwóch fabrykantów rękawiczek z Grenoble mają kłopot z naczelnikiem rôt kloaczników paryzkich: przerazili się oni liezbą skór szczurzych, do których przyjęcia obowiązuje ich umowa na piśmie. Rozumieli, że ta liczba nie będzie przechodziła 100,000. Ale p. John Warton, bogaty białoskórnik londyński, nie zraża się chochy i kilkuset tysiącami skórek szczurzych, i korzystniejsze przyrzeka układy podziemnym myśliwcom. (*Journ. des Débats*, 1849 19 grudnia)

* Quatrefages, *O rodzaju Hermella*. Ci naturaliści, którzy sądzą, że pierściennice rurki zamieszkujące nie mają głowy, zmuszeni są masę powstającą z połączenia się czulków, uznawać za działą ciała występujące nad pyszczek. Autorowie ci muszą oraz szczeciny na okrywkach uważać za jedno co szczeciny nogi. P. Quatrefages innego jest zdania. Nietylko on uważa że te części ciała są odmienne, ale nawet w naturze szczecin i ich rozwijaniu się różnice postrzega. Podług niego, szczeciny do chodzenia, czyto pojedyncze czy złożone, rozwijają się w osobnym organie, który powstaje z fałdy skóry, wywróconej jak palec u rękawiczki. U podstawy tej fałdy leży, zwykle nakształt wielkiej brodawki poduszka, złożona ze skupienia substancji ziarnistej. Z této poduszki wychodzą szczeciny, zawarte z początku w pochwie, w której wolno leżą. Szczeciny zaś na okrywkach u wyszczerek (*Hermella*), wynikają zpośród gotowej tkanki, jak się zdaje, przez zgrubienie miazdry (*derma*); nie ma tu nic podobnego do pochwy. Bardzo długie korzenie ich wszędzie się raczej bezpośrednio ztykają z tkanką w której powstały. Szczeciny te odpowiadają raczej złożonym z wapna haczykom miazdry u Synaptów; i te i tamte są wyrobem skóry. W samej gromadzie pierściennic niepotrzeba długo podobności z tém szukać: okrywka u rurecznych (*Tubicolae*) jest tylko prostym wypoceniem materji urynowej, czyli wapna; rozwija się ona na końcu czulków, których położenie jest to samo co u wyszczerek. Autor uważa przeto złożoną koronę u tych ostatnich, za odpowiednią mniej lub więcej prostym okrywkom rurówek i niektórych piaskiełek. Jeżeli tedy przyjmiemy z autorem, że wszystkie szczeciny głowowe u wyszczerek tak są zlane z sobą, iż tylko ślady dawniejszej rozdzielności pozostały, otrzymamy okrywkę której budowa będzie zupełnie taka jak u niektórych pierściennic rurecznych.

Tułuw u wyszczerek składa się, według autora, z pięciu pierścieni; przyglądając się mu powierzchownie, możnaby z Savigny'm tylko 4 przyjąć. Rozstrzyga tu układ nerwowy; śledząc go od tyłu ku przodowi, znajdujemy na każdy pierścień dwa gangliony (ganglion główny i poboczny); otoż prócz ośmiu par ganglionów i miejsc ich położenia, znajdujemy jeszcze zbieg nerwów i nowe nabrzmiałości ganglionarne, z których się rozchodzą nerwowe gałęzie połyku. Podług tego co autor u innych pierściennic widział, gałęzie te rozłączają się, gdy łańcuch ganglionów odwłoka, zaczyna się w najpiérwszym pierścieniu po tym, w którym pyszczek leży. Autor sądzi że to samo i u wyszczerek przyjąć wypada; przestrzeń ograniczona lekkimi fałdami, na której leżą trójkątnego kształtu wąsiki (*cirrhés*), jest przeto prawdziwym do tułowu należącym pierścieniem, a nie przyczepką głowy.

Powszechnie przyjmujemy, że pierściennice nie mają wątroby; i autor nigdy jęj nie znalazł oddzielny, w sobie ograniczony organ składającęj. U niektórych jednak czerwiów i zwierząt miękkliwych jest także to samo; i u nich wątroba nie stanowi masy jednęj, ale się rozpościęra ponad kanałem kiszkiowym, jako mniej lub więcęj rozległa warstwa. Pomiędy zwierętami kręgowemi, okazuje coś podobnego rodzaj *Amphioxus*. Autor sądzi, że u wszystkich pierściennic w ogólności, a w szczególności u wyszczorek, jest to samo; znalazł on, że budowa kiszki, w odwłoku jest wcale insza niż w tułowie i ogonie. Kosmkowato ziarnista tkanka, ściany jęj tworząca, zdała się autorowi podobną być do tkaniny która otacza kiszkę ślepą grzbietową u węp (Aeolidia), i mieć swoje oddzielne funkcyę. Sądzi że u pierściennic taka sama zastępuje wątrobę.

U wyszczorek, a może i u wszystkich bezkręgowych zwierząt, bardzo ważną gra rolę jama ciała; ciecz ją wypełniająca, obejmuje może w części wyroby trawienia; w niej się ukazuje limfa i chyl; a jak wielkiemi są jęj wyżywiające własności, daje się widzięć już z tego, że ona ogarnia wyroby organów rodnych w stanie rudymetarnym, te zaś w krótkim czasie całkowicie się w niej rozwijają, bynajmniej się ze krwią nie stykając.

Ciecz ogólnej jamy ciała musi już mieć oddzielny dla siebie rodzaj oddychania, skuteczniający się częścią w nodze, jeśli ta opatrzona jest drgającemi rżęsami, częścią zaś, a pewnie i powszechnie, w pyszczkowych wąsach (*cirrhes buccales*). Tylko nader delikatne błony odcędzają tu ciecz od obciążonego wodą powietrza; powietrze więc mogłoby tu endosmotycznie do jamy ciała wchodzić. Wyszczorki miałyby w tym przypadku podwójną respiracyą: jednę która przez skrzelę powietrze dla krwi przynosi, drugą która w rozmaitych miejscach ciała, ciecz jego ogólnej jamy powietrzem nasycę. Rozciąga się to do wielkięj liczby pierściennic.

Różnica pomiędy krwią wenalną a arteryalną, nie daje się u wyszczorek w tak wyraźny sposób jak u wyższych kręgowych zwierząt wyznaczyć. Pomiędy układem wen a arteryj, środkują wielkie, każdego czasu otwarte połączone przestrzenie, a oprócz tego, wielkie naczynia podłużne strony dolnej, są daleko mniej ściągálnemi niżeli górnej. Z takowego rozporządzenia wynika ruch krwi niekiedy wsteczny, a przoz to krew wenalna i arteryalna nieraz mieszają się z sobą.

Pomiędy krążeniem u pierściennic, które Milne-Edwards badał, a gólwném krążeniem u wyszczorek, stanowi różnicę tylko obecność pnia środkowego, leżącego pomiędy dwoma bocznemi w górnej części ciała (*trones latéro-supérieures*). Rzeczony pień, dany tylko dla trzewiów, odznacza się swojém ku tyłowi zwróceniem; funkcyę jego będą odpowiada-

ły funkcyom naczyń trzewiowego u nalepianów (*Arenicola*); zgromadza on, podobnie jak żyła bramna (*vena portae*), krew krążącą w wątrobie, ażeby ją do głównego krążenia odnieść.

Skrzela wyszczorek nie mają dwojakiego układu naczyń: krew arterialna miesza się z wenałną w jednę jamę; ta zaś zostaje w połączeniu z pewną liczbą dzbałkowatych jamek, w których się uzupełnia sprawa oddychania. Zupełnie podobne rozporządzenie daje się widzieć u wszystkich pierścienic z wyraźnemi skrzelami. U niektórych pierścienic przenośnych, jakoto gatunków z rodz. *Spio*, u których czułki miejsce skrzeli zastępują, jedna część organu ukazuje przysposobienie zwyczajne, gdy druga, ta w której okrwawienie (*haematosi*) zachodzi, okrywa się rzęsami i przybiera budowę znamionującą organ oddychania.

Symetria w ciele, należy niezaprzeczenie do charakterystyki pierścienic, a jednak autor sądzi, że rzeczywiście nie okazano dotąd teoretycznie równego rozdzielania organów na dwie połowy ciała. Wyszczorki to potwierdzają: w całym ich odwołku dwie boczne połowy ciała, połączone są tylko pokryciem, kanałem pokarmowym, i siatką naczyń; w obu dwu końcach ciała zaciera się ta rozłączność coraz bardziej. Głową, pierściami i ogonem różnią się w ogólności daleko mniej niż środkowemi częściami ciała, od innych pierścienic.

Ze wszystkich organicznych przyrządów, układ nerwowy najwyraźniej okazuje rozdział swój na dwie połowy. On przeto ze względu na systematyczne stanowisko wyszczorek, jest bardzo ważnym: odnosi wyszczorki, tymczasowo przynajmniej, do pierścienic bokonerwnych (*pleuronères*), a oddział ten obejmuje także pierścienice rureczne, np. *Peripate* Milne-Edwardsa i *Malacobdella* Blanszarda, i wyobraża do pewnego punktu pierścienice przenośne i pijawkowate. Z tego stanowiska uważając, widać że jeszcze jednę tylko analogii, bokonerwnych z dżdżownicami brakuje, ażeby wszystkie właściwe pierścienice w jedną wielką grupę *bokonerwnych* połączyć.

Rodzaje *Hermellea*, *Peripate*, i *Malacobdella* kładzie autor, tymczasowo tylko i z pewnemi ograniczeniami, do jednej grupy z sągwami (*Nemertes*), wypławkami (*Planaria*) i innemi pierścienicami gładkimi. Zasadnicza cecha téj grupy, rozdział nerwowego układu na dwie wyraźne połowy, wyrażona jest najzupełniej u wszystkich prawdziwych bokonerwnych. Autor nie znalazł wszakże u nich ganglionów prawdziwych, kiedy trzy sąsiednie zworza, gangliony mają. U wyszczorek prócz tego, obydwa sznurki ganglionów wzdłuż całego ciała łączą się licznymi ciągami nerwów. Rodzaje *Peripate* i *Malacobdella* różnią się jeszcze od prawdziwych bokonerwnych rozporządzeniem organów rodnych; zdają

się że w rodzaju *Peripate* nogi, nie sąto nogi pierściennic. Autor wreszcie sądzi, że trzy ostatnie zworza może potrzeba będzie później złączyć w oddzielną grupę, która pomiędzy właściwe a bokonerwne pierściennice przypadnie. (*Fror. Not.* 214, z art. o wyszczorkach w *Annales des sc. nat.* na r. 1848).

* J. Budge, *O odlepce dwuocznój* (*Clepsine bioculata*) (1). Odlepki, jak wszystkie pierściennice pijawkowate, są dwoisto-płciowemi. Ich jajeczniki, sąto dwa gruszkowate ciała wielkości główki od śpilki, które mają swoje ujście do jajowodów, a te wpadają znowu w macicę, ciało czworoboczne na którego stronie dolnej, prawie pod 27 pierścieniem ciała, leży zewnętrzny otwór rodny. Za rozcięciem tego jajecznika, wychodzi rurka bardzo rozmaitej średnicy, w niektórych miejscach szeroka, w innych aż do przewężistości ścieśniona. Każdy jajecznik zdaje się mieć jedną tylko taką, rozmaicie pociętą rurkę, a w niej leżą jaja, pęcherzykiem zarodkowym i zarodkową plamką opatrzone. Wielkość jaj jest bardzo rozmaita. Nader delikatny drugiej płci otwór, leży w okolicy 25 pierścienia.

Układ nerwowy przedstawia dwa oddziały: nerwowy sznurek, i sympatyczny układ nerwowy. W obudwu oddziałach zawierają się te same pierwiastki, te same ciała ganglionarne, i pierwotne włókna nerwów. Nerwowy sznurek, wydobyty z ciała, przedstawia cienką, białą, na $\frac{1}{25}$ '' szeroką nitkę o 23 drobnych węzłkach. Nitka ta jest bardzo sprężysta i rozciągliwa: zwykle nieco pocięta. Najpierwszy węzełek, który mózgiem nazywać można, i najostatniejszy są największemi; wszystkie inne są równe sobie, $\frac{1}{20}$ '' długie; mózg więcćj niż dwa razy dłuższy, a węzełek ostatni jeszcze dłuższy, ale nie tak szeroki. Odległość węzłków od siebie, niezupełnie jest jednakowa; trzy pierwsze i trzy ostatnie leżą bliżej siebie, niżeli inne. Pierwszy węzełek odpowiada prawie 5—8 pierścieniowi; leży on przed kanałem pokarmowym, na polyku.

Z wyjątkiem pierwszego i ostatniego węzła, wszystkie inne mają zupełnie jednakową budowę: to jest, każdy składa się z sześciu ganglionarnych ciałek, dwoma rzędami za sobą, czyli trzema przy sobie leżących: dwa środkowe zawsze są nieco mniejsze od czterech innych: te ostatnie mają 0,0425'' średnicy. Przy każdym węzłku ukazują się z boku dwa nerwy, z których jeden zdaje się być w połączeniu z przednim, drugi z tylnym ganglionarnych ciał rzędem. Nigdzie nie dostrzegął autor, ażeby z ciała ganglionarnego wychodziła nitka nerwowa, co się daje widzieć

(1) Rodzaj *Clepsine*, w Monografii pijawkowatych p. Maquin-Tandon, jest pod *Glossiphonia*.

często w ganglionarnych ciałkach sympatycznego układu. Każde ganglionarne ciało ukazuje w środku jasne jądro, otoczone drobno-ziarnistą masą.

Najpierwszy, owalny węzełek, czyli mózg, ma około 0,17" długości, i składa się ze dwóch połówek, w przednim końcu półkulistych, w środku rozłączonych niegłęboką szparą; obejmuje on mnóstwo ganglionarnych ciałek: na boku, gdzie się wyraźniej widzieć dają, można ich 8 do 10 naliczyć, z czego zdawałoby się, że ten węzełek z 4 do 5 mniejszych jest złożony. Z tego pierwszego wielkiego węzła, rozchodzą się nerwy na bok; są one bardzo delikatne i do zerwania się łatwe, przez co nie można o ich liczbie być pewnym.

Na ostatnim węzélku nerwowego sznurka widać zwykle 7 do 8 przeźwistości, które wskazują że tyleż drobnych węzélków stopiło się w jeden długi węzeł. Sam sznurek nerwowy składa się ze dwóch połów, przynajmniej w części rozłączonych błoną. Widać tę błonę jakby ciemną linią po obudwu stronach i w środku nerwowego węzła. Właściwe nitki nerwowe, które się pomiędzy temi liniami objawiają, są nader delikatne; ciągną się one nieprzerwanie ponad ganglionarnemi ciałami, nie zostając w widocznym z niemi związku: nie zdają się nawet być w połączeniu z nerwami wychodzącemi z boku. Te ostatnie są nierównie grubsze, niżeli włókienka sznurka,

Włókna nerwowego sznurka ciągną się naprzód, ponad środkiem mózgu; okrywają one leżące pod sobą ciała ganglionarne, i przekraczają przedni koniec mózgu; tu kędzierzawią się, poczem zdają się zawracać czyli tworzyć zadzierygi, ale w części idą także wążutkami wiążeczkami do obudwu oczu.

Sznurek nerwowy zaczyna się przed kanałem pokarmowym, prawie na piątym pierścieniu: początek jego zwykle jest nieco pochylony ku jednej stronie; ukazuje się potem dopiero po prawej stronie kanału pokarmowego; dalej ponad trzewiami aż do smoczka, w który ostatnim węzélkiem wstępuje, a za nim przechodzi w włókna, których autor nie mógł dalej śledzić. Nerwowy sznurek w związku jest z częściami rodneimi, do których wiele dochodzi gałęzi. Gdy zwierzę jest w stanie skurczenia, nerwowy sznurek w rozmaite układa się zakręty; raz naprzykład lub kilka razy zakłada się na kanał pokarmowy. Boczne rozgałęzienia rozchodzą się na wszystkie strony, a najhojniej organa rodne zaopatrują.

Drugi oddział nerwowego układu, uważany przez autora za układ sympatyczny, nie ma już tej wielkiej mierzytelności, która nerwowy sznurek cechuje. Wprawdzie ciała ganglionarne tego układu są liczne, nadaremnie wszakże szukalibyśmy w nim stałego uporządkowania. Oprócz

tego wysyłają one włókienka nerwowe, czego nie ma nigdy przy ganglionarnych ciałach sznurka nerwowego. Włókienko takie, wychodząc z ganglionarnego ciała, z niem jest połączone, i zdaje się być niejako przedłużeniem jego. Według R. Wagnera, Robina i Biddera, jestto bardzo zwyczajném, że nerwowe włókna z obudwu końców ciała ganglionarnego wychodzą; ale autor, mimo najusilniejsze starania, nie mógł tego sprawdzić u odlepek. Nerwowe włókno układu sympatycznego jest nierównie cieńsze, niżeli sznurka nerwowego. Tę różnicę ukazali i u kręgowych zwierząt Remak, Volkmann, Bidder i inni.

Do sympatycznego układu należą: 1) bardzo mały, nieparzysty, bezpośrednio za okiem leżący ganglion, którego związku z nerwami autor nie mógł odkryć; 2) dwa większe, bezpośrednio za mózgiem leżące węzły, i 3) mnóstwo ganglionarnych ciałek rozpościerających się ponad dwoma sznurami muskularnemi które wyścielają kanał pokarmowy. Z rzeczonemi ciałkami wiąże się wiele pierwotnych włókien nerwowych, które równie naprzód jako i wtył do żołądka bieżą; bieżące wtył, zdają się przy przednim końcu pokarmowego kanału tworzyć zadziery i nazad się wracać, w części zaś łączyć się z włóknami nerwów sympatycznych. W bliskości sznurów muskularnych zdają się także połączenia z gałęziami nerwowego sznurka zachodzić. Na kanale pokarmowym i na bokach żołądka, leżą także ganglionarne ciała i połączone z niemi nerwowe włókna.

Układ naczyń złożony jest ze czterech większych sznurów i licznych, w związku z niemi zostających gałęzi. Jeden pień główny leży bezpośrednio pod warstwą mięśni skóry grzbietowej; autor go zowie naczyniem grzbietowém. Drugi towarzyszy nerwowemu sznurowi; autor go zowie naczyniem brzuszniém. Trzeci i czwarty otaczają całe ciało; leżą one po obudwu bokach, i łączą się z przodu i z tytu; autor nazywa je naczyniami bocznymi. Naczynie grzbietowe leży w środku ciała; gdy się zwierzę wyciąga, biegnie ono prosto, gdy się skurczy, ono przyjmuje zakręty odpowiednie pierścieniom. Naczynie grzbietowe zaczyna się blisko 60 pierścienia ciała, i ciągnie się aż do 28. Naczynie grzbietowe rozchodzi się niejako na dwa oddziały: tylny, od 60 do 49 pierścienia idący oddział, wysyła obfitą siatkę naczyń, która kiszki cienkie ościela i w związku jest z naczyniami bocznymi. Oddział przedni grzbietowego naczynia, ma grubsze, ściagliwsze ściany, tudzież przyrządy osobne, usługę kłap sprawujące, a które przedni oddział grzbietowego naczynia na 15 komórek rozgradzają. Każda kłapa składa się ze słupka ściagliwych włókien, który przechodzi w trzonek osadzony na wewnętrznej ścianie naczynia; kłapy te są ruchomo, przy

spokojném ułożeniu zwierzęcia, leżą one równolegle do podłużnej osi naczyń; jest ich 14; pierwsza kłapa należy do drugiej komórki. Z pierwszą i czwartą ostatniemi komórkami, łączą się inne naczyń; komórki zaś od 2 do 11 tylko z sobą się łączą. Przewięzistość pierwszej komórki łączy się z tylną częścią naczyń grzbietowego; w témże miejscu wpadają do téj komórki najpierwsze naczyń pierścieniowate kieszki cienkiej. Naczyń brzuszne w przednim i tylnym końcu rozchodzi się w gałęzie; pomiędzy końcami biegnie nie rozgałęziając się; postępuje ono za łęgiem nerwowego sznurka, tuż przylegając do niego. Górny jego koniec przyjmuje dziewięć gałęzi, z których sześć, z trzech ostatnich komórek grzbietowego naczyń wychodzące, przy sobie leżą. W okolicy 62 pierścienia ciała, naczyń brzuszne rozgałęzia się: ośm do dziewięciu gałęzi rozchodzą się na obiedwie strony, jedna zaś w tył idzie. Tamte zbiegają się przy smoczku, tworząc u ostatecznej granicy jego tyleż zadziergów. Z zadziergów wynika po jednej stronie naczyń, które się wpoprzek kieszki grubiej ciągnie, i przyjmuje gałęzie zadziergów z drugiej przybywające strony, równie jako i gałęź naczyń bocznego, ażeby się stać początkiem grzbietowego naczyń.

Naczyń boczne leżą z obudwu stron ciała; łączą się one z przodu ponad głową, równie jak i od końca tylnego, gałęziami węższymi. Oprócz tego żyłkują się wewnątrz każdego pierścienia naczyńiami poprzecznymi, których wszakże trzem pierwszym pierścieniom i ostatniemu brakuje. Oprócz tych żyłkujących się naczyń, naczyń boczne rozsyłają jeszcze gałęzie do naczyń grzbietowego: one także zaopatrują pierścieniowate naczyń kieszek; nawet naczyń brzuszne łączy się gałęzią z bocznymi.

Kulki krwi są bezbarwne, częścią okrągłe, częścią jajowate; wielkość ich na środku $\frac{1}{300}$ '' wynosi. Niekiedy zlepiają się one w gromadki, może dlatego, że są porowkowane. Najwięcej tych gromadek czyli grudek znajduje się w naczyń bocznych.

Odlepka dwuoczną żyje razem z innymi gatunkami odlepek i saszawek (*Nephetis*) na trzcinie wód stojących; mało się ona porusza; trzymana w szklanem naczyńiu z wodą, chętnie przywiera do ścian jego, ale po długim więzieniu najczęściej utrzymuje się na dnie. Ujawszy się smoczkiem, buja nieraz resztą ciała w poziomym kierunku; pływa rzadko i powoli; wyjęta z wody wkrótce osycha i staje się pozornie nieżywą, lecz chociażby i całą godzinę w stanie tym zostawała, w wodzie znów ożywa. Szuka ona wody, gdy odlepka przezroczysta (*Clepsine hyalina*) woli uschnąć, niż się dobrowolnie w pobliską wodę udać. Jeśli się jój smoczek odetnie, życia nie kończy, i przykleja

się jak przedtém, do ściany naczynia. Odlepka tak odmienia miejsce, jak pijawka: ujmuje się przednim końcem, ściąga ciało, poczem uchwyca się tylnym końcem przy smoczku, wyciąga się, ujmuje się na nowo częścią przednią, a końcem tylnym puszcza się, i ciało jak przedtém ściąga. Zwija ciało tak zupełnie, że przybiera kształt oliwki, czego w tym stopniu żadna inna pierścienica nie czyni.

Między częściami wewnętrznymi, kanał trzewiowy i pokarmowy odznaczają się wielką ruchliwością; przednia część trzewiowego kanału może się w kształcie ryjka wysunąć. Kanał pokarmowy ma własność poruszania się, nawet po odłączeniu od reszty ciała. Podobną własność okazują także pod temi samemi okolicznościami jajeczniki, lubo nierównie słabiej i krócej. Gdy ciało na dwie połowy jest rozdzielone, komórki grzbietowego naczynia pulsują jeszcze czas niejaki. Poruszenia odciętego ryjka trwają częstokroć godzinę.

Jestto zapewne skutek wielkiej ruchliwości kanału pokarmowego, że pokarm krótko tylko w nim bawi: często widać połkniętą wodę w kształcie baniek zniżającą się, nieraz nawet pokarmy z żołądka weni wracają, nżoby przez pyszczek wyrzucone zostały: ale to wszystko odbywa się tak szybko, że kanał pokarmowy prawie zawsze jest czczy, gdy kanał trzewiowy prawie zawsze jest napełniony.

Kształt żołądka i kiszki cienkiej zmienia się szybko i rozmaicie do czego się nadewszystko ruchliwość błon wyścielających przykładą. Poruszenia te sprawiają wypróżnienia się żołądka i kiszek, które jednak nie zawsze w kierunku odchodka, ale nieraz i przez pyszczek następują. Autor mniema, że na granicy żołądka i kiszki cienkiej leży kłapa, która zawartość żołądkową od zawartości kiszek odłącza; obiedwie są bardzo odmiennych własności.

Pokarm odlepki zdaje się być zwierzęcym; szuka ona przedewszystkiém różnego gatunku zatoczków (*Planorbis*), w których ślimakowatą skorupę ryjek swój zapuszcza. Przez kilka miesięcy żyć może o głodzie, ale jęj podczas lata, przynajmniej co ośm dni, wodę odmieniać potrzeba. Jaja niesie żółtawo białe, i przykleja je śluzem do brzucha, gdzie i młode się rozwijają.

Odlepka ma z pewnością zmysł widzenia; oczy jęj złożone są z przezroczystej błonki, tworzącej torebkę napełnioną barwidłem, do której nerwy i naczynia dochodzą. Ryjek, którego nerwy należą głównie do sympatycznego układu, możnaby uważać za organ dotykania lub smaku.

Odlepki do kropli wody włożone, łatwo ją opuszczają i wychodzą na suche, po którym dalsz się czołgają, i, jeśli im wilgotny pomost nie został, usychają; jakikolwiek ślad pamięci zaprowadziłby je nazad do blizkiego

elementu życia; ale téj zdają się całkiem nie mieć. Chętnie zdają się podawać ku światłu; na dotykania są czułe, skurczają się i zwijają. Żadne z ich poruszeń nie zdradza postanowionego zamiaru; najmniejsza mechaniczna przeszkoda zmienia ich drogę.

W przedmiocie oddychania odlepek tyleż jest niepewności, co względem wszystkich pijawkowatych. Tych pęcherzyków na boku, które się znajdują w rodzaju pijawki, (1) nie mógł autor znaleźć u odlepek. Ale zdania o tych organach są jeszcze w ogólności bardzo podzielone: jedni je do oddychania, drudzy do wydzielania przeznaczonemi być sądzą. Samo tylko dokładne poznanie i pewne oznaczenie układu naczyń, może to pytanie rozwiązać.

Kiszka gruba u odlepek opatrzona jest drgającą przysłużnią. Gdy zwierzę osłabnie, ustają i poruszenia rżesowe; jeśli podczas żywego ruchu rżes przy kiszce grubéj, przetnie się zwierzę, w mgnieniu oka i ruch ustaje. Drgająca przysłużnia jest tu więc nie taka jak u innych zwierząt, u których jéj rżesy, po odłączeniu od żywego zwierzęcia, długo jeszcze drgają. W tém miejscu gdzie poruszenie drgające zachodzi, nierozdzielony dotąd bieg naczynia brzuszego, rozgałęzia się, i autor wnosi że w miejscu tém odbywa się oddychanie, zresztą zdaje się mu, że cała skóra do procesu oddychania służy.

Uważanie krążenia krwi nader jest skrupowaném; u każdej żywéj odlepki łatwo można widzieć cztery do sześciu przednich komórek; tylne zakryte są barwidłem. Strumień krwi w naczyniu grzbietowém zdaje się postępować od tyłu ku przodowi: w naczyniu brzuszniém od przodu ku tyłowi. Co do naczyń bocznych, nie było przeważającego kierunku; już naprzód, już w tył postępował strumień. W części grzbietowego naczynia komórkami opatrzonéj, mierzycelny zachodzi rytm poruszeń. Podczas ściskania się jednéj komórki, graniczące z nią, przednia i tylna, rozszerzają się; przednia przyjmuje tę krew, która ze ściśnionej została wypchniętą; po chwili rozszerza się komórka tylko co ściśnięta, gdy ścisną się znowu przedtem rozszerzone. W chwili w której jedna ze czterech przednich komórek ścisną się, krew pędzona jest w rozchodzące się od niéj naczynia; gdy zaś komórki rozszerzają się, wpływa ona po części naczyniami nazad do komórek. W tych naczyniach krew płynie potem, w miarę chwilowego usposobienia połączonych z nimi komórek, już naprzód, już w tył; a ten sposób płynienia rozciąga się aż do téj rzeczonych naczyń części, która w naczynie brzuszne uchodzi. Do miejsca, w którym naczynia w łuk się zginają, pulsują one izochronicznie ze

(1) *Poches de la mucoosité* Moquin—Tandon.

ściśnieniami pomienionych komórek; w naczyniach powrotnych nie było widać pulsowania. Gdy zwierzę jest osłabione, natężenie ścisnień zmniejsza się, i obieg krwi odstępuje od normy. Pulsują także i naczynia łączące się z najostatniejszymi komórkami; równie te, które na cienkiej i grubiej kiszce, jak i te które na końcu ciała leżą. Liczba uderzeń grzbietowego naczynia, wynosi 12 do 17 na minutę.

I przednia połowa naczynia brzuszego okazuje ścisnienia; brakuje im wszakże mierzytelności. Również niemierzytelnie ściskają się naczynia boczne; krew płynie w nich bardzo szybko, daleko łatwiej jednak ustaje, niżeli w naczyniu brzuszнім. Niektóre naczynia zdają się być skłonniemi do długo trwającego rozszerzenia się, do utwarzania niejako zatok.

Znaczenie tych wszystkich naczyń wtedy się dopiéro z pewnością da określić, gdy zostanie wskazaném miejsce organów oddychania. Jeżeli się domysł autora sprawdzi, naczynie grzbietowe będzie należało do arteryalnego, brzuszne do wenalnego układu; naczynia czterech przednich komórek wypadnie porównać z aortami, zadzierni naczyń przy tylnym końcu ciała z wenami płucnemi, siedm gałęzi, od przodu do naczynia brzuszego wpadające, z wękawami, a gałęzie tylne tegoż naczynia z tętnami płucnemi. Znaczenie naczyń bocznych trudniejszóm jest jeszcze; mogłyby one może szeroko rozpostartemu układowi naczyń limfatycznych odpowiadać. (*Id.* no 216. z monografii odlepek umieszczonej w *Verhandlungen des naturhistorischen Vereines der preussischen Rheinlande und Westphalens*, na rok 1849.)

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

WARSZAWA.

69. Nowa książka do nabożeństwa dla Polek (.) przez Paulinę Krakow. Z godłem:

„Jestli kto utrapiony pomiędzy wami, niech się modli, jest kto do-
brzej myśli, niech śpiewa Panu”.

(List powszechny s. Jakóba).

12ka. Warszawa 1849. Nakładem Sennewalda, druk Ungra. Str. 309,
i rejestru karta 1 (z ryciną). Złp. 12.

70. Zwierzenia się, albo pamiętniki A. Lamartina. Tłumaczył z fran-
cuzkiego Leon Rogalski. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1849. Nakład G.
Glücksberga, druk Jaworskiego. Tom I, str. 139. II, 258. W każdym
napisów kart 2. Złp. 8.

WILNO.

71. Troje rymów Jmć Pana Innocentego Staruszkiewicza (Ant. Edw.
Odyńca). Wydał A. E. O. 16ka. Wilno. 1849. Drukiem Józefa Zawadz-
kiego. Str. 60 i rejestru karta 1.

1850.

WARSZAWA.

1. Kalendarz powszechny na rok zwyczajny 1850. Mający dni 365.
Na wzór najświetniejszych almanachów zagranicznych.... 4ka. Warsza-
wa. 1850. Nakład i druk Orgelbranda. Kart 4, str. 47 i XII. Złp. 2 gr. 10.

2. Kalendarz astronomiczno-gospodarski na rok 1850, który jest ro-
kiem zwyczajnym, mającym dni 365. Opisy roślin, rok trzynasty. 4ka.
Warszawa. (1850). Nakład i druk Jaworskiego. Str. 40 i 8. Złp. 2.
(Z tabli. roślin).

3. Kalendarz Warszawski popularno-naukowy, na rok zwyczajny
1850, mający dni 365. Rok piąty. 4ka. Warszawa. Nakład i druk
Ungra. Kart 3, str. 48 i 8. Złp. 2 gr. 10.

4. Stanisława Janickiego Kalendarz domowy i gospodarski, na rok
zwyczajny 1850, mający dni 365. Ułożony na południk i poziom warszaw-
ski. 4ka. Warszawa. Nakładem wydawcy, drukiem Jaworskiego. Str.
72 i 8. Złp. 2 gr. 10.

5. Krótki rys dziejów ludu Izraelskiego od jego początku aż do na-
szych czasów (.) (Dla Izraelitów) (.) Ułożył A. Paprocki (Nauczyciel) Szko-
ły R(abinów). 12ka. Warszawa. 1850. Drukiem S. Orgelbranda. Kart
napis. 2, str. IX i 327.

6. Mój Dziennik (.) albo pamiętniki Ludwika Filipa byłego króla
Francuzów (.) Przełożył z francuzkiego S. P. 12ka. 2 tomy. Warszawa.
1850. Nakład i druk S. Orgelbranda. Złp. 12.

7. Rafael czyli karty pisane w dwudziestym roku życia (.) przez Al.
de Lamartine. Przełożył z francuzkiego S. P. 12ka. Warszawa. 1850.
Nakład i druk S. Orgelbranda. Napisów kart 2 i str. 318. Złp. 6.

8. *Historia, literatura i krytyka. Literatura polska w rozwinięciu historycznym.* Jana Majorkiewicza. Wydanie drugie pomnożone. 8ka. Warszawa. 1850. Nakładem G. Sennewalda, druk J. Ungra. Kart napis. 2. Str. 449. Rejestru kart 2. Złp. 12.

9. *O wychowaniu dzieci pod względem lekarskim(.) czyli sposób unikania chorób dzieci, rozpoznawania ich i leczenia środkami domowymi, ze wskazaniem przypadków, w których pomoc lekarska jest koniecznie potrzebną(;) oraz historia rozwijania się płodu ludzkiego(.)* Z rycinami (1 tablica). Przez M. Studenckiego, lekarza klasy I i akuszerę w Warszawie. 12ka. Warszawa. 1850. Drukiem S. Orgelbranda. Napisu kart 2. Str. VII i 240. Złp. 6 gr. 20.

10. *Wiadomości historyczno-numizmatyczne o koronacjach obrazów Matki Boskiej w dawniej Polsce.* Podał Tymoteusz Lipiński. (Oddruk z Biblioteki Warszawskiej). 8ka. Warszawa. 1850. Drukiem St. Strąbskiego. Karta napisowa 1 i str. 36. (Z 4 tablicami medalów). Złp. 3.

WILNO.

11. *Pokojówka. Szkic obyczajowy przez Tadeusza Padalicę.* 16ka. Wilno. 1850. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 168. Złp. 4.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

J. I. Kraszewski oddał do druku typografii J. Zawadzkiego w Wilnie dalszy ciąg powieści Ostapa Bondarczuka, p. n.: *Jaroma*.

Obrazów Litewskich, nowa serya we dwóch tomach, opuściła prasę w tejże drukarni.

Księgarz Gustaw Sennewald, wydawszy nową edycją *Literatury polskiej* Jana Majorkiewicza, obecnie zaczyna druk dzieła z rękopismów pogrobowych we dwóch tomach, p. n.: „*Historia serca i rozumu*” (uczucie i wiedza). Trzy te tomy będą całością stanowić, z dodaniem czwartego (zbiór rozpraw rozmaitych) wszystkich pism, jakie zostawił tyle ceniony i zasłużony, a tak młodo zmarły Majorkiewicz.

Michał hr. Tyszkiewicz, przedsięwziął szacowne dzieło *Edwarda Raczyńskiego* o Medalach Polskich, kosztem swoim dokończyć, opuszczone w nim zabytki numizmatyczne dopełnić, i doprowadzić zbiór ten do terazniejszych czasów.

Nakładem autora, wyszedł z druku: „*Krótki rys dziejów ludu Izraelskiego od jego początku aż do naszych czasów*”, ułożony przez A. Paprockiego N. S. R. W. tym krótkim ale treściwym rysie, wystawiona jest historia tego ludu, po całej ziemi rozproszonego, tudzież obraz literatury hebrajskiej i rabinicznej wszystkich czasów.

Nakładem księgarza J. Bernsteina, zaczęły wychodzić poszytami po dwa na miesiąc: „*Zyciorysy znakomitych ludzi, wstawionych w różnych zawodach*”. Każdy poszyt w formacie wielkiej ósemki, z trzema

rycinami, zawiera trzy biografie. Poszyty 1 i 2 obejmują życiorysy: Kazimierza Brodzińskiego, Elżbiety z hr. Krasińskich Jaraczewskiej, znanéj powieścio-pisarki, Horacego Werneta, Wiktora Hugo, Bürgera, Dantego. W poszycie 3m i 4m umieszczone zostaną biografie: Ignacego Krasińskiego, Franciszka Siarczyńskiego, Stanisława Trembeckiego, Alexandra Orłowskiego słynnego malarza, Berengera, i Kernera poetę niemieckiego.

U Gosohorskiego w Wrocławiu wyszła w r. b.: Elementarna grammatyka języka greckiego. Z niem. przełożona przez Morawskiego.

W tych dniach skończy się u St. Strąbskiego druk dzieła, pod tytułem: „Prawo hipoteczne w Królestwie Polskiem, objaśnione przez Wal. Dutkiewicza, h. prof. pr. cywilnego, pomocnika naczelnego prokur. IX Dep. Rząd. Senatu”.

(Nadesłano).

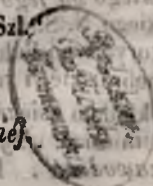
„Oddawna powzięto myśl przedrukowania szacownego dzieła ojca Jaroszewicza reformata: *Mutki świętych Polski*. Dzieło to stanowi, że tak rzec można, dalszy ciąg *Żywotów śś. Skargi*, z zastosowaniem do Polski; gdyż nie tylko zawiera żywoty naszych 18u świętych, a 44 błogosławionych, oprócz których 164 męczenników, ale i tych innych królów, rycerzy, kapłanów, matron i zakonnic, którzy się szczególną cnotą i pobożnością odznaczyli, życie dokładnie opisuje.

Żywotów śś. Skargi 5000 exemplarzy szybko rozprzedano w kraju, których połowę na Szlązku wyprzedano; ufajmy że i *Matka śś. Polska* odpowie oczekiwaniom pobożnych czytelników a prawdziwych miłośników dziejów starożytnych. Przeto rozpoczyna się w Piekarach przedruk tego dzieła, które wyjdzie w dwunastu tomach w 8ce na pięknym papierze. Cena jednego tomu po złp. 1 się stanowi, a więc całego dzieła 12 złp.; dotąd zaś płacono 30 złp. za exemplarz in folio. — Kto 60 złp (10 talarów) zapłaci z góry, otrzyma 7 exemplarzy całego dzieła. Druk się natychmiast rozpocznie, jak skoro pewna liczba prenumeraty zebrana będzie.

Wzywa się zarazem szanowne zgromadzenia duchowne, i pobożnych duchownych i świeckich rodaków, aby przysyłać raczyli do Niem. Piekar przy Bytomiu w Górnym Szlązku, pod adresem X. Kanonika *Fietzka*, opisy żywotów mężów i niewiast świętobliwych, którzy od roku 1764 szczególną cnotą w kraju naszym w różnych się odznaczyli zawodach, i w wszelkiej żyli kondycyi. Już od lat kilku przyobiecano zbierać materiały, z których się następnie wyda dalszy ciąg: *Mutki śś. Polski*, od wstąpienia na tron Stanisława Augusta aż do dziś dnia, pod tytułem: *Nowa Matka śś. Polska*. Skoro się tylko materiały zbiorą, drukować się będą poszytami bezzwłocznie, za osobném uwiadomieniem.“

Adres: „Do Redakcyi Tygodnika Katolickiego
w Niem. Piekarach,
przy Bytomiu w Gór. Szl.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



Miejsce dostawców wniezione jest 377 sztuk przędzy nad bottom, now
 1849 w roku 1841-1847. 5 na wachy
 Dostawca w Obserwatorjum
 listopad 1849

THERMOMETER
 w stopniach Celsjusza

BAROMETR
 w milimetrach sprężonego
 do 0°

Obserwatorjum

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Listopad 1849.

Czas	THERMOMETER				BAROMETR			
	0	10	20	30	0	10	20	30
0.0	0.2	0.3	0.4	0.5	760.0	760.1	760.2	760.3
0.1	0.3	0.4	0.5	0.6	760.1	760.2	760.3	760.4
0.2	0.4	0.5	0.6	0.7	760.2	760.3	760.4	760.5
0.3	0.5	0.6	0.7	0.8	760.3	760.4	760.5	760.6
0.4	0.6	0.7	0.8	0.9	760.4	760.5	760.6	760.7
0.5	0.7	0.8	0.9	1.0	760.5	760.6	760.7	760.8
0.6	0.8	0.9	1.0	1.1	760.6	760.7	760.8	760.9
0.7	0.9	1.0	1.1	1.2	760.7	760.8	760.9	761.0
0.8	1.0	1.1	1.2	1.3	760.8	760.9	761.0	761.1
0.9	1.1	1.2	1.3	1.4	760.9	761.0	761.1	761.2
1.0	1.2	1.3	1.4	1.5	761.0	761.1	761.2	761.3
1.1	1.3	1.4	1.5	1.6	761.1	761.2	761.3	761.4
1.2	1.4	1.5	1.6	1.7	761.2	761.3	761.4	761.5
1.3	1.5	1.6	1.7	1.8	761.3	761.4	761.5	761.6
1.4	1.6	1.7	1.8	1.9	761.4	761.5	761.6	761.7
1.5	1.7	1.8	1.9	2.0	761.5	761.6	761.7	761.8
1.6	1.8	1.9	2.0	2.1	761.6	761.7	761.8	761.9
1.7	1.9	2.0	2.1	2.2	761.7	761.8	761.9	762.0
1.8	2.0	2.1	2.2	2.3	761.8	761.9	762.0	762.1
1.9	2.1	2.2	2.3	2.4	761.9	762.0	762.1	762.2
2.0	2.2	2.3	2.4	2.5	762.0	762.1	762.2	762.3
2.1	2.3	2.4	2.5	2.6	762.1	762.2	762.3	762.4
2.2	2.4	2.5	2.6	2.7	762.2	762.3	762.4	762.5
2.3	2.5	2.6	2.7	2.8	762.3	762.4	762.5	762.6
2.4	2.6	2.7	2.8	2.9	762.4	762.5	762.6	762.7
2.5	2.7	2.8	2.9	3.0	762.5	762.6	762.7	762.8
2.6	2.8	2.9	3.0	3.1	762.6	762.7	762.8	762.9
2.7	2.9	3.0	3.1	3.2	762.7	762.8	762.9	763.0
2.8	3.0	3.1	3.2	3.3	762.8	762.9	763.0	763.1
2.9	3.1	3.2	3.3	3.4	762.9	763.0	763.1	763.2
3.0	3.2	3.3	3.4	3.5	763.0	763.1	763.2	763.3
3.1	3.3	3.4	3.5	3.6	763.1	763.2	763.3	763.4
3.2	3.4	3.5	3.6	3.7	763.2	763.3	763.4	763.5
3.3	3.5	3.6	3.7	3.8	763.3	763.4	763.5	763.6
3.4	3.6	3.7	3.8	3.9	763.4	763.5	763.6	763.7
3.5	3.7	3.8	3.9	4.0	763.5	763.6	763.7	763.8
3.6	3.8	3.9	4.0	4.1	763.6	763.7	763.8	763.9
3.7	3.9	4.0	4.1	4.2	763.7	763.8	763.9	764.0
3.8	4.0	4.1	4.2	4.3	763.8	763.9	764.0	764.1
3.9	4.1	4.2	4.3	4.4	763.9	764.0	764.1	764.2
4.0	4.2	4.3	4.4	4.5	764.0	764.1	764.2	764.3

Listopad 1849.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Data	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0 ^o				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	rano	god. rano	god. wlec.	god. wlec.	god. rano	god. rano	god. wlec.	god. wlec.	
1	750.61	751.07	750.44	750.51	+ 3.4	+ 5.0	+ 7.1	+ 7.2	88.5
2	750.84	750.84	749.99	749.91	6.1	9.5	8.5	7.8	95.2
3	748.37	748.25	746.60	746.15	7.9	8.8	8.4	7.8	96.0
4	744.40	744.46	742.01	741.30	3.5	5.0	9.5	10.5	95.5
5	741.27	742.54	740.80	742.52	8.3	19.5	12.9	9.0	94.5
6	743.42	744.61	745.55	747.07	+ 6.8	+ 10.9	+ 11.9	+ 10.3	96.5
7	749.19	750.15	751.93	754.53	7.5	9.0	4.9	3.3	88.5
8	756.66	758.06	756.23	758.29	3.1	3.8	5.1	5.6	89.2
9	759.38	759.60	757.64	757.10	5.2	6.7	10.6	9.6	93.7
10	755.61	755.66	753.37	753.61	8.3	9.5	9.0	8.6	95.0
11	754.22	756.85	758.46	760.65	+ 8.5	+ 7.4	+ 5.4	+ 1.4	85.5
12	757.44	756.00	753.69	752.54	2.2	5.0	8.0	5.3	92.7
13	752.60	753.26	750.37	749.86	4.8	5.5	7.9	3.9	91.5
14	750.50	751.07	750.21	748.27	4.2	6.5	3.7	0.4	91.0
15	746.02	745.77	743.80	743.40	- 0.2	3.0	3.6	2.9	99.0
16	741.34	740.83	737.37	737.32	+ 1.2	+ 1.9	+ 5.3	+ 4.9	97.7
17	740.68	743.45	744.95	747.00	+ 3.1	+ 3.7	3.7	3.0	95.7
18	748.60	750.77	751.20	751.47	2.3	3.4	4.1	2.9	94.7
19	750.11	751.35	754.39	755.58	3.1	3.1	1.8	1.4	99.0
20	753.96	754.02	752.67	750.99	- 1.1	0.5	0.7	0.1	93.2
21	749.47	750.04	750.29	750.04	0.0	+ 0.5	- 0.2	+ 0.4	96.7
22	750.03	750.83	751.27	751.15	- 0.2	+ 0.1	- 1.4	- 0.9	91.7
23	750.82	751.10	750.93	750.63	- 2.5	- 1.7	- 1.7	- 3.0	99.5
24	748.31	748.14	745.70	744.14	- 5.6	- 5.5	- 1.9	- 1.8	97.5
25	741.32	742.13	741.67	741.56	- 2.1	- 0.4	- 12.6	- 14.2	100
26	742.14	742.88	742.98	743.53	- 14.5	- 13.5	- 12.9	- 12.8	100
27	741.96	742.07	742.62	745.45	- 12.4	- 11.5	- 14.1	- 14.1	100
28	749.24	751.84	753.14	750.74	- 8.0	- 5.4	- 5.7	- 6.5	95.2
29	747.48	747.47	746.43	745.90	- 5.8	- 4.3	- 4.0	- 1.1	98
30	747.72	748.78	750.04	750.12	+ 0.1	+ 0.5	+ 0.7	+ 0.6	99
Śr. c.	748.765	749.463	748.891	749.044	+ 1.24	+ 2.42	+ 2.61	+ 1.75	94.7

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s,7 względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczy	śnie- gu
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
pr. pogod.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
mgła	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
mgła grub.	mgła grub.	pr. pogod.	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
pochmurny	pr. pogod.	pogodny	napót pog.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
pochmurny	dészcz rzad.	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Z.	0.3	
pochmurny	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	Z.	PdZ.	Z.	Z.	5.6	
pochmurny	napót pog.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	mglisty	pochmurny	pochmurny	Z.	Pd.	Z.	Z.		
dészcz	pochmurny	dészcz	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	7.4	
dészcz dr.	pochmurny	pr. pochm.	pr. pogod.	Z.	Pn.	PnW.	PnW.	2.4	
pochmurny	dészcz	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	Z.	Z.	0.5	
pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	PdZ.	Z.		
pochmurny	pochmurny	mgła	pogodny	Z.	Z.	PdZ.	Pd.		
mgła	mgła	mgła	mgła	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
mgła zr.	pogodny	napót pog.	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	-	2.8	
pochmurny	pogodny	napót pog.	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	-	1.0	
pochmurny	mgła lek.	dészcz b. dr.	dészcz b. dr.	PnZ.	Z.	PnZ.	PnZ.		
dészcz dr.	dészcz dr.	dészcz b. dr.	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	PdZ.	5.6	
pogodny	pr. pogodny	pochmurny	śnieg drob.	Pd.	PdZ.	Z.	Z.		
śnieg drob.	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg drob.	Z.	PnZ.	Z.	Z.	2.4	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	0.3	
mgła	mgła	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	-		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PnW.	PnW.	PnW.		
pochmurny	pochmurny	śnieg pr.	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		
śnieg	śnieg	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Z.	-	4.8	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg padał	Pd.	Pd.	PdW.	Pn.		
śnieg	pochmurny	krupy	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.	8.0	
pochmurny	śnieg pr.	mgła grub.	dészcz dr.	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.	3.2	
Śr. c.								25.6	18.7

Średnia wysokość barometru miesięczna	749.042	27	8.048
Najwyżej dochodził — d. 11 o g. 10 w.	760.65	28	1.193
Najniżej — — d. 16 o g. 10 w.	737.32	27	2.851
Średnia zmiana dzienna barometru	3.57		1.58
Największa zmiana dzienna barometru d. 27—28	10.52		4.66
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	750.505	27	8.696
Średnia temperatura listopada wynosi: + 2 ^o .00 C.	+ 1 ^o .60	R.	
i ta jest wyższa o	0.62	„	0.49 „
od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	+ 1.38	„	1.11 „
Największe ciepło dochodziło d. 5 o g. 4 w.	+ 12.9	„	+ 10.3 „
Najmniejsze d. 26 o g. 6 r.	— 14.5	„	— 11.6 „
(Termometrograf wskazał: Maximum: + 12. ^o R. d. 5 wieczór. Minimum: — 12. ^o R. d. 26 z rana.			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.61	„	2.09 „
Największa zmiana dzienna d. 24—25 o g. 4 w.	10.7	„	8.6 „

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 94,7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 4,81 gramów pary wodnej na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 1; napół pogodnych 5; pochmurnych 24.

— deszczu 10 (d. 6, 7, 10, 11, 12, 16, 17, 18, 19, 30).

— śniegu 8 (d. 20, 21, 23, 26, 27, 28, 29, 30).

— mgły 12 (d. 2, 3, 4, 9, 13, 14, 15, 16, 18, 21, 22, 30).

Wody z deszczu spadło milim. 25,6 czyli 11,34 linij paryz., z śniegu 18,7 milim. czyli 8,28 lin.; razem 44,30 milim. czyli 19,62 lin., to jest o $\frac{1}{4}$ więcej jak w stanie normalnym.

Listopad r. b. był wilgotny, mglisty, niepogodny, o pół stopnia R. cieplejszy, jak zwykle. Pierwsza połowa miesiąca była znacznie ciepła; przeciwnie druga zimna, a w szczególności 10 dni ostatnie mroźne. Deszcze i śniegi często i obficie padały. Wilgotność powietrza jest o 5 setnych większa, jak zwykle. Dzień 5 był tak pogodny i ciepły, jak w lecie. Najcieplejsze dni były: d. 5. 6. 7. 9. 10. Najzimniejsze d. 26. 27. 28. W nocy z d. 26 na 27 śnieg spadł blisko na 10 cali wysoko. Wichrów nie było. Wiatr silny 1. PnW. Wiatr panujący był Zachodni, częste były także Potudniowe.

D. 27. Nad słońcem zachodzącym wznosił się słup świetny.

D. 5. Plamy na słońcu uważano.

KOŚCIÓŁ S^{go} ANDRZEJA I KANONICZKI

W WARSZAWIE.

PRZEZ

J. B.

Od autora.

Rok 1849 będzie wspomniany wiecznie w kronikach Warszawy, bo w murach naszego starożytnego grodu zaszedł niedawno wypadek, jaki zwykle stanowi epokę dla dziejów każdego miasta. Dnia 4 listopada poświęcony był w Warszawie nowy kościół, pod imieniem św. Karola Boromeusza. Nie ta jednakże okoliczność, że nowy kościół stanął w murach naszych (bo ludzie pobożni budowali i budować będą świątynie Bogu), stanowi epokę dla Warszawy; wypadkiem ważnym dla naszego miasta jest, że nowy ten kościół został parafialnym. Dotąd przez lat 75, to jest przez trzy ćwierci wieku, Warszawa do rzędu swoich parafij liczyła i parafią św. Andrzeja. Nabożeństwo już wprowadzie od roku 1818 odbywało się u Reformatorów, ale imię zostało. Dzisiaj nawet imię ustąpić musi. Od dzisiaj znika parafia św. Andrzeja, a poczyna życie parafia św. Karola. Mały więc kościół, który dziś posiadają Kanoniczki, fundowany przez Potockiego prymasa, w krótkim swoim życiu tyle już doświadczył, tyle przeżył kolei, jak żaden z kościołów Warszawy, i może już liczyć to życie swoje na epoki. Siedziba Jezuitów, po kassacie zakonu chociaż szczupły i młody, został parafialnym kościołem dla zasług Karola Wyrwicza. Ale nie cieszył się długo tym zaszczytem, i zachowu-

jąc tylko swoje imię dla parafii, innemu kościołowi ustąpił pierwszeństwa, a sam został siedzibą dla nowych znajomych, bo otworzył podwoje swoich murów dla zgromadzenia zakonnego dam świeckich, t. j. dla Kanoniczek.

Nam się zdało rzeczą sprawiedliwą, w chwili kiedy zgasła najcenniejsza ozdoba kościoła św. Andrzeja, opowiedzieć dzieje téj budowy, dzieje ciekawe i zajmujące: bo przy kościele św. Andrzeja płaczą się i wspomnienia potężnych kiedyś ludzi w Rzeczypospolitej, i pamiątka kilku pisarzy naszych i całego zakonu, i jedynéj u nas kapituły Kanoniczek. W niniejszej zatem opowieści, spostrzegliśmy, że potrzeba nam aż trzy oznaczyć przedziały:

W *piérszym* opowiemy o fundacyi kościoła, o prymasie Potockim, i o Jezuitach, którzy tutaj mieli swoje *Collegium Nobillium*.

W *drugiej* części opowiemy dzieje parafii i proboszczów, na których czele Wyrwicz, i położymy życiorysy proboszczów.

W *trzeciej* opiszemy koleje, jakie przebyło u nas zgromadzenie Kanoniczek, osadowione najprzód na Marywillu, a potem u św. Andrzeja.

Zresztą praca ta nasza oddawna już zapowiedzianą była.

5 grudnia, 1849 r.

CZĘŚĆ PIÉRSZA.

Za czasów Augusta II, w początkach jego panowania, Warszawa nie budowała się w kościoły. Lat trzydzieści przeszło upłynęło wpośród wojen zaciętych, prowadzonych to ze Szwedami, to z rozmaitemi stronniectwami w kraju, i taki stan rzeczy naturalnie nie sprzyjał rozwinięciu się wewnętrznego życia. Z konfederacją tarnogrodzką i sejmem niemym, nastąpiła chwilowa spokojność, która jednakże pozorną była, bo stronniectwa wciąż się gotowały do nowego boju, który ze śmiercią Augusta miał wybuchnąć. Jednakże, jakkolwiekbydź, Rplita nie słyszała już szczyku broni i mogła odpocząć po napaściach szwedzkich, po zdzierstwach wojsk niemieckich, które król-elektor sprowadził dla obrony swojej z Saxonii.

Wtenczas to zapewne powziął myśl wybudowania kościoła nowego Jezuitom w Warszawie książę Teodor Potocki bisk. warmiński, a potem arcybiskup gniezn. i prymas. Myśl ta nie była postanowieniem jednéj chwili. Potocki zapewne żywił ją oddawna w sercu, bo kochał Jezuitów, był człowiekiem pobożnym, szczérym, otwartym, wypełniał ściśle obowiązki swojego biskupiego urzędu, a szukał wszędzie czci Bożéj; i Opatrzność dozwoliła, żeby się wzniosł do najwyższych dostojęństw

w kościele polskim. Opatrzność dała mu bogactwa, świetne imię, udzielne księztwa i znakomite znaczenie w Rplitej. Opatrzność chroniła go starannie wpośród burz, które miotaly krajem, a które niejedną sławę pokryły hańbą, niejedną wielkość przyemiły. Miał więc za co dziękować Opatrzności Teodor Potocki. Chciał złożyć jej hołd powinnego serca, i postanowił wznieść nowy kościół w stolicy.

Ale zwyczajem swojego czasu, Potocki znowu zabardzo kochał Jezuitów. Byłato słabość powszechna podówczas: im więcej naród oddalał się od swoich zasad tolerancyi, które z mlekiem macierzyńskim wysał z piersi, tém więcej przywiązywał się do Jezuitów. Panowie polscy patrzali na zakon Lojoli jako na gniazdo, z którego wychodzili na świat wieley ludzie serca, nauki i wiary. W zakonie Jezuickim widzieli wszystkie cnoty, wszystkie zalety—samo nawet zbawienie. Widzieli, jak szli Jezuici pomiędzy dzikie narody Ameryki i Azyi opowiadać wiarę, i ginąć śmiercią męczeńską; widzieli, jak pisali dzieła pełne cytacyj z pisma św. i z Ojców kościoła, dzieła ciężkie od erudycyi, nauki, mądrości, a to na zbiecie błędów i fałszów, jakie niewiara rzuciła na świat. W Jezuitach widzieli poświęcenie się, zapal, natchnienie i ogień. Stawiali więc im kościoły, kollegia; budowali klasztory, oddawali im w zarząd sumienia swoje, wychowanie dzieci własnych powierzali ich staranności i pracy. Nie można o tę dziwną namiętność oskarżać dawnych przodków naszych; powiedzieliśmy, że miłość ta, byłato choroba czasu, i niejednen bez zeznania własnego ulegał wpływowi téj choroby, tego zapomnienia się na wszystko.

Teodor Potocki kochał może jeszcze więcej Jezuitów, jak społeczeńsi mu panowie. Nietylko jak obywatel, ale kochał on ich jeszcze jak biskup. Na jego dworze pełno zawsze było synów Lojoli. Bez nich żyć nie mógł. Wylany szczeropolską gościnnością dla wszystkich, dla Jezuitów wylałby wszystką krew ze swojego serca. Marzył całe życie swoje o pobożnych fundacyach dla tego zgromadzenia. Chciał im kościoły wznosić, uposażać kollegia; ale długo wojna, zamieszania wewnętrzne w kraju nie pozwoliły mu zamiarów pobożnych przyprowadzić do skutku. Mając na myśli cześć Bożą, zapragnął w Warszawie wznieść kościół, i oddać go przeważnemu zakonowi; chciał tém zadosyć uczynić wewnętrznym serca zachceniom, tojest wdzięczności ku Stwórcy i przywiązaniu ku Jezuitom.

Stał wprawdzie już jeden kościół Jezuicki w Warszawie, na Starém Mieście, obok kollegiaty św. Jana. Zakonnicy Lojoli mieli już tam i *domum professam*, mieli i szkoły dosyć licznie uczęszczane przez młodzież świecką, a chciwą nauki. Mimo to jednak, Potocki postanowił wznieść drugi kościół dla tego zakonu nie w samém mieście, a za wałami, w pu-

stój zupełnie stronie za Senatorską ulicą, na placu, który leżał za Samsnowskim gruntem i za budowlami Hier. Petrykowskiego stolnika rożańskiego, wprost gmachów i klitek, wzniesionych kiedyś przez M. Kazimiérę, i ztąd nazwanych jednóm imieniem Marywillu. Miał zapewne myśl Potocki, żeby wybudowaniem w tój stronie kościoła, przyczynić się do ozdobienia tój części przedmieść stolicy, i do ułatwienia mieszkańcom tamtych okolic wszelkich posług religijnych.

Warszawa właściwie miała wtenczas trzy parafie, które z miasta i na przedmieścia szeroko się rozciągały. Miała kilka, kilkanaście jurydyk, które choć porozrzucane w różnych stronach za wałami, przecież zabudowane były i miały ludność dosyć znaczną. Tymczasem wszystkie kościoły były w samój stolicy, i prócz kościoła św. Krzyża, kościoła zakonników św. Jana Bożego i Brygidek, oraz Reformatów, przedmieścia warszawskie nie miały prawie osobnych dla siebie świątyń. Leszno i Grzybów, obszerna miasteczka, były bez kościoła. Wprawdzie wielu mieszkańców tych stron mogło chodzić do Woli na nabożeństwo; ale zawsze ubliżało to jurydykom i Warszawianom szukać kościoła aż na wsi, wtenczas, kiedy pod ich bokiem siedziała stolica ze swoim zamkiem, z kolegiatą, z kopułami tylu kościołów świeckich i zakonnych. Potocki niezawodnie miał w myśli i ten cel, budując kościół za wałami Warszawy, żeby ile możności zbliżyć odległe przedmieścia do murów stolicy.

Ale kiedy zaczął fabrykę? kto stawiał Jezuitom nowy kościół?—o tém milczą podania i kroniki starój Warszawy. W archiwum miejskiém, w aktach konsystorza, możnaby zapewne znaleźć objaśnienie zagadki; ale kiedy ani jednego, ani drugich nie mamy pod ręką, musimy puścić się tylko na domysły i przypuszczenia, które może niedługa przyszłość w fakt zamieni.

Powiedzieliśmy, że Warszawa nie budowała się z początku panowania Augusta Mocnego w kościoły, i że przyczyną temu były zaburzenia krajowe. W istocie za czasów szwedzkich w Polsce, za dyktatury Karola XII a rządów Stanisława Leszczyńskiego, o budowlach ważniejszych, a zwłaszcza w stolicy, ani podobna było pomyśleć. Szwedzi wypędzali Sasów, Sasi Szwedów. Konfederaci jedni drugich goniłi przez Warszawę, a z wojskami posiłkowemi bywał nieraz w stolicy i car Piotr Alexiejewicz. Uwzięty się stronnictwa przyjazne i nieprzyjazne, swoje i cudze, żeby niszczyć pamiątki Warszawy. Pod kontrybucjami jęczało wciąż nieszczęśliwe miasto: przechody, kwaterunki, do szczętu zrujnowały mieszczań warszawskich. Zapewne nikt w tym opłakanym czasie domu sobie nawet nie wystawił na ulicy, a cóż dopiero mówić o kościele! Z upadkiem Karola XII nie skończyła się wojna domowa i wrzenie

w umysłach. Z Turcyi wypadały niesforne tłumy konfederatów, pod Kraków nawet i na Mazowsze, ocucając zadawniałe niechęci, pobudzając do nowych zapasów. Nareszcie konfederacya tarnogrodzka ostatnią była burzą, która się zakończyła osłabieniem zupełnem Rplitej. Wtedy to i po r. 1717, nie prędkiej, mógł Potocki wznosić mury swojego kościoła.

W czasie wojen szwedzkich, myśl ta mogła się dopiero w głowie biskupa urodzić, zamienić w chęć stanowczą, w zamiar niecośniony. Kiedy walka wrzała, Potocki mógł zapewne układać plany, gromadzić fundusze, wybierać miejsce dla przyszłych budowli (ile zdaje się, kościół stanął nie na własnym gruncie biskupa): mógł zatem wtedy naradzać się z Jezuitami o wybór miejsca, o potrzebny nakład, o budowniczego. Kiedy wojny kończyły się, Potocki szczerze przystąpił do dzieła. Plac kupił, materiały zgromadził; na funduszach mu nie zabrakło, bo rodzina jego była jedna z najznakomitszych i bogatszych w Polsce, i zapewne wtedy budował. Może podstawy gmachu jeszcze przed konfederacyą tarnogrodzką założył, może nawet wyniósł już mury sklepienia, może już wiązanie na dachu nad nowym kościołem zarzucił; ale kiedy zważymy, że ta budowa mogła nie trwać roku jednego, kiedy przypuścimy, że może kilka razy rozpoczynaną i przerywaną była dla okoliczności czasowych: zawsze wyjdzie na domysł nasz, że kościół dopiero po r. 1717 zaczął być dla Warszawian nową świątynią dla nabożeństwa.

Gazet nie mamy z téj epoki, a żaden pomnik historyczny, piśmienny, dotąd nie powiedział nam wszystkiego, co potrzeba o kościele ks. Jezuitów na Senatorskiej ulicy. Ztąd nie wiedzielibyśmy, ani kto nową świątynię otwierał, ani kiedy była oddana Jezuitom, ani kto poświęcał ten kościół, gdybyśmy na gazety ówczesne spuszczać się mieli. Potocki sam fundator, nikomu téj czci nie ustąpił, a ukończywszy budowlę, kazał rozrzucić rusztowanie, i ulubionemu zgromadzeniu oddał kościół dla chwały Bożej, jako hołd wdzięczności dla Stwórey.

Byłto dzień, ten dzień otwarcia kościoła, uroczystą chwilą dla mieszkańców okolic Marywillu. Już oddawna po jurydykach warszawskich, po Starém Mieście, latały powieści rozmaite o nowym kościółku. Powiadano, że bogactwo Potockich wysiliło się na nowy dla Pana przybytek, że kościół cackiem jest wewnątrz, cackiem zewnątrz. Mówiono, że z nadwyzczajną wystawnością kościelną kilku biskupów otworzy nabożeństwo w tym nowym domu Bożym. Powieści jak wszędzie, tak i tym razem miały w sobie wiele prawdy, a wiele dodatków. To jednakże wiedzieli wszyscy w Warszawie z pewnością, że Stefan Potocki brat rodzony biskupa, referendarz koronny, brat żywy udział w fundacyi, którą za rodziną uważał. On z żoną swoją Urszulą Bieganowską starościanką mosto-

wską skupował wszystkie sprzęty do zakrystyi, a nie żałował nakładu. Sam biskup kupował srebro i naczynia kościelne.

Nadchodził czas poświęcenia kościoła, kiedy jeden wypadek więcej jeszcze blasku dodał całemu obrzędowi, który przygotowywano. Umarł arcybiskup gnieźn. Stanisław Szembek; i wkrótce po nim mianowany już przez króla prymasem Ludwik Bartł. Załuski biskup pł. przeniósł się także do wieczności. Prymasem i arcybiskupem nominatem został Teodor Potocki, pod koniec r. 1722.

Nie czekając bulli na nowe dostojęństwo, dotychczasowy warmiński biskup postanowił otworzyć kościół Jezuitów. Zaprosił na tę uroczystość miejscowego biskupa Tartę, i suffragana krak. księdza Michała Kunickiego (Kunicki był także członkiem rodziny Potockich). Tartło poświęcił mury klasztoru, Potocki pierwszą w swoim kościele mszę śpiewaną odprawił, Kunicki pierwsze z ambony powiedział kazanie, a lud mnogi, panowie, szlachta, modlili się z gorącością ducha. Na czele panów znajdował się Stefan Potocki, a ksiądz prymas był szczęśliwy, wesoty, że myśl swoją przecie przyprowadził do skutku. Uroczystość była całkiem familijna (1).

Nie wiedzieliśmy także, z jakiego powodu nowój świątyni dostał się tytuł św. Andrzeja. Miałże Teodor Potocki, myśleliśmy sobie, tak mocne nabożeństwo do tego świętego patrona? Powiadają, że w pierwszym wieku ery chrześcijańskiej, ten gorliwy apostoł przedarł się przez dzicz scytyjską i sarmacką, i że stanął w ziemi oddawna słowiańskiej, nad Dnieprem, nowym ludom opowiadać wiarę Chrystusową. Miałżeby Teodor Potocki budowlą swoją chcieć oddać cześć świętemu patryarsze rodu Słowian? Na to przypuszczenie przystać nie mogliśmy. Dawni Polacy stawiając kościoły, nigdy myślą swoją nie zaglądali w tak odległą przeszłość: ich pobudki nierównie były zrozumialsze, a pobożność ich nie była tak uczoną, żeby przedwiekowe poruszała mogiły i szukała wspomnień w czasach tak znakomicie odległych. Dawni Polacy kościoły swoje stawiali na cześć tajemnic wiary i patronów narodu, na cześć świętych, których nosili imiona, na pamięć cudów których doznali, na uczczenie

(1) O dacie poświęcenia kościoła i o szczegółach, któreśmy tu podali, znaleźliśmy wiadomość nie w żadnych gazetach i rękopisach, ale tam, gdzieśmy się tej wiadomości najmniej spodziewali, to jest w kazaniu księdza Grodzickiego proboszcza św. Andrzeja, drukowaném w jego „Mowach parafialnych“, a mianém w rocznicę 73-letnią samego poświęcenia. Ale i to kazanie było bez daty. Okoliczność, że Potocki był nominatem arcybiskupem, objaśniła nam wszystko. Dnia tylko i miesiąca, oznaczyć nie możemy, a dla tej przyczyny opowiedzieć jaki Tartło poświęcał kościół wtedy.

wreszcie ojca i matki, dziada, babki, żony, dzieci albo przywiązanych krewnych. W rodzinie Potockiego jednak nie znaleźliśmy znowu objaśnienia zagadki, dlaczego kościół stanął pod imieniem św. Andrzeja. Ojciec biskupa prymasa był Paweł kasztelan kamieniecki, matką Eleonora Sołtykówna. Inni znowu nazywają jego ojca, chociaż niesłusznie, Andrzejem. Rzecz dziwna, nawet w genealogii Potockich znajduje się taka niepełność podania, taka niewiadomość. Gdyby w samej rzeczy, ojcem Teodora był Andrzej, trudność zdawałaby się całkiem usuniętą.

Tak myśleliśmy, zanim badanie bliższe przyczyn, nie oświeciło nas prawdy blaskiem. Prymas Potocki nie św. Andrzejowi stawiał kościół, a Bogu, wznosząc nowe budowle ku uczeniu męki Zbawiciela, ku podniesieniu tajemnic wiary. Kościół Jezuitów więc nazwany był imieniem św. Krzyża. Była już na Krakowskiem-Przedmieściu świątynia Misyonarzom oddana, naprzeciw prawie gmachów Kazimirowskich, stanowiąca oddzielną parafią, i znana już także pod imieniem Krzyża św. A jednak prymas Potocki swojemu kościołowi nadał ten tytuł pełen znaczenia, bo nie spodziewał się potem, że konieczność zmusi do zmiany nazwiska. Budował swój kościół dla zakonników, nie dla parafii.

Myśmy jednak, przypuszczając pierwiastkowo, że tytuł św. Andrzeja nadany był jeszcze przez założyciela, badali przyczyn, szukali powodów, robili wnioski i domysły, jakby dlatego, żeby się naocznie przekonać, ileto imaginacya umysłu lubiącego się zabawiać przeszłością, może się ludzi pozorami i zgadywać to, co nie jest, co być nigdy nie mogło. W głowie naszej uprządl się już cały systemat rozumowań, zrodziła się już powieść o przyczynach; a czas, rozpatrzenie się, przekonały wreszcie, że ten systemat rozumowań był budową na piasku, był zamkiem na lodzie. Zawsze to święta prawda, że człowiek zamiłowany w przeszłości, przez samą dla tej przeszłości miłość, może nieraz więcej się oddalić od prawdy, jak ten, co chociaż nieobeznany z nauką, podaje fakt prosto, jak go słyszał, bez żadnych rozumowań i wniosków.

Jak wyglądały te nowe zabudowania klasztorne i kościelne św. Krzyża? — także powiedzieć trudno. Zdaje się jednak, że musiały mieć niewiele różną postać od dzisiejszych gmachów panien Kanoniczek.

W lat kilkadziesiąt, musiał być takim kościołkiem, jakim go zbudował Potocki. Za drugiej swojej epoki był murowany, długi na łokci 37, szeroki na 14, z sufitem gipsowym, z kolumnami jonickimi przy ścianach. Wewnątrz miał ołtarz wielki, drewniany, pozłocisty, z obrazem Zbawiciela ukrzyżowanego. Miał i dwa ołtarze mniejsze, po bokach połączone: jeden św. Franciszka Xawerego, drugi Stanisława Kostki, zakonników Jezuickich. Dwa jeszcze mniejsze ołtarze, poświęcone były czci św. Józ-

zefa i św. Ignacego. Postawił Potocki w kościółku cztery konfesyonały i ławek kilkanaście, wszystko dębowe. Organy i dzwony sprawił; zegar zawiesił na kościele, co bił kwadranse i godziny. Ambonę żelazną umocował przy ścianie.

Obok kościoła, stanął i dom mieszkalny dla zakonników, z obudwu boków świątyni. Jak w klasztorze, ciągnęły się przez ten dom korytarze długie, a w nich celki. Był do tego obszerny dziedziniec, były w podwórzu nowe oficyny, stajnie i zabudowania gospodarskie. Dostyć placu zajął prymas Potocki na kościółek św. Krzyża. Na tym placu mogła nawet większa rozwinąć się świątynia; miał zapewne to Potocki na myśli, i albo sam możeby nowy nakład przedsiębrał, albo sądził, że następcy po nim, dziedzice albo dobroczyńcy, kościoła Jezuitom przyczynią. Wszystko jednakże zbudował gruntownie; drzwi wszędzie dębowe, okna wszędzie w olów poprawne. Kościół stanął w parafii św. Jana, wprost Marywillu, wzdłuż ulicy, która wychodząc ze Starego Miasta, zaczęła się teraz zdobić w gmachy i pałace, od czego ulicą Senatorską nazwaną została. Z drugiej strony, zaczęła się formować nowa ulica ku Nalewkom, od królewskiego pałacu na Krak. Przedmieściu idąca, a potem nazwana Bielańską przez zepsucie, na pamiątkę sławnego marszałka koronnego, surowej cnoty człowieka, który właśnie wtenczas w tej stronie Warszawy zakładał jurydykę Bielino. Nieco opodal, poza tą drugą ulicą, stał kościół Reformatów, o jakie trzysta kroków od św. Krzyża odległy. Zresztą okolica, w której Potocki postawił swoją świątynię, była zupełnie pustą, i dopiero za Augusta III zaludniać i budować się zaczęła.

Uposażenie swojej fundacyi, w dobrach ziemskich wyznaczył Teodor Potocki. Zapisał kościołowi św. Krzyża wieś dziedziczną Łazniewo, w ziemi warszawskiej, położoną o półtorą mil od stolicy. Wieś ta graniczyła na północ ze wsią Wąsami i Pilaszkowem, na wschód ze Święcicami, na południe ze Święcicami i Kopytowem, na zachód dobiegała do rzeczki Rnowa i do wsi Wilków. Po granicy Łazniewa szedł także gościniec pocztowy warszawski do Błonia. Ładna to była wioseczka; wszystko w niej było podług staropolskiego przysłowia: ryby i grzyby, mączka i łączka. Były zabudowania gospodarskie, ogrody, pańszczyzny dostyć, grunt dobry, a co największa, wioseczka blisko leżała od Warszawy i wszystkie potrzeby do stołu, do wygody w domu, łatwo było z niej opatrywać. Nie wiemy, jakie prawa przepisał Jezuitom Potocki i pod jakimi warunkamiłożył tak wielki nakład na zabudowanie kościoła, i uszczuplał podarowaniem Łazniewa dochody własne i rodziny, czyli przyszłych swoich dziedziców. Zdaje się, li tylko wyłącznie chwałę Bożą

miał na celu; a może myślał i o szkole dla okolicy Marywillu, o podaniu ręki dobroczynnej dla oświaty dzieci mieszczan téj strony Warszawy.

Zakon Jezuicki żył dla nauki i dla rozszerzania wiary. Gdzie tylko było dwóch Jezuitów, już tam szkoła i młodzież ucząca się być musiała. Zapewne więc i Jezuici u św. Krzyża od początku swojego wprowadzenia się do nowych murów, trudnić się musieli edukacją młodzieży, którą dosyłali im rodzice z przedmieść Warszawy. Kollegium na św. Jańskiej ulicy, bogato było uposażone i kwitnęło na wysoką skalę: miało już swoją przeszłość, swoje pamiątki, i swoich dobroczyńców. Młodzież do kollegium na ś-to Jańskiej ulicy uczęszczająca, należała do rodzin wyższych, znakomitszych, składała się z senatorskich dzieci: tam więc szkoły musiały być wyższe, i nauki wykładane staranniej i z większym dowcipem. Kościółek św. Krzyża maleńki był; nie mógł zapewne rościć sobie praw dumnych, żeby przywoził oświacie stolicy, a nawet przedmieść Warszawy. Ztémwszystkiém nie była to missya czasowa, nie był to kościółek na chwilę stawiany, na chwilę oddany Jezuitom, żeby o uczeniu pomyśleć nie mieli. Do szkoły u św. Krzyża, z kollegium staro-miejskiego nie szły jednak rozkazy. Professorów nie przysyłano tutaj z domu professorów ze św. Jańskiej ulicy. Potocki swój kościół włączył do prowincyi koronnej, a kollegium w staréj Warszawie należało do Litwy; koronnemi zatem Jezuitami klasztor obsadził i dobrał professorów polskich. Nie ma wątpliwości, że miał w myśli fundacyą swoją rozwinąć, jakieśmy to już uważali: bo inaczej, po cóż szerokie za kościołem skupował place? Mogła téż i fundacya zwrócić na siebie oczy dobroczyńców. W Polsce nie jeden zakład miłosierdzia albo oświaty, stawał składką mimowolną, przyłożeniem się obywateli, co grosz własny chętnie poświęcali dla dobra ogólnego. Jednakże z początku szkoła u św. Krzyża z samego przeznaczenia swojego, była szkołą podrzędną, była wstępem, otworem do kursów wyższych, które się wykladały w kollegium staréj Warszawy.

Panowie polscy dlatego tak wiele zakładali kościołów Jezuitom, że uczony ten zakon poświęcał się przedewszystkiém pracom około wychowania dzieci. Teodor Potocki musiał mieć toż samo na względzie.

Jako arcybiskup gnieźn. od r. 1722 wysokie w Rplitéj zajmował stanowisko. Ile tylko razy król wyjeżdżał do Saxonii, Potocki tyle razy zastępował go w godności i rządzie. Był wtedy najznakomitszą osobą w kraju ojczystym, już nie jako senator, ale jako i władca losów narodu. Prawdziwie był patriarchą wśród szlachty. Łowicz pod niebytność króla był stolicą Polski. Zjeżdżali się tam do arcybiskupa senatorowie, panowie utytułowani i bez tytułów, magnaci z Korony i z Litwy, z Rusi

ze Żmudzi, z Prus i z nad granic węgierskich. Jak królowi oddawali swoje cześć, jak królowi mówili o stanie swoich prowincyj, o szlachcie, o sejmikach, o kłótniach. Czasami powiadali mu o swoich tajemnicach rodzinnych, o postanowieniu dzieci, o ślubach i małżeństwie, o nowém kupnie majątku, o spadkach i dziedzictwie. Rzekłbyś, że to członki jednej rodziny spowiadają się głowie własnej o najtajemniejszych swoich pomyśleniach, o najdroższych uczuciach, o biciu serca. Słuchał wszystkich książe prymas z wrodzoną sobie słodyczą charakteru i uprzejmością, i jak prawdziwa głowa ogromnej rodziny, brał spófundział w powszechnej radości, w uczuciach braci. Jeździł często zaproszony w okolicę, ho spieszyli się wszyscy na wścigi mieć drogiego w domu gościa, mieć pierwszego senatora Rplitęj pod rodzinnym dachem, u domowego ogniska. Teodor Potocki był panem polskim w całym znaczeniu tego wyrazu. Tu więc książe arcybiskup dawał ślub, tam błogosławił nowo-wzrastające pokolenie, tam kościół święcił, tam znowu celebrował nabożeństwo na odpuszcie. Cisnęło się wszędzie po drodze do nóg jego ubóstwo. Potocki wspierał radą i datkiem, wśród głodu żywił biedaków, a o wdowach, sierotach i młodych dziewczicach bez posagu, pamiętał. Nazywano go też ojcem ubogich, a panowie ciągle jeździli do Łowicza, a czasem do Skierniewic, żeby się księciu przypatrzeć, żeby się z nim dosyć nagadać.

Zjeżdżał czasem prymas i do Warszawy. Miał w stolicy pałac wspaniały, wprost pałacu krakowskich biskupów. Ale Teodor Potocki nie lubił wystawności i zbytków: zgodny, cichy, skromny, skromnemi jaśniał cnotami; wolał zatém na ustroniu mieszkać, jak w książeńcem pałacu, wolał bawić wśród zakonników, z którymi mógł się namodlić, jak otaczać się służbą dworną, a do niczego. W Łowiczu i w Skierniewicach, w pałacu prymasowskim w Warszawie, trzymał dwór świetny; ale dla imienia, dlatego, że to przystało pierwszemu panu i obywatelowi w Rplitęj. Wolał jednakże Jezuitów swoich, jak liberyą i służbę z galonami.

Ztąd, budując Jezuitom kościół św. Krzyża w Warszawie, miał na myśli i własną wygodę. W klasztorze wystawił kilka celtek, jedynie dla własnego użytku. Ile razy przyjeżdżał do Warszawy jako prymas, jako książe, ile razy jechał do króla albo na sejm, stawał w prymasowskim pałacu; ale kiedy do stolicy zawitał jako prywatny człowiek, wolał zajrzeć do Jezuitów i tu mieszkać w swoich celkach. Bywały nieraz przykłady, że dwór odesłał do pałacu, a sam stawał u św. Krzyża. Tu, pobożności i modlitwie oddany, mógł chwalić Boga; pewny, że mu nikt nie przeszkodzi w świętych praktykach. Miał kościół pod bokiem, miał zakonników, których lubił, miał mszę na każde zawołanie, miał towarzystwo

bogobojne, spokojne, ciche i skromne. Ztąd też ile razy wypadło mu być w Warszawie podczas postu wielkiego, rekolekcyje zwykle u św. Krzyża odbywał. Tutaj przyjmował gości, tutaj jałmużnę rozsypywał pomiędzy ubóstwo. I stało się tak, że kościół św. Krzyża Jezuicki był prawdziwie domowym, kochanym Teodora Potockiego kościołem, był mieszkaniem doczesnym, z którego ze łzami w oczach spoglądał na niebo i modlił się za ziemię rodzinną, za króla Augusta, za drugiego króla wygnanieca, który gdzieś aż tam w Lotaryngii pędził dni niewesołe; modlił się za rodzinę własną, za siebie, za wszystkich.

Miał u siebie w Łowiczu księżę kilka razy króla w przejeździe, miał gości pełno i w Warszawie. Nie przykładem Radziejowskiego, który umyślnie wicherzył, nie Stanisława Szembeka wzorem, który dynastyi niemieckiej służył wiernie aż do końca swojego życia, księżę Teodor Potocki nie należał do żadnego stronnictwa. Tylko interes kraju ojczystego miał na celu; wiązał się zatem ze wszystkimi magnatami Polski, wiązał się jednak najwięcej w tymże czasie z Józefem Potockim kij. Wdą, człowiekiem co wielką już rolę odegrał, a gotował się do nowych wypadków w przyszłości. Patrząc na prymasa i wojewodę, powiedzić było można, że to jedna dusza, jedno serce. Ciągłe z sobą, ile się tylko razy widzieli, czyto w Warszawie w pałacu prymasowskim, czy u św. Krzyża, czy w Łowiczu, w Skierniewicach, Swarzędziu, czy w Krotoszynie, obadwaj ciągle naradzali się i o sprawach Rplitej i o sprawach rodziny. Obadwaj byli Potoccy, i choć daleko ród jeden wiódł od drugiego, zawsze nazywali się braćmi: bo synami byli jednego szczepu, jednego imienia. Ileż ciekawych rzeczy mogłyby nam o tych rozinowach powiedzić celki Jezuickie św. Krzyża, gdyby mówić umiały!

Budując jednak i ozdabiając kościół Jezuicki prowincyi koronnej w Warszawie, księżę nie zapominał i innych nakładów, które za swoje powinność uważał. Że powiemy tylko o stolicy: pałac swój prymasowski zaczął naprawiać, do starych gmachów nowe wlał życie, powiększył znacznie ten pałac i postanowił w nim wybudować kaplicę. Niemałych starań, niemałych pieniędzy kosztowało to przedsięwzięcie. Robota nie trwała także rok jeden. Ale już wtedy stał kościół św. Krzyża, i miał księżę pewne schronienie, z robotą zatem nie spieszył. Nareszcie i gmach prymasowski nowo odbudowany, stanął na dawnych popiołach i nowym życiem tchnęła nowa kaplica.

Odbywał właśnie księżę prymas podróż z wojewodą kijowskim po Wielkopolsce (1731), zaproszony od Macieja Koźmińskiego kasztelana kal. do Swarzędzia. Przed kilką miesiącami zaręczył u siebie w Warszawie, zapewne w celi Jezuickiej, kasztelana z córką Potockich rodu,

Teressą, wojewodzianką czerniechowską. Na Zielone Świątki dawał im ślub sam w kollegiacie łowickiej, a teraz właśnie wyjechał na przenosiny do państwa-młodych. Włókł się za nimi cały orszak panów i szlachty w tej podróży po Wielkiej Polsce. Książę musiał zrobić więcej drogi, jak myślał; ciągle zapraszany to tu, to owdzie, zbaczać musiał do wsi i miast, żeby brać udział w rodzinnych uroczystościach wielkiej szlacheckiej rodziny. Ledwie powrócił do Łowicza, ztąd wybierał się do Warszawy, zobaczyć nową swoją kaplicę. Były i inne powody, co go przyciągały do stolicy. Powiadano wtedy w Koronie i Litwie o dwóch wielkiej wagi wypadkach, które chociaż nie obchodziły Rplitej, obchodziły naród, a zatem pośrednio i kraj cały. Po hetmanie polnym litewskim została się bogata wdowa, ostatniego Sieniawskiego córka, pani, co w swojej osobie skupiła kilka rodzin znakomitych a już wygasłych majątek, i młode dziecko, córka, bogata posagiem macierzyńskim i ojcowskim. O rękę wdowy i sieroty ubiegało się wielu panów polskich; i nie dziw, uposażenie Denhoffowy i Denhoffówny mogło nawet udziałnemu herzogowi niemieckiemu służyć za piękny majątek. Nad wszystkich w umyśle wdowy przeżył książę August Alexander Czartoryski, generał gwardyi koronnej; jemu obiecała oddać serce swoje i rękę. Układy familijne zakończyły i narady względem losu córki: tu nawet łatwiej poszło. Matka, pani już własnej woli i własnych widzi mi się, mogła wybierać długo i radzić się serca; w córce nie mogło być serca, bo wtedy rodzice i familijne układy stanowiły o wszystkiém, o całej przyszłości dzieci. Stało więc na tém, żeby córkę wydać za młodego księcia Janusza Sanguszkę, który był synem Pawła marsz. nadw. lit. i Lubomirskiej, dziedziczki wielkiej ordynacyi po Ostrogskich i Zasławskich kniaziach na Wołyniu.

Książę prymas miał dawać ślub tym dwojgu nowym stadłom; z całym zatem świetnym dworem swoim zjechał z Łowicza do Warszawy, i był tak przywiązany do św. Krzyża, że nie do pałacu, a tutaj zjechał, służbę tylko odesławszy na dworzec prymasowski. Zwiedził swoją kaplicę w pałacu i był kontent, a nazajutrz po przyjeździe dawał już ślub księciu Czartoryskiemu z wdową wojewodzianą połocką. Był książę prymas tak zazdrosny o swój kościół św. Krzyża, że nie gdzieindziej, tylko tutaj u księży Jezuitów prowincyi koronnej udzielał błogosławieństwa związkowi, który wysoko podniósł znaeczenie rodziny Czartoryskich. Spieszył się w dalszą podróż, ale bywał na zabawach, i oczywiście przyjmował zaprosiny nowo poślubionych; wolał jednakże swoich zakonników, i raz obiad zjadłszy u Jezuitów, opuścił Warszawę. Było to w lipcu. W sierpniu znowu książę wrócił do stolicy i nową parę błogosławił. Wśród mszy w kościele św. Krzyża, rozpostarłszy ręce nad parą prawdziwie młodych, bo dzie-

ci, wzywał dla niej łaski niebios, a ślub tegoż wieczoru nastąpił w pałacu Błękitnym Czartoryskich, niegdyś Orzelskiej Anny, za kościołem Reformatów. Widzimy w tém dowód wysokiego przywiązania Teodora Potockiego do murów jezuickich św. Krzyża; mógł dać ślub zapewne w którym z kościołów stolicy, mógł u św. Krzyża na Krakowskiem-Przedmieściu, który także winien wiele jego szczodrobliwości; mógł u św. Jana w kollegiacie królewskiej, w godności z katedrami porównanej; mógł wreszcie u Reformatów, których kościół najbliżej leżał pałacu Błękitnego. A jednak księżę wybrał swój ustronny kościółek, i kochając go, pieszcząc, lubując się nim, chciałby, żeby wszyscy go kochali, żeby patrząc na te mury i fronton świeżo wybudowany i piękny, przypominali sobie, że w murach téj świątyni znaleźli szczęście i urzeczywistnione nadzieje.

Miał jeszcze niejednen dowód tego przywiązania od Teodora Potockiego kościół Jezuicki św. Krzyża. Kiedy musiał, kiedy go względy światowe i stosunek do króla wiązały, występował w pałacu; ale uroczystości familijne, obchody serca, wszystkie u św. Krzyża w celkach Jezuickich musiały się odbywać. W październiku tegoż roku, w którym dwa śluby o jakich wspomnieliśmy pobłogosławił, wyjechał prymas z Łowicza naprzeciw królowi wracającemu do Warszawy z Saxonii. Podejmował go znowu suto na swoim zamku, i oczywiście potem do Warszawy odprowadził, prawie nieodstępny od boku Augusta Mocnego. Mieli ten zwyczaj za czasów saskich panowie polscy, że kiedy król bawił w Warszawie, zjeżdżali się tłumnie, nawet z dworami swojemi do stolicy, i stawali po pałacach i domkach, które albo sami pobudowali po przedmieściach, albo po przodkach odziedzyczyli. Grzeczność, wychowanie, obowiązek rycerski, ściągaly ich ze wsi i z zamków feudalnych do stolicy. Cały czas kiedy bawili w Warszawie, starali się rozrywać, zająć Augusta. Z jego wyjazdem do Saxonii, i Warszawa traciła na weselości, na ludności, na zbytkach: panowie także się rozjeżdżali, każdy w swoją stronę.

Prymas Potocki nigdy téj wyrozumowanej grzeczności nie uchybił, i towarzyszył zawsze królowi swojemu. Tak było i tym razem. Stanąwszy w pałacu prymasowskim, tutaj dawał wtedy bale, obiady, tutaj przyjmował gości; ale modlił się zawsze u św. Krzyża. Woził z sobą zawsze księdza Sienińskiego, którego zrobił kanonikiem gnieźnieńskim, prałatem i jakby referendarzem, to jest sprawozdawcą przy sobie. Sienińskiego znała Warszawa; było w swoim czasie człowiek uczony, światły i dobry kaznodzieja. Kuryer Polski, ówczesna jedyna gazeta w stolicy, nazywała Sienińskiego *dignissimus ecclesiastes*. Otóż uwolniwszy się od ciężarów przyzwoitości i rządów, księżę arcybiskup często z pałacu prymasowskiego zabiegał do św. Krzyża, i modlił się tutaj na mszy jakiego

ojca Jezuity, albo słuchał kazania księdza Sienińskiego. Czasem sam ubierał się w ornaty i mszę odprawiał. A jeżeli mu zdrowie, albo może jakie przyczyny nie pozwoliły dopełnić aktu bezkrwawej ofiary, zawsze z całą gorącością ducha i z nabożeństwem dwóch, trzech mszy słuchał. Musiał mieć u św. Krzyża i tron swój arcybiskupi, a jeżeli nie, to krzesło albo klęcznik przynajmniej.

W dzień imienin swoich dnia 5 listopada 1731 roku, zaraz naza-jutrz po mianém posłuchaniu u króla, książę prymas sam mszę świętą celebrował. Piękną być musiała ta uroczystość; kapłan i naczelnik kościoła, starzec blisko już 70-letni, z natchnieniem modlił się i rozmyślał przy ołtarzu.

D. 13 listopada książę bał dawał u siebie w pałacu z powodu imienin, bał świetny, uroczysty, wspaniały; a jednak widzieliśmy, że sam dzień św. Teodora spędził na modlitwie i nabożeństwie. Byłto zapewne jeden z największych dni księcia w ciągu roku całego, a Potocki go święcił w kościele Jezuitów koronnych.

D. 29 grudnia dawał znowu książę obiad dla króla i znakomitych gości, znowu oczywiście w pałacu arcybiskupim. To było wszystko z powodu względów światowych. Ale kiedy był tyle szczęśliwy, że przyjacielowi dawnemu, prawie rodzonemu bratu, miał dawać ślub wojewodzie kijowskiemu; znowu na ten cel obrał cichy kościółek św. Krzyża. Wojewoda kijowski był także starcem niewiele młodszym od księcia prymasa. Żona jego Wiktorya z Leszczyńskich, daleka krewniaczka króla Stanisława, umarła dnia 1go maja 1732 roku, w dobrach swoich na Rusi. Wspaniały pogrzeb sprawił jej mąż wdowiec i syn Stanisław starosta halicki. Po ukończeniu jednak żałobnych obrzędów, stary wojewoda zapragnął na nowo wejść pod chorągiew hymenu. Józef Wandalin Mniszech marszał. wiel. kor. miał córkę, na [której] spoczęło oko starca wojewody. W kilka miesięcy po śmierci pierwszej żony, Józef Potocki znalazł już drugą.

Nie z wystawnością, ale jednak okazałe odbyły się te nowe zaślubiny z powodu niedawnej śmierci i żałoby. Warszawa już ucichła troszkę po długim pobycie króla, i po sławnym kampanencie, o którym w całej Europie gadano dziwaczne powieści i cudowne legendy. Ślub ten ożywił ją nieco, bo wielu panów polskich wyjechało już do siebie, a zostali zwykli mieszkańcy Warszawy. Zobaczmy, jak książę prymas kochał ten kościółek św. Krzyża, i jak starał się wiązać do niego wspomnienia i wypadki.

D. 27 października 1732 r. zjechał do Warszawy z Łowicza, z wielą krewniami, i orszakiem służby otoczony. Wyjechali przeciw niemu wo-

jewoda kijowski, i drugi Potocki Antoni Michał wojewoda bełzki. Oprócz tego, ojciec panny marszałek wiel. kor. i ksiądz Lipski, podkanclerzy koronny, także na czele orszaku. Prymas prosto pojechał do pałacu Mniszcha, a tam zabawiwszy z godzinę tylko w gronie przyjaciół, zaraz pospieszył do księży Jezuitów koronnych, i tutaj stanął w celkach swoich. Było mu po drodze wstąpić do pałacu Mniszchowskiego, ale nie po drodze do pałacu prymasowskiego; bo zwyczaj, nałóg i przywiązanie, zatrzymały go przy św. Andrzeju. Książę wioził wtedy z sobą bogate skarby dla swojego kościołka. Zaopatrzył go w sprzęt potrzebny do odprawiania nabożeństwa, posprawił ornaty, kapy, alby i stuty; kupował dawniej świeczniki i ozdoby do ołtarzów. Ale kościół św. Krzyża mało jeszcze miał srebra z jego szczodrości, i dotąd przy sprawowaniu ofiary św., Jezuici prostemi naczyniami obywać się musieli. Dawno już o tém myślał książę prymas, aby troszkę uposażyć to zakonne ubóstwo. Wstyd mu było, że w jego fundacyi, w jego kościele nie ma skarbcu i bogatych sprzętów. Teraz wioził z sobą liczne piękne i nowe ozdoby, to jest: świeczniki srebrne wielkie, pacyfikaly czyli relikwiarze i krzyż srebrny wielki. Krzyż był z trupią główką, świeczników sześć ogromnych, pacyfikał z relikwią: wszystko herbem prymasa ozdobne, inisternej roboty, wysokiej ceny. Gromadził już te srebra oddawna w Łowiczu; teraz z powodu nowej uroczystości dla swojego serca, wioził je do Warszawy na ofiarę Stwórcy i Jezuitom. Podziwiali wszyscy tę piękną i bogatą *argenteriją*: dar prawdziwie pański i książęcy. Nie pierwsza to być musiała ofiara; monstrancją, srebrne kielichy, pozlacane patyny, ornaty i inny sprzęt kościelny, książę już dawniej dla św. Krzyża zakupił, teraz tylko mnożył bogactwa, uzupełniał swoje fundacyą.

Nazajutrz po przyjeździe prymasa, zebrali się krewni i zaproszeni goście do pałacu Mniszchowskiego, a ztamtąd w karétach, każdy z ogromną kalwakatą, w porządku, który już sam był pięknością, udali się do kościoła Jezuitów koronnych. Arcybiskup srebra swoje oddał kościołowi, prosząc ojców zakonnych, aby modlili się za parę nowo-zaślubioną, za pomyślność doczesnego jej życia. Ślub sam odbył się w komnatach pałacu Mniszchowskiego, a ojca panny-młodej, tegoż samego dnia o godzinie 6tej wieczorem. Ubrano ołtarz w pokoju teścia bogato i pięknie, a gdy goście pojeżdżali się do pałacu, a panna-młoda była już stosownie przybrana w szaty weselne, książę prymas nadjechał z większym jeszcze orszakiem gości w karétach, które wysłane były naprzeciwko niego, dla oddania mu czci i poszanowania. Usiadł przed ołtarzem arcybiskup, a kiedy przystąpili do niego państwo-młodzi, połączył ich nierozzerwanym węzłem według biskupiego obrzędu. *Veni Creator* zaśpiewano na nutę

gregoryańską, i ozwała się pełna trąb, kotłów i waltorni, zgiekliwa a uroczysta kapela. Po ślubie 12 razy z dział uderzono, zaczęły się tańce, bal, maskarada, kolacya, a księżę prymas wymknął się pocichu do swojego kościołka. Dla niego na tém się uroczystość skończyła. Po-tém woj. kijow. świetnie częstował gości, bił z armat na przenosiny młodej małżonki do jego pałacu.—Bywał prymas i na innych zjazdach i uroczystościach, a kiedy za dni kilka wyjeżdżał z powrotem do Skierniewic, odprowadzali go aż pod Wolę marszałek Mniszech, państwo-młodzi i ksiądz biskup łucki podkanclerzy.

Niedługo potém umarł w Warszawie król August. Teodor Potocki zjechał do stolicy, i objął prawem mu należną najwyższą władzę. W pałacu swoim naradzał się z senatorami, ale do św. Krzyża biegł dla nabożeństwa. W dzień popielcowy (18 lutego 1733 r.) u księży Jezuitów modlił się; a przypominając sobie znikomość rzeczy ludzkich, dał sobie posypywać popiołem głowę. Znajdował się wtedy i na kazaniu Sienińskiego. Ułatwiwszy sprawy krajowe, myślał do siebie na prowincyą wyjechać na święta Wielkanocne; ale namyślił się, a raczej namówili go panowie, że został w stolicy. Biskup łucki nominat krakowski ksiądz Lipski, najwięcej może wpłynął na to postanowienie Potockiego. Jeździli téż do siebie obadwaj, a raczej Lipski prymasa przyciągał do siebie, bo wszyscy wiedzieli, że arcybiskup myśli o Leszczyńskim, a ksiądz podkanclerzy i nominat krak. cały los swój winien Augustowi Mocnemu; nie dziw, że Saxonją i Niemców pokochał. Fetował zatém prymasa, i raz wyrwawszy się od niego Potocki, w noc już późną powrócił do Jezuitów na rekolekcyę. W innym czasie, odbywałby te rekolekcyę z całą gorącością ducha; dzisiaj sprawy publiczne nie dawały mu pokoju. Siedząc w celkach swoich u św. Krzyża, zewsząd odbierał doniesienia, listy; przyjmował raporta, odpisywał panom w różne strony Korony i Litwy. Cieszył się pocziwy starzec, bo wszystkie sejmy stawały pod aktem konfederacyi i wszystkie od tronu wyłączały cudzoziemców, odzywając się jedynie za Piastem. Naród trafił w myśl prymasa, a raczej powiedzmy, prymas zasłużył na to, że dla jego cnót, dla jego przymiotów, wierzył mu naród i szedł za jego natchnieniem. Elekcyę Piasta zdawała się jedyną, wybór obcego niepodobnym. Już teraz nie szło nikomu o to kogo wybierać, a wszyscy troszczyli się i pisali do księcia, żeby przyszłego króla koniecznie zobowiązać do tego, żeby chodził w kontuszu i żupanie, żeby pomiędzy pakta konwenta umieścić ten jedyny narodu warunek. Odbierał książe listy i od elektora saskiego następcy po ojcu, który chciał przysłać ludzi swoich z Saxonii dla strzeżenia pałacu na Krakowskim-Przedmieściu. Z tego powodu, odbierając ciągle listy i odpisując, miał Teodor

Potocki często przerwę w swoim nabożeństwie, a jednak znalazł czas u Jezuitów i Bogu oddać co był powinien, i nie zawieść Rzeczypospolitej. Służyło mu ciągle zdrowie wśród tych prac mozolnych, a skończywszy rekolekcyę u Jezuitów, objeżdżał kościoły warszawskie, zacząwszy wprzód od lamentacyi u Sakramentek.

Mieszkał w pałacu wtenczas, jako w bezkrólewiu piérwszy senator i książę. Tutaj przyjmował posłów zagranicznych i występował po królewsku. Do Jezuitów biegł na dzień Wielko-piątkowy i słuchał kazania księdza Sienińskiego, kiedy ten kanonik pełnym zapamiętaniem, o męce Pańskiej rozpowiadał pobożnym.

Wiadome są prace Teodora Potockiego w czasie bezkrólewia, wiadoma usilność z jaką się starał zapewnić wybór Leszczyńskiego. Chorował nawet z wyłączenia umysłowego. Przewodniczył sejmowi konwokacyjnemu, potem elekcyi. Bywał w kościołach na różnych nabożeństwach, i słuchał często kazań Sienińskiego. Przed samą elekcyą, książę pretendent angielski pisał do niego z Rzymu, że Ojciec Św. kapelusze kardynalski przeznaczył dla niego, i chce mu go przesłać do Warszawy. Potocki odpisał do księcia York; dziękował Rzymowi za tę łaskę, oświadczając w szczerości swojej cnoty, „że ma dosyć ciężaru z prymasostwa, że chce wrówności szlacheckiej umierać, jako z niej przy wszelkiem ukontentowaniu żył“ (1). Wiadomo téż, że ogłosiwszy Leszczyńskiego królem, musiał się zaraz cofać z murów Warszawy, opuszczać nawet zamki swoje w Łowiczu i Skierniewicach. Do Gdańska ze swoim elektem usunął się prymas, a potem poświęcił się szlachetnie jako zakładnik Münnichowi. Długi czas jeszcze August III chwiał się na tronie, i Rplita uspokoić się nie mogła. Ale kiedy nadzieja utrzymania Leszczyńskiego upadła, a Francya Lotaryngią i księztwo Baru kosztem Polski nabyła, prymas powrócił do Warszawy po dwuletnim oddaleniu się, i złożył hołd nowemu królowi. Odtąd nie zaglądał już do stolicy, tęskniąc za swoim wybrańcem, i pocieszając się tylko przyjaźnią dawnego Wdy kij. a dzisiaj hetmana wielkiego w Koronie. Sposępniał książę prymas, i siedział odtąd ciągle w oddali od dworu, zajmując się dobroczynnością, i przywozzeniem dawnych planów do skutku. Budował znowu i zakładał konwikta, uposażał zakłady otwarte dla nędzy, kościoły naprawiał. Nie mamy śladów, czy świadczył jeszcze co Jezuitom kor. w Warszawie. Zdaje się, że nie lubił teraz Warszawy, że rzadko już do niej zaglądał, chyba na sejm albo dla powitania króla; ale i król także ciągle przesiadywał w Saxonii, i dopiero go do

(1) Kurjer Polski ówczesny. R. 1733, nr. 192.

Polski przypędziła wojna siedmioletnia; przeto i powód przyjazdu do Warszawy zniknął już dla prymasa, i kościołek też św. Krzyża osierociał, bo rzadziej widywał swojego dobroczyńcę.

Nareszcie i czas śmierci nastąpił. Umarł Teodor Potocki w Warszawie 13 listopada 1738 r. Nazywano go *wielkim prymasem*. I w istocie było zaszczyt i ozdoba senatu polskiego. Żył lat 75. Na łożu śmierci pamiętał przecie o Jezuitach koronnych, serce swoje u św. Krzyża pochować kazał, bo zwłoki z wielką okazałością miały być przewiezione do Gniezna.

Ze śmiercią Teodora Potockiego, zakończyła się pełna wspomnień epoka dla kościoła św. Krzyża. Następcy po nim na dostojności biskupiej, nie mieli powodu, ani myśli rozciągać opiekę zmarłego prymasa nad nowo wymurowanym kościołkiem. Jak w każdej świątyni w stolicy, kwapił się i tutaj naród na nabożeństwo. Odprawiały się tutaj msze, wotywy; Jezuici miewali kazania. Ale zniknął już człowiek, co całą wagę swojego urzędu przywiązywał do kościoła św. Krzyża. Umiérając musiał Potocki jakieś zostawić nadanie i zapisy; przed śmiercią nie mógł zapewne zapomnieć swojej świątyni, bo dzieło nie byłoby skończone. Ale jakiego były fundusze, i jakie nowe zapisy — milczy znowu kronika Warszawy.

Za Augusta III ta okolica Warszawy zaczęła się coraz więcej zaludniać. Budowały się pałace, a koło nich czepiały się dwory i dworki, które zaczęły się wyciągać w ulice, i rozsiadać po placach wokoło. Mówiliśmy już o pałacu Mniszchowskiim i Błękitnym, który własnością był Czartoryskich. Wokoło zabudowań św. Krzyża leżały prócz tego dworki i place znakomitych panów. Na Samsonowskiim gruncie budować się zaczęli jeszcze za Augusta Mocnego Petrykowscey; po nich grunta kupiła Marya Ludwika Bielińska, córka Morsztyna podskarbiego koronnego. Był tu niegdyś i opustoszały Kryszpinowski dworek. Po Bielińskich Dejblowie budowali w tych stronach, a potem na ich miejscu pałac stawiał Jabłonowski, pan na Ostrogu, generał i wojewoda rawski. Stał tutaj w okolicy, przy tym dworcu Jabłonowskich, pałac Flemmingów, leżały kamienica Witowój, grunta Diupontów. Wprost kościoła rozciągał się Marywill, o którym także mówiliśmy, i ściągał oczy wszystkich dziwną swoją strukturą, różnaitością towarów, rzeczy, osobliwości, które w sobie mieścił i pokazywał ciekawym. Z tyłu za kościołkiem św. Krzyża, wznosił się stary Daniłowiczowski pałac, teraz własność Zatuskich, a w szczególności księdza biskupa krakowskiego Stanisława Andrzeja. Cała Warszawa, cała Rplita wiedziała o nauce Zatuskich, o ich pracach dla dobra publicznego. Powiadano, że szczególniej brat młodszy referendarz koronny, chlebem tylko i sereem obywał się, żehy fundusze rodzinne,

dochód kilku opactw krajowych i francuzkich, na kupno ksiązek obracać. Biskup krakowski pałac swój Daniłowiczowski oddawał na bibliotekę, którą brat gromadził. Za Augusta III co chwila coraz nowsze skarby literackie zbierały się do tej skarbnicy przeszłości i pamiątek. Zaluscy kochali także Jezuitów; referendarz koronny dzieckiem był jeszcze, a już się pragnął zaciągnąć na służbę Bożą, pod chorągiew zakonu Lojoli. Gromadząc naukowe skarby powiadał Józef Zaluski, że odstąpi kiedyś bibliotekę na własność dla Rplitej, i że wiecznemi opiekunami swojego zakładu zrobi Jezuitów. Tak powoli, powoli, zaczęła ta strona Warszawy nie tylko się budować, ale i zakładami swoimi i pamiątkami zwracać na siebie uwagę. Stara stolica Zygmunta III wyrzała za mury, i ściśnięta w szczupłych granicach, całą swoją znakomitość i przyszłe znaczenie oddawała przedmieściom.

Reformacka ulica zaczęła się prostować, docięrać do św. Krzyża, i łączyć się z szeregiem domów, co miały utworzyć Senatorską ulicę. Bielańska także rosła dworkami, i na niej także zaczęły się ukazywać mury. Z tyłu za Daniłowiczowskim pałacem, stanął pałacyk Poniatowskich, nowój rodziny w kraju, która pchała się gwałtem do rodzin dawnych. I takim sposobem zmieniła się wkrótce postać powierzchowna Warszawy w tej stronie. Potocki kościółkiem swoim niezawodnie do tego wzrostu się przyczynił.

Dziwna jednakże to była postać. Tuż obok pałacu z bramą, z zajazdem wielkim, z herbami, obok pałacu przy którym stała straż zbrojna, pacholki, a nawet armaty, leżał mały dworek drewniany, topolami albo lipą zasłoniiony, a obok dworku grunt pusty, a za gruntem znowu dworek nędzny, starością pochylony do ziemi; i znowu plac pusty, i znowu szereg domów i drugi pałac, a potem trzeci i czwarty. Nie było tam ciągu, nie było tam ulicy. Widać, jak każdy stawiał domy i dworki, nie dla miasta, nie dla ozdoby pustych placów, a dla własnej wygody. Marywill dziko wyglądał: poszarpany i obdarty, tylko klitkami świecił. Było gmach ogromny, niby dwór gościnny w Wilnie za czasów Jagiellońskich. Wszystkiego tam dostał, wszystko tam kupił. Żydowstwo, kupcy i mieszczenie, szlachta, wszystko tam się mieściło. Od niedawnego czasu jeszcze, pani Zamojska sprowadziła do Marywillu zgromadzenie pańien Kanoniczek, niby zakonne, niby świeckie. A tak doprawdy Marywill był targiem; odbywał się w nim nieustający jarmark.

Nad taką grudą domów, dworów i pałaców, nagromadzonych bez ładu, poprzedzielanych gruntami i polkami, obrosłemi drzewem, nietworzących ulicy, a błakających się tu i owdzie, górowały dwa kościoły: Reformacki jeden, który już wiek cały liczył swojego istnienia, i nowy

Jezuitów św. Krzyża. Reformacki większy i dawniejszy, był jedynym kościołem dla nowój jurydyki, która się jeszcze za Augusta Mocnego w tamtych stronach tworzyła, a od swoich założycieli przybrała nazwisko *Wielopola*. Za Wielopolem powstawało teraz właśnie nowe miasteczko jurydyka Bielino, rozszerzając się zabudowaniami swojemi aż po Grzybów, który także na wiek już liczył swoje ubiegłe życie. Wielopole i Bielino miały najbliżej Reformatów, i do tego kościoła uczęszczali pobożni z tych dwojga jurydyk; św. Krzyż ściągał do siebie mieszkańców Marywillu i okolic rozciągających się pod samą Warszawą ku Nalewkom i ku Podwalowi. Tak Reformaci byli wtenczas jeszcze zamiejskim przedmieściowym kościołem, kiedy św. Krzyż dotykał się właśnie samej stolicy, mając się niedługo ujrzeć nawet w murach starożytnego grodu warszawskiego.

Pod koniec właśnie panowania Augusta III zaszedł wypadek, który niezawodnie miał wpływ wielki na losy kościoła św. Krzyża, i osadzonych w nim Jezuitów. Zakon Lojoli tak się rozmnożył w prowincjach Rplitej, że mu już nie wystarczał podział na dwie prowincye: koronną i litewską, a chciał jeszcze większego rozdziału. Większą z prowincyj rozłożono zatem znowu na wielkopolską i małopolską. Niewielkich zabiegów kosztowała Jezuitów ta sprawa, która naturalnie aż o Rzym się oparła. Podług nowych ustaw, kościołek i kollegium św. Krzyża należały teraz do prowincyi małopolskiej. Wielkopolskiej najwyższym rządcą zrobiony był wtenczas ksiądz Franciszek Koźmiński. Odtąd i asystent nowój prowincyi mieszkał w Rzymie, a w chwili nowego podziału był nim Franciszek Dunin rektor kaliski. Małopolskim prowincyałem został ksiądz Moszyński. Rozdział ten nastąpił r. 1756.

Że w nowój małopolskiej prowincyi najwięcej było kościołów w Mazowszu, że Mazowsze nawet w całym tym obszarze krajów Rplitej największą część zajmowało, wbrew nazwaniu urzędowemu, które Rzym przyswoił, Jezuitów małopolskich zaczęto nazywać mazowieckimi, i całą prowincyą mazowiecką. Odtąd pod innym tytułem jak dotąd, natrafiamy wzmianki w gazetach współczesnych i pismach o kościółku Jezuickim św. Krzyża. Za Potockiego czasów mówiono, że ksiądz prymas pojechał do Jezuitów prowincyi koronnej. Teraz powtarzano, że u Jezuitów mazowieckich odbyło się nabożeństwo takie i takie, sprawiono egzekwie, odśpiewano psalmy. Mówiliśmy, że podział prowincyi koronnej na dwie oddzielne, niepodległe względem siebie części, wpłynął znakomicie na los kościoła Jezuitów św. Krzyża. Tak jest niezawodnie, bo nowa prowincya zaczęła się także krzątać, aby w sławie, w znaczeniu, jeżeli nie przewyższyć, to dorównać dwom siostram. Przedtem cała Korona liczyła

wiele kollegiów, rezydencyj, missyj; teraz jedna jój połowa, powinna była zrównać dwom dawnym. Od tego zatem czasu datujemy wzniesienie się szkoły Jezuickiej u św. Krzyża na większą stopę. Jeżeli fundacya Potockiego rezydencyą tylko była, od czasu rozdziału prowincyi musiała się wynieść na kollegium. Jeżeli dotąd Jezuici koronni nie uczyli dzieci i czekali na dobroczyńców, to teraz niezawodnie otworzyli wyższe kursa nauk. Prowincya mazowiecka nie zniósłaby poniżenia pod żadnym względem, a tém bardziej pod względem głównym, dla którego stworzony został zakon. Kollegium Jezuickie więc niezawodnie w tych czasach u św. Krzyża powstało. Dotąd nie znajdujemy wzmianki o szkołach warszawskich prowincyi mazowieckiej; teraz spotykamy się kilka razy z tym nowym naukowym zakładem w stolicy rzeczypospolitej. Jezuici zaczęli więc uczyć u św. Andrzeja, a zwyczajem swoim uczyli tylko młodzież szlachecką. Ztąd nowe ich kollegium nazywało się szlacheckim, *nobilium*. Było utworzone na wzór tego, któremu Wyrwicz później w Starém Mieście przewodniczył, wbrew Konarskiemu Pijarowi, który także zakładał *Collegium Nobilium*. Edukacya zatem młodzieży warszawskiej w epoce pierwszych dni Stanisława Poniatowskiego, była zupełnie w ręku zakonników; miała trzy osobne, niezależne, oddzielne od siebie ogniska, z których dwa były Jezuickie. Ale Jezuici tego czasu nie byli już ludźmi zeszłej epoki, która jeszcze głęboką ciemnotą zatracęła. Nowe pokolenie rodziło się dla nowych czynów, a za czasów Wyrwicza już nietylko Pijarów można było obywatelami kraju nazywać. Wielka reforma Konarskiego była wypadkiem dokonany.

Z *Wiadomości Warszawskich*, pisma, które poświęcało się polityce, a wychodziło peryodycznie już w początkach panowania Stanisława Augusta, wyciągamy ciekawe bardzo szczegóły o *Collegium Nobilium* S. J. prowincyi mazowieckiej. Nie wiemy, czy poprzednio ogłaszali Jezuici przez gazety wiadomości dotyczące się szkół swoich, i odbywanych w nich egzaminów; ale pierwszą dotąd o tém wzmiankę, znajdujemy pod r. 1767. W sierpniu tegoż roku odbył się u św. Andrzeja uroczysty examen, czyli jak wyrażają się *Wiadomości Warszawskie*: „Jchmó pp. kawalerowie biorący polor in *Collegio Nobil.* pod dozorem księży Jezuitów prowincyi mazowieckiej, publiczny różnych dni dali dowód rocznego swego postępu w naukach”. Król Poniatowski, który z ochotą pokazywał się człowiekiem nader przyjaznym dla nauk, i chciał grać niby rolę mecenasa, która mu niebardzo była do twarzy, był na tym examinie u Jezuitów, zadawał pytania, wdawał się w szczegóły, jakby chciał popisać się ze swoją znajomością rzeczy, i oczarować mądrością i professorów, i kawalerów *biorących polor*. Instrukcyja wtedy już nie była tak zaniedbaną, jak za czasów

dawnych. Jezuitom już nie szło wtedy o to, ażeby z uczniów swoich robili pobożnych dewotów, i wrogów każdej nietolerancyi w kraju. Przykład Pijarów działał, i oni się też ich wzorem wzięli do praktyczniejszej pracy. Uczyli już nietylko filozofii i dysput, które zupełnie prawie wygnano z kolegiów, ale i innych nauk koniecznie potrzebnych w życiu, a których zastosowanie co dzień się spotykało. Tak np. uczniowie kollogium św. Andrzeja popisywali się przed królem z budownictwa wojennego, które miało na celu naukę, jak bronić i jak zdobywać fortece. Dalej z artyleryi i prac obozowych w polu. Pokazywali rysunki, które pod okiem nauczycieli robili, plany fortec, plany rozstawiania dział i artyleryi. Pochlebiali to królowi, który założył korpus kadetów w Warszawie, jedyną szkołę rycerską w kraju, a której utworzenia dopominała się wciąż w pałkach konwentach od królów swoich Rplita. W samej rzeczy nauka artyleryi i architektura żołnierska, krzepiły wtenczas ducha narodowego, a z młodzi dotąd zakonnice, w pobożności wychowywanéj, przysposabiała obywateli dla kraju. Widząc, że król zapala się do rysunków, które mu przedstawili, uczniowie ofiarowali je Stanisławowi, i Poniatowski z wdziękiem przyjął miły dar dla siebie. Prócz tych praktycznych nauk, popisywali się panowie kawalerowie z historyi rzymskiej, z geografii politycznej naturalnej, z prawa natury, z początków języka francuzkiego, z początków języka łacińskiego, i tłumaczenia autorów dawnych. Ostatni dzień egzaminu przypadł 10 sierpnia w poniedziałek, który był uroczystym aktem rozdania nagród „w wybornych księgach łacińskich, francuzkich, polskich, i w atlasach geograficznych, kawalerom, którzy pilności i postępu swego największe dali dowody”. Imiona ich drukowane być miały w *Wiadomościach Warszawskich*.

W tém ostatniém oświadczeniu widać jeszcze dawne nałogi Jezuitów, z których odrazu otrząsnąć się nie mogli. Czynili Jezuici dla chwały swojej, że *wyborne* rozdawali księgi, a obiecując drukować listę nagradzanych w gazetach, oddawali przez to hołd próżności szlacheckiej, i zaszczipiali dumę niepotrzebną w dzieciach. Bo wtedy imiona i nazwiska drukowano razem z tytułami. Dziecko, co miało lat 10, już i po gazetach, i po dziennikach, i w potoczném życiu nosiło tytuły: to podstolica, to starościca, to wojewodzica nawet; zdaje się nadto, że w rozdaniu samych nagród miano wtenczas więcej względów dla rodziny, jak dla pilności uczących się, którzy często pochwały i cześć odbierali nad zasługi i nad sprawiedliwość.

Ta krótka wzmianka o *Collegium Nobilium* św. Krzyża, wzięta z *Wiadomości Warszawskich*, rzuca pewne światło na stopień i na całą przeszłość téj szkoły. Niedługo żyło to kollogium. Burza nad zakonem Jo-

zuickim wznosiła się ogromna, i wtedy właśnie rozigrała się w całej si-
le; byłyto właśnie chwile, kiedy konał zakon. Ze śmiercią zgromadzenia
Lojoli rozproszyły się i kollegia ich, i akademie i szkoły. Tak więc kol-
legium u św. Krzyża, lat może najwięcej 20 liczyło swojego istnienia,
i zstąpiło potem do grobu. Gdyby nie te wzmianki w gazetach, wiadomo-
ści o nich trzebaby szukać gdzieś po szczątkach akt Jezuickich, a kto
je znajdzie i to jeszcze w naszym czasie? Kollegium św. Krzyża żadnym
sposobem rywalizować nie mogło ze starszą siostrą swoją, zamkniętą
w murach stariej Warszawy, pod kollegiatą śgo Jana; ani fundusze, ani
gmach, ani pomieszczenie klasztorne, do tego porównania się w stopniu,
nie dawały prawa Jezuitom u św. Krzyża. Mogli mieć od tyłu kościoła,
w dziedzińcu klasztornym zabudowanie szkolne; ale te zabudowania ani
tak rozległe były, żeby pomieścić klasztor i kollegium rozwinięte na wię-
kszą skalę, ani tak obszerne, żeby wielką liczbę uczniów pomieścić; sa-
mych zakonników mieściło się tutaj więcej, jakby się spodziewać mo-
żna. Widzimy też, że strojąc się w pyszny tytuł *Collegium Nobilium*, Je-
zuici utrzymywali u św. Krzyża szkołę troszkę więcej nad początkową.
Uczyli tylko początków języka francuzkiego i łacińskiego. W czasie, kie-
dy mowa dawnych Rzymian jedynym była i głównym przedmiotem
w edukacyi młodzieży polskiej, zastanawia i objaśnia wiele ten wyraz *po-
czątków*. Dalej nie widzimy wcale wykładu matematyki, która zapewne
z naukami wojennemi łączoną była. Historia tylko na rzymskiej się koń-
czyła, a o powszechniej ani słychać. Wymowy, poezyi także nie było.
Przecieżby nie opuścili tego w swoim sprawozdaniu w gazecie Jezuiti,
gdyby wykład tych nauk zaprowadzony był w ich kollegium. Że uczyli
budownictwa wojennego, przypisać to należy naśladowaniu Pijarów i du-
chowi pochlebstwa dla króla; a i tak wykład tych wiadomości powierza-
ny był zapewne w ręce świeckiego nauczyciela (1).

Kollegium zatem św. Krzyża, więcej tytułem jak rzeczą ściągalo na
siebie uwagę. Jezuiti woleli trawić czas napróżno, jak rozwijać swój
zakład, jedyny w tej stronie Warszawy. Żadne miasteczko stolicy, ani
Wielopole, ani Bielino, ani Grzybów, ani Leszno nawet, nie miały wten-
czas szkoły publicznej na wyższą skalę uorganizowanej. A przecie Poto-
cki nie bez funduszków musiał zostawić Jezuitów prowincyi koronnej
w Warszawie. Później kościół św. Krzyża zamieniony w parafią, żywił
i utrzymywał więcej wikarych, niżeli było potrzeba; a to dlatego, że obo-

(1) Zdaje się, że kollegium samo mieściło się nie u św. Krzyża, a na Starém
Mieście w kamienicy księży Jezuitów koronnych, i tam odbywały się examina.
Professorowie dochodzili z ulicy Senatorskiej, a kilku może mieszkało w kamie-
nicy. W gmachach Potockiego może mieściła się tylko szkoła początkowa.

wiązki te sprawowali Jezuiti, a pomieścić ich nie było można gdzieindziej. I za czasów trwania jeszcze kollegium, dosyć znaczna liczba księży tutaj mieszkała, a to dowodzi i znaczniejszych funduszków. Być może, opuściło się zgromadzenie, śmierć blizką przewidując.

A jednakże liczyło tyle członków, że wystarczyłoby na rozwinięcie wszystkich przedmiotów w kollegium. Rektorem był właśnie wtenczas ksiądz Tomasz Grodzicki. Prócz niego mieszkali tu Jezuiti: ksiądz Franciszek Kantembryng, Franciszek Xawery Książkiowicz, Michał Wiercieński, Augustyn Mierzejewski, Maciej Fryze, Adam Łabęcki, Wojciech Komorecki, Jan Powahl. Wszyscy w następstwie czasu użyci zostali do posług parafialnych, jako wikaryusze. Zdaje się, że tutaj do kollegium św. Krzyża należał i ksiądz Grzegorz Zacharyaszewicz, potomek ormiańskich rodziców ze Lwowa, ale tutaj w Warszawie wstawiony swoją nauką i kazaniami. Był tutaj i staruszek, ksiądz Jan Przyłuski Jezuita.

Jeżeli prócz tego zważymy, że kościół św. Krzyża nie dał się wyprzedzić żadnemu kościołowi stolicy w sprawowaniu świętych obrzędów, modlitw i uroczystości; że tutaj w skromnej świątyni księcia prymasa Potockiego, odbywały się wielkie nabożeństwa i odpusty, na których celebrowali biskupi, a zapraszani celniejsi mówcy z ambony słowo Boże głosili: łatwo przyjdziemy do tego wniosku, że skład zgromadzeń Jezuitów u św. Krzyża nie był tak szczupły, żeby i obszernemu nabożeństwu, i pracy około edukacji młodzieży wystarczyć nie mógł. Na karb zatem niedbalstwa i dobrowolnego opuszczenia się zakonu klasztoru musimy to, czego kollegium św. Krzyża nie dostawało.

Uroczystości tutejsze do murów kościoła ściągały świat wyższy. Na dorocznym nabożeństwie w dzień patryarchy zakonu (31 lipca 1767 r.) sam król był przytomny, a celebrował biskup Załuski.

Tak i 15 listopada tegoż samego 1767 r., odbyła się tutaj doroczna uroczystość św. Stanisława Kostki. Król jegomość z panami znajdować się raczył znowu na mszy świętej i słuchał kazania, które powiedział zaproszony ksiądz Reder, kaznodzieja kollegiaty św. Jana. Summę śpiewał Krzysztof Hilary Szembek książe sieluński proboszcz płocki, koadjutor biskup chełmiński.

I później już na uroczystych summach grzmiał tutaj donośny głos Zacharyaszewicza. Za rządów Młodziejowskiego na biskupstwie, zdarzała się ciągle sposobność wystąpienia ze słowem Bożem, publicznie przed wielkim pokutującym zebraniem narodu, przed orszakiem pięknie postrojonych panów, z których wielu wtedy frymarczyło sumieniem dla złota. Młodziejowski lubił Jezuitów, i pańską protekcją wspierał ich, to jest obiecywał im wiele, nie dotrzymując niczego. Nakazywał ciągle to

czterdziesto-godzinne nabożeństwo przeciw różnym plagom; to w czasie zarazy zaprowadzał nowe modlitwy, to otwierał jubileusz zwyczajny rzymski, czyli jak wtedy nazywano *miłościwe lato*. Przykładny biskup, Młodziejowski, bywał po kościołach warszawskich w czasie nadzwyczajnych wypadków, klęczał, bił się w piersi i modlił się. Pozorne znaki mogłyby zaświadczyć, że to był święty człowiek. Młodziejowski miał pewną słabość do kościoła św. Krzyża. Słabość tę odziedziczył po prymasie Potockim. Z ochotą modlił się tutaj, a Jezuitom mazowieckim oddał zupełny zarząd swojego sumienia i przyszłe zbawienie duszy. Ksiądz Tomasz Grodzicki aż do śmierci przychylnie Młodziejowskiego zachował.

W poście wielkim w roku 1771, z rozkazu Młodziejowskiego odbywała się u św. Krzyża z kolei dwutygodniowa missya. Mówił na niej z ambony Zacharyaszewicz, i słowami groźnemi wzywał do pokuty, powiadając, że czas nadszedł utrapień i męczarni. Zbiérał się tutaj lud pobożny, słuchając natchnionego kapłana, a zgryzotę w sercu do domu zanosił. Chciwy imienia młody kaznodzieja, po skończonej missyi wystarał się o pozwolenie wydrukowania tych kazań, któremi kościół św. Krzyża chciał wślawić, i szukał aż w Bobrujsku prowincyała księdza Szymona Paszkowicza. W kwietniu dał pozwolenie prowincyał, a w lecie już wydrukował u Jezuitów na Starém Mieście tom spory, do 400 stronnic, prawie z jedenastą kazaniami. Niema tam nic wielkiego, ale na czas swój, na wiek Jezuicki, jest tam zapału dosyć i język polski. Pierwszą swoją pracę dedykował Zacharyaszewicz Młodziejowskiemu, którego herby wybił na tytułowej kartce. Mile przyjął ksiądz kanclerz te pierwiastki młodego kapłana w Pańskiej winnicy. Byłato missya nakazana w post wielki, w czasie trwającej zarazy. Młodziejowski zawczasu temata kazań wyznaczył, w książce więc Zacharyaszewicza znajdował jakby wcielenie myśli własnych, jakby odpowiedź na swoje zadania.

W dwa lata potem groźna bulla wypadła ze szczytów Watykanu, zdruzgotła zgromadzenie Ignacego Łoźoli. Rozpierzchli się po całym świecie Jezuici, i albo do nowych zakonów wstąpili, albo zmieniali suknie na odzież świeckiego duchowieństwa. Piorun za jednym ciosem obalił budowę dwóch kollegiów Jezuickich warszawskich; nastąpiły nowe pokolenia i nowe czasy.

(Część druga nastąpi).



PRZYGODY MYŚLIWSKIE P. COULTER

w zachodnio-południowej Ameryce, w Kalifornii i na wyspach oceanu Spokojnego (*).

Pan Coultter jestto lekarz, należący do osady statku, na połów wielorybów udającego się: trudno jednak z ogłoszonych pamiętników powołanie jego odgadnąć. Nie troszczy się bynajmniej o zdrowie żeglarzy, i słusznie: bo ludzie należący do wyprawy w celu połowu wielorybów, naprzemian ogniem równikowym przepalani, lub lodami biegunowemi mrożeni, wcale nie są podobni do omdlewających kobiet; lekarz więc znajduje się między niemi tylko dla zadosyć uczynienia przepisom praw morskich. P. Coultter myśli jedynie jak najlepiej czas na statku przepędzić, należąc do zatrudnień osady, i jak nie uchybić żadnej hulanki, jaka się przy wysiadaniu na ląd wydarza. Wypadki przez niego opisywane, najwierniej charakter opowiadacza malują.

I. Zatoka Gwajakwilska.

Znajdujemy się na oceanie Spokojnym, między wyspami Jerzego a Chili: tam nas lekarz nielubiący długich wstępów odrazu przenosi, zaczynając opisywać podróż, przed trzema przeszło laty odbytą. Tam też od *Valparaiso* aż ku południowemu biegunowi, schroniły się wieloryby od północnego biegunu wypędzane; lecz i ten ostatni przytułek nie ochrania od pocisków baka, rozproszonych ostatków olbrzymiego zwierząt rodu. Dwa statki połowem wielorybów zatrudnione, znajdują się w bliskości:

(*) *Adventures on the Western Coast of south America and the interior of California, by John Coultter. London. 2 vol. Longman.*

opowiadacz jest na jednym z nich, zwanym *Stratford*. Pierwszy angielski, drugi amerykański. Oba współzawodniki w zupełnej są gotowości; baty przyrządzone do spuszczenia na wodę za pierwszym pojawieniem się wieloryba; wśród uroczystego milczenia, tylko szmer wałów morskich niepewnym brzmi odgłosem. Kapitan okrętu angielskiego, chcąc ludzi swoich zachęcić, obiecuje dać kurtkę i spodnie pierwszemu, który dojrzy wieloryba. W tej chwili zapal wzrasta, maszty i liny okrywają się majtkami. Kapitan amerykański zdaje się przeciwnie oszczędniejszy, to też drogo tę oszczędność opłaca.

Zaledwie widzialny punkt czarny ukazuje się na horyzoncie, wykrzyk z wierzchołka mniejszego masztu angielskiego okrętu uwiadamia, że gołe oko tabitskiego majtka wyprzedziło dalekowiedz kapitana; to w istocie ogromny wieloryb ku statkowi zmierza. Powszechny okrzyk na *Stratfordzie* się rozlega, a gdy czołna na morze spuszcza ją i ludzie z ochotą lecz w porządku do roboty gotują się, olbrzymi zwierz zbliża się, ścigany chmurą żaglową amerykańskiego statku. Nakoniec po spadnięciu z hałasem batów na wodę, po przygotowaniu ich przyrządzenia, polowanie rozpoczyna się z tym większym zajęciem dla widzów, na zatrzymanym okręcie pozostałych, że honor narodowy z chęcią zysku łączy się. Czołna amerykańskie wchodzi w zawody z wioslarzami angielskimi: to prawdziwa chwila uroczystego oczekiwania. W miarę zbliżania się żeglarzy z hakiem podniesionym, potwór morski, niby na usiłowania nieprzyjaciół niezważający, ciągnie dalej; lecz gdy spostrzeża, że rzucony dziurk jużby go mógł dosięgnąć, zanurza głowę pod wały morskie, potężnym uderzeniem ogona wodę na wszystkie strony rozpryskuje, i znika wśród spienionego zamętu.

To wszakże nie zraża łowców odważnych, bo wiedzą, że wieloryb dłużej jak przez pół godziny lub trzy kwadransy nurka dać nie może, i że często pod wodą w tym samym, co i na jej powierzchni płynie kierunku; lecz ponieważ prawidło to nie jest bez wyjątków, badają chciwie wszystkie strony widnokręgu; baty wciągają znowu na okręt, lub je za nim holują. Jakby dwa konie wyścigowe, oba okręty walczą w szybkim jedną drogą pędzie. Kapitan angielski z gorączkową niecierpliwością przebiegając pomost szańcistemi krokami, to zaleca ludziom: „każdy cal wody mieć na oku:” to znowu woła kuchmistrza, aby mu szklankę grogu podał, w nadziei, że ta ostrożność dobremu skutkowi nie zawadzi. Piana bieleje po bokach obu okrętów, z równą prędkością posuwających się. „Niech żyje stara Anglia (hourra for old England)!” Wreszcie wieloryb zdaleka ukazuje się, czarny a ogromny, jakby okręt przewrócony; łodzie lecą za nim w pogoń: Anglicy, Amerykanie, wie-

loryb, wszystko to miesza się przed okiem niespokojnych widzów. W trzech białach ludzie hakami uzbrojeni, z podniesioną czekają ręką; dwa haki razem prują powietrze, wieloryb znowu zanurza się wśród obłoku kroplistego: lecz hak w nim utkwiał, a jeden z batów wynurza się z zamglonej zasłony, ciągniony z taką szybkością, jak lokomotywa w najbystrzejszy bieg puszczona. Oficer łodzią tą dowodzący, należy do osady *Stratfordu*; powiewa nad głową czapkę, niesiony pędem niesłychanym, i wreszcie znika w dali, potrójnym okrzykiem radości zachęcany.

Lecz wieloryb raptownym wysileniem zmienia kierunek; nagle kapitan angielski błędnie, spostrzegając, że zwierz jak piorun ku okrętowi zmierza; bo łatwo przewidzieć, że pomimo ciężkiego ładunku statku, nie go nie ochroni od zgubnego uderzenia przez morski potwór. Natychmiast więc kapitan obrót rozpaczą prawie kierowany wykonywa; to też zwierz ogromny, tak blisko statku zostawia ślad krwi i piany, że żelazna rękojeść haka w ciele jego utkwionego, rysuje brzeg okrętu. Tymczasem ludzie znajdujący się na łodzi, zwiłając zwolna linę żelazcem zakończoną, zbliżają się do wieloryba; ciągle uderzenia czerwienią wokoło niego morskie fale, woda rozpryskuje się pod rzutami konającego zwierza; gdy się zanurza, łódź znowu liny przypuszcza: wtedy już ostatnia, najstraszliwsza nadchodzi walka. Wieloryb na wszystkie rzuca się strony, zamachem ogona jedną łódź na drobne roztrzaskuje części; wreszcie po tym wysileniu, po tej ostatecznej zemście, roztwiera ogromną paszczę, ciężko na bok się przewraca — i kona.

Wypadki takie, są dla statków połowem wielorybów trudniących się bardzo zwyczajne; *Stratford* zatem na nich nie poprzestaje. Jak myśliwiec, przebiegający wszystkie zakątki lasów lub dolin dla wypłoszenia zwierzyny; tak okręt ten nie zatrzymuje się w biegu wpośród gromady wysp, zachęcających do spoczynku. Od początku świata wyspy te choć zaledwie geografom znane, i jakby rzucone wśród niezmierniej przestrzeni, pomiędzy lądem stałym Ameryki a gromadą wysp Markizkich, przypominają jednak wystawne stoły dla królewskich przygotowane wygod, zachowując dla strudzonego długą podróżą majtka, ukryte wśród cienistej drzew gęstwiny jaja żółwie i różnego ptastwa, a na brzegach tysiące muszli, równie smacznych, jak obfitych. Zrazu z prawdziwą rozkoszą patrzy się na te bukiety morskich kwiatów, naprzemian ukazujące się i znikające. Lecz pomimo zapachu, jaki widok przyrodzenia o różnych dnia godzinach wzbudza, czyto gdy południowe słońce nurza w morskich falach świetne promienie, czy też, kiedy zachodząc lub wstając z obłokowego łoża, jak rozpalone a bezpromienne żelazo przy widnokręgu ginie, czy wreszcie, gdy księżyc białawym blaskiem odbija się o wód powierzchnię;

zawsze cuda te w końcu stają się dla oka jednostajnymi, i nużą widokiem bez zmian, coraz powracającym.

Na szczęście też żeglarzy, niektóre wypadki przecinają tę jednostajność. Razu jednego wśród nocy, wśród owój jasnej podzwrotnikowej nocy, kiedy w porównaniu z błękitnym przyświecaniem księżyca, nasze grudniowe słońce powstydiłoby się musiało; słycać wśród milczenia natury, jakiś odgłos niezwyčajny, jakby z głębi morza wychodzący. Żaden z żeglujących majtków odgłosu takiego nie przypomina sobie, choć każdy dobrze ze wszystkimi dźwiękami morskimi obeznany. Tylko człowiek głos taki niczém nie określony wydawać może; księżyc dopiero co zaszedł, niczego na przestrzeni wód nie widać. Czyżby to były westchnienia okrętu, co wedle podań morskich, jest tylko widziadłem *Flying Dutchman*? Wypadek zdaje się tak niezwyčajnym, że spychają bat na morze; napróżno płynąc w różnych przypadkowych kierunkach, światło zapalanych na nim pęków chrustowych, ukazuje się tu i owdzie niepewne wpośród ogromu przestrzeni, blaskiem tym nagle zaémionój. Poza tym jasnym okręgiem, dostrzedz tylko można czarne fale, a pod falami uciekające rybki, fosforycznie świecące. Nakoniec wyraźne uchwycić można westchnienie, zrazu słabe jak oddech aleyona, w wydrażeniu fali drżmiącego, potém mocniejsze, jak krzyk oddaleniem stłumiony; już nie ma wątpliwości, to ludzka istota w niebezpieczeństwie życia pomocy wzywająca. Kilkakrotne powtórzenie osłabionym głosem wyrazu: *pihi* (statek, w języku tahitskim) przekonywa o tém osadę płynącej łodzi; wreszcie znajdują roztrzaskaną łódkę, a wniej Indyanina z dzieckiem z wysp Markizkich. Ci nieszczęśliwi opuścili byli wyspę *Fetuiva* z pięcią lub sześcią innemi stątkami, gdy w tém gromada młodych wielorybów w szybkim przepływie, nie wiedząc nawet o tém, całą flotę wyrwaca, a reszka jój rozbita, błąka się już od dni czterech; tak, że cud tylko donosząc do *Stratfordu* ostatnie technienia konających żeglarzy, od pewnej ocala ich śmierci. Indyanin wraz z synem przywieziony na okręt, wysiada następnie na wyspę ojczystą, bo okręt szuka przystani dla naprawy beczek, z których wycieka olej, będący owocem tylu prac i niebezpieczeństw.

Wkrótce naczynia sporządzone, a lekarz żegna z tęsknością wyspę Bożego Narodzenia, udając się w dalszą nieskończoną pogoń wielorybów, na otwarte morze, wpośród skał podwodnych, rozlicznemi niebezpieczeństwami brzemiennych. Po upływie dni i tygodni, z wyspy Bożego Narodzenia przenosimy się do zatoki Gwajakwilskiej. Tu p. Coulter znajduje się w ulubioném położeniu, bo jest na lądzie, i opowiadanie jego zyskuje na porzuceniu morskiego języka. Próżno udaje morskie zwycza-

je; wszystko w nim zdradza miłośnika stałego lądu: a jeżeli znajdujemy go wśród łowów płynącego jeziorami lub rzekami, to czyni, jak się zdaje, by się i owszem więcej od morza oddalić. Dotąd zdaleka tylko był świadkiem walk z wielorybami, widział tylko, bez osobistego niebezpieczeństwa, rekiny, ocean Spokojny zaludniające; teraz sam słuchać będzie ryku dzikich zwierząt w dziewiczych lasach.

Kapitan *Stratfordu* przybywszy w okolice przylądka *Blanco*, który jest miejscem w Peru najbardziej na północ posuniętym, a przeciwnie stanowi południowy kraniec zatoki Gwajakwilejskiej, zamierza, dla zaspokojenia potrzeb okrętu, zarzucić kotwicę przy mieście Takamie. Szczególniej to miasto budowy. Piętnaście do dwudziestu domów je składających, otacza nieprzebyty pas lasów i *jungłów*, to jest gąszczy krzaków i bambusów. Domy te wzniesione na 10 do 12 stóp nad poziom gruntu, spoczywają na mocnych palach w ziemię wbitych. Ściany ze pni bambusowych jedno na drugie układanych, a do mieszkań napowietrznych, prowadzi tylko drabina, starannie na noc odejmowana; bo bez tej ostrożności, mogłyby w nocy zawitać tygrysy i pantery, albo też mieszkańcy byłiby wystawieni na niegrzeczne odwiedziny małp, pewnego bardzo rosnącego gatunku. W ten sposób zaś zabezpieczeni osadnicy, mogą spokojnie zasypiać wśród odgłosu fal morskich i wycia dzikiego zwierza, nie troszcząc się o tę ponurą i straszną harmonią, która sama spoczynkowi ich towarzyszy.

Na wszelki wypadek, lekarz w nadziei przepędzenia dnia jednego na lądzie, bierze z sobą strzelbę, najstaranniej opatrzoną; nad spodziewanie też szczęście mu służy. Mieszkańcy Takamy chorują na biegunkę; na ich więc żądanie p. Coulter zgadza się na pozostanie jakiś czas między nimi. Po kilku dniach, dzięki przepisom lekarza, wszystko wraca do porządku, a on zbiera owoce uczynności w różnych przysmakach i znacznej kwocie gotówki. Szóstego dnia rano, p. Coulter, zapomniawszy nawet wśród zatrudnień lekarskich o nowym przeczyszczeniu strzelby, wybiera się na polowanie, z najętym przez siebie Indyaninem, zwanym Jakób, a znanym pomiędzy białymi mieszkańcami pod skróconym imieniem *Jack*, który staje się dla lekarza więcej jak najemnym przewodnikiem, a nawet towarzyszem niebezpieczeństw, bo p. Coulter znajduje w nim prawdziwego wiernego przyjaciela.

Naprzód lekarz składa w bezpieczne miejsce zarobioną kwotę; potem bierze do torby trochę żywności, a zarzuciwszy strzelbę na ramię, wychodzi w podróż z Indyaninem. Zrazu idą boczną, dość szeroką drogą, mającą po obu stronach gestwinę, prawie nieprzebytą; tak zrosła silnemi latoroślami winnemi, Na wierzchołkach chwiejących się drzewin, ogromne

małpy pokazują im z różnemi wykrzywianiami niekształtne oblicza; czasem długie wyciągają łapy, chcąc niby złapać za rurę strzelby, lub ściągnąć czapkę z głowy lekarza. Trochę go to wprawdzie niepokoi, ale *Jack*, przewodnik, tylko się śmieje zapewniając, że to żarty babuinów, radujących się z widoku kogoś obcego. Wreszcie zwolna silna roślinność znika, ścieżka ginie w niezmiernym borze; już nie widać pnączów (lianes) oplatających krzaki, lecz za to ciemne sklepienie zasłaniając niebo. słabe tylko, lecz ostre jak strzała przepuszcza promienie słoneczne, na mech po ziemi rozpostarty. Węże wszelkich barw i wielkości zwolna przewijają się między ziołami, a suche liście pod nimi szeleszczą; *Jack* zapewnia znowu, że one dla własnej znajdują się tam przyjemności, tak, że lekarz stara się tylko, aby ich nogą nie nadeptać. Nagle przy wejściu do gęstego zarośla Indyanin staje, a zdala dochodzą oderwane odgłosy lwa amerykańskiego, które mieszając się z żalonym rykiem coraz się zbliżają. Indyanin powiada szybko towarzyszowi: „Patrz na mnie”, a potem milczy, rozmawiając tylko na migi. Chwila to uroczysta; oba postępują tylko z *brodą na ramieniu*, jak mówią Hiszpanie. Przed nimi jar głęboki, a na dnie kałuże, odbijające ciemną liści zieloność. Przez chwile zatrzymawszy się na brzegu, myśliwcy przysłuchują się harmonii lasu, jeżeli tak nazwać można dziką mieszaninę różnych przerażających świstów, skowyczeń i ryków. Potem odważnie w rozpadlinę zapuszczają się; ale zaledwie na dół zstępować zaczęli, okropne wycie tuż przy nich się rozlega. Indyanin rzuca się na ziemię jak długi; lekarz też samo; znowu kilka minut oczekiwania. Wreszcie łowcy spostrzegają wypadające z końca jaru dzikie zrebie, jak wiatr pędzące, a za niemi w ogromnych skokach dwa pyszne tygrysy. Biedny zwierzę wycieńczone znużeniem i strachem, pada na piersi tuż przy kryjówce strzelców. Jeden z tygrysów zbliża się czolgając, potem skokiem ze dwadzieścia stóp wynoszącym rzuca się na grzbiet koniowi, i chwyta za gardło z okropnym miauczeniem; drugi nakoło niego się przechadza, bijąc boki ogonem i wydając głuche pomrukiwania. Tygrysy zanadto ofiarą swoją zajęte, aby mogły zwietrzyć świadków ich walki. „Czyś gotów?” — „Tak.” Oto krótka rozmowa myśliwców; każdy z nich naciąga kurek strzelby, i dwa wystrzały rozlegają się pod gęstemi sklepieniami padółu. Jeden tygrys, konwulsyjnie rzucając się po piasku, wreszcie przewraca się; to kula Anglika go trafiła. Indyanin nie był tak zręczny albo tak szczęśliwy; drugi tygrys przez niego mocno skaleczony, zachowuje jednak siłę i dzikość. Pomimo przedstawień p. Coulter, *Jack* dobywa długiego noża i idzie ku zwierzowi, które raną rozjątrzone, pazurami z wściekłością ziemię ryje i tumany kurzu sypie. Indyanin bez trwogi w tę chmurę się rzuca, a lekarz dostrzega

tylko naprzemian ramię krwią zbroczone, połyski podnoszącego się i spadającego noża, jaskrawe dwóch burych oczu spojrzenia, i dwa ciała jedno na drugiem przewracające się. Każdy ryk tygrysa jest dowodem nowój rany, jaką mu nóż *Jacka* zadaje; nakoniec zwyciężone zwierzę pada na miejscu, chrapie, ostatni raz drga jeszcze i kona. „To djabeł” — woła *Jack* powstając. Już wtedy zostaje tylko zdjęcie pysznych futer ze dwóch straszliwych zwierząt. Przewodnik lekarza dobrze przez dzień zarobił; polowanie przyniesie mu przynajmniej z dukata.

Już z tego cośmy przytoczyli pojąć można, jak opis p. Coulter jest zajmującym. Szczególny to podróżnik. Mało uważa i opisuje, ale bardzo wiele opowiada. Zwiedzając dalekie kraje, wystrzega się dróg zwyczajnych, omija wielkie miasta, albo się w nich jak najkrócej zatrzymuje. Wszędzie zmierza raczej do lasów, do nieziedzanych jeszcze ustroni, i doświadcza tysiącznych wydarzeń, podobnych tym, któreśmy przytoczyli. Wprawdzie zanadto trochę lubi opowiadać swoje walki, bo choć w nich oddać musimy cześć jego odwadze i zręczności, jednak znajdujemy prawie zawsze tych samych przeciwników, i takież same rozwiązanie. Męczą wreszcie te ciągłe pochody w dziewiczych lasach, w towarzystwie tylko niedźwiedzi, tygrysów, i szakali. Chętniej też zatrzymujemy się nad ustępami, w których człowiek przeważa łowcę.

Po krótkim wypoczynku, wydarza się p. Coulter i jego przewodnikowi, nowa sposobność zadosyć uczynienia szczególnemu ich zamiłowaniu. Nad wieczorem zatrzymują się w *estancyi*, nad jakąś rzeką położonój. Właściciel tego folwarku, z Hiszpanów, lecz już z rodu mieszanego pochodzący, najchętniej ich przyjmuje. *Estancia* jakby jakie gniazdo wśród tej puszczy rzucone, bo podobnie jak domy w Takamie na palach zbudowana, jest pewnym dla mieszkańców schronieniem, ale ogrodzenia niedostatecznie bydło właściciela zabezpieczają. A ponieważ spodziewane jest w nocy nawiedzenie już wytropionego drapieżnego zwierza, p. Coulter obiecuje właścicielowi pomoc chętnie przyjętą. I w tém polowaniu, równie jak w piérwszém, p. Coulter szczęśliwy. Dwa pewne strzały powalają nocnego gościa, to jest ogromnego tygrysa. Tym sposobem lekarz sownie dług gościnności płaci.

Niedługo myśli on znowu o dalszój z przewodnikiem podróży. Za piéniażde w Takamie zarobione, p. Coulter kupuje sobie łódkę dla płynienia w górę rzeki, do znacznej od *estancyi* odległości. Wybierając się rano, z pewnym zadowoleniem przekonywa się, że jest o szesnaście mil od ujścia rzeki, a o dwadzieścia mil od swego okrętu. Rzeka ta pod Takamą płynąca, toż samo nosi nazwisko. Łódka szybko po wodach nieziedzanych prawie jeszcze posuwa się. Po obu brzegach gęsta mgła z bujnej wycho-

dzi roślinności; lecz ją wkrótce zwrotnikowe słońce rozpędza. Anglik z Indyaninem płynąc schyleni, widzą przemijające dzikie krajobrazy. Rzeka ciągnie się pod zagajeniem z drzew gęstwiny, i zimorodek nad powierzchnią wody buja; papugi w liściach ukryte napełniają powietrze przeraźliwém świstaniem; gdzieś widać chatkę na palach, jakby miejsca dla gnieźdzących się olbrzymich błotnych ptaków; małpy na pnączach bujają się; w cieniu drzew tysiączne krzyżują się głosy, zagłuszane niekiedy rykiem tygrysa, w legowisku po śnie przeciągającego się. Po kilku godzinach tój podróży niezawsze bezpiecznej, p. Coulter poznaje, że się o sześć mil więcej od *Stratfordu* oddalił.

Tymczasem rzeka coraz się zwężając, staje się wreszcie w jedném miejscu jakby tunelem, nakrytym sklepieniem z liści i gałęzi. Oba żeglarze na brzeg wysiadają, łódkę wyciągają na ląd, i dążą ku chatce pomiędzy drzew wyglądającej. Wychodzi przeciw nim wysoki murzyn i mówi z uśmiechem: *Cumusta, segniours*, co lekarz za dwa wyrazy hiszpańskie poczytując, tak tłumaczy: Jak się macie panowie? Podróżnicy znajdują w chatce murzyna serdeczną gościnność;—wszyscy razem umawiają się na zrobienie obławy w okolicznych lasach. Lecz pomijamy już szczegóły tój obławy, w której niezmordowani strzeley ubijają tygrysa i dwóch danieli. Z powrotem do chatki, przy Homerycznej wieczerzy, murzyn, Indyanin, i biały, każdy z nich pierwotwór trzech głównych pokoleń ludzkich, przesadzają się w zabawie opowiadania sobie wzajemnie swoich wypadków. Ale zwierzenia się obu towarzyszków lekarza, niebardzo budujące. Murzyn, dawniej niewolnik w Peru, odzyskał wolność przez zamordowanie swego pana. Zaś Indyanin *Jack* należy do jednego z owych strasznych dzikich pokoleń wyższej Kalifornii, co rozpościerając zniszczenie od gór Skalistych aż do oceanu Spokojnego, nigdy zbrojnego toporu w ziemię nie składa, wojując jużto nad brzegami Kolumbii, lub Buenawentury, już tóż niekiedy aż przy ujściu Czerwonej rzeki. Nieraz *Jack* w tułackich wyprawach, wystawiony był na ogień amerykańskich strzelców; a choć o tych spotkaniach z umiarkowaniem tylko mówi, łatwo jednak z powieści jego wnosić można, że nieprzyjaciotom zuchowato się stawiał. Przyznaje wprawdzie, że niekiedy czupryny z czaszek białych ludzi zdierał; ale zawsze jako do tój ostateczności przymuszony, różne łagodzące przytacza okoliczności. Szczególny tylko wypadek zmusił na czas jakiś, to awanturnicze istnienie do poddania się pod jarzmo karności. Przybywszy na amerykański okręt, połowem wielorybów trudniący się, a przy porcie w San-Francisco stojący, dla wymiany futer, za proch i arak; *Jack* zatrzymany został przez kapitana *Yankee*, potrzebującego gwałtownie uzu-

pełnię osadę, ucieczką majtków pomniejszoną. Tak tedy chcąc nie chcąc, opryszek borowy na majtka zmienił się. Po długiej a bezowocnej żegludze, wysadzono go nareszcie w Takamie, i tamto lekarzowi za przewodnika nastreczył się. Żałował tylko, że uchybił sposobności popisania się ze swą zręcznością skalpowania na czaszce kapitana *Yankee*.

Wkrótce lekarz i *Jack* rozłączają się z gospodarzem, i dalszą wśród podobnych jak z początku wydarzeń, wycieczkę odbywają. Te długie pochody, już to po zaroślach olbrzymich drzew, gdzie igrają małpy lub świszczą ary (papugi), już to po bagnach zapelnionych węzami i alligatorami; te nocne w puszczech przystanki, te godziny snu ciągle przerywanego skomleniem szakałów, zdala jakby granie psów gończych odzywającym się: sąto wszystko obrazy, pełne bez zaprzeczenia wdzięku; ale, powtórzyć należy, zbyt drobiazgowo, temi sumami szczegółami, przez angielskiego podróżnika napelnione. Przybywszy nareszcie do wioski nazwiskiem Tolo, p. Coulter zamysła o powrocie na okręt. Jednak zmuszony jest kilka dni w Tolo pozostać. Mieszkańcy tak są szczęśliwi z posiadania europejskiego lekarza, że wszystkich napada szczególna ochota puszczania krwi. Zaledwie p. Coulter zadosyć uczynić może żądaniom tak nagle otwartej praktyki, a chociaż z wszelką przyzwitością lancetu używa, znakomicie jednak kieskę napelnia. Ułatwiwszy się wreszcie z mieszkańcami w Tolo, rusza w drogę do Takamy; ale i tu nie koniec jego wydarzeń. Jakiś oddział rozpuszczonych żołnierzy przebiega okolicy, i rabuje pojedynczych podróżników; lekarz z *Jackiem* uzbrajają się na nich, i w spotkaniu się są równie szczęśliwi, jak w zajściach z tygrysami i szakalami. Rozbójnicy ostrzej przyjęci, jak się tego spodziewali, zmuszeni są do oddania łupów, a w kilka dni po tej utarczce, nieustraszeni wędrowcy, wróciwszy zdrowi i cali, spokojnie przechadzają się po pomoście angielskiego statku.

II. Zatoka *Sun-Francisco*.

Opuszczając brzegi Takamy, *Stratford* zmierza ku Kalifornii. Po kilku dniach żeglugi zatrzymuje się na wyspie Kokosów, leżącej pod 5° 30' szerokości północnej, i 86° 30' długości zachodniej. Tu szczególnie wydarzenie spotyka p. Coulter i nieodłącznego jego czerwono-skórnego przyjaciela. W czasie nowej na lądzie wycieczki, dąszez zmusza ich do schronienia się wśród skał, ozdobnie choć bez porządku skupionych, a tworzących zupełne przykrycie przez nachylenie się i zetknięcie wiercholców. Wychodząc z tego przesmyku, niespodziewany a wspaniały

uderza ich widok. U stóp ich rozciąga się obszerna dolina, a wśród zielonego jej okręgu, jasne, przezroczyste i spokojne wody jeziora, odbijają przelotne pasy chmur deszczowych. Wokoło zaś miłego i zachwycającego krajobrazu, widać góry lasem obrosłe. Zstąpiwszy aż nad brzeg jeziora, wędrowcy posilają się skromnym zapasem z torby dobytym, i uwielbiają dziękować piękności miejsca, nigdy jak się zdaje stopą ludzką nie nawiedzanego; lecz właśnie w chwili, gdy lekarz cieszy się z oglądania wyspy zupełnie pustej, niespodziewany świadek, a do tego człowiek, obraz ten ożywia. Przybylec w koszuli, spodniach wełnianych czerwonych, kamazach łosiowych i czapce futrzanej, zdąża ponad jeziorem ku podróżnikom. To i ubiór i postać Robinsona *Crusoe*. Nieznajomy wprawnie po angielsku odzywa się. Poważnym i uroczystym głosem wita grzecznie wędrowców i zaprasza z sobą. Lekarz chętnie to serdeczne przyjmuje wezwanie, a po niedługim pochodzie, wszyscy przybywają do chatki, ukrytej w najciemniejszym doliny zakątku. W niej znajdują łoża z suchych liści, skórami koziemi przykryte, stół i stołki proste, narzędzia ciesielskie i broń palną. Po uczęstowaniu gości smacznym razem dziecziej pieczeni, gospodarz nazwiskiem Stevenson opowiada, że przy schyłku handlowego zawodu z różnym szczęściem prowadzonego, burza wyrzuciła go na tę wyspę wraz z kilku towarzyszami nieszczęścia, między którymi znajdowali się mężczyźni i kobiety. Mizantrop jakiegokolwiek narodu byłby poprzestał na odosobnieniu, podzielanym z dwoma lub trzema rodzinami, lecz mizantrop Anglik więcej wymaga. Dlatego Stevenson postanowił żyć jak najdalej od reszty ocalonych z rozbitego okrętu. Ci zaś, wszyscy Hiszpanie, założyli osadę o trzy mile ztamtąd. P. Coulter i do nich się udawszy, znajduje wygnańców zupełnie szczęśliwych i nie myślących bynajmniej o opuszczeniu żyznej ziemi, gdzie ich burza morska porzuciła. W dalszych dopiero podróżach p. Coulter nie bez zadziwienia dowiaduje się, że odludek Stevenson powrócił do uczuć bardziej towarzyskich, a nie mogąc dłużej pozostać wiernym myśli przekształcenia się na nowego Robinsona, osiadł w Lima, gdzie oddawszy się na nowo dawnym zatrudnieniom kupieckim, doskonale prowadzi interesa.

Ten wypadek na wyspie Kokosów, jest jedynym ważniejszym zdarzeniem w ciągu podróży lekarza z Takamy do zatoki San-Francisco. Nie należy jednak pominąć rozłączenia się jego z wiernym *Jackiem*, bo gdy okręt przepływał około Monterey, nie mógł on oprzeć się chęci powrócenia do dawnego wędrownego życia wśród meksykańskich lasów, i wskoczywszy w łódkę, po serdecznym uściśnieniu ręki lekarza, wysiadł na rodzinną dolinę. Nakoniec *Stratford* zarzuca kotwicę w ogromnej zatoce San-Francisco, przed *missyą* zwaną *Yerba-Buena* (dobre ziele)

z przyczyny otaczających ją bogatych i tłustych pastwisk. P. Coulter cierpiąc na reumatyzm, którego się nabawił na pomoście *Stratfordu*, chętnie przyjmuje gościnę u kapłana missyi. Kapitan zostawując mu obfity zapas prochu, kul i śrutu, umawia się z nim, iż mają się zjechać za trzy miesiące w Tahiti. Piérwszém, jak się łatwo domyślic, staraniem p. Coultera jest wyłączenie się z reumatyzmu, a do tego używa silnego i skutecznego dawnych Azteków sposobu, to jest łaźni parowój, wziętėj w pewnym rodzaju pieca, zwanego *temaskal* lub *termaskal* (1).

Kraj téż w którym lekarz przychylną znajduje gościnność, wyborne przedstawia dla wychodzącego ze słabości rozrywki; a teraz, gdy tak głośne jest świeże odkrycie kopalni złota nad żyznemi brzegami rzeki Sacramento, nieodległej od San-Francisco, szczegóły o tėj ciekawėj części wybrzeżów meksykańskich, podwójnej niejako nabierają wartości. Zanim Kalifornia stała się sławną bogactwy mineralnemi, słuszny należał jėj się rozgłos dla zasobów rolniczych, starannie i umiejętnie przez missyonarzy rozwijanych. Pięć missyj otacza zatokę San-Francisco, to jest missye: Dolores, Santa-Clara, San-Jose, San-Francisco i San-Rafael. Nazywają *missyą* ogromne budowle, urządzone do wspólnego pożyicia, a to w ten sposób, iż w jedném zagrodeniu ciągnie się długi szereg komórek, z których każda ma drzwi, okno i wedle zwyczaju w krajach gorących, wystawę na słupach. Komórki te tak są liczne, że pomieścić mogą tysiąc do tysiąca sześciuset rodzin. W tych pięciu missyach liczą blisko piętnaście tysięcy Indyan, i dwustu lub trzystu mieszkańców białych.

Chów bydła doszedł w missyach meksykańskich do znakomitych wypadków. Konie i woły obficie się tam znajdują. Jedna sztuka kosztuje zwyczajnie 5 do 6 piastrow (45 do 50 kilku złotych); cena owcy była zwykle pół piastra (przeszło 4 złote). Nie można zaprzeczyć, że dla utrwalenia tego pomyslnego bytu, potrzeba było wielkiego poświęcenia i nieustraszonej wytrwałości Jezuitów, założycieli tych osad. W piérwszym okresie założenia, missyonarze poprzestawali na prostém ogrodzeniu, małym domku i skromnej kapliczce. Nieraz dzikie pokolenia, w poblizkości mieszkające lub na łowy przybywające, niszczyły powstające zakłady. Jezuita nie zrażając się, trwali po przejściu burzy w opowiadaniu słów apostoelskich, i w usiłowaniach szukania codziennego pożywienia w uprawianych własnemi rękoma gruntach, w okolicznych jeziorach i lasach. Z czasem Indyanie zaczęli ich szanować, uwielbiając tak odważną wytrwa-

(1) Jestto budka z chrustu wystawiona, ostrokregowato zakończona i grubo gliną pokryta. Nie od rzeczy tu zamieścić uwagę, że wyraz *temaskal* lub *termaskal* nie jest jedynym wyrazem języka Indo-meksykańskiego, mającym pochodzenie greckie: toż samo znajdujemy w wyrazie *teokali* (dom boży, świątynia).

łość. Lecz gdy misyjonarze mogli już być spokojniejsi od tych dzikich pokoleń, zaczęły ich znowu napadać kupy europejskich awanturników. Zbiegli majtkowie, rozpuszczeni żołnierze, z rozboju żyjący, przedsiębrali często wyprawy na Jezuickie mieszkania. Z niezmordowanym też mężstwem i cierpliwością, pierwsi misyjonarze wytrzymywali najsrozsze próby wśród niebezpieczeństw i walk, coraz odnawiających się, wśród codziennnej i ciężkiej pracy.

Chociaż misyjsze przy tylu przeszkodach nie wzrastały nagle, jednak się utrzymywały; a i to już nie małą było rzeczą. Gdy znaczna przestrzeń kraju została wykarczowana, potrzeba było zwolenników przywabić. Po wielu namysłach, Jezuici dość zręczny obrali sposób. Starali się schwycić kilku dzikich Indyan, siłą do misyji ich sprowadzali, a po niedługim przytrzymaniu i dobrze się z nimi obchodząc, napowrót puszczały. Jednak w tym nowego rodzaju polowaniu, poęta szczególna była potrzebna. Sprowadzono więc do misyji w północnej Kalifornii, trzydziestu do czterdziestu Indyan już dawniej nawróconych, i w kwitnących misyjach części południowej osiedlonych. Za zebraniem znacznej liczby niewolników, połączono ich z ochrzczonej Indyanami. Zrazu jeńcy sądząc, że misyjonarze będą się na nich mścić krwawo za dawne najazdy, śmiertelne zaczęli zawodzić śpiewy; lecz z wielkim zadziwieniem dostrzegali, że są owszem przedmiotem dobrotliwej i ojcowskiej przychylności. Zamiast stosu lub szubienicy, widzieli więzy kruszone, słyszeli słowa pokoju, dostawali obfitą żywność. Wreszcie jednoplemienni bracia, mówili im z zapalem o chrześcijaństwie i jego apostołach. Po kilku dniach wygód o jakich nawet wyobrażenia nie mieli, zostawiano im wolność opuszczenia misyji, i ojcowie sami wrota otwierając, z przyjaznym wyprawiali ich podarunkiem. Zpomędzy tak odsyłanych Indyan, jedni z radością wprawdzie wracali do tułackiego życia, tylu uroczemi wypadkami okupowanego; lecz znajdowali się i tacy, co nie mogąc zapomnieć słodkiej niewoli, wracali dobrowolnie po kilku dniach w polu spędzonych, i prosili ojców o gościnne przyjęcie. Wkrótce zagrody misyji stawały się zbyt szczupłemi, i tymto sposobem wzrosły już nagle do stopnia pomyślności, na jakim je dziś widzimy.

Jeżeli zaś zaszczyt takiego rozwinięcia w znacznej części Jezuitom przypada, to sprawiedliwe znowu przyznać i udzielić należy pochwały szczęśliwym usiłowaniom, do dziś dnia błogi ten stan utrzymującym. Ci, co zblizka misyjsze meksykańskie widzieli, poświadczyć mogą, jak dobroczynne i płodne są skutki, zadziwiającego zastosowania teokratycznego rządu, wśród naszego XIXgo wieku. Słusznie mówimy, rządu, bo w oczach Indyan, misyjonarze posiadają prawdziwą dyktatorską władzę. Indya-

nin w missyi porzucił zupełnie dumę i ostrość rodu swego; z dawniej me-
xykańskiej cywilizacji zachował tylko: zewnętrzność malowniczą, bogaty
ubiór i naiwne podania. Nic wyrównać nie może potulności, spokojowi
tęj ludności, z pracowników i nowo nawróconych złożonej. Srogie dzie-
cię łąk dzikich, po kilku tygodniach w zagrodzie missyi spędzonych, staje
się uczniem czekającym na znak mistrza do modlitwy, do pracy, do rozry-
wki. Czasem nawet, wyznać trzeba, mistrz władzy swój nadużywa,
i z batem w rękę prowadzi wychowañców do kościoła lub w pole. Dzi-
wny to widok w niedzielę, gdy przed godziną nabożeństwa, jeden z ojców
na mule siedząc, pędzi przed sobą tłum Indyan, a batem którym ciągle
wywija, dosięgnie nieraz nogi lub plecy opóźniających się, wpośród po-
wszechnych śmiechów. Po niedzielnym nabożeństwie, missye jeszcze
ciekawsze przedstawiają obrazy. W tym dniu zdaje się, że życie w dzi-
kości napowrót mieszkańców ogarnia, bo Indianie ze wszelką wolnością
używać mogą odwiecznych swego rodu rozrywek. Wśród zagłuszających
wrzasków wyścigi konne, walki byków, tańce wojenne, jedne po drugich
następują; Indianie najbogatsze przywdziwiają ubiory. Wstęgi rzemie-
ne świetnemi przyozdobione piórami, otaczają i przytrzymują długie kę-
dziorzy włosów; srebrna przepaska błyszczy na czole; golenie w sztuki da-
nielej skóry obwinęte; po barkach płaszcz sukienno-pstro ubarwiony, spły-
wa. Szczególniej pięknie wydają się konno, uzbrojeni strzelbą i wojenną
dzidą, wywijający z dziką radością maczugą lub nożem. Wtedy trudno
w zuchwałych rycerzach poznać owych łekliwych neofitów, co zrana je-
szcze drżeli przed słowem lub skinieniem słabego starca. A wszakże
nazajutrz wszystko do dawnego wraca porządku, i przykre powinności
pracownika krajów cywilizowanych, zastępują przez cały tydzień ucie-
chy pierwiastkowego dzikich życia. Karności tej wprowadzić nie można
przedstawiać za ostateczny wzór dla marzących o wytępieniu w Nowym-
Świecie ostatnich barbarzyństwa zabytków; godzi się jednak poczytać ją
za postęp, za przygotowanie do lepszego stanu, mniej wolność ludzką
krępującego, a to bez obrażenia prawdziwych celów chrześcijańskiej
oświaty. Wreszcie dzieło Jezuitów, jakkolwiek niedoskonałe, przedsta-
wiło wypadki i dla Europy i dla Meksyku godne pamięci; przez nich wpływ
naszych obyczajów dosięgnął najdziksze części Nowej Hiszpanii, koczujące
pokolenia zamieniły się na ludność osiedloną, pracowitą, puste krainy
okryte są użytecznemi zakładami, a rolnictwo pobudziło na długo niewy-
czerpane źródła pomyślności.

Stan ten kwitnący, skutek tylko rolniczej uprawy, obiecuje dzisiaj
większe jeszcze Kalifornii rozwinięcie się przez niespodziewane odkrycie
licznych żył złotodajnych, których rozgłos, ożywił nawet w krajach euro-

pejskich zniechęcony zakładają ruch handlowy. Nie obejdzie się pewnie bez zawodów dla wychodźców, wabionych ze wszystkich stron świata do tego nowego *Dorado*; lecz gdy się zastanowimy nad tem, że co się teraz niewłaściwie kopalniami złota nad brzegami rzeki *Sacramento*, i w dolinach Montereyu zowie, jest rzeczywiście tylko napływem z gór potokami uniesionym i po powierzchni rozproszonym, jakież budować możemy nadzieje na wynalezieniu i użytkowaniu prawdziwych kopalni, tak świetnie w próbkach okazujących się! Prócz tego, poszukiwacze złota znajdują zawsze w razie zawodu obfite wynagrodzenie w rolnictwie, położonem w Kalifornii w tak korzystnych ze wszech miar okolicznościach. Inni osadnicy znajdują w handlu równie zyskowne zajęcia. Obszerna przystań San-Francisco, stanie się pewnie składem i głównem tranzytowem miejscem między oceanem Chińskim i Indyjskim, a wnętrzem Ameryki. W każdym więc razie dzisiejszy do Kalifornii zapal, choćby niezupełnie był uzasadniony, sprowadzi dla kraju tego stan pomyślny, z korzyścią dla osiedlającej się tam ludności, a to bądź przez dobywanie kopalni, bądź przez podniesienie rolnictwa, bądź wreszcie przez zakładanie miejsc handlowych.

Chociaż p. Coulter cieszy się przyjemną misyonarzy gościnnością, wkrótce jednak to życie zbyt jednostajne, zbyt spokojne, przykrzēć mu się zaczyna. Bo wokół zagród missyi, bogate a wspaniałe Nowego Świata przyrodzenie, rozpościera przepych najponętniejszy. Wybrzeża Kalifornii w okolicach San-Francisco, okryte są pysznymi i pełnymi zwierzyny lasami. Podróżnik spotykać może w cieniu wysokich sosen, pomiędzy leszczyną i wonną magnolią, to szare papugi, to cietrzewie, to kury gwinejskie; jeziora zapełnione łabędziami, gęsiami i kaczkami dzikimi, a odbijające się co noc o uszy lekarza odległe ryki goszczących w sąsiednich górach jaguarów, pumów (lwów) i szarych niedźwiedzi, zdają się go drażnić i wyraźnie wyzywać. I trafunkowe tēż zdarzenie doskonale dla p. Coultera wypadła, bo przybywa właśnie do missyi jeden z najzawołanych myśliwców w Kalifornii, a lekarz tylko na doświadczonego czekał przewodnika. Jestto także jeden z najciekawszych pierwowotworów owego społeczeństwa, na wpół oświeconego, na wpół dzikiego, łaki amerykańskie zaludniającego; żyje on wśród tysiącznych utrudzeń i niebezpieczeństw, z poszukiwania i handlu drogiemi futrami. Po kilku miesiącach w puszczy strawionych, strzelcy amerykańscy lub kanadyjscy przybywają do jednego z portów kalifornijskich dla sprzedaży zapasu futer. W ciągłych wędrówkach, muszą się oni bronić jużto od niedźwiedzi i tygrysów, jużto od koczujących Indian, już wreszcie od licznych w całym Meksyku rozbójników. Dziś jeszcze te zgraje *condottier'ów*, co nieraz niszczyły po-

czątkowe zakłady misyjonarzy, są równie w Kalifornii straszne, jak w wieku XVII. Często myśliwiec kanadyjski z którym p. Coulter znajomość zabiera, miewał do czynienia z temi zbójcami; a opowiadane przez niego wydarzenia, pełne są różnorodnego i dziwnego zajęcia. I tak, razu jednego na dolinie w wyższej Kalifornii, stawić musiał czoło sześciu takim napastnikom, i poświstując spokojnie jakąś starą piosnkę normandzką, wszystkich sześciu sprzątnął. Dostatecznie zaś znani są tacy nieustraszeni wędrowcy, aby powieści podobnych za przesadzone nie uważać.

Z tymto nowym przewodnikiem, lekarz wybiera się dla zwiedzenia po myśliwsku borów i gór wokoło missyi leżących. Tym razem wziął się szczególnie na szarego niedźwiedzia, co na tamecznych łąkach jest najstraszniejszą zwierzyną; bo w istocie szary niedźwiedź przewyższa w silo żubra, a w zjadłości tygrysa. Najwprawniejsi strzelcy nie mogą ani zręczności, ani zimnej krwi swojej ufać przed tym potwornym przeciwnikiem, co po trzykrotnym strzale jeszcze straszniejszy często rzuca się, a kule jak grudki śniegu otrząsa. Dla Indianina zwycięstwo nad szarym niedźwiedziem jest najpyszniejszą chlubą, a jego pazury jak naszyjnik nawleczone, zdobyczą najgodniejszą zazdrości. Takiejto zdobyczy p. Coulter pragnie, i wkrótce też wydarza mu się sposobność zaspokojenia tej żądzy ze wszystkiém już oswojonego, i zwyczajnemi wypadkami znużonego myśliwca.

P. Coulter i jego przewodnik przybywają do stóp góry San-Bernardino, leżącej około 34° szerokości północnej. Noc nadchodzi, zabiierają się właśnie do wytchnienia pod gołym niebem, nie spodziewając się, że nocny wypoczynek nagle przerwany będzie. Jeszcze się pali ogień przy którym udziec zwierzyny piekli, gdy spostrzegają przy tém świetle straszliwą paszczę szarego niedźwiedzia, o 30 kroków pomiędzy dwóch skał wychylającego się i ku nim dążącego. Zrazu pozostaje tylko strzelcom ucieczka, a skoro się cofnęli, niedźwiedź z kryjówki wolno wychodzi i stąpa ku ogniskowi; bo trzeba wiedzieć, że niedźwiedź szary nie unika blasku płomienia, jak inne dzikie zwierzęta. Widać zresztą, że ten jest głodem naglony, a gdy mu resztki zwierzyny przy główkach znalezione nie wystarczają, idzie wprost na strzelców w pewnej odległości stojących. Wprawdzie towarzysz p. Coulter dlatego tylko odwrót wojenny wykonał, aby nie zawstydzić zbytecznie Anglika, który poprostu pierwszy zaczął uciekać; ale i ten w obec niebezpieczeństwa całą odzyskał odwagę. „Dla mnie pierwszy strzał”, rzecze myśliwiec amerykański. Ogromny zwierz trafiony gdzieś w głowę, bo ją wstrząsa, ryk w lesie się rozlega, i krew z rany bucha. Lekarz ręce zacięra z radości, że ugodzony nieprzyjaciel, lada chwila zapewne padnie. „Na cóż czekasz z twoim strzałem“

odzywa się Amerykanin, prędkiej a nie chybiaj!" Lekarz przykłęka, aby lepiej wymierzyć, ale towarzysz jego tylko ramionami ruszył, bo kula za ledwie tułowa dosięgła. Ogień więc nie powinien ustawać, i w miarę jak jedon myśliwiec nabija, drugi strzela. Tak prawie przez milę gonią niedźwiedzia; lecz on choć wielu kulami postrzelany, wciąż przed nimi ciągnie. Wreszcie po ostatniem zawyciu pod 15tą pada kula; maczugą go dobijają. „Widzę, kochany niedźwiadku, woła kanadyjski strzelec druzgocząc mu czaszkę, że z całego twego rodu, ze wszystkich których kiedy miałem na celu, jesteś najzaciętszym i najuporczywszym zuchem.”

Tymczasem nadchodzi chwila pożegnania lasów, zarośli i wszelkich ich gości. Zbliża się czas odjazdu do Tahiti, gdzie lekarz z kapitanem *Stratfordu* ma się połączyć. W ostatniej tedy części *Odysei* p. Coulter, wspomnimy tylko o miejscach głównie uwagi godnych, tojest o wyspach Kingsmill i o Nowej Gwinei.

III. Nowa Gwinea.

W przejeździe z San-Francisco w Kalifornii, do wysp Kingsmill (pod 1° 25' szerokości południowej, i 174° 50' długości wschodniej), nie wydarza się nic zajmującego. Bryg zwany *Hound*, na którym p. Coulter do Tahiti płynie, odwiedza główne wyspy tej gromady, jakoto wyspy: Tarataryi, Mankii, Nową Irlandyą. Dopiero przy wylądowaniu na wyspę Nowej-Brytanii, ciekawe następuje spotkanie. Znowu jakiś Robinson, godny brat mizantropa z wyspy Kokosów, znajduje się na niej, a lekarz opisuje nam jego historią, podobną zapewne do owych długich opowiadań, pełnych dziwnych wypadków, jakie nieraz są przedmiotem rozmów i zabawy angielskich majtków. *James Selwin* (tak się nazywa mieszkaniec Nowej-Brytanii), wsiadł był na jeden z tych okrętów, co jak się zdaje, we wszystkich wyprawach zawistnym jakimś losem są ścigane. W ciągu długiej żeglugi po morzach Oceanii, bryg *Thomas* napotykał tylko niegościnne krainy; w każdym prawie przystanku wypiarze osadę mu dziesiątkowali; nakoniec nawałnicą rzucony został na jakąś wyspę, przyległą Nowej-Brytanii. Zrazu mieszkańcy wyspy z troskliwą skwapliwością przyjęli jedenaście osób z rozbicia ocalonych, między którymi znajdował się kapitan, dozorca ładunku i sam Selwin, tak dalece, że dozorca dostąpił zaszczytu poślubienia córki naczelnika wyspy; ale w chwili, gdy się właśnie zajmowali budową statku z resztek brygu, ośmiu ludzi zostało nagle zabitych i prawie natychmiast zjedzonych. Naprawdę

mieszkańcy wyspy starali się pozostałych zaspokoić; kapitan, dozorca i Selwin, co prędkiej na wykończonym uciekli statku, w nadziei znalezienia dla siebie i rodzin swoich pewniejszego na jakiej przyległej wyspie schronienia; dozorca uległ wkrótce pod ciężarem czarnego smutku; straszliwy rekin pożarł kapitana. Sam tylko Selwin z żoną i z wdową po nieszczęśliwym dozorce pozostał. Taka jest historia, opowiedziana przez biednego majtka doktorowi *Trainer*, kapitanowi brygu *Hound*. Ten po kilku dniach pobytu na wyspie, ofiaruje Selwinowi odwiezienie go do Europy. Jednakże już on odwykł od życia w krajach cywilizowanych, chociaż do życia dzikiego jeszcze zupełnie nie przyuczony; ze smutkiem więc żegna pierwszych swoich współkrajowców, od lat siedmiu napotkanych, miotany naprzemian to boleścią z ich odjazdu, to znowu niechęcią opuszczenia dziwnych przyzwyczajzeń, już prawie w drugą naturę zmienionych. Takie to smutne sprzeczności serce ludzkie przedstawia. Sam tylko naród angielski pomnaża jeszcze codziennie przykłady owych licznych nieustraszonych wędrowników, których Robinson Daniela Foe jest pierwowzornym wyobrazicielem. Pan Coulter dwa już takie dziwne zjawiska napotkał, Stevensona i Jamesa Selwina; niedługo i trzeci taki obraz ujrzymy. We wszystkich zakątkach kuli ziemskiej, znaleźć można takich zbiegłych odludków, przez ród angielski porzuczonych, a widać w nich taką żądzę do odosobnienia się, jak w kupcach tegoż narodu do zawiązywania coraz nowych stosunków. Ci myślą tylko jakie z podobnych sobie korzyści ciągnąć, tamci jak ich unikać.

Z wysp Kingsmill, *Hound* kieruje się ku Tahiti. Pomijając długie obroty jego pomiędzy wyspami polinezyjskimi, przychodzimy zaraz do najbardziej dramatycznego ustępu całej podróży, to jest do wylądowania kapitana *Trainer* i lekarza na Nową Gwineę. Tak zowie się dość znaczna wyspa, na północ Australii położona, i od niej tylko cieśniną *Torresa* oddzielona. Podjechawszy pod tę wyspę, *Hound* zarzuca kotwicę w szerokiej zatoce, u stóp wulkanów, rozpościerających co noc po wodach morskich czerwone, ponure światło. Niedaleko od miejsca, gdzie okręt stanął, widać ujście znacznej rzeki, z brzegami najbujniejszą roślinnością pokrytymi. Morskie brzegi uzbrojone szeregiem skał podwodnych, bieleją zbiorami piany, ciągłym uderzaniem wałów tworzonej. Ziemia ta zdaje się pustą, jakby dopiero co z rąk Stworzyciela wyszła. Kapitan, lekarz i czterech innych ludzi, uzbrojeni od stóp do głów, wybrawszy się na zwiedzenie wyspy, postępują ku wzgórzom o kilka mil od rzeki odległym. Nigdzie nie widać ludzkiego śladu. Sploty węzów, gromady ogromnych szczurów przechodem podróżnych weale nieptoszone, dzikie koty patrzące na nich iskrzącymi oczami z wierzchołków drzew, potworne igua-

ny na słońcu igrające, czarne kaczkę nad bagnami trzepoczące się, szare sokoły, papugi tysiącznej barwy, rajskie ptaki w przelocie jakby złote blaszki na błękitnie nieba migające: oto jedyna różnorodność tego wspaniałego a spokojnego krajobrazu. Lecz wkrótce po szczątkach roślinnych, bliżej morza okrywających brzegi rzeki, następują nierówne nasypy, porozrzucane skały, potoki skrzepłej lawy. Wśród tej smętnej pustyni, wędrowcy przy zachodzie słońca zabierają się do odpoczynku, słuchając tylko ponurych odgłosów ptastwa nocnego i szelestu niedoperzów, co w ukośnym i ciężkim polocie, krzyżują się z gromadami komarów. Równie ze dniem, hufiec ciągnie dalej, lecz ostrożniej jak dnia poprzedniego, bo liczne ślady stóp ludzkich dowodzą, że wyspa jest zamieszkałą. I w istocie wkrótce po tym odkryciu, w chwili właśnie gdy kapitan z towarzyszami skromnie posiłają się kawątem dziczego mięsa z przyprawą z bananów upieczonego, gość niespodziewany obok nich siada. Człowiek to olbrzymiego wzrostu, płachtę tylko za ubiór noszący, dzidą uzbrojony; za nim dwa potężne brytany; a choć strój dziwaczny, i długie a najeżone kędziory włosów na barki mu spływają, jednak z białości skóry i rysów poznać można Europejczyka. Pierwszemu poruszeniu kapitana i jego towarzyszy jest schwytnie za broń, lecz wstrzymują się, gdy nieznajomy przemawia do nich łamanym angielskim językiem. „Jestem z rodu Irlandczyka, los zrobił mnie królem jednego z najznakomitszych pokoleń ludu Horaforasów. Dziękujcie Bogu żeście mnie spotkali; bo moi wojownicy ztąd blisko, a o milę dalej nie uszlibyście ich strzał. Teraz zaś już jesteście pod moją strażą, poddani moi będą was szanować, jako królewskich przyjaciół. Pozwólcie tylko niech tej pieczeni skosztuję, a idąc dalej opowiem wam moją historią.” To rzekłszy, król Horaforasów zabięra się do ogromnego zrazu pieczonej szynki, nieprzeszkadzony od współbiesiadników, bo im nie przystoi bronić udziału takiemu gościowi, chociaż nie mały w zapasach czyni uszczerbek. Opowiadanie króla Horaforasów można w tych krótkich zawrzyć wyrazach. Zanim został królem dzikiego w Nowej Gwinei pokolenia, człowiek ten nazwiskiem Terencyusz Connel, bardzo nieporządne prowadził życie. Urodzony w hrabstwie Kerry w Irlandyi, zrazu żołnierz, potem dezertier, później należący do rządu owych *kawalerów północy*, co postrach po Irlandyi roznosili, w zupełności dopełnił warunków potrzebnych do wywiezienia go do Botany-Bay; ale niedługo w tej karniej osadzie Australii zostawał, gdyż ułożywszy z jedenastu towarzyszami zamiar ucieczki, ze skutkiem go wykonał. Schronieniem jego stała się Nowa-Gwinea, gdzie sam jeden ze wszystkich jedenastu towarzyszy został, dostał się naprzód do niewoli Horaforasów; lecz wkrótce, za uznaniem jego wyższości, królem ich był ogłoszo-

ny. Takito człowiek ofiaruje w państwie swoim gościnność, oddziałowi przez kapitana Trainer dowodzonemu. Przed udzieleniem odpowiedzi, Anglicy z niedowierzaniem wzajemnie na siebie spoglądają; ale noc się zbliża, a horaforasey wojownicy niedaleko. Zresztą Terencyusz Connel ostrzega ich, że kraj wcale nie jest bezpieczny i że właśnie spodziewają się napadu nieprzyjacielskiego pokolenia Papuasów. Te powody skłaniają podróżnych do przyjęcia opieki Irlandczyka, i do udania się ku jego obozowi.

Ruszają więc wszyscy w pochód, przyspieszając kroku, bo ostatnie słońca promienie, już tylko niepewne światło z pomiędzy liści rzucają. Po przejściu gęstego lasu, zaczynają się podróżni przekonywać o prawdziwości doniesień Connello. Tu i owdzie wojownicy zpoza drzew wychylając się, zbliżają się do wodza, i na czynione zapytania, odpowiedzi otrzymują. Connel wskazuje towarzyszom inne posterunki na wierzchołkach drzew poosadzone, dla rozpoznania, i dokładnego, póki jeszcze dzień, uważania okolic. A że Anglicy postępują właśnie drogą, którą iść zamierzali, widoczna więc, że strzelby na nicby im się nie były przydały przeciw nieprzyjaciółom, co jak węże w ziołach się kryją. Lekarz też dziękuje Bogu za spotkanie wygnańca z Botany-Bay.

Noc już zapadła, a po godzinnym pochodzie, Anglicy z przewodnikiem nad brzeg małej rzeczki przybywają. Niezgrabny przewóz, z drągów gałązkami przeplatanych złożony, a przejście ułatwiający, jest wynalazkiem Irlandczyka, i największy w oczach poddanych zaszczyt mu przynosi. Niedaleko od rzeki, wznosi się w cieniu szeroki wzgórek ze szczytem spłaszczonym, okrytym drzewami, rosnącemi w kształcie parasoli. Tamto obozuje pokolenie białego dowódcy. Porozkładane ogniska wskazują drogę, a przy ich niepewnym blasku, Anglicy rozpoznają wkrótce, że chaty Horaforasów, jakby jakie ptasze gniazda, pomiędzy gałęziami drzew są pobudowane. U stóp jednego z najgrubszych pni, zatrzymując się Connel, rzecze do towarzyszków: „Otóż u mnie jesteście.” Na silne jego świstnienie, inne podobne odpowiadają świsty, i wkrótce porozpalane pochodnie błyszcząc na wierzchołku każdego drzewa, tworzą wśród boru wspańniętą iluminację. Na rozkaz wodza, wypraszają mieszkańców z dwóch domów dla pomieszczenia sześciu Anglików, a po obfitej wieczerzy, irlandzki dowódzca z grzeczną wyrozumiałością zostawia gości samych, dla dania im czasu do potrzebnego nader wypoczynku.

Nazajutrz, skoro świt, lekarz z gniazda wyszedłszy, zwiedza z Connellem i kapitanem Trainer tę szczególną wioskę. Na jednym brzegu wzgórza, wznoszą się chaty Horaforasów; widać tam grono rycerzy, wojennemi malowidłami ozdobionych, bardzo ożywioną zajętych rozmową. Za zbliże-

niem się wodza z gośćmi, koło z uszanowaniem rozstępując się, odkrywa leżącego pośrodku trupa, obcego pokoleniu Connela wojownika, jak to poznać łatwo z odmiennych białych malowideł. Ciało jego czterema przeżyte strzałami, przywiązane jest do długiego drąga, który widocznie do przyniesienia go posłużył, a który niezłe z kształtu rożen przypomina. Po wypytaniu się ludzi trupa otaczających, Connel gościom donosi, że to posterunek nieprzyjacielski dopiero co ubity. Prosi zarazem Anglików, aby się oddalili dla uniknięcia okropnego widoku. Jakoż z wsadzenia ciała tą razą na wyraźny rożen i z rozpalenia ognia, dokładnie widać na co się zanoszą. Europejczycy ze wstrętem odchodzą, a Connel przyznać jest zniewolony, że dozwala poddanym ludożerstwa z obawy, aby władzy swęj naczelnęj nie osłabić.

To pobłażanie Connela dla zwyczaju tak oburzającego, niebardzo Anglików co do przyjaznych zamiarów gospodarza zaspokaja. Położenie też coraz staje się drażliwszém. Czaty przez Connela wysłane donoszą, że potężny oddział nieprzyjacielski przebiega okolice, w nadziei pochwywania białych, skoro tylko wioskę, gdzie przyjazne znaleźli schronienie, opuszczą. Kapitał oświadcza, że chce już do okrętu wrócić, lecz Connel łatwo go przekonywa, że nierównie dla niego bezpieczniej pozostać z wojskiem Horaforasów. Z wierzchołka wysokiego drzewa nad okolicą panującego, ukazuje Anglikom obóz nieprzyjacielski. W kilku chwilach, Papuasowie mogą na tratwach rzekę przebyć i wkroczyć do wsi Horaforasów. Nie ma więc wyboru między wątpliwymi przyjaciółmi, a pewnymi wrogami; a choć niebezpieczeństwo z obu stron grożące, niebardzo przyjemne Anglikom nastęrcza myśli, postanawiają jednak zostać między Horaforasami.

Dla rozpedzenia dość ponurych myśli gości, Connel wymyśla dla nich uroczystość. Na uderzenie w chiński miedziany bęben, przy wejściu do jego chaty zawieszony, mnóstwo przybywa wojowników, kobiet i dzieci na goloborze, za plac publiczny wsi służące. Zdaje się, że to nagła zmiana przez zręcznego machinistę spełniona. Wojownicy wykonują przed europejskimi widzami różne narodowe tańce, wyobrażające polowania i potyczki. Po skończeniu widowiska, Connel myśląc zawsze o przyjemnej dla gości rozrywce, prowadzi ich do kotłów, gdzie wyrabia się i gotuje trucizna śmiertelna, do maczania strzał przeznaczona. Wreszcie ogromna uczta, składająca się ze stosów pieczonej wieprzowiny, z kup ignamów, bananów i owoców chlebowego drzewa, zakończyła to święto, dzień walki poprzedzające. Wkrótce oprócz wart na brzegach wyniosłości i na szczytach drzew czatujących, cała wieś w śnie się pogrąży. Niebo ciemne, grzmot się rozlega, błyskawice chwilami ponuro

oświecają puszcze, a dalekie ryki mieszejące się ze świstem nawalnego wiatru, kołyszą na szczytach drzew uśpione całe pokolenie wojowników. Za ustaniem zaś burzy, i gdy ogniska nieprzyjacielskie powoli gasną, Connel ostatni raz gości odwiedza. W ciągu nocy nowe przybyły zdarzenia. Dwie przednie straże ubito; jeniec nieprzyjacielski zeznaje, że Papuasowie chcą tylko dostać ludzi białych w obozie Horaforasów schronionych, że nawet zupełnie oddała się, jeżeli im Connel ich wyda. Lecz Irlandczyk tak silnie okazuje oburzenie przeciw tym, co posądzać go mogli o taką niecność, że Anglicy zupełnie się uspokoiwszy, podają mu dłoń serdeczną, a król Horaforasów idzie dopilnować ostatnich do walki przygotowań.

Równy ze dniem, uderzenie ręką naczelnika dzikich w bęben na znak niebezpieczeństwa, budzi uśpionych Anglików. Connel znowu do nich przybywa, a za nim niosą obfity posiłek. „Jedźcie, rzecze Connel, bo już może do zachodu słońca nie będziecie mieli chwili do posilenia się”. Jakoż już zewsząd palące się pochodnie błyszczą między drzewami, a Anglicy mogą z okien widzieć wojsko dzikich ludzi w szeregi szykujące się. Na widok ich srogiej postawy, szkaradnych małowideł ciała ich okrywających, podróżnikom przypomina się raczej jakiś szatański popis, zamiast wojennego zebrania. Siły Connela z ośmiuset pięćdziesięciu ludzi złożone, dzielą się na jego rozkaz na trzy części. Dowódca z Anglikami znajduje się w oddziale środkowym, skrzydłami lewem i prawem dowodzi dwóch wyprobowanych w wielu razach rycerzy. Skoro pierwsze światło dzienne wierzchołki drzew oświeca, całe pokolenie rusza w pochód przez las, i pomimo wielu miejscowych przeszkód, z takim porządkiem, że Europejczycy od podziwienia wstrzymać się nie mogą. Liczne straże z dalekich przybyłe posterunków, łącząc się z głównymi siłami, donoszą o przejściu nieprzyjaciela przez rzekę. Wojsko tak szybko postępuje, że ciszę pustyni tylko ciężki dech rycerzy przerywa. Po wyjściu z lasu, już rozpalony okrąg słoneczny ponad wschodnimi górami ukazuje się; i nieprzyjaciela też widać, w większej sile, po tej stronie rzeki postępującego. Wkrótce oba nieprzyjacielskie pokolenia naprzeciw siebie o czterysta blisko kroków zatrzymują się. Jeden z naczelników Papuasów z szeregów występuje, i na wzór starożytnych bohaterów, wyzywa pociski przeciwników. To prawdziwy olbrzym, przypominający Goliata pisma św. albo starożytnych Gallów. Broda i włosy kręda ubielone, twarz i całe ciało zakrywają białe małowidła: ma to być, wedle twierdzenia Connela, jeden z najdzikszych Papuasów, postrach samą swą przytomnością szerzący. Śmierć naczelnika tego, stanowiłaby prawie o wygraniu bitwy; Connel więc uprasza, aby najlepszy z pomiędzy Anglików strzelec, wziął go

na cel. Kapitan wskazuje na lekarza; lecz ten nie wiedziéć dlaczego wymawia się. Jeden więc z majtków, muiéj się zastanawiając, strzela, a skoro tylko wiatr dym prochu odpędził, spostrzegają wszyscy papuańskiego Goliata podnoszącego ręce do góry, i padającego na ziemié, jakby jaki ogromny posąg z podstaw ruszony. „Otóż dzięki Bogu, zawołał Connel, już szatan zginął”. Lecz w téjże chwili całe wojsko nieprzyjacielskie posuwa się dla pomszczenia śniereci naczelnika, a Connel ze swój strony nakazuje odparcie napadu Papuasów. Jedną ręką trzymając krótki toporek, drugą długi a mocny drąg, „Niech żyją Horaforasy i stara Irlandya” woła Connel, i tym wykrzyknikiem, gdzie dawne wspomnienie z obecną chlubą łączy się, daje hasło natarcia.

Pan Coulter żałuje, że nie może z dostateczną spokojnością uważać dziwnych szczegółów walki dwóch dzikich pokoleń, bo sam wśród największej znajduje się wrzawy. Wystawié sobie można wpośród gęstéj chmury kurzawy, ciała szkaradnie malowane w zapasy wchodzące; straszliwych Kannibalów miotających silnemi dłońmi, to ciężkie maczugi, to ostre topory. Trudno przypuścić połączenia dzikszyc odgłosów, jak tam gdzie wycia, krzyki, chrapania, głuchy trzask czaszek pałkami gruchotanych, towarzyszą najokropniejszym obrazom. Czasem wiatr unosząc tumany kurzu, odkrywa ziemié już trupami zastaną. Nakoniec wojownicy bialo malowani, zaczynają naprzód małemi hufcami, potém całemi oddziałami uciekać, a niedługo ogólny okrzyk zwycięstwa, świadczy o wygranej wojsk Connela. Wtedy już najzupelniejsza rzeź się zaczyna. Horaforasowie pole bitwy przebiegając dobijają tych, którym jeszcze maczugi, sztylety i strzały resztki życia zostawiły. Connel z téj zawiei kurzu i zpośród strumieni krwi, wychodzi cały zbroczoney, tak, że ręce, topor, dzida, wszystko nią zbryzgane, a malowideł na ciele jego wcale rozpoznać nie można. „Na miłość boską, rzecze mu kapitan, czyż nie możesz ludzi twoich wstrzymać od mordowania tych nieszczęśliwych rannych? Te krzyki konających są okropne”. „Tego nigdy nie dokażę; prędjéjby wiatr pokierować zdołał. Dziś już pewnie ostatni dzień pokolenia *białych wojowników* (white painted)”. To mówiąc, Connel ociera pot krwawy czoło jego zlewający, i rzuca się ze znużenia na zczzerwienioną trawę. Dzieło śmierci dokonywa się na polu bitwy, stopami walczących już ze wszelkiej zieloności wytartém, gdy tymczasem sokoły i sępy radośnie ponad trupami krążą.

Po wypoczęciu na miejscu walki, Connel w tryumfie odprowadza Anglików do okrétu. Napróžno kapitan namawia Irlandczyka do porzucenia dzikiego życia, i ofiaruje mu bezpłatny do Europy powrót. Król Horaforasów przysiągłszy nie porzucać pokolenia, umrze wśród lasów

Nowej Gwinei, a wojownicy czerwono malowani tańcować będą wokoło stosu ognistego, kości jego pożerającego. Kapitan silniej nalega; już wprawdzie ła w oku Connela błyszczy, i przez chwilę w milczeniu na współkrajowców spogląda; lecz nagle puszcza ręce kapitana, które dotąd ściskając trzymał, wydaje przeraźliwe świstnienie i znika w lasach, dziękami otoczony.

Oto ostatni obraz podróży. Okręt przybywa do Tahiti, gdzie właśnie *Stratford* potrzebne uzupełnia zapasy. Pan Coulter widzi, jak bryg *Hound* odplywa do Chili, gdzie później jego przyjaciel kapitan Trainer osiada, i żeni się z młodą, bardzo bogatą kreolką. Dziś p. Trainer żyje szczęśliwie i spokojnie w Santjago, stolicy rzeczypospolitej Chilijskiej; doktor zaś Coulter w jakąś sobotę zawija do Londynu, a nazajutrz nie bez wzruszenia przysłuchuje się odgłosowi dzwonów, zwołujących wiernych do świątyń na nabożeństwo.

ADAM ŚMIGIELSKI

CHORAŻY NADWORNY KORONNY, STAROSTA GNIEŹNIĘSKI.

1703 — 1716.

PRZEZ

Razimierza hr. *Tarnowskiego*.

I.

Znanemi są powszechnie ważniejsze wypadki wielkiej wojny północnej, u nas drugą wojną szwedzką zwaną. Karol XII zwyciężywszy potężnych nieprzyjaciół, wchodzi do Litwy a następnie do Polski, zajmuje Warszawę, odnosi zwycięstwo pod Klissowem, bierze szturmem Kraków, zwycięża Sasów pod Pułtuskim, zdobywa Toruń a następnie Lwów, wchodzi do Saxonii, i zmusza Augusta II do zatwierdzenia pokoju, zawartego przez jego ministrów w Alt-Ranstadt. Uciążliwemi były dla króla Augusta warunki tego pokoju. Musiał się rzec korony polskiej i tytułu króla polskiego (1), oddać dyplom swój elekcyi Stanisławowi, a nawet napisać list, winszując mu wstąpienia na tron. W ciągu wojny, posłowie rzeczypospolitej, ajenci króla Augusta i ministrowie innych mocarstw, ofiarować chcieli Karolowi XII korzystne warunki pokoju; lecz król szwedzki nie przyjął ofiarowanego mu zadosyćuczynienia, chciał bowiem zemścić się na głównie działającym w koalicji trzech mocarstw, pozbawiając go korony. Po bitwie pod Puławą, Karol XII przestaje zwyciężać i władać; wtedy August II wraca do Polski, a król Stanisław Leszczyński ustępuje do Pomeranii (2).

(1) August II rzekł się tytułu *króla polskiego*, ale zachował tytuł króla bez dodatku *polskiego*.

Przyp. aut.

(2) Histoire de Charles XII par M. J. A. Nordberg, ci-devant Chapellain et Confesseur de S.M.; à la Haye. 1748. 4 tomy w 4cc. Ob. t. I. 50. seq. 127. 136. 246.

II.

W czasie téj wojny, wojska szwedzkie, saskie i sprzymierzone wojska koronne i litewskie przebiegają kraj, przechodzą szybko z jednéj prowincyi do drugiej, ścierając się z nieprzyjacielem lub ustępując mu miejsca, zbierają kontrybucye, i nieraz palą całe wsie i miasta. Tysiące ludzi ginęło skutkiem działań wojennych w bitwach, utarczkach, przy zdobywaniu miast; nie mniejsza liczba padła ofiarą głodu i zarazy. Od 20 czerwca do 20 września 1708 r., t. j. w ciągu trzech miesięcy, zmarło w Warszawie w skutek morowego powietrza 15,340 osób (1). W 1708, 1709 i 1710 r. w Wilnie, na Litwie i Żmudzi, panował głód i morowe powietrze (2). W Prusach polskich grasowało silnie morowe powietrze w r. 1708. Mocne zimna w grudniu tegoż roku, wstrzymały jego rozprzestrzenienie się, lecz gdy ustały, zaczęło znowu ukazywać się, nawet w miejscach, które piérwój wolnemi były od téj plagi (3).

III.

Oprócz wojsk regularnych krajowych i zagranicznych, walczyły* jeszcze w obronie stronnictwa Augustowskiego i Stanisławowskiego, oddziały partyzantów, pod dowództwem Radomickiego, Śmigielskiego, Chomętowskiego, Grudzińskiego, Baranowicza i innych. Adam Śmigielski (4), starosta gnieźnieński, był jednym z najzarliwszych i najużyteczniejszych stronników króla Augusta. Wielkopolskie miasto Śmigiel, było gniazdem rodu Śmigielskich. W XIV wieku Śmigiel należał do Wincentego z Kępy wojewody poznańskiego, który czynny miał udział w wojnie domowej Grzymalczyków z Nałęczami (1383 r). Za przychylność okazaną królowej Jadwidze, a następnie Władysławowi Jagielle, otrzymał w darze dobra Bnin, i z Bnina pisać się począł. Jeden z jego potomków, dziedzic Bnina, Radzewa, Opalińca, Śmigla, Poniecy i Rogalina, rozdał dobra te sześciu synom swoim, i rozkazał im w testamencie przybrać od dóbr tych nazwiska; ztąd powstały domy: Bnińskich, Radzewskich, Opalińskich, Śmigielskich, Ponińskich i Rogalińskich. Z rodu Śmigielskich herbu Łódzia, pochodził Adam Śmigielski starosta gnieźnieński, następnie chorąży nadworny koronny, o którym mówić zamierzylimy. W r. 1703 naznaczo-

(1) Histoire de Suède sous le regne de Charles XII, par M. de Limiers. Ob. t. V. 85.

(2) Wilno, przez J. I. Kraszewskiego, t. II. str. 84. 85.

(3) Geschichte der Lande Preussen Polnisches Antheils unter dem Könige August dem zweiten, von Gottfried Lengnich. Danzig. 1755, fol. 238.

(4) Niektórzy nowsi pisarze błędnie piszą: *Szmigielski*. W dziełach bowiem krajowych i zagranicznych z piérwszój połowy XVIII wieku, w aktach, listach i innych rękopismach, czytamy *Śmigiel* i *Śmigielski*. *Przyp. aut.*

nym został przez sejm deputatem do boku króla Augusta, i kommissarzem dla oznaczenia granic od Szlązka: Podczas wojny z Karolem XII, Śmigielski odznaczył się śmiałością przedsięwzięć, odwagą, stałością i szczęściem w ich wykonaniu; piérwszy strwożył Szwedów, gdyż ustawicznie na ich stanowiska napadał, i nieraz z pomyślnym skutkiem z nimi walczył (1). Lud wielkopolski nie zapomniał o Adamie Śmigielskim, i teraz jeszcze słysząc można w Gnieźnieńskim wesołą piosnkę o panu Śmigielskim śpiewaną.

IV.

W roku 1703 zawiązały się w Polsce konfederacye rozmaitych odcieni. Konfederacya wielkopolska, zawiązana w Środzie pod laską Piotra Bronisza starosty pyzdrowskiego, miała na celu uspokojenie kraju, zawarcie przymierza z królem szwedzkim, nie naruszając jednak praw Augusta II. Chorągwie koronne w Wielkopolsce stojące, złączyły się z konfederacyą wielkopolską, i obrały sobie za regimentarza Stanisława Leszczyńskiego, wojewodę poznańskiego (2). Na wzór téj konfederacyi, potworzyły się inne w województwach: sieradzkiém, brzesko-kujawskiém, płockiém, chełmińskiém, malborskiém, pomorskiém i w ziemi Dobrzyńskiej. W styczniu 1704 r. na zjeździe w Warszawie, wszystkie te konfederacye złączyły się w jedną całość, i utworzyły generalną konfederacyą warszawską, która coraz bardziej ulegać poczęła wpływowi szwedzkiemu. Na sejmiku w Opatowie w dniu 29 stycznia 1704 r., szlachta województwa sandomierskiego zawiązała konfederacyą zwaną sandomierską, pod laską Stanisława Dönhoffa łowczego W. Ks. litewskiego, na obronę Augusta II. Później, szlachta innych województw złączyła się z konfederacyą. Sześciuset szlachty z województw kaliskiego i poznańskiego, którzy pod starostą Radomickim zaprzysięgli w Kościanie związek we wrześniu 1703 r., później złączyli się z konfederacyą sandomierską. Armia koronna po przejściu hetmana wielkiego Lubomirskiego do konfederacyi warszawskiej, złączyła się prawie cała na obronę praw króla Augusta, i obrała sobie za marszałka Stanisława Chomętowskiego, starostę radomskiego (3).

V.

August II użył wszelkich środków w celu zjednania sobie stronników i obronienia praw swych do korony; zamiary bowiem Karola XII

(1) *Historya Narodu Pols.* Naruszewicza, ks. XXVIII. Niesiecki III. 139. Ob. Herbarze Szymona Okolskiego i Duńczewskiego.

(2) Ob. list Bronisza z dnia 13 maja 1703 i laudum konf. wielkopolskiej z d. 14 listopada 1703 r. Rękopism fol. nr. 294 biblioteki rządowej warszawskiej.

(3) Lengnich. l. c. fol. 149, 158, 163.

coraz widoczniejszomi się stawały. W liście pisanym do Śmigielskiego, datowanym z Ujazdowa d. 18 października 1703 r., król August dziękuje mu, że własnym kosztem zaciągnął znaczny oddział wojska; oświadcza, iż przyjmuje ten oddział na żołd skarbu nadwornego, i poleca, aby przestrzegał porządku wraz z innemi starostami, bronił domów szlacheckich od najazdów, nie dozwalał aby posiłki i żywność nieprzyjacielowi były dostawiane, łupy z kraju wywożone; nakoniec, aby ścierał się z nieprzyjacielem przy zdarzonej sposobności, pomnąc na sławę, która go czeka i na wdzięczność rzeczypospolitęj (1). W Wielkopolsce król August miał dwa partyzanckie oddziały pod dowództwem Śmigielskiego i Radomickiego, które wiele złego przeciwnikom narobiły. Oddział Śmigielskiego miał się składać z 200 Polaków i 30 Sasów. Zdobył Śmigielski Leszno, dziedziczne miasto wojewody poznańskiego, nałożył kontrybucye na dobra konfederatów warszawskich, i podstąpił pod Poznań, gdzie zabrał około stu koni szwedzkich pasących się na łąkach. Generał Mardefeld z oddziałem jazdy chciał go sam ścigać, lecz w działaniu nastąpiły trudności; wysłał więc w pogoń pułkownika Dobrosolskiego z czterema chorągwiami jazdy koronnej, i podpułkownika Hagen ze 100 końmi. W odległości półczwartej mili od Poznania dogonili oni oddział Śmigielskiego, i w zaszłej utarczce (d. 27 maja 1704 r.) część tego oddziału poległa, reszta ustąpiła z placu; konie jednak szwedzkie odbitemi nie zostały (2). Radomicki generał-starosta wielkopolski z bratem swoim kasztelanem poznańskim i Śmigielskim złączył się z armią saską, przybyłą do Polski pod dowództwem Schulemburga. Śmigielski zajął stanowisko nad Wartą, i nie przestawał niepokoić Szwedów w ziemi poznańskiej stojących (3).

VI.

Zimę 1705 r. Karol XII przepędził w Rawiezu, małym mieście wielkopolskiem, położoném niedaleko od granicy szląkiej. Miasteczko to otaczał wokoło mur, lecz tak zniszczony, że jeździec mógł go przeskoczyć. Bram strzegło kilkunastu mieszczan; wszystkim wolno było wchodzić i wychodzić. Ciekawość sprowadzała wiele osób z zagranicy, ze Szlązka, chcących widzieć króla szwedzkiego; wśród téj ciżby mogły się wcisnąć do miasta osoby, mające złe zamiary. Z tego powodu, radzono królowi

(1) Ob. przypisy, nota I.

(2) Histoire de la vie et des campagnes de Charles XII, par Gustave Adlerfeld, Chambellan du Roi. Amsterdam. 1740. 4 vol. 8-vo. Ob. II. 50. 321. Nordberg. I. 449. 450. Limiers III. 352.

(3) Adlerfeld. l. c. II. 231. Lengnich. fol. 183.

sprowadzić dla bezpieczeństwa kilka kompanij piechoty, a to tém bardziej, iż często w okolicach miasta ukazywały się oddziały nieprzyjacielskie. Młody król nie uważał na to, codziennie wyjeżdżał konno z nielicznym orszakiem; zaraz po Nowym Roku udał się do Wielunia, a następnie odbył przegląd pułków, rozłożonych na zimowe leże. W kilka dni później dowiedziano się, na jakie niebezpieczeństwo narażonym był król. Pewien szlachcic polski, wzięty w niewolę przez Śmigielskiego, znalazł sposobność ucieczki, przybył do Rawicza i uwiadomił, iż około trzech tygodni przedtém, partyzant na czele oddziału złożonego z 200 koni stanął w lesie najbliźszym miasta, w zamiarze porwania króla szwedzkiego. Widział króla jadącego z trzema innymi osobami, lecz ponieważ jechano powoli (co nie było zwyczajem Karola XII), mniemał, iż się omylił, i że króla tam nie było; polegając na tém, tych czterech jeźdźców przepuścił, nie chcąc robić hałasu. Dowiedziawszy się później, że to istotnie król przejeżdżał, oddał się zmartwiony, że mu się przedsięwzięcie nie udało. Wszystkie okoliczności stwierdzały prawdziwość tego opowiadania, i król nie mógł już wątpić, iż rzeczywiście narażonym był na wielkie niebezpieczeństwo. Otaczające go osoby i hrabia Schippenbach poseł dworu berlińskiego, korzystali z téj okoliczności i ponowili prośby, aby się więcej nie narażał. Karol XII odpowiedział, że ma w Bogu nadzieję, iż go obroni od zamachów nieprzyjacielskich, i że zresztą nikt go żywego w niewolę nie weźmie. Mimo to jednak, zaczęto ostrożniej dowiadywać się o osobach wchodzących do kwatery królewskiej, i ogłoszono, iż ktoby dostawił Śmigielskiego, otrzyma 12,000 złotych nagrody. Partyzant dowiedziawszy się o tém, odstąpił ku Krakowowi (1).

VII.

Śmigielski rozegnał sejmik ziemi sieradzkiej, i porwał marszałka Iwańskiego. Następnie wziął w niewolę w okolicach Łęczycy 60 ludzi z oddziału, zostającego pod dowództwem Grudzińskiego. Województwo sandomierskie z początku sprzyjało królowi Augustowi, lecz następnie nieprzyjaciele króla zaczęli brać górę. Śmigielski na czele 2,000 Sasów, wojska konfederackiego i własnego, rozproszył szlachtę na sejmik w Opatowie zebraną, zwyciężył znaczny oddział jazdy szwedzkiej, która miała bronić miasta, i wziął w niewolę podkomorzego sandomierskiego, który był marszałkiem sejmiku, kasztelana sandomierskiego, kasztelana radomskiego Morsztyna, kasztelana małogoskiego, sekretarza, kilka osób znaczniejszych i odesłał do Brześcia Litewskiego (1 czerwca 1705). Te korzyści niewiele pomogły stronnictwu Augustowskiemu; wojewodowie

(1) Nordberg. I. c. księga VII.

i panowie wszyscy prawie albo skłaniali się do stronnictwa przeciwnego, albo coraz obojętniejszemi dla sprawy króla Augusta stawali się. W piętnaście dni po rozpedzeniu przez Śmigielskiego, sejmik w Opatowie na nowo zebrał się, z większą jeszcze żwawością powstawano na konfederacyą sandomierską, i tym sposobem prawie zniesioną ona została tam właśnie, gdzie zawiązaną była (1).

VIII.

Po wzięciu Torunia, Karol XII umyślił przywieść do skutku swój zamiar detronizowania Augusta II i dania Polsce innego króla. Lecz dopiero w styczniu 1704 r. utworzyła się generalna konfederacya warszawska, a kardynał prymas Radziejowski uniwersałem swoim z d. 2 maja 1704 r. ogłosił bezkrólewie. Król szwedzki chciał oddać koronę polską jednemu z synów Jana III, którego czyny wychwalał (2); lecz gdy królewicze Jakób i Konstanty, na drodze między Olawą i Wrocławiem ujęci i z rozkazu Augusta II do Saxonii zaprowadzeni zostali, a królewicz Alexander pomimo nalegań Karola XII i jego ministra hrabiego Pipera, nie chciał przyjąć ofiarowanej mu kandydatury (3); wtedy król szwedzki postanowił wynieść na tron polski 27-letniego wojewodę poznańskiego, Stanisława Leszczyńskiego, którego dawniej poznał i polubił. W d. 12 lipca 1704 r. Stanisław Leszczyński obrany został królem, pomimo sprzeciwienia się postów podlaskich, i nieobecności kardynała prymasa, Lubomirskiego hetmana W. K. i innych senatorów. Nominował go Święcicki biskup poznański, pomimo klątwy rzuconej przez papieża na duchownego, któryby w nowej elekcji brał udział (4). Wybór ten niezupełnie jeszcze zadowolnił króla szwedzkiego; mniemał on, iż nie trwałego działaniem nie zostało, dopóki król Stanisław koronowanym nie był, i dlatego przyspieszał ten obrzęd. Ogłoszono uniwersały, celem zwołania szlachty na sejmiki, mające uczynić przygotowania do przyszłego sejmiku koronacyjnego. Śmigielski wpadł do Warszawy, rozkazał poroździć uniwersały księcia kardynała i marszałka Bronisza, a ogłosić wezwania Augusta II, powołujące szlachtę, aby wsiadała na koń dla obrony króla i konfederacyi sandomierskiej. Sejm zwołany do Warszawy nie był tak licznym, jakim być był powinien. Śmigielski z oddziałem swoim stanął

(1) *Histoire de Pologne sous le regne d'Auguste II*, par M. de Parthenay; à la Haye. 1734. Ob. t. III str. 91, 92, 97, 99. *Obraz Polaków i Polski w XVIII w.* t. I. 124. Nordberg. II. 17.

(2) W czerwcu 1702 r. Karol XII odwiedził dwa razy zwłoki króla Jana Sobieskiego, złożone w kościele OO. Kapucynów w Warsz. Nordberg. I. 236.

(3) *Lengnich*. fol. 175.

(4) *Adlerfeld*, II. str. 130—136.

niedaleko stolicy, w zamiarze porwania senatorów i posłów jadących do tego miasta, jako należących do stronnictwa Stanisławowskiego. Z powodu ciągłych napadów ze strony podjezdników Augustowskich, posłowie wielkopolscy nie śmieli udać się do Warszawy. Na prośbę króla Stanisława, generał Nieroth z czterema pułkami jazdy, otrzymał polecenie zaślania Warszawy, gdzie sejm się odbywał. Król Stanisław udał się następnie z Rawicza do Warszawy z trzema postami szwedzkimi, pod eskortą dwóch pułków szwedzkiej piechoty (1). W dniu 3 października 1705 zaprzysiął król Stanisław *pacta conventa*, a nazajutrz arcybiskup lwowski Konstanty Zieliński, koronował go w kościele św. Jana (2).

IX.

Prusy polskie ciągle były najeżdżane przez oddziały podjezdników Augustowskich. Pułkownik szwedzki Ekeblad dowodzący w Elblągu, uważał się, iż ma trudność utrzymania żołnierzy w karbach obowiązku, i że prawie niepodobna mu jest sprowadzać żywność i zbierać kontrybucye. Major Gustaw Oxenstirna został odkomenderowanym na czele oddziału, złożonego z 300 koni, do Warmii, dla zbierania kontrybucyi. Dano mu rozkaz obrania kwatery w Heilsbergu, jako w środku prowincyi, i wysyłania małych oddziałów w okolice, tak, aby miał zawsze przy sobie 160 żołnierzy. Nie wiadomo czyli ten rozkaz ściśle był wykonany, dosyć, iż pewnego dnia, hrabia Oxenstirna obiadując z żoną swoją, został napađnięty przez Śmigielskiego (22 września 1705 r.). Partyzant udał się zaraz do zamku i wziął w niewolę wszystkich, którzy się tam znajdowali; porucznik, 3 podoficerów i 24 żołnierzy, zmuszeni zostali do złożenia broni. Hrabina Oxenstirna otrzymała pozwolenie powrócenia do Elblągu; poczem partyzant odstąpił, uprowadzając jeńców i zdobycz. W kilku innych miejscach Warmii, Śmigielski wziął w niewolę oddziały szwedzkie, wysłane dla zbierania kontrybucyi, i odebrał im pieniądze na ten cel złożone (3).

X.

W tym czasie, gdy Śmigielski działał w okolicach Heilsbergu, Chomętowski wszedł do Prus i wziął szturmem Malborg (d. 29 września 1705 r.). Z 80 Szwedów, 28 poległo, reszta wzięta w niewolę; w mieście pozwolono żołnierzowi rabować przez trzy godziny (4). Z Warmii udał się

(1) Nordberg, II. 22. Adlerfeld, II. 409, 415, 438.

(2) Adlerfeld, II. 466—476.

(3) Nordberg. II. 30. Adlerfeld. II. 463.

(4) Parthenay. III. 127. 8. Lengnich fol. 202. Parthenay powiada, że Śmigielski zdobył Malborg, a Lengnich utrzymuje że Chomętowski. Poszliśmy za ostatnim, gdyż mógł mieć dokładniejszą wiadomość, i jego zdanie jest więcej podobne do prawdy.

Śmigiełski do Małopolski. Garnizon krakowski złożony z chorągwi Stanisławowskich, w części wyciął, w części wziął w niewolę. Spotkawszy za Krakowem chorągwie starosty spiskiego, które po 40 tyńców podymnego na siebie wybierały, nagle nie napadł i większą część w niewolę wziął. Między zdobyczą znajdowała się jedna chorągiew Stanisławowska, na niej były haftowane jakby połamane saskie miecze, a nad nimi orzeł polski z podniesioną w górę głową, i z napisem z psalmu wyjętym: „Confregisti Domine gladios inimicorum et exaltasti caput meum.” (Połamałeś Panie miecze nieprzyjaciół, i wyniosłeś głowę moją). Śmigiełski przeprowił się następnie przez Wisłę pod Zawichostem, i pod Kielcami zwyciężył dwie chorągwie wojewody kijowskiego. Chciał wziąć zamek kielecki, lecz Grudziński dowódzca załogi mężnie się bronił, i Śmigiełski musiał odstąpić (1).

XI.

W dniu 8 stycznia 1706 r. król Stanisław uwiadomił króla szwedzkiego, iż wie z pewnością, że Śmigiełski ma zamiar przejścia na jego stronę, byleby mu dano amnestyą za to wszystko, co się dawniej stało. Karol XII rozkazał natychmiast wygotować list bezpieczeństwa dla partyzanta, zapewniając go przytém o swój protekcyi i życzliwości. Śmigiełski nie korzystał z tego, ciągle zostawał stronnikiem Augustowskim; wraz z generałem Szulcem wysłany na podjazd, ścierał się ze Szwedami, gwardye Stanisławowskie zabierał, na Pradze pod Warszawą zniósł pułk generała Skorzewskiego. Dnia 30 stycznia 1706 r. przybył król August do Tykocina, gdzie spotkał Śmigiełskiego; przyprowadził mu on kilku jeńców ze stronnictwa Stanisławowskiego, między innemi Urbanowskiego sekretarza konfederacyi warszawskiej, wziętego wraz z rejestrami (2). Po bitwie pod Wschową niepomyslną dla Sasów (14 lutego 1706 r.) król August wrócił do Warszawy, a następnie udał się do Krakowa. Wydał rozkaz fortyfikowania miasta, Śmigiełskiego zaś wysłał dla obserwowania Szwedów, i niepokojenia przez podjazdy (3).

XII.

Hrabia Truchses pułkownik szwedzki, zwerbował w Prusach pułk dla króla Stanisława. Ponieważ ten pułk miał służyć pod wojewodą Potockim, to wojewoda ułożył się z nim o warunki kupna. Zaledwie 400 ludzi zostało zwerbowanych i umundurowanych; Śmigiełski dla rozproszenia pułku wszedł do Prus królewskich, przeszedł Wisłę po lodzie,

(1) Życie Stanisława I. 1744. Limiers. IV. 108.

(2) Limiers. IV. 113. Nordberg. Pamiętniki Otwinowskiego.

(3) Adlerfeld. II. 550.

i nagle ukazał się w okolicach Malboga. Truchses ostrzeżony zaczął odstępować, lecz tak opieszale i nieczłecznie, że Śmigielski dopędziwszy go, wziął w niewolę wraz z całym prawie oddziałem, z którego część poległa, a bardzo mało kto uszedł. (Marzec 1706). W końcu tegoż miesiąca Śmigielski odstąpił ku Warszawie, gdzie był garnizon Augustowski, opuścił Prusy królewskie dowiedziawszy się, że generał Renschild wystął przeciw niemu znaczny oddział swego wojska (1).

XIII.

W nagrodę za tyle zasług, August II oblarzył Śmigielskiego dostojenstwami i dzierżawami królewskimi. Dobra królewskie Piętno, położone w województwie kaliskim, powiecie konińskim, po śmierci Filipa Konarzewskiego starosty konińskiego, oddane zostały w posiadanie Adamowi Śmigielskiemu, przywilejem z dnia 6 lutego 1703 r. (2). Dobra Kazuń położone w województwie mazowieckim, posiadane przez Stanisława Leszczyńskiego wojewodę poznańskiego, nadane zostały Adamowi Śmigielskiemu, staroście gnieźnieńskiemu, pułkownikowi J. K. M., przywilejem datowanym w Warszawie d. 16 lutego 1706 r. (3). Otrzymując dary królewskie, Śmigielski nie zapomniał o towarzyszach broni. Na jego wstawienie się, dobra Żakowice nadane zostały Stanisławowi Malczewskiemu, rotmistrzowi J. K. M., przywilejem datowanym w Łowiczu d. 22 lutego 1706 r. (4). Franciszek Szembek otrzymał urząd stolnika koronnego; a wakujące po nim chorążtwa nadworne koronne, oddane zostało Śmigielskiemu, przywilejem z d. 13 kwietnia 1706 r. Porucznikostwo znaku huzarskiego, po otrzymaniu przez Stanisława Rzewuskiego referendarza koronnego buławy polnej, oddane zostało Śmigielskiemu, przywilejem z d. 5 maja 1706 r. (5).

XIV.

Stojąc w Krakowie, otrzymał Śmigielski wiadomość, iż w okolicach ukazują się oddziały szwedzkie. Wyszedłszy z miasta, napadł na 300 Szwedów stojących w Kazimierzu, którzy ustąpili z przedmieścia i schroniwszy się do pobliskiego kościoła OO. Kamedułów, dawali odpór. Zpieścił połowę kawalerii saskiej i swoją dragonią, znaczną część nieprzyjaciół położył trupem, a żywcem wziął kilku oficerów i 83 żołnierzy, których dnia 19 maja 1706 r. królowi Augustowi w Łobzowie oddawał. Wesoło i wspaniale przyjętym został, jako mężnie i wiernie królowi swe-

[1] Nordberg. II. 82. Limiers. IV. 140. 141.

[2] Registrum expeditionum regni 1702 — 1706, fol. 22; w Archiwum głów.

[3] Registrum fol. 212. (4) Registrum fol. 214. (5) Registrum fol. 226. 232.

mu i krajowi służący (1). Otrzymałszy pomoc i widząc się na czele oddziału, złożonego z 3,000 ludzi, częścią Polaków, częścią Sasów, Śmigieński postanowił uderzyć na wojewodę kijowskiego Józefa Potockiego, który wraz z wojskiem swém udał się do Prus. Niedaleko Torunia wziął w niewolę niewielki oddział, i to pierwsze powodzenie podało mu myśl wzięcia samego wojewody, który miał kwaterę w Alhauzen, a wojsko rozesłane w różne strony. Za zbliżeniem się Śmigieńskiego, Potocki śpiesznie udał się do zamku, gdzie zamknął się z resztą wojska, które miał przy sobie (d. 18 czerwca 1706 r.). Partyzant rozkazał natychmiast swoim dragonom saskim zsiąść z koni i iść do szturm. To działanie nie miało pomyślnego skutku; poległo przeszło 40 ludzi, między innymi podpułkownik Hoppe i kilku oficerów. Śmigieński odstąpił ku Toruniowi, przeszedł po moście toruńskim na drugi brzeg Wisły, i następnie złączył się z armią królewską. Wojewoda kijowski zebrał wszystkie swoje oddziały, poszedł za nim, lecz pomimo pośpiechu, nie mógł go dogonić. Mając podejrzenie, iż obywatele miasta Torunia dali pomoc Śmigieńskiemu, wszedł do miasta i nałożył znaczną kontrybucją. Pułk Stanisławowski dragonów Skorzewskiego z Leszna przybyły, stanął także w Toruniu, i przez miasto żywionym i opłacanym być musiał. Nakoniec d. 24 lipca miasto pozbyło się nieprzyjemnych gości, gdy wojewoda udał się do Wielkopolski, gdzie miał stać z wojskiem swoim, podczas gdy król szwedzki wtargnął do Saxonii (2).

XV.

August II stał z wojskiem pod Stawem, o dwie mile od Kalisza, gdzie był obóz szwedzki generała Mardefelda, i ociągał się z wydaniem bitwy, gdyż wysłał był postów w celu zawarcia pokoju z Karolem XII, i otrzymał wiadomość o zawarciu traktatu. Pfingsten przywiózł wraz z traktatem zawartym w Alt-Ranstadt listy Karola XII i króla Stanisława, do Mardefelda i do wojewody kijowskiego pisane; lecz te listy zapóźno, bo już po bitwie doszły. August II ostrzedz miał nawet Mardefelda, iż dla nieściągnięcia na siebie podejrzania generałów sprzymierzonego wojska, jakoby wszedł w układy z królem szwedzkim, będzie musiał pomimo zawartego pokoju, wydać bitwę, i radził mu odstąpić zpod Kalisza. Generał szwedzki uważał ten krok za podstęp, i uczynił przygotowania do bitwy. Z drugiej strony król August pobudzony naleganiami Menżykowa i prośbami Śmigieńskiego, wydał bitwę, uwieńczoną zwycięstwem, w dniu 29 października 1706 r. Na prawem skrzydle postawiono wojsko ros-

[1] Niesiecki III. 139. Ob. wyjątek z współczesnego rękopismu, umieszczony w dziele: Kraków i jego okolice. 1844, str. 305.

[2] Nordberg. II. 98. Lengnich fol. 211. 212.

syjskie, uszykowane we trzy linie, na lewém saskie we dwóch liniach. Armia koronna dowodzoną była przez hetmanów Sieniawskiego i Rzewuskiego. Śmigielski na czele 12 chorągwi polskich i dwóch pułków dragonii, stał przy wsi Kosielnowicach. Działania rozpoczęły się między trzecią a czwartą po południu. Szwedzi walczyli mężnie, lecz liczbą nieprzecią a czwartą po południu. Szwedzi walczyli mężnie, lecz liczbą nieprzyjaciół pokonani zostali. Odznaczył się generał Krassan i pułkownik Gustaw Horn. Piérwszy zdołał się przebić wraz z małym oddziałem. Generał Mardefeld ranny, wzięty został w niewolę wraz z czterema pułkownikami i znaczną częścią wojska. Piechota szwedzka do szczętu rozbitą została, jazda w ucieczce prawie zupełnie zniesiona przez Śmigielskiego i oddział wojska rossyjskiego. Siedmiuset Szwedów poległo na placu. To zwycięztwo przed trzema miesiącami możeby poprawiło położenie zwycięzcy, lecz w okolicznościach w jakich się znajdował, więcej mu szkodziło niż pomagało. Pokój w Alt-Ranstadt podpisany już został przez ministrów króla Augusta, a cała prawie Saxonia była zajęta przez wojska szwedzkie (1).

XVI.

W bitwie pod Kaliszem, wzięci zostali w niewolę: wojewoda Potocki, Tarło kuchmistrz koronny i kilku innych panów. Karol XII żądał ich uwolnienia; król August polecił Śmigielskiemu odbić ich Sasom i wydać Piotrowi I. Po odbytej pozornój bitwie, Śmigielski odebrał jeńców i zaprowadził ich do Przemyśla pod strażą swoją. Następnie udał się do Żółkwi, gdzie była kwatera generała Menżykowa, dla uwiadomienia go o tém, co się zdarzyło. Otrzymał nagane za to, iż sam chciał przedstawić jeńców Piotrowi I i rozkaz wydania ich natychmiast. Urażony Śmigielski, a przytém wiedząc, iż August II zrzekł się korony polskiej w traktacie zawartym z Karolem XII i uwolnił poddanych od przysięgi, postanowił oswobodzić wojewodę i przejść na stronę Stanisława. Wróciwszy do Przemyśla, uczynił propozycją jeńcom, iż z niemi uda się do Saxonii, jeżeli go zapewnią, iż amnestyą od króla szwedzkiego otrzyma. Wtedyto panowie uradowani, uczynili mu wiele obietnic, a wojewoda kijowski przybiecał mu dać córkę swą za żonę. Śmigielski rozbroił 150 dragonów stojących w Przemyśle, na drodze wziął generała Pfluga i dwóch pułkowników, zaprowadził ich do Poznania, i oddał pod straż garnizonu. Generał Brand poszedł za przykładem Śmigielskiego, i wraz z wojskiem zostającym pod jego rozkazami, wszedł w służbę króla Stanisława. Udawszy się do Saxonii, uprzejście przyjęci zostali przez obu

(1) Lengnich, fol. 214. 215. Nordberg, II. 127. Adlerfeld III. 78. Pam. Otwinowskiego. Parthenay, III. 168.

królów (grudzień 1706 r.). W Leśnigu, w odległości mil sześciu od Lipska, mieszkał wraz z dworem swoim król Stanisław. Tam on przyjmował panów polskich, którzy łączyli się z jego stronnictwem, tam rozdawał wysokie dostojęstwa krajowe swoim stronnikom (1).

XVII.

W wojsku Stanisławowskiem, Adam Śmigielski otrzymał stopień generała-majora. Zarzut mu czyni Otwinowski, iż gardzić zaczął polskimi pocztami, a zbierał cudzoziemskie rajtarye, które nie na wiele mu się przydały. Utarczki z kwarcianami, z Kozakami i Kałmukami, częścią niepomyślne, częścią szczęśliwe były. Pułkownik Świniarski na czele kwarcianego wojska zdobył Kalisz, z którego ustąpić musiał Śmigielski, i w mieście tém zabrał wiele broni, przygotowanej dla nowych pułków Stanisławowskich. Świniarski wracając przez Piotrków, rozpedził trybunał, który tam zaczął sądzić w imieniu króla Stanisława. Pod Koronowem napadłszy na Kałmuków, zadał im znaczną klęskę Śmigielski, lecz za zbliżeniem się tłumu Kozaków i wojska regularnego, zmuszonym został do odstąpienia. Wkrótce potem Śmigielski rozproszył oddział wojska, odebrał zabrane przedmioty, między innymi: obrazy, statuy, naczynia kościelne i t. p. (2).

XVIII.

W Lublinie zawiązała się była konfederacya, złożona z tych stronników Augustowskich, którzy, niezadowoleni z abdykacyi króla Augusta, nie chcieli uznać Stanisława, i powzięli zamiar obrania sobie innego króla. Konfederaci lubelscy, nieprzyjaciele stronnictwa Stanisławowskiego, kilkakrotnie napadali na wojska Stanisławowskie i szwedzkie (sierpień 1708 r.). Aby pomścić się za te zniewagi, Śmigielski przeprowił się przez Wisłę na czele oddziału, złożonego z 6,000 ludzi, i poszedł atakować Rybińskiego. Wojsko tego ostatniego, dosyć liczne, stało pod Skrzynnem. Z początku mężnie się broniło, lecz zmieszane rozpierzechło się, i z wielkim pośpiechem było gonione. Część oddziału poległa, część wziętą została w niewolę; reszta rozproszona, i tym sposobem Rybiński stracił przewagę z której się chlubił (3). Wojewoda Potocki zpod Lwowa ruszył do Małopolski, i łączywszy wojsko swe z oddziałem Śmigielskiego, obległ Wieluń, gdzie zamknęło się 27 chorągwi, należących do wojska Rybińskiego. Chorągwie te zmuszone zostały poddać się i złożyć

(1) Nordberg, II, 136. Adlerfeld, III, 118, 160. Parthenay, III, 102. Limiers, IV, 205, 206.

(2) Limiers, IV, 254. Pamiętniki Otwinowskiego, str. 124, 129.

(3) Nordberg, II, 257.

przysięgę na wierność królowi Stanisławowi. W okolicy Łowicza połączone wojska Potockiego i Śmigielskiego, otoczyły i wzięły w niewolę oddział Brzuchowskiego, a następnie udały się na Litwę (1).

XIX.

Podczas gdy król Stanisław bawił we Lwowie (1709), i bezpiecznym być się mniemał, nadeszła wiadomość, iż hetman Sieniawski pod Międzyborzem na Podolu złączył się z baronem Golcem i wojskiem rosyjskiem; po tém złączeniu się miał zamiar wprost iść na Lwów. Śmigielski chcąc wstrzymać ten pochód, przedsięwziął zdobyć Brzeżany, dziedziczne miasto Sieniawskiego; lecz załoga i działa obroniły miasto, a przybyły pułkownik Krosnowski, zmusił Śmigielskiego do odstąpienia. Karol XII rozpocząwszy oblężenie Pułtawy, chciał aby wojsko Stanisławowskie i pułki szwedzkie w Polsce stojące z nim się złączyły. Rozkazy jednak jego nie doszły do Lwowa, gdyż wszystkie przejścia zajęte były przez oddziały Golca i Sieniawskiego; komunikacja była zupełnie przeciętą, przez ośm tygodni nie miano żadnej wiadomości z obozu szwedzkiego (2). Zaczęły następnie nadchodzić wieści o nienajlepszym powodzeniu Szwedów, a nakoniec o bitwie pod Pułtawą. Z początku nie wierzono tym wiadomościom (3); lecz kuryer przysłany od króla szwedzkiego, potwierdził ich prawdziwość. Generał Krassan, zebrał wojsko szwedzkie znajdujące się w Polsce, którego było około 10,000 i postanowił ustępować ku Prusom i Pomeranii, nie mogąc opierać się połączonym wojskom konfederacyi lubelskiej, rosyjskiemu i wkrótce potem przybytemu saskiemu. Oddziały polskie wojewody kijowskiego i Śmigielskiego, były pomocą i obroną dla odstępujących (4).

XX.

Śmigielski oddawna sprzyjający królowi Augustowi, gdy się dowiedział, iż ten wraca do Polski, powziął zamiar udania się wraz z dywizją swoją do konfederacyi sandomierskiej. We wsi Ostrowach za Częstochową, uczynił wojewodzie kijowskiemu przedstawienie, aby wraz z nim poszedł do jedności i złączył się z hetmanem Sieniawskim. Potocki usłyszawszy tę propozycyą, uniesiony gniewem, niepomny, iż winien był wolność Śmigielskiemu, a przytém nie chcąc podobno wypełnić danej obietnicy wydania zań córki swój, uwiadomił o tém króla Stanisława i gene-

(1) Limiers, V. str. 11. 12. 87.

[2] Der nach der Pollawischen Schlacht unglückselige König von Schweden, Karl der XII, von Anlander. 1716. 8ka, str. 18.

[3] Ob. list króla Stanisława do Ponińskiego, z d. 24 lipca 1709. Starożytności historyczne polskie. 1840. t. II. 56.

[4] Limiers, V. 117. Życie Stanisława, I. 1744,

rała Krasson. Ten ostatni rozkazał natychmiast przytrzymać Śmigielskiego i uwięzić w Prusiecku pod Brzeźnicą. Król Stanisław wraz z wojskiem szwedzkim udał się do Pomeranii, a Śmigielskiego pod strażą poprowadzono za wojskiem do Szczecina; wkrótce jednak uwolnionym został. Obawiano się, aby Śmigielski jako człowiek pełen działalności i silnej woli, nie wykonał zamiaru, który objawił. Zdaje się jednak, że to była tylko przemijająca chęć, a nie stały zamiar, jak to okazały późniejsze wypadki (1).

XXI.

August II w listach swych pisanych z Lipska w styczniu i w lutym 1711 r. do Sieniawskiego hetmana W. K., do księcia Golicyna dowodzącego wojskiem rosyjskim w Polsce stojącym, do generała Eberstedta, do Gałęckiego wojewody poznańskiego i do Radomickiego wojewody inowrocławskiego, poleca im, aby użyli wszelkich środków obrony, w celu zasłonięcia granic ze strony Podola i Ukrainy, jak również ze strony Wielkopolski. Obawiano się bowiem wejścia Turków na Podole i wtargnięcia Szwedów z Pomeranii. W listach swych król rozkazał także, aby piechota saska i dwa pułki dragonów, które miałyby być posłane do Danii, pozostały w Wielkopolsce (2). Śmigielski zostając w Pomeranii, zamierzył uczynić wycieczkę do Wielkopolski. Król Stanisław za działania wojenne w Polsce, obiecał mu dać w nagrodę rękę Zofii Potockiej wojewodzianki kijowskiej, która z matką wówczas w Szczecinie bawiła. W Wielkopolsce zebrał Śmigielski ochotników (w kwietniu 1711 r.) i podstąpił pod Kępno. Idąc lasami niespodzianie napadł na Sasów, którzy się byli w trzech wioskach rozkwatrowali, zabrał kasę wojskową, sztandar, i zmusił podpułkownika dowodzącego do podpisania rewersu, którym się zobowiązał stawić się w Szczecinie jako jeniec wojenny. Sztandar i rewers wspomniony krwią zbryzgany, odesłał Śmigielski królowi, jako znak zwycięstwa. Następnie podstąpił pod Toruń, zabrał sprzymierzonemu wojsku znaczną liczbę wozów z bagażami, spalił magazyny, i ze zdobyczą wrócił do Pomeranii (3).

XXII.

Król August w liście swym, pisanym do hetmana Sieniawskiego d. 25 września 1711 r. z Pomeranii, uwiadomił go, iż otrzymał doniesienie od dezertarów, jakoby Śmigielski miał zamiar udać się z oddziałem

(1) Pamiętniki Otwinowskiego, str. 161. 164.

[2] Ob. przypisy, nota II.

[3] Materiały do historii króla Stanisława Leszczyńskiego, wydane przez E. Raczyńskiego, str. 40 41 44. Nordberg, II. 458. Anlander. I. c. str. 141.

swoim lekkiej jazdy z Szczecina w Krakowskie, dla złączenia się z wojewodą kijowskim, który miał się ukrywać u stronników Stanisławowskich. Rozkazuje w tym liście król postawić w Krakowskiem znaczny oddział wojska koronnego, pod dowództwem człowieka doświadzonego i pewnego, w celu schwytania wojewody kijowskiego i Adama Śmigielskiego. Ta wyprawa Śmigielskiego nie miała miejsca, lecz list królewski dowodzi, iż otrzymawszy pogłoskę, i znając nadzwyczajną śmiałość chorążego nadwornego, obawiano się, aby istotnie nie przyszła do skutku (1). Król Stanisław udał się z Szczecina do Stralzundu, w końcu września 1711 r., a stąd na fregatach przewozowych do Szwecyi, uściwszy się piérwój z danój Śmigielskiemu obietnicy, którego ożenił z córką wojewody kijowskiego (2). Adam Śmigielski i kilku znakomitych Polaków, towarzyszyło królowi w tój podróży.

XXIII.

Król Stanisław wylądował w Karlskronie, i lądem udał się do Sztokholmu. Przybywszy do stolicy, zatrzymał się w domu prywatnym, a nazajutrz o godzinie piątej po południu, dwaj senatorowie Horn i Fersen, przybyli z pojazdami królowej matki, aby zaprowadzić króla do zamku, gdzie przygotowano dlań pokoje. Gdy wysiadł z karéty, wszyscy senatorowie wyszli na jego spotkanie, i zaprowadzili go do sali, w której oczekiwała królowa matka i królowna. Podczas pobytu swego w Sztokholmie, król obejrzał arsenał, park artyleryi i magazyny. Oglądał także Drotningholm, rezydencyą letnią królewską. Po przybyciu królowej Anny, udał się wraz z nią do Christianstad, i tam bawił do września 1712. Wtedyto wojska wysłane zostały do Pomeranii; generał hrabia Steinbok udał się dla objęcia dowództwa nad temi wojskami, a wraz z nim wsiadł na okręt król Stanisław (3). Aby mieć pewną wiadomość o tém, co się działo z Karolem XII, posłał król Stanisław Śmigielskiego do Benderu. Wysłany, spodziewając się pomysłniejszych wypadków, napisał do króla upraszając go, ażeby pośpieszył z przybyciem do Benderu, dla objęcia wraz z królem szwedzkim dowództwa nad wielką armią, którą Karol XII od sultana niechybnie miał otrzymać. Próżna ta nadzieja, naraziła króla Stanisława na trudy i niebezpieczeństwa długiej podróży (4). W czasie tych działań stronników króla Stanisława i kr. szwedzkiego

[1] Ob. Przypisy nota III.

[2] Zofia Potocka, córka Józefa Potockiego i Wiktoryi Leszczyńskiej, po rozwiązaniu piérwszego małżeństwa (1716), weszła w powtórne śluby z Piotrem Kosakowskim kasztelanem podlaskim, um. 1729. Niesiecki, III. 692.

[3] Nordberg, II. 464.

[4] Życie Stanisława I. 1744.

w Turcyi, odkryto w Polsce znowę, mającą na celu wydanie Augusta II królowi Stanisławowi (1713). Miało do niej należeć kilku wojewodów i dygnitarzy koronnych. Sekretarz królewski Paoli, którego chciano wciągnąć do téj znowy, uwiadomił króla. Wojewoda ruski Jabłonowski głównie działający, sekretarz jego Urbanowski, Czarnkowski podskarbi króla Stanisława, żony wojewody kijowskiego i generała Śmigielskiego i panowie inni przytrzymani zostali. Ten wypadek podał sposobność do przyzwania na nowo wojsk saskich i sprzymierzonych do Polski (1).

XXIV.

Na sejmie warszawskim 1712 r., Stanisław Chomętowski wojewoda mazowieckiznaczony został do traktowania o pokój z Turcyą. Po wielu trudnościach zawarł on traktat z Portą w d. 22 kwietnia 1714 r. Odnowiony został traktat karłowicki, pozwolono wolny przejazd Karolowi XII przez Polskę do swoich krajów, i obiecano, iż wojska rossyjskie ustąpią z Polski. W skutek zawarcia pokoju, Polacy którzy znajdowali się w Turcyi utracili nadzieję, aby Porta wypowiedziała wojnę Augustowi II, i tém wsparła stronnictwo Stanisławowskie. Wkrótce potem ogłoszono ogólną amnestyą dla stronników Stanisławowskich. Potocki wojewoda kijowski, książę Wiśniowiecki, Sapieha starosta hobrujski, Tarło, Śmigielski, Grudziński i inni wrócili do Polski, i znowu przypuszczeni zostali do łaski królewskiej. Inni zaś Polacy zostający w Turcyi przy królu Stanisławie, jakoto: Poniatowski, Urbanowicz i Kryszpin, postanowili mu być wiernymi, a następnie udali się z królem do księstwa Dwóch Mostów (2). Adam Śmigielski otrzymał pozwolenie ustąpienia starostwa gnieźnieńskiego d. 24 grudnia r. 1714, lecz nie znajdujemy śladu, aby istotnie to starostwo komu odstąpił (3). Niedługo cieszył się Śmigielski widokiem miejsc rodzinnych, niedługo używał odpoczynku po tylu trudach; w kilkanaście miesięcy po powrocie do Polski, zakończył burzliwe życie; umarł na początku 1716 r. Starostwo gnieźnieńskie, po śmierci Adama Śmigielskiego chorążego nadwornego koronnego, nadane zostało Ludwikowi Boruckiemu miecznikowi brzesko-kujawskiemu, przywilejem datowanym w Warszawie dnia 17 marca 1716 r. (4). Chorą-

[1] Limiers V. 402.

[2] Lengnich, fol. 275. 289. Nordberg III. 153. Życie Stanisława I. 1744.

[3] *Matricula expeditionum 1712 — 1716*, fol. 108, w archiwum głównym. Niesiecki daje Śmigielskiemu tytuł cześnika koronnego, w *Matrykule* nazywają go miecznikiem koronnym; nie znalazłem jednak nadań na te dwa urzędy. Może to są tylko dwie pomyłki; zamiast chorąży N. K. napisano miecznik lub cześnik koronny.

[4] *Matricula* fol. 197..

stwo nadworne koronne, oddane zostało Franciszkowi Golczowi, staroście sieradzkiemu d. 17 lutego 1717 r. (1).

XXV.

Nordberg dziejopis niebardzo sprzyjający Polakom, nazywa Śmigielskiego sławnym i zręcznym partyzantem; mówi także, iż Śmigielski był jednym z najwierniejszych i najwięcej znaczenia mających stronników króla Augusta. Parthenay tak się odzywa o Śmigielskim: „Ce staroste, l'un des plus braves, des plus fins et des plus heureux partisans qu'il y eut en Pologne, venait de faire une nouvelle capture”. Otwinowski nazywa Śmigielskiego bardzo szumnie: *Hektorem polskim*; Niesiecki *sławnym wojownikiem*. Te zdania i nazwy pokazują, iż imię Śmigielskiego, musiało być głośnem w pierwszej połowie XVIII wieku. Lecz po upływie lat stu trzydziestu cóż z tej sławy zostało? Nie wielu z nas wie kto był Adam Śmigielski. Jednak i w pismach nowszych pisarzy znajdujemy wzmianki o Śmigielskim. W Dzienniku Warszawskim 1830 r. w oddziale rozmaitości czytamy krótką wiadomość o Śmigielskim. M. Baliński w swojej *Historji Polskiej* (2), wspomina, iż Śmigielski uczynił podjazd z Pomeranii (1711), podczas gdy Grudziński wypadł z Wołoch. W dziele pod tytułem: *Obrazy Starodawne* (3), napotykamy następujący ustęp: „Powstaje jakby z popiołów wielkiego Czarnieckiego Śmigielski, rozwija pierwszy chorągiew trwogi zwyciężkim sztandarom Szwedów; pieśń milczy, czy oniemiała pod nieszczęść ciosami, czy przy huku dział i płomieniu pożogi przewiała bez powrotu”.

XXVI.

W Dzienniku Krajowym znajdujemy opis podróży, odbytej w Kaliściem i Kujawach przez Ad. K.... (4). W artykule tym napotykamy wzmiankę o Śmigielskim, i dlatego przytoczymy tu dwa ustępy: „.....Historycznie Prusiecko znane jest także. Własność w różnych czasach różnych znakomitych naszych familij, Dönhoffów, Potockich, Myszkowskich i Męcińskich, szczególniej zaś w obu wewnętrznych wojnach szwedzkich ważną grało rolę; w pierwszej tu była główna kwatera generała Möllera, znanego z daremnego oblężenia Częstochowy, w czasie drugiej tu był więziony sławny Śmigielski gnieźnieński starosta, ów, który dla pięknych oczu dziedziczki tego miejsca, Potockiej, złamał przysięgę, i jak niesie podanie, piekłu oddał duszę.” Powiedzieliśmy wyżej, iż Śmigielski urażony na wodza wojsk sprzymierzonych, chcąc uwolnić panów polskich, których miał pod swą strażą, i nie widząc innego króla w Polsce nad Stanisława,

(1) Acta inscriptionum, 1716 — 1720. fol. 134. (2) Warszawa 1844, 8-vo, str. 224. (3) Warszawa 1843, t. II, str. 234. (4) Ob. rok 1843, nr. 139.

gdyż August II zrzekł się korony, udał się do Saxonii, i złożył hołd królowi Stanisławowi. Podanie ludu wyżej wspomniane oddajemy na użytek poetów i romansopisarzy, dziedzina historii nie rozciąga się bowiem poza zakres życia ziemskiego. W przytoczonym opisie podróży, nieco niżej czytamy: „Silny, odrębny w swym wieku był charakter Śmigielskiego: awanturniczy, *humorystyczny*, odważny, przebiegły i czynny, nigdy nie upadł na sercu, żadną przeciwnością złamanym być nie mógł, każdej sprawie którą przyjął służył z jednakim zapałem i dzielnością; powiastco lub romansowi historycznemu, jego życie wyborne tło i wątek mogłoby nastreńczyć.” Autor *Listopada* i *Zamku krakowskiego*, miał napisać nowy romans historyczny, w którym Adam Śmigielski jest główną osobą. Z wdzięcznością przyjmujemy, z przyjemnością czytać będziemy ten nowy utwór uzdolnionego pisarza, jeżeli w głównych przynajmniej zarysach swego romansu, zechce szanować świadectwo historii.

Pisałem w Warszawie, d. 10 grudnia 1849 r.



PRZYPISY.

I.

List przypowiedni króla Augusta II do Śmigielskiego starosty gnieźnieńskiego (*).

August wtóry z Bożej Łaski etc.

Urodzonemu Adamowi Śmigielskiemu, Staroście naszemu Gnieźnieńskiemu łaskę Naszą królewską. Urodzony wiernie nam miły, mając z dawna zaleconą wierności Waszey przez PP. Rad Naszych partykularney ku Maiestatowi Naszemu życzliwości, doznaliśmy iey in præsenti, kiedy wierność Wasza nieżałując substancyi swoiey, y onę onerowawszy znaczną liczbę ludzi na usługę Naszą zebrał, co iako osobliwym Pańskiéy Naszey łaskawości y pamiętnym przymuiemy respektem, tak tym ludziom od wierności Waszey zaciągnionym, służbę Naszą nadwornę przypowiadamy niniejszym listem Naszym, z którymi to ludźmi Uprzeźmość Wasza, Ordynansów Naszych słuchać będziesz, y publicznemu pokoiowi invigi-

(*) Ob. rękopism nr. 274 biblioteki rządowej warszawskiej.

aro zechcesz, który pod takowy czas ludzie swawolnie alieno inbiantes, zwykli interturbare, et sub favore hostilitatis bunty, naiazdy y inne violencye cum summo publicæ tranquillitatis domów ślacheckich y innych præindicio czynią. Intimujemy zatem Wierności Waszey, abyś a prima notitia takowych intervencyei znosił się zaraz z Wielmożnemi i Urodzonymi Starostami Naszemi, którym legibus regni takowe securitatis provvisio incumbit, y onymże auxilio et adminiculo przeciwko takowym kupom swawolnym był. Przestrzegać także Wierność Wasza serio będziesz, aby żadne commeaty, posiłki, sumplemty, nieprzyjacielowi od postronnych nie były przysyłane, tudziesz aby za granice spolia krajów Naszych hostilitate hac złupionych zebrane, wywożone nie były, wszak że iezeliby się iaka exercendæ militaris gloriæ Wierności Waszey podała okaza, lub iunctim z wojskami koronnemi, lub innym sposobem, zechcesz Wierność Wasza zarabiać na nieśmiertelne imie, y pamiętną Rzeczypospolitey rollexyę, którym to ludziom, gdy żold skarbu naszego nadwornego naznaczamy, Wierność Waszę obliguiemy aby ci ludzioro jak najskromni y według artykułów wojskowych obchodzili się y żadnych aggrawacyei ubogim ludziom nie czynili, ani hiberny y consistencyi, którą Wierputowe należący prætendowali, iakicyę przynależytych wdzięczności pańskimi y naszymi respektami nadgrodzić zechcemy. Dau w Uiazdowie d. 18. 8bris. A. 1703.

Augustus Rex.

III.

List króla Augusta do księcia Galicyna ().*

August wtóry etc.

Wielmożny Uprzejmie Nam miły. Wdzięczni bardzo jesteśmy, że Uprzejm. Wasza w tych koniunkturach rezolucyey Porthy Otthomańskiej do przeprowadzenia Króla Szwedzkiego przez państwa nasze Rzplitej, dla zaszczytu spólnych z Najiaśnieyszym Carem J. M. interesów oświadczasz się nam, y w liście Wielm. Podkanclerzego K. z ochotną na wszelkie potrzeby swoją y wojsk auxyliarnych pod commendą Uprzejm. Wéy będących przysługą. Mieliśmy y My wiadomości o tychże rezolucyach Porthy Otthomańskiej, y natychmiast pisaliśmy, tak do JW. Kasztelana Krakowskiego Hetmana W. K. iako y do innych Wielm. Hetmanów, aby

(*) Protocolon expeditionum Cancellariatus Regni. A. 1711. fol. 35. Znajduje się w bibliotece rządowej w Warszawie.

się nieodwłocznie znosili z Uprzeym. Wą, aby za wczesnemi dispozy-
 cyami, ściąganiem woysk tak Naszych Rzplity, jako auxyliarnych Cara
 JMci na granice, mógł być należyty odpór dany wszelkim imprezom nie-
 przyjacielskim, aby cokolwiek Uprzeym. Wa widzisz bydź ad eum finem
 potrzebnego, aby siły nieprzyjacielskie in ipso limine złamać y potłumić,
 niepozwalając onymże na pierwiastkach żadnego awantażu, któryby mógł
 serca y śmiałości nieprzyjacielowi dodawać, żądamy usilnie, abyś do tego
 wszelką swoją raczył conferre aplikacją y we wszystkiem znosił się
 z JW. Kasztelanem Krakowskim, Hetmanem W. K. a My tę tak chwaleb-
 ną w spółnych interessach aplikacją na świeżey lokować będziemy pa-
 mięci, do świadczenia wszelkich Uprzeym. Wey respektów. Dobrego
 zatem Uprzeym. Wéy od Pana Boga życzymy zdrowia. Dan w Lipsku
 d. 15 Stycznia roku 1711. Panowania naszego 14 roku. P. S. Kiedy zaś
 Uprzeym. Wa na złączenie z woyskami koronnymi, ad danda incunctan-
 ter repressalia, Nieprzyjacielowi wojska auxyliarne Jego Carskiego Włęż-
 twa gromadzić będziesz, pewni iesteśmy iż Uprzeym. Wa tych regimen-
 tów Infaterzey do Daniey destynowanych, jako y dwóch dragońskich do
 10. 11. 12. 13. 14. 15. 16. 17. 18. 19. 20. 21. 22. 23. 24. 25. 26. 27. 28. 29. 30. 31. 32. 33. 34. 35. 36. 37. 38. 39. 40. 41. 42. 43. 44. 45. 46. 47. 48. 49. 50. 51. 52. 53. 54. 55. 56. 57. 58. 59. 60. 61. 62. 63. 64. 65. 66. 67. 68. 69. 70. 71. 72. 73. 74. 75. 76. 77. 78. 79. 80. 81. 82. 83. 84. 85. 86. 87. 88. 89. 90. 91. 92. 93. 94. 95. 96. 97. 98. 99. 100. 101. 102. 103. 104. 105. 106. 107. 108. 109. 110. 111. 112. 113. 114. 115. 116. 117. 118. 119. 120. 121. 122. 123. 124. 125. 126. 127. 128. 129. 130. 131. 132. 133. 134. 135. 136. 137. 138. 139. 140. 141. 142. 143. 144. 145. 146. 147. 148. 149. 150. 151. 152. 153. 154. 155. 156. 157. 158. 159. 160. 161. 162. 163. 164. 165. 166. 167. 168. 169. 170. 171. 172. 173. 174. 175. 176. 177. 178. 179. 180. 181. 182. 183. 184. 185. 186. 187. 188. 189. 190. 191. 192. 193. 194. 195. 196. 197. 198. 199. 200. 201. 202. 203. 204. 205. 206. 207. 208. 209. 210. 211. 212. 213. 214. 215. 216. 217. 218. 219. 220. 221. 222. 223. 224. 225. 226. 227. 228. 229. 230. 231. 232. 233. 234. 235. 236. 237. 238. 239. 240. 241. 242. 243. 244. 245. 246. 247. 248. 249. 250. 251. 252. 253. 254. 255. 256. 257. 258. 259. 260. 261. 262. 263. 264. 265. 266. 267. 268. 269. 270. 271. 272. 273. 274. 275. 276. 277. 278. 279. 280. 281. 282. 283. 284. 285. 286. 287. 288. 289. 290. 291. 292. 293. 294. 295. 296. 297. 298. 299. 300. 301. 302. 303. 304. 305. 306. 307. 308. 309. 310. 311. 312. 313. 314. 315. 316. 317. 318. 319. 320. 321. 322. 323. 324. 325. 326. 327. 328. 329. 330. 331. 332. 333. 334. 335. 336. 337. 338. 339. 340. 341. 342. 343. 344. 345. 346. 347. 348. 349. 350. 351. 352. 353. 354. 355. 356. 357. 358. 359. 360. 361. 362. 363. 364. 365. 366. 367. 368. 369. 370. 371. 372. 373. 374. 375. 376. 377. 378. 379. 380. 381. 382. 383. 384. 385. 386. 387. 388. 389. 390. 391. 392. 393. 394. 395. 396. 397. 398. 399. 400. 401. 402. 403. 404. 405. 406. 407. 408. 409. 410. 411. 412. 413. 414. 415. 416. 417. 418. 419. 420. 421. 422. 423. 424. 425. 426. 427. 428. 429. 430. 431. 432. 433. 434. 435. 436. 437. 438. 439. 440. 441. 442. 443. 444. 445. 446. 447. 448. 449. 450. 451. 452. 453. 454. 455. 456. 457. 458. 459. 460. 461. 462. 463. 464. 465. 466. 467. 468. 469. 470. 471. 472. 473. 474. 475. 476. 477. 478. 479. 480. 481. 482. 483. 484. 485. 486. 487. 488. 489. 490. 491. 492. 493. 494. 495. 496. 497. 498. 499. 500. 501. 502. 503. 504. 505. 506. 507. 508. 509. 510. 511. 512. 513. 514. 515. 516. 517. 518. 519. 520. 521. 522. 523. 524. 525. 526. 527. 528. 529. 530. 531. 532. 533. 534. 535. 536. 537. 538. 539. 540. 541. 542. 543. 544. 545. 546. 547. 548. 549. 550. 551. 552. 553. 554. 555. 556. 557. 558. 559. 560. 561. 562. 563. 564. 565. 566. 567. 568. 569. 570. 571. 572. 573. 574. 575. 576. 577. 578. 579. 580. 581. 582. 583. 584. 585. 586. 587. 588. 589. 590. 591. 592. 593. 594. 595. 596. 597. 598. 599. 600. 601. 602. 603. 604. 605. 606. 607. 608. 609. 610. 611. 612. 613. 614. 615. 616. 617. 618. 619. 620. 621. 622. 623. 624. 625. 626. 627. 628. 629. 630. 631. 632. 633. 634. 635. 636. 637. 638. 639. 640. 641. 642. 643. 644. 645. 646. 647. 648. 649. 650. 651. 652. 653. 654. 655. 656. 657. 658. 659. 660. 661. 662. 663. 664. 665. 666. 667. 668. 669. 670. 671. 672. 673. 674. 675. 676. 677. 678. 679. 680. 681. 682. 683. 684. 685. 686. 687. 688. 689. 690. 691. 692. 693. 694. 695. 696. 697. 698. 699. 700. 701. 702. 703. 704. 705. 706. 707. 708. 709. 710. 711. 712. 713. 714. 715. 716. 717. 718. 719. 720. 721. 722. 723. 724. 725. 726. 727. 728. 729. 730. 731. 732. 733. 734. 735. 736. 737. 738. 739. 740. 741. 742. 743. 744. 745. 746. 747. 748. 749. 750. 751. 752. 753. 754. 755. 756. 757. 758. 759. 760. 761. 762. 763. 764. 765. 766. 767. 768. 769. 770. 771. 772. 773. 774. 775. 776. 777. 778. 779. 780. 781. 782. 783. 784. 785. 786. 787. 788. 789. 790. 791. 792. 793. 794. 795. 796. 797. 798. 799. 800. 801. 802. 803. 804. 805. 806. 807. 808. 809. 810. 811. 812. 813. 814. 815. 816. 817. 818. 819. 820. 821. 822. 823. 824. 825. 826. 827. 828. 829. 830. 831. 832. 833. 834. 835. 836. 837. 838. 839. 840. 841. 842. 843. 844. 845. 846. 847. 848. 849. 850. 851. 852. 853. 854. 855. 856. 857. 858. 859. 860. 861. 862. 863. 864. 865. 866. 867. 868. 869. 870. 871. 872. 873. 874. 875. 876. 877. 878. 879. 880. 881. 882. 883. 884. 885. 886. 887. 888. 889. 890. 891. 892. 893. 894. 895. 896. 897. 898. 899. 900. 901. 902. 903. 904. 905. 906. 907. 908. 909. 910. 911. 912. 913. 914. 915. 916. 917. 918. 919. 920. 921. 922. 923. 924. 925. 926. 927. 928. 929. 930. 931. 932. 933. 934. 935. 936. 937. 938. 939. 940. 941. 942. 943. 944. 945. 946. 947. 948. 949. 950. 951. 952. 953. 954. 955. 956. 957. 958. 959. 960. 961. 962. 963. 964. 965. 966. 967. 968. 969. 970. 971. 972. 973. 974. 975. 976. 977. 978. 979. 980. 981. 982. 983. 984. 985. 986. 987. 988. 989. 990. 991. 992. 993. 994. 995. 996. 997. 998. 999. 1000.

III.

*List króla Augusta II do Adama Sieniawskiego hetmana W. K. ka-
 sztelana krakowskiego (*).*

Monsieur. Il y a huit jours passés que l'officier que Vous aviez
 envoyé, est parti d'icy, pour s'en retourner auprès de Vous, avec mes re-
 ponses sur les depechos qu'il avait portées. En m'y remettant je Vous
 diray par celle cy, que les deserteurs, qui viennent presque tous les jours
 de Stralsund, rapportent unanimement, que Smigielski en est sorti avec
 ses gens legers, pour aller à Stetin, et de là vers Cracovie à la rencontre

(*) Protocolon expeditionum Cancellariatus regni. A. 1711. fol. 342.

du Palatin de Kiiovie son beau-père. Il est donc très-necessaire que Vous commandiez sans aucun delay quelque gros corp de l'armée de la Couronne sous un comandant affidé et experimenté dans le palatinat de Cracovie, pour observer et couper le Palatin de Kiiovie, avec ses autres adherents suèdois, et tacher d'enlever aussi bien le dit Palatin, que son beau-fils Śmigielski. J'attends des nouvelles du mouvement du Roy de Suède et de l'issue des conferences de Messrs Nos Plenipotentiaires avec les agas, continuant icy les dispositions necessaires pour l'attaque de Stralsund et de l'isle de Rügen. En recommandant cependant a vos soins mes regiments, qui sont dans le comput, et qui veillent icy actuellement à la securité de toute la Republique, afin qu'ils soient payés ponctuellement en vertu de Nos assignations en Prusse et dans la Grande Pologne suivant la capitulation, je prie Dieu, qu'il Vous ait dans sa sainte garde. Donnée au camp devant Stralsund, le 25 de 7bre 1711.

PIENIADZE I KLEJNOT SZLACHECKI.

POWIEŚĆ.

Część druga.

V.

Panna Levrault przejechawszy spiesznie przez pole suche, na którym ani śladu bagien nie było, stanęła przed niewielkim pagórkim u stóp zamku, który jakkolwiek przez czas nadwerężony, przecież resztki dawniej świetności zachował, pyszniąc się nimi, jak ów Hidalgo podziurawionym płaszczem. Zawsze dobroczynna natura, osłoniła jego rany kwiatem i zielonemi listkami. Wiklina i wierzby rosły w fosach, gdzie skrzczały żaby; bluszcz i jeżyna pięły się aż do szczytów wieżyc; ze wszystkich szpar i rozpadlin wyglądały polne gwoździki i stokrocie. Do przedsionka z podwórza, prowadziło dziesięć wspaniałych stopni. Okolica zamku bardzo tchnęła wiejszczyzną, a nawet trochę dziko wyglądała. Rękodzielnie i fabryki jeszcze tu nie zawitały. Sèvres nie rzuciło w tę stronę nawet cienia zbytelnego przepychu. Wioska leżąca od zamku w odległości dwóch karabinowych strzałów, stanowiła gromadkę tu i owdzie rozrzuconych folwarczków, które okalały wiejski kościółek.

W téj chwili dziedziniec był pusty; zdawało się, że nawet zamek jest bezludnym. Nic na zewnątrz nie wykrywało śladu żywej duszy; najmniejszy szmer, ani ruch, ani téż niebieskawy dymek wymykający się z komina, nie okazywały, aby zamek był zamieszkałym. Przez bramę na oścież otwartą, można było dostrzedz trawę, rosnącą w spokoju między szczelinami schodów i starym brukiem na dziedzińcu. Jeżeli ta siedziba nie była wskazana na zaniedbanie, to przynajmniej musiała należeć do jednej z nieobecnych rodzin, o których wice-hrabia wspominał. Ale zapytajmy się jeszcze raz, dlaczego miejsce to przedstawił wice-hrabia jako

niebezpieczne, poprzerzynane błotami i bagnami: tę drogę tak miłą, wiodącą po pulchniej murawie bez zawał do prześlicznego pagórka, do podnoża samotnego zamku? Dlaczego nazwisko Rochelandierów nie wymknęło się ani razu z ust wice-hrabiego? Takie zapytania robiąc sobie panna Levrault, porównywała też smutną postać zameczku Montflanquin'a, ze wzniosłą a nawet zuchwałą jeszcze miną tutejszego feodalnego mieszkania. Byłoto porównanie kretowiska, z orlem gniazdem.

Laura zsiadła z konia, i unosząc suknię amazońską, postąpiła kilka kroków na dziedziniec, dla zbadania zblizka tarczy herbowej, wyrytej nad bramą zamkową. Widok blanków i wież, dostatecznym był do rozproszenia wrażeń, jakimi ją piękna natura natchnęła; głaz na którym herb wykuto, rozwiął w niej cały urok, poezją łąk i niw okolicznych. Laura miała się już oddalić, kiedy poważna matrona ukazała się na zamkowym tarasie. Piérwsza myśl Laury była o ucieczce, ale szlachetna pani zamku nie dała jój na to czasu.

— Spodziewam się, mościa panno — rzekła dama ze słodkim uśmiechem — że moja obecność nie nabawiła cię strachu. Nigdybym w życiu nie przebaczyła sobie tego, gdybym przeraziła tak młodą, lubą i piękną istotę.

— Pani — wyjąkała Laura zarumieniona — wybacz mojej śmiałości; wszystko tu kazało mi sądzić, że zamek jest niezamieszkały.

— A więc piękna dziewico, jesteś ukarana za swe roztargnienie, gdyż zostałam moją branką. Mam nadzieję, iż nie odmówisz spoczynku przez kilka chwil, u margrabiny La Rochelandier.

I margrabina podała dziewicy piękną i białą rękę, dla zachęcenia jój do przebycia stopni, prowadzących do przedsionku.

Panna Levrault nie widziała się nigdy na takich godach; nie czekając przeto powtórzenia próśby, przyjęła rękę margrabiny, która ją wprowadziła do obszernego salonu, gdzie nie było widać przepychu, ale gdzie mogła znaleźć gasnące już szczątki dawnój wspaniałości. Wszystkie nadedrzwiu ozdobione były widokami, malowanemi w rodzaju obrazów Watteau, Lancret i Franciszka Boucher. Na szerokim kominku z białego marmuru, stało wielkie zwierciadło, którego ramy przedstawiały w rzeźbie mnóstwo spletanych gałęzi, a kończyły się niszami i wieżyczkami. Wszystko było nadniszczone i zakopcone; krzesła i fotele osłonięte pokrowcami białymi, więcej dla pokrycia starości, niż dla ochrony przed niszczącym czasem. Obicia z szerokimi szlakami pokrywające mury, wymagały naprawy. Mniemam nawet, że kilka więćj mebelków, nie byłoby zbyt przydatnych w tym wielkim salonie, którego najcenniejszą ozdobę, rodzinne wizerunki stanowiły. Byli tam wszyscy Ro-

chelandierowie w swoich gotyckich ramach, zbrojni żelazem lub odziani w gronostaje, zdobni krzyżami, uszamerowani wstęgami. Między portretami dam, jedna szczególniej zwróciła uwagę Laury. Była to znakomita pani w stroju pasterskim; ubiór jej składał się z czarnej sukni morowej, kapelusika ledwie tył głowy osłaniającego, i czerwonych pończoch; w ręku trzymała koszyczek i kij pasterski. Stała ona poważnie wpośród swój trzody, a przed nią na témże samém płótnie, przedstawiony był La Rochelandier, w jedwabnym kaftanie, z szerokimi rękawami i peleryną, w kapeluszu z dużemi skrzydłami, podający jej w pokornój postawie białego królika, osłoniętego w koszyku różami. Portret margrabiny bynajmniej nie szpecił tego zbioru arystokratycznych postaci. Chociaż młodość margrabiny dawno już przeminęła, jednak była jeszcze piękną; szła ona ze wzniesioném czołem, krokiem pełnym godności, a postawa jej była jakby jakiej królowej. Wszystko w niej oddychało panowaniem. Usta jej uśmiechające się i uroczonego wdzięku, zdawały się przeciwieście zdolniejsze do wyrażania pogardy, jak przychylności. Duma rodowa tkwiła na czole. Oko badacza za pierwszým rzutem dostrzegłoby w niej kobietę, uprzejmą z wyrachowania, nakazującą z natury, którą Bóg stworzył do panowania mniej przez powab słabój płci, a raczej subtelnością umysłu, i dzielnością nieugiętój woli.

Zaledwie Laura weszła do salonu, wymieniła nazwisko swego ojca, a Bóg raczy wiedzieć, ile ją kosztowało wymówienie tych prostych wyrazów: „jestem córką pana Levrault”, pod piorunującym wzrokiem wszystkich portretów rodziny margrabiny, które zdawało się, że w nią oczy utkwily. Laura za wymówieniem nazwiska Levrault, upatrywała sztydzącego uśmiechu na twarzy każdego wizerunku, który z martwego płótna wylatywał jak strzała, i prosto zmierzał do jej serca. Następnie opowiedziała, jakim trafem znalazła się samotna wpośród pola, jak ciekawość popchnęła ją aż na dziedziniec zamkowy.

— Jaktó!—zawołała margrabina, —pani jesteś córką bogatego przemysłowca, który zamieszkuje w Trelade? Często mówiono mi o ojcu pani. Wiem, że odwiedził wiele rodzin w okolicy. Wyznaję, iż rachowałam, że zamek La Rochelandier nie będzie ostatnim, gdzie się p. Levrault przedstawi. Tego poranku jeszcze dziwiłam się, że ojciec pani postanowił inaczej sobie postąpić, ale obecnie bardzo tego żałuję.

— Pani margrabino—rzekła Laura z pośpiechem—mój ojciec jest mniej winnym, jak go raczyłaś osądzić. Jesteśmy obcemi w tych stronach. Osoba, która się podjęła kierować wyborem mających się zawiązać znajomości i stosunków, nigdy nam nie wspomniała o istnieniu zamku La Rochelandier. Ani razu imię pani nie było wspomniane w Trelade, od

czasu jak tam zamieszkujemy; przypadek zdarzył, że go przed godziną pierwszy raz usłyszała. Bez wątpienia wice-hrabia nie wiedział, że pani margrabina do swoich dóbr powróciła, inaczéj trudno byłoby pojąć.....

— Wybacz—odparła margrabina przerywając Laurze—czy osobą tą, która się podjęła kierować wyborem waszych stosunków, byłby przez szczególnie zdarzenie.....

— Wice-hrabia Montflanquin.

— Teraz pojmuje—odpowiedziała z dumą margrabina, że wice-hrabia Montflanquin, nie mógł otworzyć drzwi, do których nie posiada klucza. Ależ pani—dodała wesoło—jeżeli pan Levrault odwiedza tylko te domy, gdzie go wice-hrabia wprowadza, to bez wątpienia musi żyć w zupełnej samotności.

— Tak jest pani margrabino, niewiele widzimy osób—odpowiedziała panna Levrault, która zaczynała rozważać znaczenie wyrazów margrabiny. Mieszkamy od trzech miesięcy w Trelade, a kółko naszych znajomości ogranicza się dotąd na wice-hrabi Montflanquin, kawalerze Barbanpré, i hrabi Kerlandec.

Zaledwie Laura wymieniła te nazwiska, margrabina wybuchła serdecznym śmiechem, podobnym do szmeru kaskady; trzęsła się nie mogąc usiedzieć w swoim krześle, kiedy Laura z zakłopotaną miną nie wiedziała, co ma z sobą począć.

-- Ah przebac, przebac — rzekła nareszcie pani La Rochelandier, kiedy wybuch jej wesołego śmiechu cokolwiek się uspokoił:—czuję, jak nieprzyzwoite jest zachowanie się moje względem osoby, którą ojciec pani nietylko w swoim domu przyjmuje, ale i poufnością zaszczyca. Już mi się to drugi raz nie zdarzy. Nie racz tylko nadal sądzić o bretańskiej szlachcie, według owych trzech próbek, których nazwiska dopięroś pani wymieniła.

— Lecz pani margrabino, wice-hrabia Montflanquin mówił nam, że domy Kerlandec'ów i Barbanpré, nie ustępują żadnym innym, co do świetności i starożytności; sądziłam nawet, że wice-hrabia Montflanquin z tymi dwoma herbowemi panami, stanowią sam kwiat arystokracji tu-tejszej.

— Przestańmy o tém mówić—odpowiedziała margrabina, zaledwie się powstrzymując;—inaczéj pobudziłabyś mnie znowu do śmiechu, a to sprawia mi przykrość, i jest nieprzyzwoicie.

Tu margrabina ze zmartwieniem Laury, zmieniła osnowę prowadzonej rozmowy. Panna Levrault, której nieufność i ciekawość względem osoby wice hrabiego, w szczególny sposób zostały obudzone, starała się

wtrącić na nowo jego nazwisko do rozmowy, lecz nadaremnie: bo margrabina co do tego przedmiotu zachowała ściśle milczenie, które jest gorszym od wyjawienia nagiej prawdy. Nawzajem obsypała Laurę tysiącem grzeczności, okazała się dla niej, obok powagi, z ujmującą dobrocią. W obejściu posiadała margrabina ów takt wyższej arystokracji nieodłączny, który wartość choćby najnniejszej przystugi podwyższa, zdawkową monetę grzeczności w złoto zamienia, pospolicity kwiatek w drogocenny bisior przeistacza. Grzeczność ta była jej wrodzoną, ale pochlebstwo wyszło z ust margrabiny, pozór samej prawdy przybierało.

Służący przyniósł tacę obciążoną pysznymi owocami i sokami. Margrabina pragnęła osobiście ugościć młodą amazonkę; spełniła to z całą dwornością, która niezmiernie pochlebiła próżności panny Levrault. Następnie obie damy przeszły się po tarasie zamkowym i aleach parku, który jakkolwiek był nierozległy, ale przyjemny, dzięki zaniedbaniu w jakim go zostawiono od lat dwudziestu. W mieszkaniu margrabiny nie przypominało zbytku i świetności, jaka panowała w zamku Trelade. Przeciwnie, wszystko tam tchnęło zaniedbaniem, ubóstwem; ale też za każdym krokiem, można tam było znaleźć niestarte ślady długiego szeregu naddziadów. Laura za te tarcze herbowe, za te portrety familijne, za te wieżycę zębate, chętnie oddałaby zamek Trelade, psiarnie i konie swojego ojca, a razem pp. Barbanpré, Kerlandec i Montflanquin w dodatku.

Godziny upływały. Panna Levrault wróciwszy z margrabinią do salonu, chciała ją pożegnać.

— Zobaczmy się znowu, nieprawdaż?—powiedziała margrabina z serdeczną uprzejmością.

— Możesz być pani pewną, że mój ojciec pospieszy złożyć jej swoje uszanowanie, i podziękować za przyjęcie, jakiego doznałam w zamku La Rochelandier. Co do mnie, to nigdy nie zapomnę doznanej tu miłej gościnności.

— Zechciej pani powiedzieć z méj strony panu Levrault, że posiada córkę godną uwielbienia. Słyszałam o jego bogactwach, jednakże wątpiłam, aby tak drogi skarb posiadał; lecz mniemam, pani—dodała margrabina,—że nie możesz powrócić sama do Trelade. Nasze drożyny są ci nieznane, albo przynajmniej mało uczęszczano. Zatrzymaj się pani z odjazdem, aż mój syn powróci; dla Gastona będzie prawdziwą przyjemnością jej towarzyszyć.

Dotychczas pani Rochelandier nie wspomniała ani słowa o swoim synu. Na tę niespodziewaną wiadomość Laura zadrżała. W tój prawie

chwili kopyta końskie zatętniły na dziedzińcu pałacowym, a w kilka sekund piękny młodzieniec wszedł do salonu. Oblicze jego było miłe, a razem wyniosłe, rozsądek błyszczał na jego czole, które pukle jasnych włosów ocieniały. Chociaż wiosna jego życia dopiero się rozpoczęła, jednak smętne spojrzenie, i postać cierpiąca, zdradzały tajemny niepokój duszy młodzieńca. Wysoki, szczupły, ubrany był starannie, ale skromnie, i zdawało się, że najwięcej dwadzieścia pięć lat mógł liczyć. Ujrzawszy go Laura, pojęła nareszcie sens moralny bajeczki, utworzonej przez Montflanquin'a. Zjawienie się syna margrabiny oblało jakby potokiem światła umysł dziewicy, rozjaśniło ciemności djabelskiej drogi. Dosyć było ujrzyć Gastona, ażeby zdjąć maskę z Kaspra.

Młody La Rochelandier uklonił się poważnie dziewicy, i ucałował rękę matki z czułością, oraz poszanowaniem.

— Gaston—rzekła margrabina—wróciwszy nie spodziewałaś się bez wątpienia znaleźć tak piękny kwiat, zabłąkany wśród naszych starych murów. Podziękuj przypadkowi, który ci zgotował tak miłą niespodziewankę. Panna Levrault raczyła dozwolić, abys jęj towarzyszył aż do Trelade. Jeżeli zastaniesz pana Levrault, oświadczyć mu moje pozdrowienie.

Gaston, co znał całą dumę swojej matki, rzucił na nią ciekawe spojrzenie; ale powstrzymując się, rzekł w téjże chwili:

— Pani, jestem gotów na twoje usługi; mój koń stoi jeszcze nierozsiodłany, pojedziemy skoro tego zażadasz.

Panna Levrault usiłowała oszczędzić przynuszonych trudów młodzieńcowi. Ale gdyby ją pochwycono za słowo, byłaby może tego żałowała. Szczęściem nie tak się stało, bo margrabina tyle nalegała, że nareszcie Laura prośbie uledeć musiała. Gaston przez grzeczność połączył swe nalegania z wymaganiem matki. Pani La Rochelandier towarzyszyła im aż do podwojów pałacu, patrzyła jak na koń wsiadali, ściagała ich wzrokiem w całej długości alei, i nie powróciła do salonu, dopóki wśród zakrętów cienistej drogi, z oczów jęj nie zniknęli. Wchodząc do pałacu, na obliczu margrabiny malowało się zadowolenie, że dzień ten nie był dla nięj straconym.

Bez wątpienia, poeta, albo tylko lubiący dumać, ujrzawszy tych dwoje dzieci jadących koło siebie, pod czystym niebem, wśród woniejących łąk, musiałby zawołać: oto jest dwoje zakochanych! I dusza dumającego zabłąkałaby się wpośród tkliwych wspomnień, drogich sercu pamiątek. Co do mnie, gdybym się puścił za polotem mojęj fantazyi, powiedziałbym, że dwoje tych młodych ludzi zwołna uczulo pociąg wzajemny, usiłowałbym cofnąć się do mych dni młodości, aby zanucić czułą pieśń, pod cieniem drzew, na brzegu strumienia, przy pochyłości pagórka. Na nieszczęście,

historja ta nie jest sielanką, i z całego serca żałuję tych, którzy spodzielali się znaleźć w niej świeżość, poezją i wdzięk sentymentalnych uczuć.

Czy chcecie wiedzieć, czém się zajmowała panna Levrault jadąc obok Gastona? powiem wam zaraz. Olóż nie zajmowała ją ani piękna postać młodzieńca, ani elegancja jego ruchów, ani smętne spojrzenie... ale jego tytuł margrabiowski. Nie mogła tego nie widziéć, że Gaston był daleko młodszy, piękniejszy, lepij ułożony jak Montflanquin; ale nad to wszystko, Gaston był jeszcze margrabią, a Montflanquin tylko wice-hrabią. Obojętne dla niej były przymioty duszy, wartość osobista jój towarzysza; ale łechtało jój miłość własną, że przybędzie do Trelade w towarzystwie margrabięgo. A potém, co to za piorunujący cios dla Kaspra! Już naprzód cieszyła się jego osłupieniem, jego zgryzotą. Ukryć przed wzrokiem Laury mężczyznę młodego, pięknego, z którego byłby wyborny mąż, to niewielką wyrządzonoby jój krzywdę; ale ukryć przed oczami Laury margrabięgo, to była zbrodnia w przekonaniu jój nie do darowania. Osądźcież teraz, czy podobne rozmyślanja, mogły w sercu dziewicy obudzić uczucie miłości.

Co do młodego La Rochelandier, w czasie kiedy jechał obok Laury przez gęste zarośla i drużynę tak wązką, że nieraz jój zastłona od kapelusza o twarz jego się otarła, mimowolnie nasuwały się mu na myśl miliony pana Levrault; a ponieważ Gaston miał delikatno i dumne uczucia, to takie uwagi nie mogły przywołać do jego serca miłości, jeżeli miłość błękałaby się około jego młodzieńczego serca.

Cierpiąc przez swe ubóstwo, nie chciał jój ubliżyć; ale téż za nie na świecie nie chciał się przed bogactwem uniżać. Z tych powodów w obliczu panny Levrault przybrał postać zimną, obojętną, cokolwiek nawet dumną. Gdyby jak on była Laura ubogą, byłby bez wątpienia zwrócił uwagę na jój zgrabną kibić, piękną postawę, gdyż Laura rzeczywiście była piękną; lecz wówczas kiedy ona widziała w nim tylko margrabięgo, on téż upatrywał w niej, tylko córkę milionera.

Kiedy rzeczy tak stały, nie ma potrzeby dodawać, że przechadzka Laury z Gastonem nie miała w sobie nic sentymentalnego. Gdyby ktoś zbliżka słuchał jój rozmowy, musiałby się wstydzić za Laurę. Panna Levrault usiłowała przekonać margrabięgo La Rochelandier, że ona nie była córką dawnego handlarza sukna, jak o tém złe języki po okolicy rozniosły; nieustannie wspominała o swoich związkach z dziećmi wyższej arystokracji. Jój dawne towarzyski pensyi, których z duszy serca nienawidziła, były wszystkie dla niej przyjaciółkami od serca. Słuchając jój Gaston, kilka razy nie mógł powściągnąć uśmiechu.

Przez zręczne obejścia, Laura starała się zbadać, jak trzyma jej towarzysz o Montflanquin'ie; ale Gaston zachowywał się w tych samych szrankach, co i jego matka. Tylko, kiedy Laura zapytała się o pannę de Chanteplore, przygryzł wargi, nie mogąc stłumić wybuchu wesołego uśmiechu. Po dwugodzinnéj podróży, spostrzegli nareszcie zpośród liści wymykające się szczyty zamku Trelade.

— Pani—rzekł Gaston, który bynajmniej nie miał ochoty składać swojego uszanowania panu Levrault—oto jej mieszkanie, mój obowiązek spełniony; jeżeli zezwolisz, dalej nie pójdę.

Laura inaczej rozumiała. Obecność margrabiego była nieodzowną, dla zrobienia efektu przy jej wejściu do salonu; a nadto pragnęła, ażeby młody La Rochelandier, uniósł z sobą dokładniejsze wyobrażenie o przepychu i bogactwie pana Levrault.

— Nie przebaczyłby mi mój ojciec—rzekła—gdybym panu w ten sposób odjechać dozwoliła. Rozumiem, że pan margrabia chcesz uniknąć jego podziękowań. Znalazłam gościnne przyjęcie w zamku La Rochelandier, zechciej więc spocząć w zamku Trelade. Nie znajdziesz tam wdzięku i dowcipu matki pana, ale ojciec mój będzie szczęśliwy poznać go, i z własnych ust pana usłyszeć pozdrowienie, jakie pani margrabino raczyła przesłać przez niego.

Gaston nie zdawał się być przekonany o potrzebie składania hołdów nowemu panu zamku Trelade; Laura nie ustawała w naleganiach. Mała ta sprzeczka trwała jeszcze, kiedy obadwa konie zatrzymały się przed bramą pałacową.

VI.

Ze sposobów, jakimi pan Levrault nalegał na wice-hrabiego ażeby pozostał w Trelade, rozumiał Montflanquin, że nareszcie stanowcza chwila dlań nadeszła. W istocie, wstając rano przyrzekł sobie wielki przemysłowiec, iż dzień ten nie może się inaczej skończyć, tylko uwięzieniem jego nadziei. Postanowił on dla przyspieszenia rozwiązania zrobić tak z Montflanquin'em, jak Mahomet z górą: czyli jaśniej mówiąc, zdecydował się narzucić zręcznie wice-hrabiemu swoją córkę i swoje talary. Otóż pan Kasper dobija do brzegu. Od dwóch miesięcy czuł on luby dźwięk milionów pana Levrault; ale zamiast pochwycić je skwapliwie i na sztych się wystawić, przez pośpiech ujrząc je prześlizgujące się jak piskorze między swemi palcami, wołał czekać dla większego bezpieczeństwa, ażeby same przyszły do jego kieszeni. Szczególny to i jedyny może był widok w dziejach łowiectwa.

Zapewniwszy się, że Laura pojechała w stronę Glisson, zupełnie przeciwną zamkowi La Rochelandier, wice-hrabia pełen dobrego humoru wrócił połączyć się z panem Levrault, pod cieniem drzew parku.

Pan Levrault całą noc poświęcił na kombinowaniu manewrów, które powinny były oskrzydlić Kaspra; gdyż poczciwiec ten uważał, iż trzeba było brać się do rzeczy z całą zręcznością i umiejętnością, lękając się, aby mu zdobycz jego nie umknęła.

Dla utorowania sobie drogi, i zbudowania złotego mostu dla wice-hrabiego, p. Levrault rozpoczął rozmowę z pozorną dobroduszością, o swoich zamiarach, o swoich planach. Byłyto jego marzenia o zaślubieniu swój córki w Bretanii, zakupieniu wielkiej posiadłości w okolicy Trelade, gdyż strony te bardzo mu się podobały. Mąż Laury powinien być potomkiem uszlachetnionej od wieków rodziny; co do majątku, to dlań rzecz obojętna, i jakkolwiek byłby ubogi jego zameczek zrujnowany, to on się postara, ażeby mury i wieże były naprawione, czynszownicy zgromadzeni, zgoła, majątek naddziadów do dawniej świetności przyprowadzony. Od czasu do czasu p. Levrault zapytywał się o zdanie Montflanquin'a.

— Jak pan to uważasz? co pan o tém myślisz? Wice-hrabio, wszakże mam w tém słuszność?

Wice-hrabia słuchał pytań z miną roztargnioną, kiwał głową, i zaledwie odpowiadał. Chciał on pozostawić zaszczyt zwycięzy, wylamania bram otwartych, ostrzelania bastyonów bezbronnych, i zmuszenia podania się fortecy, ogołoconej z załogi.

Po wyłożeniu swoich zamiarów, pan Levrault dowcipném przejściem, przystąpił nareszcie do uwag nad losem i przyszłością wice-hrabiego. Dziwił on się i nie pojmował, dlaczego potomek tak znakomitej rodziny, wskazywał się z pociechą serca na beczynność, ciche i nieznanne życie, zamiast szukać sposobów odnowienia świetności swojego domu. Żywy współudział, uczucie prawie ojcowskie, jakie przebijało się dla Kaspra, upoważniało p. Levrault do mówienia z całą surowością. A więc Kasper był winowajcą; Kasper się zanieczyścił, zdradzał zarazem pamięć swoich naddziadów.

Co o tém mogły sądzić cienie Baudouin'ów i Lousignan'ów? Dawniejszy handlarz sukna z ulicy Bourdonais, całą tę rozprawę prowadził z tak wspaniałą wymową, o której nie jestem w stanie dać dokładnego wyobrażenia. Żaden z Rohanów nie lepijby perorował nad obowiązkami, nieodłącznemi od wielkich imion.

Pan Levrault sam siebie musiał uwielbiać, i cieszył się upokorzeniem Kaspra. Kasper jakby przywalony ciężarem niezbitych i ciężkich

prawd, które właśnie usłyszał, szedł z pochyłą głową, zatrzymując się kiedyniekiedy, dla poniesienia ręki do czoła. Tu i owdzie chytry kmostr ośmielił się wcisnąć słówko, jakąś odpowiedź. Dla podniecenia walki, bronił każdej piędzi ziemi, ustępował tylko z żalem, i odzyskiwał niekiedy pobojowisko, które na chwilę utracił. Nakoniec przyszła chwila, w której był pewny swego zwycięstwa; pan Levrault postępował w rozprawie jak hipopotam, przez ciernie kolące po drodze. Wice-hrabia musiał z pokorą uznać się zwyciężonym.

— Słuszność na twój stronic, panie, przyznaję—zawołał wice-hrabia z rezygnacją.—Twój głos oświecił mój umysł: teraz pojmuję, iż uchybiłem wszelkim moim obowiązkom. Dlaczegoż nie spodobało się Bogu, abym cię piérwój poznał panie?! Oświecony, kierowany twojém wyższém doświadczeniem, nie strawiłbym najpiękniejszych dni młodzieńczych w suchéj bezczynności. Teraz już zapóźno. Łącząc się z młodszą linią Burbonów, spaliłem moje okręta. Nie potrzebowałbym jak wyrzec jedno słowo u dworu, aby pozyskać łaski; ale tego słowa nigdy nie wyrzeknę.

— Pochwalam cię panie wice-hrabio. Nie Levrault to będzie ci doradzał nikezemność. Oceniam delikatność uczuć twój pięknej duszy. Nie chcesz aby cię posądzano o połączenie się przez rachubę, w interesie osobistym. Zachowaj twój wpływ dla krewnych, przyjaciół, ale nie żądaj nic dla siebie samego. Montflanquin się oddaje, ale nie sprzedaje. To pięknie, to szczytnie, rycersko; na twojém miejscu, panie, inaczejbym nie postąpił. Szczęściem wice-hrabio, masz jeden środek zaszczytny i pewny podźwignienia swego domu, zajęcia w świecie wyższego stanowiska, jakie ci się z urodzenia należy.

— Jakiżto sposób, panie — zapytał Kasper z niedowierzającym uśmiechem.— Uczyniłeś mi zaszczyt, zwiedziwszy moje wice-hrabstwo; wiész przeto, co mi zostawiły w dziedzictwie rewolucye.

— Panie wice-hrabio — odrzekł p. Levrault głosem uroczystym.—Minęły czasy, kiedy szlachta i mieszczenie żyli z sobą, jak pies z kotem: przebacz mi to wyrażenie, pożyczone od gminu. Niegdyś rywale, dziś szlachta i mieszczenie pogodzili się pod cieniem lipcowego tronu. To dwie władze, dążą codziennie do coraz większego zbliżenia; nie jestto już osobliwością widząc ich podających sobie dłonie, mieszających swą krew, swoje interesa, i udzielających sobie wzajemnego wsparcia. Teraz szlachcie nie uważa się za zhańbionego, zaślubiwszy córkę bogatego bankiera, lub zamożnego przemysłowca. Znam twe uczucia panie wice-hrabio; nigdy nie myślałeś potępiać podobne związki, które coraz więcéj

są częstszymi, i stają się jakby zarysem, niejako ogniwnem łączącym przeszłość z przyszłością naszej pięknej ojczyzny.

— Łącząc się z dynastją lipcową—odpowiedział Kasper z powagą, jawnie oświadczyłem mój sposób myślenia w tym przedmiocie. I dlaczego się połączyłem, jeżeli nie dlatego, aby potwierdzić to zlanie klasy mieszczańskij z kastą szlachecką? Trzeba, ażeby przykład szedł z góry; zrobiłem z siebie ofiarę. Zawsze poważałem mieszczan. Nigdy nie tailem się z sympatją, jaką dla nich uczuвам: nie czekałam aż ogarną władzę, aby się z tém oświadczyć. Szacuję ich prace; oddaję cześć ich cnotom. Mieszczaństwo wierne swoim dziełom, teraz panuje i rządzi; jest reprezentantem żywotnej siły narodu; samo z siebie stało się arystokracją, którego tytuły zostały zapisane na każdej karcie w złotej księdze Francji.

— Rozumię się—dodał pan Levrault—że tu nie ma mowy o tój pośredniej klasie, która trzyma jeszcze z ludem, jako połączona z nim przez swe obyczaje i potrzeby, ale o znakomitych bankiorach, przemysłowcach, którzy sami jedni nową arystokracją przedstawiają. A więc panie wicehrabio, dlaczego w jój szeregach nie szukasz związków, czemu nie chcesz połączyć się z tém mieszczaństwem, któremu oddajesz sprawiedliwość, dla przywrócenia blasku swojemu imieniu? Przecież nie możesz wicznie oplakiwać punny de Chanteplure! Nasze obowiązki na tym padole, ograniczają się na pogrzebaniu zmarłych; my mamy co innego do zdziałania. Ja, co ci to mówię, miałem jedyne go syna; strata tego anioła nie przeszkodziła mi przecież do zrobienia trzech milionów. Panna de Chanteplure utopiła się; bez wątpienia jest to nieszczęście; ale twoje łzy choćbyś ich zdroje wylał, nie przywrócą ją do życia. Przysięgłeś pozostać jój wiernym; wszyscy rozkochani podobnie przysięgają. Panie wicehrabio, nadszedł czas aby zacząć życie użyteczne. Nie po to nas Bóg przysłał na ziemię, aby szlochać całe życie jak małe dzieci. Masz obowiązki przedłużyć twą rodzinę; jest to spuścizna, którą następcom przekazać koniecznie potrzeba. Słuchaj więc, co przez usta moje mówią do ciebie Montflanquin'owie Baudouin'owie, Lusignan'owie: wicehrabio Kasperze, trzeba się ożenić.

Tak rozprawiając zbliżali się do zamku, i nareszcie weszli do salonu. Na te wyrazy: trzeba się ożenić, Kasper upadł na krzesło, i zakrył oczy rękoma. W takim stanie długo pozostał, kiedy pan Levrault stojąc przed nim, nieporuszony z założonemi na krzyż rękami, spoglądał nań okiem zwycięzkiem.

— Mam cię!—mówił sobie dawny handlarz, upojony szczęściem i dumą.

— Złapał się — mówił sobie Kasper, krztusząc się od radości i od śmiechu, który rękami zasłonił usiłował.

— Świadczę się niebem — zawołał wice-hrabia głosem przytłumionym — nigdy ambicya nie osłabiła w mém sercu pamięci o pannie Chanteplure. Na cóż mi się zdadzą honory, bogactwa, świetność mego plemienia, odbłysek tarczy herbowej? Niech raczej zginie w niepamięci ludzi imię Montflanquin'ów, niż w mojem sercu słodkie imię Fernandy! Tak, przysięgam jej wierność; lecz niestety, dyament nadwiera dyament, a miłość uczyniła mnie krzywoprzysięcą.

I jakby przerażony wyznaniem, które mu się wyrwało, pochylił czoło na poręcz krzesła, na którym siedział, aby ukryć pomieszanie i wstyd przed wzrokiem pana Levrault.

— A więc! panie wice-hrabio, zgoda na miłość — zawołał wielki przemysłowiec. — Nie pierwszy to dopiéro figiel wypłatał ten złośliwy bożek. Laura, co zna historią Francyi na palcach, często wspominała mi o jednym królu, którego miłość dla pewnej damy, popchnęła go do odzyskania królestwa. A więc zgoda z miłością, panie wice-hrabio! Czego się rumienić? dlaczego spuszczać oczy? dlaczego zasłaniać przed moim wzrokiem tę twarz szlachetną? Podnieś głowę bohaterski młodzieńcze. Dostyć już wycierpiałeś, dostyć długo walczyłeś; panna de Chanteplure nie więcej od ciebie wymagać nie może. Jeżeli jej cienie nie są jeszcze zadowolone, to już nie wiem czego im potrzeba. Mów, odstoń zupełnie twoje zapęły, powiedz staremu przyjacielowi, twojemu staremu Levraultowi, imię téj piękności, która cię zachwycić potrafiła. Którakolwiek byto była, zaręczam ci, będziesz szczęśliwy. I jakażto rodzina nie zapragnęłaby cię mieć wpośród swych progów domowych? która kobieta nie byłaby dumną, podbiciem takiego serca jak twoje? który z ojców nie pyszniłby się, że cię może nazwać swoim zięciem?

Czyż Kasper mógł się oprzeć téj pociągającej wymowie? Zerwał się więc nagle, jak djabełki na sprężynach, kiedy otworzą pudełko w których są zamknięte. Błogosławieństwo wybranych jaśniało na jego czole, momentalnie zdawało się, jakby był przemieniony. Zrobił kilka kroków ku panu Levrault, który utkwiał w nim wzrok czarodziejski, usta wice-hrabiego miały już wyrzec tajemnicę jego duszy, kiedy w téjże chwili z trzaskiem drzwi się otwały, i weszła Laura z wyniosłością, w towarzystwie margrabiego La Rochelandier.

Na to niespodziewane zjawienie, Kasper pojął, że statua Komandora i cień Banka w porównaniu z temi dwoma figurami, nie były jak tylko dziecinną igraszką; został jakby skamieniały na swém miejscu. Ze swéj

strony pan Levrault niepomatu się zdziwił, widząc wchodzącego gościa, który nie był ani kawalerem Barbanpré, ani hrabią Kerlandec.

— Mój ojciec—rzekła Laura jakby nie uważała obecności wice-hrabiego—przedstawiam ci pana margrabiego de La Rochelandier, który raczył mi towarzyszyć do Trelade.

I dziewczica w krótkości opowiedziała, jak szczególnie zdarzenie zawiodło ją aż do zamku Rochelandier'ów, własności młodego margrabiego. Kasprowi byłoby daleko wygodniej w cierniowym krzaku, albo na rozpalonym rósze; oddałby był swoje dewizki dyamentowe, swój order, złote ostrogi, aż do ostatniej cegietki swego zamku, aby w tój chwili, z narażeniem nawet życia, uczuł zapadającą się podłogę salonu pod swemi nogami. Pomieszenie, złość, wstyd podzieliły się jego sercem. Wystawcie sobie jastrzębia, gotującego się do oskubania ptaka, a tu widzi spadającego orła, który mu zdobycz uniesie.

Co do pana Levrault, cały zajęty sobą, nic nie odgadywał, żadnego nie miał podejrzenia, że tu wąż znajduje się w ukryciu. Przybycie margrabiego do Trelade, nie zwichnęło biegu jego myśli. Nie miał co zrobić z La Rochelandier'em, nie odstępował téż wice-hrabiego, bo mu był wystarczającym do jego dumnych zamiarów. Nie był niewdzięcznikiem, i nie pochlebiał sobie prózną nadzieją, znalezienia kiedyś zięcia lepiej dobranego. Kasper był wzorem wszystkich zięciów. Gdyby p. Levrault był jego autorem, inaczéjby go nie utworzył. Nakoniec imponująca postać Gastona, słusznie nie mogła zawrócić głowy znakomitemu przemysłowcowi. Poważny i milczący, zimny i wstrzemięźliwy, Gaston miał butną postawę, która tak przystoi ubogiemu naprzeciw bogacza. Pan Levrault znajdował, że ma minę zuchwałą.

— Panie margrabio—rzekł nareszcie Kasper, który czuł potrzebę trzymania się zbrojną ręką—nie wiedziałem, że powrócicie do dóbr swoich.

Gaston spojrział nań z dumą, i odpowiedział zaledwie lekkim skinieniem głowy. Nie wypadało, ani nie przystało młodzieńcowi przyjmowania roli, jakabądźby była w komedyi, która odbywała się w Trelade. Po niejakiéj chwili, Gaston pożegnał pana Levrault i jego córkę, oddalając się tak jak wszedł, tojest bez przywitania i pożegnania wice-hrabiego Kaspra Montflanquin.

Uwolniony od obecności niebezpiecznego gościa, Kasper odetchnął swobodniej. Krótkie zjawienie się margrabiego, wstrzemięźliwość w jego obejściu, niekorzystny efekt jaki wywarł na panu Levrault, samo milczenie pięknej dziewczicy, która wstrzymała się dotąd od najmniejszój wzmianki o drodze djabelskiej, zwolna ostudziły przerażenie wice-hrabiego, który postanowił kończyć z teściem rozmowę, na nieszczęście przerwana

w miejscu najinteresowniejszym. Lecz Kasprowi nie miało tak ująć na sucho.

— Panie wice-hrabio—rzekła Laura tonem suchym i cierpkim, nie dobrego nie zapowiadającym—nie wiedziałam, że są jacy La Rochelandierowie w naszej okolicy; jeszcze dziś o tém nie wiedziałabym, gdyby traf podobne jak pan zachowywał milczenie. Zdaje mi się przecież, że margrabina La Rochelandier i jej syn, warci są hrabiego Kerlandec i kawalera Barbanpré. Zechciéj uważać mości wice-hrabio, że o panu wcale nie wspominam.

— Oświadczam, że ten margrabia wcale mi się nie spodobał—zawołał pan Levrault z najżywszą pogardą.— Coto jest ten La Rochelandier? z kąd się to wzięło? gdzie się to poławia? Pierwszy raz słyszę o tych ludziach.

— Powtarzam—odparł Kasper, udając spokój, którego nie miał w duszy—nie wiedziałem, że La Rochelandier'owie do swoich dóbr powrócili.

— To rzecz bardzo zadziwiająca, panie wice-hrabio—dodała Laura z roztargnieniem, bawiąc się ciągle szpicrutą, którą w rękę trzymała.— Otóż od trzech lat jak margrabina z synem swoich dóbr nie opuszczali: brakowało panu czasu, aby się o tém dowiedzieć.

— Pani—odrzekł Kasper — mniemam, iż powiedziałem o wyjeździe margrabiny i jej syna do Frohsdorf przy końcu zeszłej zimy. Powiniennem tu jeszcze dodać, że La Rochelandier'owie należą do téj frakcyi szlachty, którą dawniej widywałem, ale teraz wcale nie widuję.

— Ah! pan nie widzujesz La Rochelandier'ów.... Powinnam się była tego domysleć, panie wice-hrabio, odgadnąć ze sposobu, z jakim pana powitał margrabia wchodząc i odchodząc.

— Co to wszystko znaczy?—krzyknął pan Levrault, nie mogąc zrozumieć, do czego mowa jego córki zmierza.— Ten margrabia jestto młokos, który wartby był dobrej nauczki. Czy nie uważałeś wice-hrabio, że nie miał dla mnie tego uszanowania, jakie się mojemu stopniowi przynależy. Aż litość bierze, jemu być dumnym!.. A założę się, że w méj kieszeni więcéj jest złota, jak potrzeba do zapłacenia za jego majątność, jego zamek i jego herby.

Wymówiwszy to dawny handlarz, wyciągnął z kieszeni pełną garść złota, którym zaczął brząkać w swych szerokich dłoniach. Kasper uczuł się wspartym przez p. Levrault; zaczął więc mówić z większą pewnością:

— La Rochelandier'owie nie mogą mi przebaczyć, że się przyłączył do lipcowego tronu, uspokoił Wandę, i zniszczył na Zachodzie ostatnie nadzieje legitymistów, ściganych przez władzę. Przedstawiają oni w Bre-

tanii tę niepoprawną szlachtę, która niczego się nie nauczyła, a o niczem nie zapomniała. Zarażeni wszystkimi przesądami ich kasty, chelpliwi i napuszeni ze swych tytułów, główni nieprzyjaciele wszelkich nowych wyobrażeń, żałują rządów feodalnych, i marzą w swych walących się zamkach, o przywróceniu służebności i wazalstwa. Ponieważ im pozostało dwie albo trzy wieże zrujnowane, sądzą się być powołani do restauracyi monarchii z bożej łaski. Nie mówcie im o mieszczaństwie, oni go nienawidzą. Przemysł, ta chwala Francyi, ten młody władca świata, dzwignia obecnego czasu, oni nim pogardzają, lekceważą, oni go szykanują. Wszakże oni uważają mieszczan za lud, mieszają z motłochem; w ich oczach, wielki przedsiębiorca, przemysłowiec, tyle znaczy co i kramarz.

— To zawiele! — krzyknął p. Levrault.

— Tak panie; patrz jakimi są La Rochelandier'owie. Widziałeś dopiéro margrabięgo. Co za pycha, jaka zuchwałość! W czasie tych krótkich odwiedzin, czyż ten szlachetka aby raz okazał, że się znajduje w obliczu znakomitego reprezentanta wyższego przemysłu? Cierpiałem za pana i za niego nawet. Jest jeszcze młody, jesteśmy w równym wieku; może być, że o dwa lub trzy lata jest młodszy odemnie. Nie powiedząż o nim, że to jest margrabia Carabas? Co do jego matki, ona jest zupełnie podobną do margrabiny Pretintailles.

— Panie wice-hrabio — odparła Laura, która słuchała całej rozprawy bez zmarszczenia się; — od czasu jak pan widywałeś margrabinę i jej syna, niezmiernie się oni zmienili. Pani La Rochelandier jest uosobnioną grzecznością. Onato sama naprzeciw mnie wybiegła, sama wprowadziła do starego zamku. Zamku chyłącego się, jak pan zauważyłeś. Wszystko co wiem, to to, że on jeszcze cały stoi; znam inne w Bretanii, o którychby i tego powiedzieć nie można. Nie wiem, czy margrabina jest nieprzyjaciółką mieszczaństwa; lecz co mogę potwierdzić to tylko to, że mówiła o moim ojeu z wszelką względnością, o jego pracach z całym szacunkiem.

— To szczęście! — powiedział pan Levrault, głaszcząc się pod brodę.

— Nakoniec panie wice-hrabio — mówiła dalej Laura z przyciskiem każdy wyraz — nie było tój posługi, tej grzeczności, którójby mi margrabina nie okazała, z tym wdziękiem i dowcipem, z tém obejściem, o których przyznam się, że dotąd nie miałam wyobrażenia. Co do młodego margrabięgo, jeżeli jest butnym, to bez wątpienia z tój przyczyny, że ma do tego niezaprzeczone prawo. Uważam, iż wcale nie do twarzy byłoby szlachcicowi, któryby głowy wzniosłe, i z pewną dumą nie nosił.

— Pani — odparł Kasper ze znaczącym uśmiechem — margrabina jest bardzo dobrą matką. Być może, iż gdybyś zechciała szukać, to nakoniec wyszperałaśby pani przyczynę tych pieszczot.

— Co pan przez to rozumiesz—odparła Laura tonem obraźliwym.— Czy pan chciałeś powiedzieć, że fetując i przyjmując mię z odznaczeniem, kadzono tylko bogactwom mojego ojca?... Szperając tajemnicy pochlebstw margrabin, możeby się wynalazły powody nadszkania, któremi jesteśmy zaszczytani od chwili przybycia naszego do Trelade.

Kasper zerwał się z krzesła, pobladł z gniewu. Bledszy od Kaspra, oniemiały z przestachu pan Levrault, kolejno patrzył to na córkę, to na wice-hrabiego, i pytał się, czy nie jest przytomny zabójstwu swoich nadziei. To go tylko pocieszało, iż wszystko mniemał być igraszką snu straszego.

— Usiądź panie wice-hrabio — rzekła Laura słodziuchnym głosem jakby nic nie zaszło.—Nigdy ani na chwilę nie powątpiewałam o pańskiej bezstronności, bezinteresowności, o jego uczuciach i uczciwym charakterze. Bądź pan łaskaw usiąść. Nie chcę, abyśmy się w ten sposób rozstali. Jeżeli mi się wymknęło jakie słówko, mogące zadrasnąć słuszną podejrzliwość pana, bądź szlachetnym, i przebac.

— To mi się podoba!—zawołał pan Levrault, którego ostatnie wyrazy Laury przywołały do przytomności.—Lecz co ci się stało, jaki robak cię ukąsił? Podajcie sobie ręce, moje dzieci, i na Boga, dajcie pokój tym La Rochelandier'om.

Sam Kasper sądził się być ocalonym. Wziął rączkę dziewicy, lecz kiedy ją miał do ust podnieść:

— Panie wice-hrabio—powiedziała Laura z nieublaganą zimną krwią— czy nie chciałbyś się pan troszkę zabawić, mówiąc o drodze djabelskiej?

Kasper zadrżał i cofnął swą rękę, jakby uczuł pazury zdradziecko wsuwające się pod suknie, i zagłębiające się nagle w jego ciało.

— Pani—rzekł przygryzłszy wargi aż do krwi—oddalam się, zostawiając was nowej przyjaźni. Obyś nie żałowała kiedyś téj, z którą w tak niegodny sposób się obchodzisz! Oto jest jedyne i ostatnie życzenie szlachetnego i czułego serca, które za nagrodę swego poświęcenia, nie odbiera jak tylko niewdzięczność i obelgi.

I wyleciał jak huragan. Nie dlatego, aby miał opuścić stanowisko, nasz przyjaciel Kasper nie był jednym z tych ludzi, coby tak łatwo dali sobie wydrżać milion posagu; ale czuł, że w chwili w której rzeczy tak stanęły, trzeba było stanowczy krok uczynić. Nie wątpił, że pan Levrault przywoła go, lub gońców za nim wyśle dla sprowadzenia do siebie. Miał potrzebę zebrania myśli, zastanowienia, jakich należy użyć sposobów, aby naprawić doświadczone niepowodzenie.

Nie ośmielam się malować osłupienia wielkiego przemysłowca: wyobraźcie sobie rozstrojenie dziecka, które tylko co miało posypać soli na ogonie ptaszka, a widzi go ulatującego na sąsiednią gałązkę. Pierwszo

jego poruszenie było gonić za Montflanquin'em; nogi mu odmówiły posłuszeństwa, jakby przykute do posadzki. Chciał wołać, ale głosu mu zabrakło w piersiach. Tymczasem rozciągnięta na dywanie Laura, uderzała szpierzem po swęj amazonee, i z największą spokojnością śledziła muchy, spacerujące po malowanym suficie.

— Bodaj przepadli, zginęli ci La Rochelandier'owie—zawołał nareszcie pan Levrault, przechodząc nagle z osłupienia do gniewu i rozpaczy.—Co się tu stało? co się dzieje? gdzie jest wice-hrabia? Jakiż ja nieszczęśliwy, tyle zadawszy sobie trudów, tyle napracowawszy się przez dwa miesiące, jedynie aby go przywabić! Heż zmarnowanego dowcipu, obrotów, aby tylko zbliżyć się do celu! Zwalczyłem jego skrupuły. Z otwartemi rękami oczekiwałem go, miał mię już nazwać swoim tościem. Trzy miesiące jeszcze, a byłbym baronem, zasiadałbym w izbie parów. Powiedz, co on ci zrobił, ten wzór wszystkiój szlachty? Dla ciebie, gotów był rzec się ubóstwa tyle dlań drogiego, wdowieństwa w którym postanowił dotrzeć aż do śmierci; on dla ciebie zdradził pamięć o panie Chanteplure; chciał się z tobą ożenić. I oto ni ztąd ni zowąd, bez przyczyny, przewracasz wszystko na wywrot, kolesz go, trąpisz, harujesz, rzucasz mu w twarz obelgi. Takżeto nagradzasz jego bezinteresowne poświęcenie, i to szlachetne serce!

Kiedy rozpacz p. Levrault cokolwiek się ukoiliła, Laura opowiedziała wszystko, jakim sposobem wpadła na ślad podejrzenia, owęj bezinteresowności i dobrej wiary Kaspra, jak z początku wątpliwe podejrzenie, powoli zamieniło się w pewność.

— Niech szatan porwie zamek La Rochelandier'ów—krzyknął pan Levrault, kiedy Laura wszystko opowiedziała.—Miałś też po co wciskać się w tę jaskinią Szuanów! Ma racją wice-hrabia: ludzie ci nie mogą mu przebaczyć, że się zjednoczył z dynastją wielkiego króla-obywatela, zadał ostatni cios upartym legitymistom, tój partyi wstecznej, którąśmy w r. 1830 usunęli od władzy, my wielcy przemysłowcy. Twoja margrabina i jęj gagatek synalek, niech im Bóg przebaczy, nagadali ci, co może być najgorszego o Kasprze; nie dziwię się temu. Partya ta nie zna innęj bronii tylko oszczerstwo, nie licząc w to obcych bagnetów. Utrzymuję, że wice-hrabia Montflanquin jest uosobnionym honorem, uczciwością samą. Dlaczego Jolibois przedstawił go nam jako kwiat arystokracji? Dlaczego hrabia Kerlandec i kawaler Barbanpré, ci dwaj burgrabiowie staręj Armoryki, śpiewali mi z rozmaitych tonów i każdego dnia pochwały Kaspra, jego zasługi, jego enoty?

— Lecz, mój ojeze, z kądto pochodzi, że margrabina wybuchła śmiechem, usłyszawszy nazwiska tych dwóch burgrabiów?

— Jeszcze jeden cios! Dajmy pokój twój margrabinie. Chcę natychmiast pospieszyć za Kasprem do jego wice-hrabstwa. Jeden z Levraultów może gonić bez wstydu za potomkiem rodziny, która przez swe koligacye, łączy się z Boudouin'ami i Lousignan'ami.

Laura stanęła odważnie we drzwiach salonu, i z energią drogę mu zamknęła. Ona obstawała tyle przy swym margrabim, ile ojciec przy wice-hrabi.

Przypomnijmy sobie, że Laura nigdy nie czuła sympatyi do Kaspra; długi czas walczyła z upodobaniem ojca, i wtedy dopiero ustąpiła z placu, kiedy znużona walką, niejako przekonała się, że w całej Bretanii nie było innej partyi dla niej, nad Montflanquin'a. Dotąd jój podejrzenia były uspione, ale zjawienie się na scenie margrabiego zmieniło postać rzeczy, wyrzuciło jój serce jak rękawiczkę. Prócz tego, ten margrabia był przystojny, i jeżeli chodziło pannie Levrault, żeby miała męża ładnego i młodego, to jeszcze więcej szło jój o to, aby nie stała się żoną człowieka brzydkiego i przekwitłego.

Z tém delikatnóm przeczuciem, jakie w wysokim stopniu posiadają kobiety, Laura pojęła jak wielki przedział istnieje między Montflanquin'em a La Rochelandier'em. Ani na chwilę nie omyliła się co do zapachu arystokracji, rozlanego w gotyckim zamku, gdzie ją szczęśliwa gwiazda zaprowadziła. Opinie polityczne margrabin i jój syna bynajmniej ją nie obchodziły; zbyt mało troszczyła się o to, czy jój ojciec zasiędzie w izbie parów, lubo mówiła sobie z dumą, że jeżeli nie będzie bywać na dworze królewskim, za to będzie uczęszczać do książąt na przedmieściu St. Germain. Nie wiedziała ona, że od r. 1830 ulica Bourdonais bliżej była Tuilleries, jak szlacheckie przedmieście.

Takie były marzenia Laury; lecz chociaż nichy nie pozyskała ze strony margrabiniej, powróciła jednakże do Trelade z tém mocnóm postanowieniem, zerwać zupełnie z wice-hrabią. W kilku godzinach umiała go poznać. Nie wspominając pięknej bajeczki o zaginionej pastercie i o krowie, samo milczenie margrabin i jój syna, dostatecznie objaśniło ją o Kasprze; to potężające milczenie dopełniło reszty. Nakoniec, obserwując młodego La Rochelandier'a, zrozumiała, że Montflanquin nie jest szlachcicem tylko z imienia. Ostupienie Kaspra za spostrzeżeniem margrabiego, dumne i pogardliwe obejście Gastona z wice-hrabią, otworzyło jój zupełnie oczy.

Pomimo tego, że pan Levrault rzucał się, wyrzekał i zamykał na wszelkie przełożenia uszy; udało się przecież Laurze otoczyć go matnią, przekonać niezbitemi uwagami, wypływającemi z przeświadczenia i rozumu, że nareszcie musiał przed córką kapitulować.

— Wszystko o co proszę, czego żądam—mówiła Laura zachwiaszwy zaufanie ojca do Montflanquin'a—jest tylko to, aby działać roztropnie i z niczém się nie spieszyć. Zamiast upędzać się za wice-hrabim, pozostań spokojnie u siebie. Powróci, bądź tego pewny mój ojciec. Dziś w wieczór lub jutro, będziesz miał radość ujrzyć go u siebie. Uważaj go, miej się na ostrożności, a jestem pewna, że nim tydzień upłynie, pierwszym mój ojciec będziesz, który mu swój dom zamkniesz na zawsze.

Chcąc nie chcąc, pan Levrault musiał poddać się radom swojej córki.

Czytelnik z ciągu opowiadania nie mógł się domyśleć, że Laura miała przewagę nad ojcem, i zrobiła zawsze z nim co chciała. Dzień upłynął smutno, obiad zszedł ponuro. Wielki fabrykant, którego obecność Kasptra nie bawiła, wściekłego był humoru; tajał swych służących o wszystko, i dwóch lub trzech wypchnął za drzwi.

Jego ufność zachwiana na chwilę, po upływie godziny była tak silną, tak niewzruszoną, jak nigdy. Nie pojmował on nic, i nie przypisywał niczemu innemu jak tylko potwarzy, która poważyła się napastować Montflanquin'a, zaćmić to istne zwierciadło rycerskości.

Nadzieja ujżenia Kasptra wracającego, podtrzymywała pana Levrault aż do zapadnięcia zmroku; lecz gwiazdy zajaśniały na sklepieniu niebios, i jak Malborough, Kasper nie wracał. Nieszczęśliwy p. Levrault wpadł w dziką melancholię. Włóczył się z pokoju do pokoju, ztorczając La Rochelandier'om, i domagając się od swój córki wice-hrabiego, jak stary August swych legionów od Warusa.

VII.

Obejrawszy się ze dwadzieścia razy, czy pan Levrault lub który z jego służących nie ściga za nim, usiadłszy z dziesiątek razy pod cieniem żywych płotów, i czekając tam z kwadrans, aby dać czas wielkiemu fabrykantowi, albo jego wysłańcom dogonienia go, wice-hrabia wszedł nareszcie do zamku swoich przodków. Ale o nieba! w jakim stanie, łatwo sobie wyobrazicie. Zaledwie go mógł poznać Galaor, i zadrżał o swoje zasługi. Zamek składał się z kupy walących się kamieni, wpośród których pozostało jedno skrzydło mieszkalne. Dowcipnisie tutejszjej okolicy mawiali, że dom Montflanquin'a stoi na jednej nodze. Ta jedna noga opierająca się ręce czasu, była mniej bezpieczna jak malownicza, i nie dawała spokojnego schronienia w czasie dni burzliwych.

W témto ojczyntém schronieniu, Kasper od czasu do czasu przybywał spocząć, po burzach życia paryzkiego, i ukryć się przed natręctwem niektórych ludzi. Wnętrze zupełnie odpowiadało wyobrażeniu zbytku

i wspaniałości, jaka zewnątrz panowała. Nie dodam nic więcej o mieszkaniu Montflanquin'a, przez uszanowanie dla pamięci Baudouin'ów i Lusignan'ów.

Nadewszystko za nadejściem godziny obiadowej, wice-hrabia uczuł całą zgrozę swego położenia. Od trzech miesięcy codziennie jadał w Trelade. Galaor żywił się na swój rachunek, i dla przyrządzenia sobie strawy, nie miał nic tylko swój niewyczerpany przemysł. Żył więc tylko z kradzieży i rabunku. Myszkował on nieustannie koło kurników, zakradał się do królikarni, zastawiał żelazka na króliki. Na dwie mile kwadratowe nie było podwórza, gdzieby hultaj nie wybrał dziesięciny. Jaja zaledwie były zniesione, a już przemknęły się do jego kieszeni. Nie przeszedł jeden dzień, żeby który z rolników nie skarżył się na lisu, że mu wyjadł jaja, porwał gęś, albo indyka. Tym lisem był Galaor, który wahał się dla zaradzenia swoim potrzebom, jak Caleb dla utrzymania honoru domu swego pana.

Wice-hrabia przywykły do wybornych win, do wyszukanych potraw w Trelade, niestety! co się z nim działo, widząc na stole dymiący się schab królika, który sobie Galaor przygotował! Potrawka ta składała cały obiad Kaspra z flaszką cienkusz, i kawałkiem owczego séra, który przemyślny chłopak porwał wczoraj w pobliskim folwarku.

Wsparty na krawędzi stołu bez nakrycia, trzymając czoło w obu rękach, wice-hrabia nie mógł się odważyć na dotknięcie potrawy z kuchni Galaora. Coraz czarniejsze myśli snuły mu się po głowie, kiedy uczuł przyjazną rękę, trącąca go po ramieniu. Błyskawica pociechy przebiegła po jego nerwach: i któżby to był, jeżeli nie pan Levrault. Kasper zerwał się z krzesła... i ujrzał się oko w oko z p. Jolibois.

— I cóż! mości wice-brabio—rzekł wesoło notaryusz, który przybył dla czuwania bliżej nad zbiorom ziarna zasianego—gdzież jesteście? Nasze interesa postępują? rychtóż będziemy przewietrzać talarki papy Levrault?

— Wszystko stracone!—odparł wice-hrabia, skureczywszy się w swoim krześle.

— Jakto? krośset djabłów—krzyknął kmotr Jolibois, myśląc o swoich 80,000 franków.—Chcesz żartować panie wice-hrabio.

— Nigdy mniej nie miałem ochoty. Wszystko stracone, powtarzam ci. Jesteśmy zrujnowani, zrabowani jakby w lesie. La Rochelandierowie zjawili się!...

Kmotr Jolibois skoczył prawie do sufitu, jakby rakietą pękła mu między nogami.

— Krew i zniszczenie! — wrzasnął wice-brabia z gestem, którego dziękij energii nie nie zdoła odmalować. Wyszafować więcej talentu niż Talleyrand na kongresie wiedeńskim, wynaleźć więcej kombinacyj dowcipnych, zużyć tyle rozumu, cierpliwości, zręczności, żeby wystarczyło na zdobycie jakiego królestwa; nie nie zaniedbać, wszystko wyrachować, wszystko przewidzieć, a pomimo tego utonąć przy brzegu! Głupi traf, niech będzie przeklęty! Bylibyśmy tryumfowali, Jolibois. Nareszcie oskrzydliłem tego bałwana Levraulta! trzymałem go, złapał się. Doprowadziłem do tego, że mi chciał narzucić swoją córkę, swoje miliony. Komedia została odegrana. Jego twarz błyskała głupotą i radością, wyciągał do mnie ręce, miał mnie już nazwać swoim zięciem!....

— I cóż, mości wice-brabio?

— I cóż, Jolibois, w tęto stanowczą chwilę weszła jego córka, ciągnąc za sobą tego niegodziwca La Rochelandiera.

— Lecz—zawołał Jolibois tupiąc w zgniłą posadzkę—nie zachowałeś ściśle moich przestroż?

— Gdzie tam—wołał Kasper—coż to, za dziecko mnie bierzesz? Dziś, tego jeszcze poranku, przed kilku godzinami, ojciec i córka, po trzech miesiącach pobytu w Trelade nie domyślali się jeszcze, że istnieją jacy La Rochelandierowie pod słońcem. Aby ich trzymać w oddaleniu od fatalnego zamku, który chciałbym otoczyć wilczemi dolami, wszystko robiłem, co tylko jest w ludzkiej mocy: wymyśliłem nawet legendy. Próżne usiłowania, Jolibois! Trzeba było, aby ta mała jaszczurka, Laura, pojechała harcować przed oknami La Rochelandierów, a przekłeta margrabina, która, przysięgłbym, od trzech miesięcy siedziała w oknie, jak pajak czatujący na zdobycz, rzuciła się na Laurę, jako na swą ofiarę.

— To nie żarty, panie wice-brabio: margrabina pewno mówiła o tobie.

— I czy sądzisz, że mnie oszczędzała. Dzięki Bogu nie mogła nic złego o mnie powiedzieć. Nie uchybiłem mojemu urodzeniu, zachowałem czyste imię moich przodków; ale, po wszystkie czasy, La Rochelandierowie okazali się nieprzyjaciółmi dla naszego domu. Nie łącząc się z lipcowym tronem, mógłbym się z nimi pojednać. Nakoniec margrabina zbyt wiele ma interesu, ażeby mnie zgubić w umyśle Levraulta, i dlatego też nie mogła zabawić się śpiewaniem moich pochwał przed Laurą.

— To bardzo ważna okoliczność, panie wice-brabio—powtarzał Jolibois, kiwając głową.

— Gdyby tu tylko chodziło o mnie—dodał Kasper—to wiedziałbym, co mam czynić. Wszedłem w ten interes tylko dla ciebie, mój drogi pa-

nie Jolibois. Nie pracowałem tylko dla ciebie. Więdz o tém, że gdyby tylko szło o mnie, nigdybym był nie poniżył do tego stopnia mojej godności, mojego charakteru, żeby gonić za dziewczyną i milionami dawnego handlarza sukna. Przyjaźń jaką czuję dla ciebie, wdzięczność jaką ci winienem, mogły mnie jedynie do tego kroku skłonić. Co mnie teraz najwięcej boli, to ta myśl, że musisz jeszcze czekać jakiś czas na odebranie summy, którą ci pozostaję dłużnym.

— I czy też przypadkiem, panie wice-hrabio, nie zechcesz mnie obarczyć tą obelgą, sądząc, że skłoniwszy pana do tego przedsięwzięcia, choć na chwilę pomyślałem o sobie?... I czy do tego stopnia powątpiewałeś o szczerości mojego poświęcenia, że mogłeś muiemać, abym nastęrczając ci sposobność polepszenia twój fortuny, nie miałem na celu, jak tylko odzyskanie mojego długu?

— Głośno wynurzyłem się—zawołał wice-hrabia podnosząc głowę— że Montflanquin'owi o nic więcej nie powinno chodzić, jak tylko, aby zachował swój klejnot szlachecki bez skazy. Nie dla bogactw, ale dla ciebie, dla ciebie samego Jolibois, mogłem się zgodzić na poniżenie przed zamożnością.

— Nie mam herbów szlacheckich, ale mam herb mojego urzędu—zawołał pan Jolibois z wyniosłością—i również dbam o zachowanie go bez skazy, jak pan mości wice-hrabio, o swą tarczę herbową. Wskazując ci miliony pana Levrault, myślałem tylko o panu, o przyszłości twojego domu. Miałem zaszczyt o tém donieść: iż służyć bez żadnej wstecznej myśli osobom, które poważam i Kocham, było zawsze moim najmilszym prawem.

— Otóż kilka lat upłynęło, jak jestem twoim dłużnikiem—rzekł hrabia ze skromnością.

— Na Boga, panie wice-hrabio, przestańmy mówić o téj bagateli. O cóż idzie w gruncie rzeczy? O sumnę osmdziesiąt tysięcy franków, od których zaniedbałeś pan przez dziesiątek lat zapłacić procentu. Jeżeli się uparł wice-hrabio, dodajmy dla uregulowania w zupełności rachunku aż do dnia dzisiejszego, małe, lecz okrągłe sumki, jakie panu pożyczylem, a które ci dozwoliły przedstawić się przyzwoicie w zamku Trelade. W tém wszystkim nie upatruję nic takiego, coby mogło zakłócić twoją spokojność. Jeżeli w ostatnich czasach byłeś zbyt naciskany, z powodu tych osmdziesiąt tysięcy franków, to nie mnie przypisuj winę, ale sukcesorom mojego ojca.

— Tym sposobem mój dobry, mój drogi panie Jolibois, zechcesz poczekać kilka tygodni. Być może, iż fortuna przeciw mnie zażarta, zmorduje się w prześladowaniu.

— Jeżeli nie raczysz mnie obrażać, i za drzwi wypchnąć panie wicehrabio, nie mówmy już o tém. Nie rzekłś mi ani słówka co zaszło w Trelade, po powrocie Laury.

Kasper opowiedział wszystko, jak przed lekarzem lub spowiednikiem, żadnej okoliczności nie opuściwszy.

— Ah! dzięki niech będą Opatrzności! — zawołał Jolibois — rzeczy jeszcze nie stoją tak źle, jak z początku mniemałem. Nie wszystko stracone, panie wicehrabio. Mamy przeciw sobie pannę, ale za sobą jej ojca.

— Co mówisz, mój biędny Jolibois; powiedziałem to już sobie opuszczając Trelade. Znasz mnie i wiesz, czy się dam łatwo zbić z toru przez szykanę. Liczyłem na natchnienie mojego gieniuszu. Nie przypuszczałem, ażeby pan Levrault nie poszedł albo nie wysłał kogo w pogoń za mną. Widziałem się już wprowadzonego w tryumfie. Niestety! nie się nie sprawdziło. Levrault pozostał w swoim siedlisku, a mój umysł tak obfity w wynalazki, nic a nic mi nie doradził. Jolibois, moja gwiazda zbladła. La Rochelandierowie zwyciężyli.

— Jeszcze nie, mości wicehrabio, nie jeszcze. Jeżeli mają zwyciężyć z łaski Opatrzności, to przynajmniej będziemy mieli zaszczyt stoczyć z nimi walkę o miejsce. Nie upadniemy bez chwały, nie złożymy broni bez wystrzału. Dalej, zbierz pan siły. Tylko odważnie i z dobrą nadzieją! Często losy się zmieniają. Wypadek dzisiejszy był dla nas porażką pod Waterloo, być może, że jutro będzie dla nas zwycięstwem pod Austerlitz.

— Jolibois, szlachetny przyjacielu, — zawołał Kasper, którego pochmurzona mina rozpogodziła się jakby czarodziejskim sposobem — czy upatrujesz nadzieję ocalenia, sposób odzyskania twoich pieniędzy?

— Widzę jedyny sposób wznowienia świetności imienia Montflanquin'ów! — zawołał Jolibois głosem, jakby był proroczym duchem natchniony.

Obadwa rzucili się w objęcia, i tak długo pozostali w uściskach.

— Mów, wyjaw ten sposób, jakiż on jest? — zapytał Kasper z łaskawą ciekawością.

— Pomówimy przy deserze... Ah, ah! panie wicehrabio, — dodał kmostr Jolibois, wodząc niespokojnym wzrokiem po stole — czy to jest cały twój obiad?

A gdy wicehrabia spuścił oczy i nie odpowiadał:

— Nie powiedzą — zawołał notaryusz napuszysto — że patrzałem na ostatniego potomka niegdyś znakomitój rodziny, jedzącego obiad w zamku swoich ojców, który się składał z potrawki króliczj. Galaor — dodał

pół głosem — osiodłaj mojego konia, biegnij do Clisson i przywieź nam wszystko, abysmy jeść i pić mogli przyzwoicie. Idź mój synu, ja dzisiaj częstuję.

I wsunął mu w rękę kilka srebrnych sztuk.

W godzinę potém, Galaor powrócił, i rozłożył na stole dwie sakwy potężne, których widok rozweselił zupełnie wice-hrabiego.

Uczta była wesola. Obaj godownicy jedli i pili za czterech. Ufność ducha pana Jolibois, udzieliła się nareszcie i sercu wice-hrabiego. Levrault był wątkiem ich rozmowy; można się domysłlec, czy dwaj dobrzy apostołowie oszczędzali go przy dobrym humorze. Oddając się weselości z całego serca, pomiatali dawnym handlarzem, jak piłką albo wolantem.

Gdyby się pan Levrault skrył gdzie w kąciku, wyobrażam sobie, żeby z ich rozmowy był niezupełnie zadowolony. Przy deserze, według obietnicy, kmotr Jolibois wyłożył swój plan batalii, którą chciał nazajutrz rozpocząć.

Szło tu najprzód o wstrzymanie postępów La Rochelandierów, i otrzymanie placu za jedném śmiałém natarciem. Nie wątpili oni i przedewszystkiém przypuszczali, że niczego nie zaniedbała Laura, coby mogło ugruntować uprzedzenie ojca do wice-hrabiego. Jolibois miał się zająć wielkim przemysłowcem. Powinien on dołożyć starania, aby zgubić margrabinę i jej syna w przekonaniu Levrault'a, a podnieść wice-hrabiego, postawić go wyżej niż kiedykolwiek. Tymczasem Kasper miał się rzucić do nóg Laury, i usprawiedliwić przez sam zbytek miłości, wszystkie manewra, których sobie użyć pozwolił dla oddalenia La Rochelandierów. Kmotr Jolibois największe nadzieje gruntował na dobrze odegranej scenie uczuciowej, dobrze prowadzonej i we właściwych miejscach z ogniem wydeklamowanej. Wice-hrabia przyrzekł być ognistym i natarczywym.

Kasper znając obowiązki gościnności, uprosił notaryusza, aby przemocował u niego w zamku. Ponieważ padał drobny deszczyk, Jolibois przyjął ofiarowaną mu gościnność. Jeszcze było daleko do północy, a obaj nasi przyjaciele zajęci rozinową, nie myśleli o spoczynku; dla zabicia więc czasu, Kasper zaproponował kmotrowi Jolibois partya lanc-knechta.

— A karty? — zapytał Jolibois.

— Galaor — rzekł wice-hrabia — poszukaj w kieszeni mego starego tuzurka. W pięć minut potém, z niezmierném podziwieniem p. Jolibois, Galaor położył na stole ogromny pakiet kart.

— A pieniądze? — zapytał znowu Jolibois.

— To prawda—odparł wice-hrabia, że jeszcze nie odebrałem ostat nich rat czynszów; lecz dzięki tobie, pozostało jeszcze kilka talarów w mojej sakiewce.

Grali jeszcze o drugiej godzinie po północy, a pan Jolibois przegrał summkę dosyć okrągłą.

Zjadłszy śniadanie, składające się z pozostałych resztek uczył wczorajszej, Stefan Jolibois i Kasper Montflanquin udali się jednocześnie do zamku Trelade; Kasper piechotą, Jolibois na koniu, aby przybyć pierwój, jak to już było ułożonóm.

Notaryusz jechał zwolna, i układał sobie mowę, z jaką miał wystąpić przed panem Levrault. Jeszcze na trzy lub cztery strzały karabinowe znajdował się od mieszkania wielkiego fabrykanta, kiedy postać jego szczególnie dziwny wyraz przybrała.

Djabelska myśl przebiegła po głowie kintotra Jolibois.

VIII.

Nazajutrz wstawszy pan Jolibois, nie był już ożywiony tym zapalem, co dnia wczorajszego. Sen i rozważa, ostudziły w nim gorącą chęć wspierania wice-hrabiego. Kiedy się ma dwadzieścia cztery godzin przed sobą, to nie ma tak niebezpiecznego, tak delikatnego przedsięwzięcia, któreby się zdawało trudnóm, albo niepodobnóm do wykonania. Nie wątpimy o niczém, jesteśmy w sobie zaufani; umysł jest płodnym w najskuteczniejsze sposoby, mamy na podreżcu tysiące kombinacyj dowcipniejszych jedne od drugich, a z których każda dostateczna jest, do odniesienia zwycięstwa nad przeszkodami. Wszystko powinno iść jakby po mydle; aby się udał zamiar, trzeba go tylko przedsięwziąć. Jednakże z upływem godzin, skoro się chwila działania przybliża, trudności przedsięwzięcia wynurzają się ze mgły, która ich przed naszym wzrokiem zastaniała. Miesząmy się, wahamy, i kiedy nareszcie ostatnia godzina wybije, znajdujemy, że kombinacye od których spodziewaliśmy się cudownych skutków, nie są zgodne ze zdrowym rozsądkiem; odkrywamy z ostupieniem, że zastępy na które najwięcej rachowaliśmy, przemieniły się w wojsko papierowe.

To się przynajmniej przytrafiło naszemu panu Jolibois. Pojechał do Trelade, z postanowieniem popierania komedyi aż do końca; ale już zaczął powątpiewać o odzyskaniu swoich ośmdziesiąt tysięcy franków. Ztémwszystkiém nie pokazał tego po sobie, utaiwszy swą obawę przed Kasprem, aby go nie odstręczył, i nie sparaliżował uradzonych sposo-

bów. Wyjeżdżając, jeszcze miał jaką taką nadzieję; ale zostawszy sam z sobą, śród pól, oko w oko z rzeczywistością, uczuł się nagle zachwia-
nym. I czegoż miał probować, co zrobić? jeżeli nie ugrzęznąć w błocie
po szyję, albo utonąć wraz z Montflanquin'em.

Wszystko stracone—mówił sam do siebie, i ten hultaj wczoraj miał
pełną rację; jego gwiazda pobladła; La Rochelandier'owie zwyciężyli.

Z którejkolwiek strony Jolibois rozpatrywał się w położeniu wice-
hrabiego i swojóm, z każdej widział niepodobieństwo, i dziwił się same-
mu sobie, jakim sposobem mógł je inaczej pojmować. Margrabina była,
jak to mówią, szpakami karmiona, Laura nie głupia, i przypuszczając że
pan Levrault nie opuścił jeszcze strony wice-hrabiego, to przecież nie
można było bez nierozsądku utrzymywać, aby w obecnej chwili, kiedy
rzeczy tak zaszły, w duszy dawnego handlarza nie obudziło się powąt-
piewanie, i że zgodzi się na przyjęcie za zięcia Kaspra, jak pierwój z za-
wiązaniemi oczami. Nadto wice-hrabia był uosobnioną cnotą, ale jedną
z tych, które zblizka badać nie należało.

Z drugiej strony kmostr Jolibois przyznał z pokorą, że jeżeli nie-
ufność Levrault'a co do Kaspra została obudzona, to i na nim w części
cięży wina, że wprowadził do Trelade człowieka, ów model arystokracji,
tę perłę rycerskości. Z jakimże czołem pokaże się w obliczu wielkiego
przemysłowca i jego córki? Co im odpowie teraz lub później na cięż-
kie zarzuty, jakie mu słusznie uczynić mogą? Niepodobieństwem było,
aby prędzej lub później prawda nie wyszła na wierzch. Rusztowanie
złożone z kłamstw, podobne jest do gmachu z kart: jedna z nich wyjęta,
a już cały budynek rozsypał się w gruzy. Jolibois nie taił przed sobą,
że w całym tym interesie odegrywał rolę, z której przyrzekł sobie zyskać
mniej chwały, a więcej korzyści, a która nawet miała mu przynieść tyle
chwały, ile korzyści.

Tym sposobem, z którejkolwiek strony oglądał przedmiot tak dra-
żliwy, z każdej widział przepaść, niepodobieństwa i poniżenie. Odstąpić
interesu, na to się nie mógł zgodzić. Myślał on o swoich ośmdziesiąt
tysiącach franków, o zaliczeniach które jeszcze poczynił, dla podtrzymania
Galaora i jego pana, o obiedzie który wczoraj zapłacił, o stu talarach,
jakie mu dzisiejszej nocy wydarł w łancknehta zaciekły wice-hrabia, pod
pozorem zabicia czasu. Na dobitkę nieszczęście, myślał także o klientelli
pana Levrault, która mu się wymknąć mogła, i pytał się z rozpaczą, czy
przypadkiem nie odgrywał roli gapia w tój farsie, Geronta w komedji.
Co tu wymyśleć? Przygryzał paznogie. Za dobry pomysł, byłby oddał
swoję pieczęć notaryalną, swoich klientów i swój urząd. Już tylko kilka
kroków był oddalony od Trelade, widział już dachówki, rumieniające się

przy blasku słońca między liśćmi; słyszał ujadanie psów, rżenie koni,— a nieszczęśliwy nic a nic w swój głowie nie wynalazł: gdy wtém jakby błyskawicą oświecone, zajaśniało czoło pana Jolibois; wspiął się dumnie na strzemionach siodła, i z wierchołka pagórka z którego miał zjeżdżać, notaryusz rzucił wyzywające na Trelade spojrzenie.

Stefan Jolibois był w położeniu człowieka, który nie mając nic do stracenia, na wszystko się bezkarnie odważa. Kiedy się kto znajduje w takim przypadku, to wielkomyślnie serce nie słucha innej rady, tylko głosu rozpacz; mądrość jest za jój granicami, sama tylko śmiałość ufa w powodzenie. Jeżeli mamy upaść, spadnijmyż z wysoka, jeżeli ma w nas uderzyć piorun, niechże to nastąpi jak w Tytanów, którzy się do nieba wdrżać chcieli. Takie jest moje zdanie, i takie było naszego przyjaciela Jolibois.

A więc! zamiast gonić za ślepą fortuną jak jaki łapigrosz, zasapać się ściganiem nędznych kilku tysięcy franków, których pochwyć nie miał nadziei, dlaczegożby nie miał probować, jednym zamachem zostać panem pola walki, na którym mieli się spotkać La Rochelandierowie z wice-hrabią? Zamiast łożyć starania na podźwignienie poniżonego sztandaru, dlaczegożby nie miał usiłować zatknąć swojego na szkatule pana Levrault? Dlaczegożby nie miał się wmieszać jak trzeci złodziej w bajce, i to w samą porę, aby prowadzić na uzdeczce Merkurego znakomitogo przemysłowca? Już raz krążył kolo milionów wielkiego fabrykanta, ale to był tylko atak bojaźliwy, wykonany zbyt wstrzemięźliwie. Tym razem oblężenie powinno nastąpić według wszelkich prawideł, a potem cios za cios, gdyż lepiej było upaść, walcząc za swą własną sprawę, niż dzielić porażkę i wstyd z Montflanquin'em.

Nie upłynął kwadrans, a już ułożony został plan walki najstraszniejszej, jaką kiedykolwiek przedsięwziął generał, dowodzący armią w odwrocie. Starał on się zasłonić swój honor, a zarazem zyskiwał niezbite prawo do wdzięczności pana Levrault i jego córki; zmuszał milionera do uznania, że nie miał szerszego przyjaciela, gorliwszego, z większóm poświęceniem, jak on na téj ziemi. Kto mógł przewidzieć, jak daleko posunie się wdzięczność wielkiego przemysłowca? W każdym przypadku, Jolibois uniknie podejrzania o zmowę z Kasprem, i jeżeli nie załapie milionów, to na zawsze zapewni sobie przyjaźń, szacunek, a z niemi klientellę milionera. Robiąc przegląd naprzód i wspak wszystkich swoich obrotów, bynajmniej nie wątpił, że ugłaskać i przyswoić głupiego mieszczanina potrafi, że zdoła go odwrócić od stron przeciwnych, i nadać jego próżności nowe dążenie. Co do córki, jeszcze czas o niej będzie pomyśleć; Jolibois, który nie znał przymiotów umysłowych Laury, wszak-

że pochlebiał sobie, że tym samym prądem co i ojciec porwana zostanie, jak łódka w pędzie trzechpokładowego okrętu.

Kto nie nie ryzykuje, ten nie ma: Jolibois nie nie ryzykował, a mógł wszystko zyskać. Uniesiony szaleństwem, które zwykle towarzyszy ostateczności, wymuskany, leciuchny i uradowany, że się już pozbył współki z swym przyjacielem Kaspem, że będzie działał tylko na własny rachunek, kilkakroć trzasnął w powietrzu szpicrutą, i śmiało pojechał do Trelade. Montjoie i St. Denis! górą nasil! Z kolei wchodził teraz sam w szranki, nie jako giermek, ale w szyszaku na głowie, i z kopia w ręku. Do zyskania zwycięstwa nie potrzebował, jak zadać ostatni cios wicehrabiemu, zmierzyć się z La Rochelandierami, i pójść w zapasy z drapieżną i chciwą arystokracją na talarki wielkiego przemysłowca.

W całej tej sprawie było coś awanturniczego, co szczególnie lechtało wyobraźnię młodego notaryusza. Jolibois dziwił się tylko, dlaczego o tém wcześniej nie pomyślał. Jeżeli się mu nie uda, to wróci do dawnego stanowiska, zostanie tym samym Stefankiem, co i pierwój. Jeżeli zaś dopnie celu, jaki zaszczyt dla niego! Nie wspomina się tu o milionach; posądzonoby go o chciwość na pieniądzu.

Notaryusz Jolibois był sobie republikaninem. W tych czasach, każdy departament liczył z dumą jaki tuzin notaryuszów i plenipotentów, marzących o potrzebie różnych zmian. Od wielu lat dała się czuć potrzeba nowój rewolucyi; pomiędzy niektórymi urzędnikami na prowincyi, myśl ta była najwięcej upowszechnioną. Pan Jolibois zaciągnął się pod tę chorągiew niższej biurokracyi, która wzdychała do zniszczenia jarzma na niej ciężącego. Pod postacią umysłu lekkiego i szydneho, Jolibois ukrywał surowe cnoty. Jego wyobrażenia o braterstwie i równości nie zostawiały nic do życzenia. Jeżeli pogardzał komornikami i sekwestratami, jeżeli sobie nie robił ceremonii z pełnomocnikami, jeśli obchodził się z swemi dependantami trochę za ostro, jeżeli nakoniec klientów niewypłacalnych traktował jak Turek albo Maur swych niewolników, to nawzajem źleby się ten wybrał, coby w jego przytomności śmiał utrzymywać, że notaryusz niższym jest od marszałka Francyi, albo od innego wysokiego urzędnika. Kiedy się mu zdarzyło obiadować w domu zamężnym, obojętnóm okiem poglądał na przepych i elegancyą; nigdy zazdrość nie zakradła się do tego szlachetnego serca: tylko nazajutrz zapytywał sam siebie, dlaczego ludzie mniej warci od niego, pozwalają sobie jadać na srebrze, kiedy on, Jolibois notaryusz, jada skromnie, tylko na porcelanie.

Co w nim najwięcej przeważało, to ta wzgarda złota, ta starodawna bezinteresowność, która się tylko spotyka w duszach republikańskich.

Strzeżcie się więc posądzać go o cheiwość; uderzcie czołem z uszanowaniem przed tym najczystszyim charakterem, którym się szczycą obecne czasy! Zgodziwszy się nareszcie ścigać za milionami, toć bynajmniej nie dla swój korzyści; Jolibois skromny w życzeniach, myślał tylko o nędzy ludu, o sposobach jój zaradzenia. Zamek, do którego drzwi biedak nigdy by naprózno nie zapukał; obszerna posiadłość, w którejby mógł najwięcej rąk zatrudnić; pałac w Paryżu, gdzieby mogli się zbierać jego prawdziwi polityczni przyjaciele, dla naradzania nad przyszłością klasy ubogiej: oto wszystko co żądał Jolibois; taki to były skromne marzenia tego orędownika demokracji.

W czasie, kiedy pan Jolibois zbliżał się do Trelade jako zdobywca, pan Levrault siedział w najokropniejszych mękach. Przepędził on noc bardzo niespokojnie, i gotował się do spędzenia dnia jeszcze smutniej. Słońce już wysoko wzbilo się na niebie; cień drzew widocznie zmalał, a wice-hrabia nie pokazał się. Pan Levrault błąkał się cały poranok, jak dusza na mękach, wychodził na drogę prowadzącą do wice-hrabstwa. Gdyby Laura ściśle nad nim nie czuwała, niewątpliwie pocziwe człeczysko byłoby się zapuściło aż do gołębnika Kaspra.

— Widzisz—mówił do córki z rozpaczliwą miną—wice-hrabia nie powraca. Bezkarńie nie znieważa się Montflanquin'a; wice-hrabia na zawsze dla nas stracony.

— Bądź spokojny mój ojczy, wice-hrabia powróci—odrzekła Laura z pewnością, która ją ani na chwilę od wczorajszego dnia nie opuściła.

Pan Levrault zwiesił głowę, i płakał w duchu straconego zięcia. Zięć z tak dobrej rasy, a który tak mało kosztował! Po śniadaniu, zamknął się w swoim gabinecie, już dla uwolnienia się od obłężenia Laury, która bezustannie nań nacierała, już dla puszczenia cugli gorzkim rozmyślaniom. Laura jednakże tyle dokazała, że ojciec nie wiedział czego się ma trzymać; tyle razy powtarzała natarcia, że głowa wielkiego przemysłowca podobna była do rozległych szranków, na których przeciwne myśli krzyżowały się z sobą, ścierały z zajadłością, i niszczyły wzajemnie jak dzikie zwierzęta.

Pan Levrault nigdy nie znajdował się w podobnym i tak krytycznym położeniu. Mówiąc jaśniej, błąkał się w zupełnej niepewności. Były chwile, w których widział Kaspra białego jak śnieg, i chciał już iść do niego; to znowu następowały inne, gdzie zaczęły się mu otwierać oczy, i sam siebie zaczął pytać, czyli córka nie ma słuszności. Już to oburzała go potwarz nie nieoszczędzająca, i w tém oburzeniu tłukł pięściami o meble, z rozwianym szlafrokiem chodził wielkimi krokami po pokoju; już też pogrążony w dumaniu, rozważał wszystko co mu Laura odkryła.

Tym sposobem jak okręt miotany falami, czasem Kasper wznosił się pod niebiosa, niekiedy znowu zostawał pogrążony w bezdenną przepaść. Walka straszna, cicha, której Bóg tylko był świadkiem, a pan Levrault jedyną ofiarą.

— Nie, nie, to być nie może,—zawołał nagle dumny handlarz sukna, grożąc z patetyczną mimiką widmom, na niego nacierającym;—nigdy nikogo Montlanguin nie zdradził; zresztą nie z Levraulta to żartować sobie można, mistyfikować jak chudego pacholka. Znam się przecież na szlachcie. Jeżeli Kasper nie był w zupełności tém, czém się okazywał, to nie potrzebowałbym czekać, ażby mnie ktoś ostrzegł; byłbym sam zdjął z niego maskę. Wice-hrabia godnym jest swojego rodu. Jak ów rycerz, o którym mi Laura często mówiła, jest on bez bojaźni i bez skazy. Nakoniec, dlaczego Jolibois tak go nam zachwalał? Dlaczego przedstawił, jako upostaciowany honor i chodzącą uczciwość? W jakiem wyrachowaniu wybrał go za naszego przewodnika, towarzysza we wszelkich wycieczkach? Jolibois jest uczciwym chłopcem, zna czém jestem, i jaki szacunek dla mnie się należy. Nie wprowadziłby on do mego domu człowieka wątpliwych obyczajów. Czyż on to nie wie, z jakiej materyi jesteśmy ulepieni, my wielcy przemysłowcy? i że niekażdy zyskuje nasze zaufanie?

— Nie, nie, to być nie może—powtarzał Levrault z coraz większym uniesieniem. Zgniotę potwarz jak brzydkiego węża; wice-hrabia będzie moim zięciem.

I tym razem postanowiwszy stawić czoło swojej córce, chciał się wymknąć z zamku, aby pobiedz do wice hrabstwa, kiedy wtém dały się słyszeć kroki śniate i szybkie na schodach, prowadzących do jego pokojów.

— To on, otóż go mamy!—krzyknął pan Levrault upadając na krzesło, i gotów swą zdobycz pochwyć.

Jednakże z tętnem kroków coraz więcej się zbliżających, mieszał się głos malujący pośpiech, niecierpliwosć, który napróżno siłił się rozpoznać.

— Gdzie jest pan Levrault?—krzyczał ten głos, niebędący głosem Kaspra—gdzie się on znajduje? Prowadźcie mnie zaraz do niego! muszę go widzieć, muszę z nim mówić. Każda chwila jest droga; nie ma ani momentu do stracenia!

Pan Levrault sądził, że pożar wszczął się w Trelade. Z najwyższém przerażeniem wybiegł z pokoju, i o mało co nie przewrócił notaryusza.

Jestże to ten sam Jolibois, nasz Jolibois, któregośmy najwięcej przed kwadransem zostawili na drodze do Trelade prowadzącej. Jolibois zmienił się do niepoznania. Jakieżto gimnastyczne ćwiczenia odbył, aby

się tak nagle i zupełnie zmienił? Ktoby spojrział na jego zakurzono bóty, zabłocone spodnie, chustkę na szyi w nieładzie, i cały jego ubiór w największém rozprzężeniu będący, powiedziałby, że Jolibois galopując przynajmniej ze sto mil zrobił na siodle. Jego oblicze zgadzało się z odzieniem. Ze wszystkich stron dmuchające wiatry, musiały walczyć z jego czupryną, ażeby ją w tak straszny nieporządek wprawiły. Broda notaryusza najeżona, przypominała runo Calchasa. W jego oczach, w jego postaci, ruchach było coś tak dziwnego, niezwyčajnego, że pan Levrault zadrzał z podziwu i przerażenia.

— Nic nie zrobiono? nic nie ukończono? przybywamże na czas? — krzyczał jednym tchem Jolibois, z obłąkaną miną wpadłszy jak powietrzna trąba do pokoju.

— Jeżeli zapóźno, przekleństwo niech na mnie spadnie! Ja cię to panie zgubiłem, ja popchnąłem w najczarniejszą przepaść.

— W przepaść! — zawołał p. Levrault pobladły; — w przepaść! — powtarzał wodząc niespokojnym wzrokiem naokoło. — Co przez to rozumiesz? w jaką przepaść mnie wtrąciłeś. Czy Szuani się pokazali? czy chcą uderzyć na zamek Trelade? Sądzę, że wice-hrabia połączywszy się z lipcowym tronem, położył koniec rozruchom domowym.

— Powiedz panie, ach mów — zaczął znowu Jolibois, niemogąc się uspokoić. — Nic, nic tu nie zaszło, nic nie ukończyliście? Nie trzymaj mnie pan w téj strasznej niepewności, zlituj się nad mojami cierpieniami.

— Czyś sobie przysiągł, ażeby mnie przywieść do utracenia zmysłów? — zawołał pan Levrault, który przypatrując się zmienionym rysom twarzy notaryusza, powiększał swoje przerażenie. — Co ci się stało? o czém chcesz mówić? o eo chcesz pytać? Jakże mam zlitować się nad twojém cierpieniem, jeżeli nie zechcesz mieć litości nad moją męką. Jeżeli mi nie powiesz, jakże ja mam ci odpowiedzieć?

— To prawda — odrzekł Jolibois uderzając się w czoło. — Straciłem już głowę, a przynajmniej ją stracę. Przebacz panie mojemu wzruszeniu. Przybywam z Nantes. Ażeby cię ocalić, jeżeli już nie zapóźno, zrobiłem ośm mil w pięciu kwadransach. Mój koń padł ze zmordowania przed kratami twojego pałacu: wątpię aby powstał. Szlachetne zwierzę! Po wysileniach na jakie się zdobywał, zdawało się jakby odgadywał, że tu idzie o pańskie ocalenie, i jego lubéj córki.

— Do rzeczy, Jolibois — do rzeczy! trzymasz mnie jakby na zarzewiu. Mam dziesięć koni w mojej stajni, jeżeli twój nie podniesie się, to go równie szlachetnym zastąpimy. Nikt jeszcze nie stracił służąc Levrault'owi. Tłumacz się jasnie i węzłowato. Jakie niebezpieczeństwo nam zagraża?

— W tój chwili, panie, w tój chwili. Muszę tylko wiedzieć, czy nie przybywam zapóźno, aby cię wydzwignąć z przepaści, w którą pana wtrąciłem. Kontrakt jeszcze nie jest podpisany. Któżby się spodziewał, niestety! że kto inny nie Jolibois?... Ale zamilczę; nawet uzalenia się prawo utraciłem. Kontrakt ślubny jest podpisany? A więc!—dodał Jolibois głosem wahającym, utkwivszy wzrok w pana Levrault, w którym przebijają się niepewność i niepokój duszy.—A więc panie! wszystko skończone? spełniło się przeznaczenie? Nie już cofnąć go nie zdoła? Czyliż jestem wskazany, abym cierpiał wiecznie wyrzuty sumienia? Odpowiedz, choćby odpowiedź pańska miała we mnie jak grom uderzyć: czy ślub już się odbył?

— Jaki ślub?—zapytał pan Levrault z miną człowieka, który spodziewał się dostać w głowę kamieniem, tymczasem widzi tylko bańkę mydlaną o jego nos się roztrącającą.

— Ależ panie—odrzekł Jolibois nie bez pewnego zadziwienia—jedynę małżeństwo o którym w tój chwili mówią w całej Bretanii, to jest pańskiej córki z wice-hrabim Kasprem Montflanquin.

Po tém co zaszło wczorajszego dnia, w delikatném położeniu w jakim się znajdował pan Levrault względem wice-hrabiego, ostatnie wyrazy pana Jolibois zakrawały bardzo na szyderstwo, którym, wielki przemysłowiec chwilowo mógł mniemać, że jest dotknięty. Za całą odpowiedź stulił ramionami, wcisnął po łokcie ręce w kieszenie szlafroka, i zaczął przechadzać się po pokoju, jak niezgrabny niedźwiedź.

— Tym sposobem—rzekł notaryusz, którego oblicze powoli się rozjaśniało, małżeństwo jeszcze nie doszło? Więc pańska córka nie jest połączona z wice-hrabią Montflanquin nierozzerwanemi związkami, nieodwołalną przysięgą?

— Ale nie!.... mój drogi, wcale nie!—zawołał Levrault z przyciskiem—małżeństwo bynajmniej nie zostało zawarte. Zkąd przybywasz? zkąd się wzięłeś? kto ci dmuchnął takie bajdy? Dajmy temu pokój, proszę cię. To niewarto było tyle sobie zadawać trudów.

Więc się nie połączyli!.... Wielki Boże, bądź pochwalony!—zawołał Jolibois z niebiańską radością.—Przyprawiłeś nogi gazelli, spokojnemu człapakowi skromnego notaryusza z prowincyi. Dozwoliłeś przybyć mi na czas, ażeby uratować niewinność, zniweczyć zamiary niegodziwych. Chciałeś, abym mógł naprawić złe, które mimowolnie popełniłem. Wcześniej mnie oświeciłeś; nie ścierpiałeś, ażeby cnota służyła za tryumf dla występku. Dzięk ci o Boże!.... oni jeszcze się nie połączyli.

Ze złożonemi rękami, z podniesionemi oczyma do nieba, pan Jolibois zdawał się rozptywać w religijném uniesieniu. Pan Levrault patrzył na

niego z osłupieniem, i pytał się sam siebie, czy ten człowiek rzeczywiście ma głowę na karku.

—Mój kochany panie—rzekł nareszcie p. Levrault drapiąc się w ucho, —chciój mi wytłumaczyć, co to wszystko znaczy? Dotąd nie słyszałem z ust pana ani jednego wyrazu, któryby mi tę zagadkę mógł wytłumaczyć. Zamordowałeś swego konia, wpadasz do mnie jak bomba; objaśnij mnie dlaczego? Zaślubieni albo niezaślubieni, co cię to może obchodzić? Czyż to ma być powodem, abyś stracił zmysły, lub chciał się tym sposobem ubawić?

— O najlepszy z ludzi! o trzykroć szlachetno serce!—zawołał pan Jolibois z doskonale udanym uczuciem, że pan Levrault skruszony, sam nie wiedząc dlaczego, ledwie wstrzymał się od płaczu. Nie był on podejrzliwym, ufał on wszystkiemu. Ze zmysłem kupieckim, było to sama niewinność i prostota dziecięca. Szedł on wpośród zasadzek z uśmiechem, igrał nad brzegiem krateru, który mógł go pochłonać.

Spotykamy niekiedy uprzywilejowane istoty, podobne do artezyjskiej fontanny; mieszają one swe wody z błotem całego świata, bez zamącenia kryształu swego źródła.

—Nieszczęśliwy — mówił Jolibois wzniesionym głosem, uchwyciwszy gwałtownie rękę wielkiego fabrykanta; — czy pan wieśz, kto to jest ten wice-hrabia Kasper Monflanquin? powiedz, czy pan wieśz o tém?

Był to grom grzmotu rozdzierającego sklepienie niebios. Na to straszne zapytanie, pan Levrault zbladł i zadrżał. Białą jak chusta, ze wzrokiem osłupiałym, trzęsąc się jak wróbel, kiedy wpadnie w pazury drapieżnego kobusa, poglądał na kmotra Jolibois, który mu ścisnął rękę, jakby żelaznemi kleszczami.

W tym stanowczym momencie, Stefan Jolibois miał w swoim spojrzeniu, w swęj postaci coś zimnego, coś straszego, co przypominało Bertrama, owego tajemniczego towarzysza Roberta Djabła. Kilka chwil upłynęło w imponującym milczeniu, które zwykle zwiastuje odsłonięcie wielkiej tajemnicy. Jolibois pierwszy przerwał to milczenie.

— Ah!—zawołał przechodząc się wielkimi krokami po pokoju—ani jeden wyraz nie wyszedł z ust moich, któryby nie był zagadką dla pana? Ah! nie domyślasz się, co mnie tu sprowadza? Ah! zaślubieni lub nie, to nie powinno być rzeczą obojętną! Ah! pan niczego się nie domyślasz? A więc panie o wszystkiem się dowiesz.

I następnie bez przedmowy, głosem krótkim, zjadliwym, siekącym, pan Jolibois opowiedział wszystko, co czytelnik, więcej przewidujący jak p. Levrault, odgadł już oddawna. Jolibois rozebrał Kaspra i przedstawił go w całej nagosci. Zburzył rusztowanie, które pomagał sam ustawić;

zniszczył wątek przez siebie usnuty. Każde słowo uderzało jak ciosy maczugi w marzenia wielkiego przemysłowca, który widział swego wicehrabiego szarpanego sztuka po sztuce, kawałek po kawałku.

Montflanquin pochodził z dawniej rodziny szlacheckiej w Bretanii, ale swój klejnot szlachecki obrzucił błotem, zszargał po wszystkich rynsztokach. Strwoniwszy ojcowiznę, handlował swoim imieniem, i przyłączył się do lipcowej dynastji; ale król, królowa, księżęta i księżniczki wkrótce się od niego odsunęli ze wzgardą. Obarczony długami, nie mając ani grosza, zbyt dobrego urodzenia, aby się miał pracą zająć, żył w Paryżu z gry w ruletę lub w lancknehta, albo też z łaski kilku wdów, z których żadna nie chciała mieć z niego męża. Co do panny Chanteplure, ona tak szybko przeminęła na ziemi, że nikt z żyjących nie mógł sobie przypomnieć, ażeby kiedy na niej istniała. Przygotowany od wczorajszego wieczoru, do dzisiejszych powierzeń, pan Levrault czuł za każdym wyrazem notaryusza, spadającą kataraktę z swoich oczów. W przeciągu kwadransa, nie pozostało ani śladu z wicehrabiego.

— Nędznik!—dodał Jolibois, skoro już wszystko opowiedział;—w dodatku zrobił sobie ze mnie igraszkę, a razem współnika. Tego poranku jeszcze, przed kilku godzinami, jak pan miałem w nim zupełne zaufanie. O nic go nie posądzałem. Przed tygodniem milczałem, kiedy mi mówiono, że wicehrabia ma zaślubić córkę pana, że kontrakt jest podpisany: cieszyłem się nawet z tego. Przyznaję jednak, że zdziwiłem się trochę, iż nie zostałem wybrany do napisania intercyzy; kolysałem się bowiem tą miłą nadzieją, że z czasem zostanę notaryuszem pańskiej rodziny. Ale Jolibois nie jest samolubem, nie myślałem tylko o waszém szczęściu. Poklaskiwałem sobie, że byłem ogniwem stanowiącém związek, łączący domy Levraultów z Montflanquin'ami; kiedy tego poranku wstając z łóżka, jeden z najpiérwszych urzędników miasta przybywa do mnie z doniesieniem o tém wszystkiém, co panu dopiero opowiedziałem.

— Piekło i przekleństwo! Czy pan pojmuje moje przerażenie? pojmuje, dlaczego zajeździłem mojego konia, dlaczego wpadłem do pańskiego pokoju jak bomba? Pojmujesz pan nakoniec, że tu idzie i o mój honor, i o wasze ocalenie!

— Trzeba przyznać—zawołał pan Levrault—że ten wicehrabia jest bezczelnym łotrem. Dotychczas nie wiedziałem, co mam sądzić o jego rzeczywistej wartości. Zaledwie trzy razy go widziałem, a już spostrzegłem w nim coś podejrzanego. Powiedziałem sobie zaraz: on nie jest prawdziwym szlachcicem. Wierzaj mi, Jolibois, że nigdy nie zgodziłbym

się na oddanie mu mojej córki; ale przyznaję, że daleki byłem, abym mógł pomyśleć o takiej śmiałości i przewrotności.

— Pan masz, niedaleko twojej bramy—odrzekł Jolibois kręcąc głową—pewien zamek, o którym ostrzegam, abyś się miał na ostrożności, aby ci się nie zdarzyło wpaść z Charybdy na Scyllę, wyjść z jednej pułapki, aby wpaść w gniazdo padalców.

— O jakim zamku chcesz mi mówić?—zapytał wielki przemysłowiec.

— O zamku La Rochelandierów. Mieszka w nim, uprzędam pana, pewna margrabina, jeszcze niebezpieczniejsza jak wice-brabia. Jeżeli pana nie ostrzegał, kiedyś przybył osiedlić się w Trelade, to dlatego, że mniemał, iż jest nieobecną w swoich dobrach. Powtarzam panu, strzeż się zamku La Rochelandier. Margrabina jak Joanna Orleańska, znana jest w całej Bretanii, jako najzacieklejsza stronniczka partyi legitymistów. Pan posiadasz wpływy, jesteś zamożny, zajmujesz wyższe stanowisko w świecie. Margrabina niczego nie zaniedba, aby cię skłonić powoli do przysłużenia się twojemi milionami jej synalkowi, i partyi do której należy.

— Aha!—krzyknął pan Levrault—to rozbójnicza jaskinia ta Bretania, którą mi jednakże przedstawiano, jako klasyczną ziemię, pełną godności i honoru!

— I cóż ci odpowiem panie? Chciałeś się pokumać ze szlachtą, i zostałeś według życzenia usłużony. Wice-brabia Kasper Montflanquin, czyni ci zaszczyt w bezinteresownej przyjaźni. Przyjmujesz przy twoim stole wspaniałe kawalera Barbanpré, który nie pojmuje, że Ezaw sprzedał swoje prawa pierworodztwa za talerz soczewicy, ale któryby sprzedał swoją duszę za jedną pularę z trussami. Wozisz w swojej karecie hrabiego Kerlandec, szlachcica czystej krwi, któremu Kasper winien piętnaście tysięcy franków, i który rachuje, że odzyska swój dług z posagu panny Laury. Nakoniec przybywa do tej trójki margrabina La Rochelandier, posiadająca więcej wykrętów, więcej ełciwości, jak tamci panowie. Tym sposobem widzisz wszystkich zbiegających się do twoich bogactw, jak ową trzodę komarów, około zapalonej lampy. Byłoby twojem marzeniem, zawiązać stosunki z arystokracją; powinienes być zadowolony. Kiedyś mi zwierzył się z twoimi zamiarami, z twojemi nadziejami, milczałem, szanując pańskie marzenia. Moje polityczno opinie znane są panu; bez wątpienia byłbyś mnie posądził o stronnosć. Ach gdybym mógł mówić!...

— No i cóżbyś mi powiedział, panie Jolibois?—zapytał Levrault klepiąc go po ramieniu.

— Co bym powiedział?—zawołał notaryusz z zapalem;—powiedziałbym: panie Levrault, jesteś zaszczytem i chwałą Francyi, a kiedy taki

człowiek, i z taką osobistą wartością łączy się ze szlachtą, nie wznosi się, ale upada, nie przywłaszcza, ale abdykuje. Powiedziałbym także: zbliża się czas, w którym spełnią się wielkie wypadki, a w takim razie, epierając się na barkach schorzałych, wątłych swęj starszej siostry, nowa arystokracja czyż może sobie pochlebiać, aby stawiała czoło burzom, które jęj zagrożą.

— Jakim burzom?—zapytał pan Levrault z zadziwieniem.

— Jakim burzom? panie, i pytasz się o to!—zawołał Jolibois. Czyż nie spostrzegasz gromadzących się chmur na widokręgu? nie czujesz drgania, a nawet trzęsienia gruntu pod swemi stopami? Francja się porusza, cały świat jest w oczekiwaniu.

— Co mówisz, panie Jolibois. Nigdy Francja nie była tak szczęśliwą, nigdy przemysł tyle nie kwitnął. Mieszczaństwo jest przy sterze rządu, i czegoż jeszcze może sobie życzyć?

— A lud, panie?—zapytał pan Jolibois, zwolna zakładając na krzyż ręce na piersiach;—cóżto lud za nic liczysz?

— Lud!—odparł pan Levrault—czegoż mu brakuje, na czém mu zbywa? Nie zebrałem trzech milionów? Któż zabrania, ażeby każdy tak uczynił?

— Powiadam panu—odrzekł poważnie pan Jolibois—wielkie wypadki się gotują. Lud obecnie stoi w tyle ze mieszczaństwem, jak niegdyś mieszczaństwo stało za szlachtą. Mieszczaństwo zabiło szlachtę, lud zabije z kolei mieszczaństwo.

— Ej co tam prawisz! — zawołał pan Levrault; — mój dziennik nic o tém nie wspomina.

— Lud jest wielkim, szlachetnym—ciągnął dalej Jolibois tonem uroczystym;—ale lud jest strasznym, i nie powinienem przed panem tać, że w dniu, w którym mieszczaństwu przyjdzie przed nim zdać rachunek, ciężkie chwile będzie miało do przebycia. Wtenczas miliony będą okropnym ciężarem; znam niejednego bogatego bankiera, któryby się miał za szczęśliwego, gdyby tylko za złoto mógł ocalić swą głowę.

— Czy nie żartujesz tylko, panie Jolibois?

— Bynajmniej, niestety!... Myślę o panu, o twęj lubęj córce. Wiem, że nic nie zrobiliście, coby mogło na was ściągnąć niechęć i przekleństwo ludu. Zawsze zdążyłeś pan naprzeciw jego potrzebom, w każdym zdarzeniu, wspomagałeś nędzę; nie należysz do liczby tych bogatych samolubów, tych nielitościwych, którzy głoszą i wierzą, że nikt nie umarł z głodu, kiedy są po dobrym obiedzie. Jednakże wiész, że wpośród burzy rewolucyjnej, częstokroć niewinni za winnych karani bywają.

Cóżby się z wami stało, wielki Boże? Ach! bez wątpienia czuwać będę nad wami, nad twoją córką. Uspokoję gniew lwa rozkutego, ujrzysz go na mój głos posłusznym, przychodzącego z pokorą lizać twoje stopy. Lud mnie zna i kocha; lecz któż może powieździć, kto przewidzieć, gdzie będziemy, pan i ja, podczas rozruchów? Czyliż nie zapóźno przybędę, aby własnym ciałem zastonić pana, aby od was odwrócić cios śmiertelny, aby was unieść na własnych rękach? Wierzaj mi, panie, nie rachuj zawiele na Jolibois: zamiast szukania związków z szlachetnie urodzonym, który nie posłuży ci jak tylko do prędszego wystawienia na sztych, a tém samém na zemstę ludu, oddaj swą córkę doświadczonemu republikaninowi, który w każdym razie twoje życie i twój majątek ochroni.

Na tę myśl zaślubienia córki z republikaninem, pan Levrault parsknął niewstrzemięźliwym śmiechem, zacierając ręce w wybuchu szalonej wesołości.

— Straciłeś zmysły, mój drogi— rzekł nakoniec do pana Jolibois trochę zmieszanego— Lud jest zupełnie zadowolony, on nie pragnie więcej rewolucyj. Dziwię się nawet, że tak dowcipny młodzieniec jak ty, w materji politycznej ma koślawe wyobrażenia. Radzę ci, abyś mój dziennik zaprenumerował.

Jolibois powracał do szturm, lecz nadaremnie. Pan Levrault nie rozumiał, albo nie chciał rozumieć. Wszystkie napomknienia uczciwego republikanina, odbijały się o twardą mózgownicę wielkiego przemysłowca, jak kule o skórę słonia. Notaryusz oddalił się z wściekłością i śmiertelną urazą w sereu.

Na zakręcie drogi, o kilka staj od krat pałacowych, Jolibois spotkał wice-hrabiego. Kasper cokolwiek się opóźnił idąc około żywych płotów, nie uganiając się zapewne za motylami, lecz dla uszykowania pewnej liczby frazesów, które wynalazł w popiołach swjej młodości, i za pomocą których spodziewał się przywieść do poddania kamienne serce panny Levrault. Teraz pewny już skutku, przyspieszył kroku, a wtém Jolibois zastąpił mu na drodze.

— A co? Jolibois?— zapytał wice-hrabia z niespokojnością.

— Niech uderzą w kotły i trąby, dla ogłoszenia tryumfu—zawołał Jolibois, wywijając szpicrutą, z miną zwycięzką.—Niechaj wszyscy mularze całej Bretanii zbiegną się na ten odgłos! niech twoje wieże pochyłone wzniosą czoła pod niebiosy! niech kamienie twojego zamku powstaną na dźwięk talarków wielkiego przemysłowca, jak niegdyś mury Teb, na głos liry Amfiona. Spiesz, i każ pozawieszać tarcze herbowe z klejnotem szlacheckim twój rodziny! Niechaj Galaor wdrapie się na blanki i rozwinię sztandar Montflanquin'ów! Niech Baudouin'owie i Lusignan'owie

zatrzęsą się w swoich całunach! Zwyciężyłeś, panie wice-hrabio! Nie potrzebujesz jak tylko się pokazać, a miliony pana Levrault są twojemi.

— Powiedz, że są naszymi!—zawołał wice-hrabia w uniesieniu radosnym z wdzięczności, nie mogąc się pohamować.—Dla nas miliony!—zawołał wyskakując na brzegu ścieżki.—Wcielona djablica margrabina uschnie ze złości. Jolibois, jakże cię przyjęto? czy mocny opór znalazłeś?

— Nie mogę przed panem ukrywać, mości wice-hrabio, że kiedy przybyłem, twoje papiery cokolwiek spadły. Nie wątpiono o pańskiej uczciwości, i któżby śmiał o nią powątpiewać; to prawda, jednakże się wahano. Mówiłem, ażeby zmienić postać rzeczy. La Rochelandierowie zagrzebani są na sto łokci w ziemi, a pan stoisz lepiej niż kiedykolwiek. Bez próżności, panie wice-hrabio, mogę sobie pochlebić, że w tym razie dzielnie pana naprzód popchnąłem, i jak to mówią, nie żałowałem ani czapki, ani papki.

— Wspaniały Jolibois, szlachetny przyjacielu, mój zbawco!—zawołał rycerski Kasper, szukając w téjże chwili wybiegów, za pomocą których mogłyby się wykręcić swoim wierzycielom—mogę się teraz panu wywdziękzyć.

— Panie wice-hrabio, masz się obecnie zająć ważniejszemi sprawami! Coś mnie winien, mniejsza o to; staraj się naprzód wypłacić dług swoim naddziadom,—odpowiedział wielkoduszny Jolibois, który myślał w duszy, czy już nie nadeszła godzina zemsty, za wszystkie doświadczone zawody.

— Czy tak?—zapytał wice-hrabia, którego kocie oczy błyszczały na słońcu, jak dwa szmaragdy—trzymamy go dobrze, tego małego i dobrego baranka? Już się nam pan Levrault nie wymknie? Jesteś tego pewny Jolibois?

— Niezawodnie, panie wice-hrabio, jak gdybyś już miał w twój kieszeni milion ósmkroć sto tysięcy franków posagu, który papa Levrault daje swojej córce.

— Milion ósm kroć sto tysięcy franków!—krzyknął Kasper, widząc otwierające się niebo dla siebie.

— Ani mniej, ani więcej, panie wice-hrabio. Dodaj tylko sto tysięcy franków, jakie p. Levrault przeznacza na kosztą uporządkowania gospodarstwa. Dostaniesz je do ręki gotówką w chwili podpisania interczy słubnej. Macie się zaślubić pod prawem wspólności majątkowej; nie sądzą bowiem, aby mogli zrobić lepszy wybór, i znaleźć podobnego zięcia jak pan jesteś.

— Wybornie człeczysko ten pan Levrault. Czy nie zdaje ci się, że wczorajszego wieczoru, cokolwiek za lekko o nim mówiliśmy? A więc, Jolibois, nigdy nie będę się rumienił za mojego teścia. Kiedy otworzę

moje salony, niech sobie co chcą myślą, lecz na honor szlachcica, ujrzą tam pana Levrault.

— Dalej, panie wice-hrabio—dodał wesoło Jolibois zacierając ręce— otóż wydobyłeś się z przykrego stanowiska, i jak to mówią, pójdzie ci teraz jak po mydle. Złe godziny już przeminęły. Twoja gwiazda panie zajaśniała nowym blaskiem. Będziesz wiódł wspaniałe życie, zgodnie z twoim smakiem, z twoim instynktem, nareszcie z twoim stopniem. Znakomite dobra w Bretanii! pałac w Paryżu! konie! łoża na operze włoskiej i w teatrze Buffol...

— Ej tak, mój Boże!— odrzekł wice-hrabia z rezygnacją. W lecie będę podróżował: pojadę do wód w Baden lub Hombourg.

— W części będzie to chwałą dla mnie, że się choć pośrednio przyłożył do spełnienia życzeń pana, do urzeczywistnienia jego marzeń. Moje dzieci, jeżeli ich kiedyś mieć będę, dowiedzą się, że ich ojciec przyłożył się do przywrócenia świetności waszego imienia, do pomszczenia się nad zawistnym losem. Gdybym tylko zostawił im tę kartę z mojego życia, nie będą mieli prawa powiedzieć, że są wydziedziczeni.

— Spodziewam się mój kochany panie Jolibois, że zechcesz mnie odwiedzać w Paryżu, lub w moich dobrach.

— To zbyt wiele dobroci, panie wice-hrabio.... Ale tracisz czas drogi. Pan Levrault czeka cię niecierpliwie z otwartymi rękoma, dla nazwania swoim synem, gdyż tak pana już mianuje. Nie jesteś jego zięciem, ale synem najukochańszym.

— Mówiłem ci zawsze, iż to jest godny człowiek—zawołał Kasper z uczuciem.—Być może, że jak każdy, ma swoje ułomności, lecz jaką duszę co za serce!...

— Złote serce, panie wice-hrabio! Idź więc, spiesz do Trelade, leć gdzie oczekują na cię dostatki. Ale pomyśl, że od odegrania sceny przy nogach Laury, nie jesteś uwolniony....

— Powiedz: panny Laury Levrault, mój kochany panie Jolibois; tak, panny Levrault.

— Przy nogach panny Laury Levrault—odparł Jolibois obojętnie—ową scenę, którąśmy wspólnie ułożyli. Bądź ognistym, panie wice-hrabio, tak, ognistym, natarczywym. niewyciężonym. Nadewszystko panna Levrault dba o to, aby natchnęła cię gwałtowną miłością; zrób jej tę przyjemność. Jeżeli za czasów króla Henryka, Paryż wart był jednej mszy, milion ośmiokroć sto tysięcy franków dzisiaj, warte są miłosnego oświadczenia.

— Dziękuję za twoje dobre rady, panie Jolibois—odpowiedział wice-hrabia, który według natury dusz wielkich, czuł budzącą się w sobie

godność, wraz z polepszeniem losu.—Rady twoje bez trudu będą zachowywał. Rola, jakas mi skraślił do wykonania, nie jest nad moje siły. Jeżeli mam być ognistym, nieustraszonym, będę takim bez przymusu, i nie będzie to dla mnie zasługą. Jeszcze czas burzliwej miłości dla mnie nie przeminął, i nie widzę nic w tém niestosownego, że młoda i piękna osoba jak panna Levrault, wymaga, aby ją uwielbiano dla jej wdzięków, i swych pięknych oczów. Bywaj zdrów, mój kochany panie — dodał wice-hrabia, podając dwa palce notaryuszowi;—w całym życiu nigdy tego nie zapomnę, coś pan uczynił dla mojego domu.

Po tych wyrazach, zaledwie powstrzymując swe uczucie, które go pobudzało do podskoczenia jak kozioł, Kasper, z całą powagą poszedł drogą, prowadzącą do Trelade. Gdyby się był obrócił po jakimś czasie, i spotkał się ze spojrzeniem, które wpoił w niego kmiotkowi Jolibois, stojący nieporuszony w jednym miejscu, sądzę, że naszego przyjaciela Kaspra, od stóp do głów zimnyby dreszcz przebiegł.

IX.

Po odjeździe pana Jolibois, wielki przemysłowiec wrócił do salonu, gdzie się jego córka znajdowała. Laura, która cały poranek spędziła w głębi parku, ani się domyślała, że notaryusz odwiedził zamek Trelade. P. Levrault ani słówka jej o tém nie wspomniął. Krążąc jakiś czas w milczeniu około krzesła, na którym Laura siedziała, nagle zawołał:

— Nakoniec rozważywszy dobrze, wypada, że to nic wielkiego ten twój wice-hrabia! Zapytuję sam siebie, jakim sposobem mogliśmy się na to zgodzić, aby go przyjmować u siebie z taką serdecznością.

— Nareszcie mój ojciec — zawołała Laura — przechodzisz na moje stronę.

— To jest — odparł pan Levrault — ty nareszcie skończyłaś na tém, że podzielasz moje tajemne przeczucia. Przypomnij tylko sobie, jak się wyraziłem nazajutrz o wice-hrabim, po naszym przybyciu do Trelade. Jeszcze go nie ujrzał, a już mu niedowierzałem; jeszcze się nam nie przedstawił, a już mi coś szeptano, że ten Montflanquin nietylko wart, jak o nim mówią.

— Nie zapominałam o tém — rzekła Laura; — ale także przypominam sobie, że zaledwie się wice-hrabia przedstawił, a już zupełne współczucie ojca pozyskał.

— Moje współczucie? — zawołał wielki przemysłowiec. — Trzeba było niemało sobie zadać pracy, aby cię wywieść z błędu, że mojej sympatii wcale nie obudził. Wszystko w nim wstrętem mnie przejmowało:

jego postać, głos, jego dewizki, aż do sposobu przedstawienia się w Trelade. Nie dałbym ani szeląga, co się mnie tyczy, ani za jego Baudouin'ów, ani za Lousignan'ów, za jego lwa czarnego z widlastym ogonem i na grzbiet zarzuconym, ani nakoniec za jego pieniążki złote w tarczy herbowej. Ani na chwilę nie byłem w błędzie, co do jego ciągłych nadskakiwań. Powiedziałem sobie natychmiast: patrzcie, co mi za zuch, który wie z jakiej strony wiatr wieje.

— A jednakże—dodała Laura, nie mogąc się wstrzymać od śmiechu—przyjmowałeś go mój ojciec, wyprawiałeś dlań fety, przysięgłeś sobie, że będzie twoim zięciem.

— Ale przez Boga, nie widziałem, że ci się podobał, żeś go kochała, że go chcesz zaślubić za jakąbądź cenę? Aby ci się nie sprzeciwić, udawałem, że mi się podoba. Ma się rozumieć, iż nie miałem najmniejszego podejrzenia o jego moralnym prowadzeniu. Nieraz sobie powiedziałem: ten panicz czyha na moje talarki; strzegłem się wszelako uważać wicehrabiego za człowieka zacnego. Mówiłem sobie także: on nie jest pięknym, ani młodym; bolałem nad tem, żeś się rozplywała w tym gagatku, ale nadewszystko, to był twój interes, bynajmniej zaś nie mój. Wczoraj, dzisiejszego poranku jeszcze, broniłem go w twojej sprawie. Jój namiętność zaślepia ją, mówiłem, kocha się na przekór. Jednakże, kiedy tu idzie o twoje szczęście, mniemam, że ten przedmiot wymaga głębszej rozważki. Wprawdzie rzadko się zastanawiam, ale kiedy się wezmę do rzeczy, to już w całym znaczeniu biorę się nie na żarty. Zamknawszy się w moim pokoju, po dwugodzinnój rozwadze i rozmyślaniu w głębi ducha, uznałem, że twój wice-hrabia nie jest niczém więcej, tylko kuglarzem, i urwiszem.

— Nakoniec mój ojciec powiesz—rzekła dziewczica coraz więcej się śmiejąc—że to ja także przyczyniłam się, abys został jego stronnikiem.

— Wszakże przekonywałaś mnie o tém, nieprawdaż, że on odmówił wszelkich łask dworu? Tyś kazała mi wierzyć, że się rzucił w wodę dla ocalenia panny Chanteplure? Ej do licha! niechno się wice-hrabia pokaże w Tuillerach, a przysięgam, że król i księżeta tyłem się do niego obrócają. Co do panny Fernandy, mam podejrzenie, czy ona kiedykolwiek istniała na świecie. Ale wolę już milczeć o twoim Kasprze, nie brzęcz mi tylko za uszami o twojej dla niego miłości, o twojem uwielbieniu, i że tylko jego chcesz zaślubić. Czas już, aby się ta komedia skończyła.

— Ale, mój ojciec....

— Żadnego ale, nie nie chcę słuchać; zabraniam ci wspominać jego imię w mojej obecności. Nieszczęśliwy! co za zuchwalstwo! śmieć igraszkę sobie robić, z takiego jak ja człowieka! Kiedy pomyślę, że moja cór-

ka śmiała kochać takiego kuglarza, matacza, cała krew Levrault'ów burzy się i kipi w moich żyłach.

— Ale na Boga, mój ojcze... łaski....

— Żadnej łaski!—krzyknął wielki fabrykant.—Żałuję, że prace przemysłowe nie dozwoliły mi ćwiczenia się w szlachebném władaniu orężem. Piérwszy raz żałę się przed Bogiem, że się nie urodził synem żołnierza. My wieley przemysłowcy, jesteśmy marszałkami pokoju. Ah! gdyby Tymoleon nie zginął, byłby za jednym razem zemścił się za siostrę i za swego ojca! Niech się tu pokaże przecież, ten szlachecki synek, ten młody i piękny Kasper; niech się ośmieli naigrawać z mojego gniewu! Wyrzucę mu jego postęпки, a zdartszy z niego maskę, w twarz mu ją poprostu rzucę. O! nie zna on, coto jest Levrault obrażony!

— Otóż i wice-hrabia!—rzekła Laura, podniósłszy zasłony od okna, która w téj chwili ujrzała oblicze Kaspra, przesuujące się przed prętami kraty pałacowej.

— Czy być może?—zawołał pan Levrault.

— On sam; patrz mój ojcze, czy go nie widzisz?—pytała Laura, uchyłając lepić zasłony.

— Ah! jak on jest okropny—wołał pan Levrault—jaką lisią ma minę. Niechże tu kto zrozumie ludzi, którzy utrzymują, że on jest piękny? Moja droga, zechć się tylko przypatrzeć, z jak lodowatą grzecznością przyjmę go u siebie.

— Jeżeli pozwolisz, mój ojcze, to ja dzisiaj przyjmę Kaspra. Sądzę, że nie zgadzałoby się z twoją ojcze godnością, gdybyś się miał kiedykolwiek oko w oko z nim spotkać; racz się oddalić, spuść się na mnie, już ja mu dam przyzwoitą odprawę.

— Masz słusność. Znam siebie: we mnie płynie krew nie woda. Niepotrzeba jak tylko jednego nierozsądnego słówka, uśmiechu dwóznacznego, zmarszczenia czoła, krzywego spojrzenia, abym jak mina wybuchnął: będzie daleko przyzwoiciej, kiedy uniknę jego spotkania.

I pan Levrault, mając niejakię podejrzenie o wice-hrabim, że jest z professyji zawadyakiem skłonnym do pojedynków, bynajmniej się nie gniewał, iż może złożyć na córkę kłopot załatwienia tak drażliwego interesu; i kiedy Kasper wchodził do pokojów przez drzwi z przedsionka, on tymczasem wymknął się szklanemi drzwiami, prowadzącemi do ogrodu. Była to scena jedna z arcy-dramatycznych, którą wywołało obłąkanie i namiętność.

Kasper zrobił tylko jeden skok od drzwi salonu do krzesła, na którym siedziała Laura; potem, zgiąwszy się przy nogach panny Levrault, jakby był watą wypchany, upadł na kolana, i z desperackim porusze-

niem, które bardzo zakrawało na ruch szalenie rozkochanego, zasłonił twarz obiema rękami. Stało się to tak szybko, tak nagle i niespodziewanie, iż powiedzielibyście, że wice-hrabia prawie czarodziejskim sposobem u nóg dziewczycy się znajdował. Laura nieporuszona, bawiła się od niechcenia z piórami chińskiego wachlarza, i spokojnie poglądała na Kaspra, jakby na jakie domowe zwierzątko, które przy jej nogach zaległo.

— Ah tak jest! prawda, oszukałem cię — odezwał się wice-hrabia przytłumionym głosem.— Tak jest, wszystko co mogłem zrobić, wymarzyć, aby panią oddalić od zamku La Rochelandierów, wszystko zrobiłem, wszystko wymyśliłem. Podstępny, podejście, płaskie zabiegi, niczego nie szczędziłem, niczego nie zaniedbałem. Obarcz mnie swoim gniewem, ale nie przygniataj pogardą; kochałem cię i byłem zazdrosny. Dziecię zaledwie kosztujące życia, źródło świeże i czyste, w którym się błękit niebios odbija, kwiat niewinności, wdzięków i powabów, kwiat dziewczycy, zroszony łzami jutrzenki: nie wiesz jak pożerecy ogień ogarnął lato dni moich, nie możesz pojmywać, jakie namiętności burzliwe szarpią sercem zawiedzionem. Są dusze, dla których miłość jestto strumyk wody ciekący jasno, cicho po zielonem łożu; są inne niestety! których miłość jest gwałtowną falą, porywającą wszystko co spotka na swój drodze, ryjącą swe łożysko wpośród zwalisk. Tak, oszukałem panią; tak, zrobiłem sobie igraszkę z twój łatwowierności; tak, jak zły duch wszędzie i w każdej chwili czuwałem nad tobą, nad każdą twą myślą, nad każdym krokiem. Poniżyłem się aż do kłamstwa, ja, wice-hrabia Montflanquin! Byłem zazdrosny względem powietrza, którym oddychałaś, wietrzyku, który muskał twe włosy, trawki, którą deptałaś stopami, względem róż, które dotykały twe usta. Chciałbym cię ukryć przed wzrokiem całego świata, wzniesć koło ciebie mur niebotyczny, schować, utaić w mém łonie, jak skąpiec swój skarb najdroższy. Bądź nielitościwą, ale nie pogardzaj mną; kochałem cię, i byłem zazdrosny.

Tu Kasper przerwał swój monolog i wznosił oczy, aby sądzić o skutku swój wymowy, z której dosyć był zadowolony. Laura nie przestawała bawić się wachlarzem; to składała, to go rozwijała, badała wykonaną na nim robotę, uwielbiała świetność kolorów, i zdawała się nie słyszcć pięknych frazesów, z jakimi wice-hrabia przed nią się popisował. Kasper oniemiał.

— Słucham pana wice-hrabiego — powiedziała nareszcie dziewczica.

Te kilka wyrazów powiedziane były tak słodziuchnym głosikiem, tak pieszczośliwym, że nasz przyjaciel Kasper zupełnie się uspokoił.

— Chociaż zbyt młodym byłem — odrzekł ze smutkiem — mniemałem jednakże, iż dawno przeminęły, a może na zawsze zagasły burze mego

serca. Uderzony gwałtownym ciosem w dwudziestym roku życia, pożegnałem na wieki uśmiechające się obrazy w poranku dni moich; wyrzekłem tkliwe i wieczne pożegnanie miłości. Moje serce stało się tylko resztą popiołów. Nie pozostało mi, jak tylko odziać się kirem i zasnąć w mym grobie, kiedyś pani się zjawiła. Pociecha i błogostawieństwo zstąpiły razem na ziemię, aby uleczyć rany, wskrzesić umarłych! Widząc cię, czułem, że się odradzam, i jak Łazarz do życia przywrócony, wyciągnąłem rękę do nieba.

— Mów pan, panie wice-hrabio—rzekła znowu Laura Kasprowi, chcąc obudzić pamięć cokolwiek za leniwą.

— Ujrzałem panią i pokochałem. Poprzysiągłem przy stopach unierającej, razem z nią pogrzebać moje serce, żyć tylko jej wspomnieniem; ujrzałem panią i stałem się niewiernym, krzywoprzysięcą. Ach jakże zostałem przerażony spostrzegłszy, że nie zamarłem na wszystko, co żyć każe, że byłem jeszcze uczuciem młody, że mogłem kochać, że kochałem! O luba istoto, ileż też i cierpień mnie kosztowałaś! Chciałem cię unikać, ujsć z tych miejsc; ale jakaś niezwykła siła przykuwała tam, gdzieś się znajdowała. Każdego wieczoru opuszczając cię, przysięgałem w duszy nie powracać tu więcej; powracałem przecież nazajutrz, nieszczęśliwszy, więcej zakochany jak wczoraj. Ach! ileż wycierpiałem, ach! ileż wałk stoczyłem! Ty tylko wiesz mój Boże, ty, który czytasz w tajnikach duszy!

— Ileżto razy wracając wieczorem przez samotną ścieżkę do zamku moich ojców, zdawało się, że widzę w cieniu poruszenia gniewliwego widma panny Chanteplure! Ileżto razy zdawało się, że słyszę jej głos oskarżający mnie w załosnym szeleście wietrzyka. Jakże byłem nierozsądny! nie pojmowałem, że jej luby cień nie oburzać się, ale cieszyć się powinien. Nie jesteś pani żywym obrazem Fernandy? Czyż nie ją to uwielbiam w osobie pani? Nie, ja nie zdradziłem méj wiary, nie, ja nie stałem się przeniwiercą! Panna Chanteplure żyje, jestem u jej stóp; w jejto wdziękach się przeglądam, ją ubóstwiam, jej dłoń dotyka mojej... O moja luba! marzyłem żeś umarła. A ty żyjesz, jesteś mi zwróconą, daleko młodsza, jaśniejsza i piękniejsza niż kiedykolwiek. Spójrz na mnie, przemów jak za dni naszego szczęścia. Nic nie odpowiadasz. Czyliż przestałaś mnie kochać? Nie jesteś moją Fernandą? nie jestem więcej dla ciebie twoim Kaspresem?

— Panie wice-hrabio—odpowiedziała Laura głosem, jak tylko może być najstodszym, usuwając rękę z ognistych uścisków Montflanquin'a—skłamałabym, gdybym chciała utrzymywać, iż jesteś mi obojętnym. Bądź

przekonany, iż mi wielce pochlebiały, o ile być mogło, owe oddawane hołdy przez takie serce, jak pana. Spodziewałam się, nie mogę przeczyć, że nasze losy zjednoczą się, że skończymy na połączeniu. Miłoby mi było, przyznając, nosić pańskie nazwisko; z dumąbym go nosiła. Niestety, panie wice-hrabio, że to pannę Chanteplure, ale nie mnie kochasz; nigdy bym się nie zgodziła na to, abym dla mojego męża była tylko portretem, samém wspomnieniem.

I wymówiwszy te wyrazy, Laura powstała, wzięta z fortepianu swoje rękawiczki, kapelusz, woalkę, i wyszła nie spojrzawszy nawet na wice-hrabiego, ciągle przed krzesłem klęczącego.

Nasz przyjaciel Kasper nie był głupcem; widział, że wszystko stracone, wszystko przepadło. Stłumił w piersiach ryk lwa zranionego, naciśnął kapelusz na głowę i wyszedł. Jednakże przechodząc przez dziedziniec, Kasper przypomniał sobie dobre usposobienie pana Levrault, w jakim go Jolibois zostawił. Przyczepił on się do milionów wielkiego przemysłowca, jak żmija do swęj ofiary. Zawrócił więc do zamku, ale wtém usłyszał stentorskim głosem wymówione z okna wyrazy:

— Germain, każ niech zaprzęgną; pojedziemy do zamku La Rochelandier.

Wice-hrabia wznosił oczy, i poznał w oknie pierwszego piętra wielkiego fabrykanta, który wyciągał się w kaszmirowym szlafroku, głaskał sobie podbródek, uważał z kądem wiatr wieje, i zdawał się mało troszczyć o to, że wice-hrabia Kasper de Montflanquin zostawał na dziedzińcu. Nie czekając dłużej, Kasper przycałił się, chyłkiem przemknął wzdłuż murów, otworzył bramę, i czmychnął w milczeniu.

Co zaszło w Trelade po odjeździe pana Jolibois? Była to tajemnica, którą Kasper napróżno usiłował przeniknąć. Tutaj tracił głowę. Nie mógł bowiem przypuścić, aby Jolibois, dotychczas jego towarzyszkimotr, chciał sobie jego kosztem zrobić igraszkę. To tylko zdawało się jasnym wice-hrabiemu, że ani pomyśleć nie mógł o zagrabieniu milionów pana Levrault; z pewnością była to stracona partya, bez nadziei odwetu. Kasper nie był jednym z tych ludzi, co się wysilają na dopięcie życzeń niepodobnych do spełnienia, rozwodzą bezowocne żale. Pocieszał on się myśląc o powrocie do Paryża, dzięki stu talarom, które Jolibois dozwolił mu swobodnie wygrać wczorajszego wieczora. Paryż! tylko w Paryżu wice-hrabia oddychał z rozkoszą; drżał on na to nazwisko, jak wygnaniec na imię swęj ojezyny. A więc do Paryża! Prowincya niegodna była posiadać tak miłego człowieka. Pocieszał się także Kasper wyobrażając sobie grymasy, jakie będzie robił Jolibois, kiedy się dowie o rozwiązaniu awantury; w myśli, że ten zuchwały i chytry wierzyciel znajdzie się w po-

łożeniu kruka w bajce, było coś uśmiechającego się dla wice-hrabięgo, pocieszającego dla jego dobrego serca.

Kiedy się zbliżał do zamku swoich ojców, Kasper ujrzał trzy osoby dwuznacznych postaci, siedzące spokojnie na kamieniach przed jego drzwiami, jakby przed jaką oberżą. Bryczka, zaprzężona małą bretańską szkapą, stała niedaleko pagórka, na którym sterczały ruiny zamczyska. Kasper zbliżył się bez podejrzenia, łamiąc sobie głowę, co to za jedni mogli być, owi trzej nieznanymi goście. Wszyscy powstali, kiedy Kasper stanął przed nimi.

— Czy mam zaszczyt mówić z wice-hrabią Kaspresem Montflanquin?

— zapytał jeden z drabów ochędzoźniej ubrany, ale z nich najbrzydszy.

— Z nim samym. Cóż od niego żądacie?

— Bez wątpienia ten list objaśni pana wice-hrabięgo z treścią małego interesu, który nas tu sprowadził.— Kasper złamał pieczęć i przeczytał:

Panie wice-hrabię!

„Nie chciałem opuścić Clisson i po wrócić do Nantes, bez okazania panu nowego dowodu współczucia, jakie we mnie obudziłeś. Noc, którą przepędziłem pod dachem twoich naddziadów, nie zesłała na wzburzeniu przez grę wywołaném. Ponure świsty wiatru, nie pozwalając mi zmrużyć oka, w téjże chwili napawały mnie drżeniem i bojaźnią o pańskie bezpieczeństwo. Nie powinienem ścierpieć, aby ostatni potomek znakomitej rodziny, ujrzał którego poranku zawałające się mury nad jego szacowną głową. Racz więc przyjąć, panie wice-hrabięgo grzeczność moję, przez którą zostawiam ci do wyboru mieszkanie, gdzie możesz spać spokojnie, kiedy będą wyć wiatry północne.“

„Mam honor ponowić panu wice-hrabięmu, zapewnienie, moich uczuć, z jakimi pozostaję.

„Jolibois.“

— Co to znaczy?—zapytał Kasper, zadrżawszy jak jeloń, kiedy dosłyszy odgłos rogu i psów ujadanie.

— Panie wice-hrabięgo—odrzekł komornik (niestety! onto był jedną z tych trzech nieznanomych figur), wyciągając z brudnej kieszeni zwit papierów, pod pieczęcią fiskusa—jestem zobowiązany przez pana Jolibois do wykonania wyroku, który cię panie wskazał na zapłacenie summy, jaką zostałeś winien, pod karą osobistego przymusu, stosownie do litery prawa. Jestem w porządku; oto są papiery, wszelkie formalności dopełnione. Wyrok jest w ostatniej instancyi i prawomocny, który może być w każdej chwili wyegzekwowany. Czy pan jesteś w możności zapłacić na moje ręce sto pięćdziesiąt tysięcy, trzysta trzy franków, siedmdziesiąt

pięć centymów, to jest summę przysądzoną, tak w kapitale, jako też procentów i kosztów procesowych?

— Ah! zdrajca Jolibois! ah! przeniwierca! ah! zbójca!—mruczał Kasper, gniotąc konwulsyjnie w rękach obrzydliwy list notaryusza.

Potém obróciwszy się do małego grooma, który całej tój scenie był obecny z niespokojną ciekawością:

— Galaor—zapytał obojętnie,—czy znajdziemy w domu sto pięćdziesiąt tysięcy franków, i kilkadziesiąt nędznych centymów?

— Pójdę zobaczyć panie wice-hrabio — odpowiedział szczytny chłopiec.

Wice-hrabiemu mignęła chwilowa myśl ucieczki albo oporu; roztrząsnąwszy uważnie swoje położenie i przypatrzywszy się dwom buldogom, którzy ani na jeden moment nie spuścili go z oczów, nad każdym jego poruszeniem czuwając, poznał nieszczęśliwy, że mu nie pozostała inna droga, jak tylko poddać się smutnemu przeznaczeniu.

Po kilku chwilach, Galaor powrócił.

— Panie wice-hrabio — rzekł — do summy, którą pan wymienileś, brakuje tylko kilku tysięcy talarów.

— A zatém bądź zdrów, mój synu, do lepszych czasów!—odpowiedział Kasper ze smutkiem;—powierzam twojej pieczy zamek moich ojców.

W kwadrans potém, uboga bryczka unosiła do Nantes ostatniego potomka rycerskiego plemienia, siedzącego skromnie między dwoma drabami, mając naprzeciw siebie komornika. Tymczasem Galaor, stojąc na progu bramy, załamywał ręce, rwał sobie włosy, i krzyczał jak Sganarello w komedyi:

— Moje zasługi! moje zasługi! moje zasługi!

(Część trzecia w następnym zeszytcie).

POCZĄTKI FILOZOFII KRAJOWEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

S. Tyszyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Taki był szczyt docieczeń myślenia jako myślenia. Ale źródłem i rodzicielką tych prawd, które wchodzą w skarb wiedzy człowieka, i których moralną piastunką jest myślenie człowieka, nie jest jedynie myślenie.

Dociekające (filozoficzne) pojęcia, systemata dawne i nowe, oddając się rozbirowi myślenia, jego zasad, istoty, zawsze prawie przymuszone były przypuszczać, uznawać pierwiastek jakiś istnący w myśleniu, jego źródło, który nie jest samém myśleniem. Takim np. u Platona pierwiastkiem były owe *idee* (i ich zrodzenia, o których mówił, *noemata*), u Arystotelesa wspomiane w traktatach co chwila *Dios* i *Entelechia*, u nam spółczesnych, jak to wnet ujrzyć mamy, badaczy myśli: *monada* *absolut*, *subjekt* i t. p. Ten pierwiastek tak przyznawany powszechnie, czyliż? i jaki jest?

Za warunek położyliśmy wyżej, mówić tu *stosowanie* i jasno; jeśli więc w czém, tedy w oznaczeniu pierwiastku tego (gdy schodzimy do niego), to jest rzeczywistych pierwiastków składających nas, nasze poznanie, winniśmy być prości i jaśni. Gmatwanie w tém oznaczaniu, jest właśnie, jak wiadomo, przyczyną i źródłem tych wszystkich gmatwań, jakie są w budowie systemów, w wykładzie systemów, w całym tém rozwinięciu dyalektycznych dociekań, jakie są dotąd. Ów pierwiastek o którym mówimy, t. j. który jest źródłem naszego myślenia i źródłem poznania, czyliż więc istotnie jest w nas? a jeśli jest, jakiz jest w swém praktyczném znaczeniu, a w naszym codzienném nazwaniu?

Patrząc na człowieka na ziemi, na samych siebie, czujemy lub widzimy to jasno, iż dwa są jawne pierwiastki, które składają człowieka: 1) pewna materya widzialna, która rośnie, rozwija się, kształci i potem kona i znika, a którą zowiemy *ciało*; i 2) pewna materya niewidzialna, niewidzialna, ale materya, albowiem podobnie rośnie, rozwija się, kształci, a potem kona i znika, a którą zowiemy *myśl*.

Ale oprócz *ciała* i *myśli*, tkwi w nas jeszcze, czujemy, pierwiastek trzeci, pewne *towarzystwo tajemne*, które kieruje naszym ciałem i myślą, nieraz nawet bez woli i wiedzy tego ciała i myśli; a kieruje niemi do jednej ogólnej harmonii, z innymi ciałami oraz myślami. Zawsze równie świadomy i równie silny, pierwiastek ten tkwiąc w nas z dziecka, ani rośnie, ani się kształci, ani się rozwija, przeto nie jest materyą; a jako niebędący materyą, zwanym jest *duch*.

Byt w nas tego pierwiastku tak jest i jasnym i pewnym, jako jest pewnym to: iż jest *szuk* i *harmonia* w całości ludzkiego rozwicia, jako jest pewnym to: iż wszelka *całość* złożyc się musi z części, i że się nie stają *skutki* bez *przyczyn* (1). Trzy pierwiastki: *ciało*, *myśl*, *duch*, składają pojedynczego człowieka; też pierwiastki składać i kształcić też muszą ludzkość czyli złożonego człowieka.

Pierwiastek odpowiedni ciału ludzkości, wydał *Dzieje ludzkości*.

Pierwiastek odpowiedni myśli ludzkości, wydał *Nauki ludzkości*.

Pierwiastek, którym jest *duch*, to sprawił, że te Nauki i Dzieje, stosownie do celów ludzkości, téj a nie innej natury były w każdym swym czasie.

Ciało jest wykonawcą ducha w porządku cielesnym; myśl zaś jest wykonawcą ducha w porządku moralnym. Wszelkie działanie ducha na ciało człowieka, z przyczynieniem działania ciała musi się stać, i wszelkie działanie ducha na myśl człowieka, z przyczynieniem téj myśli musi się stać; lecz obecnością bezpośrednią ducha to nazywamy w ciele, gdy to dopełnia krok jaki, bez udziału swych starań, swój woli; a obecnością bezpośrednią ducha wśród myśli to nazywamy, gdy ta coś w sobie uznaje, bez otrzymania pojęć od innych myśli, bez swych dociekań. Forma, przez którą w ten sposób *duch* bezpośrednio pojęcia do myśli człowieka wnosi, zwana jest *objawieniem*.

(1) Każde słowo postawione przez jednostkę w dzieciństwie, takie nie inne; każdy krok postawiony tam, nie gdzieindziej (nieraz np. od śmierci o włos chroniący), są oczywiście najściślej związane z dalszą misją téjże jednostki, której przyjscie połączone jest znowu ściśle z misją większej liczby jednostek, danéj społeczności, okresu i t. p.

Nie mówimy tu z głównego zadania tym razem, ani o *dziejach ludzkości*, ani też o wszystkich częściach *myślenia* ludzkości; nie piszemy tym więcej ani rozwijając będziemy traktatu o *duchu* jej. Nie będziemy tu mówić np. ani o tym *kraju duchowym* w ogóle, ani o związku ducha z całością daną jednostki (*duży*), ani o sposobach działania, rodzajach *duchów*; jako o duchach *dobra* i *złości*, *prawdy* i *słuzsu* i t. p. nie będziemy więc mówić i o rodzajach *natchnień*, *objawień*, jako i które są z *prawdy*, które są z *słuzsu* i t. p. Gdy jednak jak każda cząstka, tak każda chwila ludzkości, będąc wyrazem ludzkości, musi też być razem odbiciem jej wszystkich pierwiastków; —jakkolwiek przeto mówimy jedynie o poznaniach przez dojścia, t. j. o pierwiastku myślenia jako myślenia, mówiąc jednak o całości tego poznania w danym okresie, nie możemy nie mówić i o pierwiastkach innych i faktów nie wskazać.—Z czią, co do nas, istotną dla myśli, rozwagi myśli, tej żywej w człowieku cząstki, wymieniliśmy główne punkta jej dojścia w fazie doby jej 16j, w okresie greckim. Z czią wskazaliśmy na te fakta, te prawdy, do których docho- dzila w swych przejściach, które zdobyła. A jednak nie możemy zaprzeczyć, iż jeśli oddzielimy z zdobyczy tych, to, co było tylko czasowem narzędziem, metodą, formułą, (jako dyalektyka, logika i t. p.), a rachować będziemy wypadki, wypadki ostatecznie związane z rzetelym losem człowieka, zadaniem człowieka; tedy też wyznać to przyjdzie, iż wszystko co nam przyniósł ten okres jest prawie żadnem, iż jest owszem szczuplej- szym nawet od tego, co był przekazał poprzedni mu okres tradycyi; i owszem wyznać wprost trzeba: iż jeśli ten okres nauczył nas prawdy jakiej nowiej z tej sfery nadzmysłowej i nadpotocznój, winien to być, a raczej wziął był ją żywcem z okresu tradycyi. Wszystkie np. prawdy, poję- cia, takie lub inne o ziemi początku, o Bogu, o duszy, o stosunkach czło- wieka do Bóstwa, o obowiązku cnoty, naturze jej i t. p., wszystkie te pra- wdy, mówimy, były już poprzednio w religijnych księgach ludzkości i wierze ludów, nie wyjmując saméjże Grecyi.

Prawd tych w drodze dociekań, a przed trybunałem dociekań, był najwyższem sprawdzeniem system Platona, a najwyższem przeczeniem sy- stem Arystotelesa; to jest, iż owo sprawdzenie najwyższe tej było istoty, iż mogło jeszcze wydać, i owszem, wnet wydało swoje przeczenie; a to naj- wyższe przeczenie tej było istoty, iż nie odejmowało w swym gruncie możno- ści na nowo twierdzenia; i stało się: że jedynym i ostatecznym wypadkiem dojść tej rozwiniętej rozwagi było, jak właśnie rzekliśmy, samo *wątpienie*.

Bez nowych wprost z ducha objawień, nie mogła już pójść dalej myśl ludzka; że zaś nie mogła, dowodem tego jest: iż nie poszła. Dociekanie wśród Grecyi skończyło się na wątpieniu, rozpoczęte na Wschodzie (i w In-

dyach), nazajutrz po rozpoczęciu umarło. Trzebały chyba na nowo świat stworzyć, albo stworzenie cofnąć, iżby twierdzić, iż ludzkość ta mogła coś dalej filozoficznie dociec bez objawienia; iżby zaprzeczyć temu, co przy-
miół *fakt*.

Albowiem, gdy oto myśl ludzka zwrócona do drogi dociekań, poznania prawdy, przebywszy wśród Grecyi swe wzrosty, wszystkie swe szczeble, doszła wreszcie za ostatnich swych czasów do tego jedynie wypadku, iż jedyną wśród świata prawdą jest, iż jój niéma; kiedy uosobijający cel dziejów starożytności, lud rzymski, zamierzywszy wśród stosunków społecznych zdobyć w swém rozwiciu swobodę dla każdej z jednostek, skończył na odjęciu jój wszystkim, światu całemu; kiedy w ten sposób najwyższe wzniesienie myśli za świata starożytnego (Grecya), i najwyższe mocy ciała wzniesienie za tegoż świata (Rzym), nie tylko nie zniszczyły, nie zniosły, ale owszem rozszerzyły i wzniosły dawne cienie i kłamstwa, nędze i ucisk, rozpusty i śmierć, owe znaki dopuszczonego wśród świata: władania *złości*, lub mówiąc językiem religijnym: *książęctwa czarta*;—powstał i dał się słyszeć w tegoż świata zakątku głos,—głos już niedociekający lub dowodzący, ale wprost usty objawiający: że już dopełniły się czasy, i że się już przybliżyło dla świata—*Królestwo Boże*.

Ta radosna dla świata nowina (Ewangelia), nauka jój, poparta życiem, czynami, albo raczej wolą swojego Dawcy, wnet przez świat przyjętą została i (połączona z jakimś faktem wewnętrznym, który przeważał bieg jego), przemieniła to wszystko, co składa ten świat.

Mówimy, iż przemieniła; przemieniła bowiem duch ludzki, któremu podległy, i od losu którego, w swoim losie zawisł ten świat.

Lecz oto nauka ta, która o obowiązkach, istocie, o bieżących i ostatecznych celach każdego w szczególności człowieka i wszystkich w ogóle ludzi (ludzkości i świata), tak jasne objawienie podała, a za obowiązki owe na drodze téj, głównie *uczynki*, tudzież odnowienie i oczyszczenie *ducha* przepisała; nauka ta, czyliż potrzebną dalej czyniła, i owszem czyliż mogła znosić drogę dociekań? Lub jasnziej: ukazanie się i przyjęcie przez ludzkość religii chrześcijańskiej, czyliż mogło dopuszczać i znosić kształcenie, lub poznawanie nawet, dawniej filozofii pogańskiej? i budowanie chociażby nowej chrześcijańskiej, bez *filozofii*?

Istotnie, patrząc na fakta nie stronnie, lecz prosto i historycznie (1), nie możemy nie przyznać: iż jeżeli nauka chrześcijańska po ukazaniu się

(1) Wszystkie fakta przez Ewangelią podane, nie jako fakta innych religij wschodnich, (np. Chin albo Indyi) giną w pomroce dziejów, lecz owszem stały się już na dtoni dziejowej; żaden fakt historyczny nie był, owszem równie stwier-

swém, już nietylko jednego lub dwóch stronników, nietylko szkołę, lecz całe ludy i kraje wnet pozyskała, skutek ten nie przez rozumowanie, wymowę, nie przez działanie myślenia jako myślenia, w swych zwłaszcza pierwszych (jakkolwiek najnaglejszych i najżywszych) krokach był osiągnięty. Ukazanie się i przyjęcie nauki tej wprost, owszem i bytność owego pierwiastku wyższego nad myśl i ciało, o którym dopiero rzekliśmy (ducha), i siłę bezpośredniego działania jego, dobitnie ukazało.

Uczniowie Jezusa Chrystusa, mówiąc ściśle, nie przyjęli byli jego nauki ani w skutek dowodzenia rozumowego, albo widoku cudów (cudami nieraz gorszyły uczniów, i świadkami ich byli wszyscy; o nauce wyrażali się, iż jest twarda) (1), z drugiej zaś strony nie w skutek rozkazu władzy, albo z widoków zysku, lecz tylko—w skutek wewnętrznego pociągu.

Dlatego też, opowiada nam Ewangelia, kiedy uczniowie Chrystusa zapytani byli przez Mistrza, kim go być rozumieją? a jeden z tych uczniów (Szymon) odpowiedział i rzekł: „Tyś jest Chrystus, syn Boga żywego”,—odpowiedział mu Chrystus: „Błogosławionyś jest Szymonie Baryona, bo *Ciało i Krew* nie objawiła tobie, ale Ojciec mój, który jest w Niebiesiech”.—I uczył tenże: „Żaden-ci do mnie przyjść nie może, jeśli go Ojciec mój, który jest w Niebiesiech nie pociągnie”.—I kiedy rozsyłał swych uczniów, a rozsyłał ich na Południe i Północ, na Wschód i Zachód dla pokonania silnych i przekonania mądrych, nie odziewał ich ani w jakoweś środki ciała, ani środki myśli, lecz mówił: „Przyjmcie *Ducha Świętego*”.—Schodząc zaś do strony moralnej i użytku słowa, zamiast uczenia dyalektyki jakowej lub logiki, tę tylko metodę podał: „*Nie myślćcie*, co byście mówić mieli” i t. d.

Duchem Chrystus, duchem też nawracali do wiary uczniowie Chrystusa. Najwięcej racjonalny w metodzie i nauczaniu apostoł Paweł, sam to co chwila wyznawał. „Żydowie” pisze on np. w jednym z swych listów do części nawróconych Koryntyan, „szukają w przepowiadaniu naszym *cudów*, Grecy *mądrości*, a my jednym i drugim przepowiadamy Chrystusa umęczonego, co zaiste dla Żydów zgorszeniem się widzi, dla Greków *głupstwem*; a jednak podobano się Bogu przez to *głupie przepowiadanie* zbawić wierzące; albowiem nie w *mowie* jest królestwo Boże, ale w *mocy*” (2).

dzony dziejami, albowiem nietylko *pismem*, lecz *życiem*, t. j. poręką charakteru i *śmiercią* da prawdę świadectwa, świadczących historyków, a nadto nieprzerwanym szeregiem *następstw* do dni dzisiejszych; dlatego też fakta te historycznymi zowieśmy.

(1) Jan VI. 60.

(2) 1. *Korynt.* 1. 21. *IV.* 20. podobnie:—„A mowa moja i przepowiadanie moje, nie było w przytudzających mądrości ludzkiej słowach, ale w okazaniu ducha

Duch więc nawracał i działał; duch był w tej nowej nauce jak źródłem, tak i celem nauki; a jednak powiedzmy to najprzód: i *myśl*, jej istota, uprawa, potrzeba uprawy jej, nietylko potępionemi nie były przez wiarę nową, lecz owszem zalecane jawnie przez księgi jej.

Pismo św. starego przymierza prawie w każdej swój księdze, a w Prorockich prawie na każdej swój karcie, zaleca *naukę* i *umiejętność*, *rozum* i *mądrość*. W zbiorze ksiąg tych, są owszem oddzielne *Księgi Mądrości*. Król Salomon, mówi to pismo, który był przeniósł mądrość nad wszystko, za nagrodę otrzymał wszystko. „Gdyżeś żywoś twój mądrze sprawował, a *rozum* twój nazwałś *matką*, mówił posłaniec Pański do Esdrasza (1), i dlategoż ukazałem ci zapłaty u Najwyższego”. A ten rozum, ta mądrość, nauki, nie było to oznaczenie jedynie oderwanego poznania istoty Bożej lub obowiązków człowieka, lecz też kształcenie wszystkich szczegółów tego poznania, badania natury, uprawy sztuki i t. p. (2). I owszem, przepowiadaniem było w piśmie wyraźnie rozszerzenie nauki, nagrody dla ich przedstawców i t. p. (3).

i mocy”. 1. *Korynt.* 11. 4. „Co też opowiadamy nie przez wyuczone powieści ludzkiej mądrości, ale przez naukę *ducha*” i t. d. *l. c.* 14.

(1) Księgi Esdrasza były wśród ksiąg starego zakonu odbiciem właśnie fazy dociekającej, i są czysto filozoficzne; odznaczył je tylko, jak wszystkie Biblijne, odcięcie prorocstwa, t. j. iż współczesną sobie filozoficzność, tylko jako *formę* odbity.

(2) Pismo Ste tak np. określa mądrość Salomonową:

„I przechodziła mądrość Salomonowa mądrość wszystkich ludzi i Egipcyanów; mówił też Salomon 3000 *przypowieści*, a pieśni jego tysiąc i pięć.”

„Rozprowiał też o drzewach od Cedru, który jest na Libanie, aż do Hisopu, który wyrasta z ściany; i mówił o *zwierzętach* i *ptakach*, i *plazie* i o *rybach*.” *Z Kr. IV.* 30—33.

Tak też i pisarz Ksiąg Mądrości (może tenże Salomon): „On mi dał tych rzeczy które są, prawdziwą wiadomość, abych wiedział rozrządzenie okręgu ziemi i mocy żywiołów,—początek i dokończenie i środek czasów. Roczne biegi i rozrządzenie gwiazd, przyrodzenie zwierząt i gniewy bestyi, moc wiatrów i *myśli ludzkie*, i którekolwiek są skryte i niewiadome nauczyłem się; *wszystkich bowiem rzeczy robotnica* nauczyła mię *mądrość*.” Ks. mądrości VII. 17. 21.

(3) „I poznają błądzący duchem *rozum*, a szemracze uczą się zakonu,” *Izaj. XXIX.* 24.

„I dam wam pasterze według serca, i będą was paść *umiejętnościami* i *nauką*” *Jerem. III.* 15.

„Bo *myśl* człowiecza będzie wyznawała tobie, a *ostatki myśli* będą święto święcić”. *Ps. LXXV.* II.

„A którzy uczeni będą, świecić będą jako światłość utwierdzenia; a którzy ku sprawiedliwości wprawują wielu, jako gwiazdy na wieki wieczne. *Mnody przyjdą i będzie rozmaita umiejętność*” (et multiplicetur scientia).—*Dan. XII.* 2. 4.

Ewangielia potwierdziła to wszystko, co było w tém piśmie. Wychodząc z tego co wieczne, i mówiąc o tém co wieczne, co przeto w każdym miejscu i czasie jest prawdą, nie zwracała się ona wprawdzie wyraźnie do tego, co jest w *rozwiciu*, mówiąc o początku i końcach, nie mówiła o przejściach: równie o przejściach *myśli* jak i *ciała* (dziejów) ludzkości. Nauka jój jednak, co do zasady w kierunkach tych, była jasną. Dawca jój gromił nieraz ciemność swojego ludu, i przykładami pogan go zawstydział (1). Nakazywał przynosić owoc (w miłości) setny i sześćdziesiąty. A w przypowieści o darach, które na świat z sobą człowiek przynosi, uczył wyraźnie, iż grzebanie i nierozwijanie ich, ściąganie zemstę Dawcy. Uczniowie Jezusa Chrystusa, powoływali też przedewszystkiem podobnie do wiary, miłości, uczynków; nie przepominali też jednak w nauce i *rozumu* człowieka, to jest powoływania do jego użytku, jego *kształcenia*.

Najsurowszy i najprostszy w powoływaniu tém Piotr, pasterz ustanowiony od Pana, pisał: „Wy... dodawajcie w *wierze* waszj *cnotę*, a w *cnocie* *umiejtność*” i t. d.

Św. Paweł, który wyznawał, iż nawracał głównie *duchem* i *mocą*, wyrażał jedynie, to jest zwracał uwagę przez to: iż duch jest wyższy nad rozum, iż przekonanie i wiara, t. j. skutek, od woli wyłącznie ducha były zależne; niejednokrotnie też jednak zalecał i kształcenie uprawę rozumu, zalecał owszem i żądał, iżby sama nauka ewangeliczna nietylko wiarą, lecz też i rozumem była przyjmowana.

„*Bracia*, pisał, *nie bądźcie dziećmi wyrozumieniem, ale bądźcie dziećmi złością, a wyrozumieniem doskonałemi bądźcie*” (2).

„*Chcę, iżby była rozumną służba wasza*” (3) i t. p.

(1) „Królowa z południa, mówił, powstanie na sędzie z tym narodem i potępi go, iż przyjechała z krajów ziemi słuchać mądrości Salomonowej”. *Matt. XII. 42.*

(2) *L. Korynt. XIV. 20 i 21.*

(3) Apostoł ten pisał też wprawdzie „iż mądrość tego świata głupstwem jest u Boga”; oraz: „patrzcież, iżby was kto nie oszukał przez filozofią” i t. p.; lecz przez twierdzenie Isze wyrażał jedynie, że mądrość ludzka jest głupstwem przy Bożej; że zwłaszcza mądrość owego wieku pogańskiego, głupstwem jest przy chrześcijańskiej; pisze bowiem gdzieindziej: „A powiadamy, mądrość między doskonałemi, a mądrość nie wieku tego ani książąt wieku tego” i t. d. *I. Korynt. II. 5, 6.* Przestroga zaś druga, wyrażona w liście do Kolossensów, stosowała się tylko, stosować się tylko mogła, do ówczesnej filozofii greckiej, t. j. *stoickiej* lub *Epikurejskiej*, a jak uważa Ś. *Klemens Aleksandryjski* w *Stromaton*, jedynie do *Epikurejskiej*, która kwitnęła wtedy u Kolossensów; nie mogła się zaś stosować do filozofii w ogóle, albowiem i same listy Sgo Pawła (wykładające rozumowo: przepisy, system, rozwicie nauki ewangelicznej kościoła, a nawet sam fakt zbawienia), były właśnie ze sfery filozoficznej.

Tak więc stary jak nowy zakon w chrześcijaństwie, nie tylko nie popełniały, ale owszem zalecały wyraźnie uprawę rozumu;—obaczmyż więc, czyli? i na co? po przyjęciu prawd nowych, mogło zdać się zwracanie rozumu tego do filozofii, czyli do drogi dociekań.

Objawienie ewangelicznej nauki, nauka ta, przyszła była udoskonalić i wesprzeć dalsze ludzkości rozwinięcie, ale nie przyszła była przeciąć to rozwinięcie. Pocieszające słowo tej ewangelii, oznajmiło było wprawdzie dla świata przybliżenie się Niebieskiego Królestwa; dopiero jednak *przybliżenie* się, nie już nadejście. Objawiło bowiem zarazem, iż lubo już dopełniała się miarka sprawiedliwości, jeszcze jednak nie dopełniła się była, i że świat jeszcze karany być miał (1).

Królestwu Bożemu przez naukę i życie Chrystusa, założonóm było tylko dopiero ziarno, a przeniesione na ziemię warunków, musiało rozwijać się dalej według tychże ziemskich warunków. Mając dopiero stać się przez odnowienie się, wyćwiczenie postępu ducha ludzkiego (2), duchową drogę tę według momentów roślinnego rozwicia miało przebywać (3).

Ewangelia przepowiedziała i podała człowiekowi naukę prawdy; wszakże nie dosyć jest, jak samo pismo uczy, jedynie pieścić ją (i mówić jak owi Hebrajczycy z czasów Judythy, chcący się poddać wojsku Holofernesowemu, „lepiej jest chwalić Pana więźniami, niż umrzeć ze wzgardą”), ale należy też jeszcze wznosić i ogradzać, zdobywać warunki wznoszenia prawdy.

Ewangelia nie przemieniła bytu, nie przemieniła więc była warunków bytu, czyli natury ludzkości. Jedną z cech, czyli warunków istoty człowieka, jest tkwiąca w nim myśl, oraz rozum; w chwili w którejby myśl i rozum przestały być warunkiem istoty człowieka, istota ta utraciłaby nazwisko człowieka. *Myśl* ta, tak jak i ciało (dzieje), otrzymały były od Twórcy razem ze swém poczęciem, jak uważaliśmy, powne swe losy, koleje, doby swojego rozwicia; nauka więc ewangeliczna, nie zniszczy, ale tylko odznaczyć miała owe losy, koleje i doby jednych i drugich.

Ewangelia przyjmowaną była przez pierwszych chrześcijan pośród żywości piérwszej tradycyi, przez wiarę; lecz oto miał dalej przyjść czas,

(1) Według tego dotąd tajemnego dla kościoła w swych szczegółach wyrażenia „a on (Duch) będzie karał ten świat: z grzechu, sprawiedliwości i sądu i t. d.

(2) A będąc (Chrystus) spytanym od Faryzeuszów: kiedy przyjdzie Królestwo Boże?—odpowiedział im i rzekł: „Nie przyjdzie Królestwo Boże z postrzeżeniem; ani rzeką: oto tu, albo tam. Albowiem oto Królestwo Boże *wewnątrz was jest*”. Łuk. XVII. 21. 22.

(3) I mówił (Chrystus): „Tak ci jest Królestwo Boże, jako gdyby człowiek wrzucił nasienie w ziemię... Boć ziemia sama z siebie owoc rodzi, najprzód *trawę*, potem *kłosa*, a potem *pełne ziarno w kłosie*”—Mar. IV. 26. 28.

w którym musiała osłabnąć żywość tradycyi, miał przyjść czas czyli doba nieprzebyta jeszcze przez ludzkość pełnego i męskiego jój wieku, wzrosłej rozwagi, a w czasach tych, wiarę w prawdę mogło tylko zastąpić, miała podtrzymać *poznania* prawdy. Poznanie to, stać się mogło przez kształcenie jedynie poznania, t. j. kształcenie wszystkich gałęzi, odcieni gałęzi poznania (jako rozrodzonych nauk umiejętności i t. p.), przez przeprowadzanie stopniowe każdej z gałęzi tych do stanu jój prawdy, iżby się w końcu, a w epoce swój, jako prawda jest jedną, zbiegły w jedno, t. j. tak w jedno z *sobą*, jako też z *ciałem* (dziejami), oraz *duchem* (religią) ludzkości (1). Jedną z gałęzi tych, i owszem jakoby matką wszystkich była, jak widzieliśmy, filozofia; filozofia przeto po odnowieniu ducha i drogi, musiała zacząć dalsze a nowe rozwicie.

Przez jakież szczegóły, fakta, odznaczyło się i wyraziło dalej rozwicie to?

Duch, którego bezpośrednio (t. j. niezależne od woli *ciała* i *myśli* człowieka) działanie, tak się objawiło wyraźnie śród szczegółów, towarzyszących faktowi zbawienia, którego byt odbił się zwłaszcza był w całej pełni wszechmocy swój i wszechwiedzy, w życiu, osobie Zbawcy; duch ten, stosownie do jakiegoś raz przez siebie upatrzonogo porządku, cofnął dalej swe silniejsze działanie, i zostawił dzieje ciała i myśli ludzkości ich przyrodzonemu, widomemu na skale oka naszego, rozwiciu.

Opowiadanie chrześcijańskie słowa, zwrócono do Rzymian i Greków, spotkawszy jako opór moralny myślenie rzymskie i greckie, musiało dalej z myśleniem, walczyć myśleniem; a dla odbycia i wytrzymania walki, musiało pierwój poznać, z czém miało walczyć. Fakt ten, wbijając całe zdobycie moralne dawne na tło ducha nowego, w nowój dotąd nieznanój barwie (którą odbili zaraz piérwsi pisarze chrześcijańscy), zawód rozumowań przedstawił. Barwa ta tyle była nad dawną wyższą i tyle z całości ducha do całości ducha płynącą, iż na sposób spoglądania na rzeczy, nawet tych, którzy nie przyjmowali nowój nauki, wpływając, i do odnowionych szkół filozoficznych powieść musiała.

Szkoły filozoficzne, któremi była okryta cała Grecya, rozwijając i wyznając jedyuie, jak widzieliśmy, system Arystotelesa zmysłowy, nader prze-

(1) Mechanizm ten dojścia dalej do celu pewnego przez ludzkość, przez działanie równie myśli jak ducha, i konieczność obu tych działań, określił właśnie Ś. Paweł w jednym z swych listów: „Wstąpiwszy [Chrystus] na wysokość, wiódł więźnie pojmane, dat *dary* ludziom”.

„*Azbyśmy się wszyscy skupili w jedność wiary i poznania. Abyśmy więcej nie byli dziećmi, unoszącemi się i chwiejącemi od każdego wiatru nauki.*” *Effez.* IV. 8. 13. 14.

konanemi były o nicości swój wiedzy, a ztąd nader skłonne do szukania nowych dróg, nowój nauki; to właśnie sprawiło było i uprzejme przyjęcie przez mieszkańców Aten Pawła apostoła, którego, jak piszą Dzieje Apostolskie, wiedli sami ciekawie. posłyszawszy, iż im coś nowego przynosi (1); to sprawiło było poszukiwanie i zgromadzanie ksiąg religijnych ze wszystkich krajów Wschodnich; a punkt środkowy zejścia się tego nauk ówczesnych Zachodu i nauk Wschodu, *Alexandrya*, wnet głównie polemiką religijną i nową filozofią zabłyła. Religie i religijne księgi Wschodu, będąc wyk witem w swój treści okresu tradycyi, okresu *ukończonego*, a zatem obejmującego *całość* poznania ludzkiego, lubo na stopniu tradycyi, nie o skończoności mówiły, lecz o *nieskończoności*; tło to tém więcój poparła nauka chrześcijańska, a dla pojęć tłem tórn przejętych, już nie czcąc chwilę i zmysły Arystotelizm, ale powabniejszym widział się już, mówiący o *ideach* Platonizm, i odznaczyły się w czasie tym szkoły, już stosujące rozumowe docieczenia Platona do religijnych objawień, zwłaszcza chrześcijańskich (*Neoplatonizm*), już wykładające objawienia religijne przez rozumowe poznanie, *gnosis* (Gnostycyzm).

Neoplatonizm i *Gnostycyzm* byłyto piérwsze na polu czysto moralném skutki starcia się z pogaństwem chrześcijaństwa, i śród całej swobodności rozwicia swego i sporu, zakończone były tryumfem chrześcijaństwa.

Piérwsze cztery wieki chrześcijaństwa, były w ogóle epoką świętych zjawisk moralnych, i są uważane za złote pośród literatury, a zwłaszcza filozofii, chrześcijańskój. Wieki te wydały rząd pisarzy, których pisma równie są odznaczone nauką, oraz siłą *mysli* i *słowa*, jak *ducha*; pisarzy, którzy już lubo nie w porządku czysto duchowym, tedy moralnym, mogli się nazwać założycielami chrześcijaństwa, i którzy ztąd *ojcami kościoła* nazwani zostali.

Nie mówiąc już o nacechowanych szczególną a niedościągłą *żywością ducha* pism bezpośrednich uczniów Chrystusa (Ewangeliach i Listach), wspomnimy tu, mając wzgląd głównie na przedmiot o którym mówimy, o pismach św. *Justyna* pisarza z wieku IIgo; który wszelką naukę równie jak religią, poczytywał za idące z jednego źródła, to jest objawiającego się w nas *logos* bożego; na pisma Ś. *Klemensa z Alexandryi*, który rozrodzenie się religij wschodnich i dogmatów ich porównał, zdania Pisma we wszelkich kierunkach moralnych rozważył, i o potrzebie uprawy nauk

[1] „A niektórzy z Epikurów i Stoików filozofów.... porwawszy, wiedli go do Areopagu, mówiąc: Możemyli wiedzieć, co to jest znowu za nowa nauka, którą ty powiadasz? Bo jakieś nowe rzeczy przynosisz do uszu naszych.... A wszyscy Attńieczanie, i ci co tam mieszkali goście, żadną się inszą rzeczą nie bawili, jedno powiadaniami, albo słuchaniem *nowin*”. *Dz. Apost.* XVII. 32. 34.

i sztuk dla tryumfu religii chrześcijańskiej głównie nauczał; o pismach Ś. *Bazylego Wielkiego*, od którego mamy między innymi i rozprawę „o korzyści, jaką mieć może młodzież z poznania pisarzy pogańskich” (1); *Origenesa* jednego z najświetniejszych komentatorów każdego wersetu ewangelicznego; *Hieronima* św., który całe swe życie téjże pracy względem całości pisma poświęcił; św. *Chryzostoma*, wykładającego dogmata racjonalnie, i wreszcie św. *Augustyna* (2), zwolennika przedewszystkiém Platona, i zowiącego go pod pewnym względem nietylko boskim, ale więcéj niż boskim (3); który w historyach filozofii podawanym jest zwykle za twórcę systemu wiary w nauce chrześcijańskiej; który jednak właściwie, racjonalnie tylko, jeden i tenże system zawarty już w ewangeliach i listach św. Pawła wyłożył, a główném swém dziełem: *O miście Bożem*, jedném korytem następstw, to jest przez św. *Anzelma* i św. *Tomasza z Akwinu* (Lejbnitz), stał się źródłem dzisiejszój idealnój filozofii, a przez *Bossueta* i *Vico*, *Historyzofii*, któreto oba koryta dalej znowu złączyć się mają.

Lecz uznawanie potrzeby poznania nauk pogańskich jako konieczność, t. j. dla pokonania pogaństwa, znikło z pokonaniem pogaństwa; spotkanie ozdoby głównie pośród nauki pogan, wieść mogło do szczególnej miłości nauki pogan; względy te przemieniły więc daléj pierwotny pozór moralny chrześcijaństwa, i stając się moralnym czynnikiem fizycznych potrzeb rozwicia, smutny i długi, gdyż więcéj niż kilka-wiekowy widok moralnej stanności wydały. Różne były potrzeby czyli powody roślinne, z mechanizmu praw raz naturze nadanych, wpływające, które wpłynęły na tę stanność.— Czas ten, było w życiu ludzkości okres jój przejścia z żywego wieku *młodości* (błyszczącego moralnemi siłami lubo nie najomylniej, ale najświetniej) do wieku kiedyś *mężkiego*, t. j. dojrzałego poznania; okres mówimy *przejścia*, który przeto ani jednym, ani drugim być nie mógł. Było okres w rozpoczętój i wydanój roślinie religijnój

(1) „Jako liście na drzewie, mówi tu, lubo nie są *owocem*, są jednak ozdobą gałęzi drzewa: tak też *nauki świeckie*, lubo nie są owocem prawdy śród drzewa naszego poznania, są jednak właśnie jak owe liście, które i upiększają i ostanowią owoc”.

(2) Niektórzy z tychże wieków pisarze religijni chrześcijańscy, jak *Tertulian*, *Laktancyusz* i t. p. wszelką naukę świecką, a zwłaszcza filozofią, za zgubną i z szataną idącą poczytywali; uważać jednak należy, że właśnie ci, o których wyżej rzekliśmy, przez kościół pod *strażą* tradycyi pierwotnój rozwijający się, za ludzi rzetelnie świątobliwego ducha uznani zostali.

(3) „*Labeo*, mówi Ś. Augustyn, chciał Platona śród bogów umieścić, i nie ganił mu tego, albowiem jakkolwiek Plato w przekonaniu mojem jest niższym od najlichszego z Chrześcijan, śród pogan jednak był wyższym nad samych ich Bogów.” *De Civ. Dei*.

chrześcijaństwa, jój wystrzelenia w pewne zaprzeczenie ziarnu swojemu (jakkolwiek wmieszczające zawsze całą treść jego), i ukazania jój jakby łodygi, dążącej dopiero do wydania kwiatu i ziaren; było czas pierwszego starcia się wiary i dojść rozumowych, i musiał przedstawić fakt, który następstwem jest zawsze pierwszym starcia się, uderzenia dwóch ciał, to jest *stannosć*; byłoto wreszcie koniecznym faktem, w porządku dziejowemu odpowiednim. Czynność moralna dziejowa, która się odbywała za okresu dawnego przez *lud* wybrany, odbywać się miała dalej przez *ludy*; musiały się więc najprzód pokształcić i oddzielnymi cechami swojemi odznaczyć ludy.

Smutny ten obraz moralny, objął przeciąg wieków dziesiątka. Pozorne w nim nad czynnością rozumu zwycięstwo wiary, okazało się w końcu nieszczęściem głównym dla samėje wiary; myśl i rozum nie znikły były bowiem przez wieki te z istoty człowieka, lecz niekształcone, służyły tylko do cochwilowych zwicnień, usprawiedliwień przed wiarą, i wieki te wydały tylko fizycznie rząd bojów, ucisków, okrucieństw, oraz rozpusty wszelkiej. Tłumy ciemne szły w nich łatwo za każdym silniejszym głosem, bez względu na wiarę, i równie też łatwo wnet poszły za głosem każdego pierwszego lepszego reformatora samėje wiary.

Ten był obraz ogólny; wszakże ten obraz ogólny nie znosił rysów szczególnych, które też odznaczyły przez czas ten, żywość duchową.

Potrzeba utrzymywania missyi, strzeżenia pisma, wykładu pisma, sprawowania obrzędów, mówienia nauk dla ludu, utrzymywania hierarchii, te moralne warunki społeczności chrześcijańskiej, sprawiły, iż niepodobnym już było odpadnienie w zupełną martwość téj społeczności, iż owszem tkwić w niej zawsze musiało kształcenie moralne; a za ustaleniem się bytów oraz pokoju w krajach, rosło kształcenie się to. Szczególne ukształcenie moralne wymaganém było zwłaszcza od mających piastować wyższe stopnie duchowne, i zacząwszy od krajów najbliższych głównej władzy duchownej we wszystkich chrześcijańskich krajach, ukazały się dalej liczne zakłady naukowe. Ogół nauk w zakładach tych, składały zrazu encyklopedyo, złożone z resztek zabytków nauk starożytności (*Trivium, Quadrivium*), a nauki te udzielane jedynie były jako świadectwa zacności rozumu, udzielonego ludziom od Boga.

Przyniesiony do Europy przez Maurów (a wyniesiony niegdys na Wschód przez *Nestoryanów*) Arystoteles, nowy odcień w téj nauk uprawie, odcień zwłaszcza gałęzi zwróconej do uprawy zasad myślenia, zwanęj tak zawsze *filozofii*, nadał. Obowiązkiem nauki téj stało się, znane prawdy teologiczne, dowodzić i sprawdzać przez nowego autora formy dyalektyczne, jako *Syllogizmy, topiki* i t. p., a filozofia tak urządzona

z powodu, iż te dowody jój nie wychodziły za granicę raz przez szkołę podanych, szkolnej czyli *scholastycznej* nazwisko dalej otrzymała.

Urządzenie zakładów wyższych i narodzenie się umysłów wyższych, do wykładu w nich filozofii powołanych, nadały jednak wkrótce nauce téj, pewien wzrost. Począwszy od *Abelarda* (obudzenie którego ku sobie pierwszej idealnej miłości, stało się było zapewne figurą pociągnięcia kiedyś do moralnej miłości prawdy, całej ludzkości), filozofia nie wychodząc w swym gruncie z zasad przez szkołę podanych, posunęła się do własnych docieczeń, t. j. swobodnego zapatrywania się na naturę rzeczy; a posunięcie się to zaraz w pierwszych swych krokach, na dwa sobie przeciwne i wzajem walczące sposoby widzenia tych rzeczy, rozdzielonem zostało.

To, co przed sobą widzimy i o czém mówimy, że widzimy, jestli w sobie istotnie takiem, jak je *widzimy?* czyli téż tylko jest takiem przez to, iż je *zowiemy?*

Twierdzenie pierwsze przypuszcza byt rzeczy niezależny od sądu naszego; twierdzenie drugie byt tylko sądu naszego w oderwaniu od rzeczywistości owych rzeczy. Zwolennicy w wykładzie prawd scholastycznych, biorący za zasadę pierwsze twierdzenie, *realistów*; drugie, *nominalistów* otrzymali nazwisko. Pierwsi przypuszczając prawdę bezwzględną, byli w gruncie *idealisci*; drudzy przypuszczając jedynie względną, *materyaliści*; pierwsi kładli *wiarę* nad *rozum*, drudzy nie odrzucając wiary, raczej wznosili rozum! Rozum nie jest zapewne niebezpiecznym dla wiary, i jest témże co wiara, jeżeli doskonała jest wiara, i doskonałym jest rozum; rozum jednak nie był zapewne takim za czasów scholastyki, ztąd trwoga, przeczcucia duchów i napaść na jednostkowy rozum, który w istocie miał wnet powieść do *reform, przekształceń, przejść* wszelkich; ztąd spory o słowa i rzeczy *Nominalistów* i *Realistów*, (1) spory przeciągające się przez wieków cztery (XII—XVI); a w sporach tych odznaczyła się mianowicie walka *Scotystów* uczniów *Dunsa Scota* realisty (zwanego *Doctor Subtilis*) i *Tomistów* uczniów *Tomasza z Akwinu*, autora jednego z najznakomitszych dzieł racjonalno-teologicznych, *Summa Theologiae* (zwanego *Doctor Angelicus*) nominalisty. Zwycięstwo przy no-

(1) Walka ta *realistów* i *nominalistów*, nie byłoto wszakże w gruncie powtórzenie walki starożytnych *idealistów* i *materyalistów*: niżsi od nich dowcipem świetnym, tém jednak w poznaniu swoim byli już nader wyżsi, iż wsparci na objawieniu i wierze, nie wychodzili z przeczenia prawdom, nie mieli np. za kłamstwo *zmysłów*, albo za kłamstwo *ducha*; różnili się zaś tylko w uznaniu kierunku, w jakim te albo inne rzeczy do poznania naszego są odnoszone.

minalistach zostało. Z wiekiem jednak XVIIym skończył się czas stanowczości i zaprzeczania; nowe poksztąpiły się ludy, wśród ludów nowe cechy krajowe, i zaczął się nowy bieg żywszy, moralnie jak i dziejowie.

Widzieliśmy, jakie przebywa doby kształcona rozwaga, jakie odbiła wśród Grecyi w swym pierwszym podroście; doby te miała znowu powtórzyć, lecz już odbić na skalę większą, rozwite i szersze, w swym nowym wzroście.

Kraj sąsiedni głównej władzy kościelnej, kraj pierwszych wstawionych wszechnie, miejsce zbioru i zejścia się szukających nauki ze wszystkich krajów, ojczyzna pierwszych arcydzieł sztuki za ducha nowego, pierwszych w nowej mowie śpiewaków, kraj słowem *Petrarków* i *Dantych*, *Tassów* i *Raphaelów*, pierwszy też podzieliwszy ogólną metodę uprawy zasad myślenia, w uprawie tej odważył się uczynić krok dalej, i wydał ziarno, a ziarnem tym było pismo *Campanellego*, t. j. odpowiedź na zapytanie, które też razem jest i nazwiskiem pisma: „*Czyli godzi się po pogańskiej nową mieć filozofią*” (1)? W piśmie tym autor przedstawił jako wniosek: iż obdarzeni tąż swobodą myśli jak starożytni, możemy; lecz że zasadą tej filozofii, mają być nie powaga gotowa, nie syllogizmy, topiki, formy scholiczne, ale swobodna i własna *obserwacya*.

To wypadkowe ziarno epoki filozofii scholicznej, a ziemi włoskiej, w opadaniu swém, dla zamienienia się w ziarno źródłowe na ziemi nowej, prześcigło morze, i ukazało się na gruncie Wielkiej Brytanii. Odbił je *Bakon*, w piśmie swém mianowicie: *O zacności i pomnożeniu nauk*, i owszem, od Bakona rachowanym jest nowy okres filozofii obserwacyjnej.—Był rzeczy, które człowiek docieka, i dociekanie to, nie są, uważał *Bakon*, sprzecznością z sobą; jeżeli filozofia różną się od natury być zdaje, powodem tego jest tylko sposób jej traktowania: „*Prawda bytu i prawda poznania jest jedną, różnią się tylko jak prosty płomień światła od złamanego*”; jeżeli ogół szczególnych nauk nie jednoczy się z sobą, i jest od poznania natury w tym lub owym daleki, przyczyną tego jest mylna metoda; rzetelną jedność może tylko przywrócić metoda rzetelna, a tą rzetelną metodą być winna indukcya fizyczna, czyli poznawanie rzeczy przez *doświadczenie*.

Ta *nowa metoda* Bakona, była śmiercią scholastycyzmu, i ukształciła dalej *empiryczny* (we wszystkiém) gieniusz Wielkiej Brytanii (2); ale ta

(1) *Ultrum liceat post Paganis novam condere philosophiam.*

(2) Odbity go np. w urządzeniu społeczném kraju nowe rządu kształty, w religii mnogość sekt, w naukach przyrodzonych rząd wynalazków, w poezyi pisarze odbijający wszelki rodzaj charakterów i obyczajów bez wewnętrznej jedności (jak *Szekspir*, *Walter-Scott* i t. p.), różność gatunków sztuki, jak powieści, romansów i t. p.

metoda Bakona przypuszczając indukcją jedynie fizyczną, dotykającą przedstawiała próżnią w użyciu indukcji, a nadto z innej strony była jedynie metodą, t. j. wskazaniem jedynie *metody* nie zaś *systemu*. Strony te byłyto punkta ujemne dzieła Bakona (o ile organicznego) i byłyto punkta wyjścia dla następców; jakoż jedni z następców a spółkrajowców jego, indukcją fizyczną rozciągnęli do indukcji moralnej, t. j. do zbioru faktów obserwacyjnych w świecie moralnym, inni łącząc oboje, a opierając się głównie na indukcji fizycznej, w końcu wydali *system*.

System ten uosobiło jedno z najślawniejszych pism w rozwiciu *dziejów filozoficznych* (ze względu zwłaszcza swych następstw, t. j. stworzonej przez siebie szkoły i jej reprezentantów) pismo *Locka: O naturze pojęcia ludzkiego*. „Mając niejednokrotnie spory, mówi ten autor we wstępie do tego pisma, o pojęciu tych albo innych przedmiotów, przekonałem się, że sposób pojmowania przez nas przedmiotu nietylko zawisł od natury przedmiotu, jak raczej od stopnia rozwiniętego poznania w każdym z nas”; wniósł więc, iż badać istotę rzeczy, jestto badać nasze pojęcie, ztąd pismo swe mające badać i oceniać poznanie nasze natury, nazwał rozbiorem pojęcia. Zasady z których wyszedł Lock w tym rozbiore, byłyto też prawie, które był spisał Arystoteles, i o których nauczało przeto XX wieków; różnicą zaś były tylko, *forma* i *zakres*. Nic nie mamy, twierdzi w swém piśmie Lock, w naszym pojęciu, co by nie było w naszej pamięci; nie zaś nie mamy w pamięci, o czémbyśmy zawiadomieni nie byli przez zmysły. Twierdzić, że człowiek przynosi z sobą idee wrodzone, jestto śmieszność; gdzież bowiem, pyta autor, te idee wrodzone u dzieci? u dzikich? u głupców? i t. p. Idee są rzeczywiście źródłem zdań naszych i sądów, ale i same idee, to wykwit *wrażeń*; t. j. wpływ najprzód sił postrzegania naszego zewnętrznego — *zmysłów*, i pewnej duszy naszej operacji wewnętrznej, tak zwanęj *reflexyi*. Wyobrażenie o *duchu*, Lock usunął z swego traktatu, „albowiem wyobrażenie o duchu, mówi. przechodzi nasze pojęcie, a mamy badać to tylko, o czém nas przekonywa pojęcie”. Przebiega jednak dalej wszystkie szczegóły świata, które są w naszym wyobrażeniu, nawet najoderwańsze na pozór, jako: wyobrażenia *czasu*, *przestrzeni*, *cnoty*, wszystkich odcieni szczegółów świata, *myśli* i nawet *Boga*, i praktycznie to co założył, sprawdza, iż początkiem każdego z tych wyobrażeń naszych są nasze *zmysły*.

Pismo Locka było to wypadkowe ziarno myślenia w Brytanii, t. j. jej pierwotnego własnorodnego myślenia; a jako scholiczne Włochy wydawszy myśl empiryzmu i przerzuciwszy ją na ziemię W. Brytanii, same dalej drogą swą poszły; tak i ojczyzna Bakona to wypadkowe swych za-

sad wydawszy ziarno, przerzuciła je na sąsiednią ziemię, a pozostała i dalej sama przy swym gieniuszu. System, który wydały zasady Locka, było ów sławny system, który odznaczył wiek XVIII, a który materialnym jest zwany; system ten w biegu wieku przez pisarzy myślących wszystkich krajów był przyjętym i wyrabianym, lecz główną reprezentantką jego tak na polu teorii jak w skłonieniu do praktyki, była Francya. Ostatnim tego systemu wyrazem był we Francyi zmarły już za dni naszych pisarz filozoficzny *de Tracy*; najwyższym przy końcu wieku zeszłego *Condillac* i *Encyklopedya*.

System ten doprowadzony na polu teorii do swych krańców, wnet też się musiał odbić i odbił we wszystkich szczegółach moralnego rozwicia, jako w *sztuce*, teorii *sztuki*, *obyczajach*, *stosunkach społecznych*, *umiejętnościach*, *naukach* i samej *religii*. Wypadki teoretyczne do których system ten doszedł, które za nieomylnie na polu teorii uznał, za konieczne do stosowania na polu praktyki podał, za grunt rozwic moralnych we wszystkich gałęziach przyjął, pokrótce, a w głównych twierdzeniach są następnę:

„Najwyższością w naturze, czyli wśród świata, *jest materya*, *Materia* była od wieków i była pierwiastkiem rzeczy, i rozwijając się niegdys stopniowo, wydała zwierzęta i ludzkość. Ludzkość jest wpływem materji, a kwiatem rozwinięcia ludzkości jest jój *pojęcie*. Myśl i duch, sąto w swój istocie odcienia materji, jój kwiaty wewnętrzne. Celem ludzkości na ziemi jest śmierć i przemienienie się dalej w inną materję. Historia w szczegółach swych, zwłaszcza drobnych, jestto: „przypadkowość przypadkowości”—t. j. objawianie się przygodnie faktów, według różności i własności tój lub innój materji. Warunkiem dalszego bytu ludzkości jako ludzkości, jest dalsze jój rozwijanie się. To dalsze rozwijanie się, jestto dalsze doskonalenie się. Doskonalenie się dalsze ludzkości, to jest jój bytu, jestto doskonalenie jój dobra. Cóżto jest dobro ludzkości? Dobrem ludzkości jest to, co właśnie powiększa granice dobrego jój bytu—bogactwa jój dotykalne oraz moralne, czyli mówiąc językiem zwykłym, materialne i niematerialne. Szczytem najwyższym udoskonalenia się ludzkości, jest dobro całej ludzkości. Ostateczną i najwyższą każdój z jednostek ludzkich powinnością, jest więc staranność o dobro ludzkości, miłość jój (filantropia). Godziwością według swój prawdy wewnętrznej, jest wszelki środek, który ma na celu to dobro.”

System materialny myślenia, dotykając strony zewnętrznej rzeczy, z natury swój blizkim był praktyki, i bieg który go miał uosobić, powiódł przed innomi do praktyki. Zmysły wszakże to śmierć, i praktyka, która miała za zasadę ten grunt, musiała także w swóm rozwinięciu dalszém

napotkać śmierć; śmierć o tyle, o ile grunt prawdy na którym się opierała, nie był całością z prawdy.

System materialny myślenia, sądził wprawdzie, iż obejmował całość stworzenia, albowiem i o idealnym myśleniu mówił, jako o części materji; idealność jednak, myślenie, uważał jako służbę materji, jako jej utwór błędny, nieokreślony, i był zwróconym wyłącznie do kraju zmysłów.

Ludzkość i świat, równie jednak są *umysłowe*, jak i *zmysłowe*; zasady, któreby ukształciły pełniej *poznanie* człowieka, winny więc obejmować zarówno, dotykać obu tych światów; jeżeli więc dochodzące do wieku swojej mężczyźni pełności myślenie ludzkości, wydało i objawiło na skalę wielką, fazę swego materialnego poznania, musiało też jednocześnie objawić i wydać fazę idealnego.

Zapisujemy i wskazujemy fakta, nie naciągając ich do żadnego systemu: bo nie fakta do systemu naginać, wskazując wiernie, lecz z nich system wyciągać winniśmy. Mówimy o ziarnach i kwiatach wydawanych przez myślenia krajowe, gdyż widzimy; lecz nie określamy dróg i kierunków tych kwitnień. Rozwicie i stosowanie systemu materialnego, miała głównie odznaczyć i odznaczyła Francja; lecz ten kraj Aberlardów i cudów, swe wypadkowe ziarno, które na pole sąsiednie upaść i w okresową całość wzrosć tam miało; — w innej drodze miał wydać. — Ziarnem tém były: pismo Dekarta, *Zusady*, i poprzedzające go *O metody*; pismo odrzucone od spółkrajowców, lecz które przyjęte i pochwycone być miało dalej przez blizkie Niemcy.

„Nic nie mamy moralnie w sobie, w naszym pojęciu, czegobyśmy nie nabyli przez zmysły”, rzekł był dawno materialny empiryzm, „oprócz samego pojęcia”, dodał Kartezjusz. Materialny empiryzm zwalczając sceptycyzm bytu, a kładąc na bok ułudy moralne, mówił: *czuję więc jestem*. „Chociażby pewnym być miało, mówił Dekartes, iż wszystko to, o czem myślę jest fałszem, prawdą jednak to jest, iż myślę, iż pierwój niż cokolwiek wyrazić zamierzam, myślę; rzetelnym więc naszego bytu dowodem, jest nasza myśl: *Myślę, więc jestem*.”

Cokolwiek uderza nam zmysły i na nie wrażenie sprawia, nie pod innym warunkiem sprawia, jak, że to lub inne pojęcie, taka lub inna siła, skłania nas do odbierania w ten albo inny sposób tych wrażeń. W chwili odbieranego wrażenia, mamy już gotowe takie lub inne nazwisko na to wrażenie. Źródłem naszych uczuć i wrażeń, są jakieś niewidzialne siły nam wrodzone. Z uznania sił tych wychodząc Dekartes, całą resztę świata przez nas znanego oceniał; odbijając w pewien sposób system Platona, zmieniony formą, i o zakres prawd objawionych powiększony.

System ten Kartezjusza, jak powiadamy, został rozwinięty przez Niemcy, i sprawił okres w dziejach myślenia; twórcą zaś i źródłem

w Niemczech tego systemu, był bezpośredni następca Dekarta i z wielu względów jego naśladowca, *Lejbnitz*.

Myśl Lejbnitza była wprost przeciwieństwem myśli Locka, którego pisma, tak samo jak w swych naśladowaniach, zbyt większe jednak społecznie spótczucie i powodzenie zyskiwały. Stronnik i dalej twórca szkoły myślenia idealnego, Lejbnitz, przeciw każdemu twierdzeniu Locka w piśmie jego: *O naturze ludzkiego pojęcia*, wprost odwrotne stawiał twierdzenie, i pismu, które w tym celu ogłosił, tenże nawet dał napis, t. j. „*O naturze ludzkiego pojęcia*” (w języku francuzkim).

Metodą do dojścia prawdy, według Locka, jak według empiryków, była *obserwacya*; Lejbnitz świadectwo zmysłów uznawszy z poprzednikami swój teoryi za fałsz i ułomność, za metodę w badaniu prawdy przyjął nie *obserwacyą*, lecz *demonstracyą*.

Wszystkie rzeczy sąto substancye złożone; co jest złożonóm, musi być składem pierwiastków; jeżeli są substancye złożone, są więc i pojedyncze. Rozbierając skład każdej rzeczy oddzielnie wziętej, dojść musimy do jakichś ostatecznych pierwiastków. Początkiem więc każdej rzeczy, rzekł Lejbnitz, i wszystkich rzeczy, są jakieś pierwiastki jednostkowe, czyli jednostki pierwiastkowe, *monady*. Źródłem wszystkich rzeczy na świecie, są monady; pojęcie nasze jest jednóm z tych wszystkich rzeczy; źródłem pojęcia naszego są więc także monady. Platon za pierwiastek wszystkich rzeczy podawał *idee*, lecz rzeczywiście *monady* nie sąto czyste idee. Kartozyusz dowodząc pewności bytu, powiedział: *myślę, więc jestem*, lecz oto myśl każdą stanowi nietylko podmiot (siła myśląca), lecz też i *przedmiot*, każdy albowiem który myśli o jakimś przedmiocie, myśli; nietylko więc idea jest prawdą, lecz też i byt zewnętrzny; monady, sąto więc pierwiastki nietylko natury wewnętrznej, ale też i zewnętrznej. Monady przez to samo, iż sąto jednostki, sąto ilostki; co jest ilością, musi być i wielkością, przeto materyą; jakożby wreszcie z niemateryi mogły powstać wszystkie rzeczy, to jest *materya*. Pierwiastkiem wszystkich rzeczy maż więc być rzeczywiście materya? I sam Bóg (według Lejbnitza *monada monad*), maż więc być także materyą? Lejbnitz wyjaśniał, iż monady jego jakkolwiek nie sąto czyste *idee*, nie są wszakże materyą; żadna rzecz nie może bowiem być tém, co nie istnieje, a materya, ściśle mówiąc, nie istnieje. Ani *czas*, ani *przestrzeń* nie są materyą; co mamy za materyą, sąto złudzenia, które winni jesteśmy naszym zmysłom, dotykającym jedynie o chwile i oderwania. Co do stosowań, Lejbnitz był wyznawcą *harmonii przedwiecznej*, jak wszyscy prawie znakomitsi racjonalisci chrześcijańscy, jako np. w pismach swych śś. *Paweł*, *Augustyn* i *Tomasz z Akwinu*, którego dzieło *Summa Theologiae*, było właśnie źródłem *Theodycei*.

Podanie całego istnącego świata za utwor *myśli* i żywy wykład Lejbnitza, stworzyły szkołę i okres, którego zadaniem było rozwinąć i do ostatnich krańców posunąć badanie myśli; Leibnitz wszakże właściwie mówiąc, ku okresowi temu wskazał jedynie drogę i był jeszcze jakby pisarzem przejścia. Rzetelnym zaś założycielem i twórcą badania idealnego, okresu filozofii ściśle niemieckiej, był dopiero jeden z następców jego, *Emmanuel Kant*.

Prawdy praktyczne do których Kant doszedł, były nader nieliczne; ale okres filozofii niemieckiej miał za główne zadanie badać *myślenie*, *metoda* jest ze sfery myślenia, Kant więc, który był twórcą nowój metody badania myślenia, uważany jest za założyciela tego okresu.

„Całość rzeczy, poznajemy naszym rozumem; nim przeto wyrzeczemy co stałe o tej całości, winniśmy piérwój ocenić sam nasz rozum”, rzekł Kant. „Filozofie poprzednie, nie zaczynały od tego sposobu, nie byłyto więc filozofie prawdziwe”.

„Mamy oceniać nasz *rozum* czyli *pojęcie*, lecz czemże je ocenimy? Nie rozumem, albowiem mamy go rozierać dopiero; odkładamy więc nasz rozum na stronę, a jednak go oceniamy, czemże więc?—siłą, którą nie określimy zapewne samym rozumem, która jednak jestto jakowaś siła śród nas istnąca, nami będąca, i jakby pod wewnątrzem naszym leżąca, jestto nasza *jaźń*, *podmiotowość* (das Ich, Subjectivität). Ta siła, będąca pierwiastkiem samego rozumu naszego, jest nietylko nadzmysłową jak rozum, lecz też nadumysłową (transcendentalną); filozofia rzetelna, *transcendentalną* więc w gruncie być musi”. Oznaczenie *podmiotu* i postawienie w *badaniu* (już nietylko natury zewnętrznej, ale samego) *myślenia* metody *krytycznej* przeciw *dogmatycznej*, sąto dwie główne cechy kroku uczynionego przez Kanta (1).

Do podobnego pod pewnym względem wypadku, doszedł spóczesny Kantowi, główny jednak jego przeciwnik, filozof bawarski *Jacobi*.

„Nie możemy przez rozum, mówiąc ściśle, poznać przyrody, gdyż i sam rozum jest przyrodą, nie możemy tém więcéj przez rozum dociekać i poznać Boga; rozum w swych dociekaniach poznaje i porównywa tylko rzeczy skończone; nie możemy zaś przez rozum skończony, ocenić i poznać to, co jest nieskończone; a jednak i poznajemy i oceniamy, wznosimy się nietylko do pojęcia nieskończoności, lecz też pojęcia Boga, musimy więc mieścić w sobie inną jakąś siłę poznania jak rozum; siłą tą, rzekł *Jacobi*, jest *bezpośrednie* tkwiące w nas znanie, czyli *wiedza*.”

(1) Główne dzieła Kanta tu należące, są: *Krytyka czystego rozumu*, *Krytyka praktycznego rozumu*, i *Krytyka sądu*.

Ta *bezpośrednia wiedza* Jacobiego, była zapewne w gruncie jednym i temże, czém *podmiot* Kanta; — wyrazy te jednak jak zrazu sporu, tak dalej dwóch całkiem różnych systemów spoglądania na całość rzeczy, przyczyną się stały.

Jakoż istotnie, bezpośrednio Jacobiego *wiedzenie*, było już samo przez się *wiedzeniem*, *znaniem*; podmiot Kanta dopiero *źródłem* *wiedzenia*. Skutkiem uznania bytu *bezpośredniego wiedzenia*, musiała być *stanność* moralna; jażń jako *zaród*, podawała żywotność w rozwiciu; *bezpośrednie wiedzenie* (według tego znaczenia słów, z którego wytłumaczyliśmy się wyżej, i którego tu stale trzymamy się) było *duchem*, zaś podmiotowość Kanta, *myslą*. Okres filozofii niemieckiej, miał za zadanie badać roztrząsać, rozwijać kraj *umysłowy*, miał za zadanie główne nie tyle uprawę ducha, jak *myśli*, nie rozwinięcie i żywot ducha, lecz tylko jego badanie, zgłębianie; okres ten więc odrzucił *bezpośrednią wiedzę*, a jako żywotną na drodze uprawy myśli, pochwycił metodę Kanta.

Na wypadku systemu Kanta w krainie krytyki pojęć, *Fichte* jak na pierwiastku zbudował własny. „Cokolwiek istnieje, o czém twierdzą że istnieje, nie pod innym warunkiem jeśli to twierdzą, istnieje, jak że to twierdzą (uznają); cokolwiek przeto istnieje, jest to *me ja*.” To wszelkie istnące *me ja*, o tyle jest *me ja*, o tyle jest dla mnie, o ile je znam; lecz cokolwiek znam, nietylko istnieje dla mnie, lecz i dla siebie. Całość rzeczy składa więc dla mnie *me ja* i moje *nie ja*. Moje *ja*, ze mnie wychodząc, pragnie bujania, lecz spotyka *nie ja*, jest przez *nie* odparte, wraca więc i w powrocie tworzy to, co zwiemy *wyobraźnią* i cały świat *umysłowy*. *Nie ja*, z którym postawiony zostałem w związku, wchodzi do mnie, lecz odpięra je moje *ja*, t. j. stopień udzielonego mi pojęcia, i moje *nie ja* ograniczone w ten sposób przez moje *ja*, jest naszą wiedzą, to jest przyrodą zewnętrzną, nauką, umiejętnością. Nauki i umiejętności są postępnym wydobywaniem się mego *ja* z ograniczoności, w którą go wwiązało *nie ja*; stopień rozwicia w sobie naukowości, jest stopień rozszerzania się granic naszego *ja*; — zniknięcie mego *nie ja* (jak przez śmierć), sprawia dla *ja* żywot doskonalszy i nieśmiertelny.

System ten rozszerzył i w wielu względach rozwinął *Schelling*. Jażń *Fichtego* jest rzeczywistość, tak jak i podmiot Kanta; lecz jażń *Fichtego* nie jest to podmiot Kanta. Jażń nasza jest częścią jako *podmiotowość* ograniczona przez *nie ja* (świat umysłowy) i jest jako *przedmiotowość* z cechą ograniczoności przez *ja* (świat zewnętrzny). Jażń nasza nie jest więc wyłącznie podmiotowością, i nie jest wyłącznie przedmiotowością, ale jest jednym i drugim łącznie, to jest podmiot przedmiotowością, lub jest to raczej, jak dodał *Schelling*, jakowaś oddzielna bezwzględność, jakowys

przedmiot-podmiot absolutny, *absolut*. Na absolut ten wskazał Schelling jako istnący nietylko w nas, w naszym *ja*, lecz też w naszym nie ja, czyli w całej naturze. Pojmowanie to natury przez *ja*, czyli *filozofią natury* głównie rozwinął; a w roztrząsaniu związków myśli człowieka i przedmiotów natury, zwrócił główną uwagę na rzeczy, noszące najjawniejsze cechy tych związków, i jako na najcelniejszą pomiędzy temiż, wskazał na *sztukę*.

Kant i stronnicy Kanta rozwinęli byli system dociekania idealnego głównie w badaniu *pojęcia* jako pojęcia; Schelling i szkoła Schellinga, w badaniu pojęcia obróconego na zewnątrz czyli *natury*; myśl, która następnie przyszła, przyjść była winna, by stać się kwiatem systemu, objąć musiała całość, to jest połączyć badanie pojęcia jako pojęcia i badanie pojęcia na zewnątrz czyli natury.—Tą myślą i tym kwiatem systemu, była myśl *Hegla*.

System Hegla był w gruncie odbiciem i rozwinięciem wszystkich poprzednich systemów idealności; a cechy, które go odróżniły i ukształciły, głównie były: oznaczenie *wypadków*, owe objęcie *całości*, oraz *metoda*.

Mając łączyć dwie strony, i występować z trzeciej, to jest *całości*, Hegel w miejscu dualizmu jak dotąd, rozróżnił i oznaczył *trynizm* w rozwijaniu się pojęć.

„Schelling rzekł, iż rozum nasz nie *myśli*, ale *widzi*; takie twierdzenie jest błędem, a ztąd wszystko, co z niego poszło w Schellingu. Do *wiedzy absolutnej* nie przez widzenie wewnętrzne, ale przez wzniesienie powszedniego uznania, do stopnia filozoficznego uznania, dojść tylko możemy (1)”.

Oto mamy przed sobą *naturę* i *świat*, i chcemy poznać i uznać co są i z kąd się wzięły? Przedmioty natury i świata, które mamy, widzimy, przed sobą, zbyt różne są i rozstawione bez związku. Przedmioty te przez tysiączne odcienia, łączą się jednak wzajem, mają więc jakiś łączny *rozwoj* (*Entwicklung*); wewnętrzną *jedność*. Pragnąc poznać te rzeczy, musimy dojść najprzód do poznania ich źródła, owój *jedności*. Nie dojdziemy do tej *jedności*, jak niszcząc postępnie różności: lecz oto jakkolwiek byśmy w rzeczach które są oddzielną różnością niszczyli ich różne własności, nie zniszczymy całkiem różności: bo gdyby się już nie odznaczały różno-

(1) Główne pisma *Fichtego* i *Schellinga* odnoszące się do tych teoryj, stanowiących główną właściwość ich misji są; *Fichtego*: *Filozofia umiejętności*; *Zasada główna całej nauki umiejętności*; *Istota Filozofii* — *Schellinga*: *Filozofia natury*; *Wstęp do nauki filozofii natury*; *Pierwszy rys systemu filozofii natury*; *O Duszy świata*; *System idealizmu transcendentalnego i t. p.*

ścią, nie byłyby już oddzielną, to jest szczególną rzeczą; i nie dojdziemy inaczej do pierwiastku jedności rzeczy, jak gdy dojdziemy do zupełnego zniszczenia tych rzeczy, t. j. *nicości*. Cóż jest ta nicość? to *nic*? To *nic*, jakkolwiek zowiemy je *nic*, skoro jednak zowiemy, a przeto obejmujemy myślą, jest naszą *myślą*; myśl jest bytem, a przeto i *nic* jest bytem.

Źródłem rzeczy, jedności rzeczy, jest więc *myśl* czyli *był*; i poznanie przeto naszego (którem *wszystko* oceniać mamy), pierwszym momentem jest *myśl* jako myśl, to jest myśl oderwana.

Myśl wszelka, o tyle jednak jest myślą, o ile ma treść, jakiś przedmiot, gdyż inaczej nie byłaby myślą; ten przedmiot myśli musi być zewnątrz myśli; drugim przeto momentem poznania naszego musi być *przedmiot*. Wszelki przedmiot przedmiotem jest w sobie, dla siebie istnieje, i dopiero w powrocie swoim, w odbiciu o naszą myśl, przychodzi do swęj całości (w swoim stosunku do nas), czyli tworzy *ideę* siebie. Idea czyli połączenie przedmiotu i myśli, jest więc trzecim i ostatecznym momentem naszego poznania. Rzeczywistością każdej rzeczy, jest *idea* (1).

Jaki jest stosunek naszej myśli, twórcy naszego małego świata do tego świata, taki też jest stosunek *wszecchwiała*, do jego pierwotnej przyczyny (Boga). *Myśl* jego jest Twórcą świata; przedmiot téj myśli jest *świat*, złaczenie jest najwyższą ideą, najwyższym *duchem*.

Znamy więc drogę i sposób tworzenia się w nas wyobrażeń, śledzenia prawdy; ta metoda i droga, działające w nas zawsze nawet bez wiedzy naszej, są źródłem tych wszystkich nauk i poznań, jakie mamy.

Moment naszego oderwanego myślenia, daje nam naukę myślenia czyli form myślenia, t. j. *logikę*.

Moment zatrzymania się myśli na jęj przedmiocie, *przyrodzie*, dał nam naukę i filozofią *przyrodzenia*.

Moment wreszcie powrotu przedmiotu i zamienienia się go w *bezwzględną ideę*, *duch*, daje nam naukę o *duchu*.

Każda z nauk tych, rozpada się znowu na swą potrójność, na swoje skale, stosownie do rodzaju; a ta potrójność na dalszą potrójność.

Tak np. całość *logiki*, składają oddziały: byt, istota, pojęcie.

Nauki *przyrodzenia*: mechanika, fizyka, organizm.

Duch dzieli się na *podmiotowy*, *przedmiotowy*, i *bezwzględny*;

(1) Tak np. na skalę jasną wskazać można przedmiot ze sfery optyki. *Światło* jeżeli istnieje, nie pod innym warunkiem istnieje, jak że jest i *ciemność*. Ta *ciemność* jak jest *przeczeniem*, tak jest *przedmiotem* światła; *światło* połączone z *ciemnością*, daje wreszcie *ideę*—*kolor*; kolor dopiero jest rzeczywistością optyczną.

Podmiotowy daje nam antropologią, fenomenologią i psychologią;

Przedmiotowy prawo, moralność, społeczność;

Bezwzględny wreszcie, *sztukę, religią i filozofią*, to jest, iż duch bezwzględny, ostateczny wpływ myślenia i przedmiotu naszego myślenia, przedstawia się nam w pierwszym momencie swoim jako *piękność prawdy*, w drugim jako *uczucie prawdy*, w trzecim jako poznanie czyli *wiedza prawdy*.

Ta wiedza prawdy, którą dał system Hegla, którą w zastosowaniu tak do nabycia jęj (logiki), jak i przedmiotu (przyrodzenia i nauk) szczegółowie w oddzielnych traktatach przeprowadził, jakaż była w swych głównych praktycznych wypadkach?

Prawdy do których doszedł, na które wskazał ten system, ten kwiat okresu badania idealnego, takie więc były:

Najwyższością w naturze jest *duch*, idea ducha. Duch najwyższy jest: Jeden, Bezwzględny, Troisty. Duch ten (mówiąc na skalę pojęcia naszego) w momencie swego przeczenia, odbił się i rozwinął w to, co zowieśmy szczegółami oraz dziejami wszechświata; w dzieje te i my (ludzkość) weszliśmy jako warunek. Człowiek jest owym najwyższym duchem, najwyższą ideą na drobnej skale, jęj podobieństwem. To co tworzy, jest téż pewnym harmonijnym małym wszechświatem. Odbijając on żywioł bytu *ducha powszechnego*, w zjawisku zewnętrzném wydaje *sztukę*, w uczuciu, *religią*, w czystém, swobodném myśleniu, *filozofią*, w rzeczywistości zaś zlanii całej tak wewnętrzności jak zewnętrzności, *dziejowość ludzką*. Każda z tych gałęzi rozwicia, w swoim, własném rozwiciu odbija owe momenta, które są momentami każdego rozwicia. Tak np. pierwszym momentem w rozwiciu uczucia religijnego, były religie Wschodnie, czyli cześć *bóstw* w ich oderwaniu od ludzi i dziejów; drugim były religie *grecka i rzymska*, stanowiące jakby przeczenie bóstwa, i topiące go w ich przedmiotach (jako postaciach ludzkich, ich dobrych oraz złych czynach i t. p.); trzecim wreszcie momentem jest religia, łącząca Twórcę z stworzeniem, a ztąd jedyna prawdziwa: chrześcijańska (1). W tym téż stosunku rozwijały się szczegóły ustaw, dziejów, sztuki, i będącej źródłem i kierowniczką wszystkiego—filozofii. Ostatecznym celem

(1) Trójca w Bogu, o której religia ta uczy, a która dla filozofów zmysłowych wydaje się pomysłem głupstwa, dla mistyków tajemnicą, dla rzetelnego filozofa widzi się prawdziwem i jasnym wyobrażeniem. Pierwiastek Istoty Bożej w swém oderwaniu jest rzeczywiście *Ojcem*; odbity w przedmiocie z zachowaniem natury swój Bożej—*Synem*; w połączeniu pochodzącem od obu, jest—*Duchem*. Równie filozoficzną jest ta nauka kościelna, która naucza; iż człowiek po uznaniu się w chwili rozdzielenia swego w swój fałszywości, przez komuniją napowrót łączy się z Bogiem. (Hegel),

tego rozwicia jest powrót i zamienienie się ludzi w najwyższą ideę. W sferze dociekań, mamy stać się kiedyś jako bogowie, wiedzący dobre i złe. Każdy krok wśród tej sfery (jako i w innych), jest więc zawsze krokiem postępu; każdy system filozoficzny jak był z poprzedniego wypływem, tak też mieścił odcień postępu.

Ostatni (samego Hegla), musiał więc być w swoim czasie najwyższym postępnym; system ten przez to samo, iż doszedł do tego uznania, stał się poznaniem prawdy i miał sprowadzić na ziemię pod każdym względem byt prawdy.

Do uznania tego ostatniego skutku, iść mającego za wyraźnym doskonaleniem się myśli człowieka, doszli już byli i wskazywali nań poprzednicy Hegla: *Fichte* i *Schelling*, dzieląc dzieje ludzkości na kilka okresów, i wskazując na nadchodzący ostatni, jako wiek prawdy.

Sklonienie rozbioru myśli do sfery praktyki i oznaczenie dyalektyczne momentów rozwicia tak pośród sfery myśli jak praktyki, byłyto więc wypadkowe ziarna owego wielkiego okresu badania idealnego, czyli filozofii niemieckiej; i z tychto ziarn wyszli i rozpoczęli badania nowe nasi pisarze.

Wnet zastanowimy się bliżej nad tem, co wydał, co sprawił, do czego istotnie doszedł ów idealny okres; w czym był niższy głównie od poprzedniego, w czym się od niego odróżnił następny, czyli ten, do którego teraz przystąpić mamy. Obecnie przytoczymy pokrótce główne rysy utworów i dojsz tych naszych pisarzy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROZBIÓR UWAG FIZJOLOGICZNYCH NAD ABECADŁEM POLSKIM

przez Dra Ludwika Natansona,

zamieszczonych w Bibliotece Warszawskiej w zeszytce październikowym, 1849 r.

Nauki zupełnie różniące się między sobą główną myślą, jej kierunkiem, rozwinięciem i zastosowaniem, mają jednakże pewne punkta styczności, w których udzielają sobie wzajemnego światła. Do rzędu takich nauk mogą się policzyć fizjologia i grammatyka. Są one całkiem różne od siebie i treścią i celem, a jednak w niektórych szczegółach, pożytecznymi stają się dla grammatyki objaśnienia fizjologiczne. W tém zapewne przekonaniu p. N. pisał swoje *fizjologiczne uwagi nad abecadłem polskiem*. Obaczmyż co jest w nich nowego, i jaką z nich korzyść może osiągnąć grammatyka?

Celem pisma p. N. było okazanie mylności dotąd używanego w grammatyce podziału głosek na *samogłoski* i *spółgłoski*, tudzież tych ostatnich na rozmaite rzędy.

Dla dojścia do zamierzonego celu, p. N. za zasadę podziału głosek na *samogłoski* i *spółgłoski*, przyjmuje trwanie czasu na wymówienie każdego z nich łożonego (str. 141 i 142). Na niej się opierając, do rzędu samogłosek zalicza wszystkie prawie głoski, wyjąwszy sześć: *k, p, t; g, b, d*, (str. 142 i 146). Oczywiście tedy podstawą pomysłu p. N. stały się znane w grammatyce starożytnych języków *mutae* i *semivocales*. Pomysł ten nie uniknął uwagi grammatyków krajowych, i dał powód do podziału spółgłosek na *trwające* i *chwilowe* (1). Cała zaś nowość systematu p. N.

(1) Obacz: *Feliksa Żochowskiego „Części Mowy Odmieniające się przez przypadki”*—Warszawa, 1838, str. 42. Jeżeli zaś p. N. nie znalazł tego podziału w grammatykach polskich, we właściwem tego wyrazu znaczeniu uważanych, to ztąd pochodzi, że nie można było w nim upatrzeć zastosowania do wykładu mechanizmu mowy polskiej. Możemy wreszcie wskazać jedną z nowszych grammatyk, której autor (Dobromysł Łazowski), usiłuje upatrzeć jakiegokolwiek zastosowanie podziału spółgłosek na trwałe i chwilowe. (Skrócona Gram. str. 32.)

polega na tém, że dotychczasowe *samogłoski* łączy ze spółgłoskami *trwającymi*, i dowodzi, że grammatycy wszystkie to głoski, za samogłoski uważać powinni.

Nim jednak p. N. przystąpił do wyprowadzenia wniosków z obranej przez siebie zasady, wprzód rozważa inny podział głosek, oparty na ich *materji*, to jest na rozmaitych rodzajach głosu ludzkiego, w skład mowy wchodzić mogących, jakimi są *głos czysty*, *szczylenie* i t. p. Tę zasadę rozważając podług właściwego sobie widzenia rzeczy, dzieli głoski na:

Samoistne (a, e, i, o, u, y — j, l, ł, m, n, r).

Ciche czyli *Szmery* (h, ch, f, s, ś, sz, p, k, t).

Odpowiednie *Głośne* (— w, z, ź, ż, b, g, d). (str. 140).

Co przez samoistność głosek rozumieć należy, objaśnia to p. N. mianowicie przy rozważaniu sposobu wymawiania dotychczasowych samogłosek (str. 143); gdzie np. przy A mówi: „Jako *szmer* tworzy się w krtani . . . Jako *ton* tworzy się przez drganie strun“ . . . Samoistność przeto głosek polega na tém, że mogą się jawić w dwojakić postaci: *szmeru* i *tonu* (1).

Głoski nazwane *głośnemi*, uważa p. N. za *akord* wynikły z połączenia raz *szmeru* i *głosu*, drugi raz *szmeru* i *tonu*; co objaśniają wyrazy: „*Szmer* (f) za dodaniem *głosu* przechodzi w głoskę *w*; *Szmer* (s) za dodaniem *tonu* przechodzi w *z*“ (str. 145). Inne znowu miejsce naucza, że te głoski uważać potrzeba za *akord*, powstający z jednoczesnego połączenia *szmeru*, *głosu* i *tonu*. Na stronie bowiem 141 p. N. mówi: „Głoski ciche są czystymi *szmerami*. . . (2) za przyłączeniem się do nich *głosu*, zamieniają się w odpowiednie *głośne*, których . . . bez *tonu* wymawiać nie można.“

W podziale głosek na *samoistne*, *szmery* i *głośne*, dwa ostatnie szeregi, są to znane w polskiej grammatyce spółgłoski *mocne* i *słabe*; z tą wszakże różnicą, że p. N. pomiędzy głoskami *h* i *ch* nie upatruje takiego stosunku, jaki widzi pomiędzy: *w — f*; *z — s*; *b — p* i t. p.

Ominąwszy trzeci podział spółgłosek podług organów mównych (str. 142 i dalsze), w którym mało jest uderzających nowości, dodać należy, że p. N. przedsięwzięwszy rozważać abecadło polskie, zamil-

(1) Objasnienie to, równie jak i następne, podajemy tylko jako *studium* nad sposobem wyrażania się p. N., nie będąc pewni, czy one będą dla czytelnika zrozumiałemi.

(2) Wyraz *szmer* nie jest objaśniony w piśmie p. N.; zapewne więc bierze się w znaczeniu potocznóm, które w Słowniku Lindego określają załączone synonimy: *gwar cichy*, *szczęst*.

cza o głoskach *cz, dz, rz*. Prócz tego głoski *c, dz, dź*, uważa za złożone, i łączy je z *x*. Nakoniec za spółgłoski miękkie uważa tylko: *b', p', n', w'*, twierdząc, że one się składają z odpowiedniej głoski (domyślcie się trzeba *twardéj*) z następującóm zaraz *j* (str. 146 i 147).

Być może, iż takie twierdzenia mają swoją wartość fizyologiczną, ale w grammatyce, a mianowicie polskiej, żadnego zastosowania znaleźć nie mogą.

Dla wyjaśnienia powodów, skłaniających mię do takiego mniemania, widzę konieczną potrzebę przedewszystkiém zastanowić się nad pytaniem: *w jakim sposobie fizjologia na grammatykę wpływać może?* Rozstrzygnięcie zaś tego pytania, zależeć będzie od okazania: *jakie podziały wyrazów i głosek do grammatyki wprowadzać należy?*

Celem grammatyki jest poznanie własności, jakie się objawiają w wyrazach, gdy się z nich tworzy mowa. Takie więc tylko podziały mogą w niej mieć miejsce, które się przyczyniają do wyświecenia tych własności. Że zaś nie wszystkie języki na jednakowych są utworzone zasadach, przeto i w grammatykach różnych języków, różne być muszą wyrazowe i głoskowe podziały. Lecz nie mogą one być czerpane z roztrząsań fizyologicznych, niezależnie od rozważania natury języków czynionych. Tak np. Polak, rzeczowniki swoje w liczbie pojedynczej rozdziela na trzy rzędy, zwane rodzajami (1); bo widzi, że przymiotniki zgadzając się z rozmaitemi rzeczownikami mogą przybierać trzy odmienne zakończenia. Francuz w swoim języku liczy tylko dwa rodzaje, stosownie do dwojakiego zakończenia przymiotników. Lapończyk i Węgier zgoła nie mają potrzeby wspominać o rodzajach, bo w ich mowie przymiotnik łącząc się z rozmaitemi rzeczownikami, nie zmienia zakończenia. Gdybyśmy chcieli tworzyć teorią rodzajowania na zasadach fizjologii, bez względu na naturę rozmaitych języków, niezawodnie mielibyśmy inną od przyjętą w przytoczonych językach. Może jeden angielski język najbardziej do niejby się zbliżał. W nim bowiem rodzaj pierwszy obejmuje rzeczowniki służące płci męskiej, drugi, ściągające się do płci żeńskiej, a trzeci obejmuje rzeczowniki nieżywotne, płci niewyrażające.

(1) Wyrazy *rodzaj* i *płeć*, przez uadużycie często biorą się za jednoznaczne. Lecz mieliśmy już zrzeczność gdzieindziej o tém wspomnieć, że rodzaje sąto rzędy, albo raczej rubryki, do których się z pewnych powodów te lub owe rzeczowniki wpisują; a zaś płeć jest jedną ze skazówek nauczających, który wyraz do jakiej rubryki zapisać należy. Wreszcie chcących poznać obszerniejszy tój rzeczy wykład, odsyłamy do „Odpowiedzi na recenzję” Mrozińskiego, str. 192 i dalsze.

Lecz taka teoria nie da się zastosować do innych języków, bo natura ich jest inna. Grammatyk zaś nie może marzyć o tworzeniu języków na nowych zasadach, lecz obowiązany jest poznać naturę już istniejących w ustach narodów; tak właśnie, jak fizyolog nie może myśleć o nadaniu nowój organizacyi człowiekowi, lecz o zbadaniu działania téj, jaką on z rąk Twórcy swojego otrzymał.

Weźmy inny przykład. Grammatycy języka polskiego postrzęszy, że w rzeczownikach ściągających się do płci męskiej, 4 przyp. liczb. poj. jest podobny do 2go, a zaś w nazwach rzeczy nieżyjących, do 1go; wprowadzili do swego wykładu podział rzeczowników na żywotne i nieżywotne, który oczywiście jest niepotrzebny w grammatyce języków, niemających téj własności. Fiziologia ostrzegła grammatyków, że nazwy roślin niewłaściwie przez nich są zaliczone do rzeczy nieżyjących. Grammatyce więc przydali uwagę, że chociaż rzeczowniki roślinne mają właściwe sobie życie, różniące je od istot nieorganicznych, jednak w przypadkowaniu ulegają tymże prawdom, co i nieżywotne. Lecz pomimo przykładów, które znajdujemy u dobrych nawet pisarzy (np. *Widziałem s. dęba* — Naruszewicz), nie mogli dotąd wymórz na całym narodzie, iżby mówił: „*Widziałem rozłożystego kasztana, jawora, wiąza, pięknego gwoźdźnika, tulipana, narcyza*“.

Uczony i głęboki badacz języka polskiego Józef Mroziński, rozważając kunsztowność mechanizmu mowy polskiej, widział, że dla utworzenia niektórych odmian grammatycznych, nie dosyć jest dodać właściwe zakończenie téjże odmianie, ale trzeba jeszcze zmieniać głoski przed tém zakończeniem znajdujące się (np. *ska-t-a*, *ska-l-e*; *swia-t* na *swie-ci-e* i t. p.). Śledził więc naturę każdej głoski, rozważając je pod wszystkimi względami, nie omijając i fizyologicznego, i przyszedł do wniosku, że zmiana głosek przybierających zakończenia odmian grammatycznych, polega na ich miękczeniu (1), biorąc ten wyraz w obszerniejszym od p. N. zakresie. Postrzeżenie to Mrozińskiego, nieprzydatne dla innych języków, w pracach grammatycznych języka polskiego stało się epoką; i odtąd każdy z piszących nawet grammatykę dla dzieci, mniej więcej szczęśliwie tę jego zasadę stosował. Pan N. nie zwrócił na to uwagi; owszem, pojęcie o spółgłoskach miękkich zupełnie skrzywił, ograniczając ich liczbę do czterech (b', n', p', w'); i zamiast wykazania zasług lub omyłek Mrozińskiego, wystąpił z dyatrybiczną napaścią na wszystkich bez

(1) Pierwsze Zasady Grammatyki Języka Polskiego. Warsz. 1822.

wyjątku grammatyków, nie troszcząc się o to, co oni dotąd zrobili, i co dla grammatyki języka polskiego jest potrzebnem: bo naturę mowy polskiej, nie badając jęj własności, postanowił, jakby jaką filozoficzną abstrakcją, *a priori* fizyologicznie rozstrzygnąć.

Z tego jednak, co się dotąd mówiło wnieść już można, że fizjologia nie jest tak wielowładną kierowniczką grammatyki (1), jak p. N. utrzymuje, twierdząc „że nauka o mechanizmie mowy jest *wyłącznie* przedmiotem fizjologii.“ (str. 139).

Anatomia może opisać narzędzia mówne, fizjologia wskazać ich przeznaczenie i sposób działania; ale grammatyk na tém przedstawiać nie powinien: on obowiązany jest wiedzieć o ile i w jakim sposobie który naród z tych narzędzi korzystał, do jakiego stopnia w sobie je wydoskonił i w użycie wprowadził. Wszystkie narody obdarzone są jednakowemi organami mowy, ale nie wszystkie w swęj mowie jednakowych używają głosek. Ileżto, nie mówię pojedynczych cudzoziemców, ale narodów nie może z łatwością polskiego ł wymówić? Grammatyk przeto, jakieśmy powiedzieli, nie może przestać na tém, co mu fizjologia o narzędziach mównych podać jest zdolną; ale jeszcze powinien starać się o zbadanie tego, co jest w użyciu narodów mówiących rozmaitemi językami. Gdybyśmy w wykryciu mechanizmu mowy, chcieli przestać na samęj fizjologii, byłibyśmy zbyt jednostronnemi, i nieraz przyslibyśmy do bardzo mylnych wniosków. Pan N. czyni postrzeżenie fizyologiczne, że osoby na krtań cierpiące, mówią *topry*, zamiast *dobry* (str. 141). Gdybyśmy więc nie wzięli na uwagę przywyknień każdego narodu w użyciu organów mównych, i ograniczyli się jedynie postrzeżeniem fizyologicznem, musielibyśmy się zgodzić na to, że wszyscy Niemcy na krtań chorują. Bo wiadomo jest powszechnie, że chcąc Niemca źle mówiącego po polsku wystawić, trzeba mu w usta włożyć *topry*, zamiast *dobry*.

Wyjaśnwszy dostatecznie, jak się nam zdaje, stanowisko fizjologii względem grammatyki, możemy już przystąpić do ocenienia, choć przelotnego, systematu p. N.

(1) Z historii grammatyki przekonać się można, że większą jęj pod względem zbadania natury głosek przystęgu wyświadczyli nauczyciele głuchoniemych, jak fizjologowie. John Wallis Anglik, który piérwszy podał nową i gruntownie rozważoną teorię głosek, był właśnie w ścisłych związkach z doktorem Amman, nauczycielem głuchoniemych w Amsterdamic.

W polskim języku, równie jak i w językach innych ukształconych narodów, jedno głoski mogą być podstawą sylلاب, drugie zaś nie. (1). Do pierwszych należą głoski polskie: *a, e, é, e, o, ó, a, u, i, y*, które nazwano *samogłoskami*; innym zaś, nie mogącym być podstawą sylلابy, dano nazwę *spółgłosek*. W definicyi tak jednych jako też drugich, grammatyce nie mogli przyjąć zasady *trwania czasu*, na której gruncie p. N. wznosi budowę swojego systemu: bo wiedzieli, że nie tylko samogłoski, ale i znaczna liczba spółgłosek może mieć pewną trwałość. Zdaje się nawet, że i p. N. nie przywiązuje wielkiej wartości do swojej zasady; bo po jej wyłożeniu, mówi na str. 142: „Należy więc albo *definicją samogłosek i spółgłosek zmienić*, albo zachowując daną definicyą, zmienić układ i klasyfikacyą głosek.” A więc chce tylko przez dyatrybiczny wykład swojego systemu zmusić grammatyków do innej definicyi samogłosek i spółgłosek od tej, jaką im w swoim mniemaniu przyznaje. Szczęściem grammatyce dawno już życzenie p. N. uprzędzili.

Kopczyński tak odróżnia samogłoski od spółgłosek: „Samogłoski w powszechności robią się samym otworem głosowej piszczałki, moniejszém przez nią powietrza ciągnieniem. Różnica jednej od dru-

(1) W niektórych językach piszą się tylko spółgłoski, a zaś samogłoski albo się opuszczają zupełnie, albo też znaczą się u spodu osobnemi kropkami, linijkami, ciągami. (Linde—Prawidła Etymologii. Rozdział II, §. 7). Lecz nie wynika zład wnioszek, że w tych językach spółgłoski bez samogłosek mogą tworzyć sylلابy. Sposób ten bowiem pisania dowodzi tylko, że we względzie etymologicznym, ważniejsze są spółgłoski od samogłosek; że wreszcie w językach, których budowa oparta na systemie spółgłoskowym, samogłoski podrzędne zajmują miejsce, tak dalece, że znaczenie wyrazu nie zmienia się, jeżeli w nim do utworzenia sylلاب bez spółgłosek, te lub owe użyją się samogłoski. W krańskim np. języku wiele wyrazów tak wymawiają, że niełatwo rozeznąć, jaka się właściwie samogłoska w sylلابie odbija; zład jedni piszą *smert*, drudzy *smart* (śmierć). W czeskim zaś i bosnieńskim dyalekcie można znaleźć całe wyrazy bez samogłosek pisane, w których wymówieniu dodanie brzmienia samogłoskowego, zostawia się wprawie i upodobaniu mówiącego. Im jednak więcej kształcą się języki, tém bardziej ustalają się w nich dźwięki samogłoskowe. (Mroziński—Odpowiedź na recenzję str. 273 i *dal.*). Gdyby kto jednak nie przestając na tém objaśnieniu, chciał koniecznie utrzymywać, że wyrazy w niektórych językach bez samogłosek pisane, bez samogłosek też wymawiają się; toby wszakże nie mógł zaprzeczyć faktu istniejącego w polskim języku, o który rzecz się toczy, że w nim, równie jak i w innych ukształconych językach, sylلابa nie może się utworzyć li tylko ze spółgłosek, bez dodania samogłoski. Przyimki *z, w* chociaż są wyrazami, jednak bez samogłoski użyte, nie tworzą sylلابy. Toż samo można powiedzieć o wykrzyknikach *psst, hm!* przez p. D. E. przytoczonych, równie jak i o zgłoskach rozbioru p. H. S. (Obacz na str. 343 przytoczone tytuły dzieł tych pisarzy).

gięj zawisła od różnego strojenia otworu krtani, ust (1) (Przypisy do Grammatyki na klas. III, wyd. 1809 r. str. 19)— Spółgłoski w powszechności większą niż samogłoski głosowemu narzędziu zadają pracę, bo ruch głosowego narzędzia, jaśniej się w nich niż w samogłoskach poznać daje. Dawno bardzo postrzeżono, że *do wydania spółgłosek, różne głosowego narzędzia części szczególniej pracują*” (ibid. str. 24). W tych nieco staroświeckich wyrazach, zawiera się odróżnienie samogłosek od spółgłosek, które M. Jakubowicz (2) przeniósł nawet do grammatyki dla dzieci przeznaczonęj, w takich wyrazach: „Głoski *a, q, e, e, i, y, o, u*, zowiemy samogłoskami, że *sam głos tylko znaczą*, inne wszystkie *b, c, d, f, g* i t. d. zowiemy spółgłoskami, że wespół z głosem samogłosek wydają *dźwięk, powstający z ruchu i działania na siebie wzajemnego narzędzi mównych, jakoto: warg, podniebienia, języka, gardła.*” (3) Odróżnienie to samogłosek od spółgłosek potwierdza p. N. Przebiegając bowiem sposoby tworzenia się głosek, mówi na str. 144: „Wszystkie więc *dawniej tak zwane samogłoski*, tworzą się w krtani.” Potém rozważając brzmienia spółgłoskowe, przy każdym wskazuje narzędzie mówne, które szczególnie, jak się wyraża Kopczyński, pracuje na wydanie takowego brzmienia. Szkoda, że p. N. dalej na tej drodze nie śledził różnicy *dawniej tak zwanych samogłosek od spółgłosek*. Lecz uczynił to Mroziński. Zgadza się on wprawdzie na to, że przez czas brzmienia samogło-

(1) Mroziński w „Pier. Zas. Gram.” str. 13, rzecz tę wyjaśnia dokładniej, wymieniając samogłoski, których brzmienie powstaje z odmiennego położenia warg, tudzież takie, które wymagają zmiany w położeniu języka.

(2) Pierwsze wydanie Grammatyki Maksymiliana Jakubowicza, wykonaném zostało r. 1823. We dwa lata zaś później, wyszło na widok publiczny skrócenie tejże Grammatyki, do użytku szkolnego zastosowane.

(3) Przytaczamy tu jeszcze definicje samogłosek i spółgłosek z dwóch nowszych grammatyk, do użytku uczącej się młodzi przeznaczonych:

„Jeżeli tchnionemu powietrzu nie czynimy żadnego oporu, powstają głoski wyraźne czyli same o sobie, które dlatego samogłoskami, (samogłosami) nazywamy.

„Jeżeli zaś tchnionemu powietrzu czynimy opór wargami, zębami, językiem lub ściśnięciem gardła; wówczas powstają głoski mniej wyraźne, które dlatego spółgłoskami (spółgłosami) zowiemy, iż *jenó* za dodaniem do nich samogłosek zupełnie wyraźnemi się stają.” *Skróc. Gramm. Języ. Pols. przez D. Łazowskiego. Kraków, 1848 r. str. 5.*

„Samogłoska jest brzmienie, przy pewnym składzie ruchomych narzędzi mównych, ale bez poruszenia *takowych* wyrobione w przestrzeni *gęby*.

„Spółgłoska jest brzmieniem, *wyciśnioném* za pomocą ruchomych narzędzi mównych.” *Nauka Języka Polskiego: dla uczącej się młodzi, przez H. Sucheckiego. Lwów. 1849 r.*

sek, narzędzia mówne pozostają nieporuszone w stanie, w jakim się znajdowały w samym zaczęciu brzmienia (Odp. na Rec. stron. 118); a zaś do wydania brzmień spółgłoskowych w ogólności, potrzebne jest poruszenie się tychże narzędzi: znalazłszy jednak kilka spółgłosek, a mianowicie *s, z, sz, ż, ch*, przy wymówieniu których narzędzia mówne w ruch się nie wprawiają, śledzi naturę *materyi* do wydania głosek potrzebnej, którą dzieli na trzy rodzaje: *głos, syczenie, dech*. (Odp. na Rec. str. 52 i dal.) Poczém uzupełnia definicyą samogłosek i spółgłosek, twierdząc, że pierwsze są *brzmieniem głosowem*, przy którego trwaniu narzędzia mówne nieporuszone zostają; drugie zaś są albo *brzmieniem głosowem, wydaném przy wprawieniu w ruch narzędzi mownych*, albo też *syczeniem lub dechem*, lecz w tych dwóch ostatnich zdarzeniach, wprawienie w ruch narzędzi mownych, niezawsze się wykonywa. (1). Oto są definicye samogłosek i spółgłosek, wyjaśnione obszerniejszém rozumowaniem w dziełach, przeznaczonych dla ludzi myślących. Ale nie mogą one być przeniesione całkowiec do książek pisanych dla dzieci, w których często ścisłość naukowa poświęca się łatwości dziecinnego pojęcia. Grammatyka Jakubowicza, pomimo znakomitych zkądinąd zalet, właśnie dlatego stała się niełatwo dostępną dla dzieci, że autor w definicyach, więcej niż inni zaohowuje ścisłość naukową (2). Ztądto właśnie wynika, że w gramma-

(1) Zamierzywszy czerpać dowody jedynie z krajowych pisarzy, wstrzymujemy się od przytaczania, jak znakomici grammatycy innych języków, odróżniają samogłoski od spółgłosek. To jednak dodać możemy, że ich definicye w ogólności opierają się na zasadach przez Mrozińskiego rozważanych.

(2) Drugą przyczyną matego upowszechnienia się Grammatyki Jakubowicza jest zachowanie dawnéj pisowni, i nie wprowadzenie do wytłumaczenia mechanizmu mowy, zasad Mrozińskiego, które zbyt jeszcze byty nowemi. Oba ci bowiem grammatycy, prawie jednocześnie dzieła swe wydali.

Doświadczeniem stwierdzona niepopularność grammatyki Jakubowicza pomiędzy uczącą się młodzieżą, zasługuje na to, aby ją zechcieli mieć na uwadze autorowie nowych grammatyk, z których wyżej przytoczyliśmy definicye samogłosek i spółgłosek, mianowicie wtenczas, gdy dzieła swoje stosować będą do użytku poruczających uczniów. Szczególniej to się ściągga do p. H. S., którego nowe pomysły powinnyby pierwiej dojrzeć w rozwadze samego autora i wytrzymać próbę publicznego sądu, nimby do szkolnego użytku wprowadzone zostały. Przyném popęd do fabrykacyi dzikich wyrażeh, nadany przez Srzeniawę (a po części i Deszkiewicza lubo w innym sposobie) silnie się odbił w książce p. H. S., i nadto jeszcze nacechowany został jakąś szczególniejszą rubasznoscią wysłowienia. Przypuszczając nawet trafność postrzezeń, gruntowność zasad i dobry układ nauki, można bez ubliżenia prawdzie powiedzieć, że użycie książki p. H. S. dla początkujących, z powodu samego wysłowienia, więcej szkody jak pożytku przynieść może. Zasady gram-

tykach dziecinnych, definicje samogłosek i spółgłosek są zwykle niedokładne, a nawet wyznajemy, że w niektórych mylnie (1). Pomimo to jednak, żaden ze znajomszych autorów grammatyki dla dzieci przeznaczonój, zacząwszy od Szumskiego aż do Sierocińskiego nie popełnił tak grubego błędu, jaki im p. N. przypisuje, mówiąc: „Resztę nazywają spółgłoskami dlatego, że niby bez pomocy samogłosek, *dłuższy czas* wymawiane być nie mogą” (str. 141). Bo im nie szło o wyjaśnienie, która głoska może trwać *czas dłuższy* lub *krótszy*, lecz o wskazanie, które głoski w polskim języku mogą być podstawą sylaby, a które nie.

Możnaby wprowadzić ten ostatni cel osiągnąć prostém samogłosek i spółgłosek wyliczeniem, unikając niedokładnych definicyj; jednakże nie stanowi to jeszcze kacerstwa naukowego, gdy się uczącemu powie: samogłoskami nazywają się takie głoski, które same bez połączenia z innym dźwiękiem mogą być wymówione; a zaś spółgłoskami takie, których brzmienie wymawia się w połączeniu z jakąkolwiek samogłoską. Gdyby p. N. zechciał to wszystko rozważyć przed rozpoczęciem swój pracy, bez wątpienia nadałby jój zupełnie inny kierunek.

Pozostaje nam jeszcze o innych szczegółach systematu p. N. słów kilka powiedzieć.

Niektóre spółgłoski wymagają zupełnie jednakowego układu narzędzi mównych, i cała pomiędzy niemi różnica polega na mocniejszym lub lżejszym tychże narzędzi ściśnieniu lub wyprężeniu, tudzież na mocniejszym lub powolniejszym pędzeniu powietrza z płuc wychodzącego. O czém

matyczne przeszedłszy w praktyczne zastosowanie, uległ z młodzieńczej pamięci; ale w niej utkwili głęboko lekceważenie zdań innych osób. i tok wystąpienia, który młodemu pokoleniu może dać pochoop do tworzenia nowej odmiany (dialektu) języka polskiego. Historia piśmiennictwa krajowego wskaże kiedyś to dążenie, w znacznej części od wpływu niemieczyzny pochodzące, jako odrębne od ogólnego kształcenia mowy polskiej. Co się tyczy wewnętrznych zalet dzieła p. H. S. sam autor dość je sumiennie ocenia, mówiąc na wstępie: „Dziełko niniejsze jest dorywczym wyciągiem latami nagromadzonych w rękopiśmie badań i docieczeń,” co wskazuje, że to nie jest książka „dla uczącej się młodzi”, jak tytuł objawia.

(1) Do takich można policzyć wyrażenie, że „samogłoski są dźwięki proste, a spółgłoski złożone”. Spółgłosek nie należy uważać za dźwięki złożone dlatego, że ich brzmienia wymawiamy za pomocą samogłosek. Wszakże wody używamy za pomocą szklanki, ale nie możemy twierdzić, że woda składa się ze szkła i wody. Dusza objawia się za pośrednictwem ciała, lecz nie wynika ztąd wniosek, ażeby dusza składała się z duszy i ciała. Ale błędów postrzeżonych u niektórych, nie należy brać za niewiadomość ogólną.

każdy przekonać się może, wymawiając głoski; *p-b; t-d; k-g; c-dz; sz-ż; ch-h; s-z; f-w*. Pierwsze z nich w grammatyce polskiej otrzymały nazwę *mocnych*, drugie *słabych*. Pan N. zamiast tych nazwań, dosyć dobrze naturę rzeczy malujących, pierwsze mianuje *szmerami*, drugie *głośnemi* spółgłoskami. Gdyby nawet zmiana tych nazwań mogła posługiwać do wyjaśnienia rzeczy, w takim razie wypadaloby raczej spółgłoski mocno uważać za głośne, a zaś *słabe* za *ciche* (szmery), nie zaś przeciwnie. Prócz tego p. N. między głoskami *ch* i *h* nie upatruje takiego stosunku, jaki ma miejsce pomiędzy *p-b; t-d* i t. p. Wielu wprawdzie nie ma dostatecznej wprawy do wydania brzmień *ch, h*; i z tego powodu niektórzy pisarze chcieliby je uważać za jednobrzmiące (1). Lecz p. N. przyznaje im różne brzmienie, a tylko dla wytłumaczenia ich natury, powołuje się na paryżkie wymawianie głoski *r*, (str. 142). Ale nie czyniąc tak dalekich zachodów, można tę kwestyą rozstrzygnąć, opierając się na własności spółgłosek, od dwóch prawie wieków już grammatykom znanej, (2) a która w grammatyce polskiej w takich lub tym podobnych wyraża się słowach: Spółgłoski słabe na końcu wyrazów i przed mocnemi, zamieniają się na odpowiadające im mocne; np. *Kraków, obowiązki, w kościele*, wymawia się: *KrakóŃ, obowiąski, f kościele*". (Gram. Jęz. Pols. Wilno, 1834 r. część I, str. 4). Niekiedy też mocne przed słabemi zamieniają się na odpowiadające słabe, np. *prośba* wymaw. *proźba*. Zmiana ta głosek wszystkim językom wspólna, bo z natury organów mownych wypływa (3). Postrzeżenie względem téj zmiany głosek, p. N. z powodu użycia nowych nazw (*szmerów* i *głośnych*) podaje za nowe. Jakkolwiek bądź zawsze jednak przez to samo przyznaje, że postrzeżenie to jest prawdziwe.

Niechże więc zechce go zastosować do wyrazów: *schadzka, schnąć, schody, schować, schronić się, schwycić* i t. p., tudzież *zhardzić, zhasać, zholdować, zhukać* i t. p., a łatwo przyjdzie do wniosku, że na zasadzie przywiedzionego prawidła, tylko w odwrotnym użytego sposobie, *ch* wymagające przed sobą brzmienia *s*, należy do *mocnych* (podług p. N. do *cichych* czyli *szmerów*), a zaś *h*, mające przed sobą zawsze dźwięk *z*, do *słabych* (podł. p. N. do *głośnych*). Jest jeszcze i druga własność tychże

(1) Obacz: „Uwagi nad pisownią polską” Krupskiego, drukowane niegdys w Gazecie Codziennój.

(2) Już *Dangeau*, który całe życie strawił nad śledzeniem natury głosek, dzieli spółgłoski na *mocne* i *słabe* (*fortes et douces*).

(3) Obacz: „Pierwsze Zas. Gram.” str. 9 i „Odpowiedź na Recen.” str. 26 i dalsze *Mrozińskiego*; tudzież *F. Żochowskiego* „Części Mowy odmieniające się przez przypadki” str. 47; także „*Amerykanke w Polsce*” *Tyszyńskiego*, i tym podobne dzieła, w które obfitą jest literatura krajowa.

głosek, objawiająca się wyłącznie w polskim języku. Nie wspomina o niej p. N., ale Mroziński ją postrzegł i wyraził w takich słowach: „Gdy zamieniamy w wyrazie spółgłoskę dla wyrażenia odmian grammatycznych, *moena* zawsze zmienia się na *mocną*, *ślaba* zaś na *slabą*, np. *ręka*, *ręce*, *noga*, *nodze*. Oczywiście jest więc rzeczą, że głoska *h*, która się zmienia na słabą *Sapielha*, *Sapieze*, jest słabą, spółgłoska zaś *ch*, która się zamienia na mocną *mucha*, *musze*, jest mocną (Odp. na Recen. str. 66).

Głoski *e*, *é* uważa p. N. za złożone z *ts*, *tś*, (1) równio jak *x* z *ks*; dodając, że *e* zmienia się na *dz*, a zaś *x* na *gz*. Objaśnia to jeszcze uwagą „że Grecy mają jeszcze głoskę *ps*, która dopełnia połączenia *samogłoski s*, z wszystkimi trzema cichymi spółgłoskami” (str. 146 i 147). Prawda, że u Greków litera ζ (dzeta) odpowiadała pod względem brzmienia dwom polskim głoskom oddzielnie wymawianym *d-s*; co większa był czas, kiedy ją wymawiano jak *sd* (2). Ale każdy Polak dobrze wymawiający głoski swojego alfabetu, czuje to niezawodnie, że litery *e*, *dz*, *dź*, tudzież opuszczono przez p. N. *cz*, *dż*, *rz* (3), wyrażają pojedyncze dźwięki. O czém się i cudzoziemiec przekonać może, słysząc Polaka wymawiającego takie np. wyrazy: *dzwon*, *dzień* i *odzyskać*, *podziemny*; tudzież *rzut*, *umrzeć* i *marznąć*, *obmierzły*; albo też *drożdże*, *gwiżdże*, *przejeżdżam się* i *złądzie?* i t. p. Wszystkie te głoski *e*, *é*, *cz*, *dz*, *dź*, *dż*, *rz* wyrobiły się w ustach Polaka jako dźwięki pojedyncze, nie złożone. I dlatego litery, te głoski wyrażające, utrzymały się w alfabecie polskim; gdy tymczasem *x*, jako rzeczywiście będąca skróceniem dwóch liter *ks* lub *gz*, w polskich wyrazach nie używa się (nie pisze się *więxi*, ale *więksi*) i dlatego do polskich liter liczoną być nie powinna (4).

(1) Podobną myśl, w formie algebraicznego wzoru wyrażoną, znajdujemy u p. H. S. (str. 6). Lecz tu tylko wykazane jest źródło, z którego powstać mogło brzmienie polskie *e*, *é*. Uważa je bowiem autor za zlanie się brzmień *ts*, *tś*, nie zaś za dwa oddzielne dźwięki jak *ks*; co się okazuje z wyrazów na str. 12 umieszczonych: „Zlew spółgłosek.” Jeżeli po podniebiennych *t*, *d*, *s*, z... nastąpi poddźwięk (Vorschlagslaut) *s*, wtedy *tante* z *tym* w jedno brzmienie *kłęsną*, podług następującego wzorca (szematu): np. *bratski*, *bracki*.

(2) Obacz Grammatykę Stefazyusza, drukowaną w Warszawie, r. 1814, str. 2.

(3) O spółgłosce *rz*, takie są wyrazy p. D. Ł. (str. 14) „Jednakże w przesadnej spółgłosce *rz*, słysząc właściwie skład obydwóch, jakby głoski *rz*, w jedno brzmienie złączone były.” Że brzmienia *rz*, tudzież *rż* w jedno się nie łączą, to już postrzegali Feliński, który w rozprawie o pisowni, na dowód swego twierdzenia przytacza wyrazy: *mierz*, *obmierz*, *dzierż*, *dzierżawca*, *rzysko*, *drżec* (odzierać) i *drżec* (od zimna) i t. p.

(4) Niektórzy w wyrazach przyswojonych używają głoski *x*, ale żądają nie wynika wniosek, aby ta litera do alfabetu polskiego należała. W takim bowiem razie głoski niemieckie $\begin{matrix} e \\ a, o, \end{matrix}$ tudzież francuzkie *qu*, i t. p. używane w nazwiskach obcych, do polskich liter liczyćby wypadało.

Do miękkich spółgłosek p. N. liczy tylko: *b', n', p', w'*. Powinien był do nich policzyć przynajmniej jeszcze *s, z, m', dź, l, j*; bo wszystkie te głoski równie jak *b', n', p', w'* wymagają takiego organów mównych nastrojenia, jakie jest potrzebne do wymówienia *i* cienkiego (1).

Nakoniec czyż w rzeczy samej p. N. mniema, że miękkie spółgłoski składają się z twardych *i* z następującego po nich *j*? Czyż o mylności tego twierdzenia nie powinny go były przekonać takie np. wyrazy: *zjem, zdjąć, wjazd, objawić* i t. p. gdzie właśnie głoski przed *j* umieszczone, twardo się wymawiają (2).

Nie popełniłby tych błędów p. N., gdyby nie uwierzył zbyt znacznie swój tezie „że nauka o mechanizmie mowy *wyłącznie* do fizjologii

(1) Nic tu nie mówimy o systemacie miękczenia spółgłosek, wyrozumowanym przez Mrozińskiego, bo ten jest zupełnie obcy pismu p. N.

(2) PP. D. Ł. i H. S. mówią także o utworzeniu się spółgłosek miękkich z twardych przez dodanie dźwięku *i, j*; lecz zawsze w tym sposobie, że się one *utworzyły, to jest wyrobiły* się w ustach Polaków, nie zaś *składają* się jak p. N. utrzymuje. Pomimo to jednak, nie daje się to mniemanie usprawiedliwić. P. D. Ł. objaśnia „że przy miękkich spółgłoskach słysząc połowę brzmienia *i*” (str. 12). Lecz trudno jest pojąć, jak połowę brzmienia głoski jakiej wymówić. I dlatego w rosyjskich grammatykach, gdzie *półgłoski* ważną rolę grają, teoria tych głosek zaczyna już tracić na swojej powadze, co mianowicie widać z pism, w których się porównywa język rosyjski z polskim. P. H. S. w swojej algebraicznej tabelce umieściwszy, że $l+j=l$; $n+j=n$ i t. p., wprowadza dla jej usprawiedliwienia *zespółgłoskowanie* samogłosek, dając przykłady: *ić—pójść; bić—bij; myć—myję* (str. 11) w których *i, y* podług jego zdania zamienia się na *j*. Lecz na następnej już karcie (str. 14) sam siebie zbija. Powiedziawszy bowiem: „*Przybywa (j) na końcu trzona w własności przegubu, do którego końcówki lgnąć mają*” daje przykłady: *szyć—szyj; gnić—gnij; kochać—kochaj*. Jeżeli więc w tych wyrazach *j* przybywa, to bez wątpienia przybywa i w wyrazach *bij, myję*, ale nie przetwarza się z *i, y*. Do słowa *ić* jest także na str. 14 objaśnienie, widocznie okazujące, że w wyrazie *pójść, j* nie utworzyło się z *i*. W takich jest ono wyrazach: „*cienkie j* przed cieką samogłoską *i* dotychczasowym zwyczajem ginie, np. *jimię* piszą *imię*” Otoż zamiast *jić* piszą *ić*; gdy się więc tworzy *pójść* z *ić* (*jić*) wtedy *j* opuszczone przed *i* powraca, a zaś samo *i* opuszcza się. Jestto więc wyrzucenie czyli wyrzutnia (podług p. H. S. *wyrzut*) głoski *i*, nie zaś jej przemiana w *j*. Nie jestto jedyny usterk w dziele p. H. S.—A jednak p. H. S. nie pomnąc na to, nie szczędzi szyderczych przycinków dla innych pisarzy. Wszakże zdaje się, że wykład poważny i uprzejmość, znamionująca szczerą chęć przyczynienia się do postępu nauki, więciejby nam była przydatną, bo mogłaby połączyć pojedyncze siły do wzniesienia nauki. Wreszcie to przynajmniej zdaje się nam rzeczą pewną, że umieszczanie sarkazmów w książce przeznaczonej „*dla uczącej się młodzieży*”, nie jest pedagogiczne. Młodzież trzeba uczyć rzeczy pożytecznych; a zaś przy jej wyobraźni żywej, uczuciu silniejszem od rozważ, wrodzonej wesołości, rozwijającym się dowcipie, przycinki znajdują się i same przez się; bodajby tylko nie w większem nieraz wybudaniu, niżby życzyć należało.

należy;" i gdyby się chciał cokolwiek zastanowić nad tém, co jest właściwego w wymawianiu rozmaitych narodów.

Pozostaje jeszcze wspomnieć o sposobie wyrażania się p. N.

Pomimo pozornéj jasności pisma p. N., niełatwo jest zrozumieć wielu zawartych w niém szczegółów. Przyczyną tego są wyrazy niezrozumiałe, lub w przeciwném powszechnemu użyciu brane znaczeniu, albo nakoniec do coraz innych pojęć przez samegoż autora stosowane. Przytaczam na to dowody.

Kilka razy w ciągu pisma powtórzony jest wyraz *zmianowanie*. Dotąd znane były wyrazy: *mianować* (nominować, zanominować), *mianownik* (w arytm. i gram.) tudzież *zmieniać*, *odmieniać*, *zmienianie*, *odmienianie*, *zmiana*, *odmiana* i t. p. Ale *zmianowanie*, źle użyty wyraz, bo niezrozumiały. Nikt nie zrozumie bez objaśnienia, co znaczy: *zmianowanie głosek*.

W powszechném użyciu, przez *znaki pisarskie* rozumiemy znaki przestankowe, tudzież zmianę głosu w ciągu czytania wyrażające, jakimi są: przecinek, kropka, znak pytania i t. p. Pan N. w przypisku, umieszczonym na str. 141, bierze je w znaczeniu liter (1).

Wyraz *ton* raz u autora znaczy to samo, co *dźwięk* różniący się od *głosu*, drugi raz znowu *głośne mówienie*. Na stronie bowiem 139 mówi: „*dźwięki* czyli *tony* tworzą się tylko w krtani”, i nieco wyżej: „Usta z zawartemi w nich organami..... służą do wydawania i *zmianowania dźwięków, głosów* i szmerów, składających mowę ludzką”. A zaś na str. 141: „Głoski *samoistne* wymawiać można *bez tonu* lub *z tonem*, czyli *cicho* i *głośno*”. W inném znowu miejscu (str. 140), są takie wyrazy: „Powietrze z płuc wyciskane, tworzyć może *szmery*, które albo same przez się, albo *z tonami słyszeć dają*”, a na str. 141, „Głoski ciche są czystymi *szmerami* i *razem z tonem wymówione być nie mogą*; za przyłączeniem się do nich głosu, zamieniają się w odpowiednie *głośne*, których znowu *bez tonu* wymawiać nie można”. Niechże tu kto powie z pewnością, czy p. N. twierdzi, że szmery mogą się wymawiać z tonem, czyli nie? i co tu przez *ton* rozumieć należy? Nie przywodziśmy innych jeszcze sposobów użycia tak *tonu*, jako też innych wyrazów; zdaje się bowiem, że i to cośmy dotąd powiedzieli, przekonać może, że pisma p. N. bez komentarza zrozumieć nie można.

(1) Wyrazy *litera* i *głoska* zwykle biorą się za jednoznaczne. Gdy jednak potrzeba odróżnić znaki pisma od głosów tworzących mowę, pierwsze otrzymują nazwę liter, drugie głosek. Obacz między innemi, Odpowiedź na Recen. Mroź. str. 32. P. II. S. *literę* nazywa *zrotłq*.

Zakończmy nasz rozbiór Uwag fizyologicznych abecadła polskiego, następną uwagą.

Nauki przybrały tak obszerny zakres, że nieraz gruntowne poznanie jednej z nich, zdoła zająć całe życie człowieka. I dlatego trudno jest znaleźć w jednej osobie dokładną i szczegółową znajomość wielu nauk, takich mianowicie, które nie należą do jednej i téjże samej gałęzi wiedzy ludzkiej. Prawda, wiek obecny, od człowieka oświeconego wymaga wielostronnego kształcenia się; ale to się ściąga do ogólnych wypadków, które filozofią nauk nazwać można, nie zaś do umiejętności specjalnej różnych przedmiotów. Wszyscy wiemy spopularyzowany wypadek badań Kopernika; ale poznanie całej drogi jaką przeszedł ten wielki astronom, nim stanął u kresu swych badań, dokładny wykład jego systematu i t. p. należą do poświęcających się wyłącznie astronomii. Do nich się udawać należy, chcąc się dowiedzieć o jakim specjalnym szczególe do téj się nauki ściągającym. Wiedzą o téj zasadzie grammatycy, i dlatego w rzeczach należących do *fizyki*, *anatomii* i *fizyologii*, nie wstydzieli się zasięgać światła u znawców tych nauk; o czém przekonywają nie tylko takie dzieła jak Mrozińskiego, ale nawet i Kopczyńskiego, a mianowicie jego Grammatyka języka polskiego po zgonie autora drukowana (str. 9 i 10), tudzież Przypisy na klasę IIIcią (od 9—15 str.). Czy zaś fizyolog rozważający głoski abecadła polskiego, zachował podobne względy dla grammatyków, o tém sąd zostawiamy czytelnikowi.

T. Kurhanowicz.



SYSTEMATYCZNY SPIS PTAKÓW

UWAŻANYCH W DAWNEJ ZIEMI KRAKOWSKIEJ.

PRZEZ

Kazimierza hr. *Wodzickiego*.

W peryodycznych pismach o historii naturalnej, niemieckich i francuzkich, znajdujemy od lat kilku, skargi autorów na coraz znaczniejszy ubytek gnieźdzących się ptaków. Nam podobny brak czuć się nie daje, i długo jeszcze w dzikie ptastwo nasz kraj zamożnym będzie. W Niemczech i Francji spławne rzeki, opuszone bagna, przeredzone lasy, ludność w olbrzymim wzrastająca stosunku, przymuszają lotnych mieszkańców szukać u nas spokojnego schronienia; co im pod każdym względem i w szerokich rozmiarach udzielamy z gościnnością staropolską. Polska (z smutkiem wyznać należy) posiada lasy w których noga ludzka nie powstała, w których niebotyczne drzewo rośnie na zgnitém i leżącym; bagna nieprzystępne, służące ledwie za nędzne pastwisko bydłu, brzegi rzek spokojne i odludne, przechowują dla potomności i dostarczają zachodniej Europie tych gatunków ptastwa, które przed człowiekiem i jego kulturą ustąpić musiały.

Ornitologowie niemieccy zazdrośnym okiem poglądną na obfitość świata ptaszego, u nas swobodnie żyjącego, wzywając nas zarazem do sumiennych prac i nowych spostrzeżeń; z naszej strony, będąc przy źródle niezgłębioném i niewyczerpaném, a od tak dawna zaniedbaném, możemy i powinniśmy dziś nowemi odkryciami wywdzięczyć się za tak znakomite i mozolne prace autorów zagranicznych, w przedmiocie nauki przyrodzenia.

Szczęśliwe położenie geograficzne naszego kraju, większą do tego sposobność nam podaje i ułatwia pracę. Rzeki liczne z odludnemi brzegami, wpadające do morza, służą wędrownym ptakom za bity gościniec;

dwa razy do roku, na wiosnę i w jesieni, dostarczają rzadkich i ciekawych exemplarzy w różnych barwach (1); szczególnież brzegi Wisły krzemieniste, piaszczyste i bagniste, zmieniające się tak często koryto téj rzeki, są obfitém w żér, i spokojném zaciszem dla wędrujących ptaków. Spotykaliśmy tam równie mieszkańców wysokiej północy, jak stron południowych. Klimat naszego kraju jest tak różny, tak odmienny według okolic, że w niektórych posiadamy gnieźdzące się nawet południowe ptaki, jak np. *Turdus saxatilis*, *Falco brachydactylus* i *Falco pallidus*; są bowiem w Tatrach i w Krakowskiém skały tak wystawione na promienie słoneczne, iż tameczny stopień ciepła w letnich miesiącach, równa się stopniowi południowych Alp lub Pireneów. To nam tłumaczy, dlaczego ptaki dawniej u nas nieznanne, przed laty może w kilku tylko parach niepomysłnym wiatrem w strony te zapędzone, zostały na naszej ziemi. Znalazłszy one dostateczne ciepło i żér, wracały co rok z potomstwem na to mieszkanie letnie, od północnych wiatrów zakryte, i dziś obywatelstwo polskie otrzymały. I tak drozd skalny (*T. saxatilis*), dosyć rzadki dawniej w Krakowskiém a niepostrzeżony w innych częściach Polski, dziś przyjemnia miłym i harmonijnym śpiewem nagie skały Ojcowa, Kobylan i Bętkowic, gnieźdząc się corocznie w dosyć wielkiej liczbie, mimo że srogo jest prześladowany.

Od lat dwunastu bacznie uważałem w każdej porze roku tak gnieźdzenie się jako i przelot ptaków: podaję tu spis gatunków które sam naocznie spostrzegałem, nigdzie nie zasadzony na samém podaniu wiejskiego ludu, który tylu błędów w nauce przyrodzenia stał się przyczyną. Ptaki pomienionym spisem objęte, znajdują się w Muzeum uniwersytetu Krakowskiego, lub w moim własnym zbiorze. Wyszczególniłem gnieźdzące się, przelatujące i przypadkowo do nas zalatujące. Dodać muszę iż to są tylko postrzeżenia z lat dwunastu i czynione na jednej Krakowskiej ziemi, tojest w cyrkułach Wadowickim, Bocheńskim, Sandeckim, gubernii Radomskiej i obwodzie Krakowskim. Wieleżto zatém gatunków ukryć się jeszcze musiało! Ta część Polski nie ma ani stepów, ani wielkich jezior i bagien; ruskie cyrkuły Galicyi mają nieporównanie więcej i w ogólności, i gnieźdzących się takich które u nas tylko się wśród przelotu ukazują. Jest nadzieja że przy dzisiejszym składzie uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomici i niezmordowani członkowie jego, niebawem uzupełnią nowemi odkryciami podanie moje.

(1) W jesieni brzegi Wisły, na wiosnę brzegi Dniestru; pierwsze co do odlatujących, drugie co do przylatujących ptaków, nieograniczone pole do badań krajowym ornitologom przedstawiają.

Ptaki oznaczone w tym spisie jedną gwiazdką, gnieźdzące się spotykałem; oznaczone dwiema gwiazdkami, za przelatujące uważam; trzema zaś te, które przypadek do nas zapędził.

I Rodzaj AQUILA, ORZEŁ.

- 1 Gatunek *Falco fulvus* * Linn. Orzeł przedni Rzącz: (O. bielik. O. zwyczajny). Gnieździ się tak w górach jak i w wielkich lasach równin.
2. *Falco chrysaetos* ** Linn. Orzeł zyz Myślistwa Ptaszego (O. złotogłów): rzadki w Tatrach.
3. *Falco naevius* ** Gmel. Linn. Orzeł orlik M. P. (O. krzykliwy, (1) i t. p.).
4. *Falco albicilla* * Linn. Orzeł białogon. W sandeckim cyrkule pojedyncze pary gnieźdzą się w zimie i do równin zalatują.
5. *Falco brachydactylus* * Temm. Orzeł gadożer Pietr. (O. krótkoszpón Tyz.). Gnieździ się w skalistych górach, tak olkuskiego jak i krakowskiego obwodu.
6. *Falco haliaetus* ** Linn. Orzeł rzeczny (O. rybitw). W jesieni i na wiosnę na ciągu spostrzegalem; w lecie nigdy.

II Rodzaj FALCO, SOKÓŁ.

7. *Falco peregrinus* ** Gmel. L. Sokół wędrowny. Jak poprzedzający.
8. *Falco aesalon* * Gmel. L. Sokół drzemlik Rzącz. pospolity.
9. *Falco tinnunculus* Gmel: L. Sokół wieczowy (S. pustulka Rzącz.): pospolity.
10. *Falco subbuteo* * Linn. Sokół leśny (S. kobuz Rzącz. S. kobiec): pospolity.

III Rodzaj ASTUR, JASTRZĄB.

11. *Falco palunbarius* * Linn. Jastrząb gołębiarz (Sokół jastrząb): pospolity.
12. *Falco nisus* * Linn. Jastrząb krogulec Rzącz. pospolity.

IV Rodzaj MILVUS, KANIA.

13. *Falco milvus* ** Linn. Kania rdzawa. (S. kania Rz.): dosyć rzadki. (*F. ater*: odmiany ciemnej nie spostrzegłem nigdy w Krakowskiém).

V Rodzaj BUTEO, MYSZOŁÓW.

14. *Falco buteo* * Linn. Myszołów właściwy (S. k. myszołów Jundz.): pospolity.

(1) Nie umieszczam tu przyjętej nazwy plamistego orła, która się ściąga jedynie do *Falco clanga*.

15. Gatunek *Falco lagopus* Linn. * Myszolów włośchaty (S. k. włośchaty Jar.): pospolity.

VI Rodzaj PERNIS, MYSZOŁÓW, PSZCZOŁOJAD.

- 16 *Falco apivorus* * Linn. M. pszczołojad właściwy (S. k. trzmielojad Tyz.): w Olkuskiem się gnieździ.

VII Rodzaj CIRCUS, BŁOTNIAK.

17. *Falco rufus* * Linn. Błotniak trzciny (Bł. błotny Jundz.): pospolity.

18. *Falco pygargus* * Linn. Błotniak zbożowy Tyz. pospolity.

19. *Falco cineraceus* * Mont. Błotniak łączny (Bł. popielaty Jar.): (1) rzadszy od poprzedzających.

VIII Rodzaj STRIX, SOWA.

20. *Strix uralensis* * Sowa uralaska (S. długoogonowa): pojedyncze pary gnieźdzą się w Tatrach sandeckich.

21. *Strix pygmaea* * Linn. (*St. acadica* Gmel.). Sowa karliczka Tyz. rzadka, w obszernych lasach.

22. *Strix Aluco* * Linn. Sowa puszczyk Jundził: pospolita.

23. *Strix flammea* * Linn. Sowa płomykowata: pospolita.

24. *Strix Tengmalmii* * Gm. (*St. dasypus* Bechs). Sowa tengmalma (Sowa pójdzka Tyz.): w Tatrach sandeckiego cyrkułu.

25. *Strix noctua* * Retz. (*St. passerina* Linn.). Sowa sówka Rządz. . pospolita.

IX Rodzaj LANIUS, DZIERZBA.

26. *Lanius excubitor* * Linn. Dzierzba wielka (Dz. srokosz Tyz.): pospolita.

27. *Lanius minor* * Linn. (*Lanius italicus* Lath.). Dzierzba czarnoczarna Tyz. (Srokosz mały).

28. *Lanius ruficeps* Retz. (*Lanius rufus*. Briss). Dzierzba rdzawogłówna (Dz. rudogłów): dosyć rzadka, gnieździ się w Olkuskiem.

29. *Lanius collurio* Linn. Dzierzba śpiewak (Dz. cierniokręt Tyz.).

X Rodzaj CORVUS, KRUK.

30. *Corvus Corax* * Linn. Kruk właściwy Tyz. pospolity.

31. *Corvus Corone* ** Linn. Kruk czarna wrona (kr. wroniec Tyz.): tylko w przelocie widywana.

32. *Corvus Cornix* * Linn. Kruk wrona Auct. Pol. pospolita.

33. *Corvus monedula* * Linn. Kruk kawka.

(1) Bł. popielaty oznacza ptaka w 3cim i 4tym roku. Bł. zbożowy w tym wieku to samo popielaty.

34. Gatunek *Corvus pica* * Linn. Kruk sroka.

XI Rodzaj GARRULUS, SOJKA.

35. *Corvus glandarius* * Linn. Sójka właściwa: pospolita.

36. *Corvus caryocatactes* ** Linn. Sójka orzechówka (w niektórych tylko jesieniach widziana, i wtedy licznie przylatuje).

XII Rodzaj CORACIAS, KRASKA.

37. *Coracias garrula* * Linn. Kraska gwarliwa Tyz. (Kr. europejska): gnieździ się w Olkuskiem; na ciągu pojedynczo i w Krakowskie zalatuje.

XIII Rodzaj BOMBYCILLA, JEMIOŁUCHA.

38. *Bombycilla garrula* Temm. Jemiołucha jedwabniczka Auct. Pol. w zimie wielkimi stadami w góry jałowcami zarosłe zlatuje, w Sandeckiem i Olkuskiem.

XIV Rodzaj ORIOLUS, WILGA.

39. *Oriolus galbula* * Linn. Wilga czarnożółta (W. żółta Tyz.) posp.

XV Rodzaj STURNUS, SZPAK.

40. *Sturnus vulgaris* * Linn. Szpak skorzec M. P. pospolity.

XVI Rodzaj PASTOR, GWAREK.

41. *Pastor roseus* *** Temm. Gwarek różowy (Pasterz różowy Tyz.): w Krakowskiem bywał zabijany.

XVII Rodzaj TURDUS, DROZD.

42. *Turdus pilaris* ** Linn. Drozd kwiczoł Rządz. przylatuje wcześniej jak jemiołucha.

43. *Turdus viscivorus* * Linn. Drozd paszkot (Dr. jemiołowy Tyz.): gnieździ się w górach sandeckich.

44. *Turdus musicus* * Linn. Drozd śpiewak Auct. Pol. pospolity.

45. *Turdus torquatus* * Linn. Drozd białobrzecz Tyz. (Dr. grzywka gmin.): w Tatrach sandeckich gnieździ się.

46. *Turdus merula* * Linn. Drozd kos Rządz. pospolity.

47. *Turdus iliacus* * Linn. Drozd drożdżik (Dr. rdzawoboczny Tyz. dr. winiówka gm.): w małej ilości gnieździ się w Tatrach sandeckich, pod zimę pospolity.

48. *Turdus aureus* *** Poll. (*T. atrogularis* Temm.). Drozd Bechsteina (Dr. czarnogardlisty Tyz.): jeden exemplarz zabitym był nad Przemszą w Krakowskiem.

49. *Turdus saxatilis* * Linn. Drozd skalny Auct. Pol. w Olkuskiem i Krakowskiem się gnieździ.

XVIII Rodzaj CINCLUS, WODNOKOS (PLUSZCZ).

50. Gatunek *Cinclus aquaticus* * Bechs. Pluszcz wodnokos (Pluszcz wodny Jar.): pospolity nad kamiennymi strumieniami.

XIX Rodzaj MUSCICAPA, MUCHOŁÓWKA.

51. *Muscicapa grisola* * Temm. Mucholówka szara Tyz. pospolita.
52. *Muscicapa luctuosa* * Temm. Mucholówka żałobna Tyz. muij pospolita od poprzedzającj.

XX Rodzaj SAXICOLA, PODKAMIONKA (RUDZIK, OPOCZNIK).

53. *Saxicola oenanthe* Bechs. Podkamionka popielata. (Op. białorzytka Tyz. podk. wielka Pietr.): Podkamionka pospolita, w kamienistych okolicach.
54. *Saxicola rubetra* * Bechs. Podkamionka łączna (Op. białobrwiasty Tyz.): pospolita.
55. *Saxicola rubicola* * Bechs. Podkamionka czarnogłowa: jak Podk. popielata.

XXI Rodzaj REGULUS, KRÓLIK.

56. *Regulus flavicapillus* * Nau m. Królik żółtogłówka (Kr. czubaty, Tyz.): gnieździ się w górach sandeckich, w zimie wszędzie pos.

XXII SYLVIA, GAJÓWKA.

57. *Sylvia philomela* * Bechs. Gajówka słowik ogrodowy (g. s. szary Tyz.): pospolity.
58. *Sylvia luscinia* * Lath. Gajówka słowik leśny (Gaj. sł. rdzawy Tyz.): pospolity.
59. *Sylvia suecica* * Lath. *S. cyanecula* Mey. W. Gajówka błękitnopiers (Gaj. modra Tyz.): nad Wisłą się gnieździ.
60. *Sylvia rubecula* * Lath. Gaj. rudopiers (Raszka gmin. G. rudzik Tyz.): pospolita.
61. *Sylvia phoenicurus* * Lath. Gaj. rudogon ogrodowa (Gaj. pleszka Tyz.): pospolita.
62. *Sylvia thitys* * Lath. Gaj. kopcuska Tyz. (Gaj. kowalik gmin.): pospolita.
63. *Sylvia nisoria* * Lath. Gaj. krogulcowata (Gaj. jarzębata Tyz. G. rybiesko gmin.): w małej liczbie wszędzie są; na równinie się gnieździ.
64. *Sylvia atricapilla* Lath. Gaj. czarnogłówka (Gaj. czarnolbista Tyz.): pospolita.
65. *Sylvia hortensis* * Bechs. Gajówka ogrodowa: pospolita.

66. Gatunek *Sylvia cinerea* * Lath. Gaj. popielata Tyz. pospolita (G. cierniówka gmin.).
67. *Sylvia curruca* * Lath. Gaj. piegża Tyz. (Gaj. mała) pospolita.
68. *Sylvia hypolaïs* * Lath. Gaj. szczebiotliwa Tyz. pospolita.
69. *Sylvia fitis* * Bechs. (*S. trochilus* Lath.) Gaj.-pierwiosnka Tyz. w jesieni i na wiosnę pospolita, w lecie zaś w górzystych lasach Sandeckich.
70. *Sylvia sibilatrix* * Bechs. Gaj. leśna (G. swistunka Tyz.): w górach Sandeckich rzadsza od poprzedzających.
71. *Sylvia rufa* * Lath. Gaj. rudawa Tyz. jak *S. fitis*.
72. *Sylvia phragmitis* * Bechs. Gaj. rokitniczka Tyz. pospolita,
73. *Sylvia cariceti* * Naum. (*S. striata* Auct.). Gaj. łączna: dosyć rzadka i nie w każdym roku spostrzegana nad Wisłą.
74. *Sylvia arundinacea* * Lath. Gaj. trzcinna (Gaj. trzcionka Tyz.): pospolita.
75. *Sylvia palustris* * Bechs. Gaj. błotna: dosyć rzadka nad Wisłą.
76. *Sylvia locustella* * Lath. Gaj. świerszczak Tyz. jak poprzedzająca.
77. *Sylvia turdoides* * Lath. Gaj. dróździk: jak poprzedzające na wielkich stawach.

XXIII Rodzaj TROGLODYTES, STRZYŻYK.

78. *Troglodytes parvulus* * Koch. Strzyżyk mysikrólik (Mysikrólik) (Strzyżyk wole oczko; Strz. piecuszek Myśl. P.): gnieździ się w górach Sandeckich, później wszędzie pospolity.

XXIV Rodzaj ANTHUS, SWIERGOTEK.

79. *Anthus arboreus* * Bechs. Swiergotek leśny (Sw. drzewny Tyz.) pospolity.
80. *Anthus pratensis* * Bechs. Swierg. łączny Jar. gnieźdzącego rzadko napotykałem; w jesieni i na wiosnę pospolity.

XXV Rodzaj MOTACILLA, PLISZKA.

81. *Motacilla alba* * Linn. Pliszka siwa (Pl. biała Jundz.): pospolita.
82. *Motacilla sulphurea* * Bechs. (*Mot. boarula* Linn.). Pliszka gór-ska (Pl. wolarka Tyz.): na ciągu u nas widziana i latem w Tatrach.
83. *Motacilla flava* * Linn. (v. *M. melanocephala*). Pliszka żółta Kl. pospolita.

XXVI ACCENTOR, PŁOCHACZ.

84. *Accentor modularis* * Koch. Płochacz popielaty, Płoch. pokrzywnica: w Tatrach Sandeckich,

XXVII Rodzaj ALAUDA, SKOWRONEK.

85. Gatunek *Alauda cristata* * Linn. Skowronek dziedzielnica Rzącz. (Sk. pośmieciszka gmin.): pospolita.
86. *Alauda arvensis* Linn. Skowronek rolny Tyz. pospolity.
87. *Alauda arborea* * Linn. (Skow. firle, gmin tak od głosu nazywa; Sk. leśny, Sk. drzewny Tyz.): w górach Sandeckich się gnieździ, w czasie ciągu i równiny nawiedza.

XXVIII Rodzaj EMBERIZA, POŚWIERKA.

88. *Emberiza citrinella* * Linn. Poświerka trznadel Rzącz. (Pośw. sternal gmin.): pospolita.
89. *Emberiza miliaria* * Linn. Pośw. łączna v. siwa, (Poś. prosowa Tyz.): pospolita.
90. *Emberiza nivalis* ** Linn. Pośw. śnieguła Auct. Pol. w twardych zimach zjawia się i na równinach.
91. *Emberiza schoeniclus* * Linn. Pośw. trzcinna (Pośw. potrzos Rzącz.): pospolita.

XXIX Rodzaj FRINGILLA, ŁUSZCZAK.

92. *Fringilla coelebs* * Linn. Łuszczał zięba, pospolity w każdej porze roku.
93. *Fringilla montifringilla* ** Łuszczał jér, w jesieni i na wiosnę pospolity.
94. *Fringilla chloris* * Temm. Mey. W. Łuszczał dzwonic: pospolity.
95. *Fringilla domestica* * Linn. Łuszczał wróbel domowy: pospolity.
96. *Fringilla montana* * Linn. Łuszczał wróbel polny (Wr. mazurek lub marciniec gmin.): pospolity.
97. *Fringilla cannabina* * Linn. Łuszczał makolągwa Rzącz. pospol.
98. *Fringilla linaria* * Linn. Łuszczał czeczotka; pojedyncze pary gnieźdzą się w Tatrach Sandeckich, w zimie pospol. wszędzie.
99. *Fringilla carduelis* * Linn. Łuszczał szczygieł Auct. Pol. pospol.
100. *Fringilla spinus* * Linn. Łuszczał czyż (Ł. czyżyk gmin.): gnieździ się w Tatrach Sandeckich.

XXX Rodzaj PYRRHULA, GIL.

101. *Pyrrhula vulgaris* * Briss. Gil właściwy Auct. Pol. gnieździ się w górach Sandeckich.

XXXI Rodzaj LOXIA, KRZYŻODZIÓB—KRZYWONOS.

102. *Loxia curvirostra* * Linn. Krzyżodziób mniejszy. W górach Sandeckich się gnieździ, na jesień pospolity wszędzie.
103. *Loxia pityopsittacus* ** Bechs. Krzyżodziób większy (K. wielki): nie jest mi wiadomém czy się gnieździ.

104. Gatunek *Loxia leucoptera* *** Gmel. (*Loxia taenioptera* Glog). Krzyżodziób biało-skrzydłny Tyz. w niektóre lata do nas zalatuje.
- XXXII Rodzaj PARUS, SIKORA.
105. *Parus major* * Gessner. Sikora większa Auct. Pol. pospolita.
106. *Parus coeruleus* * Gess. Sikora niebieskawa (Sik. modra Rządz. Sik. siniuk gmin.): pospolita.
107. *Parus cristatus* * Gess. Sikora czubata Auct. Pol. w większych lasach się gnieździ wszędzie.
108. *Parus ater* * Gess. Sikora ciemna (Sik. czarna Jundz.): w Tatrach Sandeckich się gnieździ.
109. *Parus palustris* * Gess. Sikora czarno-główka (Sik. popielata Tyz. Sik. błotna Pietr.): pospolita.
110. *Parus caudatus* * Gess. Sikora ogoniasta Jundz. pospolita.
111. *Parus pendulinus* * Gess. Sik. remiz. (Remiz. rzemieślnik Tyz.): nad Wisłą się gnieździ.
- XXXIII Rodzaj SITTA, BARGIEŁ.
112. *Sitta europaea* * Linn. Bargieł kowalik Jundz. (Sikorożołn Kl. Dziecioł modry Rządz.): pospolity.
- XXXIV. Rodzaj CErTHIA, PEŁZACZ.
113. *Certhia familiaris* * Linn. Pełzacz zaskórnik M. P. (Kowalik szary gmin.): pospolity.
- XXXV Rodzaj UPUPA, DUDEK.
114. *Upupa epops* * Linn. Dudek właściwy Tyz. pospolity.
- XXXVI Rodzaj MEROPS, ŻOŁNA.
115. *Merops apiaster* *** Linn. Żołna pszczołojad: bardzo rzadko w Krakowskie zalatuje.
- XXXVII Rodzaj ALCEDO, ZIMORODEK.
116. *Alcedo ispida* * Linn. Zimorodek europejski Tyz. pospolity.
- XXXVIII Rodzaj PICUS, DZIĘCIOŁ.
117. *Picus martius* * Linn. Dziecioł czarny Auct. Pol. (Dz. wielki). Gnieździ się w wielkich lasach płaszczyzn i gór Sandeckich do 2,000 wysokości.
118. *Picus viridis* * Linn. Dziecioł zielony p. pospolity.
119. *Picus canus* * Gmel. Dziecioł pszczołojad (Dz. zielono-siwy Tyz.): pospolity.
120. *Picus major* * Linn. Dziecioł pstry większy Tyz. pospolity.
121. *Picus medius* * Linn. Dziecioł pstry średni Tyz. pospolity.
122. *Picus leuconotus* * Bechs. Dziecioł biało-grzbiety Tyz. rzadszy od poprzedzających.

123. Gatunek *Picus tridactylus* * Linn. Dzieciol trójpalczasty Jar. w Tatrach Sandeckich się gnieździ, zalatuje wyżej jak *P. martius*.
XXXIX Rodzaj YUNX, KRĘTOGŁÓW.
124. *Yunx torquilla* * Linn. Krętogłów europejski (Kr. szaro-pstry Tyz.): pospolity.
- XL Rodzaj CUCULUS, KUKUŁKA.
125. *Cuculus canorus* * Linn. Kukułka właściwa Tyz. pospolita.
- XLI Rodzaj HIRUNDO, JASKÓŁKA.
126. *Hirundo rustica* * Linn. Jaskółka dymówka Auct. Pol. pospolita.
127. *Hirundo urbica* * Linn. Jaskółka oknówka (Jask. piszczyk gmin.): pospolita.
128. *Hirundo riparia* *** Linn. Jaskółka brzegówka Jundz. (Jask. podleszczek gmin.)
- XLII Rodzaj CYPSELUS, JERZYK.
129. *Cypselus apus* * Ill. Jerzyk murowy Auct. Pol. pospolity.
- XLIII Rodzaj CAPRIMULGUS, KOZODÓJ (LELEK).
130. *Caprimulgus europaeus* * Linn. Kozodój lelek. Tyz. pospolity.
- XLIV Rodzaj COLUMBA, GOŁĄB.
131. *Columba palumbus* * Linn. Gołąb grzywacz. Auct. Pol. pospolity.
132. *Columba oenas* * Linn. Gołąb siniak Auct. Pol. (G. polny lub hurkot gmin.): pospolity.
133. *Columba turtur* * Linn. Gołąb turkawka Auct. Pol. pospolity.
- XLV Rodzaj TETRAO, GŁUSZEC, (KNIEJOTOK).
134. *Tetrao urogallus* * Linn. Kniejotok Głuszec (Gł. właściwy Rzq.): gnieździ się w górach Sandeckich.
135. *Tetrao tetrix* * Kniejotok Cietrzew (Gł. cietrzew—trzelrzew gm.): pospolity w lasach Olkuskiego i Krakowskiego.
136. *Tetrao bonasia* * Linn. Kniejotok Jarząbek (Gł. Jarząbek) pospol.
- XLVI Rodzaj PERDIX, KUROPATWA.
137. *Perdix cinerea* * Lath. Kuropatwa szara lub pospolita.
138. *Perdix coturnix* * Lath. Kuropatwa przepiórka: pospolita.
- XLVII Rodzaj OTIS, DROP.
139. *Otis tarda* *** Linn. Drop wielki (Dr. brodacz Tyz.): rzadko się pokazuje.
140. *Otis tetrix* *** Linn. Drop karzełek (Dr. strepet Tyz.): rzadko się pokazuje.
- XLVIII Rodzaj CHARADRIUS, SIEWKA.
141. *Charadrius auratus* *** Suck. Siewka złocista (Dźdźownik siewka Tyz.): rzadka.

142. Gatunek *Charadrius squatarola* *** Glog. Siewka północna: przy-
padkowo zalatuje do nas.
143. *Charadrius fluviatilis* * Bechs. (*Ch. minor* Mey. W.). Siewka
rieczna: gnieździ się na strumieniach w górach Sandeckich
i nad Wisłą—pospolita.
144. *Charadrius vanellus* * Bechs. Siewka Czajka: pospolita.
- XLIX Rodzaj PHALAROPUS, PŁATKONÓG.
145. *Phalaropus angustirostris* *** Naum. (*Phal. hyperboreus* Retz.):
Płatkonóg cienkodziób (Pł. rdzawoszyjny Tyz.).
- L Rodzaj TRINGA, BIEGUS. Te ptaki rzadsze na wiosnę jak w jesieni.
146. *Tringa variabilis* ** Mey. (*Tr. alpina*). W. Biegus odmienny
(B. górny Tyz.): nad Wisłą.
147. *Tringa subarquata* ** Glog. Biegus Kuliczek Tyz. Kul. krzywo-
dziób gmin.): nad Wisłą.
148. *Tringa minuta* ** Leiss. Biegus malutki Tyz. (Wróbel rzeczny
gmin.): nad Wisłą.
149. *Tringa Temminckii* ** Leiss. Biegus Temminka (Wróbel rzeczny
gmin.): nad Wisłą.
- LI Rodzaj MACHAETES, BOJOWNIK (BATALION), na wiosnę rzadsze
jak w jesieni.
150. *Machaetes pugnax* ** Cuv. Bojownik odmienny. Są lata w któ-
rych jest pospolity w jesieni.
- LII Rodzaj ACTITIS, ŁĄDZIK.
151. *Actitis hypoleucos* * Brehm. Łądzik piskliwy: niektóre pary nad
Wisłą się gnieźdzą.
- LIII Rodzaj TOTANUS, BRODZIEC.
152. *Totanus glareola* ** Temm. Brodziec leśny Tyz. na ciągu pospolity.
153. *Totanus ochropus* ** Temm. Brodziec samotny Tyz. pospolity.
154. *Totanus stagnatilis* *** Bechs. Brodziec brzegowy (Br. pławny
Tyz.): rzadki.
155. *Totanus calidris* ** Bechs. Brodziec krwawodziób Jar. (Br. mor-
ski): na ciągu dosyć liczny.
156. *Totanus fuscus* ** Leiss. Brodziec ciemny (Br. śniady Tyz.): na
wiosnę częściej nas odwiedza jak w jesieni.
157. *Totanus glottis* ** Bechs. Brodziec kwokacz Tyz. w jesieni dosyć
pospolity na Wiśle.
- LIV Rodzaj SCOLOPAX, BEKAS.

158. Gatunek *Scolopax rusticola* * Linn. Bekas słomka Rządz. wielka liczba się gnieździ w górach Sandeckich.
159. *Scolopax major* ** Linn. Bekas dubelt: pospolity na ciągu.
160. *Scolopax gallinago* * Linn. Bekas kszyk Jundz. pospolity.
161. *Scolopax gallinula* ** Linn. Bekas mały Jundz. (Ficlaus gmin.).
- LV Rodzaj LIMICOLA, BEKASIK.
162. *Limicola pygmaea* *** Koch. (*Tringa platyrhyncha* Temm.). Bekasik brzegowy. (Biegus płaskodzioby Tyz.).
- LVI Rodzaj NUMENIUS, KULIK (KULON).
163. *Numenius arquatus* ** Lath. Kulik ugorowy Jar. w jesieni pos.
- LVII Rodzaj ARDEA, CZAPLA.
164. *Ardea cinerea* * Czapla siwa Jar. pospolita.
165. *Ardea purpurea* ** Linn. Czapla purpurowa Kl. u nas tylko w przelocie.
166. *Ardea nycticorax* ** Linn. Czapla nocoryk. (Ślepowron właściwy Rządz.): jak poprzedzająca.
167. *Ardea stellaris* Linn. Czapla bąk właściwy Rządz. pospolita. (Cz. huk gmin.).
168. *Ardea minuta* Linn. Czapla bączek Tyz. (Cz. huczek gmin.): pos.
- LVIII. Rodzaj CICONIA, BOCIAN.
169. *Ciconia alba* * Briss. Bocian biały Auct: Pol. pospolity.
170. *Ciconia nigra* ** Bell. Bocian czarny. (B. śniady Tyz.): w Olkuskim niektóre pary się gnieźdzą, w Krakow. tylko w przelocie.
- LIX Rodzaj GRUS, ŻÓRAW.
171. *Grus cinerea* *** Lath. Żóraw pospolity: rzadko do nas załatuje.
- LX Rodzaj RALLUS, CHRÓŚCIEL.
172. *Rallus aquaticus* ** Linn. Chróściciel wodny (Chr. wodnik Tyz.).
173. *Rallus Crex* Linn. ** (*Crex pratensis* Bechs.). Chróściciel łączny (Derkacz gmin.): pospolity.
- LXI Rodzaj GALLINULA, KURKA.
174. *Gallinula porzana* * Lath. Kurka nakrapiana.
175. *Gallinula Baillonis* *** Vieill. Kurka Baillona (K. karliczka Tyz.): rzadko bardzo.
176. *Gallinula pusilla* * Bechs. Kurka zielonka Tyz: pojedyncze pary gnieźdzą się u nas.
177. *Gallinula chloropus* * Lath. kokoszka wodna, pospolita, (kokoszka zielonego kol.).
- LXII Rodzaj FULICA, ŁYSKA.
178. *Fulica atra* * Linn. Łyska czarna Jar. pospolita.

LXIII Rodzaj COLYMBUS v. PODICEPS, NUREK (PERKOZ).

179. Gatunek *Colymbus cristatus* * Linn. (*Podiceps cristatus* Lath.).

Nurek wielki (P. dwuczubny Tyz. pernikoza gmin.): pospolita.

180. *Colymbus rubricollis* ** Linn. Nurek rdzawoszyjny: rzadki na Wiśle.

181. *Colymbus auritus* ** Licht. Nurek uszaty: rzadki na Wiśle.

182. *Colymbus minor* * Linn. (*Podiceps hebridicus* Lath.). Nurek mały (Perk. mniejszy Jar.): pojedyncze pary na bagnach się gnieźdzą.

LXIV Rodzaj STERNA, RYBOŁÓWKA. (Rybitwa. Jaskółka morska).

183. *Sterna hirundo* ** Linn. Rybołówka rzeczna Tyz. pospolita.

184. *Sterna nigra* * Linn. Rybołówka czarna (R. krzyzek Tyz.): pospol.

LXV Rodzaj LARUS, MEWA.

185. *Larus fuscus* ** Linn. Mewa żółtonoga Tyz. rzadka w jesieni i na wiosnę nad Wisłą.

186. *Larus ridibundus* * Linn. Mewa śmieszka Kl. pospolita.

LXVI Rodzaj LESTRIS, WYDRZYK.

187. *Lestris cataractes* *** Temm. Wydrzyk wielki (W. białopiór Tyz.)

LXVII. Rodzaj ANSER, GĘŚ.

188. *Anser albifrons* *** Bechs. Gęś białoczelną Jar. w jesieni rzadko do nas zalatuje.

189. *Anser arvensis* *** N. Gęś rolna: rzadka.

190. *Anser segetum* ** Bechs. Gęś posiewnica Jar. w jesieni pospolita.

191. *Anas cinerea* ** Mey. W. Gęś szara Tyz. w jesieni dosyć pospolita.

LXVIII Rodzaj ANAS, KACZKA.

192. *Anas boschas* * Linn. Kaczka krzyżówka. (K. krakwa Tyz.): pos.

193. *Anas acuta* ** Linn. Kaczka długosterna Tyz. Czy się gnieździ u nas, nie wiadomo mi.

194. *Anas penelope* ** Linn. Kaczka świstun: nie wiadomo czy się gnieździ u nas.

195. *Anas clypeata* * Linn. Kaczka płaskodziób. (K. płaskonos Jundz.), k. łyżkodziób gmin.?

196. *Anas querquedula* * Linn. Kaczka cyranka. Rącz. pospolita.

197. *Anas crecca* * Linn. Kaczka cyraneczka Kl. pospolita.

198. *Anas strepera* ** Linn. Kaczka grzechotka Kl. nie wiadomo mi czy się u nas gnieździ.

199. *Anas leucophthalmos* ** Bechs. (*An. nyroca* Gmel.). Kaczka białooka Jar. dosyć rzadka.

200. *Anas ferina* ** Linn. Kaczka podgorzałka Tyz. w jesieni pospolita.

201. *Anas marila* ** Linn. Kaczka ogorzałka Tyz. w jesieni pospolita.

202. Gatunek *Anas fuligula* ** Linn. Kaczka czernica Tyz. (K. czubata gmin.): na ciągu pospolita.
203. *Anas clangula* ** Linn. Kaczka krzykliwa Jundz. przed zimą nad Wisłę przylatuje.
204. *Anas glacialis* ** Linn: Kaczka lodówka Kl. tylko w zimie się zjawia w małej ilości.
- LXIX Rodzaj *Mergus*, TRACZ. Te ptaki przylatują w zimie i w zimowej barwie.
205. *Mergus merganser* ** Linn. Tracz nurogęs Jundz. (Tr. wielki).
206. *Mergus serrator* ** Linn. Tracz długodziób Kl. (Tr. średni).
207. *Mergus albellus* ** Linn. Tracz bielaczek Jar: (Tr. mały).
- LXX Rodzaj *Pelecanus*, PELIKAN.
208. *Pelecanus onocrotalus* *** Linn. Pelikan baba Jundz. (Pel. olbrzym Pietr.): kilka exemplarzy było zabitych na Wisłę.
- LXVI Rodzaj *Carbo*, KORMORAN.
209. *Carbo cormoranus* ** Mey. W. Kormoran kruk morski Tyz. kilka par gnieździło się w Olkuskiem w r. 1842—43—44.
- LXXII Rodzaj *Eudytes*, NUR. Przylatują w zimie i w zimowej barwie.
210. *Eudytes arcticus* Ill: (*Colymbus*). Nur czarnoszyj Tyz.
211. *Eudytes rufogularis* Mey: W. (*Eud. septentrionalis* Ill.). Nur rdzawoszyjny Tyz.

KRONIKA LITERACKA.

Przekłady poetów polsko-łacińskich, epoki Zygmuntofskiej. Zeszyt piérwszy. Poemata Klemensa Janickiego. Przekład Władysławfa Syrokomi. Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego. 1848. 8-ka, XVI, 144.

Kiedy po zmarłym Alexandrze Jagiellończyku w Wilnie, rządy państwa na sejmie piotrkowskim Zygmuntofi Iszemu podówczas księciu głógowskiemu powierzone zostały; Polska wyniszczona wojnami zewnętrznemi i niepokojem wewnętrznym, obiecywała sobie niejaki spokój i wytchnienie. Lecz nie tak losy mieć chciały! Silno i obszerne państwo, uległo wielu różnym ciosom politycznym, których ówczesna polityka bynajmniej nie przewidywała, a dla zapobieżenia im żadnych, albo małe tylko posiadała środki.

W tym czasie tak bogatym w odkrycia i wynalazki, od którego nowe dla Europy całej datuje się życie, wpływ z zewnątrz, przedarł się i na słowiańską ziemię; a wyrobiwszy w sobie siły odziaływające, nie zmałał i nie zgasał w samym zaczątku, ale owszem bystro się rozwinął i dziś dla nas wydatną stanowi epokę. Popęd naukowy, jaki się wtedy objawił, a mianowicie chęć poznania pisarzy starożytnych, spowodował, iż mnóstwo wyobrażeń, ciemnocie barbarzyńskiej nieznanych, odżyły na nowo. Ztąd, gdy zamiłowanie w naukach i rozprzestrzenianie ich, na większy się rozmiar wyrobiło, gdy pojawiły się talenta i gieniusze, które oprócz nabytych wiadomości drogą nauki, zdołały w sobie poczerpnąć siły i własnóm badaniem a zastanawianiem, stanąć lub przynajmniej zbliżyć się do ideału doskonałości i piękności: wtedy i Polska tłumiąc polityczno wzburzenia Glińskiego, Kokoszej wojny, reformacyi religijnój, intryg Bony i magnatów, równocześnie kształciła nauki, i dziś piękno dla naszego wspomnienia zostawiła zabytki.

W tymto właśnie czasie pojawia się dla nas owa epoka, słusznie złotym wiekiem literatury polskiej nazwana. Ograniczając się dotąd małą liczbą utworów i to po największej części w rękopismach krążących, olbrzymim teraz krokiem, po niedawnym wynalezieniu druku, posuwała się naprzód: bo potężne talenta pisarzy, wspierane hojną ręką możnych mecenasów, nie pozwoliły upaść temu, jakby nowonarodzonymu dziecięciu, które kiedyś miało stać się młodzieńcem, a następnie mężem dojrzałym, pomimo przeciwności ztąd i owąd napotykanym, a wzrost i dojrzenie tamujących. Niewyrobiony dotąd, w kolebce jeszcze będący język polski, ręką niepospolitych talentów obrabiany, wystąpił odrazu jako młodzian czerstwy, nieznający kolebki; a w różnym zawodzie objawiając swą siłę i zalety, stał się wzorem do naśladowania dla przyszłych. Wymowa kaznodziejska Wujka, Grzegorza z Żarnowca, a potem Skargi; polityczna czyli dworska Reja, Górnickiego; historyczna Bielskich, Orzechowskiego; poezye Kochanowskiego: słowem, utwory mnóstwa innych pisarzy, którychbyśmy tu przywieść mogli, są dostateczną rękojmnią ówczesnego stanu literatury polskiej, prawie dopiéro co w narodową sukienkę przyodziewać się poczynającej.

Lecz ilekolwiek zdołalibyśmy przywieść imion, dziś z chlubą powtarzanych, to zawsze przyznać musimy, iż błędnie kierowany ówczesny duch wieku, znalazł odbicie i u nas, a mianowicie w popędzie i zamiłowaniu ku zmarłemu językowi Rzymian. Heż przez to straconych skarbów, piękności uczuciowych, wyrażeń lub wyrazów czysto polskich, które w martwą dla nas przyodziane powłokę, jak pod owe czasy nie dla wszystkich, tak równie i teraz dla małej tylko liczby, mogą być udziałem! Cóż z tego, że uczona kasta przyklaskiwała i sławiła przed wszech-światem imiona talentów i gieniuszów! Cóż z tego, że monarchowie i papieże, laurami wieńczyli skronia poetów!... gdy dziś wielu z nastychu powtarza innych, wielbiąc i szcząc się Janickim, Simonidesem, Sarbiewskim, a w istocie może nawet nie wiedząc co oni pisali, albo też mało ich tylko rozumieć! Szczęściem minęły te wieki, inne wyobrażenia i inny popęd zwróciły na właściwą drogę tych, którzyby z niej zbaczać chcieli, a zniewalając ich tym samym rozwijać swe zdolności na ojczyźstój niwie, pozwalają się cieszyć tym zabytkiem ich talentów, czerpać z nich naukę, lub dzielić z nimi smutki i rozkosze.

W tymto czasie, gdy zamiłowanie łaciny walczyło z pojawiającym się zaczątkiem polszczyzny, urodził się i pisał jeden z najznakomitszych pisarzy polsko-łacińskich: Klemens Janicki. Z nizkiego po-

chodząc stanu, chciwy nauki i wielkie z niej odnoszący korzyści chwycił się ówczesnego naśladownictwa łaciny, a kształcąc się na starożytnych wzorach, zapragnął naśladować je, i wkrótce swym mistrzom wyrównał. Przedwczesna śmierć tego poety, ukróciła zbyt szczerpłą liczbę dni jego, i tak ciężką przepłatynych chorobą; a dzieła wielbione od współczesnych, nieznanie prawie rodakom, wydawane po największej części przez cudzoziemców, którzy na nich jako na wzorach, życzyli kształcić swe pokolenia, pozostałyby zapewne w tej samej i nadal niewiadomości, gdyby nie znalazł się nowy talent, który przenikając i wdrażając się w piękności tego poety, dla ogółu mniej dostępne, nie postarał się poznać nas z tym wieszczem minionych wieków.

Lecz p. Wład. Syrokomla (*pseudonim*) nietylko na tém chce poprzestać, bo w kilku wyrazach służących jakoby za przedmowę, ba nawet i w tytule samym, wyraźnie mówi, iż *rozpoczyna* tylko ogłoszeniem poematów Klemensa Janickiego, które mają stanowić pierwszą część: *Przekładów poetów polsko-łacińskich epoki Zygmunto-wskiej*.

Rozbierając pracę p. Wład. Syrokomli, przytoczymy dosłownie podaną przez niego wiadomość o życiu Klemensa Janickiego, tém bardziej, że poeta ten mniej u nas jest znany; prostując w przypisach lub uzupełniając w czém chybił, lub opuścił.

„Klemens Janicki, niepospolity poeta elegiczny, był jednym z najrańszych naszych poetów. Żył w czasach, kiedy dyplomacya, literatura, i większa część społecznych stosunków usługiwały się łaciną, kiedy wykształcenie języka polskiego, nie odpowiadało jeszcze wykształceniu myśli narodowej, kiedy mowa rodowita była za ubogą dla orzeczenia uczuć serca, dla wyrażenia tego wszystkiego, z czém cywilizacya i nauki poznały już światłych wówczas Polaków; pisał więc, jak wszyscy owocześnie, po łacinie.”

„Krótkie, motyle życie utalentowanego poety, tak dobrze odbiło się w jego pismach, że nie potrzebując rozszerzać się nad jego biografią, dosyć jest wskazać te miejsca, gdzie sam o sobie mówi, i z jego własnych wyrazów, życiorys jego ułożyć.”

„Urodził się niedaleko Gniezna z ojca rolnika, d. 4 listopada 1516 roku (1). Od piątego roku życia przyjąwszy początkowo nauki w Gnieźnie,

(1) P. Syrokomla na poparcie tego przytacza elegią siódmą księgi *Tristium*; lecz tam wyraźniej jest oznaczoną okolica urodzenia Janickiego. Wedle porównań dzisiejszych, napotykamy nomenklaturę *Januszka* bardzo

następnie przeniósł się do kolegium Lubrańskiego w Poznaniu. Tam pod niejakimś Apolinarym nauczywszy się cenić piękności poetów rzymskich, przejął się nimi, sam uczuł się natchnionym i już od dziecka został poetą. W piętnastym jeszcze roku życia ułożył wiersz na pochwałę Lubrańskiego, który publicznie czytany, pozyskał mu oklaski i dobrą wróżbę na przyszłość."

„Wkrótce jednak przyciśniony niedostatkami, z płaczem zmuszony był żegnać szkołę, nauki i drogą poezją; miał już wracać do domu, aby w pocie czoła na chleb pracować."

„Gdyby żył w naszych czasach (niech to społecznym nie obraża), pewno zapoznany zmarniałby nasz poeta, rzuciłby może nieogrzanym społecznym pióro; ale w troskliwym o narodową chwałę XVI wieku, w świetne czasy Zygmunta Starego, znalazł rękę, co go wydzwignęła na widownię i nie dała zmarnieć młodzieńczym zdolnościom. Krzycki był ówczesnie arcybiskupem gnieźnieńskim. Mąż znakomity, i sławiony łaciński poeta, otworzył Janickiemu wrota swego pałacu, przyrzekł i dotrzymał opiekę jego muzie. Krótco się jednak Janicki cieszył opieką Krzyckiego, bo ten ostatni zmarł w 1537 r."

„Sławny Piotr Kmita, po śmierci Krzyckiego podał dłoń opiekunczą naszemu pocie, a tknięty snadź jego piękną nieznaczną prośbą, wysłał go na nauki do Padwy, miejsca, dokąd wtedy młodź europejska, biegła po światło."

„O! pod niebem klassyczném włoskiej ziemi błogo było pocie! Zoczarowaniem opisuje Włochy; a kiedy porównał rajski tamedzny klimat z naszym północnym słońcem, ciszę przyjazną naukom z hałaśliwym bytem domowym rodaków, z wojnami zewnętrznymi; tak się zachwycił Italią, tak się uniósł, tak się zapomniał, że nawet w różowym świetle wystawił charakter Włochów, że nawet zawołał, mimo całego patryotyzmu:

..... quanto felicior essem

Haec me tam felix si genuisset humus."

„Byłoby jednak tylko uniesienie, bo w iluż miejscach tęskni za swoim zimnym krajem, za dymem ojczystym!"

„Prócz tój tęsknoty, nie miał zresztą na co uskarżać się we Włoszech; cały swój tam pobyt poświęcił naukom i poezji, to mu sprzy-

blizko Znina, a wyrażenie łacińskie *Janusci*, niewiele od tego zbacza; data czwartego listopada jest zupełnie mylna, gdyż w elegii tój wyraźnie powiedziano: *lux mihi natalis, post Idus quarta Novembris*; co, wedle redukcji wypada na 17 dzień listopada; 4ty zaś listopad zwał się *pridie nonas novembris*.

jały, miał ciszę ulubioną muzom, miał środki kształcenia się. Łazarz Bonamikus sławny mistrz padewskiej szkoły, pokochał utalentowanego Polaka, i osypał go niepłonnymi dowodami swojej przyjaźni.”

„Lecz wkrótce w życiu Janickiego nastąpił przełom szczęścia ziemskiego, które go już na zawsze opuściło. Naprzód wieść o śmierci ojca go ubodła, potem śmierć jedyne go brata, nakoniec cierpienie febry i wodnej puchliny, zmusiły go rzucić nauki, opuścić Włochy, i szukać zdrowia pod wpływem klimatu macierzystej Polski. Bonamikus wsparł go zasiłkiem pieniężnym na drogę. Nim wszakże odjechał, dostąpił zaszczytu być uwiecznionym laurem poetycznym, ową zacną nagrodą owych czasów, nagrodą, której zaiste był godnym.”

„Wrócił więc do kraju, ale schorzał i niezdolny do zawodu publicznego, jaki mu, zdaje się, nastęczał Kmita. Lekarze tylko podtrzymywali go przy życiu. Że włożył jeszcze słabe zdrowie, które otrzymał od natury, i którego pewno nie podkrzepiły prace umysłowe, zawód poetycki, cierpienia moralne; winien był we Włoszech staraniom lekarzy Montana i Kassana, a w Polsce Jana Antonina. Oni, jak twierdzi, co dzień go wskrzeszali z grobu.”

„Młody poeta chyląc się ku grobowi, skreślił całe swe życie, przygody, charakter. Miało to być ostatnie jego pożegnanie ze światem; lecz jeszcze słabnącym głosem zdołał wyśpiewać *Epitalamion* na gody Zygmunta Augusta z Elżbietą austryacką i Życia królów polskich.”

„Umarł w roku 1543, mając lat 27.

„Rozdrażnione ciągłą chorobą nerwy, ubóstwo, miłość, wszystko to działając silnie na czujące serce poety, musiało koniecznie spowodować ton żaloszny, jakim tchną jego pienia. Nie lękajcie się jednak znudzenia czytelnicy! żaloszne pieśni Janickiego, nie nie mają wspólnego z terazniejszymi płaczliwymi wierszami, które natchnął leniwy przesyt i odczarowanie, a które zdolne są w duszach czytelników obudzić toż odczarowanie jeżeli nie do życia, to przynajmniej do czytania wierszów. Przejrzyjcie smutne pieśni Janickiego, naprzykład Elegię do Najświętszej Panny, lub zakończenie elegii 8, księgi pierwszej, (1) a dopatrzycie tam piękny pierwiastek, który nie mógł osuszyć duszy, doprowadzić do desperackich rezultatów; pierwiastek zdolny obficie podsycić poezją, z którym nie mogła zejść na pewną

(1) P. Syrokomla niewłaściwie księgę *Tristia* i *Elegie rozmatte*, podciągnął pod jeden tytuł Elegie. — Pierwszej księdze należałoby oddzielny zachować tytuł, a nawet spolszczywszy *trist'a* na *Smutnianki*, niebardzoby się od etymologii oddalił.

liczbę konwencyonalnych fraz sarkastycznych, które się ustawicznie powtarzając, nudzą nas w dzisiejszej poezji."

„Spółczesność oceniła Janickiego, znał go naród. Jędrzej Krzycki, Stanisław Hozyusz, Samuel Maciejowski, Jan Dantyszek, Tideman, kardynał Bembo, Łazarz Bonamikus, Kromer: Kinita, byłito lumina-rze swojego wieku, a jednak nie wahali się być cenicielami, do-broczyńcami i przyjaciółmi poety."

Tłumacz podawszy wiadomość o dziełach Janickiego, kończy wreszcie pochwałą języka i toku wiersza; lecz wiadomość o wyda-niach dzieł tego poety bardzo jest niedokładna, czego łatwo mógł uniknąć, zajrzawszy tylko do *Historii Literat. Polskiej* przez Bentkow-skiego. Niegodzi się przecież opuszczać sposobności wykazania ilości rozmaitych wydań, a tém bardziej samowolnie ubliżać pocie, mówiąc: „Dzieła Janickiego wyszły jeszcze za życia autora w r. 1542 u Flo-ryana Unglera, a potem aż w roku 1755 staraniem Erenfrieda Boemiusa, a raczjż Żaluskiego w Lipsku," (1) jakby dwa tylko jego poezyj były wydania. Zresztą nie miał on tój pociechy, iżby wszystkie za jego życia drukowane były.

(1) Rzecz ma się zupełnie inaczej, bo oto szereg wydań podług Bentkow-skiego:

1. *Tristium, Lib. I. Variarum elegiarum, lib. I. Epigrammatum* lib. I. w Kra-kowie u wdowy Floryana Unglera, 1542.
2. *Epithalamion Sigimundo Augusto*, (drukowane już po śmierci autora w Krakowie u wdowy Fl. Unglera. 1543.
3. *Vitae regum polonorum*: dzieło, którego kilka jest wydań, i tak :
 - 1563 — w Antwerpii u Wilh. Sylwiusza.
 - 1565 — w Krakowie u Łazarza Andrzejowczyka.
 - 1573 — — u Stanisława Szarfenbergera, z dodaniem opisu ży-cia kr. Zygmunta Augusta przez Andr. Trzecieckiego.
 - 1575 — w Krakowie u Stan. Szarfenbergera, do którego Sebestyan Klo-nowicz dodał życie kr. Henryka Walezyusza i Stefana Ba-lorego.
 - 1605 — w Krakowie u Łazarza, z dodaniem opisu życia tychże królów, wierszem polskim przez Jędrzeja Leechiusza Szkota.
 - 1621 — w Gdańsku u Jerzego Rhetiusza, ze zmienionym w ten sposób tytułem; *Chronicon dynastarum Regni Poloniae* Cl. Janitii, re-censitum a J. Gadebuschio; do tego dodano wiersz Janickiego *In polonici vestitus varietatem atque inconstantiam dialogus*.
 - 1670 — w Stendalu u Gussoviusa; przedruk z wydania 1563 z dotączę-niem życia królów aż do Michała Korybuta.

Prócz tego opis ten przedrukowany w dziełach Gwagnina, a raczjż Stryjko-wskiego, *Sarmatie Europaeae descriptio*, również w zbiorze *Rerum polonica-rum* w tomie I; u Pistoryusza w zbiorze historyków polskich, na polskie

W końcu jeszcze jeden dodatek. Tłumacz mówi, iż o ile mu wiadomo, on pierwszy wiał się do przekładu Janickiego. Myli się p. Syrokomla, bo nie jest pierwszy, i już oddawna znane są przekłady niektórych tego poety elegij. Odznaczył się pod tym względem Józef Sygiert, człowiek młody, zdolny i pracowity, a również jak niegdyś Janicki niezamożny i chorobą nękany (1). Zład wierniejsze jest tłumaczenie Sygierta, a wiersz lubo dziś nie tak dźwięczny, więcej jednakże odpowiada duchowi oryginału, bo tożsamość położenia i uczuć, może więcej wpłynęły na przejęcie się myślą autora.

Ztémwszystkiém tłumaczenie p. Syrokomli, jakkolwiek niekiedy zbacza od oryginału, zadowalnia nas zupełnie. Wiersz i język jędrne, forma zewnętrzna więcej do nowszej poezji zbliżona, mile i gładko wpadają do ucha, i nie drażnią bynajmniej naciąganiem rymowaniem.

Z księgi pierwszej elegii, przez Janickiego zwanéj *Tristia* (Smutnianki), uderzającej piękności są zwroty w elegii pierwszej, gdy posyłając w świat swą książkę, poleca, aby naprzód udała się do Samuela Maciejowskiego biskupa krakowskiego i kanclerza, ośmielając ją słowy:

Boisz się czerni? i słusznie zaiste,
Jeśli ci braknie żelaznego ducha!

przełożony przez Marcina Paszkowskiego, i drukowany w jego tłumaczeniu kroniki Gwagnina.

4. *Vitae Archiepiscoporum Gnesnensium* wyszło w Krakowie u Stan. Szarfenbergera 1574, staraniem And. Trzecieckiego, który dodał życia następných po Krzyckim arcybiskupów aż do r. 1574.

5. Wszystkie te dzieła razem zebrane wydał dopiero Boehmius w Lipsku, z przyłączeniem życia autora (które u Janickiego lepiej opisane) 1755.

Wiele z pojedynczych wierszy Janickiego weszło do układu książki elementarnej, tak zwanéj *Selecta* czyli wypisy łacińskie na kl. III i IV, które wydawane były przez profesora Stefazyusza i X. Czarneckiego.

(1) Józef Sygiert urodził się w ziemi sanockiej około r. 1780, a powziąwszy zamiłowanie do nauk starożytnych, przykładał się najbardziej do języków łacińskiego i greckiego. Poznawszy piękności starożytnych poetów, zapragnął te zbiory na ojczysty przelać język i wytłumaczyć z oryginalnego textu Tucydyesa, Tyrteusza, Moscha i Biona, następnie wykazał ile Iliada Homera straciła w przekładzie Dmochowskiego, a naostatek wiele poezyj Klemensa Janickiego wierszem przełożył. Umarł w roku 1804, zajmując się zbieraniem materyałów do historii literatury polskiej, do czego miał wielką pomoc z biblioteki Józefa Maxymiliana hr. Ossolińskiego w Wiedniu, nad którą po ś. p. Bogumile Linde nadzór objął. Rękopisma po nim pozostały w części przy hr. Ossolińskim, częścią przy Podoleckim ojczymie Sygierta, część zaś bardzo szczupła przy Klemensie Urmowskim, który je w Almanachu lubelskim na rok 1815 drukiem ogłosił.

Bo najciemniejszy z najciemniejszych koła,
 Będzie ci razem i sędzią i świadkiem;
 Głośno twe błędy przed ludem obwoła,
 By tryumfować nad naszym upadkiem.
 i t. d. (str. 4).

Daliej uczy ją, jak ma prosić o opiekę i wypowiedzieć treść w sobie zawartą.

.....
 Proszę cię — wesprzyj moją drogę śliską,
 Niech się twe serce do łaski zniewoli,
 Pozwól mi nosić twój sługi nazwisko! —
 Niech będzie głośnym, że za mną stawacie,
 Każ — niech mię w twoją purpurę okleją,
 I niech mię zdepcą, gdy i w takiej szacie,
 Jeszcze me karty nie nie zajaśnieją.
 Bo (sami wiecie) w terażniejszym czasie,
 Gdy cenią człeka po jego ubiorze,
 Podłym być musi — kto chodząc w atłasie,
 I w złotogłowie — świecić się nie może.—

Elegia *druga*, w której prosi Najświętszój Panny o wytrwałość w czasie trapiącej febry, i *czwarta*, w której dziękuje za powrót do zdrowia, zawierają piękne myśli o wielkości Twórcy, i zarazem wysławiają biegłość i naukę ówczesnych lekarzy. W elegii *trzeciej*, którą do Piotra Kmity napisał, rozszerza się z pochwałą filozofii; w *piątej* żali się na niewygody podróże, którą kończy pięknym zwrotem tęsknoty do kraju:

.....
 Oto co cierpiał druh waszój młodości,
 Co się tak krótko cieszył w waszém gronie;
 Spieszył do kraju — aby zawlec kości,
 Aby nie zamrzć na dalekiej stronie.
 Bo czuł: że w bólu nad rady lekarskie
 Lepszy jest promień ojczystego słońca.
 Ty zaś co zdrowie i siły masz dziarskie,
 Pieszczot nauki używaj do końca.
 Niech ta nauka coś ulubił szczerze,
 Z miłością kraju w tobie się skojarzy—
 Ojczyzna blasku od ciebie nabierze,
 A Bóg cię długim żywotem obdarzy. (str. 21)

W *szóstej* elegii do Łazarza Bonamika, pięknym rymem opisuje sprawy węgierskie; lecz w *siódmej*, gdzie mówi o samym sobie, z przeważnym uczuciem maluje dobitnie swój stan i cierpienia, a tęsknota rozlana, w całym wątku wiersza, porywa, zachwyca i silne ku cierpiącemu obudza współczucie. Pomimo niektóre usterki co do wierności

tlumaczenia (1), wiersh równio jak wszędzie gładki i przyjemny, dlatego przywodziemy tu mały urywek na próbę:

.....
 Zaledwo piąte lato zacząłem,
 Gdy już naukom dawał ofiary;
 Bo ojciec czujny o dni dziecięce
 Nie chciał mię trudom poświęcać wcale:
 Nie dał mi sochy w niewprawne ręce
 Ani pozwolił schnąć na upale.
 Potóm, o dzięki dobroci Pańskiej,
 Umysł od miejskich mistrzów przetarty,
 Wniosłem do szkoły, którą Lubrański
 Świeżo założył na brzegach Warty.

Zaprawiony tam na greckich i rzymskich wzorach, probować zaczęł sił własnych, i przy pracy zwyciężył trudności; lecz posłuchajmy co sam mówi:

O pomnę, pomnę z jakim mozołem
 I dni i noce dałem na prace!
 Za nic mi praca, cóż ona znaczy
 Przed młodocianym moim zapałem?
 Pomnę, gdy pierwszy trud mój czytałem
 W sali popisów, w gronie słuchaczy.
 W cześć Lubrańskiego złożyłem pieśnię
 Bom mu był winien pierwszą ofiarę.
 Lud mię z oklaskiem przyjął nad miarę,
 Dobrze o dziecku wróżąc zawczasie. —
 Odtąd przodkując nad uczniów trzódką,
 Skarbiłem serce mistrza nieznacznie
 I rostem w chlubę. — O jak to słodko,
 Kiedy bywało chwalić kto zacnie!

(1) Już wyżej wytknęliśmy błędne zrozumienie daty urodzenia autora; lecz napotykamy jeszcze anachronizm drugi, popelniony przez tłumacza w oddaniu wyrażenia:

*Annua quo posuit lugubria tempore noster
 Rex, quorum coniux mortua causa fuit.*

P. Syrokomla tłumaczy:

W tym samym roku, kiedy śmierć błada
 Przerwała życie polskiej królowej.

Ś. p. Sygiert lepijéj to oddał:

W roku, w którym żałobne najprzód z siebie szaty,
 Zrzucił król nasz, płaczący małżonki swéj straty;

gdyż i szyk grammatycznie ułożony wskazuje wyraźnie *tempore, quo posuit annua lugubria rex noster*. Tak więc nie było to w tym roku, ale właściwie w rocznicę czyli po upłynieniu czasu żałoby rocznej.

Lubiłem sławę, pragnąłem sławy,
 Badałem drogi, co do niej wiodą.
 Przebóg! ubóstwo, los niełaskawy,
 Ciężką mym chęciom bywał przeszkodą.

Ubogi ojciec swoje ostatki
 Wywłókł już dla mnie z rodzinnéj chatki.
 Ślubować muzom nie było za czém,
 Miałem je żegnać wołą, niewołą,
 Gdy wielki Krzycki tknięty mym płaczem,
 Czule pomyślał nad moją dolą.—

Lecz śmierć Krzyckiego przerwała pasmo dobrodziejstw, a wzięty od Kmity i do Włoch wysłany, z przyczyny trapiącej choroby wkrótce wracać musi, i cieszy się, że przynajmniej nie w obczyźnie kości jego złożą. W nagrobnym napisie, który dla siebie układa, głęboką zawiera prawdę:

„Obcy nadziei, strachom zgrzyzocie,
 „Tu pod trumiennym leżę przykryciem;
 „Tu jeno żyję prawdziwém życiem,
 „I Bóg cię żegnaj, ziemski żywocie!“ (1)

W dalszym opisie swego charakteru, mówi, że i miłość późną zawcześnié, że wiele miłosnych pieśni napisał, lecz niemi komin podniecił, bo to:

Pienie dziecinno wątle i blade,
 Niegodne życia, ogniem spłonęło.
 Dziś kończąc piątą Olimpiadę
 Mógłbym na większe zdobyć się dzieło,
 Lecz ginę wcześniej. O jakżem żądał
 Ciebie ojczyzno opiewać czule!
 Twe stare dzieje, twe zacne Króle
 Czasy i ludzi, com ich oglądał.—
 Gdy Augusta — w dobrej otusze
 Króla z Cesarzem związki nadzieje,
 Ale ojczyzno! żegnać cię muszę,
 Niech cię szczęśliwszy śpiewak opieje.

Na zakończenie dziękuje Antoninowi, że go ratował w chorobie, wychwalając jego naukę.

Elegia ósma do tegoż Jana Antonina lekarza, zawiera nieporównanęj piękności ustęp, w którym zawarta jest skarga uosobionéj stolicy węgierskiej Budy, zajętej przez Turków.

(1) Równie pięknie a może nawet dobitniéj oddał tę myśl autora, wspomniony przez nas wyżej ś. p. Sygiert:

„Bez nadziei, bez trwogi, leżąc pod tą kłodą,
 „Żyję przecie: niech inni martwe życie wiodą.“

W elegii *dziewiątej* do Seweryna Bonara, pali pochwalne kadzi-
dła, oplakując śmierć Hieronima Łaskiego; pochlebstwa, których nie
szczędzi, niehardzo dobrze pasują do reszty innych utworów poety.
Elegia *dziesiąta* i ostatnia tej pierwszej księgi, do Rafała Wargawskie-
go jadącego z Włoch do Polski, napisana. W niej maluje żywo tęskno-
tę do kraju, i narzeka na słabe swoje zdrowie; tęskni do domu, któ-
rego od lat siedmiu nie widział, boleje nad śmiercią ojca, i prosi nie-
bios, aby mu dozwolity wrócić i położyć napis na grobie ojca:

.....
Przyspieszcie chwilę: niech wrócę do domu,

I dam mu napis na trumienne wieko:

„Tu leżę rolnik: nieznanym nikomu

„Syn mię poeta rozstawił daleko.“ (str. 47)

Tłumaczenie tej elegii, jakkolwiek p. Syrokomla z całym swym usku-
tecznił talentem, jednak nie ma tej mocy, jaką w niektórych miejscach
u ś. p. Sygierta napotykamy. Zda się, iż ten ostatni więcej był duchem
autora blizki, a jakeśmy wyżej zdanie nasze objawili, i swoim poło-
żeniem.

Księga druga właściwych elegij, zawiera dwanaście utworów po
większej części bardzo różnorodnych i więcej okolicznościowych. Prze-
kład tychże przez p. Syrokomlę równych jest zalet, co i pierwszych; lecz
tłumacz oddzielił utwór ostatni, to jest rozmowę między Władysławem
Jagiellą i Stanisławem Morozofem, o *niestałej rozmaitości odzieży
u Polaków*, i podał go osobno jako dyalog. Nie będziemy się roz-
szerzać nad szczegółowym rozbiorem, i wytykaniem piękności tu za-
wartych; gdyż niektóre proby podane wyżej, dostateczną są rękojmią
ich wartości. Z tłumaczeń tej księgi p. Sygierta, znamy tylko jedną
elegię, z kolei u Janickiego *szóstą*, *Do Piotra Kmity*, w której prosi,
aby mu pomógł wsparciem i wysłał na nauki do Włoch.

Następują Epigrammata.

P. Syrokomla z 76 oryginalnych epigrammatów Janickiego, wy-
tłumaczył sześćdziesiąt cztery, opuścił zatem dwanaście. — Uspra-
wiedliwił się wprawdzie dlaczego tak uczynił; mówi albowiem (na
str. 112 w przypisie): „Jedne bowiem są właściwe tylko językowi
łacińskiemu, drugie za śmiałe, jak *np. Sacerdotis poloni cujusdam
dictum*, w innych nakoniec, nie dopatrzyliśmy koniecznego w epigram-
matach *akumenu*.“ Zgadzaemy się chętnie ze zdaniem p. Syrokomli, lecz
nie należałoby robić tego uszczerbku poecie, który w epigrammatach
niekiedy dowcipnie-ruhasznych, maluje charakter ówczesnego społec-
zeństwa; nie należy tém bardziej, gdy tłumacz z taką mocą i prawdą
zdolny jest oddać myśl autora, jak *np.*

Do pewnego.

Nie skończywszy żywota, chcesz nagrobku słyszę;
Kwapże mi się do śmierci, toć prędziej napiszę.

Albo też:

O śmierci Krzyckiego.

Kochanek spokoju, gdy wojnę postąszyć,
Wszedł Krzycki do grobu, pewniejszy tam ciszy.

Zarzucamy tylko, iż tłumacz zbyt wyrażenia staroświeckie miłuje, używając słów: *na herb Rolitów, na herb Rawitów*, kiedy byłoby daleko lepiej: *na herb Rola, na herb Rawicz*. Ztémwzyskkiem uchybienie to małoznaczne.

Więrsz kończący, tojest Epitalamion Najjaśniejszemu królowi polskiemu Zygmunutowi Augustowi na zaślubiny tegoż króla z Elżbietą austryacką r. 1543, w wielu miejscach pięknie zawiera ustępy, a tłumaczenie niemniej od innych zbliżone do oryginału. Utwór ten poprzedzony cztero-wierszem *na orła, godło królewskie*, rozdziela się na dwie części: pierwsza zawiera pochwałę Zygmunta I, druga dotyczy zaślubin Zygmunta Augusta, i mieści w sobie niekiedy trafne uwagi i rady, jakie podówczas poddany mógł uczynić swemu monarsze.

Kończąc te słów kilka, które o wydaném przez p. Syrokomłą tłumaczeniu powiedzieliśmy, dodamy: iż jakkolwiek szkoda, że Janicki sam po polsku nie pisał; to przecież gdy znalazł dziś w pownej części godnego siebie tłumacza, nie możemy już więcej czynić mu podobnego zarzutu. I dlatego dziękując tłumaczowi za to, co już ogłosił, niecierpliwie oczekujemy zapowiedzianych dalszych prac jego; z tą pewnością, iż nie zawiedziemy się bynajmniej w naszych oczekiwaniach. Przyczém nie możemy przemilczéć i o p. Mikołaju Malinowskim. Szanowny ten uczony, zawsze chętny do poparcia prawdziwój zasługi, i nateraz nie odmówił swój pomocy; a udzieleniem not historycznych, pojaśnił wiele miejsc w autorze, bez tego dziś nie dla wszystkich w zrozumieniu dostępnych. Tak więc, dziełko to podwójną mając wartość, powinno być obecnie w ręku nietylko wszystkich o postęp literatury krajowój dbałych, ale i tych, którzy z przyjemnością i małym trudem, czegoś się dowiedziéć lub nauczyć pragną.

St. Lisowski.

Pokojówka. Szkic obyczajowy, przez Tadeusza Pałalicę. Wilno. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego, 1850. Str. 168, w 12ce.

„Czy wiecie, co to jest pokojówka? Ale któż u nas nie zna pokojówek! zwłaszcza na Ukrainie, Podolu, Wołyniu, gdzie tyle młodzieży, gdzie tak bujnie rozkwitnęło barogolstwo, gdzie takie śliczne pokojówki! Pokojówki, sąto młode, wiejskie dziewczęta, z pełną piersią, giętkim i wysmukłym stanikiem, z czarnymi lub błękitnymi oczami, długimi kosami, i ładnie obrysowanymi ustami; słowem, są to—cudodziewczęta!...”

„Tu babunia piorunuje na dwudziestoletniego wnuka, za to, iż obaczyła go razu jednego w lustrze, jak mrugał za jój plecami na Marylkę; tu żona wyrzuca mężowi, iż często zagląda do garderoby, kiedy to wcale nie rzecz jego; tu student bawiący się przez wakacye w domu, zaczyna widocznie nabierać gustu do Józki, a nawet razy kilka zostawił Hegla na płocie, a sam o zmroku, latał jak za chrząszczami niegdyś, około domu; tu błady, wymuskany palestrant, co niedawno jeszcze utrzymywał, iż nie masz nic lepszego, nad konstytucyą i kodex, widział się tylko parę razy z czarnobrową Kasią, i bodaj, czy nie przyznał jój względnej wartości w stosunku co do jurydyki; tu nakoniec twarda natura czterdziestoletniego ekonoma, i kawalerskie serce pana pisarza, widocznie i oczywiście uginają się pod jarzmo miłosnego uczucia ku *Horpynie i Pałazie*. A te wszystkie tak nadzwyczajne zmiany zrządza któż? jedna słaba, młoda dziewczyna, za którą nie przemawia prócz jój koralowych ustek, nie zniewala prócz jój palącego spojrzenia, nie broni prócz białych jój ramion i słabych rączek. Muszą w tém być jakie tajemno czary, wielka choć niewidoma przeciwsila, tak urągająca się bezkarnie i ciągle, z naszych środków. Na co tu długo; przypomnijmy tylko sobie nasze tak niedawne życie w rodzicielskich domach, i nasze wizyty u sąsiadów, i nasze pogadanki na polowaniu, przy winie i fajce, i przyznajmy się szczerze, czy nie około tego przedmiotu krążyliśmy ciągle? Czy nie on nas zajmował najbardziej? czy słuchał kto z nas ciekawiej rozpraw o tablicach kategorycznych Kanta, o ekonomii politycznej, lub o mowach Peela? Nie, jako żywo nie! Prawda, że byliśmy wtedy djable młodzi, djable roztagnieni, jeździliśmy ciągle konno, śmieli się zawsze z czołem podniesioném, i piosnką na ustach.”

Po takim wstępie, nasz autor przystępuje do bliższej charakterystyki pokojówki, i *garderoby* dworskiej.

„Pokojówka jest najmizerniejszą u nas dziewczyną, w epoce wstąpienia jój do dworu. Jeśli to dwór państwa rozległych włości, dziewczę-

ta nabiérają się ze wsi okolicznych, na wiarę jakiego starego, karmionego szpakami sługi, który zna gust i pana i pani, i rozumieć do czyjego więcej przychylić się trzeba. Jeśli to są obywatele o jednéj wiosce, tam wszyscy ich włościanie są im znani mniej więcej, i tu już wybór zależy od przewagi, jakiej używa w pożyciu domowém którakolwiek strona. I tak np. jeśli mąż młody, żona zła i brzydka lub stara, tam ani życie zazierać do garderoby... pewno same wybiorki. Dziewczęta ospowate, twarzy szpetnych, zbyt otyłe lub zbyt chude, głupie, nieumyte, odziane ubogo, i bez gustu. Dozorczynią nad niemi bywa zwyczajnie jaka stara jęzda, najczęściej zézowata panna, ze wszystkimi pretensjami i kapryśkami, któremi tylko może ich obdarzyć szczodrobliva natura w zamian za wyrządzoną krzywdę—za panieństwo kwitnące do lat czterdziestu z górą. Tam zupełnie niema dla nas powabu: mąż równie omija przez dziesiąte pokoje ten harem. Rzecz się ma inaczej w domach, gdzie żona nie jest pod wpływem zazdrości, ma gust i nie ma podejżenia, kocha męża i nie domyśla się zdrad z téj strony; jest łagodną lub niewinną. O! tam, garderoba pełna jest ślicznych twarzyczek i malowniczych ubiorów. Tam panna służąca bywa zwykle sentymentalna i romansowa, bardziej niż sama pani: tam mąż zazięra bardzo rzadko, pani ledwie razy parę i kilka słów powiedziéć raczy, a dziewczęta ciągle wzdychają i marzą. Panuje w tém wszystkiém jakaś harmonia, swoboda, i ciągła spokojność.”

Tu daje nam autor obrazek ponętnéj garderoby państwa Cześnikostwa, z której występuje główna bohaterka powieści, pokojówka *Julka!* A obok nię bohater syn Cześnikostwa Leon, przybyły na święta do rodziców. Zawiązuje się romans między dwojgiem młodych, który przeprowadzony przez wszystkie trudności, jakie *Julka*, dziewczyna z prawdziwém uczuciem, i niemałą siłą charakteru, natrętnemu kochankowi stawia, i wreszcie zwyciężona potęgą swéj miłości, ulega, i ucieka z domu Cześnikostwa. Zwycięstwo Leona było zupełném; namówił nawet kochankę, aby z nim do miasta wyjechała, gdzie kończył nauki wyższe. *Julka* była posłuszną.

„Właśnie (mówi autor) podtenczas zawiązały się i rozrastały bujnie w naszych stronach towarzystwa *Baragołów*, *Skórkowych*, *Cichostępów*, i t. p., téj hucznój młodzieży, która napelniła głośną sławą kraj cały, i dała się we znaki wieśniaczkom, koniom, najtyczankom, i żydom. Któż u nas nie znał, któż u nas nie widział członków tych towarzystw? kwiat młodzieży należał do nich. Byłyż to skutki próżniactwa, czy rozpacz? czy miała ztąd powstać nowa Sparta? Dalibóg, zadecydować trudno! Jeśli będziem sądzić ze skutków, skutki wcale nastąpiły niekorzystne, ani dla ogółu, ani dla indywiduów; ale czyż i najpiękniejsze zamiary nie koń-

czą się na niczém? Może historycy zbadają przyczynę; co do mnie, zdałoby mi się, iż było w tém wszystkiego po troszce. Chodziło im najwięcej o to, aby zabębnić z całej sity... Zabębniiono, i posłyszano ich aż za górami. Tymczasem, każdy młodzieniec z pieniędzmi i zdrowiem, o! jakież miał tu do popisu pole! Już nie miały więcej dla nich powabu salony, i śliczne damy nasze; te damy, którym winniśmy podobno najwięcej, jeśli błyszczym jakimkolwiek polorem i zdolnością do życia w towarzystwie. Nie miały dla nich powabu nauki, usługi dla kraju, pożyteczność dla ogółu; co więcej, nawet małżeńskie związki! Gdyby wyrwał się z tém ktoś sam jeden, dokazałby niewiele; ale w kilkudziesięciu, w kilkuset; o! to rzecz wcale inna! Jeden chłop sam przez się nie nie znaczy, ale *Hromada, wetykii czołowik*, mówi u nas przysłowie. Ta to *hromada*, zaszumiła i u nas. Rzecz godna uwagi, iż żadne prawidła nie były rozwinięte u nich tak estetycznie, jak te, które się tyczyły wprost *djabelka*, uniformu, wina i Epikureizmu. Co za rozkosz była palić z bicia na kozle, jeździć czwórka, w której orezykowy koń z prawej strony, miał być koniecznie srokaty, i nalegać na prawą nogę, dlaczego umyślnie mu zagwoźdzono nogę przy okuciu! Jak dzielnym był uniform! Wysoka barankowa czapka w kształcie głowy cukru, czerkieski srebrem nabijany pasek, tartanowy surdut, i najszerze jakie tylko być mogą pantalone! Albo kurtka i spodnie z rzemienia, krzesiwko u boku, króciutka kozacka fajka w zębach, i kapszuk bakunu w kieszeni! Wino lało się zdrojami, złota było po niczemu, kobiety bez braku i wszędzie."

W takim towarzystwie baragołów, Leon nie mógł się pokazać, że kieruje się jakim sentymentalnym uczuciem. Sprowadza Baragoła, w obec Julki oświadcza, że mu się już sprzykrzyła, i wychodzi. Julka dopędza na ulicy Leona i błaga go, aby odesłał ją do wsi rodzinnej, aby mogła matkę swoją przeprosić. Leon stanowczo odmawia, i spieszy pocieszyć się grą w karty. Gdy przegrał wszystko, gdy nie zważał na prośby starego sługi Grzegorza, który na znak podziękowania silny policzek otrzymał: rozpalony grą i trunkiem stawia na kartę Julkę, która się szczęśliwemu w sztosik baragołę, gdy dziś był z nim razem u niej, wielce spodobała. Ciągnie i przegrał.

Ale Julka w niemej rozpaczycy już z Kijowa wybiegła, a trawiona rozpaczą i gorączką, przechodzi stępy. Głód, pragnienie, choroba wyryły się na jej pięknym obliczu; cień tylko owój hożej dziewoi został. Już kilka wiorst od rodzinnej wioski; zbiera resztę siły, a nie chcąc się oczom matki do razu pokazać, do krewnego *Petra* Mielnika, z rzemiosła młynarza, przybywa. Pocziwy człowiek przyjął ją jak córkę, przygotował nawet matkę, że ją bez gorzkich wymówek przycisnęła do swego serca; niedosyć: wra-

cających z kościoła zaprosił Cześnikostwa do siebie, i równie wyjednał i ich przebaczenie. Cześnik sam się zajął, że Julkę wyswatał za Grzegorza, owego wiernego sługę Leona, i dał im na uboży futor z pasieką. Leon nie pokazał się w domu długo, a gdy przybył, gniewali się, gderali, wyrzucali marnotrawstwo, ale przebaczyli, choć najdroższe skarby swoje syna ich utracił, bo zdrowie i szlachetne uczucia. Cześnikostwo postarzeni się, pragnęli syna ożenić, ale nim spełnili te życzenia, oboje pomarli. Leon, przyciśnięty długami, pojął za żonę młodą, ładną, niewinną i bogatą Emilią. Autor tak nam kończy swój szkic obyczajowy:

Przybywszy do Leona, zaproszony został przez jego żonę na herbatę w miłe zawsze ustronie Emilii. Wyjechali więc razem konno.

„Wjechaliśmy na podwórze. Ledwieśmy zsiadli z koni, gdy Julka ukazała się w e drzwiach. Głowa jej była obwiązana, niewielką kolorową chusteczką; na szyi czerwienilo się kilka sznurków koralu: kształtny gorsecik, obrysowywał postać. Poznałem ją od razu. Była ona równie jak pierwój piękną, tylko jej oczy przybrały jakiś melancholijny wyraz: pierś zachowała swój uroczy powab, tylko w pełniejszych nieco kształtach; a w rysach, jak w czystych topielach wód, przecierała wewnętrzna cisza i pogoda. Patrzałem przenikliwie na Leona. Widziałem, że spodziewał się tego spojrzenia i unikał go wszelkiemi sposobami; nie patrzył na mnie, a czuł, że wzrok mój plątał siłą elektryczną promienie wzroku jego.”

„Julka przyjęła swą panią jak się zdawało najszczerzej. Na Leona spojrziała śmiałym, zimnym, jakimś matowym wzrokiem. Co w nim było? głębokili wyrzut, czy kamienna obojętność, rzec trudno. Nie w nim pogardy, lecz jeszcze mniej uczucia.“

„Julka mnie znała z Kijowa dobrze; spojrziała, poznała i udała, że nie zna. Weszliśmy do środka. Już to nie była świetlica ukraińskiego chłopca, lecz pokój z obrazami, stołem, krzesłami, i kanapa. Podłoga była usypana tatarskiem zielem.“

— Widzisz pan, rzekła do mnie nasza towarzyszka siadając na kanapie, iż tu prawdziwie wiejską możem pić herbatę. Moja kochana Julka niedorównana pod względem przyjmowania gości; wszystko u niej czysto i porządnie. Nigdzie z taką przyjemnością nie piję herbaty.

— Dziękuję pani za dobre słowo, odpowiedziała Julka spuszczać oczy.

„Poznałem z toku rozmowy dalszój, iż Emilia nie wiedziała wcale o przeszłych stosunkach. Piliśmy herbatę wesoło, śmiejąc się, żartując, a co najbardziej czyniło śmiesznem nasze położenie, to naiwne skierowy-

wanie rozmowy przez naszą piękną towarzyszkę o Julce, i zapytanie w najniewinniejszej myśli, zadawane w tym przedmiocie.

— Gdzież twój swawolnik Józio? zapytała Emilia Julki. O! jaka ty niedobra, nie pokażesz nam swego chłopczyka. Przyrowadź mi go Julko.

— On... pani. Dalibóg taki opalony, nieumyty!

— Nic, nic, przyrowadź mi go zaraz.

Julka nie mogła się wymówić, wyszła, i za chwilę powróciła, prowadząc za rękę rzeźwego lat trzech chłopczyka. Na pierwsze spojrzenie, znalazłem w nim wierny obraz Leona, i mimowolnie, dla porównania, przerzuciłem z niego na dziecię kilka razy wzrokiem.

— Jak się masz Józiu! rzekła nasza towarzyszka, biorąc go za rączkę.—Patrz pan, wszak prawda, że ładny chłopczyk; a do kogo podobny?

Spojrzałem na Julkę i spostrzegłem, że była jak w ogniu.

— Do ojca, rzekłem z przyciskiem i uśmiechem.

— Cha, cha, cha! Co pan mówisz? Józio podobny do ojca! W moim zdaniu nie masz niepodobniejszego.—Spojrzałem na Leona, on puszczał tak gęsty dym z cygara, jakby się nim chciał zakryć od naszego wzroku. Chłopczyka był wesoły i ruchliwy. Bębnił ciągle, i miłutko zaglądał swęj opiekunce w oczy. Widziałem ile to sprawiało ukontentowania téj; co już zdawała się pojmować uczucia matki, i jak pieszczotliwe były jej pocałunki. Ale najszczęśliwszą była Julka. Oczy jej pełne wyrazu miłości, śledziły nieoderwanie za najmniejszym ruchem dziecięcia, i za każdą pieszczotą jej pani. Szczęście matki, biło z nich w pełnym blasku. Po skończonej herbacie, wyszliśmy na przechadzkę, z której już mieliśmy powrócić do domu. Nie pamiętam czegom zapomniał, dość, że trzeba mi było wrócić do izby. Otworzyłem drzwi, postrzegłem Julkę samą jedną stojącą przy stoliku z Józiem na rękę, i tak pogrążoną w zamyśleniu, iż mego nie postrzegła wejścia.

— O czém tak zamyśliłaś się?

— Ach to pan!

— Ja Julko. Powiedz, dlaczego nie przywitałaś się ze mną? Udałaś nawet, że mnie nie znasz.

— Ach! ja całej tamtéj przeszłości radabym nie znać! rzekła z uczuciem.

— Smutneż ci obudza wspomnienia?

— Pan to możesz wiedzieć bez mojej odpowiedzi.

— A teraz posiadłażes spokojność i szczęście?

— Szczęście! powtórzyła Julka, utkwivszy wzrok pełen niewyraźnego uczucia, na uśmiechającą się do niej twarzyczkę Józia. Ot! gdzie moja spokojność, mój świat, moje złoto, moje całe dziś szczęście!

I to mówiąc, osypała go gorącymi pocałunkami, namiętnie przycisnęła do serca, i tak trzymała chwilę; potem nagle opuściła pokój. Łzy były w jej oczach.

Pojąłem to jej szczęście!

*

*

*

Taka jest treść szkicu obyczajowego Tadeusza Padalicy. Przedmiot i jego światłą lub ciemną stronę, czytelnik z podanego wątku łatwo ocenić może. Co zaś do oddania takowego, lubo znać co do stylu niezupełnie wprawne pióro, odmówić nie możemy dosadności w obrazowaniu i malowaniu charakterów. Do odznaczających się wydatniej należy figura cześnika, Julki, Leona, i poczciwego Petra Melnika. Autor wzięwszy za godło:

„Coby było wśród okresu,
Na którym ludzie rzuceni,
Bez światła, ciepła, magnesu,
I elektrycznych promieni.”

pod niem odmalował nam uroczą postać pokojówki, i jak widzieliśmy, *garderobę* dworską jako Eldorado dla młodzików ukazał.

W jednym z ustępów gdzie mówi: „Młodzieniec, dziewica idący za głosem potępionym przez świat, niech pierwój obliczą się dobrze z swemi siłami, i niech wyrozumieją, czy jego kochanka lub jej kochanek, równie będą niezachwiani, nieustraszeni podczas burzy. Gdy znajdą w sobie, w nich, jedną li sentymentalność tylko, a nie znajdą energii i mocy—o! niech zerwą te związki! Niech się żenią, i idą za mąż na wiarg rodziców, opiekunów, i *na niewidziane*, a będą szczęśliwsi, obejdą się, przywykną do siebie!” Do tego to ustępu dodaje autor w przypisie następnym *ważne ostrzeżenie*:

„Boję się, żeby czasami szanowni moi czytelnicy i czytelniczki, biorący często rzeczy zbyt literalnie, nie pomyśleli sobie, że oto namawiam publicznie młodzież do żenienia się z Horpynami, Ulanami, Pałazkami i t. p. A, broń Boże! Zbyt jestem troskliwy o czystość rasy, iżbym miał na widoczną krzywdę *karmazynu* rozsiewać podobne opinie!... To się mówi tylko *à propos* Julki!”

W całym tym szkicu, wyraźne mamy ślady dowcipu autora, nieraz silnej ironii. Jeżeli kto zapyta nas o sens moralny, odpowiemy mu, że sam tytuł szkicu obyczajowego, broni autora od obmyślenia w nim morału. Zręczne opisanie zdarzenia wziętego z rzeczywistego życia, przy-

strojonego nieco fantazyą, dosadne odmalowanie charakterów, główne tu są rzeczy. Ale jest i strona moralna. Pragnął autor, jak to pokazali już inni, np. Kraszewski w *Ulanie*, a przed wszystkimi najszczytniej J. Korzeniowski w *Góralach*: ukazać stronę uczuciową ludu. Zrzucić tu tylko szkicowi Padalicy możemy, brak prostoty w ustach Julki: bo za- nadto, jakby panna wyedukowana, wykwintnój używa mowy. Z małej téj jednakże próbki, możemy niewątpliwie sądzić, że wkrótce autor może być policzony do celniejszych naszych powieścio-pisarzy.

Zwrócić w końcu musimy uwagę, na szczególną pisarzy naszych za-Niemeńskich słabość pseudonymów. Zaczawszy od Pasternaka, mamy Tarszów, Bejtów, Bomby, Kefalińskich, Blepońskich, John of Dycalpów, Kostrowców, Syrokomlów, a teraz w dodatku i Padalicę. Nie widzimy celu, z ukrywaniem się własnego nazwiska: tém bardziej, że prawdziwy autor, nie ukryje się nigdy. Jestto bezpotrzebna mania, z której radzim się wyleczyć. Wszakże zawód autorski nie jest podtém rzemiosłem.

Wl.

ROZMAITOŚCI.

Wykład Odpowiedzi Drabskiej

w zeszyte styczniowym zamieszczonój.

Gdybyśmy znali w szczegółach dawne zwyczaje krajowe i język przodków naszych, nie kręciłbym obecnych wyrazów dla wyjaśnienia *Odpowiedzi drabskiej*. Zanim zaś ktoś bieglejszy objaśni tę *odповідь* z powszechném zadowoleniem, podaję mój wykład pod sąd publiczności.

W średnich wiekach, gdzie monarchowie europejscy nie utrzymywali, ani znali wojsk stałych, tworzyli na przypadek wojny, wojska złożone z lędów lub wazalów i ich służby, lub z pospolitego ruszenia, jak u nas szlachty. Gdy jednak wojsko tego rodzaju do służby wojennej nie-wprawne, karności wojskowej niezachowujące i nieznające, bardzo było niedogodnym do prowadzenia w pole i staczania walki; zjawili się przeto i nastęrczali mężowie, z upodobania wojnę, tak jak inni polowanie lubiący, którzy walki, zapasy i znoje wojenne uważając za swoje powołanie czyli rzemiosło, z pewną liczbą towarzyszków i podwładnych, wynajmowali się monarchom za pewną umówioną płacę, stosownie do ilości osób, pod wodzą swoją zostających, lub zaciągnąć i dostawić się mających.

Że i w Polsce znane były takowe rotty najemnicze, żołnierzami zwane, dlatego, że żołd biorą, od włoskiego słowa *soldato*, *cui solidus datur* (podług Starowol. prawy rycerz), mamy dowody na każdej kartce dziejów naszych, mianowicie w XVtym i XVItym wieku.

W aktach głównego archiwum królestwa w Warszawie (z którego korzystałem, gdy i każdemu jest wolno zasięgać tam wiadomości) liczno są rewersa, mianowicie z czasów Kazimiérza Jagiellończyka, na należność rotmistrzom, niezaspokojonym za ich służbę, jako téż pokwitowania z częściowój upłaty lub z całkowitego należytości odbioru. Z roku 1469 jest takowych pokwitowań około 40 na pergaminie spisanych, z zawieszoną-

mi pieczęciami. Z początkowych 10 kwitów okazuje się, że po zrobieniu obrachunku i upłacie połowy należności, druga połowa do wypłaty za rok pozostająca, dla owych 10ciu rotmistrzów i ich towarzyszków, wynosiła 36,880 dukatów węg. Jednemu z tych rotmistrzów w 223 koni służbę czyniącemu, całkowita należność czyniła 6,224 dukatów. Summa na owe czasy ogromna.

Pod rokiem 1519 i 1520 znajdują w aktach metryki koronnej minuty zobowiązania monarchy dla wielu rotmistrzów (po 40, 60, 100 lub 200 ludzi dostawić mających), wydanego i zwanego *literae indemnitate*, (*list zaszkodny* w polskich exemplarzach), którym król przyrzekał płacić za każdego pieszego po 5 złp. kwartalnie (około 65 złp. według Czackiego tablicy ewaluacyjnej), a za każdego jeźdźca po 10 złp.

Albert mistrz krzyżacki, siostrzeniec naszego Zygmunta I, wiedząc, że Smoleńsk przez W. księcia zdobyty i Litwa aż do pobliża Wilna najechana, nietylko od zachowania dawnych traktatów z Polską uchylał się, ale nawet pograniczne wsie polskie pustoszył, i wielkie czynił przygotowania do wojny. Zygmunt postanowił orężem popierać prawa swoje, i uniwersalem d. d. Kraków 14 października 1519 r., zwołał sejm do Torunia na dzień 25 listopada t. r. dla obmyślenia środków do prowadzenia wojny. Gdy zaś Albert po ukróceniu swych napaści powolniejszym się okazał i upokorzony przybywszy do Torunia, przyrzekł królowi Zygmuntovi złożyć przysięgę i zachować dawne traktaty z Polską; zawarte z nim przeto zostało zawieszenie broni. Lecz tenże Albert, dowiedziawszy się o nadciągających dla niego z Niemiec posiłkach, mimo zawieszenia broni, wsie województwa płockiego najeżdżał i pustoszył na nowo począł; wezwał naówczas Zygmunt, pierwszymi, drugimi i trzecimi wiciami (*restes* po łacinie zwanemi) dnia 4 lipca 1520 r. pospolite ruszenie Wtwa płockiego, do zgromadzenia się pod wsią Białyniem, między Działdowem a Nidborgiem, na dzień św. Alexego (17 lip.). Następnie wydane zostały wici do województw pruskich i wielkopolskich, do zebrania się pod Wągrowcem (w Gniezn.). Rotmistrze zaś wojsk najemniczych, które same dotąd odpierały najazdy Prusaków, wypowiedzieli *uroczyście* Albertowi wojnę *odpowiedzią niniejszą*.

Wyraz ten w starój polszczyźnie znaczył: wyzwanie na pojedynek, zapowiedzenie najazdu dóbr sąsiedzkich (czasami przez woźnego czynione), wypowiedzenie walki i wojny. Takowych *odpowiedzi* znajduje się w księdze metryki koronnej (34,287) trzy, jedna za drugą; pierwsza obecna *drabaska*, M. Trzepieskiego, rotmistrza czyli dowódcy piechoty, gdyż drabami nazywano żołnierzy pieszych; druga *odpowiedź jezdnych*, rotmistrza Jakóba Secygniewskiego; trzecia *odpowiedź dworzan króla*

Jmci, Stanisława, Jana, Piotra. Wszystkie trzy pod jedną datą, w Grudniażu w sobotę przed niedzielą oculi (t. j. 10 marca 1520 r.); wszystkie trzy tegoż samego brzmienia, tylko w kilku wyrazach odmienne, jakto się niżej okaże. Czyli inni rotmistrze wydawali podobne zapowiedzi? i dlaczego właśnie te trzy tylko pod r. 1519 i 1520 w aktach metryki kor. się znalazły? wznieca jakowąś wątpliwość. Nam się zdaje, że ich więcej nie było, i że te trzy tylko reprezentowały w pewnym względzie wszelkie roty na żołdzie królewskim będące. Gdy jednak wojsko zaciężne do odparcia napaści nie wystarczało, udawano się do głównej siły narodu, pospolitego ruszenia szlachty. Walka więc z Krzyżakami przez wojska najemnicze prowadzona, była w pewnym względzie wojną króla samego, po której dopiero następowała wojna narodu całego, przez zwołanie pospolitego ruszenia. (Nawiasem wspomnę tu, że ponieważ na pospolite ruszenie, każdy właściciel ziemski resp. Wtwa, powinien był stawić się osobiście, pod karą utraty dóbr; dla wdów przeto, dla małoletnich, dla chorych lub z innych przyczyn, wydawał król pozwolenie dawania zastępcy. Otóż w tychże aktach d. d. Toruń 4 października, znajduję, iż na prośby królowej, Jan i syn jego Przeclaw Łasińscy uwolnieni są od stawienia się osobistego, ponieważ Przeclaw był mężem mamki królewicza; z obowiązkiem jednak wysłania z ich majątku zbrojnego jeźdźca).

Takowa odpowiedź, czyli po dzisiejszemu mówiąc, zapowiedź, oznaczała zarazem, iż roty pod dowództwami powyższemi zostające, nie są bandą lub zgrają awanturniczą, ale wojskiem na żołdzie rządowym pod powagą królewską działającym, których honor wojskowy sam król zapewnia, *moją cześć ogradzając*, a w odpowiedzi dworzan (gdzie nie mówi dowódzca, ale *Stanisław, Jan, Piotr, dworzanie króla Jmci*, w liczbie mnogiej) *nasze czezy ogradzając*. W starój polszczyźnie bowiem, *ogrodzić* znaczyło także: zapewnić, zatwierdzić, zaręczyć.

W odpowiedzi drabskiej, wyrazy: *keczemu swą pieczęć przyłożył*, mogłyby podać w wątpliwość, kto pieczęć swą przyłożył; czy król Jmé, czy też rotmistrz? gdyby jéj nie rozwiązały wyrazy w zapowiedzi dworzan, że to była pieczęć rotmistrza; ponieważ tam powiedziano: „keczemuśmy swe pieczęcie przyłożyli”.

O czynach wojennych Trzepieskiego nie zdarzyło mi się natrafić w téj chwili wzmianki jakowej; o Secygniewskim zaś i jego rodzinie, w różnych wojnach odznaczającój się, pisze Niesiecki.

X. J.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Statystyka utworów piśmiennictwa we Francyi. W jednym francuzkim czasopiśmie, wyczytujemy następny obrachunek przez P. Didot uczyniony, dzieł wyszłych od 1 stycznia do 1 sierpnia 1849 roku. Podług jego obliczenia, w przeciągu tego czasu wyszło w całej Francyi dzieł rozmaitych, broszur, ogłoszeń i t. p. w ogóle 87,000. Przedrukowano łacińskich i francuzkich pisarzy klassycznych 3,700. Nadto wyszło tłumaczeń rozmaitych dzieł z języków nowożytnych do 4,000 tomów. Pomiedzy temi ostatniemi, tłumaczenia z angielskiego języka, trzecią część wszystkiego zajmują; po nim zaś następują tłumaczenia z niemieckiego i hiszpańskiego, najmniej zaś z języków szwedzkiego i portugalskiego. W tymże samym przeciągu czasu zjawilo się około 900 pisarzy dramatycznych, których sztuki były grywane na scenie, i drukiem ogłoszone, zaś nieprzyjętych albo niegranych dram i komedyj obliczył tylko 60. W przedmiocie nauk tajemniczych, jakimi są: kabalistyka, chiromancya, nekromancya i t. p. ogłoszono przeszło 200 dzieł rozmaitej objętości, zaś w oddziale heraldyki, genealogii i w ogóle zaszczytów szlachectwa, 75 tomów. Nauki polityczne zlhogacone zostały 20,000 tomami dzieł nowych, rozmaitej objętości i formatu. Nadto wyszło w ogóle 6,000 romansów i powieści, a około 800 podróży. Nakoniec P. Didot obliczył w ostatku, iż gdyby papier użyty na drukowanie wszystkich tych dzieł, na całą powierzchnię ziemi francuzkiej rozłożyć, to takowy przykryłby dwa razy wszystkie 86 departamentów i jeszczeby go podostatkiem zostało.

* W końcu zeszłego roku założony został w Paryżu nowy dziennik, pod tytułem: *Le foyer domestique, Journal de la Famille*. Z wielorakich przyczyn wnosić można, iż powodzenie tego pisma może być niezwyčajne. Naprzód dziennik ten ma cel wielce moralny, i słynnych ze swego nazwiska współpracowników, następnie, iż ma być pysznemi drzeworytami, rycinami i litografiami ozdabiany. Już więc z obu tych względów nowe pismo może liczyć na wielu prenumeratorów i czytelników, lecz dowcipni ci wydawcy obmyślili nadto nowy jeszcze sposób zachęcenia i pomnożenia ilości takowych; ogłosili oni bowiem w prospekcie, iż każdy z prenumeratorów otrzymuje kupon z pięciu numerami na ogromną loteryą, otworzoną za zezwoleniem rządu. Zachęcenie to ma nader powabne korzyści; zapłaciwszy albowiem 12 franków za prenumeratę roczną, otrzymuje się prześlizchny dziennik, a nadto można jeszcze wygrać na loteryi od 50 do 70,000 franków. Ale to nie dosyć: bo oto jeszcze każdy prenumerator natychmiast otrzymuje najpiękniejszą rycinę na stali, lub dziesięć numerów nut, najnowszych sztuk muzycznych, stosownie do swego własnego wyboru.

* Ostatnia potowa zeszłego roku dla poetów niemieckich nadzwyczaj była niepomysłną, bo najwięcej ich w tym czasie wymarło. Wyliczamy tu kilku powszechniej u nas znanych. I tak: w dniu 24 sierpnia zmarł w Wenecyi *Henryk Stieglitz*, znany autor *Obrazów Wschodnich*, urodzony w r. 1803 w Arolsenie. Niedostatek i ubóstwo, zwyczajne niemieckim wierszopisom, nie były mu znane; bogaty albowiem jego stryja-

Od roku 1840—1845, cło na cukrze bez względu na pochodzenie, podwyższono o 5 procent.

W roku 1845 zmniejszono cło:

Od cukru angielskiego kolonialnego do 14 szyllingów;

Od zagranicznego, z krajów w których niewola nie istnieje, do 24 szylling. 4 pensów.

Konsumcya wzrosła ze 206,472 beczek, w r. 1844
do 242,831 „ „ 1845.

Na rok 1846 zniesiono różnicę między cłem zagranicznym z krajów w których nie istnieje, i tych w których istnieje niewola, i obłożono cukier zagraniczny cłem 21 szyl.

Konsumcya wzrosła do 261,012 beczek.

W roku 1847 różnicę cła między cukrem kolonialnym i zagranicznym znizowano do 6 szyl.

Konsumcya była 288,975 beczek.

W roku 1848 cło od cukru kolonialnego znizowano do 13 szyl.;
od zagranicznego do 18 szyl. 6 pensów.

Konsumcya była 308,131 beczek.

Do października 1842 drzewo płaciło od 50 stóp sześciennych:

Zagraniczne 56 szyllingów, 6 pensów,

Kolonialne 11 „ 6 „

Od tej epoki zmniejszono cło od drzewa kolonialnego do 1 szyl.; cło zaś od drzewa zagranicznego, stopniami zeszło do 15 „ Wypadki jednak z czasu przed i po 1842 porównać się nie dadzą, gdyż od tartego drzewa przed r. 1842 cło nie było pobierane od objętości sześciennych.

Od roku 1842 dowóz był następujący:

	<i>Kolonialne</i>	<i>Zagraniczne</i>	<i>Ogółem</i>
1843	922,087	395,558	1,317,645.
1844	941,221	544,136	1,485,357. lounds po 50
1845	1,281,974	675,840	1,957,814. stóp sze-
1846	1,214,442	810,497	2,024,939. ściennych.
1847	1,086,070	806,752	1,895,822.
1848	1,102,254	701,080	1,803,334.

Ceny drzewa spadły w Londynie o większą ilość, niż wynosi zniżenie cła; niektóre tylko gatunki dla producentów korzystniejsze przedstawiają widoki.

Korzystny wpływ obniżenia cła na fabrykacyą rękawiczek i skór, przedstawia przegląd Edymb. w ogólnych wyrazach, nie opierając się na cyfrach.

Gallon wódki francuzkiej płacił do roku 1846 22 szyl. 10 pensów, lubo cena miejscowa tego artykułu była tylko 3 do 5 szyllingów.

W roku 1846 znizowano cło do 15 szyllingów. Wypadki są następujące:

Dowóz wynosił w roku 1843	1,052,260	} cło 22 szyl. 10 pensów.
„ 1844	1,037,937	
„ 1845	1,073,778	

Dowóz wynosił w roku 1846	1,561,629	} cło 15 szyllin.
„ 1847	1,574,068	
„ 1848	1,632,710	

Dochód skarbowy był:

W roku 1843 1,201,339 funtów szterlingów.

„ 1844 1,184,798 „ „

„ 1845 1,225,869 „ „

„ 1846 1,203,920 „ „

„ 1847 1,182,794 „ „

„ 1848 1,233,437 „ „

Równoczesna konsumpcya i dochód skarbowy z wódek i mocnych napojów angielskich i kolonialnych był:

W trzech latach do 1846 przecięcie roczne:

Kolonialnych gall. 2,257,147 funt. szter. 1,053,427.

Krajowych „ 20,865,148 „ „ 5,274,726.

W trzech latach 1846—48 przecięcie roczne:

Kolonialnych gall. 2,999,904 funt. szter. 1,230,105.

Krajowych „ 22,326,957 „ „ 5,561,815.

Do roku 1825 cło od wina było: od win francuzkich 13 szyl. 9 pens.
od win innych krajów 9 „ 1 „

W tym roku znizono cło pierwsze do 7 szyl. 3 pens.

cło drugie do 4 „ 10 „

W roku 1831 zrównano wina francuzkie z innokrajowemi.

Konsumpcya wynosiła w pięciu latach przed zmniejszeniem w roku 1825 w przecięciu 4,751,104 gall.

W latach pięciu następnych w przecięciu po 6,539,855 gall.

w przecięciu z lat 1838—40 6,848,226 „

„ „ 1845—47 6,510,098.

Dalsze znizenie cła okazuje się widocznie potrzebne.

W roku 1846 znizono cło od wyrobów jedwabnych, pobierane ad valorem z 30 proc. do 15 proc. Fabryki jedwabne przecież nietylko nie upadły, lecz wywóz ich wzrósł i wynosił w r. 1848, 400,000 funt. szter.

W tymże roku zniesiono wszelkie cło od wyrobów wełnianych; wszakże przywóz tylko niektórych gatunków merynosów francuzkich zwiększył się.

Płacono premią od wywozu lnianych wyrobów i nałożono cło od wyrobów zagranicznych, równające się 40 procent. wartości. W roku 1832 skasowano premią; w roku 1846 zniesiono cło; produkcya przecież wzrosła—w północnej Irlandyi zatrudnia ona 300,000 ludzi.

Z.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

WARSZAWA.

12. Powieści starego nauczyciela dla swoich młodych przyjaciół, przez T. Dziekońskiego b. Dyrektora Gimnazjum. Drugie wydanie. 8ka. Warszawa. 1850. Nakładem S. Merzbacha. Druk St. Strąbskiego. Kart 1 i str. 322. Złp. 9.

13. W Alpach i za Alpami, przez Ł(ucyą) z G(iedrojców) R(autenstrauch). Wydanie drugie. 8ka. 3 tomy. Warszawa. 1850. Nakładem S. Merzbacha, druk St. Strąbskiego. Tom 1 str. 243. II, 246. III, 240. W każdym napisów kart 2 i rejestru karta 1. (Z 12 rycinami na stali). Złp. 36.

14. Prawo hipoteczne w Królestwie Polskiem (,) objaśnione przez Walentego Dutkiewicza, b. Professora Prawa Cywilnego, pomocnika naczelnego prokuratora w IX Departamencie Rządzącego Senatu. 8ka. Warszawa. Drukiem St. Strąbskiego. Napisów kart 2, przedmowy str. IX, rejestru str. XXXIII i 585. Złp. 15.

15. Niezbędnie potrzebne wiadomości i rady dla rodziców, opiekunów i nauczycieli celem ustrzeżenia młodzieży od okropnych skutków samogwałtu (,) przez B. Rosenblum lekarza praktykującego w Warszawie. Drugie powiększone wydanie. Nakładem autora. 16ka. Warszawa. 1850. Druk pod firmą Kaczanowskiego. Str. 130 i karta 1. Złp. 5.

WILNO.

16. Chęć pokorna przez serdeczne modły ku Stwórcy unaszająca się, zbiorem rocznych modlitw, tak do Niepokalanie poczętj N. Maryi P., jako innych świętych, i mianowicie do ulubionego ucznia Chrystusa Pana Jana świętego Ewangelisty, ozdobiona. 12ka. Wilno. 1850. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. XX i 628. (Z ryciną na stali). Złp. 9.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

— Księgarz Orgelbrand drukuje obecnie: „Kronikę polską z Xgo wieku”, p. W. A. Maciejowskiego.

— S. H. Merzbach zamierza wydawać w ozdobnej edycji dzieło, p. n.: „Księga Świata”. Obejmować ma w sobie opisy krajów i okolic, ciekawe podróże, i artykuły w tym zakresie naukowe. Dzieło to mają zdobić ryciny kolorowe, staloryty i drzeworyty.

— „Galeryi Drezdeński” wyszło 21 zeszytów, a „Życiorysów znakomitych ludzi” 5 zeszytów. „Pamiętnika religijno-moralnego” zeszyt Iszy, za m. styczeń.

— Juliusz Ascher wydał w tych dniach dzieło, pod tyt.: „Nauka krawiectwa damskiego, czyli łatwy sposób nauczania się w krótkim czasie, bez obcej pomocy, brania miary, przykrawania” i t. d. Cena złp. 15.

— Przygotowują się do druku 2 tomy „Poezj Wincentego Smaczińskiego, którego mamy już tłumaczenie Welleja Paterkula. Zawierać będą poezye oryginalne.

nalne i tragedją Sofoklesa. P. Smacznicki przekładał i *Odysseę* Homera wierszem, której próbkę drukował po pismach peryodycznych.

— J. I. Kraszewski, oprócz dawniej zapowiedzianej powieści: „*Jaryna*”, przygotował do druku nową powieść w jednym tomie, pod nap.: „*Tomko*”. Ma ona się drukować we Lwowie. Tegoż dzieło: „*Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy*”, wyjdzie w Paryżu ozdobione rycinami, staraniem J. K. Wilczyńskiego, wydawcy *Album Wileńskiego*. Tenże autor pracuje ciągle nad „*Słownikiem artystów*” i „*Ikonotheką Polską*”, które zamierza wydać w r. b.

— Częściowo drukująca się powieść w *Tygodniku Petersburskim* p. n. „*Dziwadła*”, ma być wydana oddzielnie we 2 tomach.

— J. Korzeniowski drukuje w Wilnie dalszy ciąg: „*Pamiętników Oryginała*”.

— Księgarz Kajetan Jabłoński we Lwowie, nabywszy prawo do drugiej edycji, wydał: „*Pierwsze zasady grammatyki języka polskiego, przez Józefa Mrozińskiego*. Cena 30 kr. m. k.

— Nakładem tejże księgarni wydane zostały: „*Główniejsze wypadki w życiu królów i książąt polskich, jako też i hetmanów*”, skreślone w kilkunastu obrazach.

— Jan Nep. Kamiński, ogłosił drukiem we Lwowie farsę swoją p. n.: „*Twardowski na Krzemionkach*”.

— We Lwowie wychodzi od stycznia b. r., raz na tydzień, co sobota: „*Pamiętnik Gospodarski*”, w formacie arkuszowym, pod redakcją Stanisława Przyłęckiego, znanego wydawcę kilku ważnych pomników do dziejów polskich.

— Tamże, od stycznia r. b., zaczął wychodzić raz na tydzień w formacie 4kowym: „*Tygodnik Polski, poświęcony literaturze, obyczajom i strojom*.” Redaktorem odpowiedzialnym jest Jan Zacharyasiewicz, wydawcą jak i dawniej, Tomasz Kulczycki, krawiec. Pismo to, mają wspierać prawie wszyscy literaci galicyjscy.

— Towarzystwo Naukowe w Krakowie, zaczęło wydawać: „*Bibliotekę Naukową*”. Tom Iszy wyszedł już z pod prasy drukarskiej i obejmuje: „*Historję filozofii*”, napisaną przez Józefa Kremera. Część druga wyjdzie w ciągu kilku miesięcy. Toż Towarzystwo wybrało oddzielny komitet do wypracowania i wydawania książek elementarnych, a drugi komitet do zbierania starożytności krajowych, i opisanja pomników historycznych, rozsypanych po ziemi naszej.

(Nadesłano).

.....Zabierając się do napisania rozprawy o giserstwie w Polsce, jako rzeczy wstępnej do dziejów sztuki odławów, upraszam o naukową pomoc, i z wdzięcznością (z wyrażeniem imion nadsyłających), przyjmuję kopie napisów z znamienitszych dzwónów, odławów na pomnikach i t. d., a szczególnie te, gdzie imię gisera jest wyrażone“.

Kraków, w styczniu 1850 r.

Józef Łepkowski
ulica Floryńska, Nr. 548.

† Dnia 9 stycznia r. b. w Warszawie; Karol Korwell, tłumacz przy Sądzie Ap. Król. Pol., wydawca noworocznika „*Niezapominajki*”, tłumacz i autor innych prac literackich. Żył lat 41.

† Dnia 2 stycznia r. b. w Warszawie; Tekla z Kraszewskich, Biesiokierska, autorka wielu ważnych artykułów w „*Zorzy*” i t. d. Żyła lat 49.

Miasto dostojeń wyciszone jest 377 stopni parzystych ied-pozostu ma
Dostojestwa w Obszarach (1849)

TERMO-METR		BAROMETR		Wielkość powietrza	
Austriacki		w milimetrach		w milimetrach	
10	10	10	10	10	10
10.0	10.0	10.0	10.0	10.0	10.0
9.9	9.9	9.9	9.9	9.9	9.9
9.8	9.8	9.8	9.8	9.8	9.8
9.7	9.7	9.7	9.7	9.7	9.7
9.6	9.6	9.6	9.6	9.6	9.6
9.5	9.5	9.5	9.5	9.5	9.5
9.4	9.4	9.4	9.4	9.4	9.4
9.3	9.3	9.3	9.3	9.3	9.3
9.2	9.2	9.2	9.2	9.2	9.2
9.1	9.1	9.1	9.1	9.1	9.1
9.0	9.0	9.0	9.0	9.0	9.0
8.9	8.9	8.9	8.9	8.9	8.9
8.8	8.8	8.8	8.8	8.8	8.8
8.7	8.7	8.7	8.7	8.7	8.7
8.6	8.6	8.6	8.6	8.6	8.6
8.5	8.5	8.5	8.5	8.5	8.5
8.4	8.4	8.4	8.4	8.4	8.4
8.3	8.3	8.3	8.3	8.3	8.3
8.2	8.2	8.2	8.2	8.2	8.2
8.1	8.1	8.1	8.1	8.1	8.1
8.0	8.0	8.0	8.0	8.0	8.0
7.9	7.9	7.9	7.9	7.9	7.9
7.8	7.8	7.8	7.8	7.8	7.8
7.7	7.7	7.7	7.7	7.7	7.7
7.6	7.6	7.6	7.6	7.6	7.6
7.5	7.5	7.5	7.5	7.5	7.5
7.4	7.4	7.4	7.4	7.4	7.4
7.3	7.3	7.3	7.3	7.3	7.3
7.2	7.2	7.2	7.2	7.2	7.2
7.1	7.1	7.1	7.1	7.1	7.1
7.0	7.0	7.0	7.0	7.0	7.0
6.9	6.9	6.9	6.9	6.9	6.9
6.8	6.8	6.8	6.8	6.8	6.8
6.7	6.7	6.7	6.7	6.7	6.7
6.6	6.6	6.6	6.6	6.6	6.6
6.5	6.5	6.5	6.5	6.5	6.5
6.4	6.4	6.4	6.4	6.4	6.4
6.3	6.3	6.3	6.3	6.3	6.3
6.2	6.2	6.2	6.2	6.2	6.2
6.1	6.1	6.1	6.1	6.1	6.1
6.0	6.0	6.0	6.0	6.0	6.0
5.9	5.9	5.9	5.9	5.9	5.9
5.8	5.8	5.8	5.8	5.8	5.8
5.7	5.7	5.7	5.7	5.7	5.7
5.6	5.6	5.6	5.6	5.6	5.6
5.5	5.5	5.5	5.5	5.5	5.5
5.4	5.4	5.4	5.4	5.4	5.4
5.3	5.3	5.3	5.3	5.3	5.3
5.2	5.2	5.2	5.2	5.2	5.2
5.1	5.1	5.1	5.1	5.1	5.1
5.0	5.0	5.0	5.0	5.0	5.0
4.9	4.9	4.9	4.9	4.9	4.9
4.8	4.8	4.8	4.8	4.8	4.8
4.7	4.7	4.7	4.7	4.7	4.7
4.6	4.6	4.6	4.6	4.6	4.6
4.5	4.5	4.5	4.5	4.5	4.5
4.4	4.4	4.4	4.4	4.4	4.4
4.3	4.3	4.3	4.3	4.3	4.3
4.2	4.2	4.2	4.2	4.2	4.2
4.1	4.1	4.1	4.1	4.1	4.1
4.0	4.0	4.0	4.0	4.0	4.0
3.9	3.9	3.9	3.9	3.9	3.9
3.8	3.8	3.8	3.8	3.8	3.8
3.7	3.7	3.7	3.7	3.7	3.7
3.6	3.6	3.6	3.6	3.6	3.6
3.5	3.5	3.5	3.5	3.5	3.5
3.4	3.4	3.4	3.4	3.4	3.4
3.3	3.3	3.3	3.3	3.3	3.3
3.2	3.2	3.2	3.2	3.2	3.2
3.1	3.1	3.1	3.1	3.1	3.1
3.0	3.0	3.0	3.0	3.0	3.0
2.9	2.9	2.9	2.9	2.9	2.9
2.8	2.8	2.8	2.8	2.8	2.8
2.7	2.7	2.7	2.7	2.7	2.7
2.6	2.6	2.6	2.6	2.6	2.6
2.5	2.5	2.5	2.5	2.5	2.5
2.4	2.4	2.4	2.4	2.4	2.4
2.3	2.3	2.3	2.3	2.3	2.3
2.2	2.2	2.2	2.2	2.2	2.2
2.1	2.1	2.1	2.1	2.1	2.1
2.0	2.0	2.0	2.0	2.0	2.0
1.9	1.9	1.9	1.9	1.9	1.9
1.8	1.8	1.8	1.8	1.8	1.8
1.7	1.7	1.7	1.7	1.7	1.7
1.6	1.6	1.6	1.6	1.6	1.6
1.5	1.5	1.5	1.5	1.5	1.5
1.4	1.4	1.4	1.4	1.4	1.4
1.3	1.3	1.3	1.3	1.3	1.3
1.2	1.2	1.2	1.2	1.2	1.2
1.1	1.1	1.1	1.1	1.1	1.1
1.0	1.0	1.0	1.0	1.0	1.0
0.9	0.9	0.9	0.9	0.9	0.9
0.8	0.8	0.8	0.8	0.8	0.8
0.7	0.7	0.7	0.7	0.7	0.7
0.6	0.6	0.6	0.6	0.6	0.6
0.5	0.5	0.5	0.5	0.5	0.5
0.4	0.4	0.4	0.4	0.4	0.4
0.3	0.3	0.3	0.3	0.3	0.3
0.2	0.2	0.2	0.2	0.2	0.2
0.1	0.1	0.1	0.1	0.1	0.1
0.0	0.0	0.0	0.0	0.0	0.0

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Grudzień 1849.



Grudzień 1849.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18^o41'25",5 na wschód

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0 ^o				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1	750.83	752.03	753.47	754.41	- 0.2	+ 0.2	- 0.8	- 0.5	98.2
2	755.31	756.22	755.99	756.20	- 0.9	- 0.4	- 1.3	- 1.1	98.7
3	755.64	756.90	756.34	756.03	- 3.3	- 5.1	- 7.4	- 8.6	97.5
4	755.70	755.99	755.87	755.53	- 11.3	- 9.3	- 7.8	- 10.2	100.
5	754.88	755.94	755.56	756.28	- 8.0	- 6.3	- 6.4	- 6.0	100.
6	756.00	757.00	756.84	757.68	- 2.6	- 1.6	- 4.4	- 5.5	97.0
7	757.26	757.33	757.00	756.92	- 5.8	- 5.7	- 5.3	- 6.0	99.5
8	756.01	756.47	756.18	756.78	- 6.0	- 5.9	- 6.7	- 5.5	99.
9	757.49	758.78	759.12	760.41	- 5.8	- 5.7	- 6.7	- 10.7	96.2
10	760.42	761.30	760.18	760.56	- 14.7	- 12.6	- 11.8	- 13.8	97.8
11	759.80	760.75	760.55	761.48	- 17.4	- 14.2	- 11.6	- 14.5	100.
12	762.26	762.44	760.70	760.45	- 16.8	- 15.5	- 13.6	- 16.8	100.
13	758.57	759.68	758.52	758.62	- 20.5	- 18.5	- 15.8	- 18.1	100.
14	759.00	758.92	757.87	755.38	- 18.4	- 15.4	- 13.2	- 13.1	100.
15	750.24	747.71	744.01	743.23	- 5.8	+ 0.9	+ 2.4	+ 2.9	100.
16	740.76	744.58	748.24	749.18	+ 1.8	+ 2.2	+ 1.1	+ 1.4	97.2
17	745.38	745.00	742.58	738.65	+ 2.0	+ 2.3	+ 2.4	+ 1.8	100.
18	737.62	738.78	741.11	743.57	+ 3.0	+ 3.2	+ 2.9	+ 1.3	99.2
19	741.54	740.45	736.05	735.87	+ 0.4	+ 1.4	+ 1.3	+ 0.9	100.
20	741.12	744.51	748.32	751.09	- 2.1	- 3.6	- 3.2	- 5.2	98.5
21	752.79	754.06	756.48	758.54	- 4.6	- 5.8	- 7.3	- 6.5	100
22	761.23	761.76	763.46	763.26	- 7.1	- 6.5	- 9.6	- 13.3	100
23	763.37	763.92	763.01	760.45	- 15.0	- 14.7	- 11.8	- 12.9	100
24	756.61	755.42	754.74	756.05	- 10.9	- 8.4	- 7.4	- 12.6	100
25	755.15	754.74	752.16	751.07	- 7.1	- 5.5	- 6.0	- 3.9	100
26	746.64	746.12	743.06	740.29	- 4.2	- 3.2	- 2.6	- 1.8	100
27	736.04	735.52	731.97	730.76	- 2.5	- 2.9	- 1.8	- 3.9	100
28	730.24	731.23	731.40	733.44	- 6.2	- 4.9	- 3.5	- 6.1	92.
29	735.31	735.78	734.96	732.40	- 10.5	- 9.3	- 5.4	- 5.9	100
30	734.01	735.83	737.46	739.02	- 9.9	- 9.1	- 8.3	- 7.8	100
31	742.02	745.15	748.30	750.80	- 8.6	- 7.6	- 5.2	- 3.8	100.
Śre.	750.622	751.301	750.984	751.110	- 7.06	- 6.05	- 5.64	- 6.64	

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52^o13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s,7
względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczy	śnie- gu
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
pochmurny	pochmurny	napót pog.	pochmurny	—	—	W.	PnW.		
pochmurny	śnieg gęsty	pochmurny	pochmurny	W.	W.	W.	PdW.		6.0
pochmurny	śnieg pr.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	napót pog.	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pr. pogod.	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pr. pogod.	pogodny	PdW.	PdW.	W.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	W.	W.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	W.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	W.	—		
mgła	pr. pogod.	pogodny	napót pog.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	dészcz dr.	pochmurny	Pd.	PdZ.	Z.	Z.		3.6
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	PnZ.	PnZ.	Z.		
pochmurny	mgł i dész.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Pd.	Pd.		0.5
pochmurny	pochmurny	dészcz pada	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.		6.4
poch. mgła	mgła	dészcz	dészcz	Pd.	Pd.	Pd.	PdW		9.0
pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg pr.	PnW.	PnW.	Pn.	PnW.		
pochmurny	pochmurny	napót pog.	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	PnW.	Pn.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	smugi	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		
śnieg drob.	śnieg	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		4.8
pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.		3.6
pochmurny	napót pog.	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	PdW.	PdW.		
mgła	mgła	pochmurny	śnieg	W.	PnW.	PdW.	PnW.		
śnieg	pochmurny	lek. zamgl.	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Z.		8.0
śnieg drob.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.		4.8
Śre.								19.5	27.2

Średnia wysokość barometru miesięczna	751.004	27	8.917
Najwyżej dochodził — d. 23 o g. 10 r.	763.92	28	2.643
Najniżej — — d. 28 o g. 6 r.	730.24	26	11.713
Średnia zmiana dzienna barometru	4.10		1.82
Największa zmiana dzienna barometru d. 14—15 o 4 g. w.	13.86		6.145
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	0.829		0.367
Średnia temperatura grudnia wynosi:	— 6°35 C.	—	5°08 R.
i ta jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	3.96 „		3.17 „
Największe ciepło dochodziło d. 18 o g. 10 r.	+ 3.2 „	+ 2.6 „	
Najmniejsze d. 13 o g. 6 r.	— 20.5 „	— 16.4 „	

(Termometrograf wskazał:

Maximum: + 3.0° R. d. 16 i 18

Minimum: — 16.7 „ d. 13

Średnia zmiana dzienna temperatury	3.03 „	2.42 „
Największa zmiana dzienna d. 14—15 o g. 10 r.	16.3 „	13.0 „

Wody z deszczu spadło wysoko na 19.5 milim. czyli 8.64 linii paryz., z śniegu 27.2 milim. czyli 12.04 lin. par.; razem 46.7 milim. czyli 20.70 lin., paryz., to jest o czwartą część więcej jak zwykle.

Dni pogodnych było 5; napót pogodnych 5; pochmurnych 21.

— deszczu 4 (d. 15, 17, 18, 19).

— śniegu 11 (d. 1, 2, 3, 20, 21, 25, 27, 28, 29, 30, 31).

— mgły 3 (d. 14, 19, 29).

Wiatr panujący Południowo-Wschodni. Wichrów nie było.

Grudzień r. b. był pogodny i zimny; temperatura jego o 3° R. niższa od normalnej. Pierwsza połowa miesiąca była mroźna, dopiero 15 przy szybko spadającym barometrze, temperatura nad zero się wzniosła; tak trwało do d. 20, a przy obficie padających deszczach, śniegi na polach zupełnie stopniały. Ostatnie dni dziesięć były znowu dość mroźne. Śniegi często i obficie padały, szczególnie przy końcu miesiąca.

O STOSUNKACH SPOŁECZNYCH KANTABRYI

CZYLI

PROWINCYJ BASKICH.

PRZEZ

Ora T. Tripplina.

W badaniu dziejów świata, prawd które nas nauczają, domniemywań które nam nasuwają, ograniczamy się najczęściej na obznajmieniu się z przyczynami wzrostu i upadku wielkich narodów, które na losy ogółu ludzkości największy wpływ wywarły, lub też jeszcze wywierają. Wielkie mocarstwa, żyjące siłą własnej swęj potęgi, lub też utrzymujące się przy bycie koniecznością równowagi zabezpieczonej traktatami dyplomatyki, zasługują zaiste na wielką uwagę. Ruchy z nich wychodzące wstrząsają znaczną przestrzenią świata, odgłos ich klęsk rozchodzi się daleko w sąsiedzkie państwa, każdy krok postępu lub cofania się w nich uczyniony, podnosi lub przygasa nadzieję w sercach sąsiadów. Znajomość tego co się działo lub dzieje w krajach i państwach pierwszego rzędu, jest tedy niezbędnie potrzebną historykowi. Ale niech na tém się nie ogranicza filozof, dochodzący w dziejach świata śladów postępu ducha ludzkiego.

Umysły dalej sięgające, żądają od nauki historii czegoś więcej, jak faktów i dat chronologicznych; pragną wysledzić w najdalszych swych skutkach i w najodleglejszych szczelinach ziemi, wpływy wywierane przez wielkie zdarzenia historyczne, miotające ludzkością i przerzucające całe plemiona z jednego końca świata na drugi; pra-

gną z życia politycznego i towarzyskiego plemion w zakątkach zapomnianych, wnosić o postępie, jakiby cała ludzkość była zrobiła, gdyby ją burze z obranej sobie kolei nie były wyrzucały.

Opatrzność (niezawodnie aby nam ułatwić środki poznania człowieka, swobodnie się rozwijającego w stosunkach swych towarzyskich, w położeniu swém przechodniem z członka rodziny do członka narodu) zechciała odosobnić pewne plemiona zaporami, przez które bez ich wiedzy ani dobre wejść, ani zło wtargnąć nie mogło. O te zapory, o te góry nieprzebyte roztręcały się legiony barbarzyńców i huk dział nowoczesnych, bez naruszenia spokojności mieszkańców. Co do liczby, małoznaczne ludy rozwijały tu swe instytucje w sposób, jaki im się wydawał być najwygodniejszym, najprostszym i najzbawienniejszym. Dziś ludy te mogą służyć za przykład pod względem czystości obyczajów, zdrowia, porządku, a w niektórych zakątkach, nawet pod względem oświaty ogólnej.

Historykowi przyrody najmniejsze jestestwa są przedmiotami śledzeń i spostrzegau: z budowy ich organów odgadnie funkcyje nieznanne jeszcze organów podobnych w jestestwach daleko doskonałszych; wiemy, że poznanie zwierzątek mikroskopem tylko widzianych, podało nam klucz do odgadnięcia jednej z najważniejszych prawd fizjologii. Niech z tego przykładu korzysta historyk świata, niech nie gardzi znajomością mało głośnych plemion, a rozwijających się jednostajnie bez skoków i bez cofań. Może tą znajomością dojdzie do prawd więcej pocieszających, jak owe prawdy, do których nas doprowadziło śledzenie i zaślepienie się w historii tego wielkiego narodu, który tyle zdawał się obiecywać, a nakoniec rozumowi ludzkiemu tak okrutny fałsz zadał.

Już po drugi raz występuję jako historyk narodów, mało uwagi na siebie zwracających, a przecież godnych wszelkiego szacunku ze względu na postęp, objawiający się w ich instytucjach i duchu praw. Pięć lat temu ogłosiłem krótki rys stosunków społecznych w Norwegii, kilka razy i w kilku językach od tego czasu przedrukowany. Filozofowie tegocześni, datujący wartość historii świata od rewolucyi francuzkiej, przeczytawszy me dziełko przyznać musieli, że godność człowieka i prawa jego były już w Norwegii znane, nim je światu wykładali Voltaire i Rousseau w sposób bardzo teoretyczny, a Marat i Robespierre w sposób zabardzo praktyczny. A ileż to krwi szlachetnej z obu stron nie wylano na ochrzczenie tego mniemanego nowo-narodzonego bóstwa, które świetniejszy rodzajowi ludzkiemu miało zapewnić byt!

Zwolennicy konieczności przyczyn ostatecznych, czyż powiedzą jeszcze, że nie można dość drogo okupić znajomości prawd żywotnych, które umysłowi ludzkiemu, pojęciu jego o swych prawach i powinnościach, nowy muszą nadać kierunek?

Dawszy odgadnąć czytelnikowi założenie, przystępuje do przedmiotu, i pomówię o innym mało znanym narodzie, w którym także wraz z gościnnością znalazłem obszernie pole do spostrzeżeń naukowych, o narodzie grającym przed kilkoma latami rolę tak dziwną, że ją rzadko kto pojąć zdołał. Dziś wypadki najnowsze na większym teatrze i przez wielki naród dokonane, ułatwiły pojęcie polityki Basków.

Na zachodnim schyłku Pireneów, leży kraj znany od wielu wieków pod nazwiskiem Kantabrya. Graniczy on ze wschodu z Francją, z północy z oceanem Atlantyckim, z zachodu z prowincją Santander i z Asturyą, z południa z królestwem Leonu, starą Kastylią i Arragonią. Niegdyś Kantabrya była obszerniejszą, Nawarra bowiem francuzka i prowincya Santander do niej należały; dziś jeszcze język, rysy twarzy i obyczaje mieszkańców, świadczą o wspólności pochodzenia.

Powierzchnia kraju Kantabrow przedstawi widok szczególny, uderzający: w jednej bowiem chwili zastrasza ogromem niebotycznych skał i potoków z szumem spadających, w drugiej chwili cieszy oko gaistemi pagórkami, bujnemi polami i kwitnącemi łąkami. Stań gdzie chcesz na jakimkolwiek bądź miejscu wzniosłym, a ujrzysz opoki w kruszec, marmur i kryształ obfitujące, ujrzysz gęste lasy, strumienie rybne przebiegające błonia, ujrzysz łąny zboża wzrastającego. Klimat przyjemny, powiewy morskie i wiatry od śnieżnych Pireneów, chłodzą powietrze rozgrzane palącemi promieniami słońca.

Tu na brzegu morza lub znaczniejszej rzeki, tam na wzgórzu panującym nad żyzną doliną, ujrzysz miasta schludnie i malowniczo wybudowane, a nadobne wsie i piękne dwory ujrzysz wszędzie, gdzie tylko skała, ziemia i woda pozwoli żyć człowiekowi. Tu jest Kantabrya odgraniczona morzem i górami, skałą i przepaściami od reszty świata, i tu od XXX wieków żyje wesoly, gościnny i piękny ród ludzki, którego krew nigdy się nie zmieszała z krwią cudzoziemców, chyba przelana na polu chwały.

Kantabr, czyli jak go dziś nazywają Bask, pięknym jest z oblicza, silnym i zręcznym, lubo rzadko bardzo wysokiego wzrostu. Oko jego orle rzadko jest czarnego koloru, ale częściej orzechowego; włosy jednak najczęściej czarne, lubo zdurzają się i jasne. Waleczność

jego znaną jest od niepamiętnych czasów; dziś jeszcze najlepszym jest żołnierzem w wojsku hiszpańskim. Rzetelnym jest i kochającym, dla obcych grzecznym i gościnnym, w obejściu się łatwym; lubi się bawić, lubi śpiewać i pracować, ale uczyć i kształcić się nie lubi, i wysokiego stopnia oświaty rzadko dostępuje. Praca do której się od dzieciństwa usposobił, wystarczy mu na utrzymanie i na swe szczęście, większego nie pragnie.

Córki zaś Kantabryi przechodzą jeszcze w piękności swych braci; jest to ogólne zdanie podróżnych, a nawet nieocenionego z swych opisów Humboldta. Są one wysokie, wysmukłe i nadobne, włosy ich nadzwyczajnie gęste i długie, ubiór zawsze bardzo czysty i malowniczy.

Język którym mówią, i który nie ma najmniejszego podobieństwa z żadnym językiem lub narzeczem europejskim, nazywają *euscarra*. Według Humboldta, *euscarra* był pierwotnym językiem całej Hiszpanii. Baskowie idą dalej i utrzymują, że język ich był pierwotnym całej ludzkości, o czém wolno nam wątpić od czasu odkrycia, że Adam i Ewa mówili po słowiańsku; ale że ród i język Kantabrow najdawniejszej starożytności sięga, o tém nas przekonywają wszystkie najpoważniejsze źródła historyczne. Według podań ludowych, kraj Basków zdobytym został przez plemię, które bezpośrednio z raju pochodziło, i z niego przeniosło się później na stopy gór Kaukaskich. Ale wojny i zdobyczy chciwe dzieci Nemroda, pozazdrościli mu swych siedzib, i uderzwszy nań z przemocą, kraj ogarnęli. Dumni Kaukazu synowie woleli pójść w dalekie krainy szukać innej ojczyzny, niż pozostać w własnej. Tursis, synowiec Tubala i piąty syn Japheta, był wtenczas ich wodzem. Puścili się w podróż na okrętach, i powierzyli falam morskim i kaprynowi burzy bez bussoli. Płynąc długo tu i owdzie, jak później Ulisses, przybyli nareszcie do ujścia rzeki Ebro. Tu im się spodobała okolica, wpłynęli więc w ujście, i dążąc coraz wyżej, dotarli aż do stóp gór Iberyjskich, gdzie osiedli w 523 lat po potopie. I tak powstała pierwsza osada iberyjska.

Celty, Fenicyanie i Kartagińczykowie, jedni za drugimi, krwawe wiedli spory z Iberyjczykami o podnóże gór Pirenejskich.—Długo się ci opierali, lecz nakoniec ustąpili na wyższe szczyty gór. Starannie zachowywali krew swą w czystości, i nie mieszały się z ludźmi niższego pochodzenia i szlachectwa.

Podczas wojen pomiędzy Rzymianami a Kartagińczykami, stali raz na stronie Scypiona, drugi raz na stronie Annibala, kierowani nie przymusem, lecz raczej własnym interesem. Wówczas już zaczęli być znanymi pod nazwiskiem Kantabrow. Połączywszy się z Cel-

tyberami, uderzyli raz na Rzymian, co spowodowało upadek i zagładę Celtyberom. Kantabrowie zdołali uniknąć klęski, i pokrzepiwszy się w siłach, weszli w przymierze z straszliwym Sertoryuszem, i z nim jeszcze raz na Rzymian uderzyli. Długo trwała wojna; podczas niej Calahorra została w perzynę obrócona, a Pampeluna zdobytą. Pompejuszowi udało się jednakże zmusić ich do sprzymierzenia się z Rzymem. Po upadku Pompejusza, Kantabrzy walczyli w legionach Juliusza Cezara, i podług największego prawdopodobieństwa, Rzym winien zmianę rządu swego na monarchiczny wpływowi republikańskich Kantabrow, dbających więcej o własny byt, jak o propagandę swych zasad. Rzym został cesarstwem; ale Kantabrya zachowała swe urządzenia. August usiłował zmusić ją do poddania się, i rozpoczął wojnę wyćpiającą. Sta i tysiące padały pod mieczem rzymskim, ogromne mnóstwo innych znalazło śmierć męczeńską w cyrkach, gdzie śpiewających hymny lwy i tygrysy szarpali i pożerali. August myślał, że na wieki ukrócił dumę bitnych Kantabrow, i opuścił Hiszpanię, kiedy już nazajutrz ci się zemścili zabiciem wszystkich im przelożonych Rzymian, i stanęli zbrojno. Nowo wysłane rzymskie wojska odniosły kilka zwycięstw bezskutecznych na równinach; ale nie śmiały ścigać cofających się na góry i w pieczary.

Panowie świata widzieli się być zmuszonymi ofiarować pokój Kantabrom; ci go przyjęli, zastrzegłszy sobie zupełną wolność w zarządzaniu sprawami krajowemi. Od téj chwili datują owe sławne przywileje i swobody, które licznemi dodatkami przez wielu królów zbogacone, stanowią prawo zasadnicze dzisiejszych Basków. Krótki rys prawa tego, znanego pod nazwiskiem „Fueros” jest niezbędnie potrzebnym do pojęcia najnowszych wypadków, których prowincye Baskie były teatrem.

Już za czasów rzymskich zbierali się pod cieniem odwiecznego świętego dębu w Biskai rosnącego, posłowie wszystkich prowincyj, aby większością głosów wybrać władze rządzące, i protektora, którego obowiązkiem było stawać w obronie praw ludu, przed cesarzem rzymskim i dowódcą legionów. Protektor ten dowodził także wojskiem. Kraj dostarczał Rzymowi pewną ilość wojska, lecz niemi dowodzili jedynie rodowici Kantabrowie, a wojsko nawet zachowało własne oznaki, własną taktykę i jurydykę.

Ziemia była równo podzielona pomiędzy ojców rodziny. Części były małe, ale na wyżywienie rodziny wystarczające. Nie można ich było ani przedawać, ani zostawiać, ani powiększać, ani rozdrabniać. Prawo zapobiegało wpadaniu w nędzę i wywyższaniu się zbytnim

majątkiem: jedno bowiem i drugie było uważane za szkodliwe krajowi. Instytucya ta patryarchalna nie pozwoliła obywatelowi stawiać się milionowym dorobkowcem, ani o komunizmie marzącym proletaryuszem. Głowa rodziny wyznaczała spadkobiercę z pomiędzy pozostałych dzieci lub synowców. Jeżeli przez zamezcie dwie posiadłości schodziły się do téjże saméj rodziny, natenczas inny członek rodziny odziedziczał jedną z nich.

Urząd sędziego sprawiała głowa rodziny, a władza jego rozciągała się nawet na członków prawodawczych ogólnego sejmu. Przy publicznych obradach, głosować mogli tylko posiadacze gruntowi, a to dlatego, żeby w obiegu będących pieniędzy nie nadużywano do frymarczenia głosami.

Ktokolwiek przez niedbałość lub złą wolę posiadłość swą zniszczył lub uszkodził, był z niej wyzuty; i to często się zdarzało.

W śpichlerzu zamykano dziesiątą część zbiorów, aż do nowego żniwa, a to dla zabezpieczenia kraju od głodu.

Bachus nie był bożyszczem Kantabrow, lecz ich postrachem; wina nie było wolno wyciskać ani posiadać, tylko księżom dla chorych.

Góry, lasy i pastwiska pozostały własnością ogółu. Niewolno było zakładać szpitalów, domów ochrony i podobnych instytucyj dobroczynnych; przy ścisłym bowiem wykonywaniu prawa, każdy obywatel był w stanie wystarczyć na swe utrzymanie, i zaspokoić potrzeby chorego członka rodziny.

Oprócz zamian, niecierpiano żadnego handlu wewnątrz kraju.

Cezar nadał Kantabryi prawo łacińskie. Caracalla obdarzył Kantabrow obywatelstwem rzymskim; prawo to z tytułu zachowywano jeszcze długo po wkroczeniu Gotów.

Cóż mamy mniemać o tém urządzeniu patryarchalnym, którem się rządziła i po większej części jeszcze dotychczas rządzi Kantabrya? Prawda jest, że podobna prostota obyczajów i surowość, znamionowała początkowe życie wszystkich prawie wielkich rodzin, szczególnie Słowian, Germanów i Persów; lecz gdzież jest na kuli ziemskiej naród, któryby dotychczas był zachował choć najślabszy ślad tych instytucyj? Jedyni Baskowie utrzymali się dotychczas przy wielkiej ich części.

Eurys król Gotów uderzył na Kantabryę, i po długich walkach opanował Pampelunę r. 522.

Recurredo odniósł podobnie zwycięstwo nad nawareńskimi Baskami. Skutkiem jedynym tego wtargnienia Gotów było, że się Kantabrzy cofnęli do samotności gór, pieczar i lasów, i że na gruzach swego szczęścia, tém zacięciéj się bronili.

W VII wieku, gdy węzeł łączący Rzym z Kantabryą rozwiązał się sam z siebie, ostatnia przyjęła protekcyą Gotów; lecz także tylko pod warunkami, zabezpieczającemi w zupełności wewnętrzną niezależność. Wódz Gotów, Rielmer, pierwszym był, który nosił tytuł księcia Kantabryi. Goci musieli, równie jak Rzymianie, uznać prawo zasadnicze, i święcie je dotrzymać. Legiony Rzymian, hordy najezdniczków wandalських i chmary mahometańskie zalewały i opanowywały jedne za drugimi półwysep; ale odwieczna rodzina pirenejska pozostała nietkniętą, niezachwianą i niezgiętą, jak skała wpośród fali morskiej.

Kiedy Goci musieli ustąpić nawałnicy saraceńskiej, góry Kantabryi pozostały jedynym przytułkiem religii chrześcijańskiej.

Bohater Pelago zdobył Asturyą za pomocą Basków, którzy zostali wiernymi sprzymierzeńcami Gotów, nawet po śmierci ostatniego ich króla, Rodryga. Później Kantabrya została podzieloną na cztery prowincye, zwane: Nawarra, Guipuzwa, Alava i Biscaya.

Nawarrę odziedziczyli później spadkobiercy Karola Wielkiego. Po bitwie pod Roncevalles (857), Navarra została osobnym królestwem, rządzonem przez Don Garcia Ximenes.

Jeden z następców jego połączył Nawarrę cis-pirenejską z transpirenejską (970). Ferdynand Katolicki odzyskał ją dla Hiszpanii w roku 1512.

Inne prowincye Basków, doświadczyły także w swych stosunkach zewnętrznych pewnych zmian. Guipuzwa została przyłączoną do Kastylii pod Alfonssem VIII; Alava przyjęła protektorat królów Kastylii r. 1332; Biscaya zaś uznała króla Hiszpanii za swego pana (sennor). Wszystkie te zmiany zewnętrzne nie wpłynęły w niczem na stosunki wewnętrzne. Protektorat francuzki, kastylijski i hiszpański, dawał tylko godłu prowincyi znak herbowy, i tyle miał wpływu na wewnątrz kraju, ile kogutek blaszany wskazujący kierunek wiatru, ma wpływ na dom na którym stoi. Bask pozostał zawsze starym Kantabrem, i Karolowi V, synowi nawet jego okrutnemu Filipowi, powtarzał: „Więdz panie, że starożytne nasze zwyczaje miłsze nam nad życie.”

Inkwizycya święta nawet nie mogła, pomimo wszystkich starań, rozciągnąć swe krwawe panowanie na ziemię Kantabrow. Poznali się na ptaku nim swe pazury wykazał, i przystęp mu odmówili.

Trzy prowincye, choć różnią się cokolwiek pewnemi odcieniami w zwyczajach i charakterze, i choć niezupełnie wolne od pewnych zazdrości, pochodzących od ducha miejscowości, łączą się prze-

ciw reszcie świata zawsze po bratersku i jednogłośnie. W chwili niebezpieczeństwa stanowią jedność. Godło na ich wspólnym sztandarze jest: „*Irru rak bat*” słowa kantabryjskie znaczące: „Trzy stanowią jedno.” To sumo znaczą trzy krwawe ręce w tarczy herbowej.

Guipuzwa płaci królowi hiszpańskiemu jako panu swemu (senor) rocznie 18,000 złp., i tę summę daje zawsze z nadmienieniem, że to jest *un donativo*, (to znaczy dar dobrowolny). Alava i Biscaya płacą do 30,000 złp. daniny.

Fueros czyli prawa zasadnicze stanowią: że król hiszpański ma prawo nazywać się panem Kantabryi, jeżeli poprzysięże wierność konstytucyi; lecz że nie może odstąpić lub sprzedać żadnej części jej terytorjum. Wszyscy mieszkańcy są wolni od cła, podatku i roboty, nietylko za teraźniejsze, ale i za późniejsze posiadłości. Król sam żadnego prawa nadawać, ani też ogłaszać nie powinien. Król mianuje 9 namiestników spośródka narodu Baskiego. Alcaldzi (t. j. naczelnicy) prowincyj, muszą być w nich urodzeni. Dla zapobieżenia niszczeniu lasów, zakazuje się zakładać hut żelaznych bez pozwolenia junty krajowej i prowincjonalnej. Wszyscy Baskowie równi są pomiędzy sobą, ale wszyscy są szlachcicami dlatego samego, że się Baskami urodzili; w Hiszpanii tedy mają używać praw i przywilejów, służących stanowi szlacheckiemu. Nikt nie może być wyzutym ze swego domu, z broni i konia, chociażby największe miał długi.

Każdy dom Baska jest świętym przytułkiem dla prześladowanego; żaden urzędnik sądowy nie może w nim szukać przed srogością praw uchodzącego zbrodniarza politycznego lub nawet kryminalnego. Żaden Bask, w jakiegokolwiek bądź się znajduje części Hiszpanii, nie może być sądzonym, jak według praw narodowych i przez sędziego kraju swego.

Baskowie są wolni od konskrypcyi, którą tu nazywają poprostu *Contribucion de sangre* (podatek krwi), a milicya nie potrzebuje i kroku za granicę swój prowincyi występować; czego z boleścią serca swego Don Carlos zmienić nie mógł. Granicę celną nie stanowi rzeka Bidassoa, lecz Ebro. Baskowie mogą do kraju swego wprowadzać wszystkie towary jakie im się podoba; wyprowadzać zaś do Hiszpanii tylko wyroby własnej ojezyny.

Fueros rozciągały się nawet na stosunki duchowne. Nic tu nie wiedzą o hierarchii biskupiej. Proboszcz zależy zupełnie od swój parafii, dycecezya czuwa nad nim i napomina go w razie potrzeby, ale zrzucić go nie może bez zezwolenia parafian. Można powiedzieć, że proboszcz jest papieżem w swój parafii, tak jak Alcalde jest szefem gminy.

W dziejach i prawach narodu odbija się, tak jak w najczystszej zwierciadle, jego wartość i żywotność, jego duch i gieniusz. Z tego punktu widzenia wychodząc i oceniając charakter Basków, z tego cośmy dotychczas o nich wyczytali, jakież sobie zrobimy wyobrażenie o oświacie ludu, rządzącego się tak prostymi prawami?

Zdaje się, że żadna oświata, ani też żadne pojęcie wyższych przyjemności towarzyskich, nie mogły wzrosć w kraju, który sobie nie zdołał napisać sztuczniejszego kodexu praw. Maszynerya socyalna, której wszystkie koła i sprężyny przejrzeć można jednym rzutem oka, cóż może obiecywać? Udać się może tylko w narodzie pełzającym po ziemi, a niechającym lub też niemogącym wzniesć ducha swego w wyższe sfery poezyi! Tak powiedzą teoretycy, stanowiący większość pomiędzy ludźmi, dla których historia i charakterystyka ludów pewien ma powab.

Dla ułatwienia sądu zaproszę czytelnika z sobą, i przeprowadzę go po kraju dziś śmiejącym się i szczęśliwym, którego skreśliłszy długą przeszłość, miotaną najgwałtowniejszemi burzami.

Powróćmy na brzegi rzeki Bidassoa, odgraniczającej Nawarre francuzką od siostry swój Kantabryi hiszpańskiej; powróćmy na most łączący dwa jej brzegi. Pamiętne to miejsce w dziejach nowożytnych, ten most tęsknych westchnień! Tu Hiszpanie wszystkich odcieni politycznych żegnali się ze łzami w oczach z ojczyzną, i szli do Francyi żywić się gorzkim chlebem wygnania.

Tam ku zachodowi sterczą góry Guipozewa, główne ognisko téj dziwnej wojny domowej, pełnej romantycznych okrucieństw i prozaicznych intryg obozowych; wojny, w której wodzowie i mnichy wymieniali się z sobą na role, w której żądza rabunku i kontrabandy pobratała się z fanatyzmem religijnym i bohaterstwem wojskowym. Tu sztandar odwiecznej rzeczypospolitej powiewał w szeregach króla absolutnego; a kwitujące miasta znosiły się z sobą tylko za pomocą pochodni pożar roznoszącej i dzwonów alarmowych! Z jednej strony fanatyzm krzyżacki, z drugiej terroryzm rewolucyjny; a jedno i drugie, nie wiedząc o tém, w służbie nowoczesnych, prozaicznych interesów osobistych!

Krwawa maszkarada! Zdawało się, że wszystkie czarty i gieniusze drżące w głębi charakteru Hiszpanów, ocknęły się raz jeszcze, aby wyszaleć po raz ostatni, nim się rozwinie dzień jaśniejszy. Ale czy to prawdziwie tylko po raz ostatni? Czy jutrenka ta nie jest luną ludzącą?

Pierwszém miastem ze strony Francyi, bramą Kantabryi, jest Irun (Aranzu, językiem Basków), liczące do 6000 mieszkańców. Położenie miasta tego jest bardzo malownicze: ulice wąskie wiją się po stopie skały, a domy pną się po jej spadzistości. Ten sam budynek, który z frontu na trzy piętra wzniesiony, z tyłu ma tylko jedno piętro; ogrody wiszą nad kominami, a drzewa więdną w dymie. Z dwóch stron góry wysokie ściągają na miasto mgły i obłoki, tak, że nieraz zdaje się być kirem przykryte. Nad całym krajobrazem panuje wysoka skała, której stopy służą za podstawę miastu; z jej szczytów widok przepyszny na milową płaszczyznę.

W r. 1837 błonie to było teatrem klęski legii angielskiej, którą rycerski generał Evans przyprowadził na pomoc niewinnej Izabelli, czy też podobno więcej pięknej Krystynie. Sześć tysięcy czerwonych mundurów pierzchnęło przed natarczywością trzech tysięcy milicyantów baskich, zostawiwszy na polu bitwy trzecią część. Od tego czasu rozwiązała się legia angielska, a generał Evans otrzymał od dowcipniów londyńskich w nagrodę swęj wyprawy pochlebny tytuł hrabiego Irun (*Irun*, znaczy po angielsku: ja uciekam).

Mieszkańcy miasta, nawet najmłodsi, kobiety nawet, wzięły udział w bitwie; kilka z ostatnich odniosło chlubne rany i chętnie opowiadają podróżnemu historią dnia tak dla nich pamiętnego. Miły ludek bardzo wesoly i grzeczny, choć tak wojowniczy. Godny widzenia jest kościół tutejszy i piękna marmurowa fontanna, umieszczona w środku jego zakrystyi. Z Irun do Fuentarabii dostać się można za godzinę, płynąc dobrém czołnem naprzeciw pędowi rzeki Bidassoa, na której brzegu leży. Pomiedzy dwoma miastami na brzegach wymienionej rzeki, którą Baskowie Anday nazywają, leży osada Amazonek wodnych, o których później bliżej pomówimy.

Fuentarabia (*Four rapidus* za Rzymian) dumnie położona na przedgórzu Oleanse, była niegdyś straszną twierdzą. Francuzi napróżno usiłowali zdobyć ją r. 1636. Ręka rewolucyi zwała mury, służące na obronę. Mieszkańcy podupadli żyją z kontrabandy i z połowu ryb. W zamku niegdyś królewskim, mieszka teraz gubernator. Kościół bardzo piękny, wybudowany w XVtym wieku, świadczy o dawnęj świetności miasta. Twierdza San-Telmo, wzniesiona przez Filipa II, ma jeszcze dziś być arcydziełem; czemu trudno uwierzyć, pomnąc, że sztuka fortyfikacyi znacznie się wydoskonaliła i zmieniła, nawet od czasów marszałka Vauban.

Ale bije dziesiąta godzina, dzwonią na sumnę w kościele, i cała ludność miasta bieży ku brzegowi rzeki. Zdaleka na zwiercie-

dle wody, pływają jak złote pstrągi czółna, w żywe kolory malowane, na ich masztach powiewają długie, czerwone bandery. Różowe wiosła padają razem i taktownie w wodę, i znów wznoszą się w powietrze jak skrzydła Ibisu. Ale cóż to za rączki i ramiona, które robią tak zwawo wiosłem i kierują sterem? Białe jak śnieg pirenejski, świecący się w promieniach słońca.

Nareszcie się zbliżają; poznajemy nasze Amazonki, nasze Najady. Dobijają, zeskakują jak wazki na brzeg piaszczysty, wyciągają nań łodzie i poprawiwszy ubioru, otarłszy pot z czoła haftowaną chustką, idą w orszaku do kościoła. Fliski Bidassoy są prawie wszystkie uderzającej piękności, braterstwo to bowiem uzupełnia się tylko zpośród najpiękniejszych i najuboższych dziewcząt okolicy. Mieszkają razem w osobnej osadzie, i posiadają od kilku, inoi mówią od kilkunastu wieków przywilej żeglugi i rybołówstwa na dwie mile od ujścia rzeki Bidassoa do oceanu. Wolna osada wolnych dziewic, żyjąca na wolnym żywiole, zdaleka od owych tyranów płci naszej—od mężczyzn! ach to urzeczywistnienie naszych najpiękniejszych marzeń! Tak zawoła może niejedna emancypantka, na widok naszych Świtezianek. Przykro mi jest niszczyć tak piękne illuzye, ale jako wierny historyk zapewnić muszę, że nasze Amazonki dlatego tylko puszczają się na fale burzliwe morza, żeby tém łatwiej dostać się mogły na fale prozaiczne małżeństwa. Tytuł Amazonki jest tak powabnym i sława braterstwa tak daleko sięga, że się kawalerowie z najodleglejszych stron schodzą, aby sobie zpomiędzy niego żonę wybrać. Dziś niedziela, mnóstwo młodych Basków, dziarskich i pięknie ubranych przybyło na małych, ale krępych konikach na mszę; dziś niejedna Najada złoży wiosło i chwyci za obrączkę ślubną.

I któżby nie pojął anioła takiego chętnie za żonę, choć mu żadnego nie przyniesie posagu, prócz swęj moralności, za którą ręczy dobra sława całego braterstwa. Prawie wszystkie, jak już mówiłem, są nadzwyczajnie piękne: wysokiej, wysmukłej i cudnie wygiętej kibici, włosy ich czarne jak heban, a zęby jak perły; wszystkie noszą czarne opięte axamitne kaftaniki, baskinki dość krótkie, z bardzo szerokim kolorowym ślakiem, zpod których wyglądają drobne i zręczne nóżki, obleczone w czerwone pończochy i płytkie trzewiki. Końce warkoczy są kolorowemi wstążkami do pasa przywiązane, aby się po ziemi nie wlekły; tak są długie.

Dodam jeszcze, że poszedłszy za mąż, odwiedzają miejsce w którym spędziły najpiękniejszą część młodości; wolno im tu pozostać trzy dni, ale nie więcej; mężczyznom zaś niewolno bawić w osadzie ama-

zońskiej dłużej jak godzinę; najstarsza Najada, pod której zwierzchnictwem wszystkie inne zostają, pilnuje porządku bardzo gorliwie.

Opuśćmy Fuentarabią i dążmy do San Sebastian, leżącego u stóp tego świecącego niebotycznego kręglu, którego już ztąd z odległości trzech mil spostrzegamy. Góra ta szczególnego kształtu, nazywa się S. Urgull; miasto leży pomiędzy dwoma ramionami morskimi. Okolica bardzo nieurodzajna, choć ją krew ludzka nieraz przesiąkła. Nie ma prawie miejsca w świecie, któreby częściej nawiedzane było nie-szczęciami; i dlatego też przewane *ciudad de las desdichas* (miasto niedoli). W XII wieku, pod panowaniem króla Navarry, Sancho, przezwanego Mądrym, zostało obrócone w perzynę; trzy wieki później w gruzy pogrążone przez Ferdynanda Arragońskiego. Już się było odbudowało najpiękniej, kiedy nadszedł rok 1813. Francuzi tu się zamykają, Anglii i Portugalczyki ich oblegają, i d. 31 sierpnia szturmem biorą miasto. Następuje okropna pamiętna rzecz, w której mnóstwo obywateli, kwiat cały młodzieńczy ginie. Z 600 domów, pozostało tylko 36. Zaraza wyrodzona gniciem trupów niepochowanych, dokonała klęski. Miejsce to jednak ważne jako przystań i punkt obronny cytafellą, zwabiło znowu 12,000 mieszkańców. Miasto się odbudowało w guście zupełnie nowożytnym. Piękny, nadzwyczajnie obszerny rynek, otoczony jest z czterech stron domami na trzy piętra, spoczywającymi na 53 arkadach, służących jako miejsce przechadzki w zimie. Fabryki liczne broni, żelaza, lin; skórne garbarnie są w ciągłej pracy. Założono szkołę dla marynarki kupieckiej, szpital i dom ochrony. Odbudowano most na rzecę Orumea, długi na 500, szeroki na 30 stóp.

Zakupiono bibliotekę dla zastąpienia téj, która w r. 1813 przepadła; wielu tu jest miłośników literatury pomiędzy mieszkańcami: cztery drukarnie w ciągłej pracy; wychodzi tu kilka pism peryodycznych w języku baskim i hiszpańskim. Damy, służące nawet, zaczynają smakować w czytaniu książek, co jest bardzo rzadkim widokiem w Kantabryi, oddanej przedewszystkiém zabawom, przechadzkom, muzyce i tańcom.

Blizko San Sebastian, leży piękna dolina w ustroniu bardzo romantyczném; dolina ta nazywa się Loyola i jest miejscem urodzenia sławnego i często wzywanego świętego Ignacego. Wiadomo, że święty nasz w swéj młodości był żołnierzem bardzo walecznym i kawalerem nadzwyczajnie rozpustnym. Ranny bardzo niebezpiecznie w bitwie jednéj przeciw Francuzom, wszedł w siebie, uczuł skruchę, został księdzem, i choć bardzo małe miał nauki, wpadł na myśl, której

ureczywistnienie wywarło ogromne skutki na świat cały. On jest założycielem tajemniczego, ciągle czynnego, a najczęściej zaczajonego zakonu Jezuitów. Nazwisko Lojola, przyjął od miejsca urodzenia swego.

Droga prowadząca z Sebastyan do Tolozy jest bardzo piękną i wygodną. Jedzie się pod cieniem ogromnych wiśni i innych drzew owocowych rozłożystych. Tą drogą jechał Don Carlos w r. 1834 do Tolozy, aby toczyć walkę ze swą brataneką Izabellą o koronę, z którą wtenczas nie wiedziała co robić, ale którą dziś umie wesolo używać. W Tolozie rezydował blisko lat pięć. Miasto to położone nad dwiema rzekami w ciasnej dolinie, między dwiema górami, liczy 6,000 mieszkańców. Ulice dobrze brukowane i oświetlone, domy piękne i mocno zbudowane, hotele przepyszne. tanie i czyste. W mieście tém handlowém i fabryczném, wyrabiają bardzo piękne płody, szczególnie sukna, kobierce i bron. Kupcy znani są ze swój dumy szlacheckiej i prawdziwie bajecznej uczciwości. Słowo tutejszego kupca (a jest ich wielu i bogatych) więcej warte, niż stęplowane kontraktu innych synów Merkurego. Mieszkańcy wyższej klasy gościnni, ale poważni, ceremonialni i nadzwyczajnie religijni; lud zaś wesół, ciągle gra w piłkę na wszystkich miejscach publicznych, co niebardzo jest wygodną rzeczą dla tych, którzyby chcieli po nich się przechadzać. Toloza jako starożytne miasto obfituje w wiele pomników, archiwów, księgozbiorów bardzo ważnych. Kościół farny jest bardzo wspaniały; dwie poboczne wieże zdobią facyaty, środkowa zaś zdumiewa swym ogromem. Klasztor Śgo Franciszka cały jest wyłożony marmurem z pobliskich gór Aldaba.

Z Tolozy puśćmy się do Bilbao. Niedaleko od drogi, ukryte pomiędzy górami, w powabnych dolinach, leżą dwa miasteczka: Lecoreta i Villa franca; w ostatniej wojnie były one świadkami krwawych, okropnych scen. Dalej obszerna dolina Deva, sławna z swój żyzności. Najpiękniejsze zboże tu wzrasta; bydło rogate przedziwnej rasy, tak piękne, jak w Tyrolu. O półtoręj mili ztąd Placencya, miłe miasto, posiadające fabrykę broni palnej, bardo cenioną w Hiszpanii. Za 120 złp. można tu nabyć doskonałą dubeltówkę, z osadą wykładaną srebrem.

Mondragon, sławne w dziejach rycerskich, wysokim murem otoczone miasto, liczy 3,000 mieszkańców. Wiele z domów tutejszych, zbudowanych jest całkiem z jaspisu. W bliskości znajdują się dwa źródła mineralne gorące, temperatury 35° R. Woda należy do alkaliczno-słonych i zbliża się bardzo charakterem swym chemicznym i skutecznością do wód karlsbadzkich; zawiera jednakże mniej sub-

stancij stałych niż ta ostatnia, i stosunkowo więcej soli kuchennej, niż glauberskiej. Osoby cierpiące na artrytyzm i reumatyzm, na choroby pochodzące z zatrzymania się żółci, znajdują tutaj wielką ulgę. Hotele bardzo wygodne w mieście, urządzone są umyślnie dla gości, biorących kąpiele. Okolica około Mondragon niewyczerpanym jest skarbem dla botanika i mineraloga; piękność i taniłość miejsca, nadzwyczajnie dobroduszny charakter mieszkańców, lubiących namiętnie grać w piłkę, nadobność kobiet, zatrzymają tu każdego podróżnego dni kilka.

W mieście tém urodził się sławny historyk Esteban de Ganiba. On pierwszy napisał dzieje swego narodu w języku hiszpańskim, i jego dzieła winien jestem znajomości historyi interesującego narodu Basków, a Don Emmanuelowi de Cuennas szczegóły nowoczesne.

Jedno z źródeł mineralnych, wytryska o pół mili od miasta, u stóp skały Udalach, wysokości na 850 stóp, całej z jaspisu i kształtu piramidalnego. Pod samą opoką, przestraszającą swym ogromem, znajduje się niemniej dziwna jaskinia, głęboka na przeszło 650 stóp, a cała wyłożona najpiękniejszymi krystalizacyami i festonami stalaktytów zdumiewającymi pięknością. Jaskinia ta dostarcza całej Hiszpanii bolus armeński i kryształ górny.

Na boku zostawiliśmy miasto Bergara, zasługujące na wspomnienie. Leży w kwitnącej dolinie na brzegach rzeki Deva, i coś ma w sobie smętnego, do marzeń zachęcającego. Wysokie góry otaczające to miejsce, drzewa rozłożyste ocieniające je, woniejące kwiaty rozsypane hojnie po murawach, wreszcie malowniczy strój mieszkańców, zachwycają oko i duszę. Znajdują się tutaj szkoły łacińskie, fakultet filozoficzny i prawny, i seminarjum; nie masz w świecie miejsca stosowniejszego na siedlisko muz, zachęcającego więcej do pracy umysłowej; tak jest cichém, piękném i spokojném. Pomimo tego, niewielką odkryłem w ciele naukowém ochotę do uczenia się. Gimnazyści grywali od rana do wieczora w piłkę, akademicy w piłkę i na gitarze, a profesorowie w piłkę, na gitarze i w karty. Bask chce się bawić przedewszystkiém; nie troszczy się nigdy o jutro, skromny i trzeźwy wie, że z głodu nie umrze: o więcej nie dba.

Nie opuścimy miasta Bergara bez wspomnienia ważnego zdarzenia, którem się roku 1839 wstawiło. Maroto, wódz naczelny wojska Don Karlosa, zgładziwszy kulą i prochem najwierniejszych jego zwolenników, poddał się z wojskiem Donnie Izabelli pod Bergarą. Tym czynem zakończył krwawy dramat wyludniający Hiszpanią, i nim zakończył swą karierę!

Spieszmy dalej. Na drodze spotykamy ogromny głaz, przedstawiający zwierzę jakieś przedpotopowe. Napis w języku łacińskim zupełnie prawie zatarty, świadczy, że dziwny ten pomnik sięga czasów rzymskich. Droga prowadzi w górę pomiędzy gestemi lasami; staje się coraz uciążliwszą, nareszcie stajemy na szczycie i spostrzegamy dolinę, a w niej miasto Bilbao. Na tém samym miejscu stał generał Espartero, książę Zwycięstwa, podczas sławnej bitwy, która walecznemu Zumalacarregui kosztowała życie.

Miasto Bilbao lubo tylko 18,000 mieszkańców liczy, trzecim jest portem kupieckim w całej Hiszpanii; pięknie położone, wygodnie wybudowane, pełne ruchu, życia i wesołości, miejsce to podobna się wszystkim podróżnym. Niezliczone mnóstwo żeglarzy z wszystkich narodów i w najrozmaitszych strojach krąży około przystani dość odległej od miasta, leżącej w pobliżności miasteczka Portugalette. Biskajczycy, których Bilbao jest miastem stołeczném, są dobrze zbudowani i czynni, śmiali żeglarze, i rzetelni kupcy. Nie słychać tu nigdy o owych bankructwach, które w innych krajach robią z łotrów milionerów, a z łatwowiernych, żebraków. Córki Biskai są cudnie piękne, wysokie, wysmukłe, pełne życia i nadobności w ruchach. Damy zaczynają niestety już przyjmować strój europejski, i nosić na głowie owe trąbki i puszki z papieru, jedwabiu i axamitu, które znamy pod nazwiskiem kapeluszy. Już zaczynają tu i owdzie znikać wysokie grzebienie, mantyle koronkowe, baskinki czarne atłasowe; ale pozostają zawsze jeszcze narodowe wachlarze, tak wymowne i wygodne; pozostają oczy czarne pełne ognia i czułości, dumy i zachęty.

Lud biskajski tak wysoko ceni swe przywileje, że króla nigdy nie nazywa inaczéj jak panem. Gospodarz domu w którym mieszkałem opowiadał mi, że dziad jego, handlarz wełny, miał raz powód żalenia się na komissarza królewskiego. Opasuje więc szpadę, którą jako Bask ma prawo nosić tak dobrze, jak każdy szlachcic hiszpański, i jedzie do Madrytu; wchodzi do pałacu królewskiego i na schodach spotyka Karola III, bardzo dobrego monarchę, który szedł bez gwardyi, bo go strzegła mitość swych poddanych. Biskajczyk znający króla tylko z portretów, zatrzymał się przed nim i spytał: „Sois Carlo terceiro, mi amo y mi Senno?” (Jesteś Karolem trzecim, protektorem mym i panem?). „Soy” (jestem), odpowiedział król. Wtenczas Biskajczyk wręczył mu prośbę i dodał: „Leed i hazed justicia” (czytaj i wymierz sprawiedliwość). Król wziął prośbę i odpowiedział:

„Loharé” (wymierzę). Istotnie król dotrzymał wkrótce swego słowa.

Szlachetność i pobożność mego gospodarza tak była znana w mieście, jak jego miłość prawdy.

Żyźność okolicy i czynność ludu postawiły miasto Bilbao w kwitnącym stanie. Najważniejsze przedmioty handlu wywozowego są: wełna, żelazo i kasztany, które tutaj w trudnej do uwierzenia obfitości rosną, i przesyłane są do Londynu, Bristolu, Amsterdamu i Hamburga. Handel przywózowy żywiony jest produktami kolonialnemi, tytuniem i sztokfiszem, którego tutaj nie mniej jak kilka tysięcy centnarów co tydzień otrzymują.

Czystość w domach wyrównywa holenderskiej; ulice nawet myte są codziennie. Nikomu niewolno jeździć po nich powozem. Zrobiono wyjątek dla jednego Ferdynanda VII, po powrocie do Hiszpanii r. 1815, ale żałowano tego później. Spacery publiczne, szczególnie Alameda tuż pod arsenałem, bardzo odwiedzane. Nic piękniejszego jak przejażdżka gondolą do morza, odległego o milę; kobiety mają tu przywilej gondolerek, również jak na rzece Bidassoa, ale są daleko mniej poetyczne jak tamte: piękne wprawdzie, ale zanadto silne i męzkie; pracują z usilnością zastanawiającą, wyladują okręta; wchodzą w wodę po pas, i ze zbytnej bojaźni żeby sobie sukni nie zmaczały, podnoszą ją o kilka stopni wyżej, niż wyobrażenia dziś przyjęte o przyzwoitości pozwalają. Tegoby Switezianki z Bidassoa nie zrobiły za nic w świecie.

Kraj, prowincya i miasto utrzymują tutaj kilka szkół; istnieje nawet fakultet chirurgiczny, w którym usposabiają młodzież kursami, w hiszpańskim języku wykładanemi i na 4 lata rozłożonemi, na weale praktycznych lekarzy dla wojska i marynarki. Sześćdziesięciu uczniów utrzymuje rząd. Pomiedzy professorami poznałem dwóch młodzieńców, którzy podczas wojny Don Carlosa z Donną Izabellą, nie chcąc służyć ani w jednym ani w drugim obozie, udali się do Francyi i tam uczęszczali na wydział lekarski, za co ich powieszono *in effigie* w własnej ojczyźnie. Po końcu kampanii wrócili do kraju już doktorami; zdjęto z nich kłatwę, i dano im posadę professorów. Dziś są ozdobami swego ojczystego miasta.

W innej szkole uczą matematyki, marynarki, architektury, rysunków; angielskiego i francuzkiego języka. Prócz tego zakładają szkołę klassyczną i fakultet filozoficzny. Więcej tu ochoty do nauk pomiedzy młodzieżą, jak w Bergara.

Trzy mile od Bilbao, na brzegu morskim, leży na długim języku ziemi, wchodzącym daleko w morze, miasteczko Bermeo, którego mieszkańcy żyją z rybołówstwa. Jeszcze tu istnieje domek, w którym się urodził narodowy poeta Ercilla, sławny autor epopei Araucana, którą spisał w wyprawie peruwiańskiej własną krwią na małych świstkach papieru. Miasteczko to pierwsze oddaje głosy na juncie prowincjonalnej, dlatego, iż kiedyś było stolicą Biskai. Z dumą tutejsi obywatele pokazują kościół, w którym królowie potwierdzali przysięgę na wierność prawa „*sueros*”; pierwszą bowiem składali pod odwiecznym dębem przy Guernica. Monarchowie ani razu nie złamali tej przysięgi. Wymienione miejsce odległe jest stąd o dwie blisko mile. Dąb znany od 2000 lat, zdaje się, że przetrwać jeszcze może drugie tyle, tak jest zdrowym i silnym. Wyznaczono mu osobnego ogrodnika, który starannie podlewa ziemię w razie suszy i umierzwia grunt. Dziś jak za czasów Cezara, wspominającego o sędziwym dębie, zbierają się pod cieniem jego deputowani dla wybierania naczelników rządu i dla słuchania sprawozdań.

Powróćmy na drogę prowadzącą do Wittoryi; jój opisaniem zakończymy wycieczkę naszą po kraju Basków. Idziemy błoniami wzdłuż rzeczki Montrica, słynnej z swych raków i węgorzy. Pierwszy wieśniak którego spotkamy, wyłowi ich każdemu podróżnemu tyle, ile sam zechce, i nie przyjmie za to żadnej zapłaty; tak jest grzecznym i gościnnym ten ludek. Urodzeni i wychowani w patryarchalnym stanie, dusza ich nie skałała się brudami dzisiejszej cywilizacji.

Wchodzimy nareszcie na doskonale utrzymany trakt, prowadzący do prowincyi Alava. Myta i cła nie znajdują tutaj. Przebiegamy najpiękniejszą okolicę urozmaiconą górami, skałami, lasem i polem. Zostawiamy na boku kilka miasteczek, kilkanaście wsi, nareszcie dostajemy się w głębokie wąwozy, zasłaniające cały widok. Śpiew smętny i harmonijny, rozłożony na głosy, dochodzi nas tutaj; nuta tego śpiewu prostą jest, tak, jak zapewne były pierwotne muzyczne próby naszych naddziadów, i ciągle powtarzana w różno-głośnym a jednogłośnym chórze; a jednak pomimo tej prostoty, głębokie sprawia wrażenie. Któż mogą być ci śpiewacy, przybrani w dziwny sposób w burnusy z kapturami? Ciężko obciążeni, skaczą jak dzikie kozy ze skały na skałę, zślizgują się ponad przepaściami, chwytając się gałęzi i nareszcie schodzą w wąwóz, oglądając się z przezornością na wszystkie strony. Jest ich dziewięciu mężczyzn, kobiet i wyrostków. Sąto kontrabandyści obciążeni tiulem angielskim, biżuterją paryżką, je-

dwabiami lugduńskimi, koronkami bruxelskimi, zegarkami szwajcarskimi; wszystko to niosą do Hiszpanii, ale tu już obawiają się szpiegów, których jój celnicy wysyłają na czaty.

Dzwonią na Anioł Pański na wieżach Wittoryi; wstępujemy w jój ciasne, kręte, wysokimi staroświeckimi domami ściśnione ulice. Miasto otoczone jest naokoło podwójnym wysokim murem i głębokimi fosami. Mieszkańców ma 12,000; rzeka Zadorra płynie obok. Ruchu niemało; fabryki aksamitu, kapeluszy, świec woskowych, sukna, płótna, broni i miedzi, zatrudniają wiele ludzi. Okolice obfitują w zboże i wyborną wełnę.

Jestto jedno z najstarszych miast w Kantabryi, założone w VI wieku przez Leovigildo, króla Wissigotów. Francuzi opanowali je w r. 1808, ale opuścili w r. 1813, odniósłszy dotkliwą porażkę.

Miasto dzieli się na stare, zamieszkałe przez wyrobników i inwalidów, i na nowe, zamieszkałe przez kapitalistów, kupców i urzędników. Niedawno założono tutaj szkołę wojskową dla młodzieży, poświęcającej się artylerji, jako też inżynjerji wojskowej i cywilnej. Mundurów nowocześniejszych nie przyjęto dla milicyi narodowej; nosi ona zawsze jeszcze kamizelki czerwone, wyszywane srebrem lub włóczką po huzarsku, spancerki brunatne z wylotami, ogromnie szerokie czarne manszestrowe spodnie, przepaski czerwone i te sławne płaskie, okrągłe czapki nawareńskie, które tu zowią *boyna*. Kościołów pięknych jest kilka w Wittoryi. Kościół Panny Maryi szczególnie jest godny widzenia; ozdoby portалу zewnętrznego i wieży są przedziwnej roboty. Wewnątrz znajduje się jeszcze kilka bardzo pięknych malowideł pędzla Murilla, Velasquesa i Ribeyry, które nie wiem jakim cudem uniknęły zaszczytu znajdowania się w Louwrze, lub w galerji obrazów sławnego znawcy sztuk pięknych i metalów kosztownych marszałka Sault.

W pewnych godzinach w święta i niedziele, można tu przed obrazem Matki Boskiej widzieć rzewnie modlące się wszystkie wdowy całego miasto; w czarnych sukniach, klęczą na czarnych, białem lamowanych kobiercach. Jakież wyraz smutku, tęsknoty i pobożności w czarnych oczach i na białych licach! Dobry praktyczny zwyczaj, ułatwia on Pannie Maryi sposób pocieszenia straszkanych; amatorowie filantropii i młode wdowy wiedzą, kiedy i gdzie mają szukać sposobności do dobrych uczynków. Widać jednakże, że nie musiano nadużywać bardzo zwyczaju tak naiwnego, kiedy trwa aż do dzisiejszego dnia; i to znów wielki cud pomnąc, że Francuzi, utrzymujący że posiadają więcej jak jeden sposób zawojowania świata, panowali w Wit-

toryi przez pięć lat. Warto także zwiedzić katedrę i kościół ś. Michała.

Niemasz w świecie miejsca, gdzieby klasa służebna była weselszą i zabaw chciwszą jak w Wittoryi. O siódmej godzinie wieczorem, nie utrzyma nikt żadnego służącego i żadnej służącej w domu; wszystko leci do fontan, nibyto czerpać wodę, ale prawdziwie na śmiechy, pogadanki, śpiewy, romanse i płąsy. Nic nie wyrówna serdeczności z jaką się śmieją owe czarno-okie dziewczęta z długimi jasnymi warkoczami, chyba zapałowi z jakim kochają. Uciechy trwają aż do zachodu słońca; nareszcie każda czerpie wodę w swój dzbanek kształtu hętruskiego, i stawia go na głowę, podaje rękę swemu kawalerowi, i staje w koło. Teraz się zaczyna taniec najszaleńszy jakim widział: mężczyzna tańczy rodzaj kozaka, a duleynea obraca się koło niego w takt, zrazu wolno, później szybko; znów formuje koło, cały łańcuch obraca się, zwęża, rozszerza, rozpada bijąc ręką w rękę i nogą o nogę, i to bez przelania jednej kropli wody. Taniec ten trudny i niebezpieczny, nazywa się *sorsico*; należy on koniecznie do kompletniej edukacji niższej klasy Wittoryanek, i młodszą nieumiejąca go tańczyć takby się wstydziła, jak u nas dobrze wychowana panna, nierozumiejąca Alexandra Dumas lub Pawła Kocka w oryginalnym i naturalnym języku.

Ale nagle rozpada się koło jak paralizem rażone: baletniczki z konewkami na głowie idą w jedną, a kawalerowie jak zmyci w inną stronę. Zgiełk i wrzawa, śmiech i tańce ustały; wszystko cicho. Któżto ten cnd sprowadził? Oto ten jegomość z pogodną, poważną twarzą, dwoma swemi słowami: „Dzieci, już dosyć!”. Ten jegomość jest *el Zelador publico*, cenzor publiczny, cenzor moralności, cenzor *morum*, którego jest obowiązkiem przestrzegać porządku i przyzwoitości na ulicach i w miejscach publicznych. Urząd ten nie jest płatnym, piastować go winni obywatele, wybierani z pomiędzy najszanowniejszych z kolei. W razie oporu, cenzor ma prawo zawezwać władzy policyjnej, nawet wojskowej; ale za pamięci najstarszych ludzi nie zdarzyło się, żeby tego potrzebował. W narodzie w którym pijaństwo jest uważane za nałóg hańbiący duszę ludzką, niepotrzeba więzień i batów, groźb i klątw do utrzymania przystojności.

Przelecieliśmy lotem ptaka ponad Kantabryą, nie zatrzymując się dla wytchnienia jak w miejscach najwydatniejszych; jednak z tego cośmy widzieli, możemy sądzić o reszcie tego pięknego, poczciwego kraju. Pozostaje nam jeszcze dodać kilka słów o języku Basków, o tój do żadnego europejskiego narzecza niepodobnej mowie, którą

podług zdania Humboldta, w pierwotnych czasach w całej Hiszpanii mówiono.

Baskowie utrzymują poprostu, że ich językiem mówiono jeszcze w raju, i że wszystkie inne języki z niego pochodzą; ale Baskowie nie znają nic o filozofii języka, i co do tego na bardzo małą zasługują uwagę. Niektórzy z nich jednakże, którym się zdaje, że posiadają pewny stopień nauki, zadowalniają się mniemaniem, że ich język jest niczem mniej lub więcej, jak narzeczem fenickiego, i że Baskowie są potomkami osady fenickiej, osiadłej na stopach gór Pirenejskich w bardzo odległych czasach. O tej teorii, czyli raczej o tém domniemywaniu, niestwierdzoném żadnym dowodem, powiemy tylko, że jeżeli mowa Fenicyan jest tylko narzeczem, pochodzącém z hebrajskiego (jak tego prawie dowiedli *prawdziwie uczeni* filologowie), byłoby rzeczą tak bezrozumną twierdzić, że język Kantabrow pochodzi od fenicyjskiego, jak jest rzeczą bezrozumną twierdzić, że język kamczatski pochodzi z greckiego.

Jest jeszcze inne zdanie o języku Basków, które zasługuje na większą uwagę dlatego, że najuczeńsi literaci Europy je podzielają. Chcę tutaj mówić o mniemaniem celtyckiem źródle tego języka, i o jego blizkiej styczności z mową irlandzką; owém najwięcej uprawioném narzeczem celtyckiem. Osoby, które utrzymują, że są doskonale obznajmione z tym przedmiotem, śmiały twierdzić, że tak mała istnieje różnica pomiędzy obu językami, że Bask spotkawszy Irlandczyka, porozumie się z nim za jedyną pomocą rodzinnęj mowy, to jest: że nie masz tu większej różnicy, jak pomiędzy francuzkim i hiszpańskim językiem.

Zdaniem jednakże pana Borrow, filologa najpraktyczniejszego, jakiego mi się zdarzyło poznać, nie masz w Europie dwóch języków mniej do siebie podobnych, jak baski z irlandzkim. Irlandzki język, jak największa część europejskich, jest narzeczem sanskryckiego, bardzo odległym, jak można wnosić z łatwością z odległości Irlandyi od wspólnej naszym przodkom ojczyzny wschodniej. Pomimo tego, mowa Irlandczyków jest tylko narzeczem tego czcigodnego i oryginalnego języka, nie tyle do niego podobnym, jak niemiecki, duński, angielski; słowem, wszystkie gotyckie narzecza: i daleko mniej niż słowiańskie, gdyż podobieństwo języków do tego, który jest ich wszystkich ojcem, rośnie w miarę jak się zbliżamy ku Wschodowi; ale jednak dyalektem zgadzającym się z sanskryckim co do budowy, co do podobieństwa słów, jakkolwiek już bardzo zatartego. Ale czémże jest język baski i do jakiej rodziny języków należy?

Wszystkie narzecza, któremi teraz mówią w Europie, wychodzą z dwóch wielkich azyatyckich źródeł, istniejących jeszcze w książkach i będących mową dwóch głównych religij Wschodu. Mówię tu o języku tybetańskim i sanskrytskim: o świętych językach zwolenników Buddy i Brahmy. Mowy te, lubo posiadają wiele tych samych wyrazów, (co łatwem jest do pojęcia pomnąc na bliskość miejsca z kąd wychodzą), różnią się jednakże bardzo od siebie z przyczyny budowy zupełnie innej języka jednego i drugiego. Nie tutaj jest miejsce rozwoździć się, na czem zależy ta różnica; ograniczymy się na powiedzeniu: że narzecza celtyckie, gotyckie i słowiańskie, należą do rodziny sanskrytskiej, tak jak na Wschodzie perskie, i w mniejszym stopniu arabskie i hebrajskie i t. d.; że zaś do tybetańskiej czyli tatarskiej rodziny należą w Azji narzecza manczuskie, mongolskie, kałmuckie i tureckie morza Kaspijskiego; a w Europie węgierskie i baskie *częściowo*.

Ten ostatni język jest prawdziwie dziwną zagadką i anomalią, tak, że łatwiej jest powiedzieć czem *nie jest*, jak, czem *jest*. Zawiera tyle słów sanskrytskich, że jego powierzchnia zdaje się być niemi obsypaną; a jednak nie można go nazwać sanskrytskiem narzeczem, gdyż w umieszczeniu i porządku części mowy, kształt tatarski jest zachowanym. Znaczna ilość słów tatarskich znajduje się także w języku Basków, choć nietyle, ile sanskrytskich.

Zastanowiwszy się bliżej nad duchem, kształtem, powinowactwem języków, pan Borrow, któremu winniśmy bliższą znajomość tych szczegółów filologicznych, umieszcza baski język raczej pomiędzy tatarskie, niż sanskrytskie dyalekta. Ktokolwiek ma sposobność porównać sposób intonacji czyli głosowania Basków i Tatarów, odgadnie z samego ucha, nie rozumiejąc nawet języków, powinowactwo pomiędzy niemi. W obu językach zdarzają się peryody niezmiernie długie, podczas których głos stopniowo wznosi się do szczytu, a potem stopniowo spada.

Mówiłem o zadziwiającej ilości słów sanskrytskich, zawartych w języku Basków. Szczególną jest rzeczą, że prawie we wszystkich wyrazach ze sanskrytskiego źródła pochodzących, Bask opuścił spółgłoskę początkową, tak, żeby wyraz zaczynał się samogłoską. Nie masz też języka, w którymby więcej było samogłosek jak w baskim, i to go robi miękkiem i melodyjnym do wyższego stopnia jeszcze, niż nim jest język włoski.

Ale choć jest łatwym do wymawiania, trudnym jest do nauczenia się, z przyczyny szczególności kształtu swego i skłdnni. Rzadko cudzoziemiec pojmie go tyle, żeby się nim mógł rozmówić, a Hiszpanie uważają trudności za tak zastraszające, że utrzymują, jakoby sam

szatan żyjąc siedm lat w Biskai, nie mógł się go nauczyć, i że nie rozumiejąc mowy ani też nie będąc w stanie dać się zrozumieć, opuścił Biskaję.

Zresztą mało jest powodów do nauczenia się tego języka: język hiszpański znanym jest w całej hiszpańskiej Kantabryi, a francuzki w Nawarze, i one wystarczą na porozumienie się. A potem literatura Basków nie jest w stanie wynagrodzić pracę uczącego się; jest ona bardzo ubogą, i składa się prawie jedynie z ksiąg religijnych.

Nie brakuje Baskom ballad, dumek i sielanek, ale charakteru zaledwie zasługującego na nazwisko poezyi.

Jako przykład pięknego brzmienia języka, a zarazem ubóstwa myśli poetycznych, podaję tutaj zwrotkę jedną śpiewu żeglarzy, w której jeszcze najwięcej znalazłem poezyi:

„Icíasoa urak aundi
Estu ondorik ageri;
Pasako nisakoni andik,
Maitea ikustea gatik.”

co znaczy: „Wody oceanu nie mają granic, a dno nie może być dojrzone; lecz ja je przebędę jednakże, aby zobaczyć mą kochankę.”

Baskowie są raczej śpiewakami, niż poetami. Pomimo łatwości z jaką ich mowa szykuje się w rymy, nie wydali nigdy poety, mającego pewne prawo do sławy; lecz ich głos jest szczególnie miłym i gładkim, i znani są powszechnie jako doskonali kompozytorowie. Nazwisko narodu ma nawet pochodzić od dwóch słów baskich: *lhanlor* i *ber*, które znaczą: śpiewak słodki. Posiadają bardzo wiele wyższej muzyki z odwiecznych czasów, z której część została wydana w roku 1826 w Donostian (San Sebastyan). Nic wspanialszego i szczytniejszego, jak owe dzikie i przejmujące marsze, przy których odgłosie Kantabrowie schodzili z swych gór, dla spotkania się na krwawym polu z Rzymianami lub Maurami. Słuchając te marsze zdaje się, że jesteście blisko wściekłego boju, widzimy szarżę kawalerji, słyszymy szcęk broni i jęk umierających.

Baskowie tłumaczą swe uczucia raczej muzyką, niż poezyą. Nie wolą nie znoszą. Niechętnie nawet w obowiązki służebne wchodzą, i bardzo rzadko znajdzie Baska służącego Hiszpanowi. Ale to się tyczy jedynie mężczyzn. Kobiety nie rządzą się tym samym punktem honoru, i chętnie wchodzą w obowiązki. Kobiety nawet pomiędzy Baskami nie są szanowane należycie: azyatyckim zwyczajem mężczyźni uważają je za zdolne jedynie do pracy i do rozkoszy; pomimo, że w ogólności więcej od mężczyzn posiadają dowcipu, żywości i czyn-

ności. Sławne są na całym półwyspie jako kucharki, i w bardzo wielu pierwszych domach Madrytu, kucharka biskajska rządzi ważnym departamentem spraw kuchennych.

Naród Basków, któryśmy wystawili kochającym kraj swój od wieków, bił się jednakże w szeregach króla absolutnego, przeciwko konstytucyjnej Hiszpanii! Ale ten król zabezpieczył im używanie dotychczas posiadanych przywilejów, które konstytucya, nie mogąc ich nadać Hiszpanii, Baskom odebrać chciała. Można się dziwić, że lud przyzwyczajony do patryarchalnych instytucyj, nie chciał nic wiedzieć o konstytucyi uszczuplającej ich przywileje? Wszystko jest względne na tym świecie, i co dla całego półwyspu było postępem, dla Basków było nieznośnym jarzmem.

Nieraz byłem przytomnym, kiedy *politykę szczytnie* pojmujący filozofowie, sztychali z ciasnego ducha miejscowości i upartej żądz przywilejów Kantabrow. Zagadnięci górale odpowiadali najczęściej w tych słowach: „Nasze prawo zasadnicze może nie jest najlepsze, ale jest ono jedyne, które na naszym gruncie wzrosło, które nie zawiera w sobie nic pożyczanego. Żyjemy przeszło 20 wieków pod jego cieniem szczęśliwi i nie pragnąc nic lepszego; wasze zaś papierowe wolności zmieniają swój kształt za każdym powiewem wiatru z Anglii i Francyi, i dziurawią się ostrogami każdego żołnierza dobiegnia (soldat parvenu). Cóż mamy sądzić o konstytucyi, w imieniu której profanowano nasze ołtarze, w imieniu której prawie wszyscy jej fundatorowie zakończyli życie na rusztowaniu lub jeszcze je znoszą na wygnaniu”.

Czémże tedy nazwać popicranie sprawy Don Carlosa przez naród wolny i wolnomysłny? Wiedział on dobrze, że Infant zostawszy królem, odda Hiszpanią panowaniu mnichów, dworaków i inkwizycyi; ale jemu zapewnił święcie używanie praw narodowych. Czy stronnicy inni Don Carlosa i cudzoziemscy kawalerowie, którzy go wspierali zapałem rycerskim, dbali więcej o utrzymanie republikańskich instytucyj Basków, jak o odbudowanie absolutyzmu w Madrycie? — to jest inne pytanie. Niech będzie jak chce, można zawsze nazwać wojnę Basków usiłowaniem dążącym do korzystania dla własnej swobody z niewolnictwa innych; i to jest, co ich oskarża o samolubstwo. Niestety! żądza, miłość i posiadanie swobód, nie wyzuwa jeszcze narodów z wrodzonego im samolubstwa! Że propaganda nie jest rekojmią szlachetności, o tém nas przekonały najnowsze wypadki, wprowadzone przez większy daleko naród.

Oddajmy jednakże sprawiedliwość Baskom, że obowiązkom swym jako sprzymierzeńcy, zawsze święcie odpowiadali. Przeciw cudzoziemcom, bronił Bask Hiszpanią jak własną zagrodę rodzinną. Wojny przeciw Francuzom są tego jasnym dowodem. Jeszcze pozostaje w pamięci wszystkich, co wtenczas śmieli górale dokazywali, z jakim ogniem walczyli, jak zimno umierali. Lecz kiedy niebezpieczeństwo minie, syn Kantabryi wraca do cienia swych dolin i najspokojniejszóm jest stworzeniem. Gościnnie i serdecznie, wesoły i przyjacielski u siebie, tak jest obojętnym na świat zewnętrzny, jak gdyby chińskim był przegrodzony od niego murem.

Od upadku pretensyi Don Carlosa, Baskowie nie zmienili położenia swego względem Hiszpanii; obstają przy swém postanowieniu nie poświęcenia ani najniższego tytułu swych „fueros”, które przez rząd centralny, zaczynający się czuć na siłach, zagrożone są dziś więcej niż kiedykolwiek. Baskowie wszyscy, mężowie, starcy, kobiety, dzieci i księża, gotowi są łączyć się pod sztandar z trzema rękoma, i walczyć za swe prawa.

Oby zakątek w którym panuje prostota i szczęście, nie stał się wkrótce teatrem scen krwawych!

PODRÓŻ DO ŹRÓDEŁ WISŁY,

ODBYTA W R. 1849.

PRZEZ

Ludwika Tejsznera.

Poznanie początku wielkich rzek niepospolity ma powab, a ten jest jeszcze wyższy, jeżeli rzeki te łączą się z życiem ludów, które cywilizacją, szlachetnemi uczuciami i oświatą, innym przewodniczyły albo przewodniczą.

Wszystkie wielkie i świetne dzieła narodów, mają najściślejszy związek z ich rzekami; i rozmyślając o jakim kraju, mimowolnie przychodzi nam na myśl ruchoma woda, która mu daje środki do wzniesienia swych bogactw i potęgi. Dlatego też kto myśl puszcza w upłynione wieki, i rozważa o Egipcie, niepodobna aby mu Nil nie stanął w myśli; kto tylko zastanawia się nad Indyanami i ich cudnym krajem, musi myśleć i o Gangesie—świątęj rzecze starożytnych Indów; a kto дума o Polsce, czyż może zapomnieć o Wiśle, prującej jej bogate niwy, zdobne złotą pszenicą, nad którą wznoszą się celne jej grody. Źródła Wisły, tej matki rzek polskich, tak są u nas niedokładnie poznane, że nawet poważniejsi, nowi pisarze, mylnie dają o nich wiadomości; dlatego sądziłem, że rozpoznanie ich może nie będzie bez interesu: a że samodzielne badania zawsze mają swoje właściwą wartość, przedsięwzięłem tę rzecz wyjaśnić, aby usunąć nadal wszelkie wątpliwości.

Nie zamierzam kręślić wyprawy trudnej do wykonania; przeciwnie, góry, gdzie się Wisła zaczyna, należą do najwyżej ucywilizo-

wanych okolic, w których mówią językiem polskim. Nietrzeba tutaj pokonywać tych niebezpieczeństw i zawodów, które od wieków utrudniają odkrycie źródeł Nilu, a które jednak nie mogły odwrócić śmiałych podróżnych od zamierzonego celu. Przed kilkoma laty, wysilenia te uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem, i odkryto wreszcie w środku Afryki, niedaleko równika, potężne góry, okryte wiecznym śniegiem, dające początek Nilowi. Wiadomość ta, sprawiła wielkie wrażenie w świecie, zajmującym się wiedzą ludzką, i wywołała uszanowanie oświeconych, a obojętność tłumu ludzi, używających darów przyrody. To była cała nagroda, dla tych nieustraszonych mężów!

Wisła bierze początek w Szlązku austriackim, w górach Karpackich, w części zwanéj Bezkidami, i wypływa z nich przy pięknej wiosce Ustron. Zanim opiszę jéj bieg i stosunek do znaczniejszych rzek europejskich, nie od rzeczy będzie rzucić pobieżnie kilka uwag na jéj znaczenie geograficzne. Wisła odgranicza właściwie zachodnią Europę od wschodniéj; przepływa płaskie a żyzne kraje, zmierzając do morza Północnego. Dunaj, Elba, Ren i Wisła, są czterema głównymi rzekami środkowéj Europy, mającemi prawie jednakié wymiary; i tak: odległość źródeł Wisły do ujścia, wynosi 72 mil geograficznych, długość jéj istotna 123 mil; tym sposobem zakrzywienia jéj wynoszą 51 mil, a zatém prawie $\frac{2}{3}$ części prostéj długości. Odra ma nieco większą odległość od źródeł do ujścia, i ta wynosi 84 mil, ale jéj zakręty nierównie są mniejsze, i dlatego nietyłe krajów zwilża. Znakomitszą rzeką od dwóch poprzednich jest Ren; odległość jego źródeł od morza wynosi 100 mil, a ze zakrętami 147; stosunek więc zakrzywień do prostéj długości nie jest tak wielki, jak Wisły, i dlatego prawie porzecza Renu i Wisły są jednakowe, bo zajmują prawie jednakową ilość mil kwadratowych. Powierzchnią kraju, poprzeryzaną rzekami zmierzającemi do jednéj głównej rzeki, nazywam porzeczem (Stromgebiet). Porzecze Wisły wynosi 3,571 mil kwadratowych, a porzecze Renu przenosi nieco tę liczbę, gdyż ma 3,590 mil kwadratowych; nierównie mniejsze są porzecza Elby, bo wynoszą 2,800 mil kwadratowych, i Odry 2,070 mil kwadratowych.

Główny kierunek Wisły jest z południa na północ, i ten zachowuje od początku; zmienia go wszakże niedaleko za miasteczkiem Strumień (Schwarz Wasser), zwraca się prawie z zachodu na wschód, i tak płynie aż do Sandomierza, prawie równolegle od Bezkidów. Odtąd bieży prawie prosto na północ do morza Bałtyckiego, rozczę-

piwszy się, jak każda wielka rzeka, na kilka odnóg. Dziwne zaiste zachodzi podobieństwo pomiędzy źródłami a ujściem rzek; przy niektórych trudno jest powiedzieć, który strumyk jest początkiem, gdyż powszechnie kilka można z równym prawem za takowy uważać; podobnież i przy ujściu, trudno rozstrzygać, które z rozdzielających się ramion rzeki jest głównym korytem. Najznakomitsze rzeki, najwięcej zasilające Wisłę wodą, wychodzą z Karpat, i wpadają do niej w owym wielkim zwrocie ze zachodu na wschód; w dalszym przebiegu niewiele do niej wpada znaczniejszych rzek. Rzeki płynące z Bezkidów mają jeden główny kierunek; wszystkie zmiierzają z południa na północ, tak jak w początkach i Wisła; ich kryniczne wody, jak łąza przezrocyste, pięknej, zielonej barwy, toczą się z niezmierną wartkością. Rzeki te zapuszczając swe odnogi po rozległych gruniach karpaccich, nabrzmiwiają gwałtownie w czasie deszczów wiosennych i letnich, i sprawiają wezbrania Wisły, nie pochodzące od topniejących śniegów, które się mają znajdować w jakichś wymarzonych, ośnieżonych, wysokich Karpatach. Wyjątek z tego czynią topniejące śniegi na wiosnę, które, jak wszędzie, są przyczyną powodzi. Główne rzeki Bezkidowe są: Soła, Skawa, Raba, Dunajec, Wisłoka i San; mniejsze zaś: Biała, rozdzielaająca dwa pokrewne miasta, Białą i Bielsko, gdzie się rozwinął wielki przemysł, stanowi granicę pomiędzy Galicyą a Szlązkiem; Skawina, wpadająca do Wisły pod miasteczkiem tegoż nazwiska; Uświca płynąca przy Brzesku. Wszystkie te rzeki, prócz Dunajca, biorą początek w Bezkidach, a zatem w górach wznoszących się do 4,000 stóp paryzkich, a nad którymi wystają pojedyncze tylko szczyty na 1,500 stóp, z których znikają śniegi już w końcu kwietnia, pozostawiając małe smugi do początku maja. Nawet i Dunajca, biorącego początek z nierównie wyższych szczytów Tatrowych, nie zasilają śniegi, gdyż w końcu maja celne turnie Tatrowe, najbardziej ociemnione doliny, okrywają świeżej zieloności trawy i cudnej barwy holowe (alpejskie) kwiaty; w zlepkach tylko zostają białe wstęgi śniegu, które choćby odrazu wszystkie stopniały, nie są w stanie sprawić na jeden dzień powodzi Dunajca.

Od połączenia się z Sanem, staje się dopiero Wisła znaczniejszą rzeką, i odtąd pływają na niej większe statki. Tu nagle zwraca się nasza rzeka ku północy, i odtąd zmiierza prosto w tym kierunku do morza Bałtyckiego. W tym przebiegu, zasilają ją jeszcze trzy znakomitsze rzeki: Wieprz, Bug i Pilica. Począwszy od rzeki Skawiny, na zachód, aż poza Wisłę i Olse, Karpaty oddzielają się bardzo wyraźnie od kraju pagórkowatego, który Wisła odgranicza od północy.

Spoglądając na tę okolice z gór wznoszących się nad Lipowcem lub z Alwerni, wydaje się ona jakby wielka równina; atoli rozpoznając ją zblizka, spostrzegamy, że to kraj pagórkowaty, okryty grubym pokładem gliny, w której nie można dostrzedz skał pod nią ukrytych. Dopiero na zachód od Soly, pagórki są wyższe, pokład gliny cieńszy, i na nieprzeliczonych miejscach widać pod nią wapieni a nawet skałę ogniową, zwaną dyorytem, wznoszącą ten osad morza pierwotnego. Podobnie jak w Lombardyi i na równinach Wenecyi, od kilku wieków umiano trafnie korzystać z wód, spadających z gór. Ale sposób użytkowania, stosuje się do klimatu; pod szczęśliwem niebem włoskiem, wody ujęte w kanały, dwa razy do roku dają żniwo i nieprzeliczone sianozęcia (pod Medyolanem 10 razy w roku sieką trawę); u nas kanały dostarczają woły do stawów, w których przez 3 lata chowają się ryby, a przez drugie trzy lata też same dna stawów dają ziemię naturalnie umierzwioną. Na całej téj podkarpackiej przestrzeni, kraj ma szczególne wejście: zazwyczaj role otaczają wysokie wały, i nieraz można spotykać staw, za nim zasiane grunta, znów staw i tak dalej. Od kilku wieków widać zaprowadzono tutaj gospodarstwo rybne, bo szlachtę zamieszkującą tę okolice nazwano Karpikami; widać od ryby, najęściiej chowanój.

Już na zachód od Kobiernic, wznoszą się znaczniejsze pagórki; pod gliną sterczy szary wapieni, dzielący się w mniej więcej grube warstwy, a na ich oddziałach w różnych miejscach pokazują się odciski morskiej, zaginionej rośliny, od paleontologów nazywanój *Chondrites Targionii*: przy Skoczowie zaś są miejscami nieco odmienne wapienie, bez śladu oddziału odpowiadającego warstwom, otoczone ze wszech stron wapieniem, wydatnie warstwowanym. Piérwsze zawierają nieprzeliczone mnóstwo pozostałości zwierzokrzewów, w przecięciach podobne do gwiazd lub nader misternie wyrobionój siatki, wraz z rozlicznymi ślimakami, a nawet bywają małe raki morskie, nieoznaczone dotąd; sąto niewątpliwe dowody, że wszystek ten wapieni osadził się z łona morza, i że w owych pierwotnych czasach, kiedy jeszcze człowiek do bytu nie został powołany, istniały podobne rafy i wyspy koralowe, jakie teraz natrafiamy na oceanie Południowym. Przy Skoczowie na nieprzeliczonych miejscach, poprzebijala skała ogniowa (dyoryt) te osady morza, potargala cały kraj, i powynosiła pagórki; ale ta straszna siła zbawienną stala się w skutkach, gdyż okolica otrzymała malowne widoki, a rozkładając się, wydała ziemię odznaczającą się urodzajem.

Tenże sam charakter co pod Skoczowem, ma kraj rozciągający się dalej na zachód ku Cieszynowi i Mistkowi nad Ostrawicą. W tymto kraju, pomiędzy rzekami Białą a Ostrawicą, mieszka właściwy szczerp ludu polskiego, odróżniający się pod wieloma względami od swych sąsiadów, mówiących tymże językiem. W ogólności cechują go: wyższe wykształcenie, większa znajomość uprawy roli, dobry byt, i z nim w parze idące szlachetniejsze obyczaje, połączone z ową prostotą duszy, i tą rzadką dobrocią, co zdobią człowieka. Gospodarnością i czynnością przyszedł do znacznieszego dostatku, i ten odbija się w całej zewnątrzności kraju. Szlązacy niemało przyjęli cywilizacji od swych sąsiadów Morawiaków, i pod wieloma względami do nich się zbliżają, odróżniając się znacznie na pierwszy rzut oka od graniczącego polskiego włościanina. Chłopi porzucili pierwotny strój słowiański, a przyjęli niemiecki; co dowodzi, że na włościanina wpływa moda, podobnie jak na tych, co mieszkają w pałacach, tylko zmienia się wolniej. Ubiór Szlązaka składa się z granatowego sukienego szpanceru, z wielkimi białymi metalowemi guzikami, i podobnego koloru szarawar; głowę okrywają wysokim spiczastym kapeluszem, z szeroką aksamitną wstęgą; w zimie wdzwiewają płaszcz granatowy. Do nadgranicznych wiosek w Galicyi przeniósł się ten ubiór, i już jest powszechnym pomiędzy Białą a Sołą, a mianowicie w Kozach, Bujakowie, Kobiernicach i t. d. Jeżeli strój męzki nie ma w sobie nic pięknego, to niewiast odznacza się jeszcze niezwykłością i szczególną oryginalnością; zdaje się, że wszystkich dołożyły starania, aby zakryć cały wdzięk kibici. Postać ich podobna jest do snopka, z osadzoną głową na wierzchu. Ubiór ich składa się z krótkiej kamelarowej, ciemno-brunatnej, niezmiernie faldowanej, zaledwie do kolan sięgającej sukni, u spodu obwiedzioną wstążką jedwabną, popolicie niebieską, rzadko jasno-zieloną. Jeżeli suknia ta na dole jest zakrótką, to w górze jest tak długą, iż zaledwie pozostaje miejsce na mały stanik, bogato złotem lub srebrem obsyty, i spięty na przodzie srebrnemi haftkami, z pod którego widać białą jak śnieg koszulę, z krótkimi rękawami. Zawsze noszą trzewiki, i czerwone wełniane pończochy; po nich łatwo poznać ich zamożność. Im majątniejszy gospodarz, tém dłuższe nosi jego żona pończochy, bo dochodzą do 3 1/2 łokcia. Taka pończocha będąc zadługą, nie może gładko leżeć na nodze, i dlatego bywa w faldy pomarszczoną. Aby według pojęcia o piękności szlązkich modnych niewiast, stosownie leżała pończocha na nodze, potrzeba na to zwyczajnie prawie dwóch godzin; wszystkie zmarszczki muszą być równe, i żadna ani mniejsza, ani większa od

drugiej. Mężatki noszą na głowie pięknie obwinięte białe chustki, spadające aż do połowy ciała; bogatsze wyszywają je zdobnym haftem, i obwodzą koronką. Prócz chustek na głowie, używają jeszcze białych płóciennych szali, któremi się owijają z niemalym smakiem. Dziewczęta czeszą włosy gładko, splatają je w długi warkocz, spadający do połowy ciała, a na końcu wplatają wielką kolorową wstęgę, zawiązaną w kokardę. Fartuch wreszcie z wygładzonego perkalu, z wielkimi czerwonymi kwiatami, uzupełnia strój wieśniaczek, kosztujący od 400 do 800 złp. Właśnie była niedziela, kiedy w Puńcowie, pobliskiej wiosce od Cieszyna, spoczywał pod wystawą domku włościańskiego. W świąteczne przyodziane szaty, z godną pochwałą czystością, wychodziły do kościoła te niezgrabne piękności szlązkie; każda zwracała na siebie uwagę gospodyń domków, i o każdej umiały coś powiedzieć, jakby w największym mieście. Ten różnobarwny strój, niemało przyozdabiał dolinę. Wśród ludności wiejskiej czystopolskiej Szlązka, miasta są po większej części niemieckie, albo przynajmniej element germański w nich przeważa. Wyjątek z tego czyni Skoczów, mała miejscina, nieodznaczająca się niczem innem, jak tylko, że przy niem jest wielki most na Wiśle, przez który przejeżdża się z Galicyi do Szlązka i Morawii. Rzeka ta chociaż tu jeszcze bardzo jest wązka, niezmiernie wylewa, i powysypywała obszerne kamienie (tak nazywają ławice żwiru, które osadzają wody rzeki).

Pięć ćwierci mili na wschód od Skoczowa, leży u stóp gór Ustron znaczniejsza wioska. Podobnie jak wszystkie górskie, rozciąga się ona w podłuż Wisły, ma miłą powierzchowność, porządne budynki, znakomite fabryczne zakłady, i dwa wielkie kościoły. Wysokie, bujne drzewa dodają jęj niemałego wdzięku. Dwom przyczynom winna jest swój wzrost: zakładowi hutniczemu, i gościom używającym żelaznicy i kąpieli żuźlowych. Od stu lat wystawiony wielki piec, odznacza się w obecnym czasie wybornem urządzeniem i służy za wzór, jak z biednych, mało co wydatnych rud karpaccich, można z korzyścią otrzymywać żelazo. Jestto jak na nasze strony piec olbrzymiej wielkości, albowiem wydaje rocznie 30,000 centnarów wiedeńskich surowego żelaza. W pobliżu wysokiego pieca, stoją pięknie wybudowane fryszerki, gdzie według najlepszych teraz metod, ze surowca przerabiają kute żelazo, a to według popraw uczynionych w prowincyi francuzkiej Comté, i ztąd komtejską nazywają tę metodę. Zasada się ona na tém, że niewielką ilość żelaza surowego, stapiają w piecu fryszerkim i natychmiast wykuwają. Do czynności tej wychodzi tylko połowa węgla, potrzebnego w zwyczajnej metodzie. W Szlązku

pruskim, w Galicyi, w Polsce, stapiają odrazu 6 centnarów surowca, następnie ostudzone drobią w kawalki, i powtórnie ogrzane dopiero przekuwają. Przy hucie ustronińskiej urządzone są ulewnie żelaza; we fryszerkach wyrabiają obręcze żelazne, pługi i inne przedmioty; w zakładzie machin różne narzędzia do rolnictwa potrzebne. Może jeszcze więcej do wzniesienia i uczynienia głośnym Ustronia przyczynili się goście używający żetycy, czyli serwatki z owczego mleka, i kąpiele, do których wodę ogrzewają żuzłami.

Nad Ustroniem wznosi się potężny grzbiet Czantorya, zwany od małej roślinki czantoryjki, z pięknym czerwonym kwiatem, okrywającym jęj boki. Po łacinie nazywają ją botanicy *Erythrea centaureum*, Person; Linneusz zaś dawniej *Gentiana centaureum*. Mnóstwo nazw polskich nadali tęg roślinie nasi autorowie; i tak: Kluk (1) nazywa ją *Centaurea centaureum*, po polsku *Chaber jasieniec*; Jundzill (2) wprowadził ogólnie używaną nazwę łacińską *Persona*, *Erythrea centaureum*, polską zaś dał *Czerwieniec serdecznik*; za Jundzilltem poszedł Dębosz (3), i nazywa ją *Czerwieniec gorycznik* albo *serdecznik*. Niewiadomo, dlaczego Jakóbowi Wadze (4) podobało się porzucić poprzedników, i utworzyć albo raczej przetłumaczyć z niemieckiego nową nazwę *Tysiącznik goryczka*. Lepiejby uczynił p. Jakób Waga, gdyby się obznajmiał z tém, co polscy autorowie napisali poprzednio o naszej Florze, albo obcy o niej piszący, jakoto: Wahlenberg, Herbig; i trzymał się nazw utartych, wprowadzając do swęj książki podział roślin odpowiedni czasowi; bezpotrzebne bowiem tworzenie nowych nazw, nie ma żadnej zasługi w oczach ludzi znających przedmiot, i sprawia tylko zamieszanie chaotyczne w nauce. Raz więc jeszcze powtarzam, że wymienieni wszyscy autorowie niepotrzebnie potworzyli polskie nazwy, gdy oddawna żyje w ustach ludu nazwa ogólnie znana, dająca miano potężnej górze; dlatego sądzę, że wyraz Czantoryjka choć przyswojony, winien mieć pierwszeństwo przed wszystkimi wymienionemi.

Na wierzchu potężnej Czantoryi, rozciąga się obszerna trawiasta równina; kilka szalasów na niej stojących, dostarcza codziennie gościom ustronińskim świeżej żetycy, mającej nader zbawienne własności.

(1) W Dykcyonarzy roślinnym, tom I, 1805. Warszawa. Stron. 112.

(2) Opisanie roślin litewskich na Litwie, na Wołyniu, Podolu rosnących. Wilno. 1830. Stron. 88.

(3) *Tentamen florum territorii Cracoviensis Medicarum, sive enumeratio plantarum circa Cracoviam sponte nascentium, auctore Stanisl. Dębosz*. Bez roku, str. 31.

(4) *Flora polska jawnokwiatowych rodzajów, przez Jakóba Waga*. Tom I, 1847, stron. 374.

Według pomiaru barometrycznego p. Lütza (1) oficera pruskiego, Czantorya wznosi się 2,835 stóp paryzkich nad morze; Ustronń zaś według pomiaru tegoż, leży 840 stóp paryzkich, a zatem Czantorya wznosi się 2,000 stóp nad tą wioską. Kąpiele żuzlowe wielce są pomocne zdrowiu; zdaje mi się, że sposób ich robienia nie jest znany, opiszę go więc pokrótce. Wody nie grzeją w kottach jak zwyczajnie, tylko do zimnej wody w wannie, wkładają dwie lub trzy potężne bryły rozpalonego żuzła; ten nietylko ogrzewa wodę, ale zarazem dodaje części siarkowych, pochodzących od rozpuszczającego się siarczku wapna, zawartego w żuzlach. Połączenie to siarki z wapnem będąc bardzo słabe, rozkłada się łatwo; siarka wydziela się w stanie wodorodu siarkowego, i działa dobroczynnie na skórę. Używanie żentycy i żuzlowych kąpielei, ma nawzajem sobie pomagać szczególniejszym sposobem.

Do godnych wzmianki osobliwości Ustronia, należy ogród pastora protestanckiego, p. Koczy, odznaczający się wytwornemi kwiatami. Chociaż już spóźniona była pora (początek września), kwitło mnóstwo pięknych niezwyčajnych róż i bratków (*Viola tricolor*), olbrzymiej wielkości. Ruchy zeszłoroczne przyłożyły się dziwnym sposobem do zbogacenia flory ogrodowej Ustronia. Pan Koczy, powszechnie szanowany w swęj okolicy, obrany został na deputowanego na sejm frankfurtski. Tam mając łatwość podróżowania, zwiedził celniejsze ogrody niemieckie, belgijskie, paryzkie, i z niemalym plonem wrócił do domu. W tym roku wielce przyozdobił się ogród jego nieznanemi tutaj kwiatami; pomiędzy drzewami zasługuje na szczególną wzmiankę drzewo tulipanowe *Liliodendron tulipifera*, na pierwszy rzut oka podobne do naszych klonów lub jaworów. Dziwna to rzecz, że gdy ta roślina w botanicznych ogrodach krakowskim i warszawskim wyrasta tylko w niespore krzaki, w Ustroniu jest drzewem wysokopiennem, mającém stołę średnicy, z okazałą rozłożystą koroną. Trudno przypuścić, iżby w Ustroniu, tuż pod górami le-

(1) W czasie podróży p. Lütza, prof. Steczkowski robił równocześnie co dwie godziny odpowiednie obserwacye na obserwatoryum krakowskiem, i z nich wyrachował wyniesienie dla dwóch tych punktów, porównawszy poprzednio barometr p. Lütza przed i po podróży, z barometrem statym obserwatoryum. Oto są wypadki tego obrachunku: Ustronń 12 i 13 sierpnia 1838 r.

S.	Barometr	Termom. Reaum.	na baromtr.	wolny
	326 ^{''} 53		+16 ^{''} 2	+15 ^o 47
Kraków.	329 ^{''} 25		+15, 8	+15 ^o 33
	303 ^{''} 11		+15 ^o , 7	+18 ^o , 76
	329 ^{''} 53		+17 ^o 8	+18 ^o 73

Szczyt Czantoryi 13 sierpnia 1839 r.

żącym miejscu, 840 stóp nad morze wyniesioném, było ciepłej aniżeli w wyżej wymienionych miastach. Zdaje się, że grunt niedogodny głównie wpłynął na skarłowacenie tego ozdobnego drzewa w botanicznych ogrodach.

Od Wadowic aż do Morawii, na całej przestrzeni, góry wyraźnie oddzielają się od kraju pagórkowatego; te naturalne różnice, są zarazem granicą dwóch szczepów polskich, niemających z sobą innej styczności prócz sąsiedztwa, a nienawidzących się nawzajem od niepamiętnych czasów. Góry zamieszkują górale, a kraj pagórkowaty Polacy; z tą różnicą, że we wschodniej części siedzi chłop polski, ubrany w białej guni z czarnymi wypustkami, a w zachodniej Ślązak, uprawiający doskonale swą wyborną ziemię. Góral musi żyć z przemysłu: mała ilość niewdzięcznej ziemi, daje mu tylko owies, ziemniaki i nieco lnu. Ustron leży właśnie na granicy dwóch wymienionych szczepów, dwóch elementów odpychających się nawzajem. Począwszy od Ustronia w górę, płynie Wisła w potężnej szczelinie, zaledwie $\frac{1}{8}$ mili szerokiej. Po obu jej bokach wznoszą się malowne góry, pokryte smukłymi bukami; a na szczytach tych gór rozpościerają się obszerne równiny, wydające wonną paszę owcom i krowom. Jakby dla odjęcia jednostajności temu obrazowi, widać na smukłych gruniach pojedyncze szałaszy czyli domki letnie pasterzy. Wyborna droga ciągnie się doliną ponad Wisłą, aż do mieszkania myśliwca (tak nazywają tutaj leśniczych); można ją w powozie wygodnie w dwóch godzinach przebyć. Z Ustronia droga ma wejście nader ucywilizowane; wysadzona jest bujnymi drzewami: jawory, klony i trześnie zmieszane rosną wesoło, i tym gatunkom drzew zdaje się właśnie sprzyjać ten klimat. Domy otaczają obszerne sady; dwa młoty z pięknymi zabudowaniami, niemało dodają powabu okolicy. Przejechawszy pół godziny, gubią się zwolna drzewa z nad drogi, dolina nabiera bardziej górskie wejście, a po przebyciu mostu, spotykamy pierwsze domy dłuższej wioski Wisły, dającej nazwę rzecze naszej, która jak każda inna góralska, rozciąga się wzdłuż rzeki, której nadała nazwę. Domy tu nie stoją w pewnych odstępach, ale tworzą kupki; w nich mieszkają rozrodzone familie, uprawiające teraz obszerną rolę, kiedyś ich przodkom nadaną.

Niemale trudności zachodzą, pytając się mieszkańców o domy, do jakiej wioski należą; nie rozumieją oni pospolicie takiego zapytania; wiedzą tylko nazwiska odwiecznych posiadaczy w nich zamieszkałych, czyli familij. Stosunki te żywo przypominają klany szkockich

gór. We Wisłach najliczniejsze są rodziny: Bajcarzy, Bujaków, Malinków, Reszków i t. d. Prawie w środku Wisły jest mały drewniany kościółek katolicki, i wielki murowany ewangelicki, a przy nim obszerny murowany dom ewangelickiego proboszcza, i równie znaczny na szkołę przeznaczony. Prawie cała ludność Szlązka austriackiego, mieszkająca w kraju pagórkowatym i w górach, z małemi wyjątkami jest protestancką; pomiędzy niemi żyje niewielu katolików, jak się łatwo domyśleć z opisu kościołów wsi Wisły. Mieszkańcy ci są czystemi góralami, noszą brunatną gunię, białe spodnie, a na nogach kirpce, okryte wełnianemi powrózkami, barwy białej i brunatnej; na głowie zaś okrągły kapelus, z mniej więcej szerokiém rondem. Wiele mają rzeczywistego wykształcenia; we wszystkich dolinach tych umieją czytać, a wielka liczba pisze wyraźnie. Przyczynił się do tego głównie niedawno zmarły nauczyciel, pochodzący z tej wioski, który zrobił zadaniem życia wykształcić swych współmieszkańców, i dokonawszy tego zmarł, ogólnie uwielbiany i żalowany. Zaiste, byłto człowiek godzien szacunku każdego myślącego człowieka.

Od kościołów Wisły, pokazuje się w samym końcu widokre-gu, w całej wspaniałości, potężny grzbiet Barani, cel naszej podróży. W górze tej biorą początek Czarna i Biała Wisła; ostatnia nazywana właściwie Białką. Postępując dalej przez dobrą godzinę, rozdziela się dolina i około 500 sążni przed domem leśniczego, wpada do Wisły mała rzeka zwana Malinka, stanowiąca jedno z trzech ramion, dających początek Wisle. Malinka płynie z doliny, którą niżej opiszę; teraz tylko poprowadzę czytelnika do dwóch pierwotnych ramion Wisły, zwanych Czarna i Biała Wisła. Odtąd droga do domu myśliwca czyli leśniczego, ciągnie się w bardzo zwężonej części doliny, w istnej szczelinie, gdzie tyle tylko jest miejsca, że zaledwie starczyło na drogę, ciągnącą się śród czarnego świerkowego lasu, wznoszącego się po obydwóch bokach. Tutaj Wisła w samych kaskadach spada ze skały na skałę. Piękny domek leśniczego, z ogrodem ozdobionym różnobarwnemi georginiami na boku nieco uprawnej ziemi, z przeciwnej zaś strony kilka domów włościańskich, stanowią kres, gdzie człowiek panuje nad siłami przyrody. Odtąd rozpoczyna się część leśna, i tylko widać skały, góry i wody spadające. Prawie wszystkie kamienie leżące nad brzegiem naszej zmałej Wisły i na przyległych bokach gór w tej okolicy, są jakby oblane czerwoną powłoką; rozbiwszy te kamienie, spostrzegamy, że się nie różnią od każdego innego piaskowca. Powłoka czerwona jest porostem, od botaników nazwanym *Bysus jolithus*, wydającym woń podobną do fiołków, i dlatego ka-

mienie takie nazywają poprostu kamieniem fiołkowym. Przyjemna ta woń trwa tak długo, dopóki nie zeschnie zupełnie roślina; przez pewien czas można zapach ten na nowo wzbudzać przez zwilżenie, lecz po roku ginie on bezpowrotnie.

Nieco wyżej od opisanego domku, łączą się dwa ramiona Wisły: Białka i Czarna Wisła. Tu się kończy droga wozowa, a od-tąd prowadzi ścieżka do źródeł Wisły, w końcu tak niewyraźna, że wreszcie ginie zupełnie. Naprzód opiszę Czarną Wisłę, ramię pospolicie uważano za źródło Wisły. Z początku widać wśród lasów tu i owdzie domki włościańskie, a przy nich kilka morgów ornęj roli, ale i te wkrótce giną, i tylko gęste lasy otaczają zewsząd podróżnego; uroczystą ciszę przerywa tylko szmer spadającej Wisły. Uszedłszy znowu godzinę drogi, zwęża się coraz bardziej Wisła, tak, że przechodziłem przez nią po kamieniach suchą nogą; koryto bowiem było zaledwie 10 stóp szerokie. Chociaż późniona była pora roku (początek września), znajdowałem na brzegach rzeki mnóstwo wybornych poziomek, a przy nich właśnie dojrzewały czarno jagody. Przy nader zwężonej Wiśle, spadającej po warstwach piaskowca, nieco ku południowi schylonych, wśród gęstego lasu świerkowego, postępować trzeba znowu przez godzinę aż do strumyka, zwanego Wolna (1). Czarna Wisła i Wolna (biorąca początek w górze Rubowska), przy połączeniu prawie równą mają ilość wody i jedną szerokość koryta, tak, że zupełnie jest dowolną rzeczą, które z ramion zatrzymało nazwę Wisły. Aby wyrazić jej zmniejszenie, nazywają ją od-tąd Czarną Wisłą, Wiselką. Od zdrobniałej Wisły trzeba przebyć z godzinę drogi do domu gajowego, stojącego wśród obszernych polan przy stawie, urządzonej dla spławu drzewa na wiosnę, a czasem i w lecie, gdy wody znacznie wzbierają. Miejsce to nazywają Na Przystopie. Dom ten zupełnie porządny, wystawiony jest z okrągłaków o piętze. Kto sobie życzy tutaj dłużej zabawić, znajdzie dobry nocleg w pokoju leśniczego, i ludzi nadzwyczajnie uprzejmych a chętnych. Właśnie kiedyś dnia 4 września 1849 r. zwiedzał te strony, dzień był bardzo piękny, słońce mocno przygrzewało, i niemało zdziwiłem się, gdym zastał w izbach nieznośne gorąco. Na zapytanie dlaczego palą w piecu, gdy tego nie ma potrzeby, odpowiedzieli,

(1) Niniejszy opis różni się od opisu źródeł Wisły mojego szanownego przyjaciela, p. Apolinarego Tomkowicza, ogłoszonego w piśmie zbiorowem Stanisława Jaszowskiego, p. t. Stawianin, Lwów, 1837 r. str. 155, który podaje, że Wiselką nazywa się ta część rzeki, w której łączy się Czarna z Białą Wisłą, aż do wyjścia z gór przy Ustroniu. Mój przewodnik inaczej mi tę rzecz opowiadał i tego się trzymałem.

że przez cały rok zwykli to czynić, bo drzewa mają dosyć i blisko. Widać, że wszyscy górale są jednakowemi, gdyż nieraz spostrzegatem toż samo na wysokich górach w Tyrolu i Szwajcaryi, a nawet w górach kruszcowych w Saxonii, gdzie każdego dnia, czy gorąco czy zimno, mają staranie około pieca. Gospodyni częstowała nas młkiem, świeżem masłem i wybournemi ziemniakami, tutaj wyrostemi; czyniła to z niewymowną dobrocią, której tylko w górach szukać trzeba. Właśnie zeszli się na obiadową godzinę drwale, rąbiący w sągi drzewo na przyszłą wiosnę; ci ludzie natury, zachowywali się nader przyzwoicie i uprzejmie. Niemaló zdziwiłem się, spostrzegłszy w tym domu kilka ksiązek polskich, a pomiędzy niemi Wiesława, Brodzińskiego. Sielanka ta podobała się szczególnie młodemu gajowemu; czytał ją z zachwyceniem, i wypytywał się, gdzieby żył ten Brodziński, i czy co innego nie napisał, również pięknego.

Dalsza droga do źródła Wisły, albo raczej Czarnej Wisły, nadzwyczajnie jest przykra; przez godzinę trzeba znów iść po niezmiernych kamieniach, wywróconych drzewach i trzęsawiskach, na szczyt długiego grzbietu Barani, aż wreszcie wśród nieprzeliczonych pni świerkowych, w największym nieładzie poprzewalanych, przybyliśmy do początku naszej głównej rzeki, biorącej początek na północnej pochyłości Barani. W różnych miejscach, sączy się z cienkiej powłoki torfowej brunatna woda; nie sąto źródła, lecz ściekowiska, co też potwierdza sama nazwa *Wykap ze Smreku*, (świerku). Miejsce to znalazł Lütz (1) wyniesione nad morze 3,519 stóp paryzkich.

Dobre pół godziny szliśmy dalej od Wykapu na szczyt Barani, przez gęste bory świerkowe i jodłowe do miejsca, na którym ustawili piramidę inżynierowie, którzy wykonali wybraną kartę Szlązka. Szczyt ten leży 3675 stóp nad morzem (2). Widok z niego nader jest obszerny; z północnej strony, oko spoczywa na niezmiernych czarnych lasach, okrywających grzbiety i doliny, gdzie się Wisła zbiera. Południowa pochyłość Barani bardziej jest stromą, aniżeli półno-

(1) Wyniesienie średnie z obserwacji, wykonanych d. 14 sierpnia 1838 roku.

	Barometr	Termom. Reaum.	
		na baromtr.	wolny
	294 ^{'''} 90	+ 9,05	+ 9 ^o 95
Kraków.	330 ^{'''} 16	+17,013	+14 ^o 5

(2) Szczyt Barani 14 sierpnia 1838 r.

	Barometr	Średnica z 3 obserwacji Termotr. Reaum.	
		na baromtr.	wolny
	293 ^{'''} 01	+ 9,00	+ 9 ^o 05
Kraków.	330 ^{'''} 16	+17,01	+14 ^o 4.

na; tworzy ona bok doliny Kameśnicy, gdzie według Puscha płynie Wisła. Wiadomość ta opiera się na nieznamomości rzeczy. Na wschód zwróciwszy wzrok, ciągną się nagie grzbiety Bezkidów, prawie zupełnie bezleśne, aż do potężnej Babięj Góry; z hoku pokazuje się zębaty łańcuch Tatrów, a wirchły Turczańskie i góry otaczające dolinę Wagu w hrabstwie trenczyńskim, od południa zamykają widokrąg.

Również na przedłużeniu grunia Barania, zwanem Skalka, bierze początek źródło Białej Wisły czyli Białki, i równie wycieka z wód bagnistych, a nie z istotnych źródeł. Zstępując z polany Mokrzyszna, gdzie właśnie zastałem mnóstwo pasterek pasących krowy i chłopów koszących siano, znalazłem Białkę już jako potężny strumień, przedzierający się z niezmierną wartkością po skalistém korycie, i ten charakter zachowuje w całym swym przebiegu aż do połączenia się z Czarną Wisłą. Niedaleko ujścia, widać znaczniejsze uprawne pagórki i kilkanaście domów, należących do obszernej wioski Wisły. Dlaczego ten strumień nazywa się Białką, wyznaje, że nie byłem w stanie dociec: nie ma bowiem nic białego. Być może, że tak nazwano w przeciwieństwie do Czarnej Wisły, której wody mają jakąś brunatną barwę. Niemasz tu wcale owych przezroczystych wód, szmaragdowej zieloności, co tak charakteryzują rzeki Tatrowe, co im nadają tyle wdzięku.

Trzecie główne ramię Wisły jest Malinka, strumień poczynający się w części Malinowego grunia zwanęj Kopiec, a przy zwężonej części głównej doliny wpada do Wisły przy znanęj nam kupce domków, zwanęj Bajcarze. Wszedłszy do tęg doliny, spostrzegamy, że się zwolna roztwiera, a wokoło wysokie grzbiety, jakby wieniec, otaczają ją wokoło. Za Bajcarzami idąc ku gruniowi Malinowemu, różne są gromadki domów: piérwsza gromada nazywa się Malinka, dalej Niedziedziówka, a wreszcie Sadowa, leżąca już na pochyłości wspomnianego grunia. Podobnie jak Barania, odgranicza i ten grun Szlązk od polskich krajów, składających Galicyą. Malinów grun nazwany jest od malin, kiedyś na nim rosnących, po wyrąbaniu lasów. Długi ten i szeroki grzbiet, ma mniej więcej tę samą wysokość, co Barania. Boki i wierch jego pokrywa gęsty las, w którym przeważają bujne buki i cudnej piękności świerki. Na pochyłości od kupki domów zwanych Sadowa, znajduje się jama, o której wiele tajemniczego opowiadał mi przewodnik. Jak we wszystkich górach składających się z piaskowca, tak i tutejsza jama ani jest rozległą, ani głęboką. Właściwie jestto szeszelnina, powstająca przez wzniesienie gór,

mająca tenże sam kierunek co grun, t. j. południowo zachodni; jest około 12 kroków długa, 4 szeroka, a 30 stóp głęboka. Po naturalnej drabinie, zrobionej ze ściętego świérku, na którym pozostały gałęzie, spuściłem się do pierwszego odstepu, lecz tam nie było widać nic innego, jak ściany wilgotne; a jeszcze niżej spuściwszy się, widać tylko ściany bardziej zblizone. Bujna wyobraźnia mieszkańców, zagrzebała tutaj nieprzebrane skarby w najgłębszej części jamy, dokąd się nikt nie spuścił. Opowiadają, że w wielkiej izbie stoi stół, a na nim siedzi królik ze szczerego złota. Ci poczciwi nadwiślańscy górale marzą nawet skromnie, bo podhalanin wie, gdzie są wirchy szczeru złote, tysiące stóp wysokie turnie, a przy nich wszystkie kamienie rozrzucone są ze złota.

Pierwsza rzeka wpadająca do Wisły po wypłynieniu z gór, pomiędzy Ustroniem a Skoczowem, jest Brenna, poczynająca się w tychże samych górach, co właśnie opisane trzy ramiona Wisły; ale w oddzielnej dolinie, przedzielonej grzbietem właściwym. Nad Brenną ciągnie się wioska téjże nazwy, co rzeka. Dolina ma też samą fizyognomią, co dolina Wisły; jest niebardzo wązka, i grzbiety jej téjże wysokości co Barania, okrywają lasy bukowe i świérkowe.

Dawne przysłowie niesie, że się ostateczności stykają; czego i tutaj mamy dowód. W węzle Bezkidów w których się Wisła poczyna, przy samej Barani, bierze także początek Olsa, rzeka należąca do zupełnie innego porzecza, t. j. do porzecza Odry, zmiierzającej podobnie jak Wisła, prawie od niej równolegle, z południa na północ ku morzu Bałtyckiemu. Olsa bierze początek w jednym z ramion Baranięj, zwaném Bezkidem. Jako znaczny strumień, płynie już przez obszerną, wysoko nad poziom morza wyniesioną wieś, Izdebną, znajdującą się właśnie na granicy Szlązka, Węgier i Galicyi. Olsa zrazu płynie ze wschodu ku zachodowi, wkrótce jednak zwraca się na północ przy pięknie położoném miasteczku, z wejrzeniem zupełnie górskim, Jablunkowie. Chociaż przyległe góry nie są zbyt wysokie, jednak otaczające je grunta i zimne i nieurodzajne, świadczą o znaczném wyniesieniu tego miejsca nad poziom morza; niemało potwierdza to szara barwa domów drewnianych, tak doskonale charakteryzująca górskie okolice. Przez Jablunków ciągnie się droga bita, prowadząca do Węgier przez okopy zwane Tureckimi, leżące na samej granicy hrabstwa trenczyńskiego. Z Olsą postępując ku Cieszynowi, okolica staje się coraz żywniejszą, roślinność obfitsza. Na téj drodze leżą dwie wioski godne wspomnienia: Gródek, z wielkimi łomami kamieni piaskowych, zdatnymi do cioselki, i długa wieś Bystryca, za-

wierająca w dwóch miejscach obficie w piaskowcach pokłady małych soczewkowatych skamieniałości wielkości piątki, pokryte drobnymi brodawkami. Przeciwny ich wnętrze, znajdujemy nader szczególną budowę, składającą się z linii ślimakowej z wieloma przegrodami. Według najnowszych zdań zoologów, te soczewki zwane nummulitami, były pływającymi zwierzkorzewami, nieprzytwierdzonymi do miejsca, jak to bywa z innymi, do tego działu należącymi zwierzętami. Zupełnie podobny gatunek nummulitów znajduje się także za Jabłonkowem w Liskim potoku, i podobnie jak w Bystricy, tworzy pokłady w piaskowcu, nazywanym karpatowym. Niepospolite trudności mają geologowie w rozstrzygnięciu, czy te piaskowce szare, mniej więcej do siebie podobne, składające Karpaty, osadziły się w jednym czasie, czy też powstały w długich odstępach? Część piaskowców karpatowych, zawierająca ammonity i belemnity, należy z pewnością do spodniego ogniwa formacji kredy; nie wiadomo zaś, czyli tegoż samego wieku są podobne do nich piaskowce, zawierające nummulity. Nowsi paleontologowie utrzymują, że one wyłącznie charakteryzują trzeciorzędowy osad, następujący zaraz po formacji kredowej. Czasowi trzeba będzie zostawić rozstrzygnięcie tego ważnego pytania: czy ten problematyczny piaskowiec karpatowy należy do jednej formacji, i różne ogniwa różne skamieniałości zawierają, czyli też są piaskowce odmiennych formacji?

Za górami na północ, już w równinie, ale zawsze nad Olsą, wznoszą się obszerne zabudowania, należące do wielkiego pieca trzynieckiego, dobre pół mili odległego od Cieszyna. Najcenniejszy ten zakład hutniczy śpawkobierców arcyksięcia Karola, służy pod wieloma względami za wzór, jak wyrabiać należy żelazo. Wdanie się w szczegóły procesu hutniczego, zadalekoby nas zaprowadziło; wspomnę tylko o niektórych sposobach przygotowania rudy, by ją uczynić zdatną do wytopienia. Aby wydzielić siarkę, znajdującą się w rudzie w bardzo małej cząstce, a co wielki wpływ wywiera na mniejszą lub większą dobroć żelaza; aby, mówię, wydalić siarkę o ile być może, prażą najprzód rudę, następnie przez trzy miesiące wystawiają ją na działanie powietrza; wtedy znajdującą się siarkę jako siarczyk żelaza, zamienia się w sole ukwaszone, to jest w siarkan żelaza, wapna, magnezyi, a może i aluminy. Te wszystkie sole łatwo rozpuszczają się w wodzie, i dlatego wyciągają je za pomocą wody następnym sposobem: w kupy złożoną rudę zanurzają pod wodę, i siarkany rozpuszczają się w niej, i powoli odpływają. Pomimo tych wszystkich zabiegów, pozostaje jeszcze jakaś część siarki w rudzie, i tę wypędzają przy topieniu, czę-

ścią przez ulotnienie, częścią przez połączenie z wapnem; wszystkie bowiem żuzle pochodzące z tego wielkiego pieca, czuć mocno siarką. Wspomnę jeszcze o jedném trafném zarządzeniu przy hucie trzynieckiej. W żuzlach powszechnie mniej albo więcej obficie znajdują się kulki żelaza, wielkości grubego śrutu albo małych lotek; o niektórych żuzlach wiadomo z doświadczenia, że obficie zawierają żelazo, te tłuką za pomocą stępów, wodą Olsy obracanych, następnie wypłukują na proch starty żuzel, a małe dzieci wybierają kulki żelaza. W Trzyniecu główna jest ulewnia żelaza; wielkie sztuki doskonale odlane z ozdobnemi formami, rozchodzą się ztąd daleko w różne kraje, mianowicie na Wschód. Zakład ten winien głównie swe świetne powodzenie p. Hoheneggerowi, równie czynnemu jak uczonemu hutnikowi, i jest dowodem, że tylko prawdziwe teoretyczne ukształcenie naczelników, jest w stanie zapewnić hutnictwu metody odpowiednie postępom czasu, a właścicielowi niemałe korzyści.

Rozległe boki i grzbiety gór, tudzież doliny, w których Wisła bierze początek, za staraniem porządnego zarządu arcyksięcia Karola, okrywają gęste lasy we wzorowym porządku utrzymywane. Dzielą się na poręby, i po wycięciu bywają natychmiast zasiewane lub zasadzane; na wielu miejscach widać młode, rozwijające się bujno drzewa świerkowe. Tylko na szczytach grzbietów nie można było dotąd wprowadzić ładu. Szczyt Barani okrywają nieprzeliczone wywrócone drzewa. Wśród tych lasów, żyje mnóstwo ptaków najrozmaitszych gatunków; życzyłoby należało, aby zostały bliżej zbadane i opisane przez jakiego ornitologa, a tém samém źródła Wisły pod każdym względem byłyby wyjaśnione.

Wpodłuż całego pasma Karpat, począwszy od Morawii aż do Bukowiny, mieszkańcy nazywają pojedyncze ich grzbiety, Bezkid, Bezki-dek; tak nazywają potężną górę nad stawami Gąsienicowemi w łańcuchu Tatrów. Geografowie przenieśli tę nazwę Bezkid do części Karpat między źródłami Wisły, a ujściem Raby; ja rozciągnąłem ją do Sanu. Granice te wszakże są zupełnie dowolne; proponowanu przezemnie wartaby była utrzymania, wychodząc bowiem ze stanowiska geograficznego, obejmuje rzeki zmierzające do Wisły. Część Karpat na zachód, ciągnącą się od źródeł Wisły do Morawii, nazywają Biesławskimi górami, a na wschód od Sanu aż do Bukowiny, Bieszczadami. Wielu zastanawiało się, jaki ma źródłosłów ten niezwyuczajny wyraz. Są i dziwaczne wyprowadzania, niemające żadnej podstawy; do tego rodzaju należy oparte na brzęku słów tłumaczenie, jakoby od biesa pochodziło. Uważając pilnieć wymowę mieszkańców,

spostzegamy, że mówią Bezkid; a zatem nazwa ta nie ma z biesem żadnej styczności. Mnie się zdaje, że następującym sposobem można wytłumaczyć źródłosłów tego wyrazu. W Karpatach szlązkich i galicyjskich aż do Krakowa, używają słowa *kidać*, co znaczy spadać, przewalać się na przeciwne strony; i tak mówią: śnieg *kida*, znaczy śnieg pada; albo téż: śnieg *rozkidać*, przedzielić, aby środkiem mogła iść droga. Kid znaczy u górali szlązkich grzbiety góry, z którego w jedną i w drugą stronę nachylają się boki, i dlatego mówią przechodząc przez grzbiet, że idzie *bez kid*, i ztąd może pochodzić nazwa Bezkidów. W Skoczowie, nazywają tylną część Baraniój, kidem baranim. Może być, że te domysły pobudzą jakiego z naszych badaczy językowych, do zgłębienia tego mało co znanego, a po całych Karpatach upowszechnionego wyrazu.

W nader rozkoszném położeniu nad Olsą, leży Cieszyn, stolica Szlązka Górnego. Porządne to miasteczko, otaczają amfiteatralnie długie grzbiety Bezkidów, malowniczo ugrupowane; pagórki otaczające to miasto, odznaczają się wyborną uprawą i bujną roślinnością. Do najcelniejszych budynków Cieszyna, należy starożytny zamek Piastowski, wznoszący się na pagórku ponad miastem nad Olsą. Tak niewiele pozostało dawnych murów, albo tak są podmieniane, że trudno rozstrzygnąć, co należy do dawnych czasów, a co do teraźniejszych. Ogród zamkowy założony ze smakiem, odznacza się wieloma pięknymi krzewami; niemało zdobią go bujne drzewa tulipanowe, prócz innych mniej pospolitych. Mnóstwo małych folwarków otaczających Cieszyn, odznaczają się porządkiem i świadczą o dobrym bycie ich mieszkańców, i o wyższej znajomości rolnictwa.

Trzy mile na zachód od Cieszyna, kończy się mowa polsku; rzeka Ostrawica odgranicza dwa pobratymcze plemiona: polskie i morawskie. Język ostatnich jest przedawniałym czeskim, którym mówią Słowacy w górnych Węgrzech, w hrabstwach trenczyńskim, nitrzańskim, zwolińskim, liptowskim na Spiżu i t. d. Jest on nieco odmiennym od teraz wykształconego czeskiego.

Do uzupełnienia opisu okolic otaczających źródła Wisły, wypada mi jeszcze skreślić stronę południową Barani, gdzie się Soła poczyna. Dwie drogi prowadzą ze Szlązka do dolin, w których bierze początek rzeka ta: pierwsza od Cieszyna ciągnie się nad Olsą do Jabłunkowa, i ztąd zwraca się na wschód po wyniosłych grzbiętach Bezkidów do Izdebnój; druga prowadzi z Ustronia także aż pod samą wieś Wisły. Godzinę trzeba ztąd jechać doliną Wisły. Pra-

wie przy początku wioski Wisły, rozchodzi się droga; na prawo prowadzi do Izdebnój nad szumnym potokiem Głębiaczek. Na boku zwanym Gubałaka jest wzorowo utrzymana droga, chociaż pod wierzchem przez połowę szerokości jest niedokończona; miejscami są ułożone wielkie kamienie, skośno ustawione, niektóre zaś miejsca obsypane zwirem, ale co kilka sążni znajdowały się małe odstępki. Na zapytanie, co by to znaczyło? taką otrzymałem odpowiedź: Sąto skutki 1848 r.; każdy włościanin posiadający dom, miał obowiązek sporządzić wyznaczony kawałek drogi, dwór zaś dostarczał kamieni do budowy drogi, cegiel wapno i drzewa do robienia mostu. Właśnie gdy rozpoczęto tę drogę, nastąpiły poruszenia zeszłoroczne; włościanie odrazu odmówili dalej około niej pracować, więc droga ta pozostała niedokończoną i jest w połowie zdalna do jazdy, a w drugiej połowie zupełnie bezużyteczna. Życzyćby należało, iżby obiedwie strony chciały poznać własny interes i poczyniły stosowne ustąpienia, a przynajmniej dokończyły rozpoczęte prace. Na szczycie Gubałaki widać tylko czarne lasy; odtąd wybornym gościńcem postępowaliśmy przez pół godziny wśród nich, aż wreszcie otworzyła się obszerna równina, podobnie jak wszystkie wyżyny mało co urodzajna, a wdali ukazała się rozległa wieś Izdebnia, składająca się z kucpek rozrzuconych domków. Chociaż niema pomiaru barometrycznego Izdebnój, łatwo pozna wprawne oko, że 2,000 do 2,500 stóp wznosi się nad poziomem morza; dowodzi tego nieurodzajność roli, a na glinie powłoki białego porostu z różowemi kropkami, podobne do świeżo spadłego śniegu.

Z Izdebnój jechaliśmy przez godzinę ku Kameśnicy po wybornym gościńcu; kraj nie zmienił wcale fizyognomii właśnie opisanój; tylko długie grunie występowały jedne za drugimi, wszystkie bezleśne, przedstawiały widok monotony. Zdawałoby się, że tu odmienny rodzaj ziemi, jak na przeciwnój pochyłości. Przypuszczenie to niczem nie jest usprawiedliwione. W niezbyt dawnych jeszcze czasach, wszystkie wzgórza stanowiące dolinę Soły i Koszarawy, należały do domu Wielopolskich; czy przez nadmiar dobroci, czy przez niewagę, nie wzbraniłi oni rąbania lasów, i nieznacznie grunie to, kiedyś okryte gęstemi drzewy jak przy źródłach Wisły, stały się zupełnie nagimi, i zaledwie dają teraz nieco paszy. Spuściwszy się do doliny, do wioski Kameśnicy, znaleźliśmy się nagle wśród bujnej roślinności. Wioska ta dotyka końcem północnym Soły, i rozciąga się właściwie nad jednym z ramion do niej wpadających. Jeden bok tego górskiego strumienia jest nader skalistym, i widać warstwy

piaskowca ustawione prostopadle, albo pod stromym kątem ku południowi zapadające. W całej okolicy sławny jest ogród w Kameśnicy, założony z wytwornym smakiem przez hr. Marcellego Potockiego; bujne drzewa, świeżej zieloności trawniki z znajomością rzeczy ugrupowane, tworzą nader miłe przeciwieństwa; ale najwięcej podwyższają piękność tego ogrodu widoki na okoliczne góry. Z jednej strony spoczywa oko na dolinie, w której rozciąga się długa wioska Kameśnica, odznaczająca się jakąś niewymownie świeżą zielonością; z drugiej strony widać długi grun Barani, okryty czarnym lasem świeżkowym. Potocki był wielkim miłośnikiem ptaków, i pozakładał w ogrodzie mnóstwo domków i klatek w wielkim wymiarze, dla różnych mieszkańców powietrznych. Do ogrodu przytyka zwierzyńiec, w którym chowa się znaczne stado danieli. Niedawno przeszła ta majątność na własność arcyksięcia Karola; dawny właściciel zachował sobie do końca życia używanie pałacu i ogrodu, ale i z tego nie korzysta, bo chory żyje ciągle w Wiedniu. Aby zaokrąglić swe dobra w Szlązku, wspomniany arcyksiążę skupił prawie wszystkie wioski nad Solą aż poza Żywiec.

Dwie godziny drogi odtąd trzeba postępować ku południowi, aby dotrzeć do źródeł Soli, poczynającej się w rozciąglonej wiosce Sól, położonej na granicy Galicyi, Szlązka i hrabstwa trenczyńskiego w Węgrzech. Postępując nad Solą, przybyliśmy do wioski Rajcza, wielce ozdobionej przez jej właściciela, p. Siemońskiego; założył on także młot do kucia żelaza, ale od pewnego czasu zaprzestał tej czynności; znać, że więcej znajduje korzyści sprzedając swe smukłe świeżki do budowli, aniżeli spieniężając je przez kucie żelaza węgierskiego. Za Rajczą prawie na godzinę drogi, odległa jest górská wieś Sól, leżąca pod wyniosłym grzbietem, czarnym lasem okrytym. Nazwa tego sioła pochodzi od źródła solą kuchenną nasyczonego, tryszczącego w samym środku tej wioski. W dawnych czasach warzono tutaj sól, jak to zaświadczyają trzy potężne zapadnięte szyby, teraz okryte murawą i krzakami; jeden z nich widać był głównym, bo go najwyższy wał otacza, mający 25 kroków obwodu. Kronika Komonieckiego burmistrza żywieckiego świadczy, iż tutaj w r. 1664 sól warzono, i korzec po ówczesnym półtalarze sprzedawano. Teraz nie ma i śladu tych zabudowań; wydobywające się słone źródło zabite jest kamieniami i łem, a na polu zawieszona tablica ostrzega, iżby się nikt nie ważył używać go pod surową karą. Żałować należy, że ustawy nie pozwalają korzystać z tego daru natury, a przez to zwiększać się bogactwu narodowemu; wiadomo bowiem, ile sól wpływa na po-

prawę chowu bydła. Z jakiego wieku skał wypływa to źródło, trudno jest rozstrzygnąć; tyle tylko pewnego, że otaczające piaskowce mają podobieństwo do towarzyszących źródłom słonym we wschodniej Galicyi, a nieco są odmienne mineralogicznie od piaskowców, zawierających pozostałości organiczne formacji krédowej, a mianowicie spodniego jój ogniwa zwanego Neocomien. W samym końcu wioski, w dolinie zwanój Czerna, znajduje się kopalnia rudy żelaznej, (iłowy sferosyderyt mineralogów) właściwa formacji krédowej. Aczkolwiek ruda jest tylko cienkim pokładem, bo zaledwie ma 3 cale grubości, a w stu częściach zawiera 18 do 20 żelaza, przecież z koryścią wyrabiają żelazo w wielkim piecu Węgierskiej Górki, milę od Żywca oddalonym. Wzniesienie tego zakładu winna ta okolica również bystrości p. Hobenegger, który za pomocą trafnych metod, umiał ten zakład tak urządzić, że nie ustępuje najcenniejszym w Europie. W r. 1847 pięć wielkich pieców wraz z fryszerkami arcyksięcia Karola, przyniosło 840,000 złp. czystego dochodu. Zewnętrzność w mowie będącego zakładu, ze wszęch miar jest powabna. Zdała podobny do miasta, zabudowanego w podłużny kwadrat; na jednym końcu wznoszą się dwa wielkie piece z obszernymi budowlami, w których mieszczą się ulewnie żelaza; na przeciwnój stronie stoi pałac, zajęty przez zarządcę zakładu i kancelaryę do tegoż należące. Przestrzeń pomiędzy dwoma temi gmachami, wypełnia ozdobny ogród, pełen najpiękniejszych krzewów i kwiatów; boki kwadratu stanowią czyste i schlujne domki, zajmowane przez robotników. Za wielkim piecem wznoszą się niezmierne kupy rudy, a dla każdej miejscowości jest oddzielny kopiec.

Na drodze z Węgierskiej Górki do Żywca, naprzeciw długiej wioski Cięcina, znajduje się godna uwagi osobliwość paleontologiczna. Właśnie przy wznoszeniu się drogi, sterczą skały konglomeratu szarego, z ułamkami czerwonego granitu. W téjto skale znajdują się małe soczewkowate skamieniałości, zwane *Nummulitami*, wewnątrz zwinięte w linię ślimakowatą, poprzedzielaną licznemi przegrodami; pomiędzy temi przegrodami znajdujące się próżne miejsce, wypełnia mineral, zielony jak szmaragd, dziwnie pięknie odbijający od białych części skorupy.

Ubiór niewiast w dolinie Soły, począwszy od Kameśnicy do Żywca, jest dziwnie piękny; odziewają się zupełnie biało aż do trzewika, który wyjątkowo bywa różowym. Właśnie była niedziela, kiedyśmy się udali z Węgierskiej Górki przez Milówkę, Rajcę do Soli. Góralki ubrane z wyszukaną czystością w niedzielno szaty, wychodziły z ko-

ściola; w chwili rozbiegły się na wszystkie hoki, i zdawało się, że duchy z innego świata snują się po górach. Mężczyźni odziewają się jak wszyscy inni góralce: to jest w brunatną gunię, tylko odróżniają się kapeluszem z wielkim obwodem, co ich zbliża do Słowaków węgierskich, mieszkających w hrahstwie trenczyńskiem. Na wschód od Rajczy, prowadzi droga do górskiej wioski Ujsol. Mógłby kto wnosić, że nazwa ta naprowadza, iż się tu sól albo słone źródło znajduje; nikt wszakże o nich nic nie umiał powiedzieć, a wielu zaręczało, że tam nie masz nawet i śladu słonego źródła.

Ciekawy zachodzi związek pomiędzy początkiem Soły a Wisły; dwie te rzeki zmiierzają z południa na północ, i płyną środkiem głębokich dolin, a przybywszy na równinę, odmienny bieg otrzymują. Wisła zatrzymuje przez pewien czas pierwotny kierunek, a dalej zwraca się na wschód; Soła przeciwnie nie zmienia kierunku, i połączwszy się przy Żywcu z Koszarową, płynie środkiem doliny żywieckiej. Zdawałoby się, że się tutaj zwróci w bok ku Białej i popłynie wśród niskich pagórków; ale tak nie jest: wprost płynie na góry, przerywa łańcuch Bezkidów, i ciasną szczeliną przedziera się środkiem potężnych grzbietów, złożonych z twardego piaskowca karpatowego, a przy Kobiernicach, wiosce bliżkiej Kentów, wypływa na równinę. Niewątpliwie sprawiły to też same przyczyny, co z łona ziemi wydzwigneły wysokie grzbiety Bezkidów, co następnie poprzedziły je w przeciwnym kierunku, i wyznaczyły tym sposobem rzekom jeden bieg. Uwaga ta stosuje się nie tylko do Wisły i Soły, ale i do rzek dalej na wschód płynących, t. j. do Skawy i Skawiny. Pasma Bezkidów naprzód wzniosło się mniej więcej ze wschodu na zachód, a następnie popękało prawie prostopadle, i przez te szczeliny wysyła wody na nie spadające.

HISTORIA ANGIELSKA MACAULAYA.

WILHELM KSIĄŻĘ ORANII. — BURNET. — WILHELM I MARYA.

Oddawna żadne dzieło historyczne nie miało tego powodzenia w Anglii, co historia angielska od wstąpienia na tron Jakóba IIgo, przez p. Macaulay. Została ona w przeciągu roku kilkakrotnie przedrukowana, i wzbudziła w publiczności tak wielkie zajęcie, że czytelnicy londyńskie (czytaliśmy doniesienie jednej z nich w Athenaeum angielskiem) miewały po sto egzemplarzy Macaulaya (1).

Rzeczywista wartość historyka nie odrazu się ustala; sąd o Macaulaya dziele teraz wydany, byłby przedwczesny. Łatwo przecież rozpoznać powody wziętości, jaką w krótkim czasie dzieło jego nabyło; winno ją głównie malowniczem (pittoresque) sposobowi opowiadania, tyle przypadającemu do współczesnego smaku. Ta malowniczość osiągniętą została przez zaczerpnięcie z źródeł, które dawniejszy historyk zaniedbywał, lub niemi pogardził. Pamflety, pisma ulotne, listy prywatne, dzienniki pisane, wszystko to, co czasem żyje i z nim umiera, starannie przejrzone, dostarczyło p. Macaulay mnóstwo drobnych na pozór, lecz charakterystycznych rysów, któremi umiejętnie obrazy swoje uwydatnił.

Jeden rozdział jego dzieła (IIIci), opisujący stan Anglii za Karola II, jest prawdziwą inkrustacją, mozaikowym obrazem, najżywsze wzbudzającym zajęcie, prywatnej strony życia ówczesnego społeczeństwa angielskiego.

(1) Piérwsza część tego dzieła dotąd wyszła na widok publiczny, zawiera panowanie Jakóba IIgo i zajmuje trzy tomy w wydaniu lipskiem Tauchnitza, a 8½ zeszytów w zbiorze autorów angielskich, który od początku 1849 r. w tygodniowych zeszytach wydają Baudry i Galignani. Nie wspominaemy tu o wydaniach angielskich, jako bez porównania droższych. Jeden tom edycji Tauchnitza kosztuje 3 złote; 52 tygodniowych zeszytów wydania Baudrego i Galignaniego 58 frank,

Kreśląc charaktery ludzi stanu wpływających na rządy Jakóba IIgo, czyto u steru władzy, czy przez opór jój stawiany; Macaulay według nas niewszędzie dorównał najznamienszemu z poprzedników swoich Mackintoshowi, któremu śmierć nie dozwoliła dokończyć historyi rewolucyi 1688 r. Halifax i Jeffreys silniejszym, nadewszystko klassyczniejszym pedzlem, wystawieni zostali przez Mackintosha. Za to całą moc swojego talentu rozwinął Macaulay w obrazie Wilhelma z Oranii, będącym niewątpliwie koroną całego dzieła. Krytycy angielscy chwalą także charakter Jakóba IIgo.

Życzylibyśmy, aby się kto zajął polskim przekładem całej historyi Macaulaya. Znalazłaby licznych czytelników. Dla zaznajomienia czytającej publiczności z tym autorem, dajemy tu w przekładzie ustęp, który poświęcił na skreślenie charakteru księcia Oranii (początek rozdziału VII).

„Wilhelm Henryk książę Oranii Nassau, zajmuje w historyi Anglii i ludzkości tak wielkie miejsce, że nie będzie od rzeczy skreślić w drobniejszych nawet szczegółach silne rysy jego charakteru.

W roku 1688 miał on lat 37; lecz ciałem i duszą starszym był niż być zwykli ludzie jego wieku. Można by nawet powiedzieć, że nigdy nie był młodym. Powierzchnowość jego znaną nam jest prawie tak dobrze, co jego własnym wodzom i ministrom. Rzeźbiarze, malarze i medalierzy, ubiegali się na wyścigi rysy jego przekazać potomności; a rysy te były takie, że żaden sztukmistrz nie mógł w urchwyceniu ich chybić; że raz widziane, już się nigdy w pamięci nie zatarły. Imię jego wywołuje i stawia przed nas wątłą i słabą postać, wyniosłe i obszerne czoło, nos zakrzywiony jak dziób orła, oko walczące z orłem o śmiałość i jasność wejrzenia, brew myśli pełną i trochę smutną, usta mocno odznaczone i ponure, twarz bladą, zapadłą, głęboko zoraną śladami chorób i troski. Niepodobieństwem jest prawie, aby ta zamysłona, surowa i uroczysta postać, należeć miała do szczęśliwego i wesołego człowieka. Za to oznacza ona bez zawodu zdolność, równą najtrudniejszym zadaniom, i mężstwo, którego przeciwności i niebezpieczeństwa zachwiać nie zdołają.

Natura hojnie uposażyła Wilhelma przymiotami wielkiego rządcy; wychowanie podniosło te przymioty do niezwykłej potęgi. Moc zdrowego rozsądku i rzadka siła woli, odznaczały go od piérwszej chwili, w której umysł jego otwierać się począł, i w której ujrzał się sierotą bez ojca i matki, naczelnikiem wielkiego lecz straconego ze szczytu i upadłego na sercu stronnictwa, dziedzicem obszernych i nie-

określonych uroszczeń, wzbudzających obawę i wstręt oligarchii rządzącej wówczas połączonemi prowincjami (Holandyi). Lud prosty, nawykły przez całe stulecie miłować dom jego, ilekroć go ujrzał, okazywał mu w sposób niedozwalający się mylić, że go uważa za swego prawego naczelnika. Zdolni i doświadczeni ministrowie rzeczypospolitej, śmiertelni wrogowie jego imienia, przychodzili co dzień do niego, składać mu obłudne hołdy, i uważać na postęp jego ducha. Troskliwie dozierano ocknienia się jego ambicji; każde niestrzeżone słowo, które z ust jego wyszło, było zapisano; nie miał doradcy na którego zdaniu mógłby polegać. Zaledwie doszedł lat piętnastu, gdy zazdrosny rząd oddalił z pod jednego z nim dachu wszystkich służących wiernych jego domowi, lub posiadających w jakimkolwiek stopniu jego zaufanie. Z energią wyższą nad lata, oparł się temu Wilhelm, lecz napróżno. Czujni dostrzegacze, nieraz widzieli wtedy łzy w oczach młodego więźnia stanu. Zdrowie jego z przyrodzenia słabe, upadło na czas jakiś pod ciosem wrażeń, rozpaczliwem położeniem wywołanych. Słabe charaktery marnieją w takich położeniach; w silnych obudza się cała moc, jaka w nich leży. Wplątany w sidła, w których zginąłby zwyczajny młodzieniec, Wilhelm nauczył się stawiać krok swój mocno i ostrożnie. Długo przedtém zanim doszedł meżkiego wieku, wiedział jak zachować tajemnicę, jak zbić z toru ciekawych przez odpowiedź suchą i ostrożną, jak pokryć wszystkie namiętności jednym pozorem spokojnej powagi.

Postępy jego w naukach i światowem obejściu nie były znaczne. Obyczajom holenderskiej szlachty owego wieku zhywało na tym wdzięku i dworności, jakich wzory w najwyższem udoskonaleniu znaleźć można było wtedy pomiędzy szlachtą francuzką, jakie w niższym cokolwiek stopniu krasily dwór angielski: obyczaje zaś Wilhelma były zupełnie holenderskie. Właśni ziomkowie nawet uważali go za prostaka. Cudzoziemcom nieraz wydawał się nicokrzesianym. W obejściu światowem nie umiał, lub zaniedbywał użycia sposobów, które podwajają cenę wyświadczonej łaski, i nawet odmowie wydzierają bolesne żądło. Mało zajmowały Wilhelma nauki i literatura. Odkrycia Newtona i Leibniza, poczye Drydena i Boileau, pozostały mu nieznanne. Nudziły go widowiska dramatyczne; rad rozmawiał o sprawach publicznych odwracając się od sceny, w chwili szaleństwa Orestu, lub kiedy Tartuffe ścisnął rękę Elmiry. Miał dosyć usposobienia do sarkazmu, i nierzadko rozwijał, nie wiedząc o tém, naturalną wymowę, osobliwą wprawdzie, lecz silną i oryginalną. Żadnego przecieź prawa nie rościł sobie do imienia mówcy, ani chciał słynąć z dowcipu. Uwa-

ga jego zwróconą była wyłącznie do tych nauk, które tworzą dzielnych i roztropnych ludzi stanu. Dzieckiem będąc, już słuchał z zajęciem rozpraw nad wyższemi kwestyami polityki, finansów i wojny. Geometrii tyle tylko się nauczył, ile było potrzebném do wystawienia przyszańca lub lunety. Obdarzony pamięcią dziwnie potężną, tyle umiał języków, ile potrzeba było aby zrozumieć i odpowiedzieć bez niczyjjej pomocy na wszystko, co do niego mówiono i na każdy list odebrany.

Rodowitym językiem jego był holenderski. Rozumiał po łacinie, włosku i hiszpańsku; mówił i pisał po francuzku, angielsku i niemiecku, nie wytwornie wprawdzie i niepoprawnie, lecz płynnie i zrozumiale. Żadne uzdolnienie nie mogło być nad to przydatniejszém dla człowieka, który życie swe spędził na organizowaniu wielkich koalicyj i przywodzeniu wojskom z różnych krajów zebranych.

Jeden rodzaj pytań filozoficznych narzucił się jego uwadze zbiegiem okoliczności, i więcej go zajął, niż można było się spodziewać po ogólnym jego charakterze. Pomiędzy protestantami prowincyj połączonych, równie jak pomiędzy protestantami angielskiemi, dwa były wielkie religijne stronnictwa, schodzące się prawie zupełnie z dwoma wielkiemi stronnictwami politycznemi. Naczelnicy muni-cypalnej oligarchii byli Arminianami, w oczach pospólstwa uważanemi za mało co lepszego od katolików. Książęta Oranii dziedzicznie dawali opiekę kalwińskiej teologii, i zawdzięczali w niemałej części popularność swą gorliwości, z jaką trzymali się dogmatów wyboru i ostatecznego wytrwania; gorliwości niezawsze oświeconej nauką lub miarkowanej ludzkością. Wilhelm z dziecka został troskliwie wychowanym w systemacie teologicznym, do którego rodzina jego była przywiązana, i zapatrywał się na ten systemat z stronnością większą nawet niż ta, którą ludzie zwykle mają dla dziedzicznej wiary. Długo zastanawiał się nad wielkiemi pytaniami o których toczyły się rozprawy na synodzie w Dort, i znalazł w surowej i nieubłaganj logice szkoły genewskiej coś takiego, co przystawało do jego umysłu i temperamentu. Wszakże nigdy nie naśladował przykładu nietolerancyi, danego przez niektórych swoich przodków. Czuł stałe wstręt do wszelkiego prześladowania i wyjawiał się z tém otwarcie, nietylko tam, gdzie to wyjawienie zgodne było z polityką, ale tam nawet, gdzie interes jego zdawał się nakazywać dyssymulacją lub milczenie. Z większą stanowczością przecież trzymał się swych teologicznych opinij, niż nawet jego przodkowie. Wiara w przeznaczenie (prede-

stynacją) była kamieniem węgielnym jego religii. Oświadczał często, że gdyby miał tę wiarę porzucić, musiałby przestać wierzyć w kierującą Opatrzność, i stać się czystym Epikurejczykiem. Ten jeden przedmiot wyłączwszy, wszystkie zresztą siły jego ducha, wcześniej przeciągnięte były od teorii do praktyczności. Przymioty potrzebne do prowadzenia wielkich spraw stanu, dojrzały w nim w epoce życia, w której zaledwie kwitnąć zaczynają w zwyczajnych ludziach. Od czasu Oktawiana, nie widział świat przykładu tak wczesnej mądrości stanu. Znakomici dyplomaci dziwili się głębokim spostrzeżeniom, jakie siedemnastoletni książę czynił nad sprawami publicznemi; zdziwienie ich rosło jeszcze, gdy spostrzegli, jak młodzieniec dorównywał im w zachowaniu niczém niezakłóconej spokojności w położeniach, w których można było spodziewać się, że zdradzi go silna namiętność. Mając lat ośmnaście, zasiadał w gronie ojców rzeczypospolitej, poważny, oględny i roztropny, jak najstarszy między niemi. W wieku lat dwadzieścia jeden, w chwili przerażenia i osłupienia powszechnego, stanął na czele zarządu. Mając lat dwadzieścia trzy, już był sławnym w Europie jako żołnierz i polityk. Uśmierzył domowe fakcye, stał się duszą potężnej koalicji i walczył w zaszczytnych, choć niezawsze szczęśliwych bojach, przeciw największym generałom swego wieku.

Osobiście więcej był zamiłowany w wojnie, niż w polityce; tak przecie jak pradziad jego, milczący książę, założyciel bawarskiej rzeczypospolitej, zajmuje Wilhelm daleko wyższe miejsce między ludźmi stanu, niż między wojownikami. Wypadek bitwy nie jest niemyślnym znakiem zdolności wodza; niesprawiedliwością byłoby zwłaszcza względem Wilhelma, sądzić go według tego wypadku, bo przypadło mu z losu mieć naprzeciw siebie wodzów, będących mistrzami w swój sztuce i wojska wyższe w karności od tych, którym przywoził do walki. Są wszakże powody mniemania, że nie wyrównywał jako generał ludziom, daleko niższym od siebie w umysłowej potędze. Z ludźmi swojego zaufania, sam mówił o tém z wielkomyślną szczerością człowieka, który wielkie rzeczy zdziaławszy, może bez ujmy wyznać swoje niedostateczności w niektórych względach. Mówił wtedy, że nigdy nie dostługiwał się w wojenném rzemiośle, że w młodzieńczym wieku postawiony został na czele armii, a między oficerami swemi nie znalazł żadnego, któryby mógł stać się jego przewodnikiem. Własne pomyłki i ich następstwa, służyły mu za jedyną naukę. „Dobrym” zawołał raz, „dobrą część mych włości za to, żebym mógł być odbyć kilka kampanij pod wodzą Kondusza,

zanim stanąłem przeciw niemu do walki". Rzeczą jest do prawdy podobną, że okoliczności, które Wilhelmowi stanęły na przeszkodzie w nabyciu wysokości w strategice, wpłynęły korzystnie na siły jego umysłu w ogólności. Jeżeli bitwy stoczone przez niego nie okazują w nim wielkiego taktyko, dają mu za to tytuł do nazwy wielkiego człowieka. Żadna porażka nie mogła ani na chwilę zachwiać jego stałości, ani pozbawić go używania całej potęgi umysłu. Przegrane naprawiał z tak dziwną szybkością, że zanim nieprzyjaciele odśpiewali *Te Deum*, był znowu gotowym do spotkania; przeciwnie, szczęście, nigdy go nie pozbawiło uszanowania i zaufania żołnierzy. To uszanowanie i zaufanie, winien był w niemaliej części osobistej odwadze. Odwagę w stopniu jaki jest potrzebny żołnierzowi, aby nie ściągnął na siebie hańby w czasie kampanii, posiada, lub przy właściwej wprawie mogłaby nabyć wielka większość ludzi; lecz odwaga taka jaką miał Wilhelm, rzadko się zdarza. Przeszedł on przez wszystkie próby: wojnę, rany, bolesne choroby, burzliwe morza, grożące ciągle niebezpieczeństwo zamordowania, niebezpieczeństwo wstrząsające najsiłniejszymi nerwami, przed którym zachwiało się nawet dyamentowe męztwo Cromwella. Nikt przecież nie zdołał odkryć, czy było coś na świecie, czego by się obawiał książę Oranii. Poufni jego zaledwie skłonić go potrafili do użycia jakichkolwiek środków ostrożności, naprzeciw pistoletom i pugiuałom spiskowych (1). Starzy majtkowie dziwili się układnej spokojności, jaką zachował wśród pieniących się bałwanów na niebezpiecznym wybrzeżu. Na polu bitwy waleczność jego odznaczała go pomiędzy tysiącami walecznych wojowników, wywoływała podziwienie wojsk nieprzyjacielskich, i nigdy nie została podaną w wątpliwość, nawet przez zawiść nieprzyjaznych facyj. W ciągu pierwszych swoich kampanij, narażał się jak człowiek szukający śmierci: pierwszy w napadzie, ostatnim był w odwrocie; walczył z mieczem w rękę wśród największego ścisku; ugodzony kulą muszkietową w ramię, zbroczony krwią ciekącą po zbroi, jeszcze dostał na miejscu, i czapką wywijał wśród największego ognia. Przyjaciele zaklinali go, aby więcej szanował życie tak niezbędne dla kraju, a najznamienitszy z jego przeciwników,

(1) Przyjaciele Wilhelma błagali go po pokoju ryświckim, żeby mówił z posłami francuzkiemi względem kłował morderstwa, ciągle układanych przez Jakobitów z St. Germain. Zimna wielkoduszność z jaką te przedstawienia przyjął, jest szczególnie charakterystyczną. Bentinckowi, który mu zastraszające wieści przestał z Paryża, Wilhelm odpisał w końcu długiego listu o interesach, te słowa tylko: „Pour les assassins je ne luy en ay pas voulu parler, croiant que c'étoit au dessous de moy”. A. 2/12 maja 1698 r.

wielki Kondeusz, powiedział po krwawej bitwie pod Seneff, że książę Oranii we wszystkiem sprawił się jak przystoi na starego generała, prócz tego tylko, że się narażał jak młody żołnierz. Wilhelm przeczył, żeby miał dać się unieść nierozważnej odwadze. Mówił, że jeśli był zawsze tam, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo, czynił to z uczucia powinności i z chłodnym rozważeniem tego, czego wymagał po nim interes publiczny. Wojska któremi dowodził, mało były wprawione do boju, i unikały silnego starcia z weteranami francuzkich zastępów. Koniecznym było, żeby dowodzący pokazał im, jak się wygrywają bitwy. W rzeczy samej, niejedna bitwa, która zdawała się przegraną bez nadziei, naprawioną została przez wytrwałość, z jaką zbierał złamane swoje szeregi i własną ręką rąbał tchórzów, dających przykład ucieczki. Niekiedy przecież zdawało się, że doznawał dziwnej rozkoszy w narażaniu swęj osoby. Zrobiono spostrzeżenie, że nigdy nie był tak ożywiony, że obejście jego nigdy nie było tyle ujmujące, co wśród zgielku i krwawych mordów bitwy. W rozrywkach swoich nawet lubił bodźce niebezpieczeństwa. Nie wzniewały w nim zajęcia karty, szachy i billard. Polowanie było mu ulubioną zabawą, a lubił je najwięcej wtedy, gdy było niebezpieczne. Konno skakał przez takie parowy, że najśmielsi towarzysze nie śnieli puszczać się jego śladem. Najtrudniejsze polowania angielskie zdawały mu się zniewieściami, i wśród wielkiego windsorskiego parku, żał mu było zwierzyny, za którą uganiał się po lasach Gueldryj; wzdychał za wilkiem, dzikiem i ogromnym jeleniem o szesnastu rogach.

Śmiałość Wilhelma zastanawiała tém więcej, że fizyczna jego organizacja była niezwyčajnie delikatną. Z dzieciństwa był słaby i schorzał. W kwiecie młodości uległ silnej ospie, która pogorszyła jeszcze stan jego zdrowia. Miał usposobienie do astmy i suchot. Wątlą jego postać, wstrząsał mocny i nieustanny kaszel. We śnie musiał mieć pod głową kilka poduszek, i tylko w najczystszej powietrzu mógł ciągnąć oddech. Często dokuczał mu srogi ból głowy; ruch i mocne ćwiczenia ciała, męczyły go rychle. Lekarze ustawicznie podniecali nadzieje jego nieprzyjaciół, naznaczając kres, poza który, jeśli cokolwiek było pewnym w medycynie, zniszczony organizm dłużej wytrwać nie mógł. A przecież przez ciąg życia, które było jedną długą chorobą, w każdej wielkiej okoliczności, silny duch Wilhelma krzepił cierpiące i wątłe ciało.

Urodził się z gwałtownymi namiętnościami i żywym uczuciem; lecz nic w nim nie zdradzało światu siły wzruszenia. Przed tłumem

smutek jego i wesele, przywiązanie i nienawiść, okryte były jedną osłoną pogodnej flegmatyczności, która mu zjednała opinią najzwyklejszego z ludzi. Kto mu przyniósł wieść pomyslną, rzadko w nim dojrzał znak zadowolenia; kto go widział po przegranej, napróżno upatrywał w nim śladu frasunku. Dawał pochwały i nagany, nagradzał i karał, z nieporuszoną spokojnością wodza czerwonych Indyan; lecz ci co go lepiej znali, co go otaczali zblizką, wiedzieli, jak silny ogień gorzał pod tą lodu powłoką. Rzadko gniew odbierał mu władzę nad sobą samym; lecz straszny był pierwszy tego gniewu wybuch, gdy go przywiedziono do zapamiętałości. Wówczas nie było bezpiecznie zbliżyć się do niego. W rzadkich tych zdarzeniach przecież, jak tylko odzyskał panowanie nad sobą, starał się tak nagrodzić tym, którym krzywdę wyrządził, że brała ich pokusa drugi raz wystawić się na jego zapalczywość. Równie gwałtowny był w przywiązaniu, jak w gniewie. Gdy kochał, kochał z całą energią męskiego ducha. Gdy śmierć rozłączyła go z ukochanym przedmiotem, tych kilku co byli świadkami jego rozpaczy, drżeli o jego rozum i życie. Dla małego kółka zaufanych przyjaciół, na których wierności i dyskrecyi mógł zupełnie polegać, był on człowiekiem odmiennym, od tego skrytego i stoicznego Wilhelma, którego tłum uważał wyzutyk ze wszelkich ludzkich uczuć. Był życzliwy, serdeczny, otwarty; dobry do biesiady i żartu, gotów trawić godziny przy stole, i mieć równy z drugimi udział w uciesznjej rozmowie.

Najwyższych względów Wilhelma doznawał Bentinck, jeden z jego dworzan, potomek szlachetnego rodu w swym kraju, i założyciel jednego z pierwszych magnackich domów w Anglii, (książąt Portland). Wierność Bentincka okazała się w nadzwyczajnej próbie. Właśnie w chwili, kiedy połączone prowincye walczyły o swoje istnienie przeciw Francyi młody książę ku któremu zwracały się wszystkie nadzieje, zachorował na ospę. Choroba ta stała się zgubną dla wielu członków familii Wilhelma; w jego przypadku przybrała szczególnie złośliwy charakter. Smutek powszechny był wielki. Ulice Hagi napełniały się od świtu do zmroku ludźmi, dopytującemi się o stan zdrowia Jego Wysockości. Nareszcie choroba przesiliła się. Ten obrot jej pomyslny, przypisano w części jego własnej stałości umysłu, w części niez mordowanej i nieustraszonej przyjaźni Bentincka. Z rąk Bentincka jedynie Wilhelm przyjmował jedzenie i lekarstwa; Bentinck jeden podnosił go z łóżka i kładł napowrót. „Czy Bentinck spał lub nie spał przez czas mojej choroby”, rzekł rozczulony Wilhelm do Williama Temple (pośła angielskiego w Holandyi), „o tém nie wiem; lecz to wiem, że

przez szesnaście dni i nocy nigdy niczego nie zażądał, żeby Bentinck nie był zaraz przy moim boku". Nim wierny sługa służbę swą ukończył, sam zapadł na zaraźliwą chorobę. A jednak wytrwał mimo znużenia i febry, aż dopóki nie uznano, że Wilhelm wraca do zdrowia; wtedy dopiero Bentinck prosił o pozwolenie odejścia do domu. Czas było po temu; nogi dźwigać już go nie chciały, popadł w wielkie niebezpieczeństwo. Przyszedszy do zdrowia, jak tylko łóżko porzucił, pospieszył do armii, i w ciągu kilku krwawych kampanij zawsze był przy boku Wilhelma tak nieodstępnie, jak wśród niebezpieczeństw innego rodzaju.

Taki był początek przyjaźni równie gorącej i czystej, jak którakolwiek ze wspomnianych w dawnych lub nowych dziejach. Potomkowie Bentincka dotąd zachowują wiele listów pisanych przez Wilhelma do ich przodka, i nie powiemy zawiele utrzymując, że nikt kto w listach tych nie rozczytał się, nie może utworzyć sobie dokładnego wyobrażenia o charakterze księcia. Ten, którego wielbiciele nawet, uznawali za najwięcej odpychającego i najzimniejszego z ludzi, zapomina tu o wszelkiej różnicy stanu, i myśli swe wynurza ze szczerotą studenta. Wyjawia bez ogródki tajemnice największej wagi; wykłada z zupełną prostotą zamiary, dotyczące wszystkich europejskich rządów. Udzielenia o tak ważnych przedmiotach, pomieszane są z innymi wielce odmiennymi, lecz niemniej może zajmującami. Wszystkie przydarzenia, osobiste uczucia, przeciągłe łowy na ogromne jelenie, karuzele na dzień śgo Huberta, udanie się plantacyj, nieurodzaj melonów, stan staduiny, żądanie nabycia wygodnego siedła damskiego dla żony, przykrość jakiej doznał dowiedziawszy się, że jeden z jego dworzau uwiódłszy pannę dobrego domu, nie chciał się z nią ożenić; napady choroby morskiej, kaszel, ból głowy, usposobienia pobożne, wdzięczność dla Boskiej opieki po wyjściu z niebezpieczeństwa, walki staczane z samym sobą, by poddać się woli Bożej po odniesionej porażce — opisane są w tonie pogadanki, którego trudno by spodziewać się po najskrystszy i najpoważniejszym człowieku stanu swojego czasu. Więcej jeszcze zastanawia wylanie się nieudane jego czułości, i braterski udział w domowym szczęściu przyjaciela. Kiedy syn urodził się Bentinckowi „będzie żył spodziewam się” mówi Wilhelm „na to, żeby być tak dobrym jak ty jesteś; a jeśli bym miał mieć syna, dzieci nasze będą się tak kochały, mam nadzieję, jak myśmy się kochali.” Przez ciąg życia swojego nie przestał okazywać małym Bentinckom ojcowskiego przywiązania. Daje im pieczołliwie zdrobniałe imiona, ma o nich staranie w czasie nieobe-

cności ojca; i choć mu z przykrością przychodzi odmówić im jakiegobądź przyjemności, nie pozwala im jechać na polowanie, na którémby jeleni mógł ich rogami skaleczyć, lub musieliby późno w noc siedzieć przy zbyt wesołej wieczerzy (1). Kiedy ich matka zachorowała w czasie nieobecności męża, Wilhelm wśród zatrudnień największej wagi, znajduje czas w ciągu jednego dnia kilkakrotnie przesłać kilka słów wiadomości o stanie jej zdrowia. Raz nawet, gdy po silnym paroxyzmie uznano że wyszła z niebezpieczeństwa, ksiązę gorąco wyjawia wdzięczność swoją Bogu: „Piszę” mówi „ze łzami radości w oczach”. Jest wdzięk szczególny w takich listach skreślonych ręką człowieka, który przez niezwalczoną energią i nieugiętą stałość wymuszał uszanowanie nawet na nieprzyjaciółach, który zimnem i mało ujmującym obejściem odpychał przywiązanie prawie wszystkich swoich stronników, i którego dusza zajęta była olbrzymiemi planami, mającemi zmienić postać świata.

Nie umieścił źle swego przywiązania: Bentinck wczesnie uznany został przez Williama Temple za najlepszego i najwierniejszego sługę, jakiego kiedykolwiek ksiązę jaki posiadał, i przez ciąg życia utrzymał się w tym zaszczytnym charakterze. Rzeczywiście, przyjaciele byli jeden dla drugiego stworzeni. Wilhelm nie potrzebował przewodnika ani pochlebcy; polegając mocno i słusznie na swoim własnym zdaniu, nie był skłonny mieć doradców, którzyby lubili czynić mu zarzuty lub nasuwać swe myśli. Z drugiej strony, zawiele miał rozeznania i zbyt wzniosłą duszę, aby mu sykofanterya przyjemność sprawiała. Powiernik takiego księcia, nie potrzebował być człowiekiem obdarzonym wynalazczym gieniuszem lub potężnym duchem; lecz winien był być walecznym i wiernym, zdolnym do wykonania rozkazów dokładnie, do zachowania tajemnic święcie, do baczności czujnie, na to, co się wkoło niego dzieje i do udzielania swych dostrzeżeń prawdziwie; takim człowiekiem był Bentinck.

Wilhelm niemniej był szczęśliwym w małżeństwie, co w przyjaźni. Małżeństwo przecież z początku nie obiecywało mu wiele domowego szczęścia. Wybór jego skierowany został głównie politycznemi względami, i nie zdawało się, żeby silne przywiązanie mogło powstać między piękną szesnastoletnią dziewczicą, dobrych usposobień

(1) Voila en peu de mots le detail de nostre St. Hubert. Et j'ai eu soin que Mr. Woodstock (Bentincka syn najstarszy) n'a point esté à la chasse, bien moins au soupé quoiqu'il fut icy. Vous pouvez pourtant croire que de n'avoir pas chassé l'a un peu mortifié, mais je ne l'ay pas ausé prendre sur moy, puisque vous m'avez dit que Vous ne le souhaitez pas. Loo. Nov. 4, 1697.

wprawdzie i naturalnie pojętną, lecz nieuczoną i skromną, a między oblubieńcem, który chociaż nie skończył lat 28, starszym był w organizmie swoim od jój ojca, zimnym w obejściu, i zawsze zajęтым albo publicznemi sprawami, albo uciechą łowów. Czas niejaki Wilhelm był małodbałym mężem. Oddalały go od żony inne kobiety, mianowicie jedna z dam jój dworu, Elżbieta Villiers, ogolocona z wdzięków ciała i zeszepecona brzydkim zézem, lecz posiadająca talenta, uzdatniające ją do dzielenia zajęć i trosk Wilhelma. Wstydził się on swych błędów i nie szczędził starań, ażeby je trzymać w ukryciu; lecz mimo wszelkiej ostrożności z jego strony, Murya wiedziała że nie był jój wiernym. Szpiegi i obmówcy z poduszczenia jój ojca, starali się jak mogli podniecać jój urazę. Człowiek wielce odmienny od nich charakterem, zacny Ken, który był kapelanem Maryi w Hadze przez czas niejaki, tak dotkliwie uczuł jój krzywdę, że więcej żarliwy niż oględny, wygrażał się ostro zganić mężowi jego postępowanie. Ona wszakże znosiła urazę ze słodyczą i cierpliwością, które zasługiwały i w końcu zjednały jój szacunek i wdzięczność Wilhelma. Zostawała przecież jeszcze jedna przyczyna zobojetnienia. Według wszelkiego prawdopodobieństwa miał nadejść czas, w którym księżniczka, którą wychowanie nauczyło tylko haftować, grać na szpincie i czytać biblią i „o obowiązkach człowieka”, miała stać się władczynią wielkiej monarchii, i trzymać w swych ręku wagę Europy; gdy tymczasem mąż jój, ambitny, wprawny w działania stanu i żyjący wielkimi zamiarami, miał nie mieć w rządzie angielskim żadnego miejsca dla siebie, i piastować władzę tylko z jój łaski i tak długo, jakby się jój podobało. Nie może zadziwić, że człowiek tyle lubiący władzę co Wilhelm, czujący w sobie tyle gieniuszu rządzenia, uczuł mocno zazdrość, która w ciągu krótkich godzin królowania poróżniła Guildforda Dudlej z Lady Joanną, i jeszcze traicniej rozerwała związki Darnleja z królową Szkotów. Księżna Oranii nie dorozumiewała się wcale uczuć, jakie zawładły jój mężem. Nauczyciel jój, biskup Compton, starannie wpoił w nią zasady religii i umysł jój uzbroił przeciw polemice rzymsko-katolickich teologów; lecz zostawił ją w głębokiej niewiadomości co do ustaw angielskich, i co do własnego jój położenia. Znała, że ślub małżeński obowiązywał ją do posłuszeństwa mężowi, i nigdy jój w myśli nie powstało, że stosunek jój do niego mógł kiedyś obrócić się naodwrot. Dziewięć lat była za mężem, zanim odkryła przyczynę niechęci Wilhelma, a nawet sama przez się nigdyby do téj wiadomości nie była przyszła. W ogóle temperament jój męża usposabiał go raczej do trawienia w sobie

swych żalów, niż do wyjawienia ich na zewnątrz; a w tym szczególnym razie, bardzo naturalna delikatność jeszcze ściślej usta jego zamknęła. Nakoniec, zupełne porozumienie i zgodę między małżeństwem, przywrócił staraniem swoim Gilbert Burnet.

Pamięć Burneta spotkała przeciwników szczególnie złośliwych i zawziętych. Oczerniano go jeszcze za życia, szkalowanie trwa z równą inołą dotychczas, choć więcej wieku i ćwierci, jak legł w grobie. Rzeczywiście był on takim celem pocisków, jakiego tylko stronnicza zawziętość i bujny dowcip życzyć sobie mogły. Wady jego umysłu i temperamentu, leżały na powierzchni; niepodobna było w nie nie ugodzić. Nie byłyto wady pospolite jego współziomkom; sam jeden z tylu Szkotów, którzy mieli powodzenie i doszli do znaczenia w Anglii, miał charakter, jaki satyrycy, moralści i komicy, zgodnie przyznali irlandzkim awanturnikom. Bujność jego sił żywotnych, chętność, niezatajona próżność, dziwny brak logiki, oburzająca niedyskrecya, zuchwałość niepowściągnięta, stały się niewyczerpanym przedmiotem szyderstwa torysów. Nieprzyjaźni nie omieszkali nadto składać mu powinszowań, czasami więcej uciesznych, niż delikatnych, z powodu szerokich pleców, grubych łydek i powodzenia w małżeńskich zabiegach o bogate i rozkochane wdowy. Wszakże Burnet, chociaż z wielu względów wystawiony na śmieszność, a nawet zasługujący na poważniejszą naganą, nie był człowiekiem, którymby gardzić można. Miał umysł bystry, zabiegłość niezmordowaną; ocytany był szeroco i w rozmaitych przedmiotach. Dziejopis i starożytnik, teolog i kaznodzieja, pisarz pamfletów i parlamentarowy mówca, czynny naczelnik politycznego stronnictwa; we wszystkich tych kierunkach odznaczał się pomiędzy tłumem zdolnych współzawodników.

Pisał wiele i z talentem o wypadkach czasowych; te jego prace są przecież dzisiaj znane tylko badaczom; lecz dotąd wychodzą nowe wydania jego *Historji moich czasów*, *Historji Reformacyi*, *Wykładu artykułów*, *Rozmowy o obowiązkach duchownych*, *Życia Halego*, *Życia Wilmota*, i mieszczą się w każdym dobrym prywatnym księgozbiornie. W obec takiego faktu, wszystkie usiłowania oszcerców Burneta są nadaremne. Pisarz, którego wielotomowe dzieła w różnych gałęziach piśmiennictwa, znajdują licznych czytelników w lat sto trzydzieści po śmierci, mógł mieć wielkie wady, lecz obok nich, musi także mieć wielkie zalety. Miał je Burnet; umysł jego był silny i obfity, styl choć daleki od bezbłędnej czystości, zawsze jasny,

często ożywiony, czasem wznoszący się do wymowy gorącej i uroczystej. Na kazalnicy, postawa jego szlachetna, giest patetyczny, podnosiły wrażenie mów, mianych zupełnie z pamięci. Przerzywał mu często głęboki szmer słuchaczy, a kiedy po dłuższej mowie podniósł w górę szklany godzinnik, będący w owe czasy niezbędnym meblem kazalnicy, zgromadzeni w kościele w głos zachęcali go, by nie ustawał, dopóki piasek drugi raz się nie przesypie. Wielkie zalety przeważały wady jego charakteru i umysłu. Dając się często uwodzić przesądom i namiętności, był przecież w całym tego słowa znaczeniu prawnym człowiekiem. Nieraz uległ ułudzie próżności; lecz ani chciwość, ani bojaźń nie miały na niego wpływu. Z przyrodzenia był życzliwy, szlachetny, wdzięczny, przebaczący (1). Żarliwość jego w rzeczach wiary, miarkowała wrodzona ludzkość i uszanowanie dla praw sumienia. Mocno przywiązany do tego, co uważał być duchem chrześcijaństwa, obojętnie spoglądał na ustawy, nazwiska i formy kościelnych urzędów, i nie był wcale skłonny do surowości względem niewiernych lub heretyków, których życie było czyste, których błędy zdawały się raczej być skutkiem jakiegoś przewrotności umysłu, niż złośliwości serca. Wszakże, jak wielu innych zacnych ludzi swego czasu, wyjątek od tych zwyczajnych prawideł sądzenia czynił względem rzymskiego kościoła.

Przez czas niejaki Burnet miał imię europejskie. Wszyscy protestanci przyjęli z głośnym oklaskiem jego *Historią Reformacji*; katolicy uczuli dotkliwie cios przez nią zadany. Największy doktor, jakiego kościół rzymski wydał od czasu rozdzielenia w wieku XVI-tym, Bossuet biskup meldonki, gotował odpowiedź na to dzieło. Burnet uczczonym został dziełczynieniem uchwalonem przez jeden z żarliwych parlamentów, zasiadających w czasie wzburzenia, wywołanego przez spisek prochowy, i wezwanym w imieniu izby niższej angielskiej do nieustawiania w dziejowych poszukiwaniach. Królowie Karol i Jakób przypuścili Burneta do poufego towarzystwa; zostawał w ścisłej za-

(1) Nikt częściej ani ostrzej nie przeczył twierdzeniom Burneta nad Dartmouth'a. Wszakże sam Dartmouth mówi: „Nie mniemam, aby z zamiarem Burnet ogłosił cośkolwiek, o fałszu czego byłby przekonany”. Nawet Swift był tyle sprawiedliwym, że wyrzekł o Burnecie. „Cóżkolwiek bądź, przyznać trzeba, że był to człowiek szlachetny i dobry.”

Weszło w zwyczaj ganić Burneta, jako dziejopisa szczególnie niedokładnego; wszakże i ten zarzut jest niesprawiedliwy. Wydaje się dlatego tak niedokładnym, że opowiadanie jego poddane zostało krytyce nadzwyczaj ścisłej i nieprzyjaznej. Gdyby whig jaki podobnemu rozbirowi poddał Reresbego pamiętniki, Examen Northa, Opis rewolucyi przez Mulgrave, lub życie Jakóba II wydane przez Clarka, okazałoby się, że Burnet daleko prześcignięty został w niedokładności przez drugich.

żyłości z znakomitemi ludźmi stanu, szczególnież z Halifaxem, i był przewodnikiem duchownym kilku innych znamienitych osób. Nawrócił z ateizmu i rozwiązłości jednego z najbliższych libertynów wieku, Jana Wilmot hrabiego Rochester. Lord Stafford, ofiara Oatesa, chociaż katolik, zbudowany został w ostatnich swoich chwilach napomnieniami Burneta w tych punktach, na które wszyscy chrześciance zarówno przystają. W kilka lat później, Burnet towarzyszył innemu osądzonemu, jeszcze znamienitszemu, Lordowi Russel w drodze z Tower na rusztowanie w Lincoln Inn Fields. Dwór nie zaniedbał żadnego środka zjednania sobie tak czynnego i zdolnego duchownego. Nie oszczędzano ani przymień królewskich, ani obietnic zyskowego uposażenia. Lecz Burnet, choć w młodych latach wpojono w niego zasady uległości, których się trzymało ówczesne duchowieństwo, z przekonania został whigiem, i przez wszystkie losy koleje stałe trzymał się swych zasad. Nie miał przecież udziału w spisku, który tyle ujmy przyniósł i taką plamę rzucił na stronnictwo whigów, i nie tylko oburzał się na zbrodnicze zamiary Goodenougha i Fergusona, lecz nawet był zdania, że jego kochany i szanowny przyjaciel Russel, posunął się zadaleko w działaniach swoich przeciw rządowi. Nakoniec przyszedł czas, w którym niewinność przestała być dostateczną obroną. Zemsta dworu zaczęła ścigać Burneta, chociaż w niczem praw nie przekroczył. Udał się na ląd stały, i spędziwszy rok jeden na podróżach po Szwajcaryi, Włoszech i Niemczech, których zajmujące zostawił nam opisy, przybył do Hagi, i został tam przyjęty z poważaniem i życzliwością.

Rozmawiał często z księżną o polityce i religii, i w krótkim czasie został duchownym jój przewodnikiem i poufnym doradcą. Wilhelm okazał się daleko gościnniejszym, niż można się było spodziewać. Ze wszystkich wad, najdolegliwsze było dla niego wścibstwo i niedyskrecya; a przyjaciele nawet i wielbiciele Burneta przyznawali, że w nastęrczaniu się i niedyskrecyi, nie miał sobie równego. Lecz roztropny książę dostrzegł także, że ten wielomówny ksiądz co chwila wygadujący się z tajemnicami, czyniący zapytania niestosowne i narzucający się z nieproszoną radą, był pomimo to prawym, odważnym i zdolnym człowiekiem, wielce obeznanym z usposobieniem i widokami sekt i stronnictw brytańskich. Sława wymowy i erudycyi Burneta rozeszła się szeroko. Wilhelm sam niewiele czytał. Lecz w owęj chwili już od lat wielu stał na czele rządu holenderskiego, w wieku w którym prasa holenderska była jedną z najsilniejszych dźwigni poruszających opinią europejską, i chociaż nie smakował w piękno-

ściach literatury, zbyt był przenikliwy i uważający, aby nie dostrzedz, jaką mogła stać się pomocą.

Wiedział on, że popularny pamflet mógł czasem oddać tyle usługi, co zwycięstwo w polu. Czuł również potrzebę mienia przy boku swoim osoby dobrze obeznanój z tokiem spraw cywilnych i kościelnych Brytanii, a Burnet mógł wybornie służyć za żyjący słownik tych stosunków. Wiadomości jego lubo niezawsze dokładne, były niezmiernie rozległe, i mało było w Anglii i Szkocyi znakomitych ludzi jakiegokolwiek politycznego lub religijnego stronnictwa, z któremiby nie przestawał. Z tych względów przypuszczony został do takiego udziału w łasce i zaufaniu księcia, jakie posiadał ktokolwiek z tych, co nie należeli do szczupłego grona prywatnych przyjaciół księcia. Gdy doktor zaczął pozwalać sobie, co mu się nierzadko zdarzało, jego protektor stawał się więcej niż zwykle zimnym i ponurym, i czasem wyrzekł suchy i krótki sarkazm, który byłby oniemiał każdego obdarzonego tylko zwyczajną dozą ufności w sobie. Pomimo takich wydarzeń przecież, przyjaźń między tą osobliwą parą nie zerwała się, i z wyjątkiem przerw chwilowych, dotrwała do śmierci. Nie było rzeczą łatwą zranić uczuć Burneta. Wewnętrzna satysfakcja, bujność sił żywotnych, brak taktu, sprawiały, że choć często drugich urażał, sam nigdy obrażonym się nie czuł.

Wszystkie właściwości jego charakteru, usposabiały go do stania się pojednawcą między Wilhelmem i Maryą. Kiedy osoby, które powinnyby szanować się i kochać wzajemnie, zostają w rozdwojeniu, jak się często zdarza, z przyczyny, którą trzy słowa szczerzego objaśnienia usunąćby zdołały; szczęściem jest dla nich, jeżeli znajdą zbyt otwartego przyjaciela, który całą prawdę wypowie. Burnet bez ogródki powiedział księżnie, jakie uczucia ogarnęły duszę jej męża. Dowiedziała się po raz pierwszy z niemalém swoim zadziwieniem, że kiedy posiedzie tron angielski, Wilhelm nie zajmie na nim miejsca. Z uczuciem oświadczyła Marya, że nie było dowodu małżeńskiej uległości i przywiązania, któregooby dać nie była gotowa. Wtedy Burnet z wieloma wymówkami i z uroczystém zaręczeniem, że żadna ludzka istota nie włożyła mu w usta tego, co miał powiedzieć, rzekł jej, że lekarstwo ma w swoim ręku. Kiedy korona przejdzie na jej głowę, mogłaby wtedy księżna, mówić dalej, skłonić parlament nie tylko do nadania tytułu królewskiego swemu mężowi, lecz nawet do przeniesienia w jego ręce przez akt prawodawczy zarządu władzy, „Lecz” dodał „Wasza Królewska Wysokość winnaś dobrze rzecz rozważyć, zanim takie swoje postanowienie objawisz. Jestto posta-

nowienie, które raz objawione, nie może bezpiecznie ani z łatwością być odwołaném". „Nie potrzebuje czasu do namysłu", odpowiedziała Marya, „dość dla mnie, że mam sposobność okazać moje poważanie dla księcia. Powiedz mu com rzekła, i przywiedź go do mnie, aby to usłyszał z własnych ust moich". Burnet poszedł szukać Wilhelma, lecz Wilhelm był oddalony o mil wiele, polując na jelenie. Nazajutrz dopiero stanowcze widzenie się nastąpiło. „Nie wiedziałam do wczoraj", rzekła Marya „że taka różnica zachodzi między prawami Anglii i prawami Boskiemi. Lecz teraz obiecuję Ci moje uległość na zawsze, a w zamian tego tylko żądam, że jak ja zachowam przepis nakazujący żonom posłuszeństwo dla mężów, tak ty zachowasz przepis chcący mieć, aby mężowie kochali swe żony." Tak szlachetne przywiązanie zjednało jęj zupełnie serce Wilhelma.

Odtąd aż do smutnego dnia, w którym musiano go przemocą odprowadzić od śmiertelnego jęj łoża, panowała między niemi zupełna przyjaźń i zaufanie. Przechowało się dotąd wiele listów Maryi pisanych do Wilhelma; zawierają one liczne dowody, że człowiek uchodzący w oczach tłumu za mało godnego kochania, natchnął piękną i cnotliwą kobiętę, urodzeniem wyższą od niego, miłością posuniętą do bałwochwalstwa. Burnet oddał krajowi swemu usługę wielkiej wagi. Nadszedł czas, w którym zgoda zupełna między księciem i księżną, stała się rzeczą obchodzącą dobro popolite.

Do chwili uśmierzenia powstania na zachodzie Anglii, istniały przyczyny poróżnienia, oddalające Wilhelma od whigów zarówno co od torysów. Z niezadowoleniem spoglądał on na usiłowania whigów, pozbawienia władzy wykonawczej niektórych atrybucyj, potrzebnych, według jego mniemania, do skuteczności i godności tej części rządu. Z większém jeszcze niezadowoleniem widział potuchę, daną przez znaczną część tego stronnictwa rozszereżeniu księcia Monmouth. Zdawało się, że opozycja chciała najprzód uczynić koronę angielską niewartą noszenia, a potém ją włożyć na głowę bękarta i samozwańca. Z drugiej strony przecież religijne mniemania księcia różniły się wielce od tych, które były godłem torysów. Byli oni Armi-nionami i zwolennikami systematu episkopalnego. Z góry poglądali na protestanckie kościoły stałego ładu, i każdy wiérz liturgii i rubryceeli, uważali za mało ustępujący w świętości ewangiellii. Mniemania księcia, przeciwnie, co do metafizycznej strony teologii były kalwińskie; mniemania jego co do rządu kościoła i sposobu oddawania czci Bogu, były wolnowierne (latitudinarian); przyznawał on, że rząd biskupi był dopuszczalną i stosowną formą rządu kościelnego; lecz

powstawał ostro i pogardliwie na bigoteryą tych, którzy utrzymywali, że wyświęcenie było istotną cześcią chrześcijańskiego społeczeństwa. Nie miał żadnego skrupułu w przedmiocie ubiorów duchownych i ceremonij, przepisanych przez księgę publicznego nabożeństwa (Book of Common Prayer). Lecz przyznawał, że więcej lubiłby obrządki kościoła anglikańskiego, gdyby mu mniej przypominały obrządki kościoła rzymskiego. Słyszano z ust jego złowrózby wykrzyknik niesmaku, gdy w prywatnej kaplicy swój żony ujrzał ołtarz nakryty sposobem anglikańskim, i zdał się być niezadowolonym, znalazłszy w jej ręku dzieło Hookera O zarządzie kościelnym.

Bacząc uważnie na spory stronnictw angielskich, Wilhelm nie czuł w sobie ku żadnemu z nich zbytniego pociągu. W rzeczy samej, do końca życia nie został whigiem ani torysem; brakowało mu do tego wspólnej podstawy obu kierunków; nigdy nie został Anglikiem. Ocalił Anglią, to prawda, lecz nigdy jój nie kochał, i nigdy nie zyskał jój miłości. Dla niego było zawsze kraj wygnania, odwiedzany niechętnie, opuszczany z rozkoszą. Nawet wtedy, gdy oddawał Anglii usługi, których do dziś dnia czują Anglicy szczęśliwe skutki, pomyślność Anglii nie była głównym jego celem. Cokolwiek było w nim patriotycznego uczucia, wszystko zachował dla Holandyi. W tym kraju wznosił się grobowiec wspaniały, w którym spoczywał wielki mąż stanu, którego krew, którego imię, którego temperament i gieniusz Wilhelm odziedziczył. W tym kraju sam dźwięk jego tytułu, miał urok zdolny wywołać, przez trzy pokolenia, entuzjazm przywiązania ludności wiejskiej i rzemieślniczej. Język holenderski był językiem Wilhelma od powicia. Między szlachtą holenderską wybrał sobie przyjaciół młodości. Zabawy, budownictwo, krajobrazy rodzinnej ziemi, uwięziły jego serce. Do niej obracał się z zamiłowaniem od dumniejszej i piękniejszej rywalki. W galerji Whitehallu, wzdychał za rodzinnym domem w lasku pod Hagą, i nigdy nie był tyle szczęśliwym, jak gdy mógł zamienić przepych Windsoru, na skromniejszą daleko rezydencyą w Loo. Przez czas świetnego wygnania pocieszał się, starając tworzyć wokoło siebie widoki, któreby mu przypominały regularne gmachy z czerwonej cegły, długie kanały i symetryczne zagony kwiatów, pomiędzy którymi spędził wiek swój młody. Wszakże nawet przywiązanie do rodzinnej ziemi ustępowało pierwszeństwa innemu uczuciu, które wcześniej stało się panującym w jego duszy, które pobudziło go do zadziwiających przedsięwzięć, które dawało mu siłę gdy upadał pod ciężarem zgryzot, zawodów, choroby i troski, które pod koniec życia zdawało się gasnąć czas jakiś, lecz wkrótce wybuchło gwałtowniej-

sze niż kiedy, i nie przestało ożywiać go wówczas nawet, gdy czytano przy jego łożu modły za umierających. Tém uczuciem była nieprzyjaźń ku Francyi i ku pełnemu wystawności władcy, który w niejednym względzie był przedstawicielem swego narodu, łącząc do zalet i przymiotów prawdziwie francuzkich, tę niespokojną, niezważającą na nic, i częściej sławy pełną ambycyą, co niejednokrotnie ściągnęła na Francyą mściwy odwet Europy.

Nietrudno byłoby śledzić postępu tego uczucia, które stopniami posiadało całą duszę Wilhelma. Zaledwie wyrost z lat dziecinnych, ojczyzna jego została napadniętą przez Ludwika z jawném pogwałceniem słuszności i prawa publicznego, ubieżoną, spustoszoną i wydaną na łup rabunków, swawoli i okrucienstwa. Przerażeni Holendrzy unieżyli się przed zdobywcą i błagali o łaskę. Odpowiedziano im, że jeżeli chcą mieć pokój, mają rzec się niepodległości i corocznie składać hołd domowi Burbonów. Skrzywdzony naród, przywiedziony do rozpacz, otworzył tamy i przyzwał morze na sprzymierzeńca przeciw jarzmu francuzkiemu. Konała już ta straszna walka; zatrwożeni włościanie uciekali przed zdobywcami, setne ogrody i letnie mieszkania znikły pod wodą, obrady stanów przerywał jęk i głośny płacz starych senatorów, gdy Wilhelm powołany został do steru rządu. Czas jakiś mniemał, że nie było nadziei w oporze. Oglądał się naokoło za pomocą, i oglądał się napróżno: Hiszpania była bezsilną, Niemcy zajęte w inną stronę, Anglia przekupiona. Zdawało się, że nie pozostawało młodemu Statuderowi nic więcej, jak zginąć z bronią w ręku lub zostać Encaszem wielkiej emigracyi, i założyć nową Holandya w krajach poza obrębem tyranii francuzkiej. Wówczas żadna zapora nie wstrzymywałaby wzrostu domu Burbońskiego; kilka lat jeszcze, a dom ten mógłby przyłączyć do swoich państw: Lotaryngią i Flandryą, Kastylią i Aragon, Neapol i Medyolan, Meksyk i Peru. Ludwik mógłby posiadać koronę cesarską, mógłby umieścić księcia swojej familii na tronie polskim, mógłby stać się jedynym władcą w Europie od pustyń Scytyjskich do oceanu Atlantyckiego, a w Ameryce od krajów na północ zwrotnika Raka, do krajów na południe zwrotnika Koziorożca położonych. Takie widoki otwierały się przed Wilhelmem, gdy pierwszy raz wystąpił na widownię życia publicznego, i nie przestały go dręczyć aż do ostatniej chwili.

Monarchia francuzka była dla niego tém, czém rzeczpospolita rzymska była dla Hannibala, czém potęga ottomańska dla Scanderbega, lub południowe jarzmo dla Wallasa. Religia uświęciła tę wyteżoną i nieubłaganą nienawiść. Setni kaznodzieje kalwińscy głosili, że

ta sama moc, która z łona matki przynaczyła Samsona na bicz Fili-
stynów i od klepiska młocki obrała Gedeona na pogromcę Madyani-
tów, wyniosła Wilhelma z Oranii na rycerza swobodnych naro-
dów i nieskażonych ustaw kościoła. Wyobrazenie to nie zostało bez
wpływu na niego. Zaufaniu, które bohater fatalista pokładał w wyso-
kości swego przeznaczenia i świętości swój sprawy, przypisać w czę-
ści należy osobliwszą jego obojętność na niebezpieczeństwa. Miał
wielkie dzieło przed sobą, i zanimby spełnione zostało, nie nie mogło
o szwank go przyprowadzić. Dlatego na przekorę przepowiedniom le-
karzy, przychodził do zdrowia z chorób, które zdawały się śmier-
telnymi; dlatego tłumy spiskowych napróżno godziły na jego życie;
dlatego otwarta Łódź, której powierzył się w noc bezgwiazdną, na
wzburzonem oceanie, w pobliżu zdradnego wybrzeża, bezpiecznie
niosła go do lądu; dlatego w dwudziestu krwawych bitwach, kula
armatnie przelatowała obok niego na prawo i na lewo. Zapale i wy-
trwałość z jaką poświęcił się na wypełnienie swój misji, zaledwie
mają coś podobnego w dziejach. W porównaniu z wielkiem swoim
zadaniem, równie mało cenil życie drugich, co swoje własne. Naj-
szlachetniejsi nawet i najwięcej przejęci uczuciem ludzkości wojowni-
cy owego wieku, zanadto przyzwyczajeni byli lekce sobie ważyć
rozlew krwi i spustoszenie, nieodłączne od wielkich wojennych prze-
wag; a serce Wilhelma zahartowała nie tylko nieczulość właściwa
wojennemu rzemiosłu, lecz silniejsza jeszcze, którą wyradza uczucie
powinności. Trzy wielkie koalicje, trzy długie i krwawe wojny,
w których cała Europa od Wisły do Zachodniego oceanu stanęła pod
bronią, przypisać należy niezwalczonę jego energii. Kiedy w roku
1678 Stany wyczerpane na siłach, upadłe na sercu życzyły pokoju,
głos jego ozwał się jeszcze przeciw zawarciu miecza w pochwę. Je-
żeli pokój stanął, stanął jedynie dlatego, że Wilhelm nie mógł natchnąć
drugich duchem tak pałającym i tak stałym, jak jego własny. W osta-
tniej nawet chwili spodziewając się, że przez to rozerwie układy prawie
już ukończone, stoczył jedną z najkrwawszych i najzaciętszych bitew
owego wieku. Od dnia, w którym pokój w Nimwedze został podpi-
sany, począł myśleć o drugiej koalicji. Zatarga jego z Ludwikiem
przeniesiona z wojennego pola do gabinetu, rozjątrzona została przez
prywatną urazę. Współzawodnicy odśrodkowo różnili się od siebie
w talentach, usposobieniu, obojętności i mniemaniach. Ludwik uprzejmy
i pełen godności, hojny i oddany rozkoszy, lubiący okazałość, a uni-
kający niebezpieczeństw, szczodry opiekun sztuk i nauk, srogi prze-
śladowca kalwinów: przedstawiał dziwną sprzeczność z Wilhelmem,

skromnym w gustach, niezręcznym w obejściu, niezmordowanym i walecznym w boju, mało ceniącym wszystkie gałęzie wiedzy, służące ozdobie, i stale przywiązanym do genewskiej teologii. Dwaj nieprzyjaciele niedługo zachowali te wzajemne względy, które ludzie ich stopnia, nawet na czele wojsk sobie przeciwnych, rzadko zachować zaniedbują. Wilhelm wprawdzie przeszedł przez formalność ofiarowania swych usług Ludwikowi; lecz grzeczność ta ocenioną została według istotnej wartości, i odwzajemnioną suchą reprimandą. Wielki król przybrał postawę udanej pogardy względem drobnego księcia, będącego w służbie konfederacji miast kupieckich; na każdą oznakę pogardy, niezrażony niczem Statuder odpowiadał w sposób wyzywający. Wilhelm brał swój tytuł, który wypadki poprzedniego wieku zrównały z najświetniejszymi w Europie, od miasta leżącego na brzegach Rodanu, niedaleko od Awinionu; które lubo, tak jak Awinion, było opasane naokoło ziemią francuzką, stanowiło przecież lenność nie Francji, lecz cesarstwa. Ludwik z tą przekorną wzgardą dla prawa publicznego, jaka go stale odznaczała, zajął Oranią (Orange), zniósł fortyfikacye i skonfiskował dochody. Wilhelm powiedział w głos przy swoim stole, że król arcy-chrześcijański odżałuje tej zniewagi, a zapytany przez hrabiego Avaux czy wyrzekł te słowa, nie chciał ani ich cofnąć, ani dać objaśnienia. Spór zaszedł tak daleko, że poseł francuzki nie śmiał okazać się w salonie księżnicz, obawiając się zniewagi.

Uczucie z jakim Wilhelm spoglądał na Francją, wyjaśnia całą politykę jego względem Anglii. Jako człowiek publiczny, był on człowiekiem europejskim. Głównym przedmiotem jego pieczołowitości nie była Brytania, ani nawet rodzinną jego Holandya, lecz wielka społeczność narodów, którym groziła przewaga przemożnego mocarstwa. Ci, którzy błędnie uważają go za angielskiego człowieka stanu, muszą koniecznie całe jego życie widzieć w fałszywem świetle, i nie są zdolni wskazać jakąkolwiek zasadę, dobrą lub złą, whigowską lub torysowską, do którejby główne jego działania można odnieść. Lecz gdy go będziemy uważali jako człowieka, którego właściwem zadaniem było połączyć mnóstwo słabych, zwaśnionych i zmiechęconych państw w jeden silny i energiczny związek przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi; gdy go będziemy uważali jako człowieka, w którego oczach Anglia dlatego miała wielką wagę, że bez niej wielka koalicya, którą zamierzał, byłaby niepełną; zmuszeni będziemy przyznać, że żaden z dłuższych zawodów, o których historia

wspomina, nie był od początku do końca więcej jednostajnym, co
zawód tego wielkiego księcia (1). F. Z.

(1) Nie mogę odmówić sobie przyjemności przytoczenia nieprzyjanych
wprawdzie, lecz trafnych i szlachetnych słów Massillona o charakterze Wilhelma.
„Un Prince profond dans ses vues, habile à former des ligues et à reunir les
esprits; plus heureux à exciter les guerres qu'à combattre; plus à craindre encore
dans le secret du cabinet qu'à la tête des armées; un ennemi que la haine du
nom Français avait rendu capable d'imaginer de grandes choses et de les exé-
cuter; un de ces génies qui semblent être nés pour mouvoir à leur gré les peuples
et les souverains; un grand homme s'il n'avait jamais voulu être roi”. Oraison fu-
nèbre de M. le Dauphin.

WIEŚ KRUPA.

ZDARZENIE HISTORYCZNE Z 1715 ROKU.

Antoniiego Pieniarshiego.

I.

Byłoto na wiosnę, roku 1715. Głód straszny w swoich skutkach, okropny dla biędnych, opanował całą Czerwoną-Ruś, i niemal całą Polskę, opustoszoną grabieżą wojsk obcych, i nierządem wewnętrznym. Sasi, których August II sprowadził nibyto na obronę przeciw Szwedom, wyprzedzali w łupieztwie skandynawskich zbirów, i ślady swoje odznaczeni grabieżą i okrucieństwem.

Dymity się zgliczcza liczných miast i wiosek, gromady psów wyły w opustoszałych siedzibach, a nieszczęśliwi mieszkańcy w niedostępne bory unosili życie; na to tylko zapewne, aby doświadczyć okropniejszej męczarni — męczarni głodu.

Niedoli téj nie miał kto zapobiedz: bo owe świeczniki rzeczypospolitej, ci panowie, na których po większej części spoczywał rząd kraju, nie mieli czasu myśleć o poddanych i drobniejszych braciach, bo głowy ich obciążone były nadziejami starostw, buław hetmańskich, lasek marszałkowskich, lub pieczęci koronnych; nie mieli pieniędzy na wsparcie biędnych, ponosząc tak wielkie wydatki na kupno głosów i krések....

Nędza i ucisk wywołały konfederacyą Tarnogrodzką, na której czele stanęli ci, co nie mogli znoić obojętnie cierpienie biędnego ludu.

Czy konfederacya ta odpowiedziała swemu celowi, każdy przekona się z historii; my tylko opowiemy tu małe wprawdzie, ale dość interesujące zdarzenie.

W Krupie (1), wiosce pod Krasnymstawem, należącój niegdys do słynnego w naszych dziejach Samuela Zborowskiego, okropna nędra przycisnęła biédnych wieśniaków. Wszystkie chaty nawiedził głód tak ciężki, że dzwony nie przestawały jeczć nad nieszczęśliwemi jego ofiarami, i co dzień na kościelnym cmentarzu przybywało kilka lub kilkanaście świeżych mogił.

— Tatulu! chleba, chleba!— wołał w jednéj z takich chatek mały chłopiec, siedzący koło komina, na którym już oddawna nie było ani iskierki ognia.— Mnie się jeść chce, tatulu— i zanosił się od płaczu.

— Cicho Jacusiu, cicho! Matula dadzą ci chleba, tylko ze dwora wrócą— mówiła dwunastoletnia dziewczynka, tuląc małego brata.

Biédny ojciec stał oparty o ścianę z rękami w krzyż splecionemi. W ponurém jego spojrzeniu widać było tę rozpacziwą myśl: pomrzemy z głodu!!...

— Kasiu, napał ognia, bo matula będą gotować wieczerzą. Pan da chleba i kaszy. Kasiu, napał ognia— wołało dziecię.

Dziewczynka chciała pójść do komina, ale zatoczyła się i upadła.

— Co ci to?— zapytał łojciec.

— Nic, potknęłam się...

— O Matko Boska! o święty Antoni Rodacznicki (2) ratuj nas!— zawołał biédny ojciec domyślając się powodu, który poczciwa dziewczynka ukryć przed nim chciała.

— Nie turbujcie się tatulu— odpowiedziało dziewczę patrząc zaszłemi od łez oczyma w blade lica nieszczęśliwego ojca— nie turbujcie się! Snit mi się dziś św. Antoni, tak, jak go widziałam w obrazie w Rodeczniczy; tylko zamiast gałzki, w drugieój ręce trzymał chleb, i ten nam podawał. Może téżo i tak będzie.

— A tymczasem pomrzemy!...

— Ej, kto wam to powiedział!... Żeby tylko Jacusia zaspokoić, to jabym jeszcze i dwa dni nie jadł...

— A po dwóch dniach?

— Po dwóch dniach!... Św. Antoni nas pożywi!

— Po dwóch dniach?...

(1) Krupa, wieś pod Krasnymstawem. Dawniej własność Zborowskich, później z Kunegunda, córka Samuela Zborowskiego, przeszła w dom Gniński, a od nich nabyli ją Skolubowie.

(2) Rodecznicza, wieś pod Szczebrzeszynom. Słynna klasztorom OO. Bernardynów, zbudowanym na wyniosłej górze w miejscu, gdzie około roku 1670 objawił się kilkakrotnie św. Antoni. Liczne cuda, opisane szczegółowo w księgach klasztornych, zgromadzają do Rodeczniczy po kilka tysięcy pobożnych z różnych stron; a zachwycające położenie zdobi to piękne i wznioste ustronie. Michał Korybut w czasie krótkiego swego panowania zwiedził te miejsca, i był przy poświęceniu kościoła.

— Daj to Boże!... ale....

Nie dokończył, bo w progu chatki ukazała się jakaś postać bardziej do widma, niż do istoty żyjącej podobna.

— Matulu! — krzyknął dzieciak, i dobywając ostatnich sił, jeszcze głośniej dodał — jeść! jeść!! — Potrzeba było wtedy widzieć twarz matki, aby oddać całą okropność tego obrazu.

Dziecię wołało chleba, a ta wracała do chaty z czem?... z próżnemi rękoma!...

— O mój Boże! o moje dzieci! — zawołała nieszczęśliwa, i z bolesnym jękiem rzuciła się na ławę.

— Franciszko! uspokój się, obejdziemy się jeszcze bez chleba — powiedział biedny ojciec, doświadczając już wszystkich męczarni głodu.

— Matulu nie płacz, nam się jeść nie chce — mówiła Kasia przyklękawszy przed matką, i obejmując drobnymi rękami jej szyję.

Jeden tylko Jacuś wołał: — jeść, jeść!...

— O! i gdzież on ma sumienie ten nasz pan! — zawołała rozpaczająca matka. — Zebrałam garści zboża, kawałka chleba; płakałam, mówiłam, że mi dzieci umierają z głodu.... A on!... on kazał mi wypchnąć za bramę i powiedzieć, żeśmy więcej winni, jak warci z duszami!... Pan, pan!... ma komory pełne zboża, a nam każe umierać z głodu. O niech go Bóg ciężko skarze, nie za mnie, ale za moje dzieci!...

— Matulu, nie klnijcie tak strasznie! My nie pomrzemy, nam św. Antoni da chleba; ja go widziałam, ot tak, jak was widzę. Matulu, bądźcie spokojni — mówiło dziewczę łkając od płaczu.

— Jeść! jeść! — krzyczał chłopiec.

— Ha, pójdę ja jeszcze do niego — zawołał biedny ojciec, chwytając za siekiere; — pójdę, i jeżeli nie da nam chleba, to.... — i oczy jego domówiły resztę.

— Nie chodźcie tatulu — przemówiło dziewczę, obejmując go w pół. — Pan was każe obić. Nie chodźcie!

— Dałbyś pokój Pawle, u niego kamienna dusza.

— Zobaczę! — I rozpaczający ojciec odtrącił usiłującą zatrzymać go dziewczynkę, odwrócił się od żony, i miał wychodzić, gdy z podwórza ozwały się jakieś głosy.

— I tu panie wielka bieda — przemówił siwy starzec Jakób Promik, najstarszy gospodarz wioski, otwierając drzwi izby i puszczając przed sobą dwóch ze szlachty, zbrojnych w szable i pistolety.

Kasia pobiegła schować się za piec, dziecię przestało krzyczeć.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— odezwał się szlachcic w granatowym kontuszu.

— Na wieki wieków. A co panowie chcą? ja nic nie mam, niedługo sam i z temi biédnymi dziećmi pomrę z głodu!...

— Dzieci! moje dzieci!—zawołała matka załamując ręce....
Jacuś znowu zaczął płakać.

— Uspokójkcie się moi ludzie, ja od was nic nie chcę—odrzekł szlachcic, wylotem kontusza ocierając kurz z czoła—ja może chcę wam co pomódz; ależ przecie macie pana, i do tego jeszcze bogatego?

— I cóż nam po jego bogactwie, kiedy nie ma nad biédnymi litości.... Panowie! u niego zboże pleśnieje, do niego zjeżdżają się kupcy Bóg wie zkąd, a my umieramy z głodu.

— I czemuż się do niego nie udacie?

— Tać żonka dopiero co wróciła.

— I cóż?

— Kazał ją wypchnąć za bramę i powiedziéć, żeśmy więcéj winni, aniżeli z duszami warci.

— Szelma! ceni cudze dusze, a jego i pół tynfa nie warta!!—zawołał szlachcic chwytając za rękojęść karabeli; potém zaś obracając się do Jakóba Promika soltysa, dodał:—A może to tylko gadki, może i on nie ma, może Sasi zabrali.

— Wielmożni panowie! jak Bóg żywy, u niego zboża pełne komory. Co dzień kilkadziesiąt ładownych wozów wywozi go w dalekie strony; a Sasi jak mieli zabrać, kiedy w zamku wały, okopy, i hajduków co niemiara; oni tylko biédnych ludzi obdarli.

— To się z nim pobawimy!—mruknął szlachcic, i obróciwszy się do swego towarzysza, dodał:— Waść, panie Otkiewicz, pojedziesz zaraz do Tarnogóry i powiesz Grabowskiemu, żeby mi jutro przed wschodem słońca, było tu z półtorasta tęgich zuchów, co to się i pęcaku, nietylko krupy, nie złączną. Trzeba z tym pankiem porachować się, co jego dusza warta. A wy o tém nikomu ani mru-mru! bo we wsi są wierzby, a i postronków nie zabraknie.

— Ale Wielmożny panie, nasz pan będzie myślał, żeśmy na niego nastali.

— Jużto nie twoja w tém głowa. Jedź panie Otkiewicz, a spraw się gracko!

— Jać to niezwykły inaczéj—odrzekł drugi szlachcic, i skłoniwszy się granatowemu, wyszedł z izby.

— No, ależto do jutra jeszcze daleko, a głodnemu leniwo słońce chodzi; pójdźno gospodarzu do mego pacholka i przynieś sakwy.

Starzec spełnił rozkaz, i po chwili wrócił, niosąc dwa rzemieńne worki, które przewieszano przez konia. Szlachcic dobył z nich bułkę chleba, kawał wędzonki, fluszkę gorzalki, i podał je kobiécie.

— Weź matko, pożywcie się choć trochę, bo to tylko do jutra.

Biédni, jakby cudem prawie ocaleni od strasznych męczarni głodu, rzucili się do nóg szlachcica, oblewając je łzami wdzięczności.

— Niéma za co dziękować — wołał szlachcic usuwając się — jutro dopiéro, jutro! — A potém obróciwszy się do starego wieśniaka, dodał: — Jakóbie, chodźmy daléj!

I wyszli, nieść taką samą radość w inne lepianki.

III.

W krupiańskim zamku (1), co staré czasy i Zborowskich pamięta, mieszka pan Paweł Skołuba, szlachcic dawnéj parenteli, i jak się nazywa, pan z panów.

On się tak nazywa, ale ludzkie wieści inaczéj gwarzą; bo mówią, że Pawełek przed czterdziestą laty wycierał różne kąty, i nie z jednego pieca chléb jadał; że powstał z cudzych włości, i z cudzéj kieszeni, a nawet coś jeszcze gorzéj... Ale że teraz ma zamek, włości i piéniądze, to tam na te baśnie nikt nie zważa; i one ulatują sobie swobodnie, nieprzejęte w drodze, nie powtórzone głośno, i malejące coraz bardziej.

Widać, że one nawet zacierają się w duszy pana Skołuby, bo on dawniej pragnął tylko piéniędzy, zamków, włości: dla nich gotów był wszystko poświęcić, i podobno poświęcił. Teraz zaś inne jakieś myśli go obsiadły, i brzęczą mu do ucha: starostwa, godności, urzędy.....

I jakaś niezwykła szczodrota opanowała go od roku. On, co dawniej unikał ludzi, sprasza okoliczną szlachtę, częstuje, poi, i czapką i papką, jak to mówią, wszystkich przynęca. Nie musi to być bez celu, bo chociaż po każdéj uczcie w dwójnasób wyciska z biédnych

(1) Samuel Zborowski, ów burzliwy przewodnik partyi niechętnych, obawiając się ciągle kary, którą mu wielki Jan Zamojski przepowiedział, a chcąc na przekór udawać, że się jej nie lęka i przebywać w obrębie jego władzy, jako starosta krasnostawskiego; zbudował warowny zamek w Krupie, i często w nim przebywał. Gnoińscy, mając inne włości, rzadko w nim mieszkali. Teraz na miejscu zamku, już tylko gruzy widzieć można.

ostatnie prawie zasoby, jako człowiek rachunkowy nie marnowałby tak z potem sumienia nabytego grosza, gdyby na coś nie kroił.

Bo tak dawniej jak i teraz, w sercach ludzkich goszczą jednakże prawie namiętności; czas tylko dodaje im orężę i przystraja harcowników to w ciężkie puklerze, to w lekkie zamorskie stroje. Czyny są odbiciem wieku: w sercach zmieniają się tylko dekoracje.

Dzień nachylał się już do schyłku. Słońce ostatniem spojrzeniem obiegło błękitne sklepienia swego wielkiego gmachu; lekkim całunkiem powiedziało dobranoc zamkowym wieżycom, i uciekło, jak figlarna dziewczeczka, kryjąca się w sypialni przed kochankiem, rozmarzonym jój widokiem. Leciuchny wietrzyk poruszył młodemi listkami zieleniejących się krzewów, które westchnęły za słońcem, i wkrótce łzami żalu zrosiły swoje odzież.

Pan Skołuba siedział przy ulubionym kantorku i kreślił na papierze różną jakies litery, z których zawsze prawie wiązały się te wyrazy: „Starostwo Hrubieszowskie”. Pan Skołuba mile na nie patrzył, bo to dzieci jego te myśli, pielęgnowane tak starannie, okupowane tyloma wydatkami!

Wtém, przed zamek zjechała cztero-konna kolasa i dano znać, że pan starosta krasnostawski przyjechał w gościnę (1).

Pan Skołuba wdział lepszy kontusz, przypasał go słuckim amarantowym pasem, zamknął kantorek i wyszedł na spotkanie starosty.

— Witam pana mego i brata — przemówił starosta, podając rękę kłaniającemu się nisko Skołubie. — I cóż tu słyhać?

— Zle starosto: głód, jeść się chce. Pan starosta o nas nie pamięta.

— Błuznisz, panie mój i bracie, błuznisz! Ty jeden swoim chlebem mógłbyś całe województwo wyżywić; ale wymawiasz się od téj świętej przysługi, a sprzedajesz zboże żydom, którzy biędny lud z ostatniej koszuli obdzierają.

— Miłościwy starosto! Kiedy są ludzie, co śmia mówić, że z Krasnegostawu pisują się listy do króla Stanisława (2); dlaczegożby nie mieli się znaleźć i tacy, co spotwarzają biędny szlachcica o tak niegodne czyny?

(1) Wacław Rzewuski, który był później pisarzem polnym koronnym.

(2) Dom Rzewuskich stałe sprzyjał Stanisławowi Leszczyńskiemu, i po śmierci Augusta II wiele tożył starań do powrócenia mu korony. Zob.: „Krótki opis krótszego panowania Naj. Stanisława Leszczyńskiego. Lwów, w drukarni Soc. Jesu, 1743”.

Starosta zchmurzył czoło; nie podobała mu się przymówka o liściach, wyrzeczona właśnie przez usta tego, który uchodził za saskiego stronnika.

Pan Skołuba aż się uśmiechnął w duszy nad zrecznie wymierzonym razem, którym ugodził starostę w tój właśnie chwili, kiedy ten chciał go złapać na słowo.

Weszli do komnaty, wysłanej kobiercami: jedyny zbytek, jakiego sobie pan Skołuba, i to dopiero od roku pozwolił. I starosta usiadłszy za stołem, odrzekł:

— Bóg niech sędzi sprawy tych, co nie spełniają przyrzeczonej wiary, i tych, co niesłusznie potwarzają ludzi; my wróćmy do tego, co nas najwięcej interesować powinno: do głodu! Przyznasz, mój miły panie bracie, że aż strach przejechać po naszych wioskach; pogrzeb za pogrzebem. Wszystko to są skutki nieszczęśliwych zapasów i przyjacielskiej pomocy żołnierzy nadelbiańskich. Ale trudno! Bóg nas karze za nasze winy; przyjmijmy z pokorą te objawienia jego gniewu, i starajmy się, o ile możność nam pozwala, użyć niedoli bliźnich naszych. Nie wymawiajże się mój panie sąsiedzie, od obywatelskiej przysługi, i otwórz twoje składy dla biędnych okolicznych mieszkańców, tak, jak zrobili panowie Zamojscy w Szczepieszynie, Domaszewscy w Wysokiem, Stamirowscy w Żółkiewce; jak zresztą, nie chwając się, i ja zrobiłem. A potem, gdy kłeska przeminie, podaj na moje ręce spisana wartość zboża, a ja szlacheckim słowem zaręczam, że ci wyjednam zapłatę taką, jakiej się nawet nie spodziewasz.

— Wszystko byłoby to bardzo dobrze, i może, nikt nie wyprzedziłby mię w bratniej posłudze, gdyby składy moje były tak obfite, jak wymienionych dopiero panów; ale trudno, mój miły i wielce szacowny starosto: ja sam muszę się łokciem, jak to mówią, mierzyć, aby i dla mnie wystarczyło.

— A cóż znaczą te ładowne fury, które widzę w podwórzu?

— One rozwożą zboże po moich wioskach; święty to, najpiérwszy obowiązek.

Starosta westchnął, bo poznał, że nie nie wskóra z zaciętym skąpcem, który wiedział, jak owe obietnice zapłaty były śliskie; i że ci tylko na nich polegali, co powodowani uczuciem ludzkości, nie myśleli o sobie.

— No i cóż? Więc odrzucasz moje prośbę, panie bracie; prośbę nie za sobą, ale za biędniemi?

— Kiedy dopełnić jój nie mogę!

— Żartuj zdrów! Ależ panie, powinieneś przecie obejrzyć się, że czyn taki doszedłby uszu króla, i że on ma w ręku sposoby wynagrodzenia go sownie.

Panu Skołubie w tej chwili stanęły w myśli wyrazy, które niedawno składał, i oczarowany ich brzmieniem, odrzekł:

— Więc, gdybym za własne pieniądze, z którymi się nie taję, zakupił w Kbzimięrzku zboże, i rozdał je biednym, czyn ten byłby przedstawiony królowi?

— Czy możesz o tém wątpić?

— I czy dalby mi nagrodę, jakiejbym od niego zażądał?

— Nie wiem; żądania są czasem bez granic.

— Moje nie należy do ich liczby.

— Cóżbyś więc chciał, panie bracie?

— Hrubieszowskiego starostwa.

— Heł... zaprawdę, niezła chętka; ale, jak sądzę, królby ci tego nie odmówił.

— Czy tak?

— O zapewnienie!

— I starosta dajesz mi swoje słowo, że się za mną wstawisz?

— Najchętniej.

— Zgoda.

— Jakto?

— Jutro będę u starosty i dam ostateczną odpowiedź.

— Czemuż nie dziś?

— Wypada wprzód obrachować się z kieszenią.

— No niech i tak będzie; ale słowo.

— Słowo, że będę u starosty.

— Zgoda.

— Tomaszu! — zawołał pan Skołuba: — przyniesno tam z piwnicy parę pleśnianek, tych, co to wiész... — Po chwili wrócił Tomasz, niosąc dwie posiwiatle butelki i dwa dość spore kielichy. Na ich widok starosta aż się uśmiechnął; widać podobały mu się ich lich. Węgrzyn ubrał kielichy złotą obrączką; rozmowa się ożywiła, starosta zapomniał o listach pisywanych z Krasnegostawu, i żegnając pana Skołubę, zaklął się na *verbum nobile*, że będzie hrubieszowskim starostą.

Już pan Wacław Rzewuski siedział w kolasiu, kiedy obrócił się raz jeszcze do gospodarza, i zawołał:

— Panie mój i bracie, pamiętaj, jutro!

— O tak, jutro niezawodnie.

I starosta odjechał, a pan Skołuba wrócił do siebie. W uszach brzmiał mu jeszcze wyraz: jutro niezawodnie.....

Niezawodnie!.... Jaki ten człowiek mały w pojęciu o jutrze.... On mówi niezawodnie, a rzeczywistość wykładając po kolei karty jego godzin, uśmiecha się z jego głupoty. Gdyby powiedział, że jutro niezawodnie słońce zejdzie, że wiosna ubierze drzewa kwiatem, nie omyliłby się pewnie; bo natura nie drży przed fatalnym dniem jutra. Ale, gdy powie, że jutro niezawodnie uczyni to lub owo, sam natrzęsa się ze swęj słabości!

Człowiek i przeszłość to czyn. Człowiek i przyszłość — to nic,

IV.

Słońce zeszło, i nie spotkało żadnej chmurki. Młode jego działki poweselały z jego przyjściem; zwracały ku niemu swe piękne główki, z których słońce opiekuńczą swą dłonią, ocierało kroplistą rosę. Wiosna zajaśniała w każdym źdźble trawy, w każdym listku; przemawiała w każdym wiatru powiewie. Wszystko wychylało się z kolebki nowego życia, strojne jasnymi szaty; jeden tylko krupiański zamek, wypłowiałem okiem patrzył na te hasanki natury, bo on, doświadczony starzec, wiedział co to potem z tego będzie.....

Pan Skołuba wstał rano, ale oczy miał niewesołe: na twarzy znać było znużenie i walkę wewnętrzną. Przeszedł się kilka razy po swojej komnacie, wyszedł na podwórze, pogadał z kupcami, którzy z odległych stron po zboże przybyli, i raniiej jeszcze wstali. To go wprawiło w gorszy jeszcze humor. Obliczał, wieleby to dukatów weszło do jego szkatuły, gdyby nie to fatalne słowo; słowo, które obłożyło jego serce kilkoma centnarami ciężaru! „Ha! — pomyślał sobie — nie wyrzekłem przecież ostatecznie, że rozdram zboże; mogę się cofnąć. Cofnąć... ale w tej chwili przebiegła przez jego głowę myśl strojna w hrubieszowskie starostwo... i dodał: — nie, nie wypada.

Gdy pan Skołuba tak się biedzi, granatowy szlachcic, otoczywszy się swemi zuchami, co to, jak powiedział, i pęcaku, nietylko krupy się nie zlekną, podstępnie pod zamkowe okopy.

Gdyby nie zbyteczna ufność właściciela zamku, że stronnikowi saskiemu nikt w oczy zajrzeć nie odważy się, niełatwoby granatowy szlachcic, choć ze swemi zuchami, dostał się do zamku, w którym niegdyś dumny pan Samuel bezpiecznym się sądził od siły groźnego przeciwnika. Gdy jednak pan Skołuba, zaufany kartą saskiego generała, rozpuścił utrzymywanych dawniej hajduków, i nie kazał poprawiać palisad, a nawet zaniechał zwodzić mosty; konfederaci znaleźli

przystęp bardzo łatwy, i kiedy znać dano panu Skołubie, że jakies wojsko zbliża się do zamku, już wszystko było zapóźno.

— Zamykać bramy! — krzyknął — uzbroić ludzi; będziemy się bronić!...

Ale jednocześnie z temi słowy, kilkadziesiąt konfederatów, wysadziwszy krasnostawską bramę, wpadło w podwórzec zamkowy.

Łom upadającą bramę, brzęk zbroi, grzmot wystrzałów, zrzuciły straszliwą trwogę i zamieszanie. Służba kryła się w najcięższe zakątki, żydzi błagali litości; tłumy konfederatów zasypały podwórze i dolne komnaty. Pan Skołuba zaś przepadł bez wieści.

Co się z nim stało, gubiono się w domysłach: bo nikt go nie widział uciekającego, nikogo nie zabito, a nawet nie raniono; jednakże nikt go nie mógł wyszukać. Tylko granatowy szlachcic musiał coś wiedzieć, bo marszczył czoło, kiedy go o to pytano.

Słońce jasne, czyste świeciło na czystym niebie. Przed krupiański zamek schodziły się gromady ludzi, zajeżdżały wozy. Szlachcic w granatowym kontuszu dzielił pomiędzy nich zapasy pożywienia, a dzielił sprawiedliwie; upominał, aby nie marnowano datku, i proszono Boga za długoletnie życie pana Pawła Skołuby.

Biedni ludziska często z rzewnymi łzami wznosili ręce do nieba, i spieszyli co tchu do swoich chat, bo tam czekała ich rodzina; tam dziatki wyciągały wyschłe od głodu dłonie, tam wyglądano ich przybycia, jak wyroku życia, lub śmierci. Jakato jest wartość chleba!...

Tymczasem, choć ze wszystkich pobliskich wiosek gromadziły się liczne tłumy biednych, choć im nie mierzono zchoza na kwarty, komory zamkowe mało się wypróżniały. Szlachcic zostawił sobie trzydziestu swoich, a resztę rozesał w dalsze strony, aby i tam zanieśli wiadomość o dobroczynności pana Pawła Skołuby, dziedzica krupiańskiego zamku.

Lecz pan Skołuba nie wracał; i dziwniejsze jeszcze powstały domysły, gdy szlachcic zaczął wmawiać, że król August wezwał dziedzica Krupy do siebie, aby go wynagrodzić za ocalenie tyłu ludzi od głodu.

— Niedługo już wróci — dodawał zawsze.

A dworscy kiwali głowami, i niebardzo wierzyli słowom szlachcica; zwłaszcza, że widziano go odwiedzającego co noc zamkowe podziemia, które w dzień jak najstaranniej zawsze były zamknięte.

V.

Minął dzień piąty pobytu konfederatów w zamku krupiańskim.

Piękny majowy wieczór, cichy, pogodny, zappełnił powietrze swoim wiosennym tchnieniem.

W wiosce ognie pogasły. Wieśniacy poszli spoczywać po całodziennych trudach; sen ich był cichy: z łaski pana Skołuby mieli chleb powszedni, a przy zdrowiu, nie im prawie nietrzeba więcej. I w zamku także sen się rozgościł; tylko przy bramach odzywały się szerokie kroki straży, odbite o kamienne chodniki.

Jednak granatowy szlachcic jeszcze nie spał: przechadzał się po izbie, a gdy było blisko północy, zapalił woskową świeczkę, dobył z za cholewy klucz, wziął jakieś naczynie z kominka, na którym dopalały się głównie grabowego drzewa, i małą flaszeczkę, napełnioną płynem, i wyszedł.

W ostatniej komorze zamkowego podziemia sklepionej w arkady, u wnijscia, tliła się lampa, rzucając blade, przelotne światło, przytłumione jeszcze zgęszczonemi wyziewami; które jak obłoki, unosiły się pod sklepieniem.

Ściany, porośłe pleśnią, służyły za kryjówki owadom, wyglądającym z rozpadlin, jakie się dokoła znajdowały.

Światło, jakkolwiek bardzo słabe, dziwiło jednak tych mieszkańców ciemności; bo niemal w każdej rozpadlinie ujrzyć można było to głowę węża, to świecące oczy płatkowatej ropuchy, przyglądające się lampie.

Po prawej stronie od wejścia, stał stół nakryty, a na nim wędliny, chleb i bakalie. Po lewej, pod ścianą, na słomie, leżał człowiek w poszarpanej odzieży, z okropnym, przerażającym spojrzeniem. Czasem, jakby miotany wściekłością, zwał się z postania, czołgał się do stołu, i już był blisko, już go dosięgał, gdy zgrzytnął łańcuch którym był przykuty do ściany, i nie pozwolił mu ani kroku dalej postąpić. Wtedy rzucał się znów na słomę, targał włosy, darł odzienię, gryzł własne ręce. Doświadczał wszystkich męczarni głodu!

W tém sklepieniu powtórzył się najprzód skrzyp otwierającego się zamku, potem powolne kroki, i granatowy szlachcic stanął u wnijscia do komory.

— Szatanie! barbarzyńco! — zawołał więzień. — Idziesz uragać się moim męczarniom, przekłety! — A potem dodał: — Litości, litości!

— A ty miałeś litość nad biédnemi? Przypomnijno sobie tę matkę, której dzieci umierały z głodu, a ty kazałeś ją wypchnąć za bramę!... One to samo cierpiały, co ty cierpisz!...

— Och winienem! zasłużyłem; ale już dosyć kary!

— Tu, na tym świecie, ale na tamtym? O, tam rachunek będzie trudniejszy. Odkryją się mogiły, powstaną ci, co z głodu w twoich wioskach pomarli, i szarpać będą twoje wnętrzności...

— Tak, jak teraz głód je szarpie! O straszne, o okropne męczarnie!

— Doświadczasz ich! a kiedy tysiące wyciągały do ciebie ręce, tyś zatykał uszy na ich prośby, i sprzedawałeś chleb, którego oni łaknęli.

— Litości, aniele czy szatanie, litości!... Albo dobij, niech się już dłużej nie męczę.

— Nie, ty żyć będziesz! ja tylko spełniłem mój ślub. Na progu chaty, w której znalazłem umierających z głodu, przysiągłem na Matkę Boską Częstochowską, że i ty go musisz doświadczyć. Spełniłem przysięgę; a teraz, jako dobry katolik, błagam cię w imię Boże, odpuść mi!

I otworzył spięcia łańcuchów, które z brzękiem upadły na ziemię. Potém odkrył przyniesione naczynie, i pótroszku karmił przygotowaną pożywną potrawą więźnia. Co pół godziny, dał mu się napić płynu z flaszeczki; a po trzech godzinach takich starań, pan Skołuba, gdyż to on był tym więźniem, odzyskał tyle siły, że mógł wyjść z podziemia.

Szlachcic zgasił lampę, i ujawszy pod rękę chwiejącego się pana Skołubę, prowadził go powoli.

Przed wyjściem z podziemia zatrzymał się, postawił świecę i upadł mu do nóg.

— Teraz, panie mój i bracie, przebacz mi! Bóg widzi, że się nie lękam twojej zemsty, bom szlachcic tak dobry jak i ty; alem katolik, ale miłuję ukrzyżowanego Chrystusa, który kazał jednać obrażonych. Panie mój i bracie, dla miłości Boga, przebacz mi!

— Przebaczam z całego serca — odpowiedział pan Skołuba, i podał granatowemu drżącą od wzruszenia i braku sił, rękę.

Czuły, a dziś może niepojęty był uścisk prześladowanego i prześladowcy...

Wyszli, i za chwilę podziemie krupiańskiego zamku było puste.

Najjutrz wielki był rozruch w zamku, bo szlachcie w granatowym kontuszu gdzieś przepadł, zostawiwszy tylko polecenie do swoich, aby wrócili do regimentu; a pan Skołuba się zjawił, i witającym go dworzanom powiedział, że powrócił z Warszawy.

— Mój Tomaszu, powiedz mi, któredy pan powrócił? — zagadnął piwniczy Jakób starego pacholka: — bo w nocy nie słyszałem, aby kto zajeżdżał i nigdzie nie widać kolasy.

Tomasz ruszył ramionami i przezegnął się.

— Czegoż to przedemną taisz? Tać stary Jakób wie, że trzeba trzymać język za zębami.

— Ot, to wszystko djable sprawy; nie matu co robić, i na stałość trzeba szukać bezpieczniejszego kąta, żeby człek choć duszy nie zaplątał.

— Albo co?

— Ej, to aż strach mówić!

— No, przecież, cóż u kaduka? Tać my nie baby.....

— Posłuchajże: téj nocy nie mogłem czegoś zasnąć, bo już to wiem, że podejrzywałem tego granatowego o jakieś djabelskie sprawy; siadłem, i zacząłem mówić pacierze. Przy dziewiątém Ojcie nasz zaczęło strasznie szumić na dworze, aż okna brzęczały, i wyraźnie słyszałem, jak coś sunęło się kominem. Potém taki był trzask w pańskiej izbie, że aż mi włosy na głowie powstały; chciałem zbudzić wszystkich, ale coś mię trzymało jak przykutego do łóżka. Zdjąłem ze ściany obrazek św. Barbary, i jakoś trochę ucichło; jednak nie spałem, aż pierwszy kur zapiał. Powiedźcie, mój Jakóbie, czy to nie djabeł takie harce wyprawiał?

— Juści nie co innego.

— Ale musiał pana dobrze wymorzyć, bo taki blady, jak chusta; a śniadania zjadł dzisiaj za czérech.

— Ze złem niełatwa sprawa: jak weźmie w obroty, to dobrze dokuczy. Może téż i nasz pan będzie teraz lepszy, bo skosztował trochę biędzy.

— Daj to Boże!

.....
Tymczasem schodzili się ludzie z całego prawie województwa, a pan Skołuba dawał i dawał: zboże, chléb, pieniądze, co tylko miał. Czasem wzięła go dawniejsza chętka, ale jak sobie coś przypomniał, to był jeszcze hojniejszy.

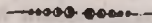
Stu-gębna sława rozniosła po całym kraju szczerotę dziedzica z Krupy. Starosta krasnostawski z łatwością dotrzymał obietnicy, bo król August II, na prośbę posłów ziemskich, obdarzył pana Pawła Skołubę starostwem hrubieszowskim.

Rok 1717 rozwiązał konfederacya Tarnogrodzka. Granatowy szlachcic przepadł bez wieści; o zdarzeniu w Krupie dyaryusz tej konfederacyi zamilczał, i byłby o niem nikt nie wiedział, gdyby nie stary kalendarz z r. 1738, w którym na okładce Antoni Plichta szlachcic z pod Łukowa zabawkę w krupieńskim zamku opisał.

Takto zyskiwano bogate nadania i godności—i dla takichto panów byli postrachem konfederacji!

Pisałem w Warszawie,

dnia 23 października 1849 r.



KOŚCIÓŁ

Śgo ANDRZEJA I KANONICZKI

W WARSZAWIE.

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Część druga.

PROBOSTWO.

Myslał król Stanisław August, co zrobić z Jezuitami. Fundusze ich zajęto wprawdzie na edukacyą młodzieży, bo dla edukacyi, bogatemi zapisami potężny zakon wnosili dobroczyńcy; ale co było robić z osobami, które przez bullę Klemensa XIV straciły cel życia i wszelką sposobność do utrzymania się na ziemi? Ludzkość przyszła na pomoc sprawiedliwości, i młodszy Jezuita dostawali miejsca to po parafiach, to zmieniając odzież zakonną, przechodzili pod władzę Kommissyi Edukacyjnej, i po szkołach obejmowali obowiązki professorów. Zabudowania kollegium jezuickiego na Starém-Mieście, rychło otrzymały nowe przeznaczenie; urządzono w gmachach z tyłu kościoła na Jezuickiej ulicy szkoły normalne i wojewódzkie, i oddano je nowemu zgromadzeniu nauczycielskiemu. Ale gmachy Śgo Krzyża z aszczupłe były dla pomieszczenia szkoły wyższej, i z początku zostawiono je losowi, zanim się sposób obmyśli obrócenia ich na jaki użytek publiczny. Tymczasowo pomieszczono w gmachach jezuickich na Starém-Mieście kommissyą Rplitęj, wyznaczoną z ramienia sejmu delegacyjnej-

go do rozrządzenia dóbr zakonu Jezuitów, ruchomych i nieruchomości. Król miał prawo wyznaczać kommissarzy z senatu i ze stanu rycerskiego. Ci przed zafundowaniem swojej jurysdykcji mieli najprzód wykonać w grodzie warszawskim przysięgę na rotę przepisaną, a potem w opuszczonych gmachach pojezuickich rozpocząć swoje czynności. Obowiązki ich streściły się w lustrowaniu dóbr, spisaniu inwentarzy wszelkich ruchomości w kapitałach i srebrach, i w dochodzeniu prawnem wszelkich własności zgasłego zakonu. Następnie miała nastąpić sprzedaż dóbr, czyli raczej zastawa ich wieczysta dla tych, którzyby, stosownie do ocenienia przez lustratorów, procent po pięć od sta od kapitałów i dóbr opłacać chcieli. Wiele jest innych jeszcze przepisów w prawie sejmowem stanowiących o formie, o czasie, o wszystkich okolicznościach tej sprzedaży. Żeby sprawiedliwość zachować dla zgasłego zakonu, boć to fundusze jezuickie zabierał skarb; sejm wyznaczył pewne fundusze na utrzymanie pozostałych synów Lojoli, kazał utrzymywać księży przy tych kościołach, które w miejscu farnych powstały i zamieniły się w parafialne, a zresztą sprzedawać wszystkie sprzęty, domy i ruchomości Jezuitów, żeby ze sprzedaży nowe potworzyć kapitały, i nowe od nich pobierać procenta.

Młodziejowski zatem, jako prezes Kommissyi Rozdawniczój, podług brzmienia prawa zasiadł z wyznaczonemi przez sejm osobami, spisywać w gmachach pojezuickich na Starém-Mieście fundusze zgasłego zakonu (1).

Poprzednio jeszcze, w roku 1773, lustratorowie mianowani przez marszałków sejmu konfederacyjnego, przyjechali do Łazniewa, i spisali tam inwentarz bydła, trzody i drobiu dworskiego, którego jeden egzemplarz zostawili na gruncie, a drugi wzięli z sobą do stosownego użytku; nawet do takich przedmiotów rozciągała się pilność i uwaga ludzi, co rachowali fundusze edukacyjne, dlatego, żeby je potem lepiej rozdrapać mogli! — Jakiś dworek na Solcu i kamieniczka na Starém-Mieście, należały wtenczas do Jezuitów mazowieckich. Dworek zginął w ogólnej powodzi, nie się o nim dowiedzieć nie mogła Kommissya Edukacyjna; kamieniczki nie sprzedano, zostawiając ją na dalszy użytek. Plan był: kościół pojezuicki na Starém-Mieście oddać bractwu niemiecko-katolickiemu; oż kamieniczka miała zostać własnością bractwa. Rzecz dziwna! Łazniewo nawet, wykazane w lustracji dóbr pojezuickich nie było na tabellach, które wykazywały przyszłe fundusze edukacyi narodowój. Sejm 1776 r. o to kwe-

(1) Protokół czynności delegacyjnych.

styg później wytoczył, kiedy już Łazniew stał się funduszem parafialnym.

Kommissya więc rozdawnicza, zajmowała się czynnie urządzaniem funduszów, które miały stanowić dochód edukacji narodowej. W Warszawie wszystkie posesye pojezuickie, domy, dworki, kamieniczki, przedano więcéj dającemu przez publiczną licytacją. Był nawet, jak widzieliśmy, rozkaz sejmowy, żeby wszystko co pojezuickie, spieniężyć, a więc nawet srebro i skarbcie po kościołach, ażeby i z tego tworzyć nawet kapitały i oddawać na procent. Po prowincyi, działy się z tego powodu oplakane wypadki: łakomstwo i zdzierstwo, miały otwarte do działania nadużyć pole. Ale w Warszawie srebro zostały nietknięte przy kościołach: bo lękała się kommissya rozdawnicza, żeby działania jéj nie uchodziły w stolicy za jakiś rabunek niegodny i nizezemność, gdyby przyszło zabieraniem i spisywaniem skarbców kościelnych, pozbawiać potrzebnój ozdoby domy Boże i dawać ku zgorszeniu powód.

Królowi Stanisławowi Augustowi nie tak interes edukacji narodowej był na sercu, co los tych księży Jezuitów, z któremi przestawał na zamku warszawskim. Kilku z nich miało to szczęście zwrócić na siebie uwagę Poniatowskiego. Na ich czele widzimy Adama Naruszewicza, za nim szedł Marcin Poczubut, Karol Wyrwicz, Ignacy Nagurczewski, Sebastyan Lachowski i inni. Wielu z nich Stanisław prosił na swoje obiady czwartkowe, cieszył się ich dowcipem, wiadomościami zachwycał, rozmową bawił, bo chciał koniecznie za króla uczonych uchodzić, wspierać światło w autorach i pisarzach. Żal mu było oddalać uczonych Jezuitów z Warszawy: dlatego powiedzieliśmy słusznie, że starał się zapewnić im przyszłość, niekoniecznie przez wzgląd dla oświaty narodu.

W saméj rzeczy znalazł dla nich godności i posady, rozposażył ich po kapitulach, szkołach i probostwach. Naruszewicza zrobił dygnitarzem litewskim i biskupem; Poczubut wziął zarząd akademii wileńskiej; Nagurczewski został nauczycielem młodego księcia Józefa, synowca królewskiego; Sebastyan Lachowski dostał tytuł i posadę nadwornego kaznodziei i wieszal się wciąż przy zamku warszawskim. Innych Jezuitów uczonych umieszczali panowie po dobrach swoich; a w krótkim czasie ani śladu nie pozostało z wielkiego zakonu. Murry jego opustoszały, kościoły w inne przeszły ręce.

Zostawał jeszcze Karol Wyrwicz, człowiek uczonej, jeden z reprezentantów epoki. W zgromadzeniu, które ze swojego przeznaczenia wyłącznie zajmowało się naukami, było jeszcze człowiek

uczony i świecący innym jak gwiazda. Pod koniec zakonu jezuitckiego na ziemi, wielu prawdziwie światłych ludzi i obywatelskiego ducha, wydał dla Polski zakon Lojoli; a przecież Wyrwicz nie brał blasku od swoich, a swoim jeszcze dodawał świectości imieniem sławnym i pięknym. Był właśnie wtenczas w samej sile życia, w całej potędze naukowego znaczenia. Nie miał stylu, nie miał języka. Poważny i ciężki swoim sposobem pisania, opowiadać nie umiał, a wdziękami wyrażenia, potocznością wymowy wcale nie błyszczał. Miał twarz pełną powagi, spojrzenie miłe choć surowe; ale nie miał nic z tego, co stanowi dowcip, co stanowi życie towarzystwa. Śmiać się nie lubił, a pracy oddany, zrodził się tylko dla zakonu i modlitwy. Nie było jednak przeznaczeniem jego, poświęcić się mozolnej pracy nauczycielskiej. Wyrwicz nie miał daru wyłożenia rzeczy; owszem, czasem rzecz prostą, jasną, niepotrzebującą tłumaczenia, zaćmił tylko i splątał się sam w swoim opowiadaniu. Miał przyciężką wymowę, skutkiem złe wyrobionego organu, a do tego i nie miał słów w ustach, bo namyślał się długo nim coś powiedział; a co powiedział, niezręczne i mdle było. Ztąd nie urodził się nigdy Wyrwicz ani na kaznodzieję, ani na nauczyciela. Światły człowiek, znał dobrze przeszłość narodu, znał historią ludzkości, geografiją, języki; znał całą literaturę starożytną, miał ogromne nuczycanie się, pamięć wiele obejmującą, i niezmordowaną chęć do pracy. Ale wszystko co napisał, nie miało stylu, nie miało życia; przyciągało erudycją, tłumem cytacyj, całym morzem wiadomości, ale nie przywiązywało do siebie. Ztąd Wyrwicz szczerze powiedziawszy, nie urodził się nawet i na literata. Jego przeznaczeniem było zajmować się li tylko nauką, uczonym być w całym tego słowa znaczeniu. Ale do nauki potrzeba i zdolności. Nietylko uczony może dla narodu świecić. Zdolność jest darem koniecznym potrzebnym przy nauce. Uczoność sama bez zdolności martwą jest, bo nie wywoła cudów, nie wskrzesi obrazów, jakie stworzy człowiek zdolny, choć nieuczony. Zdolność może zrobić wysoki postęp i w samej nauce: uczony bez zdolności jest jakby dzwon bez serca, jest jakby professor bez katedry, kaznodzieja bez ambony.

Wyrwiczowi zbywało na zdolności, chociaż miał wielką naukę. Nadzwyczajnej pracy kosztowało go coś napisać, a przecież pisał, chociaż silił się na koncept i wyrażenie, i o pracę jego ubiegali się drukarze warszawscy. Dzisiaj nie przeczytalibyśmy jednej stronnicy jego kazania, albo opisu, w którym stara się rozumować i być wymownym; dzisiaj wrzუსzylibyśmy ramionami na jego dzieła i naukę, a przecież

byłto swojego czasu w samej rzeczy człowiek znakomity. Nie winien był pewnie Wyrwicz, że Bóg mu nie dał zdolności, że usilną pracą nie nabył ukształcenia się w stylu, że nie przyswoił sobie wszystkich piękności języka. Język w ręku jego był grubą gliną, z której Wyrwicz garnuszka prawie ulepić nie potrafił. W kazaniach cięższy jeszcze i niesmaczniejszy; a jednak powtarzamy, zdumiewać się potrzeba ogromowi jego pracy i jego niezmierzonej erudycji. Weźmy w rękę dzieło, gdzie Wyrwicz nie potrzebuje się popisować ze stylem, gdzie znajdziem tylko ślady jego nauki, badania o przeszłości, albo opisy miast naszych, rys geografii, a przyznamy, że w swoim czasie należał on do małej liczby ludzi najświetlejszych i najwięcej wziętych w narodzie, z czasów reformy Konarskiego. Po Naruszewiczu był Wyrwicz bez wątpienia, nie wyjmując nawet Albertrandego, najuczestszym człowiekiem swojego czasu.

Jako dowód jego erudycji, przytoczymy jedną z najmniej znanych prac literackich Wyrwicza, a jednak jak na czasy nasze bardzo ciekawą i ważną. Zdaje się, że uczony nasz Jezuita wydawał może czas jakiś *Kalendarzyk Warszawski* w drukarni pojezuickiej, bo jedną jego tego rodzaju pracę, mamy pod ręką z roku 1762: było mały kalendarzyk, jaki w naszych czasach nazywamy politycznym. Prócz świąt roku całego, mieści się tam senat koronny W. ks. litewskiego, spis dygnitarzy, kawalerów orderu orła białego i dokładny rejestr urzędników ziemskich, jak w innych kalendarzach, których cel był jeden i treść zawsze jedna. Erudycyi Wyrwicza nie te spisy jednakże dowodzą, lubo i tutaj znajduje się wiele ciekawych rzeczy, którychby próżno szukać w innych kalendarzach tej epoki; np. spis oficerów zaciągu wojska koronnego i litewskiego, konnych, pieszych i cudzoziemskiego zaciągu, podług pułków i chorągwi ułożonych, dla nas bardzo szacowny, bo jest dokumentem historycznym i wiele ciekawych faktów o osobach zawiera. Dalej następuje spis porządną deputatów na trybunały koronny i litewski; spis ministrów dworów cudzoziemskich w Warszawie; potem spis kawalerów polskich i saskich, mających cudzoziemskie ordery, i lista dam polskich, ozdobionych krzyżem gwiazdowym austriackim. Nawet jest lista Kanoniczek warszawskich.

Erudycyi Wyrwicza dowodzi artykuł obszerny w kalendarzu, pod tytułem: „*Stan państw europejskich*”. Przechodząc w tym artykule po kolei genealogią domów panujących w Europie, Wyrwicz pod każdym domem z rodowodem swoim cofa się w odległe wieki, i pięć albo sześć pokoleń w tył zawsze wywodzi. Pod każdym państwem

opisał też pokrótce trybunały i sądy wszelkiego rodzaju, opisując stopień i przywileje tych sądów; a tak dał krótki rys prawa publicznego w Europie pod jednym względem. Była to wiadomość gruntowna, ułożona przez człowieka, który znał to co pisał; a w wieku XVIII, w chwilach reformy Konarskiego, praca ta uderzała sumiennoscą i była jakby zwiastuncem nowój epoki, co miała gruntowność w nauce polskiej rozbudzić. Erudycją Wyrwicza widać jeszcze w przypisaniu kalendarza *Najjaśniejszej Maryi Antoninie Walpurdze, z książąt bawarskich królewicowej polskiej, księżnie elektorskiej saskiej*. Nas dziwi ta okoliczność, że kalendarzyki nawet dedykowano i komu jeszcze? księżniczkom krwi panującej. Ale pominąwszy to, Wyrwicz w długim napisie opowiada, komu poświęcił swoją książkę: oto córce Karola VII Albrechta cesarza, i Maryi Amelii, córki młodszego elektora bawarskiego, i drugiej jego żony Teresy Kunegundy Sobieskiej; oto prawnuczce Ferdynanda Maryi, drugiego elektora bawarskiego i Adelajdy Henryety księżniczki Sabaudzkiej i t. d. Tak w tył przechodzi aż w pokoleń trzydzieści i trzy. Wywiódł ród Walpurgi z hrabiów Wittelsbach, którzy poszli w prostej linii od Karola W.; potem dalej sięgając w przepaść wieków, dochodzi do św. Arnulfa. Zdaje się, że tu koniec; nie, Wyrwicz dotyka jeszcze Klodyona zwanego długo-włosym, króla francuzkiego i jego ojca, bajecznego Faramonda. Tu zatrzymał swój polot, i już dalej zgubił rachunek. W ciągu tej genealogicznej pracy, Wyrwicz nie opuścił ani jednej daty, o której mógł się tylko dowiedzieć: ani daty urodzenia, ani zaślubin, ani śmierci. Napomyka w swoim opowiadaniu i na postronnie historyczne fakta, cytuje dzieła, bawi erudycją i krytyką historyczną, i na ślepo wierzy nowym genealogistom, co ród bawarski od Karola W. wywiedli. W ofiarowaniu „drohnój pracy swojej” opowiada Wyrwicz, że kres jój jedyny jest: „wielkie imiona, osoby świata czynić znajome, między którymi W. K. Mość dla wysokiego urodzenia swego i dla nieoszacowanych swoich przymiotów, pierwsze zabierasz miejsce”.

I cel spełnił uczony Jezuita: bo księżnie Walpurdze dał poznać wielkie imiona i osoby, które ją niby kiedyś przed wiekami rodziły, a o których ona dopiero może pierwszy raz w życiu słyszała. Kalendarz o którym mówimy, ma format kieszonkowych książeczek, był więc podręcznym dla każdego z obywateli w kraju. Nie możemy wątpić, że i w latach następnych Jezuita Wyrwiczowi polecili wydawanie kalendarzyka, i że nasz uczony popisywał się znowu w następnych latach ze swoją erudycją i krytyką.

Otóż tego człowieka król Stanisław August nie chciał wypuścić z Warszawy; bał się go prowincyi powierzyć, żeby stolica skarbu swojego nie utraciła: przyzwyczaił się do niego i zapraszał go często do siebie na zamek. Łagodny i przystępny Wyrwicz, dla wszystkich grzeczny, dla króla był z całym wylaniem się: bo w nim los swój przewidywał. Prosty i otwarty, mile był od panów widziany; szorstki w postępowaniu, dlatego, że całe życie z księgami w towarzystwie przebawił: nie odrażał jednak nikogo od siebie. Wszyscy w nim widzieli chodzącą uczoność, encyklopedyą nauk chodzącą. Miał czasem i błysk dowcipu zaprawionego ironią i trafny rozsądek. Mało mówił, wiele myślał, a zawsze był wyrocznią uczonych. Król lałał się jak mógł jego wiadomościami i skarbami jego rozumu.

Przyszło na myśl królowi, żeby dla Wyrwicza zrobić nowe probostwo w Warszawie. W samą rzecz, stara stolica Rzeczypospolitej na coraz więcej wzrastającą swoją ludność, na rozległość swoich zabudowań, za mało miała parafialnych kościołów: Św. Jan, Panna Marya i Św. Krzyż, podzielały pomiędzy siebie całą katolicką ludność Warszawy. To nie mogło już więcej być cierpieniem, dla wzrostu samego miasta, dla jego przyszłości i wygody. Na piętnaście jurydyk rozdzielił się dawny gród nad Wisłą mazowieckich książąt, a skupił się tylko wiarą swoją i nabożeństwem do trzech głównych kościołów. Mieszkańcy oddaleni Leszna, Wielopola i Bielina, o pół mili musieli chodzić do parafii po chrzest i sakramenta, na wesela i nabożeństwo. Król kościół Śgo Krzyża pojezuicki postanowił przemienić na probostwo, a Młodziejowski chętnie za myśl tę uchwycił i potrzebne do tego rozporządzenia wydawał. Żeby uzyskać skutek, sprawa nie mogła być zadaniem dnia jednego; przewlokła się zatem rok, dwa lata nawet, ale zakończyła się zgodnie z życzeniem króla, zgodnie z interesem Warszawy.

Zdaje się nawet, że Młodziejowski uprzedził króla życzenia, i sam podał projekt ustanowienia nowej parafii w Warszawie. Do tego czasu, kollegiata śgo Jana rozciągała w okolicy Jezuitów koronnych swoje duchowną jurysdykcyą.

Młodziejowski uważał, że kościół ten starożytny tak szerokie granice zakresił swojej władzy i tak ogromną połączył pod sobą ludność, że nawet sześciu wikaryuszów fundowanych wiecznie, razem z kollegiatą, obowiązkom parafialnym zadość uczynić nie mogło, a na wielkiej przestrzeni dopełniając posług religijnych w winnicy pańskiej, wszędzie zarówno dojrzyć nie potrafiło. Ludność jednakże więcej rosła jeszcze; nowa parafia stawała się koniecznością.

Na dniu 18 maja 1774 r. Młodziejowski utworzył tymczasowem postanowieniem biskupiem z kościoła śgo Krzyża pojezuickiego nowy parafialny kościółek w stolicy. Nie mógł odrazu wydać potrzebnej w takim razie errekcji, dlatego, że sprawa dóbr pojezuickich i funduszków, nie była jeszcze ukończoną, a bez tego krokiem naprzód ruszyć się niepodobna było. Jednakże uskuteczniając to co miał w swojej mocy, zmienił wtedy Młodziejowski tytuł nowej parafii, bo tytuł śgo Krzyża już nie odpowiadał widokom. Parafia Missyonarska nosiła już to imię, a potrzeba było koniecznie dla samego porządku w nabożeństwie, unikać kolizyi i nieporozumień w nazwaniach. Tytuł więc śgo Krzyża, nadany przez prymasa Potockiego, zamienił się teraz na tytuł śgo Andrzeja apostoła. Młodziejowski byłto patron, a biskup poznański uchodzić chciał za fundatora parafii.

Oznaczono więc tymczasowo granice nowego probostwa. Okolice śgo Andrzeja stanowiły teraz jądro, ognisko, około którego miało się kupić nowe grono pobożnych. Może był zakrój, żeby od innych trzech parafij warszawskich oddzielić wtedy od każdej po pewnej części jurydyki i ulice, które miały teraz do jurysdykcji śgo Andrzeja należeć. Ztémwszystkiem najwięcej straciła kollegiata. Takim sposobem utworzyła się czwarta parafia w Warszawie, może obszernością rozleglejsza od trzech siostr starszych. Sięgała Senatorskiej ulicy, a potem szła Daniłowiczowską obok murów biblioteki Załuskiego na Bielańską i Długą; obejmowała Leszno, ulicę Chłodną i Elektorálną, całe Wielopole i Bielino, Marywil, opierając się o Mazowiecką, Królewską i Śto Krzyżką ulicę. W ówczesnym stanie Warszawy, mogła liczyć ludności dusz 6000 katolickich. Zresztą przyszła errekcya miała zapobiedz wszystkim nieporozumieniom, i oznaczyć ściślej granice nowej parafii śgo Andrzeja.

Sam kościół pojezuicki był wtedy szczupły tak dalece, że wtenczas już porobiono plany, żeby go powiększyć na placach, które posiadał; ale i to odwlekło się do czasu, dla przyczyn, któreśmy wymienili.

Piérwszym proboszczem tego nowego parafialnego kościoła miał być Wyrwicz. Młodzi Jezuici, którzy jeszcze na zapewnienie losu swego czekali, zmienili się na wikaryuszów. Seniosem wikarych został był rektor tutejszego kollegium ksiądz Tomasz Grodzicki, człowiek także z pewną nauką, z pewną zdolnością, z pewną sławą: poczciwy, cichy, bogobojny i skromnego serca, lubiony przez panów, i dziecko Warszawy, bo już dawno w niej gościł, znał jęj wszystkie

zakątki i tajemnice, jak i ona go znała. Porywali go wszyscy w stolicy, i czyto ślub dawać, czyto chrztem świętym zmasać w dziecku grzech pierworodny, nigdy żadna uroczystość nie odbyła się bez księdza Grodzickiego, bez jego błogostawieństwa, porady i modlitwy.

Stolica apostolska udzieliła ex-Jezuikom śgo Andrzeja i Wyrwiczowi uwolnienie od ślubów zakonnych, i prawem uświęcona stanęła nowa parafia w zupełnym porządku w r. 1774. Wyrwicz objął uroczyste nowy urząd z rąk Młodziejowskiego, który jako biskup miejscowy, uważany jest za założyciela parafii. Nie postrzeżono się jednak, że dla mieszkańców Warszawy, jako świątynia parafialna nie może być dogodnym kościół śgo Andrzeja. Szczupły był więc, pomieścić nie mógł mieszczan trzech jurydyk i kilkunastu oddzielnych uliczek. Mało w nim mieściło się ołtarzy, choć służba parafialna dosyć miała Levitów, żeby sprawianie ofiary bezkrwawej i obowiązki w miejscu cierpiały. Jednakże pośpiech stanowił wszystko: szło tylko najprzód o umieszczenie Wyrwicza, reszta dopiero potem znaleźć się miała. Tej reszcie tak zaradzono, że powoli zaczęto przenosić nabożeństwo parafialne do kościoła Reformatów. Z początku odbywało się wszystko u śgo Andrzeja, ale z kolejną czasu, kiedy się przekonano, że w święto np. uroczyste w żaden sposób parafia kościołem własnym obyć się nie może; proszono zatem najprzód zakonników Reformackich, żeby pozwolili u siebie odbywać nabożeństwo, proszono raz i drugi, a potem w zwyczaj to weszło i nareszcie zamieniło się w prawo. Tak mniejsze uroczystości miała parafia u śgo Andrzeja, większe u Reformatów.

Ta nowa epoka dziejów naszego kościółka, ciągnęła się od roku 1774 do 1818 przez lat 44, blisko pół wieku. Epoka pierwsza jezuiticka, zacząwszy od dnia, kiedy fundamenta położył na kościół prymas Teodor Potocki, trwała więcéj troszkę jak lat 44. Cała ta przestrzeń dwojga epok, wiek cały obejmuje. W nowéj parafii śgo Andrzeja dużo znalazło się mieszczan Warszawy i dostatnich i ubogich, ale téż dużo i magnatów. Przypomnijmy sobie, że w téj stronie leżał pałac książąt Jabłonowskich, Mnischów, dworzec Błękitny Czartoryskich, pałac Wielopolskich na Elektorálnéj ulicy, Potockich na Rymarskiéj, dworzec Poniatowskich na Bielańskéj, Wichertów na Elektorálnéj, Lubomirskich na Wielopolu; po tych pałacach mieszkało i wiele innych ludzi utytułowanych, urzędników ziemskich, posłów na sejmy, deputatów na trybunały. Wszystko to teraz pod względem religijnym przeszło pod zarząd Wyrwicza, i z nim weszło w stosunki. Kościołów tylko miał niewiele w swojej parafii, a przynajmniej nie tyle, co

inne parafie w Warszawie. Tutaj w jego jurysdykcyi znajdowali się tylko Reformaci i Karmelici na Lesznie, kaplica Kanoniczek na Marywilu, i stary zepsuty kościółek Śtój Trójcy pod okopami na rogu ulicy Bielańskiej i Długiej.

Wyrwicz był szlachcicem polskim, a nadzwyczaj systematycznym i porządnym człowiekiem; a zatém jako uczony i jako szlachcic, zaprowadził zaraz księgi parafialne chrztu, ślubów i śmierci. Od dnia 22 maja 1774 r. zaczęto zapisywać w tych księgach różne daty o różnych osobach i różne okoliczności ich życia. Wzorowy porządek znać tam wszędzie, i widać zaraz uczoną rękę co kierowała dziełem, a lubiła wszystko ująć w rachubę i pod systemat. Jeżeli z parafii umarła jaka osoba, w aktach zanotowano wszystkie okoliczności jej zejścia, wszystkie szczegóły jej sieroctwa, opisana cała jej przeszłość familijna. Jest tam zapisane, czyjém dzieckiem był zmarły, wymienione są osoby ojca i matki, i kogo zostawił nieboszczyk wdową lub wdowcem, kogo sierotami. Są przy osobach żyjących i zmarłych zanotowane lata, jak naprzykład daty urodzenia i szczegóły tyczące się pogrzebu, albo innych okoliczności. Byłato istotnie praca, i pilnował święcie Wyrwicz, żeby zapisywali wszystko księża wikaryusze Jezuici. Sam zapewne mając szerokie stosunki, udzielał tych wiadomości podwładnym, a oni je skrzętnie i skwapliwie zapisywali. I w samój rzeczy, szukając po tych aktach jakiej daty śmierci, albo urodzenia się jakiego znanego w przeszłości naszej człowieka, napotykamy w nich nie tylko na tę wiadomość, ale i ciekawe podania genealogiczne, na czystej prawdzie oparte. Widzisz zaraz cały szereg przodków zmarłego albo narodzonego dziecięcia w tym systematycznym spisie, gdzie nie nie opuszczone, nawet szczegóły choroby, nawet rozporządzenia familijne i rozkazy. Czasem się i całe napotykają żywoty osób, zasługujących pod jakimbądź względem na uwagę, znakomitych czy powagą w kraju, czy pobożnością, czy skromnością serca. Rzekłbyś patrząc na te spisy Wyrwicza w aktach zejść i ślubów i t. d., że to są porządne wywody genealogiczne, że to herbarz szlachty polskiej jego czasu. Dzisiaj możeby nas nie zastanawiały te szczegóły, kto czyim był synem, ile zostawił dzieci; ale kto wie, jak wielką ma wagę w poszukiwaniach historycznych wiadomość napozór mało znacząca, a znaleziona w miejscu, gdzieby się jój nikt nie domyślał, może pojąć jak trzeba cenić pracę Wyrwicza w zaprowadzeniu takich ksiąg parafialnych. Tém bardziej to uderza, że w współczesnych jemu księgach innych parafij, zamęt tylko i niedorzeczność. Zapewne robił to Wyrwicz wierny duchowi szlacheckiemu starożytnej Polski; ale nie

wchodzim w jego pobudki, dlaczego to robił—dosyć, że nam zostawił stopy akt ciekawych nie bez znaczenia i interesu. Następny jego przy kościele św. Andrzeja czasami tylko naśladowali przykład Wyrwicza. Kto będzie pisał herbarz szlachty polskiej z czasów Stanisława Augusta, musi się koniecznie radzić akt św. Andrzeja, a niejednej wątpliwości pozbędzie, niejednen fakt mylny sprostuje. Na te notaty parafialne spuścić się można z zupełnym zaufaniem; Wyrwicz znał stosunki rodzinne panów polskich, żył w ich towarzystwie, i w układaniu tych notat wspierała go nadzwyczajna pamięć.

Jeżeli Wyrwicz tak porządnie prowadził zapisy i aktu parafialne, z jakąż przyzwoitością, z jakim nabożeństwem iść musiała służba kościelna i obchody świąt uroczystych? Wyrwicz przestrzegał porządku, i gorliwym był o dobro swoich owieczek proboszczem. Nie opuścił więc nigdy sposobności, żeby im służyć gorliwie religijną pociechą. Za niego Młodziejowski otworzył *miłościwe lato*, które w dyeczyi poznań. trwać miało aż sześć miesięcy. 24 marca o 6tej wieczorem, dzwony całej Warszawy były co kwadrans, zwiastując wielki jubileusz rzymski. Odtąd zaczęło się nabożeństwo, i z kościoła przechodziło do kościoła, po dwa tygodnie śpiewami pobożnymi rozlegając się w każdym. Nie po kolei następował odpust, a jednocześnie tu i tam się zaczynał; tam się kończył, tu był w środku w całym zapędzie religijnego uniesienia. Od 1 maja zaczął z dworem swoim, prałatami, kanonikami, w licznym orszaku obchodzić kościoły stolicy ksiądz Młodziejowski; zachowując jednak nałóg dawny i przywiązanie do Jezuitów, a przynajmniej do murów jezuickich, od mszy mianej u św. Andrzeja zaczął pobożną pielgrzymkę. Wtenczasto pokazał szczególnie owe przymioty biskupie, o jakichśmy wspominali, mówiąc o chwilach ostatnich Jezuitów. Gdyby tak wszyscy, jak on wtenczas, modlić się umieli, a spełniali obowiązki chrześcijańskie, raj zakwitnąłby na ziemi. 19 maja sam Młodziejowski otworzył jubileusz u św. Andrzeja mszą śpiewaną; ale zagaiwszy nabożeństwo, wydał rozkazy, żeby je przenieść do Reformatów, dla szczupłego miejsca w dawnym pojezuickim kościele. Do Reformatów więc kupił się teraz lud pobożny, a co dzień nowe miał powody do skruchy i żalu. Zmieniali się biskupi kolejno u Reformatów: co dzień kto inny z ich grona celebrował, co dzień ktoś inny wstępował na ambonę, i uczył lud o przepisach wiary, powiadał im o zbawieniu i o moralności chrześcijańskiej. Zwijał się po kościele Wyrwicz, zwijał się ksiądz Grodzicki, Kantenbryng, Maciej Fryze. Czujne oko proboszcza zwrzało wszę-

dzie: znalazło czas dla parafian, znalazło czas dla nabożeństwa. Msza za mszą wychodziła, a rześnistém światłem jaśniał kościół Reformatów. Panowie z panów, lud ubogi i mieszczenie wpośród, między temi dwoma krańcami społeczeństwa, zajeżdżali karetami przed kościół, albo szli piechotą i pchali się przez tłumy, żeby się dostać do środka kościoła, żeby choć osobę kapłana zobaczyć w świętych szatach przed ołtarzem. 1 czerwca o 6tej godzinie wieczorem, ksiądz biskup koadjutor chelmski Aleksandrowicz, ukończył dziękczynném nabożeństwem tę dwuniedzielną missyą u św. Andrzeja na cmentarzu księży Reformatów, a nazajutrz bierzmował tłumnie cisnących się ludzi.

Był Wyrwicz nietylko gorliwym proboszczem: był on wyrozumiałym a i na nieszczęście, umiał zanieść pociechę w serce, które się rozbiło o przeciwności losu. Mówiliśmy, że dawnych Jezuitów prowincyi koronnej utrzymywał przy sobie w obowiązku wikaryuszów. Trzymał ich więcej jak potrzeba, jak wymagała służba około parafii. Ale on parafią swoją kochał, kochał swój kościół św. Andrzeja, gdzie był jak u siebie, gdzie był panem w dawnych gmachach Potockiego. Nie mógł zatem znieść, żeby parafia jego była bez należytej i szybkiej posługi religijnej. Wołał, żeby wikaryusze Jezuitów mieli zamato roboty, jak żeby parafia jego czekała. Miał gorliwego pomocnika w Grodzickim. Pod tym względem proboszcz i jego wikary najstarszy, równą okazywali troskliwość, równy zapał co do spełniania obowiązków religijnych. Wszystko więc u św. Andrzeja szło jak w zegarku: nabożeństwo miejscowe i postęga w mieście. Znaleźli nawet czas wikaryusze wyręczać i innych księży w kościołach stolicy. Kapelanem Kanoniczek na Marywilu nie był nikt inny zapewne, jak ex-Jezuita wikary od św. Andrzeja. Dochody parafii znaczne też były; dzielił się nimi ksiądz Wyrwicz, a jak sam nie żądał wiele, tak i nikomu nie dał robić krzywdy.

Z wikarych jego, oprócz Grodzickiego, wspomnimy jeszcze Macieja Fryze. Młody ten człowiek, może krewny Chrystyana Gottliba, który zostawił kilka dzieł ważnych w przedmiocie dziejów kościelnych polskich, urodził się w roku 1746 w Królewcu, w Prusiech wschodnich. Od lat dziecinnych pokazując natchnioną pobożność, wstąpił do Jezuitów na niewiele przed epoką kassaty zakonu. Kassata zastała go przy kościele św. Andrzeja; tutaj więc został przy Wyrwiczu, przyjąwszy suknię świeckiego kapłana. Był gorliwy kaznodzieja, poczciwy człowiek, pobożny kapłan, wylany dla cierpiącej ludzkości; kochali go parafianie, kochali tak jak Grodzickiego, bo ci obadwaj podzielali ich boleści i radości familijne. Zawsze u nich zna-

laż każdy gotowość, i Fryze z Grodzickim lecieliby na kraj świata, żeby zbawić chociaż jedną duszę, żeby poświęceniem się swoim, chociaż jeden grzech bliźniego okupić. Grodzicki prawie starcem był przy Fryzem, bo o jeden rok tylko młodszy od Wyrwicza, włosy już swoje ozdobił śnieżną bielizną. Ci dwaj wikaryusze, stary i młody, starczyli za cały zakon Wyrwiczowi. Oni w myśl jego trafiali, i parafia św. Andrzeja godnego miała proboszcza, godnych wikaryuszów.

Wyrwicz naturalnie często był odrywany od swojego kościoła. Połączony ścisłemi stosunkami z całą kastą magnatów, jeżeli nie przez ród wysoki, to przez stopień; połączony z królem, który był szczęśliwy, że go dla siebie i dla Warszawy zachował: musiał się często do zwyczajów dworu stosować, i dla zamku nawet swój kościółek opuszczać: spokojny, że na zastępstwo siebie znalazł ludzi, którym mógł zawierzyć zupełnie.

Ale nie tylko dla wikaryuszów, nie tylko dla swoich terazniejszych stosunków wyrozumiałym i dobrym był Wyrwicz; on do kościoła św. Andrzeja przytulił i starość, jednego z rozbitków Lojoli, człowieka pochylonego nad grobem, którego cios bolesny ugodził w samo serce: człowieka powalonego nieszczęściem. Był tym starcem nieszczęśliwym ksiądz Jan Przyłuski, Jezuita. Z księgi zmarłych parafii św. Andrzeja dowiadujemy się, że Przyłuski rodził się 20 marca 1714 r., a więc, że starszy był o trzy lata od Wyrwicza. W roku dopiero 1732 został Jezuitą, a professyą czterech ślubów wykonał 2 lutego 1750 r. Po kassacie zakonu, u św. Andrzeja znalazł przytułek, znalazł serce Wyrwicza. Tu więc do grobu pozostał. Sędziwego starca otaczały wnuki i słodziły jego wiek podeszły; a on spokojny, błogosławiąc cichy kątek, siedział w murach, które niegdyś własnością były jego zakonu, i chociaż w tém znajdował lekką ulgę swoim cierpieniom. Tu jeszcze wszystko widział jezuickie; jeżeli nie zakonników i dawne zwyczaje, to przynajmniej osoby, które mu inny czas, inne chwile, chwile jego młodości i szczęścia przypominały. Jest w dyaryuszu sejnowym z r. 1776 wzmianka, że kommissya rozdawnicza do dóbr jezuickich, ustąpiła dziesięciny z łanów barskich i komorowieckich, niegdyś należących do kolegium barskiego, *na utrzymanie zastłużonemu w zakonie jezuickim kapłanowi Jmć. księdzu Przyłuskiemu, wiekiem nachylonemu, i to ad vitae tempora*. Jeżeli tym Przyłuskim był nasz starszok (a zdaje się, że to niezawodnie on, nie kto inny), to widzimy, że nie potrzebował łaski ksiądz Przyłuski; potrzebował tylko schronienia w domu rodzinnym. To schronienie dał mu Wyrwicz. Jeżeli zaś nie o nim mowa w konstytucyi koron-

nój, to tém jeszcze szlachetniejszą rolę gra nasz uczoney, tuląc na łonie swoim znękanego dolegliwościami starca. Ksiądz Jan Przyłuski umarł u św. Andrzeja dnia 3 maja 1777 r., w roku życia 64. Co sobota gotował się przez spowiedź, rozmyślania pobożne do śmierci; narreszcie śmierć zastała go zupełnie przysposobionym, żeby stanąć przed Boskim majestatem. Umarł téż w sobotę nagle z apopleksyi. Wyrwicz dał mu nawet miejsce na spoczynek ostatni w grobach św. Andrzeja. Pochowali go tutaj wnuki ze łzami boleści. W obchodzie pogrzebowym celebrował ksiądz biskup Aleksandrowicz.

Nie dziwimy się wcale temu zapewnieniu, że pod kościółkiem św. Andrzeja były groby Jezuitów: zakon każdy chował swoich professów w mieście, zawsze w sklepieniach swoich podziemnych. Ale nas to dziwić może, że sklepienia te były tak ogromne, bo starczyły nietylko dla księży miejscowych, ale i w grobach św. Andrzeja chowały się nawet osoby obce, i nienależące do kościoła. Tutaj np. spoczęła zmarła w roku 1778 dnia 30 września, Teressa z Potockich pierwszego ślubu Warszyczka, wojewodzina łęczycka, powtórnego Wojciechowa Opalińska wojewodzina sieradzka, małżonka ostatniego magnata, z wielkiego niegdyś Opalińskich rodu. Nie dziwim się znowu wcale pobudkom, które zmarłą w parafii ujazdowskiej aż do grobów św. Andrzeja sprowadziły: wojewodzina była córką Stefana wojewody bełzkiego i Joanny Sieniawskiej, siostry rodzonej Mikołaja hetmana polnego; była zatém córką brata Teodora Potockiego prymasa, a wnuczką Stanisława kasztelana kamienieckiego i Eleonory Soltykownej, prawnuczką Mikołaja wojewody braclawskiego i Mohylanki gospodarówny z Wołoch. Była więc to synowica założyciela kościółka św. Andrzeja, i widzimy teraz, dlaczego tęskniła, i dlaczego chciała spocząć w grobach, które jój zacny stryj założył. Bo gdzież miała szukać sklepień zamkowych: w Warszawie, czy w Wielkiej Polsce? Wybrała drogę pośrednią, wołała spocząć pod cieniem fundacyi familijnej, wpośród stolicy murów, żeby świetniej pogrzebem swoim odbić znikomość rzeczy ludzkich. Nie chciała iść za drugim mężem; spoczęła téż w grobach zakonnych. Poważna matrona liczyła 85 lat życia; umierała zostawiając na świecie jedyne go brata, sławnego w całej Polsce i Litwie, dzięki fantazyi i dumie. Był nim Mikołaj starosta kaniowski, podówczas kawaler mullański.

Ze wspomnień kościółka św. Andrzeja za czasów Wyrwicza, wspomnimy jeszcze o exekwjach, jakie się wtedy odbyły 24 marca 1779 r. po zmarłym Hieronimie Wielopolskim, generale małopolskim, i o pogrzebie w grobach św. Andrzeja Eleonory z Godlewskich

Wodzińskićj, wdowy po podstolim liwskim, krewniaczki księdza biskupa smoleńskiego, Gabryela Wodzińskiego, który ją sam exportował do Brygidek, a tutaj chował w kwietniu tegoż roku. Ciało zaś Wielopolskiego przewieziono do grobów familijnych, znajdujących się w kościele ks. Reformatów w Krakowie (1).

Mówiliśmy dosyć o wypadkach, które tyczyły się kościoła św. Andrzeja za czasów Wyrwicza, mówiliśmy także dosyć o jego zasługach parafialnych. Chciały tak okoliczności, że nie do końca życia wytrwał na tym urzędzie uczony nasz proboszcz; objawszy nowe obowiązki w roku 1774, opuścił je w roku 1780 swojemu następcy. Lat sześć i to jeszcze może niezupełnych, do dnia ostatniego był proboszczem św. Andrzeja. Pożegnał się zatem ze swojemi obowiązkami, pożegnał się z parafią, którą tyle kochał. Musimy więc teraz wystawić cały obraz, o ile to w możności naszej będzie, jego pracowitego i pełnego nauki życia. Boć przecie, jak za czasów jezuitckich, dzieje kościoła św. Andrzeja były dziejami Jezuitów koronnych, tak po kassacie zakonu, cała przeszłość naszego kościoła od roku 1774, da się streścić w dziejach jego proboszczów; a w chwili, kiedy żegnał parafią Wyrwicz, najwłaściwsze może będzie miejsce dla jego życiorysu.

Karol Wyrwicz urodził się w r. 1717 na Żmudzi, z rodziny naturalnie szlacheckiej, ale niewiadomego herbu: bo inaczej nigdyby nie doszedł do stopnia, na jakim stanął (2).

W dzieciństwie swoim posłany przez rodziców do szkół Jezuitckich, pokazał w szkołach przymioty, jakie się w nim potem w całej pełni rozwinęły: to jest bystry rozum, wielką pamięć, chęć do pracy posuniętej aż do niezmordowania i zdrowie żelazne. Jezuitci widząc w nim tyle rękojmi do przyszłej sławy, potrafili usidlić młodzieńca, który w roku 1734 wykonał śluby zakonne, i całe życie nie żałował swojego postępku. Celujący w naukach uczeń, został niedługo mistrzem, i zakon go użył do wykładu nauk rozmaiitych po swoich kolegach.

Bawił wtedy młody Jezuita czas długi w sławnym collegium Chodkiewiczowskiem w Krożach na Żmudzi, i serdecznie pokochał to miejsce, piękne położeniem i malowniczością okolic, sławne i po bytem Sarbiewskiego, który tutaj ody swoje nucił i śpiewał możnym

(1) Daty wszystkie tu podane, wzięliśmy z gazet ówczesnych i z akt parafialnych. (2) Przyłuskim i o uposażeniu go przez Kommissyą Rozdawniczą, w protokule delegacyi.

(2) Dwie były w Polsce szlacheckie rodziny Wyrwiczów; jedna z nich nosiła przydomek Wasylewicz.

pochwały (1). Poznał wtedy Wyrwicza Jan August Hylzen kasztelan inflantski, człowiek uczony i dumny, jeden z reprezentantów dawniej szlachty niemieckiej, potomek rycerzy mieczowych, co poddawszy się Polsce za Zygmunta Augusta, wierni pozostali nowym swoim obowiązkom, i wygaśli nareszcie przywiązani niezmiennie do nowej ojczyzny. Kasztelan inflantski był rzeczywiście uczonym człowiekiem, nie uczonością metodyczną, pedancką, co scholastycznością trąciła.

Znał dzieje Rplitej, znał dzieje rodzinnego kraju, i z rozkoszą szukał po starych aktach wiadomości, z upodobaniem bawił się przeszłości wspomnieniami, ślęczał i przebierał stare archiwa i przywileje. Napisał i wydał dzieło po polsku o Inflantach, które dziś nawet, kiedy nauka pisania dziejów tak olbrzymim naprzód postąpiła krokiem, czyta się z przyjemnością, bo jest zbiorem faktów zawsze ciekawych, i dziełem pełnym erudycyi; a nawet stało się źródłem, z którego czerpać można i cytować. Miał kasztelan syna Józefa, jedynego dziedzica i następcę dawniej rodziny Eklów. Ten skarb swój, ten majątek cały, powierzył pod dozór i opiekę Wyrwiczowi, i chciał, żeby pod jego okiem młody Józef ukształcił się na obywatela kraju, który go tak gościnnie przyjął na swoje łono.

Z młodym Hylzenem objechał tedy Wyrwicz Niemcy, Włochy, Francją, i całą prawie Europę. I zakon Jezuicki opatrzył go instrukcyami na drogę, kazał mu szkoły oglądać i zakłady naukowe, bo i zakon już się krzątał w Polsce około poprawy edukacyi. Na stosunkach swoich, jak widzimy, z domem magnackim, zyskał osobiście nauczyciel i zakon Jezuicki; kto wie, czy nie te stosunki nawet dały go poznać wielkiemu światu stolicy, zjednały mu łaskę króla i wszystkich oczy obróciły na uczonego Jezuitę. Kiedy wrócili z podróży, bystro następowały po sobie wypadki. Hylzenowie osiedli w Warszawie w starym pałacu swoim na ulicy Przejazd, i tutaj codziennym gościem widzieli u siebie Wyrwicza. Przywiązał się do nich całym sercem nasz zakonnik. Spotykał w pałacu Hylzenów pierwsze znankomitości swojego czasu, i zawiązywał z nimi stosunki. Zaczęli się wszyscy dziwić niezmierniej jego nauce, skarbowi erudycyi, które sypał jakby z za rękawa. Tutaj jeżeli nie zaprzyjaźnił się, to się poznał przynajmniej z księdzem Antonim Ostrowskim, biskupem naprzód inflantskim, później kujawskim i prymasem, z księdzem Młodziejowskim i Okęckim, którzy jeszcze przyszłości czekali. Dom Hylzenów był dla Wyrwicza szczęściem, był przytulkiem, rozkoszą i całą nadzieją: był wszystkiem.

(1) Jucewicz: Wspomnienia Żmudzi.

Kiedy Stanisław August wstąpił na tron, imię Wyrwicza już głośne było w Warszawie z nauki i ze sposobu skromnego życia; odrazu więc, jakby skinieniem ręki czarodziejskiej, cichy zakonnik stał się polityczną osobą. Król myślał z początku rządów swoich zejść się z arcyksiężniczką austryacką; trzeba było wysłać kogo do Wiednia z prośbą o rękę narzeczonej. Wybrany był na tę zaszczytną i wysoką misyją ksiądz Wyrwicz (1765). Znał już dwór i obyczaje dworskie, znał takt pałacowy, bo się go u Hylzenów nauczył, przestając ze znakomitościami swojego czasu; umiał po niemiecku, a był uczonym: dużo więc powodów mówiło za nim. Król widąc znał go wtenczas więcej jak innych, kiedy nie innym, nie tym, co nawet Wyrwicza ubiegli w jego sercu, ale naszemu zakonnikowi dał pierwszeństwo. Nie miało skutków to poselstwo uczonego Jezuity. Były powody i ze strony króla polskiego i ze strony cesarza, co opóźniły to małżeństwo, a potem nawet zerwały się zupełnie rokowanie; przecież zawsze dowód ten zaufania króla, wysoko podniósł znaczenie Wyrwicza. Rplita już teraz patrzyła na niego.

Za powrotem został ksiądz Wyrwicz, za pośrednictwem króla, rektorem jezuickiego *Collegium Nobilium* na Starém-Mieście. Zakon chętnie teraz wzywał jego pomocy i pragnął skutków, to jest chciał zbierać owoce z nauki Wyrwicza i doświadczenia, jakiego nabył za granicą. Na tym urzędzie dał więc z siebie wzór nowy rektor dobrego rządu i gospodarstwa, i wysokich zdolności do kierowania naukowym zakładem. Zadłużyło się staromiejskie collegium na kilkanaście tysięcy i musiało płacić procent, a nikt z rektorów nie pomyślał o tem, żeby uchylić klęskę, która w przyszłości groziła. Wyrwicz naprzód oczyścił dobrem gospodarstwem dom jezuicki z długów, i wziął się potem do poprawienia instrukcyi w szkołach. Zaprowadził porządek podług własnych planów układ edukacyi, obsadził katedry i pożyteczne umiejętności wprowadził do collegium. Pojmował on dobrze całą ważność wychowania publicznego, jeżeli będzie kierowane duchem obywatelskim i myślą o przyszłości.

Usunął więc ostatnie ślady scholastycyzmu, jeżeli jakie zastał w collegium, i starał się, żeby uczniowie nabywali rzeczywistych nauk, nie uwodzili się pozorem. Sprowadził ludzi zdatnych i uczonych, ludzi nowego pokolenia, nowych wyobrażeń. Ci podług planu jego pracowali, a on sam drogę im przez lody torował, sam im przodkował poświęceniem się i pracą. Niedość na tem: pragnąc wzbudzić zajęcie do literatury, zaszczyć smak do gruntownych wiadomości,

Wyrwicz postanowił ogłaszać drukiem owoce dotychczasowych prac swoich, dla ukształcenia własnego podjętych. Rzeczywiście było już wtedy mąż wpływu i doświadczenia.

Powziął myśl zatem związać się w towarzystwo z kilku uczonymi ludźmi, i wypracować wspólnie dzieje powszechne obszerniej cokolwiek; nie dla szkół jedynie, ale dla czytającej publiczności. Myśl to była jedynie, bo nie zamieniła się w skutek. Ale Wyrwicz wziął się szczerze do wykonania przypadającej na niego pracy: on miał obrobić dzieje monarchij i królestw starożytnych. Wprzód jednak, mając na względzie postęp młodzieży w języku francuzkim, chciał wygotować niby szkic tój przyszłej pracy swojej, i wydał w r. 1766 w Warszawie, napisany przez siebie kurs dziejów starożytnych, pod tytułem: *Abrégé de l'histoire universelle*, na początek tom pierwszy. Księga ta miała być podręczną dla szkół jezuickich, a razem zaspokajała dwie trudności: była dziełem i dla historii i dla języka.

Wydawali w tymże właśnie czasie Bohomolec z Gröllem starożytnych autorów naszych historycznych, np. Bielskich i Strykowskiego. Książewicz jezuita do kroniki Strykowskiego dołączył swój przekład historii rosyjskiej z la Combe'a. Ale że la Combo dużo pomyłek w swoim opowiadaniu poczynił, Wyrwicz obiecał Bohomolcowi sprostować te błędy, i drugi dodatek takim sposobem przyczynić do objaśnienia Strykowskiego kroniki. Ta nowa praca wyszła w Zbiorze Bohomolca 1766 r. Zapewne trudno w dziele owego czasu żądać krytyki i prawdziwych badań historycznych, kiedy nawet czasy tak niedawne jeszcze, a przed laty kilkunastu, robili pisarze nasi błędy nie do przebaczenia, a zwłaszcza w dziejach, tyjących się wschodniej Słowiańszczyzny. W czasach Poniatowskiego istniały jeszcze w całej sile przesady o Scytach, Sarmatach, o Wandalach i Skandynawach, i krytyka historyczna dopiero z Naruszewiczem zaczęła dawać pierwsze ślady istnienia i życia. Dlatego też praca Wyrwicza, objaśnienia de la Combe'a, i w pierwszych warunkach historycznej pracy czasów naszych nie dorówna, jak my pojmujemy tę pracę. A zresztą, mało rozszerzone wiadomości o pokoleniach słowiańskich, fałszywe pojmowanie dziejów, źle obrane stanowisko historyka: niewiele wartości, jak w naszej chwili, zapewniają tój pracy Wyrwicza. Jak wszyscy, tak i on wiadomości swoje czerpał z pism i dzieł francuzkich, a cóż te wyroby rzemieślnicze, mogły objaśnić przeszłość pokoleń nadniemeńskich i naddnieprzańskich? Błędy więc spotykają się na błędy w objaśnieniach la Combe'a. Ale nie obwiniamy człowieka; Wyrwicz był ofiarą pojęć swoich, był dzieckiem swo-

jego czasu, który się dopiero budził z uspienia, a historią widział w zastarzałych przesadach, w kilku, kilkunastu podanych szczegółach o bitwach, o panowaniu tego albo tamtego, albo w dokładnie podanych datach. Jeżeli podług miary ówczasowych pojęć spojrzymy na tę pracę Wyrwicza, zobaczymy w niej jasnie to, cośmy o jego nauce i zdolnościach powiedzieli: znajdziemy tam całe morze erudycyi, cały kurs historii, jak ją czas pojmował, cały stos błędów, jakie błędy były za Poniatowskiego; znajdziemy dzieło nowe, jedno z tych, które mogły ustalić wówczas sławę człowieka, badającego przeszłość wieków oddalonych. I nie będziemy się wtedy wcale dziwili, jeżeli znajdziem gdzie wzmiankę o samém dziele, wzmiankę pochwalną; jeżeli powiemy, że o pracę Wyrwicza mogli być drukarze zazdrośni, a ksiądz Bohomolec szczerze mu dziękował za pomoc, z której się tak szlachetnie z chlubą dla literatury ojczystej wywiązał. Nie będziemy się dziwić, że później, w lat kilkadziesiąt, Franciszek Dmochowski widział w tej pracy Wyrwicza prawo do odbierania hołdów od wszystkich.

Abrégé nie obudziło zapewne tak rozległego zapału, jak poprawki la Combe'a. I nie dziw; *Abrégé* było dziełem elementarném dla dzieci; poprawki, dziełem uczonem dla ludzi. W tych dodatkach do Strykowskiego, francuzką księgę ze źródeł francuzkich poprawiał Wyrwicz, i cóż mógł nowego powiedzieć, co objaśnić, jak znaleźć prawdę w tych obcych podaniach? A jednak znajdujemy i tam pracę ciekawą, mającą wartość. Na końcu uwag swoich zamieścił uczony nasz registr pisarzów, którzy o państwie rossyjskiem od najdawniejszych aż do jego czasów traktowali. Plód to sumienny, praca w istocie ciekawa, najwięcej wartości mająca, a przynajmniej znakomitsza od wszystkich uwag i od wszystkich sprostowań la Combe'a. Z niej poznać naczytanie się Wyrwicza i obeznanie ze źródłami dziejów.

Prace naukowe Wyrwicza, przerwała na chwilę propozycya Przeddzieckich, i wypadek bolesny dla jego serca. Miał Antoni Przeddziecki podkanclerzy litewski syna Dominika oddać na naukę do sławnego kollegium *Theresianum* do Wiednia na prawo; przez wielkie zabiegi otrzymał ten zaszczyt dla siebie, który niewielu obcych spotkał. Nie mógł jechać sam podkanclerzy za granicę, zajęty pracą; prosił zatem Wyrwicza, żeby jako znajomy austryackiej stolicy, znajomy też osobiście Maryi Teressie, podjął się odwieść Dominika do Wiednia. Przystał chętnie Wyrwicz na uczyniony sobie wniosek, ale wprzódy nim się puścił w drogę, umarł w Warszawie stary jego przyjaciel, Jan August Hylzen wojewoda miński, 14 lutego

1767. Syn zmarłego, a były uczeń Wyrwicza kasztelan inflantski, odziedziczył po ojcu wojewodzińską dostojność. Oddawszy ostatnią przysługę dobroczyńcy swojemu, rektor *Collegium Nobilium* pojechał do Wiednia w końcu lutego, umieszcili podkanclerzyca w *Theresianum*, miał prywatne posłuchanie u cesarza Józefa i Maryi Teresy, a potem w pierwszych dniach marca powrócił do Warszawy, podzielić żal z wdową i synem jedynym, ze wszystkiemi przyjaciółmi serca.

Odtąd jeszcze z prawa świętszej powinności bywał Wyrwicz w domu wojewodziny mińskiej; po pracach literackich, nauczycielskich tu osłode znajdował, tu się spotykał ze znajomemi, czasem coś posłyszał, czasem sam jakiej nowiny udzielił; zawsze znalazł dom gościnny, otwarty, zawsze pełno uprzejmości i wdzięku. Lecił też tutaj zawsze stęskniony widzieć się ze znakomitościami stolicy, a w rozmowie nauczającej i miłej, nowych sił czerpać dla pracy, dla nowych planów, dla nowych widoków.

W roku 1768 wydał *Geografię czasów terażniejszych* tom pierwszy. Według obszernego bardzo planu rozpoczął tę pracę, jako ciąg dalszy dzieła dla edukacji poświęconych. Wykładał w tém dziele naprzód: geografią naturalną ziemi, potem astronomiczną, a wreszcie i polityczną. W tej ostatniej opisywał różne kształty rządów, początek prawa i jego rodzaje; wykładał wiary i sekty, i różne języki: kolory i postaci znanych wtedy czterech części świata. To było ogólne pojęcie, jakie dawał uczniom o geografii. Dalej zabiegał w szczegóły i opisywał każde państwo po kolei, najwyższą w niem władzę i urzędy; mówił o stanie handlu, rolnictwa, o przemyśle i oświacie, o postępie pod względem nauk i umiejętności. Przechodził potem po szczególe kraj cały, opisywał miasta, rzeki, budowle, zwracając uwagę na historyczne podania, które uświetniały różne miejsca na ziemi. Tom pierwszy zajęty był państwami Europy, a w drugim miał nastąpić opis Polski i innych części świata. Obszerniej chciał Wyrwicz wypracować geografią swojej ojczyzny i dać jej bliższy zarys, pod każdym względem szacowny; ale nie wydał drugiego tomu. Domyślano się rozmaicie, co go spowodowało do tego kroku, boć dzieło musiało być gotowe już do druku. Powiadano, że dyplomacya wdała się w tę sprawę, i że poseł jednego z mocarstw powstał i na autora i na książkę, za wykład systematu rządu nieprzyjawnym piórem skreślony. Nie możemy sądzić czy to prawda: rzeczy takie, tajemnica nieprzezroczyta pokryła. Powiadają nawet, że egzemplarze tego wydania były wykupywane i tracone.

Wygotował drugie wydanie swojego dzieła książk Wyrwicz, i oddał je do druku w roku 1770, pod tytułem już *Geografii powszechnej czasów terażniejszych*. W przemowie wyznaje sam, że „dla poważnych materyj, które nie były stosowne do pospolitego używania jego księgi przez młodzież krajową, uczącą się w szkołach publicznych i po domach prywatnych, to pierwsze wydanie musiał przerobić, a prostszym i do pojęcia łatwiejszym ułożyć sposobem”. Drugie to wydanie całkiem jest już elementarne, całkiem dla młodzieży poświęcone. Czerpał najświeższe wiadomości z krajopisarzów i wędrowników, a rzeczy rozłożył porządkiem stosownie do wieku uczących się, tak, że przedmioty łatwiejsze przodkują trudniejszym. Nowe wydanie dedykował księciu kanclerzowi Michałowi Czartoryskiemu, przez wdzięczność, że chociaż zatrudniony obowiązkami wysokiego urzędu, brał żywy udział w edukacyi młodzieży, a Rzeczypospolitej i samym obywatelom łaskawą i skuteczną oświadczał uprzejmość, kiedy bywał w *Collegium Nobilium* jezuickim, i dawał rady i przestrogi pełne chęci przyjaznej.

Spory tom zajmuje to drugie wydanie. Objął w niem całą geografią kuli ziemskiej i opisanie Polski. Naturalnie, szczegóły o państwach nie są tutaj tak rozwinięte, jak w pierwszym wydaniu. Wszędzie prawie wyrzucił Wyrwicz materyą o rządzie; za to w każdym szczegółowie państwie napomyka nietylko o handlu, przemyśle, ale nawet o charakterze i skłonnościach opisywanych narodów. Opisuwi Polski najwięcej, bo 50 stronnic poświęcił. Przechodząc wszystkie części świata, był tyle skrupulatny, że nawet o krajach zagubionych, o Atlantydzie, o Thuli i Utopii i t. d. ciekawe, jak dla młodzieży, napisał wzmianki. Zamknął dzieło geografią astronomiczną i polityczną, gdzie też same rozbiera kwestye, co w pierwszym wydaniu. Geografia polityczna jest zbiorem rozpraw, które pokazują, że z Wyrwicza mógł być znakomity swojego czasu publicysta. Nic nie spuści z uwagi, wszystkiego się dotknie, wszystko natrąci; w jego głowie cały systemat, cały porządek. Kwestye rozbiera jak biegły znawca, jak niejeden ekonomista polityczny. Rozprawy o handlu Europy, o jej ludności i mocy, o wojsku ojczystym, do dziś dnia zawierają bardzo interesujące wiadomości. O ile Wyrwiczowi przedmiot pozwolił i zamiar, żeby wygotować elementarną księgę, o tyle znajdziemy tu wszystko ujęte w systemat i cyfry.

Naukę swoją dzieli na pytania i odpowiedzi, żeby geografia zupełnie miała szkolną postać. Opis Polski choć treściwy, stanowi je-

dnak wykończony i pełny obraz. To rys ze *Świata* Władysława Łubińskiego w skróceniu, to *Starożytna Polska* naszój chwili.

Pierwsze wydanie geografii było także dla uczonych. Obszerne noty i przypiski, w których widać było wielką naukę i wielkie szperania, z których przodkowie nasi czerpać mogli dokładne wiadomości w materyach politycznych, zapełniały to wydanie. *Geografia czasów terażniejszych* mogła zastąpić spólczesnym Wyrwicza całą bibliotekę; *Geografia powszechna* była księgą dla uczących się ściśle, księgą elementarną, i odpowiadała wybornie wymaganiom czasu i stanowi nauki w kraju. Nie ma już w niej dopisków, które częściami w text się wsunęły; a polityka i astronomia przeniesione na koniec, jako dopełnienie a nie początek nauki.

Powiadają także, że odpowiedź dworom zagranicznym, którą pisał Felix Łojko, była w znacznej części dziełem Wyrwicza. Trudno sądzić w téj mierze; wiemy jednak, że Łojko był uczonym człowiekiem, że zajmował się literaturą. Mógł mu Wyrwicz dostarczać treści i wątku, mógł go nie w jednej rzeczy objaśnić; ale nie miał znowu powodu pracy własnej udawać za cudzą.

W roku 1771 wydał także drugi tom: *Abrégé de l'histoire universelle*.

Te prace i zasługi Wyrwicza zjednały mu względy królewskie, jakieśmy już powiedzieli. Nidosyć na tém, że go Stanisław August zapraszał na czwartkowe obiady, ale w roku 1772 bił jeszcze dla niego medal wdzięczności. Na jednej stronie medalu był napis łaciński: *Carolus Wyrwicz, Rector Collegii Nobilium Varsaviensis Societatis Jesu*, i wyobrażenie uczonego; na drugiej stronie wyrazy: *Juventutis institutione scriptisque de Patria et literis bene merenti, Stanislaus Augustus Rex. MDCCLXXII*; co znaczyło:

„Wychowaniem młodzieży i pismami, wiele względem ojczyzny i nauk zasłużonemu, Stanisław August król. 1772.”

Nie król tylko, a publiczność, a Warszawa, przedstawicielka rzeczypospolitej w tym razie, oddawała sprawiedliwość uczoneму Jezuitcie. Lat kilkanaście rządząc konwiktem zakonu swego i przodkując młodzieży, zasłużył sobie Wyrwicz na wdzięczność i miłe wspomnienia. Znali to dobrze spólcześni mu panowie, i nigdy może konwikt Jezuitcki taką liczbą uczniów, co za niego, popisać się nie mógł. Zbiegała się pod jego opiekę młodzież chciwa nauki ze wszystkich stron Rplitej. Napływ był tak wielki, że nie było gdzie uczących się pomieścić. Skarzył się na niedogodność ksiądz Wyrwicz na zamku, jakby się przymawiając o łaski. Król Stanisław August wszedł w slu-

sżność żądań rektora, i chciał nowy gmach stawiać w okolicy Starego-Miasta dla collegium Wyrwicza, kiedy go nagle zaskoczyła bulla rzymska i rozproch zakonu. Budowa już nawet była zaczęta. Szacunek dla Wyrwicza wyraził się wtedy w niemój boleści tych, co go kochali, co w nim widzieli chlubę zakonu i pociechę narodu. Ostatni też Wyrwicz opuścił zakonne mury na Starém-Mieście, żeby się przenieść do niegdyś jezuickich murów, dziś nowego kościoła parafialnego św. Andrzeja. Lat kilkanaście przywodził młodzieży ku nauce, teraz miał przywozić duszom ku zbawieniu.

O zasługach Wyrwicza, jako proboszcza, jużśmy wspominali; w ciągu tych lat sześciu Młodziejowski który go poważał, ustąpił mu jeszcze opactwa hebdowskiego. Ten stopień wysoki w kościele; nadawał prawo Wyrwiczowi do wysokich dostojenstw, a nawet do wysokiej biskupiej godności. Ale nagle zmieniło się coś w naturze tego uczonego człowieka.

Czy obowiązki parafialne odciągały go od prac literackich, czy też zrobiła to tęsknota po zgasłym zakonie, czy inne jakie okoliczności, których pobudek nie znamy, a które odgadnąć sililibyśmy się na-próżno: dosyć, że Wyrwicz pokazywał jakiś przymus, jakąś niechęć do swojego obecnego położenia, do stanu, którego był ozdobą. Być może, przewidywał dla siebie los świetniejszy w łasce króla, w obietnicach magnatów; dosyć, że postanowił złożyć probostwo św. Andrzeja w inne ręce, a sam oczekiwać okoliczności i chwili.

20 marca 1780 r. po ciężkiej 9tygodniowej chorobie umarł ksiądz Młodziejowski, założyciel parafii, wypowiedany na śmierć przez Grodzickiego, wikaryusza św. Andrzeja. Na świetnym pogrzebie, który wystawnością przechodził wszystko, co od dawnego czasu widziała Warszawa, celebrowało pięciu biskupów i sam papieżki nuncyusz. Ostatniego dnia u fary, nad ciałem, powiedział Wyrwicz kazanie (1 kwietnia). Był w kościele cały świat wielki stolicy: senatorowie, dygnitarze, król z dworem. Wdzięczność na ambonę pociągnęła Wyrwicza: z Młodziejowskiego łaski miał Hebdów. Powiadają, że wrzucił obecnych. Starszy od biskupa, spodziewał się go poprzedzić na świat wieczny; mówił też ze łzami, a rozrzewnił wszystkich, kiedy wyliczywszy zasługi zmarłego, żegnał senat jego imieniem, króla i ministrów, Okęckiego następcę na biskupstwo, owczarnią, szlachtę, krewnych i przyjaciół, i sługi, i wrogów, jeżeli są jacy, mówił Wyrwicz. My nie wierzym tej wymowie. Pożegnanie nad grobem ma zawsze coś czulego, coś natchnionego, coś nie z tego świata. Samo pożegnanie wrzusa. Wrzucił też Wyrwicz

postacią swoją i głosem, ale wiele wagi mu przydała i cisza uroczysta w kościele, i massy ludu i grono świeckich wielkości. Sami chwalcy Wyrwicza, np. Dmochowski (1) powiadając o jego nauce, mówią, że niezawsze, a nawet bardzo rzadko łączy się z nią talent pięknego pisania. My zaprzeczym twierdzeniu: bo są talenta znakomite, obdarzone wysoką nauką, a mają zdolność. Ale nie zaprzeczym podaniom chwaleców, odnosząc ich myśli do Wyrwicza. Nadęty, sadził się na wyrazy ksiądz proboszcz od św. Andrzeja; chciał mówić ozdobnie, i kuł peryody ciężkie i niesmaczne: chciał być jasnym, a był niezrozumiałym tylko. Przesadę widać nawet w każdym prostym zdaniu. Wyrwicz kiedy pisał swoje mowę, tak był widać głęboko przekonany, że musi mówić ozdobnie, że umyślnie wysilał dowcip i całą potęgę swojej wyobraźni; nie szło mu o prostotę wystąpienia, a o efekt. Ale właśnie efektu nie zrobił przesadą i dziwactwem. Nigdy on stylu nie miał, nigdy pod jego piórem język nie był giętkim, malowniczym i silnym; ale w kazaniu o którym mówimy, język ten był straszny. Píše jasno, chociaż bez wdzięków, kiedy uczy; sypie wyrazy, spaja je sam nie wie jak i po co, kiedy chce wzruszyć i rozkliwić.

13 kwietnia sprawił Wyrwicz Młodziejowskiemu exekwie w swoim kościele, a w niespełna trzy tygodnie potem, dnia 30 kwietnia w ręce Grodzickiego złożył probostwo.

Może nowe widoki wpłynęły wiele na to postanowienie. Po śmierci Młodziejowskiego wakowała pieczęć wielka koronna, którą otrzymał Borch podkanclerzy. Według prawa, rada nieustająca przedstawiła królowi trzech kandydatów do pieczęci mniejszej. Wszyscy trzej podani byli z duchowieństwa, bo pieczęcie alternatą chodziły: jedna zostawała w rękach świeckiego, druga w rękach biskupa. Ale zawiodły Wyrwicza nadzieje: ksiądz Okęcki, nowy biskup poznański, kiedyś koadjutor Młodziejowskiego, został podkanclerzym koronnym. Kiedy w pół roku potem umarł Borch i Okęcki dostał pieczęć wielką, Wyrwicz nie miał prawa na mniejszą; bo ją wtedy musiał otrzymać świecki, i dostał ją Jacek Małachowski. Okęcki niezawodnie tytułem swoim biskupim uprzedził Wyrwicza, bo położony wyżej w kościele, miał pierwszeństwo przed opatem hebdowskim. Ale z drugiej strony, Okęcki był już senatorem i znacznym dostojni-

(1) Dmochowski napisał życie Wyrwicza, które wydrukowane jest w pismach jego poetycznych, wydanych w r. 1826 w Warszawie. Ale Dmochowski pisał jak chwaleca, i nie widział błędów Wyrwicza. Myślny nasz życiorys ułożyli na zasadzie gazet ówczesnych i wspomnień o uczonej rektorze, rozrzucanych po książkach z epoki Stanisława Augusta.

kiem w Rplitej, i nie było wcale potrzeby po godności jednej kłaść drugi na niego wysoki urząd. Wyrwicz może powinien był wtedy narzekać na niepamięć króla, chociaż i wybór Okeckiego był powszechnie chwalony dla cnót biskupich i charakteru nowego kanclerza.

Spokojny, sam jeden teraz, bez zajęcia, oddał się Wyrwicz pracy naukowej. Publicznie już nie występował, bo czuł, że zakończył swój zawód. Raz tylko jeszcze tegoż samego 1780 r. dnia 2 października, przy otwarciu sejmu walnego miał kazanie u św. Jana. Mówił o prawie i celu władzy sejmowej. Nie możemy przenieść na siebie, żeby choć krótkiego ustępu nie przytoczyć. Ten właśnie wyjątek objaśni nam naturę krasomówczych zdolności Wyrwicza. Kaznodzieja tak zaczął:

„Jako stworzenia ogólnosc z przepaścistych niczego wszechmocną Boską ręką wyprowadzona w czasie tajemników, początek swój do mocy twórczej odnosząc, koniecznie byt oniej od istoty nadwiecznej niedzielny stanowi, i tym jedynym wywodem, uważnie i bez uprzedzenia rozebrany, w najuporniejszym rozumy niedowiarstwie zacięta do uznania jestestwa nadprzyrodzonego nakłania; tak w przedziwnym rzeczy przyrodzonych szyku i układzie, mądrość Boska niepojęta się wydaje, a zamiar stworzenia naznaczony, miłość Stworzyciela chętną do czynienia dobrze narodowi ludzkiemu oznacza”.

Taka wymowa nie mogła zapewne wzruszać, choćby i na pogrzebie Młodziejowskiego. A jednak obadwa kazania, i pogrzebowe i sejmowe, oddał Wyrwicz do druku. Kazanie na exekwiach kanclerza i biskupa wyszło nawet w Warszawie w niemieckim tłumaczeniu, nie jako arcydzieło wymowy, a pewnie jako broszura zajmująca szczegóły o życiu Młodziejowskiego dla ciekawych Niemców. Kazanie sejmowe drukował Gröll zaraz w październiku 1780 r.

Dzień więc i noc trawił Wyrwicz na pracy naukowej. Przypomniało mu się wtenczas dawne przedsięwzięcie, żeby wespółce z innymi wypracować dzieło naukowo-histeryczne. Rozpoczął właśnie wtenczas spór literacki ze Świtkowskim redaktorem Pamiętnika historycznego i politycznego. Spór ten ciekawy obchodzić ma prawo badaczów literackiej przeszłości naszej, i znajdzie się ktoś zapewne, co wejrzy kiedyś bliżej w tę sprawę i opowie nam, jak się rzecz miała. My tylko powiemy, że Wyrwicz gniewał się na masę błędów, które w publiczności pismem swoim rozrzucił niby uczony Świtkowski. Pragnąc zatem powiedzieć mu prawdę i wysmiać zrozumia-

łość; Wyrwicz^o drukował raz po raz: *Pamiętnikowi historycznemu i politycznemu promemoria*. Trzy części wyszły tych promemoriów: w pierwszej roku 1783, wytknął błędy Switkowskiego względem geografii, w innych częściach inne znajdował i odsłaniał błędy. Część trzecia promemoriów dawno oczekiwana, wyszła dopiero w r. 1786, w styczniu u Grölla, i zawierała arkuszy druku 25 i pół, sprzedawała się zaś po złp. półczwarta, kiedy część pierwsza mniejsza znacznie, kosztowała tylko półtora złotego. Treść trzeciej części, którą wyłożył w przedmowie, drukował Gröll osobno i rozdawał *gratis* przy *Gazecie Warszawskiej*. *Promemoria* z czasem przybrało ton za ostry i zbyt karcący; zaczęła już nie tylko Switkowskiego *Pamiętnik historyczny*, ale i inne jego pisma. Zład Wyrwicz nieraz z księdzem Łuski^{na} układali przedmioty do sporów, bo Łuski^{na} ex-Jezuita nie mógł znieść żadnego pisma periodycznego, obok swojej *Gazety Warszawskiej*. Sam chciał mieć monopol na *Warszawian*, a starąm duchem owiany, wierząc w swoją wielkość i naukę, niechętnie spoglądał na usiłowania Switkowskiego, który mógł mieć swoje błędy, niedoświadczenie, mógł nawet nie przeniknąć zupełnie w tajemnice nauki; ale przecież miał wielkie swoje zasługi, bo należał do ludzi nowszej już epoki, której Wyrwicz i Łuski^{na} nie pojmowali. Pracami swojemi, a zwłaszcza tym tak okrzyczanym *Pamiętnikiem*, Switkowski budził niezawodnie umysłowe życie i wpływał znakomicie na społeczność.

Z historii powszechnej, którą miał wydać nasz uczyony Jezuita, Wyrwicz wziął najprzód dzieje Izraela. Do tego użył już przed kilkunastu laty wydanego przez siebie *Abrégé*. Przejrzał na nowo swoje dziełko francuzkie, poprawił co potrzebowało poprawy, rozszerzył i ogłosił po 6 złp. prenumeratę na dwa tomiki. Prenumeratę składać można było na ręce różnosiciela *Gazety Warszawskiej* i u prefekta nadwornej drukarni pojezuickiej. Ogłosił prospekt w październiku 1786 r., a w sierpniu 1787 r. okazał się w druku tom I, „*Historji ludu Bożego i narodów starożytnych krótko zebranej*”. Na druk łożył Stanisław Szymański. Miało być początek dziejów o monarchiach dawnych; ale skończyło się na tej pierwszej części. Miał wprawdzie Wyrwicz bogate zbiory przygotowane do druku, ale te częścią u współpracowników zaległy, częścią zginęły u samego autora. Nadchodził właśnie czas sejmu wielkiego, a obudzona czynność literacka, rzuciła się więcéj do kwestyj żywotnych, politycznych, jak do badań historycznych, do wspomnień o narodach dawnych. Nam się zdaje, że ten był powód, co wstrzymał Wyrwicza od dalszego

drukowania dzieła, któreby może mu najwięcej sławy i literackiego imienia przyniosło.

Że zajmował się wciąż pracą, i pracą ważną, świadkiem jest współczesny tłumacz *Illiady*, autor *Sztuki Rymotwórczej*. Zarzucony był podobno Wyrwicz rękopismami, których nawet nie znamy imienia, a o których ważności sądzić możemy z powieści Dmochowskiego. Miał podług niego nasz rektor ukończone już pismo, pod tytułem „*Liga Kambryjska*”, w której malował zdobycze Francuzów we Włoszech, i głęboką politykę rządu weneckiego. Miał drugie, pod tytułem „*Konfederacja Gołębiowska*”, w którym przedstawiał króla Michała Korybuta, jego zdolności i politykę w zupełnie innym świetle, jak dotychczas pojmowano. Nie możemy odżalować tych monografij, straconych już dla nas. Dzieło historyczne, które o powszechnych dziejach opowiada, zawsze ma postać i wejrzenie elementarne, jeżeli na trzech, czterech tomach się kończy; zawsze uczy tylko, a nie stanowi obrazu wykończonego, jakiegoś całości. Monografia każda jest już pracą uczoną, ciekawą, piękną, za którą każdy weźmie się najprzód, żeby się z niej czegoś dowiedzieć i znaleźć fakt jakiś do dziejów ogólnych. Monografią właściwie nasz wiek stworzył. Dzisiaj nie obejmujemy już całości dziejów, a bierzemy miasto, prowincyę, ród jeden, kościół, jedną stronę życia, i piszemy tego wszystkiego dzieje. Na monografią choruje nasze stulecie. I dlatego serdecznie żałujemy tej pracy Wyrwicza. Może nie odpowiedziałaby już nadziejom naszym, oczekiwaniom; aleby zawsze miała swoje wartość, z bogaciłaby ubogą literaturę naszą historyczną, możeby innym wskazała przykład do naśladowania.

Co się tyczy króla Michała Korybuta, przyznajemy się, że sympatya wielką obudził w nas Wyrwicz. I myśmy dawno rozpatrując dzieje księcia Wiszniowieckiego na tronie, znaleźli z dokumentów starych, z kronik drukowanych i ze wspomnień o nim napotykanym, że to był król, co miał wszelkie przymioty na zdolnego rządcę potrzebne. W niczem nie ubliżył Korybut sławie znakomitego ojca swojego Jeremiasza. Młode księżę wzięła na swój dwór królowa Marya Ludwika, a umierając powiedziała: że Michał najzdolniejszy do panowania w Polsce. Tego świadectwa nigdy nam pomijać nie potrzeba. Że panowanie Korybuta przeszło w burzach i niechęciach, na to innych potrzeba szukać przyczyn, a nie obwiniać mniemanej niezdolności Michała. Panowanie jego zaburzyli niechętni mu możnowładcy, bo zapomnieli, że Michał pochodził z rodu, któryby rodziny i największych możnowładców zagasił. Prażmowski i Sobieski byli winni,

nie Wiszniowiecki; w Polsce najłatwiejszym sposobem aby się tylko było szlachcicem, można było zostać i rodem możliwym. Jeżeli zdolność miał do intryg jaki pan wojewoda, który urosł nie z chleba, nie z soli, ale z tego co boli, jak powiadał człowiek bez zarzutu hetman Stefan Czarniecki; nie było mu wcale trudno wlecieć pomiędzy rody uprzywilejowane. Sobieski był właśnie takim możnowładcą. Gniewał się na Michała, że młodszy od niego, że bez zasług, że bez tytułów, bez stopnia w narodzie; pamiętał tylko na jego obecne ubóstwo i nędzę, a zapomniał, że to był Wiszniowieckich potomek, któryby mógł utrzymać na swoim dworze stu Sobieskich i podobnej jemu szlachty. Co zdolność poradzi, przeciw intrydze i zawiści?

Praca Wyrwicza o konfederacji Gołębiowskiej, chociaż nie doszła nas, daje autorowi prawo do naszego szacunku: bo widać, że nie szedł owczym pędem za innymi, a miał swój własny rozum, własny sposób widzenia rzeczy, i wznosił się nad przesady, na które jeszcze i wiek nasz, skutkiem braku krytyki historycznej, choruje.

Zebrałiśmy wszystko, cośmy tylko wiedzieli o Wyrwicza piśmactwie. Może szereg monografii miał się ciągnąć długo, bo jak powiadamy, wiele miał papierów, notat, rozpraw, wypisów, uczony ex-Jezuita. Król i panowie polscy, co o tych pracach wiedzieli, mieli na druk łożyć. Żałujemy raz jeszcze, że o tém wszystkiém wiemy tak mało. A teraz trzeba nam przyjrzyć się życiu tego pracowitego człowieka aż do chwil ostatnich, i raz przecie o Wyrwiczu skończyć.

Między króla i przyjaciół podzielony, był proboszcz śgo Andrzeja już teraz nie tylko skupował książki, ale zaczął robić i pieniądze. Miał ich zapas niemały, bo okoliczności były mu bardzo na rękę w ciągu całego życia. Czy nauczyciel w domu Hylzenów, czy rektor jezuickiego kolegium, czy proboszcz śgo Andrzeja, czy przyjaciel króla Poniatowskiego, czy opat hebdowski, czy wreszcie autor wstawiony, Wyrwicz znalazł wszędzie sposobność powiększać zbiory i majątek. Puścił się na banki. Za granicą kupował papiery, lokował summy, zbierał procenta. Miał też samą słabość i jego przyjaciel ksiądz Łuskiński, wydawca Gazety Warszawskiej. Obadwaj Jezuiti, kochali się bardzo. Dwaj rozbitki wielkiego zgromadzenia, obaj zostali w Warszawie i pocieszali się nawzajem. Z Gazety miał i Łuskiński ogromne dochody, bo posiadał na nie wyłączny przywilej, i prawem dochodził pisem, co chociaż literackie, podsuwały się cokolwiek pod politykę. Obadwaj naradzali się wspólnie i rozprawiali o swoich kapitałach. Ale ludzie uczeni, nie byli praktycznymi ludźmi, i na naukę finansów niebardzo się znali; zbiory ich rozproszyły się,

korzystała z nich zła wiara, i ogromne fundusze zebrane trudem i pracą, zmarniały i za granicą i po krajowych bankach. Skarżył się raz Wyrwicz opowiadając o swoim nieszczęściu i wielkich stratach przed Łuskina. Łuskina więcj filozof, odpowiedział wesoło: „Nie troszczmy się o to, niechaj się nasi dziedzice niepokoją o swoje skarby: bo ich to był, nie nasz majątek”. Widoczne było, że już starość na obudwu przyjaciół działała, kiedy zbierali nie dla siebie, a tak dlatego, żeby mieć pieniądze. Łuskina wtedy i ksiądz Reptowski składowali towarzystwo domowe opata hebdowskiego.

Jednakże musiał się znać Wyrwicz na ekonomice i na sztuce robienia pieniędzy, powiększania dochodów z dóbr ziemskich, kiedy się w tym względzie wiele osób uciekało do niego po radę. Powiadają, że w wielu miejscach Polski i Litwy, zaprowadził opat hebdowski światłą ekonomikę, która nie pozorne, ale gruntowne korzyści przynosiła. Opinia nawet o jego zdolnościach gospodarczych tak była upowszechnioną, że przypisywano mu nawet dzieła pisane o gospodarstwie, które jednak Albertrandi w r. 1770 drukował. Że był porządnym przecież i przezornym człowiekiem, dowód stawi kolegium jezuickie, które z długów oczyścił. Umiał zatem obchodzić się z pieniędzmi; cudze ratował, ale własne stracił. Winować mógł los o stratę, ale nigdy siebie.

Od króla miał także zlecenia i gościł ciągle na zamku. W nagrodę, w roku 1783 dostał krzyż śgo Stanisława, a w roku 1784 razem z Okęckim i Naruszewiczem zasiadał w imieniu króla w lipcu na examinach szkół wydziałowych akademickich w Warszawie. W roku 1786 utracił jedyne go ucznia, do którego czuł przywiązanie ojca, bo w Rzymie dnia 31 sierpnia t. r. umarł w lat pięćdziesiąt życia Józef Hylzen, teraz już wojewoda mściłowski. Uczuwszy bardzo tę stratę, Wyrwicz tém mocniej przywiązał się do dworu. Łagodny i nieopryskliwy, przyjmował żarty i śmiechy nawet z siebie strojone. Znajoma jest powszechnie anegdota, przy stole królewskim, kiedy odkorkowując butelkę, ktoś zrobił uwagę, że niema wyrazu polskiego na oznaczenie trybuszona. Wszyscy dobierali słów i wyrazów, żeby trybuszon wytłumaczyć, a Naruszewicz wyrwał się: „Najwłaściwiej będzie Wyrwicz podobno” wśród głośniego śmiechu obecnych. Ksiądz opat hebdowski nie rozgniewał się, a śmiał się równie z innymi i równie jak tamci serdecznie.

Ale w czasie sejmu wielkiego znikł nagle Wyrwicz. Wtenczas, w tej epoce nadziei zbudzonych, kto żył, to drukował, i pisał jak umiał i co umiał: jeden głos Wyrwicza zamilkł i zamilkł na zawsze.

Dlaczego życie tamtej chwili nie wyciągnęło go z głębokiego zamyślenia? trudno zgadnąć. To tylko pewne, bo widoczne, że w tym czasie nowe pokolenie żyło nadzieją i radością, a ludzie serca starego, ludzie jasno widzący rzeczy, a jednak przytém i prawdziwi obywatele kraju, jak np. Krasicki, Naruszewicz, również zamilkli. Cała ta epoka sejmu wielkiego jakby z nóg ich ścięła. Naruszewicz np. nie wierzył zupełnie królowi i usunął się ze stolicy; Krasicki pisał nowy satyryczny, pełen żółci poemat; zapomniany starzec, Wyrwicz, złożył wtedy i swoje opactwo hebdowskie, całkiem obierając sobie na przyszłość samotne życie. Hebdów dostał się w ręce księdza Pokubiatty, potem posła rzeczypospolitej w Wiedniu. A Wyrwicz oddaliwszy się na ustronie, sprzedał nawet swoje książki na niewiele lat przed śmiercią generałowi Działyńskiemu; porzucił nawet chęć alubioną do pracy, która mu dotąd rozrywką była i weselem. Mieszkał wprawdzie w Warszawie, ale już go wtenczas w stolicy czujne oko miłośnika wspomnień nigdzie nie dostrzeże, bo się ukrył jak na dnie morza, i żył tylko ze swojemi myślami i ze swojemi przyjaciółmi. Zdaje się nawet, że przestał bywać i na dworze.

W takim osamotnieniu, śmierć go nagle zaskoczyła. Mieszkał wtedy nie w parafii św. Andrzeja, ale w sąsiedztwie. Cierpiał na astmę, i gwałtowny napad choroby razu pewnego śmierć mu natychmiastową zapowiedział; posłał czémprędzej po księdza do parafii św. Andrzeja, jakby się chciał pożegnać z dawną owczarnią. Ksiądz przybiegł, ale gwałtowna astma spadła na piersi, i posłannik Boga miłosierdzia, nie zastał już przy życiu uczonego Wyrwicza. Umarł w Warszawie dnia 6 czerwca 1793 r. Miał lat 76 (1).

Księdza Reptowskiego scholastyka kolegiaty św. Jana wyznaczył exekutorem swojego testamentu. Później już w lat dziesięć, Józef Maksymilian Ossoliński chciał Wyrwiczowi wystawić pomnik za długoletnie prace, i chciał opisać życie jego literackie. O szczegóły biografii z Wiednia do Warszawy pisał do Reptowskiego, ale skończyło się na niczem.

Wyrwicz nie był rzeczywistym proboszczem, bo kiedy złożył urząd parafialny, erekcyi parafii jeszcze nie było. Był komendarzem, miał jedynie *curam animarum* w swojej stolicy; powagą jednak biskupią, nie kanonicznym obrzędem był zawsze proboszczem św. Andrzeja (*praepositus*).

Za Grodzickiego czasów, wydał następcą Młodziejewskiego, Okęcki, właściwą erekcyą kościoła.

(1) Akta zejścia św. Andrzeja.

Urodził się Grodzicki w rok po Wyrwiczu, d. 21 Grudnia 1718 r. w województwie brzesko-litewskim, z rodziców ubogiej szlachty; w szesnastym roku życia przyjął już jezuicką sukienkę. Właśnie w czasie bezkrólewia po Augustcie Mocnym 1734, wykonawszy professyą i zakonne śluby przybył do Warszawy i dał się poznać stolicy przez pracę gorliwą i pobożność.

Niez mordowany na missyach i w opowiadaniu słowa Bożego, niczego się nie lenił, a podejmował się pracy, która przechodziłaby się innemu, a jego cieszyła owocem zabiegów i tylu starań. Niedługo znała go cała stolica Polski, a magnaci go polubili i rwali po domach swoich, jak drogi kamień z rąk do rąk. Brali go dó siebie na spowiednika, kapelana, doradcę, przyjaciela. Miączyńska wojewodzina podlaska pierwsza otworzyła mu serce swoje i sumienie (około 1751); odtąd lat kilkadziesiąt był jej opiekunem, stróżem. Dwadzieścia lat strawił na pracy mozolnej; uczył się jak ma być dozorcą moralności, ojcem swoich owieczek: został nareszcie rektorem kollegium św. Krzyża. Pod Wyrwiczem sprawiał obowiązki pierwszego wikaryusza; zakonnikiem był lat 39, nareszcie od 1go maja został drugim proboszczem św. Andrzeja w roku życia 62. Odtąd lat 22 przewodził parafii, a był jej wzorem żywej pobożności, był jej cnoty przykładem.

Grodzicki na śmierć dysponował Młodziejowskiego, i miał nad ciałem jego przemowę, przy exportacyi z pałacu na Miodowej ulicy do św. Jana. Zmarły biskup ocenił cnotę byłego zakonnika jeszcze za swojego życia; Grodzicki zawsze był jego spowiednikiem. Później Grodzickiego wołał idąc na śmierć Jacek Ogrodzki sekretarz W. K.; używała Miączyńska wojewodzina, Łącki kasztelan sandomierski, zmarły w pałacu Jabłonowskich na Senatorskiej ulicy. Może byśmy nawet nie wyliczyli tych prac Grodzickiego, do których był używany przez konających, a które pokazywały miłość i szacunek, jakimi dla siebie wszystkich natchnąć potrafił. Nie zapomniał też dobrodziejstw i czcił pamięć ludzi, co go kochali. Co rok w datę śmierci Młodziejowskiego, wyprawiał za niego u św. Andrzeja nabożeństwo żałobne, i codziennie za dobroczyńców swoich modlił się. Z Reptowskim wspólnie śmierć Młodziejowskiego oplakiwali. To znowu, kiedy rzadszej uroczystości familijnej, np. ślubu złotego, dożyło dwoje małżouków starych, nie kto inny, tylko Grodzicki musiał ich błogosławić na dalszą podróż na ziemi. Tak (w r. 1780, 10 września) wiązał ręce i przemawiał czułemi wyrazami do Władysława na Koprkach Manowskiego i Brygidy z Rochalów Szopskiej. Nie u siebie nawet, nie

u św. Andrzeja, ale w innych kościołach śluby dawał prozony przez państwo młodych. Franciszka Wojnę z Teresą Czaplíčówną połączył u Sakramentek (w roku 1781 w lipcu); a ślubów innych nie zliczył.

Jak nie miał być znajomy, popularny w Warszawie ksiądz Grodzicki, kiedy w stolicy całe strawił prawie życie swoje, lat sześćdziesiąt przeszło, kiedy był wszędzie? To téż Grodzickiego i każde dziecko znało w Warszawie, słyszało o nim, wiedziało do niego drogę. Był to w swoim czasie może człowiek jedyny; i jak cien przy obrazie, tak on nieodbitie się płacze okolo wspomnień Warszawy, z czasów zwłaszcza ostatnich Stanisława Augusta. Był to człowiek, którego obraz nawija się myśli wszędzie, kiedy tylko po niedawnej przeszłości naszego miasta umysł zechce pobujać.

Ale najważniejszym czynem za czasów Grodzickiego, który epokę jego uświetnił w dziejach Warszawy, jest erekcyja kościoła św. Andrzeja, przez Okęckiego wydana. Ksiądz Reptowski i Grodzicki to dzieło przyprowadzili do skutku. Właśnie rozwijając zaczęte przez Wyrwicza i Młodziejowskiego prace, Grodzicki wybudował kamienicę z lewej strony kościoła, czyli przyszłej jego façady. Bo w głowie zacnego ex-zakonnika zasiała myśl, że kościół stanąć musi, żeby się nie naprzykrzać Reformatom; już nawet w tym celu Grodzicki poprowadził na gruncie linie, jak miała iść nowa budowla. Dla wymurowania kamienicy znaleźli fundusze z własnej oszczędności i w składkach pobożnych Warszawian. Myślał zatém, że jeżeli nie znajdzie dobroczyńcy, składką nową kościół Panu wybuduje; a miał przed sobą Boduena przykład.

Zadosyć czyniąc gorliwości Grodzickiego, w chęci uspokojenia wreszcie téj sprawy, biskup Okęcki na dniu 6 grudnia 1782 r. wydał w lat ośm po założeniu parafii erekcyją dla św. Andrzeja. Przytoczymy w treści dokument ten ważny dla dziejów Warszawy.

Okęcki w akcie erekcyi opisywał wprzód starania Młodziejowskiego okolo założenia parafii, starania, których owocu widzielić zmarłemu biskupowi śmierć przeszkodziła. Sam zaś przywołując myśl do skutku, w r. 1781 dnia 24 marca zawarł ugodę ostateczną w téj mierze, i na jój mocy nadawał erekcyją. Na fundusz dla proboszcza, budowy przyszłe i utrzymanie trzech wikaryuszów, przeznaczał wieś Łązniewo z prawami, jakie służyły Jezuitom. Na mieszkanie dla proboszcza i wikarych służył klasztor pojezuicki; prócz tego, do uposażenia parafii należała nowa kamienica, którą co tylko wybudował Grodzicki, i place: jeden mały po lewej stronie kościoła ku téjże

kamienicy, szeroki na łokci 21, a długi na 25, i drugi po stronie prawej, mający stajnię, szeroki jak tamten, a długi na 27 łokci. Do tego należał mały pałacyk pomiędzy placem a ogrodem, ogród dosyć obszerny i oficyna murowana, zbudowana z tyłu kościoła; na placu większym była jeszcze jedna oficyna świeżo postawiona w r. 1780 po spaleniu się, a dalej szły wozownie.

Proboszczem po rezygnacyi Wyrwicza stanowił Okęcki Grodzickiego, odebrawszy od niego wyznanie wiary; przytaczamy kilka wyrazów erekcyi, które nam wskażą, jakie miał zachowanie zacny proboszcz u władzy swojej dycecezyalnej:

„Nie bez rozkoszy zaś umysłu naszego widzimy”, słowa są wspomnionój erekcyi, „że tenże czcigodny kapłan, Tomasz Grodzicki, nie tylko w popieraniu czci Bożej i w posługach parafialnych, i w staraniu się o ozdobę świątyni Pańskiej pokazuje się zawsze przykładem i wzorem; ale jeszcze i w powiększaniu nawet doczesnych korzyści, jak to widać z kamienicy, którą zbudował... co właśnie powinno coraz więcej zachęcać duchowieństwo tego kościoła do pełnienia z pilnością wszelkich obowiązków na nie włożonych”.

Do pomocy proboszczowi chce Okęcki, żeby zawsze, jak i przed erekcyą, było trzech wikaryuszów parafialnych, i stanowi, że ciż mają wciąż mieszkać przy kościele. Jeden z nich przynajmniej musi dobrze umieć po niemiecku, bo wielu katolików tego narodu mieszka w parafii św. Andrzeja. Ta okoliczność objaśnia nam może i samę tajemnicę ustanowienia parafii. Dotąd Niemcy rozproszeni po Warszawie, nie mieli ogniska, do którego by się zbierali przy nabożeństwie. Kościół św. Benona odpowiadał tylko w części ich potrzebom. Zdaje się więc, że św. Andrzej miał to przeznaczenie: brak dopełnić, niedostatek zastąpić. Musiały zatem bywać tutaj kazania niemieckie, i czasami nawet niemieckie nabożeństwo. Wikaryusze mieli podług erekcyi podlegać władzy proboszcza, który sam ich wybierał, ale za potwierdzeniem biskupów poznańskich albo konsystorza warszawskiego. Proboszcz też oddawał wikarych, jednakże znowu za potwierdzeniem władzy, ale bez żadnego prawnego procesu. Zastrzegł jednak Okęcki, że jeżeli potrzeby wiernych w parafii wymagać tego będą, a dochody kościoła pozwolą na utrzymanie większej jeszcze liczby wikaryuszów, proboszcz będzie miał powinność przyjąć jeszcze czwartego księdza.

Zatwierdzał następnie biskup nowy tytuł kościoła, i przytaczał sprawiedliwe powody tego kroku. Odtąd zapewne i wyobrażenie św. Andrzeja, umieszczono nad dawnym obrazem w wielkim ołtarzu.

Oznaczał dalej Okęcki ścisłe i ostatecznie granice parafii. Zaczęwszy od lewej strony kościoła z ulicy Senatorskiej, linia graniczna szła ku Daniłowiczowskiej ulicy, i przez nią obok biblioteki Załuskich, dalej wychodziła na Bielańską obok Mennicy, dawnego pałacyku Poniatowskich, które do parafii nie należały; szła po brzegu lewym ulicy Bielańskiej aż do Długiej wprost zbrojowni, i odtąd na Nowolipie, zawsze po lewej stronie, przez całe Leszno aż do granic parafii wolskiej. Z drugiej strony zacząwszy od Marywilu, linia graniczna szła do kościoła Reformatów przez całą Senatorską ulicę po obudwu stronach, przez Żabią, Graniczną i Grzybowską z prawej strony, znowu aż do parafii wolskiej. Dla lepszego oznaczenia parafii, mapę umieszczono przy akcie erekcyi z wymienieniem ulic i pałaców, które teraz do kościoła św. Andrzeja należały. Widzimy z tego opisanie, że kościół stał na samych granicach, na samym cyplu ogromnego obszaru miasta, i że takim sposobem niewygoda nie w zupełności dla katolików usunięta została. Niby przez wzgląd wielkiej rozległości parafii św. Jana, rozbito ją na dwie połowy, a teraz w tej drugiej rozbitej połowie, wikaryusze mieli także ogromny kawał do chodzenia i biegania, jeżeli np. chory wzywał, gdyż św. Andrzej był nie w środku, a na kraju parafii.

Stanowiła dalej erekcyja przepisy finansowe kościoła; proboszcz miał wyłączne prawo do pobierania dochodów, a bez jego wiedzy wikaryusze nie mogli się mieszać do tego; dawał im mieszkanie, i płacił rocznie po 800 złp. pensyi, tojest 400 na stół a 400 na inne potrzeby. Stół powinien być wspólny, a w takim razie proboszcz te 400 złp. zatrzymywał u siebie, i płacił wikaryuszom wtedy, kiedy ustawała wspólność; czego, że sobie nie życzył biskup, widać z erekcyi. Nie wszyscy księża przy kościele św. Andrzeja obowiązani byli do miewania kazań do ludu. Erekcyja więc stanowiła, że ci dwaj z czterech, rachując w to i proboszcza, którzy się tego podejmą, żeby po kolei co drugie święto i w niedzielę mówić z amfony, mają pobierać rocznie jeszcze po 500 złp. bez względu na ciężki czas i okoliczności, jakieby wypadły. Reszta dochodów należała świętym prawem do proboszcza: na jego utrzymanie, na budowę, na zachowanie wioski, fabrykę kościoła, ciężary publiczne, i inne jakiegokolwiek wydatki.

Co się zaś dochodów styły tyczyło (*accidentia stolne*), erekcyja chciała, żeby wszystkie z tych wpływów pieniądze, wkładały się do skrzynki zamkniętej na dwa klucze; z tych jeden u proboszcza, a drugi u starszego wikaryusza. Co kwartał następował obrachunek w obecności wszystkich księży od św. Andrzeja. Najprzód proboszcz

odkładał z tych wpływów pensją dla organisty, zakrystyana i dwóch dziadów przy kościele, potem osobno potrzącał koszta na światło, na olej, na lampę co gorzała przed Najświętszym Sakramentem, na pranie rzeczy i bielizny kościelnej i naprawę ich, a resztę dzielił na trzy części: jedną brał sobie, a dwie zarówno pomiędzy wikarych dzielił. Pieniądze na msze składane były w zakrystyi, i wikary tygodniowy regularnie wpływy ztąd zapisywał do księgi, dla łatwiejszego obrachowania się. Piędziemi temi stosownie do swojej woli proboszcz rozporządzał, ale podług roztropności i sumienia, tojest: dzielił je na wikaryuszów, a jeżeli ci wydołać nie mogli, zapraszał innych księży do kościoła dla wygody parafii, i płacił im za msze zakupione; każda msza odprawiona miała się zaraz zanotować w księdze wpływów, dla porządku i lepszego porozumienia się.

Naznaczał także Okęcki proboszczowi za powinność, żeby utrzymywał swoim kosztem szkołkę parafialną, w której dzieci uczyły się mogły wiary, czytać, pisać i początków liczenia bez żadnych opłat. Pensją dla rektora sam proboszcz określał.

Prawo prezenty dla probostwa wydzielono na wieczne czasy dla biskupów poznańskich, jako miejscowych (Loci ordinarii).

Następowały zobowiązania i warunki: bo beneficium, mówił Okęcki, daje się za coś (*beneficium datur propter officium*); biskup zatem następny porządek nabożeństwa zaprowadził w kościele św. Andrzeja. Co niedziela i święto o 6tej rano, miała się odprawiać msza czytana, potem godziny poranne; potem akty cnót teologicznych wiary, nadziei i miłości miał kapłan razem z ludem odmówić przed ołtarzem jasnym i wyraźnym głosem; następnie śpiewać się miały hymny. O 8mej druga msza, o 9tej trzecia, obiedwie czytane. O 10tej pokropienie wodą i msza śpiewana dla parafian, a w czasie jej kazanie, albo katechizm większy z ambony. Przepisy te obowiązywały tylko księży miejscowych, bo obcy kapłani przychodzący do kościoła, mogli zawsze kiedy chcieli ze mszą wychodzić. Po południu o 2giej dzwon zwoływał pobożnych, a wpół do 3ciej zaczynały się śpiewy świętych hymnów, a potem katechizm przez tygodniowego wikaryusza dla ludu ciemnego. Następowały nieszpory. W dni inne nieświęteczne o 6tej rano prymarya, potem miał ksiądz z ludem odmawiać modlitwy niedzielne i poranne, i akty wiary, nadziei i miłości; następnie trzy msze śpiewane o 7mej, 8mej i 9tej zamykały nabożeństwo. Proboszcz na każdy tydzień stanowił porządek modlitwy, tojest wyznaczał zawczasu, kto będzie z wikaryuszów tygodniowym, kto o której godzinie ma wyjść ze mszą, a dla wiadomości parafian przybijał

to swoje rozporządzenie wydane na cały tydzień, na drzwiach od zakrystyi.

Mszami fundowanemi jeszcze za Jezuitów, kommissya edukacyjna rozporządziła inaczej; zginął zatem dla księży od św. Andrzeja obowiązek modlić się za dawnych dobroczyńców zakonu, a zwłaszcza za opiekunów b. kolegium na Senatorskiej ulicy. Zato następowały nowe zobowiązania, już w czasie parafii zaciągnięte, i na te zobowiązania zwracał jeszcze uwagę Okęcki. Naznaczał więc w erekcyi msze nowy biskup poznański za dusze Młodziejowskiego co miesiąc jedną, dalej za duszę Doroty z książąt Woronieckich Miączyńskiej wojewodziny podlaskiej, po dwie co miesiąc. O tej pani mówiliśmy już wyżej, że Grodzicki był jej spowiednikiem. Dalej za duszę Konstancyi Kołudzkiej sędzianki ziemskiej inowrocławskiej, kanoniczki niższego chóru, co miesiąc mszę jedną. Za Fabiana Romana i małżonkę jego Agnieszkę z Kawczyńskich po dwie msze co miesiąc; wypadło zatem co miesiąc po sześć mszy funduszowych, z tych dwie miał odprawić proboszcz, a cztery inne wikaryusze pod obowiązkiem sumienia: dlatego też każdą mszę odprawioną mieli notować w księdze protokołów.

Erekcyja zawiera jeszcze jedną ciekawą wiadomość. Przy kościele św. Andrzeja istniało bractwo Boskiej Opatrzności, udarowane odpustami rzymskimi. Dotąd to bractwo skrywało się przed oczami naszymi, nie widzieliśmy ani śladu. Okęcki chce, żeby proboszcz jednego z wikarych wyznaczył za promotora tego bractwa, którego obowiązkiem być miało, odprawić co poniedziałek wotywę o Najśw. Trójcy, ile tylko razy przepisy kościelne dozwolą, że msza śpiewana być może; dalej promotor obowiązany był uroczystości brackie co kwartał odprawiać i znajdować się na wyborach urzędników rzeczonego bractwa: zato proboszcz miał promotorowi płacić 500 złp. rocznie, i to z do chodów kamienicy, którą w r. 1781 wybudował Grodzicki.

Na publiczne processye w Boże Ciało i w inne uroczystości, dwóch przynajmniej księży kościół św. Andrzeja miał wysyłać do kolegiaty św. Jana; drudzy dwaj mogli zostać przy parafii.

Kończył życzeniami Okęcki. Mówił: że przyjemnieby mu było, gdyby proboszcz miał stół wspólny zawsze z wikaryuszami, jak to za jego czasów miało miejsce. Jeżeli w skutku okoliczności czasowych, wikaryusze nie będą mogli razem się stołować z proboszczem: wtedy stanowił biskup, że powinni wybrać z pomiędzy siebie jednego, który zawczasu skupować miał wszystko, co potrzeba było do stołu, a obiad i wieczerzę tak miał urządzić, żeby wszyscy wspólnie jeść mogli. Go-

spodarz wikaryusz winien był co kwartał rejestra wydatków przedstawiać towarzyszom.

Kłótnie między wikaryuszami, proboszcz miał ostatecznie godzić, a winni mu byli zupełne posłuszeństwo. Miał on ich prawo karać nawet odtrąceniem pewnej części dochodów, za każdą razą kiedy spostrzegł, że opuszczają chór, nie śpiewają nieszporów i godzin duchownych, albo nie bywają na processyach parafialnych.

Do oryginału erekcyi, dołączył biskup w jednym dokumencie opisanie kościoła, domu dla kapłanów, mieszkań dla najęcia, placów, sprzętów kościelnych i domowych. Dalej następował inwentarz zakrystyi, opis srebra kościelnego, cyny, miedzi i żelaza. Niewielkimi bogactwami, jak widać ze spisu, mógł się wtedy szczyć kościół św. Andrzeja. Prócz świeczników, pacyfikału i krzyża, które ofiarował prymas Potocki z przyczyny ślubu wojewody kijowskiego w r. 1732, nie tam wielkiego nie było. Być może, zginęło wiele rzeczy za czasów kassaty zakonu, i chociaż kommissya rozdawnicza zaręczała, że z kościołów warszawskich nie zabierała wcale sreber, wątpliwość jakoś przychodzi na myśl, kiedy się wspomni, że to był kościół fundacyi Potockich. Ornatów dosyć było, ale wiele już świeższej daty, z podarunku np. Alexandry z Czartoryskich Ogińskiej hetmanowej W. L., Urszuli z Potockich Wielopolskiej starościny krakowskiej, albo księcia Stanisława Jabłonowskiego kasztelana krakowskiego.

Miał kościół śgo Andrzeja i bibliotekę, objętą spisem własności. Była szczupłą, bo zawierała tylko dzieł 45, a tomów 122. Po największej części składały ją kazania po francuzku Girarda, dla użytku proboszczów wydane, Franciszka Neumajera, Euzebiusza Niremberga, kazania wielkopostne Pawła Olizy i Maxymiliana Deza; nadto sześć tomów Bourdaloue'go. Z niemieckich dzieł mieli księża śgo Andrzeja także Neumajera, Hunolta, Massyllona w tłumaczeniu, Harnischera, Klemensa opata, Franciszka Murotla, Marcina Pallu, Jana du Fay i t. d. Z polskich był tom Skargi, 2 tomy Ubermanowicza, 5 Balsama, 2 tomy Płochockiego, nauki moralnej księdza Henri z francuzkiego tłumaczonej 2 tomy, i Janiszewskiego 6 tomów. Oprócz kazań, z dzieł pod innemi tytułami wyliczonych była w bibliotece śgo Andrzeja biblia, 9 tomów objaśnień Korneliusza a Lapide, kawałek dzieł Lucyusza Ferraris, dzieła la Croix 8 tomów, Teologia dogmatyczna i spekulacyjna Józefa Momcheim, także 8 tomów i t. d. Z ksiąg ascetycznych były po polsku: Rekollekcyje księdza Hektoreusza Kamilla tom 1. Księdza Wielowiejskiego 2 tomy; były

Theses asceticae przez Chojeckiego tom I. Obserwacye święte tom I, oraz dzieło: Naprawa rozsądku i obyczajów księdza Rogacynsza, tom I. Wszystko to były, jak widzimy, duchowne dzieła dla zakonników. Świat ich mało interesował, i ztąd z dzieł nieduchownej treści, mieli tylko jeden Klimakter Kochowskiego, Historją Krucyat Maimburga tom I, i *Consilium Burgofontanum* tom I.

Biblioteka ta, widzimy, nie sięgała Potockiego czasów. Dzieła mniej są nowsze; Kazania Ubermanowicza, Płochockiego, Bulsama, bardzo blizkiéj sięgną epoki. Nam się zdaje, że dzieła te nawet nie nabyte są kupnem, a dostały się tylko w podarunku dawnemu kościółkowi śgo Krzyża, dzisiaj śgo Andrzeja. Odtrąciwszy to, co świeżéj daty, mało zostanie, a Potocki zapewne z parą książkami nie wysadzalby się. Dziwi jednakże, że uczone zgromadzenie Jezuitów koronnych w Warszawie miało tak szczupłe zasoby naukowe. Nie sądzim, żeby cień podejrzenia padał na kommissyą rozdawniczą; rzecz ważną bierze się, ale książki niechaj leżą w kącie. Zresztą, Jezuiti koronni niedawno mieli kościół w Warszawie, od pół wieku nie więcéj, nie mogli więc i mieć zasobów tak pięknych w dziełach, żeby się na nie połakomić.

Jednakże Grodzicki w budynkach św. Andrzeja, które nam wystawił, jedną wielką izbę przeznaczył na bibliotekę. Był mały pokój przy zakrystyi, który dotąd do przechowywania ksiąg służył. Grodzicki chciał mieć izbę. W oczekiwaniu aż się pomnożą te skarby naukowe św. Andrzeja, izbę wielką w komorne puścił; tak samo zupełnie, jak w oczekiwaniu aż się wybuduje wielki kościół, grunt już rozmierzył i linie nowéj budowy wytknął. Miał zawsze szlachetne pobudki przed sobą, zawsze się do wielkich gotował rzeczy; niemile był zawiedziony w nadziejach. Co do biblioteki powiemy jeszcze, że w spisie sprzętu domowego znaleźliśmy szaf wielkich do ksiąg dwie, szaf mniejszych cztery. Było więc w istocie, jak na początek, w czém mieścić literackie zbiory, które dotąd w jednéj szafie wygodnie chować było można.

Opis Łazniewa zamieszczony także przy akcie erekcyi, zawiera ciekawe szczegóły, które nam dadzą miarę o wielkości parafialnego gospodarstwa. Dwór wznosił się od przyjazdu z Warszawy, nowy, drewniany na podmurowaniu, dachówką nakryty; stanął jeszcze za Wyrwicza w r. 1776. Mieszkania było dosyć: sala obszerna, której okna wychodziły na ogród, a po każdéj stronie po trzy pokoje; było więc pokoi 6, prócz sali. Folwark był także od przyjazdu warszawskiego, nowy, z drzewa zbudowany dobrego w r. 1781, dachówką

pokryty, z piwnicą do nabiata murowaną; mieszkał w nim ekonom i tam mieściła się izba czeladna. Dalej stał browar nowy, przed kilku laty do stariej izby przystawiony, także kryty dachówką; potem spichlerz o dwóch piętrach w węgiel budowany, gontami nowo pobity. Za nim trzy stodoły z pięcią klepiskami, wszystkie nowo przesypane i pokryte; dalej obory i owczarnia. Ogrodów aż trzy było przy dworze w Łażniewie: piérwszy włoski, ciągnący się wzdłuż dworu, spichlerza i starych więzów, parkanem, wałem, rowem, jakby twierdzą jaką otoczony, podzielony na ulice i mający już 130 sztuk drzew owocowych. W końcu tego ogrodu był gaik z drzewa różnego zasadzony, dla cienia w skwar letni. Drugi ogród przeznaczony na warzywo, osadzony był za solwarkiem wierzbiną. Trzeci warzywny za stodołami, stajnią, wozownią i wołownią, posiadał kilka drzew gruszkowych i mały pszczolnik. Była jeszcze w dziedzińcu dworskim sernica na czterech słupach, a za dworem młyn, wiatrak z chałupą, i karczemka przy samej wiosce. Ale młyn, zepsuty był, a karczemka wcale do mieszkania niezdatna, i dlatego właśnie zaczęto wtedy przygotowania do budowy nowego domu dla gospody.

Nie wdając się w drobniejsze szczegóły, powiemy w ogólności, że inwentarz Łażniewa obejmował w roku 1773: bydła sztuk 10, koni solwarcznych 4, maciar chlewnych 7 i prosiąt 15, owiec z jagniętami sztuk 49, indyków 6, gęsi 35, kaczek 14, kur sztuk 11. Sprzęt także był w zupełności; niczego tam nie brakowało, najmniejszy porządek zanotowany w inwentarzu.

Co do ziemi, grunta dworskie i wiejskie na dwa dzieliły się pola: jedno pole zasiewało się oziminą i jarzyną, drugie rok cały ugorowało. W roku 1782 było wysiewu pszenicy ozimki korcy 32, żyta 40, jęczmienia 21, owsa 43, grochu 3, gryki 2, prosa garncy 10, rzepaku gar. 4: razem korcy 141 i gar. 14. Siana zebrać można było fur 12, a przytém młynarz z wiatraku miał w dzierżawie dawać wymiaru na rok żyta korcy 12.

Chałup chłopskich było we wsi 10; mieszkało zatém 10 gospodarzy, a rachując ludność całą z żonami i dziećmi, Łażniew miał wtedy osiadłych ludzi na gospodarce 32; prócz tego komorników płci męzkiej i żeńskiej było 25, razem z tamtymi osób 57. Zbiegłych gruntowych ludzi w roku 1782 było 8; zato na ich miejsce dużo przychodniów mieszkało w Łażniewie. Robocizny winni byli chłopi dworowi dni ciągłych 21, dni kobiecych 30, razem na tydzień dni 51. Załogi mieli chłopi wołów sztuk 14, krów 5, koni także 5.

Oprócz tego chlopi zaciężni prócz dni 6 na tydzień, przysyłać kolejnie musieli do trzody pastuchów; stróży nie odprawiali, czynszów i żadnej daniny nie dawali: płacili kominowe i dziesięciny pieniężnej zlp. 16 do Rokitna.

Otoż i cały akt erekecyjny przywiedziony w skrótenu; datowany jest 6 grudnia. Reptowski nadesłał go w osobnej księdze oprawny, porządnie, pięknie i czytelnie na papierze odpisany, opatrzony pieczęcią biskupią, i aż czterema podpisami Okęckiego, przy grzecznym liście po łacinie, zamieszczonym na końcu aktu z dnia 8 grudnia. W piątek 23 maja 1783 roku, erekcyja była wciągnięta urzędowo w akta konsystorza warszawskiego, jak to zaświadczył w końcu oryginału podpisany ksiądz Cypryan Sowiński, pisarz generalny spraw konsystorskich. Teraz już Grodzicki był na własnym gruncie i prawdziwym proboszczem. Urządzał zatem swoje parafię, zaprowadzał w niej nowe zwyczaje, nowe porządki, i myślał ciągle o budowie kościoła; ale przed erekcyą jeszcze, stracił gorliwego pomocnika. Byłto ksiądz Maciej Fryze, o którym jużesmy pod Wyrwiczem wspominali. Musiałto być kaznodzieja niemiecki św. Andrzeja. Zachorował ciężko jakoś pod koniec r. 1780, i cierpiał strasznie. Grodzicki wysłał go o 4 mile od Warszawy do Grodziska na świeże powietrze; tam umarł po pięciu miesiącach i ośmiu dniach choroby, w roku życia 35, dnia 8 maja 1781 r. Płakali po nim parafianie i jechali na pogrzeb do Grodziska. Exekwie u św. Andrzeja za jego duszę odbyły się 12 maja. Piękną pochwałę jego umieścili akta zejścia parafii, kiedy podając o jego śmierci, powiedziały, że: „strata tego męża nigdy dosyć opisana, nigdy oplakana dosyć” (*jactura hujus viri nunquam satis describenda, nunquam satis dellenda*).

Pamiętając że był Jezuitą Grodzicki, starał się w Rzymie u Piusa VI, ażeby mógł zaprowadzić do św. Andrzeja bractwo, założone w stolicy świata katolickiego, w kościele jezuickim *Collegii Romani*, i po wszystkich kościołach zakonu Lojoli po całej ziemi rozszerzone; spóźnił się troszkę, jeżeli w tym razie chciał korzystać z przywilejów jezuickich. Bractwo to nazywało się zgromadzeniem Zwiastowania Matki Boskiej. Posiadało wielkie odpusty, było sławne w katolicyzmie, nosiło tytuł sodalisostwa. Papież pozwolił zaprowadzić więc uroczyście to bractwo do kościoła, na święto właśnie Zwiastowania Matki Boskiej w 1785 r. 24 marca w wilią dnia tego Ciecieszowski biskup kijowski, otworzył nabożeństwem przepisaniem w takim razie bractwu Zwiastowania podwoje św. Andrzeja. Byłto dzień dla całej Warszawy ważny, bo niezmierna liczba panów zajęła kościół,

i lud tłoczył się tylko, a wniść nie mógł; zajął więc w grupach po-bożnych plac przed Marywilem. Kazanie miał ksiądz Augustyn Li-piński, kanonik plocki, rzeczywiście jeden z lepszych za czasów Ponia-towskiego kaznodzieja.

W roku 1787 Grodzicki przy swojej parafii nowego, czwarte-go już zaprowadził wikaryusza. W przywileju erekcyjnym zastrzeżo-ne było, jak to sobie przypomnim, że jeżeli dochody probostwa pozwo-lą, a potrzeba wiernych tego wymagać będzie, przełożony kościoła zo-stanie zobowiązany przyjmując jeszcze dla pomocy i wygody parafii czwar-tego wikarego; w krótkim czasie pokazała się tego potrzeba, a do-chody św. Andrzeja przez powiększającą się ludność Warszawy tak wzrosły, że z samych kamienic stojących przy kościele, fundusz już można było zebrać dostateczny. Grodzicki murował widać ciągle, bo jest wzmianka w postanowieniu biskupa o którym zaraz powiemy, że dochód ten już pochodził z półtrzeciej kamienicy. Ludność parafii z sześciu na dziewięć tysięcy wzrosła wtenczas. Zapobiegł nowęj niedogodności *articulus seperatus*, dodany do erekcyi przez biskupa Okęckiego. Proboszcz św. Andrzeja obowiązany był teraz już na wieczne czasy zatrzymać czwartego wikaryusza, którego przyjął wła-śnie Grodzicki. Zastrzeżono jednakże, że jeżeli potrzeba znowu się oka-że, a dochody pozwolą, z następstwem czasu i piąty wikary ma się przy kościele umieścić. Artykuł ten oddzielny, wydał Okęcki w War-szawie 27 stycznia 1787 r. Nastąpił na niewiele przedtém do św. An-drzeja ksiądz Wojciech Komorecki; onto być musiał tym czwartym wikarym.

Do obowiązkowych mszy opisanych w erekcyi, dodawał jeszcze biskup tęp oddzielném postanowieniem, nowe nabożeństwo. Urszu-la z Potockich Wielopolska, wdowa po Hieronimie, o którego śmier-ci zaszłej w parafii św. Andrzeja wspominaliśmy za czasów Wyrwi-cza, świadczyła wtedy wielkie dobrodziejstwa parafii Grodzickiego. Szła w tęp myśli za natchnieniem Potockiego prymasa; sama Potoc-ka, Potockich dzieło wspierała. Okęcki zawdzięczając jęp te starania, za obowiązek nakazywał proboszczowi św. Andrzeja co sobotę w ty-dzień, żeby się odprawiała msza czytana za duszę Hieronima, a w rocz-nicę jego śmierci msza śpiewana, to jest dnia 13 marca, requiem i officium za zmarłych; prócz tego msze czytane, które mieli odpra-wiać wikaryusze. Toż samo nabożeństwo miało się odprawiać po śmierci Urszuli w sobotę, a w rocznicę jęp zejścia wielkie nabożeństwo, jak za męża.

O jakich dobrodziejstwach Urszuli Wielopolskiej mówi tutaj Okęcki, objaśnić nie umiemy. Nie o zapisach tu mowa, bo zapisy dopiero po śmierci dobroczyńcy mają znaczenie, a biskup za życia jeszcze Urszuli urządzał nabożeństwo za nią i za jej męża. Nie może tutaj być także mowy o obietnicach, bo obietnice często zawodzą, i spuszczać się na przyrzeczenia niepodobna; a potem, śmiesznieby nawet było, okazywać wdzięczność jeszcze przed spełnieniem nadziei. Pochlebiać się może człowiek prywatny, nigdy publiczny; zdaje się, że tu więc w tym akcie dodatkowym do erekcyi mowa jedynie o jałmużnach pani starościны krakowskiej. Może dała jakie piękne ornaty, może sprzęt jaki drogi sprawiła, może zdobiła ołtarze, albo obiecywała kościół wybudować: zawsze te dobrodziejstwa musiały być znakomite, kiedy biskup uważał je jako wieczysty fundusz i zobowiązania się przyjął dobrowolnie.

Ale najdroższą myśli Grodzickiego nie stało się wcale zadosyć. Kościółek ś. Andrzeja nie rosnął w nowe kaplice, w nowe się ołtarze nie przystrajał. Nastaly czasy krytyczne, i chwila ciężko nad Warszawą, nad krajem całym zawisła; i jakże nie miała zawisnąć nad domem Bożym? Znaleźli się jednak i wtedy dobroczyńcy, co trafili w myśl Grodzickiego; ale ta myśl już nie miała rodzić owoców. Były dwie święte, poważne matrony w Warszawie, które w sercu znalazły skarby poświęcenia się i nie odrobinę miłości dla bliźnich, a całą miłość przynosiły dla nich w ofierze. Jedną z tych matron była Helena z Ogińskich Ogińska także, kosztelanowa wileńska, a drugą Barbara z Duninów Sanguszkowa, wdowa po Pawle marszałku Wiel. Lit. Rozsypując hojną jałmużnę pomiędzy nieszczęśliwych, obie pobożne niewiasty pomyślały i o kościele śgo Andrzeja; świadczyły mu już wiele i przedtém, a teraz Ogińska 40000 złp. ofiarowała na mające się rozpocząć budowy, i na stały fundusz probostwa, Sanguszkowa zapisywała także na ten cel 7000 złp. Ale pomarły niedługo bogobojne niewiasty, które były całą nadzieją Grodzickiego: Ogińska w 91 roku życia, Sanguszkowa w 73, prawie jednocześnie, prawie w jednéj chwili, a cios ten był dotkliwém dla proboszcza nieszczęściem. Wymierali także wtenczas starcami i dawni znajomi, naprzód Wyrwicz, potem biskup Okęcki; a wojna zbliżała się, nareszcie i Warszawę płomieniem swoim zajęła. Ze stolicy wynosili się panowie polscy i dobroczyńcy kościoła śgo Andrzeja; wśród powszechnego zubożenia, niedoli i klęski, o budowie ani można było pomyśleć. Ze wszystkich nadziei, które uprzyjemniały starość Grodzickiego, doszło go tylko 200 dukatów z zapisu San-

guszkowej, których użył do budowania domu po prawej ręce kościoła na Senatorskiej ulicy.

Grodzicki zamknął się wtedy ze swojemi parafianami, i z niemi tylko przestawał. Prawdziwy duchowny ojciec owczarni, przemawiał do nich co niedziela, co święto z ambony, i przykładami moralności chciał ocucić ducha wiary, chciał zamiast zwątpienia, rozniecić w sercach nadzieję. To była jedyna rozkosz, jedyna jego osłoda w dniach przykrych. Zbierał swoje kazania, ułożył je w cztery grube tomy, i dał do druku w r. 1795, dla wygody parafian, co nie mogli być na nich w kościele; ofiarował zatem dzieło swoje owieczkom do czytania po domach. Wyszły te cztery grube tomy z drukarni pojezuickiej. Nie ma tam wymowy, nie ma natchnienia, ale jest wszędzie moralności wykład, dostępny dla pojęcia każdego i nauki, sąto raczej rozmowy, poufne zwierzenia się, dysputy religijne. Cały tok rozumowania księdza Grodzickiego, więcej na objaśnienie tajemnic wiary, jak na naukę wygląda. Kazania jego to raczej homilie, to objaśnienia tekstu, to rozprawki, gdzie wszystko na raz się znajdzie: i wiara, i zabobon, i nauka, i uczucie, i patetyczność. Bierze często Grodzicki przykłady z dziejów, cytuje wypadki świata. Nietylko apostołowie figurują w jego kazaniach; tam grają jeszcze rolę i Alexander Macedoński i Karol W. i Bolesław Śmiały. Są tam Rzymianie i Grecy, Arabowie i Turcy; są żywoty niby świętych, są nad ich życiem różne uwagi, które podyktowała pobożność. Niejedna rzecz powiedziana dziś z ambony, obrażałaby uszy nasze i pojęcie, jakie mamy o piękności i o wymowie kaznodziejskiej; ale wtedy uchodziło to wszystko. Kazania Grodzickiego są bez pretensyi, bez wystawności; prawdziwie to książka do czytania dla ciekawych, co chcieliby się dowiedzieć jakich szczegółów z życia świętych, z dziejów kościoła, albo tajemnic. Mozajka to kaznodziejska.

Książk Grodzicki wszystkich przedmiotów dotyka po kolei, nad żadnym zastanowić się nie lubi: bo on téż pisał wrażenia tylko swoje i notował myśli, a bez związku, nieporządnie nastreçały się te myśli jego wyobraźni, i Grodzicki nie układał systematycznych wywodów, nie obrabiał jednego tekstu, a mówił tylko do parafian o rzeczach pożytecznych, a dotyczących zbawienia. Grodzicki rozprawia o Sakramentach, o pożytkach postu, o wieczności, o chorobach duszy, o śmierci, o rozmyślaniu, o miłości Bożej, nawet o królestwie djabłów.— Wszędzie pełno cytacyj łacińskich, skutkiem wyobrażeń ówczesnych o wymowie.

Między kazaniem czwartego tomu, dalszy registr stronnic dwieście trzydzieści zajmują mowy świąteczne; jedna z nich miana była w rocznicę 73letnią poświęcenia kościoła śgo Andrzeja (w r. 1795?) Ksiądz Grodzicki mówił wtedy o uszanowaniu kościołów. Drugą mianą z tego powodu, wyjął po większej części, jak powiada, z kazań księdza Jana Kowalskiego, ex-Jezuity, który na poświęceniu katedry lwowskiej popisywał się z wymową. Znajdujem w tém drugim kazaniu rozprawę o świątyniach całego świata, od pogańskich czasów aż do chwili Jana Kowalskiego, podane szczegóły o budowie albo o kosztach budowy. Ciekawe to w samej rzeczy krasomówstwo, co zamiast zachwycić umysł, podnieść serce, zajmuje się liczbą i anslagami. Grodzicki rozbiera poważnie rzecz o skarbach Dawida, o robotnikach, których użył Salomon do świątyni w Jeruzalem; obrachował nawet, co kosztowały naczynia kościelne większe i mniejsze. Wyrachował, że robotników np. do łupania kamieni użyto aż do 80,000, do noszenia ciężarów 70,000; przełożonych nad temi było 3,600. Nadto ci wszyscy byli dopiero cudzoziemcy: z Izraelitów zaś 30,000 pracowało nad budową kościoła, pod nadzorem 3,300 przełożonych, oprócz Syryjczyków, Egipcyan i Sydonów, użytych do drzewa. Rzemieślników osobno porachował Willapandus, bo ci tylko murowali: było ich aż 400,000. W podobnej seryo postawie, Grodzicki rozbiera materye o innych kosztach Salomona; liczy naczynia święte, podając zawsze z uczonego Willapanda szczegóły o świątyni Dyanny w Efezie, i t. d. Minawszy starożytność, kaznodzieja nasz powiada o Śtym Henryku cesarzu, który 1000 wystawił kościołów; o Jakóbie królu arragońskim i Sycylii, że ich 2009, wybudował; wspomina i o naszym Piotrze Duninie, którego chociaż za wielkiego dobroczyńcę księży uważaliśmy, widzimy jednak, że może zbyt pospiesznie, bo jego siedmdziesiąt kościołów niknie obok tych podanych i liczonych tysięcy.

Następują szczegóły, i znowu ciekawe szczegóły o dochodach starozakonnego duchowieństwa. Jak wuczonej rozprawie liczy te dochody Grodzicki: popiérwsze to, po drugie tamto i t. d. Pisze o podatkach, jakie składali Lewici do skarbu publicznego; i mówiąc już w duchu hierarchii, ubolewa nad odmiennym stanem tój materyi za jego czasów. Błogosławi poną Boga, „że stan duchowny dla wyższych przyczyn postanowiwszy, i stanowi świeckiemu, osobliwie przedniejszej kondycyi, uczynił przez to wygodę i zapewnił sposób utrzymania się: osobliwie w krajach obfitujących w szlachtę, równie na wszystkie potomstwo fortunę dzielących. Powiada albowiem, że szla-

chciec żonaty w Polsce żeby mógł utrzymać się przystojnie, potrzebuje rocznego dochodu dziesięć tysięcy złotych przynajmniej, a kapłan szlachcic chociaż dygnitarz kościelny, obędzie się pięciu tysiącami; zakonnik zaś nareszcie, chociażby téż z książęcego był rodu, ma dosyć w klasztorze złotych tysiąc, kiedy na świecie zmarnowałby skarby. A gdyby się zaś w takowych państwach wszyscy żenili, kończy tę materią tak ksiądz Grodzicki, i na potomstwo fortunę dzielili, przypadłoby z czasem ledwo nie dwóch szlachty na jeden zagon; jak już niemało rzemieślników i oraczów poszło z zacnych familij” (Tom IV Mów parafialnych stron. 337.)

Dużo takich ciekawych wyjątków z kazań Grodzickiego wypisaćbyśmy musieli; odbija się w nich w znacznej części duch epoki już nie Stanisławowskiej a czasów przed reformą Konarskiego. Te wyjątki i uwagi posłużą tylko do ocenienia zasług Grodzickiego, pod względem kaznodziejskim. Człowiek zacny, poczciwy, zasłużony i uczony nawet jeżeli chcecie, nie miał pojęcia o cudownym wpływie kazalnicy. Wierzył we wszystkie nadprzyrodzone rzeczy, nawet w zaklinanie i uroki, bo przypisywał to wszystko wpływowi djabła, który z Chrystusem dzielił panowanie świata. Wierzył w cuda, popisывał się z nimi; a jednak nie ma w kazaniach Grodzickiego nieprzyzwoitości epoki przed Konarskiego, nie ma obrzydliwych wyrażen, śmiesznych teoryj, zabawnego wykładu pisma: jestto człowiek epoki już zamarłej, ale oświatą nowszych czasów złagodzony. Pisał jednakże w dobrą wiarę, w najlepszych dla swój owczarni chęciach.

W lat trzy po wydaniu Kazań niedzielnych, drukował ksiądz Grodzicki: Nauki Chrześcijańskie katechizmowe z różnych pism gruntownych zebrane, w kościele parafialnym warszawskim pod tytułem Śgo Andrzeja miane i t. d. Wyszła ich część I, w drukarni Pijarskiej w r. 1798 w ćwiartce; czy dalej wychodziły tomy następne, nie wiemy: widać jednak, że Grodzicki te Nauki katechizmowe chciał drukować całkiem dla wygody parafian, co nie słyszeli ich wykładu w kościele.

Prócz tych Mów parafialnych i Nauk i Przemowy przy wyprowadzeniu ciała Młodziejowskiego, niema innych prac księdza Grodzickiego w druku. Zapewne téż nie pisał nic więcej.

Opuszczony od wszystkich, doczekał się smutnych dla kościołka swojego czasów ksiądz Grodzicki. Rząd pruski zabrał dobra ziemskie duchowieństwa, a więc i Śmu Andrzejowi Łażniewo; zamiast tego małe wynagrodzenie przeznaczył. O budowie kościołka już ani mowy być nie mogło. Te czasy pamiętne tém jedynie, że parafia Śgo Andrzeja razem z parafią Śgo Jana i Panny Maryi, zyskała nowy

cmentarz obszerny, od dawniejszego bliższy i dogodniejszy na Powązkach, wiosce Izabelli Czartoryskiej. Warszawa także zerwała związki religijne, które ją od niepamiętnych czasów z Poznaniem łączyły. Król pruski postanowił nowe biskupstwo warszawskie i dawna stolica Polski przeszła już teraz pod zarząd swoich własnych pasterzy.

Starością i poświęceniem się znękany, umarł nareszcie i Grodzicki. Podług swego zwyczaju przytomny wszędzie, gdzie tego cześć Bożą wymagała, proboszcz Śgo Andrzeja, w ostatni dzień wiosennych dni krzyżowych 1802 r., po skończonem nabożeństwie u Karmelitów na Lesznie, prowadził mnogi lud za sobą do swojego kościoła na suplikacye, które często odprawiał. Ośmdziesięcio-cztero-letni starzec, biegł na czele tego tłumu pobożnych, kiedy nagle poczuł chorobę straszliwą, i paraliż tak mu odebrał całą przytomność umysłu, wszystkie siły, że napół żywy upadł na ulicy. Wszczął się rozruch, przerażenie; konającego starca wniesiono tymczasem do przyległego domu: chwila życia już mu zostawała, sprowadzono wóz i ledwie z trudnością przeniesiono go do cel klasztornych Śgo Andrzeja. Trzy dni walczył jeszcze ze śmiercią Grodzicki; nakoniec pozbawiony zupełnie uczucia we wszystkich członkach, zakończył życie 28 Maja. — Został mu chlubny na zawsze przydomek Apostoła Warszawy (1).

Nie zabawim długo o następcach Grodzickiego na probostwie. Chociaż mieli zasługi swoje i ci następcy w Warszawie, przecież nie wyrównali dwóm poprzednikom. Wyrwicz obchodził nas więcej, jako znakomitość swojej epoki; Grodzicki jako osoba najpopularniejsza w swoim czasie w Warszawie, znany przez wszystkich, kochany przez wszystkich.

Po śmierci Grodzickiego, Józef Miaskowski pierwszy biskup warszawski, probostwo śgo Andrzeja oddał w kommendę trzeciemu ex-Jezuicie księdzu Janowi Bartschowi na żądanie parafian; było również uczony człowiek i pełen zasług w stolicy.

(1) Oto jak księga zejść parafii św. Andrzeja opisuje zasługi Grodzickiego: *Praeco Evangelii indefessus, piorum librorum partim typis vulgatorum, partim in MSS. relictorum auctor praeclarus, conscientiarum moderator prudentissimus, sacramentorum administer sedulus, in lucrandis animabus, in solandis evita abeuntibus, in promovenda ubique pietate versatissimus, calamitosorum atque indigentium verus pater, eleemosynarum dispensator fidelissimus, ultimi Poloniarum Regis Confessarius, afflictis ac miserabilibus perquam utilis, vir intota vita pietate patientia in adversis, mansuetudine, zelo gloria Dei, studio proximorum salutis procurandae, omni virtutum genere ornatissimus, atque omnia omnibus, ut ait Apostolus, ad extremum usque halitum factus.* Następują szczegóły śmierci i ostatnia pochwała: *non immerito Varsaviensium Apostolus nuncupatur.*

Dla ciekawych zatęczamy tu liczby, wyjęte z akt parafialnych, które najlepiej dadzą nam poznać ruch ludności tej strony Warszawy za czasów Grodzickiego. W parafii św. Andrzeja było:

Urodził się w Warmii r. 1747, w miasteczku Ressel, które do dóbr biskupich należało. Zasmakowawszy w pracy i zakonném życiu, w latach bardzo młodych Bartsch wstąpił do Jezuitów w pro-

W roku	Ochrzczonych dzieci			Narodziło się z obcych wyzn. zn.		Zmarło dorosłych			Zmarło dzieci			Razem zmarło wszystkich	Więcej urodzonych jak zmarłych o	Ślubów	Do powiadzi Miłkanoonej przyślępowale
	plci męzkiej	plci żeńskiej	Razem	chrześc.	in.	plci męzkiej	plci żeńskiej	Razem	plci męzkiej	plci żeńskiej	Razem				
1783	—	—	553	—	—	—	—	74	—	—	241	315	240	124	7750
1784	268	298	566	8	3	42	29	71	132	119	251	322	244	151	7890
1785	292	278	570	—	3	46	30	76	131	154	285	361	209	154	7910
1786	302	282	584	męż. 5	kob. 6	44	25	69	133	111	244	313	271	143	8200
1787	290	265	555	3	—	60	41	101	145	129	274	375	189	130	8203
1788	280	250	530	3	—	51	39	90	128	122	250	340	190	110	8039
1789	265	302	567	3	—	50	41	94	106	72	178	272	205	131	8950
1790	300	279	579	1	—	51	63	114	79	83	162	276	316	146	10100
	4ry przyb. późn.														
1791	300	202	502	5	—	72	47	119	156	143	299	418	153	150	8506
1792	319	200	519	2	—	65	51	116	98	84	182	298	317	191	8236
1793	298	326	624	3	—	58	62	118	87	104	191	309	315	192	7976
1794	328	358	686	—	2	127	87	214	121	123	244	458	228	97	—
1795	201	182	383	3	—	74	97	171	100	66	166	337	46	134	5600
1796	251	210	461	—	—	45	40	84	91	100	191	285	176	105	6500
W ciągu lat 14tu	7808			49	—	—	—	1521	—	—	3158	4679	3189	1928	sredn. liczba parafii 7850
1804	—	—	—	—	—	—	—	82	—	—	110	192	—	—	—
1806	—	—	—	—	—	78	62	140	78	87	165	305	—	—	—
1807	—	—	—	—	—	217	222 (razem z dziećmi)	—	—	—	—	430	—	—	—
1808	—	—	—	—	—	143	125	—	—	—	—	268	—	—	—

Dla porównania liczb tutaj zamieszczonych, kładziemy niżej jeszcze liczby nieobojętne dla statystyki Warszawy.

Podług zaprowadzonego widać przez Młodziejewskiego porządku, z parafii stolicy szły z końcem roku raporta o liczbie urodzonych i zmarłych i t. d. do konsystorza warszawskiego. W pierwszych dniach stycznia ogólną cyfrę podanych faktów, co rok regularnie ksiądz Łuski drukował w swojej gazecie. Zasadzamy się więc na powadze tych gazet, co do wiadomości następujących:

W r. 1777 było ochrzczonej dzieci w całej Warszawie męż. 1673, kob. 1407, razem 3080; umarło męż. 1068, kob. 948 i dzieci m. 557, ż. 400, razem umarło 3063; ubytek osób 13; ślubów było 914. (Gaz. Warsz. 1778, nr. 1).

wincyi litewskiej, i cały przeciąg od początku panowania St. Augusta aż do kassaty zakonu, przebył w Warszawie. Był wtedy pod Wyrwiczem professorem w *Collegium Nobilius*, kiedy zakon upadł. Bartsch, jako uczony człowiek, wezwany potem został na adjunkta przy bibliotece Żaluskich. Pracował więc tam pod kierunkiem Janockiego i Kozmińskiego, razem z Wulfersem i Kopczyńskim. Gruntownie uczony i światły, a zamiłowany w dawniej literaturze, był Bartsch w bibliotece jak we własnym żywiole, a zasługi które wtedy położył, a które mu prawo do wdzięczności zjednały, wyłożył autor Ksiąg Bibliograficznych właśnie w tych księgach. Pracował niezmiernie dzień i noc, spisywał katalogi, porządkował dzieła podług materyi i treści.

W r. 1778 ochrzczono dzieci 3351, tojest męż. 1730, kob. 1621. Na parafie licząc, ochrzczono u św. Jana męż. 283, kob. 268; u Panny Maryi męż. 461, kob. 432; u św. Krzyża męż. 560, kob. 553; u św. Andrzeja męż. 252, kob. 246; w Ujazdowie męż. 174, kob. 122. Z tego widać, że parafia św. Andrzeja była czwarta z porządku co do ludności rodzącej się. Inny stosunek co do umartych. Umarło w t. r. w Warszawie ludzi 3107, tojest męż. 1685, kob. 1422; na parafie: u św. Jana umarło męż. 180, kob. 152; u Panny Maryi 329 i 289; u św. Krzyża 637 i 523; u św. Andrzeja 467 i 387; w Ujazdowie 76 i 71. Ślubów było w tym roku rachując porządkiem jak wyżej parafie: u św. Jana 211, u Panny Maryi 251, u św. Krzyża 197, u św. Andrzeja 122, w Ujazdowie 98. W porównaniu z r. z. ślubów mniej 32, ochrzczonych więcej 381, pochowanych więcej 44. (Gaz. Warsz. 1779 nr. 2).

W r. 1779 ochrzczono dzieci męż. 1691, żeń. 1634, razem 3325; umarło dorosłych m. 776, k. 556, dzieci m. 551, ż. 520, ślubów 873. Umarło razem 2403. (Gaz. Warsz. 1780, nr. 2 supplement).

W r. 1780 ochrzczono męż. 1808, żeń. 1758, razem 3566. Umarło dorosłych męż. 856, żeń. 647, razem 1503, dzieci 1183 i 1208, razem 2391. Umarło wszystkich 3894; ślubów było 839. Nawróciło się do katolicyzmu osób 53, żydów ochrzczono 15. (Gaz. Warsz. 1781. nr. 1).

W r. 1781 ochrzczono dzieci 1940 i 1898, razem 3838. Umarło dorosłych 987 i 618, dzieci 1537 i 1287, razem wszystkich 4429; ślubów 911. Nawróciło się dysydentów 12, żydów 22. (Gaz. Warsz. nr. 1 suppl.).

W r. 1782 ochrzczono dzieci 1784 i 1781, razem 3565; umarło wszystkich 4684; ślubów było 820, nawróceń 37. (Gaz. Warsz. nr. 1).

W r. 1783 ochrzczono dzieci męż. 1996, żeń. 1738, razem 3734. Umarło dorosłych męż. 809, żeń. 545, razem 1354, dzieci 878 i 778, razem 1657. Umarło wszystkich 3011; ślubów 799; nawróceń męż. 14, kob. 10. Prócz tego żydów m. 12, k. 9.

W r. 1784 ochrzczono 1571 i 1452, razem 3023, umarło dorosłych 746 i 702, razem 1448, dzieci 1124 i 1074; razem 2198; umarło wszystkich 3046; ślubów 837. (Gaz. Warsz. 1786 nr. 5).

W r. 1785 ochrzczono 1735 i 1668, razem 3403; umarło dorosłych 678 i 501, razem 1179, dzieci 707 i 747, razem 1454; umarło wszystkich 2633, ślubów 949, żydów nawróciło się męż. 10, kob. 7. (Gaz. Warsz. 1786, nr. 5).

Jeżeli podane liczby nie zmienią się potem w stosunku, i jeżeli jednakowo rosta i upadła ludność Warszawy, to za czasów Poniatowskiego najludniejsza parafia w Warszawie była Święto-Krzyżka, potem szła Panna Marya, potem św. Andrzej, św. Jan i na końcu Ujazdów. Bystro stolica wzrastała w ludność aż do czasów sejmku wielkiego. Widzimy po św. Andrzeju przykład do r. 1783; było u spowiedzi w tej parafii osób 7750, a w r. 1790 już 10,100, już o 2350 różnica. Narost szedł ciągle, i dopiero z wojną 1791 r. zaczął upadać.

Bartsch nie był autorem, ale zrodził się na bibliotekarza. Miał pamięć ogromną, miłość do ksiąg niezmierną.

Kiedy był bez zajęcia, właśnie po Grodzickiego śmierci, parafianie uprosili biskupa, i Bartsch został komendarzem Sgo Andrzeja, a wreszcie już w r. 1805 rzeczywistym proboszczem. Miał wtedy 50 kilka lat wieku.

Biegły w dziejach świata, Bartsch znał i sprawy kościoła. Roztropny i pobożny, skromny i cichy, miał gorliwość Grodzickiego i pilnie chodził około pracy zbawienia. Był więc dobrym pasterzem, i święcie przestrzegał obowiązków swego urzędu. Potrafił też choć w części Grodzickiego zastąpić, i zjednać sobie przywiązanie parafii.

Władza duchowna zrobiła go po kolei examinatorem młodych księży, potem sędzią prosynodalnym i cenzorem. Dostał też Bartsch i kanonią honorową łeczycką; godność o którą się nie ubiegał, o którą nie prosił.

Jako proboszcz Sgo Andrzeja, spłacił około 7000 złp. długu, które zostawił po sobie Grodzicki; nadto z dochodów parafii własnym nakładem postawił nowy dach nad kościołem i domem mieszkalnym, bo dawny groził ruiną. Nazywano go dlatego, i słusznie, odnowicielem probostwa. (*Instaurator praepositurae*).

Był pasterzem wielkiej parafii w Warszawie, w czasach bardzo krytycznych. Ciągłe przechody wojsk przez miasto, utrzymywały jakąś tymczasowość: nieraz kwaterą po domach rozstawiono żołnierzy pruskich, a trzeba ich było podejmować i myśleć o ich wygodzie. Bartsch znosił ciężary jak obywatel osiadły w kraju, mający nieruchomość w mieście; ale też czuwał nad nimi jako ojciec duchowny.—Katolikom zanosił słowo wiary, biędnych i ubogich pielegnował, żywił własnym kosztem. Był rządny, miał więc ciągle dochody; do niczego się nie wziął, jeżeli wprzód srodków i skutków nie obmyślił. Stały w postanowieniu, szczery w przyjaźni, był wylany dla tych, co potrzebowali. Nigdy żaden nędzarz od jego progów bez wsparcia nie odszedł. Mówili o nim wikaryusze jego po śmierci, że był prawdziwie wzorem miłości, jaką opisał Paweł apostoł w liście do Koryntyan w rozdziale 13. Sąd to nie podejrzany, bo wydany po śmierci Bartscha. Kochał proboszcz cześć domu Bożego, w którym zostawił widoczne ślady swojej pobożności. Lat 30 łagodnym słowem przemawiał z kazalnicy. Do ostatniej chwili życia poświęcał się z zapalem nauczaniu ludu, i wskazywaniu mu prostych dróg zbawienia. Miał wielką w mówieniu łatwość i dar jasnego wyłożenia

myśli; nabył téj wprawy przez ciągle przestawanie z księgami, których aż do śmierci nie rzucił. A czytał wiele, niezmiernie wiele; całą literaturę starożytną i polską znał na palcach, i mógł się jéj nauczyć wybornie w bibliotece Zaluskich: pomagała mu do nabycia tytu wiadomości w językach, umiał bowiem doskonale po łacinie, po polsku, po francuzku, po niemiecku i po grecku; każdym językiem mógł biegle mówić i pisać.

Nie dospał nocy, a życie całe w pracy spędził; był umiarkowany i wstrzemięźliwy, jadł tyle, żeby uspokoić głód, pił tyle, żeby ugasić pragnienie; nic więcej. Ciągłą tą pracą wyniszczył się i stracił na siłach. Księgi parafialne prowadził porządnie i wzorowo, sposobem Wyrwicza. Nie ma tam już w jego notatach wiele pamiętek szlacheckich i genealogii, ale jest treść, jest jasność. Zapisy jego w aktach są wszystkie porządne i interesujące; zapisy wikaryuszów pozbawione życia. Pisał téż sam wyraźnie i pięknie.

Phtysis zniszczyła Bartscha. Nie słuchał przestróg dawanych mu ze szczerości lekarzy; nikał więc coraz bardziej, nikał powoli, aż wreszcie umarł po ośmiu latach pasterskiego urzędu, dnia 26 stycznia 1810 r.; żył lat 63. Na pamiętkę tych zasług, niemiecki wikaryusz kościoła wpisał o nim w akta zejścia tę krótką pośmiertną jego pochwałę, którąśmy tutaj przytoczyli. Bartsch żadnych po sobie pism nie zostawił; z uczonością swoją poszedł do grobu.

Za niego dnia 11 grudnia 1803 r. umarł na suchoty Wojciech Komorecki, zasłużony od r. 1785 wikaryusz Sgo Andrzeja, w roku życia 50. Był żywy i prędki w postanowieniu: kaznodzieja dobry, łagodny w obejściu się, dla ubogich miłosierny; płakali go także wszyscy. A po Bartschu umarł już Jan Powahl, jeszcze Grodzickiego pomocnik, starszek siwy, dnia 27 maja 1812 r.; ten ze starości skończył życie. Pochowani obadwaj na cmentarzu swojej parafii na Powązkach, gdzie i Bartsch spoczął na wieczność. (1)

Czwartym proboszczem Sgo Andrzeja został kanonik katedralny warszawski, Maciej Węgierski, potomek dawnéj rodziny, z której pochodził sławny dowcipem i gustem za króla Poniatowskiego, Kajetan starosta korytnicki. Już w roku 1811 objął probostwo, w czasie którego dostąpił wysokich w kościele godności: został dziekanem metropolitalnym, kawalerem orderu ś. Anny i ś. Stanisława. Naj-

(1) Zdaje się, że Bartsch był synem Bartscha dyrektora loteryi, którą zaprowadzono w Warszawie w ostatnich latach panowania Augusta III. Przyjechawszy z ojcem z Warmii, w stolicy mógł wstąpić do zakonu Jezuitów. Rodzina Bartschów była zresztą zasłużoną od dawnych lat zakonowi.

dlużej ze wszystkich proboszczów Śgo Andrzeja pełnił obowiązki pasterskie, bo lat 26 prawie. Umarł w starości za naszych już czasów 1836 r., tylko co przed nominacją na arcybiskupa Stanisława Kostki Choromańskiego.

Za niego zakończyła się druga epoka dziejów kościoła Śgo Andrzeja w roku 1818. Kiedy gmachy Marywilskie zajmowano na budowę nowych okazałych gmachów, probostwo przeniesiono do kościoła księży Reformatów, a mury Śgo Andrzeja oddano wynoszącym się z Marywilu Kanoniczkom. Zatem w pierwszym wieku swojego istnienia, dom Boży założony przez Potockiego prymasa, trzy wielkie przeżył chwile, trzy przesilenia: z zakonnego stał się parafialnym, z parafialnego znowu niby zakonnym.

Krótko żył, a wiele już widział czasów, wiele razy oddychał nadzieją i wracał znowu do dawniej spokojności, do dawnego jakby odretwienia. W tym przeciągu, lata od roku 1774 do 1818 były dla niego najwięcej znaczące, a czas Grodzickiego czasem największej pomyślności, największych na przyszłość nadziei.

Powiemy o losach kościoła za Kanoniczek w następnym rozdziale. Tutaj musimy skończyć o parafii, żeby powiedzieć wszystko, co się da jeszcze powiedzieć.

Po śmierci Węgierskiego, ksiądz kanonik metropolitalny Michał Wierzbowski miał zostać proboszczem Śgo Andrzeja, mianowany na ten stopień przez arcybiskupa Choromańskiego. Ale rząd sprawę tę odniósł do Rzymu, bo zaprojektował, żeby wiecznemi czasy probostwo Śgo Andrzeja przeznaczyć na uposażenie suffraganów warszawskich. Bullą swoją z d. 11 grudnia 1830 r. przyzwolił na to papież Grzegorz XVI. Odtąd probostwo Śgo Andrzeja ma zostać jakby infuacją, siedliskiem biskupów.

Pierwszym takim proboszczem był Tomasz Wieniawa Chmielewski, proboszcz katedralny plocki, sufragan warszawski, biskup gracyanopolitański, zmarły w Warszawie w lipcu r. 1844. Że zaś z jego śmiercią zaważowała godność sufragana stolicy, probostwo z administracją dostał kanonik metropolitalny Jakób Szarkiewicz, niegdyś professor w uniwersytecie warszawskim, a potem w akademii duchownej. I ksiądz Szarkiewicz świat ten pożegnał dnia 30 września 1846 r. w Warszawie, w roku 71 życia.

Parafia Śgo Andrzeja od czasu swojego założenia wzrosła ludnością znakomicie: w roku 1774 za Wyrwicza miała 6,000 mieszkańców, w roku 1787 już 9,000. Widzieliśmy jak rosła ta ludność w miarę wzrostu Warszawy. W roku 1790 do spowiedzi wiel-

kanoncj przystępowało już przeszło 10,000 osób. Klęski i wojny to raz podnosiły, to zniżały tę liczbę. Ale za czasów królestwa polskiego, kiedy od roku 1815 nastąpiła spokojność, a miasto coraz więcej rozwijać się zaczęło, parafia Śgo Andrzeja znowu ludnością tak narosła, że dzisiaj największym i najdawniejszym parafiom Warszawy zrównać może. W roku 1820 liczyła dusz 15,086, w roku 1844 dochodziła do liczby 19,010; dzisiaj już i tę liczbę przechodzi.

(Część trzecia i ostatnia nastąpi).

Wiadomość o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie, przejrzanych po niektórych bibliotekach i archiwach zagranicznych, a zwłaszcza rzymskich w latach 1846 i 1847.

PRZEZ

Alexandra Przezdzieckiego.

(Dokończenie).

V.

Biblioteki Medyolańskie, Parmeńska i Florenckie (1).

I. Medyolańskie.

W Medyolanie są dwie znakomite biblioteki publiczne: jedna *Ambrosiana*, fundacyi kardynała Fryderyka Boromeusza (krewnego św. Karola); druga przy akademii sztuk pięknych, w pałacu *Brera*. W pierwszej zwłaszcza jest dość rękopismów, tyjących się rzeczy polskich.

I. Biblioteka *Ambrosiana* (2). (Numerów 13).

D. 172, (Pars Inf.). *Artykuły* żądane od Polski r. 1596, co do ligi przeciw Turkom (po włosku).

D. 208, (P. I.). *Miscellanea Polonica* (1557—1595).

1) *Dyalog* o elekcyi króla, między Polakiem a cudzoziemcem (*Dialogus (Sarmati) de Regis Poloniae electione inter Polonum et peregrinum*).

(1) Przy zdarzonej zrzęcnosci zwiedzenia części Włoch północnych, mogłem dodać wiadomości bibliograficzne z kilku bibliotek więcej, nad te, które ogłoszone zostały we wstępie. Ob. Bibliotekę Warszawską na r. 1847, poszły na lipiec, październik i listopad.

(2) Katalog Mss. jeszcze nie spisany, i z trudnością mógł uprzejmy bibliotekarz tomy, w których zawierają się rzeczy polskie, (po części w dziele p. Ciampi wskazane) odszukać.

2) *Posła francuzkiego* de Montluc, mowa do stanów polskich, na sejmie warszawskim.

3) *Warunki* przez Karola IX króla francuzkiego Polakom podane, jeśli zechcą brata jego Henryka, królem obrać; (wraz z ich refutacją).

4) *Propozycje* posłów czeskich.

5) *Poselstwo* margrabi brandeburskiego do Polaków, w celu utrzymania swoich przywilejów.

6) Ewangelików polskich żądaniu, posłom króla francuzkiego podane w Płocku 15 maja 1573 r.

7) Pakta pomiędzy Polakami a królem Henrykiem, zawarte 16 maja 1573 r.

8) Akta elekcji króla Henryka.

9) List Henryka do Polaków, za powrotem do Francyi, i odpowiedź Polaków, 18 września 1574 r.

10) Relacya z sejmu elekcyjnego cesarzowi Maxymilianowi uczyniona, 10 lipca 1575 r., i List nuncyusza przy dworze cesarskim (*po włosku*).

11. List Stefana Batorego elekta do Polaków, z potwierdzeniem paktów konwentów, z Kamiony 6 maja 1575 r.

12) Niektóre punkta traktowane pomiędzy królem polskim a Gdańszczanami, r. 1577 (*po włosku*).

13) Zarzuty (*Obiectiones*) przeciw królowi polskiemu (Zygmuntowi Augustowi) ze wszelką wolnością spisać się mające (*libere scribendo*).

14) Listy Zygmunta Augusta do Bernarda Bonioanni, bis. di Camerino, nuncyusza w Polsce, z 6 marca i 27 paźdz. 1561 i 2 sierpnia 1562 r.; a królowej Katarzyny do tegoż z 23 lutego 1563 r. W *piérwszym* wymawia się z tego, że biskupi polscy nie mogą udać się do Trydentu na sobor, dla spraw krajowych; ale opatów na synodzie warszawskim zebranych, chciałby tam posłać. W *drugim* dziękuje za list kardynała Karola Boromeusza, z którego widzi, że papież starania czynił w interesie jego (zapewne sukcesyi po matce) u króla hiszpańskiego. W *trzecim* usprawiedliwia biskupa chełmińskiego, nominata gnieźnieńskiego, z zarzutów nieprawowierności.

15) (*) *Relacya o Polsce* nuncyusza Bernarda Bonioanni, bis. di Camerino z r. 1560 (1).

(1) Ta sama, która znajduje się po wszystkich niemal bibliotekach rzymskich.

- 16) Listy sultana tureckiego do cesarza, 15 stycznia 1576 r. a Mehemeta paszy 30 stycznia tegoż roku, prosząc, aby nie mieszał się do spraw polskich.
- 17) Listy Jana króla szwedzkiego i królowej Katarzyny do Stefana Batorego, z d. 20 i z 8 lipca 1582 roku, co do Estonii i pokoju z Moskwą.
- 18) Relacya o legacyi moskiewskiej do Polski; z Wrocławia 28 czerwca 1581 r.
- 19) Rozruch tatarski z roku 1583. (*Tumultus Tataricus*).
- 20) O rzeczach polskich; z Paryża r. 1573 (*po włosku*).
- 21) List Stefana Batorego do kardynała bis. warmińskiego, (Hozyusza), z d. 4 lutego 1578 r. z Warszawy. Oświadcza w nim gorliwość swoją dla wiary katolickiej, ale co do wytępienia herezyi, sądzi, że to byłoby niewczesnym lekarstwem, któreby, broń Boże, wojnę domową sprowadzić mogło. „*Intempestivis remediis ac violentioribus attractionibus exacerbari magis et irritari quam curari videantur*”.
- 22) Rozprawa o nowój elekcji króla polskiego (*po włosku*).
- 23) Artykuły pokoju pomiędzy arcyks. austryackimi a królem polskim. 9 marca 1589 r. zawarte (w *Będzynie*).
- 24) List bis. Massy, (Alberta *Bolognetti*) nuncjusza w Polsce, do kardynała di Como, sekretarza stanu, z Warszawy 14 sierpnia 1582 roku, o zdaniu króla Stefana co do ligi przeciw Turkom (*po włosku*).
- 25) Przywileje i Constitucie sejmu walnego koronacyi królewskiej r. 1588. W Krakowie, z drukarni Łazarzowej, 1588 roku (*po polsku*).
- 26) Relacya o uwolnieniu arcyks. Maxymiliana.
- 27) Medyka i astrologa krakowskiego *Reticus*, pytanie: czyli panowanie tego monarchy długie będzie, i czyli pod innym rząd będzie lepszy; 1 kwietnia 1563 r. (*Quaestio utrum istius Principis est diu duraturum imperium; an sub alio melior futura gubernatio?*)
- 28) List Jana Zamoyskiego do kardynała Cyntyusza Aldobrandini, z 12 sierpnia 1594 r., o przejściu Tatarów przez Pokucie (*De transitu Tartarorum. Druk w Krakowie t. r.*).
- 29) Mowa posłów węgierskich do Zygmunta III, na sejmie krakowskim niana, 2 marca r. 1595. (Druk. w Krakowie t. r.).
- 30) Mowa posłów Rudolfa cesarza do Zygmunta III, na sejmie, 27 lutego 1595 r. (Druk. w Krakowie t. r.).
- 31) Odpowiedź posłów polskich, na poselstwo cesarza Maxymiliana, 12 kwietnia 1573 r.

32) (*) *Relacya o Królestwie Polskiem* nuncyusza Aloizego Lipomana bis. Werony, z r. 1557, (po włosku; niekompletna).

4. 155) (P. I. Nr. I) O stanie religijnym i politycznym królestwa szwedzkiego, i o tém, co nastąpiło gdy Zygmunt III udał się tam dla objęcia rządów; oraz o Szwecyi, o Polsce i t. d., (po włosku, podobno O. *Possewina*).

Nr. 2) *Instrukcyja* nuncyuszowi do Polski bis. di Reggio (*Rangoni*), z roku podobno 1603 (po włosku) (1).

Nr. 7. *Instrukcyja* kardynałowi *Caetani* legatowi do Polski, 13 kwietnia 1596 r. (po włosku).

P. 215 (P. I.) *Instrukcyja* kardynałowi *Caetani*, co do ligi pomiędzy cesarzem, królem polskim i ks. siedmiogrodzkim, przeciw Turkom. 13 kwietnia 1596 r. (Odnosi się do instrukcyi danój w styczniu tegoż roku Benedyktowi *Mandino*, bis. di Caserta) (po włosku).

Q. 115 (P. I.) List króla polskiego do stanów belgijskich, i odpowiedź stanów, z Hagi 22 lipca 1596 r.

Odpowiedź królowej angielskiej na mowę posła polskiego (Działyńskiego) (2).

Q. 120 (P. I.) *Relacya o Polsce* opata *Ruggieri*, z r. 1568 (po włosku).

R. 94) (Pars. Super.) Nr. 4) Borysa Fedorowicza W. ks. moskiewskiego list do Aloizego *Cornelio* patrycyusza weneckiego. Dziękuje mu za przysłanych uczonych ludzi i zaprasza do siebie. (Druk. w *Ciampi Bibl. Criti.*).

Nr. 5) List rektora nowój akademii zamoyskiej, do akademii padewskiej o nowój chorobie kołtunie (*plica polonica*).

Nr. 7) Pakta konwenta pomiędzy stanami polskimi a Maxymilianem cesarzem, obronym królem polskim, 17 grudnia 1575 r.

Nr. 8) (*) List Stefana Batorego do hana tatarskiego. Oznajmuje mu o swojej elekcyi i prosi, aby więźniów polskich za okupem uwolnił. 24 grudnia 1575 r.

Nr. 9) List Amurata sultana do stanów polskich, polecając im elekcyą Stefana Batorego; ostatniego września 1575 r.

Nr. 10) List Polaków do cesarza o sejmie elekcyjnym. 15 grudnia 1575 r.

(1) Instrukcyi tej w żadnej innej bibliotece nie widziałem.

(2) To samo znajduje się w obszerniejszej negocyacyi Działyńskiego w *bibl. Vatic. Mss. Urbin.* 867.

Nr. 11) Odpowiedź cesarza Maxymiliana na list stanów polskich.

Nr. 12) Mowa Jerzego Blandraty do stanów polskich, za Stefanem Batorym ks. siedmiogrodzkim.

Nr. 13) Wyciąg z artykułów roztrząsanych na zjeździe w Andrzejewie, 18 stycznia 1576 r. (po włosku).

R. 109 (P. S.) List Henryka Walezyusza króla francuzkiego i polskiego do stanów polskich r. 1574.

R. 113 (P. S.) 1) O sprawach polskich po śmierci króla Stefana, aż do podwójnej elekcji. (*Rzecz Possewina. Druk. w Ciampi Bibl. Crit.*).

2) Korrespondencya Possewina. Do rzeczy polskich odnoszą się dwa listy: a) *Wincentego Corbanti* do *Possewina*, z Pragi 9 czerwca 1587, w którym mu donosi, że rozrzucił kopią listu jego do arcyks. Maxymiliana, dla zbitia potwarzy rzuconej na *Possewina*, jakoby on nie okazał się gorliwym dla domu austryackiego, w interesie elekcji (po włosku). b) *Possewina* do arcyks. *Maxymiliana*, z *Brunsburga* w kwietniu 1587 r. Tłumaczy się, że jadąc do Prus w interesie zakonu, ani za królewiczem szwedzkim listy pisał, ani nawet chciał widzieć się z królową, przejeżdżając przez Warszawę. Co do elekcji, idzie mu jedynie o to, aby nastąpiła za zgodą powszechną, i padła na króla katolika; a to nie mocą pieniędzy, ale z woli Bożej, bo nie utrzyma się budynek na kruchych fundamentach wzniesiony: „*non stabit aedificium, quod caducis fundamentis nitetur*”.

R. 115 (P. S.) Wiersz łaciński na przyjazd królewicza Władysława do Rzymu, r. 1623. (Druk. w *Torrighio: Le sacre grotte Vaticane* (p. 206).

R. 119 (P. S.) Warunki pokoju przez króla polskiego, posłom moskiewskim podane, w czerwcu 1581 r.

R. 121 (P. S.) 1) Rozprawa o elekcji nowego króla, r. 1587, przez *Horacego Spannocchi* (po włosku).

2) Relacya Filipa Persztyna posła cesarskiego do Moskwy, w r. 1579 (po włosku).

3) *Relacya bezimienna o Moskwie*. (Początek: *Dovendo descrivere lecose..... koniec: et io a Dio vilascio Laus Deo*) (po włosku).

4) *Rozprawa o Moskwie* (po włosku).

S. 78 (P. S.) 1) Mowa Mikołaja Firleja z Dąbrowicy, woje. krakowskiego, do cesarza miana, po zaprzysiężeniu paktów przez tegoż (r. 1597).

2) (*) List Jana Zamoyskiego do arcyks. Maxymiliana o zwłocę co do jego uwolnienia. 20 lipca 1589 r.

3) Sukcessa polskie, aż do wzięcia w niewolę arcyks. Maxymiliana (od nominacyi elektów, a zwłaszcza od 14 paźdź. 1587 r.), z Krakowa, 6 lutego 1588 r. (po włosku). Mss. spółczesny, a nazwiska polskie, inną ręką, tegoż wieku, poprawione.

4) Sukcessa arcyks. Maxymiliana pod Krakowem.

5) List arcybiskupa gnieźnieńskiego do króla polskiego, o obrzędach heretyckich, obchodzonych na pokojach jego siostry.—Odpowiedzi króla i królowej Anny Jagiellonki, tłumaczące się z tego.

6) List Jana Zamoyskiego do kardynała Aldobrandini z Zamościa 27 września 1588 r. o traktacyi pokoju z Austryą, a przy końcu wynurzenia wspaniałych uczuć z powodu śmierci córki jedynaczki: „De aliis rebus quid scribam non habeo, nisi quod proxima die 27 mensis hujus filiola unica mihi obierit; quo casu, et si non possum negare, me non mediocriter ictum esse, tamen et cum in omnibus rebus humanis vicissitudines intervenire soleant, et praecipue mihi post laeta, aliquid semper adversi accidisse observaverim; ita casum eum fero, ut defunctum me potius fortunae hac invidia gaudeam, quam Deum omnium et commodorum et incommodorum auctorem accusem, *potius que privata hac calamitatae, publicam si quae reipublicae imminebat redemisse me sperem*” (1).

7) Mowa posłów szwedzkich na sejmie warszawskim.

8) List sultana tureckiego do stanów polskich, aby z nieprzyjaciół jego (Niemiec, Francyi, Hiszpanii, Anglii i Moskwy) króla nie obierali. 22 czerwca 1587 r.

9) *Wolfganga Covachich* kanclerza siedmiogrodzkiego mowa w obozie pod Warszawą miana. 14 sierpnia 1587 r.

10) Posłów elektorów cesarstwa mowa na sejmie elekcyjnym miana.

11) Klemensa *Severiani* mowa za arcyks. Ernestem.

12) Klemensa *Severiani*, cenzura mowy Łukasza Chwałkowskiego, na pochwałę królewicza szwedzkiego mianej.

(1) W niepewności czyli ten list Zamoyskiego jest lub nie jest drukowany, nie mogłem wstrzymać się od umieszczenia tu w tekście, i w tłumaczeniu polskich słów, malujących całą wielkość duszy tego męża: „O innych rzeczach nie mam co donieść, chyba, że dnia 27 b. m. umarła mi córka jedynaczka. Lubo nie mogę zaprzeczyć, iż mnie ten wypadek ciężko dotknął; jednak ponieważ we wszystkich rzeczach ludzkich zmiany następują zwykły, a na sobie zwłaszcza uważałem, że po radosnych wydarzeniach zawsze mi coś niepomyślnego wypadło: wypadek ten noszę, raczej ciesząc się, że mi się pozbżył zawiści losu, aniżeli szemrząc na Boga; sprawcę pomyślności i nieszczęścia: *owsem tuszę sobie, że mi tą prywatną klęską, publiczną (jeśli jaka rzeczypospolitąj zagrażała), odkupił*”.

13) Ryszarda *Strain* (pod zmyśloném nazwiskiem Fausta Bonawentury) mowa za arcyks. Maciejem.

II. Biblioteka Brera. (Numerów 4).

A. Nr. 11 *Polonia*. Summaryusz wszystkich spraw tyczących się historyi politycznej polskiej od r. 1595 do r. 1597 (po włosku). Zaczyna się ten spis od 1) *Summa Consilii Guillelmi Brunssii de suscipiendo bello adversus Turcas*. Następuje potem spis rozmaitych listów nuncyuszów, stanów polskich, cesarza i innych osób, i spis rozmaitych dokumentów; 2) Brewe papieża do króla polskiego, upominające go, i strofujące o czynności kanclerza k. w. Mołdawii. 8 list. 1595 r. 3) Wiadomości z Polski, w których rozprawia się o śmierci i testamencie W. ks. moskiewskiego, i jak on sobie życzył mieć następcą po sobie arcyks. Maksymiliana. 4) List cesarza do Kozaków, względem ich nieprzyzwoitych postępów w Polsce.

D. Nr. 11. List polski o postępowaniu rzeszypospolitój polskiej w r. 1751 (*Lettre polonoise sur la conduite de la République de Pologne*).

Mss. IX, 17. Nr. 13) Instrukcyja kardynała Borghese nuncyuszowi do Polski *Simonetti* bis. z Foligno. 11 list. 1606 r. (po włosku). Między innemi poleca, by podatek świętopietrze, choćby na pożytek samego polskiego kraju, odnowić.

Nr. 14) List do bis. *Reggio Rangoni*, po którym *Simonetti* nuncyuszem został (po włosku).

Nr. NN.) List Augusta III w obronie Jezuitów.

Mss. VIII, 11. Nr. 9) Opisanie Szczecina na Pomorzu; Mss. z XVI wieku. Wspomina się w nim, że wiara chrześcijańska doszła tam w r. 1115 za sprawą Ottona bis. bamburgskiego, pod księciem Warcisławem i dwoma jego synami, którzy także w *Julinie*, to jest *Wolinie* biskupstwo ustanowili, a w Szczecinie poświęcono kościół św. Jakóbowi.

II. Biblioteka książęca w Parmie. (Numerów 6).

Z katalogu Mss. téj biblioteki, z kartek pod literami alfabetu złożonego, wypisałem następane rękopisma, tyczące się rzeczy polskich.

C. C. IV. 52—346—403. *Fannietum*. Zbiór wierszów miłosnych Kallimacha do Fannii Świętochny. Mss. wieku XV (1). Po

(1) Te same wiersze Kallimacha znajdują się w Mss. XV wieku *bibl. weneckiej S. Marka*, w dwóch Mss. *bibl. watykańskiej* i jednym *bibl. Barberini*.

przedza: *De Callimachi Experientis Fannieto commentariolum* (*). Dedykacja autora, Aynolłowi Thedaldi.

Mss. X, 22. Siemienowicza Kazimierza, *Ognie sztuczne (Ignes artificiales)*, dziełko wyjęte z jego *Ars magna*, wydane w Amsterdamie r. 1694. Mss. in 4to.

N. N. V. (numer tymczasowy) *Miscellanea z różnych relacyj.*

a). Memoryał podany Urbanowi VIII papieżowi przez księdza Orsi, rezydenta polskiego w sprawie promocyi kardynała *Visconti* (po włosku).

b) Prośba Władysława IV do papieża, aby Jozefata Kuncewicza do rzędu świętych męczenników zapisał.

(Bez numeru) *Instrukcyje różnym nuncyuszom, dane przez Mgr. Aguccio z rozkazu Grzegorza XV.*

1) (*) Instrukcyja nuncyuszowi do Polski Mgr. di Torres r. 1621.

2) Instrukcyja nuncyuszowi do polski Mgr. Lancelotti, r. 1622. (obie po włosku).

Do téj biblioteki książęcój, przybyła znakomita biblioteka *Rossi*, z samych Mss. hebrajskich z różnych czasów i narodów złożona. W katalogu drukowanym znalazłem dwa oznaczone: *Codices Poloni*, a jeden: *Codex Russicus*; obejrzałem je starannie i zdjąłem *fac-simile* z samego pisma i tytułów.

Cod. Polon. I. (Bibl. Rossi, II, VII, 175). *Estheris liber, Canticum Canticorum Ruth, Threni, Eccl.* Mss. na papierze z wieku XV w języku rabinicznym (*salique*) pisany. Przy końcu podpis: *Ani hasofer Abraham bar elia izi*; co znaczy: *Ja pisarz Abraham, syn Eliasza, niech żyje!* (1).

Cod. Polon. II (bibl. Rossi II, VII, 176).

1) Psalterz z tekstu hebrajskiego na język żydowsko-niemieckopolski przetłumaczony. Mss. na papierze r. 1510, pisany w Brescia, przez *Mojżesza*, syna Mardocheusza *Farlag* (Dicitur ad Calcem. Completus feria I die 21 Marcheovan an. 271 nim. supp. hic. Brixiae, dicit. Moses filius Mardochoaei Farlag. fel mem.).

Oto wyjątek z tego dzieła wraz z tłumaczeniem:

(1) W drukowanym katalogu Mss. hebrajskich bibl. Rossi wyczytałem, że to dwa rękopisma hebrajsko-polskie pisane są literami rabinicznymi w języku polskim. Nie znając liter rabinicznych, zdjąłem tylko, o ile umiałem, *fac-simile* z tytułów i zakończeń, dla przedstawienia ich znawcom języka hebrajskiego. Jakoż we Florencyi, udałem się do kawalera *Basevi*, niegdyś kanclerza gminy żydowskiej w Liwurnie; a ten z największą uprzejmością podjął się z pomocą uczonego młodszego liwurneńskiego rabina *Ehenamozes*, dać mi objaśnienia, które to umieszczam.

„Mode begen ich zu far dir got, mein got, *un got meiner mami*, das mein heiling in deiner gewald in mein tot in deiner gewald, in es sol sein wissin zu fer dir, das du solst mein teil ins gan eden in reinig mich Lolam haba, di du ist behaltin zu den zadikime. Amen.”

„Ja oznajmuję przed Tobą Boże, mój Boże, *i Boże mojej matki*, że moje wyzdrowienie jest w Twojej mocy, i moja śmierć w Twojej mocy, i niech to będzie wiadome przed Tobą, abys mi dał mój udział w ogrodzie Edenu, i oczyścił mnie do przyszłego świata, który zachowany jest dla sprawiedliwych. Amen. (1)“.

2) *Inne dzieło polskie* następuje bez tytułu i nazwiska autora, ale dokończzone w Mantui, XIII Sivan tegoż roku. Oto sam text:

„Da ich das buch uns schreib, du rechenst in Schwat las noch oder lengre sechs wochen jud gimel siwin 271. Lefag in muschwe”.

„Gdy ja tę księgę sobie piszę, ty rachujesz w miesiącu *Schevat*, daj jeszcze porachować sześć tygodni 13 miesiąca *Sivan*. 271 w *Muschwe* (2)“.

Cod. Russ. Liber Precum cum Calendario. Mss. XVI wieku na pergaminie (3). Rękopism ten dziwnego kształtu, składa się z dwunastu kart pergaminowych, od 1 do 6 włącznie we czworo złożonych, od 7 do 10 włącznie w sześcioro; a 11ta i 12ta znowu we czworo; tak, że format rękopismu jest małe in 12mo; nie otwiera się jak książka, ale karty spojone są z sobą jednym kantem skówką żelazną z kruczkiem do zakładania za pas. Pisany jest charakterem cyrylicznym w języku ruskim, ale zdaje się być tłumaczeniem z hebrajskiego. O ile mogłem wyczytać, na jedénastu kartach, są rozmaite kabalistyczne tłumaczenia dni tygodnia, miesięcy i pór roku; np. zaraz na pierwszój karcie:

„W deń łuni Adam bi sazden, ta deń dobar na wsedilo, siiety, woszcze sadyty, łowity, kupowaty, i prodawaty, u nowu rizu obłoczyty, uput' chodity, a czy ti pohinie obratese, rodise żywo, tay bud wol is cielie”.

(1) Zdaniem rabina liwurneńskiego, wyrażenie *Gott meiner mami* (Boże mojej matki), jak z jednéj strony barbarzyńsko zepsutym językiem pisano, tak z drugiey strony, pisarzom żydowskim jest obce.

(2) Wedle rabina liwurneńskiego, ta data wypada na lat około 335 wstecz, a zatem na rok ery chrześcijańskiej 1512; może dokładniejszy jest rok 1510 w *katalogu Mss. hebrajskich bibl. Rossi*. Ale *in Muschwe* czy nie znaczy raczej w *Moskowie* niż w *Mantui*? Rozwiąże to może jaki znawca języka hebrajskiego, mając pod ręką text oryginalny w Parmie.

(3) Tak jest oznaczony w katalogu drukowanym.

Na czwartej karcie na miesiąc kwiecień jest przepowiednia, że jeśli urodzi się chłopiec (otraże), to będzie miał łeb żelazny (*bude lip z zeliza*), a jeśli dziewczyna (diwica), to męża pochowa (muża pohrebe) i za drugim będzie.

Na ostatniej karcie powtarzają się ciągle litery *a, w, g, d, e, z*, a przy niektórych są takie napisy:

Smert wana Stipana (1).—*Smert krala Twertka*.—*Smert krala Dawisza*.—*Izhoń krala Ostoje*.—*Poboy Ulaszwi*.—*Smert Cherji*.—*Petra ubisze kral Twert jako izde isturik*.

Pomiędzy drukami biblioteki parmeńskiej, znajduje się znakomity zbiór kompletny owych pysznych wydań *Bodonięgo*, które Napoleon przekładał nad druki Didota. Pomiędzy niemi jako wzór druku polskiego jest:

Świątynia Wenery w Knidos (tłumaczenie z Monteskiusza), w Parmie, w drukarni *J. B. Bodoni*, 1807 r.

Pomiędzy włoskimi drukami:

Księża Moreali Widzenie poetyczne, przypisane Stanisławowi Augustowi królowi polskiemu, W. ks. litewskiemu, w pierwszą szczyśliwą rocznicę konstytucyi polskiej, t. j. 3 maja 1792 r.

III. Biblioteki Florenckie.

Ze wszystkich miast włoskich po Rzymie, Florencyja ma najwięcej bibliotek bogatych w rękopisma. Taką jest znakomita biblioteka *Lorenzana* przy kościele śgo Wawrzyńca; *Magliabecchiana* w pałacu degli Uffizii; *Riccardiana*, nakoniec *Marucellana*; wszystkie publiczne, we wszystkich znalazłem rękopisma dotyczące się rzeczy polskich. W pałacu *Pitti* jest biblioteka prywatna wielkich książąt tokańskich, zwana *Palatina*, bogata zwłaszcza w autografy znakomych pisarzy florenckich. Po wielu domach dawnych rodzin florenckich, są biblioteki i archiwa ciekawe: w bibliotece margrabiów *Ginori* jest wiele Mss. dotyczących się rzeczy polskich. Ale najobfitszym źródłem dla dziejów naszych jest bez wątpienia archiwum Medyceuszów, (*archivio Vecchio Mediceo*). Rodzina Medyceuszów, nawet nim panującą została, miała obszerne korespondencye z całym

(1) Ban *Stepan* bosnijski. Córkę jego Elżbietę poślubił w 1353 r. Ludwik król węgierski; a brata jej *Twertka* ozdobił godnością króla bosnijskiego około roku 1369. W r. 1411 rządził tym krajem *Twertko II. Ostoja Chrysticz*, był także królikiem Bosnii, i sprzymierzeńcem Stefana Łaskowicza Wdy siedmiogrodzkiego. (Ob. *Wapowskiego* kronikę, tłumaczenie *Malinowskiego*. T. I, p. 319 w przypisku).

A więc jestto kalendarzyk Słowian południowych, zapewne w języku serbskim pisany.

światem. Objąwszy zaś rządy, utrzymywali po wszystkich dworach agentów, którzy codziennie niemal donosili panom swoim o najmniejszych wydarzeniach politycznych, z krajów, w których przebywali. Ogrom materyałów nie pozwolił dotąd objąć ich zupełnie dokładnym katalogiem. Wiele już zrobiono jednak, a więcej jeszcze spodziewać się należy po świetlnej gorliwości archiwisty pana *Moise*, który sam był w Polsce, i obiecał szczególną uwagę zwracać na wszystko, coby się do rzeczy polskich znalazło, w przerzucaniu plik i układaniu materyałów do nowego katalogu (1).

I. *Biblioteka Lorenzana*. (Numerów 7).

Pluteo XVI Cod. 12) Traktat akademii krakowskiej o władzy soborów powszechnych, oraz przystąpienie téjże akademii do soboru bazylejskiego i do papieża (antypapieża) Felixa V. (*Tractatus alme Universitati Cracoviensis, super autoritate sacrorum generalium Conciliorum*). Mss. XV wieku (in folio) (2).

Pl. XVI C. 11) Dekreta soboru bazylejskiego. Mss. XV wieku in folio p. 30 (Sessio XXXIII) Litterae Regis Polonie retinere nolentis pecunias indulgentiarum Archiepiscopi Ruthenorum tanquam venientis ad Concilium.

Pl. XXI C. 31) *Marcina* z *Ilkusza* kantora S. Floryana, sposób zreformowania kalendarza rzymskiego. Mss. wieku XVI in quarto. Kalendarii Romani quoad Equinoctium et decennovennalem aureum Cyclum prorecte Pasche observatione, verissimus reformationis modus; cum additione duplicis kalendarii, secundum duplicem Equinoctii Ecclesie magis congruam locationem: in quorum utroque duplex ordo Aurei numeri, pro Neomeniis designandis; unus secundum antiquam observationem qua huiusque usa est Ecclesia, et alius a novo principio videlicet ab Anno Domini 1507, inchoatus regulariter; est inscriptus: *Ex Studio Cracoviensi*. Dedykacya rektorowi akademii krakowskiej Janowi *Amicino* bis. laodycejskiemu:

„R. in Christo Patri D. Joanni Amicino Ep. Laodicensi, ac Rectori Univ. Studii Cracov. ceterisque ex Universitate Patribus et ma-

(1) W archiwum Medyceuszów pracował długo zasłużony professor uniwersytetu warszawskiego, i korespondent K. R. Oświeceni, Sebastian *Ciampi*, i z niego miał wypisane owe listy i inne dokumenta, drukowane po różnych dziełach jego, a przedrukowane później w jego *Bibliografio-critica*. Wiedząc, że żyje dotychczas w okolicy Florencyi, odwiedziłem staruszka; ale z wielkim żalem moim zastąpił go w stanie zupełnej nieprzytomności umysłowej; zdzieciniał i oddany został w kuratelę, w której na początku 1848 roku życie skończył.

(2) Ten sam traktat znajduje się w *Bibl. Vatican.* Mss. *Ottobon.* 32, p. 103, a z Mss. Florenckiego drukowany w *Allegrini Novae Erudit. Dalic.* Floreul. 1788.

ioribus, Martinus de Ilkusz artium et sacre Theologie Doctor, Cantor Ecclesia S. Floriani, cum humili obedientia salutem dicit". (Wspomniany rok 1516).

Pl. XXXIX Supl. 73). Wiersze Kallimacha. Callimachi Carmen heroicum ad Franciscum Ugolinum et alia.

Pl. L XV. C. 58) Marcina Polaka kronika. Mss. XV wieku (bez bajki).

Pl. LXXVI C. 51) Różne dziełka Piotra Illicinus prawnika (1). p. 1) Dedykacya D. Mediceo, ex Hungoria Idib. Maii 1561. p. 38—112). Mowa w Krakowie miana, *O wychowaniu młodzieży*. De malorum nostrorum causa et de iuventutis instituendo cura, eiusdem Autoris sermo in Regno Poloniae, Cracoviae factus. (Same ogólniki).

Pl. XCI Supl. 42). Kalimacha *Elegie do Fannii Świętochny*. Mss. XV wieku. Callimaci poetae Clarissimi ad Fanniam Svethocam. Elegiacum carmen feliciter incipit. (2).

II. Biblioteka Magliabecchiana. (Numerów 21).

Class. VIII. Cod. 48 (Nr. 17 p. 155) Wiadomości z obozu polskiego przeciw Tatarom. 29 wrześ. 1595 r. Wyprawa Zamoyskiego na Wołoszczyznę.

Cod. 74 p. 121) *List* królowej Bony do kardynała Puteus arcybis. barskiego, skarżący się na oficynała barskiego, za to, że w kilku interesach, na jęj wstawienie się względu nie miał. Z tego powodu oskarża księży barskich o gorszące obyczaje. Z *Ben* 23 paźdz. 1557 r. *Odpowiedź* kardynała z *Rzymu* 13 listop. 1557 r. Z wielką godnością tłumaczy oficynała, obiecuje wejrzeć ściśle w prowadzenie się księży, i dodaje, że doniósł Ojcu Sw.: 1) O wojnie inflantskiej koniecznej, ponieważ król JM. został niesprawiedliwie zaczepionym; 2) o przeniesieniu bis. chełmińskiego na bis. kujawskie; 3) o koadjutorji gnieźnieńskiej dla podkomorzego chełmińskiego. To ostatnie najtrudniejsze, ponieważ nie ma na kogo spuścić się co do osoby podkomorzego. Prosi przeto królowę, aby nie odmówiła dać o nim wiadomości, jakie samo posiada. (Oba listy drukowane w *Ciampi, Notizia dei Leoli XV et XVI*).

Class. XXIV Cod. 4) *Anonyma*, zbiór aktów dowodzących, że Francya podburzała Węgrów i Turków na cesarstwo (po włosku).

(1) Był professorem literatury greckiej w akademi krakowskiej, po śmierci Jerzego Libanus. Szlązaka, przy końcu panowania Zygmunta I.

(2) Ten sam wiersz znajduje się w bibl. *Barberini* Mss. 1731.

1) Odkryty spisec Francyi (*Lascoperta Cabala della Francia*).

2) Mowa rezydenta cesarskiego, *Zierowskiego*, na publiczném posłuchaniu u króla polskiego; miana w obecności posłów króla francuzkiego i innych monarchów, w Jaworowie, 6 paźdz. 1682r. (1).

3) Memoryał tegoż i korespondencya hrabiego Tekely z postem francuzkim Du Vernay.

Cod. 29) *Historya polska* przez Mgr. *Giovanni Ciampoli*. Autor, po długim wstępie, w którym wiele o Szwecyi pisze, rozwodzi się nad panowaniem Zygmunta III, wychwala gorliwość w wierze tego króla, i o początkach panowania Władysława IV wspomina. Mss. in 4to, po włosku pisany, zdaje się że *autograf*. (Druk. w Rzymie 1667 r.

Cod. 53, p. 299. Księdza Jakóba *Fantucci* (audytora nuncjatury polskiej), relacya o sposobie elekcji króla polskiego, następcy Jana Kazimierza.

P. 309. Sebastyana *Cefali* (sługi marszałka W. Jerzego Lubomirskiego), relacya stanu politycznego i wojskowego Polski r. 1664.

P. 357, Krzysztofa *Masini* (sekretarza królewskiego) pod pseudonymem *Franciszka di Subiaco*, objaśnienia do *Relacyi Seb. Cefali*.

P. 367. Krzysztofa *Masini*, list do sekretarza kardynała Litta, mający służyć za instrukcyą dla osoby przeznaczonéj na posła nadzwyczajnego do Polski; z Rzymu, 16 lutego 1664 r. (najwięcej o etykiecie i sposobie urządzenia dworu).

P. 369. *Tegoż*, uwagi o prawie nominacyi korony polskiej do kardynałatu przy promocyi. 7 marca 1667 r.

P. 390. Listy Jana Kazimierza do papieża, i do kardynałów, z powodu téj promocyi. NB. druk. u *Ciampi Bibl. Crit.*

P. 401. Hrabiego Krzysztofa *Masini*, posła nadzwyczajnego rzeszypospolitéj polskiej do ksiąząt włoskich, w 1674 r., o szkodliwych skutkach niedania pomocy Polsce.

P. 417. (*) *Pawła Minucci*, relacya negoocyacji prowadzonéj na dworze polskim, o zapewnienie elekcji dla księcia Macieja toskańskiego, r. 1658—1659.

Wszystkie dokumenta w tym Mss. są w języku włoskim.

Cod. 58, N. 10). Instrukcyja sekretna papieża (Klemensa VIII), Bartłomiejowi (zapewne *Panufino*) komornikowi swojemu, postane-

(1) Mowa ta znajduje się także w bibl. *Monachijskiej* Cod. Ital. 96, wedle notatki hr. Edwarda Raczyńskiego.

mu do nuncjusza polskiego, jak ma postąpić podczas koronacyi Zygmunta III na króla szwedzkiego. 1 sierpnia 1593 r. (po włosku) (1).

N. 11) Wyjątki z różnych listów nuncjusza polskiego bis. di Sansevero (*Malaspina*) do kardynała S. Giorgio sekretarza stanu, w tymże interesie (po włosku).

Cod. 64. Zbiór aktów dowodzących, że Francya podburzała Węgrów i Turków na cesarstwo, r. 1682. (po włosku) (2).

Cod 65. *Jana III* króla polskiego odpowiedź na brewe papieża Innocentego XI; z doniesieniem, że idzie na odsiecz Wiednia. 15 sierpnia 1683 (po włosku) (3).

Jana III list do papieża o wiktoryi wiedeńskiej, posyłając mu sztandar turecki przez sekretarza *Talenti* zpod Wiednia 14 września 1683 (po włosku).

Mowa ks. Denhofa opata mogińskiego, przy oddaniu sztandaru tureckiego.

Jana III list do doży weneckiego, z opisaniem zwycięztwa pod Wiedniem, 14 września 1683 r. (po włosku).

Krystyny królowej szwedzkiej, list do Jana Sobieskiego z powinszowaniem zwycięztwa (po włosku). NB. Druko. po wiele razy.

Cod. 68, (*) 15) *Relacya o Polsce*, nuncjusza Aloizego Lipomana, r. 1557 (po włosku).

16) *Relacya o Polsce*, nuncjusza Ruggieri, r. 1568 (po włosku).

17) *Relacya o dworze polskim*, r. 1662. przez pana *Caillet*, posłanego do Polski przez księcia de Condé, dla zapewnienia elekeyi dla ks. d'Enghien. *Caillet* wzmiankuje o życzeniu króla zapewnienia następstwa po sobie arcyks. Karolowi, i opisuje dokładnie dwór polski znakomitszych panów (po francuzku).

Cod. 70. 23) List Zygmunta I kr. polskiego do Pawła III papieża o soborze; z Piotrkowa 7 list. 1547 (druk. w Ciampi *Bibl. critic*).

Cod. 71, 12) *Alexandra Cilly*, list opisujący wojnę Polski z Moskwą o Inflanty, i pokój zawarty. Z Wilna, 31 stycznia 1582 r. (po włosku, druk. Ciampi w *Bibl. Crit.*).

Class. XXVII. Cod. 78. Zbiór różnych wierszów na oswobodzenie Wiednia pisanych, przez *Villifranchi*, *Tozi*, *Firceschi*, *Maryą Buonaccorsi-Alexandrini*, *Adimari*, *Menzini*, *Faggioli* i t. d. Niektó-

(1) Obacz *Instrukcyę* w Mss. Urbin. 866 bibl. Watyk. p. 323.

(2) To samo, co wyżej w Cod. 4.

(3) List ten i następujący, znajdują się także w bibl. Casanat. Mss. XV. 34, i w wielu Mss. bibl. florenckich.

re z nich są po łacinie, inne po włosku, niektóre naśladują hymny kościelne, np.

Lauda Sion Salvatorem
Lauda Ducem Defensorem
Et Viennae Protectorem
in hymnis et Canticis (1).

Class. XXX. Cod. 163. 14) (*) *Relacya o Polsce*, nuncyusza Ruggieri z r. 1568.

15) *Relacya o Polsce*, nuncyusza Aloizego Lipomana r. 1557.

16) Rozprawa o nowej elekcji króla polskiego (wszystkie po włosku).

Cod. 231, p. 457. List Zygmunta króla polskiego do papieża Pawła III o soborze; z Piotrkowa, 7 list. 1547 r. (2)

P. 461. List arcybiskupa gnieźnieńskiego do papieża, tłumaczący, dlaczego na sobor zjechać nie mógł. 20 paźdź. 1547 r.

NB. List ten oznaczony jest w spisie rzeczy, umieszczonym na czele Mss., ale karty na której miał się znajdować, brakuje. Była jednak przed kilką laty, ponieważ list ten równie jak poprzedzający, i dwa następujące, drukowane zostały z tego Mss. u Ciampi *Bibl. Crit.*

P. 803. List w imieniu Pawła III papieża do króla polskiego pisany, przez nuncyusza Martinengo podany, o soborze trydenckim, 14 września 1548 r.

P. 808. Odpowiedź Zygmunta Augusta, który tłumaczy biskupów polskich, z niemożności udania się na sobor trydencki.

Cod. 232, p. 26. Przysięga wykonana przez Henryka Walezyusza Polakom.

P. 30. List cesarza Ferdynanda do Iwana W. ks. moskiewskiego, z prośbą, aby się od wojny z zakonem inllanckim wstrzymał. Z Wiednia 19 paźdź. 1559 r. i odpowiedź W. księcia, że Inllantczycy zasłużyli na swój los, gdy wiarę luterską przyjęli. (Druk. u Ciampi *Bibl. Crit.*.)

P. 71. List papieża Pawła III do Zygmunta Augusta, z kondolencją na śmierć ojca.

(1) Dostałem we Florencyi Mss. in folio wieku XVII, złożony z kilkudziesięciu utworów poetycznych, na oswobodzenie Wiednia pisanych. Pomiędzy niemi są niektóre te same, co w niniejszym Mss., inne drukowane; np. znakomitego poety *Filicaja*, wraz z korespondencją jego z *Janem Sobieskim*. Rekopism ten złożyłem w bibliotece wilanowskiej, jako w zbiorze pamiątek po Janie Sobieskim.

(2) Ten sam, co w Cod. 70 Clas. XXIV.

Class. XXXVII. Cod. 32 (*) List obedyencyonalny Zygmunta Augusta do papieża, 24 kwietnia r. 1548. Mowa Kromera, posła polskiego, przy oddaniu tego listu, i odpowiedź *Blozyusza* w imieniu papieża. (1).

Cod. 35. Uwagi króla polskiego (podobno Władysława IV) o nominacji Mgr. Visconti na kardynała (po włosku).

Cod. 76. 4) Instrukcja nuncyuszowi do Polski, *Lancellotti*, r. 1622 (po włosku).

5) (*) Instrukcja nuncyuszowi do Polski de *Torres*, r. 1621 (po włosku).

Cod. 158. List Władysława IV do sultana Amurata, z prośbą, aby miejsca święte w Palestynie, zakonnikom katolickim oddać kazał. Z *Warszawy* w styczniu 1639 r.

Class. XXXVIII. Cod. 48. Marcina Polaka kronika o papieżach (tłumaczenie włoskie). Mss. XV wieku.

Cod. 73. Życie śgo Hieronima przez S. Cyrylla (tłumaczenie włoskie). „Girolamo fufigliuolo de Usebio, nobilissimo huomo, efunato in Castello Stridone”....

3. Biblioteka Riccardiana (Numerów 20).

Nr. 228. *Cenci Camerarii Liber Censuum*. Mss. wieku XIII, in folio na pergaminie.

Nr. 229. *Toż samo*. Mss. na pergaminie, in folio, pisany r. 1388, przez ks. Antoniego *Landus*.

Nr. 307. Marcina Polaka kronika, in folio.

Nr. 600. Mss. wieku XV, na pergaminie in 4to.

1) List kardynała Izydora metropolity kijowskiego do kardynała Bessaryona z *wyspy Krety*, 6 lipca 1453 r. o wzięciu Konstantynopola przez Turków (2).

2. List Władysława króla polskiego i węgierskiego do miasta Florencyi o wojnie z Turkami. Z *Budy*, 2 lipca 1444 r. (Druk. w Pałacki: *Italienische Reise*).

Nr. 670. Mss. wieku XV na papierze, in 4to.

List kardynała Izydora Rusina, do starszyny miasta Florencyi, o upadku Konstantynopola, i o potrzebie ligi chrześcijańskiej przeciw Turkom. Z *Kandyi*. 7 lipca 1453 r. (Druk. Ciampi w *Bibl. Critic.* ale w dacie zamiast *Candia*, wyczytał *Rossia*).

(1) Te trzy dokumenta (z których pierwszy drukowany u *Ciampi* *Bibl. Critic.*) znajdują się także w *Bibl. Vatic. Mss. Urbin.* 1113, i *Vatic.* 3451.

(2) Drukowany u *Dachera* *Spicilegium* T. VIII i w *Calcondilo* *Lacomco* p. 327, a z Mss. *bibl. Riccardi* przedrukował *Lami* w *Katalogu Mss. tej biblioteki.* *Ob. Ciampi* *Bibl. Crit.* 11, p. 18).

Nr. 863. Marcina Polaka kronika.

Nr. 1226. Kallimacha wiersze. Mss. XV wieku na pergaminie, in 4to (*). Przedmowa do Aynolfa Thedaldi. Tytuł. „Ad Fanniam Sventhocam nostri evi mulierem speciosissimam elegiarum libellus feliciter incipitur in hunc modum”. Rękopis ten najbardziej zgodny z watykańskim. Mss. Vatic. 5156 (*Ciampi* nie wspomina o nim, wyliczając znajome mu rękopisma Kallimacha).

Nr. 1827 i 1906. Wiérz mieszany (*Carmen macaronicum*) na oswobodzenie Wiednia. 2) Wiérz (*Canzone*) hr. Lorenzo Magallotti, do króla polskiego z tegoż powodu.

Nr. 2126, p. 93. Rozmowa Polaków z cesarskimi, co do ligi przeciw Turkom, ze wzmianką o propozycjach nuncjusza Malaspina (po włosku).

Nr. 2128, p. 53. (*) List poety *Filicaiu* do Jana Sobieskiego z pochwałami zwycięstwa pod Wiedniem; i odpowiedź króla (po włosku).

Nr. 2134. List Krystyny królowej szwedzkiej do Jana Sobieskiego (po włosku).

Nr. 2146. Dwa listy Galileusza, o systemacie Kopernika (kopie po włosku).

Nr. 2695, p. 127—173). Dziennik własnoręczny I. B. *Faggioli*, poety włoskiego, który był w Polsce z nuncyuszem *Santa-Croce* od 17 czerwca 1690 r. do 16 czerwca 1691 r. po włosku).

Nr. 2778. Ponińskiego marszałka, list do króla i mowa do ministrów królewskich; z 14 paźdź. 1733 r.

Nr. 2975. Marcina Polaka kronika.

Nr. 3160. Uwagi o żądaniem przez króla polskiego prawie nominacyi do kardynałatu. 7 marca 1667 r.

Appendix. R. II, III, 2114. Karola XII manifest za elekcją królewicza Jakóba Sobieskiego. Z *Heilsberga* 2 stycznia 1704 r.

Augusta II pokój altransztacki, 20 paźdź. 1706 zawarty.

Jana III list do papieża o wiktoryi wiedeńskiej, 14 września 1683 r.

List *Horna* wodza szwedzkiego do Wdy wileńskiego, z *Karlielbe*, 9 list. 1678 r. i odpowiedź Wdy z *Gorzd.* 21 list. t. r.

List Klemensa XI do Maryi Kazimiery wdowy Sobieskiego, o jej synach uwięzionych. 20 m. r. 1704.

Listy Jana Kazimiérza do papieża i kardynałów, o prawie nominacyi kardynała. 5 kwietnia 1667 r.

S. I, XXXVI. Mowa Polaków do nuncjusza papieżkiego (w czasie traktowania ligi przeciw Turkom).

S. II, XLII. Jana III list do senatorów polskich, z Jaworowa 4 sierpnia 1679, i odpowiedź senatorów.

Deklaracya cesarska, co do wojny z Turkami, i aliansu z Moskwą.

4. Biblioteka *Marucellano*. (Numerów 4).

A. CCLVII. (P. 5). List Jana III do papieża, z doniesieniem, że idzie na odsiecz Wiednia, 15 sierpnia 1683 r. (po włosku).

C. XXIX. (P. 358) (*). Instrukcyja nuncyuszowi do Polski de Torres (po włosku).

C. LXXXI. (P. 8). Ceremoniał podczas pobytu królowej wdowy Sobieskiej w Rzymie, r. 1698 (po włosku).

C. CLXXXI. (P. 14). Stanisława Leszczyńskiego króla polskiego instrukcyja dla córki Maryi, królowej francuzkiej, 27 września 1725 r. (po włosku).

5. Biblioteka *Palatina*. (Numerów 2).

Do polskich rzeczy znajduje się tylko:

I. List Władysława IV. z Wilna, 19 kwietnia 1636 r. do Galileusza z prośbą o szkła do teleskopu, i *brulion* włosnoręczny odpowiedzi Galileusza.

II. List Jana Kazimierza do kardynała Medycyusza, z grzecznościami, z 1649 r.

6. Biblioteka *Ginori*. (Numerów 11) (1).

Cod. CXXX. (P. 3). Drzewo genealogiczne królów polskich. Filza (tojest plika) 37. Wiersz (Canzone) hr. Magalotti, na pochwałę Jana Sobieskiego.

Fil. 79. Wspomnienia hr. Lorenzo Magalotti, w podróżach do Polski zebrane.

Fil. 135. (P. 34). Mowa Gurzyńskiego posła króla J. M. polskiego, miana w obozie pod Szczecinem do elektora brandeburskiego.

Fil. 148. (P. 477). Wyciąg z długiego listu sekretarza króla polskiego, *Masini*, do kardynała *Vidoni* z Prus, o stanie politycznym Polski w r. 1672, i o ambicyi Sobieskiego, który zbrojno przybył do dworu w celu utorowania sobie drogi do tronu, ponieważ król przymuszony będzie do abdykacyi albo do ucieczki.

(1) Biblioteki i archiwum (zupełnie prywatnych) domu *Ginori*, nie mogłem widzieć, dla nieobecności właściciela. Uprzejmości przyjaciela domu, pana *Luigi Passerini*, urzędnika heroldyi, winienem zakomunikowanie niniejszego katalogu. Zdaje się, że prawie wszystkie dokumenta są w języku *włoskim* pisane.

(P. 481). Traktat pomiędzy Michałem królem polskim, a sułtanem tureckim, zawarty 17 paźdz. 1672 r.

(P. 483). Zdanie sprawy o zakończeniu sejmu polskiego z 1669 r.

(P. 489). Uwagi o prawie nominacji króla polskiego do kardynałatu, odrzuconém na promocji 7 marca 1667 r. posłane referendarzowi Morsztynowi 8 kwietnia t. r.

Fil. 151. (P. 85). Podwójna negocyacja Bonifacego *Vanozzi* (sekretarza kardynała Gaetani, legata w Polsce), z kanclerzem Zamojskim co do ligi przeciw Turkom r. 1596 (1).

(P. 175). Instrukcja Klemensa VIII papieża dana Alexandrowi *Comuleo*, przeorowi św. Hieronima w Rzymie, posłanemu do Teodora W. ks. moskiewskiego, dla namówienia go, aby się połączył z Polską, na obronę chrześcijaństwa od Turków; r. 1594 (2).

Fil. 156. (P. 159). Instrukcja nuncyuszowi do Polski *M^{ro} Lan- celotti*, r. 1622.

(P. 203) (*). Instrukcja nuncyuszowi do Polski *M^{ro} de Torres*, r. 1621.

Fil. 160. (P. 176). Relacja o Polsce nuncyusza stolicy apostołskiej, w pierwszych latach XVII wieku (może *Malaspiny*?).

Fil. 167. (P. 120). Ułamek historyczny, jak arcyks. *Maxymilian* musiał opuścić Polskę w 1588 r.

Fil. 184. (P. 1). Pawła V papieża brewe do Zygmunta III, pozwalające Andrzejowi bis. łuckiemu kilka beneficjów razem trzymać; r. 1618.

P. 2. Pawła V drugie brewe w tym samym przedmiocie.

P. 3. Listy Władysława IV do Urbana VIII za nuncyuszem *Visconti*, odwołanym z Polski r. 1635.

P. 5. Protestacja professorów akademii krakowskiej przeciw Jezuitom, którzy chcieli otworzyć kollegium w Krakowie.

P. 8. Negocyacja kardynała *Magalotti* sekretarza stanu papieża Urbana VIII, z postem polskim, o sprawach duchowieństwa polskiego r. 1628.

P. 20. List Władysława IV do Urbana VIII, z prośbą o nadanie bogatego biskupstwa praładowi Alexandrowi *Rangoni*.

P. 24. Spis królów polskich od Lecha do Władysława IV.

(1) Ten Mss. znajduje się w bibl. *Albani*, w bibl. *Casanat.* w bibl. *Borbon. Neapol.* i w bibl. *Zamojskich*, do której odstąpił go *Ciampi*.

(2) Ta instrukcja znajduje się także w bibl. Watyk. Mss. *Urbini*. 866 i w bibl. *Barberini*.

P. 25. Napis grobowy z rozkazu Zygmunta III położony nad kośćcami żołnierzy poległych w wojnie na Północy.

P. 26. Wiersz J. B. Rinalducci na pochwałę Alexandra królewicza polskiego.

P. 27. Napis grobowy Zygmunta III.

P. 29. List Władysława IV do Urbana VIII, prosząc o kardynała, dla Kapucyna Waleryana Magni, wielce zasłużonego w Polsce; oraz list własnoręczny tego Kapucyna do kardynała Magalotti, z uzalenieniem się, że prośbie króla zadość nie uczyniono.

P. 31. Wiersz łaciński (*Carmen lyricum*) przez młodzież akademii wileńskiej ofiarowany nuncyuszowi *Visconti*.

P. 32. Instrukcja nuncyuszowi do Polski Mst *Filonardi*, r. 1636.

P. 37. Mowa nuncyusza *Visconti* w senacie w czasie elekcji r. 1632 miana.

P. 38. List Stanisława Radziejowskiego do Urbana VIII, prosząc, aby mu oddano syna, którego Jezuita chytrąścią zwabili do swego zakonu r. 1626.

P. 41. List własnoręczny Zygmunta III do kardynała Magalotti za nuncyuszem Lancelotti bis. di Nola, o kapelusz kardynalski dla niego.

P. 44. Mowa posła szwedzkiego, zapraszająca Polaków do ligi przeciw Niemcom, r. 1632.

Fil. 213. N. 7). Pięć listów własnoręcznych Zygmunta III do kardynała Lorenzo Magalotti.

Nr. 8). Dwadzieścia ośm listów Władysława IV do tego kardynała; przy wielu z nich dopiski własnoręczne króla.

7. *Archivum Medyceuszów* (1). (Numerów 51).

(Archivio Mediceo Vecchio).

A). *Affari di Polonia*.

Filza I. Listy oryginalne królów, królowych, książąt i panów polskich do dworu tokańskiego, pisane od r. 1541 do r. 1625, po większej części po łacinie.

Nr. 1. List Zygmunta I, do Kozmy I, z r. 1541, polecający sławnego prawnika Filipa *Valentini*, brata Jana Andrzeja kanonika krakowskiego, lekarza swego i sekretarza. (Druk w *Ciampi* Bibl. crit.).

(1) Mimo kilkotygodniowej pracy nie mogę powiedzieć, zechym zupełnie wyczerpał tak obfite źródło, jakim jest archiwum Medyceuszów. Wszystko co przejrzałem, znajduje się w następujących podziałach. Dokumenta są prawie wszystkie w języku włoskim.

dalej: listy *Bony*, *Zygmunta Augusta*, jego żony *Katarzyny*, *Anny Jagiellonki*, *Stefana Batorego* (między innymi polecające O. Possewina, i Pawła Uchańskiego hrabiego ze Służewa, posła swego; z kwietnia 1578 r.); *Zygmunta III* i żony jego *Anny* i *Konstancyi*; *Jana Zamoyckiego*, *margrabi z Mirowa Myszkowskiego*, *Władysława IV*, *Leona Sapiehy*, w rozmaitych interesach; np. z poleceniem interesów rodziny *Montelupi*, także dziękczynne za odebrane prezenta z mozaiki florenckiej (np. za dwa stoły Zygmuntowi III, przysłane w r. 1593) lub lekarstwa z apteki W. książęcój.

Nr. 121. List *Jerzego Mniszcha* Wdy sandomierskiego (z 21 grudnia 1605 r.) obiecujący W. księciu wyrobić wolność handlu w Moskwie dla Florentczyków.

Nr. 145. List *Dymitra II samozwańca*, do Wolskiego M. W. K. (2 stycznia 1608 r. z Brańska), z podziękowaniem za doznaną pomoc, i prośbą o dalszą.

Inne listy tyżące się poselstw toskańskich do Polski:

1. *Mateusza Botti* w celu winszowania Zygmuntowi III zaślubin (1592).

2. *Roderyka Alidosio di Mendoza*, dla powinszowania zwycięstw nad Karolem ks. Sudermanii, i odebrania Inflant; oraz dla otrzymania wolności handlu z Moskwą (r. 1605).

3. *Margrabięgo Bevilaqua* dla doniesienia o śmierci W. księcia Ferdynanda I (r. 1609).

4. *M^{gr} Juliana dei Medici* dla kondolencyi o śmierci królowej hiszpańskiej i cesarza Rudolfa (1612).

5. *Margrabięgo Jana Krzysztofa Malaspina*, dla doniesienia o śmierci Koźmy II i wstąpienia na tron Ferdynanda II, (1621).

Filza 2. 1) Rozmaite wiadomości o Polsce, Litwie i Inflantach, od r. 1559 do r. 1599, przez różnych ajentów florenckich przysyłane, jakimi byli: *Soderini*, *Seb. Montelupi*, *Marek Agrimoni*, *Cagnoli*, *Szymon Genga* (inżynier w służbie polskiej), *Faust Socyn*.

2. Mowy kardynała *Commendonì* i posłów francuzkiego i cesarskiego, w czasie elekcji Henryka.

3. Akta elekcji Stefana Batorego; także poselstwo sultana r. 1578, z podziękowaniem za ukaranie śmiercią *Jankuły*, i żądaniem zwrotu jego skarbu.

4. Różne pisma tyżące się legacyi kardynała Aldobrandini do Polski, r. 1588.

5. Jana Zamoyskiego list do kardynała Aldobrandini, 12 sierpnia 1594, o przejściu Tatarów przez Pokucie. (*De Transitu Tartarorum* etc. (Druk. w Krakowie).

6. Korrespondencja Franciszka *Sernigi* z W. księciem; z Warszawy od 16 kwietnia do 18 listopada 1598 r.

7. Negocjacya kawalera *Vinta*, sekretarza W. księcia, w Rzymie, o wysłaniu kardynała legata do Polski; r. 1588.

Filza 3) Listy i wiadomości z Polski od r. 1600 do 1626, pisane przez *Cagnazzi* (sługę Myszkowskiego), *Alexandra Cilly* (kapelmajstra nadwornego) do Belizaryusza Vinto, sekr. W. księcia; *Jana Luna* (z obozu pod Smoleńskiem do *Alexandra Cilly*); *Waleryona* i *Karola Montelupi*, *Gelsomini*, *Bibboni*, *Gherardo Priami*, *J. B. Titi* (do *Curzio Pichena* sekr. W. księcia) (1).

Filza 4) Listy oryginalne Władysława IV, Jana Kazimiérza i różnych panów polskich, do W. książąt tokańskich, . od 1626 do 1653 r.

Filza 5) 1) Korrespondencja hr. de *Watzdorf*, posła Augusta II we Florencyi, ze sekretarzem stanu tokańskim (1724—1726), świadcząca o niespokojnym charakterze tego posła.

2) Korrespondencja Grzegorza *Agdolsa*, posła Augusta III we Florencyi, ze sekretarzem stanu tokańskim (1740—1742) nie znacząca.

Filza 6. 1) *Marcina Kromera, Polonia, tojest Opisanie Polski*. Mss. XVI wieku, in folio z 74 kart złożony.

2) *Anonima, Rerum Polonicarum Liber Decimus tertius*, tojest Historia polska od śmierci Stefana Batorego, do wzięcia w niewolę arcyks. Maksymiliana. Mss. XVI wieku, in folio z 32 kart złożony. Drugi egzemplarz tego Mss. widziałem u pana *Ciampi*, który wydrukował go, pod tytułem: *Rerum Polonicarum ab excessu Stephani Regis ad Maximiliani Austriaci captivitate, liber Singularis editus cum additamentis. Florentiae, 1827, in 8vo.* W przedmowie przypisuje *Ciampi* to dziełko *Janowi Michałowi Bruti*, historyografowi króla polskiego Stefana Batorego.

(1) Wiele z tych listów wypisał *Ciampi* i wydrukował przy kilku dziełach swoich, a zwłaszcza w *Bibliografia Critica*. Niektóre ja wyjąłem z archiwum w kopiach autentycznych, i zamierzam je przy innych materiałach historycznych wydrukować. Ale wartoby wszystkie korespondencje agentów tokańskich w Polsce zebrać, wypisać, i jako jedną całość stanowiącą, razem wydać. Najbardziej zajmujące i najliczniejsze są listy: *Pawła il Magnifico* (1574), *Filipa Talducci* (1578—1582), *Szymona Genga* (1580—1587), *Franciszka Sernigi* (1598—1605), *Alexandra Cilly* (1582)—1620), *Mikołaja Siri* i *księdza Martinozzi* (1657—1659), *Sebastjana Cefali* (1666), *Koźmy Brunetti* (1674—1680), *Santi-Bani* (1676—1684), *Tomasza Talenti* (1684—1693), *hrabiego Mariani* (1691—1697).

B) *Miscellanea di varie notizie attenenti a diverse Corti di Europa e a quella di Toscana.*

Filza 51) Protestacya Henryka króla francuzkiego przeciw Polakom, r. 1579.

Filza 54. 1) Relacya o Polsce Hieronima Lipomana, posła weneckiego, r. 1574.

2). List obedyencyonalny Stefana Batorego do Grzegorza XIII papieża. 3 lipca 1576 r. (Druk. w ed. Lipsk. Długosza).

3) Pakta konwenta w czasie koronacyi króla zawarte; r. 1588.

4) Manifest wojenny króla, 29 lutego 1588 r. (po łacinie).

5) Do rzeczy tureckich. a) List posła multañskiego do wojewody z poradą, aby wojnę podniósł na Polaków; w sierpniu 1587 r. b) Relacya poselstwa tureckiego do Polski. c) List sultana do cesarza o elekcyi polskiej, 4 paźdz. 1587. Radzi mu, aby jego bracia nie mieszczyli się do rzeczy polskich (tłumaczenie Macieja del Sarre).

6) Rozprawa o sposobie dostania pieniędzy w Polsce; r. 1590, 18 kwietnia (z polskiego na łaciński język przetłumaczona).

7) List Władysława IV do księdza *Orsi*, o kardynałacie prałata *Visconti*; r. 1643.

8) Relacya o ugodzie, zawartej między Polakami a Siedmiogrodzianami, wyjęta z listu pisanego z obozu królewskiego pod Krakowem, 6 sierpnia 1657 r.

9) Poselstwo margrabiego *Luigi Bevilaqua* do Polski, r. 1609. Listy jego, a także *Alexandra Cilly* i *Montelupi*, i dyaryusz podróży, (mało ważne).

10) Różne drobne pisma o sprawach polskich.

11) Rady co do przyszłej elekcyi następcy Jana Kazimierza. (*Avis aux Etats de Pologne sur l'élection et désignation d'un futur successeur à Jean Casimir*).

12) Dyaryusz sejmu 1666 r.

13) Negocyacya o lidze przeciw Turkom, r. 1595.

14) Listy własnoręczne Sebastyana *Cefali* (sługi marszałka K. Jerzego Lubomirskiego) o stanie politycznym i wojskowym Polski; r. 1666.

15) *Obrona narodu polskiego* przeciw przedmowie Alda *Manucci* (przy dziele *Liber de Comitibus*), r. 1585, przez *Adama Preckowskiego*, Polaka.

16) Jana Zamoyskiego list do kardynała *Aldobrandini* o przejściu Tatarów przez Pokucie; r. 1594 (po łacinie).

17) Opisanie wjazdu Bieniawskiego i innych posłów polskich do Moskwy, z języka polskiego na łaciński przetłumaczone, i podane *Koźmie III* Medyceuszowi, w przejeździe przez Hamburg, r. 1668, przez Stanisława z Lubienic Rolickiego, szlachcica polskiego.

18) Wiadomość o znakomitszych rodzinach polskich, (pod koniec panowania J. na Kazimierza pisana).

19) Relacya o Polsce Hieronima Lipomana posła weneckiego; r. 1574 (2gi egzemplarz).

20) Relucya o Polsce *Ludwika Fantoni*, r. 1714.

21) Prezenta ofiarowane żonie Zygmunta III, Annie, r. 1593.

22) Protestacya Henryka króla francuzkiego przed Grzegorzem XIII papieżem, przeciw elekcyi króla polskiego.

Filza 57. List sultana do królowej angielskiej z 12 czerwca 1590 r. Obiecuje zawrzeć pokój z Polską, przez Kozaków zakłócony, byleby król polski zawarł przymierze z Anglią przeciw Hiszpanii.

Fil. N. N. Różne akta dotyczące się wojny arcyks. Maksymiliana z Polską, jego niewoli i paktów Będzińskich (po łacinie).

Fil. 60. Relacya o Polsce *Leliusza Arrivabeni* posła księcia mantuańskiego do traktowania ważnych interesów (R. 1598—1601).

C) *Legazioni di Germania e di Polonia.*

Fil. 34 do 47 włącznie. *Wiadomości z Polski* (Avvisi di Polonia) i korespondencye kilku agentów tokańskich z Koźmą III, oryginalne, wraz z brulionami odpowiedzi W. księcia, od r. 1665 do r. 1697, a mianowicie: *Wawrzyńca Dominika dei Pazzi* (1665—1680), *Koźmy Brunetti* (1674—1680), *Santi-Bani* (1676—1684), *Tomasza Talenti*, sekretarza króla Jana Sobieskiego, od r. 1684 (po podróży do Włoch, dokąd odwiózł sztandar turecki i inne łupy, zdobyte pod Wiedniem r. 1683), do r. 1693 (w którym umarł); *Piotra Dominika Colonna* (w zastępstwie *Tomasza Talenti* r. 1693); *hrabiego Mariani* (1691—1697); *Lampugnani* (do r. 1697).

W niektórych z tych plik znajdują się także listy panujących i panów polskich, zwłaszcza Stanisława Jabłonowskiego, ks. Denhofs, i Pacy biskupa wileńskiego. Tego ostatniego korespondencyą z W. ks. tokańskim przy przesłaniu relikwii śgo Kazimierza, wydrukował *Ciampi w Bibl. Crit.*

D) *Appendice della Legazione di Germania.*

Fil. 1542—1575. Różne urywkowe wiadomości z Polski, zwłaszcza z Infant. List *Andrzeja Dudith* (z Krakowa 22 wrzes. 1567r.) do nuncjusza; tłumaczy się ze swego ożenienia.

Fil. 1580—1589. Różne urywkowe wiadomości o Polsce i o wojnach inflanckiej i z arcyks. Maxymilianem.

E) *Stroziana* (1)

Fil. 24. List Jana Kazimierza do Kosmy III, z kondolencją o śmierci ojca; r. 1670.

Fil. 288. Treść testamentu królowej Bony.

Fil. 299. Różne pisma dotyczące się wiktorji wiedeńskiej. jakoto: listy Innocentego XI do królów francuzkiego i hiszpańskiego; odpowiedź Ludwika XIV; rysunek sztandaru Mahometa; mowa ks. Denhola przy oddaniu go w Rzymie; list króla Jana Sobieskiego do żony; list królowej Krystyny do Sobieskiego i t. d.

Fil. 302. 20) Memoryał dla pobudzenia Polski do wojny tureckiej, na żądanie Alexandra VII papieża.

30) Akta abdykacyi Jana Kazimierza, r. 1668.

41) Propozycye prymasa przed nową elekcyą.

43) Mowa o elekcyi.

47) Odpowiedź na nią.

52) Dyalog pomiędzy prymasem a kanclerzem, o sposobie otrzymania wolności w rządzie.

57) Rozprawa o kandydatach do korony polskiej.

69) Różne sprawy sejmowe z 1669 r.

71) Pisma przeciw ks. neuburskiemu.

72) Ks. *Fantucci* relacya o sposobie elekcyi w Polsce (2).

73) Opisanie exekwij ks. Lubomirskiego 23 maja 1667 r.

84) Listy Jana Kazimierza do Alexandra VII papieża i do kardynała Chigi, w sprawie nominacyi do kardynalatu.

Fil. 303. 1) Relacya o Polsce z r. 1628.

2) Mowa (ablegata Roraryusza r. 1540) w imieniu papieża do króla polskiego.

3) Akt elekcyi Henryka Walezjusza i poselstwo do Paryża wysłane (po łacinie).

4) Relacya o Polsce; z Krakowa 1605 r.

5) List Karola *Soderini*, 6 lutego 1574 r. do *Concini*, posła toskańskiego w Wiedniu, o wjeździe króla Henryka do Poznania, przy pochodniach i okrzykach radości; i o przyszłej koronacyi jego w Krakowie, a exekwiach Zygmunta Augusta.

(1) Jestto część archiwum możnego dotąd domu *Strozzi*, która zapewne przez sukcesyą dostała się *Medyceuszom*.

(2) Ta sama relacya znajduje się także w Mss. 53. Class. XXIV. bibl. *Magliobecch*.

6) Listy *Pawła* zwanego *il Magnifico* o tychże wypadkach, i o pojedynku Zborowskiego, oraz (*) ze szczegółami o dworze Henryka; r. 1574.

7) Listy Henryka do stanów i różnych panów polskich, przy wyjeździe z kraju; r. 1574.

8) Manifest Polaków na zjeździe w Steżycy, r. 1575.

9) List Franciszka *Gorini* do posła tokańskiego w Wiedniu, o podwójnej elekcji Batorego i cesarza Maxymiliana. Z Rzymu 1576 r.

10) Rozmaite pisma i mowy tyczące się bezkrólewia po złożeniu z tronu Henryka; między innymi, mowa *Jerzego Blandraty* za Batorem (1), i mowa posła księcia Ferrary i Modeny (sławego poety włoskiego I. B. *Guarini*.) Obiecuje pokój zachować z dysydentami, (etiam inter dissidentes de religione), i *księstwo karnutów* we Francji zapisać Polsce.

11) Listy Filipa *Talducci* do posła tokańskiego w Wiedniu (r. 1578—1582) (*) o *śmierci Podkowy*, o wojnie inflanckiej, i pokoju z Moskwą, zawartym przez Possewina.

12) Różne listy, między innymi jeden Zamojskiego z 8 czerwca 1606.

13) Opisanie Litwy i żubrów (dość błędne).

14) Drukowane relacye o niektórych wypadkach wojennych z 1651 i 1652 r. (np. o bitwie *beresteckiej*).

15) Relacya sekretarza W. księcia, *Tartaglino* o pokoju zawartym pomiędzy Polską a Moskwą r. 1635 (o wjeździe posłów moskiewskich do Warszawy, zaprzysiężeniu paktów, i zwróceniu ciał zmarłych Szujskich).

Fil. 307. Spis prezentów posłanych królowi polskiemu z powodu ożenienia z arcyks. Anną (r. 1592); kontrakt ślubny królowej, która rzekła się wszelkich sukcesyj w Austrii.

Fil. 309. Relacya o Polsce Hieronima Lipomana posła weneckiego r. 1574.

Fil. 310, p. 1) Spis prałatów i panów polskich, z r. 1548. (spółczesny).

P. 9) List króla polskiego do W. mistrza inflanckiego, i Jana Mieleckiego hetmana do tegoż, o rozpoczętej wojnie; r. 1557.

P. 23) Krótkie opisanie rzeczy inflanckich.

P. 24) List cesarza Ferdynanda do W. ks. moskiewskiego o rzeczach inflanckich, i odpowiedź tegoż.

(1) Ta mowa znajduje się także w *Ms. R. 94 bibl. Ambros.* w Medyolanie.

Fil 314. (*) 1) Relacya o Polsce nuncyusza *Bernarda Bonioanni* bis. di *Camerino*; r. 1560.

2) Rozprawa o nowój elekcyi w Polsce.

3) Listy Zygmunta Augusta i królowój Katarzyny do nuncyusza *Bonioanni*, z lat 1561, 1562 i 1563, zwłaszcza o soborze trydenckim i t. d. (1).

Fil. 315. Rozprawa Horacego *Spannocchi* o elekcyi w Polsce.

Fil. 319. Relacya Sebastjana *Cefali* o stanie politycznym i wojskowym Polski; r. 1664 (2).

Fil. 326. Relacya o Polsce Hieronima Lipomana, posła weneckiego, r. 1574.

Fil. 330. Artykuły pokoju między królem polskim a hanem tatarskim i Kozakami; r. 1667.

F). *Carte d'Urbino* (3).

Class. D. IV. G. Filza 71 (*). List własnoręczny *O. Possewina* do ks. Urbino, z 27 września 1606 r. z Bononii, o smutnych wieściach o Dymitrze; z Moskwy.

Fil. 253. 1) Listy Zygmunta III, z lat 1614 i 1619 do ks. Urbino, za powracającym do kraju swego muzykiem królewskim *ven. Fabricius Tiranus*.

2) List nuncyusza *Wincentego del Portico*, do ks. Urbino, z 12 czerwca 1572 r., o tém, że nie mógł listu jego oddać królowi, złożonemu ciężką chorobą.

3) (*). List komtura *Pucci* do ks. Urbino, o negocyacyi kard. *Aldobrandini*, i ze szczegółami o Zamojskim, o królownej szwedzkiej, i o arcyksięciu *Maxymilianie*. Z *Krakowa*, 12 paźdz. 1588 r.

4) Listy *Alexandra Cilly* do ks. Urbino, o dworze i nowinach z Moskwy (1613—1615).

Fil. 265. List królowój *Bony*, do Eleonory księżnej Urbino, z podziękowaniem za przysłane piękne czepki (*scuffiotti*). Tłumaczy się, że nie własną ręką pisze, dla chwilowej niemocy. Z *Krakowa*, 20 lipca 1527 r.

G). *Carteggio privato de Medici, avanti il principato*.

Filza. I (*). List oryginalny (na pergaminie) *Jakóba* z *Dębna*, kanclerza polskiego do *Wawrzyńca Medyceusza*. 6 paźdz. 1469 r.

(1) Te listy znajdują się także w Mss. D. 208 Bibl. *Ambros.* w Medyolanie.

(2) Znajduje się także w Mss. 53. Class. XXIV Bibl. *Magliabecch.*

(3) Archiwum wygastego domu książąt Urbino, których biblioteka przeszła do watykańskiej.

z prośbą, aby rękodzielnicy Florencyi u których obstalował był tkani-ny jedwabne złotem przerabiane, dla króla Kazimierza, poczekali kilka tygodni na zapłatę (po łacinie).

H). *Scritture diverse attinenti a Cosimo I.*

Filza 66. Nr. 23 (*). List oryginalny Zygmunta Augusta do Koźmy I. W. ks. tokańskiego, z poleceniem sługi swego Leliusza Socyna, 29 grudnia 1558 r.

J). *Documenti originali.*

Filza 9. Listy Zygmunta III do ks. Franciszka Medyceusza, z grzecznościami.

K). *Carteggio del Segretario Vinta.*

Filza 1584. Nr. 64). List Szymona Genga do Belizaryusza Vinta sekr. W. księcia tokańskiego, z Wenecyi 12 wrześ. 1584 r. Donosi mu, że udaje się do Polski do służby króla Stefana.

L). *Carteggio del Principe Mattias di Toscana.*

Filza 3. Listy oryginalne Jana Kazimierza, Maryi Ludwiki i inne (1652—1654).

Fil. 11 1). Korrespondencya Mikołaja Siri, agenta tokańskiego w Wiedniu, i księdza Martinozzi, audytora nuncjatury polskiej, z księciem Maciejem tokańskim, w interesie zastawienia klejnotów królowej Maryi Ludwiki, i przygotowania elekcji ks. Macieja, w razie wakansu tronu (1657—1659).

2). W tymże interesie listy (*) Pawła Mincucci (1), ks. Giovannelli (Barnabity), sekretarza królowej Desnoyers, T. Livio Burattini, Paolo Doni i t. d.

3). Oprócz tego są listy Maryi Ludwiki, ks. Denhofa, księcia Bogusława Radziwiłła, w różnych interesach pisane.

M). *Carteggio di Cosimo III.*

Fil. 1690—1693 Teste Coronate.—Listy Jana Sobieskiego z r. 1690 i 1695 z rekomendacyami.

Fil. 1674 Particolari Diversi.—List Koźmy Brunetti z obozu pod Braclawiem, 2 stycznia 1674 r. posyłając drukowaną informacją, *Dello Stato della Polonia* (2).

(1) Ten sam, któremu poruczona była negocyacya elekcji ks. Macieja, której opisanie znajduje się w Mss. 53 Clas. XXIV. Bibl. *Mogliobecch*.

(2) Tyle mogłem odszukać i przejrzeć z rzeczy polskich, znajdujących się w archiwum Medyceuszów. Bez wątpienia znalazłoby się jeszcze więcej porzucanych po tysiącach *plikach* (filze). Z czasem dopiéro i dzięki obiecanemu staraniu archiwisty pana *Moise*, praca ta może da się uzupełnić.

KRONIKA LITERACKA.

Pamiętnik naukowo-literacki, pismo zbiorowe umiejętności, literatury i sztuki. Pod redakcją Romualda Podbereskiego. Zeszytów trzy, stanowiących tom Iszy. W Wilnie, drukiem Józefa Zawadzkiego, 8ka, 1849.

Rocznik Literacki, którego jeden ozdobny poszyt corocznie wychodził w Petersburgu, a czwarty i ostatni w Bibliotece Warszawskiej z miesiąca czerwca z. r., jak równie i w Tygodniku Petersburskim ocenionym został; ustąpił miejsca nowemu pismu zbiorowemu, pod tytułem wyżej wymienionym. Znany i staranny wydawca Rocznika, przeniósłszy swe zamieszkanie do Wilna, tam przeniósł i redakcją nowego swego zbioru, którego trzy spore zeszyty, stanowiące tom Iszy, mamy pod ręką.

Pismo to zmieniwszy nazwisko, zmieniło oraz sukienkę, a w części i charakter. Wychodząc w Wilnie, stało się bardziej miejscowem, bardziej litewskiem, czego mu szczerze wieszujemy; a chociaż nie jest tak ozdobne jak był Rocznik, nie straciło wszakże ani na dobroci papięru, ani na wyrazistości i poprawności druku. Obszerniejsze tylko przybrało rozmiary, gdyż każdy zeszyt składa się z 6 do 7 arkuszy, a takich na rok sześć ma wychodzić. Żałujemy tylko, żeśmy nie znaleźli także jakiej zmiany co do litografij, umieszczanych na czele zeszytów. Jak w ostatnim Roczniku był lichy portret Moniuszki, tak i Pamiętnik, wierny wiadać w tej mierze rocznikowój tradycyi, umieścił na czele Igo zeszytu portret Karola Mujszela, równie lichy, i jakby od niechcienia przy samym końcu ćwiartki niezgrabnie i krzywo wybity. Lepiejby już dać pokój tym sztukom pięknym, kiedy nie mają być piękne.

Pisma zbiorowe mają właśnie tę korzyść przed peryodycznemi, że peryodycznemi nie są, a zatem nie potrzebują na gwałt zapełniać

kolumn swych łada czém, gdy koniec miesiąca zawoła. Za to wszakże czytelnik ma prawo więcej wymagać po swobodnym i nieterminowym wydawcy, i żądać lepszego i pożywniejszego doboru, składających zbiór cały artykułów. Z tego względu, nie możemy zupełnie uwolnić od zarzutu wydawcę niniejszego pisma. Do czego np. może posłużyć kompendyum historii Litwy, zamykające rzeczy powszechnie znane (1)? Czemu wydawca nie uprosił p. Moraczyńskiego, aby wyrzucił ogólne uwagi o malarstwie religijno-historyczném, pełne filozoficzno-poetycznej preten-syi, a zostawił tylko tak piękną i tak interesującą historią swego obrazu św. Romualda? Czemu sam wydawca tak szeroko rozpisał się o Jarosławie Linowskim, który mógł być osobistym przyjacielem wydawcy, ale nie takiego nie zrobił, aby na tak obszerną biografią u nas zasłużył? Na co wreszcie aż tyle o téj Kalifornii, z którą wszędzie spotykać się trzeba i która wszędzie nudzi, bo nam ani złota, ani nauki nie daje. Z drugiej strony zważając wszystkie trudności, z któremi walczyć musi zbieracz artykułów; zważając jak gorzko mu one przychodzą; ile się musi nachodzić, napisać i naprosić; jak leniwi są ludzie zdolni, jak próżni, natrętni i gniewliwi niezdolni: szczerze wdzięczni jesteśmy wydawcy za wiele rzeczy dobrych, użytecznych i pięknych, które zdołał do zbioru swego zgromadzić, i które nagradzają mierne lub niepotrzebne, które może musiał umieścić.

Ale przystąpmy do szczegółów.

I. Trzy te zeszyty zamykają wiele urywków poetycznych równie oryginalnych, jak tłumaczonych. Tak odwykliśmy dziś, nie mówię od poezyi, bo poezya może wniknąć wszędzie, wszystkie formy wypełnić, i gdzie tylko jest piękność i życie, tam i ona być musi; ale tak odwykliśmy od wierszów w dawném, poczciwém *mowy wiązanej* znaczeniu, że każdy niemal z czytelników czyta pism peryodycznych, czy zbiorowych, gdziekolwiek spotka się z tą rymaryą, rad ją pomija i odwraca się od niej, jakby od wczorajszego obiadu. Jestto zwykła niesłuszność ludzka ku wszystkiemu, co się wysłuszyło. Doznają jej rzeczy i ludzie, płody literackie i ich autorowie. Co do wierszów, sprzeczać się o tém z nikim nie będziemy, przyznając się szczerze, że i na nas taki sam grzech ciąży. Wszakże, jeżeli kto zdoła przemódz, czy wstręt słuszny, czy niesłuszne uprzedzenie i przejrzy w niniejszym zbiorze poezye Odyńca, Innocentego Staruszkiewicza, a nadewszystko przekłady Sarbiewskiego Władysława Syrokomli i jego oryginalne płody, sownie za to wysilenie nagrodzonym zostanie. Z pięciu poetycznych kawałków znakomitego autora *Felicity*, ce-

(1) Sam wydawca to przyznaje, że je umieścił raczej jako pamiątkę, niż jako materiał,

luje powagą myśli i świeżością kolorytu: *wiersz do hr. Tyszkiewicza*, naiwna zaś dobroduszość i owa szczerą polską serdeczność, cechują *Invitacyą do przyjaciół*, a szczególnie *Okólnik do sąsiadów*.

Prace wierszowane Innocentego Staruszkiewicza (także Ed. Odyńca), sąto właściwie satyry, pod inną tylko, mniej odstraszącą niż dawniejsza, formą. Pierwsza z nich wymierzona jest przeciwko sknérstwu bogaczy; druga przeciwko wychowaniu kobiet wyższego towarzystwa, to jest przeciwko ich upędzaniu się za formą i sztuką, ze szkodą ducha i natury, z uszczerbkiem téj wrodzonej miłości ku wszystkiemu, co swoje. Tak wychowaną panią nazwał poeta Lafiryndą; jak się zaś ona formuje, następujące strofy uczą:

Bóg-ci nie dał nikomu,
Rodzić się bez rozsądku;
Lecz tylko w pańskim domu,
Można wnet niemowlątku

Dać bonę, pedagoga,
By przez najpiérwsze lata,
Dzieło w niém Pana Boga,
Prestować wedle świata.

A tylko na nie lada
Pensyą i podarek,
Dają się zwabiać stada,
Francuzek i Szwajcarek.

Ach! bez nich niestety!
Przez żaden mus, ni względu,

Z żadnej naszej kobiety,
Nie zrobisz Lafiryndy.

Bo krew przodków nie woda,
Bo nad świata przycinki,
Śmielsza Polki swoboda,
Szérsza tkliwość Litwinki.

A tu właśnie rzecz na tém,
Wypłéć wszystko przyrodne,
By módz zasiać jak kwiatem,
Wszystko cudze i modne.

W czém jedynie się nadać
Może metoda taka,
Jaką się uczy gadać,
Papugę albo szpaka? i t. d.

Kończymy naszą cytacyą na tych znaczących wyrazach, dodając, że obie te satyry dają się czytać z uciechą i smutkiem. Cieszy w nich żywość obrazów, a smuci ich prawdziwość. Wszakże, gdy prawdziwość ta jest względną, bo nie wszyscy bogacze są sknory, a nie wszystkie nasze damy, mimo najlepszej chęci, wychodzą na Lafiryndy, gdyż często bez ich wiedzy i woli przemaga *swoboda Polki* i *tliwość Litwinki*: dlatego znajdujemy, że obie mając dziś wyjątkowe zastosowanie, grzeszą tu i owdzie przesadą. Najprawdziwszą, najszerzej niestety zastosować się mogącą jest trzecia, przepiwo próżniactwu i złemu życiu pańców wymierzona, pod tytułem *Wieszór kawalerski*. Polecamy ją wszystkim takim kawalerom zamiast zwierciadelka do przejrzenia się, nim się na opisaną tam zabawę udadzą. Charakterystyczne są strofki, w których dawniejsze pokolenie, także hulające, do dzisiejszego przyrównywa:

Prawdą, każde broiło,
Aż sięgnęło gniew boży;

Ale jeśli złe było,
Toć dziś wszystko jest gorzej.

Sięgam pamięcią czasów,
Bachusowego szału,
Co trwał u nas od Sasów,
Do końca Trybunału.

Żał wspomnieć, co iskrzących
Serc, myśli, Bożych darów,

Naksztalt gwiazd spadających,
Zgąsło w głębi pubarów.

Ale był duch, mosaniel
Było życie i siły;
I w Bachusa rydwanie
Szły lwy—nim się popiły.

A wy co? i t. d.

Na tém porównaniu dzisiejsze pokolenie naturalnie nie najlepiej wychodzi; wszakże ostre, pełne życia i gorzkiej prawdy przymówki, które mu autor czyni, kończą się, jak się zwykle kończy każda polska zrzęda, udobruchaniem się i powrotem do nadziei poprawy, mającej swą zasadę w dobrym gruncie tych, przeciwko którym wymówki wymierzone. Podzielamy i my tę nadzieję, i chętnie z autorem mówimy:

Lecz choć wicher na wodzie,
Łódź przez maszty w głąb' nurzy,
Dobry balast na spodzie,
Zbawi okręt od burzy.

Najpiękniejszą ozdobą tego oddziału są przekłady pięciu ód Sarbiewskiego przez Władysława Syrokomlę. Młody ten poeta słusznie i gruntownie oceniony i w Bibliotece naszej i przez Kraszewskiego w Tygodniku Petersburskim, dawszy nam uczuć piękności Klemensa Janickiego, i przedziawszy tkliwe jego żale w tak wierną i piękną sukienkę, w przekładzie tych kilku ód dał nam jeszcze lepiej poznać, jak dobrze pojmuje ducha poetycznego dawnych naszych pisarzy, których chęć sławy europejskiej i rzymskiego lauru, na pole Rzymian zagnała. Przyklaskujemy z całym spótczuciem użytecznej i śmiałej pracy, która nam przywróci poetę, gruntowniej może znanego za granicą niż'u nas. Że p. Syrokomla nie lekko, nie bez należytego przygotowania podjął się tego trudu, niech służy za dowód wzmianka o Sarbiewskim, nie co do jego życia i bibliograficznych o nim wiadomości, bo to są rzeczy znane, wielokroć powtarzane, i dokładnie w Bentkowskim objęte, ale co do ocenienia jego wielkich zdolności, jego stanowiska w literaturze w porównaniu z Horacym, oraz co do sposobu, jakiego w przepolszczeniu takiego poety trzymać się należało. Nie zrobimy zapewne przykrości czytelnikom Biblioteki Warszawskiej, kiedy parę tych miejsc przedrukujemy. Tak p. Syrokomla stawia obok siebie dwóch wielkich liryków, rzymskiego i polskiego:

„Formą liryczną zbliżał się Sarbiewski do Horacyusza, ztąd nazwano go Horacyuszem polskim. Zasłużony epitet, tytuł chlubny, jeśli go z punktu pojęć klasycznych uważać zechcemy. Nasze jednak inne jest

zdanie o Sarbiewskim: choć nieraz zapożyczył wyrażenia, sparafrazował myśl starożytnego pisarza, Sarbiewski jest sobą samym. Między rzymskim dworakiem a polskim Jezuitą nie widzimy wielkich podobieństw, wyjąwszy może palenie kadzideł możliwym tego świata; co u Sarbiewskiego było wadą stanowiska, u wieszczu zaś rzymskiego wadą ledwo że nie własną. Zresztą, jeśli duchem rzymskim zwykliśmy nazywać ducha mężki, energiczny, twardy i ślepy, gdzie idzie o cnotę, toć prędzej nazwę Rzymianinem Sarbiewskiego, niż Horacyusza. Sarbiewski w poezji jest klasyk, erudyt; u niego wzory i poetyka są bóstwem. A przecież jak jest niespodziany w swoich myślach i zwrotach, jak silny w uczuciu, jak oryginalny w słowie! Prosimy tylko przejrzyć te gorące ody, któremi ten godny poprzednik Bajrona wołał na Europę, aby skruszyła kajdany ziemi Helenów; te jego religijne westchnienia, lub ten głos do swoich przyjaciół i opiekunów? Czy jest to naśladownictwo, czy raczej mężka rywalizacja z ubóstwionymi przez się klasykami? czy sucha deklamacja? czy nazwa naśladowcy Horacyuszowego przynosi Sarbiewskiemu chlubę, czy ubliżenie?"

Wspomniawszy p. Syrokomla dlaczego próby dawniejszych przekładów Sarbiewskiego nie udały się, wyklada jakiego sposobu w tym zawodzie trzymać się można i jakiego się trzymał. Powtórzymy jeszcze to jego wyrazy tém chętniej, że się zupełnie zgadzają z naszym tój rzeczy widzeniem, i że się do każdego tłumaczenia wielkich obcych poetów zastosować dadzą.

„Godzi się zatem (mówi) tłumaczowi poezji, zostawić grammatykom ślęczenie nad mistrzowską dykcją Sarbiewskiego, a w zamian starając się (ile siła stęrczy) o podobny kunszt w języku polskim, używać zresztą tój swobody, ile zwykliśmy jój mieć tłumacząc prozę; godzi się zapomnieć, że krytyka może postawić wyraz przeciw wyrazu i gromić nas za drobiazgową niewierność. Trzeba tylko przejąć się, przejąć się i przejąć się duchem poety, każdą myśl jego przewarzyć w sobie, czasem przeciąć węzeł gordyjski, zamiast go rozwiązać, czasem mniej skrupulizować z jakim pogańskim bóstwem; niekiedy Tethys nazwać morzem, a Feba słońcem, i zawsze tłumacząc kogoś być sobą. Szanować myśl, liczbę wierszy, a nawet o ile można wyrazy, ale przedewszystkiém szanować duszę i nie uronić jój ani cząstki w przenoszeniu na inny język.”

Że młody nasz zapaśnik ze wszystkich trudności, jakie ta metoda przedstawia, szczęśliwie wybrnie i prawdziwą przysługę literaturze krajowej robi, przekonywają próby wspomnianych pięciu ód, które mamy przed sobą. Dla braku miejsca nie możemy wszystkich przytoczyć, ale mniemamy, iż to miłém będzie czytelnikom Biblioteki, gdy choć niewiele przywiedziemy, aby sami sądzić mogli.

Taki jest początek ody XI księgi I do Stefana Paca, na wytworno zbytki stoju rycerstwa polskiego:

Złoto brzękotki, płaszcz z purpury,

Nie doda hartu waszój zbroi.

Wdziewać brylanty, sute sznury,

Wojackim piersiom nie przystoi.

Głowa żelazem przyodziana,

Pocóż piórami jeszcze mży się?

Poco ta kita rozczochrana,

Na niedoleżnym drga kirysie?

Nie będą straszne dla nikogo,

Przyłbice ptasiem pierzem wzdęte,

Na jedno tylko służyć mogą:

Żartoczny sępom na przyjęte.

Kule z warkotem świszczą w dali,

Grzmocą rusznice—oto słyszę,

Gromem, piorunem dziuło pali,

Błyszcżą się włócznie, berdysze.

Na nic ta kita nie wystarczy,

Na nic grzechotka brzękająca,

Na nic ten polor, lustr na tarczy,

Po której biega połysk słońca.

Kołczanem wrogi się nie zgniotą,

Gdy tępa strzała, zła cięciwa;

Porzuc błyskotki, porzuc złoto,

Niech ci ramion nie skowywa.

Ty twarz wyżółką przez swywole

Barwisz, rozkoszy wychowanek;

Piękniejsza kręsa, co na czole,

Bo to wczorajszej bitwy wianek. i t. d.

Równie energiczną i pełną zapału jest oda XX z księgi III, którą jako krótką możemy przytoczyć całą. Sarknąwszy w niej poeta na niedoleżność i rozpustę społecznej młodzieży szlacheckiej, opiewa dzielność szlachcica Wiszniowskiego, który gdy za kraj poległ, Turcy serce jego między siebie podzieliwszy, pożarli dla nabrania podobnego meżta:

O młodzieńcy! o szlachetni!

Patrz Lewiński! cześć im, cześć!

Jak tańczują taktem fletni,

Jak umieją toast wznieść!

Z swych pawęży stół zrobili,

Z hełmów puhar—co'ę się zda?

Spełni rycerz w jednej chwili,

Szyszak wina aż do dna.

Lecz Wiszniowski, mąż sarmacki,
 Inszy pewno rycerz był,
 Co w gorącej bitwie Trackiej,
 Wstrzymał zapęd trackich sił.

Wpółśród krwawych kup Tatarsa,
 On się dzielnym Marsem zda,
 Krew szlachecka, krew mu stara,
 Niedaromno w sercu drga.

Tego Turków dzicz szalona,
 Kiedy w moc porwała swą,
 Wyrąbała serce z łona,
 I jelita z ciepłą krwią.

I pożarła rojąc w głowie,
 Nabrać męztwa, pozbyć strach.
 O zbryzgani krwią Getowie!
 Nie wam bić się, jak ów Lach.

Potomności! uderz w miecze
 I wojenny zagraj śpiew,
 Niech się Turka pierś rozsiecze,
 I Sarmacką odda krew.

Wiszniowskiego krew wypita,
 Na co ma w ich żyłach stać,
 I zwierzęce ich jelita,
 Babatérskiém ciepłem grzać?

Łagodniejsze, ale pełne męzkiej siły, a co do polszczyzny przypominające obrotы Jana Kochanowskiego są obrazy w odzie XXIV księgi IV do rycerstwa polskiego, która się tak zaczyna:

Jakim się wiekiem potomność poszczyci,
 Ja wam wywieszczę (1).

Opisuje w niej poeta jak słodkiego pokoju używać będzie Polska, gdy zwali potęgę turecką i gród Konstantyna i państwo jego wskrzesi. Takie jest zakończenie tej pięknej pieśni:

A potem miecze zbite na poganach,
 W miłym pokoju zawiesim na ścianach,
 I mąż babatér z zapalem na twarzy,
 Dzieła wojenne małżonce wygwarzy.

Na łonie pełném bohaterkiej cześci,
 Mężką prawicą dźwiatwę swą popieści,
 Żelazny pancerz i przyłbice krwawe,
 Małym wnuczętom odda na zabawę.

(1) Quos sera gignent saccula posteros
 Narrabo Yates...

I wonczas lichwą nie upadnie wioska,
 Nie zgubi ludu przedajność sędziowska,
 Prawda zagodzi wszelki proces główny,
 Lub przy kielichu żarcik polubowny.

A chciwość zysku, lub żądza honorów,
 Przystanie pukać do bogatych dworów,
 Nie wezwie mężów droga stomilowa,
 Żona nie będzie samotna, jak wdowa.

Na zawsze wstąpi rolnikom do łona,
 Szacowna miłość sielskiego zagona,
 Czy przyjdzie żniwem pracować we skwarze,
 Czy wiosną skibę skroić na poparze.

Na wiernej roli nie próżne oranie,
 Zboże kłosiste, jako las powstanie,
 Bowiem zagonów, co płużą dla ludzi,
 Pórz nie zagłuszy, zielsko nie zabrudzi.

Lecz krasne różo i białe lilije,
 I śnieżny *Nardus* liście swe rozwije,
 A na zagonach z nadzieją widoczną,
 Kłosa jak fala kołysać się poczną.

Znijdzie obfitość Opatrzności Bożej,
 W ulicach miejskich mieszkanie założy;
 Zazielenięją pagórki i knieje,
 I róg obfity skarby swe rozleje.

O! niech się ziści, co widzę mym wzrokiem,
 Nazwą mnie wielkim wieszczem i prorokiem;
 Letni starcowie i dziatwa i panny,
 Hymn mój zanućą w odgłos nieustanny.

A choć nie dojdą uwielbienia ku mnie,
 Choć będę truchląc popiołem w swój trumnie,
 To przecież ciemne grobowisko moje,
 Opaszą laury, bluszcze i powoje.

Porównywalimy te próby z oryginałem. Nic one na tém nie straciły. Wprawdzie, niewszędzie jest ta skrupulatna wierność, z której często wychodzi koszlawy przekład; w wielu miejscach *Sarbievski* jest kwiecistszym i śmielszym od swego tłumacza; ale w ogóle wszędzie prawie ten sam duch, taż sama energia, taż udatność wyrażenia. Jeżeli tłumacz tak szczęśliwie całą pracę dokona, czego z serca życzymy, żaden z czytelników polskich, choćby nawet po łacinie nie umiał, nie zadziwi się, dlaczego *ad Sarbievii lyram* wznosiły się pochwalne pieśni najstawniejszych ówczesnych mężów, dlaczego ziomek nasz był tylekroć razy w ró-

źnych miejscach Europy przedrukowywany, obok wielkiego poety Rzymu postawiony i ozdobiony laurem, który czoło Petrarki i Tassa ocieniał. Dotąd chwaliliśmy się Sarbiewskim po większej części na wiarę Europy, gdyż mało kto miał go w rękę; dziś i ogół czytelników naszych przekona się, że Europa miała racją. Oryginalne poezye p. Syrokomli ukazują umysł, umiejący w każdej rzeczy poetyczną stronę upatrzeć, a nade wszystko okazują rzadkie dziś mistrzostwo w obrazowaniu myśli, w zastosowaniu tonu i wyrażen do przedmiotu, i w tém pełném zdrowia i świeżości użyciu mowy, która jak zwierciadło maluje każdy stan duszy poety, każde poruszenie jego imaginacyi odbija. W zeszytach tych umieszczoną jest *Gawęda z żebrackiego żywota o chwale Bożej i chwale królewskiej*, gawęda pod tytułem: *Bywało*, i śliczny wierszyk: *Westchnienie majowe*. Zajmą one czytelników i zdołają zdanie nasze usprawiedliwić. Nawet rubaszna przypowieść szlachecka pod tytułem: *Kradzione*, mająca też same zalety, nową stronę talentu jego pokaże. Czekamy niecierpliwie więcej takich odgłosów szczęśliwego natchnienia i całkowitego ich wydania.—O innych kawałkach poetycznych i niby poetycznych, umieszczonych w tym zbiorze, niewiele mamy do powiedzenia. Ciekawych wszakże poznać, jak się wysnuwa dwadzieścia kilka stronic wierszy, zamykających wysokie marzenia o przyjaźni i miłości, baladę pełną czarów, sny fantastyczne i t. d. z tkliwój dwojga kochanków rozmowy, zaczynającój się od tych słów: *Czy pani lubi śledzić?*, odsyłamy do poematu pod tytułem: *Trzy razy w życiu i raz po śmierci*, Leona Janiszewskiego. Nie jestto rzecz bez talentu w pojedynczych szczegółach, bo jużci p. Janiszewski, który kiedyś tak ładnie i z taką łatwością przełożył *Cyganów* Puszkina, o którego poetycznej podróży do Tyflisu zaraz wspomniemy, ma go niezaprzeczenie; ale zdaje się nam, że w tym humorystyczno-fantastycznym płodzie chciał siebie przewyższyć, i dlatego widać wysilenie, które i czytelnika nuży, i prowadząc go wysoko i daleko, do niczego nareszcie nie przyprowadza.

II. Drugi dział niniejszego zbioru stanowią obrazy obyczajowe współczesne i trochę dawniejsze, oraz powiastki swoje i z niemieckiego naśladowane.

Z pierwszych mile daje się czytać rzecz pod tytułem: *Samojedy salonowe*, znowu pod pseudonimem Zofii Jaskółki. Jestto obraz obyczajowy, złożony „z dwóch stron tegoż samego medalu”. W pierwszej autor czy autorka maluje świat, tak nazwany wyższy, przesuwając go przed oczami czytelnika na szlichtadzie, a pierwój jeszcze na balu u jakiejś hrabiny, która (jak mówi autor) „sama dla siebie była heroldyą” przyznawszy

sobie samowolnie ten tytuł. Że obraz ten skreślony jest z życiem, z prawdą i talentem, to przyznajemy chętnie; ma tylko tę wadę, że chociaż w ogóle jest obrazem, w którym się całe tego rodzaju towarzystwo mniéj więcej przejrzeć może, ale w wielu szczegółach jest także zeszeconym trochę portretem towarzystwa jednego miasta. Obowiązkiem jest bez zaprzeczenia tego rodzaju pisarza zbierać wzorki, bo inaczej jekżeby się nauczył życia i jego prawdziwego wyrazu? ale takie portretowanie, w którym się i pan D*, i pani K* i pani Z* poznać mogą, zakrawa cokolwiek na pamphlet. Rodzaj ten może być dowcipnym, zabawnym dla miejscowych; ale najprzód niebezpiecznym jest dla autora, a co główna, sprawdza sztukę z rozległej krainy poezyi, przystępnej dla wszystkich, do ciasnych ulic jednego miasteczka, w których tylko jego mieszkańcy zorientować się mogą. Druga strona medalu zamykać będzie *świat prawdziwy*, czyli jak go autor nazywa, *świat pracy*. Jestto oczywiście świat pracy i zajęcia serca i myśli, wystawiony jako kontrast do owego świata próżnowania, zbytków i wszelkiego rodzaju próżni. Mamy tu dopiero pierwszy zarys tego *prawego* świata, dla którego naturalnie widać już sympatyą tego, co go kręślił. Jeżeli i tu będą tak wierne sylwetki osób znanych i miejscowych, to oczywiście spotkamy się w tym *prawym* świecie i z portretem samego autora, w dobrém zapewne świetle postawionym. Wtenczas dowiemy się, czy to jest rzeczywiście bezbronna jaskółka, czy może jaki z ostremi szponami krogulczyk, gdyż w urywku tym kobięcego stylu nie upatrujemy.

Wspomnienia uniwersyteckie, dające wierny obraz życia studentów dawnego wileńskiego uniwersytetu, malują chwile egzaminowe i wyjazd na wakacje téj młodzieży pełnej życia, pełnej zapału i owéj swobody umysłu, jaką daje młodości wiara w złote nadzieje i ufność w siły niezużyte przez próżne trudy i doznane zawody. Obraz ten skreślony jest z prawdą, ze znajomością szczegółów, z miłością przedmiotu, i pewni jesteśmy, że niejeden z dawnych wychowalców téj znakomitej szkoły, przeczyta go z rozrzewnieniem, słodko wspomni najpiękniejsze chwile swego życia, i uśmiechnie się do nich z tęsknotą, postrzegłszy nawet charakterystyczną postać poety Krystalewicza, i postyszawszy jego logiczny galimatias, który prawi studentom na pożegnalnej herbacie. Z całej grupy wystawionéj tu młodzieży, wybitniejszemu maluje się oryginalny i pełen prostoty i szlachetności charakter studenta Marcinkiewicza. Jeżeli, jak się zdaje, przyda jeszcze autor w dalszym ciągu jakie interesujące zdarzenie, i użyje go za tło do żywszego odmalowania rozmaitych faz studenckiego życia i do wyraźniejszego odkreślenia kilku indywidualności, bar-

dzień charakterystycznych, będzie to rzecz ciekawa, zajmująca i stanie się interesującą pamiątką niepowrotnej już przeszłości.

O przygodach człowieka, który sprzedał swój cień, powieści fantastycznej z niemieckiego naśladowanej, o obrazach obyczajowych z rękopismów hr. z Mniszków Potockiej, w których szczególna postać hr. Owybitnie jest określona, tudzież o drobnej powiastce, pod tytułem: *Wieczór stój Katarzyny*, której treścią jest niestałość kobiety, a zatem przedmiot dawny i znany, nie mamy nic do dodania. Powiemy tylko w ogóle, że cały ten oddział literatury powieściowej, którym dziś wszystkie pisma peryodyczne i nieperyodyczne, jakby jaką omastą półmiski swoje okrasić usiłują, w niniejszym zbiorze nie jaśnieje niczym oryginalnym, uderzającym i mogącym silnie obudzić sympatyą naszych czytelników; zaleca się wszakże językiem, nie nudzi rozwlekłością, i przyjemnie czytać się daje.

III. Z podróży więcéj nas interesujących, niż Kalifornia, mamy tu wzmiankowaną wyżej podróż do Tyllisu przez Leona Janiszewskiego i humorystyczny kaleidoskop Faustyna Wszędobylskiego (znowu pseudonim samego wydawcy), w którym są wzmianki i opisy niektórych okolic Wilna i Grodna.

Podróż p. Janiszewskiego jest raczéj poetyczną niż topograficzną. Zamyka ona więcéj marzeń, natchnionych przez miejsca, przez które autor przejeżdża, niż opisów tychże miejsc i historycznych o nich napomknień. Przyznać musimy, że marzenia te są często więcéj warte, niżby warte były opisy; tak są niekiedy rzewne, pełne tęsknoty i poezyi. Wspomniawszy na tak dziwną piękność tych krain, tyle usposabiających do dumania i smutku, na położenie poety, który samotnie przesuwiał się po tych nieograniczonych przestrzeniach, nie dziwimy się wcale, że myśl jego nastroiła się na ten ton pół rozpaczliwy, pół ironiczny i tęskny; że oko jego, zasłonięte łzą, więcéj patrzyło w głąb' zranionego serca i w przeszłość pełną drogich wspomnień, niż na ludzi i kraje, które się przed nim przesuwały. Przywiedziemy tu zakończenie téj poetycznej podróży, którą daleko wyżej cenimy, niż wspomniany już przez nas poprzednio poemat tegoż samego autora: „Jestem za Donem; pierś moja wznosi się wysoko; czuję, że jestem na woli. Step pod błękitnym niebios namiotem, to nieskończoność w miniaturze. Ja jestem Noe: step, to oceany potopu, myśli moje, to gołębice korabia. Wypuściłem myśl jedną, i ona nie powróciła do mnie. Ona była burzliwa i tajemnicza, a nazywała się „rozpacz”. Poleciała w zatargi z wibrem i burzą; silniejszy wiatr zwichnęła jój skrzydła, i utonęła w potopie. Wypuściłem myśl drugą, i ona nie powróciła do mnie. Ona była smutna i tęskna, a nazywała się „miłość”. Poleciała między drogich sercu, na ukochane miejsca, i tam została na zawsze. Wy-

puściłem myśl trzecią i ta wróciła do mnie. Była zaś wesołą i rzewną, fantastyczną i rozumującą, śmieszną i zaptakaną, swawolną i poważną, a nazywała się ta myśl „wspomnienie”. Nieścignionym lotem ona zwiędziła tysiące miejsc i powróciła do mnie obciążona drobnymi, ale drogiemi dary. Gołębica Noego przyniosła mu jedną tylko gałązkę; moja gołąbka przyleciała z listkiem, uszczknionym w Dobośnie, ze wstążeczką na szyi zawieszoną w Krzyczynie, z motylkiem złowionym na błoniach Wołczyzna, z pieśnią Nimfy Lubowskich gajów, z kamykiem z mogiły Hipolita, z ziarnkiem piasku z nad Proсны, z kroplą łzy tych, których nie obaczę więcej”.... Miejsce to nie potrzebuje pochwały, ani objaśnienia. W Kalejdoskopie oprócz pięknego i tkliwego opisu odwiedzin domu matki autora, mamy ciekawe notaty o żupach stokliskich, obraz Druskienik przy końcu pory kąpielowej, wzmiankę o Ondynie Druskienickiej, o jej redaktorze i przyczynach jej upadku, najobszerniej zaś o Grodnie. Z tego wszystkiego co o tém mieście powiedziano, najbardziej interesującą jest wzmianka o zasługach, zakładach, bezprzykładnej gorliwości i niewytłumaczonym dotąd upadku podskarbiego Tyzenhauza. „Po trzech dniach pobytu (mówi autor), w piękny poranek wrześnieowy, przez miejsca usiane pomnikami Tyzenhauza, przez rozkosznie zazieleniałe przedmieście *Roskoszną* zwane, z konusowemi domkami, niegdyś majstrów niemieckich, ze smutkiem opuszczałem to miasto, które tylko wspomnieniami, szczerkami lub rozwalinami o dawniej świetności świadczyło: oto pałac Druckich-Lubeckich, oto dom, w którym Gliński Zabrzezińskiego zamordował, oto, gdzie król polski mieszkał, a oto pałac ks. Czetyrtyńskich, gdzie uczony Żylibert nauki wykładał.... Żylibert, który tyle przyczynił oświaty tej stronie przez wpływ na młodzież chciwą nauki, a który za dyssekcją trupa był od pospólstwa na ulicy urągowskiem i kamieniami spotkany... Oto nareszcie brama, przez którą wjeżdżał jako tryumfator, luminarz, dobroczyńca ludzkości, ten sam wielki podskarbi, czczony i uwielbiany, który w lat kilkanaście później zhańbiony i sponiewierany i odarty przez tę samą bramę wyszedł w łachmanach, o kiju żebraczym. Nagły ten upadek pozostaje dotąd niewyjaśnionym; przynajmniej przyczyny onego nikt mi dokładnie wytłumaczyć nie umiał (1). Dość, że długo jeszcze mieszkał w Pirmoncie pod Wilnem ubogi ksiądz Pijar, który mu dawał przytułek w szczupłej komnatce u siebie, i dostawszysam kurę pieczoną od jakiejś wiernej duszeczki z owczarni swojej, w kieszeni obwiniętą w papierze Antoniemu Tyzenhauzowi przynosił”. Niezmiernie cenimy podróżę po kraju naszym, tak mało znanym w swoich

(1) Dziwna rzecz, że familia nie stara się tego wyjaśnić, chociaż, jak się dowiadujemy, ma dostateczne do tego materyały.

szczegółach, a przecież tak ich pełnym. Gdyby każdy, lubiący wędrówki i mający przytém czas i pieniądze, przygotował się wprzód do jakiej wycieczki, zlustrował choć bliższy siebie kawał ziemi, na której było wprzód tyle ruchu i życia; gdyby wyszukał jego ślady, i swoją zdobycz i wrażenie łatwo, bez pretensyi i z wdziękiem opisał: ileżby się rzeczy wyświeciło, ileby się uprzedzeń sprostowało? Dlatego pochwalamy szczerze p. Wszędobylskiego za dobrą chęć w kontynuacyi tego, co kiedyś Kraszewski i Przędziecki rozpoczęli. Wszakże życzylibyśmy, aby w przyszłym kalejdoskopie wziął zawód swój bardziej seryo, więcej nam dał szczegółów, a mniej kart poświęcał humorystyce, która mu się niezawsze udaje; bo zły humor, jaki w nim *czapkowi przyjaciele*, *brak samowara* i *wywrót w jezioro* obudza, nie jest owym prawdziwym humorem, od jakiego niewinnie kalejdoskop swój pod rubrykę *humorystyk* podciągnął.

IV. Opuszczając niektóre drobniejsze artykuły i korespondencyą gospodarską, o której treści sądzić nie możemy, ale której pomieszczenie w Pamiętniku znajdujemy chwalebne i użyteczne; wspomnimy jeszcze o trzech listach w materyach literatury i krytyki. List wydawcy Pamiętnika do Alberta Gryfa o celach i samoistności sztuki, zamyka wiele uwag zdrowych, wiele sądów trafnych i pokazuje, że autor stoi na właściwym stanowisku, z jakiego na dzieła imaginacyi zapatrywać się należy. List p. Ant. M* do wydawcy Pamiętnika, rzuca uwagi o literaturze naszej peryodycznej; ostro, a w części i zasłużenie przymawia Tygodnikowi Petersburskiemu i kończy ogólnem wejrzeniem na sztukę w jej stosunku do obyczajów. Nie mamy nic przeciwko temu, że autor staje murem w obronie dążeń i natchnień p. Ant. Sowy, chociaż znajdujemy to niepotrzebne, bo talent tego pełnego nadziei poety został uznany i dążenia jego ocenione. Ale co nam dziwnem się wydaje, to owa górna, pełna erudycyi, a zgubna przepowiednia o Athenaeum, nim jeszcze po upadku swoim powstało i znowu się pojawiło. P. Ant. M* w liście tym prorokuje, że biedne Athenaeum nie będzie miało jednej, ożywiającej całość idci, że materyały, które zebrał wydawca, nie skleją się w jedną budowę, „że zatem nie będzie myśli twórczej, coby wykuła kolumny i wystawiła je wedle zarysu powstałego w duchu; coby poprowadziła łuki wiążące je w sklepieniu: nie będzie jednem słowem boskiego Demiurga, coby wcielił w glazy prototyp, wznieśiony w świątynicy ducha, z niebieskiej ojczyzny człowieka”. Cała stronnica pełna podobnych, zabójczych dla przyszłego Athenaeum prorocत्व, a to wszystko dlatego, że p. Kraszewski „nie objaśnił, co sobie założył, co odbić miał w odrodzonym już pod inną prasą, swém piśmie”. Równie pełny złości, choć nie tak górny

i nie tak wyraźny wyskok przeciwko p. Kraszewskiemu znajdujemy i we wspomnionym już liście samego wydawcy Pamiętnika. To nam daje do myślenia, że pan Ant. M* (jeżeli tylko to M* nie jest także pseudonimem) napisał swój list jedynie przez wielką przyjaźń dla wydawcy Pamiętnika i dla odplacenia p. Kraszewskiemu za ostry sąd jego o Roczniku literackim w Tygodniku umieszczony. Z tego może powodu i Tygodnikowi się tak dobrze dostało. Szczérze żałujemy, że wydawca tak do serca bierze sądy ludzkie, kiedy zasługi jego niezaprzeczone; że zamiast korzystać z uwag, jeżeli na to zasługują, choćby były w jaki gorzki żart obwinięte, zamiast iść dalej i dalej, zatrzymuje się i na tak niepotrzebny fechtunek czas i siły zużywa. Ale przejdźmy do trzeciego listu. Znakomity autor Listopada, jako szermierz biegly i wprawny, lubi czasem cięcia śmiałe i niespodziewane, któremi stara się zmieszać swego przeciwnika, i uśmiecha się potem w duchu patrząc na jego kłopot i zadziwienie. W ostatnich numerach Tygodnika Petersburskiego z r. 1848 ogłosił on kilka listów, w których twierdzi: że do uformowania człowieka uczonego, książki nie wystarczają; że jeżeli kto czyta bez przewodnika, to mu się to na nic nie zda; jeżeli zaś tym przewodnikiem jest własny rozum czytającego, a ten tyle jest zdolnym, że mu się powierzyć można, *to zdolność tę musiał wydobyć z kądziąd, niż z czytania książek*; że jeżeli kto myśli, że naukę żywotną można wyprowadzić z mądrości człowieka pojedynczego, to nie rozumie co to jest nauka, *bo żadna nauka nie była wymyśloną, ale daną*; że każdy pojedynczy mędrzec, czy go nazywać będziemy Arystotelesem, czy ś. Tomaszem z Akwinu, czy Kopernikiem, czy Leibnitzem, zawsze był wyrobem podań swojej społeczności i dał jej środki do nabycia tychże samych prawd, których zarodki od niej tajemniczym sposobem pochwyił, a potęgą gieniuszu usystematyzował; że tylko pojaw wieszczów, będąc pierwowszłędnym skutkiem potężnego fiat Opatrzności, logicznie wyrozumowanym być nie może, ale każdy mąż nauki podlega wszystkim warunkom czasu i miejsca; że natura inteligencji ludzkiej jest taka, że w niej nie pobudzi wiary, a zatem najpotężniejszego czynnika ducha, tylko intuicya i powaga. Jako do naturalnej konsekwencji z powyższych twierdzeń przyszedł autor i do tego przekonania, że druk nie posłużył tyle naukom, ile się to zdaje tym, co myślą, że rozmnożenie książek, jest oznaką wzrostu nauk.—Tęto twierdzenia pobudziły do odpowiedzi Alberta Gryfa, pełnego zdolności, energii i nauki współpracownika Gwiazdy kijowskiej. Zamknął on ją we wspomnionym wyżej liście do wydawcy Pamiętnika Naukowego. W piśmie tém krótkim, bo ledwie jedenaście stronic druku zajmującym, nie wyczerpnął wprawdzie tej obszerniej materji, bo nawet nie dotknął twierdzenia

o duku, o owój intuicyi i powadze, do których autor powyższych listów tak lubi się odwoływać; ale z właściwą sobie energią i siłą rehabilitował, że tak powiem, mądrość indywidualną, określił jej znaczenie i znaczenie mądrości ogólnej, ich wzajemny na siebie wpływ, wskazał, że ta ostatnia przez pierwszą tylko może żyć i w niej tylko posuwać się do pełności rozwoju, gdyż każda pojedyncza mądrość powraca na nowo do ogólnej całości uniwersalnego ducha, jako nowa korzyść w jego postępie, ruchu i życiu. Zwracamy uwagę czytelników naszych na tę krótką, ale pełną treści pracę młodego myśliciela, jeżeli chcą kwestyą tę z innej strony obaczyć, a nie lękają się filozoficznego rusztowania, którym zdrowe oblicze myśli mojej, w najistotniejszym punkcie swój odpowiedzi, cokolwiek zasłonił.

V. Zakończymy nasze zdanie o Pamiętniku Naukowym kilku słowami o ważnej pracy p. T. Granowskiego, na którą także przyjemnie nam zwrócić baczenie czytelników Biblioteki. Jestto zdanie sprawy z dzieła Adl. Szmidta, wydawcy znanego w Niemczech czasowego pisma, poświęconego historycznym badaniom. Dzieło to ma tytuł: *Historja swobody myśli i wyznań (der Denck-und Glaubensfreiheit) w pierwszym wieku rzymskiej monarchii i chrześcijaństwa. 1847 r.* Praca p. Granowskiego czyta się z zupełnym zajęciem i okazuje umysł dojrzały i własnym myśleniem i nauką do ocenienia takiego dzieła dobrze przygotowany. W obszernym tém sprawozdaniu p. Granowski wprowadzając czytelnika na głównie stanowiska, z których najlepiej przypatrzeć się można życiu intelektualnemu i moralnemu dawnego świata, w stanowczej chwili jego przełomu i przeradzania się, wskazuje niedostatecznie rozwinięte miejsca swojego autora, i niektóre jego widoki trafnie prostuje. Mówiąc o zupełnym wygaśnięciu wiary w dawniejsze podania, o nagięciu się wszystkich sekt filozoficznych do ogólnego krytycyzmu tego, co było, dodaje: „Na granicy między kończącym się i powstającym peryodem historycznego rozwoju, filozofia staje się dwólicym Janusem. Ale wyraz obu tych twarzy niejednakowy: obrócona nazad ku przeszłości, spokojna i surowa; nieruchome rysy postradały możność odbijania ulotnych wrażeń bytu; widać, że walka zjawisk ucichła, że porachunek z życiem skończony, że odpowiedziała na zadane pytania. Nie tak w dal pogląda twarz, obrócona ku przyszłości: niespokojna myśl ulata ponad czołem, w oczach widać młodzieńczą nadzieję, niecierpliwą żądzę. Ale ta nadzieja niejasna, ta żądza niewyraźna. Zaprzeczając obecność, filozofia usprawiedliwia czas przyszły, chociaż nie uznata go jeszcze w jego istocie, i wczesniej lub później podda go rozbiorowi, jakiemu ulegli jego poprzednicy”.

„Nie naciągając (mówi dalej p. Granowski) nieekszystujących analogij, jak to robi p. Szmidt, można pojąć całą ważność epoki przezeń rozbierną dla objaśnienia praw historycznego rozwoju w ogólności. Wciągający cząstkowemi pojęciami, niemiecki uczony patrzył na swój przedmiot nie z tego pewnego i jedynie odpowiedniego dzisiejszej nauce stanowiska. Postępowy ruch ludzkości przestał być enigmą dla większej części ludzi myślących naszego wieku; lecz gzygzakowy postęp tego ruchu, jego zewnętrzna nieregularność, wywołują ze strony jego uporczywych przeciwników zarzuty, mające niejakię prawdopodobieństwo. Teorya ich wspiera się głównie na dwojakim charakterze postępu, który, jeżeli go rozważać będziemy tylko z jednej strony, zawsze objawia się jako zepsucie czegoś istnącego, wiadomego, na *każdo* czegoś nieekszystującego, nieprzywołanego do życia. Takie stopniowe skażenie formy, wskazanej na śmierć, może się długo przeciągać i być tém odrażliwszém, im piękniejszą ona była w porze swój dojrzalszości, im więcéj wyraźnie występują na zewnątrz abrysy nowéj, jeszcze nieukształconéj formy. Ale odwoływanie się do tego zjawiska, wielekroć powtarzającego się w losach całej ludzkości i każdego osobnego, historycznego narodu, wskazuje w obrońcach teoryi wstecznej ruchu—jednostronność poglądu, albo co téż bywa często, niesumienną, dobrowolną ślepotę.”

Tak zapatrujący się na rzeczy i tak tłumaczący się pisarz, następującemi słowy sprawozdanie swoje kończy:

„Szczegółowie rozpatrzyliśmy godną uwagi książkę p. Szmidta. Wartość jej niezaprzeczoną, wszakże oprócz wskazanych niedostatków jest jeszcze jeden, wyciskający na całym dziele piętno jednostronne, niedokładnego poglądu. Wyraz chrześcijaństwo znajduje się na tytule książki, lecz autor nie pokazał w jakim stosunku stanęła prawda ewangeliczna do rozpadającego się świata pogańskiego. W historii, ostateczny, oskarżający się wyraz konającego porządku rzeczy wymawia się nie przezeń, lecz przez nowy, zastępujący jego miejsce porządek. Aby pojąć rzymską społeczność czasów Imperyi, trzeba ją postawić twarz w twarz z chrześcijaństwem, trzeba ją zmusić do powtórzenia głęboko smutnego pytania, które Piłat zadał Zbawicielowi: Co jest prawda?”

Jak użyteczną byłoby rzeczą dla nas, gdybyśmy mieli więcéj takich studyów nad dziełami ważnemi, o których wiadomość u nas z taką trudnością i tak nieprędko do ogółu się przedziera; jaką przysługę robiłyby czytelnikom swoim pisma peryodyczne i zbiorowe, gdyby je częściej w kolumnach swoich zamieszczały, o tém mówić nie potrzebujemy—to widoczna.

Mamy nadzieję, że i wydawca Pamiętnika, którego zasługi dla czytającej publiczności uznajemy, z powyższej uwagi naszej także korzystać nie zaniedba. Wyglądamy więc następných zeszytów jego zbioru, spodziewając się, że z wielkiej obfitości artykułów, o której nam zapowiada, wybierze co najlepsze; że wśród znanych już chlubnie imion Odyńca, Syrokoni, Alberta Gryfa, Antoniego Sowy, spotkamy się znowu i nie z pseudonimem p. Granowskiego, którego miło nam będzie zawsze powitać, tak się nam odrazu poważnie i po mężku zarekomendował.

J. Korzeniowski.

ROZMAITOŚCI.

Nowo odkryte ułamki 98 księgi Liwiusza.

Księgi historii Liwiusza obecnie nam znane, nie odrazu pojawiły się w druku. Pierwsze wydanie rzymskie z r. 1469 obejmuje tylko pierwsze ksiąg dziesięć, a z dalszych księgi 21—32, 34—39 i 36 rozdziałów księgi 40. W roku 1518 odkryto brakujące rozdziały księgi 40 i koniec księgi 33 od rozdziału 17. W r. 1531 wyszły w Bazylei księgi 41—45. W r. 1616 wydano początkowe 17 rozdziałów księgi 33.

Odtąd nastąpiła przerwa w odkryciach Livijskich. Poszukiwania czynione w Stambule i na wyspie Chios, okazały się bezskuteczne. Dopiero w roku 1773 Bruns i Giovenazzi odkryli w jednym z watykańskich palimpsestów ułamek księgi 91, którego poprawione wydanie sporządził Niebuhr w r. 1820.

Doktor Heine podróżując po Hiszpanii, kupił u księgarza w Toledo kawałek pergaminu, zapisany pismem nader starożytnym z wieku VIIgo, zawierający część komentarza St. Hieronima nad Jezajaszem. Po powrocie swoim p. Heine darował rękopis ten bibliotece berlińskiej, której dyrektor, znany wydawca źródeł dziejów niemieckich, Pertz, po śladach dawniejszego pisma poznał palimpsest, a domyślając się w niem resztek klasycznej literatury, postanowił wywieść na jaw przed wiekami zatarte pismo. Jakoż usiłowania jego nie były bezowocne. Pismo zapisane (dawne) przedstawiło kilka kolumn łacińskiego pisarza, które styl Liwiuszowi przyznać każe, a dochowane nagłówki, do 98 księgi dziejów tego znakomitego historyka odnoszą. Ułamki odczytane brzmią jak następuje:

..... intolera
bilis saeutia. Qua re fati
gata plebes, forte consu
les ambo Q. Metellum cui
postea Cretico cognomen
fuit, vel candidatum
praetorium Sacra via de
tectis cum magno tu
multum invadit, fugien
temque secuta ad Octavi do
mum qui pro Praetore erat in
propugnaculum pervenit—

Drugi ułamek odczytany ma:

§ Q Lentulus Marcelli F
eodem actore quaestor
in novam provinciam
Curenas missus est quod
ea mortui regis Appionis
testamento nobis data
prudentiore quam inde
pergentis et minus glo
riac auidi imperio compo
nenda fuit. Praeter ea di
versorum ordinum—

Miejsca podkreślone nie znajdują się w rękopiśmie, którego karty zostały pocięte przed obróceniem ich do nowego użytku.

Z dwóch innych kolumn zostały się w rękopisie tylko pojedyncze wyrazy, niedające sensu; dlatego ich tu nie kładziemy.

Metellus, zdobywca Krety, sprawował konsulat w r. 69 przed Chrystusem; lata zaś 68, 69 i 70 były opisane w 98 księdze Liwiusza. Wypadki lat tych mamy opisane w Appianie i Plutarchu; mimo to, oba wypadki o których dowiadujemy się ze świeżo odkrytych ułamków, były nam nieznane. Nie wiedzieliśmy ani o powstaniu ludu rzymskiego przeciw konsulom swoim Hortensiuszowi i Metellowi; ani o posłaniu w r. 69 nowego naczelnika prowincyi do Cyreny. Co do téj ostatniej prowincyi, rozmaite były zdania względem czasu, w którym rzymskiemu panowaniu uległa (1). Liwiusz nazywając ją pod r. 69 nową prowincyą, i mówiąc o odwołanym z niéj kwestorze, nastęrcza wniosek, że w r. 70 lub mało co wcześniej, Cyrena w prowincyą zamienioną została.

Ważniejszym może jeszcze jest nowo odkryty rękopis do ustalenia zasad paleografii starożytnéj. Pochodzi on z VIIgo wieku po Chrystusie i jest pisany wielkimi głoskami (majuscula) zbliżającemi się w stosunku wysokości swéj do szerokości, do kwadratu. Wydawca usiłował z kształtu głosek tego rękopisu, tudzież innych dawniej znanych, wywieść historią paleografii rzymskiéj i nader ciekawe dostrzeżenia swoje pod tym względem, zamieścił w piśmie p. t.

„Ueber ein Bruchstück des 98 Buches des Livius, von G. H. Pertz, Berlin. Reimer. 1848.“

Dwie tablice na miedzi ryte, przedstawiają stare i nowe pismo rozbieranego rękopisu. Z.

Stan piśmiennictwa rossyjskiego w roku 1848.

W roku 1841 redakcyja Biblioteki Warszawskiéj mając udzielane sobie ciągle wiadomości o stanie literatury rossyjskiéj, takowe gwoli ciekawości i interesu umieszczała. Później, gdy nadsyłanie tychże ustaliło, znaczna przerwa nastąpić musiała. Aby więc nadal i w téj mierze publiczność zajmująca się biegiem stanu rzeczy, obznajmioną być mogła, zamierzyłem podawać w ciągu bieżącego roku najprzód stan piśmiennictwa z dwóch lat ostatnich, a następnie umieszczać osobno rozprawy, mogące dać wyobrażenie w krótkości o stanie rozwoju każdéj ważniejszej nauki i umiejtności w Rossyi.

Podług najdokładniejszych urzędowych sprawozdań, ogólny stan piśmiennictwa rossyjskiego w ciągu całego 1848 roku możnaby podzielić na trzy oddziały, tojest na: 1) piśmiennictwo belletrystyczne i 2) na przewodniki, tojest książki naukowe podręczne (Руководства) czyli jaśnić

(1) Thrice. Res Cyrenensium. Hafnice 1828.

mówiąc, na piśmiennictwo przyjemne i pożyteczne. Do pierwszych zatem policzone być mogą: romanse, powieści, dramy, komedye, wodewille, a nakoniec i poezye. W drugiej mieszczą się słowniki i przewodniki, przeważnie w literaturze rossyjskiej liczbą i treścią odznaczające się, a takimi były: zasady historii powszechnej, historii rossyjskiej, geografii, nauki krajowego i zagranicznych języków, t. j. nowe wydania rozmaitego rodzaju grammatyk i słowników. Dalej podobnie podręczne książki w nauce krajowego prawa, a nakoniec w przedmiotach gospodarstwa wiejskiego, technologii, medycyny, architektury i t. p. W ogóle w ostatnim tym oddziale wychodzące dzieła, miały na celu zastosowanie teorii do praktyki i wprowadzenie do życia zdrowych prawideł nauki.

Ponieważ zaś w każdej rzeczy są wprawdzie ostateczności, lecz jest także i środek, a zatem i w literaturze rossyjskiej 1848 roku pomiędzy dwoma temi oddziałami przyjemności i pożytku, pewna była przerwa, którą zapelniały dzieła wyszłe w przedmiotach badań historycznych, poszukiwań literackich, nowe a doskonałe wydania starożytnych ruskich latopisców, akt rządowych, zbiory pomników starożytności ruskich, sztuk pięknych, nakoniec zborniki zajmujące się objaśnieniem dawnego życia, obyczajów, przysłów i t. p. starożytności rossyjskich, i te stanowiły oddział trzeci.

Który z tych oddziałów literatury rossyjskiej w r. 1848 był najobfitszy, nie licząc w to pism peryodycznych, o których później powiemy? Jeżeli zechcemy zważać wyłącznie na liczbę książek, tedy wyżej wymienione przewodniki pierwsza zajmują miejsce; po nich idzie belletrystyka, a dopiero w trzecim rzędzie stają prace historyczne. Przeciwnie, jeżeli sądzić mamy podług wartości wydanych dzieł, to pierwsze będą ostatnimi, to jest, iż najejniejsze miejsce przed obudwoma innymi oddziałami zajmą starożytności. Aby wywody te łatwiej sprawdzić, przedstawiamy następne liczby wszystkich dzieł w roku 1848 w Rossyi nowo wyszłych, lub przedrukowanych. I tak, wydano w ogóle:

1)	Elementarzy, grammatyk i słowników	48
2)	Przewodników do historii, geografii i statystyki.	18
3)	— do matematyki, fizyki, nauk przyrodzonych i chemii	23
4)	— w medycynie.	29
5)	— w oddziałach przemysłu, handlu, gospodarstwa wiejskiego i technologii	37
6)	— w przedmiocie prawa	10
7)	— w teologii	16
8)	— filozofii	2
9)	— dla nauki dzieci.	36
10)	— rozmaitości	25
	Razem dzieł	244

To jest w pierwszym oddziale literatury rossyjskiej. W drugim czyli w oddziale literatury nadobnej, nowych lub powtórnie wydanych romansów, zbioru powieści, sztuk dramatycznych, tudzież poezyi w ogóle wyszło dzieł 82. W trzecim zaś oddziale dzieł 48.

A zatem w pierwszym, to jest książek naukowych tak zwanych przewodników lub w przedmiotach za takowe uważać się mogących, wydano

w ciągu roku 1848 razem dzieł 244. W drugim zaś i trzecim oddziale razem dzieł 130, czyli w ogóle dzieł 374.

Widziny tedy, iż książki naukowe stanowiły niemal trzy części wszystkich; z liczby zaś tych, elementarze, grammatyki, słowniki, książki wydane dla dzieci i rozmaitości wyłącznie dla młodzieży poświęcone, stanowią także prawie połowę pierwszego oddziału, bo 108 dzieł.

Wszakże podział ten, mianowicie co do pierwszych, lubo nie mógłby ściśle biorąc przewodnikami nazywać się, ze względu jednakże, iż dzieła te po większej części obejmowały pierwsze zasady przedmiotów naukowych, do takich zatem policzone zostały. Wyjątkiem atoli pomiędzy niemi w części filologicznej, to jest w badaniach nad językiem narodowym, stanowią dwa nader ważne dzieła; jedno jest: słownik cerkiewno-słowiańskiego języka w trzech tomach (Словарь Церковно-Словянскаго языка), długoletnia praca, którą się najcelniejsi uczeni rossyjscy zajmowali; a drugie Buszajewa, o wpływie chrześcijaństwa na język słowiański (О влияніи Христіанства на Словянскій языкъ). Lubo ostatnie to dzieło, jest tylko pierwszą próbą do rozstrzygnięcia tego z najważniejszych filologicznych zadań, języka ruskiego. Dalej pomiędzy odznaczającemi się dziełami w przedmiotach geografii i statystyki, celniejszymi były pierwsze próby statystyki wojennej Miliutyna część 2ga (Первые опыты Военной Статистики) i 4 część hydrografii państwa rossyjskiego Sztukenberga, po niemiecku. W naukach przyrodzonych i chemii; Frołowa wyszło doskonałe tłumaczenie pierwszej części Kosmosu Humboldta; z dzieł medycznych szczególnie chwalone jest Puszkarowa o chorobach umysłowych (О душевныхъ болѣзняхъ) i t. d.

Jeżeli przejdziemy teraz do piśmiennictwa lepszego czyli belletrystyki, pomiędzy nowemi nie znajdujemy szczególnie odznaczających się, a najlepsze pomiędzy tego rodzaju dziełami, były tylko przedrukowania znanych poprzednio utworów, jak np. wydanie klasyków ruskich przez znakomitego księgarza Alexandra Smirdina, a mianowicie zwyczajnej historii Gonczarowa (Обыкновенная исторія, Гончарова). Prześliczny i z rzadkim talentem napisany romans a raczej powieść obyczajowa, z której wyjątki Biblioteka Warszawska umieściła, dzieło rzadką prawdą i wiernością skreślonych charakterów odznaczające się: *Бѣднѣхъ ludzi* przez Dostojewskiego (Бѣдныя люди, Ф. Достоевскаго), powieść miejscowość Petersburga, a szczególnie wewnętrzne życie uboższych tamecznych mieszkańców doskonale opisująca, a w zajmującym sposobie i z wielkim talentem ułożona. Nakoniec do celniejszych należą także opowiadania, powieści i romanse Grebienki. W tłumaczenia jak zwykle i w r. 1848 nader była obfita literatura rossyjska; wszakże gdy takowe były w większej części ze spekulacji księgarskiej z pośpiechem i niedbale wykonywane, nie zwróciły więc na siebie uwagi; a zatem nie w literaturze, lecz w spisach katalogowych miejsce zajęły. Jedynym z tego wyjątkiem jest pierwszy poszyt tłumaczenia dzieł Szekspira, przez p. Ketczera przedsięwziętego.

W oddziale trzecim zasłużyły na wielkie pochwały prace i wydania, które słusznie pierwsze w literaturze rossyjskiej miejsce zajmują. Takimi są: Czytania Towarzystwa historyi i starożytności rossyjskich przy

uniwersytecie moskiewskim (Чтенія въ Императорскомъ Обществѣ Исторіи и древностей Россійскихъ, при Московскомъ Университетѣ); których dziewięć numerów wyszło, a w ostatnim nader ważny zbiór *pieśni narodowych ruskich* Kirjewskiego jest umieszczony; następnie Królestwo Bosforskie przez Aszyka, (Воспорское Царство, Ашика); Stan rossyjskiego narodu Tereszczunki (Быть Русскаго народа) dzieło zwyczajne, obyczajne, zabawy, pieśni, zabobony, gusła, przysłowia i t. p. wewnętrzne życie ludu ruskiego opisujące, a które nader zajmujące i pracowicie zebrane materiały zawiera. Niemniej ważne są dzieła, np. badania o religii pogańskiej dawnych Słowian Sreźniewskiego (Исследования о языческомъ Богослуженіи древнихъ Славянъ) i badania starożytniej ruskiej historii tyżące się, akademika Kruga (Исследования, относящіяся къ древней Русской Исторіи). Zresztą w oddziale wyłącznie literatury krajowej, znakomite dzieło księcia Wiazemskiego pod tytułem: *Fon Wizin* i t. d. W ogóle można powiedzieć, iż oddział ten oprócz pracy księcia Wiazemskiego, o tyle był ważny, o ile dzieła wydane dawniejszymi pomnikami zajmowały się; sąto zatem, wyjąwszy znowu p. Sreźniewskiego, raczej materiały do dalszych badań zebrane, niżeli samostne oryginalne utwory.

Taki był stan literatury rossyjskiej w oddzielnych książkach, w roku 1848 wydanych. Zwróćmy teraz uwagę na tameczne piśmiennictwo czasowe, a znowu przekonamy się, iż od lat kilkunastu a z postępem czasu coraz bardziej, cała literatura w nich się skupia, tak, iż one właściwie całą jej treść, ważność i znaczenie stanowią. Jakoż, dość spojrzeć na objętość książek co miesiąc jak najregularniej wychodzących, pomiędzy którymi są, co zawierają od 40 do 50 arkuszy zwyczajnych, ścisłego i oszczędnego pod każdym względem druku, w formacie wielkiej ósemki. Takich przecież dzienników jest kilka: np. Pamiętniki Ojczyste; Współczesny; Biblioteka do czytania w Petersburgu; Moskwićianin w Moskwie i t. d., które w skład swój przyjmują wszystkie utwory tak oryginalne narodowe, jako i tłumaczenia celniejszych dzieł lub rozpraw zagranicznych. Nadto, każda niemal specjalna nauka, tudzież w kilku ministerstwach mają swoje wyłączone, a również obszernie czasopisma. Z celniejszych pomiędzy niemi, które już wziętość mają ustaloną, są np. dzienniki ministerstwa oświecenia narodowego, ministerstwa spraw wewnętrznych, dóbr skarbowych, komunikacyi lądowych, inżynieryi, górnictwa, leśnictwa, handlu i rękodzieł, gospodarstwa, sztuki dramatycznej, muzyki, medycyny i t. d. W takięto znacznej ilości czasopismów, mieszczą się prace tak poczynających autorów, którzy w nich zachętę znajdują i sił swoich probować mogą, jako i pisarzy, którzy już wybór i okrasę literatury krajowej stanowią. Tam nauki, ścisłe i uczone badania, surowa lub żartobliwa a bezwzględna krytyka, równie jako i lekkie piśmiennictwo, tudzież najdokładniejsza kronika literacka i jeszcze obraz tego wszystkiego co za obrębem wielkiego kraju, jakim jest Rossya dzieje się, do umieszczenia znajduje miejsce. Nic więc dziwnego, iż w dziennikach rossyjskich, znaleźć możemy prawdziwy obraz stanu literatury narodowej, jej dążenia i kierunku: bo w nich, jakęśmy wyżej mówili, niemal całe umysłowe życie narodu zgromadza się i objawia. Ztąd także literatura nieperyodyczna, w miarę jak czasopisma wzrastają, co-

raz bardziej w ilości a częstokroć i ważności zmniejsza się. I inaczej być nie może, gdy wszyscy, co tylko nauką i talentem odznaczają się, lub z jakąkolwiek zdadnością władać piórem umieją, garną się do obszernych kolumn czasopismów, bo u nich prawie tylko zyskują przyszłą sławę, i terazniejszą sowitą materyalną nagrodę, która dostatecznie dumę krajową zaspokaja, i trudy hojnie opłaca.

F. Max. Sobieszczański.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Zarzut na zarzut.

Sine ira.

W zeszycie Biblioteki Warszawskiej na miesiąc grudzień r. z. str. 607, podał baron Edw. Rastawiecki artykuł: *Spominki historyczne i artystyczne*, w których wznawiając wiekopomne imię Jana Tarnowskiego, przytacza dzień i rok jego zgonu we wsi Wiewiórka zwanęj. Poczém mówi: „o tój własności i rezydencyi wielkiego w dziejach krajowych męża, hetmana Jana Tarnowskiego, wsi i pałacu Wiewiórka, nie znajduję *najmniejszej* wzmianki w opisach historyczno-geograficznych dawnęj Polski; jestto przecie historyczne miejsce, na wiadomość i wspomnienie zasługujące”. Ponieważ apostrofa ta wymierzona jest do autorów dzieła *Starożytna Polska* i t. d., unieważnić mi zatem wypada nie słusznie uczyniony zarzut, zwłaszcza, iż ja właśnie opisywałem b. Wtwo sandomierskie, gdzie włość wzmiankowana leży. I jakoż nie przepomniałem podać dość nawet obszernęj wiadomości o tém miejscu, zamieszczając i datę śmierci sławnego hetmana. Zastanawia mię przeto niepomału, jak mógł szanowny autor artykułu przeoczyć *Wiewiórkę*, opisaną w T. II, na str. 476, i objętą nawet w spisie rzeczy w tymże zawartych tomie; chyba, że szukał w inném, a nie w sandomierskiem województwie. Ponieważ druk pracy naszej przecie się ukończył, spodziewać się należy, że znajdą się światli i wytrawni w dziejach ziomkowie, którzy zajmą się rozbiorem dzieła, a wskazując nam uchybienia i usterki, rzucą większe światło tak na całość, jak i na szczegółowo obrobione części. Uprzedzić wszakże winniśmy, aby nie zarzucano nam opuszczenie jakowęj wiejskiej lub miejskiej posady, gdyż jak sam tytuł dzieła opiewa, nie zamierzaliśmy bynajmniej ułożyć dykeyonarza czyli słownika geograficznego.

Tymoteusz Lipiński.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

Mierzenie prędkości światła na powierzchni ziemi. Ważno doświadczenie optyczne wykonane w r. z. przez fizyka francuzkiego Fizeau, dowodzące prędkości światła, opisane z wzorową jasnością i dokładnością w *Journal des Debats* z d. 20 Grudnia r. z. przez L. Foucault, ze względu na ważność przedmiotu i nowość pomysłów, zasługuje abyśmy je dali poznać czytelnikom Biblioteki, i dlatego artykuł umieszczony w powyższem piśmie, podajemy tu w przekładzie.

Myśl przystosowania prędkości do biegu światła, musi w pewny sposób zadziwiać tych, którzy sobie po raz pierwszy myśl tę tworzą. Łatwo pojmujemy prędkość pociągu na kolei żelaznej, prędkość kuli wyrzuconej z działa, a nawet chyżość ciał niebieskich, ponieważ ścigamy wzrokiem pociąg, kulę lub gwiazdę w jej różnych następnych położeniach. Oznaczono, lubo z większą trudnością, prędkość rozchodzenia się głosu w powietrzu, uważając, iż przy tych samych okolicznościach, dostrzegamy, że huk potrzebuje t \dot{e} m dłuższego czasu, im większą ma przestrzeń do przebieżenia. Lecz gdy światło zabłyśnie w jednym punkcie, czyliż punkt ten nie jest widzianym w t \dot{e} żże samej chwili we wszystkich odległościach? Gdy nagle błyskawica zaświeci, czyż oczy wszystkich nie są rażono blaskiem w t \dot{e} ż samej chwili, i czyż można ocenić czas jakkolwiek mały, potrzebny do przebieżenia dla pierwiastku światła? Wszystko to odbywa się około nas na powierzchni ziemi, jak gdyby rozchodzenie się światła było momentaln \dot{e} m i jednoczesn \dot{e} m, a ta pozorna jednoczesność niewiele dopomogła do przyznania światłu t \dot{e} ż wyższości, jaką mu zdaje się dawać nad materją.

Dla uczonego jednak przyczyna powinna zawsze poprzedzać skutek, dlatego szybkość światła z jaką ono przebiega odległość jakkolwiek małą, nie będzie dla nas bezwzględnie jednoczesną. Jeżeli zatem światło tu na ziemi zdaje się nie potrzebować czasu, jeżeli elektryczność zlatuje się przebiegać jednoczesnie z jednego na drugi koniec naszych konduktorów telegraficznych, nie potrzeba z tego wnioskować, że dwa te silniki przebiegają nieskończenie szybko; inaczej, utrzymując że te dwa działacze powstają w t \dot{e} ż samej chwili, należałoby przypuścić, że skutek może poprzedzić przyczynę.

Za czasów Galileusza nie miało jeszcze żadnego wyobrażenia o chyżości światła. Do owój epoki nie mogło doprowadzić na myśl oznaczenia jej ważności. To daje się łatwo pojąć, gdyż chyżość ta może być tysiąc razy większą lub tysiąc razy mniejszą bez najmniejszej zmiany uważanych wokoło nas zjawisk. Nie należy zatem lekceważyć pierwszego doświadczenia za pomocą którego sławny uczony florencki starał się rozwiązać ważne zadanie prędkości światła. Zrobił on w tym celu dwie latarnie ciemne, opatrzone zasuwkami zasłaniającemi, które można było dowolnie podnosić i zniżać. Jedną latarnię dał swemu pomocnikowi wprawnemu, i polecił mu, ażeby pod noc stanął na szczycie wzgórza, i powtarzał dawanie znaków świetnych skoro tylko podobne dostrzeże. Galileusz sam z swój strony wziął drugą latarnię i udał się na szczyt drugiego wzgórza położonego w odległości pięciu lub sześciu mil fr. od pierwszego stanowiska. Następnie zaczął zakrywać i odsłaniać światło swój latarni pokilkakroć naprzemian: światło błyskając i znikając dawało pomocnikowi znaki, które on nawzajem w téjże samój chwili przysyłał, a które uważane były z stanowiska z którego najprzód wychodziły. Tym sposobem Galileusz postępując, postrzegł: że dawane znaki powracały z tą samą prędkością; jak gdyby doświadczenie odbywało się w pokoju w najmniejszej odległości. Zdawało mu się, mówił, jak gdyby on sam poruszał zasłonę latarni swego pomocnika. Z tego się widocznie pokazuje, że czas jakiego światła potrzebowało do przebieżenia podwójnej odległości stanowisk, był niedostrzegalny; wypadło przeto zaniechać tak słabych środków, a ważność liczebna jaką później znaleziono na chyżość światła, pokazała jak dalekim był Galileusz od prawdy. Musiał porzucić na wypadku przeczącym, mówiąc do siebie, iż jednak chyżość światła nie jest nieskończenie małą. Astronomowie szczęśliwsi byli, albowiem przestrzenie któremi oni rozrządzają, są nieporównanie większej rozległości, aniżeli te, jakie przedzielają wierzebołki dwóch wzgórzów widzianych nawzajem jedno z drugiego. Są pewne ciała na niebie, które się pokazują peryodycznie w odległościach bardzo odmiennych, jakby rodzaj latarni ciemnych, które się zapalają i gasną same przez się bez udziału pomocnika: takimi są księżycy Jowiszowe; gdyby więc światło było obdarzone chyżością daleko większą od téj, jaką ma rzeczywiście, nie powinno się znacznie opóźniać w przestrzeniach planetarnych. Naokoło Jowisza krążą jednostajnie cztery księżycy podobne we wszystkim do naszego, wyjąwszy, iż Jowisz będąc daleko większym od ziemi, rzuca za siebie ostrokągiem ciemny bardzo rozległy z podstawą znacznie szeroką, iż za każdym obiegiem księżycy doświadczają tego, co się niekiedy tylko przytrafia naszemu księżycowi, to jest znikają pogrążając się w ostrokągiem ciemnym, a pokazują się znowu wynurzając się z cienia; a że z przyczyny ogromnej masy planety, bieg księżyców jest szybki, znikanie i pokazywanie się księżyców następują wyraźnie i dogodnie dla postrzegaczy.

Tak więc znikanie każdego księżycy następuje w przedziałach czasu równych; toż samo dzieje się przy wynurzaniu się z cienia. Wszelako zjawisko to z ziemi uważane, zdaje się niejednostajnie następować, gdyż przez jedną część roku peryody te są krótsze, a przez drugą część są dłuższe. Nierówności te odkryte w drugiej połowie XVII wieku

przez Dominika Cassiniego i Roemera, uważane były z początku jako niejednostajności biegu, lecz gdy Roemer spostrzegł że peryody są krótsze wtenczas gdy Jowisz i ziemia zbliżają się do siebie, a przeciwnie peryody były dłuższe gdy oddalenie dwóch planet powiększa się, wniósł on wkrótce, że nierówności te peryodów były tylko pozorne, że przyczyną tego jest goniec świetny, który wtenczas gdy planety oddalają się, musi przebiegać odległość coraz większą, a gdy planety się zbliżają, widzi swój bieg wolniejszy stopniowo. Wszystkie te opóźnienia zbierając się w przedziale postrzeżeń i wszystkie wyprzedzenia gromadząc się z przeciwnej strony jedne do drugich, dały poznać widocznie przez podwójne doświadczenie czas jakiego światło potrzebuje do przebieżenia średnicy drogi ziemskiej, a który wynosi 16 minut i 26 sekund; albo dla przebieżenia odległości od słońca do ziemi 8 minut 13 sekund, co nadaje prędkość światłu 70 tysięcy mil francuzkich na sekundę, albo 42 tysiące mil geograficznych.

Widzimy z tego o ile Galileusz dalekim był od osiągnięcia prawdziwego wypadku. Potrzebował on dla poruszenia swój zastony, czasu tysiąc razy dłuższego aniżeli światło potrzebowało do przebieżenia podwójnej odległości stanowisk. Odkrycie Roemera oparte było na długim szeregu postrzeżeń i polegało na znajomości wymiarów naszego układu słonecznego; nie mogło przeto przedstawiać wątpliwości chyba tym którzy nie dają wiary wypadkom astronomicznym, albo też którzy się nigdy niemi nie zajmowali. Wszelako odkrycie to przez pewny czas było w wątpliwość podawane, i możeby jeszcze w tym stanie pozostało, gdyby prędkość rozchodzenia się światła nie była go utwierdziła przez odkrycie Bradleya w sposób całkiem odmienny i zupełnie potwierdzający. Sposób, jakiego trzymał się Roemer, nie jest widocznie dowodzącym, dopóki jasno nie wystawimy położenia względnych planet i ich biegu w przestrzeni, to jest słońca w środku, a ziemi krążącej około niego, Jowisza zaś przebiegającego swą drogą zewnątrz ziemi z orszakiem 4 księżyców. Sposób Bradleya polega na postrzeżeniach daleko subtelniejszych, lecz ponieważ chcemy prędzej przystąpić do przedmiotu głównego niniejszego artykułu, dlatego ograniczymy się na prostym wskazaniu rzeczonoego sposobu. Bradley uważał iż wszystkie gwiazdy, które nazywano jeszcze wtenczas stałemi, zdawały się podlegać ruchowi odbywającemu się ściśle w ciągu jednego roku, a którego rozległość pozorną, jest dla wszystkich gwiazd taż sama. Ruch ten zmienia się i przechodzi od linii prostej przez elipsę do koła, a to stosownie do położenia gwiazdy względem płaszczyzny ekliptyki; tak iż dla którejkolwiek z nich, dwa położenia skrajne gwiazdy podpierają zawsze na niebie kąt wynoszący 40 sekund łuku.

Nie nie mogło zdawać się rzeczą bardziej niepodobną do przypuszczenia, jak rzeczywistość podobnego ruchu w ciałach tak niezależnych od siebie i tak niejednostajnie rozrzuconych na niebie. Ruch ten jednakowej trwałości, tej samiej rozległości i wymiaru dla wszystkich gwiazd, przechodząc stopniowo od jednych do drugich, stosownie do ich położenia względem ekliptyki, ruch podobny musiał być tylko pozornym, i wynikał ze skutku złudzenia optycznego nowego rodzaju, pochodzącego od

zjawiska jeszcze niedostrzeganego, a które odtąd nazwano *aberracją światła*; zmiana ta sprawia: iż nie widzimy gwiazd w ich prawdziwych położeniach, lecz opisujące w ciągu roku małe elipsy, równoległe do ekliptyki czyli do płaszczyzny drogi ziemskiej. W ogólności aberracja światła dla każdego dostrzegacza przenoszonego ruchem szybkim, sprawia: iż promienie wówczas tak się dają widzieć, jak gdyby ich początek był zmieniającym się w kierunku ruchu. Skutek tego daje się czuć wtedy tylko, gdy postrzegacz jest przenoszony z chyżością, która nie będąc równą chyżości światła, może się przynajmniej z nią porównać. Jakoż, co się przytrafia nam mieszkańcom ziemi, unoszonym z prędkością 7 mil fr. na sekundę, światło przebiega dziesięć tysięcy razy prędzej. Więc gdy chcemy postrzegać gwiazdę położoną w kierunku poprzecznym do kierunku naszego ruchu, potrzeba nam nie wprost celować lunetami, lecz je nieco nachylić, nasuwając szkło przedmiotowe w kierunku tego ruchu, o ilość równą jednej dziesięcio tysięcznej długości lunety. Ta jest zasada zmiany pozornej gwiazd. Gdy ta zmiana dochodzi swój największej ważności, jej wymiar daje wielkość aberracji, która jest tylko wyrażeniem stosunku między prędkością światła a prędkością biegu postrzegacza. Ponieważ zaś ruch ziemi na jej rocznej drodze jest oddawna znany, zład prędkość światła wyznaczy się bezpośrednio, a nowa ważność jaką Bradley otrzymał w ten sposób, zgadza się zupełnie z ważnością jaką Roemer znalazł z dostrzeżenia zaćmień księżyców Jowiszowych. Wypadek Bradleya nie jest prostym potwierdzeniem wypadku Roemera; ma on całą ważność wielkiego odkrycia, wyświeca widocznie nową własność światła, wskazującą przyczynę złudzenia szczególnego, dowodzącego że ruch postępowy ziemi odbija się w pewny sposób w najdalszych ciałach niebieskich, dowodzącego że światło gwiazd przebiega z tą samą szybkością co i światło słońca, jakakolwiek jest odległość którą już poprzednio przebiegło. Tak ważne wyjaśnienie winni jesteśmy astronomii. Fizycy przyjęli je z całą ufnością. Ażeby go wątpliwości poddać, należało okazać względem królowej umiejętności rzadkie niedowiarstwo; ale też astronomowie nie są fizykami, i nie psując harmonii jaka pomiędzy nimi panuje, wolno jest odwołującym się postępowi optyki, usiłować znaleźć na powierzchni ziemi jakikolwiek sposób sprawdzenia tego wypadku. Wolanoby raczej zacząć na doświadczenie fizyczne, któreby nie podając wymiarów, czyniło tylko widocznym trwanie przejścia światła; czekano z niecierpliwością aż Pan Arago urzeczywistni doświadczenie, które wymyślił od kilku lat, a za pomocą którego miał rozstrzygnąć czy światło bieży prędzej lub wolniej przez środki coraz bardziej łamiące promienie. Dwa promienie wybiegające w tej samej chwili przez iskrę elektryczną, miały padać na zwierciadło obracające się po przebieżeniu jednej kolumny płynnej wody albo siarczku węgla, a drugiej powietrza, tej samej grubości. Na zwierciadle obracanym z prędkością od dwóch do sześciu tysięcy razy na sekundę, najmniejsza różnica między prędkością dwóch promieni powinna się w ich zloczeniu po odbiciu się okazać. Od kilku lat mechanizm przeznaczony do sprawienia tego ruchu obrotowego tak szybkiego, wyszedł z rąk Pana Bregueta, który w wykonaniu go wiele nowych

pomysłów i biegłości okazał. Wnosić jednak należy, że nie wszystkie jeszcze trudności pokonywał ten ważny mechanizm, gdyż doświadczenie nie mogło być wykonanem. Zresztą różni się ono we wszystkiem od doświadczenia które Pan Fizeau wymyślił, urządził i wykonał w ciągu kilku miesięcy, a które polega na zasadzie zupełnie nowój. Pan Fizeau nie tylko dowiódł rozchodzenia się kolejnego światła na powierzchni ziemi, ale nadto podał sposób mierzenia jego prędkości z dokładnością nadspodziewaną, a który zapewne nie ustąpi w niczem sposobom astronomicznym wyżej wspomnianym. Ogłoszenie téj pracy jest ważnym wypadkiem dla nauk, a chwala jej pojawienia się będzie na zawsze pamiętną w dziejach umiejętności. Wzniesie ona optykę do takiej wysokości, iż po raz pierwszy może astronomia postępując od małego do wielkiego, winna jój będzie sprawdzenie jednego z oznaczeń liczebnych najważniejszych. Ale opiszmy raczej to znane nam piękno doświadczenie, podziwiając najdrobniejsze jego szczegóły. Niech czytelnik zechce zwrócić uwagę, i niech nam pozwoli udać się do Suresnes, niech wejdzie z nami do jego belwederu opatrzonego oknem, którego widok rozciąga się wzdłuż okolicy wsi, aż do wysokości Montmartre. Gdy nadejdzie wieczór, gdy atmosfera jest czystą i spokojną, z tego okna wychodzi promień światła sztucznego, który wraca po przebieżeniu długości drogi 4 mil, i dosięga ściśle swego punktu wyjścia. Zobaczmy jaką sztuką p. Fizeau przyszedł do kierowania tego promienia w tak długiej jego drodze i wymierzenia czasu jego podwójnego przebiegu. Dla uproszczenia tego subtelnego wykładu, zaczniemy od przypuszczenia przeciwnego wszelkiej fizycznej możności, aby jeden promień matematyczny wychodził z punktu A, umieszczonego w pokoju w Suresnes, któryby wyszedłszy oknem, biegł poziomo w linii prostej i bez osłabienia dosięgając szczytu Montmartre, wpadał do mieszkania przez okno otwarte i prostopadle uderzał na zwierciadło ustawione poprzecznie. Założmy nadto, że promień ten odbity od niego, wraca tąż samą drogą, i po téj samój linii poziomej; wreszcie przechodzi przez punkt A do swojego ogniska; i jeżeli postrzegacz stanie z tyłu za tym punktem, ujrzy go jako ciągły blask nie wiedząc o długiej drodze promienia świetnego, którą przebiega i czyni go widzialnym. Mała odległość łącząca punkt A z okiem dostrzegacza, przebiegana jest tylko przez promień wracający, lecz linia bez porównania dłuższa, która się rozciąga od punktu A do zwierciadła, nieustannie jest przebiegana przez promień wchodzący i promień wracający. Dwa są sposoby zakrywania punktu A przed okiem postrzegacza. Można wprost pomiędzy niem a punktem A postawić przeszkodę, a wtedy wracający tylko promień jest wstrzymany poza punktem A. Można także umieścić przeszkodę przed ogniskiem, a wtedy promień nie może wybiegać w przestrzeń. Wtenczas nie będzie już ani promienia wychodzącego, ani wracającego. Przeszkoda którą umieścimy w ten ostatni sposób, jest brzeg koła zębatego, albowiem dosyć będzie obracać to koło z prędkością zmienną, dla przerywania i przepuszczania naprzemian przelotu promienia w przedziałach czasów dłuższych lub krótszych. Tym sposobem doświadczenie sprowadzone jest do samych głównych pierwiastków. Przejdźmy więc teraz do postrzeżenia.

Gdy koło jest w spoczynku i ustawione w ten sposób, ażeby promień światła przechodził i wolno wracał pomiędzy dwoma zębami koła, dostrzegacz umieszczony za punktem A, jak powiedziano, postrzeże punkt A; jeżeli potem zaczniemy obracać koło bardzo wolno, wówczas jego zęby tworzyć będą przeszkodę w następnych chwilach oddzielnych, co sprawi iż postrzegacz zobaczy pokazywania się i znikania punktu A. Lecz gdy nadamy ruch kołu nieco prędszy, nadejdzie koniecznie chwila, że błyski punktu A tak się do siebie zbliżą, iż przestaną być oddzielne, i w końcu zleją się z sobą przez trwanie ciągłe wrażenia w oku, i punkt A zdawać się będzie błyszczyć ciągle z mocą światła o połowę mniejszą od jego prawdziwego natężenia. W taki to sposób sznur albo pręt który wibruje, zdaje się rozczepiać i dozwala widzieć jakby przez przezrocze, przedmioty przez lekki cień, jaki zajmuje w przestrzeni cała rozległość w której się odbywają wibracje ciała rzeczywiście ciemnego. Nie potrzeba nadawać kołu zębatemu wielkiej chyżości obrotu, aby jego zęby nie dały się rozróżnić, i tworzyć na całym jego obwodzie powierzchni przezroczyściej. Dostyc jest, aby zęby nadechodziły po sobie co 10ta część sekundy, co jest prawie miarą trwania fizyologicznego wrażen (ściągań) nerwów optycznych. Tak więc Fizeau, którego koło ma 720 zębów, nie potrzebuje zrobić jak jeden obrót w jednej minucie, aby nadać wrażeniu świetnemu pozorną ciągłość. Lecz rozbierzmy co się dzieje w tych okolicznościach, i starajmy się przewidzieć co pociągnie za sobą powiększenie kolejne ruchu obrotowego.

Przy prędkości jednego obrotu na sekundę, już wrażenie jak powiedzieliśmy jest ciągłym, lecz nie potrzeba się odstręczać jego zjawieniami. Ale cóż się dzieje? oto za każdą razą jak zakrywa ząb przyjscie promienia, jest ciemność, potem gdy następuje wolny przedział, to jest *międzyzęb*, promień przebiega; a że jego prędkość jest nadzwyczaj wielką w porównaniu z prędkością koła, zatem co tylko wyleciał wraca natychmiast, aby przejść przez ten sam przestwór; a tём samém błyszczy po swoim powrocie w czasie całego trwania przebiegu przez międzyzęb. Toż samo ma miejsce dla międzyzębów następnych i wszystkie te wrażenia zbierając się razem w oku, dają sumę światła zupełnie równego połowie światła, któreby wróciło do punktu A, nie natrafiając na żadną przeszkodę.

Powiększmy teraz prędkość obrotu koła, tak aby czas obrotu dwóch zębów po sobie idących był niezupełnie równy, ale mogący się porównać z czasem jakiego potrzebuje promień do przebieżenia z Suresnes do Montmartre, i powrócenia z Montmartre do Suresnes; potem weźmy pod rozbiór zjawisko jak poprzednio. Jeden ząb mija, ciemność następuje, potem nadchodzi międzyzęb, promień przebiega, i dochodzi do Montmartre, pada na zwierciadło i wraca szybko: lecz koło już część obrotu zrobiło, międzyzęb naprzód nadbiegł o jedną dziesiątą, lub o $\frac{1}{4}$ albo o $\frac{1}{3}$ swęj szerokości, i gdy promień napowrót przychodzi, znajduje otwór zmniejszony do $\frac{9}{10}$, do $\frac{3}{4}$ albo do $\frac{2}{3}$ swęj prawdziwej szerokości, resztę promienia ginie na pozostałej części nadbiegającego zęba. Toż samo następuje dla innych przedziałów, a wszystkie te wrażenia nadchodząc jedne po drugich, łączą się przez ich następowanie szybkie, zbierają się

w oku dostrzegacza, dają sumnę światła, która nie wynosi więcej nad $\frac{1}{10}$, $\frac{3}{4}$ albo $\frac{2}{3}$ ilości światła, które przebiegło w powrocie przez punkt A.

Gdy nakoniec obrót koła coraz się będzie powiększał, nastąpi wreszcie chwila gdzie czas przejścia przedziału międzyzębowego będzie zupełnie równy czasowi przelotu światła, a wtedy promień powróciwszy znajdzie otwór zamknięty; ponieważ zaś zęby są równe przedziałom próżnym, zatem całe światło wybiegłe w czasie przejścia każdej z tych próżni, uderzy o ząb następny w całej jego szerokości. Ta prędkość koła szczególna, ma ten konieczny skutek, iż zrzadza zniknięcie punktu A dla oka postrzegacza.

Lecz powiększajmy ciągle prędkość obrotu koła, i prowadźmy dalej rozumowanie z tą samą ścisłością. Gdy prędkość staje się coraz większą, koniec promienia wybiegłego w chwili przejścia międzyzęba, zaczyna przechodzić przez międzyzęb następny, i punkt A zaczyna na nowo się pokazywać. Dla prędkości jeszcze większej, każdy promień przechodzący przez międzyzęb, przebiega cały, to jest jego początek i koniec przez międzyzęb następny, i punkt A odzyskuje w oku postrzegacza największy stopień swego blasku. Posuwając coraz dalej toż samo rozumowanie, okazalibyśmy iż dla prędkości koła zębatego coraz rosnącej, punkt A powinien naprzemiennie pokazywać się i znikać. Cóż znaczy pierwsze zaćmienie czyli zniknięcie promienia? Oznacza ono że w tej walce prędkości między światłem a materją ciężką, koło to ostatnie obróciło się o ważność kątową jednego zęba, w tym czasie gdy światło wychodzi i powraca pomiędzy dwoma stanowiskami. Drugie zaćmienie oznacza, że koło obróciło się w tym samym czasie, o wielkość kąta w dwóch zębów i o przedział który je oddziela; inaczey mówiąc, że się obróciło trzy razy prędzej aniżeli podczas pierwszego zakrycia. Dla trzeciego zaćmienia prędkość obrotu powinna być posunięta do pięć razy większej. Prawo następstwa wypada w sposób oczywisty dla zaćmień po sobie następujących; prędkość obrotu koła powinna postępować jak szereg liczb naturalnych nieparzystych 1, 3, 5, it. d., ten jest wypadek rzeczywisty który doświadczenie potwierdza; mamy zatem dowód że prawo to odbywa się ściśle i bez żadnego nieprzewidzianego zawikłania. Jeżeli teraz obrachujemy liczbę porządkową zaćmienia któregokolwiek, prędkość obrotu odpowiednią i odległość podzielaającą dwa stanowiska, wyprowadzimy ztąd bezpośrednio i niewątpliwie prędkość światła na powierzchni ziemi.— Odległość tarczy koła obróconej ku zwierciadłu, wynosiła około 8,633 metrów, a promień światła idący po sobie samym, miał do przebieżenia długość 17,266 metrów. Krąg koła mający 720 zębów, połączony był z układem kół poruszanych za pomocą ciężaru, a wykonany przez biegłego mechanika, p. Froment. Każdy przeto ząb zajmował rozległość równą jednej 1,440 części obwodu kręgu; skazówka ruchoma służyła do wymierzania prędkości obrotu. Pierwsze zakrycie promienia nastąpiło przy chyżości 12, 6 obrotów na sekundę, to jest że światło przebiegło drogę 17,266 metrów, w czasie gdy koło zrobiło $\frac{1}{1440}$ część całego obrotu. Lecz podług skazówki rachującej obroty, część ta obrotu odbyła się w $\frac{1}{18,000}$ sekundzie czasu, albo co na jedno wychodzi, licząc proporcjonalnie, 70 tysięcy mil (25 licząc na stopień), albo 42,000 mil geogr. w je-

dnój sekundzie. Dostrzeżenie drugiego zakrycia dało prawie ten sam wypadek co wprzód, a liczby te różne zgadzają się bardzo blisko z wypadkami, jakie otrzymano za pomocą sposobów astronomicznych. Moglibyśmy już na tém zupełnie poprzestać, i uważać nasze dochodzenia jako blisko ukończone; nie mamy zamiaru posuwać dalej rozbioru doświadczeń, ażeby nie przerywać naukowego ciągu. Pragnący obszerniejszego wykładu, mogą udać się do rozpraw pierwiastkowych. Staraliśmy się jak można było, dać poznać naszym czytelnikom osobliwy pomysł doświadczalny, wprowadzony w wykonanie przez p. Fizeau. Być może iż zadowolniając ich umysł ogólnym wykładem, obudziliśmy w nich ciekawość poznania główniejszych szczegółów doświadczenia. Jakoż skoro weszliśmy w przedmiot, idzie nam tylko o punkt A, to jest źródło promienia świetnego, któremu przyzualiliśmy wiele własności, jedne więcej niepodobne do prawdy, i nadzwyczajniejsze niż drugie. Zakładaliśmy bowiem iż punkt A zdolnym jest przesyłać jeden tylko promień światła, jak gdyby podobny promień kiedy widziano, jedynie okiem umysłu. Oprócz tego przypuściliśmy iż promień ten tak dobrze był skierowanym, że pada dalej w odległości większej niż o milę na zwierciadło którego położenie nadto tak jest utralione, że ten mniemany pojedynczy promień wraca po sobie i przechodzi ściśle przez swoje ognisko. Potrzeba ażeby ten ostatni warunek był dopełniony z całą ścisłością, inaczej wszystkie nasze rozumowania upadną, i żadnego użytku z doświadczenia nie można będzie odnieść. Maż to być płomień świecy, któraby odgrywała rolę punktu świetnego A? Pewno że nie, ponieważ ten płomień rzuca światło na wszystkie strony zarówno, naprzód jako też i w tył, na prawo jak i na lewo. Lecz będzie to wiązka zbiegająca się światła, idąca od lampy, utworzona przez szkło powiększające i rzucona w przestrzeń przez szkło przezroczyste, ustawione pochyło przed miejscem ogniska. Wiazka ta po odbiciu się zbiera się na ostatku w ognisko, które posiada wszystkie własności wymagane, wyjąwszy tylko jedną. Całe światło które wyrzuca, wychodzi na zewnątrz; nie jest więc widzialne przez siebie samo na przodzie, lecz punkt tego ogniska może być przebiegany przez promienie wracające, i te będą widzialne bez przeszkody, ponieważ będą miały do przejścia tylko szkło przezroczyste. Całe światło wychodzące z tego ogniska, nie składa się z jednego tylko promienia, lecz z wiązki rozchodzącej się, któraby rozbiegała się i zarazem słabiała, gdyby nie zaradzono temu. Ażeby się przeto zbliżyć do warunków teoretycznych jednego tylko promienia sprowadzimy tę wiązkę rozszczepiającą się do równoległości, przeprowadzając ją przez szkło przedmiotowe; inaczej mówiąc, położymy ognisko światła odbitego A w ognisku lunety skierowanej na dom na wzgórzu Montmartre, a wtedy kolumna światła wychodzące z lunety, pójdzie w kierunku prostym do okna wspomnianego domu. Tam tedy wypada nam się teraz przenieść, wzięwszy z sobą drugą lunetę i małe zwierciadło dokładnie wykonane. Przybywszy na stanowisko Montmartre, upatrywać będziemy za pomocą drugiej lunety okna belwederu Suresnes, gdzie są ustawione narzędzia, i postrzeżemy błyszczącą soczewkę przedmiotową (objektywę) pierwszej lunety; tutaj lunetę ustawimy na środek drugiej, nastawimy ją na punkt A, umieścimy w miejscu szkła ocznego małe zwierciadło utwierdzone w osadzie oddzielnój, tak aby powierz-

chnia jego odbijająca przypadła w ognisku lunety; przez to jesteśmy pewni, że natychmiast kolumna światła wpada napowrót do lunety w Suresnes i zbiera się w jedno ognisko, ściśle w tym samym punkcie z którego wyszła. Powróćmy przeto na stanowisko w Suresnes i weźmy się do czynienia postrzeżeń; zobaczymy przez nachylone szkło przezroczyste, używając do tego jeżeli potrzeba szkła ocznego, punkt bardzo mały świetny, jakby gwiazda błyszcząca, a który może przybrać silny blask, jeżeli w miejsce lampy zwyczajnej użyjemy, jak to zrobił p. Fizeau, końca rurki prowadzącej gaz kwasorodny i wodorodny. Aby się zapewnić że punkt w którym błyszczy ta sztuczna gwiazda, jest rzeczywiście punktem z którego wychodzą wszystkie promienie tworzące go znowu po swoim powrocie, albo co na jedno wychodzi, chcąc się przekonać czy punkt ten ciągle jest przebiegany przez promienie wchodzące i wracające, oraz ażeby poznać że tym sposobem p. Fizeau otrzymał ten osobliwy wypadek, że promienie przebiegające dwie mile przez okolicę, wracają bez zбочzenia, aby przejść na nowo przez tenże punkt blisko na setną część milimetra. Dostyć jest wziąć zastłonę z brzegiem wyraźnie zakończonym, np. ostrze brzytwy, i przeciągać ją we wszystkich kierunkach po płaszczyźnie obrazu gwiazdy, a postrzeżemy że niepodobna go zakryć ani osłabić, tylko stawiając tę przeszkodę na samym obrazie, co pokazuje że niewątpliwie promienie przez ten sam punkt przechodzą i powracają. Tak więc w tym wielkim przyrządzie optycznym, który się rozwija w odległości dwóch mil, światło przebiega z właściwą sobie chyżością, wraca po sobie samym ściśle pod pewnymi nieodbitemi warunkami, z których p. Fizeau potrafił zrobić konieczną potrzebę. Dla uzupełnienia doświadczenia pozostaje tylko wprowadzić krąg ruchomy; miejsce gdzie ma zakrywać obwód jego zębaty, jest dostyć wyraźnie wskazane; oczywiście jest ono tam gdzie światło zgromadzając się w jednym punkcie, zdaje się zbliżać do warunku jednego tylko promienia; a właśnie to następuje w punkcie zbiegania się promieni wychodzących i wracających, to jest w owym punkcie A, który tu po raz ostatni przywodzimy, że zęby mają przeznaczenie walczyć z prędkością światła, to jest z pierwiastkiem przeznaczonym do odślonienia nam wspaniałości stworzenia.

Nauka może już dziś ogłosić, że światło przebiega blisko 70 tysięcy mil fr. (42,000 mil geogr.) na sekundę. Postrzeżenie zaćmienia księżyców Jowiszowych dowodzi, że prędkość ta odnosi się do światła słonecznego. Wymiar aberracyi pokazuje, że prędkość światła jest też sama dla wszystkich gwiazd, a piękne doświadczenie któreśmy opisali, przekonuje że téj samej prędkości podlega i sztuczne światło ziemskie. Dwa pierwsze sposoby nastroczyły się bystrym umysłem dwóch wielkich astronomów, jakby same przez się, lecz aby one stały się widocznymi, przyjąć należy znajomość układu słonecznego; a ich ściśłość zawisła od wymiarów średnicy drogi ziemskiej. Dla tego kto by zaprzeczał ruch postępowy ziemi, wypadki pomienionych astronomów byłyby nieistniejące. Przeciwnie nowy sposób tu opisany, jest całkiem bezpośredni; wynaleziony on był we wszystkich częściach przez p. Fizeau, i jest wystarczającym zupełnie dla siebie samego. Gdyby Ptolomeusz zjawił się na ziemi jako zapalony obrońca swego systemu, byłby zmuszonym przyznać, że światło przebiega 70 tysięcy mil fr. na sekundę, i podług wszelkiego

prawdopodobieństwa p. Fizeau miałby zrzęcznieść przekonać go o prawdziwym układzie świata i zniweczyć w tym wielkim umyśle teorię epicyklów. Jeżeli w matematyce przyjmujemy chętnie różne dowodzenia tej samej prawdy, tém bardziej zjawiska fizyczne zasługują, aby je przedstawiono pod wszystkimi względami. Wielość sposobów, jedność wypadków, sąto dla nas zasady pewności. J. B.

FIZYKA.

Person w akademii nauk w Paryżu, czytał notę o ilościach deszczu, spadających w różnych wysokościach, będących wypadkiem obserwacji, czynionych w Besançon, w dwóch stacyach przyległych, których jednak różnica wzniesień wynosiła 200 metrów. Z tabelli obejmującej wypadki spostrzeżeń z 3 lat i 8 miesięcy wypada wniosek, że różnica ilości deszczu spadłych w tych stacyach podczas ciepłych miesięcy (czerwiec, lipiec, sierpień), jest prawie połową różnicy, znalezionej podczas pozostałych dziewięciu miesięcy. Ze ten wypadek nie jest skutkiem szczególnej miejscowości, dowodzi to, że w Paryżu i Nowej Grenadzie, podobne obserwują się rezultata. Przyczynę tego zjawiska Person widzi w znaczniejszém rozciągnięciu atmosfery wilgotnej w czasie lata, aniżeli w innych epokach roku. Podczas deszczu, hygrometr nigdy nie wskazuje nasyconej parami atmosfery, więc spadające krople deszczu w przejściu ku ziemi, mogą znacznie się jeszcze zmniejszać, w skutek parowania. To jednak parowanie kropli deszczu składających, daleko musi być większém podczas lata, gdyż wówczas warstwy dolne powietrza są daleko cieplejsze, i więcej im brak wody do nasycenia. Ztąd pochodzi, że latem wyniosła chmura w deszcz się rozwiązująca, może nie przysłać ani kropli deszczu na ziemię; tak silne będzie parowanie spadających cząstek wody. Jest to zjawisko, podobne do sposobu używanego przez żołnierzy biwakujących pod gołém niebem, w celu uchronienia się przed deszczem: zwykle wtedy otaczają szeroko rozniecone ognisko. Warstwa pary zawarta między stacyami, na których ustawione są deszczomiary, nie dostarcza wody dolnej stacyi; ta warstwa wysoka np. na 200 metrów w porównaniu z grubością warstwy atmosfery, zawierającej parę wodną podczas lata, jest prawie nie nieznaczącą; i z tego więc powodu różnica w spadłych ilościach deszczu musi być mniejsza. Lecz zimą, przy niżej rozciągającej się warstwie atmosfery, zawierającej pary wodne, wysokość 200 metr. może być znacznym ułamkiem całkowitej grubości warstwy, parą wodną przesiąkniętą; ztąd i w górnym deszczomiarze znacznie mniej wody znajdować się będzie, aniżeli w dolnym. To właśnie potwierdzają obserwacje w Besançon, Paryżu i Nowej Grenadzie czynione. Tak więc dwie przyczyny: parowanie mocne latem kropli deszczowych podczas spadania ku ziemi, i różna grubość warstwy atmosfery parą wodną przesiąkniętą, tłumaczą dostatecznie dostrzeżone różnice latem (czerwiec, lipiec, sierpień); i w pozostałych epokach roku, co do zbieranych ilości wody deszczowej na stacyach rozmieście nad poziom wyniesionych. (*L'Inst.* nr. 819).

CHEMIA.

P. Combes na posiedzeniu akademii umiejętności paryżkiej, czytał długie sprawozdanie o wyrabianiu cerusy we Francyi, ze względu na zdrowie robotników. Po zastanowieniu się nad rozmaitemi sposobami używanymi w rękodzielniach Lille i okolicach Paryża, sprawozdawca sądzi, że jeszcze potrzeba niejakich ulepszeń dla oddalenia przyczyn szkodliwych; w tym celu radzi przyjęcie sposobu dotychczas wyłącznie używanego w Anglii, to jest przy wszystkich częściach roboty węgla: u ołowiu, zastosowania wody, poczynawszy od odczepienia téj farby z blach metalowych, aż do czasu takowego jej wyrobienia, jak ma iść w handel. Sposób ten podług zdania sprawozdawców odpowię swemu zadaniu pod względem zdrowia. (*L'Institut* 21 Novembre 1849).

* P. Despretz czytał w paryżkiej akademii umiejętności, trzecie za-wiadomienie o topliwości i lotności metalów. Objął on w niém spo-strzeżenia, uważane przy wystawianiu na działanie bardzo mocnego stosu (600 ogniw) krzemu (silicium), boru, tytanu, tungstenu i platyny.

Krzem wystawiony przez p. D. na działanie ognia elektrycznego, z łatwością się stopił w kulkę nieco szklistą na powierzchni. Odłam krzemu w téj kulce był ciemny, podobny do węgla, tenże odłam krzemu wygładzony, jeszcze był ciemny; barwa proszku krzemu także nie zupełnie znikła, bo się okazała na jednej części powierzchni. Krzem tak stopiony, nie rysuje szkła.

Krzem ten otrzymany był przez p. Laroque, sposobem Berzelius'a; miał zaś wszystkie cechy, jakie mu naznacza chemik szwedzki, to jest barwę brunatno-orzechową, nietopliwość i niepalność w podwyższonej temperaturze.

Część boru użyta przez p. D. otrzymaną była przez p. Robiquet syna, a druga część przez p. Laroque. Jedne z obudwóch otrzymano wypadki, chociaż miały pozór bardzo różny. Bor p. Robiquet był czarny jak sadza, a p. Laroque brunatnawy.

Przy działaniu ciepła, bor roztopia się w kulkę nieco także szklistą na powierzchni; miała ona odłam ziarnisty, czarny, podobny do węgla. Pierwiastek ten był topliwszy i lotniejszy od krzemu, a nie okazywał znacznej twardości.

Powyższe doświadczenia dotyczące się krzemu i boru, uskutecznione były w saletrorodzie.

Tytan dany do doświadczenia, otrzymany został na wystawę przemysłu przez p. Russeau z chlorku tytanu; był on w postaci proszku brunatnego.

Przy piérszém doświadczeniu w próżni maszyny pneumatycznej, w znacznej części się ulotnił, i osadził się w pewnej ilości na talerzyku porcelanowym, umieszczonym nad tygielkiem, w postaci kosmków brunatno-czerwonawych z odbiciem światła metalowego. W tygielku mieszczącym węgiel z cukru, wsypyany proszek tytanu, pozostawił słabą powłoczkę białą-żółtawą.

W czasie drugiego doświadczenia, uskutecznionego w gazie saletro-rodnym, talerzyk porcelanowy oblókł się w warstawkę pięknie błękitną. W tyglu pozostała blaszka biaława, a pod nią ściany tego naczynia pokryte były małemi kuleczkami, z których jedno były koloru złoto-żółtego, a inne odbijały różne kolory tęczowe.

Tungsten tak stopiono jak tytan, bor i krzem, w tyglu zawierającym węgiel z cukru, pod dzwonem napelnionym saletrorodem. Wtedy okazała się na talerzyku porcelanowym tak ustawionym, jak wspomnieliśmy, warstewka cienka brunatnawa, a na ścianach tygla znaleziono dwie cienkie blaszki biało-szarawe. W inném doświadczeniu metal stopił się w kuleczkę, ale potem rozrzucił się po ścianach naczynia.

Metal ten może przybrać bardzo piękny połysk; odłam jego jest taki, jak dobrej hartownej stali, zaledwo ziarnisty. Twardość znaczna, bo ściera pilniki, rysuje kwarzec (kwarc), kamienie kosztowne, a nawet rubin.

P. Gaudin chcąc nadać połysk niektórym ciałom trwałym, otrzymanym przez p. D., wygładził ścianki rubinowi szmirgłem i glinką sproszkowaną; ale dla wygładzenia tungstenu, musiał użyć sproszkowanego dyamentu.

P. Despretz w powyżej przytoczonych doświadczeniach, używał 600 ogniw Bunsen'a, w sześć oddziałów ustawionych. Stos podług niego służyć może do topienia metalów, bez dodawania obcych części. Żaden bowiem dotąd metal nie oparł się działaniu ognia elektrycznego; i tak np. stopił 80 gram. palladu, a sądzi, że to z platyną zrobić także będzie w możności. (Tamże).

J. B...a.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

WILNO.

72. Felicyta czyli męczennicy Kartagińscy. Dramat w pięciu aktach, przez Antoniego Edwarda Odyńca. 12ka. Wilno 1849. Drukiem T. Glücksberga. Str. XVI i 264. ztp. 11.

73. Rubon. Pismo zbiorowe, poświęcone pożytecznej rozrywce. Wydawca Kazimierz Bujnicki. Z godtem:

Meine Ufer sind arm, doch höret die leisere Welle,

Führet der Strom sie vorbei manches ermunternde Lied.

Schiller.

Tom IX (z rycinami) 8ka. 2 tomy. Wilno. 1849. Drukiem J. Zawadzkiego. Tom I, str. XXII i 266. Tom II. str. 289. Ztp. 16.

L W Ó W.

74. Francuzka grammatyka praktyczna Kaspra Hircla (,) przez Jana Juliana Szczepańskiego, profesora języka polskiego w c. k. lwowskiej akademii technicznej, a podług czternastego wydania Konrada Orella, profesora w Zurichu (,) pomnożona i poprawiona przez Karola Piechorskiego... 8ka. 1849. Lwów, Stanisławów i Tarnów, nakład Jana Milikowskiego, druk J. P. Sollingera wdowy w Wiedniu. Kart 4 i str. 652. Ztp. 11.

75. Początkowe praktyczne budownictwo. Ułożył Stanisław Kowalski. Z 55 rysunkami. 8ka. Lwów. 1849. Nakład Kajetana Jabłońskiego [Bez miejsca druku]. Kart 3 i str. 160. Ztp. 8.

1850.

WARSZAWA.

17. Historia prawa polskiego (,) napisana i wykładana przed rokiem 1830 w b. warszawskim Aleksandryjskim uniwersytecie przez Jana Wincentego Bandtkie Stężyńskiego.... Dzieło pogrobowe. 8ka. Warszawa. 1850. Druk Banku Polskiego. Kart 2, str. VIII i 728. Rejestru str. XVI i prenumeratów str. 4. Ztp. 26 gr. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

„Życiorysów znakomych ludzi wstawionych w różnych zawodach”, wyszedł zeszyt 6ty. W tym zeszycie czytamy następane uwiadomienie: Redakcyja „Życiorysów znakomych ludzi”, ma zaszczyt upraszać każdego, cohy posiadał ryciny lub wiadomości do biografii znakomych literatów, mających związek z piśmiennictwem krajowém, aby racyli takowe nadesłać franco do księgarni Bernstejna przy ulicy Miodowej, Nr. 483”.

— Część druga, drugiego tomu: Kodexu dyplomatycznego Rzyszczewskiego i Antoniego Muczковского, wkrótce wyjdzie z pod prasy drukarskiej.

— „Opis historyczny miasta Sandomierza” przez Chądzyńskiego urzędnika sądowego napisany, w przyszłym miesiącu druk opuści.

— Księgarnia J. Zawadzkiego, zajmuje się wydaniem zupełnem wszystkich pism Józefa Korzeniowskiego.

— Tom IV Kroniki Wapowskiego, wyjdzie wkrótce z drukarni T. Glücksberga.

Wiadomość o ósmym tomie Historii literatury polskiej, Michała Wiszniewskiego.

Druk tego ważnego dzieła rozpoczyna się teraz w drukarni akademii Jagiellońskiej w Krakowie, a przed św. Janem b. r. ukończonym zostanie. Oto jest spis szczegółowy rozdziałów i §§.

Tom VIII. Rozdział XIV. Dalszy ciąg literatury historycznej z epoki Zygmuntołwskiej.

§ 1. Dzieje krajowe przez pięciu polskich hetmanów pisane. Poselstwa posłów polskich za granicę, i zdawane przez nich sprawy, czyli *relacje*.

§ 2. Relacje posłów zagranicznych o Polsce.

§ 3. Źródła historii polskiej. Akta Tomickiego; akta bezkrólewiołw; listy królow, ich posłów. Drukowane zbiory historyków polskich; dyaryusze sejmowe; *nowiny* czyli gazety.

§ 4. Historia krajów z Polską w XVI i XVII wieku połączonych.

§ 5. Historia cudzoziemska. *Polidamus*. Historia literatury, i historia powszechna.

§ 6. Historyczne opisy pomniejszych zdarzeń i sprawy elekcyjne.

§ 7. Autobiografie.

§ 8. Biografie Polaków, przez cudzoziemców i Polaków pisane.

Rozdział XV. Historia kościelna.

§ 1. Żywoty biskupów polskich.

§ 2. Żywoty Jezusa Chrystusa i żywoty świętych i patronów Polski.

§ 3. Bzowski, Skarga.

§ 4. Historia polskich zakonów, klasztorów i opactw.

§ 5. Historia Akatolików przez nich samych pisana, tudzież przez katolików; również źródła i dokumenta do takiej historii. Opis odbytych dysput z Akatolikami.

§ 6. O Jezuitach, ich historii; o książkach za i przeciw nim wydanych.

Rozdział XVI. Historia literatury i kościoła ruskiego.

§ 1. Źródła historii kościoła ruskiego i rozdławiania cerkwi wschodniej w Polsce.

§ 2. Historia drukarń kirylickich w Polsce.

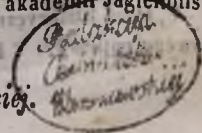
§ 3. Język i literatura stowiańska czyli cerkiewna. Biblia Ostrogska.

§ 4. Język i literatura białoruska. Przekłady pisma św. przez Potoczana, Franciszka *Skorynę* na język białoruski.

§ 5. Przekłady z greckiego i z polskiego, na język stowiański lub białoruski i czerwonoruski.

§ 6. Środki kształcenia się Rusinów w Polsce. Szkoły i biblioteki, i jaki miała wpływ Turko-Grecya na ich oświecenie.

Do tego tomu dodane będzie odbicie *tytułu akafistów wydanych w Wilnie przez Skorynę*; z exemplarza zachowanego w bibliotece akademii Jagiellońskiej w Krakowie.



Styczeń 1850.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany księżycy.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienne
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1		752.50	752.82	751.89	751.86	- 5.4	- 4.6	- 5.8	- 6.5	
2		751.80	752.99	753.14	753.00	- 6.3	- 5.8	- 5.9	- 7.8	
3		751.17	751.24	751.91	751.71	- 11.7	- 10.9	- 10.6	- 11.9	
4		750.42	750.35	748.50	748.51	- 21.4	- 19.1	- 15.0	- 12.4	
5		742.91	743.18	742.16	743.19	- 17.0	- 15.2	- 13.6	- 13.6	
6	☾	745.58	747.28	749.20	750.50	- 11.6	- 9.6	- 7.8	- 13.2	
7		748.78	751.68	752.84	755.24	- 8.2	- 5.0	- 6.0	- 6.3	
8		758.13	760.57	762.61	764.01	- 5.6	- 5.1	- 6.4	- 6.3	
9		763.51	764.20	761.08	760.31	- 10.1	- 10.6	- 5.0	- 9.5	
10		759.14	758.70	758.12	757.85	- 9.7	- 9.7	- 12.1	- 15.0	
11		757.57	758.23	758.20	759.29	- 14.5	- 15.6	- 13.5	- 14.8	
12		759.30	759.45	757.10	756.26	- 19.3	- 19.3	- 19.2	- 20.6	
13		754.29	754.68	754.07	755.32	- 25.1	- 22.1	- 17.2	- 17.5	
14	☉	755.79	756.35	756.45	755.70	- 15.5	- 14.6	- 13.8	- 14.2	
15		754.53	754.77	752.86	751.84	- 11.9	- 10.1	- 8.1	- 10.0	
16		748.83	748.58	746.45	745.84	- 9.5	- 8.9	- 8.4	- 8.8	
17		745.84	747.07	749.01	750.69	- 8.6	- 8.3	- 9.2	- 9.2	
18		752.03	753.06	752.06	751.27	- 11.3	- 10.7	- 12.6	- 13.2	
19		749.34	749.22	747.12	747.12	- 14.8	- 13.9	- 14.8	- 19.5	
20		750.29	752.82	755.33	760.21	- 21.9	- 19.8	- 17.1	- 19.4	
21		765.71	768.52	769.53	772.29	- 21.0	- 17.7	- 15.7	- 20.4	
22	☾	772.51	773.94	773.28	771.50	- 23.3	- 27.1	- 20.6	- 23.5	
23		764.74	763.20	755.58	746.54	- 26.1	- 22.9	- 14.3	- 11.8	
24		747.94	751.71	752.64	746.79	- 8.8	- 8.3	- 5.8	- 3.5	
25		741.95	741.85	740.41	739.44	+ 0.2	+ 0.5	+ 0.3	+ 0.0	
26		734.68	734.02	727.25	721.66	+ 0.9	+ 0.9	+ 0.5	+ 0.6	
27		734.40	743.02	753.74	760.12	- 11.8	- 13.3	- 14.5	- 18.9	
28		760.22	759.83	756.14	751.84	- 13.3	- 11.0	- 8.9	- 8.0	
29	☉	741.56	738.52	733.69	736.11	- 6.3	- 10.7	+ 0.6	- 2.6	
30		742.82	745.14	748.80	752.05	- 8.6	- 10.1	- 11.0	- 12.9	
31		757.53	758.29	757.17	756.85	- 17.0	- 14.5	- 10.4	- 12.4	
Śre.		752.123	753.074	752.527	752.352	- 12° 79'	- 11° 84'	- 10° 43'	- 11° 71'	

Astronomicznem Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s,7
względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany księżycy.	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z		
		6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczy	śnie- gu	
		godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.			
1		pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		6.0	
2		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.			
3		śnieg drob.	pr. pogod.	śnieg	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Z.			
4		pogodny	napół pog.	śnieg pr.	pr. pochm.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.			
5		pogodny	pogodny	pogodny	lek. zamgl.	Pd.	Pd.	Pd.	PdW.			
6	☾	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdW.	Pd.	Pd.	—			
7		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	PdW.			
8		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	W.	W.	PdW.			
9		pochmurny	śnieg dr.	pochmurny	śnieg drob.	W.	W.	PdW.	PdW.			
10		pochmurny	śnieg dr.	pr. pochm.	pogodny	PdW.	PdW.	W.	W.			
11		pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	W.	—			
12		pogodny	pogodny	pr. pogod.	pogodny	W.	PnW.	PnW.	PnW.			
13		pogodny	smugi	smugi	pochmurny	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.			
14	☉	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	W.	W.	W.			
15		śnieg	śnieg	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	W.		6.0	
16		pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	W.	W.		4.0	
17		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	W.	W.			
18		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	W.	W.	W.			
19		pochmurny	śnieg	śnieg drob.	pogodny	W.	W.	W.	PnW.			
20		pogodny	pogodny	pogodny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.			
21		smugi	pochmurny	pochmurny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.			
22	☾	pogodny	pogodny	pogodny	smugi	Pn.	PnZ.	Z.	—			
23		smugi	pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.			
24		pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg	Pn.	Pn.	PdZ.	Pd.			
25		dészcz	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		0.7	
26		śnieg	śnieg	dészcz	pochmurny	Z.	Z.	Pd.	Z.			
27		pochmurny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	Pn.	Pn.	Z.			
28		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.			
29	☉	pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg	Pd.	PdZ.	Z.	Z.		2.8	
30		pochmurny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.			
31		pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.			
Śre.											0.7	18.8

Średnia wysokość barometru miesięczna	752.519	27	9.625
Najwyżej dochodził — d. 22 o g. 11 r.	774.04	28	7.643
Najniżej — — d. 26 o g. 10 r.	721.66	26	7.909
Średnia zmiana dzienna barometru	6.78		3.01
Największa zmiana dzienna barometru d. 26—27.	38.45		17.04
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 24 lat	1.242		0.587

poprzedzających 751.277 27 9.038

Od lat 24 barometr w tym miesiącu ani
razu tak wysoko się nie wznosił ani
tęż tak nisko nie opadł.

Dotąd najwyżej w styczniu barometr
doszedł w 1828 r. d. 18 po poł. 773.47 28 6.876

Najniżej w styczniu barometr doszedł
w 1834 r. d. 1 w. 723.62 26 8.778

Średnia temperatura stycznia wynosi: — 15°.⁶⁰ C. — 9°.³⁵ R.

i ta jest niższa o 6.07 „ 4.85 „

od stanu normalnego z 24 lat po-
przedzających — 5.02 „ — 4.50 „

Największe ciepło dochodziło d. 26
o g. 6 i 10 r. + 0.9 „ + 0.7 „

Największe zimno dochodziło d. 22
o 10 godz. rano — 27.1 „ — 21.7 „

Termometrometr wskazał:

Maximum: + 1.⁹¹ R. d. 26 w.

Minimum: — 23.1 „ d. 23

Mroz taki raz tylko jeden zdarzył się d. 22 stycznia 1829 r.

Wody z deszczu spadło wysoko na 0,7 milim., czyli 0,31 lin. par.,
z śniegu 18,8 milim. czyli 8,33 lin. par., razem z deszczu
i śniegu 19,50 milim., czyli 8,64 lin. par. co jest o $\frac{1}{3}$ mniej od
ilości, która zwykle w tym miesiącu spada.

Dni pogodnych było 7; napół pogodnych 6; pochmurnych 18.
Dni deszczu 1 (d. 25).

Dni śniegu 10, (d. 1, 2, 3, 4, 9, 10, 15, 16, 19, 29).

Styczeń r. b. pogodny, wietrzny i bardzo mroźny o 5° R. bli-
zko zimniejszy jak w stanie normalnym. Mrozy trwały ciągle,
prócz dwóch dni odwilży (d. 25 i 26), termometr niżej zera przez
cały miesiąc się utrzymywał. Zmiany barometru częste i bardzo
wielkie. W d. 26—27 przy szybkiej zmianie temperatury barometr
w przeciagu doby spadł na 17,04 lin. Wielkim zmianom barome-
tru towarzyszyły zwykle wichry gwałtowne.

Wiatr panujący Wschodni i Zachodni.

Wichrow było 9; t. j. PnW. 1; W. 1; Pd. 1; PdZ. 2; Z. 4.

12	Wskazywanie o piśmie przeszłych naukowców ks. Stanisława Jundzilla, przez Jana Jędraka (X wierszami).....
243	Adam Świątkowski chorągiew naukowy, skrośca katechetyczny 1703— 1710. Przez Antoniego hr. Tarnomskiego.....

Wskazywanie

100	Ekonomiczne polityczne i stan jej w naszym kraju, p. Wilna Kłobuckiego
258	Wypały finansowe i ekonomiczne zainicjacja w Anglii. Przez A. N.

Epizy i podzięk

202	Przebieg wybitnie p. Capier w zachodnio-północnej Ameryce, w Ra- bun i na wyspach oceanu Spółczesnego.....
431	Przebieg do kłopot Wiaty, p. Wilna Kłobuckiego.....
387	Przebieg do kłopot Wiaty, p. Wilna Kłobuckiego.....

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1850.

110	Przebieg do kłopot Wiaty, p. Wilna Kłobuckiego.....
105	Przebieg do kłopot Wiaty, p. Wilna Kłobuckiego.....
378	Przebieg do kłopot Wiaty, p. Wilna Kłobuckiego.....
110	Przebieg do kłopot Wiaty, p. Wilna Kłobuckiego.....

Filozofia.]

Stron.

Początki filozofii krajowej. Przegląd, przez A. Tyszyńskiego.....	122, 313
---	----------

Materyały historyczne.

Gabinet historyi naturalnej i ogród botaniczny wileńskiego uniwersytetu, przez ks. Stanisława Jundzilla.....	39
List Ign. Krasickiego o trefnisiach czyli błaznach.....	161
Odpowiedź Drabska.....	167
Kościół Śgo Andrzeja i Kanoniczki w Warszawie. Przez Juliana Bartosze- wicza.....	197, 477
Wykład Odpowiedzi Drabskiej, w zeszytzie styczniowym zamieszczonej. Przez X. J.	384
Historya angielska Macaulaya. Wilhelm książę Oranii.— Burnet.— Wil- helm i Marya.— Przez F. Z.	442
Wiadomość o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie, prze- rzanych po niektórych bibliotekach i archiwach zagranicznych, a zwłaszcza rzymskich, w latach 1846 i 1847, przez Alexandra Prze- dzieckiego (dokończenie).....	529

Biografia.

	Stron.
Wiadomość o życiu i pracach naukowych ks. Stanisława Jundzilla, przez <i>Jana Jundzilla</i> . (Z wizerunkiem).....	15
Adam Śmigieński chorąży nadworny koronny, starosta gnieźnieński. 1703—1716. Przez <i>Kazimierza hr. Tarnowskiego</i>	245

Nauki społeczne.

Ekonomia polityczna i stan jój w naszym kraju, p. <i>Felixa Zielńskiego</i>	100
Wypadki finansowe i ekonomiczneniżenia ceł w Anglii. Przez <i>F. Z.</i>	388

Opisy i podróże.

Przygody myśliwskie p. <i>Coulter</i> w zachodnio-południowej Ameryce, w Kalifornii i na wyspach oceanu Spokojnego.....	222
Podróż do źródeł Wisły, odbyta w roku 1849, przez <i>Ludwika Zejsznera</i>	421
O stosunkach społecznych Kantabrii czyli prowincyj Baskich, przez <i>Dra T. Tripplina</i>	397

Literatura.

Klechy polskie i obrobienie ich, przez <i>W. A. Maciejowskiego</i>	1
Listy miłosne z czasów Stanisława Augusta; przez <i>K. Wł. Wojcickiego</i>	116
Przysłowia polskie używane na Litwie, a nieobjęte w zbiorze przysłów <i>K. Wł. Wojcickiego</i> . Przez <i>Eust. hr. Tyszkewicza</i>	165
Nowo odkryte ułamki 98 księgi <i>Liwiusza</i> . Przez <i>F. Z.</i>	573
Stan piśmiennictwa rosyjskiego w roku 1848. Przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i>	574

Poezye.

<i>Fryderyk Szopen</i> . Fantazyja <i>Włodzimierza Wolskiego</i>	60
--	----

Powieści.

Pieniądze i klejnot szlachecki. Część pierwsza i druga.....	67, 266
Wieś Krupa. Zdarzenie historyczne z 1715 roku. Przez <i>Antoniego Wienarskiego</i>	463

Rozbiory.

Starożytności Warszawskie, wydawane przez <i>Alex. Wejnera</i> . Warszawa. 2 tomy. 1848. Przez <i>St. Lisowskiego</i>	140
Bigos Hultajski. Bzdurstwa obyczajowe, przez <i>I. Biepońskiego</i> . Tom IIIci. Wilno. 1849. Przez <i>T.</i>	146
Rocznik Literacki. Pismo zbiorowe, pod redakcją <i>Romualda Podbereskiego</i> . Wilno. 1849. Przez <i>Wł.</i>	153

	Stron.
Przekłady poetów polsko-łacińskich, epoki Zygmunto- wskiej. Poemata Klemensa Janickiego. Przekład Władysława Syro- komli. Wilno. 1848. Przez <i>St. Lisowskiego</i>	365
Pokojówka. Szkic obyczajowy, przez Tadeusza Padalicę. Wilno. 1850. Przez <i>Wl.</i>	377
Pamiętnik Naukowo-Literacki. Pismo zbiorowe umiejętności, literatury i sztuki. Pod redakcją Romualda Podbereskiego, Zeszytów trzy, sta- nowiących tom Iszy. Wilno. 1849. Przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i> ...	557

Język polski.

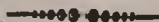
Rozbiór uwag fizyologicznych nad abecadłem polskiem, przez Dra Ludwi- ka Natansona, umieszczonych w Bibliotece Warszawskiej, w zeszy- cie październikowym, r. 1849. Przez <i>T. Kurhanowicza</i>	337
--	-----

Nauki przyrodzone.

Systematyczny spis ptaków, uważanych w dawniej ziemi krakowskiej. Przez <i>Kazimierza hr. Wodzickiego</i>	351
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Astronomia i fizyka kuli ziemskiej, przez <i>J. B.</i>	579
Fizyka, przez <i>S. P.</i>	175, 588
Chemia, przez <i>J. B.</i>	176, 589
Historia naturalna. Zoologia, przez <i>A. W.</i>	179

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Zarzut na zarzut. Przez <i>T. Lipiń- skiego</i>	578
<i>Kronika bibliograficzna</i>	190, 391, 591
Doniesienia literackie.....	191, 391, 591
Wiadomości literackie i artystyczne, przez <i>F. M. S. J. R. S.</i> i przez β . 168, 171, 387	
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astrono- miczném warszawskiem:	
za miesiąc listopad 1849 r.	193
— — grudzień 1849 r.	393
— — styczeń 1850 r.	593



SPROSTOWANIA
w tomie *Iszym.*

Stron.	wiersz	zamiast	czytaj
16	5	po wyrazie z Dowgiatłów dodać Jundziłłów	
29	2	owych	nowych
36	3	od dołu gazety Ruski:	gazety: Ruski
118	7	od dołu takie; w końcu	takie w końcu
133	9	od dołu nic przez owę śmierć nie nie stracili	nie przez owę śmierć nie stracili
388	16	od dołu zniesienia	zniżenia



Do redakcji Biblioteki Warszawskiej
 Kronika Biblioteczna
 Doniesienia literackie
 Wiadomości literackie i artystyczne przez P. M. S. J. R. S. i przez S. 188, 171, 307
 Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatorium astronomicznym w Warszawie
 za miesiąc listopad 1810 r.
 Grudzień 1810 r.
 styczni 1820 r.